



BB

NORMAN

MAILER

* Starożytne wieczory

NORMAN
MAILER

Starożytne wieczory



Norman Mailer

Starożytne wieczory

Moim córkom, synom i Norris

Wierzę w ducha i literę tego, co przyjęliśmy nabywać magią, a co moim zdaniem wymaga wywoływania duchów (choć nie wiem, co to duchy), umiejętności stwarzania czarodziejskich iluzji oraz zamykania oczu i przywoływania wizji prawdy z głębin naszego umysłu. Jestem też przekonany..., że granice naszego umysłu bezustannie się przesuwają, że nasze umysły mogą się nawzajem przenikać', wydobywając na jaw i tworząc nowe pojedyncze umysły, skupienia energii..., i nasza pamięć to tylko cząsteczka rozleglejszej pamięci, pamięci samej Przyrody.

W.B. Yeats

Dobro i Zło

I

Księga umarłego

Moim żywiołem są nieokrzese myśli i nieokiełznane moce. Nie wiem, kim jestem. Ani kim byłem. Ogłuchłem. Zbliża się ból dotkliwszy niż wszystko, co kiedykolwiek wycierpiano.

Czy to strach spaja wszechświat? Czy wszystko rodzi się z bólu? Czy wszystkie rzeki wypełnia cierpienie? Czy to oceany mego umysłu biją o brzegi? Cierpię pragnienie ziemi wypalanej spiekotą. Góry drżą. Widzę falujące języki ognia. Odmęty, rozbłyśki, fale płomieni.

Pragnienie w rzekach ciała. Rzeki płoną, ale nie płyną. Ciało – czy to naprawdę ciało? – dygocze pod rozżarzonym głazem. Lawa zalewa wypalone pola.

Gdzie, w jakiej grocie doszło do takich kataklizmów? Wulkaniczne wargi plują ogniem, woda w studniach wrze. Kości sterczą z rany jak kikuty.

Czy jest się człowiekiem? Czy tylko utrzymuje się kurczowo przy życiu? Niczym źdźbło trawy, które staje się równe wszelkiemu stworzeniu w chwili, gdy je zrywamy? Tak. Jeśli wszystko rodzi się z bólu, to źdźbło trawy może być dana wiedza zupełna.

Zamajaczyła przede mną płonąca cyfra. Płomień rozjarzył jej kontury, nieruchome niczym ostrze, i wszedłem w ten ognisty znak. Płonąc płynąłem przez jasną i płomienną egzystencję cyfry „2”.

Poczułem pulsujące fale bólu. Chwile wytchnienia między przyływami bólu już nie wystarczały. Och, tracenie nadziei, rozdieranie tkanki. Narządy traciły kształt. Tak jest, słyszałem trzask pękającej kości. Drzwi otwierały się ku paleniskom.

Ból przyczał się w najjaskrawszym płomieniu. Padłem na płonące skały. Szatański żar słońca i wrzącej w żyłach krwi. Czy będzie jeszcze kiedyś krwią? Ale wir najgorętszych płomieni wyszeptał samym natężeniem, że nie szczenę. Po drugiej stronie musiało być jakieś istnienie. Przestałem się opierać, gdy moje serce ulegało zwęgleniu. Te resztki sił mogły się jeszcze przydać, mogły dać życie innym cząstkom mojej istoty. Dojrzałem bowiem w mroku nic przewodnią, żywą nic w uwędzonych i zwęglonych ścięgnach mojego ciała, cieniutką niczym najsubtelniejsze nerwy. Z głębin cierpienia wypatrywałem tego włókienka skróconego najbardziej wyrafinowaną torturą, aż ból osiągnął takie natężenie, że spłynęło na mnie objawienie. Włókienko nie było pojedynczą nitką, lecz dwiema idealnie zaplecionymi niteczkami. Skręcały się razem w najdzikszych spazmach, ale wystarczyła chwila wytchnienia, by się rozplotły z taką gracją, iż pewien byłem, że oto widzę na własne oczy moją duszę tańczącą jak pyłek kurzu nad ogniem.

Potem wszystko zniknęło. Moimi wnętrznościami wstrząsały oceaniczne cyklony, gotowe wypluć wszystkie tłuszcze, słodyczne i sosy starego, przesiąkniętego rozkoszami ciała, rozgorączkowanego niczym zdrajca dzielący się tajemnicą pod wpływem tortur. Oddałbym wszystko, aby mniej cierpieć z nadejściem następnej fali mąk i wytrzymałem wszystkie siły, by się narodzić w mroku fal ciała bijących o surowe wody dźwięku.

Nie mogłem dać się pogrzebać w oparach siarki. Nie chodziło o dymy, ale o strach przed uduszeniem. Nie spłonąłbym, lecz ziemia by się nade mną zawarła. Tkwiałem w glinie! Napłynęła wizja gliny zatykającej nozdrza i usta, oczodoły – podwójne włókienko przepadło z kretelem. Byłem sam w tych zamulonych jaskiniach, a trzewia waliły jak młot. Ale skoro dane mi było pogrążyć się w mroku tych wrzaskliwych wrzących otchłani, musiałem uchwycić się wizji, która mnie dręczyła. Pojąłem bowiem piękno mej duszy akurat w chwili, gdy już nie byłem w stanie zeń skorzystać. Miałem przepaść wraz z wizjami właśnie wtedy, gdy na mnie spłynęły.

Nadeszła wówczas chwila spokoju, ciszy w czasie burzy i wrzawy trzewi. Wiedziałem o ponurej ciszy w oku cyklonu, a w nagłym przyptywie spokoju zdałem sobie sprawę z tego, że brak mi życia, by moją mądrość wcielić w życie. Dane mi było usłyszeć starożytne rozmowy. Żyłem ongi jako pan i jako niewolnik – obaj przepadli w kolejnych konwulsjach – och, te minione rozmowy, które nigdy nie miały miejsca między najodważniejszą cząstką mojego „ja” a całą resztą mojej istoty. Tchórz

był górą. Coś wówczas pękło w długich komnatach mej dumy i zrozumiałem, że wszystko rodzi się w bólu – widok równie piękny co przygniatający. Ale znów zaczęły się obracać młyny obelg. Jak waż, którego wnętrzości wysadzono w powietrze, dałem za wygraną, poprosiłem o pokój i zrodziłem swą krwawą, lepka historię zwiniętej, skłębionej, wypatroszonej nicości. Jakaś postać mojego „ja” uleciała z mych trzewi i ujrzałem płonącą cyfrę „2” rozpluwającą się w płomieniach. Nie byłem już tym, kim byłem. Duszę miałem obolałą, upokorzoną, wściekłą po stracie, a nadal tak arogancką, jak piękno samo w sobie. Ból ustąpił i znów istniałem. Znów miałem ciało.

I

Ciemność była głęboka. Nie miałem jednak wątpliwości. Znajdowałem się w podziemnej komnacie długiej na dziesięć kroków, a szerokiej na pięć. Szybko, jak nietoperz, zorientowałem się także, iż była ona prawie pusta. Ściany i podłogę wyłożono kamieniem. Miałem poczucie, że potrafię widzieć opuszkami palców i zdałem sobie sprawę z tego, że wystarczy machnąć ręką, by poczuć poza jej zasięgiem przestrzeń. Było to równie niezwykle, jak wsłuchiwanie się w dźwięki włoskami w rozdętych nozdrzach. Co więcej, czułem zapach kamienia. Można powiedzieć, że w powietrzu wisiała pustka, że wnękę umieszczono w innej wnęcie. Następnie zdałem sobie sprawę z tego, że obok mnie stoi granitowa skrzynia. Zaistniała w mojej świadomości równie wyraziście, jak gdyby moje ciało właśnie zwiedziło jej wnętrze – a skrzynia była spora, mogłaby z powodzeniem służyć mi za łóżko. Ale zaledwie o krok dalej, jakby trzymając straż, leżały na podłodze jakieś stare odchody, kuleczki pozostawione przez małe drapieżne zwierzę, które, podobnie jak ja, trafiło tu, zostawiło odchody i znikło. Nie było bowiem szkieletu świadczącego o zwierzęciu, tylko woń starego, zroszonego uryną kału. Gdzie jednak znajdowało się przejście, przez które zwierzę mogło wejść? Oddychałem z trwogą, jaka nas opanowuje, gdy w powietrzu zawisnie złowieszczą woń zwierzęcych odchodów, mających własne przesłanie do przekazania!

Ale poczułem także czysty bukiet świeżego nocnego powietrza, które także zechciało wnikać do mojej komnaty. Czyżby przedostawało się przez szczelinę w ścianie, tę samą, którą prześlizgiwał się kot?

Macając palcami w ciemnościach, wnet odkryłem wgłębienie między dwoma głazami, niewiele szersze od ludzkiej głowy. Ponieważ napływał stamtąd świeży powiew, otwór musiał prowadzić na zewnątrz. Powietrze sączące się przez szczelinę było zaledwie szeptem, nie zdołałoby nastroszyć nawet pojedynczego włoska na ptasim piórku, ale szeptało o chłodzie na pustyni po zapadnięciu zmroku. Przysunąłem się ku temu świeżemu pomrukowi i, ku memu zdumieniu, udało mi się wcisnąć ramię we wgłębienie. Była to długa szczelina między wielkimi blokami kamienia, miejscami tak wąska, że wydawało mi się, iż uda mi się co najwyżej wcisnąć w nią głowę. Biegła jednak prosto ku górze niczym stromy, brudny szlak. Chitynowe pancerzyki mnóstwa martwych owadów chrzęściły, gdy się o nie ocierałem. Mrówki chodziły mi po skórze. Szczury piszczały w najwyższym przerażeniu. Wspinałem się jednak bez lęku, zdziwiony tylko niewielką szerokością przejścia. Byłem pewien, że nie uda mi się przecisnąć przez szczelinę niewiele szerszą niż jama węża, odnosiłem wrażenie, że brak mi ramion i bioder. Przeciskałem się zręcznie niczym wąż i nabrałem pewności, że nie utknę u góry korytarza. Może zwęziłem się. Nie potrafię tego wyjaśnić. Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że wędrowałem w myślach długą i wąską szczeliną, a ciało miałem tak giętkie, że przeciskało się wszędzie. Niesamowite wrażenie. Czułem się rześko. Szept powietrza rozjaśniał szczelinę nad moją głową. Cząsteczki światła połyskiwały w moich nozdrzach i gardle. Bardziej niż kiedykolwiek czułem, że żyję pełnią życia. Zrzuciłem z siebie jarzmo mięśni i kości. Miałem poczucie, że znów jestem małym chłopcem.

Dotarwszy w końcu do ujścia szczeliny, ujrzałem niebo i blask księżyca zalewający brzegi otworu. Kiedy odpoczywałem, księżyc przesunął się wprost na mnie i namaścił moje ciało. Znad odległych sadów doszły mnie zapachy drzew daktylowych i figowych oraz orzeźwiająca woń

winorośli. Powietrze, jakim oddychałem tej nocy, nasunęło mi na myśl woń ogrodów, w których się ongi kochałem. Znowu przypomniałem sobie zapach róży i jaśminu. Daleko, w dole, na brzegu rzeki, palmy rysowały swe czarne sylwetki na tle srebrzystych wód.

W końcu wyszedłem ze szczeliny na wielki kamienny stok. Wysunąłem najpierw głowę i ramiona w mrok nocy, precyzyjnie nogi i wydałem cichy okrzyk. W księżycowym blasku ujrzałem długi, biały kamienny stok, a w oddali, u stóp, ziemię. Jeszcze dalej, na płaskiej pustyni, milcząc jak skała, stała przede mną piramida. Za nią następna. Bliżej mnie, wkopany w piasek, leżał kamienny lew z ludzką głową. Przycupnąłem na stromiźnie Wielkiej Piramidy! Opuściłem właśnie – nie ulegało już wątpliwości – grobowiec faraona Chufu.

Imię „Chufu” brzmiało szorstko niczym warknięcie. Nie żył od ponad tysiąca lat. Ale sama myśl o tym, że byłem w jego grobowcu, odebrała mi siły. Sarkofag Chufu był pusty. A więc jego grób znaleziono i splądrowano!

Myślałem, że mi serce pęknie. Nigdy jeszcze strach nie chwycił mnie tak silnie za trzewia. A przecież byłem człowiekiem odważnym, o ile pamiętam, wstawionym w bitwach żołnierzem (gotów byłem przysiąc, że tak było). Mimo to nie mogłem się ruszyć. Zawstydzony dygotałem w księżycowym blasku. Oto tkwiłem na ścianie Wielkiej Piramidy, księżycowy blask zalewał mi głowę i serce, pode mną majaczył posąg wielkiego lwa, na południu majaczyły piramidy faraonów Chafre i Menkaura. Na wschodzie widziałem księżyc odbijający się w wodach Nilu, a daleko na południu dostrzegłem jeszcze słaby odblask światełek Memfis, gdzie czekały na mnie kochanki. A może czekały już na kogoś innego? Byłem w takim stanie, że nie sprawiało mi to żadnej różnicy. Czy już kiedyś przychodziły mi do głowy podobne myśli? A przecież najbardziej bałem się swej zapalczowości, tego, że gotów byłbym zabić każdego mężczyznę, który spojrzy na moją kobietę. Poczuliem się straszliwie wyczerpany. Czy taką cenę miałem zapłacić za naruszenie grobowca Chufu? Pograżony w ponurych rozmyślaniach zacząłem schodzić w dół, ześlizgując się od spojenia do spojenia w wapieniu. Zdałem sobie sprawę z tego, że zaszła już we mnie jakaś nieczysta przemiana. Moja pamięć, która obiecała wrócić w pełni przy księżycowym blasku, wciąż jeszcze pokryta była szlamem. W powietrzu unosiła się woń błota. Taki był aromat tych ziem, błoto i jęczmień, pot i uprawa roli. Jutro, zanim nadejdzie południe, rzeka stanie się piecem butwiejących trzcin. Zwierzęta domowe zostawią ślady w błocie na brzegu – owce i świnię, kozy, osły, woły, psy i koty. Poczujecie nawet odrażającą woń gęsi, brudnego ptaszyska. Pomyślałem o grobowcach i o przyjaciołach w grobowcach. Pierwsze ukłucie żalu targnęło mną niczym szarpnięcie grubej struny.

II

Znajdowałem się w nader szczególnym położeniu. Wciąż nie wiedziałem, kim jestem, ani ile mogę mieć lat. Czy byłem dojrzały i silny, czy też młody i u progu wieku męskiego? Nie miało to dla mnie znaczenia. Wzruszyłem ramionami, ruszyłem w drogę i nie wiadomo dlaczego obrałem ścieżkę wiodącą przez nekropolię. Kiedy tak krążyłem między grobowcami, zacząłem sam sobie wyjaśniać, co widzę. Tak to przynajmniej można wyrazić, bowiem czułem się dziwacznie, jakby szczegóły życia codziennego były dla mnie czymś nie znanym.

Przyznać muszę, że niewiele widziałem – proste ulice cmentarzyska w blasku księżyca, widok niezbyt upojny, chyba że upaja kogoś wartość najwyższa. Działka po działce, kwatera po kwaterze, miasto umarłych zabierało najdroższe parcele w Memfis – to jedno pamiętałem z pewnością.

Wędrując alejkami naszej monotonnej nekropolii, mijając zaryglowane wejścia do kolejnych grobowców, zacząłem – nie wiedząc właściwie dlaczego – rozmyślać o zmarłym niedawno przyjacielu. Wspomnienia mówiły, że chodzi o najbliższego przyjaciela, i że śmierć miał absurdalną i gwałtowną. Zastanawiałem się, czy jego grób nie znajduje się gdzieś w pobliżu i czekałem na dalsze wspomnienia. Myśli moje zdawały się mówić, że przyjaciel ów wywodził się z potężnego rodu. O ile pamiętam, ojciec jego był kiedyś Nadzorcą Szkatuły z Kosmetykami (wolałbym umrzeć niż trawić życie na zdobywaniu takich tytułów). A była to kariera nie do pogardzenia. O ile pamiętałem, nasz Ramzes był próżny niczym piękna dziewczyna i nie znoślił skaz na urodzie.

Mając takiego ojca, mój przyjaciel (wciąż jeszcze nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia) musiał oczywiście być bogaty i dobrze urodzony. Biedny umrzyk! Musiał być co najmniej potomkiem wielkiego Ramzesa. Tak jest, właśnie tego, tyle już sobie przypominałem, który umarł jakieś sto lat temu, czyli naszego Ramzesa II. Dożył sędziwego wieku i miał mnóstwo żon, ponad setkę prawowitych synów i z pięćdziesiąt córek. Ci z kolei spłodzili tak wielu następców, że dzisiaj trudno orzec, ilu oficerów i kapłanów to potomkowie Ramzesa bądź po mieczu, bądź po kądzieli. Prawdę mówiąc, niemal każda bogata kobieta w Memfis albo w Tebach da wam swej królewskiej dupy, nie zapominając przy tym zaznaczyć, że też wywodzi się od Ramzesa II. Może więc nie jest to rzecz aż tak wyjątkowa, ale konieczna, jeśli kobieta chce kupić działkę w nekropolii. Jeśli tego pragnie, to powinna wywodzić się po mieczu, albo przynajmniej po kądzieli, od Ramzesa. W Zachodnim Cieniu nie można kupić miejsca na grobowiec, jeśli się nie wykaże takim pochodzeniem, a to dopiero warunek wstępny ubijania interesu przez matrony w Memfis. Bo działek i tak nie starcza. Toteż handel kwitnie w najlepsze. I tak na przykład matka mego świętej pamięci przyjaciela, matrona Hatfertiti, zawsze była gotowa ubić interes. Jeśli tylko cena jej odpowiadała, sarkofag przodka można było przenieść do gorszego grobu albo nawet przetransportować rzeką do innej nekropolii. Należało naturalnie spytać o referencje zmarłego. Jak groźna była jego klątwa? Tyle niepisana część umowy. Należało się przygotować na odparcie paru złowrogich klątw. Niektórzy nie przejmowali się nimi zbyt, o ile groźba klątwy znacznie obniżała cenę. I tak na przykład Hatfertiti odważyła się sprzedać grobowiec swego zmarłego dziadka. Jeżeli chodzi o tego zmarłego przodka, dziadka męża (który był zarazem jej własnym dziadkiem, gdyż ona sama z pewnością była siostrą własnego męża), to powiedziano kupcowi, że

staruszek Menenhetet był łagodny i dobrotliwy. Miał tylko jedną wadę, a mianowicie nie potrafił krzywdzić wrogów. Nie należało się obawiać jego kłatwy. Jakże przeinaczono prawdę! Szeptano sobie bowiem po kątach, że Menenhetet zwykł jadać smażone skorpiony z kałem nietoperzy – tak dalece musiał się zabezpieczać przed kłatwami potężnych wrogów. Wydawało mi się, że pamiętałem jego życie jako pełne niebezpieczeństw.

Klient, któremu Hatfertiti sprzedawała tę działkę, ambitny drobny urzędnik, był dość typowy. Wiedział, że najlepiej zabezpieczyć się przed złowieszczą kłatwą sprawiając sobie okazały grobowiec. Dopóki nie zaoferował takiego grobowca swej rodzinie, wizyty jego żony i córek w co lepszych domach Memfis skazane były na niepowodzenie. Brakowało im po prostu dostatecznie wysokiej rangi w szeregach zmarłych. Tak więc żyli już jakby obciążeni kłatwą – nie oszczędzono im upokorzeń. Czymże bowiem jest kłatwa, jeśli nie zdradziecką kradzieżą mocy? (Kaźda próba poprawy własnej pozycji wymaga o wiele większego wysiłku, niż to wszystko jest warte). Ta żona i córki Ramzesydy tak często opłakiwały swój los, iż gotów był nawet narazić się na gniew zmarłego pradziadka. Może zaczekałby jeszcze z zakupem, gdyby lepiej znał starego Menenheteta, ale zakup ów wprowadził go w zachwyt, jaki odczuwamy wobec czegoś, co jest bardzo modne, a na co nas nie stać.

Najprawdopodobniej nie bez powodu przypomniałem sobie o tej transakcji. Przypomniałem sobie bowiem, jak się nazywał mój towarzysz. Był to Menenhetet II (imię jego zdradza rodzinne upodobanie do królewskich liczebników – jak gdyby matka była królową). Nie sądzę jednak, by pochodził z aż tak wysokiego rodu. Pamiętam tylko, że często zachowywał się w naszym towarzystwie jak diabeł wcielony: niekiedy kipiały w nim przez całą noc takie żądze, że mógłby zaiste przywołać demony. Zaczęliśmy nawet żałować, że przezwaliliśmy go Ka. Kiedyś przewisko to wydawało nam się trafne, oznacza bowiem nie tylko „dwakroć” (a więc Menenhetet II), ale służy także w starożytnym języku egipskim do oznaczenia sobowtóra po śmierci, o sobowtórze zaś takim wiadomo, że ma zmienną osobowość. Pasowało więc do niego. W przypadku naszego przyjaciela Ka nigdy nie było wiadomo, czy nie przedzierzgnie się w lwa, albo czy nie zacznie przeklinać bogów, co nas trochę niepokoiło. Nie byliśmy nadmiernie pobożni, skądże znowu, i udowadnialiśmy sobie, że jesteśmy odważni, wzywając Jego imię nadaremno, ale Ka posuwał się za daleko. Nie mieliśmy ochoty uczestniczyć w jego bluźnierstwach, tym bardziej że wypowiadał je z całkiem błahych powodów, na przykład w przypływie nieposkromionego gniewu na matkę. Kiedy bowiem Hatfertiti sprzedała grobowiec Menenheteta I dalekiemu potomkowi Ramzesa, Ka dowiedział się wnet, że grobowiec miał przyspaść jemu w udziale. Tak przynajmniej wynikało z testamentu jego pradziadka Menenheteta I.

Stojąc teraz w blasku księżyca wśród nekropolii, pełen żalu z powodu śmierci Menenheteta II (sam nie wiem, skąd się ten żal wziął) nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy byłem obecny przy tej rozmowie, w której Hatfertiti powiadomiła go o sprzedaży grobowca – choć podejrzewam, że dla Ka nie zostawiono już miejsca. Mimo to nie jestem pewien szczegółów. Przyznajmy, że to, co opowiem, to wspomnienia, które zdołałem pobudzić. A może należy mnie porównać do łodzi szukającej we mgle wejścia do portu? Kiedy się zorientowałem, że jestem na jednej z najędźniejszych alejek nekropolii, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że niedaleko stąd do taniej kwatery, którą pospiesznie musiała zakupić Hatfertiti po nagłej śmierci mego przyjaciela. Przypomniałem sobie o pobożnym pochówku, ale i o skromnym grobowcu. W moich uszach zadźwięczały słowa Hatfertiti, iż Ka zawsze marzył o tym, żeby być pochowany na najniższym poziomie Zachodniego Cienia. Skandal. Wszyscy wiedzieli o tym, że Hatfertiti była zbyt skąpa, by zapłacić odpowiednią sumę za porządny grobowiec. Ale Hatfertiti trzymała się kurczowo swojej pożałowania godnej wersji, że Meni miewał stale ten sam sen, iż najpierw trzeba mu spocząć w

skromnej mogile. Da jej znać we śnie, kiedy będzie gotów do przenosin. Wtedy ona przeniesie go do pięknej kwatery. Mówiąc to szlochała tak głośno, że wszystkich obecnych ogarnęło obrzydzenie. Zachęcanie wszystkich siedmiu dusz, cieni i duchów zmarłego, by odwiedzały żywych, nie mieściło się wszak w naszej etykiecie. W końcu pogrzeb służy wyłącznie temu, by wszystkie siedem dusz odesłać w spokoju do Krainy Umarłych. Stąd nasz zrozumiały lęk przed człowiekiem, który zmarł śmiercią gwałtowną. Jego duch mógł nadal nękać rodzinę. Właśnie na pogrzebach osób zmarłych śmiercią gwałtowną należy dokładać wszelkich starań, by ułagodzić zmarłego, i nie gardzić nim. Hatfertiti zachowała się nieroztropnie przyrzekając, że niedługo przeniesie trumnę syna do lepszej krypty. Wszyscy wiedzieli, że trzyma ją dla siebie. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie dążyła do zwabienia ducha naszego Menenheteta II na pełną męczarni wędrówkę! Gorzej! Pogrzeb był może i wspaniały, ale grób tak nędzny, że złodzieje grobów mogli go łatwo rozbić. (Klątwa, jaka spada na złodziei u wrót ubogiego grobowca, nie bywa zbyt skuteczna, gdyż biedny zmarły zajęty jest zemstą na rodzinie, która go poniżyła). Zastanawialiśmy się nad tym, czy Hatfertiti nie zależało przypadkiem na tym, by grób jej syna sprofanowano.

Doszedłem do alejki wiodącej do grobowca Menenheteta i mogłem się rozejrzeć. Wiele spośród znajdujących się tu grobowców miało rozmiary pasterskich szałasów (choć tylko w nekropolii znajdujemy szałas z marmuru), lecz każdy dach wieńczyła miniaturowa piramida z otworem w ścianie frontowej. Już choćby dzięki temu można się było zorientować, że jesteśmy w nekropolii, gdyż okienko przeznaczone było dla Ba. Jeżeli każdy zmarły miał Sobowtóra Ka, to niewątpliwie miał także własnego ducha Ba, najbardziej osobistego spośród siedmiu mocy i duchów. Ba miał zawsze ciało ptaka i twarz zmarłego. Przypomniałem sobie nagle, że właśnie dlatego w ścianach frontowych małych, stromych piramid zostawiano okrągły otwór. Było to wyjście dla Ba. Tak, wracała mi pamięć. Oczywiście! Wszystkie ptaki, które widziałem w tych okienkach, mogły być Ba ludzi spoczywających w sarkofagach poniżej. Bo i jakie inne pospolite ptaki odważyłyby się tutaj przyfrunąć, skoro w powietrzu roiło się od duchów nekropolii? Przeszedł mnie dreszcz. Straszne były duchy nekropolii – wszyscy ci nienasycony urzędnicy i niedocenieni wojownicy, niesprawiedliwie ukarani kapłani i szlachetnie urodzeni, zdradzeni przez najbliższych krewnych. Jeszcze straszniejsze były duchy pospolitych złodziejasków zabitych w chwili, gdy profanowali groby. A najgorsze były ofiary złodziei – wszystkie te mumie, których zwoje rozdarło, gdy złodzieje szukali kosztowności. Takie mumie śmierdziały najbardziej. Pomyślcie tylko, ile mściwej zgnilizny musi tkwić w takim dobrze zawiniętym ciełe, które ulega rozkładowi, mimo że zostało przed rozkładem zabezpieczone. Gnije podwójnie. Może jeszcze jadowniciej!

Natknąłem się na ducha. Znajdował się o jakieś trzy grobowce od grobu Meniego, i muszę powiedzieć, że cuchnęło odeń tak, że omal nie zemdlałem. Zaliczał się do najgorszych, a sądząc po łachmanach, musiał być złodziejem grobów. Śmierdział upiornie. Zaczął się do mnie zbliżać.

W księżycowym blasku ujrzałem bezrękiego nędzarza, z nosem jak u trędowatego – trzema zgniłymi strzępami. Cóż za okropny widok, wszak taki nos to kpina z potrójnego fallusa Ozyrysa, Pana Umarłych. I jeszcze był w stanie kręcić tym nosem pod żółtymi, dzikimi oczami. Na pewno był duchem jak się patrzy. Widziałem go wyraźnie jak własną dłoń, a mimo to był przezroczystry.

– Kogo szukasz? – zakrzyknął i zionął tak smrodliwie, że odór martwych krabów gnijących w bagnach nad Nilem wydałby mi się pachnidłem w porównaniu z tym smrodem.

Uniosłem rękę, by go odpędzić. Odkoczył do tyłu.

– Nie idź do grobu Menenheteta I – powiedział.

Powinienem się wystraszyć, ale nie czułem lęku. Sam nie wiem, dlaczego. Gdyby się nie cofnął, gdybym go musiał przepędzać, czułbym się gorzej niż zagłębiając pięść w udzie toczonym

gangreną. Sterczał na granicy wstrętu, zniechęcając i obezwładniając mnie. A jednak bał się. Nie zbliżył się ani o krok.

Nie wyszedłem jednak z tego starcia bez szwanku. Wraz ze smrodem dotarli do mnie jego słowa. Nie wiedziałem, co chciał powiedzieć. Czyżby i Menenheteta I przeniesiono do tego taniego grobowca zakupionego dla Menenheteta II?

A może pomyliłem alejki? Jeżeli jednak pamięć mnie nie zawodziła, to znajdowaliśmy się akurat na tej wąskiej alejce, ku której zmierzali żałobnicy owego słonecznego dnia, kiedy to dorodne białe woły z pozłacanymi rogami i o bokach pomalowanych zielenią oraz szkarłatem pociągnęły złocone sanie Meniego II ku jego ostatniej, przerażającej siedzibie. A może duch chciał mnie zwieść z drogi?

– Nie wchodź do grobowca Menenheteta I – powtórzył.

– Zbyt wiele nieszczęść ściągniesz na świat.

Roześmiałem się na myśl o tym, że to on, złodziej grobowców, tak skwapliwie ostrzegął innych. Moje rozbawienie musiało jednak wywołać także inne duchy, gdyż duch złodzieja cofnął się ze wstrętem.

– Mógłbym ci opowiedzieć więcej – wyrzucił z siebie – ale nie mogę znieść twojego smrodu. – I zniknął. Jakże łagodna była kara polegająca na tym, że własny smród przypisywał innym. Każde spotkanie musi się dlań kończyć podobnie.

Kiedy tylko zniknął, ujrzałem Ba Meniego II. Pojawił się w okienku. Ba był mniejszy od jastrzębia, a twarz miał malutką jak u niemowlęcia. Była to jednak na pewno twarz Meniego, najprzystojniejsze męskie oblicze, jakie zdarzyło mi się widzieć. W zmniejszeniu rysy jego stały się doskonałe, jak gdyby dziecko urodziło się z inteligencją dorosłego człowieka. Co za twarz! Jeżeli nawet spoglądał na mnie, to zaraz odwrócił wzrok. Potem Ba Menenheteta II rozpostarł skrzydła i z żalonym skrzekiem, brzydkim jak krakanie pełnej czarnego pesymizmu wrony, odleciał. Przygnębiony taką obojętnością wobec mojej osoby, zbliżyłem się ku wejściu do grobowca.

Kiedy stanąłem pod portalem, przeniknął mnie nagle niespodziewany i nieutulony żal, potężny i wyraźny. Czułem się tak, jak gdyby żal mojego kochanego przyjaciela Meniego przeszedł na mnie. Westchnąłem. Pamiętałem, że wejście było niechlujne i to się nie zmieniło. Pamiętałem też, że nie wyglądało na trudne do sforsowania i poczułem przyływ wiary we własne siły, który już raz dzisiejszej nocy pomógł mi wydostać się przez wąską szczelinę z grobowca Chufu. Miałom uczucie, że mój palec wpływa w drewnianą dziurkę od klucza. Kiedy obróciłem dłoń, podniósł się zaczep, a z nim cały rygiel.

Wszedłem do grobowca. Mrowie przeszło mnie po całym ciele, jak gdyby ktoś dotknął paznokciem mojej czaszki. Kocie języczki zdawały się drapać mnie w podeszwy stóp. Poczułem łaskotanie. Miałem wrażenie, że wszystko jest w nieładzie i śmierdzi. Księżyc świecił przez otwarte drzwi, a w jego blasku stwierdziłem, że ofiara z pokarmu, zostawiona w grobowcu, dawno już została zjedzona przez złodziei. Kosztowności zniszczono lub ukradziono. Wszędzie było widać złodziejskie upodobanie do profanacji. Rozbite skrzynie do przechowywania wnętrzości! Do tego doszło! Byłem wściekły. Gdzież strażnicy? W tej samej chwili dostrzegłem zwęglone łuczywo w brązowym lichtarzyku na ścianie i wbiłem w nie wzrok pełen wściekłości, tak piorunująco, że nie zdziwiło mnie wcale, kiedy zaczęło dymić, węgielki na czubku pojaśniały i całe zajęło się ogniem. Słyszałem już o kapłanach, którzy do tego stopnia potrafili skupiać swój gniew, że rozpalali ogień jednym spojrzeniem, ale nie dawałem wiary takim opowieściom. A teraz mnie samemu zdawało się to równie łatwe, jak wykrzesanie iskier z suchego drewna.

Jakież spustoszenia! Powodzie przyszłego chaosu żyły w orgiach tych nieposkromionych złodziei. Strzeżcie się tych, którzy żyją na samym dnie królestwa! Więcej zniszczyli, niż nakradli.

Zmusiło mnie to do przypomnienia sobie, jak wspaniały apartament miał Meni pod koniec życia, a jednocześnie przyszła mi na myśl szlochająca Hatferti, która próbowała mnie wypytać, jakie alabastrowe wazy, jakie napierśniki i bransolety, jakie wysadzone drogimi kamieniami pasy syna należy wraz z nim pochować. Czy wraz z nim zakopać długą hebanową kasetę czy też skrzynię z libańskiego cedru, perukę blond, białą, czerwoną, zieloną, srebrną czy czarną, czy może kasetkę z kosmetykami, albo lniane przepaski, długie lniane spódniczki, a może jego hebanowe łożo (wiedziałem, że zrobi wszystko, by je zatrzymać dla siebie, i tak się też stało). A potem pytała o to, jak wybrać broń, czy pochować wraz z nim pozłacany łuk i strzały, czy włócznię z drzewcem wysadzonym drogimi kamieniami – czy te urocze przedmioty mają mu towarzyszyć w grobowcu? Pośród takich przerywanych szlochem uniesień wykrzykiwała nagle: „Biedny Meni!” i raczyła mnie pobożnymi lamentami, które brzmiałyby absurdalnie, gdyby nie były wypowiedziane jej głębokim głosem. „Zerwano owoc moich oczu” – wyła ku białym ścianom w spokojnym, wspaniałym skrzydle ich willi, tym, które pod nieobecność Meniego bardzo wyraźnie ukazywało nam jego wspaniały smak i orientację w sztuce. Ona zaś (co za scena!), pozbawiona hamulców i przybita stratą, musiała cierpieć katusze wiedząc, że wiele spośród tych kosztowności i złotych cacek trzeba będzie pogrzebać wraz z nim. Płakała nad jego dziecięcym krzeselkiem, arcydziełem z brązu inkrustowanego złotem, płakała tak długo, aż je zatrzymała. Trudno jej było pogrzebać nawet jego brzytwy, szminki i pędzelki, na widok zaś ostrza topora (prawdziwy skarb z epoki faraona Totmesa III z płaskorzeźbą, ukazującą dzikiego psa rozszarpującego gazelę) krew puściła się jej z nosa, gdyż Hatferti zrozumiała, iż topór został synowi darowany i nie wolno go zatrzymać. Naturalnie wynagrodziła sobie stratę, zatrzymując inne przedmioty, zwłaszcza zaś wspaniały pióropusz, lamparcią skórę, skarabeusza z zielonego onyksu (wszystkie sześć nóg owada wykonano ze szczerego złota). Możecie być pewni, że bez względu na to, jaką część bogactw Meniego ostatecznie złożono do grobowca, był to iloraz chciwości (osiem jednostek) i wiary Hatferti w moce świata pozaziemskiego (pięć jednostek). Nigdy nie dawała ona owoładnąć się chciwości. Gdyby to uczyniła, zostawiłaby furtkę demonom. Pewnego razu wygłosiła mi nawet kazanie o Maat, najpobożniejsze kazanie, jakie można sobie tylko wyobrazić. Bo też Maat była prawomyślna i nigdy nie oszukiwała bliźniego. Maat to cnota równowagi. Tak jest, Hatferti potrafiła się wyrażać z szacunkiem o Maat, i to nawet podczas najdzikszego przyływu spienionych wód jej chciwości. Gdyby nie to, czego nie zatrzymałaby dla siebie?

Stojąc z pochodnią w rękę, nie byłem jednak skłonny oskarżać Hatferti o nadmiar prawomyślności. Wystarczyło popatrzeć na walające się na podłodze skorupy. Urządziła przynajmniej ucztę złodziejom, którzy nie mieli żadnego szacunku dla Maat. Oddawali mocz na żywność, a nie pytajcie mnie, co zostawiali na złotych talerzach, których nie zabrali ze sobą.

Następne pomieszczenie było jeszcze gorsze. Nie wykopano nawet grobowca, było po prostu przedłużeniem przedsionka. Oddzielała je tylko cienka ścianka z gliny. Tanio! Nie było żadnej bariery, oddzielającej komorę ofiarną od komory grobowej. Mimo to zawahałem się. Nie chciałem wchodzić do środka.

Kiedy przekroczyłem drugi próg, poczułem powiew innego powietrza. Zapowiadało się na smród tak przeraźliwy, że stanąłem jak wryty. Nie ścisnąłem łuczywa w dłoni i dlatego poczułem, jak gnie się w podmuchu po dwakroć silniejszym od oczekiwanego. Oczywiście. Nie jeden sarkofag, ale dwa. Oba rozbite. Pokrywy zewnętrznych trumien odrzucono w kąt, trumny wewnętrzne, w których chowano mumie, ujawniały zaś rozmiary kradzieży. Tam, gdzie wylupano klejnot, patynę powierzchni zakłócał mały krater, wypełniony gipsem. Zniknęły także napierśniki i amulety. Oczywiście. Pokrojono także namalowaną twarz i pierś Meniego (portret dorównywał

pięknością zmarłemu oryginałowi). Trzy pionowe cięcia zniekształcały nos. Podobnie w barbarzyński sposób starano się dobrać do klatki piersiowej.

Ale to jeszcze nic w porównaniu ze stopami. Złodzieje zaczęli tu odwijać zwoje Inu – beznadziejnie poplątane pokrywały całą podłogę. Niektóre strzępy leżały oddzielnie, inne wiły się tasiemcowymi bandażami. Śmieci pod stopami. Może jakieś zwierzę szukało tu budulca na gniazdo. Nawet kości kurczaka. Złodzieje jedli i tutaj. O ile mnie nos nie zwodził, nie odważyli się tu wypróżnić, o nie, nie w pomieszczeniu z owiniętymi zwłokami. Ale źródło tego słabego, lecz niepokojącego smrodu było jasne. Jedna z odwiniętych stóp zaczynała gnić.

W kącie stał drugi, także naruszony, sarkofag. Mógł być tylko grobowcem Menenheteta I. Hatfertiti przeniosła go tutaj akurat w porę – też został sprofanowany. Ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i nie mogłem ku niemu podejść. Nie. Nie śmiałem podejść do mumii pradziadka.

Bliżej mnie znajdował się jednak Meni, z obnażonymi stopami i w zbezczeszczonym grobie. Pokarm przeznaczony dla jego Ka zjedli złodzieje. To mnie doprowadziło do wściekłości. Widziałem też jego aurę, a jej trzy krążki światłości miały odcień bladego fioleto, równie słabiutkiego, jak odległe trzy grzbiety górskie, jeden za drugim majaczące w oddali o mglistym zmierzchu.

Nie chciałem na to patrzeć. Z barw aury można było wiele wyczytać. Hatfertiti w napadzie szału odznaczała się wyraźną aurą złożoną z odcieni pomarańczowego, krwistoczerwonego i brązowego, o poprzednim faraonie powiadano zaś, że jego aura składała się z czystej bieli, czystego srebra i złota. To blade fioletowe światełko wokół zwłok mego przyjaciela mówiło jednak o wyczerpaniu, jak gdyby ta jego drobnutka cząsteczka, która się ostała, starała się zachować spokój pośród tych przerażających wydarzeń. Trzeba to wyraźnie powiedzieć: przede wszystkim przerażająca była obecność tego drugiego sarkofagu. Na myśl o tym, że mógłbym spoglądać na szczątki pradziadka, zawstydzony odłożyłem pochodnię. Zgasła natychmiast. Czułem, jak wiele wysiłku kosztowało Meniego II opieranie się obecności tego drugiego zmarłego.

Przygnębienie zaczęło ustępować. Nie wiem, czy stało się to na skutek moich wysiłków – nagle opadło mnie ogromne znużenie – w każdym razie aura Meniego pojaśniała. Uspokoiło się. Poczułem, że muszę sprawdzić, co pozostało z jego nieszczęsnej stopy.

Nie mogłem gorzej postąpić. W zagłębieniu w wielkim palcu roilo się od robactwa. Jakże zorientować się w tym kłębowisku, ile stopy ubyło? Nie było tu aury. W pobliżu palców u stóp nie było już aury, połyskiwały tylko blado-zielonkawym światłem robaki.

Kiedy się tak przypatrywałem, aura znów zgęstniała. Zobaczyłem węża wpełzającego do komory. Chwyciwszy pochodnię, wymierzyłem mu potężny cios w głowę, potem jeszcze jeden, a potem zacząłem go dusić. Jego ciało gięło się w agonialnym tańcu. Kiedy drgnął po raz ostatni i znieruchomiał, moja pochodnia zapłonęła na nowo. Nie zawahałem się zabrać jej ze sobą. Poczułem, że muszę raz jeszcze spojrzeć na te robaki.

Przypatrując się wgłębieniu w stopie Meniego, temu białemu, pełnemu pokarmu mrowisku, zdałem sobie nagle sprawę z blizny na własnej stopie. Czyżby w przyjaźni należało się posuwać aż tak daleko, żeby samemu utykać dla dotrzymania towarzystwa staremu druhowi? Rozkład jego ciała nagle przepełnił mnie wstrętem. Byłem gotów przytknąć pochodnię do jego stopy, usmażyć robactwo, zapieczętować oczyszczone ciało. Już się do tego zabierałem, kiedy nagle przestraszyłem się i cofnąłem – może i mnie przyszyłoby wówczas cierpieć z powodu oparzonej stopy? Poczułem głód, dziki i nagły. Zacisnąłem mocno szczęki, by mu się oprzeć, gdyż inaczej zacząłbym węszyć za odrobiną pożywienia w ozdobnych wazach przy trumnie. A stały tam aż cztery urny kanopskie, każda z nich rozmiarów tłustego kota. Każda zamknięta była wiekiem wymodelowanym na kształt głów opiekuńczych geniuszy zmarłego, Synów Horusa: pierwsza – rzeźbą głowy Hapięgo, pawiana.

Zawierała ona starannie zawinięte jelita zmarłego. Druga strzeżona była przez Dua-mutefa, szakala, zawierała zaś serce i płuca. W trzeciej, zamkniętej rzeźbą Imset (ludzkiej głowy), mieścił się żołądek i jelito grube. Urna strzeżona przez głowę jastrzębia, Kebeh-senufa, zawierała wątrobę i woreczek żółciowy. Ku memu przerażeniu nie mogłem odpędzić myśli, że z tych zakonserwowanych organów da się przyrządzić rosół, choć walczyłem jak mogłem z tą ohydłą pokusą. Z drugiej strony musiałem jakoś zaspokoić głód. Chciałem coś znaleźć w nekropolii, bo inaczej musiałbym powędrować w kierunku Nilu, poszukać jakiejś jadłodajni, w której płonął jeszcze ogień, i staruchy, która zechciałaby mnie nakarmić. Nie, o tej porze to niemożliwe. Musiałem znaleźć żywność na miejscu. Bliski paniki z powodu tych bezwstydných żądz, padłem na kolana i zacząłem się modlić. Dziwne, że pamiętałem, jak należy się modlić. Na szczęście przypomniałem sobie o robakach w odwiniętej i mrowiącej się dziurze w stopie. One mi podszeptały modlitwę.

– Kiedy dusza odejdzie – powiedziałem cicho, a światło mej pochodni rzucało cienie na sufit – człowiek dostrzega rozkład. Staje się bratem rozkładu i tonie w chmarach robactwa, sam staje się robactwem...

– Cześć ci, Boski Ojciec Ozyrysie. Nie szczeleś, nie zgniłeś, nie obróciłeś się w robactwo. Tako i moje członki żyć będą wiecznie. Nie ulegnę rozkładowi, nie szczenę i nie zgniję.

Oczy miałem zamknięte. Spoglądałem w głąb samego siebie, w mrok najczarniejszej ziemi, jaką kiedykolwiek widziałem, czarnej jak ziemia Kemet, nasz ojczysty kraj, Egipt. W mroku dosłyszałem echo własnych słów, niczym echo wielkiego dzwonu u wrót poborcy podatków poniżej Memfis. Zdawałem sobie sprawę z tego, że moje słowa płyną dalej niż wznoszone ku niebu modły towarzyszące kadzidłom. W mroku zamkniętych oczu rozbrzmiewało echo moich słów – nie mogłem już dłużej wytrzymać głodu i wyciągnąłem przed siebie dłoń z rozcapierzonymi pięcioma palcami, jak gdyby mówiąc: „tymi pięcioma palcami będę jadł”, po czym wykonałem pełen obrót oddając się bogom albo demonom, sam już nie wiem komu.

W odpowiedzi pojawił się rząd pięciu skorpionów, które wypęzły z urny zamkniętej przykrywką w kształcie głowy jastrzębia Kebeh-senufa, Boga Zachodu, opiekuna wątroby i woreczka żółciowego. Przeszły od sarkofagu Menenheteta I ku szparze w zwojach okręcających Menenheteta II. Potem zaczęły chyba (nie odważyłem się spojrzeć) zżerać robactwo. Czy zabrały się także za ciało Menenheteta II? Nie wiem, ale moja jątrząca stopa płonęła ognistym, ostrym bólem, jak gdybym wetknął ją w mrowisko.

III

Jakby na ironię, w tym okropnym miejscu, które doprowadzało mnie do rozpacz, pomyślałem o wieczorze w Memfis, wypełnionym ucztą z dobrym jedzeniem, winem i rozkoszną pogawędką. Nie wiem, czy działo się to wczoraj, czy rok temu, ale udałem się z pewnym kapłanem do domu jego siostry. W owym czasie – był to miesiąc niezwykłych przeżyć – byłem kochankiem tej kobiety. Kapłan zaś (nie pamiętam nawet, czy naprawdę był kapłanem), jak na kochającego brata przystało, był jej kochankiem od lat. Jak dobrze nam się rozmawiało! Poruszaliśmy wszystkie tematy, omijając tylko kwestię tego, kto ma się z nią kochać.

Pojawienie się nas obu razem podnieciło ją rzecz jasna, nic w tym dziwnego. Gdy kapłan wyszedł na chwilę z pokoju, szepnęła mi do ucha, bym zaczekał i podglądał ją i jej brata. Dziewczyna z dobrej rodziny! W odpowiedniej chwili, szepnęła, usadowi się na nim. Wyraziła nadzieję, że dokładnie w tym samym momencie będę gotów ją pojąć. Obiecała, że przyjmie nas obu. Byłaby wspaniałą żoną! Ponieważ zaznałem już jej, że tak powiem, jednych ust, myśl o tych, które chciała pozostawić dla mnie, sprawiła mi przyjemność. Pośladki tej damy miały sprężystość pantery – pulchnej pantery. A przy odrobinie szczęścia można było wypłynąć na pełne morze przez dowolny z jej portów. Można też było zabrnąć w najgorsze z cuchnących bagien. Była w stanie wydzielić słodkawą i ledwie wyczuwalny odór najlepszych błot – przysięgam, że był to zapach Egiptu – ale potrafiła też być wonna niczym młoda roślina. Natura obdarzyła ją hojnie, starczyło dla nas obu. Postąpiłem tego wieczoru tak jak przykazała, udowadniając kapłanowi, że żywi także potrafią znaleźć sobowtóra nie gorzej od umarłych (niebawem zresztą zatracił się tak dalece, że nie wiedział już, kto bardziej jest kobietą – jego siostra czy też on sam; ale ponieważ tylko on miał całkowicie wygolone ciało, można się było zorientować, dokąd doszliśmy w naszych uściskach).

Pod wpływem takich migawkowych wspomnień głód zaczął mi jeszcze bardziej doskwierać. Z każdym oddechem coraz wścieklej dawał znać o sobie, niczym pulsująca bólem rana. Nie pożałowałem miłosnych uścisków, chciałem się dławić pożywieniem.

Musiałem mieć gorączkę – jestem pewien, że nigdy jeszcze nie byłem tak wściekle głodny. Czułem się tak, jak gdyby mój żołądek wleczono długim mrocznym korytarzem, a wokół mnie tańczyły obrazy jedzenia. Pomyślałem wówczas o początku, kiedy Bóg Temu stworzył całe istnienie jednym słowem. Królestwo milczenia ożyło dzięki dźwiękom, które wyrwały się z jego piersi.

Toteż ponownie uniosłem ramię, wskazując palcami niewidoczne niebo, i powiedziałem: „niechaj się stanie jedzenie”.

Ale nic się nie stało. Tylko cichy pomruk przebiegł po pustej przestrzeni. Daremność tego wysiłku osłabiła mnie. Paliała mnie gorączka. Zamknąłem oczy i ujrzałem niewielką oazę. Czyżbym był uratowany? Brnąłem przez śmieci na podłodze, jak gdyby wędrując przez wymyśloną pustynię, ale pustynia była nader rzeczywista, jej zapach bił w moje nozdrza. Znalazłem się w narożniku i w świetle pochodni dojrzałem przepyszne malowidła na bokach rozbitej trumny Meniego. Przedstawiały jedzenie. Była tam wszelka żywność, jakiej mógł zapragnąć wygłodniały Ka Meni II, wystarczająca na wieczerną w towarzystwie dwunastu przyjaciół, przy stołach, z misami, naczyniami i dzbanami, wazami i półciami mięsa zwisającymi z haków. Wszystko to

wymalowane było na boku jego rozbitej trumny. Jakież arcydzieło ofiarności! Ptactwo domowe i dzikie, kaczki i gęsi, przepiórki i kuropatwy, mięso zwierząt domowych, ale także żyjących na wolności byków i dzików, bochny chleba i ciasto, figi i wino, piwo i zielone cebule, owoce granatu i winogrona, melony i owoce lotosu.

Cierpiałem patrząc na to. Nie śmiałem odszukiwać w pamięci potężnych zaklęć (niegdyś musiałem się nimi posługiwać), za pomocą których mógłbym przywołać choćby część tej żywności namalowanej na trumnie, zabrać ją gdzieś, gdzie mógłbym się nią nasycić. O nie, namalowana tu żywność przeznaczona była dla Meniego II, miała stanowić jego żelazny zapas na wypadek, gdyby ukradziono inne dary złożone z mięs i owoców.

Potem przyszło mi do głowy, że mógłbym go zdradzić i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę z tego, że mimo ułomnej i pełnej luk pamięci, potrafię go sobie przypomnieć jako wiernego przyjaciela. Odkryłem bowiem, iż nie mam ochoty buszować po jego spiżarni malowanych zapasów, co więcej, moje łaknienie jakby się zmniejszyło pod wpływem skrupułów. Gdy tak wpatrywałem się w namalowaną żywność, głód osłabł i stał się bardziej znośny, jak wówczas, gdy wiemy, że lada chwila będziemy mogli się nasycić. No i proszę! Nie kiwnąłem nawet palcem a już moje szczęki zaczęły pracować, kawał kaczki zaś (a przynajmniej coś, co smakowało jak kaczka umiejętnie upieczona nad starannie podtrzymywanym żarem), znalazł się w moich ustach. Soki z tego mięs i owoców – nie byłem już wściekle głodny – spływały rozkosznie wzdłuż przełyku do pustego żołądka. Korciło mnie, by wyjąć jedzenie z ust i przyjrzeć mu się bliżej, ale ciekawość byłaby szaleństwem w chwili tak doskonałego zaspokojenia. Ponadto oładnęło mną uczucie wdzięczności wobec szczodrości mego przyjaciela Meniego. Musiał dobrze zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo sam łaknie jedzenia, a jednak podzielił się ze mną (zapewne wykorzystał swoje wpływy w Krainie Umarłych).

Pojawiło się więcej jedzenia, o wielu smakach – wołowina i gęś, figi i chleb, po jednym kęsie wszystkiego. Byłem zdumiony, jak niewiele potrzeba jedzenia, by zaspokoić tak wściekły głód. Miałem na przykład poczucie, że wlałem w siebie pełen dzban piwa, ale nie przypominałem sobie, jak trafił do mojego żołądka. Przyjemnie było poczuć lekki szum w głowie, a nawet beknąć (mając w ustach posmak miedzianego brzegu dzbana). Koniec końców złapałem się na tym, że odmawiam modlitwę dziękczynną, którą zwykle odmawiamy po posiłku. Ogarnęła mnie tak przemożna chęć snu, że jak dziecko zacząłem się na głos użalać, że na podłodze nie ma ani kawałka wolnego miejsca, gdzie mógłbym się położyć z dala od cuchnących śmieci i poszarpanych zwojów. I właśnie wówczas musiałem dojść do wniosku, że skoro Meni okazał się tak gościnnie, by ofiarować mi poczęstunek, który przeznaczony był dla jego Ka, to na pewno nie będzie też miał nic przeciwko temu, bym zasnął u jego boku. Włożyłem więc pochodnię w obręcz i wszedłem do sarkofagu obok skrzyni z jego mumią. Nie czułem trwogi (moje członki już ogarniała senność), mimo że moje stopy leżały obok jego stóp, a w zagłębieniu jego rany roiło się od skorpionów. Ułożyłem się wygodnie, zdążyłem jeszcze tylko raz beknąć i pomyśleć, że mięso, choć wysmienite, nie pochodziło z kuchni faraona, gdyż pachniało czosnkiem tanich jadalni, które zwykły szafować nim. Potem, na skraju świata snu, który zaczyna się tak blisko, a biegnie w nieskończoność, pomyślałem jeszcze o Menim, o jego serdeczności i przywiązaniu do mnie, żal zaś, wezbrany jak rzeka łez, zalał moje serce. Powoli, słysząc własne westchnienia, zapadłem w sen, a on, w najgłębszej komunii przyjaźni, przyjął mnie z głębi swego grobu.

Powędrowaliśmy razem, on po Krainie Umarłych, a ja przebywając w świecie żyjących. Czułem, że przeżywam to samo, co musiał przeżywać Meni w godzinie swej śmierci.

IV

Pogrążony w tym śnie podróżowałem, jak sądzę, przez cień, jaki pada na nasze serce, gdy oczy się zamykają po raz ostatni, siedem dusz i duchów zaś przygotowuje się do powrotu do niebios albo do zstąpienia do piekieł.

Chłodne jęzory ognia obmywały moje niewidzące oczy, gdy dusze i duchy przygotowywały się, by mnie opuścić. Nie uciekły nagle, lecz odeszły dostojnie niczym rada kapłanów, wszystkie z wyjątkiem jednego. Ren – Tajemne Imię każdego człowieka – opuścił mnie natychmiast, niczym spadająca gwiazda na firmamencie. Doszedłem do wniosku, że tak być musi. Ren nie należał bowiem do człowieka, lecz przybywał z Niebiańskich Wód, by wejść w niemowlę w chwili narodzin. Mógł się potem nigdy nie ukazywać, aż do chwili śmierci i powrotu. Tajemne Imię musi mieć jakiś wpływ na charakter człowieka, ale na pewno jest zarazem najodleglejszym z naszych siedmiu światła.

Potem przeszedłem przez mrok. Imię znikło, więc wiedziałem, że kolej na Sekhema – Dar Słońca. Moc poruszającą naszymi członkami. Czułem, jak się ze mnie unosi.

Potem, kiedy go zabrakło, moje ciało zastygło. Wiedziałem, że Sekhem odszedł i odczułem to jak zachód słońca nad Nilem, ogłaszany rogiem kapłana. Sekhem znikł za Renem i byłem martwy, wydałem ostatnie tchnienie przy gasnącym blasku słońca. Chmury zakrywające takie niebo nadają światłu barwę karminową. Z nastaniem wieczoru gromadziły się ciemne chmury, jak gdyby zapowiadając burzę przed porankiem. Sekhem musiał zadać swoje przerażające pytanie. Podobnie jak Tajemne Imię był darem Niebiańskich Wód, ale w odróżnieniu od Rena opuszczał mnie silniejszy lub słabszy niż w chwili, gdy we mnie wchodził. Pytanie brzmiało zatem następująco: „Niektórym udaje się Mnie dobrze wykorzystać. Czy i Tobie to się udało?”. Tak zabrzmiało pytanie Sekhema, a w ciszy moje członki zeszytniały, resztki zaś sił napinających moją skórę opuściły mnie na dobre. Wyczerpanie byłoby zupełne, gdyby nie świadomość, że czuвам. Czekałem. W kompletnej ciemności, bez odrobiny światła, bez podmuchu wiatru, bez oddechu, który poruszyłby myśl, wisiało w powietrzu pytanie Sekhema. Czy i ja dobrze zeń skorzystałem? Czas upływał bez miary. Ile czasu minęło od chwili, gdy blask księżyca rozjaśnił wnętrze mojego ciała – godzina czy tydzień? Ptak o świetlistych skrzydłach przeleciał na tle księżyca w pełni, a jego głowa zaślniła niczym rozjarzony punkcik świetlny. Ptakiem tym musiał być Ach – najśłodszy ptak nocy, stworzenie boskiej inteligencji używanej nam tak jak Ren albo Sekhem. Tak, Ach był światłością w naszym umyśle, dopóki żyliśmy, ale w chwili śmierci musiał powrócić do niebios. Bo Ach też był nieśmiertelny. Wobec trzepotu jego skrzydeł ogarnęło mnie poczucie – tak, tak – niewysłowionej czułości, której nie zaznałem nigdy jako człowiek i nigdy nie okazałem. W trzepocie krążącego nade mną Ach kryło się jakieś smutne rozpoznanie mojego ja. Wiedziałem już, że to Anioł, odmienny od Mocy i Imienia. Powrót mojego Ach do niebios wymagał wysiłku i pokonywania przeszkód. Przyglądając mu się ujrzałem, że jedno ze skrzydeł ma zranione. Oczywiście! Anioł nie mógł okazywać mi takiej troski, nie otrzymując wraz ze mną ciosów i nie lecząc ran. Kiedy sobie to uświadomiłem, Ach przypomniał sobie o innych obowiązkach i zaczął się wzbijać ku niebu machając zranionym skrzydłem, aż wzbił się ponad księżyc, który skrył się za chmurą. Znów byłem sam. Trzy spośród moich siedmiu światła z pewnością mnie opuściły. Imię, Moc i Anioł – te, które

są nieśmiertelne. Ale co się stało z innymi duszami i światłościami – Ba, Ka, Kaibit? Nie były jednak nieśmiertelne. Być może nie przeżyłyby niebezpieczeństw, na jakie są narażone w Krainie Umarłych, a więc mogła je czekać powtórna śmierć. Pospępne myśli opadły moje ciało, gdy zdałem sobie z tego sprawę i trwożnie oczekiwałem na pojawienie się Ba. Nie dał jednak żadnego znaku, że gotów się ukazać. Przypomniałem sobie jednak, że w Ba można widzieć kochankę własnego serca, która może nie zechcieć do nas przemówić, podobnie jak serce nie zawsze wybacza. Ba mógł już dawno ulecieć – istnieją serca zdradzieckie, niektóre nie są zdolne znosić cierpienia. Potem zastanawiałem się nad tym, jak długo przyjdzie mi czekać na spotkanie z moim Sobowtórem, ale zarazem przypomniałem sobie, iż Ka nie pojawia się z reguły wcześniej niż w siedemdziesiąt dni po zabalsamowaniu ciała. Na zakończenie wypadało przypomnieć sobie szósty z siedmiu cieni i światła. Był nim Kaibit. Kaibit był moim cieniem, niedoskonałym jak moja pamięć pełna zdradzieckich luk – bo taką pamięć właśnie miałem. Kaibit – moja pamięć! Policzyłem. Ren, Sekhem, Ach, Ba, Ka i Kaibit. Imię, Moc, Anioł, moje Serce, mój Sobowtór, mój Cień. Kto nosił numer siódmy? Omal nie zapomniałem o siódemce. Chodziło o Seku, biednego ducha, jedyne, który miał gościć w ciele owiniętym w zwoje lnu po odejściu innych. Nędzne resztki! Jako słabe odbicie siły niewiele się różnił od wysychających prędko kałuż na plaży po odpływie. Te nędzne resztki nie miały ani więcej, ani mniej pamięci niż gasnące promienie zachodzącego słońca – blasku samego południa.

Po tej myśli chyba omdlałem, gdyż wkroczyłem w krainę oddzieloną od światła i dźwięku. Być może wyruszyłem w daleką podróż, gdyż przestałem sobie zdawać sprawę z upływu czasu. Czekałem.

V

Ostry hak zagłębił się w moim nosie, zachrobotał o zatoki i zanurzył się w mózgu. Płaty, kęsy i całe kawały mięsa mego umysłu wydobyto ze mnie jednym lub drugim otworem nosowym.

Mimo bólu miałem wrażenie, że składałam się z niewielkich głązów i korzeni. Nie bardziej mnie bolało niż ziemię, kiedy wyrwa się chwasty, a te ukazują swoje rozcapierzone włosy odrywające się od grudek gleby. Ból jest obecny, ale przypomina cichy krzyk wyrwanej rośliny. Tak więc i zakrzywione haki prześlizgiwały się w głąb mojego nosa, wpełzały do głowy i grzebały po omacku po zagłębieniach, by pochwycić strzępy mózgu i wyciągnąć je na zewnątrz. Czułem się jak kamienny mur kuty u nasady przez kilofy i było mi dziwnie ciepło, jak gdyby przypiekało mnie słońce – a przecież był to tylko oddech pierwszego balsamującego, rozgrzany figami i winem. Jakże wyczulony byłem na wonie!

Pozostawała jednak zagadka. Jak to możliwe, żeby mój umysł pracował, choć rozrywano mój mózg na strzępy? Z całą pewnością przez suche tunele moich nozdrzy wygarniano płaty materii martwej jak wysuszona gąbka i zdawałem sobie sprawę z tego, że jedno z moich światła w Krainie Umarłych poruszyło się (rozbłysło na chwilę w mojej czaszce, gdy pierwszy hak zagłębił się w mózg). Kto się poruszył? Ba, Kaibit czy Ka? I który pomagał mi teraz myśleć? Zacząłem się dławić, gdy jakiś szczególnie żrący środek, jakaś odrażająca mikstura z wapna i popiołu została przez balsamujących mnie ludzi rozlana po mojej czaszce, by rozpuścić to, co mogło jeszcze przylegać do jej zakamarków.

Nie wiem, jak długo pracowali ani jak długo przetrzymywali ten płyn w naczyniu mej opróżnionej głowy. Wiele takich pytań cisnęło mi się na usta. Od czasu do czasu unosili moje stopy, zwieszali ciało głową do dołu, a potem kładli z powrotem. Raz nawet ułożyli mnie na brzuchu, by płyn się lepiej wsączył w ciało, i pozwolili, by żrąca ciecz wyżarła mi oczy. Gdy szczyły, można było zerwać oba kwiaty.

W nocy moje ciało ochładzało się, do południa ocieplało. Nic oczywiście nie widziałem, ale pozostał mi węch i rozpoznawałem balsamujących. Jeden skrapiał się perfumami, ale jego ciało zawsze wydzielalo gryzący i jednoznaczny zapach kota w marcu. Drugi był ciężki i wydzielal ostrą woń, ale nie była ona nieprzyjemna – to ten, od którego zalatywało figami i winem. Zalatywało także odeń polami i błotem, zazwyczaj był też po solidnym posiłku. Jadał mięso – pot jego pachniał ostro, lecz dosyć przyjemnie. Z sosów jego ciała biło jakąś lojalnością. Ponieważ wyczuwałem, kiedy się zbliżali, wiedziałem, że świta, i byłem w stanie zachować rachubę czasu. (Ich zapachy różniły się w zależności od temperatury powietrza w pomieszczeniu). Od południa do trzeciej w powietrzu unosiły się wszelkie aromaty i odory pobliskich rozgrzanych brzegów Nilu. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że muszę znajdować się w namiocie. Często łopotał mi nad głową naddarty skrawek płachty z żaglowego płótna, podmuchy powietrza zaś może rozwiewały i moje włosy. Było to wrażenie równie namacalne, jak stąpanie kopyta po trawie. Słuch zaczął mi powoli wracać, ale dość dziwnymi drogami. Słyszałem głosy obu balsamujących, ale nie pragnąłem zgłębić znaczenia słów. Nie przypominały wcale ryku zwierząt, bardziej już szum toczącej się fali przyprływu albo poświst wiatru. A mimo to umysł miałem niewiarygodnie jasny.

Wydaje mi się, że raz odwiedziła mnie Hatfertiti albo że przechadzała się w pobliżu, spacerując po rodzinnym ogrodzie, bo namiot prawdopodobnie ustawiono na terenie ich posiadłości, i że przystanęła, by zająrzeć do środka. Z pewnością poczułem zapach jej perfum. Z pewnością była to Hatfertiti: westchnęła raz jeden, jak gdyby ostatecznie zdając sobie sprawę z tego, że jej syn okazał się śmiertelny, i natychmiast odeszła.

Podczas pierwszych paru dni nacięli mi brzuch ostrym nożem z krzemienia – poczułem jego ostrość mimo niewielu zmysłów, jakie jeszcze pozostały przy moim ciele. Poczułem tak wyraźnie, że przeszło mnie uczucie, iż jestem skibą odwalaną przez pług, nie, jeszcze ostrzej, że jestem węzłem przecinanym na pół przez koło rydwanu. Potem zaczęły się szczegółowe przeszukiwania. Trudno je opisać, gdyż nic mnie nie bolało, ale w tych godzinach myślałem o zawartości mego tułowia jak o polance w środku lasu. Pojedyncze drzewa znikają jedno za drugim, ich korzenie szarpnięte ukryte w glebie skały, ich liście szemrzą. Śniłem o miastach dryfujących z biegiem Nilu niczym pływające wyspy. Ale kiedy skończyli robotę, poczułem się obszerniejszy, jak gdyby moje zmysły zamieszkały w większym pomieszczeniu. Czy chodziło o to, że serce i płuca umieszczono w jednej urnie kanopskiej, a żołądek i jelito cienkie w drugiej? Dość powiedzieć, że moje organy zostały rozrzucone, że unosiły się teraz w odmiennych płynach i zalewach, ale nadal istniały w pobliżu mnie, w tym samym pomieszczeniu. Z czasem miały przestać należeć do mnie. Owinięte i zamknięte w specjalnych urnach, w przyszłości miały swą wiedzę o mnie ofiarować własnym bogom.

Jakże smętnie rozmyślałem o tym, ile to bogowie dowiedzą się o mnie, gdy moje organy legną w ich urnach. Kebeh-senuf mieszka w mojej wątrobie i dowie się wszystkiego o dniach, w których soki tej wątroby krążyły ze zdwojoną siłą. Dowie się też o tych chwilach, kiedy wątroba, wraz ze mną, żyła we mgle długotrwałego lęku. Wątroba to prosty przykład, ale łatwiej mi było rozmyślać o niej niż o płucach. Te ostatnie, tak doskonale zaznajomione z moimi namiętnościami – czy pozostaną mi wierne, gdy się przeniosą do urny szakala Duamutefa i zamieszkają w krainie tego grabarza? Nie wiem. Tak długo, jak długo moje organy nie zostały zawinięte i dlatego w pewien sposób wciąż jeszcze do mnie należały, byłem jeszcze w stanie wyobrazić sobie, że po zabalsamowaniu i włożeniu w odpowiednie urny utracę je na zawsze. Choćby bowiem moje organy rozrzucono po wszystkich stołach tego namiotu, łączyła nas jeszcze więź rodzinna – naczynie tego samego pustego ciała spoczywało wygodnie w otoczeniu starych mięsistych wysepek żywota, płuc, wątroby, żołądka, cienkiego i grubego jelita. Wszystkie odczuwały więź z moimi wspomnieniami (choć dysponowały własnym i to wściekle tendencyjnym punktem widzenia – w końcu moje życie jawiło się krańcowo odmiennie takiej wątrobie z jednej, a sercu z drugiej strony). Ten namiot balsamujących nie był więc bynajmniej, czego się obawiałem, rzeźnią, krwawą jatką, a bardziej przypominał pełną ziół i przypraw kuchnię. Unoszące się w nim zapachy z pewnością skłaniały do śmiałych wzlotów wyobraźni, tak samo jak sklepy z przyprawami korzennymi. Wyobraźcie sobie tylko oszołomienie mego nosa w chwili, gdy pustą jamę mego ciała (o ileż bardziej pustą niż łono kobiety, która właśnie wydała dziecko na świat) obmywano, łagodzono, pobudzano, oczyszczano, posypywano pieprzem, nacierano ziołami i pozostawiano krystalicznie czystą, taką, by nie wydostawał się zeń zepsuty oddech jakiegokolwiek cielesnej dolegliwości. Wypalili krwawe wnętrza winem palmowym, pozwolili wspomnieniom mego ciała fermentować. Wtarli we mnie przyprawę, w tym pieprz, a także rzadki okaz szalwii z wapiennych gleb Zachodu. Potem przyszły liście tymianku i miód pszczoł, które żywiły się tymiankiem. W żebra wtarło olejki pomarańczowe, w krzyże zaś olejki cytrynowe, uwalniające mnie od uporczywej woni trzewi. Wiórki cedrowe, esencję jaśminową i delikatne gałązki mirry utarto razem – słyszałem krzyki roślin, które ścierano w proch, wyraźniej niż ludzkie głosy. Nawet mirra przeszła powietrze ostrym krzykiem. Jakże

silny zapach wydzielająca mirra wcierana w otwartą skorupę mojego ciała – można go było porównać do głosu faraona w krainie korzennych przypraw. Potem przyszyły listki cynamonowe, pień i kora cynamonu – by złagodzić działanie mirry. Wlewano i wrzucano we mnie te oszałamiające wonie niczym rzadkie przyprawy dodawane ostrożnie do farszu, którym nadziewano pieczone gołąbki. Od tego zgiełku zapachów kręciło mi się w głowie. Kiedy skończyli, zaszyli długie nacięcie w moim boku. Uczułem, że zmierzam ponad padoły uniesień i namiętności, a jakaś cząsteczka mojej pamięci, oszołomiona zapachem tych ziemskich ziół, oddaje się marzeniom. Najstarsi spośród moich przyjaciół odmłodzieli, a dzieci moich kochanek postarzały się. Byłem niczym królewska barka nagle naprawdę uniesiona wysoko w powietrze dzięki magicznym zaklęciom niezwykłego wezyra.

Czysty, wypchany i zaszyty złożony zostałem w kąpieli z sody – natrytu – tej samej, która wysusza mięso na kamień – i oto leżałem w niej przygnieciony ciężarkami, bym nie wypłynął. Stopniowo, w ciągu bezkresnych dni, które nadeszły, wody mego ciała uległy chciwemu pragnieniu soli (piła je niczym karawany rzucające się do studni w oazie), a wraz z jej nienasyconym pragnieniem rozpuszczenia mojego mięsa wszelka wilgoć opuściła moje członki. Wykąpany w natrycie stałem się twardy niczym drewno kadłuba statku, potem niczym skały w głębi ziemi, a następnie poczułem, że resztki mojego ja odlatują, by się połączyć z moim Ka, Ba i przerażającym Kaibitem. A skorupa mojego ciała obróciła się w gład sprzed dziesięciu tysięcy lat. Nie pozostało już nic, co mógłbym wyczuć powonieniem (przecież głązy węchu nie mają), a jednak moje stwardniałe ciało zaczęło przypominać jedną z tych spiralnych konch wyrzucanych na plażę, które na zawsze zachowują szum morskich fal, słyszalny, kiedy się je przytyka do ucha. Stałem się podobny owemu szumowi, gdyż niewiele brakowało, a usłyszałbym dawne głosy mknące nad piaskami – nie mogłem już czuć, ale z pewnością całkiem dobrze słyszałem – i jak delfin, o którym powiadają, że jego uszy wyławiają odbicie echa z drugiego brzegu morza, zanurzyłem się w kąpieli z sody, moje ciało zaś oddalało się coraz bardziej ode mnie. Niczym kamień obmyty mgłą, spieczony słońcem i nasączony smakiem wody u brzegów, wchodziłem do krainy pozbawionych czucia, gdzie przeznaczeniem i talentem nas wszystkich było wysłuchiwanie opowieści szeptanej przez wiatr każdemu kamieniowi.

Ale nawet unosząc się w dalekie podróże u boku Meniego (jego trumna z laki zwilgotniała od mego oddechu – tak blisko się trzymałem), musiałem się we śnie poruszyć albo przemieścić w trakcie moich sennych wędrówek, gdyż dwie chmurki pary zdawały się stykać ze sobą. Może zetknięcie się tych dwóch chmurki wyrwało mnie ze snu? Poczułem, jak moje ciało spada, oddech po oddechu, do trumny. Tak jest, zanurza się w trumnie, jak gdyby ta twarda trumna była miękką i gościnną ziemią. Tak, tak, przyrośłem do trumny przeznaczonej dla mumii, a moja pamięć zjednoczyła się z Menim. Raz jeszcze poczułem zabiegi balsamujących i przeżyłem godziny zmywania soli z mego stwardniałego ciała. Obmywali mnie płynem z wazy, w której rozpuszczono co najmniej dziesięć rodzajów perfum. „O słodko pachnąca duszo Wielkiego Boga – zaintonowali. – Tak słodka jest Twoja woń, że Twarz Twa nigdy się nie zmieni ani nie szczeźnie”. Słów nie rozumiałem, ale słyszałem już kiedyś tę melodię i pojąłem, o czym śpiewają. Nie musiałem wachać maści, którą smarowali moje stopy i wcierali w moją skórę, nie musiałem wdychać zapachu świętej oliwy, w której skapali moje plecy, ani barwników, którymi złócili mi paznokcie u rąk i stóp. Głowę owinęli mi specjalnymi bandażami: na brwiach ułożono bandaż z materiału Nechet z el-Kab, na twarzy – Hathora, na uszach – Tota. Potem wsunęli mi zwój bandaża do ust, przymocowali brodę do szyi, a po obu stronach twarzy owinęli dwadzieścia dwa bandaże. Pomodlili się, bym w Krainie Umarłych mógł widzieć i słyszeć. Łydki i uda natarli oliwą i świętymi olejami. Palce u nóg owinęli mi kawałkami płótna, a na każdym narysowany był szakał. Dłonie zawinęli w inny rodzaj

plótna z obrazami Izys, Hepa, Ra i Amseta. Polali mnie żywicą z drzewa hebanowego zmieszaną ze startą na proszek kością słoniową. Okręcając mnie zwojami plótna, wkładali w nie amulety, figurki z turkusu i złota, srebra i lapis-lazuli, kryształu i karneolu. Na jeden z połączonych palców wsunęli mi pierścień, którego zalakowane oczko zawierało po jednej kropelce każdej spośród trzydziestu sześciu substancji balsamujących. Potem położyli kwiaty rośliny ankam, płachty i zwoje cienkiego plótna, które dłuższe były niż królewska barka, oraz zwinęli kawałki plótna, by wypełnić jamy mego ciała. W towarzystwie Meniego wdychałem balsamującą żywicę, która przyklejała plótno do moich skamieniałych członków. Słyszałem szmer modłów i słodki oddech artystów, którzy malowali mój sarkofag, podśpiewując sobie w dusznym namiocie pod wędrującym słońcem. Pewnego dnia dotarli do mnie wreszcie odgłosy bruku huczącego pod narami, kiedy mój sarkofag wleczono do grobowca, w którym miano mnie złożyć w kolejne trumny. Słyszałem delikatny szloch kobiet, łagodny niczym dalekie krzyki mew, oraz zawodzenie kapłana „Bóg Horus nadchodzi ze swym Ka”. Trumna zadudniła na schodach grobowca. Minęły godziny – czy na pewno godziny? – uroczystości, której ani nie słyszałem, ani nie czułem, ale doszły do mnie nikłe odgłosy skrobienia o naczynia z żywnością i brzęk drobnych instrumentów, a także plusk płynów wylewanych na podłogę. Wszystko to rozbrzmiewało w moim kamiennym ja niczym podziemna rzeka z ukrytym w pieczarach wodospadem. Potem poczułem się tak, jak gdyby uderzono mnie w głowę kamieniem i bręczano nad nią łańcuchami – okazało się jednak, że to tylko jakiś przedmiot skrobie mnie po twarzy. Poczułem, jak z wielką siłą rozwarło mi skamieniałe szczęki, a do mych ust wpłynęła powódź słów. Usłyszałem ryk wód mego poczęcia, łkanie złamanego serca. Mojego? Nie wiem. Rzeki powietrza obmyły mnie niczym nowe życie – a ponadto pamięć podsunęła zapomnianą pierwszą chwilę śmierci, która równie szybko mi umknęła. Zrodził się mój Ka, to znaczy ja sam urodziłem się ponownie, ale czy był to dzień, czy rok rocznicy śmierci dziesięciu Królów? Ale już ożyłem i byłem sobą oddzielnie od Meniego i jego biednego ciała w trumnie.

Tak, istniałem oddzielnie i miałem świadomość tego, lecz bliski byłem płaczu. Pojąłem bowiem, dlaczego Meni był moim najbliższym przyjacielem, a jego śmierć strasznym ciosem. Oto moja pamięć o jego życiu stanowiła teraz wątłe echo mego własnego żywota. Wiedziałem już bowiem, kim jestem, a było to uczucie równie straszne jak poczucie, że jest się duchem w panice poszukującym pożywienia. Byłem niewątpliwie biednym Ka Menenheteta II. A jeżeli pierwszym darem dla zmarłych było pozwolenie dodawania imienia Pana do własnego, to byłem Ka biednego, bezbronnego Ozyrysa Menenheteta II. Tak jest, Ka, nader niewłaściwie pogrzebanego i przerażającego Ka, któremu przyszło obecnie zamieszkiwać w tym sprofanowanym grobie. Och, gdzie się podziewałem w tej chwili, w której dowiedziałem się, gdzie się podziewam? A myśl o Krainie Umarłych otworzyła się dla mnie wraz ze świadomością, iż stanowiłem ledwie siódmą część tego, co ongi stanowiło światła, władze i moce żywej duszy, mojej ongi żywej duszy. Teraz nie byłem niczym więcej niż Sobowtórem umarłego, a po nim nie pozostało nic poza kiepsko owiniętymi zwłokami i mną.

VI

Pojąłem zatem, dlaczego pozbawiony jestem pamięci. Jeżeli byłem Sobowtórem Menenheteta II, równie dzielnym i małostkowym co pierwowzór, to wiedziałem o nim niewiele – tylko tyle, by nadać rysom odpowiedni wyraz. Sobowtór, podobnie jak zwierciadło, nie ma pamięci. Potrafiłem o nim myśleć wyłącznie jako o przyjacielu, najbliższym przyjacielu! Nic dziwnego, że pragnąłem spocząć obok jego mumii.

Mimo że wspomnienia bolały mnie nie więcej niż dawno zablizniona rana, byłem jednak sobą. Moja twarz wciąż jeszcze cieszyła oczy innych ludzi. Czy posiadałem kiedyś Hatfertiti? Skąd mam wiedzieć? Nie czułem jednak zażenowania rozmyślając tak o własnej matce – zwierciadło nie ma wszak matki. Przecież mogłem być najchłodniejszym zakątkiem serca Meniego. Stojąc pośród szczątków jego – mojego zbezczeszczonego grobowca czułem jednak, że przeciw wagą dla tych beznamiętnych rozważań była dzika wściekłość, jaką czułem na myśl o Hatfertiti. Gdyby się pojawiła, byłbym ją zabił. Już niedługo, niedługo będę musiał opuścić to miejsce i jeśli mi starczy odwagi, ruszyć drogą przez Zachodnią Pustynię ku Dat, ku Krainie Umarłych. Czy ona naprawdę istnieje, jak twierdzą kapłani, i czy pełno w niej potworów i wrzących jezior? Skąd czerpać siły, by przebrnąć przez wszystkie próby, skoro ani nie pamiętam własnych czynów, ani nie potrafię ich wyjaśnić? Po raz pierwszy opadł mnie lęk przed śmiercią, prawdziwa trwoga – zrozumiałem, że mogę przestać istnieć. Umrzeć w Krainie Umarłych, zniknąć wraz z własnym Ka – znaczyło umrzeć na zawsze. Druga śmierć była ostateczna. Jakże opłakane było moje położenie. Jakże niesprawiedliwe. Hatfertiti nie wysiliła się zbytnio, przygotowując mój grobowiec.

Dusiłem się z wściekłości. Gniew był uczuciem zbyt silnym i rozrywał delikatne płuca Ka. Powiadano o Ka, że często nie starczało mu tchu. Właśnie dlatego na ścianach grobowca należało namalować żagiel – pomagało to Ka złapać oddech. Ale na tych ścianach nikt nie namalował żagla. Dławiąc się z wściekłości, potrafiłem jednak przywołać wizję żagielka i udało mi się wciągnąć w płuca leciutki powiew, który poruszył włoskami w moich nozdrzach. Na pewno nie umarłem, skoro włoski te były w stanie zarejestrować słabiutki podmuch. Ale zaczerpnąwszy tchu, tym boleśniej poczułem lęk przed powtórnią śmiercią.

Niedbałość Hatfertiti będzie mnie drogo kosztować. Gdzie się podział portret wyobrażający mnie stojącego nad wodą? Co miałem pić? Poczułem suchość w gardle, przecucie tego, co mnie czeka, palące jak wrzątek.

Zapomniano też wymalować na mojej trumnie czworo drzwi wiatrów. To jasne, że nie mogłem swobodnie oddychać, skoro tak dalece obrażono wiatry! Wyrodna matka! Zapomniała też o pudełku z moją pepowiną. Tak oto straciłem kolejną ścieżkę, którą mogłem podążać ku Krainie Umarłych.

Przeoczeń było więcej. Przeglądając zwoje papyrusu, które włożono ze mną do trumny, zauważyłem brak ważnych modlitw. Zdumiało mnie, że tak wiele z nich jeszcze pamiętałem: rozdział o nieumieraniu po raz drugi, rozdział o tym, jak nie dopuścić do zamknięcia duszy człowieka wraz z jego ciałem, rozdział o zapobieganiu rozkładowi w grobowcu. Zacząłem odczuwać gniew tak potężny, że wściekłość mi przeszła. Odczułem przemożne pragnienie przywołania Hatfertiti.

Przykłęknąłem, jak gdyby szukając wskazówek. Pod strzępami płótna odkryłem martwego żuka, tak jest, skarabeusza. Żuki te posługują się tylnymi odnóżami, by wepchnąć dużo większą od siebie kulkę z gnoju do bezpiecznej dziurki w ziemi, gdzie składają jaja i gdzie posłuży ona jako pożywienie dla ich larw. Kapłani powiadali, że Kepera, o wyglądzie wielkiego skarabeusza, przenosi codziennie łódź Re przez niebo, wiosłując sześcioma odnóżami po niebiosach. Tak to potocznie ujmowano na użytek dzieci i wieśniaków. Mnie takie opowiadki nie były potrzebne. Wierzyłem, że jeśli Wielki Bóg zechce się ukryć w żuku, to po prostu dlatego, że bogowie lubią dziwaczne ukrycia. Tak brzmi pierwsze prawo wielkich tajemnic. Dlatego powoli, ostrożnie zjadłem skrzydełka martwego żuka, starając się nie ranić podniebienia. Wysuszona chityna kaleczyła mnie niczym małe ostre nożyki, a główka, którą żulem delikatnie, okazała się małą wysuszoną kulką. Przyznaję jednak, że przełykając ją starałem się wyobrazić sobie głowę Hatfertiti. Nie intonując żadnych modłów, ale odczuwając odrazę wobec nikczemnego zachowania mej matki, powiedziałem:

– Wielki Kepero niebios, niechaj się stanie sprawiedliwość. Ześlij przede mnie żywą Hatfertiti.
– Przez zaciśnięte powieki poczułem nagłą jasność, a poprzez stopy odczułem stłumiony pomruk grzmotu. Kiedy jednak uniosłem głowę, nie zobaczyłem Hatfertiti. Zamiast niej ujrzałem wymizerowane ciało Ka starego Menenheteta I. Nie powiem, żeby mi się podobało spojrzenie, którym mnie obrzucił pradziadek.

VII

Ubrany był w szaty arcykapłana i z tego, co wiedziałem, był nim w istocie. Miał wygoloną głowę i sprawiał wrażenie, że co ranka roztaczał aurę powagi, jak gdyby codziennie uświęcano jego ciało. Nie przypominał jednak żadnego arcykapłana, jakiego kiedykolwiek widziałem. Był zbyt brudny i za stary. Białe, lniane szaty zszarzały, a kurz wielu lat wżarł się w materiał. Miał też spopieliałą skórę, ciemniejszą nawet niż szata, ale pokrytą tym samym kurzem, palce u nóg zaś przypominały kamienną rzeźbę. Bransolety pokryły się zielonkawą patyną. Rdza poczerniała obręcze na kostkach jego nóg. Tylko oczy świeciły jasnym blaskiem. Źrenice były pozbawione wyrazu, jak u namalowanego węża albo ryby, ale białka przypominały wapienną skałę w księżycowej poświacie. W świetle mej pochodni tylko dzięki białkom jego oczu zorientowałem się, że nie mam do czynienia z posągiem, gdyż siedział nieruchomo na krześle obok trumny i można mu było dać ze sto lat, z tysiąc, albo i więcej, gdyby nie dzika światłość jego oczu.

Poczułem przygnębienie, którego zaznałem spoglądając uprzednio na jego trumnę. Był tak stary! Trudno było opisać rysy jego twarzy, gdyż nie wiadomo, gdzie nos stykał się z policzkami. Fałdy skóry przeorane były głębokimi zmarszczkami. Wydawało się, że już prawie nie istnieje. Czułem się jednak nieswojo w jego obecności i zapragnąłem się go pozbyć. Szybko. Jak gdyby był jakimś natrętnym owadem. Uczyniłem więc krok ku zakorkowanej urnie stojącej przy trumnie i ozdobionej podobizną Duamutefa – po czym odkręciłem korek. Wyszedł bez oporu. Była pusta. W naczyniu szakała nie było zawiniątek z sercem i płucami. Sprawdziłem urnę Imseta. Też pusta.

– Zjadłem je – powiedział Menenhetet I.

Rozrzedzonego powietrza w jego krtani nie ogrzewał chyba żaden promień słońca od chwili, kiedy umarł. W jego głosie słyszało się echo zimnej groty.

Właśnie miałem zapytać, dlaczego pradziadek zjadł własne błogosławione organy, ale impertynencja tego pytania sprawiła, że zamarło mi na ustach. Z czymś takim nigdy się nie zetknąłem. Czułem się tak, jak gdyby czyjaś ręka brutalnie pochwyciła mnie za gardło i dusząc wyłuskała z ust cały język, od nasady do czubka.

Wtedy właśnie ogarnął mnie lęk tak wyrazisty, jak najjaśniejszy stan umysłu. Nie żyłem, przeto raz jeszcze pojąłem (znów mając wrażenie, że pojmuję po raz pierwszy), że jako umarły muszę się liczyć ze wszystkimi potwornościami i lękami, przed którymi udało mi się umknąć za życia. Czyżby mój pradziadek Menenhetet miał się okazać pierwszą z tych przerażających okropności, które na mnie czyhały? Pamiętałem bowiem doskonale, że często była o nim mowa w rodzinnym gronie i że za każdym razem podkreślano jego niewysłowioną moc i mroczne postęпки.

Kiedy tak patrzyłem nań, przemówił.

– Co czujesz? – spytał.

– Co czuję?

– Skoro się już spotkaliśmy.

– Mam nadzieję – odparłem – że się lepiej poznamy.

– Nareszcie.

W płucach czułem to samo orzeźwiające powietrze, którym oddychałem w grobowcu Chufu. Moje najlepsze ja musiało do mnie powrócić, gdyż czułem osobliwe podniecenie, wręcz pewność,

że oto spotykam wroga. Czy był to mój śmiertelny wróg – wróg napotkany po śmierci? Nie mówmy jednak o śmierci. Nie miała dla mnie znaczenia. Nigdy nie czułem się tak żywotny. Miałem wrażenie, jak gdybym pewnego dnia postanowił skończyć ze sobą i podszedł na skraj przepaści, zerknął w dół ku rozpadlinie i nabrał pewności, iż starczy jeden krok, bym runął i zginął na miejscu. W takiej chwili lęk mógł mnie przesywać do szpiku kości, ale przyszłość jawiła mi się tak żywo jak błyskawica. Takiego właśnie uczucia doznałem w owej chwili. Byłem szczęśliwy obok własnego lęku, ale poza nim. Nareszcie dane mi było dostrzec, czego w życiu nie dokonałem, ile musiałem przełknąć nudy, ile daremnych i niskich popędów targało moim ciałem. Czułem się tak, jak gdybym przeżył me dni obłożony klątwą, a jej znak – mimo hałaśliwego zgiełku hazardu i rozpusty – pogrążał moje serce w niczym nie zmaconej monotonii. Poczucie, że byłem matwy za życia, musiało jednak mieć korzenie w jakiejś klątwie. Poczulem wówczas przemożne pragnienie, by umrzeć, gdyż śmierć jawiła mi się jako jedyny sposób poznania własnego demona. Nic dziwnego, że stałem przed nim trwożnie, a trwoga ożywiła mnie niczym lodowata woda z głębokiej studni. Ileż to bowiem razy spędzałem urocze wieczory w pięknych ogrodach, opowiadając zabawne historyjki o niecnym postępkach pierwszego właściciela mojego imienia? Ileż to się naśmiałyśmy, słysząc o jego wyrachowaniu, przebiegłości, o bluźnierczych ucztach, na których zjadał łajno nietoperzy!

Jak gdyby czytając w moich myślach, powstał wreszcie i okazało się, że nie jest ani tak wysoki, ani taki drobny, jak mi się wydawało, choć był przyprószony pyłem niczym rzadko uczęszczane pustynne szlaki.

– Te historyjki – wymamrotał – okryły mnie niesławą.

Uchwyciwszy w jego głosie nutkę pewności siebie, zacząłem się zastanawiać, czy na pewno góruję nad nim moralnie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że powiedzie mnie ku ostatecznej zagładzie, ale przemknęło mi przez myśl, że może mu przyświecać także jakiś wyższy cel. Osobliwie zacadziały świadomością śmierci, poczułem się nagle jak bohater, choć nie potrafiłem sobie przypomnieć własnego bohaterstwa. Niemniej pewien byłem, że moje zamiary (o ile uda mi się je odsłonić) okażą się szlachetne. Teraz zachwiałem się w tej pewności.

– Czy uważasz, że jestem przystojny? – spytał. – Czy nie jestem brzydki?

– Nie jesteś za stary i na jedno, i na drugie?

– To jedyna trafna odpowiedź. – Roześmiał się. Żartobliwie pogroził mi palcem. – No dobrze, umarłeś – powiedział. – I grozi ci śmierć po raz wtóry. A wówczas znikniesz na zawsze. Żegnaj, słodki chłopcze. Uroda twego serca nie dorównywała urodzie twej twarzy. – Zachichotał nagle niezwykle sprośnym starczym chichotem. – Nie cieszysz się, że masz mnie za przewodnika po Kert-Neter? – spytał.

– Czy mam jakiś wybór?

– Pępowina gotowa. U artysty cieszącego się największą sławą pośród moich przyjaciół już zamówiłam portret Meniego, stojącego w wodzie. Artysta namaluje też żagle, by delikatne płuca mego syna mogły odetchnąć leciutką wieczorną bryzą. – W głosie jego rozbrzmiewały te same tony samozadowolenia, które słyszałem w głosie Hatfertiti, z lubością wsłuchującej się w dźwięk własnych słów. – Naturalnie, byłam tak zajęta, że nie byłam w stanie przypilnować, by wszystko przygotowano na czas. Słyszałam, że grobowiec splugawiono, obrabowano i obsrano. Biedny Meni. Zastanawiam się, jak mu leci ze Starym Gównem?

Roześmiałem się. Rzadko miałem okazję usłyszeć równie dobre naśladownictwo. Zdarzało mi się szydzić z bogów i cudzołożyć z kapłanami, ale nigdy nie okazywałem aż takiej swobody. Zacząłem dostrzegać dobre strony mego położenia: nie żyłem, a zarazem żyłem intensywniej niż

dotąd – upojne uczucie, podobne do tego, jakie dodaje nam skrzydeł w ciągu tych nocy, kiedy to gotowi jesteśmy na wszystko.

– Opowiedz mi o Kert-Neter – powiedziałem wesołym głosem, jak gdybym prosił o następny kielich.

Zniszczona, stara, pomarszczona twarz, przypominająca skorupę żółwia, który przeszedł przez ogień, rozjaśniła się, ukazując słabość arcykapłana do ceremonii.

– Wzmocnij mój oddech – powiedział głębokim głosem.

Po tych słowach zmienił się. Pył, którym był pokryty, zajaśniał niczym srebro, prawe ramię wznosił zaś ku niebu. Oczy miał nadal zamysłone i wbite w ziemię. Zaraz jednak mrugnął do mnie. Oniemiałem. Zdaje się, że kierowanie moich myśli w różne strony sprawiało mu przyjemność.

– Musimy – powiedział – przygotować cię. Przecież zapomniałeś wszystko, co wiedziałeś. Tak to bywa z Ka. Niewiele pamięta o naszych najświętszych obyczajach.

Te nagłe zwroty nie pozwalały mi dojść do siebie. Znow przemówił uroczyście.

– O Panie Ozyrysie – zaczął i dotknął palcami wskazującymi kciuków, tworząc jak gdyby dwoje oczu – przeszedłem przez rzeki ognia i gejzery wrzącej wody. Wkroczyłem w mroczną noc Krainy Umarłych i przeszedłem przez siedem dziedzińców i budowli Sehet Jar. Poznałem imiona bogów przed wejściem do każdego gmachu. Wysłuchaj, o Panie, próśb tego pięknego młodzieńca, którego Ka będzie mi towarzyszyć! Jakże ma zyskać cierpliwość, by się mógł nauczyć imion trzech strażników przed wejściem do każdego gmachu, skoro pamięć mu nie dopisuje? Bądź świadom niebezpieczeństw! Przed czwartym gmachem odźwiernym jest Tut, a herold, wpuszczający tych, którzy umarli w nocy, otwiera bramę tylko na imię Neheb-Kau. A to tylko dwa spośród dwudziestu jeden imion, które musi zapamiętać Ka tego chłopca, jeżeli zechce przekroczyć wrota Sehet Jaru.

– Mój pradziadek... – urwał, jak gdyby rozmyślając nad tymi imionami. – Tak – powiedział donośnym głosem. – Ja, który jestem Ozyrysem Menenhetetem I, przetrzymałem twoje próby Ozyrysie, wysłuchaj więc mej modlitwy i oszczędź Ka tego młodzieńca, by nie strawiły go ognie twego gniewu. Jest to bowiem nie kto inny, a sam wspaniały Ozyrys Menenhetet II, mój prawnuk, syn mej wnuczki, pani Hatfertiti, która była mi za życia konkubina i dotrzymywała mi cieleśnie towarzystwa w latach śmierci. Oby skorpiony chroniły mnie i pomagały mi nadal w moich wędrówkach.

Moje zaskoczenie było pełne. Modlitwa była szczerą, ale odmienną od wszystkich, które znałem. Uwagi, jakie wypowiedział o mojej matce, wywołały zamęt w mej głowie.

Mógłbym ci powiedzieć więcej – rzekł. – Znam modlitwy służące odpędzaniu węży i przeszywaniu włócznią krokodyli. Mogę ci dać skrzydła jastrzębia, byś przeleciał nad naszymi wrogami. Mogę ci wskazać sposób na wypicie piwa w ciele Boga Ptaha. Mogę ci odsłonić wejście na Pole Trzciny i pokazać, jak się wymknąć z zastawionych sidła. Tak, uczynię to, jeśli będę twoim przewodnikiem.

W głowie mi się kręciło, odczuwałem senność. Bardzo stary głos wydobywał się jakby spod ziemi, wymieniając jakże wiele imion. Mógłbym wyśmiać te wszystkie imiona, ale spotkanie z takim rozmówcą i to w dodatku tak niespodziewane osłabiło mnie niepomiernie. Zdałem sobie sprawę z tego, że siły mego Ka były równie krótkotrwałe jak pewność dziecka, że potrafi utrzymać się na nogach, stawiając pierwsze kroki. Chciałem paść u jego stóp.

Nigdy też nie był równie odrażający. Opowieściami o tej nocy mógłbym zabawiać najbardziej wybredne towarzystwo w najświetniejszych ogrodach nad Nilem, gdyby udało mi się ją przeżyć. Był żałośnie śmieszny, ot, pokryty pyłem starzec o zimnym, głębokim głosie, samotny jak palec, a zarazem potwornie pewny siebie – wyobraźcie sobie absurdalność jego przemowy podkreślaną głośnym pierdnięciem po każdym boskim imieniu. Cóż to za kakofonia kłaśnieć, pisków,

westchnień, okrzyków, beknięć, tryumfalnych pierdnięć – a wszystkie, sądząc po wyrazie jego twarzy – były smakowicie bluźniercze. Jak przystało na arystokratę, ledwo poruszał przegubem, witając każdego z wymienionych przez siebie bogów, potworów albo olbrzymów. Zdawało się, że wszystkich zaznał cielesnie i mógł puszczać na powitanie salwy ze swego starczego odwłoka. W grobowcu zaśmierdziało. Unosił się tam zaduch zbezczeszczonych mumii, a obecnie doszły jeszcze burzliwe wypowiedzi, tchnący siarką oddech i wiatry jego ciała.

– Czy znasz choćby cząstkę mego prawdziwego życia? – spytał.

– Torturowałeś więźniów, wielbiłeś najohydniejszych bogów i objadałeś się tym, czego nikt nie mógł przełknąć – odpowiedziałem.

– Modliłem się do bogów, których władza jest tak przerażająca, że inni bali się mówić głośno o ich czynach. Jadałem wiele rzeczy zakazanych. W nich spoczywają tajemnice wszechświata. Nie sądzisz chyba jednak, że zostałem namiestnikiem Pana Naszego Ozyrysa z powodu takich drobiazgów?

– Nie jestem wcale pewien – odrzekłem – czy jesteś namiestnikiem Ozyrysa. W twej wiedzy nie ma niczego niezwykłego. – Ale uwaga była zbyt śmiała. Trząśłem się, gdy ją wypowiadałem.

Uśmiechnął się, jak gdyby rozmowa nareszcie zeszła na jego grunt. – Skąd wiesz, że nie ma? – zapytał. – Nie znasz dziejów Ozyrysa. Nie pamiętasz nawet, czego uczyli cię kapłani.

Pokiwałem smętnie głową. Pamiętałem co prawda opowieści o Izydzie i Ozyrysie oraz innych bogach, od których wszyscy pochodzimy, gdyż opowiadano mi je w dzieciństwie. Czułem jednak, że głębia tych opowieści przepadła i była mi równie odległa, co zwoje z moimi organami w zamkniętych szczelnie kanopach. Westchnąłem i poczułem, że jestem pusty jak jaskinia. Nie wiem, dlaczego tak się czułem, ale zarazem byłem całkowicie pewien, że nie ma rzeczy ważniejszej niż dokładna znajomość tych bogów, jak gdyby to oni właśnie byli w stanie wypełnić pustkę mego szpiku i przeprowadzić mnie bezpiecznie przez pułapki, które jeszcze na mnie czyhały w Krainie Umarłych. Przypomniałem sobie bowiem jeszcze jedno stare powiedzenie: śmierć jest bardziej podstępna niż życie!

Kiedy jednak Menenhetet ironicznie pokiwał mi głową, jak gdyby rozpoznał tę moją potrzebę, poczułem się zmuszony wypowiedzieć wyrazy jak najbardziej zdecydowanej krytyki.

– Nie wierzę, że jesteś wysłannikiem Ozyrysa – powiedziałem zbierając resztki dumy. – Cuchniesz tak koszmarnie, że Bóg odwróciłby nozdrza.

Menenhetet uśmiechnął się smutno.

– Dano mi moc rozsiewania wszystkich woni, jakich tylko można zapragnąć.

I w ciszy, która zapadła, zapachniał czysto niczym perfumy i słodko jak trawa. Zwiesiłem głowę. Ozyrys, najpiękniejszy z bogów, musi się o mnie troszczyć, jeżeli Menenhetet I jest jego wysłannikiem. Myśl ta pochlebiała niewymownie mojej próżności.

Spytałem więc pradziadka, czy nie zechciałby mi opowiedzieć o dziejach Ozyrysa i wszystkich bogów, którzy żyli u zarania dziejów naszego kraju, a chcąc udowodnić, iż pragnę tego szczerze, podszedłem i usiadłem obok niego. Uśmiechnął się, ale w żaden sposób nie okazał, że pochwała moje zachowanie. Sięgnął do fałd długiej, zakurzonej szaty i powymnował, jednego za drugim, siedem skorpionów, każdego z nich ujmując wprawnie delikatną dłonią. Położył po jednym na każdej powiece, skrzydełkach nosa, uszach, a ostatniego umieścił na dolnej wardze – siedem skorpionów na siedmiu otworach głowy. Potem raz jeszcze skinął głową, poważny i milczący jak głąz.

– Na początku – rzekł – nim zaistniała nasza ziemia i nim się narodzili bogowie, nim powstała Kręta Rzeka i Kraina Umarłych, gdy nie było jeszcze widać nieba, Amon (ukryty) już się unosił w

swej niewidzialnej chwale. – Tu Menenhetet uniósł dłoń, jak gdyby przypominając mi o uroczystym geście arcykapłana w świątyni, który pamiętałem z dzieciństwa.

– Tak, to dzięki Amonowi znamy nasze początki. Wszedł z ukrycia, by się ukazać pod postacią Temu i to Temu wydał pierwszy dźwięk. Było to wołanie o światło.

– Przypomniałem sobie uroczyste obrzędy kapłanów, jakich uczono mnie w dzieciństwie, i poczułem, że odjęto mi władzę w członkach. – Okrzyk Temu – ciągnął Menenhetet – drżał poprzez ciało jego żony, którą była Nu, a ta stała się naszymi Niebiańskimi Wodami. Temu przemówił tak wielkim głosem, że wezbrała w niej pierwsza fala, Niebiańskie Wody zaś dały nam światło. Tak oto narodził się Re, z tej pierwszej fali wód. Z bezmiernego spokoju Niebiańskich Wód narodziła się ognista fala Re, a Re wzbił się ku niebiosom i stał się słońcem, podczas gdy Temu ponownie pogrzyżył się w ciele swej żony i znów stał się Amonem. – Menenhetet odetchnął.

– Takie były początki – rzekł.

Odczuwałem ten sam nabożny szacunek, którego doświadczałem, gdy kapłani mówili o pierwszym dźwięku i o pierwszym świetle.

– Wysłucham cię – powiedziałem.

Kiedy tylko wypowiedziałem te słowa, zdjął skorpiony, włożył je między fałdy swej szaty, skąd je uprzednio wydobyl, i zaczął mówić innym tonem, jak gdyby doniosłość tego, co zostało powiedziane w Krainie Umarłych zaledwie w siódmej części, mogła do nas dotrzeć w najpoważniejszych nawet chwilach naszego życia. Po chwili, bez ostrzeżenia, zaczął z bogów szydzić, bluźnić, tak jak gdyby byli jego braćmi w ogromnej i okrytej niesławą rodzinie. Talenty, jakie przejawiał w bluźnierstwie, były mi dobrze znane, ale trudno mi było uwierzyć, że dzieje Ozyrysa mogą być aż tak sprośne.

Nie wiedziałem też, że ich opowiadanie potrwa tak długo.

I że gdy skończy, będę te dzieje znał bardzo dokładnie.

II

Księga bogów

I

Niczym starzec, którego gardło wypełnia flegma, Menenhetet zakrztusił się, gdy oczekujące nas sprośne historyjki stanęły mu jak żywe przed oczyma. – Postaw przed Re boską damę – powiedział – lub oślizgłą starą jędzę, wszystko mu jedno. Każda mu się podobała. Miał tylko trudności ze znalezieniem żony, której chłód przetrwa jego żar. Tak więc zadowolili się boginią niebios. – Raz jeszcze Menenhetet zakrztusił się od śmiechu.

– Re potrafił zmieniać kształt swego chuja tak, by przypominał jedno z czterdziestu dwóch zwierząt: barana, wołu, hipopotama, lwa, resztę sam sobie dopowiedz. Ale raz popełnił błąd, gdyż powiedział Nut, że nie lubi kochać się z krową. Postanowiła zatem przybrać postać krowy. W małżeństwach zwykle tak bywa. – Pokiwał głową. – Kiedy tylko mogła, pędziła tarzać się z Gebem w błocie. Ładne mi tarzanie się! Zemsta wtedy jest dla kobiet najśodsza, gdy szczególnie rani męża. Re wpadł w taką wściekłość, że przez następnych pięć nocy zmajstrował jej pięcioro dzieci. Re i Geb tak ją obracali, że ziemia parowała, a mgły przesłoniły niebios.

Menenhetet urwał. Posmutniał, jak gdyby sprawy, o których miał mówić, nie należały do przyjemnych. – Co się tyczy – rzekł – ojcostwa Re w odniesieniu do owych pięciorga dzieci (co natychmiast rozgłoszono) i pretensji Geba, to nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę. Tak czy owak, Nut powiła zrazu Ozyrysa, a po godzinie Horusa. W ciągu trzeciej godziny z jej boku wypadł Set, rozrywając niebios, by mogły z nich bić błyskawice. Następnie ukazała się spowita mgiełką Izyda, a jako ostatnia Neftyda, której nadano tajemne imię Wiktoria czyli Zwycięstwo, gdyż była najpiękniejsza. Miała w przyszłości poślubić swego brata Seta, Izydzie zaś przeznaczone było wyjść za Ozyrysa (niektórzy utrzymują, że Izyda i Ozyrys zakochali się w sobie już w łonie matki). W tej sytuacji trudno dociekać, kto był tylko przyrodnim bratem lub siostrą.

Jego głos rozbrzmiewał tak blisko mego ucha, że przestałem się orientować, w jaki sposób przekazuje mi tę wiedzę. Przymykając oczy, mogłem przez ułamek sekundy sądzić, że opowieść należy do mnie i niemalże słyszę na jawie głos samego Re.

– Spoglądam na moje dzieci – grzmiał Re – i nie wiem, czy są moje, czy też stanowią pomiot Geba. Biada mi nawet, jeśli je przeklnę, bo nie wiem, czy słusznie je gromię, czy może nie dość mocno.

Trójka braci, Horus, Ozyrys i Set, oraz dwie siostry, Izyda i Neftyda, mieszkali zatem w domu pełnym złych znaków. Nawet jako dzieci bawili się w zdradę i śnili o mordach. Klątwa Re przeszła na małżeństwo Izydy z Ozyrysem i na związek Seta z Neftydą.

A przecież małżeństwa różniły się między sobą. Izyda kochała Ozyrysa i uważała, że jest piękniejszy od niej, podczas gdy Neftyda cierpiała. Ciało Seta paliło jej brzuch. W ogniu jego temperamentu czuła wypalone słońcem głązy pustyni. – Dlaczego na imię mi Zwycięstwo – pytała Neftyda – skoro me łono płonie, gdy On we mnie wchodzi?

Za to Ozyrys był chłodny niczym oaza. Jego palce, których dotykała, gdy podawał jej półmisek, były czułe.

Przyszła taka noc, podczas której Neftyda zdradziła męża z Ozyrysem.

Set miał roślinę, która kwitła każdej nocy, gdy wracał do domu. Tej nocy roślina zwiędła.

– Rozwiń płatki – rzekł Set – przecież wróciłem.

Roślina zmarniała na jego oczach. Tak to Set dowiedział się, że Neftyda jest z Ozyrysem, a kiedy wróciła, zdał sobie sprawę z tego, że ta noc z jego bratem była dla niej szczęśliwsza niż jakakolwiek godzina spędzona z nim. Potem Neftyda wyznała, że poczęła dziecko, i uczyniła to z taką radością w głosie, jakiej nigdy dotąd nie słyszał. Wstyd Seta zaczął podsycać jego nienawiść. Posiadał Neftydę co noc, a myśl o Ozyrysie sprawiała, że jego biodra pędziły galopem. Tak niestrudzenie pracował nad zgnieceniem zarodka w jej łonie, że matka poczuła odrazę do dziecka, które nosiła. Rodząc, Neftyda płakała i nie potrafiła się zdobyć na to, by spojrzeć dziecku w twarz. Poczęty w jej umęczonym łonie stworek urodził się równie pokrzywiony co ścieżki jej życia. Na świat wyjrzała twarz dziko zaciekła i spowita w śmierdzące opary. Tak narodził się Anubis, bóg z głową szakala. Neftyda zaniósła Anubisa na pustynię i tam go porzuciła, lecz jej siostra Izyda nie pozwoliła dziecku zginąć. Wiedziała, że Anubis jest świadectwem zdradzieckiej godziny jej męża, a mimo to nie chciała, by umarł.

Menenhetet podniósł głos:

- Nie wolno zabijać nikogo, kto zrodził się ze zdrady wbrew własnej woli.
- A niby dlaczego? – spytałem.
- Bo kiedy ludzie umierają w szale, rodzą się demony.

Nie podobała mi się jego odpowiedź. A ja niby jak postradałem życie? Starając się pokryć zmieszanie, powiedziałem:

– Mówiono o tobie, że zabijałeś każdego niewolnika, który nie chciał pracować.

– To w kopalniach złota i wcale ich nie zabijałem. Umierali z wyczerpania. Poza tym wcale nie powiedziałem, że nie chcę, żeby się rodziły demony – odparł Menenhetet I i wzdrygnął się. Jego szept przypominał szum wody, która lada chwila ma się zagotować. Wszystko, o czym mówił, jawiło mi się w całej okazałości i niezwykle wyraziście. Wiedziałem więc, że Izyda, która ruszyła z psami na poszukiwanie (psom dano powąchać splamione wodami płodowymi prześcieradło), wnet znalazła dziecko. Menenhetet I obwąchał swój palec i po chwili poczułem zapach skrzepłej krwi. Uśmiechnął się lekko, widząc jak reaguję na ten drobny przejaw jego nadzwyczajnych umiejętności.

– Izyda – rzekł – wychowywała dziecko na własnego strażnika. Anubis, jak wiesz, jest szakalem, który trzyma w ręku szalę sprawiedliwości. Umarli muszą się stawić przed jego obliczem. A może i o tym zapomniałeś? Na jednej szali kładzie się serce zmarłego, a na drugiej piórko prawdy i biada umarłym, jeśli szalki się nie równoważą. Anubis zna się na tym. Pierwszy dzień jego życia był kruchy i ulotny jak piórko. Może jeszcze staniesz przed Anubisem. – Menenhetet uśmiechnął się, a ponieważ milczałem, wzruszył ramionami i podjął opowieść. – Wyobraź sobie morderczy szal Seta – rzekł. – Bękart jego żony wciąż żyje! Set poprzysiągł zemstę po wsze czasy, choćby przyszło mu czekać długo, bardzo długo. Tak się bowiem złożyło, że Ozyrys nie tylko był pierwszym królem Egiptu, ale i największym. Nauczył nas uprawiać zboże, warzyć piwo z jęczmienia, siać żyto, uprawiać winorośl i pędzić dobre wino. Pokazał nam nawet, jak dwukrotnie fermentować wino, by w pucharze *colobi* odnajdywać siedem mocy i duchów duszy. Potem jednak Ozyrys zaczął wyruszać poza Kres Zieleni, by przekazać wiedzę pograżonym w ignorancji krainom, a to okazało się szalonym przedsięwzięciem. Tak bezgranicznie go wielbiono na wszystkich dworach, że po powrocie do Egiptu wciąż zachwycał się własną urodą.

– W niespełna miesiąc po powrocie został zaproszony przez Seta na wielką ucztę. Set schlebiał próżności Ozyrysa, opowiadając o wspaniałej trumnie, jaką kazał zbudować dla boga, który był najbliższy Temu.

Set kazał wnieść skrzynię i wezwał siedemdziesięciu dwu bogów swego dworu, by się w niej po kolei kładli. Nikt do niej nie pasował. Kiedy nadeszła kolej Ozyrysa, okazało się, że pasuje jak ulał.

– Jesteś taki piękny – powiedział Set, gdy jego brat położył się w trumnie. Potem zatrasnął wieko. Siedmiu wojowników łało na nie topiony metal.

Ponieśli potem trumnę nad Nil i spuścili na falę. Odpłynęła pewnego popołudnia, gdy słońce stało w znaku Skorpiona. Nie było już Ozyrysa.

– Gdy wieść o tym dotarła do Izydy, wydała okrzyk, który od tej pory wydaje każdy człowiek, opatrując własne rany. Zaczęła szukać trumny na bagnach i mokradłach delty.

Przesunąłem się i niczym człowiek, który przeżywa równie srogie udręki, przytuliłem twarz do chłodnego drewna trumny biednego, po stokroć biednego Meniego! Skąd u mnie takie odruchy? Podczas gdy Menenhetet I ciągnął swoją opowieść, spadłem zapewne z krawędzi snu w inny głębszy sen, ponieważ głos jego dotarł do mnie dopiero w chwili, gdy trumna Ozyrysa spłynęła wodami Nilu i wypłynęła na pełne morze ku Byblos, na wybrzeżu Libanu. Słyszałem plusk ostatniej fali, gdy wzburzone morze wyrzucało trumnę w niskie zarośla nadbrzeżnych skał. Wąty, miotany wichrami krzaczek rozrósł się, gdy dotarł doń Ozyrys, pień zaś okręcił się wokół trumny i wbił tak wysoko, że król Byblos dostrzegł go. Kazał ściąć drzewo, a z pnia zrobić piękny filar do sali tronowej swego pałacu.

Do tego właśnie brzegu dotarła wiedziona przez siedem skorpionów Izyda, a kiedy stanęła na dworze króla Byblos i została przyjęta przez królową, pachniała bardziej słodko niż najwspanialsze ogrody.

Tamtejsza królowa Astarte uważała, że piękna powierzchowność jest pierwszym znamieniem szlachectwa. Przyjmowała tylko tych, którzy byli równie piękni jak ona. Przyjęła więc Izydę i podjęła ją tak serdecznie, iż Izyda ośmieliła się poprosić ją o wstawiennictwo do króla, by ten ściął filar, uwalniając w ten sposób jej męża z trumny. Było to śmiałe żądanie. Trzeba było zrujnować najwspanialszą komnatę w Byblos. Jednakże król Melkart potajemnie lękał się ciszy, jaka zapanowała w pałacu od dnia, w którym ściął pień, by postawić kolumnę. Zgodził się.

Otworzywszy trumnę, stwierdzono jednak, że Ozyrys znajdował się w opłakanym stanie. Po twarzy pełzały mu robaki. Izyda wydała okrzyk rozpaczony, tak donośny, że najmłodsze dziecko Melkarta umarło ze strachu. Krew rzuciła mu się uszami.

Śmierć tego dziecka nie stanowiła wielkiego ciosu dla króla. Nie był całkiem pewien, czy jest ojcem chłopca, gdyż od chwili gdy ścięto drzewo na filar, stał się impotentem. Teraz odczuł przypływ pożądania i zabrawszy królową na pokoje, starał się ją pocieszyć, ale nie mógł. Obawiał się uciech tuż po śmierci dziecka. Mogło to spowodować na nich następną śmierć. Melkart zdał sobie jednak sprawę z tego, że nie ufa żadnemu spośród swoich synów i dlatego gotów był przydzielić Izydzie najstarszego, by jej pomógł w drodze powrotnej przez morza.

Ledwo statek oddalił się od brzegu, a już zaczęły się obrządki wokół ciała w trumnie. Wypuszczając siedem skorpionów z fałd swej sukni, Izyda kazała im pożreć robactwo z twarzy i członków Ozyrysa. Skorpiony były szybkie niczym łodzie pchane przez wydęte wiatrem żagle i nim nadszedł wieczór, zaokrągliły się jak gołębie jaja. Izyda rozgniotła ich utuczone odwłoki i sporządziła maść, przez co pozbawiła się ochrony, którą zawdzięczała skorpionom. Zabijając te stworzenia, wysłała ich braciom ostrzeżenie – strzeżcie się Izydy! Nade wszystko bowiem pragnęła przywrócić Ozyrysowi urodę. Olejki pozwalające to zrobić można uzyskać tylko z żołądków skorpionów obżartych robactwem. Maścią natarła sobie nogi i brzuch. Ponieważ w tym celu musiała zdjąć suknie, wzbudziła pożądanie biednego księcia Byblos, którego nasienie zrosiło pokład. Nasienie także wtarła w skórę (gdyż książę był piękny jak jego matka), a potem wtarła maść w Ozyrysa i położyła się na nim. Tak podnieciła siedem jego rozproszonych światła powrotu, że porzucił bagna, przystanie, góry i morza śmierci i wkroczył ponownie do mieszkania swego ciała. W tej to godzinie, znów piękny i młody, leżąc na plecach, wytrysnął w Izydę. W ten sposób

bogini po raz pierwszy splotła się z bogiem w miłosnym uścisku, siadając na nim. Książę Byblos, który podglądał to zbliżenie, został przez Izydę skarcony spojrzeniem tak złowrogim, że umarł natychmiast i wpadł do morza. Także Horus, inny brat Ozyrysa, dokładnie w tej samej chwili rozstał się z życiem (spadając z konia i łamiąc kark). Właśnie wtedy poczęty został Horus, dziecko Izydy i Ozyrysa, które przyszło na świat pozbawione pełni władzy w nogach. Ponieważ bogowie rzadko umierają, nowo narodzony Horus był ucieleśnieniem Horusa-brata i rósł tak szybko, że w ciągu czternastu lat stał się dorosłym mężczyzną. Ale były to lata trudne. Izyda wiedziała, że czekają na nią i Re, i Set.

Powróciwszy do Egiptu, Izyda szukała zatem kryjówki na trumnę męża. Niełatwo było ją znaleźć. Trumna musiała spoczywać w miejscu, którego dosięgał wzrok Re. Słońce miało bowiem moc rzucania klątwy tylko na tych bogów, którzy próbowali się przed nim ukryć. Ozyrys nie musiał się obawiać gniewu Re, dopóki jego trumna nie zostanie zakopana. Izyda wybrała więc płytkie jezioro w mokradłach delty i przycisnęła trumnę kamieniami, by nie wypłynęła z papirusowych trzciny, które ją otaczały. Otworzyła trumnę mogła liczyć na to, że Ozyrys uzyska błogosławieństwo Re.

Czuła jednak, że Ozyrys nie jest bezpieczny. Re rzucał klątwy również wtedy, gdy chował się za chmurami. Musiała więc zapłacić wysoką cenę za zawarcie pokoju ze skorpionami. Ślubowała chronić ich życie tak długo, jak długo będą istniały. Musiała tak postąpić, bo potrzebowała ich pomocy. Skorpiony należą do tych nielicznych stworzeń, które unikają spojrzenia Re. Kiedy więc słońce chowało się za chmurami, natychmiast wypełzały z kryjówek i otaczały trumnę Ozyrysa. Ciało Ozyrysa było zatem strzeżone przez cały dzień, w blasku słońca i w cieniu chmur, dzięki czujności skorpionów. A w samym sercu nocy, w najczarniejszej godzinie, gdy Re wędrował przez świat podziemny, gdy nawet skorpiony zasypiały, Izyda była pewna, że Set nie znajdzie brata na bagnach. Poza tym w tej najczarniejszej godzinie rządził Anubis, a ten pozostał Izydzie wierny – tak długo jak mógł. Jego moc trwała w ciemności, lecz ustępowała przed świtem, gdy nadchodziła godzina szakala.

Przez wiele miesięcy Set sypiał za dnia i przemierzał konno cały kraj – nadaremnie. W końcu jednak udało mu się ubłagać Re, by namówił Księżyc, aby ten świecił przez całą noc aż do świtu.

Tak to Set zyskał kilka godzin księżycowej poświaty. Musiał jednak odnaleźć bagno, na którym ukryte było ciało jego brata. Przywołał więc na pomoc wspomnienia. Pamięć o tym, że został zdradzony, boleśnie godziła w jego dumę.

Rozmyślając o Ozyrysie w objęciach Neftydy, potrafił go sobie wyobrazić w ramionach Izydy, a stąd już tylko krok do przeniknięcia jej myśli. Tak więc pewnej nocy, po zachodzie słońca, Set ofiarował swój oddech wieczornemu niebu i ciemnym ziemskim padołom (to znaczy własnemu ojcu i własnej matce) i zaczął powoli przenosić się myślami do Izydy, która mieszkała w mieście Buto. Nieruchomo, jak myśliwy, Set czekał, aż mrok młodej nocy rozjaśni księżyc wschodzący nad bagnami. W tej samej chwili, gdy Izyda przywołała ten obraz, on też go dostrzegł. Tak Set wykrył miejsce, w którym Izyda ukryła Ozyrysa. Spiał konia i zaczął galopować po bagnie w poszukiwaniu tej wizji. Aż wreszcie, spocony i pokryty błotem, w ostatnich promieniach księżyca, w godzinie szakala, kiedy Anubis już odszedł, znalazł nie strzeżoną trumnę i śpiące skorpiony. W tej szarej godzinie przed świtem dobył miecza i poćwiartował nieżywe ciało swego brata, wrywając serce, rąbiąc kręgosłup i kark, głowę, nogi, ramiona, żołądek, jelita, płuca, wątrobę, nawet woreczek żółciowy i pośladki. Byłby mu z pewnością obciął także genitalia, ale zaczął liczyć i stwierdził, że ma już czternaście kawałków, dwa razy siedem, czyli akurat na klątwę na wrogów. Targnęła nim wściekłość, bo nie mógł już dalej znęcać się nad ciałem brata. Krew w nim zawrzała, podniósł miecz i odciął własny kciuk. Wetknął go Ozyrysowi do ust. Zaprzęgnął konia do trumny z porąbanym

na czternaście kawałków ciała i zawlókł ją do obozu. Następnie wysłał swoich ludzi, by trumnę odwieźli Izydzie. Teraz gotów był ruszyć w górę Nilu. Pchana wiosłami najsilniejszych w kraju wioślarzy galera miała pomknąć jak strzała (wiedział, że Izyda go nie dogoni). Będzie zatem mógł rozrzucić szczątki Ozyrysa po całym Egipcie. Podniecony zwycięstwem postanowił jednak zacząć od delty i pozostawił nogi w Bubastyku i Busiris (dlatego hieroglif przedstawiający literę „B” ma kształt nogi). Po namyśle zostawił jeszcze ramiona w Balomanie i w Buto, gdzie mieszkała Izyda. Zatrzymał się tam na krótko, na tyle jednak długo, by zgwałcić ulubioną służącą Izydy i podrzucić jeszcze dwa strzępy ciała Ozyrysa na bagna. Izyda była bezsilna.

Set pozostawił też szczątki Ozyrysa w Athribisie i w Heliopolis, głowę podrzucił w Memfis, inną zaś część ciała w Fajum. Potem popłynął w górę Nilu, do Syutu, do Abydosu i do Dendery. Tam poczuł się wreszcie bezpieczny i nakazał wioślarzom wiosłować bez wytchnienia, aż podrzucił ostatnie szczątki ciała Ozyrysa w Yeb. Gdyby jego ludzie gnali co tchu, musieliby wędrować trzydzieści dni i nocy. Zatrzymali się jednak na ucztę i dlatego zajęło im to dwa razy tyle.

Izyda nie chciała się podnieść z łoża. Piersiom jej zabrakło mleka, a bezdena rozpacz podobna była śmiertelnikom. Set zwyciężył jej magiczną moc. W tej smutnej godzinie łzy jej zrosiły ziemię deszczem – ostatnim darem słodkich mocy tkwiących w ciele Ozyrysa, które rozrzucano już od bagien delty po wodospady pierwszej katarakty.

Nie wiem, czy sprawił to niecodzienny w naszym egipskim klimacie szum deszczu, ale moje myśli spowiła mgła i straciłem bogów z oczu. Ze zdumieniem dostrzegłem za to Menenheteta, który łąpał na mnie oczyma.

– Przechodzimy – powiedział – do przygód Maat. Bez niej nie byłoby dla Izydy ratunku.

II

Tak – powiedział. – Maat jest tak przywiązana do miarek i wag, że za twarz wybrała sobie piórko. Pomyśleć tylko, że jest córką Re!

Jego śmiech ponownie wprowadził mnie w zakłopotanie. Taki śmiech kojarzył mi się z chciwością żebraków, z rynsztokiem najgorszych ludzkich odpadów. Najwyraźniej jednak nie zwracał uwagi na to, że śmiech ów urąga jego godności.

– Tak – rzekł Menenhetet. – Maat to najniewinniejszy owoc cudzołóstwa Re. Poczęła ją malutka ptaszyna, przefrunawszy szybko i nieśmiało przez własne życie, ptaszyna, która jeden jedyny raz dała się upoić ciepłym prądem powietrza. Wzbiwszy się z prądem, ta upierzona kuleczka dotarła do ramion Re, wyżej, jeszcze wyżej, jak w transie – i natychmiast wyzionęła ducha – to dopiero orgazm! Matkę spaliło na wiór, za to dziecko spłynęło ku nam jako pióreczko, geniusz równowagi między namiętnym pożądaniem a świadomą ofiarą. – Znów roześmiał się zgryźliwie. – A teraz właśnie tego piórka używa Anubis, ważąc moralny ciężar serca każdego zmarłego. – Wzruszył ramionami. – Spośród wszystkich dzieci Re tylko ciało Maat nic nie grozi, toteż jest nieustraszona. To jedyne bóstwo, które odważyło się zarzucić Re, iż zbyt wiele względów okazuje Setowi. Powiedziała swemu ojcu wprost, że niebezpiecznie jest chronić zwycięzcę przed klątwami zwyciężonych. Taki bóg zbyt łatwo może zatryumfować i wtrącić świat w otchłań chaosu.

– Nie mów mi o równowadze – odpowiedział Re. – Za dnia steruję złotym okrętem, ale potem kroczę w ciemnościach i walczę z wężem. Jeśli przegram choć raz, świat nie ujrzy już nigdy więcej światła.

Menenhetet znów zaniósł się śmiechem.

– Zapewniam cię, że Maat nie zaczęła przekonywać Re, iż ze strony węża nie grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo.

Opowieść wciągnęła mnie ponownie niczym strumień przepływających w pobliżu duchów i w głowie pojaśniało mi od obrazów. Wiedziałem, że Re nie walczy samotnie, że ma u boku wielu bogów i wiele bogiń gotowych usidlić węża. Re pozostawało tylko poćwiartować Aapepa. Mimo to dyszał ciężko z wysiłku. Zestarzał się.

Skarcona przez ojca Maat zaczęła się przyglądać obyczajom rybek-pilotów. Stworzonka te, zwane Abtu i Ant, służyły mu za oczy, gdy przychodziło omijać niebezpieczeństwa czyhające w mroku. Każdej nocy, płynąc po obu stronach łodzi Re, wiodły ją z dala od ognia, gejzerów i trujących oparów. Za dnia jednak rybki, ze zrozumiałych względów zmęczone, zamieniały się w dwa krótkie sznureczki i wygrzewały na brzegach Nilu. Wylegiwały się tam w słońcu, dwa kłębki wyblakłych konopi, tak krótkie, że żadnemu z rybaków nie przyszłoby do głowy, by je podwiązać do dłuższej liny. Maat, unosząc się w swej naturalnej postaci piórka na wietrze, wzbiła się nad brzegi Nilu i zaczęła szukać rybek-pilotów. Opadając zakryła je na chwilę cieniem. Pozbawione światła Re nie potrafiły zebrać myśli i opuściły brzeg, zsuwając się do wody, ale na powierzchni zamigotał cień węża. Nie wiedziały, że to tylko cień piórka wyginającego cieniutki kręgosłup nad rzeką, by rzucać cień na powierzchnię wody. Ścigały więc cień węża z prądem rzeki, aż Maat doprowadziła je do miednicy Ozyrysa wepchniętej w pień przewróconej palmy – Maat dobrze знаła to miejsce. Była bowiem jako duch równowagi przy tym, jak Set ostatnim ciosem miecza odciął

sobie własny palec. Abtu wskoczył na członek Ozyrysa, odgryzł go, przełknął i ogarnięty szalem zaczął tańczyć w wodzie. Rozbłyśły mu łuski i poczuł się jak promień słońca. Potworność! Gdzie się schować? W panice obie rybki wyskoczyły z powrotem na brzeg i przybrały poprzednią postać, zamieniając się w szare konopie. Abtu zamieniony w sznurek okazał się jednak bielszy od księżycy a Ant musiała go zamaskować błotem, by przetrwał do chwili, gdy nadejdzie pora wyprawić się do Dat. Ale błyszcząc także w mroku, natychmiast zwróciłby uwagę wszystkich na Re. Wściekły Re wydobył go z wody i pożarł. Ant sama służyła za pilota, ale ponieważ nie była w stanie ostrzegać łodzi przed niebezpieczeństwami, czyhającymi z drugiej strony burty, łódź trzęsła się i ocierała o każdą skałę, Re zaś poczuł się źle, mając w brzuchu członek Ozyrysa.

Równowaga się zachwiała. Ponieważ członek boga okazał się niestrawny, Re zaczął cierpieć katusze i pozwolił chmurom przesłonić niebo. Izyda drgnęła w swym łożu i zaczęła się wsłuchiwać w krzyk mew. Krzyczały po całych, szarych, deszczowych dniach. Inne ptaki zlatywały się, by opowiedzieć o tym, jak szlachetny koń, na którym Set polował na bagnach, przestraszył się zwałonego drzewa i złamał nogę. Dobra passa Seta mogła się już kończyć.

Izyda odważyła się wspomnieć godzinę, w której poczęła z Ozyrysem Horsa. Kiedy przypominała sobie, jak księżę Byblos wpadł do morza, Ka Ozyrysa przemówił do niej prosząc, by uzbroiła się w tajemne imię Re. Izyda zaczęła się wsłuchiwać w plotki bogów.

Słyszała, że Re się postarzał, jego kości ze złotych stały się srebrne, członki zeszywniały. Ślina się rozmawiając. Siedem wydzielin jego ciała nieustannie zraszało ziemię, wszystkie drogi zaś usłane były jego woszczyzną, potem, moczem, odchodami, smarkami, nasieniem i śliną.

Izyda zastanawiała się, jak wykorzystać te substancje. Pełen brzuch słońca na pewno krył nieprzebrane bogactwa. Skąd jednak pewność, że nie uwolni się przy tej okazji od nieczystych demonów nocy? Trudno było także przypuszczać, że Re codziennie wydała swoje tajemne imię.

Unikała też potu. Jego pot przynosił mu zapewne zaszczyt, ale w pocie przebijała też woń każdego zwierzęcia, którym się stawał kochając kobiety. I ich tajemne imiona. Nadmiar, zamęt.

Nie szukała też jego nasienia. W nasieniu kryły się tajne imiona przyszłych synów i córek, nie zaś jego imię. Tak samo pominęła woszczyznę i smarki. Re nie zwracał uwagi na to, co inni mówią, toteż w jego woszczyźnie kryło się wiele głupoty. Nos także nie nadawał się na kryjówkę tajemnego imienia, skoro łąda wietrzyk mógł je stamtąd wywiać. Pozostawały mocz i ślina. Izyda miała do wyboru kwaśne wody płuczące jego krew albo studnię ust. I mocz, i ślina wiązały się ściśle z jego imieniem. Mocz Re był niczym wielka rzeka unosząca ze sobą wiele tajemnic ziem, przez które przepływa. Jego wody wywodziły się z wód niebios. Nut z pewnością rozgniewałaby się, gdyby Izyda próbowała wykraść jej tajemne imię. Dlatego Izyda wybrała ślinę. Krył się w niej duch mowy Re. U źródeł jego mowy musi się kryć tajemne imię. Podniosła więc wilgotny pył z miejsca, w którym stary bóg przechodząc stracił nieco śliny ściekającej mu z kącików ust i ulepiła ciasto z tego pyłu, dodając stary proszek sporządzony z nasienia Seta. Nasienie jego znajdowała w spódniczkach służących, które zgwałcił. Nie ma lepszego sposobu na wzmocnienie trucizny, niż domieszanie do niej wydzielin wrogów. Tak więc Izyda przygotowała mieszankę ze śliny Re i nasienia Seta, a następnie ulepiła z niej węża, nasączywszy jego kły (kłami były ścinki jej własnych paznokci) jadem skorpionów. Potem Izyda rzekła do kłów: – Idźcie. Odkryjcie, czym wasz wróg najbardziej różni się od was. Tam go dopadnijcie. Wysuńcie żądła.

Jad z serca Izydy wypłynął jej oczyma, a w oczach właśnie kryła się wiedza o Re. Nie bez powodu badała siedem jego wydzielin. Ich zapach jeszcze jej towarzyszył. Mimo podziwu dla Ozyrysa, który był jak czułość nieba w chwili, gdy nad oazą zapada zmierzch, a zwierzęta tulą się do siebie, Izyda nie potrafiła przewyciężyć odrażającego pożądania. Zawsze ścisnęła ją w dołku na widok Re. Pewnego razu odbyła potajemną schadzka z własnym ojcem. Śmierć Ozyrysa sprawiła,

że ciężar tego dawnego występku stał się dla niej nie do zniesienia. Nigdy o tym nie powiedziała mężowi, a Ozyrys sądził, że jest kochany bez granic. Wiedząc zbyt mało o mocach innych bogów, lekkomyślnie wszedł do trumny Seta. Wściekłość, jaką w Izydzie budził Re, rosła w miarę, jak sobie przypominała własną niewierność wobec Ozyrysa. Jakąż straszliwą klątwą pożegnała Izyda węża, zostawiając go na drodze Re!

Re przechadzał się chłodnymi ścieżkami niebios, dysząc i śliniąc się podczas porannego spaceru. Na jego drodze Izyda podrzuciła węża. Gdy bóg zbliżył się (żołądek wciąż mu jeszcze dokuczał z powodu niestrawnego fallusa), wąż pokonał dystans między bezwolną gliną a potężną klątwą i wbił kły w boga. A trucizna rzekła:

– Płoń, Re, niech płomień obejmie twoje łądzwie! Zamarznij w chłodzie swego złotego oka, gdy wypłynie zeń światło. Przyrządzono truciznę, która przeżre wszystkie twoje członki.

I Bóg Słońce poczuł obecność wszystkiego, co nie było Nim. Oblepiało go, więc próbował się bronić, ale zaczęła go niszczyć gorączka. Zatoczył się, a jego woła przeraziła się wszystkich trucizn w ciele. Skóra mu zmatowiała i zbladł, stał się jak patyna, jak srebro jego boskich kości. W ustach poczuł smak własnej starości, a wargi wypłuły ślinę na ziemię. Trucizna rozlała się po jego ciele jak Nil po polach uprawnych.

– Co mnie ukąsiło? – zawołał. – Coś, czego nie znam i czego nigdy nie stwarzałem. – Wydał potężny okrzyk przerażenia, który od tej pory wydają wszyscy ludzie w godzinie śmierci.

– Przybywajcie, o bogowie i boginie! – wołał. – Wy, którzyście ze mnie powstali!

Powietrze zmieniło się. Popłynęła światłość i mrok, jedne barwy połykały inne. Bogowie i boginie zjawili się z czterech stron niebios, znad rzeki, zza wiatrów pustyni. Wody Dat zawrzały.

Re powiedział:

– Przechodziłem rankiem przez królestwo Egiptu, gdyż chciałem obejrzyć to, co stworzyłem. Ukąsił mnie wąż. Czuję chłód chłodniejszy od wody i żar gorętszy od ognia. Nogi zlewa mi pot, ciałem wstrząsają dreszcze, wzrok zawodzi. Leje się po mej twarzy jak w godzinie powodzi. Zaczynam umierać.

W całunie ciszy, która zapadła, mrocznym niczym krew wsiąkająca w piasek po bitwie, przemówiła Izyda. Przez chwilę bogowie chichotali – wszystkim było wiadomo, że Set ją upokorzył. Przemawiała jednak pewnym głosem.

– Wielki Re – rzekła. – Zostałeś otruty.

– Nie mogę umrzeć – odparł Re. – Jestem Pierwszy i jestem Synem Pierwszego.

– Umrzesz – odrzekła Izyda – jeżeli nie wyjawisz swojego tajemnego imienia. Ten, kto potrafi wyjawić swoje ukryte imię, przeżyje.

– Nie wypowiem mojego tajemnego imienia – powiedział Re. – Jeżeli mnie zabraknie, ziemia się rozpadnie, a niebiosa przepadną wraz z ziemią. To ja stworzyłem niebiosy i tajemnicę horyzontu.

Izyda wystąpiła naprzód. Krok po kroku zbliżała się do emanacji ducha Re. Zaszepotała mu do ucha. Jej głos prześwidrował jego ciało.

Chciał się wyprostować, ale męczarnie przygięły go ku ziemi.

– Nie mogę umrzeć – rzekł Re. – Mój ojciec nadał mi tajemne imię w ogniu, a moja matka zahartowała je w wodzie. Ukryli imię, gdy się urodziłem. Żadne słowo nie ma nade mną mocy, dopóki nikt nie zna mojego tajemnego imienia.

– Trucizna – odrzekła Izyda – dotrze do najodleglejszych zakątków twego ciała. W jej skład wchodzi nasienie Seta, a Set nie ulęknie się marszu w głąb ciebie.

– Wszystkim ujawnię moje tajemne imię – powiedział Re. Bogowie podnieśli wrzawę, po czym zapadła cisza. Izyda wiedziała, że Re skłamię. Jak dawniej, jego oczy zawsze zdradzały prawdę wtedy, gdy przemawiał mijając się z nią.

– Moje imię – rzekł Re z gardłem tak ściśniętym bólem, że ledwo poruszał szczękami – moje imiona są nieskończone. Moje kształty to kształty wszystkich rzeczy. Każdy bóg istnieje we mnie.

– Nie umieraj, wielki Re – zawołali bogowie. Ale nie wiedzieli, czy życzą sobie jego śmierci, czy przeżycia. Nie wiedzieli, czego chcą – straszliwy to dzień dla bogów.

– Moje imię – wykrzyknął Re – brzmi Stwórcy Nieba i Ziemi. Jestem tym, który łączy górskie łańcuchy. Jestem tym, który sprowadza wielkie powodzie. Jestem tym, który stworzył rozkosze miłości. Jestem tym, który stworzył horyzont. Jestem Istotą, która otwiera oczy, a wówczas staje się światło. Jestem Istotą, która zamyka oczy, a wówczas staje się ciemność. Jestem Istotą, której bogowie nie znają.

Potknął się i omal nie upadł. Izyda powiedziała: – Nie wymieniłeś jeszcze tajemnego imienia, już wkrótce trucizna cię przeżre. Wypowiedz imię!

Gdy mówiła, bogowie szeptali między sobą. Była wspanialsza niż Re. Stali obok siebie i ona była doskonalsza.

– Jestem tym, który stwarza ogień życia – rzekł Re.

– Jestem tym, który rano jest Keperą, w południe Re, a wieczorem Temu. Jestem tym, który... – i głos mu się załamał. Trucizna wspinała się kataraktami jego krwi, a morza płonęły w jego umyśle. Żar i odblask tego gorąca padły na wszystko, co żyje. Trawiony gorączką zerwał z siebie szaty.

– Przeszukaj mnie – zawołał.

Na oczach bogów Izyda podeszła doń, zdjęła szaty i położyła się na nim. Fallus Ozyrysa ożywił jego starczy członek, który wszedł w Izydę, wyjawiając jego tajemne imię. Wytrysnął też całym nasieniem Seta, które toczyło go z resztą trucizny, czyn ten zaś zaowocował najstraszniejszą błyskawicą, jaka kiedykolwiek rozdarła niebo nad Egiptem – w ten sposób Set został panem błyskawicy i grzmotu. Tak oto Re przekazał swe Tajemne Imię do podbrzusza Izydy. Imię weszło w Izydę, szepcząc do niej cicho: – Temu to jeden, Wody Niebiańskie – dwa, Re, dziecko Temu i Nut, to trzy. Tak więc jego tajemne imię brzmi Trzy. Rycz Izydo jak lew, byśmy usłyszeli literę „r” we wszystkich językach. Ryk słońca jest światłem ziemi. Następca zaś Re niechaj będzie niczym światło umysłu, który jest śmiercią. Bądź pozdrowiony Ozyrysie, Panie Krainy Umarłych. Powstań ku Izydzie, która posiadała Tajemne Imię Re, które jest wszystkim, co było, wszystkim, co będzie i wszystkim, co jest.

III

Izyda podniosła się, a spienione nasienie starca ściekało z jej ud. Powiedziała:

– Precz trucizno, precz! Precz ode mnie i od Re! Niechaj Re żyje, a trucizna zamiera!

Potem nałożyła wspaniałą złotą szatę, którą Re zostawił na podłodze. Szata była brudna, ale brud i pot znikły niczym po ulewnym deszczu i oto Izyda stanęła w chwale. Bogowie przyklasnęli. Byli przerażeni. Niektórzy pamiętali jeszcze oszczerstwa, które kiedyś rzucali na Izydę. Ale najpiękniejsi bogowie już starali się o jej względy. Spoza ich szeregów wyszedł jednak jakiś nieznajomy z szatą w rękę i okrył Re.

Nieznajomy miał siwe włosy, ale twarz młodszą i piękniejszą od wszystkich pozostałych. Był to Ka Ozyrysa.

Stanął przy Izydzie i podał jej rękę. W tej samej chwili jego ciało weszło w nią. Ciało Ozyrysa stało się tak przezroczyste, że zniknął w niej. Po czym Izyda przemówiła do Re głosem Ozyrysa:

– Stary Boże, kiedy przyjdzie pora łagodnych dni, możesz słodzić drzewa owocowe, możesz pomagać wzejść zasiewom na polach. Ale wkraczając wieczorem do Dat, wkładaj mój całun. Teraz mój syn, Horus, będzie złotym okiem dnia i srebrnym okiem księżyca. W Dat ja będę panował nad umarłymi, a przez moją żonę Izydę panować będę nad wylewami Nilu. Idź więc, wykonuj swoje powinności.

I wyszedłszy z Izydy, Ozyrys znów stał się widzialny. Stojąc o palec od niej (kiedy tylko jej dotykał, natychmiast przepływał w nią całym swym jestestwem), kazał bogom wracać na miejsce i zabronił marzyć o nowym władcy. Pan przyszłości już wstąpił na tron. Ozyrys zdjął przepaskę z bioder pokazując, że choć jego fallus został pożarty przez Abtu, a z kolei ryba została połknięta przez Re, teraz on, Ozyrys, pożarł tego, który pożerał. I dlatego jego fallus miał trzy członki. Jeden to Ptah, budowniczy, stał jak kolumna i jaśniał niczym rozżarzony metal w kuźni. Drugi był masywny, nieruchomy i ciemny jak Seker, sękaty niczym korzeń z głębin ziemi. Ostatni, niemal przezroczysty, był fallusem samego Ozyrysa, wygiętym jak tęcza po wędrówkach przez powietrze, fale, mgły – był świetlistym fallusem, godnym Pana Umysłu, Ozyrysa, Boga Zmartwychwstania.

Na ten widok Re zwymiotował. Nic jednak nie wypłynęło z jego trzewi. Nie znalazłszy niestrawnego fallusa, Re chyłkiem powędrował w swoją stronę.

Kiedy Izyda i Ozyrys zostali sami, rozmowa ich przybrała mniej dostojny obrót.

– Nasze położenie – rzekł Ozyrys – jest bardzo ciężkie, gdyż nie wolno nam się dotknąć, bo grozi mi ponowne zniknięcie. Nie będziemy się więc dotykać. Inaczej rozmowa będzie niemożliwa, a tyle ci mam do opowiedzenia. Wiem o Dat więcej, niż sobie wyobrażasz.

Obdarzył ją czułym uśmiechem i dodał jak najuprzejmiej:

– Jako młody książe nigdy nie słuchałem tych nieszczęśników, którzy mnie nudzili. Teraz spędzam lata całe, wysłuchując nie kończących się usprawiedliwień zmarłych. Ich pobożność jest nienasycona. Czy to twoja wina, czy twojej żony? – pytam od czasu do czasu jakiegoś wyjątkowego łotra, a odpowiedź brzmi nieodmiennie – jeden bóg Ozyrys raczy to wiedzieć.

– Tak, musisz być bardzo znużony – odpowiedziała nieśmiało Izyda. Jego chłodne przywitanie w niczym nie przypominało ostatniego namiętnego uścisku u wybrzeży Byblos.

– Powiem tylko – rzekł Ozyrys – że musiałem przewędrować przez takie odmiany istnienia, których nie sposób opisać. – Ziewnął.

Na jej twarzy odmalowało się obrzydzenie. Oddech miał świeży, ale wyczuwało się w nim tchnienie pustki. Poczwała, że jej moc znika w tej próżni. Uśmiechając się wyrozumiale, odsunął się od niej i posłał jej spojrzenie pełne smutku.

– Tak, musimy porozmawiać – powiedział. – Jesteśmy w bardzo niebezpiecznym położeniu. Musimy porozmawiać jak najszybciej. Dlatego pominię już te obrzydliwe rozkosze, w których tarzałaś się z Re, mimo że zapłaciłem za nie życiem.

– Ja pominię twoją noc z Neftydą.

Ozyrys pokiwał głową.

– To, cośmy uczynili, jest bez znaczenia. Nie mogę rządzić u twego boku, dopóki nie złączysz tego, co rozszarpano czternaście razy.

– Nietrudno będzie to odszukać – odparła Izyda. – Moja moc jest większa niż kiedykolwiek.

– O nie – odrzekł Ozyrys. – Zawsze brak nam jeszcze jednej mocy. – I znów uśmiechnął się smutno. – Wszystkie moje szczątki trzeba znaleźć i zabalsamować w ciągu czternastu lat.

– A jeśli zabierze nam to więcej czasu?

– To spadną na ciebie cierpienia Seta. Wybieraj między grzotem a błyskawicą.

Tak więc Izyda wróciła nad Nil, a Ozyrys, panując w pełni nad pustką umarłych, rządził za nią. Niebiosa pędziły żywot spokojny i rozrywek było niewiele. Sprawy toczyły się pod spokojnym niebem. Re kiwał głową dawnym wyznawcom, wyruszając każdego ranka w podróż, na zebraniach bogów zaś Izyda siadała z dala od Ozyrysa. Jej uroda zaczynała więdnąć.

Okazało się, że trudno odszukać wszystkie części ciała Ozyrysa. Ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego roku nic nie znalazła. Przez trzy lata nic. Polowała z Anubisem w odległych pustkowiach, ale psy, które wypuszczała, okazały się mało pomocne. Odznaczając się mądrością szakala, Anubis mógłby nauczyć swoje sfory, jak wyszukiwać niemal niezauważalny trop, ale umarli nie zostawiają woni. Nawet przepaska na biodra wydzielala tylko słabiutką woń Izydy – co sprawiało, że psy omal jej nie rozszarpały.

Nic więc nie znaleźli. Może Maat zdecydowała, że każdego roku wolno jej znaleźć tylko jedną część ciała? Ponieważ Set już raz podrzucił trzy części pod jej obozem w Buto, więc może pogodzić się z myślą, że czwartą znajdą z nastaniem czwartego roku poszukiwać?

Anubis spytał ją, co zrobiła z trzema szczątkami Ozyrysa, a gdy wyznała, że złożyła je w natrycie, sama zdumiała się własną odpowiedzią. Jedenaście jeszcze nie odnalezionych kawałków dawno już mogło się rozłożyć, ale musi postępować tak, jak gdyby jeszcze istniały. Może więc założyć, że każdy kawałek z osobna wykazał dość roztropności, by spłynąć w kierunku bagien, gdzie mógł liczyć na konserwujące go działanie soli. Tak więc szukając ich, powinna skupiać uwagę na rozlewiskach, korytach rzek, zakolach i bagnach bogatych w natryt.

Ale nawet przetrząsając wilgotne pola pełne balsamicznych soli, nie natrafili na trop szczątków Ozyrysa. Anubis mieszał wywary z ziół, które mogły je wskazać, ale prowadziły one psy donikąd. Koniec końców wpadł na pomysł, że Horus, dziecko poczęte przez martwego boga, może dziedziczyć jakąś cząstkę zapachu ojca, to znaczy brak takowego.

– Nie wiem, czy psy przeżyją taką pustkę – brzmiała odpowiedź Izydy.

Niemniej zdjęła suknię i dała ją Horusowi do zabawy. Żuł ją, tarzał się po niej, owijał nią i zwrócił doszczętnie podartą. Nałożywszy ją, Izyda namaściła się mandragorą i wzmocniła jej zapach mirrą, by – podczas gdy ona zaśnie – szata nabrała intensywnego zapachu i mogła wyruszyć ku zagubionym szczątkom Ozyrysa.

O świcie Anubis rzucił szatę psom. Psami wstrząsnęły straszne konwulsje, które tak wyostrzyły węch, że każdego następnego ranka z łatwością znajdowano pozostałe części Ozyrysa. Nie można jednak przypisywać wszystkich zasług psom.

Głowa Ozyrysa, którą znaleziono jako pierwszą, wciąż jeszcze miała w ustach kciuk Seta i Izyda mogła wykorzystać go jako ster na swej łodzi. Czy to dzięki sterowi Seta, czy też węchowi psów odnalezienie szczątków zajęło im dzień i resztę roku mogli poświęcić na budowę grobowca.

Naturalnie niełatwo było znaleźć kapłanów do takich zadań. Wielu obawiało się Seta. Napotyając obiecującego kapłana, Izyda mówiła mu zazwyczaj:

– Weźmiemy ten boski szczątek i dodamy doń resztę postaci z wosku. Ty jeden będziesz wiedział, że spoczywa tu tylko czternasta część Ozyrysa. Ale ta część będzie jak całość, a ty zostaniesz arcykapłanem w tej prowincji Egiptu.

Umowę pieczętowała pocałunkiem. Zawsze mierzyły ją takie gesty. Boskość spływała z jej ust i wchodziła w usta kapłana w tej samej chwili, w której jego wola ulegała jej. Od tej chwili wykonywał wszystkie rozkazy. Mimo to gorzko płakała, zmuszona całować czternastu śmiertelnych mężczyzn, zachęcając ich do wybudowania czternastu grobowców. Ślad tych kapłanów, narodzonych z czternastu raczej przeciętnych kobiet, bruździł jeszcze bardziej jej boskie rysy. Pocięszała się tylko tym, że wszystkich czternastu kapłanów oszukała. Każda z części ciała Ozyrysa, którą im wręczała, także została wykonana z wosku. Kawałki prawdziwego ciała zamknięte w skrzyni z natrytem pozostawały jej tronem w czasie podróży po Nilu.

Pierwszego dnia czternastego roku Izyda, Anubis i ich sfera odnaleźli ostatni wilgotny skrawek Ozyrysa w parujących bagnach Yeb, a na ziemi dostrzeżono zaćmienie słońca. Izyda zadrżała ze strachu na myśl o światach, jakie miały nadejść. Noga Ozyrysa zeszywniała w jej uścisku, jakby pragnęła iść dalej sama. Potem wypadła jej z rąk, a w chwili gdy wypadła, Izyda ujrzała w nagłym przebłysku przyszłe wojny między Horusem a Setem. Nieszczęścia wciąż jeszcze czyhały na jej rodzinę. Izyda wróciła do swej papirusowej barki przez parujące solanki i dołożyła nogę do reszty członków. Owinęła ciało, a wieczorem przywołała siostrę Neftydę oraz Maat i Tota. Razem z Horusem zabili byka, by uciąć kres klątwy Seta.

Horus, który miał teraz lat czternaście, a odznaczał się silną klatką piersiową i słabymi nogami, otworzył Ozyrysowi oczy i usta, a był to pierwszy obrządek otwierania ust, jaki widziano na świecie. Horus powiedział:

– Niechaj Ka Ozyrysa wyjdzie z oczu i ust jego nowej cielesnej powłoki.

I Ka Ozyrysa przeszedł do nich, pojawiając się zaś roztoczył zapach najświetniejszych ogrodów Egiptu. Tego wieczora ucztowali. Następnego ranka ruszyli ku niebiosom, gdyż Ozyrys z niepokojem spoglądał na zapowiedź burzy.

O świcie usłyszeli grzmot i ujrzeni błyskawicę.

– Przybywamy w samą porę – powiedział.

IV

– Jeżeli sądzisz – rzekł Menenhetet I – że już zostałeś wtajemniczony, to ostrzegam, że się mylisz. Opowieść, której wysłuchałeś, to tylko drobna igraszka światła na powierzchni wody. Oczywiście, to wszystko prawda, ale za każdą tajemnicą, którą objaśniłem, kryje się inna tajemnica. Na przykład ja sam byłem jednym z czternastu kapłanów całowanych przez Izydę. Było to tysiąc lat temu, ale natchnęło mnie odwagą, by dociekać wielu zabronionych spraw.

Siedzieliśmy w milczeniu, a ja zdawałem sobie sprawę z tego, jak dalece ułomna jest moja pamięć i oblewałem się rumieńcem wstydu. Czułem się jak kaleka bez jednej ręki i nogi, który próbuje osiodłać konia. Nie rozumiałem jego życia. Kłamał? Czy naprawdę był kiedyś kapłanem całowanym przez Izydę? Czy był generałem, który wygrał tyle bitew, że mógł sobie żyć spokojnie i dostatnio dzięki samym tylko podarkom, które otrzymał z rąk faraona? Zdaje się, że coś takiego obilo mi się o uszy. Ale który to był faraon? Mój gniew na Hatfertiti był równie wielki, co chęć ujrzenia jej, choćby po to, by ją wypytać o różne drobiazgi. Dlaczego nie pamiętałem niczego o moim pradziadku? Ponownie ogarnęło mnie przygnębienie.

A on rozparł się wygodniej w fotelu i po raz pierwszy zauważyłem (bo też po raz pierwszy na tyle przestałem się go bać, by spojrzeć na niego, a nie tylko na jego oczy), że nogi fotela były ze złota i że odlano je w kształcie przednich i tylnych łap lwa. Menenhetet miał oblicze lwa – istotnie biła zeń godność starego generała, żyjącego wspomnieniami minionych sukcesów.

– Tak – powiedział. – Człowiek ma prawo do zadowolenia z własnych osiągnięć, jeżeli rodzi się jako syn kurwy, a mimo to wyróżnia tak dalece, iż zyskuje moc rozkazywania Złotemu Re, Koniom Seta, Ukrytemu Amonowi i Kuźni Ptaha. Cztery wielkie dywizje o tych nazwach były niegdyś pod moim dowództwem. A zacząłem jako prosty żołnierz. Ostatecznie dziecko kurwy zna się na życiu lepiej od zwykłych dzieci. Moja matka zaznała wielu uścisków, toteż miecz mój zawsze był gotów skrzyżować się z innym mieczem. Byłem bystry i nauczyłem się myśleć w sposób nie znany innym. Ostatecznie należałem do grona kochanków własnej matki.

– Mojej też.

Chrząknął. Mrugnął. Przycisnął dłoń do czoła, drugą złapał się za krocze. Gest był wulgarny, dowcip toporny.

– Jako na górze, tak i na dole – wykrztusił.

Nagle zmiany tonu z jednej strony raziły mnie, a z drugiej wprawiały w zakłopotanie. Na eleganckiej powierzchni jego manier widniała rysa, przez którą od czasu do czasu sączyły się najgorsze jady starczej myśli.

– Tak – powiedział. – Byłem kochankiem twojej matki. Twoja matka była bardziej namiętna od mojej.

Jego uciecha uraziła moją godność. Roześmialiśmy się razem. Byłem przerażony, widząc taki brak charakteru u mojego Ka. Byłem jak wiecheć wyrwanej trawy niesiony pustynnym wiatrem.

– Naprawdę zostałeś jednym z czternastu kapłanów Izydy? – wyrwało mi się. – Czy okłamałeś mnie?

– Okłamałem cię. Podróżny przybywający z dalekich stron to wieczny kłamca. – Uśmiechnął się. – Nie byłem żadnym z czternastu kapłanów Izydy, a moja matka nie była kurwą. Była chłopką.

Niezupełnie jednak kłamałem. Umarli mogą pozostawać przy życiu wyłącznie dzięki starannemu powtarzaniu własnej historii. Tak więc, każdego roku na brzegach Dat Izyda przechodzi obok nas i wybiera sobie czternastu mężczyzn, którzy byli kapłanami, powtarzając pocałunek, który kiedyś legł u podstaw świątyni poświęconych jej mężowi. Mnie wybiera zawsze dlatego, że zjawiła się przede mną, gdy byłem w transie, jeszcze za życia, i padła w me objęcia.

Nonszalancko strzelił palcami, arystokratycznie, ale i ze znużeniem, jak gdyby pokazując, iż ręka, która ongi dźwigała najcięższe miecze, nie była już w stanie zerwać kwiatuszka.

– Bogowie – powiedział zmęczonym głosem – są zdolni do wszystkiego. I wszystko robią.

W nagłym przypływie gniewu dodał:

– Dlatego potrzebują Maat. Gdyby nie Maat, nie byłoby widać końca spustoszeniom, jakie sieją. Ani dzikim namiętnościami, którymi zarażają ludzi, zamieniając się w zwierzęta. Najgorsze jest to, że ich przekształcenia zależą od gówna, krwawych ofiar i pierdolenia się, a niczego nie szanują. Wcale nie zdają sobie sprawy z tego, że magia posłuszna jest najgłębszym zasadom.

Wyszeptałem cicho, że nie rozumiem, o czym mówi. Popatrzył na mnie i rzekł:

– Podczas prawdziwej przemiany nie zyska się wiele, jeśli nie jest się w stanie zaryzykować wszystkiego. Tak się zdobywa najwspanialsze łupy. Nie warto kupować paru słów magicznej mocy, wypowiadać ich nad barwnym proszkiem, rozsiewać go na piasku i prosić tylko o to, by wieczorem przyszła do nas tancerka. Dziewczyna na pewno przyjdzie i nawet zatańczy u twych drzwi, ale jeżeli nie posiadasz prawdziwej mocy, to zostawi ci tylko zapalenie członka i jajeczka robactwa we włosach między udami. Za magiczną moc trzeba płacić. Posyp piasek barwnym proszkiem, ale przysięgnij także, iż następnego dnia pomścisz mieczem pierwszą obelgę, jaka cię spotka. Bądź tej przysiędze wierny, bez względu na to, czy dziwka przyniosła ci rozkosz, czy cierpienie. To zobowiązanie. Rozważ ryzyko. Trzeba być wiernym przysiędze we wszystkich sytuacjach. Nikt nie może żyć tylko dzięki minionym zasługom.

– Nikt?

– W mocach magicznych – nie. W pobożnej kontemplacji – tak. Popatrz na przykład Izydy. Była pod każdym względem szlachetnie i wysoko urodzona, lojalna jako żona, dzielna jako żołnierz, znała się na magii, przejawiała silną wolę. Ale koniec końców (wiadomo, że po każdym spotkaniu z czarną magią czyha na nas najgorsza zasadzka) zdradziła własną rodzinę.

– Nie zdradziła.

– Pozwól, że powtórzę. Istnieje magia, którą wywołujemy i magia, która na nas spływa. Czy pamiętasz, jak Izyda upuściła czternastą część ciała na bagna Yeb i ujrzała w nagłym przeblysku wszystkie przyszłe wojny Horusa z Setem? Odczytała to jako ostrzeżenie, że trzeba będzie znaleźć odpowiednią ofiarę, albo nie będzie pokoju. Usłyszała głos wewnętrzny, który kazał jej poświęcić wólu, ale gdy go zabijała, głos powiedział, że ta ofiara nie wystarczy, by się przeciwstawić złowrogim mocom Seta. Musi jej sprawić większy ból. Musi odciąć własną głowę i zastąpić ją głową byka.

Menenhetet zachichotał. Gdy spytałem, dlaczego się śmieje, odpowiedział:

– Myślę o straszliwym stworzeniu, które skrywa się pod postacią Maat. Zasadę równowagi rozciąga tak dalece, że staje się ona torturą. Izyda oczywiście zaprotestowała. Nie omieszkała przypomnieć swoich osiągnięć i czternastu lat poszukiwań. Tak przekonywająco przedstawiła swe osiągnięcia, że Maat zmniejszyła jej karę. Izyda miała już tylko przyłożyć czoło do owłosionego sklepienia między rogami byka. Z biegiem lat na pewno wyrosną jej rogi, a jej rysy zaczną upodabniać się do krowich.

Izyda nie zgodziła się. Po czternastu latach spędzonych z Anubisem męczyła ją brzydota, z jaką obcujemy, codziennie spoglądając na pospolitą twarz. Próżność Izydy w tej godzinie okazała się

silniejsza niż jej lojalność wobec Horusa. Ofiarowała więc po prostu byka, a gdy uroczystości pogrzebowe się skończyły, Ozyrys zmartwychwstał i wrócili przez burze na nowy dwór Ka Ozyrysa, by wychować syna, przygotowując go do przyszłych wojen przeciw Setowi.

Ponieważ moc Seta osłabła, żar jego gniewu nie wypalał już ziemi. Po corocznej powodzi Egipt rozkwitał tak wieloma oazami, że zrastały się one ze sobą w lasy, Horus zaś, poczęty na pełnym morzu, świetnie czuł się w wilgotnym klimacie i rósł w siłę na swój niezgrabny sposób. Ramiona miał silne jak niedźwiedź, ale poruszał się jak małpa. Przygarbiony, na słabych nogach, czuł się pewnie tylko na drzewach albo wśród bagiennych wyziewów. Nigdy nie uśmiechał się, nawet odpoczywając. Rosnąc poświęcał bowiem wszystkie siły temu, by zyskać jeszcze większą moc. Nie pozwalał sobie na przykład na śmiech. Śmiech rozluźniał mu mięśnie i sprawiał, że nazbyt wiele jego mocy wracało z powrotem do ziemi.

Tu głos mego pradziadka zbliżył się do mnie i razem zaczęliśmy wędrówkę po myślach Horusa, który cierpiał z powodu słabości dolnych kończyn i nasłuchiwał wieści o wojnie. Wielu sądziło, że bitwa zostanie stoczona między Ozyrysem a Setem, ale bogowie ustalili po radzie, iż Ozyrys jest zbyt cenny, by ryzykować, że zginie. Ka to tylko jedna z siedmiu dusz i duchów żywej istoty i dlatego w starciu z żyjącym człowiekiem musi walczyć z siedmiokrotnie przeważającymi siłami.

Oczywiście wielu bogów było zdania, że należy zapobiec walce, gdyż Set nie jest jej godzien. Wyglądał jak zbójca. Utył, a pod rudymi kudłami lśniła nalana twarz. Skórę miał czerwoną jak burak, a brodę barwy ciemnej krwi. Twarz i ręce pokrywały mu wrzody, a na nosie pulsowały nabiegłe krwią żyłki. Był przerażająco silny, ale śmierdział potem i cuchnęło mu z ust, gdyż pijał wyłącznie wino z nieczystych winogron. uprawiał winorośl zraszana krwią złodziei, którzy byli na tyle szaleni, by okradać świątynie, a potem padać łupem lwów we własnych kryjówkach. Pijąc wino z winogron wyrastających na gruncie zroszonym krwią złodziei, oddychał z łoskotem burzy. Jadał mięso dzików, plamiąc palce jego sokami, by ręka nie ześlizgiwała się po rękojeści broni. Sypiał na starych skórkach, tak śmierdzących, że śludzy uciekali odeń jeden po drugim, składając przysięgę na wierność Horusowi. Nawet jego ulubiona nałożnica Puanit wstała pewnej nocy, obmyła się w Nilu i wyruszyła w kierunku obozowiska Horusa. Set ocknął się i poszedł jej śladem, ale upił się do nieprzytomności i zasnął w mule, po czym wrócił do siebie brudniejszy niż zwykle (jak gdyby Geb faktycznie był jego ojcem). Chodziły słuchy o powrocie Puanit wśród ludzi Horusa, toteż pozostała służba szydziła z Seta. Puanit opisywała czyraki na jego tyłku, jeszcze obrzydliwsze niż wrzody na twarzy. Mówiła, że ma obwisłe jaja i nazywała go pogardliwie Smu. Przez cały czas starała się uwieść Horusa, oświadczając, że gotowa jest lizać jego stopy. Obiecywała sprawić, że boskie palce u stóp staną się zwinniejsze przed nadchodzącym starciem.

Set wyrąbał swoją świętokradczą winorośl, rozpałił ognisko i głęboko wdychał jego dym. Potem dmuchnął ognisko nad kadzie z winem i wpadł w głębsze niż zazwyczaj upojenie. Wzmocniony i odurzony, poczuł się gotów do walki i ruszył na poszukiwanie Horusa.

W drugim obozie Ozyrys pytał właśnie syna, jak to zwykł czynić każdego ranka:

– Powiedz, na jaki najszlachetniejszy czyn stać cię w życiu?

– Stać mnie – odpowiadał Horus – by pomścić mego ojca i matkę za zło, które im wyrządzono.

Następnie Ozyrys zabierał Horusa na ćwiczenia, które wzmacniały jego nogi. Horus próbował na przykład udusić zwierzę między udami (jak dotąd udało mu się tylko skręcić kark cielakowi).

Tego ranka Ozyrys zadał mu nowe pytanie:

– Jakie zwierzę najlepiej nadaje się do walki?

– Koń – odparł Horus.

– Dlaczego nie lew? – spytał Ozyrys.

– Gdybym potrzebował wsparcia, wymieniłbym lwa, ale trzeba mi zwierzęcia, które mnie poniesie, gdy ruszę w pogoń za uciekającym Setem.

– Jestem gotów – powiedział Ozyrys. – Do tej pory żywiłem jeszcze wątpliwości co do wyniku walki, ale teraz jestem pewien, że mój syn zostanie panem stworzenia.

I obiecał synowi konia, jeśli zajdzie potrzeba pogoni. Potem kazał Horusowi czekać na Seta na otwartej równinie w pobliżu murów Memfis i starać się zwabić go na bagna, gdzie żaden z nich nie będzie miał pewnego oparcia pod stopami. Wówczas wynik starcia uzależniony będzie od siły ramion. Pełen wiary we własne siły Horus ruszył na spotkanie wuja. W ostatniej chwili Izyda dała mu wyschnięty kciuk Seta, który wiódł ją przez bagna. Powiedziała mu, że ten kciuk pomoże mu wyjść z najgorszej opresji, toteż powinien wykorzystać go tylko w ostateczności.

Tu Menenhetet popatrzył na mnie jakby z wyrazem rozczarowania na twarzy.

– Jaki błąd – spytał – popełniono ćwicząc Horusa?

– Nie widzę – odparłem – ani śladu boskiej inteligencji Ozyrysa.

– Nie ma jej – przyznał Menenhetet. – Ozyrys nie jest mściwy. Powiem ci w zaufaniu, że nie przepada za Horusem. Ciało Horusa nie ma wdzięku. Co więcej, Izyda także się nudzi. Ostro beszta najmłodszych bogów. Ponieważ wszyscy ją szanują jako najszlachetniejszą niewiastę, nie ma żadnych szans na flirt. Uważa co prawda, że jej syn to ucieleśnienie monotonii bagnistej siły, ale musi udawać, że do jego misji odnosi się z entuzjazmem.

Horus z kolei nie zdaje sobie sprawy z nastroju rodziców. Wiedzie życie tak nieciekawe, że perspektywa zostania królem stworzenia wcale go nie pociąga. Po ukończeniu ćwiczeń ma pustkę w głowie.

Nikt jednak w obozie Horusa nie odważy się mówić o klęsce – żaden sługa, żaden wojownik. Nie rozmawia się o rzeczywistych trudnościach. Horus nie zna na przykład uczuć, jakie targają ludźmi w trakcie prawdziwej walki. Nie wie, że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa panika może nam odebrać rozum. Nie zetknął się jeszcze z wrogiem twarzą w twarz. Poza tym Puanit też wprowadziła spore zamieszanie w jego obozie. Poza złudną wiarą we własne siły, przygotowaniom do bitwy szkodzi także cielesna rozpusta. Horus powinien poświęcić całą uwagę ćwiczeniom swych nóg. Ale zamiast tego z przyjemnością myśli o tym, jak to już niedługo Puanit będzie mu lizać palce u nóg.

Jak sugerował Ozyrys, spotkali się na polu, gdzie obecnie rozciągają się ogrody świątyni Ptaha. Wówczas był to skraj bagna, zwolennicy Horusa zaś i garstka służby Seta otoczyli kołem obu wojowników. Tot, Ozyrys, Izyda, Neftyda i czterech innych bogów mieli odegrać rolę sędziów.

Stojąc w kole czekali, a Horus spoglądał z odległości dwudziestu kroków na Seta. Nad polem zapadła cisza aż do chwili, gdy Horus nie wytrzymał i dobył miecza, przerywając ciszę niczym wąż prześlizgujący się hałaśliwie wśród muszelek. W odpowiedzi Set zaczął oddychać tak chrapliwie, jakby walka już się zaczęła. Dobył jednak miecza z pochwy szybko i ze świstem świadczącym o wprawie. Potem zbliżyli się ku sobie, powoli, a w powietrzu czaiła się ostrożność.

Tu mój pradziadek wyciągnął ramię, jakby pragnąc unaocznić mi pojedynek i ujrzałem to, co on widział.

Horus i Set zbliżyli się i skrzyżowali miecze. Gdy zadźwięczały ostrza, Horus miał przewagę. Czując uderzenia przeciwnika obaj pojęli, że Horus ma silniejsze ramiona i szybciej nimi porusza. Oddech Seta stał się jeszcze bardziej śmierzący na skutek podwójnie wzmocnionego wina. Zdając sobie sprawę z tego, że szał, czerpany z napoju, szybko minie, ruszył do ataku, chcąc zmylić Horusa gwałtownymi ruchami na prawo i na lewo, ale wnet ustał i cofnął się o krok. Każdy z nich obmyślał następny cios, każdy łapał oddech. Obaj zastanawiali się, czy i przeciwnik równie szybko

się męczy. Udawali, że chcą ruszyć na wroga, a to ruszając łokciem, a to kolaniem, ale poza zasięgiem miecza drugiego.

Horus zaczął podejrzewać, że Set jest bardziej odeń zmęczony. Czy naprawdę jego reakcje były tak spowolnione?

Horus rzucił w Seta tarczą. Zrobił to tak nieoczekiwanie, że wytrącił Setowi miecz z ręki. Skóra Seta zrobiła się fioletowosina jak zepsute mięso. Cofnął się o krok i drugi. Horus rzucił się naprzód, chcąc przebić mu serce – bardzo nieostrożny ruch. Takiego starego wojownika jak Set nie można było zaskoczyć ciosem wprost. Przykucnął, chwycił Horusa za nogę i zakręcił, by go powalić na ziemię. Potem wgniół swoją tarczę w nie osłoniętą twarz Horusa. Rozbił chłopcu nos i przebił wargi zębami. Miecz wypadł Horusowi z rąk. Set kopnął miecz, odrzucając go daleko. W odpowiedzi Horus chwycił tarczę Seta, cisnął nią, ale nie trafił. Teraz obaj byli bez broni.

Twarcz Horusa przypominała rozplątany na polu walki brzuch. Mimo to podszedł, by zewrzeć się z Setem. Starszy wojownik cofnął się jednak i zdjął pancerz z piersi, by zwinniej dopaść przeciwnika. Horus uczynił to samo. Za chwilę stanęli naprzeciwko siebie nadzy. Ponieważ obaj chcieli walczyć na bagnie, choć z odmiennych powodów, wnet zeszli z pola. Gdy doszli do mokradeł, Set odwrócił się i wszyscy ujrzeli potężną erekcję. Członek stał mu jak potężna gałąź, na którą z łatwością mógłby się wspiać dorosły człowiek. Nawet zwolennicy Horusa wyrazili swoje uznanie, gdyż erekcja w czasie bitwy zdradzała niepospolite męstwo. Świadczyła o prawdziwej odwadze, ukazując, iż wojownik pożąda walki.

Jak gdyby aprobując tę reakcję, Menenhetet rozchylił szaty i pokazał mi swojego fallusa. Poczułem się, jakby mi ktoś przyłożył tarczą Seta. Menenhetet pokazywał bowiem twardy, nabrzmiały członek. Udawałem, że go nie dostrzegam, ale poczułem się tak zmęczony, jakbym sam brał udział w walce. Płuca i wątroba zdrząły we mnie – dość dziwne zjawisko, zważywszy, że mój Ka (jak wszystkie Ka) nie miał żadnej wątroby ani płuc, ale zrozumiałe, gdyż u moich stóp wibrowały moje urny kanopskie.

– Za chwilę zrozumiesz Kert-Neter – wymruczał pradziadek, okrywając sobie uda. – Zważ wstyd Horusa – powiedział. – Już musiał się pokazać bogom z rozbitą twarzą, a teraz podwójnie go obnażono. Poniżej pasa był dość wąty.

– Popatrzcie sobie na przyszłego boga stworzenia – zakrzyknął Set i rzucił garść błota prosto w twarz Horusa. Osłepiony Horus, osłaniając się łokciami i kolaniem, potknął się o jakiś pień i upadł w bagienne wody. Set natychmiast wpełchnął mu głowę i ramiona pod wodę. Horus musiał wykorzystać całą siłę ramion, by utrzymać nos nad wodą. Słabe nogi leżały z tyłu na pieńku. Twardy fallus Seta naparł z całej siły między jego pośladki i... Ooooch! – wykrzyknął Menenhetet. – Co za przebicie! Lawa wrzała, Nil się pienił. Izyda zbladła bardziej niż papirus, a Ozyrys znów stał się przezroczystry. Horus wydał jęk niczym zwykły śmiertelnik, a Seta rozsadzała duma. Trzymając obu rękoma pośladki chłopca, palił mu ramiona ognistym oddechem i przygotowywał się do penetracji. Żaden bóg nie odważył się przemówić, gdy Horusowi groziło przepołowienie. Nie chodziło o zwykłą penetrację, o igraszki z czasów chłopięcych, gdy sprawdzaliście, kto ulegnie, a kto nie zaprzestanie oporu. Oto jeden z wielkich bogów gotował się, by wejść do męskiego łona, w którym pogrzebano czas.

– Łona? – wyjąkałem.

– W Kert-Neter – rzekł Menenhetet – istnieje rzeka fekaliowa, głęboka jak przepaść. Umarli muszą ją przepłynąć. Ka większości toną w niej, przepływają tylko Ka najmądrzejszych, najlepiej przygotowanych, najodważniejszych. Inni przepadają, płacząc nad własnymi matkami. Zapomnieli, jak z nich wychodzili. Pośród moczu i fekaliów się rodzimy i w wodzie umieramy po raz pierwszy, odpływając ku śmierci, gdy odejdą nasze wody. Ale po raz drugi ponosimy śmierć w czeluściach

Dat. Czy siedzę tu przed tobą i pierdzieć? Czy czujesz każdy odcień śmierdzących woni tych, którzy cierpieli na zaparcie, byli żarłokami, zalatywali siarką, sodą, fermentem, zarazkami, zgnilizną, chorobą, rozkładem? To dlatego, że musiałem przepłynąć rzekę fekaliów, a udało mi się tego dokonać, płacąc najwyższą cenę. Duch ludzkich odchodów wszedł do oddechu mojego Ka, czyli do moich uczuć, do moich rzadko okazywanych manier. Nic dziwnego, że moje maniery bywają tak zaskakujące, że przejawia się w nich każda przerwana rozkosz, każda krzywda spotykająca uczciwego człowieka, wszystkie zmarnowane nasiona czulej miłości, która nie wydała owoców. Przejawia się w nich nie tylko burzliwa namiętność, która nie znajduje ujścia, ale i zwoje trawiennych kiszek (choć z drugiej strony, spora część takiej namiętności obraca się w szczyne). Zresztą dość o tym! Nie zdołasz przeżyć Kert-Neter, jeśli nie zrozumiesz, że wstyd i marnotrawstwo mogą się kryć w odchodach na równi z bogactwem i subtelnością uczuć. Jak to możliwe, że ten kocioł uczuć i namiętności jest jednocześnie grobowcem? Czyż nie jest częścią łona, w którym kryje się to, co będzie? Czyż część czasu nie rodzi się przeto z konieczności pośród gównien? Gdzież indziej można odnaleźć te wszystkie niespełnione namiętności, które (zawiedzione, zaniechane, szaleńcze sądząc po odorze) muszą się teraz zdobyć na nie lada wysiłek, by stać się załączkiem przeszłości?

Nigdy nie był równie wymowny i elegancki. W blasku, jakim te słowa okryły jego skórę, przestałem dostrzegać zmarszczki. Tańczyło na nich światło. Ale im godniej wyglądał, tym mniejszym darzyłem go zaufaniem. Zbyt górnolotnie się wyrażał, by mnie przekonać. Czuję się delikatnie pobudzony płciowo: brzuch mi się zrobił sentymentalny niczym kwiat, a pośladki miałem jak z miodu. Nigdy nie było mi równie przyjemnie. Czyżbym odczuwał moc i rozkosz właściwe kobietom? Skąd taka wrażliwość na wizje wypełnionych gównem kiszek? Gdzie się podziała moja duma z fallusa posłusznego niczym ramię? W dawnych czasach sprawdzano się, wbijając silnie własny członek w dupę przyjaciela lub wroga, który nie potrafił się obronić (odrażający obyczaj). Szlachetny Egipcjanin zawsze się brzydził takimi praktykami. Zapach błota był zbyt bliski naszemu życiu – i dlatego białe płótno zdradzało dystans, jaki dzieli nas od błota (im bielsze, tym lepiej). Białe też były ściany naszych domów i twarze naszych bogów. Lekko zadarte nosy uważano za arystokratyczne. A teraz Menenhetet uwodził mnie, głosząc chwałę odrażających tematów.

– Umarłeś – powiedział – i pierwszy szok przeżyjesz stwierdziwszy, że pragniesz tego, czym uprzednio pogardzałeś. Ja sam przeżyłem tylko dlatego, że przepływając Dat pokonałem wstręt.

Przemawiał tak łagodnie, że moje słodkie podniecenie przemieniło się w nieoczekiwaną czułość dla Menenheteta (był to pierwszy życzliwy odruch, na jaki się wobec niego zdobyłem). Uspokoilem się. Chciałem odczuwać sympatię do choćby jednej osoby. Pradziadek powrócił jednak do opowieści o Horusie i Secie, jak gdyby dając do zrozumienia, że nie dba o takie czułości.

– Czy udało mu się wygrać? – spytał Menenhetet. I sam sobie odpowiedział: – Jeszcze nie, jeszcze nie tutaj. Horus posiadał wciąż, o czym musimy pamiętać, stary kciuk Seta, który Izyda przywiązała mu do bujnej czupryny. Z opuszczoną głową, z pałą Seta dobijającą się do jego zwieracza wiedział, że jeżeli nie umknie, z jego trzewi wykrojona zostanie Kraina Umarłych. Wyciągnął więc rękę, wydarł sobie kępkę włosów z kciukiem i pomachał nią w powietrzu. Setowi ustąpiła erekcja. Jego penis stał się nagle malutki niczym obcięty kciuk, Horus zaś, wzburzony (nareszcie) i ogarnięty boskim szałem wobec niedoszłej hańby, chwycił jądra Seta z taką mocą, że niebiosa wzburzyły się na wieki. Nagły łoskot burzy daje nam wyobrażenie o zaciekłości, z jaką Set oddał cios, uderzając Horusa w czoło i zniekształcając mu twarz tak, że oczy wyszły mu na wierzch i wyglądał jak hipopotam.

Wtedy zaczęła się całkiem inna walka. W boskich zmaganiach przekształcenia są częste i bogowie starają się zaskakiwać swoimi przeistoczeniami, ale bywa i tak, że muszą być gotowi przedzierzgnąć się w bestię, którą zaczęli przypominać bez względu na to, czy tego chcą, czy nie. Tak więc w chwili gdy Set omal nie wydarł Horusowi oczu, nadając jego twarzy wygląd hipopotama, Horus musiał się zamienić w to nie znane sobie zwierzę.

Walczyli na bagnie, hipopotam przeciw hipopotamowi, kwicząc, porykując dziko i wydając przerażające odgłosy. Członki mieli tak krótkie i mocne, że w chwili gdy wgrzali się w ciało przeciwnika, widok był równie odrażający jak świń przy korycie.

Ale sędziom to nie przeszkadzało. Ta część walki miała polegać na tarzaniu się w mule, wdychaniu najbardziej cuchnącego powietrza, osuszaniu bagien i splukiwaniu brudów Nilu. Gdyby walka trwała dłużej, bardzo by oczyściła kraj, ale Set wnet ją wstrzymał. Oklejająca go maź zaczęła go podniecać. Za szybko opadała zeń wściekłość. Set doszedł do wniosku, że Horus, który był młodszy, łatwiej ulegnie pokusie podniecenia, gdy zewrą się tak ośliżli, ale Horusowi taka spocona bliskość była niemiła. Chciał zatopić zęby w Secie – a nie ocierać się torsem – i dążył do chwili, jasnej i pięknej, gdy poprzez wściekłość i trud poczuje smak krwi przeciwnika. Obnażył dolne zęby, zwarł chrapy, a skóra jego jakby w odrzynie wobec takiej oleistej bliskości pokryła się szczecina. Dolne zęby przypominały kły. Zmienił się w dzika.

Obserwujący walkę bogowie zgotowali mu owację. Wybór zwierzęcia, które tak dalece przypominało Seta, świadczył o odwadze, a ponadto był przejawem inteligencji, gdyż nie pozwalał Setowi zakończyć walki. Horus wybrał znakomicie. Czyż nie przypominał właśnie w tej chwili dzika? Obaj z Setem wypadli, szarżując, z bagna i biegli polem rozdzierając sobie boki, kłując wściekle, dysząc i chrapiąc, zadając sobie takie rany, że krew aż tryskała za każdym razem, gdy się zwarli.

Ku zdumieniu wszystkich szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę Horusa. Bóg, podobnie jak człowiek, jest najmężniejszy w chwili, gdy odkryje swą wartość. Horus nie był już ponury – nie obawiał się walki. Jakaż radość go wypełniła! Podobało mu się nawet oszołomienie bólem. Za każdym razem, gdy Set rozdzierał mu skórę, wydawał jeszcze wścieklejszy okrzyk. Oczy zwięzły mu się w krzaczastych oczodołach i wyglądały jak dwa płonące klejnoty. Złamany nos przypominał czerwone rozkrwawione usta, zęby zaś przebijające przez rozbite wargi lśniły w kolczastej obroży. Set uciekł. Ścigany szyderczymi okrzykami widzów oddalił się na tyle, by mieć czas na ostatnie przeistoczenie. Wrócił na pole bitwy jako czarny niedźwiedź. Trudno było zrozumieć ten wybór, gdyż sądząc po budowie ciała, Horus mógłby łatwiej przeistoczyć się w to zwierzę, lecz rany tak doskwierały Setowi, że szukał jak najgrubszej skóry, zatapiając się w mięsie i tłuszczu niezniszczalnej niemal powłoki niedźwiedzia. W niej zaczął się bronić.

Zmagania dwóch niedźwiedzi trwały dzień i noc i nim się skończyły, upłynęły trzy dni i trzy noce. Horus trzymał Seta w morderczym uścisku i skazał go na długie, okropne męczarnie. Wraz z upływem krwi Set tracił siłę niedźwiedzia. Aby wytrzymać ból, wspominał nieskończoną gorycz własnego życia i dzięki temu pokonał chęć poddania się. Zniósł nawet uniesienie Horusa, który tryumfował już, ciesząc się wszystkim prócz samego zwycięstwa i dlatego przygniatał po prostu swoim niedźwiedzim ciałem bezwładne niedźwiedzie ciało Seta. Następnie Horus zatopił zęby w karku Seta i sycił się tym objawieniem smaku krwi wroga, po czym padł ze zmasakrowaną twarzą w splątane kudły przeciwnika.

Rankiem czwartego dnia sędziowie okrzyknęli Horusa zwycięzcą i przynieśli mu sznury. Łamiącym się głosem kazał im przywiązać Seta do pala na stosie, a kiedy skończyli, Set leżał skrepowany na wznak, patrząc w niebo. Stopniowo, jak światło o świcie, powrócił do postaci rannego mężczyzny oczekującego śmierci na pobojuwisku. Horusa natomiast poniesiono na

ramionach do rzeki, gdzie przyjaciele obmyli mu rany i oczyścili zmasakrowaną twarz. I on stopniowo tracił postać niedźwiedzia. Potem Horus spał dzień i noc wypełniony radosną świadomością, że Set nie ucieknie, gdyż czuwają nad nim wierni strażnicy Izydy.

Mój pradziadek zamilkł, jak gdyby jego słowa były moimi słowami. Opowieść jednak nie ustała. Trwała dalej, nie zubożona nawet o odcień pojedynczej myśli.

V

Horus spał smacznie. Była to noc uczty i bogowie wiwatowali za każdym pojawieniem się Izydy z Ozyrysem. Po raz pierwszy od wielu lat Władca Umarłych dotknął dwoma palcami łokcia żony (prastary gest oznaczający cielesne pożądanie w trakcie oficjalnych uroczystości), ale Izyda miała przeczucie dalekie od wizji małżeńskiej rozkoszy.

– Czy wiesz – powiedział Ozyrys – że chłopak sprawił się lepiej, niż tego oczekiwałem? – Doszedł do wniosku, że zwycięstwo ma jeszcze jedną zaletę, tę mianowicie, że umożliwia mu pokochanie syna.

– Obawiam się, że Set ucieknie – odparła Izyda, a gdy zasypiali, nie mogła sobie znaleźć miejsca i poszła na spacer, podczas gdy Ozyrys zastanawiał się nad przyczynami jej niepokoju. Ujrzał twarz swego pierwszego syna Anubisa i westchnął cicho, jak liść nasłuchujący pierwszych podmuchów leciutkiego wietrzyku. W westchnieniu tym kryła się świadomość, że umysł Ozyrysa jest co prawda czysty jak srebro i lśniący jak księżyc, ale że jego boska moc nigdy nie sięgnie niczego, co się wiąże z Setem. Moc tę utracił tej samej nocy, kiedy kochał się z Neftydą. Nie można igrać z uczuciami brata, nie wywołując zarazem poważnych zakłóceń w niebiosach.

Kiedy Izyda dotarła na pole, gdzie leżał przywiązany do pali Set, odesłała strażnika i usiadła w świetle księżyca. Set nie drgnął nawet na jej widok. Jego ciało wciąż jeszcze oklejone było krwawymi skrzepami. Trudno więc było wymawiać mu zbrodnie i lata cierpień, jakie spowodował. Izyda stwierdziła ze zdumieniem, że rozmyśla o młodym nagim ciele swojej siostry Neftydy, leżącej u boku Ozyrysa, i że wpada w zdumiewająco silny szal.

– Cierpię – rzekła Izyda sama do siebie – za wszystkich, których ranią cudzołożnicy. – Przestała gniewać się na brata. Poczowała siłę ciszy, jaka między nimi zapadła. Usłyszała wówczas słowa Seta:

– Siostro, przetnij moje więzy.

Pokiwała głową. Czuła pokorę. W świetle księżyca Izyda przecięła więzy krępujące Seta, a ten powoli wstał i zaczął nieoczekiwanie i z dziecięcym przejęciem gestykulować, udając, że wkłada sobie kciuk do ust. Z palców sypały mu się iskry i spostrzegła, jak wracają mu siły. Potem Set kiwnął jej ręką na pożegnanie i odszedł.

Izyda nie zdawała sobie sprawy z tego, co uczyniła. Okazując Setowi tę niefortuną wspaniałomyślność, zaczęła ponosić karę za niezłożenie ofiary, którą zalecała Maat. Nie mogła powrócić do Ozyrysa i błąkała się po nocy, niepomna tego, co ją może spotkać. Obudzony złymi myślami matki Horus przyszedł rano na pole i stwierdził, że wuj zniknął.

Biedny Horus. Do chwili pojedynku doznawał wyłącznie uczuć skąpych jak pożywienie chłopów zatrudnionych w jaskiniach – korzonki, pędraki i wędzone chrząszcze były jedynym pokarmem jego serca. Ale oto dane mu było ucztować, rozkoszując się smakiem własnego zwycięstwa. Dał się ponieść wybuchowi słusznego gniewu.

– Gdzie moja matka? – zaryczał głosem donośnym i przypominającym najgorsze z ryków Seta. Nie miał trudności z odszukaniem jej. Wszyscy, którzy widzieli Izydę, odwracali od niej wzrok. Patrząc na nich, z łatwością odszukał ją w lesie.

– Kto wypuścił mojego wroga? – spytał.

Wtedy Izyda przestraszyła się i odpowiedziała:

– Nie mów takim tonem do własnej matki.

Usłyszał strach, który miała zamiar ukryć, i powodowany chwilowym impulsem, dobył miecza i uciął jej głowę.

– Teraz, gdy jestem zwycięzcą, nigdy już nie będę się wahał – zaczął, ale zalał się łzami i płakał gorzko jak nigdy w życiu. Unosząc ze sobą głowę matki, Horus uciekł na odludzie.

W tej samej chwili reszta ciała Izydy zamieniła się w posąg z kamienia. I w takim bezgłowym stanie pozostała.

Nigdy dotąd Ozyrys nie był wystawiony na tak ciężką próbę. Potrafił zrozumieć czyn żony jako boską reakcję na jakieś powikłania w porządku świata, ale nie umiał wybaczyć Horusowi. Miałem rację, myślał Ozyrys, nie ufając synowi. Cóż to za nieokiełznany temperament! Poczęty w chłodzie mego ciała jest dziki jak chwast.

– Przyszły pan stworzenia jest dziki jak chwast – powtórzył Ozyrys, a przecież nie zwykł był niczego powtarzać. Nie wiedział jednak, co począć. Perspektywa wiecznego małżeństwa z bezgłowym posągiem była straszna. Jak tu pomścić taką żonę? Nie mógł jednak puścić tego Horusowi płazem. Zapanowałby nieład. Ozyrys dał więc słowo, że syn będzie ścigany.

Set pierwszy ruszył w pościg. Wyruszył jako wojownik w średnim wieku, którego rany ledwo się zablźniły. Odzyskał jednak wiarę we własne siły. Gdy Izyda rozcięła jego więzy, poczuł jak wielka moc spływa od niej ku niemu i modlił się o siłę szlachetną i ogromną. Rzekł Ukrytemu:

– Władco Niewidzialnego, pozwól mi pomnożyć tę wielką moc, która spływa ku mnie od Izydy zdradzającej syna. Niechaj błyskawica będzie jako pięć ramion tam, gdzie dotąd była jak pięć palców.

Niebiosa odpowiedziały spokojnie:

– Włóż kciuk, który wciąż należy do ciebie, do ust.

Set postąpił, jak mu nakazano, czując jak balsam wlewa się w jego rany, podczas gdy z ośmiu wolnych palców poleciały mu iskry. Był więc pełen wiary we własne siły, ruszając na poszukiwanie Horusa.

Ale do starcia nie doszło. Set odnalazł młodzieńca pogrążonego w odrętwieniu i żalu. Nie zmarnował okazji. Natychmiast wydrapał Horusowi oczy (wciąż jeszcze osłabione walką). A Horus zaczął biegać w kółko (gdyż zawirował nim ból osłepienia), podczas gdy błyskawica głośniejsza niż spadający gwałt wstrząsnęła ziemią, nabiegłe zaś krwią oczodoły Horusa zazieleniły się jak świeża trawa. Set przeraził się własnej mocy sprowadzonej modlitwą i porzucił myśl o tym, by zabić Horusa. Pochwycił głowę Izydy i uciekł. Horus, ruszywszy w pogoń, spadł ze skały na skraju lasu i po omacku zaczął wędrować przez pustynię.

Ale Set był już daleko. Mimo odniesionego sukcesu nie wyzwolił się z lęku przed swą nową mocą. Wyjął więc oczy Horusa z woreczka, w którym je trzymał, i zasadził w ziemi. Natychmiast wyrosły jako lotosy, rośliny, których dotąd nie znano (lotos miał się wnet rozprzestrzenić i zostać królewską rośliną faraonów). Przyglądając się lotosom, Set odczuł pokusę zbezczeszczenia głowy swej siostry. Ten sam głos, który uprzednio kazał mu wsadzić kciuk do ust, kpił sobie teraz z niego:

– Jesteś zbyt dobry dla swych wrogów – mówił głos. – Nie osłabiaj tego, co kryje się u korzeni twego temperamentu. Splam ją. Zbezczeszcz jej ciało.

Od odbytu po pępek Set odczuwał boskie swędzenie. Żołędź jego penisa przypominała śliwkę gotową do pęknięcia. Pożądanie było najczystszyim uczuciem, jakie znał – impulsem do rozmazania nasienia na kimś innym. Ale przerażony oderwał się od głowy Izydy i konwulsyjnie wykręcony, zaczął się onanizować nad polem sałaty.

– Och – wyszeptał głos – popełniłeś błąd.

Set nie słuchał. Co robi onanista? Ochłonawszy, spokojnie opuścił milczące opryskane warzywa i wrócił do Memfis, ale z każdym kolejnym dniem rosła w nim chęć opychania się sałatą, jakby to było jego ulubione mięsiwo.

Tuż po powrocie Set powierzył głowę siostry jej bezgłowemu posagowi. Izyda nie chciała przyjąć daru, nie ufała mu. Milcząca, uwięziona w kamieniu, czuła, że głowa została splamiona. Tot, który był jej lekarzem, gdy inni bogowie zajęci byli poszukiwaniem Horusa, także żywił wątpliwości. Tot, o cienkich ramionach i twarzy pawiana, był pewnie najmniej męski pośród bogów – ostatecznie był mężem Maat – ale pełnił także funkcję Nadzorcy Pisarzy i Władcy Słów. Oczywiście tylko on wiedział, jak przemawiać do posagu. Spędzając długie godziny z Izydą, zaczął delikatnie dotykać rękoma kamienia. Izyda zaczęła rozmawiać. Tot okazał się świetnym słuchaczem. Dotknawszy palcem kamienia, czekał na odpowiedź. Wsłuchiwał się w odcienie ciszy. Iluż to ludzi potrafi odróżnić jeden rodzaj ciszy od innego?

Ponieważ posąg Izydy nie miał oczu, by płakać, łzy mogły spływać tylko z jej piersi. U każdego sutka pojawiła się kropla wilgoci. Tot położył na nich swe ręce. Podczas czuwania zaznajomił się z kształtami jej ciała, a choć niewiele mógł powiedzieć o gładkości jej skóry (która była ongi delikatniejsza niż patyna marmuru), palce jego z lubością prześlizgiwały się po szorstkim kamieniu. Podobnie jak wielu przyszłych pisarzy czuł się nieswojo sam na sam z drżąca kobietą. Drżenie bardziej go podniecało. Gdy tylko zapalono jakieś kadzidła, płuca jego szukały najostrejszych dymów – drobne dolegliwości cielesne pomagały mu myśleć. Do tego stopnia, że porobiły mu się odciski na palcach, którymi zbyt długo pocierał o kamień.

Obejmując posąg, Tot często dotykał czołem uda Izydy. Zastanawiał się, o co chce zapytać, i starał się formułować pytanie tak jasno, by myśl zdołała się wedrzeć w nieme występy kamienia. Następnie Izyda, prędzej czy później, udzielała odpowiedzi. Nie słowami jednak. Zamiast słów do jego umysłu napływały obrazy, początkowo mgliste, ale potem mgła się unosiła i Tot widział wyraźną odpowiedź.

Kiedy więc spytał, czy chce, by głowę zwrócić ciału, kamień nie udzielił mu jasnej odpowiedzi i w umyśle jego popłynęła zmacona rzeka. Gdy wody się uspokoiły, oczom Tota ukazały się odrażające pośladki Seta w trakcie defekacji. Kamień wypowiedział się na temat głowy.

Taki upór zaniepokoił Tota. Starał się więc uspokoić bieg swoich myśli. Począł sugerować, że może nie życzy sobie własnej twarzy, ale zechce skorzystać z twarzy jakiegoś ptaka, zwierzęcia, owada lub kwiatu.

Kazała mu czekać na odpowiedź, ale koniec końców pozwoliła mu w myślach krążyć po ścieżkach w dżungli. Tot, który był zbyt przyzwyczajony do siedzącego trybu życia, by móc odbywać długie marsze, ze zdumieniem przyglądał się dziwnym zwierzętom i ptakom, które przemykały przed jego zamkniętymi oczami. Nigdy nie widział łąk tak zielonych, wzgórz tak stromych. Jawiły mu się olbrzymie owady, powiewały liście papirusów. Potem ujrzał rogi gazeli i kobrę. Następnie na pastwisko wyszło stado krów, a gdy się zbliżył, w polu widzenia została tylko jedna. Widział jedynie jej głowę, śliczną i delikatną, a potem usłyszał pierwszy dźwięk wydany przez kamień. Przeżuwający wszystko głos, pachnący świeżą trawą, dobiegł go z kamienia, a gdy otworzył oczy, głaz odzyskał życie i Izyda stanęła przed nim w całej krasie swojego ciała, odmłodzona czasem uwięzienia w kamieniu. Nie była już pozbawiona głowy, ale nosiła małe, wygodne różki dorodnej krowy. Nazywała się teraz Hathor.

Tot nie mógł się powstrzymać, by jej nie dotknąć. Nigdy nadmiernie nie cudzołożył – jego pożądanie było suche niczym piórko Maat – ale w tej chwili płonął niczym kocur w marcu. W nagrodę za jego wysiłki Hathor pozwoliła mu otrzeć się o siebie. Jednakże dotyk przerwał tamy zatrzymujące soki jego ciała i zwymiotował na jej bok. Okazała się wyrozumiała i łagodnie wytarła

mu twarz, po czym pocałowała go, liżąc ogromnym krowim jęzorem, a następnie ruszyła na poszukiwanie syna.

Nie musiała długo szukać. Echo okrzyków Horusa unosiło się nad pustynią. Oślepiiony, przerażony, z rozdartym sercem, leżał opodal gaju przy strumieniu i zawodził głosem, który jemu samemu wydawał się cichy, ale był tak pełen bólu, że matka słyszała go za wieloma wzgórzami. Gdy dotarła wreszcie do ślepego ciała, ogarnął ją taki żal, jakby to jej krew pulsowała w jego oczodołach.

Horus leżał na polu pełnym lotosów. Zakwitły pierwsze rośliny wyrastające z jego oczu, a liśćmi pasły się gazy. Izyda bez wahania wydoiła gazelę. Zwierzę nie uciekło na jej widok, gdyż bogini miała głowę Hathor, a gazy jednak nie obawiają się krow. Zwierzę czuło, że jest dojrzałe. Doszło jednak do wniosku, że ta dziwna krowa pragnie jej złożyć hołd, ale jak to krowa, nie wie biedaczka, jak zacząć. Stwierdziwszy jednak, że krowie zależy tylko na jej mleku, gazela (nie masz bardziej próżnego stworzenia) uderzyła Hathor przednimi kopytami w piersi, po czym uciekła przerażona własną śmiałością. Hathor podeszła do Horusa, wylizała jego twarz i przemyła gazelim mlekiem miejsca, w których niegdyś tkwiły oczy – biedne oczodoły. Delikatnie odwinęła z jego bioder przepaskę, by wietrzyk znad strumienia ukoł jego łędźwie, podczas gdy mleko było jak balsam dla pustych oczodołów. I w istocie, delikatny powiew znad łędźwi ukoł pełną zakrzepłej krwi pustkę nad jego nosem. Pieszczony w ten sposób Horus poczuł nasiona, wypuszczające pędy w miejscu, gdzie kiedyś tkwiły jego oczy. Zastanawiał się, czy wyrosną tam kwiaty i wyciągnął rękę, by dotknąć ich płatków, ale poprzez wodospad krwi, łez i perlistego mleka ujrzał swe własne ręce i krzyknął głośno:

– Matka mi wybaczła.

W następnej chwili ujrzał smutne, świetliste oczy Hathor i poczuł jej długi język, przynoszący zapach ziemi i trawy, język, którym lizala mu czoło. Potrafił tylko wykrztusić:

– Jakże sobie wybaczę?

Położyła mu palec na czole, by przekazać odpowiedź.

– Powinieneś ofiarować ojcu to, co masz najcenniejszego. Horus zaczął się zastanawiać, co może ofiarować.

Pytając samego siebie, spoglądał na pustynię i stwierdził, że jest niezwykle piękna. Skąły był kolor róży, a piasek złotego pyłu. Gdziekolwiek światło załśniło na kamieniu, widział migotanie cennego diamentu. Widząc taki obraz szczodrości, Horus przestał się wahać.

– Ojciec – rzekł, pragnąc wypowiedzieć każde poszczególne słowo z godnością – ja, Horus, twój syn, otrzymałem z powrotem oczy, bym mógł tobie je ofiarować.

Głowę Horusa znów ogarnęły ciemności, a krzyk rozpaczy rozbrzmiał jak gazy rozbijające się w wąwozie. Gdy otworzył oczy, znów widział, ale zupełnie inaczej. Lewym okiem wciąż jeszcze dostrzegał wspaniałe barwy. Ale prawe dostrzegało głębię szarości w każdym kamieniu. Gdy spoglądał na świat obojgiem oczu, świat nie jawił mu się ani jako piękny, ani odrażający, lecz harmonijnie zrównoważony. Widział więc Izydę o pięknym ciele i o szerokiej głowie krowy.

– Wracajmy – powiedziała smutno i wrócili, trzymając się za ręce.

– Zapewniam cię – rzekł Menenhetet surowym głosem – że kiedy tylko dotarli do Memfis, oczy Horusa i szlachetność jego umysłu wystawione zostały na jeszcze cięższą próbę. Ozyrys doszedł bowiem do wniosku, że Horus i Set mają się razem stawić przed jego obliczem.

VI

– Namietnością Ozyrysa – zauważył Menenhetet – jest opanowywanie chaosu. Dlatego w Kert-Neter szybko pozbywa się ludzi przeciętnych. Dbą tylko o to, by Ka ludzi najszlachetniejszych przetrwały w Krainie Umarłych. Inaczej ludzka rasa wstępująca do nieba byłaby uboga w odwagę, radość, urodę i mądrość. Bezlitosna selekcja staje się więc symbolem gospodarnej hodowli. W konsekwencji jednak Ozyrys nigdy nie lituje się nad nikim, kto skąpi ofiary. Z drugiej strony okazuje wiele wyrozumiałości w sprawie porozumień między bogami. Ponieważ bogowie są wieczni, nie kończące się swary mogłyby doprowadzić do poważnych zaburzeń. Ozyrys zawsze czuwa nad zaprowadzeniem pokoju wśród bogów. Być może dlatego wybaczył tak wiele, gdy Horus i Set stanęli przed jego trybunałem.

Menenhetet przechylił głowę, jak gdyby wprowadzając mnie ponownie w złudzenie, że potrafię słuchać jego opowieści, nie wsłuchując się w jego głos.

– Obaj – rzekł Ozyrys bratu i synowi – walczyliście dzielnie i wiele wycierpieliście. Horus stracił wzrok, którym mógłby spoglądać na własne życie, a Set stracił żrenicę własnych łędźwi. Na mocy litościwego sądu, który pragnie przywrócić pokój między bogami, Setowi zwrócono łędźwie, a Horusowi oczy. Idźcie teraz obaj i wyprawcie razem ucztę. Ci, którzy walczyli zaciekle jak gladiatorzy, powinni poznać się jako przyjaciele. Radujcie się wspaniałością waszych zmagania. Poznajcie moc pokoju. Idźcie w pokój.

Bogowie przyklasnęli. Horus spojrział łaskawym okiem na Seta i dostrzegł namietność, częstą u ludzi o czerwonym obliczu. Doszedł do wniosku, że ma wspaniałego wuja. Mógłby nań spojrzeć drugim okiem, ale obawiał się, że dostrzeże nieprzyjemne strony wuja, a wówczas mógłby się sprzeciwić ojcu. Zadowolił się więc spojrzeniem obojga oczu i dostrzegł ślady cierpień. Łagodnym i uprzejmym głosem Horus poprosił więc Seta, by ten zechciał mu towarzyszyć w drodze do obozu.

– Nie, bratanku – odrzekł Set. – Tam będziemy otoczeni ludźmi i nie będziemy mogli porozmawiać na osobności. Chodź do mojego obozu. Jestem sam, oszczędzisz mi więc samotnego milczenia.

Poruszony tymi smutnymi słowami Horus ruszył z Setem i tak przemierzali ramię w ramię całą drogę do obozowiska wuja, gdzie Set zabił jednego z pochwyconych dzików.

Potem piekli mięso do późna w nocy, popijając pieczeń winem wyciśniętym z winogron, które wyrosły z krwi rozszarpanych złodziei. Przy ognisku obsypywali się pochwałami i wynosili pod niebiosów waleczność przeciwnika. Na zakończenie Set wygłosił mowę na cześć ducha wina.

– Niektórzy – rzekł – miażdżą winorośl prasą, ale ja wymagam od niewolników, by udeptywali winogrona stopami. Nikt bardziej nie pragnie podróży niż niewolnicy, a pragnienie to uskrzydla ducha winogron. – Podniósł szklanę.

– Moje wino pozwoli ci dokonywać rzeczy, na które nigdy się nie porywałeś.

Horus przyklasnął, wypili ostatni toast, po czym posnęli przy ognisku.

Set ocknął się z pijackiego snu ze wspomnieniem własnej erekcji podczas pierwszego dnia walki i zaczął pieścić krocze i plecy bratanka, przysięgając sobie, że dalej się nie posunie. Daremna przysięga. Na tym się nie kończy. Set przypomniał sobie, jak to jego fallus gotów był wejść w trzewia bratanka, co go napełniło najśłodszy pożądanym.

Horus starał się zasnąć. Krople gازهlego mleka, które zliżał, sprawiły, że stał się tolerancyjny i pogodny, tak więc wyrozumiale zniósł drobne pieszczoty. Przekonał się po raz pierwszy, na ile gotów jest otworzyć się przed kimś, kto chce weń wejść. Jakże wspaniale zrównoważyłoby to poczucie zwycięstwa.

Ale Set drżał, stwierdziwszy, że znajduje się tak blisko ciała syna Ozyrysa. Pochrzakiwał jak dzik. Zapach pośladków chłopaka doprowadzał go do szału. Potok przekleństw pod adresem mleka Izydy i krocza Ozyrysa wylał się z jego ust wraz z taką kocią muzyką jęków nieżywych złodziei, że Horus ujrzał przed sobą smutne oczy Hathor i rozluźnił zwieracze, chwytając jednak w jedną rękę nasienie Seta, podczas gdy Set, zaślepiony okrzykiem podniecenia, zapadł w sen i zaczął donośnie chrapać.

Horus, oszołomiony najpierw wypiciem mleka gazeli, a potem wina złodziei, natychmiast zapomniał o tym, co zaszło. Izyda nazbyt szczerze przemyśla mu oczy. Mleko sprawiło, że stał się potulny jak głupiec. Wyszedł na spacer z obozu Seta, a wilgotną dłoń niósł przed sobą, jak gdyby była pełna pereł. Księżycowy blask igrał po jego twarzy. Nie uszedł nawet stu kroków, a spotkał matkę.

Izyda czekała całą noc opodal obozowiska Seta. Znała słabość męża, gdy przychodziło do sądu nad bratem. Kąpiąc blask księżyca własnymi milczącymi modlitwami, wysyłała słowa magicznej mocy nad bagno, by otuliły Seta jak mgła.

– Niewiele jednak – rzekł Menenhetet – może dokonać magia, gdy serce czarownika przepełnione jest strachem. Podstawowy i najgorszy paradoks magii na tym polega, że najtrudniej ją przywołać, gdy najbardziej jej potrzebujemy. Owej nocy Izyda wyprawiła się z głową krowy, która jeszcze była jej obca. Jakże mogła zmierzyć moc klątwy, skoro chcąc rozchylić delikatne skrzydełko nosa, otwierała chrapy szerokie niczym wrota? Mając tak mało sobie znane narzędzia, nie wiedziała, czy wpływa na cokolwiek tej nocy, aż do chwili, gdy ujrzała skutki. Koniec końców ujrzała je. Jakże bowiem inaczej wyjaśnić głupotę Seta i jego tryumfalne pokrzykiwanie, chrząkanie – rzekł Menenhetet. – Jakże wyjaśnić spokojne zapadanie w sen w nieświadomości, że nasienie pozostało w dłoni wroga? Nie do wiary! Śnił, że jego nasienie przesącza się, kropla po kropli, w tajemne zakamarki trzewi Horusa. Wierzaj mi, Set chrapał w oczekiwaniu dzikich orgii, jakie go czekały w najbliższych latach. Był teraz pewien, że Horus nie dotrzyma żadnej tajemnicy powierzonej mu przez Ozyrysa. Słodkie sny! – powiedział Menenhetet. – Izyda rzuciła jedno spojrzenie na dłoń syna i wykrzyknęła: – Nasienie Seta jest gęste jak płynne srebro. – Bo też cały wytrysk Seta w dłoni Horusa był teraz ciężki i błyszczał jak księżyc. To płynne srebro stało się naszą pierwszą kulką rtęci, a jest ona ni mniej ni więcej tylko osadem nasienia Seta. Izyda, w pełni odzyskując własną moc, poleciła Horusowi rzucić tę kulkę rtęci na bagna, nawet gdyby wszystkie rośliny miały się stać trujące. Wskutek tego nasi Egipcjanie, którzy żywili się mięsem zwierząt jedzących te rośliny, tracili wolę i stawali się równie niestali, co kulki rtęci, co z kolei sprawiło, że jako naród zatraciliśmy charakter. Tak, tak, każdy wytrysk bogów, który nie pozostaje w ciele innych bogów, oznacza narodziny nowej klęski. Maat ma wiele do powiedzenia w tej surowo osądzonej sprawie. Gdyby tak nie było, bogowie mogliby wszędzie rozsiewać swoje nasienie.

Zaczerpnął tchu i uśmiechnął się.

– Bądź pewien, że gdy Horus rzucał płynne srebro na bagno, zdarło mu ono skórę z dłoni. Izyda dała mu nową dłoń, pocierając otarte palce syna o likwor własnych ud, który okazał się równie zbawienny, co mleko gazeli – mniejsza jednak teraz o tego typu pieszczoty. Właściwie wspominam o tym geście tylko dlatego, że Horusa tak podniecił aksamit jej skóry, że natychmiast wytrysnął we własną dłoń, co, jak mu natychmiast przepowiedziała matka, bardzo się miało mu przydać.

Menenhetet pokiwał głową, podczas gdy ja śledziłem Izydę i Horusa, wracających do obozowiska Seta. Mijając jego chrapiące ciało, pełne wulgarnych, cielesnych snów, zaszli do ogrodu, w którym rosła obficie sałata. Horus powiedział matce, że w trakcie uczy z dzika Set często pakował sobie do ust całą główkę sałaty i dławiąc się, z wybałuszonymi oczyma, z dziko wygiętymi szczękami, kruszył zębami liście i przełykał główkę w całości.

– Nikt – rzekł Horus – nie potrafi tak zajadać sałaty jak Set.

Na znak Izydy rozrzucił własne nasienie po polu sałaty.

Nasienie rozprysło się drobnymi niteczkami; wymówiono delikatne dźwięki; dziwna to była muzyka. Te długie płynne niteczki drżały życiem żywego stworzenia, to znaczy przerażeniem przyszłych wojen, a nawet wrzawą wzniecaną przez rogi, w które jeszcze nie zadęto, i trąby, których jeszcze nie podniesiono. Odgłosy tej muzyki doszły do Izydy i Horusa stojących na skraju pola, ale był to tylko szelest armii pajaków, które wymaszerowały z pola, gdy niteczki nasienia Horusa padły na ich pajęcze sieci. Jakże jasno błyszczał księżyc! W drodze do domu Izyda śpiewała Horusowi kołysanki.

– Niełatwą miał drogę do męskości – rzekł Menenhetet – ale rankiem zaszły dwa wydarzenia. Set obudził się i połknął parę główek sałaty, a Horus został kochankiem Izydy.

Na widok mego zdumienia wywołanego ostatnim zdaniem pradziadek uniósł rękę.

– Niewiele powiem o tym romansie, a i to na sam koniec. Na razie tyle, że Horus obudził się mędrce, a Set przewracał się w łóżu dumny jak paw z podboju, którego dokonał poprzedniego wieczora. Na łąkach wietrzył jeszcze zapach pośladków Horusa, co mile łechtало jego dumę. Set snuł dalekosiężne plany. Nim Re doszedł do pełni chwały w samo południe, Set zwołał bogów.

Zbiegając się pospiesznie, z rozbudzoną ciekawością, wysłuchali podniosłej mowy. Set nałożył purpurowe szaty, jaśniejsze niż jego skóra, i przemówił głosem pełnym ognia. Powiedział:

– Tego dnia, kiedy walczyłem z Horusem, zwycięstwo winno było mnie przypaść w udziale. To on leżał z głową w błocie. Korzystając jednak z mego zagubionego kciuka, wysliznął się z moich rąk – tej sztuczki nauczyła go matka. Płynie w nim krew, która jest jak mleko jego matki. Od tej chwili nie miałem innej możliwości i musiałem się zdobyć na kradzież. Widzieliście sami. Jego ojciec, który uzurpuje sobie prawo sądenia mnie, rozkazał nam wczoraj oddalić się razem i wyprawić ucztę. Uczyniliśmy, jak chciał. I teraz mogę wam powiedzieć, że zostałem zwycięzcą. Też nocy wszedłem weń, a wielki byłem jak drzewo, które wyrasta z orzecha. Powódź, która trysnęła z moich łądzwi, wpłynęła do nikczemnej dziurki tego chłopaczka Horusa, który stoi teraz obok mnie. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że beczał jak owca i gruchał jak gołębica. Należał do mnie. Dlatego powiadam wam: nie czyńcie go panem stworzenia, albo ukradnę wam tajemnicę za każdym razem, gdy wejdę w jego trzewia. Wielka moc winna być przyznawana silnym. Niechaj Horus zostanie moim pomocnikiem. Jego łądzwie są słabe.

Set spodziewał się, że Horus rzuci się na niego, i był gotów odeprzeć atak. Ale Horus odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Sędziom zaś powiedział:

– Przysłuchiwałem się temu ze spokojnym i szczęśliwym sercem. Mój wuj to malutki, wysuszony człowieczek o donośnym głosie. Skrzeczy jak ptak. Kłamie. To mnie przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt wejścia w jego zwiędłą szparę, a uczyniłem to, nie mając nic lepszego do roboty. Spróbujcie tylko, o moi sędziowie, posłuchać przez jedną noc pierdnieć mojego wuja. Bodaj bym raczej cisnął włócznią w bagno. Starcy są tacy brudni!

Ileż to Horus nauczył się podczas tej nocy z Izydą. Oliwa jej ud musiała mu dać o wiele więcej niż mleko gazeli. Set nie miał wyjścia. Dobył miecza. Horus zręcznie uniknął ciosu, a na znak Ozyrysa strażnicy dworu pochycili Seta.

Jasnym i dźwięcznym głosem Horus oświadczył:

– Niechaj bogowie wezwą nasze nasienie, które rozlaliśmy zeszłej nocy. Niechaj nasienie poświadczy, kto mówi prawdę.

Set zgodził się równie ochoczo, jak inni, a Totowi kazano stanąć między przeciwnikami.

– Połóż dłoń na pośladkach Horusa – rozkazał Ozyrys – i spytaj nasienie Seta, gdzie się znajduje. Głos Ozyrysa był pełen wątpliwości. Nie ufał synowi.

– Mówię – oświadczył Tot – do nasienia Seta. Powiedz nam, gdzie jesteś. Przemów z miejsca, w którym się znajdujesz. – Z oddali, zza bagien, dotarło do nich głośnie krakanie. W powietrzu rozszedł się zapach zgnilizny trujących roślin i bogowie zaszepotali między sobą, że nasienie Seta, wstrętne maź, musiało rozlać się po bagnie.

Potem Tot położył rękę na biodrach Seta, bo dalej nie śmiał, jako że Set trząsał się z oburzenia. Niemniej Tot wygłosił to samo przemówienie, co wcześniej, a miało ono przywołać nasienie Horusa.

– Czy nasienie Horusa może się zgłosić? – Głos dobiegł ich prosto spomiędzy pośladków Seta. Tłusty, słodko pachnący wiatr powiedział:

– Jestem kolejną postacią nasienia Horusa.

Wiatr ów pachniał słodko jak sałata. Bogowie zanieśli się śmiechem. Wiedzieli już, że to Horus zgwałcił Seta.

Na tym by się nie skończyło, a Set mógłby po powrocie do obozu przygotowywać nową zemstę, ale doszedł do wniosku, że jest w ciąży. Bóg może urodzić dziecko ustami albo odbytem, ale choć my wiemy o pierwszej możliwości, Set nie był jej świadom. Nieszczęsna ciąża! Stworzenie urodziło się na poły mężczyzną, na poły kobietą i wnet zmarło, nadaremnie starając się pokochać samo siebie. Set wciąż jeszcze służy nam jako władca błyskawicy i grzmotu, ale jest rozkojarzony, ociężały, ledwo się rusza i do tej pory nie wie, czy mówił wówczas prawdę, czy też faktycznie został zgwałcony. Tak więc oszalał. Bogu trudniej o spokój umysłu niż człowiekowi.

Menenhetet westchnął. Powolnymi, obliczonymi ruchami, jak stary żebrak rozsypujący zawiniątko złożone z wielu gałganów, podniósł się, rozprostował kolejno wszystkie stawy i stanął wreszcie na równe nogi.

– Jesteś gotów? – spytał.

– Nie powiedziałaś jeszcze nic o romansie Horusa z Izydą.

– I nie powiem. To najpotężniejsi spośród bogów.

– Powinienem jednak wiedzieć więcej. Mogę przecież spotkać ich w Krainie Umarłych.

– Nie spotkasz. Żyją na szczytach. Nie spotkasz boga, dopóki nie wejdiesz na wysoką górę. – Znów westchnął.

– Powiedzmy, romans Horusa z Izydą trwał długo. Jeszcze trwa. Mówiąc między nami, dochowuje na swój sposób wierności Ozyrynowi, współżyjąc z własnym synem. Ozyrys jest zatem spokojny i błogosławi im. Jej romans nie przynosi mu ujemny na honorze, a przyczynia się do trwałości rodziny. Dzięki temu romansowi Horus nabył ogłady i mądrości, których potrzebuje jako pan stworzenia. Izyda zaś doczekała się znacznie pełniejszego zaspokojenia, niż można by oczekiwać od kopulującej z jastrzębiem bogini z twarzą krowy. Bo właśnie ciało tego drapieżnego ptaka wybrał sobie Horus za przebranie. Teraz już nie musi się bać o swoje słabe nogi, a wszyscy faraonowie czczą jego skrzydła. Mogę ci też powiedzieć, że bóg Horus jako dorosły nie przypomina w niczym chłopczyka i stał się równie wielki jak jego ojciec. Tak rozległa jest wiedza, którą czerpie od Izydy.

Pradziadek skinął na mnie.

– Pora rozpocząć naszą wędrówkę po Kert-Neter – rzekł.

– Jesteś gotów?

Odczuwałem dziecinne przerażenie przed siłami, jakie na nas czyhały poza wrotami tego grobowca. Ale nie pozostawało mi nic innego, jak skinąć głową.

Gdy wyszliśmy w noc, Menenhetet klasnął w ręce. Niewątpliwie chciał zaznaczyć koniec jednego zaklęcia i początek drugiego. Czekałem, ale czułem tylko odór jego nieświeżego oddechu. Staliśmy znów na naszej uliczce w nekropolii.

III

Księga dziecka

I

Droga przywiodła nas po raz wtóry do piramidy XL Chufu. Trudno byłoby udawać, że jestem spokojny i opanowany. Strach przed tym, co nas jeszcze czekało, przygniatał mnie niczym kamienna płyta, widok Wielkiej Piramidy zaś bynajmniej mnie nie uspokoił. Z każdym krokiem Menenheteta popadałem w coraz większą rozpacz, gdyż kroczył przede mną szybko jak ktoś, kto próbuje oddalić się od nieprzyjemnego zaduchu. Przypomniałem sobie złodzieja grobów, który uciekł przede mną, gdy zbliżyłem się do drzwi mego grobowca. Mój oddech był dlań wstrętny (podobnie jak mnie odrzucał jego oddech), co oznaczało, że nędznik znajduje się w innej krainie niż ja. Jeżeli jednak to wszystko prawda, to w takim razie jakie stąd wypływają wnioski co do różnicy między Menenhetetem a mną?

Czyżby to on właśnie miał być moim Kaibit? Myśl ta nie dawała mi spokoju. Mój cień? Trudno o większe przeciwieństwo niż to, które panuje między Kaibit a Ka. Ka to ostatnia słomka istnienia dla człowieka, ale nie jest on w stanie udźwignąć zbyt głębokiej pamięci. Kaibit zaś wiedział o wszystkim, co się w twoim życiu wydarzyło. Był więc w stanie zniekształcać to, co Ka zdołał zapamiętać. Diabelski wynalazek!

Przekonanie, że Menenhetet jest moim Cieniem, wstrząsnęło mną tak silnie, że już miałem zapytać – czy jesteś Kaibitem Menenheteta II? – ale powstrzymałem się w obawie, że jeszcze bardziej splączę me myśli, odpowiadając na przykład: – Nie, nie, to ty jesteś Ka Menenheteta I, a ja jestem jego Kaibitem.

Milczałem więc i spieszenie podążałem za nim. Trzeba przyznać, że kroczył jak przewodnik, owinięty białą szatą na wypadek, gdyby otarł się przypadkiem o żebraków albo nietoperze. Tak, tak, wszystko w jego postawie i ruchach wskazywało na sługę, który wiezie gościa i nie chce tracić czasu na nieprzewidziane spotkania. Kiedy wychodziliśmy z nekropolii, przy bramie stał człowiek z wyciągniętą ręką żebraka o dłoni pozbawionej palców. Nie zwalniając kroku, Menenhetet klepnął go mocno w ramię, dając tym samym znak, że nie chcemy, by nas zatrzymywano. I faktycznie, człowiek ów cofnął się, gdyśmy przechodzili, i zdałem sobie sprawę z tego, że muszę mu się wydawać wysoko urodzonym gościem.

Dopiero wówczas przyjrzałem się własnym szatom. Kiedy to włożyłem czyste, białe, plisowane spódniczki, kiedy zawiesiłem na piersiach wysadzaną drogimi kamieniami płytkę? Przypomniałem sobie wówczas o przechadzce nad brzegami Nilu i o tym, jak tłumy biły mi pokłony. Wizja wzbudzona w pamięci była tak wyraźna, że uwierzyłem w nią i przeżyłem przyjemność zbliżoną do uczucia, jakie odczułem na widok hołdu złożonego przed chwilą przez żebraka. Pokrzepiony tymi oznakami szacunku szybko jednak spuściłem nos na kwintę, kiedy myśli moje wybiegły ku komentarzom mego pradziadka o Horusie i Secie. Trzeba było bowiem rozważyć i tę możliwość, że Menenhetet przy lada okazji spróbuje mnie zgwałcić od tyłu. Spokojna i arogancka pewność siebie, z jaką starzec zdawał się coś takiego sugerować, była zaiste niezwykła. Nie wiedziałem, czy śmiać się zeń, czy nie. Ostatecznie mięśnie moich ud kołysały się dumnie, a i kręgosłupa też mi nie przetrącono. Krocząc za nim, skupiłem uwagę na własnych nogach oraz ramionach i nabrałem nieco otuchy. Może i mam ledwie siódmą część dawnych sił, ale i tak trudno mi sobie wyobrazić, by ten cuchnący starzec mógł mnie posiąść cielesnie. Przypomniałem sobie, jak to z przyjaciółmi

uważaliśmy siebie samych za dziewice, dopóki jakiś śmiałek nie chwycił nas za pośladki. Naturalnie, skoro już was ktoś naruszył, włamując się do waszego ciała, sprawy miały się całkiem inaczej. Arystokrata mógł dać się tak wykorzystać tylko raz, jak gdyby miał tylko królewski kwiat do ofiarowania. Byliśmy absolutnie zdecydowani nie pozwolić się uwieść nikomu poza mężczyznami, których podziwialiśmy w każdym calu. Wielu z nas żyło w takiej cnocie przez długie lata. To też mogło stać się występkiem. Można było zostać starą panną, która czeka zbyt długo, a przeto pada łatwym łupem każdego przypadkowego prostaka.

O wyborze decyduje równowaga Maat.

Zastanawiałem się, czy nie należę do tych, którzy czekają zbyt długo. To straszne, gdyby Menenhetet I miał być moim pierwszym mężczyzną. Nie, to niemożliwe, pomyślałem, patrząc na starczy krok i powłóczenie nogami, na otuloną przed chłodem głowę, choć noc była ciepła. Z drugiej strony nie był to krok całkiem starczy.

Poczułem się nieswojo. Zbliżyliśmy się do stóp piramidy Chufu i jak gdyby dopiero teraz uderzony moim ociąganiem się Menenhetet zatrzymał się, aby odpocząć, i znów zaczął mówić, nie zważając na to, iż mnie trudno skupić uwagę. Tak bardzo jego oddech mieszał się z moim. Nie wiem, co zwęszył w moim gardle, ale ja poczułem się tak, jakbym wszedł do pomieszczenia wypełnionego gryzącym smrodem uryny. Poczułem się jak w jaskini pełnej nietoperzy – niezłe wprowadzenie w zgniliznę Dat. Ale cierpiąc na skutek zaduchu, zarazem przestałem zwracać uwagę na najgorszy smród. Jego oddech był dla mnie do zniesienia. Ot, po prostu stary czosnek i zepsute zęby.

– Duża brama Dat – powiedział wstrząsany dreszczami w ciepłym świetle księżyca – leży daleko za pierwszą kataraktą i taka długa podróż to nie dla nas. Wejdziemy przez jaskinię, którą znajdziemy na niebie.

Nie zrozumiałbym tej ostatniej wypowiedzi, gdybyśmy nie stali pod samą piramidą. W blasku księżyca jej stoki błyszcząły, jakby były z marmuru, cienie zaś były ciemne jak aksamit. Pamiętałem komnatę Chufu w samym środku piramidy. Czy to właśnie miała być owa jaskinia, przez którą raz już gotów byłem wejść do Dat i to całkiem sam? Może źle wybrałem wówczas drogę? Nie miałem jednak głowy do takich pytań.

Tymczasem Menenhetet gadał o sprawach tak trywialnych, że ledwo słuchałem. Coś o hebrajskim niewolniku, którego kiedyś trzymał u siebie i o dziwacznych obyczajach Hebrajczyków.

– Oni są szaleni – rzekł Menenhetet – i zadowoleni z tego, że pozostają przy pasterstwie. Najlepiej się czują, gadając sami do siebie pośród wzgórz. Przyglądałem się jednak tym barbarzyńskim ludom, które są jak zwierzęta, ale mimo to bliżej im do własnych bogów niż nam.

– Oto przykład – powiedział, a nutka prawdy dźwięcząca w jego głosie uspokajała i krzepiała moje osłabłe ciało.

– Przypominam sobie, że ten hebrajski niewolnik przemawiał dziwnym językiem. Na początku sądziłem, że to jakieś narzecze imbecyla, ponieważ w tym, co mówił, nie było ani jednej wzmianki o dniu wczorajszym albo jutrzejszym. Z drugiej strony na przykład wyraz „ścinać” miał wiele różnych odcieni – inaczej mówił o ścinaniu trzciny, inaczej o krojeniu mięsa, inaczej o ćwiartowaniu drobiu i przecinaniu różnych gatunków owoców, nie mówiąc już o zrąbaniu drzewa, odcinaniu ręki... Nieglupi pomysł, zważywszy, że wszystko, co ścinamy nader raptownie, traci swego ducha. Dobre słowo najlepiej koi ból. Nie, zaiste – zamyślił się Menenhetet – nie chcielibyśmy żegnać pokonanych wrogów tym samym okrzykiem. Różnorodność takich słów kazała mi zająć się językiem tych pasterzy i zacząłem dostrzegać w nim zagadki. Odkryłem, że własna przeszłość towarzyszy Hebrajczykom w każdej chwili ich życia, a ich słowa odzwierciedlają po prostu taki stan rzeczy. – Jem – powiadają. Proste! Ale kiedy pragną wypowiedzieć się na temat

czegoś, czego akurat nie ma przed nimi, trudno się zorientować, o co im chodzi (chyba że zna się dobrze ich język), bo nie wiadomo, czy mówią o czymś, co kiedyś przed nimi stało, czy o czymś, co dopiero spodziewają się zobaczyć. Podobnie ma się rzecz z samą wypowiedzią. Mówią ci na przykład „zjadłem”, a ty nie wiesz, czy właśnie skończyli jeść, czy też dopiero mają zasiąść do jedzenia. Chyba że wsłuchujesz się nader uważnie i spostrzeżesz, że powiedzieli „i zjadłem”, co oznacza, że mają zamiar zjeść. Wiedzą, jak osobliwą rzeczą jest czas. I to wszystko za sprawą nieokrzesanego języka! Pomyśl tylko! Skądże mamy wiedzieć, czy coś, co zamierzamy zrobić jutro (jak wynika z naszej wypowiedzi), nie zdarzyło się tak naprawdę wczoraj albo czy nam się to przypadkiem nie śniło. Nie obawiaj się zatem nadmiernie przyszłości – zakończył Menenhetet.

– Może już to przeżyłeś. Tak, tak, drogi synu mojej wnuczki Hatfertiti, być może twój strach jest dużo bardziej pełen godności, niż przypuszczasz. Może wynika raczej z wyrzutów sumienia płynących z przeszłości niż z przecucia jakiejś niewymownej męczarni, jaka cię czeka.

Istotnie, poczułem ulgę. Długa przemowa uspokoiła mnie i znów poczułem przypływ dobrego samopoczucia i sympatii dla starca, który nieoczekiwanie okazał mi taką pomoc.

Kiedy księżyc minął szczyt piramidy Chufu, Menenhetet nieznacznie unióśł rękę. Westchnąłem, dostrzegłszy niewypowiedziane piękno białego światła, spływającego ku nam po trójkątnej powierzchni zbocza.

Menenhetet przemówił cichutko, jak gdyby obawiając się, że nawet najdrobniejszy zgrzyt w jego krtani zaszkodzi czystości tego blasku.

– Ta boska piramida – wyszeptał – jest taka sama jak pierwsze wzgórze, które Temu wydobył z Wód Niebiańskich. Jest to więc grobowiec, który zawiera w sobie wszystkie inne grobowce. Wchodząc do tej piramidy, wejdiesz w nurty Dat.

Kiedy spoglądałem na olbrzymie zbocze przed nami, gładkie jak arkusz papirusa w blasku księżyca i rozległe niczym rozpościerająca się przed moimi oczami pustynia, zastanawiałem się, w jaki sposób moglibyśmy dostać się do środka. Wiązania między dwoma blokami muszą być wszak węższe niż przestrzeń między dwoma ściśniętymi palcami. Nie musiałem jednak czekać długo. Menenhetet poszedł pod samą piramidę, a następnie odrzucił głowę do tyłu i wydał okrzyk, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem. Nie był to przeciągły gwizd ptaka ani tajemnicze warczenie zwierzęcia, lecz przeraźliwy pisk przypominający dźwięk wydawany przez nietoperza. Kamienna płyta na stoku tuż nad nami obróciła się w zawiasach jak drzwi.

– Już czas – rzekł do mnie i zdumiewająco zwinnie począł się wspinać po ścianie. Poszedłem w jego ślady spodziewając się, że lada chwila coś chwyci mnie za gardło. Ale nie bałem się. Skądinąd wiadomo, że dziecko czuje mniej trwożnego podziwu dla wschodu słońca niż dorosły. Czyżbym wchodził do środka akurat w chwili, gdy śmierć wydawała mi się czymś najbardziej naturalnym? Wiem, że kiedy wchodziliśmy przez powstały otwór do wnętrza piramidy, powietrze zmieniło się. Gdybym był ślepcem, uszy pozwoliłyby mi się zorientować, iż przeszedłem do innej krainy. Wsłuchiwałem się w delikatną ciszę, przypominającą niesłyszalny trzepot ptasich skrzydeł. W ciszy tej kryło się milczenie wszystkich świątyń i zagubione echo wszystkich ofiar ze zwierząt składanych na kamieniach ołtarzy. Znów poczułem zapach, jaki unosi się nad ginącymi zwierzętami. Ich krew, kapiąc, przynosi spokój temu samemu powietrzu, które dopiero co zostało przeszyte zabójstwem zwierzęcia. Jeśli wchodząc zraniliśmy kamień, echo naszych kroków uspokajało wszelkie wzburzenie.

Poszliśmy w głąb mrocznym korytarzem, długim tunelem, który zmuszał do zgarbienia się. Przed nami szurgotały pierzchające szczury i rozlatywały się owady, nietoperze zaś przelatywały tak blisko, że muskały niemal nasze mózgi.

Ale i te szmery wkrótce ustały. W miarę jak szliśmy, spływało na nas poczucie spokoju ciężkiego jak oleista plama na Nilu w czasie powodzi. Zacząłem przeczuwać jakieś większe pomieszczenie, które było przed nami, i faktycznie po kilku krokach zbliżyliśmy się do wysokiej i wąskiej galerii. Sądząc po pisku nietoperzy, sufit musiał być z dziesięć metrów nad nami, a wszystko tonało w mroku. Mimo to czułem gdzieś wokół mnie światło. Nic nie widziałem, ale mój umysł był tak rozjaśniony od środka, że potrafiłem sobie przypomnieć, jak to pewnego dnia w dzieciństwie przepływałem z rodzicami barką Nil. Działo się to pod niebem tak rozżarzonym słoneczną spiekotą, że czułem niemal, jak moje myśli prażą się na słońcu, jakbym sam był złotą barką skapaną w złotym blasku. Mój ojciec i matka zabierali mnie z wizytą do faraona i wszystkie członki rozpiekała mi radość do tego stopnia, że jeszcze pamiętam szafranową barwę kaftanika, w który mnie ubrano. Ranek przyniósł ze sobą widoki i zapachy zdolne zepsuć nasz humor – padlina psa gniła na brzegu rzeki – ale dzień zaczął się wspaniale, a każde odbicie się sternika od dna przywracało mi spokój, podobnie jak w chwili obecnej odgłos naszych kroków w tunelu wytłumił odgłosy owadów i nietoperzy.

Wówczas Menenhetet ujął mnie za rękę i poczułem, że oddech jego przesycony jest wonnościami. Powietrze, które wydychał z płuc, musiało być równie szlachetne jak wizja, która rozjaśniała mój umysł. Nieco spokoju tamtego poranka pozostało jeszcze w cieplej jego dłoni, jak gdyby połączonej ze mną rodzinną więzią. Wkrótce jednak musiał dłoń cofnąć, gdyż przejście zwęziło się i trudno było iść dalej obok siebie. Idąc w ciemnościach i kąpiąc się w światłości, za zamkniętymi oczami czułem, że przechodzę chyba przez fale gorąca i zimna, powietrze stoi zaś w chłodnych słupach niczym pustka w grobie. Jeszcze parę kroków i już byłem z powrotem w pachnących egipskich nocach, wdychając ciepłe wonności, które poczułem w oddechu mego pradziadka. Zapach zdawał się unosić nie tyle od niego, ile od samego kamienia. Zaczęło mi się wydawać, że nie idziemy wcale stromym wąskim zboczem, ale włóczymy się od namiotu do namiotu po jakimś egzotycznym bazarze, w każdym namiocie zaś żyje jakaś istota sama w sobie czysta i niepowtarzalna. Wystarczyło zwrócić uwagę, a mądrość przesiąknęłaby do naszego umysłu równie naturalnie, jak rozpuszczenie zioła w wodzie wydobywa na jaw jego esencję. Upojony światłem i odurzony tymi woniami, przestałem czuć ruchy ciała i zaczęło mi się wydawać, że sunę w ciemności barką po wodzie. Mogłem jeszcze wyciągnąć ramię w bok po obu stronach i dotknąć ścian, ale zarazem czułem się jeszcze bliżej Nilu niż owego złotego dnia, zapamiętanego z dzieciństwa. Czułem w głowie zamęt, jakbym był Hebrajczykiem niezdolnym odróżnić to, co ma się wydarzyć, od tego, co mu się śniło, i wydawało mi się, że po podłodze płynie rzeka, że ściany to jej brzegi, że znów jestem na Nilu jak wówczas, kiedy odpoczywałem na poduszkach z żółtego sukna jeszcze jaśniejszego niż moja szafranowej barwy szata. Srebrna niteczka haftu uwierała mnie, leciutko łaskocząc w siedzenie i dlatego niepostrzeżenie dla rodziców starałem się pocierać delikatną skórą pośladków o te wystające ściegi srebrnej nitki – słodka przyjemność, zważywszy, że nie miałem nawet sześciu lat.

Rodzice rozmawiali ze sobą. To, co mówili, wypadało im z ust wielokrotnie pokręcone i przekręcone; pamiętam dobrze i zdaję sobie już sprawę z tego, jak często się nawzajem oszukiwali, ich pokrętne słowa musiały zaś nam towarzyszyć przez serpentyny Nilu skapanego w złotym blasku spadającym na brązowe wody rzeki. Mijaliśmy brzegi zielone i brzegi złote od błot. Przypominając sobie zawijasy ich słów, miałem wciąż przed oczami złotą inkrustację cedrowego drewna, z którego wyrzeźbiono siedzenia na naszej luksusowej barce. Moja matka mówiła o świętym byku (słyszałem wyraźnie jej głos nawet teraz, stojąc z rękoma opartymi o ścianę równie bliską mojej twarzy, jak wówczas drzewo palmowe na brzegu). Miała głos niezwykły, potrafiła nim w pełni panować nad zmysłowymi instynktami, niski jak głos mężczyzny, ale i pełny czulej, a tajemniczej wibracji.

Wystarczyło, że głosem tym zanuciła jedną nutkę albo powiedziała „insygnia faraona Ptah-nem-hotepa”, bym poczuł, jak podbrzusze przeszywa mi mrok gęsty jak barwa ciemnej róży.

Ojciec rzadko odpowiadał jej. Nie przywykli rozmawiać ze sobą, a płynęli teraz wspólnie, mając po temu co prawda powody, ale każde inny. Oboje składali wizytę temu samemu Ptah-nem-hotepowi, naszemu miłościwemu Ramzesowi IX. Mój ojciec płynął z wizytą, którą składał prawie codziennie, a matka wyprawiała się w niecodzienne odwiedziny. Z drugiej strony do dziś nie rozumiem, dlaczego pomimo swej urody nie odwiedzała faraona częściej. Ale cynizm tej myśli (w końcu jako sześciolatek chłopak na pewno tak nie myślałem) rozwiął te rozważania. Znów skupiłem uwagę na naszej wędrownicy, tym razem w górę, i wspomnienie owego poranka, unoszenia się na wodzie i w pamięci, odpłynęło.

Menenhetet doprowadził mnie do wykuszu w skale. Ponieważ wciąż jeszcze czułem się po trosze tak, jakbym był na łódce, nasza wędrownica przypominała wpływanie do nie oświetlonego portu o zmroku. Obecności światła w moim organizmie z pewnością już nie czułem. A potem wydałem okrzyk. Przede mną była ściana wody sięgającej mi do pasa. W wodzie błyszczała gwiazda – czyżby podłoga stała się moim niebem? Poczulem dreszcz podniecenia – jakbym leciał w przepaść, pewien, że nigdy się nie rozbije. Dreszcze ustały i zrozumiałem, że stoję przed dużym naczyniem wypełnionym wodą, a gwiazda to odbicie. Niebiosa wciąż były daleko, bardzo daleko. Menenhetet przyprowadził mnie po prostu do tego miejsca w piramidzie, w którym kończył się długi komin spadający pod ostrym kątem z nieba. Patrząc w górę, widziałem gwiazdę w niewielkim otworku u wylotu komina. Na moich oczach gwiazda przesunęła się. W czasie gdy się jej przyglądałem, przesunęła się o tyle, że w niewielkim naczyniu mogłem to dokładnie dostrzec. Zdumiewające, że Menenhetet przywiódł mnie do tego odbicia dokładnie w chwili, gdy światło żyło w naczyniu.

– Tej gwiazdy nie widziano tutaj od trzystu siedemdziesięciu dwóch lat – powiedział mi. – Czeka nas wszystkich noc cudów. – Nie wiem dlaczego, ale jego słowa roznieciły me lędźwie, loczek rozkosznej nadziei począł zaś wędrować ku górze od korzeni mego kręgosłupa, wijąc się przy tym jak dym kadzidła. Nie wiem, skąd doszły do mnie zawrota głowy i powiedziałem na głos: – Faraon upuszcza krwi ukochanej i zasiewa ją w świetle słońca.

– Cokolwiek z ziemi wyrasta – usłyszałem własny głos – staje się błogosławioną rośliną – papirusem – który w rękach ludzkich staje się polem dla pisarzy. To oni sadzą swoje przekazy na polu. Wszystkie papirusy żyją w blasku tych pism, które przemierzają ich pola niczym rozpędzone rydwany. A mimo to pole pamięta brzegi rzeki, a każdy pączek jest jak wargi, każdy liść zaś jak plaster miodu.

Znów ujrzałem Nil i mgiełkę pary unoszącą się nad rozleniwioną rzeką.

Moja pieśń, wypowiedziana przez tajemniczy impuls, sprawiła, iż wyrzekłem słowa, których nigdy dotąd nie słyszałem. Jednakże formuła była dostatecznie silna, bym znów potrafił się odnaleźć w złotym blasku Nilu. Potem powiedziałem:

– Papirus to roślina, której nie znoszą krokodyle.

Poczulem wówczas przez chwilę dziecięcą radość, jaką odczuwamy, chcąc zrosić kwiaty złotym deszczem własnych sików. Pogodny jak ów dzień ujrzałem małego ptaszka, który wydziobywał robaki z paszczy krokodyla. Tak jest, widziałem opancerzoną bestię na błotnistym brzegu, z paszczą dobrodusznie i leniwie rozdziawioną, ptaszek zaś czyścił jej zęby. Dziwaczna para – w trzepocie skrzydełek wyczuwało się poufałość, senne pomrukiwanie wielkiej jaszczurki także świadczyło o zażyłości. Jacyś wioślarze śpiewali na Nilu: – „Och, papirus to roślina, której nie znoszą krokodyle” i kłaniali się nam, wiosłując w stronę strumienia. Nasi wioślarze, których upał zmusił do zrzucenia wszystkiego poza wążutką przepaską zasłaniającą im same członki i jadra,

odpychali się długimi drągami od dna, płynąc z biegiem rzeki. Cudowne łaskotki skóry mego siedzenia zaczęły się od nowa i ja też zacząłem się odpychać od srebrnego haftu na poduszce. – Błoto – rzekła wówczas moja matka – wypełnia mi nozdrza i wszystkie pory skóry – po czym odwróciła piękny nos, śledząc wzrokiem rydwan, konia i woźnicę galopujących w obłoku kurzu drogą wzdłuż rzeki. Wówczas, mając lat sześć i rozkoszując się widokiem przejeżdżającego rydwanu, poczułem, jak przeszywa mnie wyraźne przecucie, kim będę mając lat dwadzieścia jeden, jakbym zarazem pozostawał dzieckiem i mógł ujrzeć życie, jakie mam do przeżycia.

Wpatrując się w tę gwiazdę, która migotała w naczyniu, w wodnym zwierciadle, przypomniałem sobie tamten moment tak wyraziście, że przeszłość wróciła do mnie, jakbym faktycznie znów miał sześć lat i przenikał wzrokiem siebie jako dwudziestoletniego młodzieńca. Znów byłem z kapłanem w domu jego siostry i spoglądałem na Nil z okien, słysząc odgłosy rzeki obmywającej brzeg, ciało kapłana klapało zaś namiętnie, uderzając o jej ciało. Stojąc obok Menenheteta i przebijając mrok, by dostrzec gwiazdkę, poczułem, jak z pamięci nadpływają dwa niezwykle silne przeżycia, jedno z okresu gdy miałem lat sześć, drugie – dwadzieścia jeden. Zrobiło mi się słabo. To wtedy pradziadek ponownie ujął mnie za rękę. W brzuchu rozpłyły mi się pnącza, wspięły ku członkom i wyrosły z mej ręki ku nadgarstkowi i kciukowi Menenheteta. Umysł mój zwrócił się ponownie ku ozdobnej barce unoszącej mą matkę, mego ojca i mnie w dół Nilu. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego egipski wyraz „oko” znaczy zarazem „miłość”, a jednocześnie i oko, i miłość określane są tym samym wyrazem co „grobowiec”. Miłość lub głębia zadumy nad grobowcem musiały się kryć w nastroju, który przekazał mi Menenhetet, dotykając mej dłoni palcami, a który unosił mnie wzdłuż rzeki, przypominając słoneczny, dawno miniony dzień i odrywając od wykuszu w mrocznej galeryjce w głębi piramidy Chufu.

Potem w pamięci mojej rozległ się cichutki trzask, podobny trzaskowi cytryny spadającej z gałązki i nagle zdałem sobie sprawę z tego, że na barce znajdował się z nami także Menenhetet, choć nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie tego i nadal nie mogłem w to uwierzyć. Trzeba było tylko zapomnieć o tym, że Menenhetet umarł rok wcześniej, niż ja się urodziłem, a już mogłem sobie doskonale wyobrazić, że siedzi z nami na barce i rozmawia z moją matką. Początkowo widziałem tylko matkę i ojca obok siebie, a dostrzegałem ich jeszcze wyraźniej niż postacie na pełnym ekspresji malowidle ściennym w świątyni, teraz dostrzegłem także Menenheteta. I on siedział obok mnie, jego włosy zaś przyprószone były srebrem jurnej męskości. Zmarszczki na jego twarzy jeszcze nie rozpadły się na setki drobniejszych fałd i splotów, lecz nadawały rysom wygląd świadczący o silnym charakterze nawykłym do sukcesów, często spotykany u władczych mężczyzn, gdy skończą lat sześćdziesiąt, a wciąż jeszcze czują się w pełni sił.

Ale widząc go obok nas nie mogłem się zorientować, w którym miejscu rzeki właśnie się znajdujemy. Wiedziałem, że zmierzamy do faraona, pragnąc mu złożyć wizytę, ale nie rozumiałem, dlaczego nie zmierzamy w górę rzeki, skoro willa moich rodziców stała na działce położonej w sporej odległości od pałacu faraona w dół rzeki. A oto płynęliśmy z prądem, niepotrzebny był żagiel ani wioślarze.

Był tylko sternik, zwany Śmierdzącym Ciałem, który stał na dziobie i odbijał się od dna, gdy trzeba było ominąć przeszkody i mielizny, i Ten z Głową Wykręconą do Tyłu stojący u steru (zwaliśmy go czasem Zjadaczem Cienia, bo kiedy płynęliśmy w górę rzeki na południe, sternik zawsze znajdował się w cieniu żagla). Obecnie dryfowaliśmy z prądem w kierunku lekkiej bryzy znad delty Nilu. Bryza ta była dostatecznie silna, by żeglować w górę rzeki bez wioślarzy, pod prąd. Ale nie dziś, dziś dryfowaliśmy leniwie. Neha-Hau na dziobie, a Unem-Kaibitu, Zjadacz Cienia, u steru, reszta załogi zaś, czyli Ten Który Miażdży Kości, Białozęby, Zjadacz Krwi i Ten z Nosem (faktycznie nos miał wielki), leżała na pokładzie odpoczywając.

Doszedłem do wniosku, że wiosłarze mają brzydkie twarze, gdy odpoczywają. Jeżeli przyjdzie im wiosłować pod prąd w najgorszych warunkach (kiedy rzeka wyleje i pracują zbyt ciężko, by chórem coś śpiewać), ich świszczący oddech przypomina płacz zrozpaczonego dziecka, a twarze ich ściągają się, przypominając obłąkane konie w przerażonym galopie. Intensywność wyrazu twarzy i wykrzykiwanie rysów pod wpływem nadludzkiego wysiłku sprawiają, że brzydota jakby maleje. Podczas odpoczynku mają jednak opuchnięte twarze. Nikt nie wie dokładnie, dlaczego wiosłarze, którzy wychodzą na brzeg, zawsze bardziej skłonni są wszczynać bójki niż pozostali robotnicy Memfis, toteż przypisuje się tę skłonność nadmiernym ilościom piwa, i to była prawda. Większość z nich ma twarze, które wyglądają tak, jakby lew żywił się ich policzkami. No a poza tym jest jeszcze bat. Bat znaczy coraz to nowe pręgi na ledwo zabliznionych śladach po dawnych uderzeniach, jakie widnieją na ich ramionach. Raz po raz owija im się wokół szyi i sięga do twarzy. W rezultacie połowa wiosłarzy nie widzi na któreś oko. (Jeżeli tracą oboje oczu, odsyła się ich do innej roboty).

Set-Kwesu, nadzorca wiosłarzy, nie bez powodu zwany Tym Który Miał dźwi Kości, wymachiwał batem. Kiedy wiatr wiał silnie, mój dziadek czasami sam brał bat do ręki. Umiał sprawić, że koniuszek bata tańczył dziko, owijał się wokół pasa ofiary i smagał ją po pępku, a jeśli wiosłarz przerwał na chwilę, by się podrapać, kąsał jego pachy z taką precyzją, że leciały włosy. Niestety, nieszczęśnicy mieli wszelkie powody po temu, by się drapać. Jak świat światem wiosłarze zawsze byli zawszeni.

Mojej matce to przeszkadzało. Brzydziła się robactwem pasożytującym na ciele i to do tego stopnia, że traciła panowanie nad sobą na samą wzmiankę o wszach. To nie było czymś wyjątkowym wśród młodych kobiet z Memfis (w obawie przed zawszeniem często goliły sobie głowy i pokazywały się publicznie w perukach), a poza tym moja matka była bardzo dumna ze swych włosów. Były mocne i czarne, wiły się w lokach jak węzowe sploty. Nosiła je długie i nieustannie obawiała się zawszenia. Poprzedniego wieczoru wpadła w panikę, gdyż sądziła, że jednak ma wszy. O ile sobie dobrze przypominam, tym razem także płynęliśmy jednak z prądem, a nie w górę rzeki, choć zdążaliśmy do pałacu faraona. Zeszłej nocy byłem z matką i ojcem u Menenheteta, który mieszkał dalej na południe, więc w górę rzeki, w olbrzymim domu szerokim na sto kroków, głębokim również na sto i w dodatku trzypiętrowym. Powiadano, że ma pięćdziesiąt pokoi, a ja sam widziałem, że na dachu urządził ogród z daszkiem z tego samego materiału, z którego szyje się namioty. Bo też i z dachu tego roztaczał się wieczorem wspaniały widok, gdy słońce wypełniało rzekę milionami czerwonych roztańczonych rybek, pustynia na wschodzie przybierała kolor indygo, wzgórza z piaskowców na zachodzie zaś różowiły się, czerwieniły i złociły, błyszcząc jak krwisty ogień pieca, podczas gdy słońce zachodziło za wzgórzami.

Właśnie wtedy pradziadek przemówił do mnie, co rzadko czynił. Przywykłem do krewnych i służących, mających świadomość tego, że nie jestem zwyczajnym dzieckiem, do dzisiaj pamiętam słodczy czystego podziwu, jaki wzbudzałem u mężczyzn i kobiet, do których przemawiałem, a którzy byli zachwyceni widząc, jak dojrzały jestem mimo moich sześciu lat. Ale Menenhetet nigdy dotąd nie zdradził po sobie, że go interesuję. I dopiero wówczas objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

– Czy przyglądałeś się barwom na palecie pisarza?

Skinąłem głową. – Czarna i czerwona – dodałem. Dostrzegłszy błysk w jego oku, dorzuciłem: – Są jak niebo wieczorem i niebo w nocy.

– Tak – rzekł. – To jeden z powodów, dla których używają czerwieni i czerni. A inny?

– Nasze pustynie są czerwone, ale najlepsze gleby są czarne, gdy opadną wody powodzi.

– Doskonale. Jeszcze inny?

– Nie pamiętam.

Wyjął mały, ozdobiony drogimi kamieniami nożyk i przyłożył ostrze do mojego palca. Ukazała się kropelka krwi. Byłbym krzyknął, ale coś w wyrazie jego twarzy powstrzymało mnie.

– Tę barwę musisz zapamiętać jako pierwszą – powiedział – a czarna jest barwą ostatnią. – Nic więcej nie powiedział, pogładził mnie tylko po głowie i wyszedł, ale potem usłyszałem, jak rozmawia z Hatfertiti i wymienia moje imię. Słyszając niski, zmysłowy śmiech mojej matki byłem pewien, że wypowiedział się o mnie pochlebnie. Pochlebstwa pod moim adresem zawsze sprawiały jej fizyczną przyjemność, jak gdyby wyrażano podziw dla jej ciała, a jeżeli byłem właśnie w zasięgu jej wzroku, patrzyła na mnie czule. Pod jej spojrzeniem miałem uczucie, jakbym się kąpał w kwiatach. Nauczyłem się spijać nektar takiej miłości, czułem jak gdyby to były perfumy równie odurzające jak wspomnienia. Nic nie wydawało mi się jako dziecku równie piękne jak moc pamięci. Podbudowany zachwyconym spojrzeniem matki rozpamiętywałem każdą chwilę, kiedy na mnie patrzyła zapamiętałe i namiętne. Dlatego patrzyłem na czerwone wzgórza po drugiej stronie rzeki, na zachód słońca i zasypiając marzyłem o cudach pustyni, a także o srebrnej wodzie oazy.

Tego wieczoru zapalono pochodnie, gdyż nie było wiatru, a przy każdej pochodni w czterech rogach dachu stał służący z wiadrem wody. Pradziadek lubował się w takich widowiskach i w bliskości ognia, mimo ryzyka, że służący zaśnie, a zarazem zerwie się wiatr. Co parę lat jakiś wspaniały drewniany dom płonął na skutek takich wypadków. Skutkiem tego pochodnie uważano za luksus – trzeba było mieć bardzo zaufanych służących, którzy strzegli pochodni. Naturalnie blask pochodni był o wiele przyjemniejszy niż nikłe promyczki świec.

W świetle jednej z pochodni tańczyła jakaś kobieta. Poruszała się, a ciało jej drgało lubieżnie, skręcone niczym splety włosów Hatfertiti. Na śpiewnych strunach cytry grał karzeł, nagi, jeżeli pominąć złoty trzos i parę bransolet na bicepsach. Grał z zapamiętaniem, a jej biodra drżały w rytm jego melodii.

Mała orkiestra Menenheteta wywołała okrzyk zdziwienia, pojawiając się na dachu. Harfiarz, cymbalista, flecista i perkusista – wszyscy byli karłami niewiele większymi ode mnie, a jednocześnie wprawnymi muzykami, wyjąwszy tego, który grał na harfie, gdyż ramiona miał zbyt krótkie i nie zawsze potrafił sięgnąć do dalszych strun.

Mówili dziwnymi językami, gdyż stanowili potomstwo jeńców schwytanych w dawnych wojnach z królami Arvad, Karkemisz i Egerat. Ich głosy, drobne twarzyczki i muzyka wywoływały oklaski po każdym utworze. Goście Menenheteta przyjmowali wszystkie utwory przesadnymi oklaskami, a byli to kupcy i sędziowie, kapłani i zamieszkujący w sąsiedztwie wielmoże, reprezentujący najlepsze świątynie i dobre towarzystwo na południe od Memfis. Z pewnością byli bogaci, ale nie na tyle, by nie czuli się zaszczytzeni zaproszeniem do domu mojego pradziadka, a jeszcze bardziej do ogrodu na dachu. Co prawda podsłuchałem, jak paru szeptało, iż goście, którzy tego wieczoru zgromadzili się na przyjęciu, nie byli aż tak świetnym towarzystwem jak tego oczekiwano, gdyż tylko mój ojciec był wysokim urzędnikiem z Pałacu.

Mimo to Menenhetet cieszył się zasłużoną sławą od delty do pierwszej katarakty. Nawet moja niania chichotała lubieżnie na dźwięk jego nazwiska, z plotek zaś, które wymieniali goście (mnie uznano za zbyt małego, bym mógł pojąć żarty, które wymieniali) wynikało, że kobiety z towarzystwa dzieliły się na te, które już miały romans z Menenhetetem, i na te, które dopiero zamierzał zdobyć. Tego wieczoru większość zon musiał spotkać zawód (choć ich mężowie odetchnęli z ulgą), gdyż pradziadek przesiedział niemal cały wieczór przy mojej matce. Ja się trzymałem z dala. Czasami, kiedy zbliżali się do siebie, czułem obecność mocy tak potężnej, że nie śmiałybym stanąć między nimi, gdyż przerwanie nastroju, który ich ogarnął, mogło mi grozić porażeniem.

Tego wieczoru Menenhetet nie opuszczał mojej matki. Siedzieli nieruchomo, gdy zespół grał swoje utwory. Mój ojciec nie wiedział, gdzie się podziać. Siedząc blisko nich, był ignorowany w rozmowie, jeżeli usiłował ją podjąć. Jeżeli zaś ufny w piękno swego oblicza próbował zainteresować się którąś z żon, jego wysiłki wkrótce spełzały na niczym. Hatfertiti w ogóle nie zwracała na niego uwagi – siedziała przy Menenhetecie w milczeniu, które mówiło wyraźnie o tym, że są sobą zainteresowani. Hatfertiti trzymała w ręku kosmyk czarnych włosów i gładziła nim loki na głowie. Kosmyk ten, wyrwany z ogona świętego byka, zapobiegał siwieniu, toteż matka moja wykonywała ów obrządek całkowicie pochłonięta sobą, jak gdyby pragnąc, by te żarliwe pieszczoty, którymi siebie obsypuje, podwyższyły jeszcze jej nieocenioną wartość.

Po koncercie goście zaczęli się rozchodzić. Łatwo można było się domyślić, jakim szacunkiem cieszył się mój pradziadek, ponieważ nie musiał się nawet odzywać, gdy podchodzili jeden po drugim i klękawszy dotykali czołami podłogi. Tylko faraon, wezyr, wysokiej rangi kapłan albo któryś z najbardziej sławnych generałów królestwa mógł sobie pozwolić na takie zachowanie. W rzeczy samej Menenhetet okazywał swój brak zainteresowania wyjściem gości w sposób tak naturalny, pogrążając się we własnych myślach, w równie jak Hatfertiti wyniośle nieruchomym milczeniu, że goście wychodzili, nie zauważając żadnego gestu ani znaku ręką. Nie czuli się jednak urażeni, wręcz przeciwnie, wyglądali na zadowolonych, że wolno im było pojawić się przed jego obliczem, jak gdyby słyszeli echo jego czynów w znudzeniu, jakie okazywał zaproszonym przez siebie znajomym. Stojąc w milczeniu przed jego obliczem, sycili się zasłyszonymi opowieściami o jego przewrotności i sztuce magicznej, a odczucie zespolenia się z nim zawładnęło wszystkimi tak przemożnie, że ożyłem we własnym wspomnieniu, jakbym jednocześnie istniał w dwóch różnych wymiarach czasu. Nie stałem już wyłącznie w rogu ogrodu na dachu przy jednym z niewolników pilnujących pochodni, ale powróciłem także do czarnej wnęki w piramidzie, w której blask gwiazdy odbijał się w wodzie, świadom dzięki wspomnieniu z dzieciństwa, iż moim przewodnikiem po Krainie Umarłych jest człowiek cieszący się za życia szczególnym szacunkiem. Uświadomiwszy sobie to, dałem się ponieść strumieniowi wrażeń, jakie napływały ku mnie od jego zgiętych palców, pochyliłem się zatem do przodu i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu pocałowałem go, w ciemności, w zwiędłe wargi.

Otworzyły się jak przybrudzona skórka moreli właśnie zerwanej z zakurzonego drzewa i poczułem dojrzały ciepły miąższ ust tak bogatych zmysłową obietnicą, że pocałunek wisiał jeszcze w powietrzu, gdy cofnąłem się. Właśnie wtedy musiałem myślami wybiec ku mej matce i Menenhetetowi, którzy siedzieli w ogrodzie na dachu w zmysłowym milczeniu.

Nie wiem, jak długo trwało, nim wreszcie zostali sami, ale oto goście powychodzili, mój ojciec znikł także – zdaje się, że matki nie obchodziło specjalnie, gdzie – a i mnie nikt już nie widział, gdyż przeszedłem na drugą stronę dachu i spoglądałem zafascynowany na ostatnich gości, przechadzających się po alei wysadzonej kwiatami w długim ogrodzie przed domem. Wstał księżyc i w jego blasku odbijającym się w wodzie widziałem ryby pluskające w sadzawce. Słudzy Menenheteta tego południa przeszukiwali z siatkami w ręku bagna i rozlewiska, by blask słońca i księżycy mógł się odbijać w najbardziej błyszczących i zwinnych młodych łososiach.

O ogrodach mego pradziadka wiele opowiadano w Memfis. Wyjąwszy posiadłości faraona, jego rezydencja nie miała sobie równych. Sadzawka słynęła dzięki, robocie rzemieślników, którzy układali dekoracyjną mozaikę z kafelków na dnie – widniały na niej kwiaty, wysadzone drogocennymi kamieniami – granatami i ametystami, turkusami i lazurytami oraz onyksem. Uświadomiłem sobie ich wartość, gdy służący strzegący sadzawki spojrzeli na mnie sokolim wzrokiem: odpowiedzialni byli za to, by żaden kamień nie wypadł z oprawy ani nie został skradziony. Za taką stratę zapłaciliby jedną z własnych dłoni.

W rzeczy samej na polach warzyw poza aleją wysadzaną kwiatami widniały białe słupy i dostrzec można było niejedną uschniętą dłoń przybitą do pala. Okropny był to widok pośród pól pszenicy, jęczmienia i soczewicy, grządek cebuli i czosnku, ogórków i arbuzów, ale zbiory były wspaniałe. Na polach panowała radość boskiej płodności, jak gdyby radosny do szpiku kości oddech bogów przenikał z ich boskich li rzucili') w przez ziemię.

Nieco wcześniej owego dnia zaszedłem wzdłuż drózek i wysadzanych alejek mego pradziadka w pełne paproci i węgorki trzęsawiska na skraju jego posiadłości. Posiadłość, położona wyżej w stosunku do otaczających ją terenów, w czasie powodzi stawała się wyspą, bagna zaś przypominały jeziora i nie było na nich widać żadnych ścieżek. Nadszedłem od strony winnic, zrywając winogrona i wędrując przez gaje pomarańczowe i figowe, obok drzew cytrynowych i oliwnych, pod akacjami i figowcami. Zjadłem owoc granatu, wypluwając nasionka i wciąż jeszcze rozmyślając o wyschniętych, zakrwawionych dłoniach przybitych do pali. Zapragnąłem popluskać się w sadzawce i nasikać srebrnym i złotym rybkom – podnieciła mnie myśl, że będą piły moje siki. A może odczułem podniecenie, posłyszawszy od strony podwórza beczenie owiec i kóz, które uderzyło mnie jak jęk zawiasów z kamienia w dużych wrotach. Dźwięki te pasowały do upału dnia i fermentacji żywności, sprawiały też przyjemność moim lędzwiom. Ożywałem w spleśniałych woniach, przynoszonych przez ciężki i powolny wiatr znad szop dla trzody, woniach nieprzyjemnych, ale i nie całkiem odstręczających. W upale tego popołudnia czułem się bliżej pełnego smaku prawdziwej uczty pod moimi stopami – jak gdyby rozweseleni bogowie wyprawiali w podziemiach wspaniałą biesiadę. Nawet kwik osiołków i gdakanie kur przeniknęły to powietrze dokładnie. Później, wieczorem, przyglądając się mej matce i Menenhetetowi na dachu, nie musiałem już uznawać silnego pociągu między nimi za coś tajemniczego. Dreszcze w sercu i lędzwiach stopiły się w jedno i poczułem, co to znaczy boskie przeistoczenie. Bo właśnie tego popołudnia, wędrując kwiecistą alejką, poczułem taką magiczną moc pelargonii i fiołków, dalii, irysów i wielu innych wspaniałych kwiatów, których nazw nie znałem, a które pączkowały we mnie swymi zapachami jak w ogrodzie, że uległem im całkowicie. Kiedy wdychałem ich zapach, inne kwiaty rozwijały w moim ciele swe płatki, a zielony pęd podniósł się spomiędzy moich ud do pępka. Sercem wdychałem woń kwiatów, a w moim brzuchu weszła moc ziemi, odpłynęła i znów weszła, niczym inne ciało budzące się do życia w moim ciele. Wkrótce byłem mokry, obmyty gęstą białą rzeką, śmietanką parującą w upale, i sam nie wiedziałem, gdzie kończą się płatki tych kwiatów i zaczynam ja.

Spoglądając wieczorem na ogrody i dostrzegając blask księżyca w sadzawce oraz ścieżki wiodące do pomieszczeń dla służby i niewolników, ujrzałem także odbłask paleniska, nad którym topiono smołę w warsztacie szkutników, gdzie nie wiadomo dlaczego robotnicy pracowali jeszcze do późna w noc. Patrząc na ostatnich gości sunących ścieżkami i ginących w wyrafinowanym labiryncie, zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje między moją matką a pradziadkiem. Zadrzałem więc, usłyszawszy szalony okrzyk małpy odzywającej się ze swojej klatki niemal ludzkim, przygnębiająco obłąkanym tonem. Jakże jasno świecił księżyc! W upale parnego wieczoru wydawał mi się równie ciężki jak okruchy ziemi pod moimi palcami po południu. Rozległ się cichy krzyk gazeli.

Hatfertiti zaczęła się czegoś bać, zaczęła odczuwać niejasny lęk, którego nie potrafiła dokładnie umiejscowić. Kiedy małpa wrzasnęła, sygnalizując zmianę powietrza, poczułem, jak przebłysk przerażenia ulatuje od mej matki ku mnie, a potem usłyszałem jej przerażający krzyk. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jestem tak blisko i jej przerażenie było autentyczne. Chyba nigdy przedtem nie słyszałem mej matki krzyczącej w takim przerażeniu. Potem zaczęła płakać jak dziecko. – Zdejmij to ze mnie. Zdejmij to ze mnie – błagała i chwytła Menenheteta za rękę, przyciskając jego

palce do swych skroni i łkając rozpaczliwie, w pełni świadoma, iż coś pełza w pysznych zwojach jej fryzury.

Natychmiast znalazł wesz, zgniótł ją w paznokciach, podczas gdy Hatfertiti przeczesywała palcami włosy i gorączkowo, rozdrażnionym głosem dopytywała się: „Czy jest ich więcej? Możesz zobaczyć?”

Uspokoił ją, jakby była przerażonym zwierzątkiem, gładząc jej włosy jak grzywę, trzymając ją za podbródek, mrucząc do niej w języku bezsensownych pocieszeń, tak łagodnych, jak pieszczotliwe przemowy wygłaszane przez mężczyznę do konia albo psa. Uspokoila się nieco, gdy ją przyciągnął do światła, ignorując służących, którzy jeszcze tam stali, każdy przy swojej pochodni, nieruchomi. Menenhetet nie musiał się nimi kępować, ale w tamtej chwili przecesał tylko jej włosy w świetle pochodni i upewnił się, że nic tam nie ma. Dała się w końcu uspokoić i przywieść z powrotem na sofę.

– Czy jesteś pewien, że była tylko jedna? – spytała.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen przewrotności. Po czym Menenhetet pocałował ją, ale tak zręcznie, z tak namiętną sugestią zbliżenia, że pochyliła się ku niemu, jakby prosząc o następny pocałunek. – Jeszcze nie – powiedział i uśmiechnął się tak tajemniczo, że nie wiedziałem, czy mówił o wszach, czy o pocałunkach. Ponownie poczułem błyskawicę przerażenia, przeskakującą jak iskra od niej ku mnie. Ja sam też już się zacząłem bać. Nie chciałem słuchać tego, co jeszcze mogli mieć do powiedzenia. Wiedziałem, że znajdę się blisko tego, czego wysłuchiwałem przez wiele nocy, w czasie których dobiegał mnie głos mojej niańki sam na sam z jednym ze swych dwóch przyjaciół – nubijskim niewolnikiem, zatrudnionym w stajni, lub hebrajskim niewolnikiem, pracującym w warsztacie metalowym, gdzie ostrzył noże i miecze. Jeden albo drugi zawsze spędzał z nią noc w pokoju przylegającym do mojego i stamtąd właśnie dochodziły mnie odgłosy zagród pełnych trzody chlewnej i okrzyki ptaków znad bagien i trzęsawisk. Moja niańka i jej towarzysz za każdym razem kwiczeleli jak prosiaki albo ryczeli jak Iwy, a od czasu do czasu wybuchali tak wysokimi jękami i zawodzeniami, jakby odgłosy te wydobywały się ze wszystkich mięśni ich brzuchów naraz. Jak posiadłość mego ojca długa i szeroka, podobne odgłosy dobiegały zewsząd przez całą noc: długie jęki jakiejś pary budziły, zdało się, jakąś inną parę do pomruków, po czym trzecia nagle ryczała ze śmiechu i rozkoszy, zachęcając w ten sposób zwierzęta do szczekania, pisku i chrząkania.

Matka wstała i zostawiłaby Menenheteta samego, gdyby nie spojrzała mu prosto w oczy i nie dostrzegła, że znów jest w nią wpatrzony. Ich wzrok spotkał się. Nie powiedzieli nic, ale moc tego przyciągania, która zmuszała ich do wpatrywania się w siebie przez cały wieczór, znów stała się dla obojga jasna. Czuli się tak, jakby każde z nich całą siłą woli napierało na drugie. Poczułem się słabo. Właściwie czułem się nie tyle słabo, co niepewnie – miałem wrażenie, że jestem miotany dwoma wichrami, które zerwały się nad całym moim dzieciństwem. Usłyszałem, jak pradziad mówi do niej coś, choć nie jestem pewien, czy to jego głos zabłąkał się do mojego ucha czy też naga myśl (znamy ludzi głuchych, którzy niczego nie słyszą, ale we mnie zaczęto rozpoznawać przeciwieństwo głuchego, to znaczy kogoś, kto słyszy nawet nie wypowiedziane myśli). Tak więc powiedział albo pomyślał sobie. Ja w każdym razie usłyszałem, jak mój pradziadek mówi: „Największe szanse u faraona masz jutro”.

– A co się stanie, jeśli ja dopnę swego, a ty nie? – replikowała matka.

– Musisz pozostać mi oddana – odrzekł pradziadek.

Nie śmiałem spojrzeć i dobrze zrobiłem, bo zaciskając z całej siły powieki dojrzałem jeszcze, jak Menenhetet popycha moją matkę i rzuca ją na kolana przed swoją białą, krótką spódniczką. Czułem siłę ich myśli, jakby to był jeden rydwan wpadający w szale na drugi i ponownie ujrzałem

jego myśli. Ona też musiała myśli te odgadnąć, gdyż siły ją opuściły i zapłakała. Pradziadek powiedział:

– Chuj Seta znajduje się w twoich ustach.

Odniosłem wtedy wrażenie, że mam do czynienia z prawdziwą trucizną, która była jak esencja mściwości unosząca się w trzewiach wiatru. Nie wiem, czy zemdlałem, ale znajdowałem się w mroku i nie miałem ani sześciu lat, ani dwunastu, ani dwudziestu jeden, ani też nie byłem martwy (czy ja w ogóle umarłem?). Byłem znów w wykuszu obok głównego korytarza wielkiej piramidy, chuj Menenheteta zaś z pewnością znajdował się w moich ustach. Szczęki mi zmartwiały. Czułem się bezbronny, mięśnie miałem bezwładne, u korzeni mej woli zaś tliła się wściekłość. Wystarczyło tylko ugryźć, a i on też by krzyknął. Pojąłem wówczas, że jestem wart mej matki i nie zdołam się od niej odróżnić, że nie stać mnie na to, by powiedzieć, że jestem Menenhetetem II, młodym i szlachetnym wojownikiem, zbyt młodo poległym. Nie runąłem z wyżyn własnej dumy, bo usta, które go ssały, nie należały do mnie, lecz do mojej matki, z jej pokrętnymi myślami i prądami jej zmysłów. Toteż zaznałem chuja Seta, podobnie jak ona go zaznała w ogrodzie na dachu pradziadkowego domu nad brzegami Nilu. Jego ciało było gorące niczym rozpalone kadzie kopalni siarki i paliło moje podniebienie. Mój umysł opierał się o jej umysł, moje usta żyły w jej ustach i zaznałem klątwy głębokiej jak złowieszcza moc w nasieniu Seta. Ręka Menenheteta wciąż ścisnęła moją dłoń, ale palce jego drugiej ręki zacisnęły się na mej czaszce od tyłu. Uszami mej matki słyszałem bezdźwięczny głos mego pradziadka, przemawiający do niej w chwili, gdy miała zapchane usta i gdy rysy jej twarzy drżały spazmatycznie (i moje też), niczym ciężkie od chmur niebo, które rozdziera błyskawica. Coś wytrysnęło z żółci istnienia, jakiś chorobliwy szpik powstały z rozkładu trupów, i Menenhetet wytrysnął w moich ustach, w jej ustach, z lędźwi nieżywego Menenheteta, w wykuszu korytarza piramidy, w którym klęczałem, a jego wytrysk odczułem jak błyskawicę. W jego błysku zrozumiałem, w jaki sposób trzymał jej głowę, gdy klęczała przed nim w ogrodzie na dachu jego rezydencji, w jaki sposób żelazo jego ostatnich dygocących kropli kapało słonymi kroplami na jej język, a myśli przepływały z jego głowy do jej głowy. Potem w mroku cofnął się i wyjął chuja z mych ust, ja sam zaś w Krainie Umarłych zacząłem z nagle rozbudzonym radosnym oczekiwaniem domyślać się, co jeszcze ma nadejść. Tak samo Hatfertiti, z opuchłymi wargami, pachnąca i rozbudzona wonią jego ciała, odczuwała błogość w członkach, a najskrytsze płatki jej ciała pachniały różami w oczekiwaniu poranka. Z tą myślą, wciąż jeszcze na kolanach, przeniosłem się wraz z nią, jak gdyby dzięki jednemu tchnieniu umysłu, w złocisty blask naszej podróży z prądem, odbywanej w radosnym oczekiwaniu audiencji u naszego faraona, Ramzesa IX. Śniłem o nim przez całą poranną świetność Nilu.

II

Wpatrując się w ostatnie krople na dnie pucharu, można czasami dostrzec w ich drzeniu echo myśli. Podobnie i ja zrozumiałem, że ostatnie najcenniejsze krople skarbów tego dnia spędzonego na rzece można będzie dostrzec wieczorem w prywatnych komnatach faraona. Siedząc na poduszce wyszywanej srebrną nitką, odczuwając słodkie rozdrażnienie pośladków, wygiąłem ciało przytulając się do ramienia Hatfertiti, czując zarazem nowe ognie w lędźwiach na wspomnienie mojej matki z Menenhetetem poprzedniego wieczoru. Cóż za transformacja! Wczoraj wieczorem chciało mi się płakać razem z matką. Teraz siedziałem w łodzi ukołyszany upałem.

Oczywiście, udało mi się znacznie więcej, niż się spodziewałem. Menenhetet faktycznie posiadał moją matkę. Właściwie to myślałem wówczas, że po prostu rusza się razem z nią robiąc coś, czego nie umiałem określić ani jako obłąpanie się, ani jako taniec, ani jako modlitwa. Chwilami przypominali mi nawet parzenie się zwierząt z tą jedną różnicą, że nie mieli tak strasznie głupich min jak zwierzęta, kiedy się parzą.

Po jakimś czasie zaczęli się lizać, wydając arystokratyczne pomruki, raczej jak ptaki niż jak świny. Wyślizgnąłem się wówczas z ogrodu na dachu zakłopotany, zszedłem po schodach, znalazłem swój pokój, łóżko i zacząłem pochlipywać na myśl o mojej nagiej matce z pradiadkiem. Wtedy to zostałem po raz pierwszy nader osobliwie ukojony przez moją niańkę, Ejasejab. Nazwała ona Słodkim Paluszkciem tę część mojego ciała, która wyrasta między nogami, a do tej pory służyła mi wyłącznie do oddawania moczu. Otoczywszy ją swymi syryjskimi wargami, dostarczyła mi wrażeń, których bez niej byłbym pozbawiony. Jeszcze następnego ranka, gdy spoglądałem na nią przez wodę (Ejasejab znajdowała się wśród służby na barce, która spieszyła w ślad za nami), podnosiłem rękę do nosa i wciąż czułem zapach jej ust, kojącą mieszankę cebuli, oliwy i ryby (tą ręką trzymałem się za Słodki Paluszek jeszcze długo po odejściu Ejasejab). Jej wargi zapadły mi głęboko w pamięć i czułem je równie wyraźnie, jak delikatne, słodkie pieszczoty fal chlupiących o burty, gdy mijały nas barki parte siłą wioseł w drugą stronę. Ku zdumieniu pozostałych roześmiałem się, a mój ojciec, pragnąc trafić w nastrój żony i pradiadka, choćby leciutko nadgryźć to milczenie, powiedział:

– W tym roku na pewno uda nam się pozbyć smrodu.

– Nie, przecież to fascynująca woń, doprawdy – odparł Menenhetet po przerwie spowodowanej moim śmiechem.

– Ja też tak uważam, że jest ciekawa – dorzuciła matka – przynajmniej od czasu do czasu.

Przypomniałem sobie, jak się lizali nawzajem. Oczywiście nic nie dorówna naszej rzece, kiedy zaczyna się wspinać i każda warstwa starego mułu na równinach ożywia się wszystkimi starymi zapachami, w miarę jak woda sięga coraz wyżej w zapiekłą glinkę i stare trzciny, a chmary owadów wędrują nad unoszonym przez wody listowiem. Przez jaki tydzień śmierdzi straszliwie, jak gdyby cała ziemia zrzucała najbardziej zbrukaną szatę. Każda wioska staje się wysepką, a jej wyżej położone obszary wysyłają nowe fale zaduchu stłoczonych krów i owiec (na parę tygodni gromadzi się je ciasno obok siebie w niewielu położonych na suchym lądzie zabudowaniach, gdzie śpią pokotem wraz z chłopami, do których należą). Potworne warunki, ładnie wygląda to tylko w księżycowym blasku, gdy wioski jawią się jak ciemne wysepki na srebrzystym jeziorze. Najuboższa

łódeczka zaś, ledwo mieszcząca dwóch ludzi, ot, parę snopków wysuszonych, długich trzcin pokrytych smołą, wygląda w tym blasku równie elegancko jak skif z papirusu, na którym mój pradziadek, mój ojciec i grono ich przyjaciół wyprawiają się od czasu do czasu na polowania.

Ale w ten piękny poranek, kiedy ojciec wygłosił powyższy pogląd, smrodu istotnie nie było, a rzeka nie była już zielona od pierwszej warstwy szlamu zebranego z pól, lecz wezbrana i czerwona od gliny zmytej ze skał położonych wyżej.

Zazwyczaj mieniła się złocistą czerwienią przechodzącą w brąz, wyjąwszy ów wyjątkowy poranek, gdy słońce świeciło tak jasno, że odbłask bijący od rzeki równy był blaskowi tysiąca słońc. Złoto jarzyło się nad czerwonymi wodami i obdarzało każdą przepływającą barkę takim blaskiem, że nawet najnędrniejsza, pełna kapusty albo kadzi z oliwą, korców zboża, czy też tonąca niemal od ciężaru gładko obrobionych kamieni jawiła się niczym królewska galera. Pamiętam taką barkę przepływającą niedaleko od nas, z pokładami pełnymi beli papirusu, które w tym słonecznym blasku wyglądały jak najbielsze i najlepiej wyprawione płótno. Pomyślcie teraz, jak musi wyglądać oślepiająca blaskiem barka królewska, której kadłub pokryty jest złotem i srebrem i w której grupa urzędników królewskich, mających objąć obowiązki wykonawców woli faraona w odległych miastach Południa, udaje się w górę rzeki. Stoją oni zazwyczaj na rufie obok wielkiego ołtarza z czystego złota, większego niż pięciu kłęczących obok siebie mężczyzn. Ołtarz musi być darem Ramzesa IX dla którejś z jego świątyń. Urzędnicy pozdrowili nas, ujrawszy flagi na złotym sokole u dziobu statku Menenheteta, a i my z kolei pokiwaliliśmy przyjaźnie zwiniętym kobrom ze złota na wysokiej kabinie tej państwowej barki. Sześćdziesięciu wiosłarzy pchało ją naprzód (wiatru nie było) – umieszczeni po trzydziestu przy każdej burcie. Wiosłowali tak szybko, że żaden wiatr nie byłby w stanie im dorównać. Pojedynczy maszt sterczał nieruchomo, główny żagiel czerwonej barwy był zwinięty. Maszt przypominał mi Słodki Paluszek z zeszłej nocy, ale był pokryty złotem. Nie było takiego fragmentu barki, który nie jaśniałby złotem lub srebrem, wyjąwszy słomiane maty na pokładach i purpurowe wyrzeźbione dulki wiosł oraz reling. Barce towarzyszyła ochrona złożona z rydwanów bojowych, poruszających się w takim samym tempie wzdłuż wybrzeża po wyższej stronie.

Za nimi biegła truchtem piechota – łucznicy chrześzczący uzbrojeniem też dotrzymujący kroku wiosłarzom. Dalej szwadron konnicy z włóczniami, na rumakach z Babilonu zdobnych w pióropusze. Potem dwuosobowe rydwany, których malowane kola, podobnie jak pióropusze i wstążeczki powiewające na koniach, były purpurowe, pomarańczowe, czerwone i żółte jak szafran oraz moje szaty. Dzieciaki pędziły za nimi ile sił – nagie, ale każde z bransoletą albo pierścieniem z metalu na ramieniu. Widziałem, jak kilkoro z nich gapi się z nabożną czcią na moje żółte szaty. Pewien chłopiec w moim wieku popatrzył na mnie, a ja na niego przez rozdzielający nas pas wody; kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, ukłonił się i pocałował ziemię. Tymczasem w przestrzeni między żołnierzami a każdą mijaną przez nich grupką kobiet rozbrzmiewały wesole okrzyki i prześmiewki, radosne jak szum rzeki. Między załogą naszej łodzi a żołnierzami także wymieniano pozdrowienia i oklaski, jak gdyby to był festiwal i przyzwalano na otwarte okazywanie podziwu. Potem straciliśmy ich na chwilę z oczu, gdyż rzeka tworzyła w tym miejscu zakole i nagle oczom naszym ukazała się grupka Murzynów grających na tamburynach z takim zapamiętaniem, iż matka moja wyszeptła: „To barka faraona musiała ich tak podniecić”. Dwie piękne Murzynki też ogarnęły i zapiszczały z uciechy, gdy jeden z najemnych żołnierzy o zdumiewająco jasnych blond włosach zdjął swój hełm i ukłonił się z przesadną kurtuazją, w chwili gdy jego rydwan przejeżdżał obok nich. Nawet nasz harfista, skwaszony starzec w leopardziej skórze (z której był nader dumny) narzuconej na białe płótno uroczystej szaty, zgodził się potraćić struny liry, a Murzyni zagwizdali do taktu, podziwiając czystość dźwięku. Daktyle dojrzewające na gałęziach drzew były równie

czerwone jak błota przy brzegach i pomyślałem, że królewska barka, zwłaszcza skąpana w słonecznej poświacie, wyglądała jak złoty statek Re, który wioślarze przesuwają po niebie. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego przepychu, ale oto niebawem oczekiwało mnie widowisko jeszcze wspanialsze, gdyż docieraliśmy do przedmieść Memfis.

Oczom naszym ukazał się obelisk z czarnego marmuru, długi na sześćdziesiąt kroków, jak sadzawka mojego pradziadka, spoczywający na najdłuższej barce, jaką kiedykolwiek widziałem. Barkę tę ciągnięto za pomocą skórzanych lin, grubych jak ludzkie ramię, przywiązanych do osiemnastu mniejszych łodzi specjalnie przeznaczonych do holowania. Te ostatnie były wężutkie i mieściło się w nich jedynie trzydziestu wioślarzy, wiosłujących w dwóch rzędach po piętnastu przy każdej burcie (na towar nie było już miejsca). Jakżeż ogromny musiał być ciężar tego czarnego marmurowego obelisku ze złotym czubkiem! Pamiętam, że Ten Który Miażdży Kości i Zjadacz Cienia powstali na widok takiej armady, jak gdyby byli psami tresowanymi do walk na śmierć i życie, i przymierzali się do wysiłku, do jakiego ich siedem dusz i siedem duchów byłoby zmuszonych, gdyby im przyszło wiosłować pod prąd, ciągnąc ten obelisk w górę rzeki. Długi okrzyk tamtych wioślarzy doleciał nas przez wodę – okrzyk, który nie miał końca. Osiemnaście łodzi płynęło dostatecznie daleko od siebie, by każdy krzyk dochodził do nas oddzielnie, toteż końcowy efekt przypominał nakładające się na siebie szaleńcze wrzaski chmary ptactwa, któremu przzerwano ucztę. Właściwie w hałasach tych mogło się też krzyżować trochę ptasich krzyków, bo taka armada z pewnością przyciągała i ptactwo. Jastrzębie, czaple, wrony, olbrzymie sępy i dudki krążyły nad flotyllą, jak gdyby lada chwila jakiś wioślarz miał zasłabnąć i znaleźć się za burtą. Za wielką barką unoszącą obelisk ślizgały się po wodzie zimorodki, często nurkujące po zdobycz. Coś w głębokim kilwaterze barki musiało te ptaki przyciągać – mogły być to tylko brudy spłukiwane prądem wody z burt i dna. W końcu niewiele łodzi płynęło w górę rzeki, wywołując aż tak wielkie fale. Właśnie kiedy się temu przyglądaliśmy, jakiegoś zimorodka zaskoczyła nagła fala, zassała go i wypłynął za chwilę nieżywy. Sęp podskoczył na widok tej śmierci, jego okrutne skrzydła trzepotały radośnie jak ostra klinga dobrego miecza, przecinająca rzeńskie powietrze poranka.

Na brzegu, na matach, suszono zębaczę. Nad rybami rozpięto sieci, zawieszając je na palikach, by ochronić ryby przed ptactwem, na jednym z pali zaś balansował mały chłopiec, starając się odpędzać co większe jastrzębie długim kijem. Napatoczył się jakiś królik, którego powódź odcięła od pustynnego zaplecza. Chłopak cisnął weń kijem, nie trafił i spadł z pala, co wywołało uśmiech na twarzy Hatfertiti.

Docieraliśmy do obcych świątyń Baala i Astarte na przedmieściach Memfis, zbudowanych przez Syryjczyków i inne ludy ze wschodu. Usłyszałem, że rodzice wymieniają uwagi, krytycznie wyrażając się o tych budowlach. Były całkiem nowe, ale wykonano je z drewna i farba już się łuszczyła, ich fundamenty zaś oblepione były szlamem z Nilu. Otaczały je nędzne lepianki dzielnic cudzoziemskich pełnych krętych uliczek, węższych niż aleje nekropolii, i jednopokojowych nor z nie wypalanej cegły, tak biednych, że budowano je tuż przy sobie, aby oszczędzić na wspólnych ściankach i przytulic jedną do drugiej. Ten widok był dla nas przykry, jak gdyby nawet woda odbijała tę nędzę, a nasz kapłan w leopardziej skórze ostentacyjnie splunął na wodę, gdy mijaliśmy świątynie. Menenhetet sięgnął ręką do jego policzka i uszczypnął go, jak gdyby ironicznie hamując jego szczerą odrazę. Kapłan uśmiechnął się niewyraźnie i gorliwie skłonił ogoloną czaszkę do podłogi. Menenhetet niedbale zzuł sandał i podał kapłanowi stopę do pocałowania, co raz jeszcze podnieciło moje pośladki, gdyż kapłan – szelmowsko, jak sobie pomyślałem – wysunął język i zaczął szperać jak wąż między palcami podanej sobie do pocałowania stopy Menenheteta.

– Zagraj na strunach – rzekł Menenhetet, wycofując nogę. Kapłan sięgnął po harfę i zaczął grać pieśń o białej palecie, która chciała być kochana przez czerwone i czarne ślady atramentu. Głupia

piosenka, niezbyt odpowiednia na tę chwilę z uwagi na gusta moich rodziców i pradziadka, mnie się podobała, gdyż wciąż jeszcze miałem przed oczyma wyraz twarzy kapłana, gdy schylał się on ku palcom pradziadka – przypominał mi grymas na pysku psa, gdy ten dobiera się do miski. Mój ojciec wyglądał na rozdrażnionego – sprawiał wrażenie człowieka, dla którego poniżenie kapłana jest równie nieprzyjemne, co pobłażliwa zgoda Menenheteta na takie pieszczoty. Jeżeli można go było kochać, poniżając się aż do tego stopnia, to jak wyglądała moja matka? Poza tym mój ojciec gardził chaosem, brudem i brakiem elegancji. Nie bez kozery był Nadzorcą Szkatuły z Kosmetykami. Nawet mijając odrażającą dzielnicę cudzoziemców, zdolną swym nędznym wyglądem zepsuć nastrój u kogoś takiego jak ja, ojciec nie mógł się powstrzymać od komentarza: – Należałoby ją spalić.

– Cóż – odparła Hatfertiti – może przedmieścia prezentowałyby się wówczas sympatyczniej. Nie dałoby się tych ludzi przesiedlić w głąb łądu?

– Tereny są zbyt bagniste – powiedział Menenhetet.

– To może pozwolić im zamieszkać u stóp wzgórza? – spytała Hatfertiti, wskazując na skały oddalone może o pół godziny drogi od wybrzeża.

Znałem to wzgórze i lubiłem je. Jacyś służący zabrali mnie na długą przechadzkę i wówczas odkryłem roje pszczoł, gnieźdzące się wysoko w wyżłobieniach skał. Chłopcy zamieszkujący lepianki nad rzeką wspinali się tam do góry, drażnili pszczoły, zabierali miód i schodzili na dół. Służący, którzy im towarzyszyli, śmiali się z nich, mówiąc, że musieli znosić użądlenia pszczoł, wracając z miodem na dół, a ja osłonięty przez dwóch służących uważałem, stojąc w bezpiecznym miejscu, że ich odwaga godna jest pozazdroszczenia.

– Niemożliwe – powiedział Menenhetet – bo właśnie tutaj Ramzes IX zamierza wybudować nowy fort.

– Mimo to nie rozumiem – zauważyła Hatfertiti – dlaczego tych ludzi nie można przesiedlić. Przecież i tak trzeba tu będzie wybudować fort.

– Widzę, że znasz się na obronności – odrzekł pradziadek.

Miałem nadzieję, że budowa nie rozpocznie się zbyt wcześnie; że zdążę jeszcze, kiedy będę trochę większy, wspiąć się na wzgórze po miód. Pomyślałem, że niewiele wiem o życiu tych chłopców, biedaków pomagających swoim ojcom na polach nad rzeką i chwyciły mnie dreszcze, aż matka przycisnęła mnie do uperfumowanych i cudownie delikatnych poduszek swoich piersi i brzucha i wyszeptała mi do ucha:

– Niech mi się dziecko nie waży znów chorować. – Ojciec sprawiał wrażenie zatopionego w ponurych rozmyślaniach. Kiedy chorowałem, musiałem wysłuchiwać skarg Hatfertiti.

– Nic mu nie będzie – rzekł ojciec.

Pradziadek rzucił mi baczne spojrzenie bladoszarych oczu, które w blasku słońca wyglądały jak jasne niebo i spytał:

– Jakiego koloru jest twoja krew?

Wiedziałem, że robi aluzję do naszej ostatniej rozmowy, toteż odpowiedziałem:

– Czerwona jak i zeszłej nocy.

Pokiwał głową i spytał:

– A słońce?

– Słońce jest złote, ale możemy je nazywać złotym.

– Jest naprawdę inteligentny – wyszeptała Hatfertiti.

– A niebo – powiedział dziadek – jest niebieskie.

– Tak, niebieskie.

– No to wyjaśnij, jeśli potrafisz, pochodzenie takich barw jak brąz, pomarańcz, zieleń i purpura.

– Pomarańcz to zaślubiny krwi i słońca. Taki jest też kolor ognia. – Moja matka mi o tym opowiadała. Dodała i w tej chwili:

– Zieleń to barwa trawy.

Zirytowała mnie. Sam byłem gotów udzielić tej odpowiedzi.

– Tak, trawy – powiedziałem – która jest zielona, podobnie jak niebo jest niebieskie, a słońce żółte.

Menenhetet nie uśmiechnął się.

– Opowiedz o pochodzeniu barwy brązowej – powiedział.

Pokiwałem głową. Nie czułem się wcale jak dziecko. Myśli Menenheteta były przy moich tak blisko, że wystarczyło mi zaczerpnąć oddechu, bym odczuł całą moc jego umysłu.

– Brąz – rzekłem – jest jak rzeka. Na początku Czerwony Nil był rzeką krwi na niebie.

– Dziecko się z pewnością rozgorączkuje – wyszeptała Hatfertiti.

– Bzdura – odparł Menenhetet.

– Niech dziecko nie choruje – powiedział mój ojciec.

Przestałem się trząść i poczułem się rześko.

– Czy purpura to mieszanka krwi i nieba? – spytałem Menenheteta.

– Oczywiście – odpowiedział. – Dlatego jest też barwą szaleństwa. – Pokiwał głową. – Podobnie bogata gleba jest brązowa, bo stapiają się w niej wszystkie barwy. I dlatego – dodał ze złośliwym zapałem – twoje kaka jest też brązowe.

Roześmiałem się uszczęśliwiony.

– Ale skąd się bierze barwa biała? – spytałem.

– Niegłupie dziecko – wymamrotał do siebie. Wziął mnie pod brodę. – Jesteś jeszcze za młody – powiedział – by zrozumieć barwę białą. To najbardziej tajemniczy odcień na świecie. – Zmarszczył brwi, widząc na mojej twarzy odruch zniecierpliwienia. – Na razie wyobraź sobie, że biel to barwa kamienia, bo na kamieniach odpoczywają bogowie.

– Czy dlatego świątynie buduje się z marmuru?

– Niewątpliwie – odrzekł i zwrócił się do mojej matki.

– Wyjątkowa bystrość umysłu. Przekonuje mnie o tym, że nasza krew jest genialna. Nie mógł się jednak powstrzymać od uśmieszku. – Naturalnie, zważywszy na zlewanie się ze sobą odnóg rodzinnych Ramzesów aż dziw, że nie jesteśmy debilami.

Ojciec cierpiał. – Błagam cię. Nie mów takich rzeczy – wyszeptał, jak gdyby nawet najdrobniejsza wzmianka o takich sprawach zostawiała na jego uszach znamię świadczące dobitnie o nielojalności wobec faraona.

Powolne tempo posuwania się naszej łodzi skusiło kupców dzielnicy cudzoziemców i z tuzin ich nadpłynęło w skifach o najróżniejszej formie – niektóre były po prostu drewnianymi skrzyniami przywiązаныmi do tratw z pęków trzciny. Jeden z kupców nadpłynął na tratwie przywiązanej do dwóch belek służących za pontony, a inni wiosłowali w niewielkich łódeczkach. Przywieźli wszystkie możliwe towary na sprzedaż, na przykład dzbany oliwy do lamp, oliwy leczniczej i sezamowej. Jakiś idiota sprzedający misy lnu i jęczmienia faktycznie próbował zainteresować moją matkę swoimi towarami. – Niezwykle niska cena! – krzyczał, okropnie przekręcając egipskie słowa. Był tak natarczywy, że omal nie wpadł do wody, gdyż Ten Który Miażdży Kości wymachując długim wiosłem próbował w niego trafić. Nie chciał mu zrobić krzywdy, ale opędzał się od niego. Sprzedawca jęczmienia trzymał się jednak tuż za zasięgiem wiosła, dopóki nie spostrzegł, że moja matka pozostaje obojętna, że on może sobie godzinami opiewać zalety towarów, a ona nie przekona się ani do lnu, ani do jęczmienia, a wówczas skłonił się grzecznie i ustąpił miejsca innemu. Zbliżyli się wszyscy: łodzie wyładowane wszelkimi możliwymi owocami i

przyprawami, łódzie z surową gliną na sprzedaż, z mlekiem, henną, a nawet z suszonym łąjnem cuchnącym tak straszliwie, że matka krzyknęła rozdrażniona, a Ten Który Miazdzy Kości omal nie wyskoczył ze skóry, odpychając tę łódź jak najdalej. Uczynił to tak energicznie, że przedziurawił biedakowi burzę, przebiwszy wysuszone trzciny. Jeszcze inna łódź nadpłynęła z perukami i tej Hatfertiti pozwoliła się zbliżyć, przyjrzała się paru owłosionym głowom (wiedziałem, że przygląda się tylko po to, by je porównać z własnymi, gdyż zanadto obawiała się wszy, by kupować od przygodnego sprzedawcy), po czym odesłała kupca ruchem ręki. Nadpłynął skif z dwiema świniami na sprzedaż. Skrzyżowawszy spojrzenia z Tym Który Miazdzy Kości, kupiec cofnął się szybko. Inna łódź wypakowana była gęsmi i żurawiami, kaczkami i kurami. Nie kupowaliśmy. Płaskodenna łódka z dwiema drewnianymi klatkami oferowała nam hienę i gazełę.

– Czy to samiec, czy samica hieny? – spytał ojciec Zjadacza Cienia, który przekazał pytanie kupcowi. Odpowiedź udzielona została za pomocą gestów zataczania dłonią koła i pokazywania kółka palcem wskazującym i kciukiem. Ojciec pokręcił głową: – Faraon ma już samicę. Pomyślałem, że gdyby to był samiec...

– Czy Ptah-nem-hotepowi udało się oswoić hienę? – spytał pradziadek.

– Faraon dokonuje istnych cudów, oswajając dzikie zwierzęta – powiedział mój ojciec z należytym szacunkiem.

– Widziałem, jak prowadził hienę na smyczy.

Opowiadano, że mój pradziadek stoczył walkę z lwem, ale uśmiechnął się tylko na widok stadka kuropatw przelatujących nad naszą łodzią i trzepoczących skrzydełkami tak szybko, jak kolibry obracają języczkami.

Nadpłynęła mała łódeczka pomalowana w jaskrawe barwy. Siedział w niej tylko kupiec, młody człowiek w białej koszuli, z ciałem wymalowanym czerwoną ochrą. Zrobił na nas dobre wrażenie i Ten Który Miazdzy Kości na skinienie Menenheteta pozwolił mu się zbliżyć. Sprzedawał kosmetyki, ale jego olejki, migdały i sezam z dodatkiem perfum były niskiej jakości. Ponieważ moja matka nie chciała sprawiać zawodu tak przystojnemu sprzedawcy, jak gdyby w obawie, że okrucieństwo zaszkodzi jej własnej urodzie, zdecydowała się ostatecznie na jakąś azjatycką pomadkę, szczególną mieszankę, mającą, zdaniem wytrwale ją przekonującego kupca (który z głową spuszczoną w dół porozumiewał się przez naszych wioślarzy) stanowić jego osobisty wynalazek i chronić włosy przed wypadaniem. Ponieważ włos miał bujny i błyszczący jak czarna oliwa, Hatfertiti spytała za pośrednictwem Zjadacza Cienia, czy pomadka nie powstała w oparciu o oliwę z czarnych oliwek, a gdy przyznał, że tak było w istocie, potrafiła też odgadnąć inne składniki.

– Dodałeś olejku z daktyli, chcąc uzyskać ładny zapach – powiedziała.

– Księżniczka jest mądra – odparł.

– Ale na tym nie koniec twojej mieszanki?

– Wielka Księżniczko, jest w pomadce jeszcze włos czarnego psa, dzikiego jak wilk, a leży on na dnie i jeżeli się go nie wyjmie, włosy będziesz miała zawsze silne – powiedział Zjadaczowi Cienia, jękając się co niemiara. Chichotałem, gdyż młody kupiec nie patrzył na moją matkę, lecz przemawiał do Zjadacza Cienia (z olbrzymim nosem), jakby to ten ostatni był księżniczką.

– Dziękuję ci, że zechciałeś ochraniać siłę moich włosów – powiedziała Hatfertiti – ale w twojej mieszance nie brak dziwnego zapachu.

– To starte na pył kopyta końskie – powiedział młody człowiek.

– Kopyta końskie – powtórzył Zjadacz Cienia.

– Kopyta końskie – powtórzyła Hatfertiti, a po chwili roześmiała się beztrudno.

– Kopyta ze względu na korzenie twoich włosów, księżniczko, i na zdrowie twojej czaszki.

Kupiła pomadkę, a mój ojciec zapłacił małym pierścieniem wartości pięciu miedzianych *utnu*. Młodzieniec skłonił się nisko dziękując za to, że nie musi się targować o cenę, a kiedy już odpłynęliśmy, nadal spoglądał ku nam z takim podziwem, jak gdyby pragnął pozostać z nami na zawsze.

Pradziadek jęknął. – Ładny chłopaczek – powiedział.

– Wygląda na dziecko tkliwej matczynej miłości – rzekł ojciec.

Menenhetet pokiwał głową. Rzadko miał okazję zgadzać się z moim ojcem i teraz wreszcie to się stało. – Nie radziłbym mu zaciągać się do wojska.

Ojciec zaśmiał się hałaśliwie. Zazwyczaj nie wydawał tak nieeleganckich dźwięków, ale myśl o tym, że młodego kupca tak brutalnie nadużyją żołnierze, wywołała u niego wybuch nerwowego śmiechu.

– Chyba nie będę używała tego kosmetyku do włosów – powiedziała Hatfertiti. – Ale przyda mi się do piersi.

– No pewnie – rzekł Menenhetet. – Te wszystkie kopyta.

Ojciec znów się zaśmiał, a Menenhetet rzucił mu spojrzenie pełne żaru i złości.

Za zakrętem rzeki straciliśmy z oczu dzielnicę cudzoziemców. Na brzegu zajaśniały białe mury Memfis. Przepłynęliśmy obok wspaniałych marmurów świątyni Ptaha ze świętymi ogrodami, ale na ścieżkach zauważyliśmy niewielu kapłanów odzianych w białe szaty. A za następnym zakolem wyłoniła się świątynia Hathor.

Gdyby posłuchano matki, Memfis zaczynałoby się od tego miejsca. Dopiero teraz świątynie i ogrody ukazywały całą wielkość naszego miasta. Wijący się mur był równie miły oku, co naszyjnik z białych kamieni, za murem zaś widać było wysokie kolumny na dwóch wzgórzach, rozdzielonych ogrodem. Był to ostatni widok rozległej i pięknej przestrzeni, jaki dane nam było widzieć. Rzeka rozszerzała się za następnym zakrętem, aż zaczęła wyglądem przypominać jezioro. Po lewej stronie mieliśmy całe Memfis, z portem, z kamiennymi nabrzeżami do wyładunku towarów, ze stoczniami, z falochronami, groblami, kanałami, spichlerzami, z gęstą zabudową na każdym wzniesieniu. O tak, to było nasze białe miasto: pokryte czerwonym pyłem w porze suchej, w porze wylewu stawało się nieco błotniste. Nie miało to znaczenia. Skręciwszy po raz ostatni, wpłynęliśmy we wrota miasta. Jeszcze nie rozróżniałem twarzy robotników w dokach ani żołnierzy pilnujących targowiska, jeszcze nie dotarliśmy do zgietku magazynów i odgłosów ruchu ulicznego, a już wiedziałem, że powietrze nad rzeką zmieniło się i nasyciło krzyżującymi się komunikatami. Jakże wspaniale prezentowało się nasze miasto w glorii słonecznego blasku! Nawet pył kamieniołomów błyszczał odświętnie. Wiadra na końcach tysięcy żurawi to podnosiły się, to opadały na długich ramionach, dostarczając wodę do śluz położonych wyżej, które z kolei pozwalały wodzie spływać do zbiorników, skąd ją czerpano do jeszcze wyżej położonych śluz, aż wszystkie fontanny na każdym skwerze miasta miały pod dostatkiem wody. Tysiąc, a może z pięć tysięcy niewolników pracowało w pocie czoła, podnosząc długie ramiona tych żurawi i pompując wodę wyżej. Pamiętam, że patrząc z naszej łodzi na gorącą rozświetloną rzekę, słyszałem skrzywienie żurawi jak Memfis długie i szerokie, słońce zaś rozpalało się jeszcze jednym promyczkiem za każdym razem, kiedy woda chlustała do wyżej położonej śluzy.

W głównym basenie portu w Memfis wpadliśmy w wielki wir między falochronem a przystanią. Nasi wiosłarze sięgnęli po wiosła i zaczęli nas prowadzić krótszą drogą przez kanał, który otwierał się za długim cyplem portu. Ku memu zadowoleniu przepłynęliśmy w ten sposób przez tę część miasta, którą widywałem rzadko. Minęliśmy bowiem, jak wykrzyknęła moja matka, „świątynie zbudowane tysiąc lat temu”. Obecnie znajdowały się w niecce, w wilgotnych zagłębieniach terenu. Świątynie te zbudowano z kamienia i dlatego przetrwały drewniane budowle, od których się

niegdyś wokół nich roło i oparty się niszczycielskiej sile wody, która rozmyła budowle z cegieł (cegły lepiono z błota i słomy) w czasie potwornych burz deszczowych, które nas nawiedzały co pięćdziesiąt lat. Matka opowiadała mi o takiej burzy, którą widziała będąc jeszcze dzieckiem. Opowiadała, że dachy z liści palmowych rozdzierało niczym mokrą bieliznę. Tak więc nieustannie odbudowywano domostwa otaczające te stare świątynie, aż wreszcie budowane jedne na drugich zaczęły sięgać do połowy wysokości dawnych świątyń, a wtedy same świątynie znalazły się w środku wilgotnych zagłębień, stare, z ciemnoszarego kamienia, smutne jak hipopotamy, które wpadły w potrzask. Po obu stronach kanału rozbrzmiewał wokół nich zgiełk i hałas warsztatów i małych ryneczków. Nasi wiosłarze wiosłowali szybko, popychając nas przez zapach trocin, skóry, nawozu, gnijącego papirusu i kamiennego pyłu, przywianego nad kanał znad zakładów kamieniarskich, przez wszystkie wonie bielideł, od których kręciło w nosie, toteż prędko przemknęliśmy obok zakładów stolarskich i pracowni, w których wyplatano maty, obok szewców robiących sandały, obok ludzi zajmujących się balsamowaniem, obok przedsiębiorców pogrzebowych i stolarzy wyrabiających trumny, obok kobiety z kołowrotkiem pracującej na dworze przed swoim warsztatem tuż nad kanałem, obok garbarza, który właśnie wyprawiał skórę leoparda, od martwego kota zaś bił odrażający zapach, tak że matka omal się nie zakrzusiła. Potem minęliśmy tyły zakładu meblarskiego i zobaczyłem dwóch robotników dźwigających skrzynię wykładaną kością słoniową w srebrnej oprawie, tak piękną, że ozdobiłaby i pałac faraona. Właśnie ją przenoszono na barkę, a Białe Zęby, najprzystojniejszy spośród naszych wiosłarzy, spytał: „Czy to za Podwójną Bramę?” Na co jeden z robotników na nabrzeżu odkrzyknął: „Jedzie na południe, do posiadłości wielkiego Menenheteta”, co napełniło naszą pozłocaną barkę śmiechem, do którego ośmielili się przyłączyć nawet wiosłarze, gdyż w tej chwili czuliśmy się wszyscy jakby członkami jednej wielkiej rodziny.

U wylotu tego krótkiego kanału, którym powróciliśmy do portu, poczuliśmy w powietrzu słodki zapach perfum. Rynki były tu większe, tu mieściła się też szkoła dla kapłanów – długi, biały budynek z białymi drewnianymi kolumnami. Gdy mijaliśmy pracownię peruk, ujrzałem perukę błękitnej barwy w sam raz dla małego chłopca i z pewnością poprosiłbym matkę, by mi ją kupiła, gdyby nie ciężka praca wiosłarzy i nagłe uczucie niepewności, jakie dało się odczuć na pokładzie. Zrozumiałem, że moi wybitni krewni już się zastanawiali nad tym, jak długo przyjdzie nam czekać, aż nas przyjmie faraon.

Przy samym ujściu kanału, w miejscu, gdzie wpadał on do rzeki, był niewielki plac, po którym kręciło się towarzystwo złożone z kapłanów, dostojników, żołnierzy i wiosłarzy, zagranicznych kupców, rzemieślników, chłopów, niewolników i roznosicieli wody, przewodników karawan i woźniców oślich zaprzęgów, kobiet różnego autoramentu, a także kilku dam. Lubiłem się przyglądać temu pstrokatemu tłumowi z pokładu naszej barki. Czułem się bezpiecznie. Przechadzać się wśród nich to co innego. Wówczas Ejasejab bała się, bo byle pijany żołnierz czy sprzedawca gapił się na jej uda (a ponieważ szedłem u jej boku, musiałem więc patrzeć im w oczy). Na wodzie czułem się wesół. Każda winiarnia i piwiarnia miała kolorowy daszek, który łopotał jak żagiel w podmuchach bryzy znad portowego basenu. Widziałem też kolejkę czekającą przed jedną z jadłodajni słynących z pieczonej gęsi. Oczekujący chcieli kupić ją i zanieść do siebie do domu.

Po drugiej stronie placu, w pobliżu uliczek i kanałów na jego tyłach, na otwartej przestrzeni pilnowanej z trzech stron przez nowe wysokie mury, a z czwartej przez szereg żołnierzy krzyżujących broń, stał niedawno otwarty warsztat założony na podstawie specjalnego dekretu faraona. Dekret ten wywołał, sądząc po częstotliwości rozmów mojej rodziny na ten temat, większe ożywienie w Memfis niż pozostałe decyzje. Do warsztatu tego łodzie faraona zwoziły sztaby srebra z Tyru, a także sporo złota dostarczanego przez karawany z Gór Granitowych nad Morzem

Czerwonym, zaś królewscy rzemieślnicy przerabiali je na amulety, napierśniki, złote obręcze na szyję, bransolety, skarabeusze, złote i srebrne czapraki. Ci spośród ludzi kłębiących się na placu, którzy mogli sobie pozwolić na zapłacenie wysokiej ceny, mieli możliwość nabycia klejnotów i takich zagranicznych skarbów, jak pachnące drewno i żywice, koral i bursztyn, płótno i wyroby ze szkła oraz haftowane tkaniny. Wszyscy ci, których na to nie było stać, cisnęli się ku szeregowi żołnierzy, by się tym skarbom przyjrzeć. Do tej pory wyrabiano je w pałacowych warsztatach, w pracowniach świątyni Ptaha albo w dużych posiadłościach, takich jak posiadłość Menenheteta. Tłum był więc tak żądny widoku kosztowności, nad którymi pracowali królewscy rzemieślnicy, że niektórzy przyklękali, by rzucić spojrzenie poprzez rozstawione nogi wartowników. Kiedy zaś obcy kupiec albo jakiś bogaty urzędnik został wpuszczony przez żołnierzy, by mógł dotknąć skarbów, przez tłum przechodził jęk zachwytu. Każdego wieczoru narzędzia, wyroby, a nawet cenne okruchy drogich metali ładowano w mieszki, zamykano w skrzyniach i odnoszono do królewskiego pałacu, by zapobiec kradzieży. Następnego ranka wracali na plac.

Blask kosztowności na drugim końcu placu zwiastował kres naszej podróży, wiosłarze mocniej naparli na wiosła, Cuchnące Ciało, Białe Zęby, Zjadacz Krwi, Zjadacz Cienia, Głowa Tyłu i Ten z Nosem zaczęli kłaść się na nie całym ciężarem, Ten Który Miażdży Kości narzucał rytm. Nasza ciężka barka nabrała rozpędu i trafiła na prąd, gdy minęliśmy nabrzeże, dziób uniósł się nad wodę, rzeka zaś zaczęła przyspieszywać naszym wiosłom, gdy okrążyliśmy plac i oczom naszym ukazały się zabudowania na przeciwległym brzegu, wapienne mury pałacu o Dwóch Wrotach, wznoszące się wysoko, jak trzypiętrowa rezydencja Menenheteta. Na murach stali strażnicy.

Nim nasza łódź przycumowała, chmara tragarzy krzeselek, którzy odpoczywali w cieniu murów, przybiegła ku nam pędem przez duży, wykładany marmurem plac i zstąpiła po schodkach ku rzece. – Zechciej skorzystać z naszych usług, o Panie – zawołał ich dowódca do Menenheteta. Na dany znak wszyscy uklękli, skłonili się i uderzyli czołami o marmurowe płyty.

– Któż by potrzebował waszych nędznych krzeselek?

– spytał pradziadek. – Moja rodzina ma młode nogi.

– O Panie, jak wiele waży każdy krok w kierunku Jego Obecności.

– Nie potrafię sobie wyobrazić cierpienia, na jakie narażę moje ciało, sadowiąc je na waszych grzbietach – odparł Menenhetet.

– Wielmożny Panie, krzeselko mniej waży, gdy Szlachetny Pan, taki jak Ty, siedzi na nim. Popatrz Panie, biję czołem o krzeselko, nim usiądziesz – krzyknął przywódca, a inni natychmiast poszli w jego ślady, obejmując niesione przez siebie lektyki.

– A pocałujesz lektykę, gdy z niej wysiądę?

– Wtedy muszę ją pocałować dwa razy – rzekł tragarz.

– Dzięki ci za twoje uprzejme słowa i w nagrodę możesz nas przenieść przez Czerwone Wrota do końca dziedzińca.

– I tak mój pradziadek, ojciec, matka i ja usadowiliśmy się w lektykach, po czym nas podniesiono i przeniesiono przez marmurowy plac między rzeką a murami pałacu.

Zbliżywszy się, dostrzegliśmy przerażający widok. Przy murze stał jakiś nędznik z szyją zakutą w obręcz przymocowaną do pala. Musiano mu niedawno obciąć ręce, gdyż kikuty przedramion były jeszcze skrępowane skórzanymi rzemieniami, by nie wykrwawił się na śmierć, a krew jeszcze kapała na kamień.

Pochylając się ku niemu, Menenhetet spytał:

– Co ukradłeś?

– On, Wielki Bóg Dziewiąty Pośród Nas, darował mi życie, ponieważ ukradłem zbyt wiele – odpowiedział nędznik. Trudno go było zrozumieć. Za karę, za jakąś starą przewinę – być może

kłamał przed sędzią – obcięto mu wargi. Gdy się uśmiechał, ukazywał wyraźnie zęby w nagiej szczęce.

Przy sąsiednim palu przywiązano kobietę. Trzymała w ramionach sine ciało dziecka. Matka odwróciła wzrok, ale pradziadek spytał:

– Jak zabiłaś dziecko?

– Udusiłam je.

– Nie miałaś jedzenia?

– Jedzenia miałam pod dostatkiem – rzekła kobieta – ale płacz dziecka nie pozwalał nam odetchnąć.

– Kiedy zostaniesz wypuszczona?

– Pojutrze.

– Niechaj twoja kara będzie surowa.

Przed nami zarysowały się dwie prostokątne bramy w murach, jedna obok drugiej. Czerwone granitowe wrota z wyrzeźbionym papirusem, symbolizującym Krainę Północy, i wapienne wrota z wyrzeźbioną lilią, symbolizującą Krainę Południa. Rozległy się fanfary. Olbrzymie wrota z czerwonego granitu poczęły się rozwierać. – Przybywa wielki pan i generał Menenhetet. Przybywa godna szacunku rodzina Menenheteta – zawołał herold, a potem zaintonował:

– W roku siódmym, za panowania Jego Wysokości Króla Południa i Północy, pięknego Ka naszego Re, ukochanego Amona, syna słońca, Si-Re Ramzesa IX, Horus, Silny Byk Który Żyje w Prawdzie, wita was w pałacu.

– Przybywamy, by oddać cześć jego życiodajnemu Zdrowiu i Sile, naszemu Faraonowi, ukochanemu Ptah-nem-hotepowi – rzekł Menenhetet i zwrócił się ku Temu Który Miażdży Kości, kroczącemu niczym straż obok naszych lektyk. – Dodatkowa porcja chleba i piwa dla twoich ludzi i ich wioseł – powiedział w chwili, gdy wkraczaliśmy na teren pałacu. Nad nami latały gęsi, a przed nami pierzchały gołębie. Trzy jastrzębie – policzyłem – przyglądały się nam ze swej grędy na parapecie.

III

Przed nami otworzył się największy dziedziniec, jaki widziałem. Gdyby dorosły wziął do ręki kamień i rzucił go jak najdalej, potem podniósłby go i rzucił jeszcze raz, kamień nie dotarłby do środka.

Dziedziniec nie był piękny. Nie było na nim sadzawek ani posągów, droga zaś, wybrukowana kamieniami, wiodąca przez środek, mogła z ledwością pomieścić cztery rydwany naraz. Po obu stronach rozciągały się tereny z czerwonej glinki sięgające aż po same mury i przypomniałem sobie opowieści matki o paradach wojskowych urządzanych przez faraona w tym gorącym miejscu. Potem zobaczyłem, spoglądając na drugą stronę dziedzińca, że otworzyła się brama niskich baraków i kompania Szerdenów w ciężkich błękitnych kapturach wymaszerowała na ćwiczenia. Po drugiej stronie dziedzińca mieściły się zbrojownie, magazyny i pomieszczenia dla wartowników, widać nawet było olbrzymi kocioł na ogniu, woń rosółu dochodziła do naszych nosów.

Przybycie Menenheteta jakby pobudziło ludzi do krzątania. Zobaczyłem tarcze ze słomy rozwieszane na murach i łuczników napinających łuki. Oddział rydwanów zaczął formować szyk. Raz ustawiali się w cztery rzędy po siedem rydwanów, to znów rozciągali w dwa rzędy po czternaście, a następnie wyciągali w długą, niemal doskonale prostą linię dwudziestu ośmiu rydwanów galopujących przez dziedziniec, koło przy kole w odległości zaledwie paru palców jedno od drugiego. Na ostry krzyk wszyscy stanęli jak wryci, fala kurzu przetoczyła się niczym wzburzona woda ku murom, a ich kapitan miał szczęście, że nie dotarła do nas, gdyż Hatfertiti obróciła się w lektyce zniecierpliwiona i powiedziała do pradziadka:

– Czy możesz mi obiecać, że nie będziemy tu sterczeć, żeby im się lepiej przyjrzeć?

Wzruszył ramionami, ale dostrzegłem, że istotnie rzuca spojrzenie w kierunku dowódcy rydwanów po drugiej stronie dziedzińca, na co ten wznosi oba ramiona ku górze w geście powitania i rusza ku nam galopem. Żołnierz u jego boku odpiera skórzaną tarczą wyimaginowane strzały, ledwo zachowując równowagę, kapitan rydwanów zaś, zawiązawszy sobie lejce wokół pasa, kieruje końmi pochylając się raz w lewo, raz w prawo. Odchyliwszy się do tyłu zwalnia, do przodu – popędza, a poza tym obraca ciałem robiąc skręty, zwroty, szarżując. Trudno było się domyślić, jakie jeszcze manewry nas czekają, ale wszystkie były przeprowadzone płynnie. Mając wolne ręce, wyjął łuk i położył strzałę na cięciwie. Gdy kapitan przemknął obok nas całym pędem, ojciec poruszył się niespokojnie.

– Głupiec – krzyknął. Hatfertiti roześmiała się lodowato.

– Ja uważam, że jest czarujący – rzekła.

– Gdyby koń się potknął, strzała mogłaby mnie ugodzić – powiedział ojciec.

Kapitan, zatoczywszy koło z dala od nas, wrócił truchtem, zatrzymał się, wyskoczył z rydwanu i uderzył czołem o ziemię. Zaczęli z Menenhetetem rozmawiać w obcym języku, dziwnym – jak się od razu domyśliłem – języku Szerdenów. Po paru minutach, rzuciwszy jeszcze po egipsku zdanie „według rozkazu, generale”, żołnierz podniósł ramię w pozdrowieniu, uśmiechnął się do nas, zwłaszcza do mej matki, wszedł do rydwanu i oddalił się wolno, by nie wznosić kurzu.

– Powiedziałem mu, że później obejrzę manewry – powiedział pradziadek.

– Dziękuję – rzekła Hatfertiti.

Zbliżyliśmy się do mniejszych wrót. Wartownik wpuścił nas bez słowa. Dotarliśmy do następnego dziedzińca.

– Jak wspaniale potrafią panować nad lejcami – zauważyła Hatfertiti.

– To nasz dziadek wypracował ten styl – dorzucił ojciec.

– Nie może być! – wykrzyknęła.

– Tak, to prawda – rzucił Menenhetet – w okresie poprzedzającym bitwę pod Kadeszem. Dlatego właśnie ją wygraliśmy.

Wspomnienie to sprawiło mu wyraźną przyjemność i matka nie oparła się pokusie, by dorzucić:

– Myślałam, że to Ramzes II wygrał bitwę pod Kadeszem, a nie twoje rydwany.

– Faraon zawsze wygrywa bitwy – odparł Menenhetet.

Przechodziliśmy przez następny dziedziniec, prawdopodobnie równie rozległy jak poprzedni, ale trudno było się zorientować, gdyż szeregi drzew dzieliły go na małe placyki i zagrody. Sadzawki otoczone były ogrodami. Na lewo wznosił się jaskrawo pomalowany budynek z drewna, od czasu do czasu zacienionym balkonem przemykała jakaś postać kobieca, a na widok Hatfertiti rozlegały się chichoty. Doniesiono nas do białego drewnianego ogrodzenia, na którym wymalowano olbrzymie podobizny jastrzębia, skorpiona, pszczoły, lotosu i papirusu i to z taką dokładnością, że bałem się iść dalej, trzęsąc się na widok skorpiona.

Opuściliśmy lektyki, a tragarze, ujrawszy pospieszny gest Menenheteta, pocałowali siedzenia (na których skórze wygrawerowano hieroglif oznaczający Krainę Umarłych). Ojciec wręczył przywódcy tragarzy miedziane *utnu*, a oficer przy bramie rozpoznał nas (na widok ulgi, jaka odmalowała się na jego twarzy, pojąłem, iż oczekiwał nas od samego rana). Pośród ukłonów służby weszliśmy na teren pokrytego zielenią Podwórza Honoru w pałacu faraona. Drzewa owocowe, jakich nigdy w życiu nie widziałem, rosły nad brzegami podłużnego basenu, wykładanego połączanymi płytkami.

– Kiedy drzewa te były małe – wyszeptała do mnie matka – posadzono je w donicach, przeniesiono na statki i przewieziono przez okrutne sztormy, by je tutaj dostarczyć.

– Jak to wygląda, w tym miejscu, w którym rzeka wpada w otwarte wody?

– Jest tam więcej ptaków – odrzekła – niż kiedykolwiek w życiu widziałeś.

Myślałem o krzyku tych ptaków nad mokradłami i o tym, że muszą to być ptaki całkiem odmienne od bogactwa w ogrodzie faraona. Tutaj stał flaming pomarańczowo-różowo-złoty, tam czarny ibis, a ówdzie siewki przemykały z gałęzi na gałąź, ukazując upierzenie tak barwne, jak ogon strusia. Pamiętam, że kiedy miałem dwa lata i nie potrafiłem się jeszcze wyrażać poprawnie, spytałem matkę, dlaczego naszym bogom dorysowujemy głowy ptaków (ujrzałem bowiem, długo przed rozpoczęciem nauki czytania, wiele świętych pali rysowanych przez pisarzy na papirusie i zakończonych podobiznami ptaków – sądziłem zaś, że są to podobizny przekazane nam przez samych bogów). Matka śmiała się wówczas:

– Dziecko zadaje pytania, które koją mój umysł – odrzekła. – Czuję pierze, kiedy przemawia. – Była to aluzja do Maat, co zrozumiałem dopiero później (było takie przysłowie, w myśl którego nie sposób zbliżyć się do prawdy bardziej niż na odległość jednego ptasiego piórka). Matka odpowiedziała wówczas, trudno odgadnąć czym powodowana, że ptaki czcimy najgorzej, gdyż latają. Latały istotnie, a w tym gaju trzepotały i migotały od gałęzi do gałęzi, zdawało się wręcz, że mkną z rozkoszą, widząc swoje własne odbicie w złotych płytkach sadzawki, po której dnie przemykały barwne cienie, sprawiające na tle płytkiej wody i dna wrażenie, że to tęczowe rybki. Ale nawet w ich wesołości rozbrzmiewającej w cieniu egzotycznych drzew wyczuwałem odległe echo paniki. Odgłosy tego ptactwa brzmiały dziwniej w moich uszach niż pomruki zwierząt zaprzęgniętych do ciężkiej pracy – w pomrukach tych ostatnich drżały przynajmniej odgłosy ziemi

(być może chodziło mi o ten nieuchwytny dźwięk, który łączy nasze stopy z ziemią). Ptaki jednak zawsze dygoczą w jakimś niepokoju, zdradzającym odwieczne drżenie ciała obawiającego się naszej ziemi. (O nie, ziemia nie była dla ptaków miejscem, w którym mogły wypoczywać!) Niemniej ogród – przez kontrast z rozświetlonym placem – był cienistym gajem. Wszystkie odcienie glinki, a nawet odcienie, których do tej pory nie znałem, kręciły w nosie, wilgotne i tajemnicze niczym chłód, jaki mnie kiedyś zdjął u wejścia do jaskini. W tym powietrzu poczułem bliskość faraona. U kresu naszej wędrówki, zakryta gęstą zielenią, stała mała drewniana willa pomalowana we wszystkie barwy kwiatów w ogrodzie. Dziwna budowla, zapewne na palach, otaczająca jak dom mieszkalny wewnętrzne patio. Przechodząc do środka, minęliśmy najpierw cieniste przejście, a potem weszliśmy na zalany słonecznym blaskiem dziedziniec wewnętrzny.

Zawsze śniło mi się spotkanie z faraonem siedzącym na tronie po drugiej stronie wielkiej sali, przyjmującym gości pełzających ku niemu na kolanach, zwłaszcza że Menenhetet opowiadał nam o tym, jak to Ramzes II urządził olbrzymie audiencje w okresie świątecznym pośrodku ogromnego pałacu w starym mieście, w Tebach. Kiedy jednak starałem się wyobrazić sobie, jak wielka mogłaby być taka sala (czy mogła być większa niż plac, na którym zwijali się woźnice rydwanów?), weszliśmy do patio i poczułem bliskość faraona, a przynajmniej jego moc, gdyż słońce oślepiło mnie przy nagłym przejściu z mroku ku blaskowi. Przydusiło mnie do ziemi i nim się spostrzegłem, już leżałem na ziemi, tak jak mnie uczono, z biodrami uniesionymi ku górze, z kolanami i łokciami na ziemi. Czyżby ta święta ziemia pachniała kadzidłem? Nie wiem, czy rzuciła mnie na ziemię moc faraona spoglądającego ku nam z balkoniku, czy też to ręka ojca klęczącego obok mnie albo matki klęczącej z drugiej strony. Przed nami Menenhetet, korzystający ze swej rangi, zaledwie przyklęknął na jedno kolano.

Po chwili matka z ojcem podnieśli się razem z Menenhetetem: jeszcze klęczeli na ziemi, ale ramiona wyrzucili do góry – w pozycji tej ojcu było wygodnie (czułem to przez skórę), a matce nie (czułem, że się zżyma), lecz ku memu zdumieniu zauważyłem także, iż mnie samemu bynajmniej nie chce się ruszyć. Wydawało mi się, że z ustami i nosem w pyle i żwirze, z oczyma tylko nieco wyżej, odczuwam spokój wielkiego kręgu, jaki zataczamy, nim się pogrążymy we śnie. Nie śmiać spojrzeć na faraona (który samą swoją obecnością zmusił mnie do pocałowania ziemi) nie wiedziałem, czy ciężar na moich plecach bierze się ze spojrzenia, jakie na mnie rzuca, czy też z rozpalonego słońca, czy może i z jednego, i drugiego zarazem (niewielka je dzieliła różnica), jako że mówiono mi zawsze od pierwszego dnia, kiedy to usłyszałem o Synu Słońca, iż nikt nie stoi bliżej Re na ziemi niż nasz monarcha Si-Re Ramzes IX obdarzony wspaniałymi tytułami: Nefer-Ka-Re Setpenere Ramzes Kam-ueze Meriamon (Pta-nem-hotep było imieniem jego dzieciństwa i wolno go było używać tylko starym przyjaciółom i wysokim urzędnikom).

Nie wiem, czy zakręciło mi się w głowie, czy też przeżyłem stan łaski, ale barwne kręgi zamigotały od ziemi ku moim oczom i usłyszałem, że jakaś moc nakazuje mi podnieść się. Podnosiłem wzrok, aż dojrzałem twarz faraona na balkonie.

Był usadowiony między dwiema kolumnami, a łokciami opierał się na złotej barierce, wyściełanej czerwoną haftowaną poduszką. Widziałem tylko złotą obręcz na piersiach, a ponad nią wielką Podwójną Koronę, wysoką i pełną niczym dwa wzdęte żagle. Nad prawym okiem miał małego węża z klejnotów. Wyglądał bardziej jak olbrzymia tarcza niż jak człowiek, przy czym wysoka biała korona faraonów wieńczyła górny brzeg tarczy, a jego napierśnik – dolny. Można by go uznać za tarczę, gdyby nie piękna twarz w środku. Miał bardzo duże oczy, podkreślone czarną kredką. Jak mi opowiadała matka, oczy te sływały z nagłych zmian barwy: raz były jasne i czyste jak niebo, to znów odbijała się w nich ciemna bezkسیężycowa noc. Miał długi, smutny nos, niepodobny do nosów innych ludzi. Nos był cienki, a nozdrza wąskie jak u kota. Kiedy odwrócił

głowę, zauważyłem, że kształt tego nosa był istotnie osobliwy, gdyż jego krzywizna z jednej strony nadawała ładnej i orlej twarzy akcent krzywej szabli, natomiast z drugiej strony wyglądała posepnie jak kropla wody, gotowa lada chwila spaść z odwróconego liścia. Pod tym wąskim nosem widniały piękne usta, pełne i ładnie zakrzywione, najwyraźniej harmonijnie zgodne z wyżej położonym nosem (dziwny to opis, ale przyszła mi wówczas na myśl moja niańka Ejasejab, chociaż wcale nie byli do siebie podobni, a w dodatku ona była niewolnicą; z drugiej strony, nigdy nie czułem się tak bezpiecznie jak przy niej, przy niskiej, tłustej Ejasejab). Patrząc na jego twarz, widziałem swoją z nosem wciśniętym w grubą spódnicę Ejasejab na wysokości jej uda i przypomniałem sobie zapach ryb, ziemi i wybrzeży rzeki, który roztaczała. Ten zapach był jakby spokrewniony z ostrożnym zakrzywieniem nozdrzy Pta-nem-hotepa unoszących się pod wpływem oddechu wypływającego z jego ust, toteż poczułem przemożną chęć pocałowania go. Chciałem zatopić się całymi słodkimi ustami – wszyscy mi mówili, że mam słodkie usteczka – w wargach Syna Re, pożądanie to zaś, skoro już się pojawiło, zrodziło pożądanie następne. Ujrzałem samego siebie, jak stoję na palcach, żeby tylko dosięgnąć boskiego paluszka faraona ukrytego między jego nogami i pocałować go. Ledwo się oswoiłem z tą myślą, a już zapragnąłem w ten sam sposób uczcić pradziadka. Pod urokiem faraonowego nosa ujrzałem (zauroczony tym nosem niczym upudrowanym pępkiem mojej matki) siebie samego w przyszłości. Oto byłem młodzieńcem w ciemnym kącie ciemnej piramidy i klęczałem przed Ka mego pradziadka... Nie wiem, czy to, co ujrzałem w wieku lat sześciu, było darem udzielonym memu Ka, w chwili gdy snuł wspomnienia z pewnego dnia mego życia, czy też faktycznie mogłem roić takie myśli na patio u Pta-nem-hotepa (tak go nazywałem w głębi serca, jakby był moim starym druhem), a przeto być sobą pełniej niż w postaci mojego Ka na klęczkach w grobowcu Chufu. Potem – wstając po nocy pełnej złych snów do pogodnego dnia – uzyskałem pewność, że mam sześć lat i wciąż jeszcze klęcząc z wyciągniętymi ramionami, spoglądam na twarz faraona, ten zaś przemawia czystym i donośnym głosem o wyszukanej barwie. W rzeczy samej głos ten (byłem pewien, że raz już go słyszałem) był dokładnie taki sam jak głos mego pradziadka w chwili, gdy szyderczo wydrwiwał najgłębsze prawdy.

– Menenhetecie – rzekł faraon – niepodobna, by jakaś błahostka kazała ci sprawić mi zaszczyt i przyjąć moje zaproszenie?

– Rzeczy ważne dla mnie Waszej Wysokości zdałyby się błahe – odrzekł Menenhetet głosem, który płynął niczym listek po wodzie.

– Ty nie przychodzisz z błahych powodów. Chcesz tylko udzielić skromnej odpowiedzi – rzekł nasz faraon i zadowolony z własnych słów dodał: – powstań, wielki Menenhetecie. Przyrowadź rodzinę i usiądźcie obok mnie. Poklepał poduszkę u swego boku.

Sługa poprowadził nas malowaną klatką schodową, z której dziesięć stopni wiodło ku balkonowi. Pta-nem-hotep objął pradziadka i pocałował matkę w policzek. Skłoniła się dwornie i pocałowała go w wielki palec u nogi, pokornie, niczym kot, mój ojciec zaś, którego przyjęto uroczyście, równie uroczyście przyklęknął i objął drugi duży palec.

– Powiedzcie mi, jak się nazywa syn Hatfertiti – rzekł faraon.

– To Menenhetet II – odpowiedziała Hatfertiti.

– Menenhetet-Ka – odezwał się faraon – straszliwe imię dla tak pięknej twarzy. Popatrzyl na mnie uważnie, po czym wydał lekki okrzyk:

– Tylko uroda Hatfertiti mogła zrodzić równie piękne oblicze!

– Nie stój jak kołek w płocie, mój synu – rzekł ojciec.

– Tak – powiedział czule Pta-nem-hotep – lepiej pocałuj mój palec u nogi.

Ukląknęłam więc i zobaczyłam, że paznokcie u nóg ma pomalowane na niebiesko; stopa zaś, którą całowałam, jest uperfumowana. Podobnie jak pachnidła mej matki wydzielala woń

ciemnoczerwonej róży. Sądziłem, przynajmniej na początku, że tak pachną jego stopy, dopóki nie zauważyłem, że podłogę wymyto perfumami. Gdy całowałem miejsce między dużym palcem i następnym, przez chwilę czułem, że utkwiał między nimi mój nos – faraon mnie uszczypnął – i poczułem błysk bólu, nie tyle bólu, co białego światła w całym ciele, światła, które musiało pochodzić od faraona. Było tak intensywne, że poczułem się jak kwiat wyrwany z korzeniami – czy i kwiaty widywały takie samo białe światło? Jak gdyby żyjąc raz jeszcze w wielu miejscach naraz, zaznałem uczucia, jakie towarzyszyłyby mi, gdybym narodził się kobietą, moje ciało zaś trawiły płomienie białego światła od Boga, który wyszedł mi na spotkanie.

Podniecony taką mocą jednoczesnego życia w dwóch powłokach, zacząłem lizać podbicie faraonowej stopy, dzięki czemu poczułem coś więcej niż woń ciemnoczerwonej róży. Słabiutki zapach rzeki i ryb, podobny zapachowi między udami Ejasejab, też tam był, a nawet dalekie echo siarczyście męskiego odorury, który często dolatywał mnie znad kolan Menenheteta. Odczuwałem nawet swoiste rozbawienie, jakiego zaznałem już w chwilach, gdy palcami dotykałem odrobiny śliny na moim Słodkim Paluszku, udach albo pępku. Żyjąc w zaciszu tych zapachów, raz jeszcze poczułem moc obecności, jaką promieniował faraon, i zrozumiałem jak nigdy dotąd, że spośród wszystkich ludzi, istotnie on jest najbliższy bogom, ale zarazem wiedziałem na pewno, że jest mężczyzną odrobinę pachnącym kobietami, zapachy jego ciała zaś bliskie były moim.

Podniosłem wzrok, skłoniłem głowę, cofnąłem się na kolanach o dwa kroki i powoli wstałem. Faraon nie spuszczał ze mnie wzroku. – Masz niezwykłego syna – powiedział do Hatfertiti. – Jakie słodkie usta! Językiem zazna niejednej rozkoszy. – Zwracając wzrok ku pradziadkowi ruchem tak pełnym godności, że niebo zdawało się towarzyszyć zmianie jego nastroju, szybko okrywając się chmurami, powiedział do Menenheteta:

- Dobrze zrobisz, ćwicząc w tym chłopaku wszelkie umiejętności poniżej języka.
- Wszyscy ludzie pragną tego samego – odparł pradziadek.
- Faraonowie też – dorzucił Pta-nem-hotep.

Pradziadek zareagował niezwykłym przemówieniem:

– O Ty, który żyjesz w nocy, a jednak przyświecasz nam za dnia, który jesteś mądry jak rzeka i jak ziemia, o Ty Panie o Dwóch Postaciach, przyjacielu Seta i Horusa, Ty, który rozmawiasz z żywymi i umarłymi, spytaj swego sługę Menenheteta, o co tylko zechcesz, a spróbuje ci odpowiedzieć. Nie proś go jednak, by się zastanawiał nad tym, czy faraonowi potrzeba jeszcze więcej siły w tych tajemniczych regionach, które położone są powyżej uda, ale poniżej pępka.

Powiedział to tak zdecydowanie i z taką chłodną wprawą, że zdystansował się zupełnie od pobożnej tonacji pochwał. Już mi pokazywał, jak to złapany do niewoli oficer może oddać miecz, okazując zarazem pogardę generałowi, któremu się poddaje (tylko raz się ze mną tak bawił). Zastanawiałem się, czy nie okazuje właśnie faraonowi pogardy słowami swego przemówienia.

– Powiedz mi, śliczna Hatfertiti – rzekł Ramzes IX – czy mówi o mnie w ten sposób, kiedy jesteście sami?

– Żyje tylko – odrzekła moja matka – dzięki twoim uśmiechom i najdrobniejszym nawet pochwałom.

– Powiedz mi, mój wielki generale – ciągnął faraon, wzruszając ramionami na odpowiedź Hatfertiti (nazbyt szybką) – czy tak samo przemawiałeś do moich wielkich przodków?

Menenhetet skłonił się:

- Wtedy miałem głos młodzieńca. Teraz mam głos starca.
- Poza tym mój poprzednik był wielkim faraonem – odpowiedział Pta-nem-hotep.
- Różnica – odparował Menenhetet – między Ramzesem II a Ramzesem IX jest różnicą między wielkimi bogami.

– O jakich wielkich bogach mówisz?

– Jeśli ośmielę się ich wymienić...

– Pozwalam ci.

– Ramzesa II zwano Horusem Silnym Bykiem Który Kocha Prawdę. Mnie przypominał raczej Wielkiego Boga Seta. – Menenhetet urwał wobec tak śmiałej mowy i po chwili dopiero dorzucił: – Ty zaś, o Wielki Dziewiąty spośród Ramzesów, każesz mi szukać porównania z tym, który nie ma sobie równych, a który nosi imię Ozyrysa.

Menenhetet nie mógł lepiej trafić. Pta-nem-hotep wybuchnął radosnym śmiechem, równie pełnym zadowolenia co rozbawienia (czasami wychwytywałem te odcienie w śmiechu matki) i zacząłem się zastanawiać, czy on także potrafi jęczeć z takim zapamiętaniem jak Hatfertiti.

– Zazwyczaj mówią mi, że jestem podobny do Ptaha, nie do Ozyrysa – powiedział po chwili. – Bardzo jestem zadowolony z twojej wizyty. – Na jego skinienie głową służba wniosła poduszki i nakazał nam usiąść obok siebie. Podzielił się swoją wielką poduszką z pradziadkiem, którego też objął i pocałował w usta (mimo że ten się wzdragał). Czekałem tylko aż zapyta Menenheteta, jaki to smak został mu na wargach po wyprawie językiem do kącika jego ust. Zwracając się następnie do Hatfertiti, faraon rzekł:

– W czasie, gdy służba namaści nas wonnymi olejkami, skończę moje dzisiejsze obowiązki. Mam jeszcze kilka audiencji do udzielenia, ale moim zdaniem będą raczej nudne. Może wolicie odpocząć w przeznaczonych dla was pokojach?

– Wolabym wysłuchać prośb z opisami kłopotów Obojga Królestw, gdy będą je składać Waszej Mądrości.

– Przyjemnie będzie mieć cię u boku – szepnął do niej, a ojciec natychmiast dał znak. Paru służących weszło z alabastrowymi misami wonnej wody, które postawili u stóp Pta-nem-hotepa, Menenheteta, mojej matki i moich. Dopiero wtedy faraon wskazał na piątą poduszkę dla ojca. – Nie musisz dzisiaj sprawdzać eunuchów, Nef-kep-aukemie – rzekł.

Ojcu zabłysło oko na wzmiankę o jego imieniu. Oznaczało to, że nie zawsze było mu dane słyszeć, jak faraon wymienia je w całej rozciągłości.

– Wielki i Dobry Panie – odparł. – Oddycham duchem Twojej boskiej uprzejmości, ale nie potrafię odpoczywać na poduszce w obawie, że eunuchowie popełnią jakiś niewybaczalny błąd.

Ojciec rzadko mówił o swych obowiązkach, ale pewnego razu dowiedziałem się, że jego praca jako Nadzorca Szkatuły z Kosmetykami i Pędzelka czasami była równie odpowiedzialna jak praca wezyra. Kiedy bowiem ziemie Obojga Królestw znajdowały się w niebezpieczeństwie, postawa faraona, jego ciało, szaty i kosmetyki, jakimi zdobił twarz, były niezwykle istotne dla losów Egiptu. Najdrobniejszy gest faraona wykonany właśnie takiego dnia potrafił zmienić przebieg bitew na odległych równinach. Doskonałość jego oczu, pomalowanych na kolor bladozielony i czarny, nadawała wyrazistości każdemu ruchowi głowy. Gdy faraon siedział na tronie (zawsze twarzą do rzeki), wystarczyło, że skłonił królewską szyję w lewo lub w prawo, a już bryza zrywała się w Dolnym albo Górnym Egipcie. Wystarczyło, że lekko pokręcił rączką pastorału, a błogosławieństwa sypały się na pasterzy w dolinach, których nie potrafiliśmy dojrzeć, najdrobniejsze zaś drgnięcie jego berła kazało nadzorcom na polach okładać batem robotników. Jego parasol ze strusich ogonów dawał zdrowie kwiatom, ogromny naszyjnik zdobiony pierś był złotym uchem słońca, korona z pióropuszem zaś (kiedy ją nakładał) nadawała powagę lub rozjaśniała radością ptasie śpiewy. Matka marszczyła brwi, gdy ojciec mi o tym opowiadał. – Dłaczego nie powiesz chłopcu o tym, że tylko bardzo dawno królowie nakładali lamparcie skóry i wzywali zwierzęta z lasów. Nasz Pta-nem-hotep nie ma aż takich mocy.

Nawet jako dziecko rozumiałem jednak, że ojciec, choć dba o zachowanie wszelkich pozorów, jest zarazem człowiekiem praktycznym. – Faraon – odrzekł – miałby nieograniczoną moc, gdyby zarazem nie był atakowany przez inne moce, także nieskończone.

– A dlaczego – spytała – jest stale atakowany?

– Z powodu słabości faraonów, którzy panowali przed nim. – Rzucił mi spojrzenie. – Z tego powodu jest rzeczą niezwykle ważną, by wszelkie ozdoby, które stykają się z jego ciałem, były bez skazy, gdyż w przeciwnym wypadku jego moc znacznie zmaleje.

Nawet wówczas myślałem, że w rozumowaniu ojca tkwi jakiś błąd. Nie zawsze bowiem towarzyszył faraonowi. Często przebywał w domu. Nie był więc w stanie dopilnować jego kosmetyków i to w najdrobniejszych szczegółach. Zastanawiając się nad tym, zauważyłem też, że ojciec stał z boku i nie wtrącał się do pracy eunuchów, którzy weszli weseli jak szczeniaczki i z wdziękiem roztańczonych dziewcząt. Dwóch zaczęło wesoło obmywać nogi faraona, nucąc różne melodyjki i uśmiechając się do nas – jak gdyby wolno im było jako niewinnym szczeniętom dotykać i trącać Jego kostki. Trójka obsługiwała Menenheteta, matkę i mnie. Rozbawieni, z wyszczerzonymi w uśmiechach zębami, łaskotali nas w stopy i wślizgiwali się palcami jak piskorze między palce u naszych nóg, a następnie zdrapywali zrogowaciały naskórek z naszych pięt swoimi tępych paznokciami.

Po chwili skończyli obmywać nam stopy i zaczęli masować nogi. Byli przystojni i zapewne wybrano ich z tej samej wioski w Nubii albo Kusz, gdyż wszyscy byli prawie tego samego wzrostu, o równie ciemnej skórze, a ich wzajemne podobieństwo zwiększały jeszcze błyszczące igły z kości słoniowej, które przekłuwały im nosy. Każda igła tkwiła pod tym samym kątem, jak gdyby zrodziło ich wszystkich to samo łono i każdemu dało tę samą ozdobę.

Znali się na robocie i trudno by było znaleźć popełniony przez nich błąd, nawet gdyby nie było przy tym mego ojca. Potem zaczęli także masować nasze ramiona i szyję, a eunuch obsługujący Hatfertiti wcierał olejki wprawnymi kolistymi ruchami wokół jej pępka, na co reagowała nieposkromionymi jękami zadowolenia, niezwykle dźwięcznymi i głośnymi, jak gdyby takie hałaśliwe zachowanie należało do repertuaru damy z towarzystwa.

– Muszę od Ciebie, Panie, kupić tego eunucha – rzekła do Pta-nem-hotepa, który uśmiechnął się przyjaźnie.

– Czyż nie są wspaniali? – spytał i spojrzał na czarne ciała pięciu niewolników z taką samą miłością, z jaką mój pradziadek spoglądał na dobrze dobrany dwukonny zaprzęg albo na dwa białe byki. Istotnie, ponieważ niewolnicy nie byli w nic odziani, widzieliśmy dokładnie nie tylko ich pulchne i umięśnione biodra i pośladki, ale także błyszczące kikuty po odciętych jądrach, co sprawiało, że przypominali wałachy.

Pta-nem-hotep powiedział:

– Nie wyobrażacie sobie nawet, jakich uciech ci chłopcy dostarczają mojemu haremu. Gdybym był jeszcze młodzieńcem, byłbym zazdrosny o pieszczoty, których mogą dostarczyć rękoma moim małym królowym, ale na szczęście jestem człowiekiem rozsądnym i zdaję sobie sprawę z tego, że eunuch to błogosławieństwo dla księżąt. Żadna kobieta tak mężczyzny nie ukoi, nie rozmasuje go aż tak błogo – westchnął. – Nawet zwierzęta cichną przy nich.

– No to sprawiają wrażenie istot sympatyczniejszych niż bogowie – rzekł Menenhetet.

– Z pewnością – odparł Pta-nem-hotep – są mniej okrutni.

Menenhetet pokiwał głową w zadumie.

– Tylko w Twojej obecności, o Władco Podwójnie Wielkiego Królestwa, potrafię przysłuchiwać się podobnym rozmowom bez trwogi – powiedziała Hatfertiti.

Ale przesadziła z pochlebstwem. Pta-nem-hotep odparł:

– Podobnie jak niewolnik może rozproszyć zdziwienie właściciela przedrzeźniając go, tak i nam wolno wyrażać się swobodnie o bogach – ale wyglądał przy tym właśnie na znudzonego.

W tym momencie ojciec mój wtrącił:

– Przebywanie w obecności Władcy Podwójnie Wielkiego Królestwa oznacza życie bez lęku – ale wcale przy tym nie wyglądał na człowieka, który lęku się pozbywa, gdyż dokładnie w tej samej chwili sługa wszedł z orzeźwiającym napojem, Pta-nem-hotep zaś niecierpliwie odesłał go jednym ruchem ręki.

– I ty, i Hatferti – powiedział, zwracając się do ojca – przemawiacie do mnie jak brat i siostra. – Jego wielkie brwi uniosły się przy tym w grymasie zdziwienia, jak gdyby nie rozumiał, dlaczego księżniczka z takiego rodu jak moja matka, o tak doskonałych manierach (mimo że raz po raz robiła się trochę dewotką) poślubiła człowieka tak pospolitego rodu jak mój ojciec, a w dodatku wtórowała mu jak siostra. Skrzywiłem się, przekonany, że to właśnie przemknęło faraonowi przez myśl, ale wiedziałem w głębi duszy, że niezależnie od tego, co faktycznie pomyślał, moje przekonanie pozostanie, gdyż matka powiedziała mi kiedyś, iż stanowi to powód do głębokiego wstydu w naszej rodzinie.

Mając na uwadze samopoczucie gości (jak gdyby i jego nastrój mógł się ulotnić w razie urwania się rozmowy), faraon zwrócił się do matki i rzekł:

– Czy podoba ci się odcień błękitu mojej peruki?

– a w pytanie to włożył dostatecznie wiele ognia, by ją rozgrzało, toteż odpowiedziała:

– Nie jest aż tak błękitna jak niebo – po czym roześmiali się oboje. Ojciec spiesznie skinął na swego pomocnika, Nadzorcę Królewskiej Peruki, który wkroczył z dużą srebrną tacą, na której leżały dwie czarne peruki, jedna z włosami prostymi, druga z lokami, oraz dwie peruki błękitne, z których jedna miała też włosy kręcone. Ucieszyło mnie ożywienie matki i Pta-nem-hotepa (gorący nastrój przywitania, który nieco ochłodził się na skutek jej wypowiedzi, teraz znów się poprawił), faraon najwyraźniej odzyskał dobry humor, a to dzięki ostatnim słowom matki, jak gdyby było dlań rzeczą naturalną równoważenie zasypania, z jakim reagował na braki w dobrych manierach, pochwałami, których nie skąpił zrezygnując, a nawet wygłaszającym umiarkowanie obraźliwe uwagi (przynajmniej wówczas, gdy pora była zamieszać nastrój jak zupe).

Wziął do ręki perukę z ładnymi prostymi włosami i podniósł do góry, by się jej dokładniej przyjrzeć.

– Nic – powiedział smutnym głosem – nie dorówna błękitowi nieba. Nawet najlepsze barwniki są marne w porównaniu z tym, co chciałbym nosić na głowie (gdybym to umiał znaleźć!).

– Dziecko ci podpowie, co zrobić – zamruczał Menenhetet.

– Musisz być równie mądry, jak piękny – rzekł do mnie Pta-nem-hotep.

Miałem pustkę w głowie, ale czułem przemożną chęć, by potwierdzić. Skinąłem więc głową.

– Czy wiesz, skąd się bierze barwnik błękitny? – spytał.

Nie musiałem długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

Napłynęła ku mnie od pradziadka. Umysł miałem jak miska wody, a najdrobniejsze poruszenie Menenheteta sprawiało, że woda marszczyła się myślami.

– Boski Władco Podwójnego Królestwa, jagoda niebieska stanowi źródło płynnego barwnika. – Język mi wysechł po tych słowach i w napięciu czekałem na następne pytania.

– Znakomicie – powiedział Pta-nem-hotep. – A teraz opowiedz mi o błękitnym barwniku, który nie jest płynem, lecz proszkiem. Gdzie kryją się jego korzenie?

– Dobry i Wielki Boże – odparłem. – Nie ma on korzeni, gdyż otrzymujemy go z soli miedzi.

– Mówi tak dobrze jak ty – odrzekł faraon.

– To moja druga powłoka – powiedział Menenhetet.

– Wyjaśnij mi, mały Meni, dlaczego moja peruka nigdy nie stanie się równie błękitna jak niebo?
– Barwa peruki, o Dobry i Wielki Boże, pochodzi z ziemi. Błękit nieba bierze się z powietrza.
– To nigdy nie znajdę błękitu, jakiego pożądam? – spytał. W głosie jego kryła się szydercza skarga, przez co stał mi się bliższy. Odpowiadając: – Nigdy – dodałem równie swobodnie: – Nigdy, Wielki Faraonie, dopóki nie znajdziesz ptaka o upierzeniu błękitnym jak powietrze.

Menenhetet uderzył się, w udo z podziwem. – Chłopak umie się wsłuchiwać w najmądrzejsze głosy – rzekł.

– Słyszysz wiele głosów – dodał Pta-nem-hotep i dał pradziadkowi kuksańca berłem. – Bardzo cię cieszę, że tu jesteście – rzekł. – I że ty tu jesteś – dorzucił, dając kuksańca berłem także i Hatfertiti.

Odwzięczyła mu się najpiękniejszym spośród swoich uśmiechów. – Jeszcze nigdy nie wyglądałaś równie dobrze – powiedziała.

– Przyznam – rzekł wówczas Pta-nem-hotep – że czuję się jak zabalsamowana mumia. Nudzę się.

– To niemożliwe – powiedziała Hatfertiti – skoro masz lwi wzrok, a głos twój jest za pan brat z powietrzem.

– Wyczuwam wszystko – odrzekł. – Nawet trudności, jakich przysparza mi każdy oddech – westchnął. – Kiedy jestem sam, naśladuję głosy ptaków, żeby się zabawić. – Wydał ostry, przeciągły gwizd, naśladując ptaka broniącego własnego gniazda. – Czy to was rozbawiło? – spytał. – Czasami myślę, że bawiąc innych zdołam choć na chwilę uciec od zapachów świata. Hej, malcze, mały Meni-Ka, czy chciałbyś, żeby psy mówiły naszym językiem, a nie własnym?

Skinąłem głową. Widząc moją rozradowaną minę, Pta-nem-hotep dodał:

– Nawet twój pradziadek nie zmusi psa, by przemówił ludzkim językiem.

Klasnął w dłonie w umówiony sposób i zawołał: – Tet-tut! Usłyszałem psa szamocącego się gdzieś pod nami, potem wspinającego się po schodach na balkon, a odgłosy jego kroków świadczyły o godnej postawie, przypominały bowiem odgłos kroków dwóch służących z namaszczeniem stawiających cztery nogi na stopniach.

Pojawił się srebrzysty chart. Wyglądał na groźnego i oddanego swemu panu.

– Tet-tut – powiedział cicho faraon – możesz usiąść.

Pies posłuchał, nie zdradzając oznak podniecenia.

– Przedstawię was wszystkim – rzekł Pta-nem-hotep.

– Gdy wymówię wasze nazwiska, popatrzcie na psa z uczuciem, by was zapamiętał. – Potem zaczął nas kolejno pokazywać zwierzęciu. – No dobra, Tet-tut – rzekł Pta-nem-hotep – idź do Hatfertiti. – Gdy pies zrobił krok naprzód i zawahał się, powtórzył: – Tak, mój drogi, idź do damy Hatfertiti.

Tet-tut spojrział na matkę, potem zbliżył się do niej. Zanim zdołała go pochwalić, Pta-nem-hotep powiedział: – Idź do Menenheteta.

Pies cofnął się od Hatfertiti, obrócił wokół własnej osi i podszedł prosto do pradziadka. Zbliżywszy się na dwie stopy uklęknął, położył długi pysk na podłodze i zaczął mrużyć.

– Czy boisz się tego człowieka? – spytał faraon.

Tet-tut wydał przeciągły skowyt, równie wymowny, co rozdrapywanie rany. – Tiuuu, tiuu – coś w tym rodzaju.

– Słyszeliście? – spytał Pta-nem-hotep. – Mówi, że tak.

– Moim zdaniem zbyt niewyraźnie – rzekł Menenhetet.

– Tuu, tuuu – powiedział Pta-nem-hotep do Tet-tuta – powiedz „tuuuuu”, a nie „tiuuu”. Tuuuuu!

Tet-tut obrócił się na grzbiet.

– Partacz z ciebie – powiedział Pta-nem-hotep. – Idź do chłopca.

Pies rozejrzał się.

– Do chłopca. Do Meniego-Ka.

Podszedł do mnie. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a potem zacząłem płakać. Nie byłem na to ani trochę przygotowany. Przypuszczałem, że się roześmieję, ale smutek opadł mnie, wypływając prosto z serca Tet-tuta i przenikając do mojego tak szybko, jakby ktoś wlewał wodę do dzbana. Chociaż nie, czułem się trochę tak, jak po pocałunku Ejasejab, kiedy miała trudny dzień. Po takim pocałunku czułem, że przeżywam wszystkie nieszczęścia, jakie spadały na mieszkańców osad dla służby. Od tego psa napłynęła ku mnie melancholia tak skrajna, jak uczucie, którego doświadczyłem, gdy Ejasejab opowiedziała mi o krewnych zatrudnionych w kamieniołomach, gdzie musieli ładować wielkie bloki granitu na płozy i podciągać je na nabrzeża na linach. Czasem chłostano ich podczas pracy, aż padali trupem, bo nadzorca wypił zbyt wiele poprzedniej nocy i teraz słońce go drażniło. Od czasu kiedy Ejasejab opowiedziała mi o swoich krewnych, żyłem w cieniu smutku, jaki krył się w jej głosie. Miała głos ciężki, przytłoczony troskami, ale nie ubogi, gdyż zdradzał także uciechę jej mięśni, gdy się kładła na spoczynek. Litowała się nad mężczyznami i kobietami z własnej rodziny, których znała w dzieciństwie, i opowiadała mi o tym, jak w głębi serca rozmawiała z nimi co wieczór, nie we śnie, kiedy mogłaby się ich obawiać, ale na jawie, jak gdyby z nadejściem zmierzchu łatwiej jej było ich przywołać. Choć nie widziała ich od lat, była przekonana, że wysyłają jej wiadomości z głębi gruchotanych kości, ponieważ odczuwała ból mięśni, przypominające ból po chłasnieniu batem. Ten ból mówił jej o ich losie jak łuk wysyłający w powietrze strzałę.

Nie wiem, ile z jej opowiadań zapamiętałem, a ile wyczytałem z oczu psa, ale takiego bezmiernego smutku nie pojmowałem. Smutek w oczach Tet-tuta przypominał ten, który ujrzeć można było w oczach wielu inteligentnych niewolników. Gorzej. Czułem się, jak gdyby oczy psa mówiły o czymś, czego pragnie, a co nigdy mu nie będzie dane.

Płakałem więc i sam się dziwiłem, że tak głośno. Wydzierałem się. Pies zdołał mi opowiedzieć o przerażeniu w odległej krainie i zacząłem się bać, tak jak nigdy dotąd, nie tego, że mógłbym wieść życie niewolnika, ale świadomości, iż pewnego dnia, prędzej czy później, i mnie będzie dane zaznać życia, jakiego nie chcę, że i ja nie będę mógł udawać się tam, gdzie zechcę. Było to uczucie tak przemożne, że trząsałem się miotany siłą tak potężną, że wprawiała nawet światło w drżenie. A potem poczułem się tak, jakbym zrazu znajdował się w słońcu, a zaraz potem w mroku, zmiany zaś były szybkie, jak mgnienie oka. A przecież oczy miałem szeroko otwarte. Ujrzałem dwa życia naraz: siebie samego w wieku sześciu lat pogrążonego we łzach i siebie w mroku, płaczącego ze wstydu z ustami zapchanymi chujem Menenheteta. Łzy płynęły mi ciurkiem, toteż ciekło mi z obu dziurek w nosie na olbrzymi członek starca. Tak jest, już mając sześć lat, ujrzałem swoje własne poniżenie w Krainie Umarłych w wieku lat dwudziestu jeden. Potem Hatfertiti złapała mnie mocno, przytuliła i skryła przed wzrokiem faraona.

IV

Ze sposobu, w jaki mnie unosiła, domyśliłem się, że jest wściekła. Brzuchem dotykałem jej ramienia, a głowa zwisała mi na jej pierś. Ziemia podnosiła się ku mnie, to znów opadała przy każdym jej kroku, jakbym się huśtał głową w dół. Byłem jednak zdjęty takim przerażeniem, że przypominałem kraba wrzuconego do wrzącej wody, gdyż życie uchodziło ze mnie z ogromnym wrzaskiem, a moje mięso gotowało się. Kiedy zatrzymaliśmy się i opuściła mnie na ziemię, pomyślałem przez chwilę, że umarłem – staliśmy w pokoju tak pięknym, że zrazu nie wiedziałem, czy znajdujemy się w domu, w ogrodzie, czy w sadzawce.

Otaczały mnie drzewa. Wymalowano je na wszystkich ścianach. Stałem na podłodze, na której farbą wymalowano bagiennie trawy, złociste trzciny i ryby, które pływają między źdźbłami namalowanej trawy. Nad nami gwiazdy świeciły z wymalowanego na suficie wieczornego nieba, a w czerwieni ściany zachodniej zachodziło słońce, zupełnie tak samo, jak w przeddzień wizyty u faraona zaszło za dachem rezydencji Menenheteta. Tym razem jednak rzucało ostatnie blaski na piramidy, które były czerwone jak miąższ granatu w tym oświetleniu i przykucnęły na namalowanej równinie Gizeh między dwoma spośród czterech złotych drzew podtrzymujących sufit tego pokoju w czterech jego rogach. Gołębie i motyle krążyły w parnym powietrzu, czajki i zielone czyżyki przelatywały między rogami wołów w bagiennych trzcinach na ścianie, lilie wodne kwitły u mych stóp, błękitny lotos zaś niemal całkowicie zasłaniał szczura wykradającego jaja z krokodylego gniazda. Zacząłem się śmiać przez łzy na widok pyska tego krokodyla.

Matka objęła mnie i poprosiła, żebym na nią spojrział, ale ja wlepiłem wzrok w nogę kanapy z kości słoniowej, na której usiadłem. Noga ta była wyrzeźbiona w kształcie nogi i kopyta wołu. Kopyto byłoby widoczne gdyby nie to, że rzeźbiarz wpuścił je w wypolerowaną podłogę, zamiast na niej oprzeć. Kiedy tak wpatrywałem się w posadzkę, odkryłem, że była wypolerowana tak dokładnie, iż powierzchnia namalowanej na niej wody faktycznie odbijała wszystkie przedmioty. Widziałem odbicie swoje i matki, toteż poczułem się jak na wodzie odbijającej światło.

Staliśmy pośród ptaków i zwierząt ożywionych farbami i zacząłem nawet dostrzegać muchy i skorpiony, umieszczone przez artystę u korzeni traw, pomiędzy którymi pływały rybki. Uśmiechnąłem się wreszcie do matki.

– Już mogę wrócić – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i spytała:

– Czy podoba ci się ten pokój?

Pokiwałem głową.

– To mój ulubiony – rzekła. – Bawiłam się tutaj, kiedy byłam dzieckiem.

– Ja też chciałbym się tutaj bawić – powiedziałem.

– W tym pokoju dowiedziałam się, że początkowo planowano mój ślub z faraonem.

Mogłem sobie wyobrazić matkę na tronie obok Pta-nem-hotepa: oboje mieli na sobie błękitne peruki. Chłopak o twarzy innej niż moja baraszkował między nimi.

– Gdybyś go poślubiła, nie byłoby mnie tutaj.

Głębokie, czarne oczy matki zaglądały do moich przez dłuższą chwilę.

– Ale byłąś moim synem – powiedziała. Posadziła mnie na swym udzie i poczułem, jak wolno zagłębiać się w jej łonie. Było mi miękko, miałem wrażenie, że zagłębiać się w niej powoli nawet wówczas, gdy przestałem już zapadać się w jej ciało. Echa tego rozkosznego wrażenia powoli ucichły niczym wrażenia zeszłego wieczoru i ogarnęła mnie błogość równie silna jak rozpacz po zajrzeniu psu w oczy. Jakże podobało mi się czerwone światło piramid odbijane przez bagienno-zieloną posadzkę!

– Tak, początkowo planowano mój ślub z faraonem. Czy chciałbyś mieć takiego ojca? Dlatego zaczęłaś płakać?

– Nie wiem, dlaczego pies mnie zasmucił – skłamałem.

– Myślę, że dlatego, iż mogłaś być księciem.

– Nie sądzę.

– Miałam zostać pierwszą żoną faraona.

– Ale zamiast niego poślubiłaś mego ojca.

– Tak.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Hatfertiti, jakby świadoma mojej umiejętności przenikania myśli innych (nigdy nie wiedziałem, kiedy mi się uda), zdawała się wcale o tym nie myśleć.

– No tak, poślubiłaś mojego ojca, ja jestem jego synem, a teraz cieszę się, że mnie przyprowadziłaś do tego pokoju.

– Nie bardzo wiedziałem, co wygaduję, ale byłem na tyle przebiegły, by mówić coś, co ją pobudzi do dalszych wynurzeń.

– Nie jesteś synem twojego ojca – powiedziała i jej oczy przez mgnienie oka zapalały błyskiem przerażenia, dodała więc szybko: – To znaczy jesteś, ale i nie jesteś zarazem.

– Domyśliłem się, że musiała mieć na myśli Menenheteta.

– Nie ma to znaczenia – dodała – czym jesteś synem, bo to ja cię pragnęłam. Modliłam się, byś się urodził i po prawdzie nigdy nie będę się czuła tak wspaniale jak w tej godzinie, kiedy wszystko we mnie pragnęło, byś się urodził.

Ujęła moją twarz w swoje dłonie, a dłonie jej pełne były takiej czułości, że poczułem się, jakbym leżał w łóżku między dwoma urodziwymi ciałami. – Rodziłeś się przy akompaniamencie moich prośb, by się narodził faraon, a pragnienie to towarzyszyło mi zawsze, nawet wówczas, gdy poślubiłam twego ojca.

– Wciąż w to wierzysz?

– Nie wiem. Zawsze różniłeś się od innych dzieci. Kiedy jestem z tobą sam na sam, nie odczuwam różnicy wieku między nami. A kiedy nie jesteśmy razem, często zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś. Czasami jestem przekonana, że myśli innych ludzi przepływają swobodnie ku tobie. W rzeczy samej przenikasz myśli innych ludzi. Masz niezwykłą i szlachetną moc. Ale nie sądzę, byś miał zostać kiedyś faraonem. W moich snach nie widzę podwójnej korony na twojej głowie.

– Co widzisz?

Nigdy nie byłem bardziej chłonny, nigdy nie starałem się równie mocno pochwycić najdrobniejszego powiewu myśli w jej głowie, toteż wnet dostrzegłem czarną plamkę – wesz, która ją przerażała – i domyśliłem się, czego się boi. Nawet gdyby ta wesz mogła wypełznąć z mego gardła, i tak nie widziałbym jej wyraźniej.

Była to tylko jedna z powłok mej matki. Krew takiego wojownika jak mój dziadek musiała mieszkać w innej, gdyż w jej ponownym spojrzeniu wyczułem wzrok płaski jak wzrok oficera taksującego wartość jeńca.

– Dlaczego zacząłeś płakać? – spytała. – Czyżbyś ujrzał nędzną przyszłość w oczach tego psa?

– Ujrzałem wstyd i hańbę – rzekłem i pomyślałem o matce i Menenhetecie splecionych w uścisku na dachu rezydencji Menenheteta. Musiałem jej przesłać moje myśli, gdyż krew napłynęła jej do policzków i rozgniewała się.

– Nie mów o wstydzie – rzekła – po wstydzie, jakiego mi przysporzyłeś przed obliczem faraona.

– Odczułem wybuch wściekłości, z jaką mnie podniosła i usunęła z balkonu. – Nie sądzę, byś miał zostać faraonem – właśnie dlatego, że pies cię doprowadził do łez. Nie masz więcej odwagi niż ten pies.

Często mówiliśmy do siebie takim tonem – odplacając sobie okrucieństwem za okrucieństwo. Lubiłem takie zawody. Byłem w nich lepszy od Hatfertiti.

– Nie płakałem wcale dlatego, że brak mi odwagi – rzekłem – ale dlatego, że jest mi po prostu wstyd, iż naszego ojca nikt nie szanuje. Jeżeli, jak powiadasz, jest w ogóle moim ojcem.

Uderzyła mnie w twarz. Łzy wściekłości popłynęły po moich policzkach. Musiały ją zabołec jak ostry kamień uderzający o miękką powierzchnię, gdyż płaskie spojrzenie, tępe niczym ciemna skała, charakterystyczne dla jej oczu, gdy była zła, pękło – i nagle ujrzałem w jej oczach smutek równie głęboki jak ten, z którego zdałem sobie sprawę spoglądając na psa. Jakaś część niewypowiedzianego cierpienia z życia mej matki była w tym spojrzeniu ukryta.

– Dlaczego – spytałem – nie zostałeś pierwszą żoną faraona?

Znów milczała. Po chwili rzekła: – Poślubiłam twego ojca, ponieważ był moim bratem przyrodnim. – Była to odpowiedź zupełnie nie na temat, zważywszy na fakt, że sporo królewskich małżeństw (nie mówiąc już o przynajmniej połowie małżeństw zawieranych przez biedaków) zawierano między braćmi i siostrami lub przyrodnim rodzeństwem. Nie była to żadna odpowiedź. Ale przenikając myśli mej matki, potrafiłem sobie wyobrazić, jak wyglądał mój ojciec jako młodzieniec. Ku memu zaskoczeniu był silnie zbudowany, o nieco prymitywnym wejrzeniu – no, może nie prymitywnym – był młody, przystojny, a nawet odrobinę okrutny; okrutny tym okrucieństwem, które może się podobać kobietom. Teraz był całkiem inny. Miał ściągnięte rysy. Powietrze, którym oddychał, było wonniejsze, ale bardziej zdradliwe niż to, które wdychał za młodu. A było to zaledwie siedem-osiem lat temu! Zastanawiałem się, czy ta zmiana ma coś wspólnego z syknięciami, do których się przyzwyczailem przez lata obserwując kłótnie i gniewne milczenie między rodzicami i pradziadkiem. Czasami wszyscy troje czuli się nieswojo, jak gdyby wszyscy naraz cierpieli niestrawność po tym samym obiedzie. Nieco później, namawiając matkę, by powiedziała coś więcej, strasząc ją myślami i goniąc te myśli, dowiedziałem się wreszcie o rodzinnej hańbie. Córka Menenheteta, matka mojej matki, Ast-en-Re, poślubiła prawowitego młodszego brata Ramzesa III, lecz po śmierci tego księcia i narodzinach mej matki (tego samego miesiąca), Ast-en-Re wyszła powtórnie za mąż, tym razem za bardzo bogatego człowieka, który jednak wywodził się z rodziny chłopskiej i mieszkał w najgorszej dzielnicy Memfis. Jako chłopiec pracował czyszcząc latryny. To dopiero hańba! Wnet zrobił karierę i został właścicielem burdelu (jeżeli wierzyć jego reputacji w tych sprawach, to dorównywał bogu Gębowi), a dzięki zyskom z burdelu zbił olbrzymią fortunę. Moja babka, Ast-en-Re wyszła za niego za mąż, jak się dowiedziałem, by się zemścić na Menenhetecie, który ją traktował jak swoją kochankę od czasu, gdy miała lat dwanaście, ale przestał ją zauważać, gdy poślubiła Ramzesa. W odwecie – twierdziła z naciskiem moja matka – Ast-en-Re wybrała mężczyznę, którego powodzenie najbardziej rozwścieczyło Menenheteta. Pradziadek mówił o tym drugim mężu jako o Fek-Futi. Tak bowiem pospolicie i wulgarnie nazywano wywozicieli gówień, matka zaś zachichotała, mówiąc mi: – Och, Menenhetet był tak potwornie zazdrosny. Wściekł się słysząc, że jego córka wyszła za mąż za najślawniejszego kochanka w Memfis. Dlatego gardził twoim ojcem od chwili, gdy ten się narodził.

– A ty?

– Nie, mnie się podobał. Był moim małym braciszkiem i kochałam go. – Jej wspomnienie przeskoczyło w sposób naturalny do mojej głowy i stąd wiem, że uwiodła mego ojca, gdy ten miał lat sześć, a ona osiem. Jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że potrafię nawiedzać myśli innych ludzi, matka nagle zamknęła swoje myśli przede mną. Widziałem, jak je zamyka. Jeżeli o mnie chodzi, nie miała od tej chwili ani jednej myśli, ani jednej, którą potrafiłbym prześledzić.

Ale ten wyrazisty obraz nagiego dziecka, które miało zostać moją matką trzymającą w ramionach drugie nagie dziecko, które jeszcze nie było moim ojcem, zmieszał się w mej pamięci z wizją matki w objęciach Menenheteta zeszłego wieczoru i wówczas zrozumiałem wreszcie, dlaczego mówimy o dwóch siedzibach umysłu. Myśl taka nie mieściła się w mojej głowie, toteż porzuciłem ją wnet i odczułem słodką ulgę, przyjemne znużenie członków, jak gdyby coś cennego właśnie mi umknęło, by jednak niebawem powrócić. Wtedy właśnie nabrałem pewności, iż pragnę odpocząć wśród tych malowanych ścian, gdzie oddech wieczoru na zawsze pozostał barwą róży w pełnym oczekiwania powietrzu.

– Czy już wrócimy? – spytała matka.

– Idź sama – powiedziałem jej. – Chciałbym się przespać w tym pokoju, w którym bawiłaś się jako dziecko. – Wydarzenia, przy których mnie nie było, przemykały wokół mnie, jak gdyby wspomnienia niczym ptaki z odległych krajów mogły przysiąść w twoim gnieździe. Pomyślałem o cudownym uczuciu towarzyszącym wargom Ejasejab na Słodkim Paluszk, a chmury miodowego uczucia znów zaczęły się unosić znad mego ciała.

– Dobrze – powiedziała matka. – Zostawię cię tutaj. Ale nie zabłądź. Gdybyś mnie szukał, będę z faraonem i twoim pradziadkiem w tym samym miejscu, w którym dojrzałeś zbyt wiele w oczach psa. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Kiedy tylko znudzi cię samotność, przyjdź do nas i bacznie notuj w pamięci to, co faraon mówi na publicznych audiencjach. Porusza wiele problemów, z którymi boryka się władca – westchnęła. – Wysłuchuje najnudniejszych relacji o drobnych kłopotach i czasem zapobiega im, choć kochany nasz faraon nie jest nazbyt praktycznej natury.

Zauważyłem, że mówi o nim tak, jakby przynajmniej tego dnia była jego małżonką i przypomniałem sobie, jak zapytała pradziadka: „A co będzie, jeśli tylko jedno z nas dopnie swego?”

Uśmiechnęła się do mnie wychodząc (olśniewający uśmiech, który napełnił mnie krzepiącym ciepłem), potem zostałem sam. Było mi wygodnie. Leżałem na kanapie, której nogi wyrzeźbione z kości słoniowej przypominały nogi wołu zakończone kopytami, a barwy zmierzchu przypominające różę tkwiły nade mną nieruchomo przez całe popołudnie. Po chwili nie tyle spałem, ile unosiłem się w powietrzu, byłem dokładnie w tym punkcie, gdzie człowiekowi blisko do snu, lecz zasnąć nie może, a oba domy naszego umysłu stają się jak dwie łodzie, które odpływają od siebie w różne strony na bezmiarze wód. Wówczas poczułem, jak wiele z mego istnienia nie całkiem chyba należy do mnie, lecz nie czułem żalu, nie miałem też z pewnością poczucia, że tak naprawdę wcale nie jestem sześciolatkiem. Przeciwnie, byłem o tym w pełni przekonany i zasnąłem. Przestałem zdawać sobie sprawę z tego, dokąd zawędruję. Moje statki oddaliły się od siebie i oto leżałem przez długi nieprawdziwy wieczór w wymalowanym pokoju.

V

Obudziłem się w tak głębokiej ciszy, że mogłem sobie wyobrazić ptaki na marmurowych schodach przystani przed Podwójnymi Wrotami, a nawet przypomnieć sobie kolorowe piórko unoszące się na wietrze nad drugimi wrotami, nad całym szlakiem, jaki przebyłem przez trzy dziedzińce oddzielające mnie teraz od rzeki. Przeżyłem wówczas coś niezwykłego, choć nie byłem narażony na niebezpieczeństwo ani nie czułem się zaskoczony. Chodziło o to, że matka co prawda zabroniła mi się oddalać z pokoju, ale ja zdołałem rozejść się, jakbym był dwojgiem ludzi, w dwie różne strony. Mój umysł skłaniał się teraz z jednej strony ku opuszczeniu pałacu, w ślad za naszym nadzorcą wioślarzy, Tym Który Miazdzy Kości, który podążył ku rynkowi w Memfis zaglądając do szynków – z drugiej zaś, by przysiąc w obecności faraona i wysłuchać jego wypowiedzi w sprawach dotyczących władzy. Moje ciało nie drgnęło nawet. Byłem posłuszny matce i ani na chwilę nie opuściłem kanapy. Tyle tylko, że w tym zamęcie zmysłów, słodkim jak przyjemność, którą starsi ludzie znajdują w winie, przedostałem się do umysłu wioślarza imieniem Set-Kwesu (żył równie wściekle jak jego imię, które brzmiało gwałtownie jak jego głos; nazywaliśmy go Tym Który Miazdzy Kości, ale to przez grzeczność, gdyż naprawdę trzeba by go zwać Kością w Dupie. Zdaniem innych wioślarzy, miał członek tak wielki, że dopadłszy kogoś od tyłu, potrafił mu przetrząść kręgosłup).

Nie wiem, dlaczego go śledziłem, ale nagle znalazłem się bliżej niego samego, niż gdybym zasiadł u jego boku. Czułem, że przenikam jego myśli, być może nie całkiem dokładnie (nie słyszałem słów w jego głowie, może niewiele słów tam gościło), ale wyraźnie za to czułem gniew w jego piersiach, surowych jak płuca lwa, jego żarty zaś kwasotą kwasily i mój brzuch. Poczułem się, jakby mnie zawinięto w dywan poplamiony płwociną i starymi rzygowinami, jakby oblażyły mnie czerwone mrówki, ale może to tylko szok spowodowany nazbyt śmiałym zbliżeniem się do niego. Potem poczułem zmęczenie, gorzki ból we wszystkich nerwach, ostrzejszy i poważniejszy niż wszystkie bóle, które do tej pory znałem. Usłyszałem, jak Ten Który Miazdzy Kości warczy na ludzi pijących obok niego:

– Przez całą noc musieliśmy naprawiać łódź, a dzisiaj od rana przy wiosłach.

– Niemożliwe – powiedział jakiś mężczyzna, wymachując dzbanem perfumowanego piwa, rozsiewającego zapach zarazem kwaśny, gorzki i o wiele za słodki. – Dryfowaliście sobie dzisiaj z prądem rzeki.

– W tej jego łodzi w ogóle się nie dryfuje. Każdy wir to już niebezpieczeństwo.

– Dryfowaliście tylko – powtórzył mężczyzna z perfumowanym piwem.

– Nie wlepiaj we mnie swoich kaprawych ślepi – powie dział mu Ten Który Miazdzy Kości. Ten drugi, dorównując wzrostem Temu Który Miazdzy Kości, miał tylko jedno oko, pełne ropy i zaczerwienione od gorączki. Rozglądając się po barze, nawet w przyćmionym świetle tej brudnej piwiarni, gdzie nie było okien, a jedyne światło wpadało przez drzwi, potrafiłem policzyć twarze. Niemal wszystkie miały po jednym oku, a było ich z piętnaście na dwudziestu klientów. Nie pamiętam, żebym już kiedyś widział tak wielu jednookich ludzi w jednym miejscu. Pośród naszych służących, a z pewnością także pośród służących faraona, jednookich trzymano tylko wówczas, gdy byli starzy i zaufani, bo też i kto chciałby codziennie oglądać pomarszczony oczodół! A w tej

piwiarni miałem uczucie, że wszystkie piasek pustyni i wszystkie łajna naszych zwierząt, nie mówiąc już o okropnym blasku słońca, biły w powieki tych ludzi od chwili, gdy się urodzili. Niepewnie popatrzyłem na pijaka, który spadł na twarz i leżał w kącie baru, z czołem wbitym w brud, w stare okruszki chleba, łupiny cebuli, rozlane piwo, wino, plwociny, rzygi, a nawet glinę w miejscu, gdzie odrobina rozlanego piwa rozmiękczyła udeptaną podłogę. Pogrążony w brudach tego kąta pijak chrapał.

– Dryfowaliście tylko – powiedział mężczyzna z zaropiałym okiem – i nic więcej.

– Jeszcze raz otworzysz gębę – powiedział mu Ten Który Miażdży Kości – a wbiję ci palec w zdrowe oko. – Byłem dostatecznie blisko, by odczuć przyjemność, jaką mu sprawiła ta myśl. Zmęczenie mu minęło. Oddychał pełnią wściekłości, która zalała mu głowę czerwonym światłem. Czerwona obwódka oka przed jego twarzą zbladła, potem znów nabiegła krwią, skóra zaś tego mężczyzny, najpierw ciemna, zrobiła się biała jak podbrzusze ryby, a potem purpurowa jak wściekłość Tego Który Miażdży Kości (prawdziwe barwy nie ulegały zmianie, mieniły się tylko widoki w umyśle Tego Który Miażdży Kości). Spoglądał na wargi drugiego – gdyby powiedział choćby słówko, rzuciłby się nań. Już czuł, jak palcem miażdży tamtemu oko. Oko wyleciałoby z oczodołu jak miąższ brzoskwini przeciekający przez skórę.

Ale już stała przed nim dziewczyna roznosząca piwo.

– Nie psuj dnia, Set-Kwesu – rzekła. – Pij, aż poczujesz się szczęśliwy.

– Przynies mi osiemnaście czarek wina – powiedział i uśmiechnął się, a ja poczułem, jak bardzo jest pijany. Wiedziałem, że kręci mu się w głowie od potwornego opicia się, gdyż próbowałem już kiedyś wina i upiłem się nim (choć było to inne wino niż to, którym on się upił). Ściany baru runęłyby na niego, gdyby chciał się podnieść. Sam siebie zdziwił (ale nie mnie), gdyż popatrzył na barmankę i powiedział:

– Masz ładną białą szatę. Jak ci się udaje utrzymać ją w czystości?

– Trzymam się z dala od mężczyzn z brudnymi łapami – krzyknęła i odskoczyła.

– Wracaj – powiedział. – Chcę wina z Mareotis.

– Wróć.

– I jeden bochen waszego czerstwego chleba.

Miałem wówczas wizję skromnej białej szaty zdzieranej z jej ciała, widziałem jego wielkie łapy zaciśnięte na jej pośladkach, rozrywające je, widziałem jej ciało rozdarte szeroko jak w rzeźni, z tym że nie była ani ranna, ani zakrwawiona, wyginała ciało wraz z nim, a rysy jej twarzy zdradzały rozkosz. Potem siadał jej na głowie, bez przepaski na biodrach, z pałką fallusa między nogami, którą okładał jej piersi. Wiedziałem, że coś takiego widzę dlatego, gdyż wiem co się dzieje w jego głowie, bo dziewczyna odeszła już w kierunku długiego stołu, na którym trzymano kadzie z winem, i niosła dzban wina z powrotem, pod pachą przytrzymując bochen chleba.

– Mamy wino z Buto – powiedziała.

– Wino z Buto śmierdzi – odparł.

Nie usiadł. Chwiejąc się, ze mną niczym z myszką przycupniętą na jego szyi (bo też przyglądałem się wszystkiemu zdziwiony niczym mała myszka), stwierdził, iż ściany istotnie kiwają się. Biorąc z jej rąk dzban wina, wyrwał nawoskowany korek, nalał sobie wina do szklanki, wypił duszkiem, nalał następną. Napój wlewał się weń z zapachem krwi.

– Śmierdzi tu – powiedział.

– Zapłać mi, Set – odrzekła. – A powietrze na zewnątrz dobrze ci zrobi.

– Tam jest gorąco, a tutaj śmierdzi. – Był wściekły, ale już zapomniał dlaczego. Z opaski na biodra, a właściwie z miejsca między owłosionymi jądrami (palcami przebierał pod opaską dostatecznie długo, by usta dziewczyny zadrżały – zresztą ani ja nie wiem na pewno, ani on, czy

drżały faktycznie, czy też tak mu się tylko zdawało, gdy dotykał siebie palcem) wyjął jedną z miedzianych monet, o wadze gdzieś z ćwierć *utnu*, a więc cięższą niż oba moje jądra razem wzięte. Zamachał jej monetą przed nosem, gestem, który zapożyczył zapewne od swego pana Menenheteta, tak wymowna kryła się w nim pogarda dla zaduchu tego baru i duma z niedbałego gestu, jakim monetę wydobył. – Pewnego dnia ożenię się z tobą – powiedział i zaczął się toczyć ku drzwiom. Brązowa podłoga baru kołysała się pod nim jak ciemnobre fale Nilu późnym popołudniem. Poczawszy, że podłoga płynie ku niemu niczym wolno szemrzący potok, odczuł przemożną potrzebę oddania moczu, zaś ogrom tej potrzeby sprawił, iż ja z moim Słodkim Paluszkim też musiałem odczuć parcie na krocze, co zabolowało mnie bardziej niż stopa ściśnięta drzwiami. Obrócił się jednak, skręcając równie majestatycznie jak barka biorąca zakręt na rzece i podszedł do pijaka z zaczerwienionym okiem.

– Na wielkiej rzece nie da się dryfować – powiedział, bekając żółcią przyprawionego piwa, wódki palmowej, ostatnimi haustami wina z Buto i dorzucił:

– Są tam prądy, które cię obrócą wkoło i wiry zdolne wessać całą łódź. – Właśnie miał zamiar dodać, że trafiają się także skały, których nie widać, gdy woda się podniesie, toteż należy je zapamiętać, albo rozedrą dno, ale pijak tylko błysnął swoim jedynym okiem, spojrzął głupkowato i pomachał palcem. – Dryfowaliście tylko – powtórzył, jakby w stwierdzeniu tym kryła się jakaś głęboka mądrość.

Ten Który Miazdzy Kości odsunął na bok przepaskę i wypróżnił cały pęcherz na pijaka. Obecni w barze gruchnęli śmiechem, który trwał, dopóki Ten Który Miazdzy Kości nie skończył. Pijak po prostu zniósł upokorzenie, przywołał wymuszony uśmiezek na twarz, usiadł i zaraz zasnął. Ten Który Miazdzy Kości obrócił "się. Przez chwilę był szczęśliwy. Z bochenkiem chleba pod pachą ruszył ku drzwiom. Nikt się nie odezwał, dopóki nie stanął w drzwiach, ale woń jego moczu płynęła za nim wyraźnie, jak woń gorącego moczu końskiego na świeżej słomie. W głębi baru podniosły się głosy, narastające w miarę jak wychodził, rosnące w siłę, gdy wyszedł, aż wszyscy ci biedni handlarze, czeladnicy i robotnicy zaczęli rzucać w ślad za nim niedogryzione cebule oraz kawałki chleba (upewniwszy się, że się oddała). Wyszedł zataczając się na ulicę z majestatycznie podniesioną głową ciężką od alkoholu, przemagając narastającą w nim chęć powrotu i rozbicia kilku głów. Ostatnie słowa, jakie usłyszał przez drzwi, były wyraźną pogrozką ze strony kogoś, kto zawołał: – Twój pan Menenhetet jeszcze się o tym dowie.

– Potem znalazł się sam na ulicy (tylko ja śledziłem jego oddech), a jego płuca chwytają powietrze z takim trudem, jakby właśnie skończył wiosłować po wielu godzinach wytężonej pracy. Wdychał z lubością własny strach i ekstatycznie delektował się nim. Menenhetet kazał go pewnego razu tak obić, że prawie wyzionął ducha, a doznań tych nie zapomniał. Znowu zdając sobie sprawę z własnej samotności na ulicy, z obecności dzieci, które go sobie pokazywały palcami, mężczyzn i kobiet mijających go z daleka, zauważył tylko jednego olbrzyma, równego mu wzrostem, stojącego na środku wąskiej uliczki, otoczonej z obu stron czeropiętrowymi kamienicami. Obaj zbliżali się do siebie powoli – gdyby się dotknęli, musieliby walczyć – a ich pewność siebie ustępowała ostrożności, w miarę jak się zbliżali, wyczuwając wzajemne rozdrażnienie. Minęli się, obaj zawstydzeni obawą przed dotknięciem. Set poczuł się zmęczony i przysiadł na małym placyku, opodał żurawia, przy którym kobiety nabierały wody do wiader, sięgnął po bochen chleba, odłamał pajdę i zaczął ją żuć.

Matka zawsze mi powtarzała, że mam w ustach małe perełki i jestem pewien, że nigdy takiego chleba nie jadłem. Na języku wyczuwało się szorstkość otrębów. Ten Który Miazdzy Kości nie zdążył jeszcze ugryźć pajdy po raz trzeci, a już zęby mu zazgrzytały o ziarno wielkości grochu i jeden z zębów ułamał się. Przeszył go niczym włócznia takim bólem, że poczuł go przez watę

swego zamroczenia. Zajęczał, czując nagły ból w ustach, gdyż przypominał mu on lata całe, przez które łamał sobie zęby na żwirze, kamykach i piasku, ziarnach i odpryskach kamieni młyńskich. Ujrzał matkę, która miesza z mąką ziarna pszenicy wysuszone na płaskim kamieniu przed progiem, rozrabiając ciasto. Być może właśnie zapach chleba, który trzymał pod nosem, kwaśnej uryny w porach skórki, przywołał go z powrotem do domu, w którym się wychował, do dzieciństwa, wypełnionego zbieraniem łąjna, nawozu, gówien wszystkich osłów, kurcząt, kóz, krów, psów i owiec. Wszystkie te wonie odżyły w jego nosie, kulki, kupki i placki, które matka zlepiła w cegielki i suszyła na słońcu. Na tym właśnie piekli chleb, kiedy nie mieli drewna, a drewna zawsze brakowało. Sądząc po zapachu, jaki właśnie wiercił w nosie, wędrował przez odbyt kozła. Znow zajęczał, poczuwszy przenikający ból w ułamanym zębie, jęk ten zaś sprawił mu przyjemność jak fala bólu na zablizniającej się ranie. Wstał więc uśmiechnięty i zaczął się gapić na kobiety, które przechodziły przez placyk, a to niosąc jaja i żywe kurczaki na sprzedaż, a to gęś trzepoczącą pod pachą, a to ryżę właśnie utkanego płótna, tak białego, że słońce oślepiło go na chwilę. Długo, długo dochodził do siebie, potykając się o kamienie, schodząc wąską uliczką do wielkiego kwadratowego rynku. Słońce nad jego głową było okrutne niczym ciało kogoś pogrążonego we śnie u jego boku i tchnącego cuchnącym oddechem. Szedł więc z przymkniętymi oczami, jaskrawoczerwone promienie słońca drażniły zaś jego powieki. Byli tacy, którzy twierdzili, że wszyscy bogowie zmieszczą się w jednym bogu, a bogiem tym było Słońce. Jeśli to prawda, to ogarniał go gniew.

– Bogowie mieszkali w gównie – rzekł Ten Który Miazdzy Kości do samego siebie, wachając stare łąjno w skórcie chleba, i rzucił spojrzenie na piękną damę w przezroczystej sukni przechodzącą obok niego. Włosy miała długie, błękitne, naoliwione, a kosmyki zaplecione były na końcu wokół małych kuleczek wosku. Była obwieszona bransoletkami i naszyjnikami, nad uchem przypięła sobie kwiat. Gapił się na nią, gdy się zbliżyła, wypatrywał bacznie cienia rzucanego przez jej włosy łonowe, badał uważnie delikatne i bogate tatuaże na jej policzku, mając nadzieję, że dojrzy symbole kurwy i podaży za nią do burdelu. Kiedy tak się zastanawiał, odeszła, a ja poczułem, że w jego kroczu narasta parcie inne niż to, którego byłem świadkiem, gdy chciał oddać moc. Czułem to tak, jak musi czuć się ziemia, gdy podnoszą z niej jakiś ogromny głaz.

– Siła i wóda – zawołał w ślad za nią. – Siła i wóda – a kiedy nie odpowiedziała, kiedy to, co jeszcze dostrzegał, wpatrując się w pośladki pod przezroczystą szatą, miało zniknąć, zaczął się śmiać (ząb go rozboleł na nowo od tego śmiechu) i zawołał: – Mądrej głowie dość dwie słowie, głupiej dupie trzeba batów. – Powiedzonko to powtarzał często Menenhetet, chłoszcząc wioślarzy. Ten Który Miazdzy Kości powtarzał je z kolei, okładając swoją załogę, a w tej chwili powiedzonko skleiło mu pijackie myśli i słowa zlały się z batami. Nigdy przedtem nie dostrzegł tego podobieństwa słów do batów. „Medu” znaczyło „słowa”, ale „medu” znaczyło też „kij”, „bat”. Beknął i nagle poczuł się wspaniale. Wkładać kobiecie kija to tyle, co obdarzać ją dobrym słowem, tak jest, język jest jak szkatułka, w której, jak kiedyś widział, chowano drugą szkatułkę. Czuł swego chuja, który lubił mroczne miejsca.

– Bogowie mieszkają w gównie – krzyknął i padł na twarz.

Mijali go nadzy chłopcy i nagie dziewczynki. Wszystkie dzieci z całej dzielnicy tamtędy przechodziły, niektóre zdobne jedną jedyną bransoletą, jakby chcąc podkreślić, że są co prawda nagie, ale nie są aż tak całkiem biedne. Otaczały kołem biedny skołowany mózg Tego Który Miazdzy Kości. Leżał na ulicy, a nagi chłopak z grubym warkoczem włosów opadającym mu na ucho przystanął nad nim, przyjrzał mu się uważnie i chichocząc cicho, spróbował wysikać się na jego stopę. Udało mu się strząsnąć ledwie parę kropel. Mimo to Ten Który Miazdzy Kości poruszył się, chłopak odskoczył, a wioślarz znow zasnął. Śnił.

Mijały go osły obładowane słomą – widział je z poziomu ulicy, otwierając jedno oko. Woły o dużych rogach, wracające z targu, tłoczyły się na placyku, obchodząc go. Rybacy przechodzili z koszami ryb, piekarz z bochenkami chleba. Ciasta, mięso, owoce, buty, pszenica, sandały, cebule, ziarno, ozdoby, perfumy, oliwa, miód, maty do spania, nożyki do golenia z brązu, motyki, kosze ziarna, wiązki kaczek, sprzedawca ze skórzanymi bukłakami na wino – wszystko to przepływało obok niego w drodze na rynek albo z rynku. Zapachy daktyli i korzeni, miodu i migdałów oraz pistacji docierały do niego od sklepu za jego plecami, a oto właśnie inny sklep otworzył swe podwoje na tym samym placyku, kucharz zaś i dwóch kelnerów zaczęło przygotowywać kolację. Za rogiem ulicy wiodącej na główny rynek było wiele innych sklepów z jedzeniem, które odwiedzałem z Ejasejab, toteż przypominałem sobie zapach pieczonej gęsi i zup gotowanych z sosu, jaki zostawał na patelniach. Kiedyś siedzieliśmy tam cały ranek, patrząc jak kroją warzywa – kucharz się jej podobał! – i teraz rozmarzyłem się w ślad za Tym Który Miał między Kości myśląc o tym, że kupuję w którymś z tych sklepików jedzenie, by je zabrać do domu. To jest dobrobyt, pomyślał Ten Który Miał między Kości, drzemiąc na środku ulicy i zamarzył o drogich sandałach z podwiniętymi do góry czubkami, o złotniku, wyrabiającym kolczyki i bransolety z afrykańskich sztabek. Pamiętał jeden naszyjnik ze złota i srebra z lazurytem z Elam. Ten Który Miał między Kości słyszał, że Elam leży na końcu świata i pragnął mieć ten naszyjnik. Łódź jego umysłu żeglowała z Elam przez pustynie na wschód, a przez cały ten czas kowale i kamieniarze zamykali warsztaty, cieśle wracali do domów przez mały placyk, szewcy, garncarze, fryzjer, garbarz cuchnący padliną wychodzili ze swoich nor. Przechodzili niewolnicy i kupcy, i handlarze z zagranicy, przenoszono wytworne damy w lektykach. Dwaj chłopcy zaczęli się bić o dymiącą jeszcze kupę, która wypadła spod ogona konia zaprzęgniętego do rydwana (rydwan skręcił w ostatniej chwili, unikając najechania na głowę Tego Który Miał między Kości). Chłopcy odstawili swoje koszyki i zaczęli się mocować na bruku ulicy, aż wreszcie jednemu udało się przytrzymać drugiego ręką, wolne ramię zaś wykorzystał do zgarnięcia łąna do swojego koszyka. Ten Który Miał między Kości poruszył się, otworzył oczy, ujrzał walki własnego dzieciństwa i wstał, po czym zataczając się, ruszył ku ogniskom wieczornego miasta, łypiąc spode łba na widok Murzynów i Hebrajczyków kłębiących się na ogromnym placu. Kiedy tak szedł przed siebie, ja powoli wysunąłem się zeń, oddalając od jego myśli, podobnie jak w przyszłości, Kochając kobietę, odbiegałem od niej myślami zadowolony, że wszedłem w jej ciało tak doskonale, że nie wiem już dokładnie, gdzie kończy się jej brzuch a zaczyna mój, że to wielka przyjemność zatracić się aż do tego stopnia.

Zdawałem sobie także sprawę z tego, że podobnie jak będąc młodzieńcem wycofywałem się, tak jest, stopniowo zabierałem fallusa ze sobą, byłem w sobie, a nie w kimś innym, tak teraz, jako dziecko, wycofuję myśli i porzucam śledzenie wszystkich wrażeń i odczuć Tego Który Miał między Kości, wracając do pomalowanego na kolor róży pokoju faraona, równie uszczęśliwiony jak po miłosnym stosunku. I dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z tego, że ów inny dom umysłu musiał zostać przy boku faraona, towarzysząc mu w audiencjach. Obudziłem się bowiem mając poczucie, iż poznałem faraona dogłębnie, że jego myśli są tak pokrętne, tak bliskie wszystkiemu, o czym mnie uczono – jednym słowem czułem się duchowo bliższy faraonowi niż wioślarzowi. Świadomość tego, że faraon był moim niedoszłym ojcem, zwiększyła, szczerze mówiąc, przyjemność, jaką czerpałem z powrotu do jego otoczenia – czułem się jak skoczek, który z radością stwierdza, że udało mu się wylądować bezpiecznie.

Ale też tym większe przeżyłem rozczarowanie. Stwierdziłem bowiem, iż wewnątrz jego osoby było znacznie mniej ujmujące niż powierzchowność, z jaką się zetknąłem, gdy po raz pierwszy pocałowałem go w wielki palec u nogi. W chwili gdy doń wróciłem, odczuwał tylko drobny skurcz żołądka z powodu niewielkiej niestrawności, umiarkowaną dolegliwość, zważywszy, że był

przyzwyczajony do tego, by przez całe ranki i południa ignorować potrzeby cielesne. To była pierwsza myśl, jaką u niego odkryłem, zarazem przekonując się, co to znaczy być człowiekiem dorosłym, mającym wiele obowiązków. Dusza bywała wówczas często skwaszona – istotnie, jego wnętrze smakowało jak cytryna! Właśnie docierałem do posępnego oblicza jego niewypowiedzianych uczuć, poczułem się też od razu jak w czasie pochmurnego dnia, kiedy to niebo szarzeje, zasnutę burzą piaskową. Przy takich burzach powietrze oziębiało się, wiatr zaś, o którym powiadano, iż jest podstępny jak diabeł (bo też tak się ten wiatr nazywa – Kamsin, czyli Diabeł), dął nieprzerwanie na pustyni i huczał w wąskich uliczkach Memfis, zostawiając tumany kurzu przed progiem każdego domu. Myśli Pta-nem-hotepa były dokuczliwe jak ziarenka piasku wdzierające się pod skórę i z przygnębieniem stwierdziłem, iż obowiązki ciążyą mu niczym trup niesiony na grzbiecie (uczucie tym bardziej bolesne, że umysł mój wpadł mu w myśli słodko i całkiem naturalnie). W jego sercu nie ostała się ani odrobina ciepła, wyjąwszy pragnienie dotrwania do chwili, gdy będzie mógł odpocząć w wieczornej ciszy. Niczym echo, które dawno już przebrzmiało, snując się jeszcze tylko po zakamarkach czyichś wspomnień, zmysłowe piękno jego serca dawało się już tylko odczuć poprzez grube ściany powagi i wsłuchiwanie się w słowa człowieka, o którym moi rodzice mówili jako o Jego Świątobliwości, Wysokim Kapłanie Wysokiej Świątyni Amona w Tebach (w tych trudnych czasach sprawował on również obowiązki naszego wezyra) – Kem-Uszy. Mimo tak wysokich urzędów Kem-Usza zdecydował się rozmawiać z faraonem, stojąc w dole i spoglądając ku górze, ku balkonowi.

Faraon zmuszony był wysłuchać go i potrafił to zrobić. Miał poczucie, iż audyencja u niego nie wypadnie godnie, jeżeli nie wysłucha wszystkiego w skupieniu. Tak więc Pta-nem-hotep słuchał uważnie każdego słowa wypowiedzanego przez Kem-Uszę. To właśnie przysparzało mu cierpienia. Przebywając niczym ptaszyna w rogu jego podwójnej korony, czułem ciężar słów wysokiego kapłana w subtelny uchu faraona.

Kem-Usza został obdarzony głosem skłaniającym do posłuchu, powolnym i głębokim jak echo wysokich sklepień świątyni. Wydawało się, że tylko jego głos jest dostatecznie głęboki i beznamiętny, by godnie intonować najzarliwsze modlitwy. W wyrachowanym głosie Kem-Uszy słychać było władzę, moc przełamywania wszystkich oporów i przekonywania. Co więcej, wzrok słuchacza nie mógł się oderwać od błyszczącej, wygolonej czaszki, ani schować przed baczny wejrzeniem ogromnych czarnych oczu pod czarnymi brwiami.

Pta-nem-hotep siedział złączywszy czubki palców, oparłszy ramiona na czerwonym jedwabiu bariereki, znad której spoglądał na możnowładców, kapłanów, doradców i królewskich nadzorców przybyłych na audyencję. W karnych szeregach zgromadziło się przed nim dziesięciu albo dwunastu mężczyzn stojących, klęczących lub leżących z twarzą w pyle, jak i ja jeszcze niedawno tam leżałem. Faraonowi towarzyszyli: Hatferti, Menenhetet i Nef-kep-aukem usadowieni wokół niego na balkonie. Wszyscy słuchali Kem-Uszy. Przemawiał tak, jakby każdy dźwięk wydobywający się z jego ust ustawiał nowy posąg w ogrodzie.

– O Wschodzie Słońca, o Ty, który rozjaśniasz świat swoją urodą – rzekł Kem-Usza do Pta-nem-hotepa – o Ty, który odganiaś ciemności od ziemi egipskiej!

– Twoje promienie docierają do wszystkich krain.

– Nie ma miejsca, które nie cieszyłoby się Twoją urodą.

– Twoje słowa są przeznaczeniem wszystkich krain.

– Słyszysz wszystko, o czym mówimy.

– Oko Twoje jaśniejsze jest niż wszystkie gwiazdy na niebie.

– W imię czego – myślał sobie Pta-nem-hotep, wsłuchany w burczenie własnego brzucha – w imię czego, klęć się na tę rzekę jedzenia i picia, która we mnie płynie, w imię czego muszę

wysłuchiwać psalmu, który napisano na cześć faraona Merenptaha ponad osiemdziesiąt lat temu? – Skłonił jednak głowę ku Kem-Uszy, jak gdyby słowa psalmu były przeznaczone wyłącznie dla niego.

Doradcy, którzy do tej pory leżeli w pyłe z twarzami skierowanymi w dół, podnieśli się na kolana, ci zaś, którzy stali, uklękli. Tylko Kem-Usza nadal stał. Przemawiał, a inni wtórowali zgodnym chórem.

– Tyś jest podobny do samego Re – wykrzykiwali razem.

– Każde słowo wypływające z Twych ust jest jak słowa Horusa o wschodzie słońca i jak jego słowa o zachodzie słońca.

– Twoje wargi sprawiedliwiej odmierzają słowa niż najsubtelniejsza waga Maat.

– Któż Ci dorówna doskonałością?

Czułem jak w Pta-nem-hotepie narasta zadowolenie niczym słodki miód, ale zarazem, jak gdyby stwierdzając, że niezbyt przepada za tym smakiem, pomyślał:

– Reaguję na słowa napisane dla innego króla. Jestem równie słaby jak Tet-tut, który przewraca się na wznak, kiedy zaczyna się go chwalić. – Posłał swojej widowni krótki chłodny uśmiech. Podwójna korona ciążyła mu coraz bardziej.

– Ani jeden posąg nie powstaje bez Twojej wiedzy – śpiewali doradcy. – Tyś jest najwyższym wodzem.

– Kiedy rozkażesz wodom „płynąć w górę”, wody popłyną na Twój znak.

– Bo Tyś jest Re.

– Jesteś wielkim chrapaszczem Kepera.

– Twój język jest siedliskiem prawdy.

– Bóg siedzi na Twych wargach.

– Jesteś wieczny.

Kem-Usza uklękł, a potem przycisnął czoło do ziemi. Pozostali doradcy też dotknęli czołami pyłu. Moi rodzice i Menenhetet, usadowieni wokół faraona, skłonili tylko głowy.

Czułem, jak w ciele Pta-nem-hotepa narasta siła, płynąca z pochwał i podziwu ludzi zgromadzonych na dole. Czułem jednak, że na języku ma wyraźny posmak goryczy.

– Twe ostatnie pochwały – rzekł do Kem-Uszy – są wspaniałe i mądre, a najpewniej pasują i do mnie, gdyż pojawiły się kiedyś na kamieniu ułożonym przez mego przodka, Silnego Byka Kochającego Prawdę, wielkiego Ramzesa II. Kazał te słowa wyryć na kolumnie przy drodze prowadzącej do kopalń w Etbaja.

Kem-Usza odparł:

– Twoje oczy widzą wszystkie napisy, o Wielki Miłośniku i Bracie Prawdy.

– W zeszłym roku o tej samej porze zwróciłeś się do mnie tymi samymi słowami napisanymi dla Merenptaha i Ramzesa II. Już wtedy pochwaliłem cię za trafny wybór.

Kem-Usza odpowiedział:

– Twój przodkowie są wielkimi bogami, ale i Ty zasiądziesz równie wysoko, o Wielki Władco Dwóch Królestw, na tronie godnym pochwał wygłaszanych pod adresem Twych przodków!

Pta-nem-hotep dotknął końcem palca wskazującego koniuszka swego długiego, delikatnego nosa i poczułem, jak się w nim zaczyna wszystko burzyć.

– Słuchanie słów napisanych dla moich przodków jest dla mnie zaszczytem i krzepi me siły – rzekł. – Jeśli ten dar trafia w godne ręce. – Wbił wzrok w Kem-Uszę z wysokości balkonu, ale czarne oczy wysokiego kapłana nie zwały się pod ciemnymi brwiami. Kapłan wytrzymał spojrzenie.

– Przez wiele lat – rzekł Kem-Usza – mieszkałem w języku modlitwy, ale dziś nie potrafię powiedzieć, czy moje serce umie zważyć znaczenie Twoich słów, o Wielki Władco Dwojga Królestw.

– Zdaje się, że obaj odwołujemy się do imienia Maat – odpowiedział Pta-nem-hotep. – Czy jej waga zniesie pochwały dzielnego człowieka, wygłaszane pod adresem człowieka ostrożnego? Mój przodek Ramzes II może być niezadowolony słysząc, że wspaniałość jego czynów porównuje się z ostrożnością mych sądów. Kem-Usza, przecież dzisiaj mamy Dzień Świni.

– Zdaję sobie z tego sprawę, o Panie.

– Jeśli nie będziemy prawdomówni tego dnia, nie będziemy w stanie wymierzać sprawiedliwości w inne dni roku.

W głębi serca faraon wygłosił następne przemówienie. Słowa wyprostowane jak żołnierze na defiladzie przechodziły przez jego pierś, ale żadne nie zostało wypowiedziane na głos. Tylko ja słyszałem jego myśli. – Inni królowie wiedli wojska, mając dziesięć lat, ale kiedy ja byłem w tym wieku, Kem-Usza, zaczęliśmy obłądny taniec, nadzy i spoceni, aż padliśmy sobie w ramiona i rozpoczęliśmy zapasy. Ramzes II poskromił lwa i wygrał bitwę pod Kadeszem, Egipt zaś okrył się chwałą od Syrii po Punt – a ja jeszcze nigdy nie poprowadziłem wojska do boju. Dochodzą mnie tylko słuchy o generałach, którzy przegrywają bitwy na mój rachunek. Kiedy Ramzes II miał pięćdziesiąt lat, nie było takiej urodziwej kobiety w Memfis lub w Tebach, która nie poczułaby jego żądz na wargach – a ja mam tylko harem, którego nie odwiedzam, choć dobiegają mnie zeń odgłosy śmiechu i wesela. Połowa moich żołnierzy walczących na rydwanach nie śmie mi spojrzeć w oczy. Mamy dziś Dzień Świni i jak każe obyczaj, należy dzisiaj mówić sobie prawdę w oczy. Błagam cię więc, Kem-Usza, nie szydź ze mnie wyliczając czyny Wielkiego Ramzesa, który zmarł dziewięćdziesiąt lat temu, lecz zechciej ze mną porozmawiać o tym, kim naprawdę jestem, wymień moje prawdziwe cechy, takie jak ostrożność, roztropność i zdolność spokojnego wysłuchiwanie najgorszych wiadomości. Zastanówmy się, czy cechy te godnie zdobią faraona.

Ale namiętności jego serca poddane zostały wielokrotnej chłości, aż wreszcie zapanował pożądany spokój. Powiedział na głos do Kem-Uszy:

– Pozwól, że przyjmę twe życzenia w takim brzmieniu, w jakim sformułowali je poeci chwając moich przodków, Ramzesa II i Merenptaha. Pochwalony niechaj będzie twój wybór. Podobały mi się. Chciałbym ci też zakomunikować, że uroczystości Dnia Świni obchodzę dzisiaj w towarzystwie wielkiego pana Menenheteta, który był kiedyś generałem armii Amona, Re, Ptaha, Seta, a w dodatku – dorzucił Pta-nem-hotep, uśmiechając się czule do Kem-Uszy – jest ostatnim pozostałym przy życiu uczestnikiem bitwy pod Kadeszem, a przeto, jak można się domyślać, jest niezwykle mądrym o rozległej wiedzy na temat Egiptu.

– O ile mi wiadomo – rzekł Menenhetet z uśmiechem i tą szczególną pewnością siebie charakteryzującą jurnych sześćdziesięciolatków – jestem jedynym okiem, które wciąż jeszcze widzi tę bitwę.

Doradcy zaszeptali między sobą. Bitwa pod Kadeszem, największa spośród bitew stoczonych przez faraonów, miała miejsce istotnie, ale ponad sto pięćdziesiąt lat temu, w początkach panowania Ramzesa II, faraon ten zaś nosił koronę Obojga Królestw przez długie sześćdziesiąt sześć lat, ustępując Merenptahowi, Amenmessesowi, Setiemu II, Siptahowi i syryjskiemu samozwańcowi zaledwie na parę lat. Widziałem wyraźnie, że Pta-nem-hotepa bawiło zakłopotanie doradców. Tak jest, byli jeszcze Setnacht i Ramzes III, Ramzes IV, Ramzes V, Ramzes VI, Ramzes VII, Ramzes VIII i sam miłościwie panujący Pta-nem-hotep, czyli nasz Ramzes IX, gdyż przez te sto pięćdziesiąt lat, jakie nas dzieliły od bitwy pod Kadeszem, panowało trzynastu faraonów.

Doradcy unieśli głowy i oddali cześć Menenhetetowi.

– Dobrze – powiedział do siebie w duchu Pta-nem-hotep – bo teraz zaczną się zastanawiać, czy nie mianuję go wezyrem na miejsce Kem-Uszy.

Ledwo skończył snuć tę myśl, a już znalazłem się z powrotem na kanapie w pokoju o ścianach koloru róży. I Hatfertiti gładziła mnie po policzku.

– Chodź – powiedziała – pora wracać do patio. – Uśmiechnęła się. – Chciałabym, żebyś widział, z jakim respektem przyglądają się twemu pradziadkowi.

– Nie wiem... – powiedziałem do niej, nie chcąc się budzić ze snu, który był jak życie, jak dwa życia, a może doliczyłem się już trzech? – Nie wiedziałem, że Menenhetet urodził się sto osiemdziesiąt lat temu.

Hatfertiti spojrzała na mnie badawczo. Potem dotknęła z szacunkiem mego czoła.

– Chodź – powiedziała, odzyskawszy panowanie nad sobą. – Myślę, że pora, byś się dowiedział prawdy. Widzisz, możliwe, że twój pradziadek narodził się już cztery razy.

VI

Ponieważ nie wiedziałem, co na to powiedzieć, uśmiechnęła się czule. – Nie bój się – rzekła – jesteś tak mądry, jakbyś miał już piętnaście lat, a czasami rozumiesz nawet sprawy niezrozumiałe dla ludzi, ale przypuszczam, iż dana ci jest taka moc dlatego, iż począłeś się w czasie wielkiego wydarzenia. – Przerwała jakby w obawie, że słowa, które wypowie, zranią ciszę otaczającego nas powietrza, po czym dodała: – No, powiedzmy, w czasie czegoś, co omal nie stało się wielkim wydarzeniem.

– Omal? – spytałem.

– Właściwie nie doszło do niego.

Kiedy mówiła te słowa, palce jej zatoczyły koło przed moim czołem i zobaczyłem Menenheteta w samym środku jej myśli. Rysy miał tak wykrzywione jak ścierka, z której wyciskamy ostatnią kroplę wilgoci. Przerazający był ten widok pradziadka, ale za to zrozumiałem, co Hatfertiti ma na myśli. Menenhetet omal nie umarł w dniu, w którym się urodziłem.

Potem jednak zaczęła mówić o czymś innym. – Wiadomo mi – rzekła – że czasami przenikasz myśli tych, którzy znajdują się blisko ciebie, ale do dziś nie wiedziałam, że potrafisz słyszeć głosy z innego pomieszczenia.

– Do dziś nie umiałem – odparłem.

– Potrafisz dopiero od dzisiaj, kiedy cię zostawiłam samego?

– Tak – odpowiedziałem. – Myślę, że to z powodu tego pokoju. – Ponieważ – sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem – ponieważ ten pokój jest taki śliczny – ale wypowiadając te słowa, zaczynałem zarazem rozumieć, co one znaczą, co więcej, uświadomiłem sobie, że potrafię się czegoś nauczyć tylko wówczas, gdy mój głos rozejdzie się w powietrzu. Dopiero wówczas bowiem byłem w stanie zrozumieć, jak zmieniam to, co się wydarzyło, a dzięki temu ocenić, czy mówię prawdę. Zrozumiałem więc, że piękno tego pokoju to jak napięcie dobrego łuku i że to właśnie dlatego moje myśli dolatywały aż tak daleko.

– Tak, pewnie już pora – rzekła matka – odsłonić przed tobą tajemnice, których chciałam dochować do chwili, gdy będziesz starszy. Jeśli jednak potrafisz słyszeć myśli innych ludzi z tak daleka, z pewnością nie potrafię dochować tej tajemnicy przed tobą.

– Potrafisz – odparłem. – I czasem faktycznie dochowujesz.

– Płacę za to wysoką cenę – wymruczała matka i przycisnęła oczy palcami, gestem tak pełnym wdzięku, że oboje zaczęliśmy się śmiać, gdyż oboje wiedzieliśmy, iż myślała właśnie o zmarszczkach, które jej się zaczynały robić koło oczu i starała się myśl tę od siebie odepchnąć, bym jej nie odczytał.

– Kochany jesteś – wyszeptała i pocałowała mnie ostrożnie, żeby sobie nie rozmazać szminki na wargach. Jej usta smakowały słodko jak gorące powietrze, od którego odurzone pszczoły zapadają w sen. Być może zbyt gwałtownie zerwałem się z mego osobliwego snu, ale dotyk jej ust sprawił, że rozmarzyłem się. Potem poczułem, jak coś się poruszyło, coś aksamitnie i lubieżnie skreśliło się poniżej mojego pępka i przeniósłem się do pamięci matki wspominającej popołudnie i wieczór tego dnia, kiedy kochała się najpierw z Menenhetetem, a potem z ojcem. Tak jest, z obydwoma w tym pokoju, z pierwszym przez całe długie popołudnie (choć ściany były pomalowane czerwiecią

wieczoru), a z drugim wśród mrocznych czerwonych ścian oglądanych przy blasku świecy. I choć pełne wargi Ejasejab na moim Słodkim Paluszku pozwoliły mi przeczuć wiele rozkosznych chwil oczekujących mnie w przyszłości, to czyż potrafiłbym zrozumieć, co się działo w luksusowym łożu Hatfertiti, gdyby nie namiętność, która ogarnęła mnie pod wpływem słodkiego pocałunku miodowych ust mojej matki? Uświadomiłem więc sobie, że dzień, w którym zostałem poczęty, mógł należeć do najpiękniejszych dni w jej życiu. A potem, jak gdyby pod wpływem tego rozmarzenia, które nie pozwoliło się jej bronić przede mną, przeniknąłem do jej myśli i dowiedziałem się, że w dniu mego poczęcia, późnym popołudniem, Menenhetet kochał się z moją matką w sposób, z którego korzystali tylko trzy razy w czasie swoich wcześniejszych spotkań. Matka zaraz zaczęła próbować przegonić te wizje ze swego umysłu, ale udało mi się je zauważyć, gdyż pojawiły się równie wyraziście, jak biały korzonek trawy, gdy wyciągniemy źdźbło z ziemi. Wizje te zaszeleściły w moich uszach tak intymnie, jak ów biedny kiełek porzucający swoje życie w ziemi, w chwili gdy pierwszy promień światła pada na korzonek, tnąc bezlitośnie jak nóż wbijany pod żebra. Tak gwałtowny jest ból źdźbła i tak też gwałtownie poznałem najgłębszą tajemnicę mojej rodziny.

Umysł mej matki wyjawiał mi ją bez słowa, choć wargi jej musiały drżeć, gdy wyznanie wypływało wraz z jej myślami. Dowiedziałem się – wszystkiego naraz – że mój pradziadek posiadał sekret umykania śmierci w sposób, którego nie mógłby wykorzystać nikt inny. Był bowiem w stanie pchnąć swe serce poza ostatnią granicę w czasie miłosnych uścisków i tchnąć ostatnią myśl w chwili, gdy wnikał w łono kobiety, dzięki czemu mógł rozpocząć nowe życie, przedłużyć własne istnienie. Jego ciało umierało, ale nie zanikała pamięć o poprzednim życiu. Wkrótce objawiał niezwykle talenty jako dziecko. Teraz rozumiałem, dlaczego matka nie mogła się powstrzymać przed wyjawieniem mi tej tajemnicy. Ja też objawiałem podobne talenty!

W jakież zamieszanie wpędziły mnie te rewelacje! Poczulem się tak, jakbym – gnany przerażeniem – przeskoczył ze skrawka jednego życia na skraj drugiego. Jaki zgiełk i jakie zamieszanie! Kiedy Hatfertiti, goniąc owe nie wyjawione myśli, zaczęła mi odsłaniać tajniki miłosnych uścisków, którymi się zabawiali z Menenhetetem owego popołudnia, piana i wrzawa jej myśli przypominały mi jakieś gigantyczne fale. Moje własne myśli nie bardzo umiały się utrzymać na fali tego potężnego przyptywu, który się zaczął w jej pamięci. Skąd w końcu miałem wiedzieć, jak się można kochać?

Padłem, rzecz jasna, ofiarą podwójnego zamętu. Po pierwsze mego własnego, po drugie tego, który zapanował w umyśle mej matki. Ona była w rozterce, nie wiedząc, czy ma mówić dalej, ja zaś miałem trudności ze zrozumieniem tego, co już mi powiedziała. Jeżeli bowiem Menenhetet potrafił umierać, a zarazem znów stawać się sobą, to czy przypadkiem nie byłem piątym wcieleniem (można to tak w ogóle określić?) Menenheteta I? A może było mi pisane stać się Menenhetetem II, jego prawowitym synem, a nie przedłużeniem jego samego? Tak czy owak, jak to możliwe? Czy może dane mi było spłodzić samego siebie?

Potworna przepaść rozwarła się w moim sercu. Dane mi było dostrzec w samym sobie przebłysk ambicji stokroć dzikszej niż płomień zapalanej oliwy. Zrozumiałem przeto smutek, który mnie ogarnął, gdym zajrzał w oczy psu. Biedny Tet-tut musiał zrozumieć, że umrę mając lat dwadzieścia jeden. Potem pomyślałem o moim biednym Ka we wnęce w środku wielkiej piramidy (tej samej, którą mogłem teraz podziwiać na ścianie pomalowanego na czerwono pokoju). Kim był ów młodzieniec na kolanach w piramidzie, z ustami otwartymi na rozkaz drugiego mężczyzny? Spoglądałem zdezorientowany na matkę. Dlaczego Menenhetet nie przyzywał śmierci w chwili, gdy był na nią przygotowany?

Poczułem, że w moim umyśle otwierają się drzwi. Znów ujrzałem pośrodku sadzawki wykręconą grymasem bólu twarz Menenheteta i zostałem wciągnięty przez młyn jej pamięci w chwili gdy poczuła, jak serce jego mrozi śmierć. Gotowa była schwytać jego dziecko z przejęciem, które dorównuje ryzyku samego istnienia, rozświetlanego wizją śmierci promieniującą z życia, które dlań zrodzi. Jej wspaniały kochanek Menenhetet miał wnet zostać jej dzieckiem, ale w tamtej brzemienną w skutki chwili nie wytrysnął, lecz zasłabł i opadł na jej ciało, po czym przeleżał tak, na wpół żywy, wiele minut.

Kiedy się wreszcie z niej wycofał, rzekł do niej z uśmiechem: „Nie wiem, dlaczego zmieniłem zdanie”. Dotknął nawet palcem jej policzka i wyszeptał: „Innym razem”. I porzucił ciało wnuczki, to miejsce, w którym gotów był przeżyć własną śmierć, ja zaś pojmując to wydarzenie, nie byłem już w stanie stwierdzić, ile jest we mnie podobieństwa do pradziadka. Wiedziałem tylko, że jestem jego następcą z wielu powodów, których nie potrafiłbym nawet wymienić. Przede wszystkim za sprawą moich szczególnych talentów. Przypominałem sobie, jak matka mówiła czasami: – Nef-kep-aukem jest twoim ojcem, ale i nie jest nim. – Miałem więc przeczucie znoju, jaki odczuwała cieleśnie tego długiego dnia, kiedy zostałem poczęty. Musiała żywić niezłomną pewnością, że dziecko, które pocznie, będzie dzieckiem Menenheteta, że to, co jest jej udziałem, już pławi się w jej krwi. A jednak to ojciec musiał jej dać nasienie tego pamiętnego wieczoru. Ujrzałem wizję gorączkowej nocy, podczas której matka z ojcem obracali się spleceni uściskiem, spadając z łoża na podłogę i znów się podnosząc do łoża, ojciec zaś uderzał w jej ciało z taką zaciekłością i z takim dzikim upodobaniem (zarazem mocno jej nienawidził i równie mocno uwielbiał), że płonęła pożądaniem, jakie rodzi się wówczas, gdy stopi się wszelka pogarda. Ponieważ ojciec mój odznaczał się całkowitym brakiem wszelkich możliwych cech dzielnego szlachcica, pragnęła go jeszcze bardziej, podniecona jego podejrzanymi zapaszkami. W jej oczach był w najlepszym wypadku czymś pośrednim między koniem a psem, którym się można zabawić, a potem odesłać do stajni, co też faktycznie czyniła od chwili, gdy ona skończyła lat osiem a on sześć, wykorzystując go jako młodszego braciszka. Ledwo tolerowała jego pozy, jego próżność, słabostki, brutalną siłę. Włosy jednak jeżyły jej się między nogami, gdy brat wchodził do pokoju. Dowiadywałem się więcej o matce i ojcu, niż chciała mi powiedzieć – czułem teraz wyraźnie, że próbuje zamknąć przede mną swój umysł. Zmuszałem ją – jedyna odmiana uwodzicielstwa, na jaką mnie było stać – by rozebrała się przede mną z wszystkich myśli. I tak przebiłem się do jeszcze jednej tajemnicy, którą chciała przede mną zataić, szloch zaś, który wzbierał w jej piersiach, podniecenie i przerażenie tą świadomością, że wydrę jej jeszcze jedną tajemnicę, powiedziały mi wyraźnie, że po pierwsze jest okropna, a po drugie, że stanę się zazdrosny. Po raz pierwszy w życiu poczułem ukłucie zazdrości. Zdałem sobie bowiem sprawę z tego, że ojciec matkę bardzo pociągał i to właśnie dlatego, że ojcem jego był zbieracz góvien. Zrozumiałem teraz; świadomość zaś tego wyrzyła się w moim sercu jak na kamiennej tablicy: moja matka dojrzewała w cieniu pożądania, jakie jej matka żywiła do Fek-Futi! Nieopanowana żądza! Nie wiedziałem, jak wyglądał ów Fek-Futi, ale wyobraźnia podszeptowała mi, iż to jeden z chłopców, których widziałem po południu w czasie drzemki, gdy udało mi się dotrzeć między oczy Tego Którego Miazdzy Kości. Znów ujrzałem tych chłopaków bijących się w wąskiej uliczce o kupkę gnoju. Mogłem więc sobie także wyobrazić, jak Fek-Futi walczy przeciw wszystkim o każdy kawałek gówna, jaki znajduje w mieście, aż wreszcie zasiądzie na tronie z góvien i zacznie komenderować kurwami z własnych burdeli, przechodzącymi obok tronu w przezroczystych sukniach i błękitnych perukach. Nie wiedziałem już, czy myślę własnymi myślami, czy widzę myśli matki, ale z pewnością zareagowałbym wstydem (i niejakim podnieceniem), gdyby się okazało, że przytrafia mi się właśnie to, co często miało miejsce, kiedy miałem dwa latka i dopiero się uczyłem, jak się nie brudzić (choć bardzo chciałem).

Czy pożądanie, jakie żywiła moja matka dla Fek-Futi sprawiło mi przykrość? W tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że mi się wymyka. Umysł Hatfertiti zamknął się.

Wzięła mnie pod ramię.

– Pora wracać do faraona – powiedziała i szybko wyszliśmy (jak gdyby czerwony pokój był tylko przelotnym widokiem), udając się wzdłuż podwórza ku miejscu, z którego przed paroma godzinami wyniosła mnie płaczącego, głową na dół.

VII

To, czego się właśnie dowiedziałem, miało wyrzucić na mnie nieprzemijający wpływ. Mimo to wizje dotyczyły spraw tak osobliwych, że wahałem się, czy jawa to była, czy sen. Otrzeźwiałem na dobre dopiero wówczas, gdy wróciliśmy na balkon do faraona. Nic się tu nie zmieniło od chwili, gdy opuściłem to miejsce. Menenhetet siedział co prawda po drugiej stronie Pta-nem-hotepa, ale moje wspomnienie sytuacji też się zmieniło, przystosowując do tej zmiany. Nic mnie nie zdziwiło.

W dole, w patio, doradca opowiadał o pracy w kamieniołomach. Z wyrazu twarzy mego ojca wynioskowałem, że nie były to sprawy zbyt wielkiej wagi. Często słyszałem, jak matka mówi, że ojciec nigdy niczego sam nie wymyśli, toteż jego twarz zawsze odbija myśli innych ludzi. Nie rozumiałem, o co jej chodzi aż do dnia, kiedy powiedziała mu, że jego maniery są wyśmienite, ponieważ jego zachowanie zdradza te, z jakimi się urodził, a zawsze naśladuje najlepsze, z jakimi się zetknął. Była to doskonała charakterystyka mego ojca. Kął, pod jakim pewien wielmoża zginął nadgarstek, wnet stawał się jego nawykiem, jeśli tylko ojciec dochodził do wniosku, że jest elegancki. Tak samo naśladował leciutki gest Pta-nem-hotepa – dotykał palcem skrzydełka nosa, gdy rozważał odpowiedź. Z drugiej jednak strony ojciec nigdy nie ważyłby się naśladować ironicznego skinienia głowy, którym pradziadek dawał znać, że nie zgadza się z czymś, co właśnie powiedziano w jego obecności.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mój ojciec zachowywał się niemądrze. Dzisiaj był wyjątkowo nieswój, starając się usługiwać faraonowi pod bacznym spojrzeniem matki, ale w sytuacjach mniej napiętych prezentował się, zwłaszcza wobec tych, którzy go nie znali, jako wykwintny arystokrata.

Nosił zawsze nieskazitelnie białe płócienne szaty, węgiel zaś, którym podkreślał oczy, rzadko się rozmazywał. Zawsze miał komplet biżuterii. Ponieważ drogie kamienie często wypadły, gdy poluzowały się utrzymujące je elementy oprawy, nawet matka nie mogła szczycić się nieskazitelnym strojem.

Na dworze jego maniery, to znaczy jego kolekcja dobrych manier, bardzo mu się przydawały. W mojej rodzinie dużo się o tym mówiło, toteż wiedziałem, że faraon musi mieć obok siebie kogoś, kto potrafi dać znać ledwo zauważalnym grymasem twarzy, czy sprawa przedstawiana władcy została wyłożona w odpowiedniej formie słownej. Jakże zniecierpliwiony był mój ojciec, jeżeli biedny urzędnik z dziedzińca pod balkonem mówił chrapliwie, jąkał się albo powtarzał w kółko to samo. Łatwo się domyślić, że mój ojciec faktycznie bardzo się przydawał Pta-nem-hotepowi. Wyraz twarzy mego ojca pozwalał mi zorientować się, jak niezwykle wrażliwy był nasz faraon. Nie mogło chyba być inaczej, skoro grymas bólu zawsze wykrzywił ojcu twarz, ilekroć dobiegł go jakiś nieprzepisowy dźwięk, w ten sposób pozwalając mi się zorientować, jak delikatne były uszy faraona. Każda raptowna zmiana nastroju sprawiała, że kurczył się w głębi ducha, jak gdyby nagle runęły mury jakiejś okazałej budowli. Wiedziałem teraz, dlaczego pilnie przysłuchuje się Kem-Uszy, choć nie podoba mu się ta mowa. Poważny głos Kem-Uszy był faraonowi równie przykry jak zapychanie mu dziurek od nosa gliną, ale z drugiej strony Kem-Usza ani na chwilę nie zmienił tonu, tak więc pomijając inne względy, jego głos nie drażnił uszu faraona.

Inaczej rzecz się miała z kolejnym mówcą. Ujrzawszy zachętę na twarzy ojca domyśliłem się, że faraon żywi sympatię albo dla biedaka, albo dla jego urzędu. Leciutki lecz wyniosły gest, jakim

ojciec dotykał palcem skrzydełka nosa, także świadczył o tym, że faraon potrafi udzielić dobrej rady w tej sprawie. Ojciec potrafił bowiem wyczuć każdą zmianę nastroju władcy i przekazać tę wiadomość reszcie dworu. Równie szybko reagował na każdą zachciankę Pta-nem-hotepa, jak ja na każdy moment słabości matki, w chwili gdy chciałem przeniknąć jej myśli. Widząc, jak ojciec zaczyna marszczyć brew, rozumiałem, że urzędnik na dole, mile widziany, a nawet na swój skromny sposób przydatny, odznacza się głosem, który niestety razi słuch faraona.

Z drugiej strony twarz mego ojca wyrażała cierpliwość, co mi wiele mówiło o faraonie. Głos mówcy zdradzał pokolenia ludzi pracujących w kamieniołomach, ludzi o mocnych nogach i grzbietach. Gardło świadczyło dobitnie o tym, że jest to człowiek poważny i wie co trzeba. Tak więc przemówienie jego było składne, pachniało chlebem, zupą i siłą rodzinnej wspólnoty. Naturalnie, dźwięczały w nim także kamienie trące o kamień. Toteż i umysł jego był powolny – powoli zbierał myśli. Język jego, niczym zgnieciona noga kaleki, potykał się często, umysł, zdyszany, stawał w miejscu. Te drobne potknięcia rozbrzmiewały w uchu faraona echem kijów rozbijających cenne wazy.

Problem polegał między innymi na tym, że kamieniarz nie umiał czytać. Musiał więc zapamiętać nazwiska ludzi ze swojej załogi, liczbę kontuzji, zarobki, rachunki za jedzenie – poruszał sprawy istotne, ale mówił za wolno. Poza tym całe to przemówienie nie było wcale konieczne. U jego boku stał pisarz ze zwojem papirusu i kiwał potakująco głową, słysząc każdą kolejną liczbę wymienianą przez zarządcę kamieniołomów.

Zastanawiałem się, dlaczego pisarz sam nie odczyta swojego papirusu, ale sądząc po uwadze, z jaką Pta-nem-hotep słuchał urzędnika, postawa tego człowieka i jego zdolność zapamiętywania obliczeń dobrze świadczyły o jego uczciwości.

Próbowałem przeniknąć myśli matki, ale znów się przede mną zamknęła albo raczej nie chciała odpowiadać na pytania, które cisnęły mi się na usta. Mając dar (czyżby równy memu?) odczytywania myśli, postanowiła skupić całą swą uwagę na nieszczęsnym urzędniku z kamieniołomów. Umieściwszy się zatem w jej umyśle, nie miałem nic lepszego do roboty niż wysłuchiwać doskonałego wprowadzenia do problematyki wydobycia kruszywa. Rozważała liczby podawane przez tego nadzorcę i starała się domyślić, co się za nimi kryje. Kiedy jej myśli przypląły do mnie, zacząłem przebierać palcami u nóg. Niemniej właśnie dzięki takiej okrężnej nauce zacząłem rozumieć, dlaczego faraon tak bacznie przysłuchuje się temu człowiekowi. Dzięki godnemu szacunku skupieniu i pracy udało mi się rozproszyć nudę i zdałem sobie sprawę z faktu, iż ów nieokrzesany urzędnik, Rut-Sek, cieszył się takim samym szacunkiem jak jego ojciec i dziadek. Wszyscy oni służyli jako nadzorcy wielkich kamieniołomów na wschód od Memfis, skąd wkrótce po objęciu władzy przez Ramzesa IX zaczęto kłaść drogę przez pustynię w kierunku wielkiego morza zwanego Morzem Czerwonym. Ponieważ wchodziliśmy w siódmy rok jego panowania, stwierdziłem, że droga ma tyle samo lat co ja, licząc od chwili, gdy zostałem poczęty w łonie mej matki. Moje zainteresowanie wzrosło. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że przy budowie drogi natrafiono na dość osobliwe trudności. Pta-nem-hotep pragnął, by była to droga królewska, to znaczy, by mogły się na niej minąć swobodnie dwa królewskie powozy zmierzające w przeciwnych kierunkach, czyli, by miała osiem koni szerokości. Taka szerokość byłaby całkiem normalna w Memfis, gdzie były aleje szerokie na dwadzieścia koni, takie jak aleja Ramzesa II od targowiska do świątyni Ptaha, ale w przypadku drogi Ramzesa IX byłyby kłopoty po dotarciu w okolice góryste. Ze względu na strome zbocza wiele głazów używanych na pomniki staczało się bezpowrotnie w głębokie doliny. W jednym miejscu, powiedział kamieniarz, stracili cały tydzień, starając się podważyć olbrzymi blok skalny na tyle, by można było podeń wsunąć drewniane płozy. Przyznał też, że gdy tylko udało im się tego dokonać, płozy pękły pod ciężarem głazu, który przechylił się

niebezpiecznie. Po namyśle postanowiono zepchnąć go z drogi. Nigdy jeszcze, wyznał urzędnik, nie słyszano tak głośnych grzmotów, przypominających gniew bogów, jak wówczas, gdy głaz ów spadał do wąwozu.

– Była to wielka strata, mój faraonie – powiedział Rut-Sek – ale nie można było postąpić inaczej. Stu osiemnastu ludzi pracowało w tym jednym miejscu przez siedem dni i nie byli w stanie ruszyć dalej, nie zepchnąwszy tego głazu. Podczas tej nieprzewidzianej zwłoki zużyto dwa worki ziarna, dwie duże amfory oliwy, trzy amfory miodu, dwadzieścia dwa małe worki cebuli, pięćset czterdzieści jeden bochenków chleba, cztery amfory wina z Buto... – Czoło mu się marszczyło z każdą nową liczbą, po jego minie widać było, że każdy worek oglądał dokładnie, badając, czy nie gnije, czy waży ile trzeba i czy smakuje należycie. Ojciec pokiwał poważnie głową, potwierdzając, iż faraon ceni uczciwość kamieniarza, przyznającego się do takich błędów.

– Dobrze o tobie świadczy – powiedział z kolei faraon – że przedstawiasz nam wszystkie kłopoty swego nie ukończonego dzieła równie uczciwie, co osiągnięcia. Cnoty twego charakteru są dla mnie równie cenne, jak wspaniały zapach sosen na moim wewnętrznym dziedzińcu.

Na pewno – myśl przeskoczyła od matki ku mnie, równie jasna i wyraźna, jak wypowiedziane na głos zdanie – zacznie się teraz przechwalać tymi swoimi importowanymi sosnami.

– W pierwszym roku mego panowania – rzekł Pta-nem-hotep – kazałem sprowadzić ze wzgórz Syrii dwadzieścia jeden młodych sosen. Przewieziono je przez morze i zasadzono w moim ogrodzie. Czternaście stoi tam do dzisiaj, wciąż żywych, choć prorokowano, że wyginą po pierwszej zimie. Drzewa te lubią wysokie góry i chłodne powietrze, ale mają w sobie ducha prawdziwej cnoty, cnoty podobnej twojej cnocie, Rut-Seku, cnocie, która każe myśleć o jasnych porankach i o ciężkiej pracy – tak jest, pozwolę ci wdychać zapach tych sosen, gdy dzieło twe będzie gotowe.

– Czuję się zaszczycony – odrzekł kamieniarz, spuszczać głowę. Wyglądał na człowieka zbitego z tropu tym przerwaniem własnej mowy. Fakty, które zapamiętał, musiały mu się cisnąć do głowy jak woły, jeden po drugim, każdy z dobrze odważonym ładunkiem na grzbiecie, każdy poganiany batem tak często, jak akurat trzeba, żeby się nie zatrzymywał.

– Tak – rzekł Pta-nem-hotep – przyznawanie się do błędów świadczy o uczciwości. Z innymi urzędnikami – tu przebiegł wzrokiem podwórze – muszę się uciekać do wybiegów. Gdyby dać posłuch ich relacjom, wszystko się udaje, nic złego nigdy się nie dzieje. A mimo to, wszystko się wali.

O tak – powiedział Pta-nem-hotep.

Kamieniarz skłonił się ponownie.

– Niemniej – rzekł faraon – prace nad drogą postępują powoli, jest wiele ofiar i ubywa nam wielu robotników.

– Tak jest, o Panie. Wielu moich ludzi oślepiło.

– Czy od pyłu, czy też od odprysków kamienia?

– To drugie, o Wielki Władco Obojga Królestw.

– Kiedy składałeś mi poprzedni raport w miesiącu Farmuti, rozmawialiśmy, o ile pamiętam, o obciosywaniu głazów. Podsunąłem ci myśl, by wykorzystać drzazgi drzewa cedrowego jako opał.

– Wysłuchałem cię, Panie.

Nie wiem, czy zrozumiałbym, o czym właśnie mówili, ale dzięki śledzeniu myśli matki byłem w stanie wyobrazić sobie wielkie bloki kamienne, w których żłobiono kanaliki i wkładano w nie rozżarzone bierwiona. Gdy skała rozgrzała się już od gorąca, polewano zwęglone drewno wodą. Słyszałem syk pary i widziałem, jak woda spłukuje mokre popioły. W kanaliku powstawały liczne pęknięcia, tak liczne jak szpary w glinie, gdy wody powodzi opadną, a słońce przypieka.

Zobaczyłem ludzi poszerzających te szpary miedzianymi dłutami, drewnianymi młotami. Gdy skończyli, kanalik, szeroki jak ludzka dłoń, stawał się głębszy na palec. Tyle mogli zdziałać dwaj ludzie, pracując cały ranek. Pracowali dopóty, aż udało im się rozłupać skałę; czasami musieli drażyć skałę na łokieć.

Nauczono mnie już mierzyć odległość w łokciach i wiedziałem, że miara ta wywodzi się od Ramzesa II, któremu zmierzono odległość od dużego palca u ręki do łokcia. Wszystkim naokoło rozповідаłem, że mam wzrost na dwa łokcie, jedną dłoń i jeden palec. To dużo jak na mój wiek, prawda? Powtarzałem to tak długo, aż matka kazała mi przestać. Dwa łokcie to nic wielkiego, powiedziała, skoro mężczyzna mierzy cztery. Miara przestała mnie interesować. Ale rozmowa kamieniarza z faraonem odświeżyła te wspomnienia o łokciu jako miarce, toteż zacząłem rozmyślać o Wielkim Faraonie, wysokim i przystojnym, podobnym bogom, a nie takim następcem jak Pta-nem-hotep. Wiedziałem, że musi to być Ramzes II, ale matka wyobrażała go sobie tak wyraźnie, jakby stał przed nami z wyciągniętym ramieniem, podczas gdy kapłani odmawiali modlitwy, a królewski pisarz odmierzał łokieć królewską miarą. Tak właśnie matka opowiadała mi o początkach miary łokcia, kiedy byłem mały. Teraz jednak odprężyła się, pełna przeczuwanych rozkoszy, podczas gdy słońce padające późnym popołudniem na balkon rozgrzewało jej uda, toteż sama zmierzyła pierwszy łokieć i sama trzymała w ręku królewską miarkę.

I proszę, okazało się, że potężny fallus Ramzesa II mierzy równo połowę łokcia. Ponieważ jednak wyobrażała go sobie stojącego przed lustrem, toteż dwa fallusy, stykające się ze sobą łeb w łeb stanowiły doskonałą królewską miarę od korzeni jednej pary jąder do drugiej. Potem matka przestała myśleć o łokciach. Znowu zdała sobie sprawę z tego, że śledzę jej myśli. Ja ze swej strony zrozumiałem, dlaczego nigdy nie umiała liczyć. Sama nie wiedziała, czy cieszyć się z tego, że jesteśmy tak sobie bliscy, czy też obawiać się tempa, w jakim postępuje moja edukacja. Uśmiechnęła się do mnie jednak jak najczulej (łobuzerski to był uśmieszek!) i znowu otworzyła przede mną swój umysł równie serdecznie jak ramiona. W ten sposób wpadłem w pułapkę jej rozbawienia, gdyż uznała za swój macierzyński obowiązek poinformować mnie o smutniejszych stronach życia. Musiałem więc śledzić z nią los biednych robotników ciosających głązy i ślepnących od pyłu, który unosił się w powietrzu na skutek walenia kamieniem o kamień, gdy obrabiano odłupany blok skalny. Ujrzałem robotników o zaczerwienionych oczach i innych, broczących krwią z ran od odprysków na czole. Jeden wił się z bólu, gdyż odłamek skały utkwiał mu w gałce ocznej, potworny widok; wówczas zdałem sobie sprawę z tego, że matka specjalnie mnie naprowadziła na takie myśli i że w tym celu zebrała wspomnienia o kontuzjach w kamieniołomach z całego ubiegłego roku.

Zaraz jednak, jak gdyby starając się zatrzeć wrażenie, jakie na mnie musiały zrobić jej bluźniercze domysły na temat miary łokcia wprowadzonej przez Ramzesa II, znowu wsłuchiwała się w słowa Pta-nem-hotepa. Ten chciał się dowiedzieć, ile czasu wymagało wyłobienie kanalika w skałę przy użyciu rozżarzonych bierwion cedrowych i jak się to miało do czasu zużywanego na wykonanie tej samej pracy przy wykorzystaniu bierwion z palmy daktylowej, figowca, tamaryszku lub akacji. Wypytywał o to dokładnie Rut-Seka.

Rut-Sek zapewnił faraona, że korzystając z bierwion cedrowych, wyznaczyl do pracy swoich trzech najlepszych ludzi. Mimo to potrzebowali aż dwóch tygodni na wycięcie rowka głębokiego na cztery łokcie i mierzącego dwa łokcie długości. Oznacza to, że zyskali zaledwie jeden dzień w porównaniu z figowcem, który z kolei był lepszy, jak już dawno stwierdzili, od akacji, palmy daktylowej i tamaryszku.

– Jeżeli twoi najlepsi ludzie – rzekł Pta-nem-hotep – pracują tylko o jeden dzień krócej niż reszta, to trudno powiedzieć, by płomień cedru był o wiele lepszy niż płomień figowca.

Rut-Sek gruchnął czołem o ziemię.

– Ale w poprzednich raportach – rzekł Pta-nem-hotep – donosiłeś, iż pęknięcia spowodowane węglnikami cedru są o pół palca głębsze niż pęknięcia spowodowane najgorętszymi węglnikami figowca.

– Bo to prawda, Władco Obojga Królestw.

– Dlaczego więc prace nie postępują szybciej?

Szczegółowy charakter tej rozmowy sprawił, iż Rut-Sek zapomniał, z kim rozmawia i wzruszył ramionami. Był to gest jednego robotnika rozmawiającego z drugim i błahe uchybienie w szacunku, jaki okazywał faraonowi, ale sądząc po niesmaku, jaki odmalował się na twarzy mego ojca, kamieniarz popełnił wykroczenie równie poważne, co puszczenie bąka spomiędzy pośladków.

Nadzorca musiał spostrzec wyraz twarzy mego ojca, gdyż szybko uderzył czołem o ziemię. Powiedział też z żalem:

– Mój Faraonie, ja także sądziłem, że pójdzie szybciej.

Potem zapadła cisza. Wargi Pta-nem-hotepa zacisnęły się, lecz nic nie powiedział. W ciszy tej poczułem zapach palonych bierwion cedrowych i zrozumiałem, że udało mi się przeniknąć myśli kamieniarza. Nie wiem, czy znalazłem to sam, czy też poszedłem w ślad za myślami matki, ale znalazłem się wśród jego myśli. Właściwie nie bardzo umiał je zebrać, przypominało to poruszanie się we mgle, od zapachu do zapachu, począwszy od chwili, gdy musiał przerwać wyliczanie faraonowi liczb. Jego głowa była jak żuraw przy studni – podnosił jedno wiadro wody za drugim silnym ruchem, wylewał wodę i znów powtarzał tę czynność. A teraz, mając w nozdrzach pamięć o tych zapachach, powiedział:

– O Wielki Władco Obojga Królestw, z cedrem idzie szybciej, ale ludzie częściej się mylą. – Westchnął. – Mieliśmy więcej kontuzji, pracując z cedrem. Ludzie powiadają, że to drzewo wyklęte.

– Co im na to powiedziałeś?

– Oćwiczyłem ich.

– Jesteś teraz przed moim obliczem. Możesz powiedzieć prawdę. Twój faraon będzie ślepy i głuchy, jeśli nikt mu nie powie prawdy.

– Powiem prawdę, o Władco Obojga Królestw.

– Powiedz. Nawet kłamcy dobrze czynią, mówiąc prawdę w Dniu Świni.

– O Wielki Władco Obojga Królestw, chłostałem moich ludzi z tak ciężkim sercem, że zacząłem się obawiać bólu w piersiach.

– Dlaczego tak się poczułeś?

– Ponieważ, o Wielki Faraonie, zgadzałem się z nimi. Zapach tego dymu był bardzo dziwny.

Pta-nem-hotep pokiwał głową. – Cedr pochodzi z wybrzeży Babilonu, bo tam właśnie trumna Ozyrysa zaplątała się w drzewo tego gatunku.

– Tak, Panie – rzekł kamieniarz.

– Jeśli cedr służył ongi jako dom naszego wielkiego Boga Ozyrysa, to drzewo nie może być wyklęte.

– Tak, mój Panie. – Kamieniarz wstał przy tych słowach.

Mamy dziś Dzień Świni, o Wielki Władco Obojga Królestw – powiedział w końcu.

– Mów prawdę.

– Moi ludzie rzadko gadają o Bogu Ozyrysie. Przystoi nam bardziej odwiedzanie świątyni Amona. – Raz jeszcze kamieniarz uderzył głową w pył.

– Czy wiesz – spytał Pta-nem-hotep – że Ozyrys właśnie będzie cię sądził w Krainie Umarłych?

Kamieniarz pokręcił głową. – Jestem tylko nadzorcą. Nie mnie wyprawiać się w podróż przez Krainę Umarłych.

– Ale jesteś królewskim nadzorcą. Możesz wędrować ze swoim faraonem. – Pta-nem-hotep zwrócił się do mego ojca.

– Czy wielu jest królewskich nadzorców – spytał – którzy nie rozumieją tej cennej właściwości swego urzędu?

– Niewielu, o wielki Pta-nem-hotepie – odparł ojciec.

– Nawet jeden to za wiele – powiedział faraon i znów zwrócił się ku Rut-Sekowi. – Zaszczyt, jaki ci oferuję – rzekł – nie wywołuje błysku wdzięczności w twoich oczach.

– O Wielki Władco Obojga Królestw, przecież wiem dobrze, że nigdy nie będę wędrownikiem w Krainie Umarłych.

– Czy to dlatego, że nie stać cię na to, by właściwy opłacić pochówek? – spytał Pta-nem-hotep.

– Nie rozpaczaj. Biedniejsi od ciebie bogacili się na służbie u mnie.

– Kiedy umrę, będę nieżywy, Wielki Boże.

– Skąd wiesz? – spytał Pta-nem-hotep.

– Słyszę to w dźwięku kamienia obciosywanego innym kamieniem.

Pta-nem-hotep odpowiedział: – To bardzo ciekawe spostrzeżenie. I nagle ziewnął.

Wszyscy dworzanie natychmiast ziewnęli.

– No to nie będziemy używali drewna cedrowego – rzekł faraon. – Daje gorętszy ogień, pęknięcia są głębsze, w dodatku jest to drzewo błogosławione przez Ozyrysa, ale dla prostych ludzi dym jest zbyt dziwny.

– Może pójdzie szybciej, Panie Obojga Królestw – rzekł Rut-Sek – jeśli moi ludzie będą pracowali w dymie, do którego są przyzwyczajeni.

Pta-nem-hotep skinął głową. Rut-Seka odesłał krótkim gestem.

Nadeszli inni urzędnicy, po nich następni. Nie potrafiłem skupić uwagi na wszystkim, o czym mówili, a wkrótce w ogóle nie potrafiłem się skupić. Matka marszczyła brwi, gdy drapałem się po brzuchu, wodziłem palcami u stóp po kafelkach podłogi, ale nie proponowała mi niczego ciekawego. Jej umysł stał się równie pusty jak mój i dryfował niczym łódka z trzciny. Żałowałem, że nie zostaliśmy w tym pokoju o ścianach czerwonych jak róża, w którym znów mógłbym przeniknąć myśli mojego faraona. Tutaj, pięć łokci od jego tronu, nie potrafiłem śledzić jego słów ani myśli. Umysł zaczął mi podsuwać wspomnienia uczty, na jaką miał nas za chwilę zaprosić faraon... dziwne to określenie, ale faktycznie nie miałem poczucia, że wybiegam w przyszłość, starając się dociec, co takiego wydarzy się w Noc Świni. Przeciwnie, miałem poczucie, że wszystko już się kiedyś wydarzyło i że wystarczy tylko przypomnieć sobie coś, o czym bardzo dawno zapomniałem. Wybieganie w przyszłość w życiu człowieka kojarzyło mi się ze zbieraniem wspomnień z innego życia. Pogrążony najpierw w takich myślach, a później bezmyślnie, siedziałem, nadstawiając ucha, podczas gdy urzędnicy przewijali się z różnymi sprawami.

Nie umiałem, rzecz jasna, śledzić wszystkiego, o czym była mowa. Jeden z urzędników składał raport o stanie grobli i tam wokół Buziris w delcie Nilu, drugi zaś mówił o właśnie wznoszonych zaporach. Trzeci donosił o osuszaniu jezior i o trudnościach z suszeniem i soleniem węgorzy błotnych znajdujących na dnie. Myślami znów się przeniósłem ku temu złotemu porankowi, tak dawno, a zarazem jeszcze kilka godzin temu... kiedy to ujrzałem łodzie rybaków z połowem wywieszonym na linach przeprowadzonych od dziobu, przez czubek masztu, po ster. Wypatroszyli ryby i wywiesili je jak wyprane ubranie, by się wysuszyły. Zbliżyliśmy się do jednej z tych łodzi, która rozsiewała zapach zarazem czysty, jak i gryzący (jak gdyby krew rzeki, czyli krew ryby, wyprała się w słońcu), a wspomnienie tego zbliżenia uniosło mnie z dala od faraona i jego

poważnych problemów, toteż nie słuchałem już raportów o pracy w kopalniach, nie słyszałem, jak faraon zalecał stosowanie rogu gazeli zamiast kości słoniowej jako rękojeści ostrza, którym drążono skałę. Nic z tego nie rozumiałem. Poza tym poszedłem w ślady mojej lekko przysypiającej już matki i zlekceważyłem generała naszych armii o twarzy pokrytej bliznami i otwartymi wrzodami. Był wysoki i wyglądał strasznie, ale donosił wyłącznie o klęskach i o miastach na granicy Dolnego Egiptu, palonych przez syryjskich napastników.

– Czy nigdy nie usłyszę o zwycięstwie? – spytał faraon, a generał zaczął się trząść trawiony gorączką, jakiej nabawił się w trakcie kampanii (nie sądzę, by odczuwał lęk, raczej chłód, ale nie potrafił tego powstrzymać).

Potem Pta-nem-hotep szczegółowo wypytywał o prawo własności do brzegów kanału irygacyjnego, gdyż w którymś miejscu dwie posiadłości kłóciły się o ilość wody, jaką mogły pobierać z kanału. Wkrótce okazało się, że dyskusja między tymi samymi wielmożami przekształciła się w spór o przesuwanie kamieni granicznych między ich posiadłościami. Potem królewscy urzędnicy wnieśli skargę na kupców, oskarżonych o domieszanie piasku do mąki zakupionej przez pałac faraona, jeszcze inny zaś urzędnik odczytywał listę statków, które należało uznać za zaginione na pełnym morzu. Od trzech lat brak było o nich wieści.

Zabawiałem się próbami przeniknięcia do myśli matki. Nie wiem, czy to moje myśli, czy jej, ale wnet zacząłem się zastanawiać nad tym, jak dziwnym zjawiskiem jest ogień i nad tym, czy głos tego, co płonie, żyje w płomieniu (nie chodziło mi wyłącznie o materiał, jaki palono, ale i myśli bogów zamieszkujących dany kraj). Nagle poczułem na sobie wzrok faraona, otworzyłem oczy i zrozumiałem, że przewinałem się przez jego myśl. Spojrzenie jego oczu, wyraz twarzy, należały także do mnie i pod tym względem byliśmy sobie równi, byliśmy braćmi.

Zrozumiałem, że musiałem zasnąć. Urzędnicy odeszli, nad dziedzińcem zapanował zmierzch, faraon zaś uśmiechał się. – Chodź, mój mały książę – powiedział – pora jeść.

I ująwszy mnie za rękę, poprowadził ze sobą, ja zaś poczułem zmęczenie jego krwi, spowodowane pracowicie spędzonym popołudniem.

VIII

Idąc przez ogrody do sali, w której mieliśmy zjeść z faraonem kolację, matka zaczęła rozmyślać o rozmowie, której nie chciała pamiętać. Skoro jednak zaczęła ją sobie przypominać, musiała, rada nierada, przypomnieć ją sobie do końca. Jakżeby inaczej? Kilka dni wcześniej ojciec powiedział jej, iż usłyszał od faraona, że Menenhetet zajada nietoperze gównem (wiedząc, iż w ten sposób jej dopiecze do żywego). Matka odpowiedziała na to:

– Przecież używa go jako lekarstwa.

Ojciec odparował prędko:

– Wcale nie. Zajada, bo mu smakuje. Faraon dowiedział się o tym z pewnego źródła, a mianowicie od Kem-Uszy. Miało to miejsce dawno temu, ale Kem-Usza nie potrafi o tym zapomnieć. Pewnie dlatego Menenheteta tak długo nie zapraszano do pałacu.

– Mnie też nie zapraszano – matka nie potrafiła się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć.

– Bo też faraon nie może pamiętać o tobie, nie kojarząc ciebie z Menenhetetem – odrzekł ojciec.

Niedawno ojciec zaczął nam przynosić wieści o zainteresowaniu Pta-nem-hotepa świniami. Stale o nich gadał.

– Czy wiesz – zwykł mówić Pta-nem-hotep – że jeśli szlachcic dotknie świni, musi natychmiast rzucić się do rzeki, w ubraniu, bez względu na to, czy jest kosztowne, czy nie. Musi zmyć piętno.

– Nigdy nie tykałem tego zwierza, Dobry i Wielki Boże – odparł ojciec – a poza tym słyszałem, że pijąc mleko świni, narażamy się na trąd.

– Nie znam takiego, kto próbowałby mleka świni – rzekł Pta-nem-hotep. – Choć na przykład taki Menenhetet nie miałby zapewne żadnych oporów. – Ojciec natychmiast doniósł o tym mojej matce.

Dwa dni później Pta-nem-hotep znów rozmyślał o świniach. – Rozmawiałem z Kem-Uszą – powiedział Nef-kep-aukemowi. – To prawda, jak przypuszczałem. Pastuchom świń nie wolno wchodzić do żadnej świątyni pod groźbą obcięcia nosa. „A jak ich poznacie, jeżeli przyjdą w przebraniu?” – spytałem. – „Już my ich poznamy” – powiedział Kem-Usza. Oto kapłan doskonały. Wspaniała odpowiedź jak na wysokiego kapłana przystało – rzekł faraon do ojca.

Następnie Pta-nem-hotep zdjął perukę, podał ją Nef-kep-aukemowi, pochylił głowę, by nałożyć kolejną, przyjrzał się wypolerowanej powierzchni zwierciadła z brązu (tak to sobie przynajmniej wyobrażała moja matka) i powiedział do ojca:

– Mam zamiar obchodzić w tym roku Noc Świni. – Widząc wyraz twarzy ojca, dodał:

– Tak jest, zjemy mięso świni, i ty, i ja, podobnie jak to czynią wszyscy Egipcjanie przy ogniskach na placach targowych, obżerając się tłuszczem i smacznymi kąskami. Aha – dodał po chwili – dawno nie gościłem tu twojej rodziny. Może urządzimy sobie małą kolację. Powiedz Menenhetetowi – tu Pta-nem-hotep uśmiechnął się słodko – żeby przyniósł jednego ze swoich nietoperzy.

– Byłbym szczęśliwy, Dobry Boże, gdybyś sam go o tym zawiadomił.

Pta-nem-hotep znów się uśmiechnął. – Będą niespodzianki. Wieczorem w Dniu Świni chciałbym zabawić twoją żonę i syna.

Nie bardzo wiedziałem, czego oczekiwać. Gdy moi rodzice albo pradziadek wydawali ucztę, spraszali wielu muzykantów, którzy grali na harfach i lirach, gitarach, cytrach i barbitonach, po uczcie zaś przychodziła pora na liczne niespodzianki. Pokazywali się żonglerzy, akrobaci, zapaśnicy. Zręczni niewolnicy ciskali nożami w pomalowane kłoc drewna; pewnego razu pradziadek zabrał wszystkich gości nad rzekę, tam zaś, przy brzegu, jego wioślarze ubrani w pióropusze i przystrojeni różnokolorowymi wstążeczkami walczyli ze sobą, starając się strącić przeciwnika do wody uderzeniami wiosel. – Niebezpieczny sport – słyszałem szept gości. Przecież łatwo było strącić dobrego wioślarza, który mógł utonąć w tym zamieszaniu. Nikt jednak tego wieczoru nie utonął, pradziadek zaś kazał posypać pochodnie solami, toteż staliśmy tam pośród zielonych i szkarłatnych ognia, a wrzawa niosła się po wodzie. To było wspaniałe przyjęcie.

Dziś miało być inaczej. Matka mówiła, że kolację zjemy w pięcioro. Niemniej myśl, jaką mi przesłała, była jasna: nasz faraon, który wydawał już wspaniałe przyjęcia, lepiej się będzie czuł w naszym szczupłym gronie, gdyż w pełni zabłyśnie niesłychaną ogładą i błyskotliwym dowcipem w rozmowie. Już sobie wyobrażałem, jak powtarza to zdanie wszystkim znajomym całymi latami. Wiedziałem jednak, śledząc błysk w jej oku i gorączkowe oczekiwanie wieczoru, że nie kłamie. Bez względu na to, co jej opowiadał ojciec, Noc Świni zapowiadała się wspaniale.

I było wspaniale. Już na wstępie dowiedziałem się, że to tego wieczoru zjem coś, czego do tej pory nie jadłem i wysłucham rozmów na tematy, o których nic dotąd nie wiedziałem. Istotnie, już wkrótce miałem się dowiedzieć o sekretach purpurowego barwnika zaklętego w ślimaku oraz o tym, jak należy wkładać listy w ręce umarłych, nie mówiąc już o aluzjach do zalet kanibalizmu. I poznać jeszcze inne tajemnice. Wiele innych tajemnic.

W miarę jak trwał posiłek, przepływała przeze mnie jedna nieznaną potrawa za drugą. Moje duchy bawiły się uperfumowanymi płomieniami, a moje myśli stanęły w ogniu. To, czego się dowiedziałem od matki o godzinie mego poczęcia, zaczęło kiełkować niczym ziarenko zasiane w ciszy mojego serca. Miałem zaczerwienione policzki, zaś rozmowa moich rodziców (zaraz, zaraz, który to, Menenhetet czy Nef-kep-aukem, był moim ojcem?) wierciła mi dziurę w brzuchu niczym rozgrzane słońcem węże. Odczuwałem tę dziką wesołość właściwą dzieciństwu, kiedy to każda chwila może nam przynieść niewymowną rozkosz albo niewystowioną klęskę. Ponieważ nie mogłem pozwolić sobie na wybuch uczuć, które mną miotały, wstrząsały mną wewnętrzne dreszcze i ledwo dotykałem kolejnych potraw, starając się dojść do siebie i pozbierać myśli goniące za każdym smakiem, który nam oferowano.

Odpoczywaliśmy przy niskim stoliku z kości słoniowej, na którym postawiono złote talerze, niezwykle kruche, cieńsze i lżejsze niż alabastrowa zastawa mojej matki. Pokój przypominał las w ogniu, gdyż zapalono w nim tyle świec, że odczuwaliśmy słoneczny żar w środku nocy. A przecież znajdowaliśmy się w komnacie wykładanej drewnianą boazerią o powierzchni nakrapianej jak skóra lamparta. Zauważyłem, że faraon, który zmienił ubranie i nosił teraz białą płócienną szatę, obnażając jego ramię, miał na sobie mniej ozdób i klejnotów niż my. Właściwie wcale nie miał na sobie biżuterii, tyle tylko, że do spódniczki przyczepił z tyłu lamparci ogon. Od czasu do czasu sięgał ręką za siebie i chwycił czubek ogona, aby nim postukać o stół albo pokazać, że jest bardzo zainteresowany rozmową z Menenhetetem lub matką. Musiał dać się ponieść uczuciom, walił nim w stół kilka razy i kilka razy odrzucał go za siebie ze świstem. Raz nawet udało mu się tak energicznie zamachnąć tym ogonem, że uderzył w wielki wachlarz ze strusich piór ustawiony na stojaku za jego siedzeniem i wyróciłby go, gdyby służący nie pochwycił w porę rękoiści.

Za każdym z nas stało po dwóch służących, a za faraonem z pięciu. Przy każdej posłudze szeptali: „życia, zdrowia, siły” – czy to napełniając kielich, czy to zabierając talerz, podając nowy, dodając nieco więcej potrawy z półmiska – toteż szept ich stał się czymś tak nieprzerwanie i

krzepiąco obecnym, jak odgłosy cykad w rodzinnym ogrodzie. Miałem poczucie, że jestem bezpieczny jak w domu, wiedząc, że wolno mi spać tak długo, jak długo nie ustanie szelest owadzych głosów. Zakłócały co prawda ciszę, ale zarazem ich głosy świadczyły o tym, że nic złego się nie dzieje, że może mnie spokojnie ogarnąć senność. Tak samo krzepiąco wpływały na mnie nieustannie poruszające się wargi służących, którzy sprawiali wrażenie, że pragną doprawić nam smakowicie nasze potrawy.

Zaczęliśmy od ślimaków; nie były większe niż te, które już jadałem, ale przyprawiono je sosem cebulowo-czosnkowym z dodatkiem jakiegoś zielonego ziele, tak aromatycznego, że poczułem zapach sosu faraona. Poczułem, jak woń ziele kręci w nosie i dudni mi pod czaszką. Należało się tego w końcu spodziewać – matka mówiła mi, że ziele to nosi nazwę „kręcącego w nosie”, podobnie jak na przysmażoną cebulkę można było mówić „wykręcająca trzewia”, czerwony pieprz zaś uchodził według jednych za „kręcącą przyprawę”, według innych – za przyprawę „skręcającą do środka”.

Smakowały mi te ślimaki. Jedliśmy je małymi ostrymi patyczkami z kości słoniowej z malutkim rubinem w kształcie korony faraona na końcu. Pięć cieniutkich kresek wyrzeźbionych na patyczku przedstawiało oczy, dziurki od nosa i krzywiznę ust. Wszystko to razem przypominało wychudzoną twarz Pta-nem-hotepa, widzianą jakby przez nadwornego błazna i sztucznie wydłużoną. Widząc moje zdumienie, faraon rzekł: – Używamy ich wyłącznie w Dniu Świni. Dzisiaj wolno ci się ze mnie śmiać. Dzisiaj jest twoja noc.

– Moja noc? – ośmieliłem się spytać.

– W ten wieczór najważniejsze jest najmłodsze dziecko książęcego rodu. Możesz mówić, kiedy zechcesz, drogie dziecko.

Zachichotałem. Posiłek ledwo się zaczął, ale ziele już mi wyklarowało umysł i poczułem się stary i mądry jak pradziadek. Między uszami czułem wielką, pustą, mądrą głowę, dźwięk patyczka dziurawącego skorupkę i przebijającego mięso ślimaka sprawił zaś, iż poczułem się jak wojownik śmiało wstępujący do jaskini wypełnionej ogniem, gdzie mięso dzikiej bestii czeka na moją włócznię.

– Smakują wam te ślimaki? – spytał Pta-nem-hotep. Moi rodzice odpowiedzieli pierwsi, nie zważając na Święto Świni. Odezwali się naraz, zapewniając wielkiego dobrego boga, że nigdy nie jedli tak kruchego mięsa w skorupce. Pta-nem-hotep odpowiedział im, że ślimaki, hodowane w owalnej sadzawce w dużym ogrodzie przy końcu promenady imienia Ramzesa II, były starannie chronione przed słońcem cieniem rzucanym przez palmy daktylowe, a w nocy znajdowały się w blasku księżyca, toteż skąpane były w księżycowej poświacie. Może dlatego miały tak niezwykły smak.

– Tak, są tak smaczne, że można by się obawiać, że służba je będzie podkradała – rzekł pradziadek, gdy dołożono mu jeszcze kilka na talerz.

Pta-nem-hotep pokręcił głową.

– Kary są bardzo surowe. Kiedyś jedna ze służących wzięła kilka ślimaków, a mój ojciec kazał jej za to odciąć sutek.

Innego wieczoru matka pewnie nie odważyłaby się przemówić, ale dziś wydała lekki okrzyk przerażenia: – Chyba nie zrobiłbyś tego samego?

– Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, ale chyba musiałbym zażądać takiej samej kary.

– Za jednego ślimaka? – obstawała przy swoim Hatferti.

– Byłem wówczas dzieckiem – powiedział Pta-nem-hotep – ale nie zapomnę dnia, w którym ojciec rozwarł dłoń, by mi pokazać odcięty za karę sutek. Była młoda, jej sutek nie był większy niż mój paznokieć. Już miałem coś wybelkotać przerażony, ale ojciec po prostu zdmuchnął go do

sadzawki. Potem mi powiedział, że trzeba surowo wymierzać sprawiedliwość, by w pałacu nie zdarzały się kradzieże. W przeciwnym razie ślimaki mogłyby paść. Jak widzicie, są dzisiaj zdrowe i krzepkie, a przy tym jakie smaczne w cebuli, czosnku i zielu. Czasami mi się zdaje, że mógłbym je jeść bez przerwy; ale potem sobie przypominam, że jestem tylko biednym biesiadnikiem w Świąto Świni.

Roześmiał się szczerze, a jego wargi ożywiły się, przypominając przez ułamek sekundy konia w galopie. A może jastrzębia spadającego jak kamień na upatrzoną ofiarę?

Zwierzę i ptak przemknęły mi przez odurzoną zieleń głowę. Próbowałem spojrzeć na matkę, ale musiałem spuścić wzrok na widok śmiałości spojrzenia, jakie mu rzuciła. Pta-nem-hotep mógł zasiąść z nami bez biżuterii, ale moja matka to co innego. Co prawda miała na sobie wyłącznie szafranową suknię bez ozdobnych płytek, na jednym ramiączku, ukazującą prawą pierś, większą i ładniejszą (z sutkiem pomalowanym na czerwono, czerwienią róży pochodzącą z rzadkiego szkarłatnego barwnika, chyba z marzanny – czerwień ta pasowała do przewiązanej wokół szyi jak u sprzedawczyń na targu wąskiej chusty, która także była czerwona czerwienią marzanny). Na każdym szlachetnie prowokującym palcu nosiła pierścień, na głowie zaś miała leciutką złotą koronę w kształcie węża, owijającego się wokół jej skroni, z dwoma zielonymi kamieniami miast oczu. Jakże pięknie wyglądała ta korona na tle jej czarnych włosów i ciemnych naoliwionych ramion! Podniosła ciemne oczy na faraona.

Obdarzony pełnią jej spojrzenia Pta-nem-hotep sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego. – Men-ka, mój przyjacielu – powiedział do mnie – czy wiesz, co jest pierwszym obowiązkiem gospodarza?

– Skąd Men-ka mógłby o tym wiedzieć? – zaprotestowała matka, ale zauważyłem, że określiła mnie mianem, jakim mnie obdarzył faraon, choć wszyscy do tej pory wołali na mnie po prostu Meni.

– Men-ka – rzekł Pta-nem-hotep – obowiązkiem gospodarza jest zabawiać gości. Chciałbym więc was zabawiać objaśnianiem każdej potrawy, jaka przed nami stanie.

– Wskazał na puste skorupki na moim talerzu. – Na przykład opowieścią o tych oto małych pałacykach.

Pokiwałem zadowolony głową. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, albo mieliśmy Noc Świni i wszystko uchodziło.

– Jesteś sympatycznym i inteligentnym chłopcem – rzekł.

– Słuchaj mnie teraz uważnie albo każę ci obciąć nos.

– Ojciec roześmiał się. Po raz pierwszy usłyszeliśmy, że wydał jakiś dźwięk.

– Tak – rzekł faraon. – Odetnę ci nos i dam go mężowi twojej matki.

Ojciec zaśmiewał się do rozpuku.

– Czy podoba ci się kolor purpurowy? – spytał mnie Pta-nem-hotep.

Ponownie skinąłem głową.

– Jest to kolor szat królów Syrii i Hetytów, a także niektórych Hebrajczyków i wielu Asyryjczyków. My, Egipcjanie, sądzymy, że szaleństwem jest takie upodobanie tej barwy. Istnieje nawet jedno miasto, o które nieustannie ludzie ci walczą między sobą. Jedyne dobre barwnik purpurowy pochodzi z tego miasta. Nie do wiary, prawda?

Skinąłem głową.

– Tym miastem jest Tyr, słynący ze spiralnie skręconych skorupek ślimaków. W środku skorupki znajduje się purpura, która po wysuszeniu i starciu na proszek daje wspaniałe barwnik. Toteż cała ludność Tyru zbiera ślimaki. Małe dziewczynki i starcy liczący sobie połowę lat twego

pradziadka, a więc bardzo już starzy, i karły, i wielkoludy, wszyscy zbierają ślimaki. Przynoszą je do miasta, rozgniatają i nie zwracają uwagi na mięso ślimaków.

– Dlaczego? – spytałem.

– Nie wiem. Może znudził im się jego smak. Podejrzewam, że to z powodu trudności, na jakie natrafiają, kiedy trzeba żmudnie wyluskiwać mięso z każdej skorupki. A poza tym barwnik jest wart o wiele więcej. Widzisz, mieszkańcy Tyru są zbyt bogaci i chciwi, by poświęcać czas na wydłubywanie mięsa ze skorupki. Miażdżą po prostu ślimaki między kamieniami, płuczą je i znów miażdżą, dopóki nie zacznie cieknąć purpura. Purpura ścieka do kadzi i płyną w niej małe, tłuste kawałki ślimaczego mięsa.

Matka wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Tak, to obrzydliwe – powiedział faraon. – Ale daje się za to otrzymać purpurę, która wywołuje błysk w oczach władców Wschodu. Nazywają ją królewską purpurą. Na Wschodzie powiadają, że to barwa królów. My jednak jesteśmy mądrzejsi i wiemy, że to barwa szaleńców. – Faraon ryknął śmiechem z uciechy i uderzył ogonem lamparcim w stół. – Przynieście następne danie – rozkazał.

Wesołe ogniki zamigotały w jego oczach na widok zdziwienia, jakie okazałem, gdy wszedł służący, niosąc dwie metalowe sztabki, krótsze od mej dłoni, szerokie na dwa palce i grube na niecały palec. Pta-nem-hotep położył je osobno na alabastrowym talerzu.

– Popatrzcie tylko – rzekł Pta-nem-hotep – to czarna miedź z niebios. – Wręczył talerz memu pradziadkowi.

Menenhetet był jednak zbyt godny, by okazać zainteresowanie. Spokojnie podał mi talerz.

– Niech chłopak spróbuje pierwszy – rzekł.

– Nie wiesz, co tracisz – zauważył Pta-nem-hotep.

Ja ze swej strony nie bardzo wiedziałem, jak się zabrać do tej „czarnej miedzi z niebios”. Ciepła była czy zimna? Dotknąłem palcami powierzchni sztabek – poczułem metal, jak każdy inny, na przykład czerwona miedź. Podniosłem sztabkę, po czym odłożyłem ją. Była cięższa od miedzi i zdawało mi się, nie wiem dlaczego, że musi też być twardsza. Przesunąłem ją na talerzu.

– Spróbuj podnieść obie – rzekł Menenhetet.

– Dlaczego mu powiedziałeś? – spytał Pta-nem-hotep.

– Gdyby to, co faraon chce nam pokazać, było widoczne w jednej sztabce, nie kazałby przynieść obu.

Pta-nem-hotep skinął z uznaniem głową, ja zaś poczułem się dostatecznie pewnie, by wziąć obie sztabki po jednej do każdej ręki. Wtedy powąchałem pierwszą. Miała zapach metalu z dalekich stron. Gdy dotknąłem policzka drugą, poczułem chłód przenikający do mego oddechu. Jakieś życie, o którym nie miałem pojęcia, zaczęło się budzić w metalu. Czułem się tak, jakbym nasłuchiwał bicia serca w obu sztabkach. Życie to było w czubkach obu metalowych sztabek, które zbliżałem do nosa. Zaraz jednak krzyknąłem zdjęty przerażeniem, gdyż usłyszałem mowę bogów. Ich cichy rozkaz musiał paść w milczeniu, gdyż dwa kawałki „czarnej miedzi z niebios” ściągnęły moje ręce ku sobie, sztabki zaś złączyły się z brzękiem. Zaślubiły jedna drugą i ucepione trwały w uścisku, choć nie widziałem niczego, co mogłoby je złączyć ze sobą.

Ojciec wyjął mi je z ręki, lecz musiał oddać je Menenhetetowi. Hatfertiti wydała okrzyk zachwytu, wpatrując się w sztabki. – Jesteś czarnoksiężnikiem – wyszeptła do Pta-nem-hotepa.

– Nic nie zrobiłem – odrzekł. – Czary tkwią w metalu.

– Ale skąd bierze się „czarna miedź z nieba”?

– Pasterz zobaczył, jak z nieba spada ognista kula. Leżała na pustyni jak padły koń. Nie potrafił jej ruszyć, bo była zbyt ciężka, ale udało mu się odłamać kilka kawałków. Sztabki wykonano właśnie z tych odprysków. Kto wie, co przez nie przemawia?

– Czy można uśpić ich siłę? – spytał Menenhetet.

– Na jakiś czas. Trzeba je podgrzać, żeby się dały uformować. Po podgrzaniu osłabły. Ale kiedy inny odprysk tej samej ognistej kuli, która spadła z nieba, położono obok tych uformowanych sztabek, musiały najwidoczniej, niczym członkowie jednej rodziny, modlić się zwrócone w tym samym kierunku. Mówię wam, sztabki ożyły do tego stopnia pod wpływem zwykłego odprysku, że teraz można nimi ożywiać pozostałe kawałki metalu, które formowano nad ogniem.

I mówił dalej o osobliwościach czarnej miedzi. Pta-nem-hotep opowiedział nam o tym, jak kropla wody, pozostawiona na sztabce, wysycha na pomarańczowoczerwono. Ale woda nie zamienia się w krew. To powierzchnia czarnej miedzi zamienia się na słabą czerwoną miedź, którą łatwo zeszkrobać ze sztabki. Któż pojmie, dlaczego to się bogom podobało?

Przestałem słuchać. Słyszałem o bogach codziennie i widziałem ich wszędzie – na przykład w kocim ogonie, gdyż tylko kot słucha ogonem. Widziałem boga w oczach galopującego obok mnie konia, ten sam bóg zaś był w każdym chrabąszczu, gdyż ruchy owadów były szybsze od moich myśli. Z pewnością i w krowach byli bogowie. Skądże bowiem stworzenia te mogły zaczerpnąć tak głęboką znajomość spokoju? Bogowie byli w drzewach, kwiatkach i zawsze można ich było odnaleźć w posągach, gdyż ich siła mogła odpocząć w kamieniu. Nawet w dziku był bóg. Potrafiłem wyczuć boga Seta i okazać należyty szacunek dla jego wściekłości, gdy poczułem woń rozjuszonego dzika w klatce. Tacy bogowie nie przerażali mnie jednak, nie byli aż tak tajemniczy jak ta „czarna miedź z niebios”, która przesunęła się koło mojego nosa. Zbliżyłem się do boga (a może do dwóch bogów?), który zamieszkiwał między błyskiem błyskawicy a ciszą przed grzmotem, toteż czułem się nieswojo. Mój żołądek jeszcze bulgotał pod wpływem szoku, jaki przeżyłem, widząc zetknięcie się dwóch kawałków metalu i poczułem głód.

Służba wróciła z małym purpurowym owocem dla każdego z nas. To znaczy, początkowo myślałem, że chodzi o owoc, ale kiedy położono mi to na talerzu, stwierdziłem, iż jest to kapusta, kapusta purpurowa (nie wiedziałem, że taka kapusta w ogóle istnieje) o kwaśnym zapachu.

– Uważajcie na ocet – rzekł Pta-nem-hotep. – Jest tak kwaśny, że wykrzywi wam usta. Z drugiej strony świetnie się nadaje do oczyszczenia waszych myśli z oparów ziela. – Podniósł swoją kapustkę do góry i odgryzł kawałek, jakby to był owoc granatu. – Okropne jedzenie – stwierdził.

– To dlaczego je podajesz? – spytała Hatfertiti.

– Świnie szybko rosną tuczone kapustą. Uważałem, że wypada się zaznajomić z obyczajami przyjaciela, którego wnet napotkamy. – Zaczął się bawić paroma listkami.

– W gruncie rzeczy – rzekł – to bardzo dobry ocet i to z najlepszego wina. Lubię dobry ocet, a wy?

– Także – powiedział ojciec.

– Nie – powiedziała Hatfertiti.

– Nie masz powodów, by go lubić – przytaknął Pta-nem-hotep. – Ocet smakuje tym, którzy roztkliwiają się sami nad sobą.

– Dlaczegoż to? – spytała matka.

– Ocet opowiada nam o doznanych zawodach. Pomyślcie tylko o jakimś nędznym winie, którego nikt nie chce pić. Musi sobie siedzieć w kadzi, aż z nudów skwaśnieje. Jakaż furję można wyczuć w smaku takiego octu!

– Masz nader delikatne podniebienie – powiedział pradziadek.

– Wyjątkowe. Mam talent do jedzenia, nie, nie tyle do jedzenia, co do smakowania. Hej, zabierzcie tę kapustę. Jest obrzydliwa.

– Jesteś dziś w wyjątkowym nastroju – powiedziała Hatfertiti.

– Bywam raz do roku.

- Raz do roku – powtórzył mój ojciec z oddaniem.
- Czy smakował ci ocet? – spytał Pta-nem-hotep.
- Jest mocny, ale odpowiada twemu opisowi – rzekł ojciec.

Nie lubiłem kapusty i nie tknąłem jej. Następne danie smakowało mi jeszcze mniej. Była to surowa przepiórka. Ściągnięto z niej skórkę i przyprawiono, a potem znów naciągnięto skórę. Kiedy jednak ugryzłem ją, życie, chłodne życie surowego ptaka jakoś dotarło do mojego nosa i zdołało podlecieć do obu dziurek (może zresztą sprawiła to sól czosnkowa z ognistą domieszką innej przyprawy). Musiałem przymknąć oczy. Ujrzałem klucz dwudziestu przepiórek, jak dwadzieścia kropeczek na tle chmury, potem jak dwadzieścia białych plamek w jaskini, które teraz znów stały się ciemnymi kropkami. Roześmiałem się, pomyślawszy, że mój nos chciałby siusiu i kichnąłem.

Potem podano ikrę na talerzu wyłożonym osobliwymi jajkami z białą skorupką, pozbawioną cętek. Moja matka zaś zawołała zdziwiona: – Czy to jaja ptaka z Babilonu?

- Oczywiście – rzekł Pta-nem-hotep.
- Tego ptaka, który nie umie latać? – spytał ojciec.
- Tak jest. Babilońskiego ptaka, który nie umie latać i nie lubi wody.
- No to co robi? – spytała matka.
- Hałasuje, jest głupi, brudny i bezużyteczny, ale znosi jaja.
- Czy są równie smaczne, jak kaczki?

– Tylko w ustach mieszkańców Babilonu – rzekł Pta-nem-hotep i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Opowiedział o tym, jak mu przywieziono na statku te stworzenia. – Bardzo potulny ptak – mówił – ale tak hałaśliwy, gdaczący, kręcący się w kółko i piejący, że wioślarze byli przekonani, iż ptaki wzywają swoich babilońskich bogów. Toteż załoga gotowa była wybić ładunek na widok najmniejszej burzy. Na szczęście nie było silniejszych wiatrów. I teraz mam te ptaki, trzymam je w rogu ogrodu, a one lubią ziemię egipską. Mnożą się. Już niedługo wyślę wam kilka sztuk. Lubię te małe, brudne gderliczki. Ich jaja pomagają mi myśleć.

Ja czułem się nie najlepiej. Gorąco, jakie biło od mnóstwa świec, zamęt przypraw w nosie, piersiach, brzuchu, smutny, słony smak ikry, wszystko to leżało we mnie pograżone w smutku. Nie wiedziałem, co myśleć o jajkach z Babilonu. Były surowe, żółtka miały żółte, a nie zielone, i smakowały jak ser i mokre ściany; jak siarka, rozrobiona mąka z wodą. Przez chwilę pomyślałem nawet, że pachniały trochę jak kupa w niektóre dni. Ponieważ jednak zapach taki mnie nie brzydził, bo przecież ode mnie pochodził, więc i jajka właściwie mi smakowały. Były żółte jak masło faraona, które służba rozdawała na małych słodkich ciasteczkach z najczystszej mąki.

Ale to połączenie rybich i ptasich jaj z pewnością wpłynęło na moją matkę, gdyż zaczęła Pta-nem-hotepowi opowiadać o dniu moich urodzin, jakby mnie przy tym wcale nie było. Mówiła o tym, jak to powstrzymywała moje narodziny, ściskając mocno kolana, a wszystko to z nagą piersią wychyloną ku faraonowi. – Nie chciałam go rodzić – mówiła – nim wybije szczęśliwa godzina. Nie chciałam Meniego, mego Men-ka, nie chciałam, by ujrzał światło słoneczne, nim słońce stanie wysoko i będzie tak żółte jak to jajko. – Kiedy jednak faraon ledwo skinął głową i nie wydawał się specjalnie zainteresowany, ponownie przyjmując pozę znudzonego słuchacza (śmierć zawsze jest jakoś bliska człowiekowi, który beczynn timerawie czas), matka odsunęła ikrę i zawołała: – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że te małe czerwone galaretki mogą się jeszcze stać dorosłymi rybami?

- Wszystkie mogą – rzekł mój ojciec. – W morzach nigdy nie brakuje ryb.

Nastąpiła chwila milczenia, nie tyle dla skarcenia matki, ile w odpowiedzi na powagę riposty mego ojca. Mieliśmy sporo powiedzonek w rodzaju „czym skorupka za młodu nasiąknie” albo „czuję się jak ryba w wodzie”, czy też „w morzach nigdy nie brakuje ryb” – co właśnie wykorzystał

ojciec. Na takie powiedzonka nie było odpowiedzi i nikt też odpowiedzi nie oczekiwał, toteż nastąpiła chwila milczenia, nie prowadząca jednak do żadnego odruchu złości wobec ojca. Wszyscy czuliśmy, że miał powody, by zatrzymać w tym miejscu rozmowę. Ponieważ myślał wyłącznie o kaprysach faraona i domyślał się jego życzeń, nim te się wyraźnie ukształtowały, wszyscy doszli do wniosku (łącznie z faraonem), że Wielki Bóg kazał mu przerwać wymianę zdań. I tak też było w istocie.

– Pora – rzekł Pta-nem-hotep – na rep i repi. – Zegnany śmiechem obecnych wstał i wyszedł z pokoju. Wiem, że rodzice byli zaszokowani. Uczono mnie, że słowa repi można użyć wtedy, kiedy chcemy w sposób dyskretny dać znać, iż chcemy się wysuszać. Ale rep, w dodatku wymówione w sposób tak szczególny, jak to uczynił Pta-nem-hotep, mogło oznaczać wyłącznie odrażającą bestię, zionącą smrodem na wszystkie strony. Prawdę mówiąc, rep to najohydniejsze słowo, którym określaliśmy naszą kaka, oba naraz zaś, i rep, i repi, to zwrot tak obrzydliwy, że nikt, nawet sam faraon, nie odważyłby się go wymówić w jakkolwiek noc, wyjąwszy właśnie Noc Świni. Przypuszczam, że chciał nam w ten sposób dać do zrozumienia, iż tego wieczoru wolno nam poruszać tematy, które kiedy indziej uznano by za nieodpowiednie, a nawet, że wręcz powinniśmy je poruszać.

Kiedy jednak Pta-nem-hotep wyszedł, musieliśmy się mieć na baczności ze względu na służących, gdyż czuliśmy, jak strzygą uszami. Hatfertiti była demonstracyjnie milcząca, Menenhetet i Nef-kep-aukem rozmawiali o najlepszych harpunach, którymi polujemy na kaczkę wśród bagien. Rozmowa urwała się. Usłyszałem, jak matka szepcze do ojca:

– Nigdy się tak nie zachowuje w inne dni roku?

Ojciec spojrział ku niej, odrywając się od rozmowy z Menenhetetem i pokręcił przecząco głową.

Ciemnoskóry, brodaty Syryjczyk w ciężkiej, wełnianej, cuchnącej szacie został wpuszczony do pokoju, po czym, kłaniając się głęboko każdemu z nas, nalał jakiegoś płynu z ciężkiej drewnianej baryłki, którą przyniósł ze sobą. Całe jego ciało cuchnęło piwem, które rozlewał. Kiedy tylko napełnił nasze kubki, zniknął, ale widziałem po minach służby, że nie podobało jej się ani jego piwo, ani stara oliwa, jaką się nacierał, ani pot, ani wilgotna wełna. Ku zaskoczeniu moich rodziców piwo okazało się jednak doskonałe – tak przynajmniej oświadczyli, czego nie mogłem sprawdzić, gdyż nie pozwolili mi wypić ani kropli. Potem wrócił Pta-nem-hotep i opowiedział nam uroczą historyjkę o właścicielu warzelni (zachowując się przy tym tak, jakby wcześniej nie zaszło nic niezwykłego).

– Pewnego wieczoru kazałem nadzorcy kuchni królewskiej przynieść najlepsze piwo z Memfis, a następnego dnia już padał przede mną na twarz, przepraszając za to, co musi powiedzieć. Okazało się bowiem, że najlepszą warzelnię piwa w naszym mieście ma ten nieszczęsny brudas imieniem Rava, którego właśnie widzieliście, a ów uparł się, że nie wyśle ani kropli za Podwójne Wrota, dopóki nie będzie mu wolno wejść tam samemu. „Wychłostałeś głupca?” – spytałem. „Oczywiście – odparł nadzorca – ale wtedy Rava rozlał piwo na ziemię”. „Możesz mnie zatłuc na śmierć, powiedział nadzorcy, ale wówczas nie dostaniesz ani kropli, chyba że będzie mi wolno samemu obsłużyć faraona”. Zaczęło mnie to interesować. Kazałem mu przyprowadzić nieszczęśnika.

Musiałem go trzymać z dala, bo cuchnie, ale co za piwo ma! Rava twierdzi, że to dzięki kadzi, i przyznam, że za każdym razem napój smakuje mi coraz bardziej. Mówi mi, że od czasu, kiedy pijam jego piwo, pęknięcia w ściankach kadzi nabrały jeszcze większej mocy i nadają piwu silniejszy smak. To „dar radości” – tak nazywa swój mętny napój – i muszę przyznać, że jest wyśmienity.

– Tak się o tobie wyraża, o Wielki Władco Obojga Królestw? Mówi, że pijasz jego piwo? – zapytała moja matka.

– Tak. Rava powiada, że jego towar roznamiętnia i wszyscy powinni to piwo pić. Na tym polega jego siła. Wierzę mu. Popijam jego płyn i czuję się bliski memu ludowi. Nigdy nie czuję się tak, popijając „Maść na serce” (tu wskazał na jedną z amfor z winem) ani też – wskazał na następną – „Piwnice naszej winnicy”. Nie – powiedział Pta-nem-hotep smutnym głosem – kiedy piję te wina, czuję się tylko blisko kapłanów.

– Nie rozumiem, jak możesz tak mówić – powiedziała do niego poufale Hatfertiti, która jakby dopiero teraz pogodziła się ze Świętem Świni i przemogła na tyle, żeby mu wytknąć coś takim tonem, jak gdyby od dziesięciu czy więcej lat byli małżeństwem. – W końcu słyniesz jako posiadacz najlepszych win. – Tu uśmiechnęła się, nieco nietrzeźwa, jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że musi wyjawić intymne przewisko ojca. – Nasz dobry przyjaciel Nef zawsze kiedy rozmawia ze mną, ma taki mętny wzrok, jak woda w bajorku. Za to kiedy mówi o tobie – przerwała, jakby dodając sobie samej odwagi – oczy mu błyszczą jak diamenty.

Czknęła nie zasłoniwszy ust, na co by sobie nie pozwoliła żadnej innej nocy i powiedziała: – Możesz zachwycać się ślimakami, ja za to jestem zachwycona Świętem Świni. Widzisz, uważam, że w każdym z nas jest na tyle świni, by raz do roku warto ją było uczcić kolacją. Oczywiście – uśmiechnęła się rozkosznie – dzisiaj wieczorem krępują nas okowy strachu. My sobie możemy być tylko i wyłącznie świniami, ale ty jesteś jeszcze oprócz tego bogiem, o Wielki Wieprzu Obojga Królestw!

Poczułem ucisk w uszach, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku. Uwaga służby była tak skupiona, jak uwaga ryb, gdy się je wyciągnie w sieci z morza. Usta ojca nie domknęły się; po raz pierwszy w życiu ujrzałem w całej okazałości jego język – szczeka mu bowiem opadła! Nawet Menenhetet obejrzał się z niedowierzaniem. – Nie wolno ci mówić w ten sposób – powiedział ostro do Hatfertiti.

Pta-nem-hotep wznosił jednak ku niej kubek z reszką piwa.

– Nazywano mnie już Dwoma Lwami, Dwoma Drzewami, a kiedyś nawet Dwoma Boskimi Hipopotamami. Obdarzono mnie mianem syna Horusa i syna Seta, jak również księcia Izydy i Ozyrysa, mówiono, że jestem dziedzicem Tota i Anubisa, ale nigdy, moi drodzy, nikt nie wpadł na to, by moje podwójne królestwo określić jako Chlew Północy i Chlew Południa. Należy tylko zapytać – gdzie jest ta Świnia? Możecie ją wnieść – rzucił przez ramię służącym i odwzajemnił przepyszny uśmiech matki. Ale na każdym z policzków pokazało się lekkie zaczerwienienie, nie większe niż ślad po uszczypnięciu okrutnymi palcami, tak jasnoczerwone jak krwawa wybroczyna tuż pod skórą, w powietrzu zaś czuło się gniew. Miałem wrażenie, że powietrze między faraonem a moją matką miało inne zabarwienie niż powietrze między pozostałymi osobami. Potężne siły ujawniane przez moją matkę i Menenheteta, którzy potrafili przyglądać się sobie z głębi krwi, zostały przez moją matkę wykorzystane do zatopienia wzroku w twarzy faraona. Ciepło bijące od świec stało się jeszcze gorętsze, płomienie wystrzeliły w górę; matka ani Pta-nem-hotep nie poruszyli się.

Hatfertiti odwróciła wzrok.

– Nawet w wieczór Święta Świni kobieta nie umie spojrzeć prosto w oczy Dobrego Boga – powiedziała.

– Spójrz – zawołał Pta-nem-hotep. – Tego wieczoru nie jestem bogiem.

Według mnie właśnie w tej chwili bardziej przypominał boga niż w ciągu dnia. Ponieważ matka nie odpowiedziała, wydał chrapliwy i szczekliwy okrzyk tryumfu.

– Wspaniały wieczór – powiedział i podniósł czubek lamparciego ogona do nosa. – Ogon lamparta – dorzucił – był już noszony przez mego wielkiego przodka Chufu, który nauczył lud egipski jak podnosić wielkie głazy. Na piramidy! – I mówiąc to, zaczął uderzać czubkiem ogona o

stół, jak gdyby z wysiłkiem dźwigał bloki skalne w górę. Nigdy chyba nie widziałem go równie ożywionego.

I nigdy tak się nie podobał mojej matce. Znów poczułem ukłucie zazdrości. Moje myśli wspięły się po ciemnych włosach matki, niczym kochanek po murze oddzielającym go od wyhranki, a zazdrość pomogła mi pokonać jej opory. Nie miała czasu, by się mi oprzeć. Ze wszystkich sił broniła się przed natarczywością faraona, który też chciał przeniknąć jej myśli.

Miała powody, by ukryć przed nim swe myśli. Spodziewałem się intymnego nastroju, ale nie byłem przygotowany na tak szybkie zetknięcie z powiewem cielesnego oddechu jej prawdziwej duszy. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego odezwała się w taki sposób (nie do wiary – jeszcze mi w uszach dźwięczało „o Wielki Wieprzu Obojga Królestw”). Jej słowa, wypływające na fali uniesienia spowodowanego „darem radości”, precyzyjnie się przez usta na skutek nagłego impulsu, jaki poczuła między nogami. Ponieważ mój umysł błędził po jej umyśle, moje ciało znajdowało się w jej ciele, a moje nogi między jej nogami, wiedziałem, że przeszył ją silny dreszcz, gdy Rava nalewał piwo. W ten sposób przekonałem się, że nie tylko służące, takie jak Ejasejab, ale i damy, jak moja matka, mogą brać Słodki Paluszek do ust. Oczywiście taki Rava nie miał wcale Słodkiego Paluszka i w myślach matki pojawiła się pokryta brodawkami pała, żyłasta jak przedramię, czerwona jak wypieki na policzkach faraona. Wciąż jeszcze marzyła o własnych ustach wokół członka Ravy, czuła w nosie zapach jego włosów łonowych i starego potu, piwa oraz syryjskiej wełny. Zarazem wspominała słowa faraona dotyczące kapusty – „obrzydliwa” – i drżała na to wspomnienie, gdyż w jej myślach pojawiły się genitalia pozostałych mężczyzn, najpierw Tego Który Miażdży Kości (dostrzegła je w rozchyleniu przepaski na łodzi, gdyśmy rano ruszali w drogę). Zdawałem sobie sprawę z tego, że Rava był tylko pretekstem, niczym więcej, wspomnienia Fek-Futi, którego znała jako dziecko, że drży miłośnie na sam dźwięk przezwiska Zbieracz Gówień, że zwykła była siadać mu na kolanach i węszyć ślady dawnego zajęcia – bo też ogrody są podstawą i esencją dziecięcych przyjemności. W pewnym momencie wyobraziła sobie siebie w orgii miłosnych uścisków, gdy ją brano wszystkimi otworami jej ciała, gdy ryczał w niej i huczał potok doznań krwawych jak mięso. Dlatego właśnie wyrzuciła z siebie na głos (wściekła na Pta-nem-hotepa, że pozwolił, by piwo Ravy rozwiązało jej język) – o tak, teraz dopiero dotarły do mnie te słowa – „Wielki Podwójny Chlew”.

Niejednego jeszcze miałem się dowiedzieć o własnej matce. Odczuwałem wyraźnie przyjemność, jaką sprawiło faraonowi opuszczenie oczu przez Hatfertiti, która nie mogła znieść siły jego spojrzenia, ale zdawałem też sobie sprawę z gniewu, jaki go ogarnął na skutek jej słów. Matka też musiała się tego domyślać, gdyż starając się sprawić wrażenie, że na niczym tak bardzo jej nie zależy jak na przedłużeniu jego przyjemności rozkoszami spokojnej rozmowy, powiedziała doń jak najwdzięczniej:

- Czy żartowałeś, mówiąc, że twoje wino nie dorównuje piwu?
- Nie chodzi o dorównywanie – odparł Pta-nem-hotep.
- Wino zalatuje kapłanami. Widzisz, uważam, że i we mnie jest zbyt dużo z kapłana.
- Wcale nie – rzekła matka.
- Jesteś niezwykle uprzejma – powiedział Pta-nem-hotep. Pochylił się i czubkiem palca dotknął sutka jej obnażonej piersi. – Ale oto i rozrywka – dorzucił wesoło.

IX

Piękna dziewczyna, naga, jeśli nie liczyć wstążeczki na biodrach, weszła niosąc trójstrunową lirę. Nie zwlekając zaczęła grać pieśń miłosną:

Jakże piękny jest mój książę

Jakie świetne sądzono mu czyny.

Pta-nem-hotep nie zwrócił na nią uwagi, zaczął jednak bębnić palcami po stole w takt pieśni. Kościsty Etiopczyk wszedł z fletem dłuższym ode mnie i stanąwszy za dziewczyną, też zaczął grać. Dziewczyna śpiewała, a trzy inne tańczyły. Podobnie jak ta, która grała na lutni, były nagie, okrywały je ledwie wstążeczki na biodrach z kawałkiem materiału zakrywającego włosy w złączeniu ich ud. Nie mogłem się powstrzymać od wpatrywania się w ich pępki i piękne obnażone piersi. Jakże błyszcząły ich oczy, odbijając światło tyłu świec! Dziewczyna grająca na lutni śpiewała:

Dajcie mi słodkie olejki i wonne perfumy

Kwiatami ustrójcie me ciało

Całujcie ciało siostry która żyje w waszych sercach, niechaj runą mury.

– Niechaj runą mury – zaśpiewała Hatfertiti, gdy przyszła kolej na refren, i poklepała stojącą najbliżej służącą po pośladku, właśnie w chwili gdy dziewczyna rozsypywała płatki kwiatów wokół talerza matki.

– Kochana jesteś – powiedziała do niej, dziewczyna zaś, sięgnąwszy do koszyczka przytroczonego do pasa, podała matce kuleczkę wosku o cudownej woni – w perfumach czuło się róże i lotos.

Zacząłem się domyślać, iż zostaniemy ustrojeni wieńcami z kwiecica lotosu, wokół świeżych alabastrowych talerzy zaś ułożą nam płatki róży (talerze były duże, jasne i mlecznobiałe). Zacząłem się domyślać, że cała ta oprawa, dziewczyny, kwiaty, pieśni i pieszczoty służących, że to wszystko było co prawda częścią każdej zwykłej uczty, ale zarazem dziś wieczór miało nas doprowadzić do rozgorączkowanej gotowości na chwilę, kiedy wniosą świnię.

– Jesteś taka piękna – wyszeptła służąca do ucha mojej matki, gładząc ją po udzie, ja zaś usłyszałem: – Jesteś za mały, żeby się dowiedzieć, gdzie mogłabym cię pocałować.

– Tak, tak, te urocze rozmówki, które słyszałem na wielu ucztach, dziś pełniły ważną rolę. Dwóch czarnych eunuchów odzianych tylko w przepaski na biodrach wniosło świnię. Ich przepaski ozdobiono diamentami, które musiały pochodzić z garderoby faraona. Służący przynieśli mięso na wielkim czarnym półmisku i postawili na środku stołu pośród tupotu nóg tancerek, pośród przyspieszonego tańca brzucha i podniecająco przyspieszonego rytmu melodii wygrywanej na lirze. Dźwięki cisnęły się do naszych uszu razem ze świergotem ptaków z ogrodów faraona. Uświadomiłem sobie nagle obecność zwierząt odzywających się zewsząd, przede wszystkim szczekającego psa.

Oto i Świnia. Nie byłem przygotowany na taki widok. Wyglądała jak żywa i sprawiała wrażenie groźnej. Widywałem już dziki w klatce, ale były wówczas brzydkie i pokryte kłującą sierścią, zmierzwioną i splątaną błotem i odchodami. Ich ryje przypominały mi kikuty rąk złodziei po wykonaniu kary, tyle że tkwiły w nich dwa otwory nosowe. Dziurki od nosa były duże i brudne,

przypominały dwa dołki zrobione placem w błocie. Ta Świnia została jednak ogolona, nie oskrobana, warstewka spodnia skóry była ugotowana, czysta i różowa. Oba kły owinięto w złote listki, kopytom zrobiono manicure, a następnie ozdobiono je listkami ze srebra, nos oczyszczono i pomalowano na różowo, w nozdrza wetknięto pęki białych kwiatuszków, w pysk owoc granatu. Służący, obracając półmisek na wszystkie strony, by wszyscy mogli się przyjrzeć dekoracjom, obrócili świnie tyłem do mnie. Zobaczyłem zwinięty spiralnie ogonek, ale zanim się zdążyłem popisać inteligencją i porównać ów ogonek do ślimaka, spotkała mnie kolejna niespodzianka. W dobrze oczyszczony odbył świni wsadzono niewielki zwój papirusu.

– Masz go wyjąć – powiedział Pta-nem-hotep do Hatfertiti. Przy akompaniamencie chichotów służby, która w zachwycie przyglądała się niezwykle widowisku, Hatfertiti pocałowała swą lewą rękę i ujawniła rolę w czubki palców, szybko ją wyciągnęła.

– Co tam napisano? – spytał Pta-nem-hotep.

– Obiecuje przeczytać, nim skończymy ucztę – powiedziała figlarnie Hatfertiti, jakby pragnąc pozwolić papirusowi odpocząć.

– Nie, teraz przeczytaj – rzekł nasz faraon.

Przełamała więc pieczęć z perfumowanego wosku, rozwinęła zwój, krzyknęła z zachwytem, gdy rubinowy skarabeusz wypadł ze środka na jej talerz (dotknęła nim sutka, nim odłożyła go na stół – „na szczęście”), a potem przeczytała nam wszystkim następujące słowa: „W Noc Świni prosty ze mnie sługa, lecz oby moja swoboda była i wam dana”. Ojciec i Menenhetet roześmiali się. Pta-nem-hotep i Hatfertiti – nie. Patrzyli na siebie i na świnie tak czule i miło, że zapragnąłem usiąść między nimi. Sprawiali wrażenie gotowych pogрузić się w rozmowach tak wyszukanych i fascynujących, że nigdy by się nie kończyły. Przez cały czas ojciec mój był dumny, a nawet szczęśliwy i chłopięco zadowolony z honorów, jakie jego żonie czynił pan domu, jak gdyby nie w pełni na nie zasłużyła. Za to pradziadek pilnie przyglądał się ojcu, wykrzywiając twarz w lekkim uśmiechu, aż kąciki jego ust wyglądały jak dwa słupki ogrodzenia, i leciutko obracał półmisek ze świnia, jak gdyby w zwierzęciu kryły się jeszcze inne zwitki papirusu, które należało odczytać.

Dzięki temu miałem czas przyjrzeć się naszemu pieczonemu potworowi, który wyglądał jak nowo narodzony różowy hipopotam albo jak spuchnięty karzeł, albo, z łbem zwróconym w moim kierunku jak człowiek, powiedzmy kapłan – pomyślałem w skrytości ducha. Też zacząłem chichotać, gdyż Świnia co prawda nie żyła, ale oko z mojej strony miała otwarte i niemal przezroczyste. Czułem się jak ktoś, kto zagląda do mrocznego, wykładanego marmurami wnętrza, a potem poczułem się niepewnie, gdyż coś zwierzęcego poruszyło się w tym marmurowym wnętrzu. Może to blask świec pełgający po bladezielonych martwych oczach, może zastygłe zadowolenie, z jakim szczęki zwarły się na owocu granatu, a może łapczywie zadarty nos, pozwalający przypuszczać, że ten wymalowany ryj jest w stanie wdychać najgorsze i najsilniejsze wonie. Tak czy inaczej, coś w niesamowitym spokoju i pazerności tej martwej świni sprawiło, że skojarzyłem sobie ją z wysokim kapłanem Kem-Uszą. Dziwaczne skojarzenie, niewątpliwie.

– Pokrajcie bestię i nałóżcie nam na talerze – rzekł Pta-nem-hotep.

Zrazu ledwo mogłem przełknąć. Gardło miałem ściśnięte przerażeniem. Na twarzach pozostałych biesiadników widziałem jednak inne reakcje. Ojciec po pierwszym kęsie miał niepewny błysk w oku, jakby wahając się, czy mu smakuje, czy też go brzydzi – kiedyś już widziałem go z takim samym wyrazem twarzy, gdy weszliśmy z matką do jego pokoju, a on miał obie ręce na ciele służącej, jedną z przodu, drugą z tyłu, obie poniżej pępka. Matka zdradzała zakłopotanie swoim wyrazem twarzy, jak gdyby obawiając się poważnych konsekwencji takich smakołyków. Potem ośmieliłem się podnieść wzrok na faraona, a ten sprawiał wrażenie zawiedzionego, jak gdyby spodziewał się czegoś więcej po mięsie, które właśnie dotykało jego

podniebienia. Muzyka była głośna, ale uciszył ją. Tancerki wyszły, za nimi dziewczyna z lirą i czarny niewolnik z długim fletem.

Zupełnie inny wyraz twarzy miał mój pradziadek. Powoli żuł jedzenie, niezwykle silnymi zębami jak na mężczyznę sześćdziesięcioletniego (nie mówiąc już o jego stu osiemdziesięciu latach, o których nie śmiałem wręcz myśleć), i jak zwykle, czynił to z rozmysłem, powoli, miarowo zaciskając szczęki. Widok pradziadka przy jedzeniu uspokajał mnie równie dobrze jak kołysanie kołyski i koił, jak krzepiący spokój snu, mimo koszmarnych majaków. Czułem się bezpiecznie patrząc jak je, gdyż wiedziałem, iż żadna siła nie zdoła wytrącić go z równowagi. Zachęciło mnie to, by spróbować z własnego talerza, ale omal się nie udławiłem. Mięso było tłuste i miękkie, i zdumiewająco znajome w smaku – w ustach miałem coś równie krzepiącego jak język Ejasejab. Świnia znała mnie lepiej niż ja świnie.

Natychmiast zapragnąłem zjeść więcej, więcej tego wulgarne i tłustego mięsa, i przypomniałem sobie dzięki dreszczom, które mnie przeszły, jak się czułem, próbując kiedyś okropnego lekarstwa (jego składniki okrywała najgłębsza tajemnica) – odznaczało się najgorszym smakiem i zapachem, jaki znałem, i sprawiło, że wymiotowałem bez końca. Kiedy jednak zapach w moich nozdrzach rozwiął się, zaznałem spokoju, miękkiego i ciepłego, a nawet szelmowskiego, nieco podejrzanego. Było to uczucie, jakiego doznawałem, próbując mięsa świnie, toteż poczułem się tak, jakbym przyjmował komunię od bogów mokrego zboża, sfermentowanego jęczmienia, gnijących roślin. Nawet woń martwych róż była mi bliska, gdy jadłem świnie, toteż zacząłem się zastanawiać, czy Świnia jest mniej żywa niż pozostałe zwierzęta, czy żyje bliżej śmierci, a mówiąc bez ogródek, czy żyje we własnych gównach.

– Żuj wolniej – powiedziała matka.

Mając nos pełen aromatycznych woni, przyglądałem się faraonowi, podziwiając go, jak dystygowanie je, i naśladowałem ułożenie jego rąk. Jego palce trzepotały nad mięsem niczym ptasie języczki, a kiedy decydował się podnieść do ust kawałek mięsa, czynił to lekko i precyzyjnie.

– Myślę – powiedział – że mamy już dość tego stworzenia. – Jeden ze służących dał znak. – Nader dziwny smak i pełen sprzeczności – oświadczył Pta-nem-hotep. – Według Horusa jest to stworzenie obrzydliwe, a Set naturalnie uwielbiał je. Czuję się wewnętrznie rozdarty, widząc taki spór między naszymi władcami.

Weszli czarni służący, zabrali półmisek z resztą mięsa i nasze alabastrowe talerze. Zaintrygowały mnie ich zręczne ruchy i wyraźny wdzięk w ich gestach. Przypomniałem sobie, jak bardzo się wściekli nasi syryjscy służący, gdy ojciec kupił sześciu czarnych niewolników przyuczonych do usługiwania przy stole. Oznaczało to – dopiero teraz zrozumiałem – że moi rodzice byli otoczeni takim samym szacunkiem jak bliska rodzina faraona, garstka wyższych urzędników i kilku najwybitniejszych generałów. Mogliśmy sobie pozwolić na syryjską służbę do podawania potraw i murzyńską do ich zabierania ze stołu.

Dzięki naukom matki wiedziałem naturalnie, że prawą rękę należy traktować jak świątynię. Istotnie, powiedziała kiedyś, wydymając wargi, że nigdy nie widuje się szlachetnie urodzonych Egipcjan, którzy dotykają własnego ciała prawą ręką – to dobre dla robotników i zapaśników. Prawa ręka była przeznaczona do noszenia broni i dotykania żywności, i dlatego przed każdym posiłkiem należało ją obmywać olejkiem z lotosu. Lewa ręka musiała zaś spełniać posługi, które staraliśmy się utrzymać w ukryciu, służyła zwłaszcza podcieraniu, czemu nie wypadało poświęcać zbyt wiele uwagi. Wiedziałem więc, że różnica między służbą do przynoszenia i odnoszenia potraw odpowiada różnicy między prawą a lewą ręką. Wiedziałem też, iż nasi Murzyni nie byli szczęśliwi z powodu takiego podziału pracy. Słyszałem, że często się kłócili z Syryjczykami, choć taka kłótnia musiała się ograniczać do narzekania, gdyż prędzej czy później nadzorca kuchni wzruszał

ramionami i mówił: „Pan tak kazał”. Niemniej wydawało mi się, że Murzynów charakteryzuje zdolność do popadania w czarną rozpacz i czasami dochodziłem do wniosku, że nawet najędzniejszy czarny służący potrafi lepiej odczuć zły nastrój swoich bogów niż większość z nas, wyjąwszy może Menenheteta, Kem-Uszę i matkę (która w złym nastroju dorównywała obu).

Dziś wieczór Murzyni byli jednak zdumiewająco pogodni i wnet zaczęli chichotać między sobą. Początkowo nie wiedziałem, co ich rozbawiło, ale po chwili zrozumiałem. Faraon zjadał resztki swej porcji, posługując się lewą ręką. Jakżeż ci Murzyni się śmiali!

– Kochają świnie – zawołał faraon, gdy wyszli. – W krainach na południu kochają świnie. – Roześmiał się i dorzucił:

– Mówią, że im czarniejsza skóra, tym słodszy smak wieprzowiny. – Rozejrzał się po biesiadnikach. – Opowiedzcie mi coś o Murzynach – powiedział stanowczym tonem – bo jestem nimi zafascynowany. Ich obyczaje są wielce pouczające. – Uderzył w stół czubkiem lamparciego ogona, jakby akcentując to, co powiedział i dając nam znać, że teraz nasza kolej, by go zabawić. Byłem na to przygotowany, gdyż matka mówiła mi, że kiedy faraon żąda, by go zabawić, musimy mieć w pogotowiu nasze opowiadania. Muszą błyszczeć jak klingi i być równie piękne jak kwiaty w ogrodzie.

– Słyszałem – powiedział ojciec – że kiedy czarni kacykowie porozumiewają się co do wymiany własności, jeden pluje drugiemu w usta, kłania się, otwiera usta i sam z kolei przyjmuje ślinę drugiego. W ten sposób zawierają umowę.

– Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie albo Kem-Uszę zawierającego umowę w ten sposób?

Faraon był w osobliwym nastroju, zarazem nieszczęśliwy i podniecony. Nikt się nie odzywał, ale w powietrzu aż huczało od rozmów, a przynajmniej tak mi się zdawało. Moje myśli pobiegły w ślad za jego myślami, nigdy dotąd nie udawało mi się z równą łatwością przeniknąć do jego umysłu. Ale w głowie miał tylko jedno słowo: trucizna!

Rozejrzał się wokół siebie i powiedział:

– Porozmawiajmy o truciznach. Uśmiechnął się do pradziadka. – Opowiedz mi, o uczony Menenhetecie, o naturze trucizny.

Pradziadek uśmiechnął się powściągliwie. – Jest to czystość, która nigdy nie słabnie – powiedział ku zdumieniu wszystkich obecnych. Do tej pory nie dawał się wciągnąć w rozmowę.

– Podoba mi się – rzekł faraon – sposób, w jaki wyjaśniasz nawet najtrudniejsze sprawy. Czystość, która nigdy nie słabnie. Czy i miłość można podobnie określić?

– Można – rzekł Menenhetet – i często myślałem, iż trucizna i miłość mogą pochodzić z tego samego źródła.

– Złośliwa uwaga – wtrąciła Hatfertiti.

– Wcale nie – rzekł Pta-nem-hotep. – W akcie miłosnym jest coś trującego.

– Świnia wtrąciła cię, o Dobry i Wielki Boże, w przykry nastrój – rzekła matka.

– Och, nie, nie przykry – powiedział Pta-nem-hotep – zatruty! – Raz jeszcze walnął ogonem w stół, podkreślając precyzję, z jaką nazwał swój nastrój. – Tak – powiedział – trucizna jest tym wszystkim, czym my nie jesteśmy.

– Godne podziwu – wymruczał Menenhetet – muszę przyznać, że posiadasz umysł godzien podziwu.

– Komplement – odparł faraon. – Prawdziwy komplement od starego lisa. Posłuchaj, starcze, znałeś ich wszystkich, znałeś moich przodków lepiej niż ktokolwiek inny, powiedz więc nam teraz, czy był pośród nich choćby jeden o umyśle przewyższającym umysł twego pokornego sługi Pta-nem-hotepa?

– Nikt nie miał równie bystrego umysłu – rzekł Menenhetet.

– Ale potężniejszy?

– Mój król Górnego i Dolnego Egiptu ma najpotężniejszy umysł – powiedział Menenhetet tak cicho, jak tylko potrafił.

– Ach, pogadajmy o czymś innym – rzekł Dobry Bóg.

– Pogadajmy – rozejrzał się wokół stołu – o krwi miesięcznej.

– Ależ to okropne – odparła matka.

– Czy słyszałaś o poglądach Murzynów na te sprawy?

– spytał.

Było jasne, że nie chciała poruszać tego tematu. – Sądzę, że dzieciom niewiele wiadomo o poglądach i obyczajach ludów zamieszkujących krainy południa – powiedziała, wskazując ruchem głowy na mnie.

Ponieważ Ejasejab spędzała wiele nocy, śpiąc w moim pokoju bez ubrania, wiedziałem już sporo o miesięcznym upływie krwi. Raz na miesiąc, regularnie wraz z pełnią księżyca, kładła się przez parę dni do łóżka w przepasce na biodrach. Choćby się wówczas często kąpała, wydzielała woń, która kojarzyła mi się, jeśli nagle przebudziłem się w nocy, z rzeką, która wylała z koryta i zaczęła nagle płynąć przez nasz pokój. Nie tyle brzydziłem się tą wonią, ile byłem jej ciekaw. Słyszałem bowiem, jak dzieci naszych służących szeptały, że przez czternaście dni wschodów księżyca i czternaście dni zachodów wszystkie kobiety prędzej czy później pławią się w księżycowej krwi, a niektóre wręcz całkiem regularnie, zawsze tego samego dnia.

Spytałem, czy dotyczy to także mojej matki, a towarzysz moich zabaw, syn kowala z naszych stajni, zachował się tak, jakby sobie właśnie napisał biedy, gdyż padł na kolana i ucałował mnie w palce od nogi – nie było to przyjemne, gdyż wargi miał popękane i szorstkie (od żaru kuźni ojca) niczym skóra jaszczurki. Potem powiedział mi, że moja matka jest spokrewniona z boginią i w związku z tym nie może mieć miesięcznej krwi. Pokiwałem głową, jakby obu nam było doskonale wiadomo, że tak jest w istocie, ale w gruncie rzeczy byłem zaintrygowany, gdyż często tuliłem się do matczynych ud i zatapiałem twarz w jej łonie, coraz wyżej nad kolanami, w miarę jak rośłem – czułem się wtedy naprawdę szczęśliwy. Oczywiście moja matka pachniała najlepszymi olejkami z płatków lotosu, ale od czasu do czasu też wydzielała inne wonie, słabiutkie niczym woń jednej umykającej rybki, podobne do aromatu, jaki spowiadał Ejasejab w piętnastą noc księżycową, kiedy to czułem się tak, jakbym mieszkał w krainach na południu, dokąd nigdy nie zawędrowałem, w tych krainach, w których rodzili się Murzyni, drzewa zaś sięgające połowy piramidy Chufu zasłaniały niebo. Rośliny rosły tam w takim upale, że trudno było wśród nich oddychać – tak właśnie czułem się w piętnastą noc księżycową, gdy Ejasejab cierpiała, a ja się zastanawiałem, jak to możliwe, że blask księżyca tak boleśnie rani kobiety.

Widać zatem wyraźnie, iż rozmowa, przed którą moja matka usiłowała mnie uchronić, nie byłaby dla mnie niczym nowym, toteż Pta-nem-hotep postanowił zignorować jej protesty i posłał mi znaczący uśmiech.

– Nadzwyczajnych dzieci nie należy chronić przed naszymi rozmowami – powiedział i zwrócił się ku mnie.

– Prawda?

Odpowiedziałem potakującym skinieniem głowy, jakbyśmy byli jednej myśli. Istotnie, zgadzałem się z nim. Zawsze miałem przeczucie, że wydarzy się coś strasznego, jeżeli nie wysłucham wszystkiego, o czym mowa na ucztach.

– Miałem kiedyś czarnego sługę – rzekł Pta-nem-hotep – który mi opowiadał, że w wiosce jego dziadka nie dopuszczano kobiet, pełnych księżycowej krwi, do bydląt. Trudno wręcz sobie

wyobrazić, jak głęboko ci ludzie są przekonani, iż takie kobiety są wysoce niebezpieczne. Jeżeli na przykład dotkną broni męża, jest on przekonany, że zginie w najbliższej bitwie.

– To barbarzyńcy – rzekła matka.

– Nie jestem taki pewien – powiedział Pta-nem-hotep.

– Możemy się od nich wiele nauczyć.

– Nawet świątynie lepią z błota. Nie potrafią ciąć kamienia. Nie umieją pisać – wyliczała matka.

– Czy zauważyłeś, jak zachowuje się niewolnik na widok pisarza mozolnie ślęczącego nad paletą? Popiskuje jak małpa i poci się z przerażenia.

– Tak – powiedział Pta-nem-hotep – lecz wiedzą oni o rzeczach, o których my nie mamy pojęcia – przerwał.

– Gdybym chciał wysłać list z Memfis do Teb, jak najszybciej mógłby tam dotrzeć?

– Przez konnych posłańców – rzekł ojciec. – Jeśli będą zmieniali konie, jeśli będą wypoczęci i nie zasną, to w dwa dni i dwie noce list trafi do Teb.

– Raczej w trzy dni i trzy noce – rzekł faraon. – Ale mniejsza o to. Dalej na południe, między Kuszem a Nubią, ten sam list można przesłać przez dżunglę i z wierzchołka wielkiego wzgórza na szczyt dalekiej góry, i dalej przez busz i rozległe doliny, przez rzeki (tak mi opowiadano), tak jest, na odległość równą siedmiu dniom wiosłowania i dryfowania z biegiem Nilu z Teb do Memfis lub dwóm czy trzem dniom jazdy posłańców konnych. Murzyni potrafią pokonać taką odległość w czasie, jaki minie od chwili, gdy słońce jest na środku nieba w samo południe do jego zachodu wieczorem. Tak szybko Murzyni potrafią przesłać list na znaczną odległość, nie korzystając z dróg ani szlaków komunikacyjnych. Nie nazwałbym tego barbarzyństwem.

– Jak to robią? – spytała matka.

– Dzięki bębnom – odparł Pta-nem-hotep. – Nie potrafią pisać, nie znają tajemnic i sztuk nieobcych naszym świątyniom.

– Ni naszym grobowcom – rzekł Menenhetet.

– Ni naszym wyrafinowanym grobowcom. Ale czarni ludzie umieją bardzo dobrze przemawiać za pomocą bębnów. Szybko przesyłają wieści.

– To barbarzyńcy – powiedziała matka. – Potrafimy znacznie więcej. Umiemy wyłuskać niewypowiedzianą myśl z powietrza.

– Tak – dodał ojciec. – Nasz Boski Władca Obojga Królestw słyszy wiele takich myśli.

– Ale zwykle słyszę je niedokładnie – odparł Pta-nem-hotep. Zaczął się śmiać tak głośno, że ogon mu podrygiwał, wkrótce jednak urwał, a rysy twarzy wyostrzyły mu się od zaciekawienia i okrucieństwa. – Na przykład w tej chwili rzeźnik z rynku Ptaha zabił po pijanemu żonę, widzę to wyraźnie. Czekając, aż go pochwyca sąsiedzi, już mnie błaga o litość. Słyszę go, ale wolę zignorować jego głos. Zawinił, a w dodatku jest nieokrzesany. Jego szorstki głos rani mnie.

– Ale naprawdę go słyszałeś? – spytała Hatfertiti.

– Jutro się dowiem. Powiedzą mi zapewne, że istotnie zbrodnia miała miejsce, ale nie w pobliżu rynku Ptaha. Może zdarzyło się to w biednej dzielnicy za murami opodal alei Amona. Morderca okaże się robotnikiem wypalającym cegły, a nie rzeźnikiem, ofiarą zaś nie jego żona, tylko brat. A może matka. Widzicie, słyszę głosy mego ludu, ale jakże są one liczne i jak szybko napływają! Jakież zgiełk! Gdybym nastawił uszu – otwierał coraz szerzej oczy, krzywiąc się w grymasie bólu, jak gdyby wszystkie jego zmysły w ślad za uszami drgały pod uderzeniem tej fali dźwięków – nie, nieczęsto wsłuchuję się w to z całego serca. Myśli podróżują w końcu nie jak strzały, lecz jak unoszone wiatrem piórka i spływają ku nam ze wszystkich stron. Tak więc cenię Murzynów i ich bębny. Mówią do siebie wyraźnie na duże odległości.

Matka odezwała się:

– Ja też mogę wam opowiedzieć o wysyłaniu wiadomości. Chodzi o kobietę, która poślubiła egipskiego oficera, i która już nie żyje. On za to żyje i pragnie jej przesłać kilka słów.

– W głosie mojej matki pojawiła się jakaś rozkoszna nutka.

– Do tego nie wystarczą bębny – powiedziała.

Bardzo była z siebie zadowolona, jak gdyby wreszcie udało się jej zmusić Pta-nem-hotepa, i to pomimo jego fatalnego nastroju, do skłonienia ucha ku niej.

– Opowiadaj dalej – rzekł.

– Oficer jest zakochany w czarującej kobiecie. Czuje jednak klątwę. Zmarła żona mu nie wybaczy. W nocy, w ramionach ukochanej, jego członek nie chce stać twardo.

– Biedaczysko – rzekł Pta-nem-hotep.

– Mnie by się to też pewnie przydarzyło – powiedział ojciec.

– O nie, to niemożliwe, kochany przyjacielu Nef – odparła matka.

– No, dalej – powiedział Pta-nem-hotep.

– Jak większość oficerów – ciągnęła matka – nie znosi kapłanów. Ale jest zrozpaczony. Toteż udaje się do wysokiego kapłana.

– Czy znasz tego oficera?

– Nie mogę powiedzieć.

Pta-nem-hotep roześmiał się zadowolony. – Gdybyś była królową, naprawdę nie wiedziałbym, co o tobie myśleć.

– Nigdy byś się nie nudził – rzekła matka.

– Ani też nie mógłbym sprawować porządnie mego urzędu.

– Już to samo wystarczyłoby mi, żeby się zachowywać jak należy – rzekła Hatfertiti – i w ten sposób zaoszczędzić cierpienie ludowi Egiptu.

– Czarującą masz żonę – powiedział faraon do ojca.

– Jest natchniona w Twojej obecności – odparł Nef-kep-aukem.

– Hatfertiti – spytał faraon – co takiego doradził ów wysoki kapłan oficerowi?

– Kazał mu napisać list do zmarłej żony i włożyć go w dłoń dobrego człowieka, który właśnie umarł.

– I co?

– List został wysłany jak należy, zmarła zaś przestała trapić męża. Jego członek znów stwardniał.

– Kobiecie bardzo trudno wybaczać mężczyźnie – zauważył Pta-nem-hotep. – Chociaż wydaje mi się, że zmarły nie potrafi wybaczać. Powiedz, co napisał oficer. Musiał to być niezwykle list.

– Nie wiem, co było w liście.

– To mi nie wystarcza – rzekł Pta-nem-hotep. – A o czym ty byś napisał? – spytał Nef-kep-aukema.

Ojciec naprawdę mnie zaskoczył. – Napisałbym do zmarłej żony, że bardzo mi jej brak – rzekł. – Potem oświadczyłbym, że czuję się blisko niej, gdy Kocham inne kobiety. Bo nie myślę wówczas o tych kobietach – tak bym napisał – tylko o tobie. Przywróć mi więc siły. Pomóż mi znaleźć się blisko ciebie.

– Takie przemówienie jest bardziej godne podziwu niż czyny, o jakich mowa – rzekł pradziadek.

– A co ty byś do niej napisał? – spytała Hatfertiti.

– Zwracałbym się do niej jak podwładny. Widzicie, umarli nie są tak silni jak my. Mają tylko jedną siódmą naszych sił. Toteż ich klątwy łatwo oddalić. Trzeba się tylko w jednej siódmej skupić. W końcu właśnie dlatego tak niewielu spośród nas z zadowoleniem oczekuje śmierci. Toteż w

moim liście wyliczyłbym amulety, którymi mogę się przed nią bronić i modlitwy, jakie opłaciłbym w świątyni. Wystarczyłoby, żeby ją przestraszyć.

– Chłodne podejście do zmarłego współmałżonka – rzekł Pta-nem-hotep.

– Chyba nie powinniśmy nikomu pozwalać, żeby osłabiał nasze członki – odparł Menenhetet.

Po tej uwadze zapadła cisza.

– Nie zapytałeś, co ja bym napisała – powiedziała Hatferti.

– Bałem się – rzekł faraon.

– Potem ci powiem – rzekła matka. – Już za późno.

– Przerwała, spojrzała na mnie i po raz pierwszy dostrzegłem błysk okrucieństwa w jej spojrzeniu. – Spytaj mojego syna – powiedziała – przysłuchiwał się rozmowie.

– Napisałbym – powiedziałem – napisałbym, że... – Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ogarnęła mnie melancholia podobna tej, która była w spojrzeniu psa. Koniec końców powiedziałem: – To jest najstraszniejsza opowieść – jaką kiedykolwiek słyszałem. – Po czym nie rozplakałem się głośno, zawstydzony obecnością służących, ale siedziałem w milczeniu z pochyloną głową, a łzy ściekały mi po policzkach.

Zrozumiałem bowiem intencje mej matki. Usłyszałem jej myśl, że w liście napisałaby: – „Jeśli mi nie przywrócisz sił, zabiję nasze dziecko” – oto co matka by napisała.

Czas mijał, ale rozmowy nie było. Milczenie rosło i opadało jak fale. W tej niepewności, w dużej mierze zawinionej przez okrucieństwo listu, jaki napisałaby matka, znów chciałem wniknąć w jej myśli w nadziei, że okaże się dla mnie bardziej wyrozumiała i czuła, lecz nagle ujrzałem wszystkich obecnych oczami faraona. Toteż matkę, ojca, Menenheteta, a nawet samego siebie widziałem z perspektywy krzesła władcy. Wydawało mi się to naturalne, choć niezwykle, i spróbowałem wślizgnąć się w myśli matki. Udało mi się wejść w myśli faraona, więc dlaczego nie miałoby mi się udać z matką? Najprawdopodobniej mój sukces zawdzięczałem temu, iż moja matka akurat w tej samej chwili próbowała także odgadnąć myśli Pta-nem-hotepa. I też jej się udało! Patrząc na pomieszczenie jego oczami zrozumiałem, iż matka jest równie potężna jak ja.

Ale już za chwilę zburzyło się to przyjemne i naturalne wrażenie. Podobnie jak szlachcic, który dotyka świni, tak i ja musiałem się zanurzyć w cierpieniu faraona. Odczuwał nie tyle cierpienie, ile uczucie, dla którego z trudnością znajdowałem imię, zbliżone do przecucia, jakie żywiłem tego dnia, kiedy obudziwszy się nabierałem pewności, iż akurat dzisiaj wydarzy się nieszczęście. Czułem, że mięso świni ugniata pierś faraona jak wosk – jeszcze nawet nie dotarło do żołądka – a i jakaś przygniatająca atmosfera w pokoju nie pozwalała mu się uspokoić. Odczuwa jakiś lęk przed wszystkim, co się jeszcze wydarzy, jak gdyby faktycznie musiał skrywać w sobie wszystkie cierpienia aż do śmierci. Czułem się tak, jakbym wszedł do jaskini o mrocznych cieniach, nasyconych jak barwnik purpury ślimaków z Tyru, miałem jednak niepowtarzalną okazję przyjrzeć się matce, ojcu i pradziadkowi oczami faraona. Rodzina ukazała mi się od nie znanej strony, nawet wyraz ich twarzy inaczej wyglądał w jego oczach niż w moich. Na twarzy mego ojca rysowała się subtelna przebiegłość, o którą nigdy go nie podejrzewałem, Menenhetet zaś ujawniał upór tak bezlitosny, jak moc kamienia miażdżącego ciało. Mimo że pradziadek rzadko się odzywał w czasie kolacji, człowiek ów w oczach Pta-nem-hotepa nabierał rysów tak tajemniczych, że trudniejszych do odczytania niż kamień, gład, który może się rozpaść upadając i ujawnić we wnętrzu cenny diament – a może żywego skorpiona? Pta-nem-hotep spoglądał na Menenheteta z takim właśnie szacunkiem i zwątpieniem.

Co do matki, to nie poznałbym jej, gdyby nie jej opowieść. Wyglądała piękniej i bardziej interesująco niż moja matka. Co do mnie, to widząc siebie jego oczami zdumiałem się nie tyle z powodu ładnych rysów, ale z powodu wrażenia, że jestem błyskotliwy i nader żywotny. Zarazem

jednak na mojej twarzy malował się taki żal i taki smutek! Tego się nie spodziewałem. Nie oczekiwałem też takiej miłości w sercu faraona, gdy na mnie patrzył. Ani też nagłego odpływu tej miłości z powodu wzdęcia w brzuchu zawalonym wieprzowiną. Wobec takiego skoku myślowego przeskoczyłem z powrotem do siebie równie gwałtownie, co w tamtą stronę.

Odezwał się Pta-nem-hotep. Niczym obdarzony nieomylnym instynktem wioślarz zaczął mówić o sprawach, które miały odwieść mój umysł od smutku i melancholii. Służący zaczęli stopniowo gasić świece, faraon zaś miał dużo czasu na opowieść między zdmuchnięciem jednej a długim gaszeniem innej. Gdy ogarnęły nas ciemności, miałem wrażenie, że pokój stał się jaskinią.

Zaczął od tego, że opowieść matki rozbrzmiewała echem naszego wielkiego królestwa i sprawiła, iż zamyślił się nad minionymi czasami. Aczkolwiek matka, zauważył, mówiła o ludziach, którzy żyją pośród nas albo niedawno umarli, odkrył jednak w jej opowieści uczucia tak przemożne, zwłaszcza uczucia zmarłej żony, że przypomniał sobie o wielkich przodkach, którzy zbudowali piramidy.

Nie wierzyłem, że to głos Pta-nem-hotepa. Przemawiał z namaszczeniem jak Kem-Usza. Mówił wolno i gdyby te długie, dźwięczne i donośne słowa nie kołły mych uczuć, z pewnością bym się zniecierpliwiał. Po chwili zacząłem nawet liczyć, iloma głosami faraon przemawiał dziś wieczorem. Niektóre były przenikliwe, inne głębokie, jeszcze inne chropowate albo zdyszane. Wraz z każdym kolejnym słowem zmieniał wymowę, używając tonu, który kojarzył mi się raz z Tym Który Miażdży Kości, raz z Rawa, a jeszcze innym razem z głosami poszczególnych prowincji. Zrozumiałem, że naszemu Dobremu Bogu dane były, jak prawdziwym bogom, różne głosy. Mimo to nie spodziewałem się, że zdoła przemówić jak Kem-Usza. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z tego, że Pta-nem-hotep wysłuchiwał głosów, które mu się nie podobały, tłumiąc w sobie pragnienie oczyszczenia się z nich. Tak więc usłyszeliśmy głos wysokiego kapłana tak zręcznie podrobiony, że zburzył pewnie kamienny spokój Kem-Uszy, nawet jeśli był daleko od nas. Musiał odczuć przyciąganie (jak tamte kawałki czarnej miedzi z nieba) w kierunku swojej imitacji.

Tym właśnie głosem faraon opowiedział nam swoją historię.

– Powiadano o moim przodku Chufu – zaczął – że nie spuszczał oczu z kamieni układanych w wielką piramidę. Powiadają również, iż odesłał wszystkie kobiety z haremu, zostawiając sobie jedną żonę. Był jej, Neter-Kent, wierny jak sobie samemu. Ufał, iż jego moc zależy od wierności. Dzieląc się własnym ciałem z jedną tylko kobietą i żadną inną, zyskiwał boską naturę obojga szlachetnych dusz, a każda z nich miała siedem części. Nie dodawały więc po prostu swych sił jedna do drugiej, lecz je pomnażały. W rezultacie Chufu posiadał siedem razy siedem przejawów mocy.

– Z tej mocy – rzekł Pta-nem-hotep – zrezygnowaliśmy. Nie pragniemy wybudować jednej wielkiej piramidy. Trawimy życie na setkach różnych spraw. Twierdzimy też, że postępujemy rozsądnie. Czyż bezgraniczne zaufanie do jednej osoby nie naraża nas na największe ryzyko, jakie można sobie wyobrazić? Chufu był może siedem razy siedem silniejszy od pozostałych faraonów, ale równie mocno obawiał się, że swą moc utraci. Z tego powodu nie ruszał się z pałacu, żyjąc w ciągłym strachu, iż Re wejdzie w ciało jego żony i wykradnie mu moc. Chufu umieścił nawet swój grobowiec w samym środku piramidy, by światło Re nigdy go nie dosięgło. Rozkazał też strażnikom ukamienować Neter-Kent, jeśli się dowiedzą, że go zabito w trakcie wizyty na budowie. Dalece przestał ufać w wierność małżonki, zaczęły go trapić podejrzenia dotyczące jej kontaktów ze wszystkimi niemal oficerami. Wreszcie wydał dekret. Nikomu nie było wolno kochać się w Memfis bez jego pozwolenia. Ludność musiała okazać posłuszeństwo. Jakiż biedak mógł zaufać sąsiadom, skoro wszystkie odgłosy doskonale słychać na ulicy, a jakiż bogacz mógł zaufać własnej służbie? Wszyscy, bogaci i biedni, musieli żyć w celibacie. Ten potężny cesarz, którego grobowiec

jest większy od góry, władał łądzwiami mężczyzn i łonami kobiet. – Pta-nem-hotep dyskretnie odkaslnął we własną dłoń. – Nawet na łożu śmierci Chufu nie wierzył, że umrze, ponieważ uznał, że ostatecznie został bogiem.

Pta-nem-hotep urwał i rozejrzał się, skupiając wzrok kolejno na każdym z nas. Mnie też oglądał przez chwilę, jakbym zasługiwał na taką samą uwagę jak inni. – Szukałem mądrości – rzekł – i doszedłem do wniosku, że ponieważ faraon jest po części człowiekiem, a po części bogiem, nie wolno mu zanadto zboczyć w żadną stronę, gdyż wówczas popada nieodwołalnie w szaleństwo. Chufu zbłądził, starając się zdobyć boską moc. Ja zapewne błędzę, zbyt mało o to dbając.

Faraon umilkł. Poruszył wargami, jakby znów chciał się do nas odezwać, zawahał się i ucichł. Wiedziałem, że zapowiada się zmiana nastroju. Wszystkie rzeczy dziwne, ale harmonijne, pełne drobnych strachów i egzotycznych rozkoszy, zawała się. Ze wszystkich stron biły fale, w me myśli. I faktycznie – tuż po chwili, niezapowiedziany przez służbę, wszedł Kem-Usza.

X

Gdybym go nawet nie znał i tak domyśliłbym się, że musi być nie tylko wezyrem, ale i wysokim kapłanem. Wszedł bowiem tak pewnie, jakby był zagranicznym księciem. Dziękując z faraonem oddech znany tylko ptakom (nasze skrzydła drżałyby w każdym drganiu powietrza, gdybyśmy mieli skrzydła), zdawałem sobie sprawę z najdrobniejszych zmian atmosfery i wiedziałem, iż kiepski nastrój mego monarchy jest równie zrozumiały jak umieszczanie zawiasów w drzwiach.

Wysoki kapłan minął mnie niczym królewska barka. Nie znaczyłem dlań więcej niż papirusowa rafa kołysana wywołaną przezeń falą. Nie był wysoki, ale miał olbrzymią głowę, wygolona zaś czaszka, posmarowana oliwą, lśniła przyciągając wzrok. Miał na sobie krótką spódniczkę, spod której wystawały nalane uda. Na ramiona narzucił pelerynkę, którą w dawnych czasach kapłani nakładali tylko w wyjątkowych wypadkach (powitalne pytanie mej matki dotyczyło tej właśnie pelerynki). Jeszcze bardziej onieśmielał niż przedtem.

– Zostało jeszcze chyba trochę mięsa dla ciebie – rzekł nasz faraon.

– Jadłem już kolację – odpowiedział Kem-Usza powolnym, głębokim głosem. Potem dorzucił: – Nie obchodzę Święta Świni.

Pta-nem-hotep na to: – Módlmy się, by bogów nie rozgniewała taka wstrzemięźliwość.

– Nie sądzę, by moja wstrzemięźliwość rozgniewała jakiegoś boga.

Sądząc ze sposobu, w jaki mówił, można było pomyśleć, iż jest w stanie odwołać bluźnierstwo, odpowiednio dobrawszy ton głosu. Jak gdyby podkreślając, iż nie jest zadowolony z przebiegu rozmowy – nie usiadł, gdy faraon wskazał na poduszki, lecz powiedział głębokim głosem:

– Proszę, byś raczył udzielić mi audiencji i przychylił ucha.

– Jest Noc Świni. Możesz mówić w obecności nas wszystkich.

Kem-Usza milczał.

– Nasza skromna uroczystość została zakłócona – rzekł faraon – twoim pragnieniem złożenia mi wizyty. A mimo to nie chcesz nawet z nami usiąść. Masz mi coś do powiedzenia, coś nieprzyjemnego, Kem-Usza, i to akurat w taki przyjemny wieczór. Czy często widzisz, jak się radują? Nie, zgodzisz się chyba, że nieczęsto. Czyż lud Egiptu nie cierpi z tego powodu? Ludzie mogą się bawić i weselić tylko wówczas, gdy bogowie są szczęśliwi. Wiesz o tym?

Kem-Usza skinął głową z wyrazem twarzy zdradzającym walkę ze zniecierpliwieniem.

– Powiedz mi, czy król Byblos zabił egipskich wysłanników, których przetrzymywał?

– Nie – rzekł wysoki kapłan – nie przyszedłem rozmawiać o królu Byblos.

– Nie dotyczy to przypadkiem księcia Elamu, który uwięził kacyka sprzyjającego nam w tamtych stronach?

– Nie – odparł Kem-Usza.

– No to zapytuję cię, Kem-Usza, jakież to nowe i nieprzyjemne sprawy musimy rozważyć?

– Naczelnny pisarz biura wezyra w Memfis właśnie przywiózł mi wiadomość od głównego pisarza w Tebach. Kurier przybył przed chwilą. Mówi, że dwa dni temu robotnicy z kuźni i cieśle w nekropolii w Tebach rozpoczęli strajk.

– Dwa dni temu. Nie mogłeś zaczekać do rana?

W takiej sytuacji inni zareagowaliby na naganę siedmiokrotnym biciem głową o ziemię lub ukłęknięciem. Kem-Usza zacisnął tylko wargi. – Boski Władco Obojga Królestw – rzekł. – Przybyłem, by się spotkać z tobą dziś wieczorem, gdyż sytuacja jest niebezpieczna, a ja mam jutro wiele zajęć. Musimy to omówić teraz.

– Tak – odrzekł Pta-nem-hotep. – Wybrałeś jedyną możliwość. – Z przyjemnością odnotował figlarny błysk w oczach mojej matki.

– Można powiedzieć – rzekł Kem-Usza – że robotnicy w nekropolii cieszyli się naszymi szczególnymi względami. Ponad dwa miesiące nie dostali żadnej ciężkiej pracy. Mimo to uważali, że w czasie siedemdziesięciu dni lżejszej pracy należy im się taka sama porcja, jaką zwykle otrzymują. Mimo naszej szczodrości – zastrajkowali.

– Kem-Usza, czy rozdano im racje żywnościowe, czy też zapisano im te racje na konto?

– Wypłaty zamówiono, lecz spóźniły się. Przez cały miesiąc Farnot zboże się niestety spóźniało o tydzień. W miesiącu Farmuti wysłano oliwę i piwo, ale niestety zapomniano o ziarnie. – Przerwał. – Brakowało też fasoli. Potem okazało się, że ryb starczy tylko na połowę porcji. Tak więc zastrajkowali.

– Dlaczego twoi urzędnicy doprowadzili do takiego niedostatku? – spytał Pta-nem-hotep.

Teraz Kem-Usza wyglądał na człowieka, któremu zależy na rozmowie sam na sam z faraonem. – Nadzorcą robotników w kuźniach i cieśli w Mieście Umarłych w Tebach jest Nam-Szem – powiedział. – Sam go wybrałeś. Jeśli sobie przypominasz, Władco Obojga Królestw, prosiłem cię, żebyś nie mianował niższych urzędników. Twoja boska natura skłania cię do dostrzegania talentów naszego ludu, ale zbyt wolno reaguje na ich występki. Nam-Szem ma długi u wielu hazardzistów i alfonsów. Sprzedał więc pięćdziesiąt worków zboża i wiele innych towarów należących do robotników z nekropolii, oni zaś, nie otrzymawszy w tym tygodniu swych porcji, rozpoczęli strajk.

– Rozdaj im żywność – rzekł Pta-nem-hotep – z zapasów w świątyni.

– Obawiam się, że nie jest to najrozsądniejsze wyjście – Kem-Usza pokręcił głową.

– Sto osiemdziesiąt pięć tysięcy worków ziarna zostało w zeszłym roku darowanych świątyni Amona z królewskiego skarbcza. – odparł Pta-nem-hotep. – Dlaczego żałujecie pięćdziesięciu worków dla tych robotników?

– Są dobrze opłacani – rzekł Kem-Usza. – A moi kapłani nie.

Pta-nem-hotep popatrzył na pradziadka, po czym powtórzył:

– A moi kapłani nie!

Potem przemówił głosem tak szyderczym, że każdy inny śmiertelnik na miejscu Kem-Uszy dawno by się zapadł pod ziemię.

– Czy wiesz – rzekł – że w trakcie trzydziestoletniego panowania ojciec mój darował świątyniom ponad sto tysięcy niewolników, pół miliona sztuk bydła i ponad milion pól uprawnych? Nie wspominając już o drobnych upominkach. Milion talizmanów, amuletów, skarabeuszy. Dwadzieścia milionów bukietów kwiatów! Sześć milionów bochenków chleba! Sprawdziałem jego rachunki – i nie uwierzyłbym w te liczby, gdybym sam, rok po roku, nie płacił prawie tyle samo naszemu Kem-Uszy i jego świątyniom, choć nasz skarbiec jest mniej zasobny. Może wasze modły nie potrafią doprowadzić rzeki do pożądanej wysokości? Albo doprowadzają zbyt wysoko? Za mało albo za dużo, zazwyczaj za mało. Może ja zbyt mało mam w sobie z Amona, albo ty, Kem-Usza, nie umiesz się dobrze modlić. Tak czy owak, brakuje nam ziarna. Mimo to nie rozumiem, jak możesz żałować pięćdziesięciu worków. Mój ojciec dał świątyniom pół miliona ryb w ciągu trzydziestu lat i dwa miliony kadzi z kadzidłem, miodem i oliwą. Mój ojciec, Ramzes III, był wielkim faraonem, lecz nie tak wielkim, by się zorientować w ciężarach, jakimi świątynie obarczają skarbiec. A ja jestem tylko jego cieniem. Tak czy owak, Kem-Usza, mówię, ci, daj robotnikom w

nekropolii ziarno, które im się należy. Przywróć porządek. Jeżeli się pomyliłem, mianując Nem-Szema, nie pysznij się moją omyłką.

– Muszę cię posłuchać – rzekł Kem-Usza. – Ale dodam, że twój dar zachęci ich do ponownego strajku z mniej ważnych powodów.

– Przywróć porządek – powtórzył Pta-nem-hotep.

Twarz Kem-Uszy pozbawiona była wyrazu. Odpowiedział:

– Miałem okazję raz jeszcze zamieszkać w twoim wrażliwym sercu, o Władco Obojga Królestw. Nim odejdę, muszę cię jednak prosić, byś zechciał mnie wysłuchać na osobności. Jest jeszcze jedna sprawa, a nie mogę o niej mówić przy innych.

– Jak już mówiłem, mamy Noc Świni. Powiedz przy wszystkich.

Kem-Usza, sprzeciwiając się woli faraona, pochylił się i wyszeptał mu coś do ucha. Popatrzyli sobie w oczy. Poczulem, jak coś we mnie zadrżało. Pta-nem-hotep rzekł:

– Dobrze, może przejdziemy się po ogrodzie. – A potem rzucił nam krótki uśmiech jak gdyby przepraszając, że tak szybko nas opuszcza, i wyszedł ze swoim wysokim kapłanem i wezyrem.

XI

Moi rodzice milczeli, gdy wyszedł. Menenhetet też nie odezwał się ani słowem. Ogarnął mnie bezwład, nasycony smakiem wieprzowiny.

Objedzony i wprawiony w zakłopotanie tym, co właśnie usłyszałem, zacząłem odczuwać senność. Lepsze samopoczucie sprawiło, że gotów byłem wybaczyć matce; świeży ból ustawał i rana się zablizniała. Może sprawiło to złote światło świec odbijające się w moim złotym kubku, ale wnet poczułem, że rozmarzyła mnie myśl o świetle w naszym pokoju. Wyobraziłem sobie, że światło to kiedyś mieszkało w miodzie. Matka opowiadała mi raz o tym, że воск na świece zbierano z uli faraona. W tym właśnie świetle przyglądałem się rodzicom, podziwiając zwłaszcza urodę matki. Nigdy dotąd nie widziałem w niej aż tylu twarzy co przy tym świetle dziś wieczorem. Zatopiony w myślach rodziców miałem serce skruszone jak u pięćdziesięciolatka i tyle też czułem cynicznej goryczy (po raz pierwszy doświadczyłem tak silnego uczucia wyższości). Nie mogłem się powstrzymać od skierowania uśmiechu do matki, która u siebie w domu rzadko wykazywała się aż takim taktem. Kiedy była w gronie rodzinnym, traktowała ojca z niecierpliwością i bez szacunku. Jej nastrój udzielał się całemu domowi. Jej równie częste jak u czarnych służących humory sprawiały, iż miałem wrażenie, że upał się wzmaga. Wierzyłem kiedyś, że potrafi wpływać na zmianę pogody. Jeśli była w wyjątkowo złym humorze, zachód słońca tracił urok. Pamiętam też nieznośną duchotę zmierzchu, gdy ostatnie chmury czerniały nad wzgórzami na zachodzie.

Kiedy był u nas Menenhetet, matka pokazywała inną twarz. Wydawała się wówczas pokorna niczym osiemnastoletnia dziewczyna, a ja czułem się nie jak jej syn, lecz jak młodszy brat, który też podziwiał Menenheteta. Jak młodszy brat czułem się do wczorajszego wieczoru, kiedy to ujrzałem ich razem. Pamięć tego, co widziałem, i świadomość jej śmiałych wypowiedzi w obecności faraona sprawiły, iż z niejaką obawą myślałem: „Dała z siebie wszystko, by mnie wychować. Ale teraz sama chce czegoś więcej od życia”.

Zdawałem sobie także sprawę z tego, że faraona dziwnie długo nie ma. Rodzina zaczęła się kręcić niecierpliwie.

Akurat w chwili gdy widok pustego krzesła po faraonie zdążył ostatecznie zepsuć wszystkim nastrój, władca wrócił. Znajdował się w szczególnym stanie. Czułem, że jest bardzo przygnębiony, ale zachowywał się jak człek wesół, a race jego dowcipu wystrzelały jeszcze częściej.

Natychmiast dał sługom znak ręką i czterech Syryjczyków przyniosło nam dary.

Ojcu przyniesiono podpórkę pod głowę ze srebra, a Menenhetetowi małą laleczkę wyrzeźbioną z kości słoniowej. Przedstawiała ona mężczyznę odzianego w delikatne płótno. Gdy się nacisnęło na uda laleczki, co też pradziadek niebawem uczynił, podnosił się bladożółty fallus. Ojciec zachichotał, gdyż czubek członka był pomalowany na czerwono.

Moja matka otrzymała pasikonika odlanego ze szkła. Główka ozdobiona dwoma małymi rubinami miast oczu dawała się odkręcić. Gdy matka ją odkręciła, po pokoju rozszedł się zapach upojnych perfum.

– Nie otwieraj – rzekł Pta-nem-hotep – bo zaraz stąd wyjdziemy. Zachowaj ten zapach na następną salę. Aha, jeszcze chłopiec. – Zrobił ruch, który miał świadczyć, że o mnie zapomniał, ale oczywiście wcale nie zapomniał, gdyż sługa podał mu kunsztowną małą szkatułkę z dwoma

kawałkami „czarnej miedzi z nieba”. Byłem zachwycony i natychmiast zapomniałem o wszystkim, bawiąc się sztabkami, które mnie zafascynowały jeszcze bardziej niż poprzednio. Zamknąwszy oczy, nie wiedziałem już sam, co jest górą, a co dołem, tak dziwnie tajemnicze sztabki wykręcały mi ręce. Potem Pta-nem-hotep popatrzył na pradziadka i zapytał:

– Czy potrafisz wyjaśnić mi ten cud?

– Nic podobnego dotąd nie widziałem – odparł Menenhetet. – Nie jest to kawałek bursztynu, który przyciąga do siebie materiał. Nie jest to urok rzucany przez jedno oko na drugie. To przyciąganie jest bardzo silne.

– Czy sądzisz – spytał nasz faraon – że jeden kawałek metalu pożąda drugiego?

– Powiedziałbym, że to coś więcej niż pożądanie, to jakby zakrzywienie w naturze rzeczy.

W głosie Pta-nem-hotepa dosłyszałem nutkę zdziwienia, gdy pytał: – Ale gdzie można znaleźć takie zakrzywienie? Na zakręcie rzeki? Na niebie?

– Ośmieliłbym się twierdzić, że chodzi o zakrzywienie w upływie czasu – wymamrotał pradziadek.

– Nie wiem, o czym mówisz. Można przecież mówić w taki sposób o węźle albo o skurczu. Może, mój drogi lekarzu, masz na myśli zapalenie czasu?

Chciałem krzyknąć do faraona: – Nie kpij sobie z mojego pradziadka, bo nas wszystkich jeszcze spotka jakieś nieszczęście! – Nie śmiałem jednak.

Menenhetet milczał jednak spokojnie jak kamień. Dopiero gdy wszyscy zwróciliśmy nań wzrok, przemówił: – Zastanawiam się, czy takie przyciąganie nie jest wołaniem z przeszłości, które wybiega w przyszłość.

Pta-nem-hotep dotknął lekko stołu czubkiem ogona.

– Doskonale – powiedział. – Cudownie. Wszyscy powinniśmy wiedzieć o jednym oku Horusa. Między nami mówiąc, trzeba będzie dowiedzieć się prawdy. Jestem bowiem zdania, że to wszystko, co ma dopiero nadejść, może wpływać na to, co się już wydarzyło. – Pokiwał głową, westchnął i wstał. Wstaliśmy. Uczta była skończona.

Służba wyprowadziła nas z jadalni i powiodła marmurowymi schodami, potem przez place i dziedzińce z fontannami i palmami na mały taras z sofami, na których można było odpocząć. Spoglądając z tarasu, widzieliśmy na pierwszym planie marmurowe kolumny szlachetnie zdobione jak na fasadach świątyń, na drugim zaś pałacowe zabudowania oraz mnóstwo dziedzińców, ogrodów i murów, a nawet fragment rzeki. Skupiłem uwagę na tym, co można było dojrzeć w oddali i nie zauważyłem, że służący zaczęli kolejno wnosić zamknięte szkatułki na stojakach. Faraon kiwał głową, patrząc, jak je ustawiali jedna obok drugiej. Znałem Pta-nem-hotepa dość dobrze, by wiedzieć, że wkrótce nam wyjaśni, jaki to cud, dostępny wyłącznie w jego obecności, chce nam pokazać.

Gdy zgaszono ostatnią pochodnię, każdy z ośmiu Murzynów stanął przy jednej ze szkatuł. Były to zakryte kawałkami materiału klatki. Nie widzieliśmy własnych twarzy po ciemku. Pta-nem-hotep mlasnął językiem i na ten znak zdjęto okrycia z klatek.

Ciemność rozjarzyła się. Powoli dostrzeżliśmy, co dla nas przygotował. Każda z klatek była okryta przezroczystym płótnem. Ze środka, spoza każdej zasłonki, pokazywały się światełka malutkich gwiazdeczek migających to tu to tam, miliardy światełek w każdej klatce. Zaniemówiliśmy z wrażenia, potem zaczęliśmy bić brawo. Ileż to trzeba było zachodu, by nałapać aż tyle świetlików! Jakże łagodnie rozjaśniły się rysy matki, ileż w nich było miłości. Siedzieliśmy w ciemnościach rozświetlonych złotymi gwiazdami.

XII

– Powiedz nam – rzekła matka – czego sobie życzysz przy świetle tych świetlików?

– Niczego – odparł Pta-nem-hotep.

– W mojej rodzinie – powiedziała matka – przywykliśmy odwzajemniać rozkosz rozkoszą. Czego byś zapragnął z naszej strony? Damy ci wszystko, co mamy. – Nie potrafiłem znieść śmiałego wejrzenia, jakim obrzuciła faraona.

– Wiele rozkoszy przychodzi mi na myśl – odpowiedział Pta-nem-hotep. Roześmiał się jednak, jakby odsuwając ją od siebie. – Pozwólcie, że ograniczę się do jednego tylko życzenia. Można powiedzieć, że zastanawiałem się nad nim od lat. – Zamyślił się i jak człowiek, który dochodzi do wniosku, że wypowiedział myśl słuszną, pokiwał głową. Rzekł: – Światło tych robaczków przypomina mi ogniska dawnych wojsk. – Ojciec wydał okrzyk zachwytu, uświadomiwszy sobie oryginalność tego skojarzenia. Pta-nem-hotep znów pokiwał głową. – Tak – ciągnął – chciałbym prosić generała, waszego pradziadka Menenheteta, który dał mi wiele do myślenia swoimi wypowiedziami o czasie, by opowiedział nam przebieg bitwy pod Kadeszem.

– Już nie pamiętam – powiedział powoli Menenhetet – kiedy po raz ostatni o niej opowiadałem.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że często ją mam przed oczami – rzekł Pta-nem-hotep. – Bohaterstwo mojego przodka Ramzesa II śni mi się po nocach. Jeśli więc pragniecie odwzajemnić przyjemną niespodziankę, proszę generała o opowieść o bitwie pod Kadeszem.

Pradziadek milczał przez chwilę, po czym skłonił się. – Jak słusznie powiada Hatfertiti, tak się przyjęło w naszej rodzinie. – Wyglądał jednak posepnie jak chmura gradowa.

Ponieważ nic więcej nie powiedział, odezwała się matka.

– Opowiedz o bitwie – poprosiła tonem zdradzającym rozdrażnienie, jak gdyby Menenhetet pozostawiony samemu sobie mógł wszystko popsuć.

Zamilkli wobec przyływu złego nastroju u pradziadka. Na jego twarzy kłębiły się chmury niczym na niebie przed burzą i poczułem, z jaką złością zwraca swe myśli ku matce. Wiedziałem, że nie będą to myśli piękne, ale nie spodziewałem się, że będzie w nich aż tyle goryczy. „Degenerat, który się żywi nietoperzym gównem, został zaproszony, by zdradzić kilka szczegółów” – oto jakie były niewypowiedziane słowa przepływające od dziadka ku matce.

– Wiesz chyba, że z przyjemnością goszczę cię w moim domu – powiedział Pta-nem-hotep po chwili milczenia.

Menenhetet znów się skłonił.

– Mogę przemówić – rzekł – czterema głosami. Mogę się do ciebie zwrócić jako młody wieśniak, który został mianowany woźnicą rydwanu i zrobił karierę, dochrapawszy się stanowiska głównodowodzącego wszystkimi armiami, dywizjami Amona, Re, Ptaha i Seta za panowania Ramzesa II. Mogę ci opowiedzieć o tym, jak w moim drugim życiu zostałem najmłodszym wysokim kapłanem w Tebach, także za panowania tego samego Ramzesa II. Równie dobrze mógłbym ci opowiedzieć o Menenhetecie III, najbogatszym spośród tych, którzy dorobili się olbrzymiego majątku. Urodzony za panowania Merenptaha, przeżył Siptaha, Setiego II i innych faraonów, takich jak Setnacht. Jeśli chcesz, mogę też przemawiać jako dzisiejszy Menenhetet, ten, który tu z wami siedzi, szlachcic, generał, a ostatnio także znany lekarz. Mogę ci opowiedzieć, jeśli

sobie tego życzysz, o spisku przeciw twemu ojcu albo o krótkim i nieszczęśliwym panowaniu Ramzesa IV, Ramzesa V, Ramzesa VI, Ramzesa VII i Ramzesa VIII, którzy przeminęli w ciągu 25 lat, choć Ty, o Panie, zapewne będziesz panował dłużej niż wszyscy oni razem wzięci.

Mówiono mi często, że człowiek zachowuje się najgodniej, wymieniając pełną pierśią wszystkie swoje zaszczyty i osiągnięcia. Ale przemówienie pradziadka było tak krótkie, że wręcz opryskliwe, a to, co powiedział później, zdumiało nas jeszcze bardziej. Za nic miał sobie przepisy określające to, jak należy się zwracać do faraona. Powiedział bowiem: – O Podwójnie Boski Władco, mówisz, że gościsz mnie z przyjemnością. Ale dzisiaj mamy wszak Święto Świni. Ośmielam się więc przypomnieć, że do dzisiaj mnie nie zapraszałeś, i że trwało to 7 lat twego panowania. A teraz powiadasz, że nic ci nie sprawi takiej przyjemności jak opowieść o twym przodku Ramzesie II w czasie bitwy pod Kadeszem. Język staje mi kołkiem w gardle. Przez 7 lat czekałem, chcąc ulżyć memu sercu i mając ci więcej do opowiedzenia niż ktokolwiek inny w całym królestwie. A jednak mój władca mnie nie wzywał.

Hatfertiti aż się zachłysnęła z wrażenia.

Faraon jednak odezwał się głosem, w którym zabrzmiała wyraźnie ulga, ulga, że ktoś wreszcie odsłania przed nim swoje myśli. – Mów dalej – rozkazał.

- Dobry i Wielki Boże, na pewno przerazi cię to, co usłyszysz.
- Chcę tego wysłuchać.
- Jesteś pierwszy wśród tych ludzi na twym dworze, którzy się ze mnie wyśmiewają.
- Nieprawda.
- Dzisiaj nie.
- Ależ tak, właśnie dzisiaj się z ciebie śmiałem. Kiedy indziej też.
- Echa twojego rozbawienia – rzekł Menenhetet – dobiegły i do mnie.

Pta-nem-hotep pokiwał głową: – Nie znam nikogo na moim dworze – rzekł – kto na swój sposób nie ceniłby cię. Na pewno się ciebie boją. Ale istotnie, stajesz się często celem szyderstwa. Nie wiesz przypadkiem dlaczego?

- Chciałbym, żebyś ty powiedział dlaczego.
- Tajemne obyczaje naszego czcigodnego Menenheteta zostały ocenione jako odstręczające.
- Są odstręczające – odparł pradziadek. – Powiadają, że żywię się nietoperzym gównem.
- No proszę – powiedziała matka – powiedział to na głos.
- Nietoperze – rzekł Menenhetet – są to stworzy brudne, histeryczne jak małpy i ruchliwe jak robactwo.

– Któż mógłby zaprzeczyć? – rzekł faraon. – Łatwiej się z ciebie wyśmiewać, niż zrozumieć twoje obyczaje.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, jakie zapada między dwojgiem ludzi, którzy powiedzieli sobie za dużo.

- Czy postępujesz tak – spytał faraon – uprawiając magię?

Menenhetet pokiwał głową. – Chciałem wykorzystać to, co zostało zużyte w poprzednich wcieleniach.

- Udało ci się?

– Kiedyś nie umiałem zrezygnować z dociekania odpowiedzi na dziwaczne pytania. Nie dałem się więc odstraszyć tym, którzy mnie ostrzegali przed rewelacjami gnieżdżącymi się w niewysłowionym smrodzie nietoperzy.

- I dociekałeś dalej?

– Wiele lat temu, owszem, przez parę tygodni, raz czy dwa przyjąwszy ten odrażający pokarm. Trudno mi teraz spokojnie o tym mówić, ale wówczas wydawało mi się to konieczne i faktycznie

znalazłem odpowiedź, której szukałem. Nie była aż tak istotna, jak sądziłem i na tym powinienem był skończyć, ale zaufany służący, który widział przygotowania do ceremonii, uznał za stosowne zwierzyć się z tego swemu przyjacielowi. Nikomu nie można ufać bezgranicznie. Już następnego dnia w całym Memfis wrzało. Nie sądzę, by komuś udało się o tym nie słyszeć. A ja, pragnąc wykorzystać to, czego się dowiedziałem...

– Do czego?

– Do wzbogacania szpiku – rzekł Menenhetet – naszych jałowiejących pól. – Ponieważ faraon spojrział nań zaskoczony, pradziadek podniósł dłoń, jakby przez chwilę to on był monarchą. – Nie mam na myśli modłów – powiedział – które błagają rzekę, by się uniosła na pożądaną wysokość. To dobre dla kapłanów. Mówię o sprawach, których nie chcę wyjaśniać. Cała wiedza moich czterech wcieleń nie wystarczy, by pojąć niektóre obrzędy. – Urwał, widząc niezadowolenie na twarzy faraona, którego usta wygięły się w okrutnym grymasie jak klinga miecza (zdałem sobie sprawę z tego, że pragnienie zadawania tortur innym przychodziło faraonowi najszybciej wówczas, gdy rosło jego zainteresowanie jakąś sprawą, po czym malało). Pradziadek zmienił ton i powiedział: – Człowiek skłonny do oddawania się dziwnym obrzędom i posługiwania magicznymi formułami mocy dochodzi do wniosku, że trzeba wybrać jakiegoś boga i czcić go bardziej niż innych. Nie tylko większość jego obrzędów odprawiana jest dla tego boga, ale większość jego myśli ku niemu wlatuje. Wydawało mi się zatem, że jestem narzędziem Ozyrysa, ponieważ to Ozyrys przemówił do mnie w Krainie Umarłych. Tylko on, jak mi się wydawało, mógł znów zapłodnić szpik naszych marniejących gleb.

Nikt nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa, pradziadek zaś siedział z powagą i w milczeniu jak niewzruszona, kamienna rzeźba.

Tylko Pta-nem-hotep mógł przerwać takie milczenie.

– Czyżbym był faraonem, który kojarzy ci się przede wszystkim z Ozyrysem? – spytał.

– Tak – odpowiedział pradziadek. – Tak mi się wydaje. Śledził błysk w oku faraona (widoczny nawet w słabym świetle świetlików).

– To ciekawe. Mów dalej. Chciałbym się dowiedzieć, jakie upokorzenia spotkały cię na moim dworze.

– Nie chciałbym się skarżyć w twojej obecności. Powiem tylko, że drobna nielojalność mego sługi wyrządziła mi poważne szkody. Pożyczony skutek moich poszukiwań został udaremniiony przez szyderstwa twego dworu. Ku memu potwornemu zawstydzeniu wiedziałem wiele, lecz nic nie mogłem działać.

– Ktokolwiek ma do czynienia z magią – rzekł Pta-nem-hotep – powinien być przygotowany na liczne szyderstwa.

– Bogowie wysłuchują podłych myśli. Muszą. Nikt z nas nie jest pozbawiony kontaktu z siłami magicznymi, przemawiając do bogów we śnie.

– Jeden nielojalny sługa, powiadasz, wystarczył, by zaroilo się od takich obrzydliwych historyjek?

– Tego nie twierdzę – odparł Menenhetet. – Zrobiłem wiele takich rzeczy, których ludzie pobożni – a także niezbyt pobożni – nie pochwalają. Ale w oczach ogółu dwie odrażające kolacje mówią same za siebie. Wielka szkoda. Tyle chciałbym ich nauczyć.

– W to wierzę. Niewątpliwie bardzo cię oczerniono. Z drugiej strony zastanawiam się... czy wloką się za tobą tylko te historyjki o nietoperzach – spytał Pta-nem-hotep – czy też, jeśli mogą dziś być z tobą szczery, kwestia ekskrementów tak dalece cię pociąga? Słyszałem, że jako lekarz korzystałeś z dość dziwacznych lekarstw.

– Prowadziłem – odrzekł Menenhetet – życie bardzo uczciwe, naturalnie według mojej własnej miary uczciwości. Nie boję się żadnego tematu, przynajmniej wówczas, gdy dane jest mi rozmawiać z faraonem tak mądrym jak ty. Nie – dorzucił – nie wstydzę się opowiadać o tych tajemnicach. To inni nie są w stanie mnie wysłuchać.

– Na przykład ja – powiedziała Hatferti. – To będzie plama na wspomnieniu dzisiejszego wieczoru. – Powiedziała to głosem tak zdecydowanym, że pradziadek rzucił jej piorunujące spojrzenie, w końcu opuściła wzrok. To była jego godzina.

– Może zechcesz opowiadać dalej – rzekł Pta-nem-hotep.

– Dobrze – odpowiedział Menenhetet i skłonił głowę ku Hatferti. – Nie wiemy – rzekł – w jaki sposób myśli te dotarły do Egiptu, ale od dłuższego czasu sporządzamy nasze lekarstwa z małych odchodów, z kuleczek węzowych gówień, kozich bobków, nawozu końskiego, krowich placków, ptasiego guana, nawet z tego, co znajdujemy w naszych nocnikach. – Przerwał. – Nadszedł czas, by się zastanowić nad potrawami, które spożywamy. Rośniemy dzięki nim w siłę, a to, czego nie potrafimy wykorzystać albo wykorzystać nie chcemy, jest wydalane. Ekskrementy są pełne elementów zbyt odrażających, ale znajdują się w nich także takie, które zawierają to, na co nas nie stać, a więc wszystko, co jest zbyt bogate, odważne albo dumne dla poszczególnych ludzi. Skoro mamy dziś Noc Świni, to ośmielę się stwierdzić, że więcej uczciwości, hojności i wierności znajdziesz w kupie twych dostojników, dam dworu i wysokich kapłanów niż w słowach, które wychodzą z ich ust. Żywność, która podsycza w nich hipokryzję, jest trawiona szybko przez królewskie otoczenie, ale żywność krzepiąca cnoty, które chciałbyś u nich widzieć, jest szybko wydalana.

– Dobrze powiedziane – pochwalił go Pta-nem-hotep.

– Nie po raz pierwszy stykam się z takimi poglądami.

– Istotnie, głos miał stłumiony, jakby przyznawał pradziadkowi rację i podzielał jego gorycz. Jednakże w łagodnym świetle świetlików zadał pytanie polemiczne: – Czy warto odrzucić zdrowy rozsądek ludzi prostych? Z pewnością uznają oni czyste płótno za oznakę wysokiej rangi. Ktoś, kto jest nienagannie czysty, może rozkazywać temu, kto jest brudny. Mówimy nawet o człowieku, którego nie szanujemy, że to mierzwa. Mimo to zaintrygowała mnie twoja logika. Teraz nie jestem w stanie nic jej przeciwstawić. Jest dziwaczna. Jeżeli nasze odchody unoszą ze sobą nie tylko to, co w nas najlepsze, ale i to, co najlepsze w ogóle, to skąd w kiszkać szlachcica ma się znaleźć cnota? Przyjmując twój punkt widzenia, należałoby oczekiwać, że najostrzejsze trucizny powinny się zeń wydalić najszybciej. I czy twierdzenie przeciwne nie jest równie prawdziwe? Czy biedak nie oferuje nam tyłkiem złota? Dlaczego zatem zdrowy rozsądek nie kazał wszystkim Egipcjanom pędzić co tchu do latryn najbiedniejszych żebraków? Pomyśl tylko, ile bogactwa, odwagi i hojności znajdzie się w odchodach tych nędzarzy!

Hatferti pokładała się ze śmiechu.

Mój pradziadek siedział pogrążony w zadumie. – Tak – powiedział – wszyscy śmiejemy się z gówna, jak obecna tu dama Hatferti, ponieważ człowiek śmieje się wówczas, gdy prawda zostaje nagle ujawniona i równie prędko zakryta. Bogowie igrają z nami, odsłaniając nam prawdę na krótko. Toteż śmiejemy się.

– Nie odpowiadasz na pytanie, pradziadku – odezwałem się nagle.

– Interesuje cię to? – spytał faraon.

Pokiwałem poważnie głową. Pokój zatrząsł się od śmiechu i zacząłem się zastanawiać, jaka to rzadka prawda odsłoniła się dzięki mnie.

– Tak – rzekł Pta-nem-hotep, gdy wszyscy umilkli – ja też chciałbym poznać twoją odpowiedź.

– Zgoda – rzekł Menenhetet – że szlachetnie urodzony powinien odrzucić wszelkie brudne pokusy zawarte w pożywieniu. Toteż jego odchody powinny zawierać odrażające trucizny, co też miałyby faktycznie miejsce, gdyby wielu z nich nie żyło pogrążonych we wstydzie i hańbie. Czasami mogą skorzystać z wielkiej szansy, ale brak im odwagi. Nie możemy przyjmować każdego wyzwania, gdyż wszyscy byśmy prędko wyginęli, zwłaszcza najdzielniejsi pośród nas. Z drugiej jednak strony musimy sobie zdać sprawę z tego, że za każdym razem, kiedy unikamy trudnego wyboru, to co w nas najlepsze, uchodzi z nas między pośladkami.

Pta-nem-hotep rzucił bystre spojrzenie na mego pradziadka. – Wciąż nie rozumiem – powiedział tonem z pozoru szyderczym, ale zarazem zdradzającym zainteresowanie – dlaczego bobki motłochu nie są przedmiotem westchnień moich doradców. Przecież kąpiel w takich gównach powinna być dla nich wielce pożywna?

– Twój doradca ma rację. Biedacy i nędzarze mogą rzucić klątwę na własne ekskrementy. W przeciwnym wypadku nawet gówno by do nich nie należało.

– Ta ostatnia uwaga – powiedział Pta-nem-hotep – zrobiła na mnie duże wrażenie.

– Istotnie, dobrze powiedziane, o Panie – potwierdziła Hatfertiti. Głos miała szorstki i zacząłem się zastanawiać, czy zmienił się jej pod wpływem rozmowy, piwa, wina, wieprzowiny, czy wszystkiego naraz. Z pewnością okazywała mniej szacunku memu pradziadkowi niż przy innych okazjach, na faraona zaś spoglądała wzrokiem pożądlivym. Parokrotnie usiłowałem wnikać w jej myśli, ale widziałem tylko tumult nagich ciał sprośnych jak zapaśnicy na treningu. W tym zgiełku rozpoznałem twarz Ravy, Pta-nem-hotepa, ojca i pradziadka; wszyscy tam byli, a w samym środku leżała matka – naga, z otwartymi ustami.

XIII

Nawet w bladym świetle świetlików widziałem, że faraon jest niespokojny. Początkowo sądziłem, że z tych samych powodów co ja, że też nie może wybaczyć matce jej okropnych skłonności, ale wnet zdałem sobie sprawę z tego, że przemowa pradziadka musiała wyrzeć na nim duże wrażenie. Z tych czy innych powodów umysł faraona był zaprzątnięty poślądkami. W myślach czuł się przez nie otoczony. Potem złąły się w jedną wielką parę poślądków, która zamieniła się w twarz Kem-Uszy.

Wówczas faraon wstał i ku zdumieniu obecnych przywołał do siebie pradziadka. – Chodź – powiedział – chciałbym ci pokazać pewien pokój. – Przez chwilę sądziłem, że i mnie zaprosi. Jego oczy znów na mnie spoczęły, wyrażając ogrom uczucia – przynajmniej tak mi się zdawało – ale potem wyszedł z pradziadkiem, zirytowawszy matkę tym nagłym zniknięciem.

Wstała, kiedy tylko minęli kolumny, i zaczęła chodzić wkoło jak pantera przywiązana do palika. Widziałem kiedyś takie zwierzę w ogrodzie pradziadka. Kiedy tylko rzuciło się jej kawał mięsa, chwyciła go w powietrzu. Matka gotowa była rzucić się na ojca w chwili, gdy się odezwał: – Nie mam zamiaru zwracać ci uwagi...

– Nie odzywaj się... – powiedziała.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Czy dziecko śpi? – spytała matka.

Wydałem leciutkie westchnienie, niczym we śnie, co nie było po prostu oszustwem, ponieważ zawsze wypełniał mnie bezgraniczny smutek, gdy zaczynali ze sobą walczyć.

– Nie widzisz codziennie tłumy kobiet, które rzucają się na niego – rzekł ojciec. – Nudzi go takie nadszaskakiwanie.

– Nie rzucam się na niego. Oferuję siebie. I robię to, żeby ci sprawić przyjemność. Jeżeli mi się uda, to spotka cię najwyższa rozkosz, gdyż wchodząc we mnie, do końca życia będziesz sobie zdawał sprawę z tego, że i on tam jest. – Przerwała na chwilę. – Czy nie robi ci się cieplej na sercu? Powiedz, że nie chcesz, żeby faraon posiadał mnie dziś w nocy.

– Zamilcz, proszę! Powietrze rozchodzi się echem.

– Wszyscy wiedzą, że jestem nadmiernie ci wierna. – Matka roześmiała się ordynarnie.

Ojciec szepnął: – Przypominam ci, że jesteś damą. Nie poznaję kobiety, która spędza z nami wieczór. Masz taki ordynarny śmiech.

– Naprawdę to chciałeś mi powiedzieć? Stać mnie na wiele, ale dopóki się na to nie zdobędę, mam się zachowywać jak dama?

– Nie to chciałem powiedzieć.

– O tak. Bardzo ładnie to ująłeś. Tak ładnie, jak to ci się zdarzało, kiedy się pobraliśmy. Widzisz, kochany przyjacielu, mój Nefie, ukradłeś mi moje dobre maniery i zostawiłeś swoje – odziedzyczyłeś je po ojcu, okropnym człowieku. Jeżeli jestem dla ciebie zbyt ordynarna, to dlatego że ja, księżniczka, popełniłam za młodu ten błąd, że się w tobie zakochałam.

Ojciec zamilkł po takiej przemowie, bo zazwyczaj milczał po kłótniach. Zawsze kończyły się zwycięstwem matki, która obnosiła się z nim jak królowa. Z drugiej strony ojciec tak zręcznie

wykorzystywał swoją przegraną, że często się zastanawiałem, czy nie jest matce koniecznie potrzebny. Z kim innym mogłaby się czuć tak zwycięsko?

Ale tego wieczoru ojciec mnie zaskoczył. Powrócił do kłótni mimo przegranej. – Wydaje mi się, że jesteś głupia – wybuchnął. – Nic ci nie wychodzi. Przyznaj przynajmniej, że znam go bardzo dobrze. Jest dobrym i wielkim bogiem, ale gnębią go poważne problemy. Nie jest więc skłonny do przebywania w towarzystwie kobiet, które są z siebie za bardzo zadowolone. W jego oczach są zbyt agresywne.

– Mylisz się. Nie ma królowej, a chciałby ją mieć. Nie ma nawet atrakcyjnej kochanki. W sercu nosi samotność, a dzisiaj dotarłam do jego serca. Nie ma boginki, która byłaby dlań oparciem i podbiciem stopy, która całowałaby jego uda i namaszczała jego miecz. Jest faraonem bez berła...

– Zamilcz!

... i bez pastorału. Byłabym jego piczką i sterem, jego brylantem i niewolnicą. Nie chcę już słyszeć od ciebie o manierach, ty synu zbieracza gówien.

– Jesteś głupia – rzekł ojciec. – Tak bardzo go pragniesz, że go odepchniesz. Potem popatrzy na mnie i pomyśli: – Ze też bałam się żony mojego nadzorcy. Nigdy mi tego nie wybaczy.

– Będę go miała – odparła matka – nim noc minie.

– To się źle skończy – powiedział ojciec – bo jeżeli utracę stanowisko, będziemy uważani za służbę Menenheteta i nic więcej.

Nie odpowiedziała, ale zrozumiałem, że oprócz przemożnego pragnienia czaił się w niej także ogromny strach. Nie chciałem już być blisko nich. Ponieważ nie potrafiłem dotrzeć w myślach ani do faraona, ani do Menenheteta i nie miałem pojęcia, dokąd się udali, więc zszedłem kilka stopni ku rzece snu. Ledwo jednak zdołałem zamknąć oczy, a już ujrzałem przed sobą twarz Kem-Uszy, wysokiego kapłana, który zbliżył się i ukazał mi swoją twarz, wielką i okrągłą jak księżyc. Pachniał jak ziele, którym przekładamy płótno. Otwierając oczy nadal widziałem rodziców, ale myślami byłem gdzie indziej. Pojawił się faraon i stanął obok Kem-Uszy.

– Opowiedz nam o zakłęciach – powiedział do mnie wysoki kapłan.

Jakaś sła biutka siła, którą odczułem jak palec przyciśnięty do czoła, kazała mi zwrócić uwagę na dużą, krągłą twarz Kem-Uszy.

– Aby rzucić zakłęcie, trzeba obejść mury. Trzeba okrążyć przeciwnika – powiedziałem.

– Wysłuchaj dziecka – rzekł Pta-nem-hotep. – Wiele się odeń nauczysz, Kem-Usza.

Nie wiem, czy to, co powiedziałem, było godne pochwały, ale i drugą myśl wypowiedziałem natychmiast, gdy mi się nasunęła. – Okrążywszy mur – dodałem – należy poszukać wejścia do środka. – Nie bardzo wiedziałem, co to wszystko znaczy, ale pojąłem, że znajduję się pod jakimś urokiem. Dzięki jakiejś dziwnej sile straciłem z oczu Kem-Uszę i dotarłem do pokoju, w którym stali Menenhetet z faraonem, po czym wysłuchałem ich rozmowy.

Nie wiem, oczywiście, czy monarcha i Menenhetet milczeli w czasie kłótni rodziców i zaczęli mówić dopiero teraz, czy też owa tajemnicza siła wtrąciła mnie w sam środek ich rozmowy.

Wiem tylko, że w dalszym ciągu widziałem świetliki w klatkach i rodziców leżących po dwóch stronach pokoju, przedzielonych kłótnią jak murem. Ja też leżałem na sofie, ale ledwo dostrzegałem zarys kolumn, gdyż niezwykle wyraziście rysował się w mojej głowie obraz tego drugiego pokoju. Przypominał pokój, w którym malowane ryby pływały po podłodze pod moimi stopami. Teraz jednak widziałem malowidła przedstawiające pola w porze zasiewów i twarze chłopów prowadzących bydło. Dostrzegałem nawet kopyta zwierząt zbrukane błotem, a między tym wszystkim lamparci ogon faraona i złote berło w jego prawej ręce. Pta-nem-hotep stał w złotych sandałach na polu błota, ale błoto musiało być namalowane, gdyż sandały były czyste.

– Przemówiłeś tak odważnie – rzekł do Menenheteta – że postanowiłem cię tu zabrać. Żaden szlachetnie urodzony Egipcjanin poza tobą nie widział tego pokoju, toteż jesteś pierwszym, który zobaczy, do czego doszedłem. Chodź, pokażę ci – i chwyciwszy pradziadka za łokieć, co świadczyło o niezwyklej uprzejmości, poprowadził go do podwyższenia, na którym umieszczony był złoty tron. Przy tronie stała złota studnia, a nad tronem widniał złoty żuraw do czerpania wody. Pta-nem-hotep podniósł siedzenie tronu zrobione ze złota i pokazał drugie z kości słoniowej z dziurą w środku.

– Nie jesteś osamotniony ze swoimi myślami – rzekł do Menenheteta – wbrew temu co sądziłeś. Może o tym nie wiesz, ale każdego ranka mam zwyczaj rozmyślać, siedząc na złotej muszli. Latami zastanawiałem się nad tym, co gnębi moje oba królestwa – zwłaszcza nad brakiem deszczu i nad naszym błogosławionym przyptywem (przynajmniej w te lata, gdy jest on obfity). Rozmyślałem nad naszą doliną pokrytą ciemną glebą, niezrównanie żyzną, a zarazem tak wąską, tak cienką kreseczką między pustyniami wschodu i zachodu. Czasami wydaje mi się, że nasz Egipt jest jak szpara między dwoma poślądkami. Wiesz co, ta myśl właśnie sprawiła, że zacząłem odczuwać pewien szacunek dla obyczajów korzystania ze złotej muszli. Jak ci wiadomo, posądza się mnie o brak nabożności, co ma mi przeszkadzać w dążeniu do stania się wielkim faraonem. Ale mądry przywódca nie szuka taniego poklasku. Każdego ranka, gdy mój nadzorca wynosi mały złoty garnek z jego zawartością – moją zawartością – do mojego ogródka z ziołami, cieszy mnie myśl o tym, że bogowie potrafią realizować swe zamiary przez jednego faraona. Wykorzystuję więc moje odchody równie skwapliwie jak moje myśli, słowa, pełne wdzięku gesty czy dekrety. Kiedy przemówiłeś, przyjąłem to z radością – bo te moje myśli, które wydawały mi się dziwaczne, nie do przyjęcia (nawet uwzględnwszy fakt, że jestem w końcu faraonem), nie są i tobie obce. Umocniłem się w mojej wierze. Każdego ranka mówię sobie, że to, co we mnie nie potrafi służyć obu królestwom, wszystkie moje niedostatki w zakresie poświęcenia, pobożności, odwagi i bojowego ducha (niestety, jestem człowiekiem ostrożnym), wszystko to jest niejako obecne w moim stolcu. Na tej grządce moi ogrodnicy mogą zatem wyhodować najwspanialsze zioła, jarzyny, kwiaty i przyprawy, dzięki którym bogacą się kapłani, oficerowie i nadzorcy, których zaliczam do najbardziej oddanych sprawie życia, zdrowia, sił naszego Egiptu. Lata całe ta myśl krzepiła mnie na duchu. Zrobiłem sobie listę kobiet i mężczyzn, którzy zasłużyli na ten niecodzienny dar. Choćby dzisiaj kazałem posłać Rut-Sekowi, temu poczciwemu kamieniarzowi, osiem pomidorów. Wyobraź sobie zatem moje przerażenie, gdy w zeszłym roku stwierdziłem, iż nadzorca złotej muszli jest złodziejem. Torturowany wyznał, że sprzedawał wszystko czarnoksiężnikom. Mój ogród był użyźniany jego ekskrementami zamiast moimi!

Mamy takie czasy, że nikomu już nie można ufać w Egipcie. Nie mówimy o tym, ale rabunek grobów zdarza się teraz dużo częściej niż dawniej. Badałem kroniki. Listy plonów zbóż są sporządzane przez skorumpowanych urzędników. Często kradną wysocy dostojnicy. To bardzo niedobrze. Ale nadzorca złotej muszli kradł bezpośrednio ode mnie. Bardziej niż najazdy na nasze granice utwierdziło mnie to w przekonaniu, że kraina Obojga Królestw jest słaba. Nie zaskarbiłem sobie szacunku bogów. Przynajmniej nie tak, jak inni faraonowie. Lepiej potrafili przemawiać do bogów niż ja. – Zamilkł, ale gdy Menenhetet nie odpowiadał, znów zaczął mówić.

– To wtedy właśnie postanowiłem się poświęcić staremu sztukmistrzowi Pta, noszącemu to samo imię co ja. Jeżeli nie mogę zaufać nadzorcy, niech i tak będzie; doszedłem do wniosku, że tylko woda, pompowana przez żuraw i splukiwana przeze mnie własnoręcznie, wiernie uniesie moje odchody. Kazałem różnym robotnikom układać w ogrodzie rury, każdemu po kawałku, a tutaj zamontować studnię. Nikt nie widział całości. Teraz wody spływają do mojego ogrodu za murami i

wiesz co, naprawdę użyźniają go. Moje grządki wchłaniają jedna po drugiej tę strużkę. Kiedy trzeba trochę więcej wody, dolewam jedno wiadro za drugim.

– Tak też uczynił, a z dziury wyfrunęła mucha i zabzykała między nimi. – Trzeba używać sporo pachnideł, a ci Murzyni, którzy tu sprzątają i tak nie bardzo wiedzą, skąd tutaj tyle słodkiego powietrza. Wiedzą, że nikt tutaj nie przychodzi. Moje zioła i jarzyny mają się bardzo dobrze. Sami je dzisiaj jedliście. Chyba to czułeś – cebulki i kapusta są naprawdę smaczne.

– Istotnie – odrzekł Menenhetet.

– Powiedz mi, czy kiedykolwiek słyszałeś o takich słuzach jak moje?

– Nigdy.

– Wiedziałem, że tylko ja na to wpadłem. Gdyby było inaczej, nie bałbym się tak bardzo. Chciałbym wiedzieć, czy pochwalasz to, co uczyniłem?

– Nie wiem.

– Odpowiedź godna Kem-Uszy.

– Muszę ci się przyznać, że boję się złych uroków. Mogą zniszczyć to, co ze mnie zostało. – Pradziadek skłonił się.

– Kiedy Ramzes II mianował mnie dworzaniem w służbie Wielkiej Królowej Nefertari, pokazała mi ona pewnego razu cudowne lustro. Było to pierwsze prawdziwe zwierciadło, w jakie spojrzełem i wówczas powiedziałem, że zmieni ono wszystko, co nas otacza. Miałem rację. Egipt jest dziś słaby. Obawiam się, że twoje słuzy zaczną nawadniać zbyt wiele muszli.

– Nie, nie podoba ci się mój pomysł – westchnął Pta-nem-hotep. – Ale przynajmniej masz odwagę powiedzieć mi o tym wprost. Chciałbym, żeby ci się podobał. Czuję się jak więzień. Do tego stopnia jestem związany obyczajami moich przodków. Czasami myślę, że nieszczęścia Obojga Królestw zaczynają się od tych obyczajów, które mnie krępują. Wtedy mówię sobie, że może nie nadaję się na faraona.

Pradziadek odezwał się łagodnie:

– Oczekujesz, że ci powiem, że się nadajesz?

– Masz rację. Ja sam nie mam najlepszego zdania o tym faraonie. Czasem w nocy dochodzę do wniosku, że bogowie nie są jednak moimi przodkami. Nie czuję się wówczas bliski bogom, nie czuję też, że lud mnie kocha. A ty?

– Wezwałeś mnie po siedmiu latach zapomnienia – rzekł pradziadek – i chcesz, żebym cię kochał. Nie wiem, czy potrafię. Trzeba faraonowi służyć, by móc mu okazać pełnię poświęcenia. Trzeba mieć jego zaufanie.

– A ja nikomu nie ufam?

– Trudno mi powiedzieć.

Pta-nem-hotep dotknął koniuszkiem palca skrzydełka nosa. – Widzę – rzekł – że muszę być równie szczerzy jak ty. Nie przypuszczałem, że dojdzie do tej rozmowy, ale porozmawiamy. Muszę z kimś porozmawiać. Przez tyle lat nie miałem się do kogo odezwać i moje serce jest jak pokój, którego nikt nigdy nie otwiera. Obawiam się, że wszystko szeptem za tymi zamkniętymi drzwiami.

XIV

Faraon mówił długo, tak jak obiecał. Przynajmniej tak mi się zdawało w moim zauroczeniu. Rodzice nic nie mówili, widziałem tylko roztańczone świetliki; znajdowałem się tak blisko głosu faraona i pradziadka, że to ich właśnie widziałem bardzo wyraźnie.

– Nie znoszę Kem-Uszy – rzekł faraon. – Możesz zapytać, dlaczego wobec tego opuściłem gości i wyszedłem razem z nim? Co takiego mógł powiedzieć, bym wstał z krzesła i oddalił się od ciebie i twojej rodziny? Na razie nie mogę tego wyjawić. Powiedzmy, że to sprawa między Kem-Uszą a mną, że odwołał się do naszej chłopięcej przyjaźni – choć po prawdzie nigdy się nie lubiliśmy. Teraz stosunki między nami są jeszcze gorsze. Nie znoszę kapłanów. Prześladują mnie w myślach. Obleźli moje myśli jak mrówki pożywienie.

A przecież jest moim wysokim kapłanem. Kiedy odwiedzam Teby, czyni mi wymówki, że nie odwiedzam świątyni Amona częściej, a kiedy przebywam tutaj, ośmiela się zwracać mi uwagę, że zaniedbuję świątynię Ptaha. – Czyż nie rozumiesz – powiedziałem doń – że część dzieciństwa spędziłem w Hat-Ka-Ptah, właśnie tutaj, w Memfis? Pozwól, że ci przypomnę, Kem-Usza – ciągnąłem – że będąc dzieckiem wpadłem w oko memu ojcu, królowi, co wywołało taką zazdrość w haremie, iż moja matka zaczęła się obawiać, że jedna z pozostałych małych królowych zagrozi memu życiu. Pamiętasz, Kem-Usza? – spytałem – a on oczywiście pamiętał o tym. Małą królową, której tak bardzo obawiała się moja matka, była matka Kem-Uszy. Jako dziecko byłem księciem w haremie i zewsząd czyhały na mnie niebezpieczeństwa. Przede mną był tłum braci przyrodnich i wszyscy myśleli, że zostanę kapłanem. Któż mógł wiedzieć, że moi krewni tak szybko umrą, prawda? – Uderzył się ogonem lamparta po udzie. – Za dużo mówię – rzekł.

– Tak – odparł pradziadek. – Jutro mi nie wybacysz tego, że tyle mi dzisiaj naopowiadałeś.

– Wybaczę. Możesz mieć do mnie zaufanie. Postanowiłem ci bowiem zaufać, przyjacielu.

– Jesteś pewien, że jestem twoim przyjacielem? – spytał Menenhetet.

– Jesteś przynajmniej wrogiem mego wroga – Pta-nem-hotep roześmiał się krótko.

Pradziadek skłonił się.

– Nie wyobrazasz sobie nawet, jak bardzo pragnę z tobą rozmawiać – rzekł faraon. – Czuję wrogość w stosunku do Kem-Uszy. Mam zamiar pozbawić go wpływu na mnie. Nie rozumiem go. Dziś w nocy, kiedy zostaliśmy sami, mówił dłużej niż kiedykolwiek przedtem w mojej obecności. Nie do wiary! Kem-Usza, zawsze opanowany Kem-Usza. Nie ma chyba takiego drugiego kapłana jak Kem-Usza, którego nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Ale dzisiaj wygłosił długą listę skarg. Wcale nie jest taki obojętny wobec Święta Świni, jak udaje. Przez pozostałe noce sprawia wrażenie, że zanurzył palce w miodzie Maat i jeden jedyny wie, jak słodki jest wieczny spokój, ale dziś musiałem go poruszyć bardziej niż zwykle. W każdym razie zachowywał się całkiem stosownie do Święta Świni. – Pta-nem-hotep uśmiechnął się.

– Kiedy zostaliśmy sami, usłyszałem skargi. Te najważniejsze. To mi się podobało. Wszyscy kłamią przed królami, toteż prawda jest dla mnie jak powietrze i święta krew. Święto Świni zamieniło się dla mnie w święto błogosławionych pól. Szybciej przeniknąłem myśli innych ludzi. W ten sposób mogę rządzić powodowany poczuciem sprawiedliwości, nie próżnością. A jeżeli będę rządził sprawiedliwie, bogowie udzielą mi wsparcia i to bez względu na to, czy będę lubiany, czy

nie. Tak musi być. Zachęcałem więc Kem-Uszę do wynurzeń. Ku memu zdumieniu uskarżał się na nadmiar obowiązków. Niezwykła skarga. Zawsze mi się wydawało, że nikt nie bierze na siebie równie chętnie aż tylu obowiązków co Kem-Usza. Robi to, gdyż wie, że obowiązki prowadzą do władzy. Nie wierzyłem więc, gdy mi powiedział, że pragnie ustąpić ze stanowiska mojego wezyra.

Kiedy bowiem umarł poprzedni wezyr, Kem-Usza zrobił wszystko, co było w jego mocy, bym mu powierzył jego obowiązki. Obiecał, że będzie mi służył i w tej roli – dopóki nie znajdę kogoś odpowiedniego. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że na dworze brakuje już odpowiednich kandydatów. Nie lubię go, ale zdecydowałem się go wybrać. Pełnił swoje obowiązki. A teraz narzeka, że są zbyt uciążliwe. To znaczy pozostaną zbyt uciążliwe, o ile nie mianuję go pełnoprawnym wezyrem. Toteż zdecydowałem się trochę z nim poigrać.

– Tak, to prawda – rzekłem do Kem-Uszy – przyszło mi na myśl, że może powinieneś zrezygnować z jednoczesnego pełnienia obowiązków wysokiego kapłana i wezyra. Pokiwał głową, kiedy to powiedziałem. Potem wymienił swoje obowiązki, jakbym ich nie znał. Prawie że płakał, wymieniając je. Nie podobało mi się to. Ale nie doceniłem jego przebiegłości. W pozostałe dni roku nie zabiera głosu, bo nie może wypowiadać się swobodnie. Nie zajmuje się błahostkami. Jego wygląd sprawia, że usuwasz się na bok – jak przed hipopotamem. Jeżeli go skarczę, potrafi to wykorzystać (tuczy się nie tylko pochwałami), jak prawdziwy hipopotam.

Pta-nem-hotep przerwał i rzucił pradziadkowi dziwne spojrzenie. Nie potrafiłem powiedzieć, czy usta wygięły mu się w grymasie szyderstwa, czy gniewu, ale potem zdałem sobie sprawę z tego, że przemawia naśladując wiernie nie tylko głos Kem-Uszy, ale i jego sposób bycia. Mówił głosem, który był zbyt opanowany, bo można mu było bezkarnie przerwać.

– Każdego ranka – mówił – po modlitwach o świcie muszę rozpieczętować ciężkie wrota wiodące do pałacu, aby można było rozpocząć pracę w biurach królewskiej rezydencji. Beze mnie nie można rozpocząć ani jednego dnia rządów. Nie ma więc dnia, bym nie czytał raportów od władz korony w każdym z czterdziestu dwóch nomów. Nawet najniższy urzędnik musi do mnie napisać trzy razy w roku – w pierwszym dniu zasiewów, zniw i przyboru wód. W ten sposób mogę przejrzeć wiele kłamstw, których urzędnicy nie pamiętają już przy kolejnym liście, gdyż przeczą sami sobie lub zaczynają mówić prawdę, choć jeszcze wczoraj kłamali. Jestem więc czujny, dostrzegając ziarna zamieszek w drobnych przejawach niezadowolenia i potrafię wywęszyć załóżek zdrady w najmniejszej zwłóce w wykonywaniu rozkazów. Dzięki temu nic się nie poruszy w żadnym nomie bez mojej wiedzy.

Jako minister wojny co miesiąc sprawdzam nastroje naszych oddziałów zarówno w granicach Obojga Królestw, jak i poza naszymi granicami. Jako minister spraw religijnych nadzoruję pisarzy, spisujących dary znoszone do świątyń. Jako minister spraw gospodarczych muszę wiedzieć, kiedy nakazać ścinanie drzew i nawadnianie pól. Jako minister sprawiedliwości przeglądam wyroki wydane przez wszystkich sędziów. Nie tylko codziennie spełniam te wszystkie obowiązki, ale o każdej porze roku składam wizytę w każdym z nomów, spotykam się z twoimi urzędnikami i sprawdzam, czy można mieć do nich zaufanie. A to jeszcze nie wszystkie obowiązki związane ze stanowiskiem Wielkiego Wezyra. Ponadto jako wysoki kapłan muszę się spotykać każdego dnia po południu ze skarbnikiem świątyni, pisarzem ofiarnych darów, superintendentem posiadłości świątyni Amona, pisarzem zapasów zbożowych, nadzorcą łąk, bydła, magazynów, malarzy i złotników, nie wspominając już o uroczystych obowiązkach. Czyż najświętsze obrzędy w świątyni Amona w Karnaku mogą się odbyć beze mnie? O świcie i w samo południe zastępuję twoją osobę, ponieważ rzadko odwiedzasz Teby. Wieczorem to samo. W świątyni muszę pełnić zarówno obowiązki wysokiego kapłana, jak i faraona. Ileż szkód mogliby kapłani wyrządzić, gdybym nie czuwał nad ich głosem, gestami, boskim porządkiem słów i kolejnością modlitw!

– Mimo spełniania tych wszystkich obowiązków – a jest to ogromny ciężar – codziennie stwierdzam, iż nie potrafię ci pomóc, bowiem w te wyjątkowe dni, kiedy jesteś obok mnie w Tebach, widzę, że nie słuchasz mojego kazania. Nie zwracasz wcale uwagi na to, że przebywając w Memfis trawisz czas słuchając muzyki, odczytując ulubione poematy miłosne i zapominając o czynach wielkich przodków. Po południu rozmawiasz z kucharzem, zrywasz kwiaty albo pijesz w towarzystwie oficerów gwardii królewskiej. Od czasu do czasu ku większej chwale Obojga Królestw podejmujesz jakiegoś odwiedzającego nasz kraj zagranicznego księcia. Nie chodzi o to, że jak plotka niesie, styniesz w Memfis jako faraon, który nie może się doczekać nocy i za dnia odwiedza harem, patrząc jak tańczą jego małe królowy. Z tego co słyszałem, niewiele poza tym robisz w haremie. Nie miałoby to znaczenia, gdybyś chciał mnie wysłuchać i zrozumieć, bo wtedy byłbyś władcą świata – ty sam we własnej osobie – i wzmocniłbyś Egipt żelazną wolą przodków. Widzę, że nosisz na piersiach oznaki władzy faraona, a także korony „krajny białej” i „krajny czerwonej” na głowie. Ale w tych szatach siedzisz właśnie ty, a głosik twój jest słaby.

– Końcówki nie mógł powiedzieć na głos! – wykrzyknął pradziadek.

Faraon przestał mówić głosem wysokiego kapłana i odezwał się własnym: – A właśnie że tak. Nie byłem na to przygotowany. Biedny Kem-Usza nie potrafił myśleć szybko, głos miał taki napuszony. Było mi go żal. Pomyśl tylko, ośmielił się powiedzieć, że mój głosik jest słaby.

– Jak na to zareagowałeś? – spytał pradziadek.

– Powiedziałem mu, że jest starym wołem roboczym przeznaczonym pod jarzmo i że losy Egiptu zależą od tego, czy delikatnie zrywam kwiat, a nie od tego, co napiszą w raportach liczni jego pisarze. Nie wierzyłem jednak sam w to, co mówiłem. Moi bogowie na pewno mnie opuścili. Najpierw Kem-Usza mnie upomniał, potem obraził, ale mury świątyni wcale się nie zawaliły.

– Ku memu przerażeniu teraz ja powiedziałem za dużo. Powiedziałem mu, że to wszystko wina tej nieszczęsnej znajomości z czasów dzieciństwa. „Może i jestem dopiero jedenastym synem – rzekłem – ale moja matka posiadała w oczach ojca jedną ważną zaletę, Kem-Usza. Pozostała wierna ojcu przez cały ten koszmarny okres spędzony w haremie, gdy pozostałe małe królowe, łącznie z twoją matką, próbowały go zamordować. Dlatego właśnie w końcu to mnie przypadła korona. Nie zbliża mnie to do Amona, hm? Ale przypominam ci, Kem-Usza, że to ja jestem faraonem, a wszystkie twoje obowiązki nie służą niczemu innemu jak tylko ulżeniu mnie. Dzięki temu mam czas, by się zastanowić nad sprawami Obojga Królestw”. Ale upominając go i ganiąc czułem, że w gruncie rzeczy ma rację. Mam zbyt słaby głosik! „Powiedz – cisnęło mi się na usta – że jestem po prostu złym królem! Moja trzecia noga jest słaba jak u młodego Horusa. Odważ się nawet powiedzieć, że często przyglądam się moim małym królowym, ale rzadko z nimi przebywam. Ale nie mów nigdy, że mam słaby głosik. Potrafię bowiem przemawiać wszystkimi głosami Egiptu, łącznie z twoim”. Potem gniew mój wzrósł i powiedziałem na głos: „Złóż obowiązki wezyra i przekaz je komuś innemu. Możesz mi nadal służyć jako wysoki kapłan”. Bardzo to go poruszyło, zwłaszcza kiedy dodałem: „Menenhetet może być dobrym wezyrem”. Był przerażony i zaraz wyszedł.

– Powiedziałeś, że mogę zostać twoim wezyrem – rzekł pradziadek.

– Tak.

– I naprawdę byłeś tego zdania?

– Nie wiem. Kiedy o tym mówiłem, wydawało mi się, że to dobre rozwiązanie.

– Jeżeli nie mówisz tego serio, niedługo pożyjemy – odrzekł pradziadek. Wzruszył ramionami, jakby duma wypływała z umiejętności oswojenia się z tak posępnymi myślami.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Ale chciałbym, żebyś to powiedział na głos.

– Nie przeczę – rzekł Menenhetet – że zastanawiałem się nad urzędem twojego wezyra. Jeżeli mądrość nagromadzona w czterech wcieleniach na nic się nie przydaje, to jakież z niej pożytek? Tak więc przybyłem do ciebie w nadziei, że będę mógł poruszyć tak poważne tematy. Nie powiedziałbym jednak, że żywię zbyt wielkie nadzieje. Już od dawna słyszałem o tym, że masz zamiar pozbawić Kem-Uszę stanowiska wezyra i zastąpić go swoim naczelnym pisarzem Nes-Amonem.

– Wierzysz w takie plotki?

– To Libijczyk – powiedział pradziadek. – Z drugiej jednak strony Nes-Amon służy ci od wielu lat. Podniosłeś go do rangi księcia. To człek zdolny.

– Rozmawiałem z nim o tym stanowisku. Libijczykowi brak jednak twojej wiedzy.

– Za to – odparł pradziadek – możesz na nim polegać. Gdybym ja został twoim wezyrem, codziennie szeptano by ci do ucha, że nie można na mnie polegać.

– O tym decyduję ja sam. Nigdy nie myślę się w ocenie ludzi, o ile dane mi jest ich wysłuchać. Naturalnie, niewielu ludzi ośmiela się rozmawiać z faraonem. Ty na pewno. Właściwie postanowiłem ci powiedzieć prawdę. Do dzisiaj gotów byłem mianować Nes-Amona moim następnym wezyrem. Istotnie, to człek zdolny. W sercu każdego sługi jest jednak taki zakątek, któremu nie można zaufać. Przyznaję, że kiedy Kem-Usza szepnął mi coś do ucha, nie mówił bynajmniej o naszym dzieciństwie – o nie! Powiedział mi, iż doszły go słuchy, że Nes-Amon gotów jest uderzyć zbrojnie na pałac. Nes-Amon ma spore wpływy w moich oddziałach uzbrojonych w rydwany.

– A kiedy miało to nastąpić według Kem-Uszy?

– Powiedział mi, że prawdopodobnie dzisiaj w nocy. Roześmiałem się. „Nie bardzo się znasz na sprawach wojskowych – powiedziałem mu. – Żadna armia nie lubi maszerować w blasku księżyca, a już w Święto Świni wszyscy by się pogubili”. Przekonałem go. Powiedziałem: „Nawet gdyby mój pałac stał przed tobą otworem, i tak nie odważyłbyś się uderzyć nań. Nie dzisiaj. To pewne. Nes-Amon żywi podobne obawy co i ty”. Sądzę, że Kem-Usza zgodził się ze mną. Przestał się przejmować Nes-Amonem i właśnie wtedy zaczął mi wypominać ciężar własnych obowiązków. Myślę, że chciał mnie przestraszyć, wskazując jak dalece kontroluje to, co się dzieje w obu królestwach. Nie rozumiem jednak, co go ośmieliło do wygłoszenia tej obraźliwej uwagi na zakończenie. Ryzykował wiele. Zdaje sobie sprawę z tego, jak dalece martwi mnie ta sytuacja. Dlaczego zwiększać ryzyko utraty stanowiska poprzez obrazę?

– Myślę, że Kem-Usza chce, żebyś go usunął ze stanowiska – rzekł pradziadek. – Wielu ludzi zachowuje się wobec niego lojalnie, ale zarazem są ci oddani i nie ośmielą się przeciw tobie wystąpić. Jesteś faraonem. Jeżeli jednak pozbawisz go władzy, jego zwolennicy i bliscy współpracownicy także zostaną pozbawieni urzędów. Będą więc musieli spiskować razem z nim.

– Co mi radzisz począć?

– Utwierdzałbym Nes-Amona w przekonaniu, że to on właśnie zastąpi Kem-Uszę, Kem-Uszę zaś przekonywałbym, że wkrótce doczeka się oficjalnej nominacji na pełnoprawnego wezyra. W odpowiedniej chwili mianowałbym kogoś innego, kto by ich obu pilnował. Zostaw Teby i Górny Egipt Kem-Uszy, Memfis zaś i Dolny Egipt Nes-Amonowi. Obaj mogą nosić tytuły Wielkiego Wezyra.

– A ty zostałbyś Wielkim Wezyrem?

– Wymagałoby to poświęcenia wszystkich moich sił i umiejętności.

– No pewnie – Pta-nem-hotep odkaszlnął zrozpaczony.

– Nie wiem, co zrobić – rzekł. – Twoi przeciwnicy nigdy nie dostrzegą w tobie niczego godniejszego niż nietoperze gówna.

– Tego akurat najmniej się obawiam – powiedział Menenhetet. – Człowiek cieszący się złą sławą, któremu właśnie przyznano rozległą władzę, sieje wokół siebie postrach i wzbudza szacunek. Wszyscy żywią nadzieję, że nie okaże się tyranem.

– A czego się boisz?

– Że dzisiaj w nocy utracisz wszystko. Postawiłbym gwardię na nogi i kazał pilnować murów.

– Nie ufam oficerom. Ta połowa, która nie zbliżyła się do Nes-Amona, może być lojalna wobec Kem-Uszy. – Pta-nem-hotep uśmiechnął się słodko do Menenheteta. – Moja sytuacja jest następująca: gardzę Kem-Uszą, nie ufam już Nes-Amonowi, a ciebie w ogóle nie znam. Mimo to czuję się w tej chwili szczęśliwy. Jestem bowiem przekonany, że jeżeli faraon jest na tyle mądry, by zastanawiać się wyłącznie nad tym, co ma akurat przed oczami, czy to berło, czy korona, czy kwiat, który właśnie zerwał – jest najpotężniejszą siłą w obu królestwach. Żadna armia nie odważy się go zaatakować, jeśli jego myśli są nieustraszone. Wierzysz w to?

– Nie wiem.

– Coś ci powiem. Nie jestem tak mądry jak trzeba. Ale pociągasz mnie. Jeżeli starczy ci rozsądku, by mnie nie oszukiwać, jeżeli mi powiesz wszystko, o czym chciałbym usłyszeć, to na pewno stanę się silniejszy i mądrzejszy. Oczywiście trudno przypuszczać, żebyś mnie nie zwodził.

– Bywają noce – rzekł Menenhetet – kiedy jestem w stanie oszukiwać nawet samego Ozyrysa.

Pta-nem-hotep roześmiał się szczerze rozbawiony. – Opowiedz mi, proszę – rzekł – o moim przodku Ramzesie II.

Jego siły trzeba mi będzie w najbliższych godzinach i latach. Chciałbym się dowiedzieć, jak przebiegała bitwa pod Kadeszem i o tym wszystkim, co po niej nastąpiło.

– Opowieść zajęłaby nam resztę nocy.

– Nie zasypiam aż do rana. – Zawahał się. – Opowiesz mi o bitwie pod Kadeszem?

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej skłaniam się do tego, by zostać twoim wezyrem.

– Wysłuchawszy cię, nie będę miał chyba wyboru. Pradziadek roześmiał się. – Jeżeli opowiem ci dokładnie, jak to było, dowiesz się tylu rzeczy, że już mnie nie będziesz potrzebował. Będiesz faraonem większym od poprzednich i mistrzem tajemnic. W końcu to ja właśnie znałem Wielkiego Faraona Ramzesa II.

– Już jestem ci wdzięczny, choć jeszcze nie zacząłeś. Pradziadek uśmiechnął się, podkreślając tym czerstwość swej twarzy i młodość sześćdziesięciolatka w czwartym wcieleniu. – Historia mojego pierwszego życia z pewnością zabierze nam czas do rana. To pewne, pewniejsze niż to, czy zostanę twoim wezyrem. Jeżeli ma to być jednak noc (a z każdym oddechem jestem tego coraz bardziej pewien) ważnych rozstrzygnięć, to wracajmy do patio. Opowiem ci tę historię lepiej niż ojciec synowi, ale chciałbym ją opowiedzieć przy świetle świateł. Dobrze ci się skojarzyły. Przywodzą na myśl obozowe ogniska, gdy ustanie zgiełk dnia. Chciałbym, by moja wnuczka też wysłuchała tej opowieści. I prawnuk. Są mi najbliżsi spośród wszystkich bliskich w czterech wcieleniach.

IV

Księga woźnicy rydwanu

I

Matka przywitała Pta-nem-hotepa z uczuciem takiej ulgi, jakby dopiero co udało mu się umknąć przed jakimiś przerażającymi wężami morskimi. Klasnęła z radości w dłonie na wieść o tym, że pradziadek zgodził się opowiedzieć o swych czynach z okresu, gdy pełnił służbę w armii Ramzesa II. Nie sądzę, by była równie zadowolona, gdyby wiedziała, ile czasu ta opowieść pochłonie. Ponieważ nie miała o tym pojęcia, siedziała wyprostowana na kanapie i jak mała dziewczynka podparła głowę rękoma.

– Będę opowiadał – zaczął pradziadek – tak, jakbyście byli zupełnie obcymi ludźmi, jakbyśmy nigdy ze sobą nie rozmawiali. Dzięki temu wszystko, co opowiem, będzie proste – jak myśli, które przemykały mi przez głowę za pierwszego życia. A my wszyscy potrafimy jeszcze raz spojrzeć moimi oczami na to, co się wówczas działo.

– W ten sposób – zauważył Pta-nem-hotep – ofiarujesz nam samą esencję swej mądrości.

– W tamtym życiu mądrość polegała głównie na sile – zaczął pradziadek. – Urodziłem się w bardzo biednej rodzinie, a mimo to zostałem Pierwszym Woźnicą Rydwanu Ramzesa II i u jego boku przeżywałem najgroźniejsze chwile bitwy pod Kadeszem. – Urwał i rozejrzał się dookoła. Sprawiał wrażenie człowieka, na którego barki spadł ciężar opowieści ponad siły. Poczul się zmuszony, by dorzucić:

– Wszystkie te czyny zostały wyrzeźbione na murach świątyni w Abu Simbel, w Ramesseum w Tebach i w Karnaku. Wyrzeźbiono je także w Abydos, ale nie wszystko przedstawiono wiernie, zwłaszcza że przekręcono moje nazwisko. Ramzes II miał niezwykle donośny głos i dlatego skrybowie wyrzyli moje imię jako „Menni” zamiast „Meni”.

– Zgadza się – powiedział Pta-nem-hotep. – Zwiedzałem świątynię w Abu Simbel i oglądałem ten mur. Przedstawiono tam ów moment, gdy Hetyci odcięli faraona od jego oddziałów. Według tej wersji, strach cię obleciał. Przymykając oczy, mogę sobie przypomnieć napis. Słońce było jasne, a cienie wyraziste. Miałeś wówczas powiedzieć: „Ratujmy własne życie”. Poniżej zapisano odpowiedź, jakiej miał udzielić Ramzes II: „Nie trać ducha, Menni, bądź dzielny. Spadnę na nich jak jastrząb na swą zdobycz. Obróć ich w proch”. Czytałem ten napis późnym popołudniem i jeszcze pamiętam głębokie cienie rzucane przez wyrzeźbione krawędzie liter.

– Tak tam napisano – rzekł Menenhetet.

– Naprawdę się bałeś? – spytał Pta-nem-hotep. A ponieważ pradziadek zwlekał z odpowiedzią, dodał szybko: – Czy Ramzes II odpowiedział ci tak zuchwale?

– Bałem się – rzekł Menenhetet – ale ośmielę się stwierdzić, że w pewnej chwili i Ramzesa Mi-Amona ogarnął strach. Faktycznie to on okazał się jednak odważniejszy i prędzej się opanował. Dzięki niemu i ja nabrałem otuchy.

– Mówisz, że byłeś dzielniejszy, niż to pokazano. A on mniej odważny. Doprawdy?

– Nie twierdzę bynajmniej, że nie był odważny. Ramzes II był najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znałem. A jednak ta wersja odbiega od prawdy. Była taka chwila, że zaznał lęku.

– Opowiedz.

– Nie, o Władco Obojga Królestw. Jeszcze nie teraz. Opowieść będzie długa jak wąż. Jeśli od razu przedstawię jej głowę, nie dowiecie się niczego o reszcie ciała. Poznacie tylko uśmiech węża.

Na razie przyznam tylko, że obaj najedliśmy się strachu. Ba, nawet lew faraona nie wytrwał bez lęku.

– A więc ten lew istniał naprawdę – rzekł Pta-nem-hotep.

– Naprawdę miał przy sobie oswojonego zwierza, jak to rysują na murach niektórych świątyń?

– Tak jest, lew walczył u boku Ramzesa II. I to ofiarnie.

– Pradziadek wzruszył ramionami. – Jeśli jednak chcecie się dowiedzieć, jak to naprawdę było, muszę wam to opowiedzieć prosto, zapomniawszy o mądrości moich późniejszych wcieleń.

– Możesz nam opowiedzieć tak powoli, jak tylko zechcesz – rzekł faraon i wdzięcznie skłonił głowę.

Tak więc pradziadek przygotował się do opowieści. Żeby zrozumieć, co miał na myśli, mówiąc, że będzie opowiadał powoli, trzeba było zdać sobie sprawę z tego, że milczenie było dlań równie ważne jak mowa. Przez chwilę milczał, zaczynał, urywał wydając westchnienie.

– Muszę – powiedział wreszcie – cofnąć się do wydarzeń sprzed samej bitwy. Opowiem wam zatem o dzieciństwie mojego pierwszego życia, choć właściwie trudno je nazwać dzieciństwem. Nie miałem dzieciństwa, przynajmniej w takim sensie, w jakim ten piękny chłopak, mój wnuk, który drzemie przy nas, ma dzieciństwo. Jego dzieciństwo jest pełne cudów, podczas gdy ja, podobnie jak większość ludzi w moim otoczeniu, nie żywiłem w jego wieku zbyt wielu uczuć ani myśli, niewiele różniąc się od zwierzęcia. Jedno tylko wiedziałem, to mianowicie, że jestem inny od pozostałych ludzi i nigdy nie będę taki sam jak oni. Wiedziałem o tym, zanim się urodziłem. Wiedziałem, ponieważ w nocy, podczas której zostałem poczęty, mojej matce ukazał się Amon.

– Tylko matka człowieka, który ma zostać faraonem, może zobaczyć Amona w taką noc – rzekł Pta-nem-hotep.

– Chyba jesteśmy braćmi. Mojej matce też ukazał się Amon.

Menenhetet zawahał się, nim podjął opowieść. – Opowiadam wam po prostu to, o czym słyszałem od matki, nic więcej nie wiem. Moi rodzice byli biednymi wieśniakami w biednej okolicy, a tamtej nocy leżeli na słomie, ojciec u boku matki. W ciemnościach ich lepianki ukazało się złote światło, w powietrzu zaś zapachniało słodziej niż w uperfumowanych pokojach haremu. Amon wyszeptał matce do ucha, iż narodzi się jej wielki syn, który będzie przewodził światu. – Menenhetet westchnął. – Jak widzicie, nie udało mi się osiągnąć aż tak wiele.

– Wierzysz w jej opowieść? – spytał Pta-nem-hotep.

– Gdybyś znał moją matkę, też byś w nią uwierzył. Żyła przyrośnięta do ziemi. Nie znała żadnych opowieści. Raz mi opowiedziała i tyle. Kiedy dorosłem, nie odzywaliśmy się do siebie, jeżeli nie trzeba było powiedzieć czegoś konkretnego. Nigdy więc nie zapomniałem tego, co od niej usłyszałem. Nasze umysły były jak kamienie i każde słowo było jak napis wyryty w kamieniu.

– Dzięki tej uwadze – rzekł Pta-nem-hotep – lepiej rozumiem mych wieśniaków. Rozumiem też, dlaczego chcesz opowiadać powoli i z rozmysłem. Gotów jestem oświadczyć, że będę słuchał równie pilnie i uważnie, jakbym przyglądał się nurtom płynącej pode mną rzeki.

– Twoje ucho – rzekł Menenhetet – już wychwytiło to, o czym dopiero zacznę mówić. Istotnie pragnę mówić o Nilu. Zawsze o nim myślę i zawsze mi towarzyszy. Urodziłem się, że tak powiem, na fali wylewu, pierwsze moje życie zaś dobiegało końca tej samej nocy, kiedy fala zaczęła opadać. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałem, był plusk fal Nilu.

Menenhetet zaczął łapać oddech, jak gdyby ostatnie wspomnienie zanadto mu ciążyło. – Ci, którzy mieszkają w miastach, zapomnieli już o dwóch krańcowo różnych przeżyciach powodzi i suszy. Tutaj, w Memfis, czujemy ciężar upału przed wylewem, ale nie dokucza nam on zanadto. Nasze piękne parki są nawadniane przez okrągły rok i otaczają nas zielenią. Oddzieliliśmy się od

pustyni. Ale na terenach, z których pochodzę, w połowie drogi między Memfis a Tebami, pustynia jest jak... Jest bezkresna, nie mieści się w żadnej przestrzeni.

Zauważyłem, że głos mojego pradziadka, z którego znikły tak mi znajome ironiczne tony, zmienił się jeszcze bardziej i spoważniał. Ale bezkres nie mieszczący się w żadnej przestrzeni to formułka rolników, którą posługiwali się wówczas, gdy przychodziło im mówić o duchach. Przypadkowo wiedziałem, o co chodzi, gdyż matka wypowiedziała ją przy mnie przed paroma dniami, zanosząc się śmiechem wobec nadmiernej ostrożności prostych ludzi.

Zauważyłem także, iż mój pradziadek zmienił się również, a jego sposób bycia przypominał nie tyle wyniosłego wielmożę, ile godnego starca wywodzącego się z ludu, ot, choćby sołtysa z małej wioski, którym na co dzień zapewne by gardził. Starannie dobierał też słowa, wyszukując tylko te, którymi ów prosty człowiek mógł się w rzeczywistości posługiwać.

– Zanim wam opowiem – rzekł – o mojej karierze w wojsku, którą zacząłem robić mając lat piętnaście, gdy mnie wyrwano z wioski jak chwast z grządkki, muszę wam wpierw opowiedzieć o tym, jak żyliśmy i co wiedzieliśmy o rzece, o jej wylewach i opadaniu. Żyłem zgodnie z rytmem rzeki. Tutaj, w miastach, zastanawiamy się nad tym, czy wylew będzie dobry dla żniw, i obchodzimy bardzo uroczyście święta na cześć wylewów naszej rzeki, czcimy ją, wydaje nam się, że ją znamy, ale przecież to nie to samo, co rodzić się słysząc jej szum i bać się, gdy jej wody się podnoszą. Spróbuję więc wam opowiedzieć o rzece, jakbyście nigdy nic o niej nie słyszeli, bo też doprawdy poznać gniew Nilu, to jakby spać z ręką na brzuchu lwa.

Zobaczyłem spojrzenie, które matka rzuciła ojcu, jak gdyby mówiła: „Mam nadzieję, że wie dostatecznie dużo, by zabawić faraona”.

Ale Pta-nem-hotep pokiwał potakująco głową.

– Tak, zechciej mi opowiedzieć o naszym wielkim strumieniu właśnie w taki sposób. Zauważyłem, że kiedy mówisz o czymś, co dobrze znam, zaczynam to poznawać po raz drugi i znów wszystko jest dla mnie interesujące.

Menenhetet pokiwał głową.

– Kiedy byłem chłopcem, powietrze w moich stronach było suche jak pieprz, gdy wody opadały nisko. Musicie zrozumieć, że to powietrze było przeraźliwie suche. Tutaj nic o takiej suszy nie wiemy, mieszkańcy Teb też nie, ale w moich stronach między tymi dwoma miastami pola schły szybko po żniwach. Niemal natychmiast ziemia starzała się i pokrywała zmarszczkami. Cienkie pęknięcia, w które nie można było nawet wsadzić palca, wieczorem było już tak szerokie, że krowy łamały nogi. Trzymaliśmy się naszych lepierek i patrzyliśmy, jak rosną szczeliny i pęknięcia. W miarę jak rosły, zbliżały się ku nam. Z każdym dniem przybierały w nich piasku. Pustynia zbliżała się do naszych wypalonych łąk. Nadchodził dzień, kiedy otoczeni byliśmy piaskiem, a liście zwisały jak odcięte palce z gałęzi. Najłżejszy podmuch wiatru unosił drobny pył, pokrywając nim nasze stoły, wypełniając chaty. Oddychaliśmy nim przytulając się nocą do słomianego pościela. Bydło wędrowało z wywieszonymi ozorami. Słychać było jak kwiczało: odczuwamy pragnienie, och, jakże nam chce się pić. Ludziom pragnienie doskwierało jeszcze bardziej. Pracowaliśmy w rowach, nawet dzieci, starając się oczyścić dno kanałów, naszych wąskich kanałów, nim nadejdzie wylew. Naprawialiśmy tamy, wyrównywaliśmy groble, wzmacnialiśmy ścianki naszych zbiorników, wszyscy pracowali, dopóki wody nie zaczęły się podnosić. Kiedy odpoczywaliśmy w nocy, zbyt zmęczeni, by myśleć o zabawie, dzieci buszowały od jednej kępy trzciny do drugiej. Wszystkie gatunki nieżywych gryzoni poniewierały się wśród mułu na dnie naszych kanałów. Z sąsiednich wiosek dochodziły odgłosy takiej samej krzątaczki, bo wszyscy napełniali sanie mułem, by potem zawlec je wołami na tamy. Przy tamach przetykaliśmy muł słomą i takie cegły układaliśmy na wałach. Trzeba wam wiedzieć, że w całym kraju cuchnęło wówczas okrutnie.

Wszystko wysychało, wydzielając skórzany, nieprzyjemny fetor starczych ciał. Woń rozkładu i moczu! Wydawało się, że fetor nigdy nie ustąpi. Te ostre wonie wdzierały się do nosa i kłuły pod powiekami razem z pyłem i skwarem. Powiadano, że wdychając taki fetor można było oślepnąć, a już oczy na pewno puchły. Pamiętam do dziś ości jakiejś ryby na brzegu, tam, gdzie biegła piaszczysta łąca – myślę, że krokodyl mieszkający gdzieś w pobliżu musiał tę łącę codziennie pustoszyć oddechem, gdyż ryby ubywało z każdym dniem. Codziennie ubywało wysuszonej łuski tuż przy głowie, coraz mniej było zmętniałych oczu, a mimo to ości cuchnęły tak mocno, że można było przysiąc, iż ryba wycierała wszystkie muliste dna, nim zamknęła wiedzę o nich w jednym odorze. Codziennie obchodziłem ości dookoła. Zgnilizna tych ości mówiła o potędze zła, przekraczającej moje wyobrażenie. Miałem wrażenie, że oprócz mułu w tych rozkładających się kościach czuć było także księżyc. Codziennie szkielet coraz bardziej przypominał ginącą roślinkę, aż ości zamieniły się w pył, który wiatr rozniósł na wszystkie strony świata.

Właśnie wtedy poculiśmy pierwsze podmuchy wilgotniejszego powietrza. Wiatr zrywał się nad deltą, wiał przez Memfis i docierał do nas. Leniwa zieleń Nilu, przypominająca zupełnie gęstniejącą na ogniu, zaczęła się marszczyć, a ludzie mówili, że to krokodyl, długi jak Nil, zaczyna się przeciągać. Nie było widać jego skóry, ale powierzchnia wody była wzburzona. Wszystko, co zginęło w upale, leżało w szumowinach na spienionej fali. Rzeka zaczynała przybierać na naszych oczach. Padlina, martwe ryby, wyschnięte rośliny, wszystko to unosiło się na ciężkiej skórze nowego, zielonego Nilu, powietrze zaś zrobiło się gorące i wilgotne. Potem nowy Nil wylał się z dopływów i rozlewisk w środku kanału, a rzeka przetoczyła się nad kępami trzcin. Niebo wypełniło się ptakami niczym pole kwieciami. Przelatywały wraz z przyborem rzeki, pozostawiając za sobą kolejne kępy trzcin, gdy te znikwały pod wodą, i leciały ku wysepkom jeszcze sterczącym nad wczesnymi wodami. Potem znów całe chmury ptaków wzlatywały w górę, przelatywały nad naszymi głowami z trzepotem skrzydeł głośniejszym od szumu rzeki. Każdego dnia poziom wody podnosił się. Starsi ludzie zaczęli go mierzyć. Co roku znad rzeki przychodziła wiadomość, czy tegoroczny wylew będzie wyższy czy niższy, ale niektórzy starcy twierdzili, że patrząc na barwę rzeki, są w stanie przewidzieć jak wysoko się podniesie. Gdy rzeka wylewała, jej powierzchnia marszczyła się wieloma niezmordowanymi falami. Wieczorami słychać było szum, jakby te świeżo wezbrane wody nie szeptały jednym głosem, lecz maszerowały niczym wielka armia. Jeżeli barwa zielona ustępowała czerwonej, którą co roku widać opodal Memfis, mówiono, że wodę rozświetlają płomienie Dat. Daktyle na palmach daktylowych także czerwieniały, jakby dotrzymując kroku przetaczającym się opodal czerwonym falom.

Nie pozostawało wiele do roboty, trzeba było tylko dbać o rowy. Można więc było siadywać na groblach i spoglądać na wodę skłębioną w wirach tak wartkich, że dawało się wsadzić rękę w otwór w środku wiru, nie zamaczając jej. Tak przynajmniej utrzymywaliśmy, choć nikt nigdy nie sprawdzał tego osobiście, bo każdy bał się, że akurat te jedne jedyne usta rzeki zamkną się wokół jego ramienia i wessą go do środka.

Nadchodził tydzień, kiedy rzeka przelewała się przez niższe wały i wylewała na nasze pola. Tego właśnie pierwszego dnia ziemia stękała przeciągle jak dobra krowa pod nożem w godzinie ofiary. Nawet jako chłopak czułem, że ziemia drży, gdy woda ją zalewa i zasłania światło. Nasza wielka rzeka stawała się tysiącem małych rzek, pola zamieniały się w jeziora, a łąki w wielkie laguny. Nocami czerwone wody traciły słońce i wyglądały jak niebiańskie błonia posrebrzone księżycowym blaskiem. Nasze wioski pobudowane jedna przy drugiej na samym brzegu, o rzut kamieniem do sąsiedniej, sterczały teraz samotnie niczym wysepki na tym morzu srebra, a groble zostały jedynymi drogami. Wędrowało się groblami, podziwiając rozlewiska (nazywaliśmy je naszymi komnatami – komnata górnego pola, komnata małej dolinki), gdyż wiedzieliśmy, jak

wykorzystywać najmniejsze zagłębienie terenu, każdą nieckę, jak je otaczać wałami i zostawiać otwór, którym wpływała woda, jak wreszcie zamykać je, gdy woda je wypełniła. Razem z nami po tamach wędrowały szczury, w kałużach zaś urzędowały kaczki. Na skraju wylewu, już w pobliżu pustyni, skorpiony uciekały szukając suchego łądu, umykały też króliki i rysie, i wilki – przez te wszystkie lata udało mi się zobaczyć wszystkie gatunki zwierząt uciekających przed rozlewającymi się wodami. Co roku do naszych domów wślizgiwały się węże, w każdej lepiance wilgoć pojawiała się na klepiskach, zaś osły i bydło zjadały nocami paszę nagromadzoną przed domami, płosząc przy tym tarantule. Czasami woda przelewała się przez niższe tamy i można było odwiedzać sąsiednie wioski tylko przeprawiając się tam na tratwach albo łodziach z papiirusu. Czasami rozlewiska lizały nawet nasze chaty, a żurawie żerowały namiętnie na samych brzegach rozlewisk, gdyż owady uciekały w panice, kiedy woda podnosiła się wyżej. I wreszcie nadchodził nieodwołalnie taki ranek, gorący, jeszcze wilgotniejszy, cięższy i bardziej upalny niż do tej pory, kiedy wody na polach uspokajały się, oddychały, zostawiały na brzegach pasek szumowin, wzdymały się, ale nie podnosiły wyżej, liżąc tylko raz zaznaczoną kreseczkę, wygładzały się, wiatr ucichał, a Nil przestawał się podnosić. Tego dnia wydawaliśmy przeciągły krzyk znad naszych błot na skraju zalanych pól i tego też dnia dawano nam znak światłem z odległych wzgórz na horyzoncie. Wody były potem tak spokojne jak śpiący księżyc w samo południe.

Menenhetet westchnął.

– Tak mijają moje dzieciństwo i nie pamiętam innego życia niż praca na brzegach rozlewisk. Nie pamiętam, jak często przypominałem sobie o tym, co matka mówiła mi o Amonie. Nie uważałem się za kogoś innego niż moi rówieśnicy, z tym że byłem silniejszy, co zawsze się przydawało. Wiem, że kiedy pewnego dnia do wioski przybyli urzędnicy faraona, aby zaciągnąć nas do wojska, nie czułem strachu. Czekałem na okazję, by wstąpić do armii i chciałem pełnić w niej służbę. Byłem znudzony i byłem gotów. O ile pamiętam, rzeka od dwóch tygodni opadała i woda na naszych polach stawała się w blasku słońca złotym jeziorem. Sądzę, że urzędnicy musieli tę porę uznać za najodpowiedniejszą, bowiem otoczeni rozlewiskami nie mogliśmy ujść przed nimi po kryjomu w góry. Mnie tam było wszystko jedno. I prawdę mówiąc, kiedy tylko zobaczyłem urzędników, zaraz pomyślałem o Amonie. W moich oczach wojsko było jakby prawą ręką Boga.

Nie wiedziałem – rzekł pradziadek – o tym, ale stanąłem u progu kariery. Chciało mi się śmiać na widok naszego sołtysa, który trząsał się między dwoma strażnikami krzepko dzierżącymi w dłoniach grube pałki. Kiedy wyczytywano nasze imiona, podnosiliśmy ramię w górę i krzyczeliśmy „ho” na znak, że jesteśmy. Dwukrotnie nikt się nie odezwał. Dwóch chłopców uciekło. Na znak dany przez urzędnika faraona strażnicy zaczęli bić sołtysa, dopóki ten nie zaczął jęczeć tarzając się po ziemi, na co wszyscy zaczęliśmy pogardliwie parskać. Sołtys często nas karał, toteż nie mieliśmy nic przeciwko temu, żeby sobie trochę pocierpiał. Potem urzędnik przejrzał obecną osiemnastkę: obejrzał zęby, obmacał ramiona i uda, podrzucił genitalia i wybrał piętnastu najsilniejszych. Matki przyglądały się nam i, muszę przyznać, w większości płakały. Pomaszerowaliśmy groblą i wsiedliśmy do łodzi, które ruszyły pędzone wiosłami w górę rzeki, na południe, aż dotarliśmy do wielkiego garnizonu i spichrzy. Tam nas zamknięto wraz z rekrutami z innych wiosek, a wieczorem piekarze dali nam po bochnie okrągłego, twardego, ciemnego chleba – uśmiechnął się, wspominając to.

– Byłem biednym chłopakiem i jadałem ciemny chleb, ale ten był starszy niż najstarsi umarli.

Poruszył wargami, jakby znów przeżuwał czerstwe pieczywo.

– Pozostali rekruci – rzekł Menenhetet – przybywali do fortu, gdzie uczono nas maszerować, zapasów i posługiwania się mieczem. Dobry i Wielki Boże, jakież miałem wówczas cios – uderzając znad głowy, łamałem w czasie ćwiczeń pięć tarcz! Nauczono nas posługiwania się tarczą, bo

wojsko używało wówczas dużych tarcz, większych niż obecnie, zakrywających człowieka od oczu po kolana. Nie dawały one najlepszej ochrony. W odróżnieniu od obecnych, małych tarcz z wieloma warstwami metalowych płytek, stare tarcze składały się z dużej drewnianej ramy i skórzanych uchwytów. Były tak ciężkie, że przybijano do nich tylko mały kawałek metalu ochraniającego uchwyt przed ciosem przeciwnika, a kawałek ten był wielkości twarzy.

Jeden za drugim ustawialiśmy się naprzeciw łucznika, który strzelał do nas z odległości pięćdziesięciu kroków. Potrafił dobrze mierzyć, toteż porządnie się napracowaliśmy, by ustawić tarczę w taki sposób, żeby strzała odbiła się właśnie od metalowej płytki. Nauczono nas ustawiać tarczę, ale samemu trzeba było stać bokiem do łucznika, by strzała nie trafiła w nasze ciało w wypadku przebicia skóry pokrywającej tarczę. Sama skóra też zatrzymywała część strzał wbijających się w tarczę. Niezły sport – manewrowanie tarczą i odbijanie tych strzał, przed którymi nie zdążaliśmy się uchylić. Pod koniec ćwiczeń pięćdziesięciu rekrutów stało naprzeciw stu łuczników z rozkazem natarcia. Porządnie się wówczas napociłem. Ponieważ wiadano, że umiem posługiwać się tarczą, wielu łuczników celowało właśnie we mnie.

– Czy wielu zginęło w trakcie tych ćwiczeń? – spytał Pta-nem-hotep.

– Było sporo skaleczeń, kilka ran, a dwóch ludzi zginęło, ale staliśmy się zwinni w unikaniu strzał i przedzierzgnęliśmy się w żołnierzy. Poza tym nosiliśmy grubą odzież, która też chroniła przed strzałami, choć nie była jeszcze tak gruba, jak obecnie. Ćwiczone wówczas bardziej intensywnie, bo bez przerwy nam powtarzano, że musimy być gotowi do podboju nowych ziem. Byliśmy tak nieoświeceni, że nie mieliśmy pojęcia, iż ziemie te podbito już przed stu laty i teraz chodziło wyłącznie o tłumienie buntów. To były dobre ćwiczenia. Stanowiliśmy piechotę i nasze uzbrojenie składało się ze sztyletów i włóczni, ale uczono nas także władania mieczem i lukiem. Ponieważ tryumfowałem we wszystkich konkurencjach, a zwłaszcza w zapasach, nie tylko w walce na sztylety, włócznie, miecze, tarcze i luki, pozwolono mi stanąć do zawodów, w których miano spośród nas wyłonić jednego woźnicę rydwanu. W tamtych czasach mogli się tego imać wyłącznie synowie szlachetnie urodzonych Egipcjan.

– A czy rydwany, jakich wówczas używano, różniły się od współczesnych? – spytał Pta-nem-hotep.

– Były równie piękne. W odróżnieniu od tarcz, nasze obecne rydwany nie różnią się od ówczesnych. Są takie same w najdrobniejszych szczegółach, tyle że wówczas stanowiły jeszcze rzadkość. Najstarszy człowiek w naszej wiosce lubił wspominać, jak to najstarszy mężczyzna w czasach jego dzieciństwa pamiętał jeszcze dzień, kiedy ujrzał po raz pierwszy w życiu konia, jako że właśnie wówczas zaczęto je sprowadzać do Egiptu z ziem położonych na wschodzie. Jakże go koń przeraził! Bo też kto by się nie zląkł tak dziwnych zwierząt? Słuchały tylko głosu obcych bogów, parskały głośno albo rżały przeciągle. Starzec ów zwykł mawiać, że pragnąc zbliżyć się do faraona, trzeba było poszukać dwukonnego rydwanu. W naszych oczach żołnierze na rydwanach byli wysłannikami faraona! Wydawali nam się wspaniali, błyszczący jakby ich ubiór był ze złota. Kiedy stawali za tymi czworonożnymi bogami i ruszali galopem, czuliśmy wobec nich większy respekt niż wobec kapitanów wielkich barek na Nilu. Możecie sobie wyobrazić, jak rzadką specjalnością było wówczas w wojsku powożenie rydwanem i jak bardzo pragnąłem zostać woźnicą. Ustawiono nas do wyścigu, żeby wybrać jednego, który miał zostać woźnicą rydwanu. Była to najcięższa konkurencja spośród wszystkich, w jakich do tej pory uczestniczyliśmy. Powiedziano nam, że zwycięzca będzie powoził rydwanem jak szlachetnie urodzony. Byliśmy ciemni i nie potrafiliśmy powozić końmi, toteż kazano nam unieść rydwan w rękach nad głowami i przebiec pod górę, a potem w dół, dźwigając rydwan na barkach. Rydwany były wówczas równie lekkie jak dziś, nie były cięższe od dziesięcioletniego chłopca, ale niełatwo było biec z nimi nad

głową po stromym zboczach, a potem zbiegać po drugiej stronie wzgórza. Nie wolno było upaść. Wiadomo, gdybyśmy uszkodzili rydwan, połamaliby pałki na naszych grzbietach.

Ruszyliśmy truchtem. Głupcy próbowali biec szybko jak koń i wnet padli na pierwszym wzniesieniu, ale ja ruszyłem, jakbym był synem Amona i mógł z każdym oddechem czerpać nowe siły. Posuwałem się naprzód, jakby Nut tchnęła mi w nozdrza, a Geb prowadził stopy, podczas gdy Maat uspokoiła wzburzony żołądek, zakazując mi biec szybciej, póki nie znalazłem równowagi między wysiłkiem ciała a demonami w moich płucach. Mimo to ziemia zrobiła się niebieska, niebo pomarańczowe jak słońce, a słońce czasami wydawało mi się czarne. Potem piasek pustyni także poczerniał w mych oczach, a niebo zrobiło się białe. Skały na zboczach przestawały być dla mnie skałami w miarę wspinaczki i wydawały się groźnymi psami z wyszczerzonymi kłami, niektóre zaś rozjuszonymi dzikami – jeden głaz wydawał mi się wręcz hipopotamem – a kiedy zacząłem zbiegać po drugiej stronie, serce chciało mi się wyrwać z piersi. Myślałem, że umrę, a jednak pokonałem wzgórze i wysforowałem się przed wszystkimi. Gdy zbiegałem, jeden z żołnierzy omal mnie nie wyprzedził, gdyż miał długie nogi, pędził susami i zbliżył się, a ja oblałem się zimnym potem. Drżałem z zimna w ten upał, a rydwan ciążył mi na ramionach niczym martwy lew. Przysięgam, że czułem, jak rozrywa mi kłami plecy. Ale już wracały mi siły i chwytałem drugi oddech, nawet niebo i ziemię widziałem już normalnie, tyle że w piersiach tkwiła dzida, a głowę ścisnęła obręcz bólu. Wiedziałem, że nie potrafię wyprzedzić tego rywala, o ile go nie wprowadzę w błąd. Był wysoki i chudy i mógł wygrywać takie wyścigi, ale wiedziałem, że jest próżny, toteż zebrawszy resztki sił, zacząłem wykonywać długie skoki przeskakując po dziesięć głazów naraz. Był tuż za mną i byłby mnie minął, gdyż po tych dziesięciu skokach opadłem z sił, ale mój rywal podjął wyzwanie i chciał pokazać, że potrafi mnie przewyższyć. Próbował przeskoczyć jeszcze większą odległość, upadł i rozbił rydwan. Ostatkiem sił samotnie zbiegłem ze zbocza.

Tak oto zostałem woźnicą rydwanu i przeszedłem do Królewskiej Szkoły Woźniców Rydwanów króla Totmesa III, gdzie wnet okazałem się najlepszym uczniem. Nie od razu jednak. Najpierw musiałem się nauczyć obchodzenia z końmi i ich oporządzania, bo konie to tajemnicze stworzenia. Przez długi czas nie wiedziałem, czy to zwierzęta, czy bogowie. Wiedziałem tylko, że mnie nie lubią. Stawały dęba na mój widok. Nie rozumiałem ich i nie wiedziałem, czy potrafią w ogóle myśleć. Spoglądając na ich cienkie pęciny domyślałem się, że są wyrafinowane, błyski w ich oczach zaś upewniały mnie, że potrafią myśl chwycić w lot, choćby mknęła szybko jak strzała. Ponieważ odznaczały się długimi nosami, sądziłem, że orientują się w otoczeniu dzięki zapachom z dala wzgórz. Ale sądząc po użębieniu, były to stworzenia płytke i uparte. Nie rozumiałem ich. W końcu byłem chłopakiem ze wsi. Nie wiedząc o tym, sam byłem jak koń. Nie myślałem i ledwo potrafiłem wykonywać dziwne dla mnie rozkazy.

Nauka posługiwania się lejcam i płynnego kierowania koniem stała się dla mnie ważniejszym przeżyciem niż wygrana w zawodach rydwanów – powiedział pradziadek – bo im bardziej starałem się przewyciężyć własną nieporadność, tym bardziej wystawiałem się na śmieszność. Synowie szlachetnie urodzonych, pośród których się znalazłem, przywykli, jak mi się zdawało, do poruszania się z gracją (wciąż jeszcze jestem o tym przekonany, patrząc na urodę mojego ukochanego prawnuka Menenheteta II – dodał, skinąwszy głową w moim kierunku) – co pobudzało mnie do jeszcze intensywniejszego wysiłku. Stwierdziłem, że często powtarzam stare powiedzonko chłopów – na pewno wyda wam się wulgarnie, ale słyszy się je w każdej zagrodzie: „Musisz wiedzieć, jak śmierdzi twoja trzoda”. To właśnie wówczas, pracując w stajni, zrozumiałem, jaki respekt czuję wobec nowego dla mnie zapachu konia. Ich stajnie śmierdziały inaczej – lepiej niż nasze pola i zagrody dla zwierząt przy chatach. Woń wydawała mi się niemal boska, gdyż czułem w

niej zapach słońca na polu pszenicy. Ale też i dlatego między innymi bałem się koni, że sądziłem, iż stały bliżej bogów niż inne zwierzęta.

Zwierzę, które oporządzałem w naszych stajniach, było ogierem i to narowistym. Mimo to zapach jego skóry na moich palcach był słodki i przyjazny, niczym zapach pierwszej wiejskiej dziewczyny, którą kochałem. Pachniała raczej glebą niż rzeką, a w ogóle zalaływało od niej głównie polami pszenicy i własnym kochanym potem, mocnym jak u konia. Przyszło mi więc do głowy, właśnie wtedy, gdy wąchałem zapach konia na moich rękach, że konie nie były jak bogowie, a raczej jak mężczyźni i kobiety, którzy umarli i powrócili na ziemię jako konie. O ile mi wiadomo, nikt tego przede mną nie wymyślił, toteż byłem przekonany, że popełniłem bluźnierstwo. Ale pokrzepiony zapachem duszy ogiera, który czułem wyraźnie przez karmę z ziarna i słomy, poczułem się blisko kogoś, kto żył w moim koniu, a nie wiedząc, kto to był, przypuszczałem, że mogła to być tamta dziewczyna, którą kochałem. Tego ranka zacząłem inaczej przemawiać do mego konia. Nie próbowałem go już okiełznać ani modlić się do boga, który w nim mieszkał, dzięki czemu oszczędziłem sobie wielu kłopotów. No bo jak niby zaność modły do nieznanego boga? Z drugiej strony nie katowałem go już jak zwierzęcia. A przynajmniej robiłem to rzadziej. Teraz myślałem raczej o człowieku, który mieszkał w zwierzęciu, i zrozumiałem, że ten ogier mi zazdrości.

Przemawiałem dobitnie i chodziłem wyprostowany jak on kiedyś – czułem więc, że swoje obecne wcielenie jego rogata dusza musi traktować jako upokorzenie. W myślach zacząłem do niego mówić: „A może zechciałbyś znów zostać człowiekiem? Posłuchaj mnie. Możemy zostać przyjaciółmi”. I wiecie co? Zwierzę odgadło moje myśli. Poznałem to po jego zachowaniu.

Na początku tresury nie używaliśmy rydwanów z podwójnym zaprzęgiem, ale mniejszych wozów, jednokonnych, które miały grube, drewniane koła i podczas jazdy przeraźliwie klekotały. Był to okropny hałas, same wozy zaś tak wysoko podskakiwały na wybojach, że aż kręgi nam trzeszczały. Tylko tak silny chłop jak ja potrafił znieść to wszystko, ucząc się zarazem, jak kierować koniem. Inni już dawno przesiedli się na rydwany, a ja jeszcze mozoliłem się na moim wozie. Ale pod koniec ćwiczeń zdumiałem naszego przełożonego. Nauczyłem się różnych sztuczek na moim wózku i potrafiłem nawet zmusić ogiera, żeby go cofnął. Toteż przenieśli mnie na rydwany dwukonne. I znów zaczęły się trudności. Musiałem się przyzwyczaić do tego, że nie jestem już jak przyjaciel lub brat, ani nawet nieznajomy, pouczający kogoś, jak ma żyć, ale muszę być jak ojciec, który mówi dwóm stworom, jak mają żyć ze sobą niczym brat z siostrą. – Przerwał na chwilę, by odchrząknąć, jak to czynią ludzie prości, kiedy im zaschnie w gardle. – Nie da się zbudować krzesła, nie mając piły do cięcia drewna, potrzebne są zatem narzędzia, a te właśnie dostałem do ręki. Żyłem z tymi końmi i przemawiałem do nich własnym głosem, a czasami myślami, i w ten sposób nauczyłem je, jak mają się poruszać razem.

I nadszedł taki dzień, kiedy potrafiłem manewrować moim rydwanem tak, że innym trudno było mi sprostać, toteż nie musiałem już przemawiać do moich koni. Moje myśli zrosły się z lejcami. Nadszedł w końcu taki dzień, kiedy obwiązałem się w pasie lejcami i pokazałem pozostałym żołnierzom, jak powozić rydwanem, nie korzystając z pomocy rąk. Pragnąc pokazać, że jest to umiejętność bardzo pożyteczna, przegalopowałem przez boisko z łukiem w rękę i szylem strzałami w bale słomy. Zaczęły się nowe ćwiczenia. Już wkrótce synowie szlachetnie urodzonych, moi koledzy woźnice, próbowali galopować obwiązani w pasie lejcami, ale uczyli się tego wolniej ode mnie, toteż zdarzały się dość często wypadki. Nie udało im się – tak dobrze jak mnie – rozgościć w umysłach koni.

Tak oto nauczyłem się swojego fachu i już wkrótce przestałem myśleć o koniach jako o mężczyznach i kobietach. Pod koniec, prawdę mówiąc, więcej myślałem o lejcach niż o czymś

innym. Można sobie konia przyuczyć, zmienić, ale lejce zostają takie same i trzeba się nimi odpowiednio posługiwać. Wreszcie wyglądałem już tylko pomyślnych wróżb i ruszałem. Lejce tak zmyślały, że wystarczyło, że je spuściłem leciutko na grzbiety koni, a zwierzęta w lot chwyciły mój zamiar.

Pradziadek powiódł po nas wzrokiem, a jego twarz wydawała się równie młoda i silna jak w czasach, o których opowiadał, w czasach jego pierwszego życia, gdy był królewskim woźnicą rydwanu. Uśmiechnął się lekko i po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że mój pradziadek ma piękną twarz. Miałem dopiero sześć lat, ale równie męskiej twarzy jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć.

– Czy możemy przejść – spytał faraona – do bitwy pod Kadeszem?

– Nie – odrzekł Pta-nem-hotep głosem swobodnym i zadowolonym. – Przyznam szczerze, że bardziej mi teraz zależy na tym, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o twoich wcześniejszych przygodach w wojsku. Wszystko szło równie gładko?

– Szło mi gorzej i to bardzo długo. Wciąż jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to zawiść. Nie potrafiłem trzymać języka za zębami. Toteż rozповідаłem na prawo i lewo, że pewnego dnia zostanę Pierwszym Woźnicą Rydwanu Jego Wysokości. Jeszcze nie wiedziałem, że umiejętność awansowania wysoko jest ściśle powiązana z umiejętnością ukrywania własnych zdolności. Dzięki temu przełożeni bez obaw awansują nas wyżej. Ponieważ, jak się już rzekło, nie znałem się na tym, wypada przyznać, że i dzisiaj niewiele sobie z tej umiejętności robię.

– Kochany Menenhetecie, wkrótce będziesz niezastąpiony – rzekł faraon.

Pradziadek skłonił się, usłyszawszy tę odpowiedź. Widziałem po jego twarzy, że wcale nie miał zamiaru skracać opowieści.

– W tamtych czasach – rzekł – marzyłem często o podbojach dalekich krain i miałem nadzieję, że to dzięki mnie odniesiemy zwycięstwo. Jeżeli bowiem woźniców można nauczyć powozić z lejcami zawiązanymi wokół pasa, to można im także dać łuk do ręki, każdy zaś z naszych rydwanów wkroczy wówczas do akcji z dwoma łucznikami. Będziemy dwakroć silniejsi od przeciwnika, który korzysta z woźnicy i łucznika, albo od tych, jak to ma miejsce u Hetytów, którzy wyruszają do bitwy w ciężkich trzyosobowych rydwanach w składzie: łucznika, woźnicy i żołnierza z dzidą. Nasi dwaj żołnierze dorównają siłą ognia tamtym dwóm, a zarazem nasze rydwany będą szybsze i zwrotniejsze. Nie mogłem zasnąć, podniecony tą myślą. Dręczyło mnie to, że nie mam się z kim podzielić takimi myślami. Kiedy tylko jakiś wyższy dowódca wyrażał zainteresowanie i chciał się przekonać, czy mam rację, dowodzący rydwanami odpowiadał, że jego zdaniem tylko garstka najlepszych będzie kiedykolwiek w stanie opanować podwójny zaprzęg z lejcami uwiązanymi wokół pasa. I na zakończenie powiedziano mi, że moje argumenty obrażają Amona. Nasz Bóg, stwierdzono, już zesłał zwycięstwa Egipcjom, w którego armii załogę rydwanu stanowili woźnica i łucznik.

Niewiele skorzystałem z tych doświadczeń. Wciąż przechwalałem się, że zostanę Pierwszym Woźnicą Rydwanu i powiodę do boju oddział rydwanów z dwoma łucznikami na pokładzie. Wobec takiej próżności odesłano mnie na prowincję. Oficer, który mnie nienawidził, ale miał rangę o stopień wyższą od mojej, postarał się, by mnie wysłano do przekłetej oazy gdzieś pośród piasków libijskiej pustyni (wskazał palcem za siebie, ku ziemiom daleko za piramidami). Było to miejsce tak nieskończenie nudne, że umysł równie żywy jak twój, faraonie, nie wytrzymałby tam ani jednego dnia. Czułem niemal, jak mi się mózg rozgotowuje na oliwę. Dymiło mi z uszu w pustynnym słońcu. Nie było prawie żadnych obowiązków, nie było wina. Dowodziłem dwudziestu żołnierzami, gburowatymi najemnikami, wiejskimi przygłupami. Było piwo, które smakowało jak końskie szczyny. Niezbyt dobrze pamiętam ten okres. Przypominam sobie list, który podyktowałem

naszemu pisarzowi, drobnemu człowieczkowi, którego poślądki nosiły ślady żołądackiej swawoli. Można powiedzieć, że on równie desperacko pragnął wyrwać się z tej osady jak ja. Pozwoliłem mu napisać w moim imieniu list do naszego generała.

– Postaraj się, żeby słowa wypadły jak najlepiej – powiedziałem mu – albo nigdy się stąd nie wydostaniemy, a wówczas dziura w twoim siedzeniu będzie szersza niż usta.

Pisarczyk roześmiał się, słysząc te słowa. Nie bardzo mu dokuczała żołądacka swawola. Ale zrozumiał błysk w moim oku. Błysk ten mówił: „Wydostań mnie z Teben-Szanasz”. Tak się nazywała owa oaza, i faktycznie, nazwa była prorocza, gdyż panował tu wielki zaduch. Zaduch otaczał nasze namioty. Trzeba powiedzieć, że nie mieliśmy nawet chat. Nie było słomy, z której ulepić można cegły. Muchy były nie do zniesienia. Leżałem godzinami pod palmami daktylowymi i spoglądałem ku długiej piaszczystej drodze znikającej za horyzontem. Nic, tylko niebo. Zakochałem się w locie ptaków. Tylko w tym mogłem się zakochać. Jedzenie było zabójcze. Gorzkie daktyle i ziarno z worków, przechowywanych w wilgoci oazy, a więc pełnych robactwa.

– Po co nam o tym opowiadasz? – spytała Hatfertiti.

– Były psy. Było chyba z trzysta psów i wszystkie towarzyszyły mi podczas przechadzek. Cuchnęło im z pysków. Mnie też. Robak toczył mi chory ząb, wierząc dziurę w głowie. I tam, w zaduchu oazy, gdzie dzioby drapieżnych ptaków i pyski zwierząt czerwone były od krwi i spieczone słońcem, na tych zakurzonych drogach, gdzie te ohydne stwory walczyły zażarcie o ostatnie strzępy mięsa na szkieletach martwych osiołków, marzyłem o pękach piór na końskich łbach podczas defilady. Możecie sobie wyobrazić, jaki list podyktowałem pisarzowi. „Prowadź mnie do Memfis – wzywałem. – Pozwól ujrzeć Memfis o świcie!”. Już myślałem, że umrę w zaduchu oazy. Jeszcze nie wiedziałem, jaka kariera mnie czeka, ani następna, ani kolejne. Nigdy jeszcze nie czułem się tak przygnębiony i wykończony, jak wówczas, i podczas żadnego z moich następnych wcieleń nie zaznałem takiego nastroju beznadziejności.

Menenhetet przerwał i obwiodł palcem usta, jakby na wspomnienie dawnego pragnienia.

– Układając ów list – rzekł po chwili – zdałem sobie sprawę z potęgi Boga Tota i modliłem się doń, by oświecił i natchnął pisarza odpowiednimi słowami, gdyż moja siła w tego typu próbach nie zdała się na nic. Podczas gdy pisarz robił co w jego mocy, by wyrazić moje uczucia językiem nadającym się do przelania na papirus, powtarzałem sobie, ogarnięty przerażeniem, że ten oto list musi być dla mnie wybawieniem. Nie mogło mnie spotkać nic gorszego niż rok dłużej w Teben-Szanasz. Ale odczytując list, poczułem wstyd. Zginę albo wytrwam, powiedziałem do siebie, ale nie będę kwilił u stóp generała, nie będę go prosił o to, by mi pozwolił ujrzeć Memfis o świcie. Nie, nie, myślałem, postawię swoje warunki z godnością. Toteż wysłałem inny list, ułożony spokojniej i, ku memu zdumieniu, wkrótce przeniesiono mnie z powrotem do miasta.

Nigdy nie zapomniałem tej nauczki. Nie należy ulegać impulsom, które ranią naszą dumę. Jakże śpiewałem z radości, gdy mnie przeniesiono z pustyni! Wydawało mi się, że fortuna się odwróciła. I faktycznie, w niespełna pół roku później spotkałem wielkiego Ramzesa II w Memfis. Odwiedzał miasto w drodze z Teb. Moja opowieść o tym, jak naprawdę wyglądała bitwa pod Kadeszem, może się w tym miejscu rozpocząć na dobre.

II

Nawet w świetle światełek widziałem w oczach faraona błysk, jaki towarzyszy ludziom wówczas, kiedy po długim oczekiwaniu i mozolnej wspinaczce docierają na szczyt wzgórza, z którego rozciąga się wspaniały widok. Oto bowiem mój pradziadek miał nam opowiedzieć o królu, który był wybitniejszy od pozostałych władców – gdyż tak o nim mówiono przy mnie od kolebki.

– Tak jest, dane mi było stanąć przed nim – rzekł Menenhetet – pod kolumnami świątyni Amona w Memfis. Właśnie tam się udał na modły, po czym jeszcze tego samego dnia miał złożyć kurtuazyjną wizytę w świątyni Ptaha. Muszę przyznać, że choć słyszałem wiele o jego wspaniałej postawie i promiennej twarzy, zrobił na mnie ogromne wrażenie. Był wyższy od nas, a oczy miał zielone niczym wieczna zieleń ogromnego morza za deltą Nilu. – Menenhetet wahał się przez chwilę, nim podjął dalszą opowieść. – Z drugiej strony, kiedy się mu przyjrzałem, okazało się, nie do wiary, że właściwie nie ma oczu zielonych, lecz niebieskie. Nigdy przedtem nie widziałem człowieka, który by miał oczy niebieskie.

– Niebieskie? – spytała matka. – To niemożliwe. Szare albo zielone, albo czyste jak woda, żółte jak słońce, ale nie niebieskie.

– Niebieskie jak niebo – rzekł Menenhetet. – Skóra jego była ciemna jak nasza, ale jakaś inna i piękniejsza, na ramionach wpadająca wczesnym wieczorem w odcień złocisto-czerwony. Wyglądał tak, jakby żył w słońcu niczym ptak upieczony w piekarniku na czerwono, na przyjemny i niecodzienny kolor. Nosił szaty białe, plisowane, zaś plisy jego długiej spódniczki szeleściły jak trzciny na wietrze. Spódniczka była biała, ale połyskiwała jak srebrne piskorze w sadzawce. Najbardziej niezwykle były jego żółte włosy, jaśniejsze od słońca. Były płowozłote jak len. Kosmyki włosów tańczyły na wietrze szybciej niż fałdy jego spódniczki.

– Miał złocistożółte włosy? – spytał Pta-nem-hotep.

– Tak jest, na początku swego panowania miał włosy płowozłote, ale w miarę panowania ściemniały, oczy zaś z niebieskich zrobiły się zielone, potem żółte, a następnie nabrały brązowych odcieni. Umierając miał oczy czarne.

– Takie, jakie widuję na wizerunkach – rzekł nasz faraon.

– Tak jest, ale artystom zabroniono oddawać prawdziwie barwy jego ciała. Był przekonany o tym, że gdyby ktoś przedstawił wiernie barwę jego włosów, pograżyłyby się w żałobie i ściemniały, toteż na wszelki wypadek podczas wszystkich uroczystości nosił ciemnowłosą perukę, wyjąwszy te dni, kiedy wyruszał do bitwy albo odwiedzał świątynię. Tak się rzeczy miały, zresztą sam mi się kiedyś z tego zwierzył.

– Po raz pierwszy ujrzałeś go w świątyni Amona?

– Ledwo udało mi się do niego precyzyjnie. Właśnie wróciłem do Memfis po dwutygodniowej służbie w jednym z fortów i dojeżdżając do kwatery zorientowałem się, że tłum ludzi biegnących w przeciwnym kierunku zwiastuje wizytę faraona. Dowiedziałem się, że młody faraon przybył do Memfis tego samego ranka, a w dodatku właśnie przebywał w świątyni. Kiedy wreszcie tam dotarłem, musiałem się tłoczyć na dalekim dziedzińcu w słonecznym skwarze i wypatrywać go między kolumnami, Tak czy owak nie było go widać, bo wszedł do świątyni. Nasze próby dostrzeżenia go przypominały zagłębienie przez długie pole do środka mrocznej jaskini.

– Kiedy jednak faraon wyszedł ze świątyni w towarzystwie Wysokiego Kapłana, od razu zrozumiałem, że mam przed sobą syna Amona Re. Żaden władca z rodu Ramzesów nie odznaczał się twarzą równie bliską szlachetnym obliczom boskim, które widzimy w snach, oczywiście z wyjątkiem twoich szlachetnych rysów, o Panie.

Istotnie, nasz faraon wyglądał imponująco w kwiecie swej urody. Nie mogłem się powstrzymać od zachwyty, patrząc na delikatnie wyrzeźbiony nos czy na wygięcie łuku warg. Wydawał mi się atrakcyjniejszy od pięknej damy.

– Porównanie to przynosi mi zaszczyt, ale wiem, że to tylko kolejny chwyt mający uczynić mi ciebie niezastąpionym – rzekł Pta-nem-hotep.

Menenhetet skłonił się z gracją i powiedział: – Panie mój, ów faraon był tak piękny jak chmara ptactwa, która podrywa się jak jeden ptak. Był piękny jak księżyc w pełni skłaniający głowę, by się skryć za zasłoną najdrobniejszej chmurki. Był piękny jak słońce o świcie, kiedy można mu jeszcze zajrzeć w oczy i stwierdzić, że bóg jest młody. Po raz pierwszy i jedyny w życiu zakochałem się w mężczyźnie. Wiedziałem, że dane mi będzie służyć mu jako woźnica rydwanu.

Od tej pory rozumiałem, na czym polega uczucie miłości młodzieńca – jest prostsze niż inne namiętności. Kochamy tych, którzy potrafią nas zawieść w miejsce, jakiego nigdy byśmy nie osiągnęli o własnych siłach.

Tu przerwał, by się skłonić faraonowi, a potem matce.

– Naszego faraona eskortowali do świątyni Amona woźnice rydwanów z naszych koszar. Widząc, jak wynurzają się ze świątyni, natychmiast do nich dołączyłem w chwili, gdy przekraczali wrota, ale zarazem musiałem pędem pobiec po własny pojazd, który zostawiłem po drugiej stronie murów świątyni pod opieką chłopca. Znajdując się daleko w tyle za pozostałymi kolegami, musiałem nieźle okładać biczem wszystkich, którzy mi stawali na drodze. Nie oszczędzałem też koni, a nawet musiałem rękoma odepchnąć jakiegoś głupca, który usiłował powstrzymać mnie, łapiąc za koło. Jeszcze mam przed oczyma jego twarz i zastanawiam się, na czym mu zależało. Potem przebiłem się przez tłum i popędziłem na tyły pochodu ciągnącego za orszakiem Ramzesa II.

Przejazd do świątyni Ptaha okazał się gonitwą. Po Memfis krążyły plotki, że nowy faraon jest mistrzem w jeździe rydwanem. Istotnie, widziałem, jak wspaniale powozi bez względu na to, czy droga była dobra, czy zła. Pędził i pędził, a sam Amon chyba musiał czuwać nad kopytami jego koni. Przecież konie mogły się potknąć o wiele różnych przeszkód. Obok niego stała jego królowa, Nefertari, zachowując całkowity spokój, jak gdyby właśnie damy dworu czesały jej włosy. Jej urodą wszyscy się zachwycali i mogę ją porównać tylko do urody mojej wnuczki, której zdrowie chciałbym wypić dziś w nocy – zakończył Menenhetet, wznosząc kubek z winem.

– Ależ znam doskonale ciało Nefertari – powiedział Pta-nem-hotep – ponieważ w Karnaku jest jej rzeźba obok prawej nogi Ramzesa II. Jest o trzy czwarte mniejsza od faraona, ale niezwykle pociągająca – i wypił za zdrowie Hatfertiti, a ja dostałem wypieków. W domu pradiadka było malowidło ścienne, które przedstawiało królową Nefertari nago, u prawej nogi męża. Miała piersi wysokie i pełne, znacznie większe niż większość Egipcjanek. Płaski brzuch ukazywał jednak wypukłość, uda były silne – całymi godzinami przypominałem sobie ten obraz. Toteż zarumieniłem się sądząc, że inni mogą w podobnie pożądlivy sposób traktować nagość mojej matki.

– Opowiedz nam coś jeszcze o tej królowej – poprosiła matka.

– Och, nic o niej wówczas nie wiedziałem – odparł Menenhetet. – Później dowiedziałem się wielu rzeczy, ale wówczas odczuwałem tylko nabożny szacunek, spoglądając na królewską parę w rydwanie na czele orszaku. Niewielu ludzi można oglądać od tyłu, nie odkrywając żadnej słabostki, dotyczy to nawet mężczyzn niezwykle silnych lub kobiet o ogromnym wdzięku. Najczęściej widać drobne fałdy na udach lub przygarbienie, zwłaszcza gdy ludzie ci zdają sobie sprawę z tego, że ktoś

się im przygląda. Ta para królewska stała jednak prosto jak dwa źdźbła tej samej trawy i kołysała się pod podmuchem tego samego wiatru, z tym że tutaj nie chodziło o wiatr, lecz o wyboje. Powoził rydwanem tak ostro, że przelatywał od wyboju do wyboju. A mimo to królowa stała obok niego przez cały czas wyprostowana, ledwo go trzymając dwoma palcami za ramię, lekko uginając kolana na kolejnym wyboju i uśmiechając się przez cały czas do ludności.

– Skąd wiesz, że się uśmiechali, skoro jechałeś za nimi?

– spytał Pta-nem-hotep.

– Jak słusznie zauważyłeś, Dobry i Wielki Boże, nie mogłem widzieć ich twarzy. Ale byłem pewien, że się uśmiechają, gdyż widziałem reakcje tłumu, na twarzach ludzi zaś malowało się szczęście, bo dane im było ujrzeć błysk zębów wielkiego króla i jego małżonki przelatujących obok z uśmiechem na ustach.

– Mając taką głowę, powinienes sprawować urząd ministra – zauważył Pta-nem-hotep.

Po raz pierwszy w życiu wyobraziłem sobie, jak Menenhetet mógł wyglądać na rydwanie, gdyż w jego oku zapaliły się błyski dawnych namiętności.

– Muszę opowiedzieć memu faraonowi – ciągnął – że ów Ramzes II, źródło istnienia w słonecznym blasku, jechał niezwykle szybko, tak szybko, że wnet zostawił inne rydwany daleko w tyle. Bo też trudno było dotrzymać mu tempa w tym oszałamiającym galopie. Królowa Nefertari była wszak dużo lżejsza od silnie zbudowanych młodzieńców dzierżących tarcze i włócznie, a i konie miał faraon bardziej rącze. Nikt też nie śmiał się ścigać. Kto mógł żywić nadzieję, że uda mu się dorównać władcy? Poza tym woźnica rydwanu musiał pokrywać koszty naprawy pojazdu, jeżeli nieumyślnie go uszkodził. Gdyby koń potknął się i złamał nogę, woźnica płacił także karę. Szaleństwem byłoby się ścigać.

Ale z drugiej strony to upokarzające przyglądać się, jak nas zostawia w tyle. Byłem w rydwanie sam, bez pasażera. Toteż wysforowałem się przed gwardię honorową i dopędziłem faraona, omal nie wybijając sobie zębów. Dolna szczeka na każdym wyboju waliła w górną niczym katapulta. Ostatecznie jednak dopędziłem władcę i wnet jechałem w obłoku kurzu za nimi. Faraon nie obejrzał się ani razu, królowa też nie. Musieli jednak widzieć mnie kątem oka na zakręcie, a może po prostu usłyszeli szum mego rydwanu, bo kiedy wyjechaliśmy na szeroki bulwar wiodący do świątyni Ptaha, gdzie z łatwością zmieści się obok siebie dziesięć rydwanów, faraon podniósł ramię do góry i drobnym gestem trzech zgiętych palców, które przypominały mi ciesielski topór ciosający niebo, nakazał mi zrównać się ze sobą. Kiedy to uczyniłem, krzyknął: – Jak się nazywasz?

Kiedy mu odkrzyknąłem, przekrzykując hałas powozów i zdjęty ogromnym strachem w jego obecności, musiałem przemówić językiem chłopów z wioski, w której się urodziłem. Nie zrozumiał mnie i spytał ponownie: – A co to imię oznacza? – na co odparłem: – Źródło Mowy, Wielki Boże, oto co oznacza Menenhetet. – Nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy, że należało powiedzieć „Dobry Boże”, a nie „Wielki Boże”, ale rozpaczliwie szukałem w głowie jak najwspanialszych określeń. Potrzebne mi było „ten, którego Re najszczodrzej obdarzył”, ale innych też nie potrafiłem sobie przypomnieć, pochłonięty pilnowaniem, by moje konie nie zabiegły drogi jego rumakom. Jego konie były wściekłe, że ktoś się do nich zbliżył. Królowa Nefertari przez cały czas spoglądała na mnie z niesmakiem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem cały zakurzony, wiedziałem też, że drażni ją dym buchający z piast moich kół, toteż odsunąłem się nieco dalej. Przedtem jednak przyjrzałem się jej i nigdy nie zapomnę, jak wyglądała. Uwielbiała swego faraona i pragnęła zawsze z nim być sam na sam. Ale oto pojawiłem się ja, z twarzą zroszoną potem płynącym strużkami pośród kurzu, z białymi zębami błyskającymi w krokodylim uśmiechu.

– Jeżeli nazywasz się „źródło mowy”, to dlaczego przemawiasz tak niewyraźnie? – spytał Ramzes II, zbliżając się swoim rydwanem. Ponownie oddaliłem się, by nie okryć królowej kurzem. Poprzez hałas pojazdów odkrzyknąłem:

– W wiosce, gdzie się wychowałem, więcej było zwierząt niż ludzi do rozmowy, Wielki Boże!

– Awansowałaś więc w wojsku? – spytał. – Gdy energicznie przytaknąłem głową, rzekł: – Musisz być doskonałym woźnicą. Wysforuj się przede mną i pokaż mi jakieś sztuczki. – Tak też uczyniłem. Dużo ryzykowałem na tym bulwarze pełnym długich wyrw, obwiązując się w pasie lejcami, bo do tej pory demonstrowałem ten chwyt wyłącznie na placu ćwiczebnym albo na lepszych drogach, ale mimo to podjąłem ryzyko i leciutko przechyliłem się do przodu na palcach, by wędzidło mniej uwierało konie, gdyż podawałem im komendy głosem. Poszły galopem, a ja kierowałem nimi w prawo i w lewo, a potem odwróciłem je w szybkim zakręcie, okrążyłem królewski rydwan i znów się z nim zrównałem. Ramzes II nic nie powiedział, spytał tylko: – Co ci wiadomo o świątyni Ptaha?

Jakąjąc się zacząłem odpowiadać, że Ptah był Bogiem Bogów dla ludzi w Memfis w przeciwieństwie do ludności Teb, gdzie oddawano cześć Amonowi, ale faraon przerwał mi i krzyknął: – Tyle to wiem.

– Nie był specjalnie kurtuazyjny – rzekł Menenhetet, zwracając się ku Pta-nem-hotepowi – w rozmowie ze swymi podwładnymi, w odróżnieniu od ciebie, Panie.

– W końcu był wojownikiem – odparł faraon.

– Zdecydowanie. Ale różnił się od większości żołnierzy, gdyż religia też była dla niego istotna. Spytał więc: – Czy świątynia Ptaha jest zarazem świątynią Ozyrysa? Odparłem, że w oczach ludności Memfis Ozyrys był Bogiem Bogów, tak jak Ptah. – Czy oddają mu większą cześć niż Amonowi?

– spytał krótko. – Możliwe, Wielki Boże – odpowiedziałem – ale najlepiej sam się o tym przekonaj, porównując obie świątynie. Wiedziałem, że porównanie nie wypadnie najlepiej. W tamtych czasach świątynia Amona była mała, ciemna od dymu ofiarnego, podczas gdy na budowę świątyni Ptaha zwożono wyłącznie najbielszy marmur. I znów uciał mój wywód. – W Tebach jest dokładnie na odwrót – powiedział. – Jest tam świątynia Ptaha-Sokarisa-Ozyrysa, mała i brudna, pełna starych kości i psich nówek dymiących jeszcze przed ołtarzem. Wszystkie kurwy tam ciągną. – Odczułem pokusę, by mu powiedzieć, że faktycznie w Memfis jest dokładnie odwrotnie, kiedy właśnie odczytał moje myśli. Nie był takim erudyta jak ty, o Podwójny Władco Obojga Królestw, nie potrafił też szybko odparować ripostą, ale podobnie jak ty potrafił przeniknąć cudze myśli, wchodząc w umysły innych ludzi. Toteż domyśliwszy się, co chcę powiedzieć, wybuchnął śmiechem i odsunął się ode mnie swym rydwanem. Nie wiedziałem, czy mam się nadal ścigać, ale wnet zwolnił, zachęcając mnie, bym się z nim zrównał i rzekł: – Kapłani Amona próbowali mnie przekonać, że tu, w Memfis, wiara w Ozyrysa to tylko podejrzana mała sekta.

– Właśnie w tej chwili wyrosły przed nami marmurowe chodniki i mury oraz wypełnione licznymi kolumnkami krużganki wielkiej świątyni Ptaha, równie wspaniałej w porannym świetle jak szaty faraona. Gwizdnął z podziwu i rzekł:

– Dlaczego każdego młodego króla uważają za głupca?

– Jesteś nie tylko królem, Panie, ale i doskonałym woźnicą królewskiego rydwanu.

– A ty jesteś lepszy niż pozostali – rzekł. – Czy może inni woźnicy też potrafią owijać się w pasie lejcami?

– Paru nauczyło się tego ode mnie.

Widziałem Pierwszego Woźnicę Rydwanu, który szybko zbliżał się do nas, najwyraźniej z zamiarem przerwania naszej rozmowy. Pospiesznie więc rzuciłem, zanim jeszcze rozmowa do tego

dojrzała, że potrafię nauczyć oddział woźniców, jeżeli będę miał po temu okazję. Ponieważ był wojownikiem, zrozumiał, o co mi chodzi.

– Wygralibyśmy z każdym przeciwnikiem – rzekł, ale dodał bez zachwyty: – Jeżeli potrafisz nauczyć tych tchórzy, którzy nie potrafią nam dotrzymać tempa, to na pewno jesteś tak samo synem Amona jak ja.

Bardzo mnie kusiło, by zdradzić moją tajemnicę, ale powiedziałem tylko: – Wszyscy jesteśmy dziećmi Amona.

– Ale niektórzy w większym stopniu – odrzekł i dodał: – Jesteś bystry, jak na krzepkiego woźnicę. Zazwyczaj woźnica jest równie głupi jak jego koń. Na przykład ja – roześmiał się i dał kuksańca żonie. Ośmieliłem się roześmiać razem z nimi, ale później przekonałem się, że śmiali się wówczas ze mnie.

Znał dobrze świątynię Ptaha, bo właśnie tutaj odbyła się jego koronacja. Twarz naszego Pierwszego Woźnicy Rydwanu, kiedy już do nas dotarł, była blada mimo kurzu, nie bez powodu. Właśnie zaczynałem obejmować jego stanowisko. Oczywiście droga do tej funkcji okazała się znacznie dłuższa niż mi się tego ranka zdawało.

III

– Zabrał mnie z powrotem do Teb i mianował dowódcą oddziału. Żołnierze bardzo powoli uczyli się mojego sposobu powożenia, a lata mijały szybko. Nieraz żałowałem własnych przechwałek. Na początku prawie nikomu nie udawało się mnie naśladować z wyjątkiem niezwykłego chłopaka, księcia Amen-kep-szu-efa, najstarszego syna Ramzesa i Nefertari.

– Trochę się zagubiłem – powiedział Pta-nem-hotep. – Ile lat miał wielki Ramzes, kiedy go spotkałeś po raz pierwszy?

– Ożenił się z księżniczką Nefertari, swoją siostrą, kiedy skończył lat trzynaście (ona miała dwanaście) i jeszcze tego samego roku urodził się Amen-kep-szu-ef. Wydaje mi się, że księżę miał osiem lat, gdy jego ojciec odwiedził Memfis, to znaczy, że Ramzes musiał mieć wtedy dwadzieścia jeden lat, a Nefertari dwadzieścia.

– Niełatwo sobie wyobrazić wielkiego faraona za młodu.

– Był młody tego ranka, kiedy go spotkałem – rzekł Menenhetet – ale już miał ośmioletniego syna. Kiedy syn skończył dziesięć lat, został w Tebach pierwszym woźnicą, który potrafił owinięty w pasie lejcamy powozić dwójką koni. Jednakże księżę nigdy mi nie podziękował za trud, jaki włożyłem w jego naukę. Niezwykły chłopak i tak surowy, że nawet najstarsi się go bali. Z drugiej strony, myślę, że gdyby nie jego zręczność, Usermare, nasz wielki Ramzes II, byłby nader niezadowolony z nikłych postępów pozostałych żołnierzy. Ponieważ był dumny z syna, wiele mi wybaczał. Inni też się w końcu nauczyli, po trosze ze wstydu, i nabrali wprawy. Musiał być ze mnie zadowolony, bo tego samego dnia, kiedy mu zademonstrowałem, jak dwadzieścia rydwanów może przelecieć przez pole w równym szyku, wszystkich woźniców z lejcamy wokół pasa i to, jak można rydwany zawracać na dany znak i ustawiać jeden za drugim, a potem znów formować szyk bojowy – o tak, był bardzo zadowolony i nie tylko mianował mnie swoim Pierwszym Woźnicą Rydwanu, ale i Nadwornym Koniuszym. Pełniąc obowiązki Koniuszego, jechałem tuż za nim każdego ranka. Zawsze rano odwiedzał Wielką Świątynię Amona w Tebach i towarzyszenie mu w drodze stało się moim dodatkowym obowiązkiem.

Jaki imponujący był nasz orszak maszerujący ulicami! Nie jak w Memfis, gdzie galopowaliśmy przez miasto, o nie! Tutaj poruszaliśmy się z prędkością piechurów, a dwaj heroldowie musieli biec przodem i krzyčeć na ludność, by ustąpiła z drogi. Potem nadchodziliśmy otoczeni gwardią złożoną z wybranych żołnierzy różnych formacji, każda we własnych barwach. Szerzeni byli ubrani w odzież czerwono-niebieską, Nubijczycy – w czarno-złotą, tyle jeszcze pamiętam, a potem szli oszczepnicy, żołnierze zbrojni w maczugi, łucznicy, wszyscy biegiem, przed jego zaprzęgiem zaś kroczył chorąży i żołnierz z wachlarzem. Lubił ich mieć z przodu, ale blisko siebie.

W Tebach rzadko pokazywał się z królową Nefertari. Zazwyczaj jechała za nim we własnym rydwanie, podobnie jak ja w swoim, też w pojedynkę, a potem nadjeżdżała cała pałacowa świta wielmożów, na końcu zaś woźnice rydwanów. Setki ludzi udawały się codziennie rano do świątyni Amona, ale tylko mnie pozwalano wkraczać do tego przybytku wraz z nim.

Pewien szczególny poranek zapamiętałem doskonale – ciągnął Menenhetet – ponieważ właśnie tego dnia wypowiedziano wojnę Hetytom. Niekiedy czujemy już o brzasku, jaki upał będzie po

południu, i tego ranka miałem właśnie to uczucie. Światło i upał nadciągały drobnymi pojedynczymi krokami, jakby skradając się na kocich łapach.

W czasie jazdy do świątyni, już w rosnącym upale tego poranka, ujrzelśmy jedną jedyną ciemną chmurę, która nadciągała ku nam od wschodu niczym okręt z dalekiej krainy. Rzadko widywaliśmy chmury o poranku. Ta przesłoniła słońce. Ledwo konie zdążyły przebiec z dwieście kroków, chmura odpłynęła, ale mój Ramzes II powiedział: „Niezwykłe rzeczy będą się dzisiaj działy w świątyni”. Nie słychał ów monarcha z lotności umysłu, ale miał w sobie siły za trzech i nawet myśląc wolno, musiał słyszeć głosy bogów niedosłyszalne dla mądrzejszych ludzi. Od czasu do czasu umiał więc przepowiadać przyszłość. Uśmiechnął się potem żałośnie do mnie i do swej żony, gdyż zbliżyliśmy się doń, gdy stanął i potarł swój długi, cienki, piękny nos.

Pta-nem-hotep wyszeptał: – Na rzeźbach, które widziałem, nie ma chyba cienkiego nosa.

– Kształt jego nosa zmienił się po bitwie pod Kadeszem. Ale to było później. Tego dnia powiedział jeszcze, że dzisiaj mamy początek jego końca, a mimo to będzie żył dwakroć dłużej niż inni. Potem uniósł łokieć do góry i powąchał się pod pachą, jakby to była pierwsza wyrocznia, którą należało poprosić o radę.

– Bo tak jest w istocie – powiedział mój ojciec. Wiedzieliśmy wszyscy, że ma rację. Zapachy unoszące się z ciała króla musiały pozostawać w związku z najdrobniejszymi obrotami fortuny Obojga Królestw. Pradziadek powąchał własną pachę, naśladując Ramzesa II, otwierając przy tym szeroko usta, jakby chciał przełknąć kufel piwa.

– Potem – rzekł pradziadek – mój młody faraon zatrzymał się, orszak też stanął, a chmara chłopaków, których setki pędziły przed naszymi końmi, by krzyczeć na każdej uliczce, podwórku, przed każdym budynkiem w zatłoczonych slumsach, tuż za wielką aleją Ramzesa II (nazwaną na jego cześć w dniu koronacji niedawno temu), nagle zdała sobie sprawę, jak to chłopcy, że ich okrzykiem „Faraon nadchodzi! Faraon nadchodzi!” zabrakło echa i wrzawy. Faraon nie nadchodził. Ludność przestała się tłoczyć w wielkiej alei i zatrzymała się wypatrując króla.

Ale zastanowiwszy się nad przelotną chmurką i własną pachą, postanowił zawrócić, przepawić się przez rzekę i złożyć ofiarę na zachodnim brzegu. Niezwykły pomysł. Stracilibyśmy całe przedpołudnie, a pewnie trwałoby to jeszcze dłużej. Zachodnie wybrzeże, choć nie aż tak zatłoczone jak wschodnie, było równie odległe jak południowe przedmieścia od północnych, zaś nowa świątynia też leżała w sporej odległości. Trzeba było zaczekać, aż nadpłynie królewska galera i przepawi nas przez Nil, nie mówiąc już o konieczności wysłania posłańców do Wysokiego Kapłana z pierwszej świątyni na wybrzeżu wschodnim – musiał sprowadzić własną barkę i swoich kapłanów – by go zaprosić, a potem jak tu sobie poradzić w tym zamęcie z najwyższymi kapłanami, mieszającymi się z pomniejszym klerem w nowej świątyni! Mogło się okazać, że decyzja jest niepopularna i prowadzi do zajadłych intryg między dwiema świątyniami. Ale jak tu zignorować chmurę? Jeszcze drżałem w duchu na samo wspomnienie chłodu, jaki rzucał jej cień. Faraon spojrział na mnie i wiedziałem, że czeka, aż się odezwę, toteż wzniosłem oczy ku niebu i powiedziałem: „Ale chmura przemknęła także nad zachodnim wybrzeżem”. Naprawdę przesuwiała się na północ, ale nasz szeroki strumień zakręcał w tym miejscu na wschód i to mu wystarczyło. Mogliśmy się udać tam, dokąd zmierzał od samego początku.

Konie znów ruszyły, chmara chłopaków pomknęła naprzód, lud zaczął wychodzić z warsztatów, kuchni, sklepików, dziewczyny w burdelach wstały z łóżek, dzieci zwolniono ze szkoły, mężczyźni i kobiety zaś rozbiegli się na wszystkie strony, starając się odgadnąć, którędy przejedzie Ramzes II, gdyż nader rzadko decydował się na wielką aleję w drodze ku świątyni. Wiedziano, że zwykł wieść swój orszak przez wiele zapadłych kątów, brudnych placyków z paroma sklepikami i starym żurawiem, do którego przywiązano przeciekające wiadro. Tak zwiedzał miasto. W rezultacie

ludność miotła się wszędzie, starając się zgadnąć, jaką drogę obierze. Jeśli odgadli, stawali jak najbliżej jego orszaku – choć wiedzieli, że koła rydwanów od czasu do czasu obcinały ludziom palce u nóg – i szczęśliwcy w pierwszym rzędzie musieli spleść ramiona, by się nie dać wepchnąć na ulicę tłumowi, który stał dalej.

Właśnie tego ranka, kiedy jechaliśmy raczej szybko, pragnąc nadrobić opóźnienie spowodowane chwilowym wahaniami się po drodze, tłum napał zbył silnie. Rozległ się okrzyk bólu. Usłyszałem zgrzyt dobywający się z pachwiny, gdy pęka wielka kość udowa, a potem dowiedziałem się o jakimś młodzieńcu, który tego dnia stracił nogę.

Nie zatrzymaliśmy się jednak, dopóki nie ujrzelśmy słupów i flag pierwszej świątyni, i wjechaliśmy w długą aleję wiodącą wzdłuż posągów setki sfinksów zdobiących promenadę.

Pradziadek opisywał te szczegóły z grymasem na twarzy mającym jakby mówić, że przykro mu, iż powtarza rzeczy dobrze faraonowi znane, ale podejrzewałem, że wspomina o nich na mój użytek, bo ja przecież nigdy nie byłem w Tebach.

Potem mineliśmy bramę. Wówczas, jak i dziś, nie brakowało ludzi, którzy uważali, że wnętrze świątyni Amona na wschodnim wybrzeżu w Tebach nie ma sobie równych na całym świecie. Żaden las, przez który błędziłem, nie potrafi przywołać aż tylu bogów, ilu szepcze między sobą, gdy wiatr wpadnie do wielkiej sali o stu trzydziestu sześciu kamiennych kolumnach, wyższych, grubszych od najgrubszych drzew, jakie widziałem.

Zdarzyło mi się później ruszać na wojny do krajów, w których truchlałem na widok skalnych urwisk, piękna leśnego poszycia lub wspaniałości wielkich wodospadów. Wiedziałem, że bogowie obcych ziem są wielcy, patrząc, jak niezwykle kształty potrafią nadawać swoim krainom. Ale w Egipcie, gdzie ziemia jest płaska, a góry stosunkowo niskie, bogowie kazali nam samym budować cuda, co nas drogo kosztowało. Nie czujemy się dumni z tego, czego dokonaliśmy, brak nam dumy, nasze dzieła nas przerażają. Nie znam góry, która by mnie napawała większym szacunkiem i podziwem niż piramida Chufu, ani lasu, który można by porównać z salą kolumnową w świątyni Amona na wschodnim wybrzeżu.

– Bardzo dobrze – rzekł Pta-nem-hotep – ale przecież sala kolumnowa, o której mówisz, została dokończona przez Ramzesa II dopiero pod koniec panowania.

Po chwili milczenia pradziadek odpowiedział: – Przeżywając cztery życia, jesteśmy jak Nil przeżywający cztery katarakty. Przeszedłem przez cztery katarakty w moich czterech wcieleniach, a przecież to zawsze ta sama woda. Toteż często się myślę po przejściu kolejnej katarakty. Zechciałeś mi przypomnieć, o wielki Władco Obojga Królestw, że na początku jego panowania sala kolumnowa nie była skończona, a jednak musiała mi się wydawać gotowa, bo dach już położono i wzniesiono ponad setkę kolumn. Kiedy się między nimi przechadzałem, czułem się jak dziecko, które właśnie nauczyło się stawiać pierwsze kroki i porusza się na wysokości ud w tłumie wielkich bogów. Nade wszystko lubiłem szelest tej wielkiej sali w nocy. Za drugiego życia, jako Wysoki Kapłan, przechadzałem się często w świątyni i słyszałem, jak przed świtem kamienie rozmawiają między sobą.

Urwał.

– Tego ranka, jak zwykle, na otwartym podwórzu oczekiwała nas ciżba spragniona widoku młodego faraona, w sali kolumnowej zaś zebrała się mniejsza grupa. Jej członkowie byli zajęci – nie do wiary – bardzo ożywionym handlem. Ziemią, byłem, drobiem, klejnotami, wazami i ziarnem. Sprzedawano wszystko.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że na podłozie wielkiej świątyni mieścił się bazar? – spytała matka.

– Gorzej jeszcze – odparł pradziadek. – Targi trwały między wieloma kapłanami a najbogatszymi kupcami i handlarzami Teb, ale żadnych towarów nie było widać. Wszyscy znali się tak dobrze, że oszukiwano nader rzadko. Nie opłacało się oszukiwać. Już następnego dnia oszustwo wyszłoby na jaw. Potem latami kwestionowano by uczciwość handlarza. Zaufanie było tak pełne, a zamiłowanie do spekulacji tak powszechne, że kawał ziemi kupiony jednego dnia mógł znów zmienić właściciela nazajutrz, zaś pierwszy nabywca mógł go w ogóle nie widzieć. Jeżeli sprzedawano coś niepełnowartościowego, trzeba było transakcję odtworzyć, po przepytaniu wielu kolejnych nabywców, by dotrzeć do kogoś, kto od początku wiedział, że rzecz nie jest nic warta.

– Czy nadal tak się dzieje w sali kolumnowej? – spytał Pta-nem-hotep.

– Boski Władco Obojga Królestw, rzadko bywałem w Tebach za mego czwartego życia. Ale w trzecim wcieleniu, gdy należałem do najbogatszych ludzi w Egipcie (tak przynajmniej sądziłem), tradycję tę zachowano, choć posługiwano się subtelniejszymi metodami. Handlarze wybierali sobie określonych kapłanów i pisarzy jako przedstawicieli. Okazywano większy szacunek świątyni. Te głośne licytacje, które ongi rozbrzmiewały niczym wiatr pośród kolumn, zamieniły się w szept. Handel jednak kwitł w najlepsze. Ten rynek, na którym sprzedawano rzeczy niewidoczne dla nabywcy, wiele mnie nauczył o naturze bogactwa. Przekonałem się, że bogactwo to ani złoto, ani władza nad niewolnikami, ale raczej moc wykorzystywania myśli drugiego człowieka szybciej niż on wykorzystywał nasze myśli przy gromadzeniu bogactwa. Brak widocznych przedmiotów handlu dodawał pikanterii tej grze. Tylko najbardziej przebiegłi handlarze potrafili pracować w takich warunkach.

– Kapłani nie obawiali się świętokradztwa? – spytała matka.

– Niektórzy. Ale surowość sali kolumnowej uwiarygodnia wartość towaru. W takich warunkach wzdramy się przed oszustwem. Poza tym zapachy dochodzące z sal ofiarnych otaczających salę kolumnową dodają smaku każdemu ubitemu interesowi. Klnąc się na własnych bogów czujemy, jak pod tymi chłodnymi cieniami rozchodzi się woń krwi i mięsa, i zapach pięćdziesięciu ognisk ofiarnych, przypominających, że i bogowie mają tu własne targowisko górujące nad nami.

– Czy Ramzes II wiedział o tych praktykach?

– Przebiegał przez salę kolumnową, nie zauważając handlarzy. Zaprzętnięty był modłami. Zatrzymaliśmy się, by obmyć dłonie w świętej sadzawce, ale potem on pędził, mijając kaplicę za kaplicą, aż docieraliśmy do najstarszej świątyni w całym kompleksie, która w owym czasie stanowiła sanktuarium (jej mury zawały się później, w czasie kiedy byłem Wysokim Kapłanem). Była to krypta ponura, zbudowana ją za panowania Sezostrisa, z tysiąc lat temu. Była duża, pusta, wąska, miała wysoki sufit i szare kamienne mury z jednym prześwitem na południowej ścianie, tuż pod dachem, by na ołtarz padało światło od ranka do wczesnego popołudnia.

Jak już powiedziałem, dane mi było towarzyszyć mu aż do sanktuarium. Na progu zostawiał królową – bo wówczas, jak i dziś, kobietom nie wolno było wchodzić do najświętszych spośród świętych miejsc, chyba że zostały mianowane faraonem, jak królowa Hatszepsut. Nefertari odprowadzano więc na wielki złożony tron z podnóżkiem w sali kolumnowej i tam oczekiwała w otoczeniu królewskiego orszaku, aż władca wróci. Kobieta otoczona była orszakiem szlachetnie urodzonych i nie było ranka, bym nie czuł, że gniewnie odprowadza mnie wzrokiem do sanktuarium. Przez wszystkie ofiary, które później składano, przez zawodzenia i modlitwy dobiegające z innych kapliczek, przez prośby o wyrównanie krzywd, wynagrodzenie szkód, przez cały ten natłok szeptanych próśb, litanii, klątw, lamentów oraz złorzeczeń, wijących się z dymem i płonąca krwią ofiarnych ołtarzy, przez wszystko to czułem jeszcze gniew królowej Nefertari, gniew silniejszy od wszystkich modłów. Czekałem w milczeniu, w głowie mi huczało od obrazu cierpienia, jaki się z tych modlitw wyłaniał, gdy tu oto kobieta prosiła Amona, by zechciał użyć

jej łono, druga zaś opłakiwała śmierć syna (Hatferti wstała z kanapy i otoczyła mnie ramionami), gdy obok takiego cierpienia pysznił się właściciel ziemski, składający dziesięcinę z bydła i wina, ziarna oraz mebli i jednego niewolnika miesięcznie zgodnie z umową przewidującą taką podziękę za zaszczyt, którym było podniesienie jego syna do godności Trzeciego Kapłana w świątyni... Słyszałem wszystko, nawet głos starego żebraka pełen starych blizn i zaropiałych ran dawno zaschłych w jego gardle – modląc się nie zapomniał o tym, by żebrać u przechodzącego kapłana... Od tego wszystkiego Ramzes II był oddzielony ciszą sanktuarium, skupionym i nabożnym umysłem. Kiedy tylko wchodził do świątyni i odczuwał obecność Amona, Ramzes II przestawał być przyjacielem i woźnicą rydwanu i stawał się monarchą, odległym i wyniosłym jak niebios. I faktycznie, kiedy dochodziliśmy do wielkich miedzianych wrót sanktuarium, z namaszczeniem łamał gliniane pieczęcie, po czym wkraczaliśmy do środka sami.

Pośrodku kamiennej posadzki była okrągła piaskownica ze srebrzystym piaskiem – jasny piasek zmieszano z wieloma ścinkami srebra. Tu właśnie klękał Ramzes II i patrzył w skupieniu na świętą barkę spoczywającą na srebrnym piasku. Klękałem obok niego i czułem, jak srebrne ścinki ranią mnie w kolana. Król trwał nieporuszony. Ramzes II był skądinąd porywczy, ale do najszcześniejszych i najspokojniejszych chwil w swoim życiu zaliczał owe poranki, gdy klęczał przed barką Amona. Łódź ta, jeśli wolno mi ją opisać własnej rodzinie, miała z sześć kroków długości i była pokryta złotą blachą. Na dziobie zdobił ją barani łeb ze srebra, a drugi taki tkwił na rufie. Patrzyliśmy na te cuda i klęczeliśmy na srebrnym piasku, przenikani chłodem tej Starożytności nawet w najbardziej upalne dni. Poza tym sama obecność Amona sprawiała, że wiało chłodem po całej sali! Było ciemno, niemal zupełnie ciemno. Tylko pojedynczy promień światła wpadał przez małe okienko wysoko w południowej ścianie i rozświetlał monumentalną bryłę starego ołtarza. W półmroku naszą uwagę przykuwała arka, gdyż jej złote burty stały w ogniu pełnym i jasnym niczym ogień naszych serc. Klęcząc czułem obecność Amona w kabinie na tej barce. W tej małej kabinie, nie większej niż odległość od moich kolan do piersi, siedział Największy Bóg, tam w środku! I wiedzieliśmy, że tam jest, gdyż jego nastrój był silniejszy niż zmrok nad Nilem. O tak, klęcząc przed nim zawsze wiedzieliśmy na pewno, czy jest z nas zadowolony, czy nie.

Wkrótce potem do sanktuarium wchodził Wysoki Kapłan Bak-ne-kon-su w towarzystwie dwóch młodszych kapłanów – jeden był Językiem, drugiego zwano Czystym.

Pta-nem-hotep spytał, czy byli nadzorcami Modlitwy i Czystości.

– Ich tytuły i imiona uległy zmianie – odpowiedział Menenhetet. – I to jakiej!

– Wówczas było inaczej. Bak-ne-kon-su ubrany był tylko w białą spódniczkę, nogi miał bose. Język i Czysty nacierali oliwą czaszki. Ich głowy świeciły w półmroku. Uderzały mnie nieskazitelnie czyste szaty, bo pozostali kapłani mieli często ubrania poplamione ofiarną krwią. Niektórzy nawet cuchnęli palonym mięsem. Wysoki Kapłan – nie. Był skromny i mówił tylko: „Glina skruszona, pieczęć złamana. Wrota otwarte. Wszystko co we mnie złe, rzucam na ziemię”. Po czym padał na ziemię przed faraonem i całował go w duży palec u nogi, podczas gdy Język i Czysty całowali ziemię po dwóch stronach Bak-ne-kon-su. Wszyscy trzej spoglądali na faraona z podziwem.

Muszę dodać, że mimo wysokich stanowisk w hierarchii nie byli to braciszkwowie biegli w sprawach pozareligijnych. Bak-ne-kon-su był przeciwieństwem Kem-USzy. Został Trzecim Kapłanem w wieku lat dwudziestu dwóch, ale czekał niemal do czterdziestu, by zostać Drugim. Przez cały ten okres powiadano o nim, że pozostał niewinny, ale niewiele o nim wiedziano. Nie otaczano go czcią, nim mój faraon nie podniósł go do godności Wysokiego Kapłana. Myślę, że

wierność Ramzesowi II mogła stanowić jego najważniejszą cnotę. Trzeba też powiedzieć, że wszystkie obrzędy odprawiał niezwykle starannie.

Tak więc, kiedy Czysty otwierał drzwiczki do kabiny na barce, Bak-ne-kon-su nie tylko całował ziemię, ale w dodatku trzymał ramiona za sobą, toteż chyląc się ku ziemi, opierał się tylko na kolanach i na czubku nosa. Mimo tej niewygodnej pozycji potrafił tarzać twarz po ziemi, zdjęty prawdziwym przerażeniem wobec niezwykłego zuchwalstwa, jakim było otwarcie drzwiczek kabiny, a powtarzał to równie przekonująco za każdym razem, choć przecież codziennie składaliśmy wizytę w świątyni.

Powoli oczy przyzwyczajały się do zmroku sanktuarium, toteż zaczynałem dostrzegać posąg. Złota skóra Amona była gładka, włosy i broda w kształcie fallusa – czarne, czarne kamienie jego oczu spoglądały na mnie badawczo. Przysięgam, że tak było. Tego ranka czułem większą trwogę niż zwykle. Być może poprzednio nie śmiałem spojrzeć Amonowi w twarz, ale tego dnia wydał mi się raczej niskim człowieczkiem, a nie bogiem. Rysy jego twarzy nie były równie wspaniałe, co rysy twarzy Ramzesa II, daleko mu było nawet do delikatnych i nieco zapadniętych policzków Bak-ne-kon-su. Amon wyglądał jak niski bogaty człowieczek, którego można napotkać na ulicy. Traktowano go poufale. Wysoki Kapłan wstał, skłonił się na cztery strony, wziął kawałek płótna i powiedział: „Niechaj wolno nam będzie ozdobić Twe krzesło i uświetnić Twe szaty”. Po czym sięgnął ręką do kabiny i zmazał stary róż z twarzy Amona. Odmówiwszy odpowiednią modlitwę, nałożył świeżą warstwę różu. Amon nabrał weselszego wyglądu.

Trudno było mi oderwać się od pradziadkowej opowieści, ale w tym momencie nie sposób było zignorować ojca, który uśmiechnął się do faraona, jak gdyby pragnąc podkreślić wagę tych chwil, gdy jako nadzorca królewskiej kosmetyki nakładał róż na policzki Pta-nem-hotepa.

– Bak-ne-kon-su zdjął stare płótno przesłaniające złote członki i złoty wydatny brzusek Amona i ubrał go w świeże płótno i klejnoty. Każdy zdejmowany kawałek był błogosławiony przez Język i całowany przez Czystość, a następnie odkładany do szkatuły z kości słoniowej i hebanu. Perfumami z drzewa sandałowego zraszano czoło Amona, na tacy przed nim stawiano zaś kubek wody i parę smakowitych kąsków mięsa kaczki oraz miód. Potem kapłani zapalali kadzidło i głośno intonowali modlitwę: „Przyjdź odziany w biel, przyjdź Białe Oko Horusa. Oto Twoje szaty Boga, a Imię Twoje to Szaty. Bogowie zdobią się, a Imię Tve to Ozdoba!” Byłem wówczas młody i nie miałem pojęcia, że umrę i znów będę żył, a nawet zostanę Wysokim Kapłanem. Ale nawet za młodu, o tak wczesnej porze, zdawałem sobie sprawę z tego, że zapach tego kadzidła inny jest od wszystkich pozostałych zapachów, jakie znam. Kłuł w nozdrza, ale zarazem był słodki i tajemniczy, i nie bez powodu. Jako Wysoki Kapłan miałem okazję przekonać się, że nie jest to byle jakie kadzidło. Teraz opowiadam ci o tym, bo jesteś moim faraonem, ale za drugiego życia, kiedy byłem kapłanem, nie ośmieliłbym się pisać o tym, z czego składało się kadzidło. Oczywiście nawet teraz, kiedy wam opowiadam o tym wszystkim, nie przytaczam w pełni modlitw towarzyszących mieszaniu substancji. Mogę tylko powiedzieć, że ten delikatny pyłek krył w sobie żywiczny balsam, onyks, żywicę gumową i odrobinę zwykłego kadzidła oraz drobne domieszki mirry, kasji, ziela *spikanardu* oraz szafranu. Muszę też dodać, że do mieszanki dorzucaliśmy starannie odmierzone ilości aromatycznych skórek owocowych utartych z cynamonem, potem zamarynowanych w ługu, winie i soli i zmieszanych z solami miedzi dla otrzymania niebieskiego płomienia. W ogóle najlepszy ług otrzymywaliśmy z korzeni porów, jeżeli tylko udało się je znaleźć rosnące dziko w wysoko położonych skalistych miejscach. Tak się wówczas przedstawiała tajemnica Wysokiego Kapłana.

Pragnąłem usłyszeć coś więcej, ale Menenhetet przerwał. Czekał – jak się domyśliłem z jego postawy – aż ci spośród słuchaczy, którzy mieli na to ochotę, sami sobie wyobrażą, jak można mieszać te sole i proszki, które opisał. Zioła mogły przywracać wspomnienia, wspomnienia

pogrzebów, uperfumowanych kanap... toteż liczył się z tym, że uwaga słuchaczy rozproszy się na wiele myśli. Ale przecież ja nie miałem zamiaru rozmyślać o żywicy gumowej ani kadzidle. Czekałem na intrygę. Opowieść pradziadka mogła sobie więc się jak nasz Nil, ale nie miało to dla mnie znaczenia tak długo, jak długo wiedzieliśmy, że choć chwilowo zmierza na południe, koniec końców musi powrócić do normalnego biegu i pomknąć ku północy.

Byłem więc cierpliwy. Wiedziałem, że cztery życia mego pradziadka były jak cztery rogi szkatułki. Jego umysł mógł zawierać w sobie to, co każde z nas chciało w szkatule przechować – przemyślał bowiem wszystko. Można wszak wejść do łodzi i popłynąć z prądem Nilu, zastanawiając się tylko nad tym, jak daleko dotrzemy. Po pewnym czasie widać jednak wyraźnie, że wcale nie przebyliśmy zawrotnych odległości, a mimo to rzeka jest dłuższa niż najdłuższe szlaki, jakie do tej pory przemierzaliśmy. Podobnie powolny prąd i tempo, w jakim biegły myśli i opowieść mego pradziadka, obiecywały nam wszystkim dotarcie do każdego pałacu i jaskini, jakie jawiły mi się we śnie.

Kiedy znów zaczął mówić o wizycie Ramzesa II w sanktuarium, poczułem, że matka i ojciec zwracają nań uwagę, a potem dołącza do nich także Pta-nem-hotep, który najdłużej zastanawiał się nad składnikami kadzidła.

– W innych sytuacjach, poza świątynią – rzekł Menenhetet – Ramzes II bywał, że tak powiem, niecierpliwy. Okazywał niecierpliwość wielkiej damy na równi z niecierpliwością wybitnego mężczyzny. Chyba już wam wspominałem, że twarz miał piękną, toteż byłaby doskonała także dla kobiety. Władanie tak rozległym królestwem dowodziło zatem doskonałej równowagi wymierzonej przez Maat. Można się było przekonać, jakim był mężczyzną, gdy w fałdach jego szat dostrzeżliśmy najgrubszego i najdłuższego przyjaciela, jaki kiedykolwiek był dany mężczyźnie; na jego twarzy mógł gościć grymas zniecierpliwionej urody, ale między jego udami spoczywał symbol potęgi Egiptu.

– Słyszałem już o tym – rzekł Pta-nem-hotep głosem suchym jak piasek pustyni.

– Tak – potwierdził pradziadek – a ja zauważyłem, że ci, których obdarzono wielkim i boskim członkiem, zwykle wykazują brak opanowania i cierpliwości. Nasz Usermare Ramzes II nie mógł zazwyczaj ścierpieć zwłoki i zachowywał się jak rozdrażniony lew, ale w świątyni był spokojny jak cień drzewa.

Kiedy więc Bak-ne-kon-su spytał mego faraona, jakie pytanie życzy sobie zadać Władca Dwóch Królestw Ukrytemu Bogu tego poranka, wybraniec Re odparł zwięźle: „Pytanie drzemie jeszcze pod moim językiem”. I prawdę mówiąc, skąd mógł wiedzieć, jakie właściwie pytanie pragnie zadać, skoro chmura przesłoniła na chwilę słońce?

Wrota do sanktuarium zostały otwarte przez Język i Czystość, a przez próg przeprowadzono białego barana. Prowadziło go dwóch kapłanów, trzymając za każdy róg. Dwaj inni kapłani szli za zwierzęciem, popychając je kijami.

I wówczas, podobnie jak dziś, przednie kopyta zwierzęcia były spętane blisko siebie złotymi sznurami. Mogło ono iść, ale nie mogło biec. Muszę jednak powiedzieć, że w owych czasach staranniej strojono zwierzę. Jego rogi pokryte były złotą blaszką, a sierść upudrowana, poza tym pachniał przyjemnie i wydawał się bielszy od naszych płóciennych szat.

Ale zwierzę było wystraszone. Niektóre barany zachowują się spokojnie wobec Amona, kiedy wejdą do sanktuarium, co już samo przez się jest dobrym znakiem. Ich wnętrzności okazują się zazwyczaj twarde i nie prowadzą do sporów co do kształtu. Ale to zwierzę musiało dojrzeć tę samą chmurę, gdyż ujrzawszy ołtarz, wydało żałosny jęk, jakby już padało pod nożem, po czym zrobiło kupę. Trzy duże czarne placki spadły na posadzkę.

Było ich trzy, co jest liczbą oznaczającą zmianę. Wolelibyśmy cztery, co zwiastuje dobry początek. Toteż kapłani czekali. Ale gdy przez ciało barana przestały przebiegać skurcze, a jego pysk rozluźnił się, poczuliśmy, że Amon wierci się niespokojnie jak człowiek, który zmierza do wyjścia. Język i Czystość zblżyli się z garściami srebrnego piasku ze Świętego Kręgu, na którym stała barka, i wysypali małe kółka srebra wokół każdego placka.

Potem zwierzę podprowadzono pod kamień ofiarny. Nie opisałem ołtarza, pewnie dlatego, że nigdy nie lubiłem nań spoglądać. Sanktuarium było stare – teraz zostało przebudowane – i miało ponad tysiąc lat, było równie stare jak Sezostris, ale ołtarz był jeszcze starszy. Nie sądzę, by był choć raz umyty przez całe tysiące lat. Stara krew zasychała na jeszcze starszej krwi. Wzdragasz się, Hatfertiti, i wykrzywasz usta – powiedział pradziadek – ale warto o tym wspomnieć, gdyż ta prastara krew była ciemniejsza niż noc i twardsza niż kamień. Bogowie mkną w naszych żyłach, ale mieszkają tam, gdzie krew zasycha na kamieniu.

Bak-ne-kon-su zaczął rozmawiać z Amonem. Głos miał łagodny i przemawiał czule, jakby zwracał się do samego Boga. Mówił spokojnie, jak człowiek, który poświęcił życie służbie u władcy i nigdy nie żałował wyboru. Podczas gdy kapłani przytrzymywali głowę barana nad ołtarzem, z szyją ponad wgłębieniem, Bak-ne-kon-su zaczął się zbliżać z nożem ofiarnym i wypowiadać słowa, które Amon skierował ongi do króla Totmesa III:

*Sprawiłem, że majestat twój jawił im się jako spadająca gwiazda,
która rozrzuca płomień i zrasza ognistą rosą ziemię.*

Przeciagnał nóż wzdłuż szyi barana, a zwierzę szarpnęło rogami, jakby właśnie zajrzało słońcu w oczy. Potem stało, drgając w takt żałosnych skarg bijącego serca. Słuchaliśmy odgłosu kropel krwi skapujących na kamień. Jest to odgłos głębszy niż szum wody spadającej do wody.

Bak-ne-kon-su rzekł:

*Sprawiłem, że twój majestat jawi im się pod postacią krokodyla,
Pana Strachu w wodzie,
Dałem ci moc pokonywania tych, którzy żyją na wyspach,
nawet w oddali wiecznej zieleni fal znają twój okrzyk.*

– A mówiąc te słowa – rzekł Menenhetet – Bak-ne-kon-su ukląkł przed baranem trzymanym przez czterech kapłanów i ze zręcznością królewskiego cieśli rozłupującego pał na czworo, w tym przyćmionym świetle przeorał nożem ciało barana tak zręcznie, że żaden wprawny rzeźnik nie mógłby tego powtórzyć. Zrobił to szybko i pewnie. Wszystkie luźne organy, żołądek, trzewia, wątroba, śledziona upadły z westchnieniem na posadzkę, zwierzę zaś przewróciło się. Na jego zalekzionym pysku odmalowała się anielska radość od oczu do nozdrzy. Nagle przestało być dygoczącym przerażonym zwierzęciem i stało się szlachetnym stworzeniem, jak gdyby wiedząc, że całe jego życie leżało na kamieniu, a bogowie zwrócili nań uwagę. Bogowie, podobnie jak wszyscy żywi, wiedzą, jak sycić się umarłymi. Oby umarli nie mogli żywić się nami.

Była to uboczna aluzja, ale w tę ciepłą noc w łagodnym świetle świetlików zaznałem strachu, który nas opanowuje w chwilach, gdy nie wiemy dokładnie, czego się obawiamy. Dzikich zwierząt? Podstępnych przyjaciół? Czy gniewnych bogów? A może wszyscy unosili się w tym samym powietrzu?

– Ofiara ta – powiedział Menenhetet – przyniosła mi ulgę. Często byłem blisko przerażonych wojowników przed bitwą, toteż wstrzymywałem oddech widząc, jak kapłani prowadzą barana. Ale ostatnie konwulsje jego nóg rozluźniły pętlę zaciskającą się na mej piersi i zaczerpnąłem powietrza w tej ciemnej jaskini, pełnej woni mięsa opadającego w mroku na inne mięso.

Bak-ne-kon-su ukląkł i położył dziesięć palców na wnętrzościach, delikatnie unosząc górne zwoje, by przyjrzeć się tym, które leżały na spodzie. Blisko środka kiszka przypominała węża,

który połknął królika. Jeden z jej zwojów był napuchnięty, toteż w gardle mi zaschło. Spróbuję to wyjaśnić. Otóż mimo że tamte czasy były w porównaniu z naszymi barbarzyńskie, trzewia badaliśmy wówczas nader skrupulatnie. Zwierzę mogło nie żyć, ale w jego trzewiach spoczywała moc zapładniania ziemi. Toteż można z nich było wyczytać tyle samo co ze szczerego złota. Złoto, które wydamy, już do nas nie należy, ale w swoich wędrówkach wywołuje wielkie ożywienie wielu ludzi.

– Jeżeli to ma być filozofia – odezwała się matka – to nieźle od niej zalatuje.

– Przeciwnie – odrzekł Pta-nem-hotep – jestem zafascynowany miejscami, w których gościło twoje serce. Badasz to wszystko, co inni z siebie spłukują.

Menenhetet skinął głową, dziękując za subtelną uwagę i ciągnął dalej:

– Stojąc wokół srebrnego kręgu ze wzrokiem utkwionym w pępku małego złotego brzucha Amona, czekaliśmy, podczas gdy kapłani wycinali płat mięsa z baraniego udźca i wkładali go w ogień na ołtarzu. Tam, w gęstym powietrzu wypełnionym dymem i w syku krwi zraszającej gorące kamienie, poczuliśmy jak wszystko, co w tym baranie cenne, znika w brzuchach oczekujących bogów – tak oto poczułem się bliski wielkiej mocy w tym pomieszczeniu. Potem usłyszałem głos Amona wydobywający się z jego złotego brzucha równie spokojnie i pewnie, jak spokojnie i pewnie Wysoki Kapłan rozgarniał wnętrzności barana. Wysoki Kapłan zaczął mówić, ale już nie własnym głosem, lecz potężnym jak echo tej mrocznej sali. Z płuc i z krtani Bak-ne-kon-su dobyły się niezapomniane słowa:

– Królu, któryś jest moim niewolnikiem, wolno ci złożyć siedem razy pokłon u mych stóp. Tyś jest podnóżkiem dla mych stóp, tyś moim koniuszym i moim psem.

– Jestem Twoim psem – wyszeptał Ramzes. Z ledwością wydobywał z siebie słowa, ale gdyby to na mnie wypadło, nie zdołałbym nic powiedzieć. Moje zęby zaciskały się jedne na drugich, jakby chcąc je rozetrzeć na kość. Nigdy jeszcze głos Amona nie rozbrzmiewał równie donośnie w sanktuarium. Wydawało się, że mury runą pod jego wpływem. – Tak, jestem Twoim psem – powtórzył Ramzes – i żyję w lęku, że przestanę się cieszyć Twoimi względami. Dzisiaj rano chmura przesłoniła na chwilę oblicze Amona-Re.

Bak-ne-kon-su milczał, a i głos Amona ucichł, lecz od strony ognia doszły syki. Przez trzask płomienia słyszałem wiele różnych głosów, jakby wielu księży i znaczne osobistości dopytywały się o Niego. Ramzes II otworzył usta i wykazawszy niezwykłą odwagę przemówił, jakby chciał rzucić wyzwanie ciemnej jaskini, w której wnętrzu kryje się drapieżne zwierzę: „O Ty, który jesteś Re, i Amonem, i Bogiem wszystkich dobrych i bitnych żołnierzy, składam Ci pokłon”. Mój faraon zaczął dygotać na całym ciele jak baran, gdy wypowiadał następnie słowa: „Wczoraj wieczorem zgłosił się przed moje oblicze oficer, przynosząc list od króla Hetytów Muwatallisa z oświadczeniem, iż zamierza on obrazić oba królestwa. Zabił naszych sojuszników i zrabował wiele bydła i owiec. Teraz czeka w mieście Kadesz z potężną armią i rzuca mi wojenne wyzwanie. Rzuca wyzwanie mnie! Pomóż mi pomścić tę zniewagę!”

Ramzes II zaczął płakać – czego nigdy do tej pory nie widziałem na własne oczy; łkając, urywanym głosem wyszeptał: „Dziś rano chmura przesłoniła słońce i ja też drzę przed tym, który śmie Cię znieważać. Czuję słabość w członkach”.

Powietrze zgęstniało od spalonego mięsa – powiedział Menenhetet – i stało się ciężkie; dopiero w czasie bitwy pod Kadeszem znów poczułem taki odór. Ale przez gęsty dym i lamenty faraona coraz wyraźniej przezierano milczenie. Byłbym przysiągł, że widziałem, jak kąciki ust Amona drgnęły i opadły w dół w grymasie niezadowolenia. Ale w takim dymie i przy białym świetle jeszcze trzepoczącym w moich piersiach, kiedy przymykałem oczy, skąd mogłem być pewien, czy naprawdę to widziałem? Nie jadłem od świtu i zapach palonego na ołtarzu mięsa drażnił mój

żołądek. Potem donośny głos Amona znów rozbrzmiał w krtani Bak-ne-kon-su. Wśród okrzyków przeraźliwej wściekłości oto, co Amon nam powiedział: „Jeśli mnie zdradzisz, twoje nogi poniosą cię niczym woda spływająca po zboczu. Twoje prawe ramię uschnie, a serce pograży się w wiecznej żałobie. Ale jeśli pozostaniesz mi wierny, ujrzą w tobie Władcę Światła. Będziesz świecił nad ich głowami jak ja. W gniewie staniesz się jak lew. Rozniesiesz w puch barbarzyńców i postawisz nogę na ich trupach w dolinie. Będziesz bezpieczny na morzach. Morskie otchłanie będą jak sznurek przywiązany do twego nadgarstka. Tak będzie – rzekł Amon głosem tak potężnym, że wargi Bak-ne-kon-su zastygły, posąg zaś zaczął drgać na tronie w kabynie łodzi (przymknąwszy oczy widziałem, jak wargi boga poruszają się pod warstwą różu).

– Tak będzie i będą twój majestat czcić jako moich dwóch książąt, Horusa i Seta. Ich ramiona wzywam na pomoc, by ci zapewnić zwycięstwo. Przynieś do moich świątyń złoto i klejnoty Azji”.

– Jestem Twoim psem – rzekł mój faraon – podobnie jak moi żołnierze są moimi psami, a żołnierze Hetytów są psami moich żołnierzy.

Znów się skłonił, a bóg umilkł. Potem opuściliśmy sanktuarium i poszliśmy do sali uczt, gdzie zjedliśmy to mięso, które Amon zostawił dla nas po własnym posiłku. Wspaniały smak tego mięsa zrobił na mnie duże wrażenie, toteż zacząłem przypuszczać, że jego ślina może jeszcze nasycać baraninę.

– Chodź – rzekł Ramzes II, nim zdążyłem zjeść. Oczy miał wciąż zaczerwienione od płaczu. – Chodź ze mną, przeprowimy się na drugą stronę rzeki. Chcę odwiedzić mój grobowiec.

IV

– Miałem się nad czym zastanawiać – powiedział nam pradziadek – w czasie przeprawy na zachodni brzeg Teb. Dopiero co usłyszałem najpotężniejszy głos, jaki dane mi było usłyszeć, toteż wciąż jeszcze huczało mi w uszach. Później, kiedy zostałem kapłanem i poznałem tajemnice tego języka, dowiedziałem się, że dźwięki wydawane przez boga zdradzają to, czego on pragnie. Toteż w tym starożytnym okresie bóg nie tylko był w stanie wypowiedzieć wyraz „tron”, ale ten tron pojawiał się na naszych oczach.

Ale teraz nie żyjemy tak blisko bogów. Potrafimy ryczeć jak lwy, ale nie potrafimy stwarzać tych zwierząt.

Tamtego pamiętnego ranka usłyszałem właśnie potężny głos dobywający się ze złotego serca. Zniewolił on wargi i krtani Bak-ne-kon-su i kazał mu służyć głosowi Amona. Wiedzieliśmy więc, że przypadnie nam zwycięstwo, jeżeli dochowamy wiary.

Ale to właśnie nie dawało mi spokoju, nawet obrzędy religijne były dziś inne niż zazwyczaj. Zwykle wchodziło dziesięciu, nie czterech kapłanów, i wiedli byka, nie barana, zaś przemawiający kapłan stał obok mojego faraona i szeptał mu do ucha, jaką ma wypowiadać modlitwę albo kiedy uczynić krok naprzód.

– Mają dziś takiego kapłana – rzekł Pta-nem-hotep – ale nie zachowuje się zbyt dyskretnie.

– Wówczas było inaczej – rzekł Menenhetet – i wszystko odbywało się z namaszczeniem. Kiedyś naliczyłem sto różnych gestów przy jednej jedynej modlitwie, a potem okazało się, że i tak przegapiłem drugą setkę, której nauczyłem się już jako kapłan. Jakże więc monarcha taki jak Ramzes II, zaprzątnięty myślami o wojnie, miał zapamiętać kolejność? Ale w owych czasach – a przypominam, że byliśmy wówczas ludźmi prostymi – byliśmy przekonani, że jeśli królowi uda się uniknąć pomyłek w czasie obrzędów, to Amon nie odrzuci naszych prośb. Prawdę mówiąc, pamiętam, jak na początku wielu uroczystości Bak-ne-kon-su wciskał Amonowi do złotej ręki zwój papirusu, na którym Wysoki Kapłan napisał podanie. Po zakończeniu modłów zabierał zwój z powrotem. Czując jak Amon ściska podanie w rękę, zawsze mógł stwierdzić, czy Wielki Bóg odpowiada na prośbę przychylnie, czy nie. Oczywiście, zawsze byłem przekonany, że Bak-ne-kon-su mógł nam wytłumaczyć słowa Amona. Innym Wysokim Kapłanom, którzy po nim nastali, nie ufałem. Byłem zdania, że odpowiedzi na ich podania więcej mi mówią o samych kapłanach niż o mądrości Amona. Tak czy inaczej – kiedy zostałem Wysokim Kapłanem (a muszę przyznać, że nie byłem wzorem cnót jak Bak-ne-kon-su, lecz stanowisko zdobywałem dzięki zażyłym stosunkom z Ramzesem II pod koniec jego życia, gdy Ramzes był stary, a ja młody), przekonałem się na własnym przykładzie, że nie tak łatwo zignorować słowo Amona. O nie, pasja Amona była straszna, zwłaszcza gdy w rękę drżał zwój papirusu z modlitwą.

– Twoje wcielenia są tak dziwne jak smak nowej przyprawy – rzekł nasz faraon i uśmiechnął się do matki.

Na ten znak zainteresowania jej osobą, pierwszy od dłuższego czasu, pospiesznie odwzajemniła uśmiech, ale w jej myślach (przez jakiś czas nie zbliżałem się do jej myśli, wędrując wraz z pradiadkiem i skupiając całą uwagę na jego słowach) ujrzałem jej rękę dotykającą czubkami palców skóry równie delikatnej jak jej własna. Tyle że ta ręka poruszała się pod spódniczką faraona

i posuwała po jego udzie, po udzie faraona siedzącego na tronie i trzymającego w ręku ogon leoparda.

– Mówiłeś – rzekł faraon do Menenheteta – o mocy podania pisanego przez Wysokiego Kapłana.

– Tak – odparł mój pradziadek. – Jeżeli w moim podaniu była mowa o powiększeniu przez faraona majątku świątyni w Tebach, to wiedziałem też, jakiej odpowiedzi potrzebuję. Wysoki Kapłan musi pomnażać bogactwo swej świątyni. Skoro łaski Amona zaskarbiamy sobie darami, to dary wspaniałe są najskuteczniejsze. Tak więc w mojej petycji mogło chodzić o to, by Amon pouczył Ramzesa, iż należy przekazać świątyni jedną dziesiątą haraczu, który w zeszłym roku zapłaciła Libia. Moja ręka dotykająca podania nie spodziewała się innej odpowiedzi Amona niż to potwierdzającej, ale mimo iż odpowiedzi takiej pragnąłem, czułem wyraźnie niezadowolenie Ukrytego, jeżeli akurat tego ranka wcale nie życzył sobie dodatkowych darów.

– I mówiłeś o tym głośno? – spytał Pta-nem-hotep.

– Nie pamiętam, o Panie. Pamiętam tylko, że obawiałem się takiej odpowiedzi, zwłaszcza gdy faktycznie nadchodziła. Jakże okropnie palił mnie zwój podania, gdy odpowiedź brzmiała „nie”. Dotyk papirusu był równie nieprzyjemny jak dotyk skóry węża.

Tego ranka, kiedy przeprawiliśmy się przez rzekę, by odwiedzić grobowiec Ramzesa II, nie wiedziałem jeszcze o tych zawiłych sprawach. Rozumiałem tylko, że wszystko toczy się inaczej niż w pozostałe dni.

Nie zdziwiłem się widząc, że jest to dzień pełen niespodzianek. Ledwo wysiedliśmy na przystani po drugiej, zachodniej stronie rzeki w Tebach, a już faraon zaprosił mnie po raz pierwszy do swego rydwanu, konie zaś były równie zdziwione jak ja, że nie było Nefertari. Imiona tych koni, o ile pamiętam, brzmiały Siła Teb oraz Maat Jest Zadowolona. Ogier i klacz. Klacz, jak łatwo się domyślić, nader przypominała Nefertari. Nie lubiła, gdy ją oddzielano od jej towarzysza. Wystarczyło rzucić rozkaz Sile Teb, a było tak, jakby się rozkazywało ośmiu nogom obojga zwierząt. Nigdy też konie nie były szczęśliwsze niż wówczas, gdy królowa towarzyszyła monarsze.

Ale mój Ramzes tym razem ruszył ze mną, zostawiając orszak z tyłu. Przekonałem się też, że ludność w zachodnich Tebach, przyzwyczajona do widoku króla w otoczeniu świty, nie zauważała go, gdy przejeżdżał pojedynczym rydwanem. Ledwo dostrzegali błysk wojennej korony na głowie, świadczący o tym, że właśnie przejechał Dobry i Wielki Bóg. O Władco Obu Egiptów – rzekł pradziadek jak gdyby przepraszając, że faraon przejechał przez egipskie miasto, a nie wszyscy wiedzieli o tym, że się tam znajduje. Potem Menenhetet uderzył ręką w stół siedem razy, jakby pragnąc oddalić od siebie wszelki brak szacunku. – Dzisiejszej nocy, Nocy Świni, mógłbym mówić o wielu faraonach. Znałem ich jako bogów i znałem ich jako ludzi. Spośród nich wszystkich, jeżeli cię to w ogóle interesuje...

– Owszem.

– ... Ramzes II dawał się najłatwiej poznać jako faraon, ale najtrudniej jako człowiek. Już wam przedstawiłem przykłady jego pobożności. Kiedy jednak wychodził ze świątyni, było mu wszystko jedno, kto usłyszy jego głos. Kłął siarczyście jak prosty żołnierz, a kiedy znajdował się w towarzystwie Nefertari, bardziej przypominał człowieka zakochanego niż monarchę. Kiedy jej przy nas nie było, odzywał się jednak o niej bez szacunku. Gdy ruszyliśmy jego rydwanem tego poranka, powiedział wręcz: „Czy wiesz, że dostała furii, ponieważ jej powiedziałem, że ma zostać na wschodnim brzegu? Wracaj – powiedziałem – niańcz kogo masz niańczyć. Chcę zostać sam”. Mój faraon roześmiał się. „Nie lubi wychowywać – dodał. – Nie lubi nawet własnej mamki”. Popędził konie. Trzasnął lejcami po ich grzbietach, toteż z truchtu przeszliśmy w galop, pędząc bulwarem Ozyrysa na zachodnim brzegu jak dwaj woźnice rydwanów wybierający się na przepustkę na piwo.

O tak, teraz rozumiem, jak bardzo różnił się od późniejszych władców. Powaga pozostałych faraonów przebija z ich zachowania w każdej sytuacji, ale mój Ramzes II nie zważał na to. Jak chłopak zrzucał po prostu ubranie, kiedy miał na to ochotę. Miał takie wargi, że kiedy na ciebie patrzył, nie było wiadomo, czy chce pocałować cię, czy ugryźć w najczulsze miejsce.

Moja matka roześmiała się śmiechem tak pełnym podtekstów i tajemnych zakamarków jej ciała, że poczułem dotyk czarnych włosów między jej nogami i ujrzałem czerwoną twarz młodzieńca o złotych włosach i czerwonych wargach – takich samych jak rozciągnięte w uśmiechu wargi mojej matki. Znowu poczułem Słodki Paluszek – ale tym razem setki słodkich paluszków pieściły ją i mnie po brzuchu. Zacząłem się zastanawiać, czy Ramzes II mógł być tym młodzieńcem o złotych włosach, czy nie wstał z umarłych, co mnie jednak wprawiło w taki zamęt, że przyszedłem do siebie dopiero wówczas, gdy usłyszałem głos pradziadka mówiącego, że nigdy nie lubił zachodniego brzegu.

– I ja go nie lubię – rzekł Pta-nem-hotep i to tak zdecydowanie, że ujrzałem jego myśli, to znaczy zobaczyłem zachodni brzeg jego oczami, widziany z pokładu łodzi, ze środka rzeki. Widziałem więc dokładnie równinę od zachodu zamkniętą wysokimi skałami i wypełnioną wieloma świątyniami dolinę. Szerokie aleje rozchodziły się na wszystkie strony. Nie wyglądało to jednak na miasto, ale na park, i to bynajmniej nie królewski, gdyż między niektórymi alejami widniały mokradła, a gdzieś widać było długie, puste wykopy, zapewne pod fundamenty olbrzymich budowli, które zostały zaplanowane, ale nigdy ich nie zbudowano. Niewielu tam było przechodniów i ledwie parę wozów. Oznaczało to, że zachodni brzeg musi być całkiem odmienny od wschodniego. Ten ostatni, jeżeli Teby były podobne do Memfis, był zapewne zatłoczony i przyjazny, pełen wąskich uliczek. Na zachodnim brzegu było tyle pustej przestrzeni, że widać było wiele nowych miast wznoszonych w równych rzędach między szerokimi alejami i wspinających się ku wzgórzom. Ponieważ każdy kamienny dom w tych miastach miał na dachu małą piramidę, zrozumiałem, że to nie domy, lecz grobowce w wielkiej nekropolii w zachodnich Tebach. Istotnie, wyglądało to jak tysiąc kapeluszy zasadzonych na pustyni w jednym miejscu, a tysiąc w innym. Każda ulica była podobna do sąsiednich, toteż oczy zaczęły mi zachodzić łzami, gdyż zadałem sobie pytanie, czy żywi faktycznie byli przekonani, iż umarli dobrze się czują, zamieszkując ulice pozbawione zakrętów.

Pradziadek musiał dosłyszeć moje myśli (chyba że to ja mieszkałem w jego myślach), gdyż usłyszałem jak mówi:

– Ulice nekropolii budowano pod kątem prostym, opierając się na założeniu, że największy dochód daje nam ziemia sprzedawana w małych kwadratowych działkach.

– Menenhetecie, jesteś złośliwy – zauważył faraon. – Zawsze byłem przekonany, że ulice są proste, żeby odstraszyć złodziei i złe duchy.

– To też prawda – rzekł pradziadek. – Nie trzeba aż tylu strażników, jeżeli można osiągnąć wzrokiem z jednego końca alejki do drugiego, duchy zaś na pewno słabną, nie mogą lawirować w zaułkach. Kiedy jednak w świątyni Amona w Karnaku podejmowano decyzję o wytyczeniu kwadratowych działek, nikomu z nas nawet się nie śniło, że zdobędą taką popularność. Byłem wówczas Wysokim Kapłanem i mogę was zapewnić, że dodatkowe dochody były nam bardzo potrzebne. Mowa o okresie o jakieś pięćdziesiąt lat późniejszym niż okres bitwy pod Kadeszem, kiedy to Ramzes II był już bardzo stary i stracił zainteresowanie wojną. Świątynia mogła więc tylko liczyć na daniny, które wciąż jeszcze napływały od synów pobitych kiedyś książąt. Nie mieliśmy więc zbyt wielu darów dla Amona. Wyobraźcie sobie, jak się czułem jako Wysoki Kapłan, skoro codziennie Wielki Bóg sztychował ze mnie, gdy ścierałem stary róż, Język i Czystość zaś nakładali nowy.

Doszedłem do prostego wniosku, że dary, które uszczęśliwią Amona, nie muszą koniecznie pochodzić od faraona. Było wielu bogaczy, których stać na działki w nekropolii.

– Muszę jednak wyjaśnić, że nawet w ów przedziwny poranek, o którym mówiłem, kiedy to Ramzes II zaszczycił mnie zaproszeniem do swego rydwanu, istniała na zachodnim wybrzeżu mniejsza nekropolia. Nie przypominała jednak dzisiejszej z tysiącami grobów. Było tylko kilka szerokich alei. Sama nekropolia była mała i wolno było w niej grzebać tylko zmarłych z najlepszych rodzin. Pamiętam, z jaką zawiścią myślałem o tym, że nigdy nie spocznę na zachodnim brzegu. Wydawało mi się, że człowiek, którego zaproszono do towarzystwa faraona, powinien mieć prawo do własnego grobowca z historią życia wypisaną na murach. Wiedziałem jednak, że to niemożliwe. Jeśli się nie było człowiekiem bogatym, szlachetnie urodzonym, nie można było wówczas nawet marzyć o życiu w Kert-Neter. Pośród chłopów, tam gdzie się wychowałem, słyszało się zawsze o okropnościach czeluści Krainy Umarłych, o tym, że można tam było spotkać tak przerażające węże, skorpiony i złych bogów, że tylko faraon i paru królewskich braci odważało się wyprawić ku Dat. Taka podróż nie wchodziła w grę w wypadku prostego człowieka. Kiedy ktoś umarł, rodzina zanosila ciało na pustynię, kopała dziurę i zasypywała ciało piaskiem. Chłopi nie zastanawiali się nad tym ponad miarę. Ale kiedy zostałem woźnicą rydwanu, zaczęło mnie drażnić, że tak wielu krewnych faraona miało grobowce i mogło zabierać swoje skarby do Krainy Umarłych. Od dnia, kiedy jechałem z nim w rydwanie, zaczęła mnie męczyć myśl, iż warto by mieć działkę w Mieście Umarłych.

Kiedy więc całe lata później zostałem Wysokim Kapłanem, zdawałem już sobie sprawę z tego, że bogaci prostacy będą się starali zakupić ziemię w tej nekropolii. Jednak niepospolita, że tak powiem, cecha charakteru Ramzesa Wielkiego, która przybrała na sile po bitwie pod Kadeszem, sprawiła, że wcale nie musieliśmy sprzedawać działek gminowi. Kiedy osiągnął sędziwy wiek, tysiące ludzi w Tebach miało prawo twierdzić, iż są jego dziećmi, wnukami lub prawnukami. Albo że się poženili lub powychodzili za mąż za jego potomstwo. Tylko najbiedniejsi i najubożsi nie mogli się pochwalić jakimś stopniem pokrewieństwa z Usermare-Setpenere Słońcem Które Jest Potężne Dzięki Prawdzie, z Ramzesem II.

Ale to było po bitwie pod Kadeszem. Owego poranka, mknąc dumnie w jego rydwanie, nie mogłem wiedzieć, co się jeszcze wydarzy. Spoglądałem na to, co tam było, a faraon popędził pustymi bulwarami zachodnich Teb. Niewielu ludzi pracowało tam wówczas, jak już mówiłem, i wszyscy byli zatrudnieni w nekropolii i w świątynnych kostnicach. Wydawali mi się jakoś mniej zdrowi niż ludzie ze wschodniego brzegu Teb. Nawet kapłani z pogrzebowej świątyni wydawali się chudszy i zapadnięci w sobie, niepodobni do kapłanów wychodzących z wielkiej sali, przypominającej las w świątyni w Karnaku. Ci w Karnaku też przebywają często w cieniu, ale za to tuczą się dzięki ofiarom, które spożywają, i złotu, które chowają w podziemiach. Tymczasem kapłanom na zachodnim brzegu wolno co prawda korzystać ze słońca w pięknych ogrodach i na rozkosznych placykach, ale trawi ich nuda, gdyż zmuszeni są oddychać w rytmie stuleci. Myślę, że większość tych kapłanów pragnęłaby znaleźć się na wschodnim brzegu, w Karnaku, i dawała wyraz swemu niezadowoleniu. Kiedy słońce świeciło, nie było tu tak ponuro, ale wiedziałem, że już wkrótce okropne cienie podpełzną jak woda do skał i zakryją mroczną posepnością świątynne ogrody.

Przez cały czas nie wiedziałem, dokąd zabiera mnie mój faraon. Okazało się, że postanowił odwiedzić najwspanialszą budowlę, a mianowicie świątynię Hatszepsut. Kiedy tam podjechalismy, ku memu zdumieniu okazało się, że w całej świątyni nie było nawet tuzina kapłanów. Nie było wręcz zapachu palonych ofiar. Może byliśmy pierwszymi gośćmi świątyni od wielu dni? Naturalnie

budynek został wzniesiony przez kobietę i bardziej przypominał pałac niż świątynię. Mój faraon rzekł: „Kiedyś wyśmiewałem się żutego budynku.

Tylko kobieta mogła zbudować świątynię z samych kutasów”. I klepnął mnie po barach jak jeden żołnierz piechoty drugiego. Byłem zaszokowany jego słowami, ale potem rzekł: „Policz kutasy”. Policzyłem: dwadzieścia cztery kolumny podtrzymywały dach, nad nimi zaś wznosił się jeszcze jeden rząd krótszych kolumn. Była to w sumie ładna, biała świątynia. Była ogromna, tuż za nią zaś wznosiły się stromo ku niebu białe skały. Gdy król odesłał kapłanów, którzy wyszli, aby nas przywitać, weszliśmy na patio na pierwszym dachu. Był tam ogród i rosło w nim sto drzew mirry. Czułem zapach mirry w każdym kadzidle palonym w świątyniach i wiedziałem, jak silnie pachnie, ale tutaj, w cieniu skał wyższych niż setka mężczyzn stojących jeden na drugim, w słońcu południa i w obliczu żółtych pustynnych wzgórz dookoła, woń mirry dochodząca nas od każdego drzewka wypełniła mi czaszkę i sprawiła, że nurt moich myśli stał się czysty i pusty jak niebo. Gdy kapłan przyniósł nam dwa złote krzesła, jedno dla faraona, a drugie dla mnie (ku memu zadowoleniu), podał nam po złotym kubku wina, poczułem smak mirry także w napoju. Smakowała jak żałobne zwoje nasycone ziołami. Przez cały czas czułem się więc ożywiony niczym światłość na niebie. Popijałem wino, które sprzyjało rozmyślaniom i sprawiło, że umysł mój się rozjaśnił.

– Te drzewa mirry – rzekł Ramzes II – są od niej.

Zrazu myślałem, że ma na myśli własną królową, czyli Nefertari, ale potem dorzucił: „Hatszepsut” i umilkł. Potem powiedział mi, że drzewka sprowadzono od Amona, który z kolei rozkazał królowej Hatszepsut, by w ten sposób urządzić krainę punicką w jego domu. Mimo upału zadrzałem, słuchając tej opowieści, gdyż zapach mirry ochłodził mnie, król zaś mówił, że wiele ekspedycji wracało z niczym, zanim Hatszepsut wysłała własną flotę. Pięć statków królowej powróciło bezpiecznie, przywożąc mirrę, heban, kość słoniową, drzewo cypryjskie, pierwsze pawiany i niezwykle małpy, nigdy przedtem nie oglądane w Egipcie, a także nowe rasy psów, skóry południowych panter oraz tubylców z Puntu o skórach tak czarnych, że wydawali się bardziej purpurowi niż ślimaki z Tyru. Hatszepsut była tak zadowolona, że powierzyła swemu kochankowi Senmutowi dzieło budowy tej świątyni na własną cześć. Dwa rzędy kutasów! Zaczął się śmiać, ale nagle spoważniał i chwycił mnie za ramię.

– Pewnego wieczoru przybyłem tu z Nefertari i zostaliśmy sami na tym tarasie. Amon przemówił do mnie. Rzekł: „Jest ciemno, lecz ujrzysz moją światłość”. Kiedy kochaliśmy się z Nefertari, widziałem, jak powstaje nasze pierwsze dziecko. Byliśmy złączeni z ziemią dzięki tęczy. Nie zawsze więc wyśmiewam tę świątynię, choć nie znoszę zapachu mirry. – Po czym wstał i odjechaliśmy, a galopował tak wściekle, że nie mogłem wymówić ani słowa. Nie wiem dlaczego, ale był wściekły, jakbyśmy już pędzili do boju.

Potem swoim sokolim wzrokiem dostrzegł jakieś poruszenie na polu i zjechał z bulwaru po nierównym gruncie, aż się zbliżyliśmy do niewielkiej rozpadliny zarośniętej krzakami i ujrzelśmy dwie wiejskie dziewczyny idące drogą. Mówię wam, ledwo je minęliśmy, a one zeszyły z drogi, by nas przepuścić, już mój Usermare przepadł z jedną w krzakach, zostawiając drugą dla mnie, tak bardzo się spieszył. Potrafił bowiem obracać mieczem szybciej niż ktokolwiek spośród znanych mi wojowników. Kiedy tylko nasycił swoje żądze od przodu i od tyłu, zaczął się zabierać do mojej, kurtuazyjnie oferując mi tę, którą zostawił. Oczywiście nowa, podobnie jak i jej poprzedniczka, cuchnęła mułem, ale posiadałem ją pożądliej niż pierwszą, zachowując się jak dowódca szarżujących rydwanów. Nigdy jeszcze nie byłem tak podniecony jak wtedy, wiedząc, że pędzę ku jaskini, po której mój faraon jeszcze przed chwilą przechadzał się, że tak powiem, na bosaka.

– Nie wahałeś się? – spytała matka.

Pta-nem-hotep pokiwał głową.

– I ja jestem ciekaw, czy się nie bałeś – rzekł. – W końcu te przygody działy się za twojego pierwszego życia.

– Nie bałem się bardziej niż przed bitwą – odparł pradziadek.

– Słusznie – powiedział Pta-nem-hotep. – Kiedy się boimy, łatwiej rzucić się w wir bitwy niż kochać kobietę. W bitwie wystarczy unieść ramię.

– Tak – odrzekł pradziadek – ale w tej bitwie byłem spleciony z dziewczyną. Uderzałem o jej uda moją miękką szablą. Prawdę mówiąc, trochę się wstydzilem. Mój członek, w porównaniu z tym, którego przed chwilą zaznała, nie był specjalnie imponujący. Poza tym pierwsza dziewczyna krzyczała właśnie z uciechy, podczas gdy Usermare-Setpenere ją przygniatał. Mimo to udało mi się jakoś wejść gdzie trzeba, a potem poczułem w sobie powołanie woźnicy rydwanu. Dużymi palcami u nóg wryłem dziurę w ziemi, nim skończyłem. Mój członek kąpał się w olejkach faraona. Jakże wspaniale pachniała ziemia!

– Kocham smród wiejskich kobiet – powiedział mi faraon, gdy odjeżdżaliśmy – zwłaszcza gdy zostaje mi na czubkach palców. Czuję się wtedy, jakbym obejmował rękoma obydwa królestwa.

– Wciąż jeszcze odczuwałem przyjemność rozkoszną jak przebudzenie w polu ze słońcem na twarzy. Wytryskując nasienie w tę wiejską dziewczynę poczułem, jak jej serce wybiega ku mnie. Ujrzałem ogromną białą świetlistość unoszącą się z jej brzucha, wody faraona zaś przepływały nad moimi zamkniętymi powiekami jak tysiące białych ptaków. Czuję, że mój członek został namaszczone raz na zawsze.

– Na wieki – dodał Pta-nem-hotep – tylko dlatego, żeście się podzielili raz wiejską dziewczyną?

– Popatrz, dziecko śpi – powiedziała matka.

Udawałem. Zauważyłem, że w miarę jak pradziadek opowiadał, obecni zwracali na mnie coraz mniej uwagi, toteż wystarczyło, że przymknąłem oczy, a wszyscy zapomnieli o mojej obecności. Już się nie krępowali i nie ukrywali własnych myśli. Z drugiej strony niewiele brakowało, bym zasnął naprawdę, gdyż stwierdziłem, że zacznę rozumieć rzeczy, których nigdy nie widziałem i których nazw nie znam.

– Znów pędziliśmy – mówił pradziadek – jak gdyby nic się nie stało, ale kiedy tylko przejechaliśmy przez wyboje pola i wjechaliśmy na wyboisty bulwar, który właśnie budowano, zatrzymał rydwan i powiedział: „Dzisiaj rano w sanktuarium zobaczyłem siebie w chwili, gdy pogrążyłem się w modlitwach. Byłem sam i byłem nieżywy. Otoczono mnie w trakcie bitwy, zostałem sam, zabito mnie”. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaciął konie i popędziliśmy dalej. Dygotały mi szczęki.

Nie wiedziałem, dokąd zmierzamy, ale wnet opuściliśmy miasto i pędziliśmy wąską drogą, która stała się po chwili wąziutkim szlakiem wiodącym przez skalną półkę. Czasami ścieżka wznosiła się tak stromo, że trzeba było wysiadać i iść dalej pieszo, a od czasu do czasu musieliśmy spychać z niej głazy, które spadły ze wzgórz po obu stronach. Już myślałem, że chce zatrzymać konie, ale gdy przebrnęliśmy przez przełęcz, droga nieco się poszerzyła i stwierdziłem, że kiedyś musiał tędy bieć jakiś ważny szlak.

Gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, byliśmy sami pośrodku niewielkiej rozpadliny. Wówczas powiedział: „Pokażę ci miejsce, które jest dla mnie święte jak moje Tajne Imię, i jeżeli je zdradzisz, umrzesz natychmiast”. Popatrzył na mnie tak przejmująco, że poczułem, jakbym się znalazł przed obliczem samego Re.

– Ale najpierw – rzekł – muszę ci opowiedzieć historię Egiptu. W przeciwnym wypadku nie zrozumiesz, jak doniosły powierzam ci sekret. – Tu mój pradziadek urwał, popatrzył po nas i westchnął, jak gdyby komentując swą ówczesną niewiedzę. – Wiesz, o Wielki Dziewiąty – rzekł – że niewiele rozumiałem z tego, co mówił faraon. Nie wiedziałem, że Egipt posiada historię. J a

miałem historię, a inni woźnice rydwanów też je mieli, może parę kurw, ale Egipt? Nie wiedziałem, co powiedzieć. Mieliśmy rzekę, która dwa razy do roku wylewała. Mieliśmy faraonów, a najstarszy człowiek, jakiego znałem, pamiętał faraona, który różnił się od pozostałych, gdyż nie wierzył w Amona, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się ów faraon nazywał. Jeszcze wcześniej istniał Totmes II, którego imię nosiła nasza szkoła królewskich woźniców rydwanów, oraz królowa Hatszepsut i faraon Chufu. Faraon ten żył tysiące lat temu i nie mieszkał on w Tebach, ale w Memfis; zbudował górę wyższą niż jakiekolwiek inne wzniesienie w Obojgu Królestwach, zaś obok tej góry stały dwie inne, zbudowane przez innych faraonów. Tyle wiedziałem z historii Egiptu.

Ale opowiedział mi o czymś innym. Siedzieliśmy obok siebie na głazach w rozpadlinie, spoglądając na nasz wschodni brzeg. W oddali, za rzeką, tętniły życiem Teby i dochodziły do nas odgłosy pracy w warsztatach – równie wyraźnie jak echo skały spadającej w przepaść w sąsiedniej dolinie. Trudno więc przypuścić, żebym to wszystko sobie wymyślił, choć – z drugiej strony – nie bardzo umiałem odróżnić jego opowieści o Totmesie III od historii o Amenhotepie II i III. Kiedy jednak zaczął mówić o własnym ojcu, Setim, potrafiłem sobie wreszcie faraona wyobrazić dokładnie, gdyż podobizna Setiego została wryta w kamieniu na murach wielu świątyń, co mi pozwoliło zrozumieć, jak dalece dzieciństwo Usermare-Setpenere różniło się od mojego. Ja zawsze widziałem plecy ojca. Przyglądałem się jego łokciom, gdy pracował w polu. Tymczasem Ramzes II widywał swego ojca na murach wielu świątyń trzymającego – jak to często przedstawiano – głowę jeńca za włosy. Kiedy spoglądałem na taki obraz, zawsze czułem się tak, jakby oddech Setiego palił mi szyję, jakbym to ja był jeńcem. Zastanawiałem się, czy i Ramzes II nie żywił podobnych odczuć będąc dzieckiem, ale nie śmiałem go zapytać.

Potem opowiedział mi o Totmesie III, który miał zostać królem, ale zastąpiła go na tronie Hatszepsut, gdyż była żoną Totmesa II. Toteż trzeci musiał żyć w świątyni jako kapłan i krzątać się wokół naczyń z kadzidłem, gdy Hatszepsut przychodziła na modły. Tak wielki rósł w nim gniew, że kiedy umarła, a on został faraonem, był w bitwie dzielny jak rozjuszony lew, którego właśnie wypuszczono z klatki, a w dodatku kazał swoim kamieniarzom odłupać imię Hatszepsut ze wszystkich napisów na murach świątyń. Na tym miejscu wryto jego imię.

– Dlaczego – spytałem, o ile sobie przypominam, mego faraona – nie zniszczono raczej świątyni Hatszepsut miast samego jej imienia? – Odpowiedział, iż Totmes nie pragnął bynajmniej sprowadzać na siebie gniewu bogów, którzy najbardziej kochali Hatszepsut, chciał tylko pomieszać im szyki. Pamiętam, że Ramzes II spojrział na mnie i chwyciwszy mnie za kolano, ścisnął je mocno palcami. „Ja też będę królem, którego imię zostanie wryte w kamieniu” – powiedział i odmalował dokładniej wspaniałą postać Totmesa III, wyliczając bitwy, które wygrał, oraz łupy, które wziął. Dowiedziałem się o posągu króla Kadeszu wykonanym z hebanu (wówczas panował tam król). Totmes pokonał go i przywiózł posąg do Teb. Potem Ramzes II powiedział, że wojownik, który stał obok Totmesa na rydwanie, nazywał się Amenenahab. Jak wszyscy, którzy noszą imiona wywodzące się od Amona, był dzielny. Rozumiał, czego pragnie Totmes III, nim jeszcze król sam zdał sobie z tego sprawę. „I ty się tego nauczysz” – wyszeptał Ramzes. Potem pocałował mnie. Wargi zaczęły mi błyszczeć równie promiennie jak jego rydwan. Ledwo słuchałem tego, co mi opowiadał o innych faraonach, którzy byli tak silni, że potrafili władać mieczem Totmesa III – na przykład o faraonie, który nie lubił Amona, czyli o Amenhotepie IV. Wyglądał on dziwnie, miał wydatny brzusek, duży nos i długą czaszkę. Musiał pamiętać o tym, co Totmes zrobił z imieniem Hatszepsut, gdyż podobnie postąpił z Amonem. Tysiąc kamieniarzy usuwało napisy z imieniem Amona w świątyniach, na tym miejscu kując inne imię – Re-Aton. A imię to, powiedział mi Ramzes II, oznacza boga, jeśli je przeczytać wspak, ponieważ Re-Aton jest przeciwieństwem „neter”. Potem Amenhotep IV zmienił własne imię na Echnaton i wybudował miasto w środku

Egiptu, nazywając je Horyzontem Atona. Nie wierzyłem własnym uszom. Wszystko wydawało mi się dziwne. Ledwo coś zostało dokonane, już to niweczono. Kiedy tylko umarł Echnaton, imię Atona usunięto z kamienia i przywrócono imię Amona. „To wszystko – mówił mój faraon – doprowadziło do rozprzężenia i słabości kraju, toteż obecnie malujemy nasze święte imiona na drewnie, a nie wykuwamy ich w kamieniu. Właśnie dlatego mój ojciec Seti nakazał artystom, by pracowali w kamieniu. Istnieje wiele rysunków, na których mój ojciec trzyma jeńców za włosy przed egzekucją, a wszystkie są wykonane w kamieniu”. Roześmiał się, wstał, chwycił mnie za włosy jakby chcąc uderzyć, znów się roześmiał i rzekł: „Chodź, chcę ci coś pokazać”. Ruszyliśmy pod górę.

Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie trzeba było uwiązać konie i zostawiwszy rydwan, ruszyć w górę wąskim szlakiem, wspinając się po skałach. Podciągaliśmy się ze skały na skałę, a często musieliśmy się podciągać nawzajem. Cieszyłem się z tych trudności, gdyż opowieść o faraonach, którzy zmieniali imiona wyryte na murach świątyń wprawiła mnie w zakłopotanie. Przekonanie, że Amon-Re jest naszym największym bogiem, było dla mnie do tej pory równie niewzruszone, jak głazy świątyni w Karnaku. Jakże więc sobie wyobrażać, że były takie czasy, gdy jego imię ustąpiło miejsca imieniu innego boga? I że faraon tego Atona wyglądał jak śmieszny człowieczek z dużym brzuchem? – te myśli bardziej mnie wyczerpały niż wspinaczka.

Kiedy dotarliśmy na szczyt skały, spodziewałem się ujrzeć po drugiej stronie pustynię, ale ujrzałem zejście do kolejnej dolinki i jeszcze jeden wąski szlak. Stojąc na szczycie, mój król wskazał na coś, co leżało nad rzeką. „Jest tam miejscowość o nazwie Kurna – powiedział. – Rodzą się tam wyłącznie złodzieje. Miasteczko może się wydawać biedne, ale pod każdą lepianką ukryto fortunę. Pewnego dnia, jeżeli ci złodzieje mnie rozzłoszczą, zburzę miasto Kurna i poucynam im ręce. To rabusie grobowców. Każda rodzina w tym mieście wywodzi się z rabusiów okradających grobowce”.

Wnet dowiedziałem się, dlaczego o tym mówi. W głowie mi jeszcze huczało od opowieści o Totmesie III, Hatszepsut i wszystkich Amenhotepach, a teraz Ramzes opowiedział mi jeszcze o Totmesie I, który przybył, pragnąc odwiedzić pogrzebowe świątynie przodków, i ujrzał na własne oczy, jak wiele grobowców otwarto i okradziono ze złotych mebli i innych skarbów. Opłakując zbezczeszczenie umarłych faraonów, Totmes wydał przeciągły okrzyk bólu. Wiedział, że kiedy umrze, jego grobowiec też można będzie obrabować. I on mógłby błąkać się bezdomnie po Kert-Neter jak wielu jego przodków. „Potem – rzekł Ramzes – przyjechał do tej doliny”.

Przyjrzelśmy się dolinie. Zastanawiałem się, czy teren został wyrzeźbiony przez podziemną rzekę. Nigdy nie widziałem tak nierównego terenu. Przed nami widniało wiele otworów, które prowadziły do innych zagłębień, pełno też było sporych jaskiń. Wyobrażałem sobie, jak dawno temu woda przelewała się tędy, rycząc wściekle, unosząc piasek i miękką glinę, zostawiając litą skałę. Teraz w skale tej widniały jamy wielkie jak komnaty królewskiego pałacu, a w połowie drogi pod górę któregoś ze zboczy na tej pustyni gładów i płyt skalnych ziały wejścia do wielkich jaskiń.

Następnie mój Ramzes Usermare-Setpenere opowiedział mi o tym, jak to Totmes I odnalazł skałę z niewielkim otworem, do którego można było dotrzeć, wspinając się niemal wyłącznie pionowo. Kiedy się jednak weszło do środka, widać było szereg jaskiń połączonych ze sobą. Powiedział wówczas: „Tutaj wybuduję mój tajny grobowiec” i rozkazał królewskiemu architektowi jaskinie powiększyć, aż zbudowano dwanaście komnat.

Gruz z tych jaskiń wywożono na pustynię, robotnikom zaś nie dano możliwości, by mogli komuś powiedzieć o swoim zatrudnieniu. Mój Ramzes nie powiedział nic więcej, ale wiedziałem, jaki los spotkał robotników. Słyszałem ich milczenie. „Nikt nigdy nie odnalazł kryjówki króla Totmesa I – rzekł Usermare. – Nawet faraonowie nie znają miejsca, gdzie pogrzebano innych

faraonów. Za każdą z tych skał, w każdym zboczach, można odnaleźć jakiś grobowiec, ale przedtem trzeba przerzucić nieskończenie wiele bloków skalnych, gdyż są ich tu miliony. Nie wiem, czy dlatego nazywamy tę dolinę Miejscem Prawdy, ale właśnie tu zamierzam ukryć mój grobowiec”.

Ponieważ żyłem pełen nabożnej czci dla mego faraona, nie chciałem poznawać jego tajemnic. Chciałem więc zmienić temat. Ale niczym ta czarna miedź z niebios, czułem nieodpartą chęć powrotu do tej rozmowy. Spytałem, dlaczego rabusie grobowców z Kurny cieszą się takim bogactwem, skoro grobowce owe trudno odnaleźć? Ujął mnie za rękę i rzekł: „Pocałuj mnie w usta. Przysięgnij, że nie będziesz z nikim o tych sprawach rozmawiał. Jeśli rozpoviesz, utnę ci język”. Znow się pocałowaliśmy i zrozumiałem, o Wielki Ramzesie IX, co to znaczy żyć w królewskim ciele faraona, gdyż znow poczułem promienną lekkość w głowie, zaś ciężar tajemnicy spoczął na mnie, zanim jeszcze faraon mi o niej opowiedział, dzięki temu, że dotknął swoim językiem mojego. Znałem własny język i wiedziałem, że za nic w świecie nie chciałbym go utracić.

„Żaden faraon nie uważał za rzecz rozsądną pozostawiania następnym faraonom wskazówek co do własnego grobowca w tej dolinie – powiedział. – Ale ktoś musiał wiedzieć. W przeciwnym wypadku grobowiec można było obrabować, a rabunek nie zostałby nigdy odkryty. Toteż każdy Wysoki Kapłan wiedział o grobowcu własnego faraona, a przed śmiercią przekazywał sekret kolejnemu Wysokiemu Kapłanowi”.

Potem opowiedział mi o tym, jak to Wysoki Kapłan w epoce Amenhotepa IV zdradził sekret rodzinom z Kurny i podzielił się z nimi łupami. Potem złodzieje pokłócili się. Błuznierstwo odkryto. „Ludzie z Kurny – rzekł Usermare – tak dalece przerazili Amenhotepa IV, że zmienił imię na Echnaton i przeprowadził się w górę rzeki do miejscowości w połowie drogi między Tebami a Memfis”.

Nie wierzyłem, by złodzieje z Kurny dysponowali tak silną klątwą, że aż faraon się ich przestraszył, ale zastanawiając się nad tym wszystkim doszedłem do wniosku, że byli oni w stanie wtargnąć do grobowca tylko dlatego, że Wysoki Kapłan odprawił specjalne modły w ich intencji. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że można było odnosić nieświęte korzyści z faktu, że się było świętym. Zastanawiałem się jednak, jak to złodzieje z Kurny mogli w ogóle dotykać mumii faraona. Czy żaden z nich nie umarł zdjęty strachem, który rozrywa serce?

I ten upał. Nasza wąska ścieżka nie była osłonięta przed ostatnimi promieniami słońca i ciało moje zaczęły przeszywać dreszcze. W cieniu było mi zimno. Było późne popołudnie i wspinaliśmy się po drugiej stronie następnej dolinki, w tym Miejscu Prawdy, co oznaczało – jeżeli imię się zgadzało – że prawda była paląca i haniebna. Nad następnym wzniesieniem słońce zaczęło słabnąć. Przed nami widniało wysokie wzgórze całkiem podobne do piramidy na grobowcach w nekropoli, zakończone takim samym trójkątnym wierzchołkiem. Róg – tak je nazwał Usermare-Setpenere. Słońce znikło za Rogiem i zgasło.

I właśnie tam, w głębokim mroku ostatniej doliny, Ramzes II ukazał mi kolumnę z kamienia, wysoką jak pomnik. Sterczała wystając nieznacznie poza krawędź skały nad przepaścią, jak gdyby uderzenie pioruna odłupało ją od reszty masywu. W szczelinę między odłupaną kolumną a masywem wpełznął się Ramzes II i manewrując zręcznie plecami, którymi opierał się o skałę, jak również umiejętnie chwytając stopami i rękoma za skalne występy, waziutki, wystające z odłupanego kawałka najwyżej na palec, zaczął się wspinać coraz wyżej, aż stanął nade mną wysoko, wysoko, czego się nie spodziewałem – tym bardziej iż wyglądał przedziwnie, odzież miał poszarpaną i zabrudzoną, ale korona wojenna tkwiła nienaruszona na głowie i ani razu jej nie zdejmował. Parę razy zdawało mi się, że już-już będzie ją musiał zdjąć, bo nie dosięgnie następnego uchwytu, nie przechylając głowy w dół, i faktycznie raz hełm omal mu nie spadł, gdy zawisnąwszy na rękach musiał się odchylić do tyłu, i zobaczyłem, jak hełm mu się zaczyna zsuwać

z głowy. Ale, rzecz nie do wiary, przytrzymując się jedną ręką odłamu skalnego, drugą nasunął koronę z powrotem na głowę, a potem dotarł do półki skalnej, na której mógł przycupnąć, i wezwał mnie okrzykiem do siebie. Był teraz wysoko nade mną, tak wysoko jak głowice kolumn w świątyni w Karnaku, jak moje życie, ale okazało się, że wspinaczka wcale nie jest aż tak trudna jak to wyglądało z dołu, przypominała raczej wchodzenie po kapryśnie zbudowanej drabinie. Zacząłem wręcz z upodobaniem ocierać się o skałę plecami i doceniać oparcie, jakie dawała, gdy zmęczyły mi się palce u rąk i nóg, a odłamek skalny przed moimi oczyma stał się dla mnie równie bliski, jak ciało mężczyzny lub kobiety, które kochałem. Wiedziałem, że będzie mi się śniło przez wiele nocy, gdyż trzymając się rękami za te występy skalne, czułem się bliższy Gębowi niż kiedykolwiek przedtem poza chwilami modłów.

Trwało jednak chwilę, nim dotarłem do występu, i miałem dość czasu, by się przekonać, że poruszanie się po skale nie różni się zanadto od chodzenia po ziemi, nie więcej niż światło dzienne od snu, toteż dołączając do faraona, wydałem okrzyk tryumfu i w nagrodę za nasz wspólny sukces zostałem uraczony krótkim, mocnym uściskiem. Muszę przyznać, że czułem doń wówczas sympatię jak do żołnierza, widziałem w nim wręcz przyjaciela, a nie faraona.

„Patrz – powiedział – ten występ skalny jest podobny do wielu innych, ale różni się od nich zasadniczo. Zobacz, co się znajduje po drugiej stronie tego głazu”.

Był to gładz wysoki jak on, dość gruby i przedzielał półkę skalną na dwoje. Jednakże z drugiej strony gładzu widać było otwór, w którym potrafił się zmieścić dorosły człowiek, i kiedy na jego znak faktycznie zacząłem się wczołgiwać do środka, najpierw zobaczyłem jaszczurkę przemykającą po ścianie w głąb jaskini, a potem ogarnął mnie mrok rozpraszany tylko odrobiną światła, które jeszcze dochodziło z zewnątrz.

Po chwili dołączył do mnie Ramzes II i usiedliśmy, odpoczywając w zaduchu jaskini mimo pisków i chrobotu różnych żyjatek, którym przeszkadziliśmy naszym wejściem.

Nietoperze latały na oślep jak bicze i piszczały w ten charakterystyczny sposób, który przypomina jęki konającego żołnierza – jęki rozpaczy. Obsypały nas odchodami, ale smród nie przeszkadzał mi aż tak bardzo dzięki bliskości faraona. Nawet w mroku czułem szlachetność jego postaci, olbrzymiej jak wielka grot, toteż siedząc blisko niego, czułem się blisko bijącego serca Egiptu, a ostra woń nietoperzych odchodów zdawała się słodsza niż w rzeczywistości dzięki woni królewskiego potu po wspinaczce. Nawet dzisiaj, mając za sobą cztery życia, nie potrafię się wzdragać na woń nietoperzych odchodów, gdyż zawsze kojarzy mi się ona z ciepłymi, szlachetnymi członkami młodego Ramzesa. O tak!

Niedługo siedzieliśmy na podłodze jaskini, gdyż promieniująca siła jego ciała pozwoliła mi dostrzegać wewnątrz mimo mroku. Zdałem sobie sprawę z tego, że jaskinia przypominała tunel. Faraon był z siebie zadowolony – właśnie w tym miejscu miał zamiar wybudować dwanaście komnat grobowca. Dorzucił: „Wybuduję, jeżeli powrócę żywy z wojen, na które wyruszamy”, po czym w jaskini zapadła cisza. Jaszczurki wciąż umykały przed nami z jazgotem, a ja czułem, że bogowie nie byli zadowoleni z tego światła słońca na naszych członkach.

„Zetrzemy się z Hetytami – rzekł Ramzes II, siadając obok mnie na podłodze – a ci walczą, mając w każdym rydwaniu po trzech wojowników. Są silni, ale powolni. Walczą łukiem, mieczem i włócznią oraz – chwilę odczekał – toporem. Mieszkają w krainie, w której rośnie wiele drzew i wiedzą, jak się posługiwać toporem”.

W ciemności nie potrafiłem rozpoznać rysów jego twarzy, ale poczułem nowy rodzaj strachu. Jakże wspaniałe jest ten strach! Jest jak nowa twarz, której nigdy dotąd nie widzieliśmy. Podnieca nas we wszystkich zakątkach ciała. Zginać od miecza można było równie łatwo i można się było

tego obawiać, ale teraz czułem, jak nowe ciarki przechodzą mi po grzbiecie, po ramionach i po udach, gdyż wyobraziłem sobie, iż padam rozcięty toporem.

„Hetyci mają długie czarne brody – rzekł mój Ramzes – a w tych splątanych brodach są resztki jedzenia, robactwo, a w dodatku na ramionach mają zmierzwione włosy. Są brzydki niż niedźwiedzie i nie potrafią żyć bez krwi na polu bitwy. Jeżeli cię złapią, twój los będzie nie do pozazdroszczenia. Przewleką ci obręcz przez wargi, by cię podrywać w czasie marszu, a niektórzy zaćwiczą cię biczem na śmierć. Toteż zabiorę ze sobą setkę pojmanych Hetytów i to oni zbudują mój grobowiec”. Uśmiechnął się i choć następnej myśli nie wypowiedział na głos, ujrzałem oczyma wyobraźni tych samych Hetytów po zakończeniu robót – żaden z nich nie miał języka. „Tak – rzekł – lepiej wykorzystać Hetytów niż Egipcjan”.

Potem przerwał i popatrzył na mnie, a na jego twarzy ujrzałem uśmiech podobny do uśmiechu na widok tamtej wiejskiej dziewczyny. Gdybym się mógł odsunąć, może i skończyłoby się na uśmiechu, ale nie chciałem, nie potrafiłem, toteż powstał i chwycił mnie za włosy jak jego ojciec Seti schwytyanych niewolników, zaś przed oczyma miałem jego członek. Potem wytrysnął w moich ustach, podniecony patrzył mi prosto w oczy. Dotąd nikomu nie pozwoliłem tego zrobić. Potem, patrząc mi głęboko w oczy, rzucił mnie na kolana, pochwycił w pasie i bez skrupułów podrzucił moją dupę do góry, wciskając się we mnie z trzaskiem, który oznaczał przełamanie sam nie wiem czego. Dudniło mi w głowie, jakby ktoś wyważał wrota do świątyni taranem unoszonym przez dziesięciu tęgich chłopów i z taką samą siłą dziesięciu mężczyzn posiadał mnie wówczas od tyłu, ja zaś leżałem z twarzą na kamiennej podłodze jaskini, słysząc pisk nietoperza wysoko w górze. Usłyszałem jak Usermare krzyczy: „Twoja dupa, kochany Meni, mój mały (choć po prawdzie byłem mu równy tak wzrostem, jak wagą) – twoja dupa, mały Meni, należy do mnie, daję ci milion lat i nieskończenie więcej, twoja dupa, mały Meni, jest słodka!” – po czym wytrysnął z taką siłą, że coś się rozwarło w samym sanktuarium mojego ja i resztki mej dumy rozprysły się jak mydlana bańka. Nie byłem już sobą, lecz należałem do niego, kochałem go i wiedziałem, że jestem gotów umrzeć za niego. Ale byłem także pewien, że nigdy mu nie wybaczę – ani wówczas, gdy będę jadł, ani wówczas, gdy będę pił, ani wówczas, gdy będę się wypróżniał. Jedna myśl przemknęła jak strzała przez mój umysł: muszę się zemścić.

„Nie ulegniemy w boju, nigdy – rzekł. – Jesteśmy teraz obaj jak zwierzę poruszające się na czterech nogach”. Pocałował mnie po raz ostatni i westchnął, jakby zjadł wszystko, co podano na stół w czasie bankietu. Zaznałem w ustach smaku zielonej głębinie wielkiej wody, krew w moich trzewiach zaś uderzała o serce.

Zeszliśmy na dół i wróciliśmy w księżycowym blasku, patrząc jak chmury przesłaniają gwiazdy. Słyszałem ich głosy. Można usłyszeć głos chmury, jeśli się zachowa milczenie w spokojną noc, choć szept ten jest jednym z najcichszych dźwięków, jakie znam. O świcie, gdy wróciliśmy rydwanem na łódź czekającą przy brzegu, zatrzymaliśmy się na chwilę, by popatrzeć na lot jastrzębia. Wiedziałem, że ten ptak Horusa jest najbliższy słońcu, gdyż dostrzega jego wschód wtedy, gdy my wciąż jeszcze oddychamy mrokiem odchodzącym na zachód.

V

Menenhetet doskonale uświadamiał sobie nasze uczucia. Błady uśmiech przemknął mu po wargach, gdy Pta-nem-hotep odwrócił wzrok. Ja natomiast widziałem twarz złodzieja w przeddzień egzekucji, kiedy to odrąbano mu rękę – bowiem Ejasejab popędziła na plac gnana ciekawością. Złodziej uśmiechnął się tym dziwnym, śmiesznym grymasem, który mamy na twarzy, gdy się nas przyłapie na jakimś trywialnym uczynku.

Złodziej przestał się śmiać, gdy ostrze spadło na jego rękę. Przez wiele nocy budziłem się z krzykiem na ustach na wspomnienie przerażenia w jego oczach. Złodziej wyglądał jak ktoś, kto umiera.

Teraz zobaczyłem ten sam wyraz twarzy u pradziadka i przekonałem się, że wciąż jeszcze żyje w kurzu jaskini przyszłego grobowca Usermare. Ale wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie osiołka mozolnie dźwigającego worki ziarna od rana do wieczora przez całe życie.

– Wiedziałem – rzekł – że nigdy nie zapomnę. I nie zapomniałem. Ale do dziś nigdy o tym nie mówiłem. Teraz będę mówił. Bowiem przez parę następnych dni paliłem się ze wstydu. Ale część tego wstydu polegała na radości, z jaką to wspominałem. Moje wnętrzności czuły się jakby pozłoczone. W mojej klatce piersiowej mieszkała świetlistość boga. Bóg we mnie wszedł. Byłem inny niż pozostali ludzie, choć czułem się jak kobieta.

To prawda. W miarę jak mówił, moi rodzice poczuli się różnie i Ramzes IX też nabrał otuchy. Czuli się wciąż niepewnie i widziałem, że się wstydzą, podobnie jak ja, kiedy byłem jeszcze zbyt mały, żeby się opanować w łóżku i zabrudziłem prześcieradła. Czułem jednak, że nabrali dla Menenheteta szacunku o nowym zabarwieniu, zmieszanego z delikatnym lękiem. Nie był już przed nami sam. Była w nim czyjaś obecność.

– Pamiętam – rzekł – że nie spałem dwa dni i byłem przekonany, że księżyc zamieszkał w moim sercu. Nic nie widziałem, ale miałem w środku bładą poświatę. Przysiągłem sobie, że nigdy nie pozwolę Usermare-Setpenere, by wszedł we mnie powtórnie, czyli przyznałem się właściwie, że obawiam się spotkania z nim. Ja, który nie bałem się dotąd żadnego człowieka! Gdyby jednak spróbował po raz wtóry, musiałbym się opierać, a to oznaczałoby śmierć. Zastanawiałem się więc, jak uniknąć spotkania z Jego Wysokością, i głowiłem się dopóty, dopóki nie zorientowałem się, że on z kolei starał się unikać mnie. Ledwo wróciliśmy tego ranka do Teb, a mój król już rzucił się w wir przygotowań wojska do przemarszu przez Syrię przeciw Hetytom. Wysłano gońców, by sprowadzili oddziały z Syjenu, innych, by ściągali żołnierzy z północy, z Memfis i z Buziris w delcie Nilu, z Buto i z Tanis, a jeszcze innych, by powiadomić garnizony, ilu żołnierzy zostanie powołanych. Przez cały czas też byliśmy zajęci w Tebach, gotując się do drogi.

Potem ruszyliśmy łodziami. Wyruszyło nas z Teb ze trzy tysiące trzydziestoma łodziami z tysiącem koni. Pięć dni trwała nasza podróż w dół rzeki do Memfis. Siedzieliśmy tak ściśnięci na pokładach, że kiedy zaczęły się bójki, gdy ktoś wytarł nos w plecy żołnierza siedzącego przed nim, nie było można zareagować inaczej jak gryząc drugiego w nos, co też dwa razy uczyniłem. Ugryzieni nosili ślady na twarzy aż do śmierci. Myślę, że nie trzeba dodawać, że nie działało się to bynajmniej na pokładzie statku Sokoła. Przez większość podróży królewska barka była tak daleko na przodzie, że zniknęło nam nawet z oczu złote odbicie masztu, choć dochodziły nas odgłosy

śmiechu. Nie widziałem więc króla przez piętnaście dni, dopóki nie przybyliśmy do Gazy, gdzie zebrała się cała armia. Ale i tu nie znajdowałem się w jego pobliżu, gdyż rozbiliśmy obóz na olbrzymiej równinie pełnej kurzu unoszącego się nad ćwiczącymi oddziałami i podnoszonego przez nasze rydwany. Mimo to było znośniej niż na łodzi. Na łodzi siedziało nas po dwustu, a za jedyne oparcie mieliśmy kolana żołnierzy z rzędu siedzącego za nami. Nie było nawet jak litować się nad własnym losem, gdyż po obu stronach naszego złożonego z sześciu żołnierzy rzędu siedział biedny wiosłarz, pracując wiosłami co tchu i wypluwając z siebie resztki życia. Powiadają, że z prądem wiosłować łatwiej i jest to prawdą, ale nie ma to takiego znaczenia, gdy się wiosłuje w równym tempie i kiedy się płynie szybciej. Wciśnięci w otwartą ładownię z czerwonym żaglem głównym nad nami w charakterze osłony nie widzieliśmy nawet nieba – może i lepiej przy tym upale. Słyszeliśmy tylko ciężkie sapanie tych biedaków wypluwających płuca i skrzyp wiosła, a ja nigdy nie widziałem przed sobą więcej niż nagie plecy spływających potem wiosłarzy po obu stronach. Ich wysokie ławki zasłaniały nam horyzont. Nie czułem też tysięcznych członków rzeki przepływającej pod nami, nie słyszałem szumu wody, nic, w ładowni tej łodzi wraz z dwustu pozostałymi żołnierzami słyszeliśmy tylko sapanie i jedliśmy ziarno popijane wodą, aż zaczęliśmy pierdzieć jak bydło. Ponieważ smród fermentował w powietrzu, można się było upić samym oddychaniem. Była tam małpka należąca do kapitana i ona chyba się faktycznie upiła, a może podniecało ją, że tylu z nas chciało się z nią bawić, gdyż była dla nas jedyną rozrywką. Małpka rozśmieszała nas tak, że żyły nabrzmiwały nam na czole, bo kiedy kapitan stawał na mostku przy dziobie, ściskając tłuste pośladki, osłaniając ręką oczy przed słońcem odbijającym się od lustra wody, ona czyniła to samo, a my pokładaliśmy się ze śmiechu. Ale śmiejąc się siedziałem zarazem na obolałym siedzeniu i nie wiedziałem, czy wstydić się tej rany, czy się nią pysznić i czuć się jak najniższy sługa boży. Jak ta małpka pośród nas.

W samej Gazie nawet nie zobaczyliśmy miasta. Powiadano, że to teraz miasto egipskie, ale my rozbiliśmy obóz na pustyni i piliśmy kozie mleko, które wcale nie zmniejszało ilości gazów w naszych brzuchach. Podróżować to puszczać wiatry, jak głosi nasze stare przysłowie, toteż w namiotach bez przerwy mówiliśmy o świeżym jedzeniu. Kiedy nogi doszły do siebie (a przez dwa dni nie mogłem chodzić – tak zeszywniałem po dwóch tygodniach na rzece) wszyscy woźnice rydwanów rzucili się na poszukiwanie pożywienia i nawet udało nam się znaleźć i zjeść jakieś gęsi. Upiekliśmy je opodal uschniętego gaju – drewno na ognisko było srebrzyste i syczało od gorąca i od tłuszczu, który na nie skapywał. W drewnie tym czuło się szczęście, jak gdyby tak bardzo wysuszone, nareszcie mogło zaspokoić swe pragnienie.

Potem król zwołał wielką radę nas wszystkich w swoim skórzanym namiocie, który był wielki jak dwadzieścia namiotów i ponad setka żołnierzy zasiadła wielkim kołem wokół niego. Nigdy jeszcze nasz Ramzes II nie wyglądał wspanialej, a od czasu, kiedy się rozstaliśmy, najwyraźniej zyskał nowego przyjaciela. Przy jego prawym boku na krótkim rzemieniu siedział lew.

Lew ów, Hera-Re, był godną podziwu bestią. Nie wiem, jak udało się go oswoić – został przysłany jako danina z Nubii – ale faraon dostał go na tydzień przed wyprawą i powiadano, że ani król, ani lew nie mogli obecnie znieść myśli o rozłące. Po raz pierwszy w życiu poczułem ukłucie zazdrości. Nie wiedziałem już, czy zostałem potraktowany jak szeregowy woźnica rydwanu tylko dlatego, że Usermare-Setpenere stracił do mnie szacunek, czy też może dlatego, że lew go bardziej pociągał. Zastanawiałem się nawet, czy król odważał się traktować pośladki lwa jak moje. Jeżeli się zna Ramzesa II, myśl ta nie wydaje się wcale taka absurdalna. Pozostawiony samemu sobie możesz się czuć twardy jak skała, ale kiedy on spojrzy ci w oczy albo pochwyli, jak jego ojciec, za włosy, twoja wola rozplywa się w tysiącu strumyczków. Na pewno między nim a tym Hera-Re istniało

pełne zrozumienie. Istotnie, imię zostało właściwie dobrane, gdyż lew ten miał głowę boską raczej niż ludzką i na wszystko spoglądał z niezmaconym spokojem i bystrością, a zarazem przyjaźnie. Podobnie zachowuje się dwuletni wielmoża, do którego wszyscy cisną się, przynosząc jakąś zabawkę. Dziecko jest naturalnie zepsute i wpada we wściekłość, kiedy tylko coś nie po jego myśli wpadnie mu do ucha – i tak też zachowywał się lew. Podobnie zresztą postępował Usermare-Setpenere. Obaj spoglądali na siebie z tym samym przyjaznym zainteresowaniem.

Tak, to prawda. Byłem zazdrosny o Hera-Re i po moich wargach błędził blady uśmiezek, gdy przyglądałem się lwu to zasłuchanemu w nasze opowieści, to obracającemu się ku swemu przyjacielowi i monarsze. Kiedy dwóch oficerów odezwało się naraz, starając się zwrócić na siebie uwagę monarchy, Hera-Re zerwał się na równe nogi, czujnie wysuwając wielki płaski nos to ku jednemu, to ku drugiemu z nich, jak gdyby na zawsze chciał zapamiętać zapach tych krzykaczy. Niewątpliwie planował sobie, że odgryzie im łby. Po chwili stwierdziłem, że poprzysiągłem sobie w razie niebezpieczeństwa odgryźć mu nos, nim się do mnie zbliży. Jakże nienawidziłem tego lwa.

Nigdy przedtem nie brałem udziału w naradzie wojennej, toteż trudno mi powiedzieć, czy zawsze przebiegała równie spokojnie jak tamtego dnia, choć obecność Hera-Re sprawiała, że uczestnicy zachowywali się nader powściągliwie. Nawet lekki dygot tylnej łapy sugerował zniecierpliwienie, a gdy raz ziewnął wobec długiej opowieści zwiadowcy (nie udało mu się natknąć na przeciwnika w trakcie wypraw), wszyscy zrozumieli, że zwiadowca powinien już skończyć.

Kiedy wszyscy wypowiedzieli się po kolei, zorientowałem się, że wielu spośród nich to gubernatorzy albo generałowie władający wieloma miejscowościami i ziemiami, z których państwo pobierało daninę. Mój monarcha wezwał ich do Gazy, by mu powiedzieli, co im wiadomo o wojskach Hetytów. Ale oddziały wroga jakby się zapadły pod ziemię. Nikt nic o nich nie wiedział. W Megiddo i Fenicji panował spokój. Nie było żadnych ruchów wojsk wzdłuż rzeki Orontes. Palestyna i Syria spały. W Libanie panował spokój.

Książę Amen-kep-szu-ef zabrał głos, a kiedy przemówił, Hera-Re oparł łapę na kolanie faraona, który z kolei nakrył tę łapę własną ręką.

– Mój ojciec – rzekł Amen-kep-szu-ef dźwięcznym głosem – czy mogę wypowiedzieć moje zdanie?

– Niczyjego zdania nie cenię sobie równie wysoko – odparł jego ojciec.

Książę, który miał trzynaście lat, był już mężczyzną. Wyglądał raczej na brata niż na syna, a ponieważ Nefertari, jak już chyba wspominałem, była siostrą Usermare, ojciec więc też faktycznie był zarazem wujem. Toteż Amen-kep-szu-ef przemawiał do faraona niczym do starszego brata, o którego jest zazdrosny.

– Wysłuchawszy wszystkiego, co tu zostało powiedziane – zauważył – gotów jestem pomyśleć, że król Hetytów jest tchórzem. Nie odważy się wyjść naprzeciw nas z własnym wojskiem, lecz chowa się za murami swego miasta. Nie ujrzymy jego twarzy. Toteż nasze wojsko musi się przygotować do oblężenia. Lata miną, nim padnie ostatni Hetyta.

Przemawiał nie tylko jako mężczyzna, ale i jako doradca. Głos miał głęboki i jeśli się nie patrzyło na jego młodą twarz, można było pomyśleć, że ma tyle samo lat, co jego ojciec. Wszyscy, którzy go wysłuchali, byli pod wrażeniem tego, co powiedział. Niektórzy generałowie śledzili jego słowa z uwagą należną faraonowi, a gdy skończył, pokiwali głowami. Kilku odważyło się nawet prosić Usermare o pozwolenie zabrania głosu, a potem zgodzili się ze zdaniem księcia. Ponieważ pospieszyli się nie czekając, aż faraon powie, co o tym myśli, uznałem, że to głupcy i bardzo bym nie chciał służyć pod ich dowództwem. Potem zdałem sobie sprawę z tego, że należą do tej samej grupy i musieli się między sobą naradzać przed zebraniem, wszyscy, od Amen-kep-szu-efa w białej ozdobnej spódniczce i z wysadzonym klejnotami mieczem, do najprymitywniejszego

provincjonalnego generała z piersią owłosioną jak u niedźwiedzia, z twarzą pokrytą bliznami, jakby ją porały dawne bitwy albo głązy i źleby Miejsca Prawdy. Ale wkrótce przestałem się zastanawiać nad tym, co zyskają swoim wystąpieniem. Sprawa była prosta. Gdyby Usermare-Setpenere zgadzał się ze zdaniem syna, nie poprowadziłby sam wyprawy. Znając jego niecierpliwość wiedziałem, że nie zniósłby wojny, w której zaraza szybciej dziesiątkuje żołnierzy niż przeciwnik. Perspektywa takich zmagania byłaby dlań niezwykle nudna i wkrótce odjechałby, zostawiając Amen-kep-szu-efa, by ten prowadził oblężenie. To byłoby po myśli księcia. Pod nieobecność ojca byłby traktowany jak król.

Było jasne, że mój faraon nie był zadowolony z przebiegu narady. Nie byłem przygotowany na wystąpienie, ale już po chwili Ramzes II, który nie widział mnie przez wiele tygodni na rzece ani w Gazie, pominął swoich pozostałych doradców i traktując mnie, jakbym był weteranem dziesięciu kampanii, zapytał, co o tym sądzę. Muszę przyznać, że niewiele mówiłem przez parę tygodni i język czuł się jak koń, któremu trzeba wybiegu. Prawdę mówiąc, musiałem uważać, żeby nie mówić za szybko. To niegrzecznie zmuszać faraona do wytężonej uwagi, jeśli chce śledzić wasze argumenty. Toteż hamowałem się w wypowiedzi, ale miałem wiele do powiedzenia. (Ostatecznie na łodzi słyszałem wiele plotek).

– Opoko Wieczności w Re – zacząłem – król Hetytów zwołał swoich sojuszników i powiadają, że ma przy sobie Myzjan, Lyzjan i Dardańczyków, jak również żołnierzy z Ilionu, Pedassu, Karkemiszu, Arwadu, Ekeretu i Aleppo.

Są to ludy barbarzyńskie. Mogą być bitni w walce, ale są także niecierpliwi.

Ujrzałem, że król przymyka oczy, jakby przez jego głowę przemknęła myśl nieprzyjemna, zaś Hera-Re ziewnął mi prosto w twarz. Przemawiałem już zbyt długo. Muszę przyznać, że szpara między pośladkami zaczęła mnie swędzieć, zaś lędźwie tego lwa stały się tak niesforne, że dałbym słowo, iż zaczęły nabrzmiwać. Pokazał się czerwony koniuszek i to właśnie w chwili, gdy wypowiedziałem wyraz „niecierpliwy”. Mimo to powaga naszej dyskusji zmusiła Ramzesa II, by oddzielił swą powagę od rozdrażnienia. Pacnął lwa po grzbiecie, jakby mówiąc: „Nie strasz tego żołnierza, dopóki nie skończy mówić” i skinął głową. Przebaczał mi przypomnienie, że pod względem niecierpliwości nie różnił się nazbyt od barbarzyńców. Toteż ciągnąłem: – Żołnierze wroga pragną upiec nasze ciała nad obozowym ogniskiem. Są żądni łupu. Jeżeli nie dostaną go szybko, będą szemrali i wracali do swoich krajów ojczystych. Gdybym był królem Hetytów, nie chciałbym dopuścić, by takie oddziały były długo oblegane. Chciałbym je poprowadzić do bitwy.

– No to gdzie one są? – spytał mój król.

Ukloniłem się i uderzyłem czołem o ziemię siedem razy, gdyż nie chciałem obrazić Ramzesa II po raz wtóry, nazbyt prędko ujawniając odpowiedź. Toteż zacząłem od wymieniania wielu imion jakie mu przysługiwały, aż język Hera-Re z przyjemnością oblizwał wargi, po czym powiedziałem:

– Król Hetytów zna każde wzgórze i każdą dolinę w Libanie. Obawiam się, o Wielki i Dobry Boże, że Hetyci będą próbowali zaatakować nas od flanki w czasie marszu.

Wiedziałem, że księżę Amen-kep-szu-ef był wściekły. Zrobiłem sobie z niego wroga. Ale wiedziałem także, że nasz król jest osiłą wszystkiego, jak koło u rydwanu. My, którzyśmy mu doradzali, byliśmy jak szprychy. Nigdy nie mogliśmy zostać przyjaciółmi.

– Wieśniak, który tak dobrze zna się na koniach, że aż został twoim Pierwszym Woźnicą Rydwanu – rzekł Amen-kep-szu-ef – mówi o niecierpliwych barbarzyńcach, jakby dzielił się z nami prawdą, na której możemy polegać. Ale gdzie jest król Hetytów? Nie widzimy przed sobą żadnego przeciwnika. Nikt z naszych szpiegów o niczym nam nie donosi. Mówię wam, ukrywają się w fortach i tam też zostaną. Barbarzyńcom nie jest dana ta królewska siła, którą traktuje się czasem jak niecierpliwość. Są głupi jak bydło i mogą czekać w nieskończoność.

Książę spojrział na mnie z całą siłą najstarszego syna Usermare-Setpenere. Przypominał matkę i miał ciemne włosy, ale biła zeń pewność siebie charakterystyczna dla jego ojca. Każda myśl, która mu przychodziła do głowy, była darem boskim, a przeto musiała być prawdziwa – oto co biło z jego spojrzenia.

Ale naraził się tym samym ojcu. Jeżeli bowiem bogowie przemawiają prędzej do Amen-kep-szu-efa, a nie do faraona, to ten ostatni ma prawo wpaść w gniew.

– Mówisz – rzekł Usermare-Setpenere – głosem godnym przyszłego monarchy. Ale jesteś jeszcze nieopierzony. Musisz przebić skorupkę jaja, nim się nauczysz latać. Kiedy będziesz starszy, dowiesz się więcej o bitwach Totmesa III. Poznasz losy kampanii bitewnych Horemheba. Zdasz sobie wówczas sprawę z tego, że niemądrze jest wypowiadać się z pewnością siebie o bitwie, jaka się jeszcze nie rozegrała.

Z wszystkich ust dobył się odgłos stęknienia wyrażającego zadowolenie, iż nareszcie wypowiedziano głęboką prawdę.

– Słuchajmy faraona, słusznie prawi – powiedzieliśmy wszyscy i Hera-Re po raz pierwszy od rozpoczęcia narad zarzycał.

Zobaczyłem rumieniec na twarzy księcia, ale ukłonił się.

– Niechaj bogowie mają cię w opiece, o Władco Obojga Królestw, jakie są twoje życzenia?

Usermare powiedział, że postanowił zwinąć obóz i pomaszerować z Gazy do Megiddo. Stamtąd przejdziemy doliną do Kadeszu, ale na żadnej z dróg nie będziemy się posuwać szybciej niż oddziały idące po obu bokach i osłaniające nasze flanki. Innymi drogami wyśle też zwiadowców w kierunku miasta Kadesz. Jeden szwadron rydwanów przekroczy Jordan. Inny obierze kierunek na Damaszek. Ja – podniosłem wzrok, gdy wymienił moje imię – miałem ruszyć drogą do Tyru. Mogłem sobie wziąć mały oddział. Ale kiedy zajrzałem w jego błękitne oczy, stwierdziłem, że nie zaznam poczucia siły w lędźwiach, tylko słabość, dopóki nie będzie mi dane samotnie przemyśleć wszystkich moich myśli aż do dna. Zastanawiałem się wręcz, czy będę w stanie dowodzić ludźmi, skoro pogarda faraona wciąż jeszcze pali moje pośladki. Toteż ukłoniłem się i spytałem, czy wolno mi wyruszyć samotnie. Będę szybciej, powiedziałem, a poza tym potrzebni mu będą żołnierze.

Wielu kapitanów i generałów podniosło szum wokół mnie. Samotny żołnierz na nieznannej drodze musi stawić czoło dzikim zwierzętom bez pomocy przyjaciela. Może natknąć się na nowych bogów. Mój faraon kiwnął jednak głową, jakby się ze mną zgadzał. Ciekaw byłem, czy znów będę się cieszył jego szacunkiem.

VI

W czasie tej wyprawy przekonałem się, co to naprawdę znaczy być samotnym. Nigdy przedtem nie byłem tak długo sam. Teraz, kiedy moje czwarte życie dobiega kresu, zostają mi wspomnienia o ludziach, którzy byli mi niegdyś bliscy, a którzy już pomarli. Ale za pierwszego życia zawsze przebywałem wśród tłumu ludzi, co pozwala na jeden jedyny sposób myślenia. Inni pytają, a my odpowiadamy. Zazwyczaj bezmyślnie. Przy jakiejś ważniejszej okazji zdarzało mi się, że słyszałem głos wewnętrzny, który do mnie przemawia, i to nawet głośno – tak głośno, iż byłem pewien, że głos ten należy do boga lub jego wysłannika. Ale teraz, w drodze do Tyru, przeżyłem taką godzinę, że nie mogłem już wytrzymać wsłuchiwania się w oba konie, nie wystarczały mi skargi ramy i kół rydwanu i poczułem się przejmująco samotny, tak samotny, że całe pochody myśli przemaszerowały przeze mnie, jakbym już nie był człowiekiem, lecz miastem, przez które przechodzą żołnierze.

Nie od razu się tak poczułem, nie nastąpiło to ani pierwszego dnia, ani drugiego, ani nawet trzeciego. Na samym początku człowiek jest tak przerażony, kiedy zostaje sam, że żadna myśl nie odważa się przemówić – czuje się tak, jakby wędrował pod murami fortecy i czekał, aż cisną weń pierwszym kamieniem. Moje oczy, pamiętam, były jak ptaki i fruwały od widoku do widoku bez chwili wytchnienia. Koniom też nie było wygodnie. Nie wyprawiłem się moim rydwanem bojowym, który był zwrotny i lekki. Ze względu na czekające mnie niewygody wybrałem stary rydwan ćwiczebny, dość podniszczony, ale nareperowany. Wybrałem także dwa silne, ale głupie konie, które były w stanie ciągnąć mnie cały dzień, chociaż z trudnością mogły śledzić moje rozkazy wydawane stu różnymi głosami. Żądałem przede wszystkim koni wytrzymałych, a te nigdy nie ustawały. Z pewnością byłem w stanie je ułożyć i ostatecznie dokonałem tego.

Jednego zwano Mu, co oznaczało w archaicznym języku wodę. Byłoby to dziwne imię jak na konia, ale ten Mu oddawał mocz przy każdym postoju. Drugi nazywał się Ta. Żył blisko gleby i wiecznie ją użyźniał.

Wyruszyłem przez długą płaską dolinę wiodącą z Gazy do Joppy, krajobraz zaś nie różnił się od widoku moich stron ojczystych. Gleba była czarna jak nasza po opadnięciu Nilu, podobne były upały i wioski oraz lepianki. Tyle że od rana do popołudnia pierwszego dnia podróży nie widziałem ani jednej ludzkiej twarzy po drodze. Naturalnie, któż mógłby być na miejscu, by się do mnie zbliżyć? Jechałem obwiązany lejcami, z włócznią w jednej pochwie, łukiem i strzałami w drugiej, tarczę zaczepiłem o dziób mojego rydwanu, a krótki miecz wsadziłem do pochwy przy pasie. Na twarzy miałem marsową minę, na głowie hełm, moją pierś i plecy pokrywał gruby kaftan. Trzeba przypomnieć, że w owych czasach nie potrafiliśmy jeszcze wyrabiać zbroi z metalu. Mój kaftan wykonano z grubych, zszywanych nićmi kawałków materiału, pokrytych płatami skóry. Był tak ciężki, że trzeba było słono płacić za tę zbroję, tracąc siły w słonecznej spiekocie. A jednak nosiłem ją niczym warowny mur wokół mego serca. Może i wyglądałem groźnie, ale język wysechł mi na kołek i przypominał kawał starego mięsa zmoczonego w soli i węglanie sodowym, toteż ledwo łapałem oddech. Przejeżdżałem przez opustoszałe wioski, a cisza tych miejscowości huczała mi w uszach. Ponieważ wszystko już splądrowaliśmy, nie było tu nic. Nie było żywności, stad, nie było ludzi. W pustych chatach zostały tylko duchy tych siedzib. Jechałem dalej, rozglądając się po

wzgórzach po obu stronach doliny, w nocy zaś, gdy rozbiłem obóz, dojrzałem ogniska w ufortyfikowanych miastach na przełęczach gór, domyślając się, iż tam właśnie zbiegli wieśniacy trzymający teraz straż na murach. W dolinie u podnóża tych wzgórz zatrzymałem się tuż przy drodze i próbowałem zasnąć, podczas gdy serce waliło mi jak młot przez całą noc. Rano ruszyłem w tej samej niezmaconej ciszy. Nawet błękit nieba przypominał mur nade mną, toteż czułem się przeraźliwie samotny.

A przecież był to znany mi teren i czułem się lepiej niż później i dalej. Czarna gleba ustąpiła miejsca ziemi czerwono-brązowej, pełnej piasku i gliny, co też nie było dla mnie zaskoczeniem, z tym że nader szybko na niskich wzgórzach zaczęły się pokazywać drzewa i wkrótce zaroilo się od nich dookoła mnie. Nie przypominały naszych wysokich palm. Były to krótkie drzewa o krępych, grubych pniach i wykręconych gałęziach. Wyglądały bardzo nieszczęśliwie, jak gdyby przez całe życie codziennie torturował je wiatr. Nie czułem się pewnie w tych lasach, konie też się bały. Potem dotarliśmy do miejsca naprawdę niedobrego. Zaczęło się poszycie i poza drogą nic nie było już widać. Gąszcz był większy niż wśród wszystkich egipskich roślin rosnących opodal drzew na mokradłach razem wziętych. Od czasu do czasu mijałem niewielkie strumyczki, ledwo je zauważając, gdyż droga stawiała się bagnista, a woda szemrała w przydrożnych rowach. Równie często szedłem obok rydwanu, jak nim jechałem, gdyż trzeba było przepychać koła przez rozmiękłą glinę, aż wreszcie w jednym z bagnistych zakoli tego poszycia dojrzałem, jak krokodyl wysuwa się z wody. Na jego widok znów wskoczyłem na rydwan. Na mokradłach opadły mnie owady.

Wiedziałem, że znajduję się w osobliwym miejscu, a w dodatku jest wojna. W tych niskich drzewkach kryły się wyjątkowo nieprzyjazne duchy i z obawą myślałem o zwierzętach, na jakie mogłem się natknąć, o niedźwiedziach i dzikach. Przypomniałem sobie opowieści o odrażającym gatunku hieny, wywodzącym się właśnie z tych stron. W lesie tym czułem się tak, jakbym wędrował przez żołądek jakiejś bestii. Spociałem się ze strachu i upału i uświadomiłem sobie, jak bardzo mi brakuje Re. Zastanawiałem się, jacy to egzotyczni bogowie mogą zamieszkiwać te mroczne bagniste krainy. Za każdym razem, gdy jakaś gałązka uderzała mnie w twarz, konie rzucały się nerwowo. Moje odruchy strachu przeszywały je na wylot jak strzały. I tak jechaliśmy, podskakując na wykrotach i przedzierając się przez rozmokłe gliniane podłoże. Musiałem często schodzić z rydwanu, kusząc tym krokodyle.

Potem ta wąska dróżka wspięła się powyżej bagien i poszycie znikło, a drzewa zrobiły się wyższe. Łatwiej było jechać, z tym że drogę od czasu do czasu przegradzały olbrzymie korzenie, na których mógł wywrócić się rydwan, jeżeli puszczałem konie truchtem. Drzewa stały się przerażająco wysokie i nie widziałem już słońca nad sobą, a tylko je czułem. Te cienie rozkładające się nade mną niczym altany zbudowane z tysięcy liści uciskały mi głowę, a potem minąłem straszne miejsce, w którym padło wielkie drzewo. Widziałem korzenie, prawie równie długie jak gałęzie i konary, wyrwa zaś pozostawiona w ziemi była wielka jak jaskinia i brzydka jak pyszczek węża. Byłem pewien, że wejście do Krainy Umarłych musi wyglądać tak jak ta wyrwa. Nawet robactwo pełzające po ziemi wydawało mi się odrażające i zacząłem odczuwać dreszcze strachu na myśl o bitwie, jaka nas czekała. Nagie korzenie tego drzewa uzmysłowiły mi, jak może wyglądać moje ramię, jeżeli odrąbią je toporem.

Bardzo się bałem tej broni. Nadzorca cieśli w naszym oddziale był cudotwórcą, potrafił wyczyniać cuda z drewnem i teraz właśnie przypomniałem sobie, że mi mówił, iż czarni ludzie w dżungli nigdy nie ścinają drzewa, o ile najpierw nie złożą ofiary z kurczęcia i nie skropią korzeni drzewa jego krwią. A potem, po pierwszym uderzeniu topora trzeba było przyłożyć usta do nacięcia i wysać żywicę i sok, aż się zbratało z drzewem. Wiedziałem, że nigdy się nie ośmielę dotknąć

językiem soku tych dziwnych drzew. Były zbyt potężne. Moje konie drżały, gdy się zatrzymywałem, a Mu albo już nie mógł szczać, albo nie śmiał.

Zacząłem jednak rozmyślać o tej gęsi, którą upiekliśmy na suchych srebrzystych gałązkach na pustyni. Re trzymał każdą z gałązek w ręku i tchnął w nią gorąco. Gdybym umarł na piasku, wysechłbym na kość, ale nie paliłbym się długo. A przecież każde z tych drzew mogło zapłonąć ogniem wysokim jak ono samo. Miałem wówczas przecucie siły ognia, jaka drzemała w tych lasach, i znów poczułem się jak miasto, przez które maszerują żołnierze.

Do wieczora całkowicie wydostałem się z mokradeł i przebywszy pierwszą przełęcz ujrzałem widok, którego dotąd nie znałem. Przedemną rozpościerały się góry pokryte lasami. Te ziemie, do których zmierzałem, muszą być równie niepodobne do moich stron rodzinnych, jak gęsta broda Syryjczyka różni się od wygolonych policzków Egipcjan. Z mojej piersi pod wpływem tych porównań wyrwało się głębokie westchnienie. Wprost nie mogłem uwierzyć w to, jak bardzo jestem samotny. Przez całe dwa dni nie minąłem żadnej karawany ani też nie zostałem przez nikogo wyminięty. Najwyraźniej kupcy bali się wypuszczać w drogę. Poza tym wszystkie wioski, które przemierzałem, były opustoszałe. Jakże musiano się bać naszej armii!

Następnego dnia wiele się nauczyłem, gdyż dotarłem do miejsca w górach, skąd można było skręcić na Megiddo, dzięki czemu przypominałem sobie, co mój faraon opowiadał mi o Totmesie III. Bo właśnie ten monarcha dotarł z wojskiem do owego rozwidlenia dróg i przekonał się, że można tam dojść dłuższą drogą na północ przez Zefiti albo krótszą, odsłoniętą drogą południową wiodącą przez Taanasz. Istniała też przełęcz Megiddo i droga wiodąca na skrót, ale przechodziła ona następnie przez łańcuch gór Karmel i doprowadzała do samych wrót miasta. Niebezpieczny to szlak i bardzo wąski. „Koń będzie musiał iść za koniem – mówili jego oficerowie – i człowiek za człowiekiem. Nasze pierwsze szeregi będą musiały walczyć z nieprzyjacielem atakującym z obu stron drogi, a nasza straż tylna wciąż jeszcze będzie musiała tu czekać”. Rozmyślając tak długo nad naturą tych dziwnych drzew i lasów, musiałem wślizgnąć się w głosy tych dawno już nieżyjących oficerów Totmesa III, gdyż doszedłem do wniosku, że obiorę tę samą drogę co i on. „Powiodę moje wojsko i sam dam mu przykład – rzekł Totmes. – Niechaj kroczy po moich śladach!” Toteż przeprowadził większą część swojej armii przez przełęcz, nim królowie Kadeszu i Megiddo przygotowali się do starcia, gdyż sądzili, że obierze znacznie dłuższą, południową drogę przez Taanasz.

Teraz musiałem te przełęczce przebyć samodzielnie. Gdybym nie wiedział, że raz przechodziła tędy cała armia, może bym zrezygnował. Wzgórza były strome, a drzewa rosły wysoko jak kolumny świątyni w Karnaku. Było w tym lesie chłodno i dziwnie. Droga wspiniała się w górę i po jednej stronie sunęła wzdłuż stromego zbocza, ale po drugiej otoczona była przepaścią, w której widziałem wierzchołki rosnących na dole drzew. Nie tego się spodziewałem, toteż oko odpoczywało na tym zielonym widoku niczym na poduszkach. Omdlewałem i gotów byłem rzucić się na te poduszki – tak potężne były duchy tych drzew, wołające mnie do siebie na dół (a przecież nawet nie znałem ich imion). Zaledwie jeden poranek spędziłem w takim lesie, a już czułem się tak, jakbym w nim przeżył przynajmniej tyle samo lat, ile do tej pory przeżyłem w Egipcie. Serce łomotało mi głośno ze strachu i nie ustało ani na chwilę aż do końca przeprawy. Nie było tu miejsca, w którym człowiek mógł się poczuć blisko słońca. Miast bladego złota pustyni panowała zieleń, a nawet niebo, gdy je dostrzegłem, wydawało mi się raczej białe niż błękitne, jak nad Nilem. Pokrętne były duchy tego lasu. Konie popłakiwały po cichu.

Potem dojechaliśmy do miejsca, w którym droga zaczynała schodzić w dół po drugiej stronie wzgórze, znów mając z jednej strony przepaść, a z drugiej stromą ścianę. Nareszcie dojrzałem słońce! Wspiełiśmy się ponad poziom drzew. Szlak zrobił się tak wąski, że nie byłem pewien, czy

rydwan się precyzyjnie. Z jednej strony była lita skała, z drugiej przepaść, a konie bały się ruszyć. Musiałem wyprząc Mu, który stał bliżej przepaści, a potem uwiązałem ogon Ta do jego wędzidła, by Mu mógł iść za nami. Rydwan pchałem sam. W ten sposób ruszyliśmy, krok po kroku, a zewnętrzne koło rydwanu często zwisało nad przepaścią. Wówczas pchałem od tyłu, naciskając silnie na tę stronę rydwanu, która była bliższa skalnej półce. Możecie być pewni, że kłamię, zdjęty strachem, za każdym razem, gdy wstrzymywał nas jakiś głaz na drodze i musiałem przenosić nad nim rydwan. Kiedy przebrnęliśmy przez to wszystko, zrozumiałem, dlaczego Totmes III był wielkim królem.

Było ciężko. Ani przez chwilę, muszę przyznać, nie pomyślałem o innej skale w Miejscu Prawdy, po której wspieliśmy się do przyszłego grobowca Usermare. Odpędzałem od siebie te myśli. Z drugiej strony, jestem przekonany, że strach, który mnie obleciał w czasie tej wyprawy, strach tak przemożny, że zacząłem o sobie myśleć jako o kimś innym, o słabeuszu – na pewno miał swoje źródło w tym tchórzliwym milczeniu, które zachowałem, gdy mnie chwycił za włosy. Mniejsza z tym. Kiedy wreszcie przebrnęliśmy przez ten odcinek i wjechaliśmy na półkę skalną, z której dojrzałem panoramę gór i osiedli, byłem zlany potem. Pod nami droga rozszerzała się, a w oddali na przeciwległej ścianie zboczy górskich, za zielonymi lasami i polami ornymi widniało miasto Megiddo, przebłyskujące spomiędzy wzgórz kolejnego łańcucha gór.

Totmes III zszedł tędy i stoczył bitwę, a jego łupem padły rydwany pełne złota i srebra, wojownicy wroga zaś zostali wypatroszeni jak ryby (tak to określił Ramzes). Ponadto Totmes zabrał tysiące sztuk bydła i dwa tysiące koni. Usłyszawszy o tak wspaniałych łupach przypuszczałem, że miasto będzie się prezentować okazale, połyskując białymi marmurowymi pałacami jak nasze Memfis, albo świątyniami ze złota, a przynajmniej drewnianymi rezydencjami pomalowanymi w najbardziej jaskrawe barwy. Ale gdy następnego dnia zbliżyłem się do miasta, okazało się, że jest biedne i brudne już na pierwszy rzut oka. Może podupało po złupieniu przez Totmesa? Było jednak ufortyfikowane. Megiddo było pierwszym syryjskim fortem, jaki w życiu ujrzałem. Budowano je inaczej, nie stawiając prostych ścian z cegły i nie opierając murów na kwadratowej podstawie. Mury zbudowano z nie ociosanego kamienia, a ich linia unosiła się i opadała wraz z linią terenu, gdyż mury biegły przez pagórki. Co paręset kroków stała wysoka wieża, toteż nie dało się szturmować bram Megiddo, nie narażając się na setki strzał z łuków. Zdradliwe miejsce. Chciałoby się je wziąć głodem. Zacząłem rozumieć stanowisko Amen-kep-szu-efa.

Ale tego akurat dnia bramy były otwarte i na rynku wrzało. Nie wjeżdżałem do miasta. Nie było potrzeby. Król Kadeszu nie ukrywałby wojska w Megiddo, pozwalając zarazem wrogowi zbliżyć się doń niepostrzeżenie i rozejrzeć. Wiedziałem więc, że monarchy i jego ludzi nie ma w mieście. Poza tym Usermare i tak dotrze tu za parę dni, posuwając się łatwiejszą drogą i zada pytania, na które trzeba będzie odpowiedzieć. Jeden zakurzony żołnierz na poobijanym rydwanie i dwa kiepskie konie to żaden argument. Żołnierza łatwiej było poddać torturom niż uwierzywszy w jego misję, wyśpiewać mu wszystko. Toteż objechałem mury miasta, co mi zabrało sporo czasu, gdyż drogi były grząskie, ale miasto rozległe, a potem natknąłem się na drogę po drugiej stronie murów. O drodze tej wspominało już w Gazie. Łatwo ją było rozpoznać. Była brukowana, a po obu jej stronach widniał szpaler dębów. Była to królewska droga wiodąca prosto z Megiddo na północ – a jednak mój pojazd był jedynym w zasięgu wzroku.

Wnet się dowiedziałem – dlaczego. Kamienie, którymi droga była wybrukowana, kończyły się po drugiej stronie pierwszego wzgórza i człowiek wpadał na porytą koleinami drożynę, która musiała służyć z wybojów i nierówności. Szybko skończyły się pola i zaczęły lasy, i wraz z końmi zacząłem się znowu bać. Znajdowaliśmy się na drodze wiodącej prosto do Tyru, ale taka prosta to

ona nie była. Wyginała się jak wąż, a nawet cofała od czasu do czasu, wspinając na coraz wyższe wzgórza. W mroku wczesnego wieczoru przypomniałem sobie raz jeszcze wszystko, co dotąd słyszałem o tej drodze i o grasujących na niej bandytach. Jeszcze przed opuszczeniem Gazy nasłuchiwałem się co niemiara o tym, jak napadano na karawany, kupcy zaś, którzy nie znali rabusiów dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że należy zapłacić okup, sprzedawani byli jako niewolnicy. Taki kupiec zazwyczaj umiał pisać, toteż mógł być pisarzem – a więc cennym niewolnikiem! Potem bandyci zatrzymywali konie i sprzedawali zrabowane towary. Złodziei było tylu, że wszyscy mężczyźni w Megiddo mieli zajęcie. Mogli się najmować jako zbrojna ochrona karawan kupieckich.

Mimo to bardziej bałem się lasu niż złodziei. Trzeba było czterech albo i pięciu takich rabusiów, żeby mnie powalić. Po walce zaś jeden mógł zostać bez stopy, drugi bez ramienia, a trzeci być może zostałby pozbawiony wzroku na zawsze. Umarłbym z palcami w oczodołach przeciwnika. Zyskaliby samo ciało, dwa nie najlepsze konie i rydwan, który trudno byłoby sprzedać. Wóz bowiem ledwo się trzymał kupy. Poza złotem, które mogłem mieć przy sobie (miałem, ale nie wyglądałem na takiego, który je ma), nie było po co mnie zaczepiać. Zapewne potraktowaliby mnie jak zabłąkanego żołnierza albo dezertera, który gotów przystać do bandy złodziei, może zresztą domyśliliby się, że jestem zwiadowcą. A jeśli się tego domyślą, to z pewnością przyjdzie im do głowy zaoferowanie służby żołnierzowi egipskiej armii Ramzesa II. Wśród naszych sojuszników w Gazie znajdowali się Azjaci z pobliskich plemion i z ich słów dowiedziałem się, że nowego faraona powszechnie się bano. Syryjczycy przyzwyczaili się do egipskich garnizonów na ich ziemi, ale w czasie pokoju ledwo paru wysłanników docierało do nich z Teb, by pobrać daninę i porozmawiać z księciem władającym tym terytorium. Nie próbowano zmieniać praw ani burzyć obcych świątyń. My, Egipcjanie, mieliśmy takie powiedzenie: „Amona interesują wasze pieniądze, a nie wasz bóg”. Rozsądny argument. Zazwyczaj nie było większych kłopotów.

Inaczej jednak rzecz się miała, gdy nowy faraon wstępował na tron. Młodzi książęta Azji stali się bardziej zuchwali. Toteż po wszystkich krainach Libanu i Syrii rozeszły się wieści, że Ramzes II przybywa na czele największej armii, jaką kiedykolwiek zgromadzono w Egipcie. Gdyby więc w tych ostępach ukrywali się jacyś złodzieje, a wielu kupców chętnie by mnie wykupiło, byłbym skłonny przyjaźnie odnosić się do Egipcjanina. Nie czułem więc lęku przed złodziejami. Obrąłem najbardziej niebezpieczną drogę do Tyru. Może uda mi się odnaleźć paru rozbójników, którzy mi dostarczą ważnych wiadomości. Bałem się naturalnie samej podróży przez las, ale jeszcze bardziej bałem się spotkania z Usermare-Setpenere z pustymi rękoma.

Toteż parłem naprzód. Szlak zrobił się dostatecznie szeroki, by można było puścić oba konie obok siebie. Ale wieczorem wciąż jeszcze przedzierałem się przez lasy i wzgórza. Rozłożyłem się w małym gaju, podsypałem koniom zboża, sam też go uszczknałem, uważając, by nie złamać zęba na kamyku, a potem zacząłem sobie mościć posłanie, używając mojej opończy woźnicy rydwanu jako materaca. Okazało się, że będzie mi jednak za zimno i zdecydowałem się spać oparty plecami o drzewo. Już lepiej. Pień drzewa dotykał mnie jak przyjaciel. Jakbyśmy obaj siedzieli na warcie, oparci plecami, wbijając wzrok w ciemność. Ku memu zdumieniu działało się znacznie więcej niż podejrzewałem. Nie dalej niż o pięć dalekich rzutów kamieniem dojrzałem iskrę wzlatującą w górę z ogniska. Wkrótce dojrzałem odbłask samego ognia.

Duchy tego lasu milczały. Zachęcały do milczenia. Czułem, jak głęboko w ziemi tkwią te duchy, ale czułem też, jak wracają do drzewa, a lekkie były niczym piórko Maat. Usłyszałem, jak liście z nimi szemrzą przy każdym leciutkim podmuchu wiatru. Toteż byłem wnet w stanie wsłuchać się w ciszę tego lasu, a dzięki szmerowi tej ciszy wykroczyłem poza ściany moich uszu i wkradłem się w poruszenia drobnej zwierzyny. Z tak wspaniałą ostrością zacząłem wszystko

słyszeć, że przyszło mi do głowy, iż wkradłem się w łaski duchów mego drzewa, jako że przestałem się bać i po raz pierwszy od wielu tygodni poczułem krzepę.

Nadal wpatrywałem się w obozowe ognisko. Widziałem tylko nikły odblask, ale sądząc po odgłosach, siedziało przy nim nie więcej niż trzech mężczyzn, może nawet dwóch, i mówili językiem o dziwnym brzmieniu.

Odgłosy rozmowy tych złodziei w dzikim lesie uspokoiły mnie. Spokój taki czujemy, gdy wiemy, że możemy decydować o tym, co uczynić z życiem innego człowieka. Można go zabić, można mu pozwolić odejść. Nie ma równie kojącego spokoju. Mój faraon, jak mi się zdawało, nieustannie żył w takim nastroju.

I ja czułem teraz w sobie jego moc. Moje ramię gotowe było zabić pierwszego złodzieja, nim drugi domyśli się, że jestem w pobliżu.

Wtedy wstałem. Konie spały, a ja wysłałem im myśl szybką jak trzaśnięcie lejcam: „Spijcie w pokoju”. Powiedziałem im: „I nie macie ciszy żadnym otworem waszych ciał”. Naprawdę mi na tym zależało. Potem zdjąłem kaftan, by skóra czuła każdą gałązkę posycia i w ciemności zacząłem się zbliżać do ogniska. Niemal natychmiast straciłem całą moc. Przestałem słyszeć. Powrócił strach. Las przestał być moim przyjacielem i raz jeszcze musiałem usiąść, opierając się plecami o pień drzewa.

Znów usłyszałem głosy mężczyzn. W lędźwie i plecy napłynęła siła. Chciałem ruszyć dalej, ale kiedy tylko wstałem, znowu opadłem z sił. Tylko dotyk drzewa mógł mi je przywrócić. Czyż nie przypominałem ociemniałego kapłana w świątyni w Karnaku, posuwającego się po omacku dzięki wodzeniu ręką po kolejnych kolumnach?

Nie mogąc się ruszyć, doszedłem do wniosku, że trudno będzie mi zbliżyć się do tego obozowego ogniska, jeżeli opadnę z sił.

Przyszła mi jednak do głowy pewna myśl. Skoro byłem na obcej ziemi, to dlaczego bogowie zamieszkujący w tych drzewach okazali mi zaufanie? Dlaczego nie okazali względów złodziejom przy ognisku? Przecież to ich kraj. Może dlatego, że ci dwaj – już rozróżniałem wyraźnie dwa głosy – popili się, toteż ich umysły były jak bagno i rozlewały się na wszystkie strony. Taką moc ma wino. W końcu wino to sok, który wycieka z umierającego winogrona – upić się to tyle, co zrozumieć, jak się zaczyna umierać. Byli więc dalecy od błąkających się w pobliżu bogów. Ja zaś byłem blisko, tak blisko jak daszek z liści nad naszymi głowami. I wówczas zrozumiałem, że bogowie tych drzew obrazili się, widząc wulgarne zachowanie ludzi, ośmielających się upijać pomiędzy nimi. Mogłem więc sobie darować dotykanie pni drzew, jeżeli stać mnie było na to, by przestać myśleć, co mnie czeka, a skupić się na duchach najbliższej gałęzi. I wówczas poczułem, że mam za sobą błogosławieństwo lasu. Czułem wyraźnie zapach szczęścia bijący od zadowolonych drzew i odróżniałem je od tych, które nie były zadowolone – jakaż ogromna różnica! Jedno drzewo skarżyło się na korzenie, które musiały się wic między skałami, inne było młode i prężne, ale rosnęło w cieniu starszego. Jeszcze inne zostało rozłupane przez piorun, a po tym uderzeniu rozrosło się do potężnych rozmiarów. Stało tam niczym okaleczony olbrzym, cisza pełna natchnienia. Skłoniłem głowę, jakbym faktycznie przechodził obok wielkoluda wpatrującego się w niebo. Zrozumiałem, że drzewa użyczą mi siły, o ile im okażę szacunek, toteż zważałem dobrze na każdy krok. Czując zatem błogi spokój, przeszedłem przez to, co drzewa mogły mi zaoferować (myśli drzew były tak czyste, że uderzyły w moje zmysły jak perfumy) i dotarłem wreszcie do skraju małej polanki, gdzie paliło się ognisko. Zobaczyłem dwóch pijanych złodziei. Zmagali się ze sobą w jakimś tańcu, śmiali się, spoceni od żaru ogniska. U obu członki sterczały przez skóry, którymi byli okryci.

Wydali okrzyk przerażenia na widok mego miecza, a potem pobiegli w dwie różne strony, co było najlepszym dla mnie rozwiązaniem. Mogłem zaatakować jednego, ale musiałem wystawić

plecy ku drugiemu. Ale z drugiej strony – mogłem decydować, którego najpierw zaatakuję. Obaj byli wysocy, ale jeden był szczupły i zwinny niczym prężne zwierzę, a drugi krępy i muskularny; miał ciało podobne do mojego. Wiedziony instynktem, mądrością, jeśli tak można powiedzieć, ofiarowaną mi przez drzewa, ukloniłem się obu, uśmiechnąłem i szybkim ruchem ramienia, szybszym niż jakikolwiek z moich ruchów do tego czasu, wbiłem miecz w pierś szczupłego mężczyzny, czując jak jego serce krwawi na me ramię. Zapłonąłem wewnątrz, jak gdyby czując na sobie dotyk Usermare-Setpenere. Nigdy dotąd, nawet z moim królem, nie czułem niczego podobnego, czegoś jakby błyskawicy, olśnienia błyskawicą, które jest błogosławieństwem. Potem twarz szczupłego złodzieja zaczęła się zmieniać. Przepęstwa, których dokonywał na innych ludziach, wypęzły mu na twarz jedno po drugim – kradzież, zdrada i zasadzka były jego ukrytymi twarzami – ale na koniec ujrzałem dobrego człowieka, dość dzielnego, toteż umarł z wyrazem spokoju na twarzy.

Drugi złodziej mógł uciec w czasie, kiedy patrzyłem na me dzieło, ale zamiast tego chwycił kamień i rzucił w moją stronę. Uskoczyłem, a on zdążył podnieść dwa z ziemi. Roześmiałem się, widząc, że będzie miał miejsce pojedynek i zacząłem iść w jego kierunku. Rzucił jeden kamień. Znow się uchyliłem. Potem rzucił drugi, celując w moją pierś, ale ten chwyciłem wolną ręką. Kiedy pochylił się, by podnieść z ziemi następny, uderzyłem go w głowę kamieniem, który trzymałem, a potem mocno w szyję, i w ten sposób skończyłem pojedynek. Kiedy padł na kolana, oszołomiony jak krowa, którą się walnie w głowę, nim rzeźnik zatopi w niej nóż, wyjąłem miecz i zacząłem go okładać płazem, aż poczułem, że jest jak stek, który rozbijamy, całkiem żywy, naturalnie, gdyż jęczał jak ranny zwierzę, ale zarazem miękki. Nie był już władny kierować własnymi mięśniami.

I wówczas dopiero przekonałem się, jaki to dar pozostawił mi Usermare-Setpenere w trzewiach. Bo to był dar. W chwili gdy mnie pochwylił za włosy od strony, od której nikt mnie przedtem nie brał, zaistniało we mnie coś nowego. Nie wiedziałem, jak z tego korzystać, ale w końcu nie miałem też okazji, by się przekonać. Teraz czułem ten dar. Wziąć od tyłu chłopca albo mężczyznę – żaden problem, oczywiście, jeżeli okaże się słaby. W końcu wiele razy to robiłem już od najmłodszych lat – ze słabszymi chłopcami, zwierzętami i dziewczętami, co było pod ręką. Trzeba było znaleźć dziewczynę, której ojciec i bracia bardziej się was bali niż wy ich. Ale tamte przeżycia nie umywały się do tego momentu. Byłem żołnierzem, nie kochankiem, nie, nie tyle nawet żołnierzem, co rzeką. Powódź wzburzyła wody i ja uniosłem się wraz z nimi.

Menenhetet urwał na chwilę i rzekł: – Chciałbym raz jeszcze podkreślić, o Dobry Boże, że opowiadam wszystko z punktu widzenia niedoświadczonego umysłu, który był mi dany za pierwszego życia. W tamtych czasach nie przejmowałem się tym, co takiego dzieje się z ciałem, w które wchodzi. Robiłem to, by odnaleźć pokój płynący od bogów. Zwierzę też tak potrafi. Można powiedzieć, że znajdowałem takie samo światło w ciele zwierzęcia. Toteż w przypadku tego złodzieja też nie było niczego niezwykłego, z tym że miał plecy i żebra zupełnie tak jak ja, aczkolwiek posiniaczyłem mu je dokładnie, okładając go mieczem. Mimo to nigdy jeszcze nie sprawiła mi ta pederastia takiej uciechy. Ręką sięgnąłem do gęstych włosów na szyi, członek zaś stwardniał mi do królewskich rozmiarów. Dzięki darowi Ramzesa II stałem się wielki. Żadne drzwi nie mogły się oprzeć memu taranowi. Złodziej darł się jak zarzynana Świnia. Pierwszy cios noża omsknał się i biedne zwierzę kwiczy, biegnąc po podwórzu z flakami na wierzchu, podczas gdy rzeźnik przeklina. Takie właśnie odgłosy zarzynanej świni wydawał pode mną ów nieszczęśnik. Odczuwałem nawet, jak opuszczają go resztki sił – te resztki, które u każdego człowieka strzegą jego tajemnego imienia, że się tak wyrażę – gdyż przeszył mnie dreszcz aż do szpiku kości, jak gdyby moje lędźwie piły zeń. Och, jakże umiłowałem sobie jego dupę, bo należała do mnie. Ledwo łapałem oddech, tak bardzo gęste uczucia mnie zamroczyły. Używałem sobie już przedtem, ale jak

już wspominałem, tylko po to, by zaznać spokoju. Tym razem gotów byłem wykraść siedem dusz i duchów temu nieszczęśliwemu, a kiedy wytrysnąłem, w wytrysku było całe nasienie Ramzesa Wielkiego, cały list wypisany przezeń w moich wnętrznościach. Podobnie jak sam środek mojej istoty został mi wykradzony przez faraona, tak i ja ukradłem innemu mężczyźnie środek jego istoty, wiedząc, że ten łańcuch się nigdy nie skończy. Miałem apetyt mocny jak barwa mej krwi i wiedziałem, że będę próbował wykraść siedem dusz wszystkim, których napotkam. I faktycznie, gdy skończyłem, pocałowałem biedaka w usta i otarłem chuja o jego pośladki, jakby dziękując uprzejmie za przyjemność, jaką mi dał, a następnie wcisnąłem mu członka w usta, aby stwardniał.

Ale nie potrzebujecie już takich opisów. Spędziłem tę noc z nim, jakbym władał królewskim członkiem Ramzesa Wielkiego – o boska Maat, spraw, bym opowiedział wszystko dokładnie, zgodnie z twoją wagą – poznawszy przy okazji siłę, dzielność i tanie zdradzieckie gówno tego rzezimieszka, którego nawet nie spytałem, jak się nazywa. Nie mówiłem jego językiem, a on znał pewnie z pięćdziesiąt słów egipskich. Jednakże nim skończyłem, poznałem dogłębnie cały jego charakter, co mogło mi się jeszcze przydać, a do tego parę jego przywar. To ostatnie zauważyłem, gdy swędziały mnie ręce na widok własności innych ludzi. O tak, wziąłem go tak dokładnie, że przez następne dziesięć lat mieszkał we mnie także złodziej, a mimo to, gdy go opuszczał szlochającego na piasku, po raz dziesiąty dziękującego mi za to, że zachował życie, wiedziałem, że oplakuje także wszystkie te cechy swego charakteru, których już nigdy nie będzie posiadał. Dowiedziałem się też pewnej ciekawostki na temat króla Kadeszu – miał on mianowicie kobietę na ulicy jubilerów w mieście Tyr, w nowym Tyrze, nie w starym, i była ona jego potajmnaną kurwą. O wojskach króla Kadeszu złodziej ów nie wiedział nic, tyle że w ogóle istniały.

Mówię o tym, o czym wiedział, jak gdybyśmy obaj władali tym samym językiem i spotkali się w knajpie na piwie, ale wydobycie zeń tych nowin zajęło mi dobre pół nocy, a ponadto musiałem go porządnie wytargać za włosy. Zdarłem mu z pół skalpu, nim wreszcie opadło moje pożądanie, a wtedy wydukał, co wiedział, swymi paroma egipskimi słowami. Może odpowiedziałby wcześniej, ale nie pozwalała mu na to słaba znajomość języka egipskiego. Ci Syryjczycy mają wąskie uszy, toteż wszystko się przeciągało. Najpierw zadawałem mu pytanie, ale potem syciłem się władzą, jaką moje ciało ma nad jego ciałem, tak siarczyście, że nawet jeśli miał na to ochotę, i tak nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Czułem się, jakby mi w kroku wyrosło drzewo, zapłonęło, a potem ktoś zaczął walić tą zapaloną pochodnią jak taranem w kiszki i ciemne zakamarki trzewi, tam, gdzie przebywa tajemne imię.

Pradziadek przerwał, by złapać oddech, a ja poczułem, jak podnosi się mój Słodki Paluszek.

– Wiedziałaś zawsze – odezwała się matka – że mężczyźni znajdują wyraźną przyjemność w obcowaniu ze sobą. Ale nigdy nie wiedziałam, jaką cenę się za to płaci.

– Nie zawsze tak bywa – rzekł Menenhetet. – W gruncie rzeczy ta noc była niezwykła.

Pta-nem-hotep rzekł: – Może naszemu kochanemu Menenhetetowi wspomnienia te sprawiają przyjemność?

– Trzeba czerpać zadowolenie ze wspomnień – odrzekł Menenhetet. – Rankiem pocałowałem tego biednego złodzieja po raz drugi i odesłałem kulejącego do Megiddo, skierowawszy konie ku Tyrowi. Przez najgorsze góry już przebrnąłem, toteż drogą w dół jechałem szybko – zbyt szybko. Wyjeżdżając z jednego z parowów zbyt nerwowo wziąłem zakręt, wpadliśmy na głaz i wyleciałem z rydwanu. Wyleciałem z drogi, ale wylądowałem na równe nogi i nic mi się nie stało poza tym, że trochę sobie nadwreżyłem piętę. Konie rżały w uprzęży, a dyszel, który łączy ich uprzęż z rydwanem, pękł na dwoje. Miałem w podręcznej torbie dwa kołki z twardego drewna i rzemienie, ale naprawa dyszla zajęła pół dnia. Przyznaję, że żaden ze mnie cieśla.

Zanim zdążyłem ponownie zaprząć Mu i Ta, słońce stało wysoko. A czekała mnie jeszcze długa droga! Nie była bynajmniej gładza i rydwan straszliwie skrzypiał. Nie byłem pewien, czy dociągnę aż do Tyru i nie bardzo wiedziałem, dlaczego chcę się tam znaleźć. Doszedłem do wniosku, że szybciej dotarłbym jadąc konno, załadowawszy uzbrojenie na drugiego wierzchowca, ale z drugiej strony – żaden woźnica rydwanu nie porzuca łatwo własnego pojazdu. Mój nie był specjalnie cenny – ot, po prostu drewniany wózek. Ale przypominał z wyglądu rydwan, co mile łechtało moją próżność. Na drewnie ledwo było widać resztki farby i wyglądało na to, że lada chwila pojazd może się rozpaść, zwłaszcza że dyszel był powiązany prowizorycznie i naprawiony. Ale czułem do dyszla sympatię, zwłaszcza że i mój był obolały u podstawy.

– Lepiej żebyś ty pękł niż ja, stary – powiedziałem do rydwanu i ruszyliśmy dalej.

Droga wiodła w dół, wznosiła się w górę, skręcała, ale las zaczął rzednąć i ukazały się pola, spoza pagórka zaś między parowami przebłyskiwało morze. Zacząłem wdychać powietrze, jakiego dotąd nie zaznałem nawet w Delcie, powietrze, które niosło ze sobą, jak mi się zdawało, samą esencję Wiecznej Zieleni wód – zapachu ryb, ale ryb świeżo łechtających nos, nie zaś ryb rozkładających się w błocie w rozlewiskach Nilu. O nie, ten wspaniały zapach, który dolatywał mnie spoza wzgórz od strony Wiecznej Zieleni zdumiał mnie, gdyż był czysty. Czułem się tak, jakbym wdychał woń samej Nut w momencie, gdy dźwiga ona niebo – tak był ulotny, tak odmienny od zapachu mięsa przebijającego przez pot mężczyzn i kobiet. Rozpłakałem się, bo nigdy nie zaznałem kobiety o takim zapachu. Nie chcę przez to powiedzieć, że płakałem jak dziecko albo w chwili słabości, gdyż płakałem opanowany zdrową tęsknotą, jako że moja duma dzięki temu, co wyczyniała ze złodziejem, została w pełni odzyskana. Poza tym woda sięgała hen, daleko, dalej niż sięgałem oczyma, wyteżając wzrok. W pewnej chwili przestawałem widzieć to miejsce, w którym niebo znad mojej głowy spotyka morze i to także sprawiło, że się rozpłakałem. Płakałem, jakby zasłonięto przede mną widok precudnej urody. A poza tym widziałem statki. Byłem przyzwyczajony do naszych rzecznych żaglówek i królewskich barek z ogromnymi płachtami czerwonego i purpurowego żagla, do ich posrebrzanych i pozłacanych kadłubów, które lepiej ukazywały nasze bogactwo niż uroczyste pochody królewskiego orszaku. Jednakże te statki na Wiecznej Zieleni – z takiej odległości nie widziałem nawet, jakiego koloru były kadłuby – miały żagle białe, a tego jeszcze nie widziałem. Płynęły przez długie krzywizny fal niemal się w nich kryjąc, a ich żagle rozpinają się nad nimi niczym skrzydła białych motyli. Nie wierzyłem własnym oczom, tak wiele ich pływało po morzu, a sądząc po kierunkach, w jakich zmierzały, wywnioskowałem, że niektóre, te pchane wiosłami, wyływały z Tyru, podczas gdy inne, z żaglami, właśnie doń zawijały. Muszę jednak dodać, że samego Tyru nie widziałem, tylko głązy na wybrzeżu.

Jadąc wzdłuż skalistego wybrzeża, pokonywałem drogę, która czasem wznosiła się, by przebiec zboczem góry spadającej do morza jak ramię przed moim nosem, a czasem podskakiwałem na kamieniach tuż nad głazami obmywanymi falą. Te nisko położone odcinki były mokre. Nie widziałem jeszcze w życiu takich strumieni wody walących prosto na mnie. Morze było jak wąż zsuwający się po wzgórzach, jeżeli można sobie wyobrazić węża, który się tak zsuwa, a potem rozbijający się w dole na skałach. Byłem pokryty pyłem wodnym z Wiecznej Zieleni. Jakież dziwne miał smak! Czuć było w nim minerały i wodę, i słodkie małe diabliki kryjące się w skorupkach, i jeszcze coś tajemniczego – może był to po prostu zapach tego wszystkiego, o czym nie miałem pojęcia. Mogę tylko powiedzieć, że zapach Wiecznej Zieleni pokrywającej mnie wodnym pyłem miał w sobie coś kobiecego, gdyż był bardzo lekki, lekceważący i rozbawiony, a zarazem potrafił mrozić do szpiku kości.

Potem ściemniło się i zdałem sobie sprawę, że w morzu mieszka wielu bogów i wiele bogiń, uczucia ich zaś bywają zmienne. Węże, które się teraz podnosiły z wody, waliły silniej o brzeg i głośniej huczały grzmotami. Pył zaczął mnie kłuć w oczy. Byłem zadowolony, gdy droga zawiodła mnie na wzgórze, ponad strefę zalewaną wodnym pyłem; gdy wysiadłem z rydwanu, by przenieść koła z jednej koleiny do drugiej, zauważyłem, że wzgórze było litą skałą, w której od dawna, być może jeszcze od czasów Totmesa III (a może już bliżej epoki Chufu?) robotnicy latami wykuwali stopnie, budując drogę do Tyru. Były to po prostu schody i zrobiłyby one na mnie duże wrażenie, gdyby nasze egipskie budowle nie były stokroć bardziej imponujące. Ale poznałem głęboką prawdę o morzu. W ciemnościach poniżej woda biła o skałę, a ja czułem te uderzenia jak gdybym stał na murach obronnych w czasie, gdy wróg wali w bramę taranem. Pył dolatywał od czasu do czasu nawet tutaj, z pięćdziesiąt, a może i sto kubików nad poziomem morza. Kiedy spojrzałem w dół, w tych ciemnościach zobaczyłem, że Wieczna Zielen zionie milionami ust pokrytych pianą, że huczy i smaga wybrzeże jak lew rozrywający swą ofiarę. Właśnie nadpłynął największy wąż morski, jakiego widziałem, i to wielki jak sam Nil, po czym roztrzaskał się o skałę, aż ta jęknęła i jakiś jej odprysk oderwał się od zbocza i spadł do wody. Zatrząsałem się ze strachu widząc, jak morze wydziera mi drogę i czując nieskończenie potężny gniew prawdziwych bogów Wiecznej Zieleni. Zastanawiałem się, czy starczy mi nazajutrz odwagi, by wsiąść na okręt i popłynąć przez takie węże do położonej na wyspie części Tyru. Powiem tylko, że kiedy przebyliśmy wzgórze, ku mej wielkiej uldze droga skręciła w głąb lądu. Rozbiłem obóz, zjadłem razem z końmi nieco mokrego ziarna, a potem zasnąłem, trzęsąc się z zimna w przemoczonym ubraniu.

Rankiem mym oczom ukazał się wspaniały widok. Góry odsunęły się od morza i mogłem spoglądać na obszerną dolinę, pełną pól uprawianych troskliwie jak ogrody i gajów drzewek oliwnych. Nieco dalej na piasku rozciągało się miasto. Dalej, za pasem wody, widniały wieże innego miasta, które zdawało się wyrastać z Wiecznej Zieleni. Wiedziałem, że miasto na plaży to Tyr, a to za wodą to nowy Tyr, i liczyłem na to, że dowiem się tam wiele o królu Kadeszu. Przynajmniej taką żywiłem nadzieję. Mój rydwan przez całą drogę ku wybrzeżu skrzypiał krzepiąco mimo zgrzytania dyszla o rzemień.

VII

– Dobry i słynny Pta-nem-hotepie – rzekł pradziadek – kiedy mówiłeś o purpurowych ślimakach, milczałem i nie wspominałem o moich przeżyciach w starym i nowym Tyrze. Prawdę mówiąc, już prawie zapomniałem o tych purpurowych ślimakach i o tym, jak cuchną. Nie rozumiem, dlaczego mogłem o tym zapomnieć, ponieważ stare miasto cuchnęło odorem rozkładających się ślimaków, co też odczułem, kiedy zbliżyliśmy się do miasta. Idąc jego ulicami, trzeba się było trzymać za nos. Ale purpura chodników na każdej uliczce, przy której był warsztat farbiarski, była tak jaskrawa, że kłuła w oczy. Widać było także niebo przegładające się w tej mokrej purpurze. Z drugiej strony, odór tych biednych ślimaków był tak nieprzyjemny, że kiedy wjechałem przez bramę miejską do miasta, przemknęła mi przez głowę myśl, że znalazłem się w dzielnicy żebraków. Zapach, jaki drażył mi nos, przypominał odór kłutwy rzucanej przez gnijące zęby. Cuchnęło tak, że chyba i piórko Maat zwiotczałoby na wietrze, ale z drugiej strony odór był tak stężony i czysty, że konie po raz pierwszy od wielu dni zaczęły sobie brykać. Ponieważ rozbrykane konie zagrażały memu świeżo naprawionemu dyszlowi, musiałem zsiąść z rydwanu i poskromić Mu i Ta ku wielkiej ucieście gapiów. A oto i druga niespodzianka. Nigdy jeszcze nie widziałem aż tylu dobrze ubranych ludzi na tak fatalnie cuchnącej uliczce. Taka była cena tutejszego bogactwa – trzeba było wdychać to powietrze.

Muszę jednak dodać, że nagłe rozbrykanie moich koni nie było zaskoczeniem na ulicach starego Tyru. Nie wiem, dlaczego cuchnące zakątki wydają nam się tak atrakcyjne – chociaż z drugiej strony warto pamiętać, że Nut zakochała się akurat w Gebie. Tak czy owak, ciesząc się za pierwszego życia bystrym wzrokiem, bez trudu stwierdziłem, że wszędzie widać było zajętych sobą kochanków – w każdej jaskini i każdym rowie, pod krzakami, w piwnicach składów, a w samym starym Tyrze po prostu na każdej uliczce. Nie znam drugiego takiego miasta, w którym ludzie równie otwarcie spółkują ze sobą wprost na ulicy. Może sprawiło to słońce na gorącej plaży w samo południe, może wszystko to działo się za sprawą lśniącej purpury murów w blasku księżyca, a może po prostu w samej naturze ślimaka, który zwija się w sobie, szukać należy wyjaśnienia. Tak czy inaczej, mój biedny dyszel nabiegł krwią w tej samej chwili, w której wjechałem do miasta.

Zmęczony użeraniem się z głupimi końmi i niewygodami podróży, moim pokiereszowanym i niewyszukanym rydwanem, zostawiłem konie i rydwan pod pieczę chłopca stajennego w domu królewskiego wysłannika króla Ramzesa II, kiedy udało mi się odnaleźć uliczkę, przy której się mieścił. Prawie wszyscy ludzie, których spotkałem w Tyrze, rozumieli, co do nich mówię, i odpowiadali mi prostą i nieco gardłową wymową, która przyjemnie koła mój słuch i krzepiała mnie, wypełniając pierś dumą. Z drugiej strony świerbiła mnie ręka, by ich uderzyć – karząc w ten sposób za naruszenie godności naszej potocznej egipskiej mowy.

Wkrótce dowiedziałem się, że królewskiego wysłannika nie było w Tyrze. Przybywał do swej siedziby raz na rok, by zebrać daninę, a potem ruszał pobierać ją w innych miejscowościach. Domyślałem się jednak, że jego przybycie było takim świętem, jakby sam syn faraona raczył się tam pojawić. Królewski wysłannik miał najbardziej okazałą siedzibę przy plaży. Nawet w porównaniu z willami bogaczy z Tyru jego dom przypominał pałac, służba królewskiego wysłannika zaś, w wielu przypadkach złożona z Egipcjan, utrzymywała pałac w gotowości na

wypadek, gdyby wysłannik raczył się pojawić. Nigdy dotąd nie widziałem takiej skrupulatnej służby pod nieobecność pana, ale z drugiej strony wkrótce zdałem sobie sprawę z tego, że większość egipskich kupców przewijających się przez stary Tyr zachodziła do pałacu, by zasięgnąć plotek o innych kupcach. W jednym z pomieszczeń ujrzałem nawet ścianę, w której wyżłobiono szereg otworów w regularnych rzędach, w otworach tych zaś spoczywały zwoje papirusu obwiązane złotym sznurem i zapieczętowane woskiem – były to listy pozostawione przez ostatni statek egipski albo fenicki przybywający z Delt. Służba spisywała się znakomicie i z radością zażywałem tam odpoczynku.

Minął dzień i jeszcze jeden, nim zdołałem się zabrać ze starego Tyru do nowego. Istotnie, potrzebowałem aż tyle czasu, by odpocząć po mych przeprawach. Nie chodziło nawet o zmęczenie, a o pewien zamęt, jaki miałem w głowie. W pałacu królewskiego wysłannika wysłuchałem oczywiście wielu plotek, ale kiedy zacząłem analizować je, trudno było mi się zorientować, czy król Kadeszu jest słaby czy silny, ostrożny czy zapalczywy. Jednego tylko byłem pewien – tego mianowicie, że wszyscy mieli mi coś do przekazania, wszyscy przemawiali głosem świadczącym o pewności siebie i całkowicie przeczyli temu, co mówili ich poprzednicy.

Naturalnie byłem także ciekaw starego Tyru. Nigdy dotąd nie widziałem takiego miasta. Biedne dzielnice były stare, śmierdzące i wyglądały gorzej niż najbardziej obszarpane przedmieścia Teb, ale i tu można było zobaczyć wiele ciekawych rzeczy, a nowe ulice przypominały usta z powybijanymi zębami. Na każdej było bowiem wiele pustych działek. Nawet w murach miejskich były wyłomy, a i płoty świeciły dziurami. Na najbardziej okazałych ulicach też spotykało się czasem ruiny. A mimo to miasto kwitło. Pewien handlarz wyjaśnił mi to. Nowy Tyr, wybudowany w zatoce na trzech wyspach, był nie do zdobycia. Żadna armia maszerująca lądem nie mogła go zdobyć, gdyż armii takiej zabrakłoby łodzi, po dotarciu do brzegu. Z drugiej strony nie było takiej floty, która byłaby w stanie rozgromić flotę Tyru. Tak więc miasto na trzech wyspach pełniło jakby rolę fortecy za fosą, a gdyby doszło do oblężenia, nie byłoby go jak zagłodzić. Żywność dowożono by morzem – co też czyniono także w czasach pokoju. Postanowiono zatem, że starego Tyru położonego na brzegu nie warto bronić, gdyż nowy Tyr mógł zarobić na handlu tyle, że stary Tyr dałoby się bez trudu odbudować nawet po przejściu wrogiej armii. Dlatego widziałem tyle pustych działek i tyle nowych budynków. Stary Tyr został przed dwoma laty zdobyty przez Hetytów. A mimo to miasto wyglądało nowocześniej niż nowe.

Pomimo tego nowy Tyr płacił daninę Egipcjom. Doszedłem do wniosku, że płacono nie ze strachu, lecz w trosce o zyski. Każde utnu zapłacone w ramach daniny przynosiło sto utnu zysku z handlu z Deltą. Tak, z pewnością był to pierwszy napotkany przeze mnie lud, który nie czuł się gorszy od nas.

Na trzeci dzień zabrałem się łodzią do Tyru i przyglądałem się wioślarzom, którzy przeprowiali nas przez każdego toczącego się wodnego węża i ześlizgiwali się wraz z łodzią na jego drugi bok. Wiatr wyciskał mi łzy z oczu, a nogi dygotały, gdyż łodzią miotano na fali. Nie czułem się kimś rzuconym na tysiąc wodnych odnóg, raczej miałem odczucie, że znajduję się w kłębowisku dwudziestu pijanych ciał w knajpie, a woda rozpryskuje mi się na twarzy. Wdzierała mi się głęboko do nosa i znów poczułem zapach ślimaków. Ale Tyr, gdy już doń dotarliśmy, nie przypominał mi żadnych miast widzianych na lądzie.

Po pierwsze, nie było tu koni i wszyscy chodzili na piechotę lub byli noszeni. W większości uliczek mogły się naraz mijać najwyżej trzy osoby. Mury budynku po jednej stronie uliczki nigdy nie odbiegały daleko od murów domu po drugiej stronie, toteż zawsze można było dotknąć obu naraz, stanąwszy na środku i rozłożywszy ramiona. Poza tym nigdy dotąd nie widziałem aż tak wysokich budynków. Jedna rodzina mieszkała nad drugą, po pięć w jednym budynku, a mury

rosnąc w górę, zbliżały się ku sobie. Nietrudno było przeskoczyć z dachu na dach, wystarczyło zrobić trochę większy krok. Toteż i drzwi wychodzące na patio na każdym z dachów bywały lepiej zabezpieczane przed rabusiami niż drzwi wiodące na ulicę.

Kiedy nasza łódź zbliżyła się do przystani, zauważyłem, że trudno wyobrazić sobie miasto bardziej zatłoczone. Na wyspach nie było żadnej plaży, tylko wzburzone morze i wiatr, a przystanie budowano, układając głazy jedne na drugich. Na każdym nabrzeżu i na każdej przystani stały tłumy. Za nimi rozciągało się miasto przypominające skałę, przy czym na niektórych dachach wznosiły się niezwykle wieże. Mury były pomalowane na wszystkie barwy tęczy. Miasto było więc zarazem najpiękniejszym i najgroźniejszym widokiem, jaki się przede mną roztaczał. Gąszcz. Trzy wysepki były tak blisko siebie, że można było poruszać się między nimi dzięki drewnianym mostom przerzuconym nad wodą, ale kiedy się już znalazłem w samym mieście, straciłem niebo z oczu, widząc tylko wąski jego skrawek między wysokimi budynkami. Nie było ogrodów ani placów. Nie można się było przecisnąć przez rynek, gdyż alejki były bardzo wąskie. Tak więc miasto nie tylko cuchnęło ślimakami, ale w dodatku pełne było krętych uliczek przypominających zwoje ślimaczej skorupy. Zawsze się gubiłem, dopóki mnie nie zawiodło do samego krańca którejś z wysepki. Tam można było sobie popatrzeć na morze, nim się człowiek zagłębił w kolejną krętą alejkę. Czasami odczuwałem pragnienie w trakcie spacerów, ale nie było studni ze świeżą wodą. Trzeba się było zadowolić wodą deszczową zbieraną w cysternach, a woda ta przesiąkała solami głazów na dnie zbiornika. Wszystko było pokryte wodnym pyłem, który nadciągał jak mgiełka i osiadał w cysternach. Zastanawiałem się nawet, co Fenicjanie robią, żeby mieć słodką wodę, dopóki mi nie powiedziano, że co bogatsi ludzie mieli łódzie (o bogactwie świadczyła tu łódź z załogą, co jednak nie wszyscy bogaci Egipcjanie uważali za konieczny nabytek człowieka mającego) i że pani domu wysyłała po prostu służbę po słodką wodę na stały ład. Kupiłem sobie taką wodę na rynku i wypilem ją jednym haustem.

Jeszcze nigdy nie byłem w miejscu, w którym kawałek ziemi ma taką wartość. Nawet najdroższe warsztaty i sklepy były malutkie, a w warsztatach panował większy tłok niż w domach mieszkalnych. Handlarze oferowali towary ze złota i srebra oraz purpurowe szkło i wazy. Sprzedawali nawet imitacje naszych egipskich amuletów i jak się dowiedziałem, amulety takie można było sprzedać w każdym porcie nad Wieczną Zielenią, gdyż nasze klątwy i czary cieszyły się zasłużoną sławą. Biedni głupcy nabywający te imitacje w dalekich portach i tak nigdy się nie dowiedzą, że amulety nie są prawdziwe. Nawet sobie nie wyobrażacie, co tam też wyrabiano w tych warsztatach dla zamorskich krajów! Robiono na przykład egipskie miecze i sztylety, które nigdy Nilu nie oglądały, ale faktycznie przypominały naszą broń, pierścienie ze skarabeuszami były pokryte wyrzeźbionymi kobrami i lotosami... Słyszałem, że można przejechać Rodos i Lycję, Cypr i niektóre wyspy należące do barbarzyńskich Greków i przekonać się na własne oczy, że ludzie powszechnie noszą klejnoty Fenicjan, ich bransolety, ich naszyjniki, damasceńskie miecze, miecze pokryte ornamentem i wszelkiego typu materiały, które można było barwić na purpurowo.

– Ale czym tacy barbarzyńcy mogli zapłacić handlarzom za te przedmioty? – spytała matka.

– Niektórzy płacili złotem. Prawdopodobnie rabowali złoto, napadając na kupców albo też płacili klejnotami bądź sztabkami srebra. Często sprzedawali młodzieńców, młode kobiety i dzieci. W niektórych krajach ludzi traktuje się jak płody rolne.

– Zauważyłem – rzekł Pta-nem-hotep – że choć niewolnik grecki jest równie owłosiony i śmierdzący jak Syryjczyk, kiedy się go sprowadzi, szybko uczy się od nas wielu rzeczy.

Menenhetet pokiwał głową.

– Warto wspomnieć, że tajemna kurwa króla Kadeszu była Greczynką i trudno byłoby znaleźć dla niej nauczyciela. Z drugiej strony prostytutki cieszyły się w Tyrze wielkim mirem, no,

przynajmniej te słynne, a choć nigdy nie byłem w świątyni Astarte i trudno mi coś powiedzieć o jej kapłankach, doszły mnie słuchy, iż w pewnych sytuacjach prostytutki uważano za kapłanki i darzono szacunkiem. Ale o tych sprawach opowiadano mi, gdy jeszcze miał w głowie zamęt od natłoku wrażeń. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu ludów stłoczonych w jednym miejscu. Idąc jedną tylko uliczką od przystani, przy której wysiadłem z łodzi, do świątyni Mel-kart, widziałem Fenicjan i Amoreańczyków, górali z Libanu, Turków, Sagalosjan, Achajów i Danaów, wytatuowanych Murzynów, ludzi z Elamu, Asyrii, Chaldei, Urati i z wszystkich archipelagów, żeglarzy z Sydonu, wioślarzy z Myken, a także nieprzebrane mnóstwo strojów, wysokich butów, niskich trzewików, bosych stóp, barwnych i białych koszul, czerwonych i niebieskich wełnianych czapeczek, skór zwierzęcych, naszych białych płócien, a także tysiące najrozmaitszych fryzur.

Fenicjanie byli w większości nadzy do pasa i nosili krótkie bawełniane spódniczki w wielu barwach. Bogaczy można było rozpoznać po tym, że włosy zaplatali sobie w małe warkoczyki z tyłu głowy, a na czubku mieli cztery warkoczyki, przypominające morskie węże. No a poza tym wszystko cuchnęło gorzej niż w starym Tyrze. Przez cały dzień ludzie zdrapywali ślimaki ze skał na wszystkich trzech wyspach, a dzieci nurkowały po nie. Nie wiedziałem, że ludzie potrafią pływać, a tu widziałem dziesięcioletnich chłopców nurkujących w wodzie jak ryby.

Mój pokój na tej wyspie mieścił się w gospodzie, a prześcieradła siano z czerwonego jedwabiu. Ściany były pokryte purpurowym materiałem. Nawet grobowiec skromnego egipskiego kupca jest obszerniejszy niż ten pokój. Nie można było stać, nie schylając głowy, a korytarz był tak wąski, że nie można się było obok kogoś przecisnąć. Potem usłyszałem odgłosy pary walącej w łóżko nad moim sufitem i zdałem sobie sprawę z tego, że moja nora to jedna z dwóch sypialń położonych jedna tuż nad drugą. Wszystko to zmieszczono na jednym piętrze pod wspólnym sufitem. Oczywiście każdy z naszych sarkofagów miał okno. Trzeba przyznać, że okno było i że można się było przez nie załatwiać. Już się dowiedziałem, że taki jest lokalny zwyczaj. Moje buty niejedno by wam o tym zwyczaju opowiedziały. Prawdziwą oznaką ubóstwa w Tyrze było chodzenie na bosaka.

– Nie we wszystko, o czym opowiadasz, potrafisz uwierzyć – przerwała matka.

– O, przepraszam – wtrącił się ojciec. – Rozmawiałem z paroma kupcami, którzy odwiedzają Tyr, a ci mówili mi, że wciąż jest właśnie tak, jak Menenhetet opowiada.

Pradziadek pokiwał głową.

– Cóż my wiemy o takim życiu? Tu, na naszej pustyni, starczy miejsca dla wszystkich. Czasami czuję, że moje myśli krążą sobie swobodnie, że pozostawiony sam na sam z myślami potrafiłbym wypełnić spory namiot. W Tyrze przestrzeń można mieć tylko na morzu. Nigdy przedtem nie odczuwałem tak silnie obecności innych ludzi obok siebie i tam też po raz pierwszy przekonałem się na własnej skórze, iż w takiej ciasnocie nie można myśleć. Moje myśli były poobtłukiwane.

Ale serce mi rosło. Na tle smrodu rozkładających się ślimaków ciało ludzkie pachniało słodko. Nawet zestarzały pot pachniał jak perfumy w porównaniu z tym zaduchem. Oczywiście nikt się nie kąpał, gdyż wartość wody mierzono złotem.

– Toż to zgnilizna i utrapienie, to miasto jest koszmarem – powiedziała matka.

– Nie – odparł Menenhetet. – Polubiłem je. Można było spacerować wzdłuż kanałów, które wdzierały się w każdą z wysepek. Na brzegach tych kanałów leżały wyciągnięte z wody łodzie, a ludność w Tyrze otacza łodzie szacunkiem, niczym bogów. Toteż buduje się je z najlepszego libańskiego drewna – z drzewa rosnącego w lasach, przez które miałem niedługo przejeżdżać – i z dębów z Ananes. To były dopiero łodzie! A załogi! Powiedziano mi, że pośród wszystkich żeglarzy poruszających się po Wiecznej Zieleni tylko Fenicjanie nie trzymali się brzegu i nie spieszyli, by wieczorem zawinąć do portu, lecz płynęli także i w nocy, odważnie rzucając wyzwanie wszystkim potworom, jakie mogły wychynąć z morskiej otchłani. Ludzie ci potrafili żeglować według gwiazd,

a jeżeli gwiazda, która ich prowadziła, kryła się za chmurami, orientowali się na inną. Jeżeli gwiazd nie było w ogóle, nie bali się niczego, ruszali pod fale i czekali, aż pokaże się słońce. Mawiali o sobie, że „potrafią dopłynąć do krainy najgorszych koszmarów”. Skąd mam wiedzieć, czy to prawda? Ci żeglarze byli dumni jak woźnice rydwanów, a nawet najbiedniejsi spośród nich w każdej piwiarni zachowywali się jak bogacze. W takich spelunkach widywałem bójki, stanowiące doskonałe ćwiczenia przed wojną.

Poza tym były tam winiarnie z długimi ławami, na których popijano z kielicha, a sąsiad trącał was łokciem w ucho. Nie miano mu tego za złe, gdyż samemu też trzeba było trzymać łokieć na głowie sąsiada z drugiej strony. Zapominało się o własnej skórze, a wino było kwaśne jak ocet. Mimo to wszyscy żyli jakby w szczęśliwym uniesieniu, gdyż na niewielkim podeście, na którym mogła się zmieścić najwyżej jedna dziewczyna, stała kurwa ze zdjętą spódnicą i – chłopiec zasnął, więc mogę wam o tym opowiedzieć – pokazywała środek z takim zapałem, że czuliśmy się, jakbyśmy zaglądali przez dziurkę od klucza i widzieli w niej drugie oko z tamtej strony. Pochodziła z Azji i włosy miała ciemne, a skórę jak palona zwierzęca sierść, lecz wargi między jej udami były niczym orchidea, której płatki są czarne na obrzeżu i różowe u nasady. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się aż tak pożądać kobiety jak wówczas. Może chodziło o ten wyraz twarzy. Chciała nas wszystkich. Chcąc nam dać tego dowód, wygięła się do tyłu, wypięła brzuch do góry i obracając się, pokazywała się po kolei każdemu z nas. Na mojej twarzy malowało się pożądanie, a płatki jej kwiatu zdrząły pod moim spojrzeniem niczym kwiat lotosu, który zaczyna się wolniutko skłaniać, jeśli się skupi na nim wzrok. Potem moje pożądanie nasyciło się tym, co mi przekazała, i wzrosło jeszcze bardziej. Stojący kołem mężczyźni wykładali na podest swoje podarunki, a kiedy muzyka przestała grać, odeszła z tym, który położył najcenniejszy dar. Nie pokazywałem mego złota. Należało do faraona i było przeznaczone na zakup informacji. Byłem więc zrozpaczony. W jaki sposób udało się tej kobiecie wywołać w moich lędźwiach aż takie pożądanie?

Potem dowiedziałem się, że nie była zwykłą dzielnicową prostytutką, która chodzi od winiarni do winiarni wzdłuż alei, lecz że tej nocy pełniła także służbę kapłanki. Przed świtem miała spółkować na ołtarzu Astarte w mrocznej świątyni w pobliżu suchych doków. Fenicjanie wierzyli święcie, że najszlachetniejsze ludzkie cechy odnaleźć można u najbardziej zbrukanych niewiast, że barwy tęczy daje się odkryć także w plugawych mętach. Dlatego nie przeszkadzało im smród ślimaków i królewskiej purpury lśniącej na każdym mokrym kamieniu. W głowie mi huczało jak po uderzeniu gromem, gdy próbowałem zrozumieć ich religię. Ukazując się każdemu z nas, służyła zarazem bogini Astarte (niektórzy nazywali ją Isztar). O tak, ta kurwa pracowała dla Astarte, zbierając w swoją czarnoróżową orchideę pożądanie nas wszystkich, podobnie jak kwiaty czerpią błogosławieństwo Re. Tyle że tutaj, w wąskich uliczkach Tyru, słońce nigdy nie docierało do ludzi, i dlatego bogini służyć trzeba było gorącym, wybuchającym z naszych podbrzuszy. Dlatego też ta kurwa zbierała tyle pożądanego, że ofiara wypadła okazale, błyszczała w mięsistym sercu między jej udami, tryskała pod sam dach świątyni Astarte.

Omali nie pękłem. Pospolicie widywało się na uliczkach ludzi, którzy sikali albo obnażali pośladki, szukając ulgi w ten sposób, ale mój członek był przerażająco twardy. Poczuliśmy się tak głupio, że uciekłem spiesznie do mego pokoju, żeby przyjść do siebie. Prawdę mówiąc, gorączkowo szukałem mężczyzny albo kobiety. Po złodzieju nabrałem ochoty także na mężczyzn. Chciałem jak najprędzej znaleźć się w Kadeszu i pospieszyć w bój.

Ledwo położyłem się na łóżku, a już, gnany niecierpliwością, zerwałem się na równe nogi. Stanąc nie mogłem, bo nie było miejsca, ale zgarbiwszy się pod sufitem, wyjrzałem przez okno. I nagle ujrzałem kolejną orchideę. Należała, jak się wnet okazało, do tajemnej kurwy króla Kadeszu.

W Egipcie rozumiemy dobrze, co to znaczy żyć w myślach innych ludzi. Słymiemy z umiejętności rzucania najskuteczniejszych klątw, a umiejętność ta wynika naturalnie z łatwości, z jaką opuszczamy własny umysł i wędrujemy po umysłach innych ludzi. Zanim się rzuci klątwę na przeciwnika, trzeba go dobrze poznać. Moc poznawania przeciwnika bierze się, jak sądzę, z naszej pustyni i z naszej rzeki. Po tych rozległych przestrzeniach umysł może się poruszać swobodnie, podobnie jak ciało. Na tej niewymownie ścieśnionej wysepce, na tej wilgotnej skałce Tyru, gdzie ciała są zawsze jedno obok drugiego, myśl wysłana z jednej głowy nie jest w stanie przeniknąć do drugiej. W Memfis czy w Tebach wybór domu naprzeciwko mojego dokonany przez tajemną kurwę króla Kadeszu nie zdziwiłby mnie. Założywszy, że przybyłem po to, by ją spotkać, uznałbym taki zbieg okoliczności za coś zwyczajnego. Nasze umysły często wszak wyprzedzają nasze ciała i przyzywają obcych ludzi. Ale w tym ulu, w tym mrowisku – o nie! Kiedy się później nad tym zastanawiałem, dziwiło mnie, że tak szybko odnalazłem tajemną kurwę. Nie wiedziałem jeszcze, że w Tyrze, gdzie niemożliwe jest potajemne przekazywanie myśli od umysłu do umysłu, umysł trzeba zastępować językiem. Plotki są jeszcze częściej wymieniane niż pieniądze. Wiadomo zatem było, iż jestem dziwnym woźnicą rydwanu, a zważywszy, że Fenicjanie są inteligentni, musieli dojść do wniosku, iż albo zdezerterowałem, albo przybyłem z jakąś misją od Usermare-Setpenere. Ostatecznie zdecydowali, że to drugie, gdyż nie byłem przynębiony jak większość dezertorów.

– Zgadza się – rzekł Pta-nem-hotep – że ta kobieta musiała słyszeć o tym, że przybyłeś do miasta, ale skąd mogła wiedzieć, że chciałeś ją odwiedzić?

– O to właśnie chodzi, Dobry i Wielki Boże. To ona postanowiła mnie spotkać. Pragnęła bowiem zemsty na królu Kadeszu. Oczywiście wówczas o tym nie wiedziałem. Zobaczyłem kobietę, która była nie ubrana, leżała na łóżku po drugiej stronie ulicy, a od jej okna do mojego można było sięgnąć ramieniem. Była piękna urodą, jakiej do tej pory nie znałem. Później, jeszcze za pierwszego życia, a także dzięki doświadczeniom następnych wcieleń, dowiedziałem się, że kobiety mogą tak różnić się jedna od drugiej jak pustynia od toni Wiecznej Zieleni. Wówczas jednak nie miałem o tym pojęcia. Wiedziałem tylko, że w ogrodach faraona mieszkały urocze stworzenia zwane małymi królowymi, a poza tym były też na świecie kurwy, które można było spotkać w knajpach. Trudno mi też było cokolwiek powiedzieć o szlachetnych damach. Wiedziałem, że różnią się od pozostałych kobiet, podobnie jak kurtyzany nie są tym samym co pospolite kurwy, ale ponieważ niewiele jeszcze wtedy wiedziałem, też więc wydawało mi się, że między kurtyzanami a prostytutkami nie ma aż tak wielkiej różnicy. Nie chcę przez to powiedzieć, że znałem jedne albo drugie, w końcu wiedziałem tylko, że damy z przyjemnością oddawały się rozmowie, a kurtyzany umiały śpiewać. Tak czy inaczej, czułem się nieswojo podziwiając ich wykwiłne maniery, podczas gdy z kobietami pochodzącymi z niższego stanu niż ja byłem szczęśliwy. Myślę na przykład o brzydkich wieśniaczkach, które poznałem jako chłopak i chłop, i o ładnych chłopkach, kelnerkach w piwiarniach czy służących, które spotykałem jako żołnierz. Brałem jak leci i rzucałem się w nie jak strzała – mężczyzna czy kobieta, jakie to miało dla mnie znaczenie... Tyle że w przypadku kobiety częściej się widywało twarz, co było czasami przyjemniejsze. Mimo to, jak już powiedziałem, kochałem jak żołnierz, ot co.

Spotkawszy tajemną kurwę króla Kadeszu, znalazłem się jednak sam na sam z czarodziejką. Klęcząc przed potężnym władcą, zdajemy sobie sprawę z jego potęgi. I ja, wyglądając przez okno, zdałem sobie sprawę, że ta kobieta nie jest po prostu kurwą, na którą wybałuszają oczy w każdym barze albo za którą zanoszą požądanie aż na ołtarze. O nie, może i była nie ubrana, może i miała otwarte wrota, może i leżała na wznak, może i rozłożyła szeroko kolana, ale zarazem nigdy jeszcze nie widziałem kobiety tak szczelnie owiniętej ubraniem. Była, sądząc po lęku, jaki przeszył moje serce, świątynią. Nie czułem pośpiechu, nie wyrywałem się do niej. Nie wolno popełnić błędu,

składając ofiarę Amonowi, trzeba przebrnąć przez wszystkie etapy obrzędu bez potknięcia, toteż podniosłem się z postania, zdjąłem buty i białą spódniczkę. Następnie wolno i majestatycznie wychyliłem się przez okno, jakbym był prężnym kotem wskakującym na poręcz balkonu, i na wysokości czterech piętér przeskoczyłem z mojego pokoju do niej. Potem z uśmiechem, który nie zdradzał oznak tryumfu, lecz stanowił moje grzeczne powitanie, zbliżyłem się do łóżka, na którym leżała. Łoże było nakryte purpurowym jedwabiem. Ukląłem u jej stóp i właśnie miałem dotknąć jej nogi w kostce, ale zbliżając się poczułem, że coraz trudniej mi się poruszać. Nie, właściwie nie trudniej, tylko bardziej okrężnie... czułem się, jakbym został zmuszony do wybierania dróg okrężnych, do składania hołdu powietrzu, do zatrzymania się. Znajdowałem się o dwa kroki od łóżka, a mimo to czułem, jakbym się wspinał po długiej klatce schodowej, gdyż pokonanie tych dwóch kroków zajęło mi aż tyle czasu. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy tak długo, że zrozumiałem, iż oko nie ma powierzchni niczym tarcza, lecz jest głębokie i przypomina tunel. Takie wrażenie można w każdym razie odnieść, gdy się po raz pierwszy zagłąda prosto w oczy równe naszym. Miała najpiękniejsze oczy, jakie zdarzyło mi się widzieć do tej pory! Włosy miała ciemniejsze niż pióra jastrzębia, lecz oczy jej były fioletowo-niebieskie, w świetle świeczki zaś zdawały się czarne, zwłaszcza gdy odwróciła głowę w cień. Z kolei na tle purpury prześcieradeł błyszcząły niebiesko, wręcz lśniły w zetknięciu z purpurą, chociaż nie widziałem w gruncie rzeczy barwy jej oczu, lecz ich przezroczystość. Czułem się tak, jakbym spoglądał w głąb pałacu o szeroko rozwartych bramach, a kolejne drzwi otwierały się przede mną, ukazując coraz to nowe pałacowe komnaty. A każda była inna niż poprzednia, każda imponujących rozmiarów, każda mieniła się barwami wszystkich klejnotów świata. Im dłużej się wpatrywałem, tym bardziej byłem pewien, że widzę purpurowe komnaty i złote baseny, moje oczy zaś zmierzały ku jej sercu. Nie śmiałem jej pocałować (nie wiedziałem jak się całuje kobiety, bo nigdy tego nie robiłem), położyłem więc rękę na łóżku, tuż przy jej udzie.

Pewnego razu, kiedy samotnie wędrowałem przez las, nastrój lasu udzielił mi się tak dalece, że zatrzymałem się. Powietrze stało się tak ciężkie, że nie miałem czym oddychać. Wyciągnąłem wówczas miecz z pochwy i opuściłem powoli, jakby przecinając czystą niewidzialność. Cisza była taka, że mógłbym przysiąc, iż słyszałem jeden delikatny dźwięk tak czysty jak drgnięcie struny – tak wyraźnie przeciąłem ciszę tego nastroju.

W oczekiwaniu na rozbudzenie moich zmysłów, pogrążonych teraz w równie cichej głębi, dotknąłem jej ciała, a z jej gardła wydobył się dźwięk tak czysty i tak dźwięczny, jakby to sam kwiat nauczył się mówić. Wiedziałem już, że nie popełnię błędu. Każdy dźwięk dobywający się z jej ust był dla mnie przewodnikiem i mówił mi, gdzie mam ją dotknąć. Byłem zaskoczony, bo nigdy nie słyszałem o tym, nie sądziłem nawet, by coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć. Moja głowa, niczym statek skręcający za przylądkiem, by dobić do portu, zsunęła się z jej kolan i dotknąłem nosem tego miejsca, z którego przychodzi na świat dzieci, wdychając prawdziwy zapach serca tej kobiety. Była bogata i okrutna, i mieszkała przeraźliwie samotna w samym środku tego przeludnionego starego miasta Tyru. Mimo to jej dolne wargi drgały tak przejmująco, zdradzając tak subtelne doświadczenie, że zacząłem ją tam całować z całego serca i całą twarzą, szczęśliwy jak zwierzę, które nauczyło się mówić.

Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że moje własne wargi potrafią całować tak delikatnie i z takim wdziękiem. Czułem się tak, jakby na końcu języka zebrały mi się kunsztowne słowa, których nigdy dotąd jeszcze nie wypowiedziałem. Wkrótce byłem wilgotny jej wilgocią od rzes aż po brodę, mokry jak ślimak, bo też pachniała jak najśłodszy ślimak i czymś więcej. Była jedynym ogrodem na tej wyspie. Poczułem się tak, jakbym zamieszkał w światłości bliskiej fioletu. Przez cały czas nuciła swą pieśń zachęty, nieposkromioną niczym mruczenie kota zdjętego pożądaniem. Znów

przeczułem, że nie popełnię błędu i wkrótce zapoznałem się z rozkoszami zwierzęcia o dwóch grzbietach, żyjącego z głową na górze i na dole. Jej język sprawiał wrażenie trzech bogiń kojących zgiełk miecza walącego o tarczę, tak delikatnie pieściła moje surowe jądra, mój odbył i mojego chuja – niechże mi faraon wybaczy, iż tak przemawiam w jego obecności, ale w końcu mamy dzisiaj Noc Świni.

– Cieszę się, że dziecko zasnęło – powiedziała matka, ale głos miała słodki i poruszył mnie niczym czubek noża wsadzony łagodnie w samo serce, gdy tak leżałem u jej kolan. Wysłuchawszy pradziadka mówiącego o wspaniałych pałacach oka, poczułem teraz całe królestwo budzące się do życia między moimi udami, a jego głos rozbrzmiewał dalej.

– Takim sposobem i zachowując szacunek niezmierny niczym przyptyw morza bijącego o plażę, łagodnie jakbym trzymał w ręku małe pisklą, ległem samym czubkiem mego członka na skraju tych samych warg, które całowałem z takim oddaniem, a obietnice zadziwiające mnie swoją nieoczekiwaną nowością targwały moje trzewia tak potężnie, iż korciło mnie, by wziąć wszystko naraz i żyć wspomnieniem ognia, jaki po sobie zostawię. Czułem jednak zaproszenie, które kazało mi ją dalej poznawać, toteż wszedłem do tej świątyni pysznej jak pałac i schodziłem po schodach stopień po stopniu w takt moich pulsujących mięśni, czując jak jej włosy ocierają się o moje. Tak szliśmy spleceni w wielobarwnej światłości o odcieniach różowym, fioletowym i cytrynowozielonym, a potem wielki wąż morza przetoczył się po mnie i zacząłem chwytać oddech siedmiu dusz i siedmiu duchów, które wyskoczyły ze mnie i przeskoczyły do jej ciała, podczas gdy siedem części przechodziło od niej ku mnie. Jakaś walka rozegrała się między nami, wielkie miecze świstały w powietrzu, nie ścinając żadnych głów i oto znów znajdowaliśmy się w ogrodzie, jej ogrodzie i było bardzo słodko. Jej lędźwie nadal mnie wciągały w siebie. Nie był to błogostan – nie taki, jakiego później zaznałem – i w trakcie tego wszystkiego moje lędźwie jakby zastygły, ale zarazem po raz pierwszy w życiu poznałem, co to znaczy kochać się i czerpać pełnymi garściami z kobiecego serca, jej pożądania, jej piękna, jej szału, a wszystkie jej uczucia dorównywały moim. Powiedzmy krótko, że po raz pierwszy w życiu tak się pierdoliłem.

Są mężczyźni, którzy swoje życiowe osiągnięcia mierzą zwycięstwami na polu bitwy albo zwycięstwami własnej woli nad wolą innych ludzi. Jest też pewnie paru takich jak ja, którzy potrafią oceniać życie, porównując je z poprzednimi. Ale w tym pierwszym moim życiu dowiedziałem się także, czym może być życie jako podróż od jednej niezwykłej kobiety do drugiej. Tajemna kurwa króla Kadeszu była moją pierwszą niezwykłą kobietą.

– Skąd wiedziałeś, kim jest? – spytała matka.

– Skąd – nie wiem... może domyśliłem się, widząc te wszystkie pałace i komnaty w jej oczach. Gdyśmy skończyli, byłem już pewien, że znam króla, z którym wkrótce przyjdzie mi się zmierzyć w boju. Znałem go. Gdybym spotkał tego króla Kadeszu na polu bitwy, wiedziałbym, jak z nim walczyć. Jego serce należało do mnie. Sposób, w jaki mi się oddała, wskazywał na to, że królem gardzi. Nie pytajcie, skąd wiedziałem, tak mało znając kobiety, skąd wiedziałem aż tak wiele – był to po prostu dar, jaki mi przyniosła. Dary kobiety nigdy nie są równie hojne jak wówczas, gdy mszczą się na kochankach.

A przecież nawet nie wymówiłem jej imienia i nigdy już nie było mi dane jej spotkać. Nie można było powtórzyć nocy równie pięknej jak ta – chyba że było się gotowym zostać z tą kobietą na zawsze. Mówię teraz z perspektywy doświadczeń czterech wcieleń i dwudziestu kobiet tego rodzaju, dwudziestu takich utraconych imperiów, ale tajemna kurwa króla Kadeszu była pierwszą spośród nich i trzymaliśmy się w objęciach aż do świtu, uśmiechnięci, opowiadając sobie różne błażostki, na przykład jak się po egipsku nazywa taki prosty akt. Bardzo ją rozbawiła wiadomość, że wyraz ten zapisujemy znakami oznaczającymi wodę nad kubkiem. „Nak” – powtarzała i

powtarzała za mną „nak-nak”, chichocząc, jakby ten wspaniały dźwięk miał prawdziwe echo. Cały czas udawała, że nigdy dotąd nie słyszała tego wyrazu.

Chciałem się więcej o niej dowiedzieć, ja, który do tej pory nie zwracałem uwagi na gadanie kobiet. Dowiedziałem się jednak tylko tyle, że jako dziecko została porwana przez Fenicjan. Statek przybił do jej wioski w Grecji i kapitan wysłał na brzeg dwóch żeglarzy. Zaprośili oni przywódcę i jego córki na pokład. Poszła więc z siostrą i ojcem. Kiedy weszli na pokład, łódź odbiła. Tak trafili do Tyru. Teraz była najwyższą kapłanką wszystkich kurw w świątyni Astarte, ale dochowywała wierności królowi Kadeszu (z wyjątkiem świątecznych nocy). Miała z nim nawet troje dzieci.

Trudno mi powiedzieć, ile z tego było prawdą. Opowiedziała mi o tym, jakby powtarzała coś, co mówiła przy wielu okazjach. Poza tym słabo знаła nasz język. Byłem jednak pewien, że nienawidzi króla. I na koniec powiedziała mi, gdzie przypuszczalnie się on ukrywa. Nakreśliła palcem na purpurowym prześcieradle koło oznaczające Kadesz, a potem kreskę oznaczającą rzekę. Potem pokazała pagórki złożonymi dłońmi.

– Jest w lesie – powiedziała mi – ale nie pozostanie tam długo. Przechwalał się wielokrotnie, że jego wojsko jest w stanie pokonać armię Egipcjan. Mimo to nigdy nie wiem, kiedy ruszy. Może i twój faraon tego nie wie. – Westchnęła.

– Myślę, że musisz zdać się na własne oczy.

Pocałowała mnie w każde oko i zaczęła się zbierać do wyjścia. Było blisko świtu i zastanawiałem się, czy ma zamiar dołączyć do pozostałych kurw w świątyni Astarte.

Kiedy wyszła, wróciłem do mojego pokoju i ległem na purpurowych prześcieradłach, ale myśli moje zaprzątnięte były zbliżającą się wojną i różnymi rodzajami śmierci czyhającej na żołnierza. Miałem nadzieję, że nie boję się króla Kadeszu, lecz on boi się mnie. Nim słońce weszło, przepравиłem się z powrotem do starego Tyru, wróciłem do pałacu królewskiego wysłannika i zapytałem o drogi wiodące na wschód.

Okazało się, że muszę wybierać. Dyszel mego rydwanu został zreperowany przez cieślę królewskiego wysłannika, ale ponieważ nie miał pod ręką kawałka odpowiedniego drewna, dyszle innych rydwanów zaś były zbyt krótkie, by można je było wykorzystać, umocnił tylko dyszel nowymi listewkami i okręcił je nowymi rzemieniami. Byłem pewien, że dyszel nie wytrzyma do Kadeszu, a poza tym nie chciałem jechać główną drogą. Mogli tam czyhać na mnie Hetyci. Zdecydowałem się więc zostawić rydwan i ruszyć dalej konno. Oznaczało to dużą zmianę w mojej sytuacji w porównaniu z chwilą, gdy przybyłem do Tyru, ale w końcu wówczas nie miałem żadnych informacji i nie chciałem się pokazywać Ramzesowi II z pustymi rękoma i bez rydwanu. Teraz to, czego się dowiedziałem, wynagrodzi stratę rydwanu. Toteż zapakowałem sprzęt na Mu, osiodłałem Ta – rydwan zamieniłem na dwie nowe uprzęże – i ruszyłem w góry szlakiem, który musiał kiedyś należeć do dzikich owiec, a może królików, taki był wąski. Brzuchy obu koni były wkrótce poszarpane gałęziami. Ale jazda podobała mi się. Wiedziałem, że nie popełnię zbyt dużego błędu. Słońce stało wysoko i mogłem na jego podstawie określić kierunek jazdy. Poza tym wystarczyło tylko wspiąć się na płaskowyż, przekroczyć przełęcz przez olbrzymie pasmo górskie, przeciąć jeszcze jedną dolinę, wspiąć się na jeszcze jedno zbocze, a już za nim znajdowała się dolina rzeki Orontes. Wiedziałem, że wojska mojego faraona muszą być w pobliżu tej rzeki. Była to jedyna droga, którą mógł iść. Wielki wóz, na który załadowano jego namiot, miał po sześć kół po każdej stronie i ciągnęło go osiem koni. Nie można się było zastanawiać, na której drodze się znajduje, można się było tylko martwić, czy droga okaże się dostatecznie szeroka.

Jednakże ledwo przebyłem pół zbocza wiodącego do pierwszego pasma gór, kiedy poszycie stało się gęste, a ostre gałązki tak rozjuszyły konie, że sam oblałem się potem, wyciągając im ciernie ze skóry i unikając kopyt, gdy się rzucały. Cedry stały się tak wysokie, że straciłem niebo z

oczu. Słońce za mną było już tylko świetlistym blaskiem i nie rzucało cieni. Gdybym wiedział, że te lasy potrafią być tak ponure, pewnie nigdy bym się nie ruszył z Tyru.

Toteż rozbiłem obóz i zasnąłem. Następnego dnia zerwałem się i ruszyłem dalej, potem wędrowałem jeszcze jeden dzień i wciąż wydawało mi się, że las nigdy się nie skończy. W tym ponurym mroku musiałem co wieczór przesiadywać bez ognia. Nie śmiałem rozpalać ogniska. Na tych wzgórzach mogli grasować zwiadowcy Hetytów. Trzęsąc się ruszałem skoro świt, prowadząc konie przez poranne mgły, po raz pierwszy od wielu lat rozmyślając o Ozyrysie i o tym, jak jego Ka musiał wędrować przez podobne opary w czasach wielkiej samotności, gdy ciało jego wciąż jeszcze znajdowało się w czternastu rozrzuconych miejscach. O tak, widziałem widoki godne Pana Krainy Umarłych, gdyż pnie drzew w tym lesie zbliżały się ku Wam jak wartownicy jeden po drugim, kiedy tak kroczyliśmy gęsiego we mgle, przy czym udało mi się nie zboczyć z obranej drogi tylko dlatego, że widziałem mech rosnący po tej samej stronie głazów. Miałem mech po prawej stronie. Długi i męczący dzień sprawił, iż uczułem się stary i znużony jak te drzewa, ale wspięliśmy się na drugie pasmo górskie i przecisnęliśmy się przez wąwóz, w którym leżały głazy tak wielkie, że zacząłem się obawiać węży gnieźdzących się w jaskiniach tych skał. Kiedy wydostaliśmy się z wąwozu, zapadł zmrok. Próbowałem zasnąć oparty plecami o pień drzewa, ale z moich obliczeń wynikało, że nie jestem już w Libanie, lecz w Syrii, a te cedry należą do innego boga. Nie poczułem żadnych świeżych sił. Czułem się słabszy niż kiedykolwiek przedtem w czasie mej wyprawy i domyśliłem się, że tajemna kurwa króla Kadeszu wyciągnęła ze mnie więcej sił niż mi przekazała swoich. Naturalnie musiałem założyć, że ta moja siła z kolei brała się z postaci tego złodzieja, którego plecy obitem mieczem. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że ci, którzy kochają się tylko przez jedną noc, powinni znać się na złodziejstwie. W końcu udało mi się usnąć między końmi i w trójkę ogrzewaliśmy się, jak się dało. Nikt mi nie powie, że koń nie dorównuje pulchnej kobiecie, tyle tylko, że kobiety tak strasznie nie pierdzą.

Obudziłem się już po świcie i w przerwach między drzewami ujrzałem pola Syrii na rozległej równinie. Daleko, w odległości o pół dnia marszu, musiał być Kadesz. Wydawało mi się też, że gdzieś na północ od miasta widzę odbłask słońca na rydwanach, na setkach, a może tysiącach rydwanów.

Podę mną, oddalony o niecałą godzinę jazdy konnej resztką zbocza, rozciągał się wąż mojej armii. Straż Honorowa Usermare-Setpenere rozbiła obóz w pobliżu brodu na rzece. Patrząc na wojsko, zdałem sobie sprawę – wciąż jeszcze pamiętam to uczucie pewności – że patrzą na nie jeszcze inne oczy. Za mną, w lesie, niczym głaz padający pod wpływem mojej myśli, rozległ się odgłos końskich kopyt i ktoś pogalopował z wiadomościami dla króla Kadeszu, o tak, było to echo szybko uderzających o ziemię końskich kopyt.

VIII

Pola były puste, toteż widać mnie było już z daleka, gdy zjeżdżałem, osuwając się po ostatnim długim zboczu ku rzece. Posterunki wojsk mojego faraona były obsadzone z tej strony przez żołnierzy libijskich, którzy też od razu skępowali mnie na egipską modłę. Muszę przyznać, że całkiem sprawnie. Siedzenie na ziemi z nadgarstkami przywiązanymi z tyłu do szyi to okrutna tortura. Wydawało mi się, że prawe ramię wyskoczy mi ze stawu. Na szczęście jeden z woźniców rydwanu rozpoznał mnie, kiedy się zbliżałem zjeżdżając z góry, i podjechawszy kazał mnie rozwiązać. Było to jednak pewną oznaką lęku ze strony posterunków. W czasie jazdy do obozowiska dowiedziałem się, że ten biwak przy brodzie Szabtuna nie zostanie dzisiaj zwinięty. Toteż żołnierze mogli' po południu zająć się swoją bronią i dać odpocząć nogom. Ale oficerowie nie mieli spokoju. Usermare-Setpenere wpadł w gniew, mówiono. Jego zwiadowcy wciąż jeszcze nie natrafili na naszego przeciwnika, w ogóle wszystko ciągnęło się zbyt długo. Przednia straż mogła już biwakować pod Szabtuną, ale tylko dywizja Amona była w pobliżu. Dywizja Re została o pół dnia drogi w tyle i przedzierała się z trudem przez przełęcz Orontes. Ponieważ droga była zbyt wąska, by można było szybko przerzucić wozy, dywizje Ptaha i Seta dopiero ruszały w drogę, będąc o cały dzień marszu w tyle za nami. Wyobraziłem sobie, jak się człowiek czuje, grzęznąc w wąwozie. Wydawało mi się nawet, że słyszę przekleństwa woźniców i lęklive rzenie koni.

Znajomy objaśnił mi też po drodze, że najgorsza była niepewność co do przeciwnika. Nikt nie wiedział, co zastaniemy pod Kadeszem. Zeszłego wieczoru Usermare-Setpenere powiedział do oficerów:

– Monarcha Hetytów nie zasługuje na to, żeby być królem.

Nasz Ramzes wpadł w furię. Wściekał się, że musi maszerować pod Kadesz, nie wiedząc, czy czeka go bitwa, czy oblężenie.

Zastanawiałem się, ile warte są wiadomości, które przynosiłem. Czy zechce mnie wysłuchać? Nie było mi jednak dane ujrzeć faraona tak szybko. Dziesięciu oficerów czekało na swoją kolejkę, ja zaś, przepelniony ogromnym niepokojem, snułem się po obozowisku, czując pustkę w środku, jakby mój żołądek umarł.

W owych czasach rozbijaliśmy jeszcze obozy zupełnie tak samo, jak za Totmesa Wielkiego. Toteż i tego ranka pawilon króla rozstawiono w środku, między namiotami oficerów, i obstawiono z czterech stron rydwanami. Kwadrat ten otoczono bydłem i zaopatrzeniem, piechotę zaś rozmieszczono na zewnątrz, umieściwszy na sztorc tarcze na szczycie usypanych poprzedniego wieczoru umocnień. W pewnym sensie staliśmy tam jak forteca, otoczona z czterech stron ścianami tarcz. Nawet wjazd do środka odbywał się przez bramę, choć oczywiście nie była to zwyczajna brama, po prostu droga, a po jej obu stronach czuwał oddział piechoty. W środku można się było przechadzać i odwiedzać znajomych. Gdyby nie to, co miałem do przekazania, przyjemnie byłoby znów się poczuć żołnierzem. Zazwyczaj bardzo lubiłem przebywać w obozie, nawet wówczas, gdy cały dzień chrapałem, ostrzyłem godzinami szylet i nie robiłem nic więcej.

Tego dnia obawiano się jednak, iż trzeba będzie stanąć do boju – czymże byłoby życie w wojsku bez plotek? – toteż wielu Nubijczyków nałożyło hełmy i nie chciało ich zdjąć. Murzyni ci, spośród których wielu nosiło skóry leoparda, niektórzy zaś długie białe spódniczki i pomarańczowe

szarfy na prawym ramieniu, prezentowali się wspianiale. Lubili być podziwiani. Przyglądałem się temu, jak pięciu z nich kręciło się hałaśliwie w jednym miejscu, a dziesięciu innych siedziało opodal tak spokojnie, że ich milczenie było głośniejsze niż zgiełk. Dziwni to byli żołnierze i sprzeczne opinie krążyły na ich temat wśród woźniców rydwanów. Niektórzy powiadali, że Nubijczycy są dzielni w boju, inni, że nie. Wiedziałem, że są silni, ale przyrównywałem ich do koni, które są dzielne, nim się nie wystraszą, i bardzo lubią się stroić w barwne pióropusze. Podobnie jak konie przy uprzęży, Nubijczycy mieli co najmniej jedno żółte piórko przy swych hełmach. Jakież kontrast w porównaniu do Syryjczyków, którzy często stawali do boju z gołą głową, bez hełmów i mieli długie czarne brody.

Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że król przyjmie mnie dopiero po południu, co mnie uspokoiło i oddałem się wypoczynkowi na słońcu w gronie pozostałych woźniców rydwanu. Opowiedziałem im o mych przygodach, zatrzymując to, co najlepsze, dla siebie i zacząłem się przechadzać po obozie, dobroć Re zaś rozgrzewała mnie. Wreszcie mogłem zrzucić z siebie wszystko poza sandałami i przepaską na biodrach, wałęsając się leniwie w słońcu jak większość żołnierzy. Dzień okazał się dniem próżniactwa i rozleniwienia. Zaszedłem na chwilę do warsztatu królewskiego cieśli, żeby mu powiedzieć, jak straciłem rydwan, ale był zbyt zajęty, by się tym przejmować, gdyż budował właśnie rydwan z dwóch połamanych powozików. Obiecał, że dla mnie wyszuka coś lepszego, gdyż jego robotnicy potrafili z siedmiu potrzaskanych wraków złożyć sześć sprawnych rydwanów. Słuchałem tego, co mówi, kiedy tak stał pośrodku warsztatu z kołami do rydwanów na jednym stosie, szprychami do kół – na drugim i z kupą połamanych części w jeszcze innym miejscu. Nie rozumiem, jak można się było tam w ogóle poruszać.

Potem przyglądałem się żołnierzom noszącym wiadrami wodę z nad brodu do wielkiej skórzanej torby zawieszanej na trzech palach w środku obozu i koniom doprowadzanym do kowala. Widziałem żołnierzy pijących wino i stojących do walki zapaśniczej, raz zaś ujrzałem dwóch prowadzących parę koni do kuchni polowej. Czułem pot dnia i zapach pieczonego mięsa. Dwóch popijających wino żołnierzy zaczęło ćwiczyć walkę na sztylety. Najpewniej robili to od dawna i wiedzieli, jak się na siebie rzucać, zatrzymując w ostatniej chwili. Szerden, spocony jak mała w czerwonym i niebieskim wełnianym okryciu, bił osła, któremu udało się wsadzić nos w torbę z prowiantem. Jedzenie tak podnieciło zwierzę, że aż dostało erekcji. Szerden nadal bił osła, a on uchylał się i wyżerał jedzenie i wcale nie wyjmował łba z worka. Obok niego inny osioł, podniecony widowiskiem, tarzał się w kurzu.

Większość żołnierzy spała. Popołudnie zrobiło się jeszcze bardziej rozleniwione i zacząłem odczuwać zmęczenie wszystkich dni marszu, jaki wykonali ci żołnierze, a potem moje własne. Wróciłem więc do namiotu, w którym mieszkałem z innymi woźnicami rydwanów, i usnąłem na kocu. Zbudzono mnie mówiąc, że król chce mnie widzieć. Ledwo rozbudzony, jeszcze pełen strzępów snu o złodziejach i lasach, wstałem, oblałem twarz wodą z miski i poszedłem do królewskiego namiotu. Śniłem o Hetytach i widziałem we śnie drogę z pułapką wykonaną z zaostzonych pali, na których umierali egipscy żołnierze. Ciała wbite na te pale osuwały się powoli przez cały czas snu. Zmroziło mi trzewia. Łyknąłem wina z bukłaka i społem się. Wszedłem do wielkiego namiotu Ramzesa II jak człowiek, którego trzewia należą do innego.

Był to nie tyle namiot, co dom. Faraon miał tu sanktuarium do modlitwy, sypialnię, a poza tym jadalnię i wielkie pomieszczenie, w którym udzielał audiencji. Tego właśnie dnia wielu oficerów, generałów, a także księżę Amen-kep-szu-ef przybyli doń, ale kiedy wszedłem, okazał tak wyraźną niecierpliwość, że przemówił, zanim jeszcze skończyłem bić głową o ziemię.

– Czy oddałyś – powiedział – najbogatszą prowincję swego królestwa, nie zadając żadnego ciosu?

– O Panie, próbowałbym walczyć jak sam syn Re.

– A jednak opowiadają mi, że król Kadeszu znajduje się o dwa dni marszu stąd, po drugiej stronie, i nie śmie się zbliżyć. To głupiec. Rozgłoszę wszystkim, jaką hańbą się okrył. Obelisk, jaki tu zostawię, by upamiętnić zwycięstwo, obwieści całemu światu, że imię króla Kadeszu równe jest temu, co się widuje między nogami kurwy.

W namiocie było gorąco od słońca palącego drugą stronę skóry i od ciepła czterdziestu ciał zgromadzonych tu oficerów, ale od faraona po prostu bił żar. Wyglądał jak pożar na pustyni w upalny dzień.

– A kto twierdzi, że nie będzie bronił miasta Kadesz?

– spytałem.

Mój faraon wskazał na dwóch pasterzy siedzących spokojnie w kącie. Sądząc po kurzu, jakim okryte były ich długie szaty, musieli ze sto dni wędrować za swymi stadami. Obecnie ukazali zęby w uśmiechu – te zęby, które im jeszcze zostały – i pokłonili się siedem razy. Przemówił starszy, we własnym języku. Jeden z naszych generałów, nadzorca obojga języków, przetłumaczył słowa Beduina, wypowiedziane między jednym a drugim oddechem, a oddech miał łapać często.

– O ukochany Ramzesie, prawdą słynący – usłyszałem – czyż Dobry i Wielki Bóg nie wie, czym jest szczęście, jakiego się doświadcza, ścinając głowę przeciwnika? Czyż nie sprawia mu to większej przyjemności niż dzień rozkoszy?

Ujrzałem uśmiech na twarzy faraona.

Pasterz przemawiał głosem spokojnym i poważnym, tak głębokim i pełnym echa jak głos proroka. Mówił długo.

– O Ty, który panujesz w majestacie Horusa i Amona Re, Ty, który pewnie siedzisz na koniu i wspaniale powozisz rydwanem, wiedz, że przyszedliśmy przed Twój tron ze złota (istotnie, mój faraon Usermare-Setpenere siedział na niewielkim krzeselku ze szczerzego złota), by Ci opowiedzieć o naszych rodzinach. Należą one do najświetniejszych rodów składających przysięgę Muwatallisowi, królowi Kadeszu i wodzowi Hetytów. Ale nasze rody są zdania, iż Muwatallis nie jest już naszym wodzem, gdyż krew jego przybrała barwę wody. Jego siły tak się mają do twoich, jak żrenica królika do oka wołu. Muwatallis trzyma się ziemi Aleppo i brak mu odwagi, by pomaszerować na Kadesz. Tak więc nasze rody wysłały nas do ciebie, by cię zawiadomić o swym pragnieniu, pragnieniu, by zostać twymi poddanymi.

– Czuję się zaszczycony – rzekł Usermare-Setpenere – ponieważ wiem, że mówicie prawdę. Ten, kto nie mówi prawdy przed moim obliczem, wkrótce utraci członek, dzięki któremu robi się dzieci. Musi spojrzeć obojgiem oczu na tę utraconą część, nim jego oczy podążą śladem członka.

Jeszcze nigdy do tej pory nie słyszałem faraona przemawiającego takim głosem, ale też nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozgorączkowanego.

– Wierzę, że ludzie ci mówią prawdę – rzekł – bo gdzieżby śmieli kłamać? – Obróciwszy się ku mnie, powiedział: – Czy ty im wierzysz? – Gdy milczałem, roześmiał się.

– Nie wierzysz? Wierzysz, że są tak zuchwali, iż ośmielają się wprowadzać twego faraona w błąd?

– Wierzę im – powiedziałem. – Wierzę, że mówią prawdę, która jest prawdą ich rodów. Ale odjechali stamtąd wiele dni temu. Gdy byli w drodze ku nam, wojska króla Kadeszu też mogły się przemieścić. O Wielki Władco Obojga Królestw – rzekłem tak przerażony, że również uderzyłem siedem razy czołem o ziemię – o świcie dzisiaj rano zobaczyłem wojska na północy, opodal miasta Kadesz, właśnie wówczas, gdy mój wózek zjeżdżał ze wzgórza.

– Powiadasz – wojska?

– Widziałem rozbłyśki na zbrojach. Widziałem rozbłyśki, które są rzucane przez włócznie, miecze i wypolerowany metal na tarczach.

– Ale. samych mieczy nie widziałeś? – spytał książe Amen-kep-szu-ef. – Tylko rozbłyśki?

– Tylko rozbłyśki – przyznałem.

– Światło i rozbłyśki biorą się z rzeki, która opływa mury Kadeszu – rzekł książe. Wielu generałów roześmiało się. Ale kiedy faraon się do nich nie przyłączył, umilkli. Teraz domyśliłem się, dlaczego od faraona było dziwne rozgorączkowanie. Hera-Re nie leżał u jego boku. Przypomniałem sobie wówczas, jak wiele ciepła było od tego zwierzęcia.

O tak, generałowie milczeli teraz w obliczu Usermare-Setpenere, tak jak ongi milczeli wobec Hera-Re.

– Czego się dowiedziałeś o królu Kadeszu w trakcie swoich wędrówek? – spytano mnie.

– Dowiedziałem się, że Muwatallis ukrywa się w lesie opodal miasta – powiedziałem szybko. – Zebrał wielką armię i chce na nas uderzyć nagle.

– To nieprawda! – ryknął faraon. Pod czernią i zielenią jego kosmetyków ujrzałem przekrwione białka oczu. – To nieprawda – powtórzył – a jednak sądzę, że to może być prawda.

Popatrzył na mnie, jakbym sobie z niego kpił.

Rozpoczęła się dyskusja na temat tego, czy należy zwinąć obóz o świcie i pomaszerować pod Kadesz z pierwszymi dwiema dywizjami, czy też (w tym momencie nie potrafiłem usiedzieć cicho i wnet się włączyłem do dyskusji) może mądrzej byłoby poczekać jeszcze jeden dzień. Poczekać, aż dwie ostatnie dywizje przeprawią się przez wąwóz.

– Potem – powiedziałem – możemy wyrnaszerować na wielką równinę z rogiem po lewej i rogiem po prawej stronie.

Powiedziałem „rogiem”, gdyż przypomniałem sobie, że tego dnia, gdyśmy pojechali do grobu Usermare, opowiedział mi on, iż Totmes Wielki nigdy nie mówił o „skrzydle” ani o „flance”. Zawsze mówił o swej armii, jakby miała łeb i dwa rogi, jakby była potężnym bykiem.

Mój faraon pokiwał głową. Popatrzył w głąb siebie i ujrzał własny rydwan w środku wielkiej armii na rozległym polu o dwóch rogach. Byłem pewien, że wyda rozkaz, by poczekać. Ale książe Amen-kep-szu-ef też znał własnego ojca, toteż powiedział:

– Na tym wielkim polu możemy sobie poczekać jeszcze tydzień, a król Kadeszu nie przybędzie. Nasi ludzie zaczną się bić między sobą. Zaczną dezertować. Wyjdziemy na głupków, a róg się skruszy.

Faraon i na to pokiwał głową. Rada się skończyła. Wydał rozkaz. Mieliśmy rano zwijać obóz. Tego wieczoru Usermare-Setpenere stanął na klatce, w której siedział jego lew. Pewnej nocy w lasach Libanu Hera-Re zjadł jednego z naszych żołnierzy. Następnego ranka zbudowano więc dlań klatkę. Nasz faraon przemawiał do nas obecnie ze szczytu tej klatki, podczas gdy pod nim ryczał gniewnie Hera-Re.

– Bitwa pod Megiddo została wygrana przez wielkiego faraona Totmesa III. Król sam poprowadził wojsko do bitwy. Był jak potężny płomień na ich czele. I ja będę równie potężny na czele was wszystkich. – Żołnierze wydali okrzyk radości. Znów poczułem się żołnierzem mojej armii, gdyż wieczór rozżarzył się od zachodzącego słońca i od naszych okrzyków. – Totmes ruszył, by powalić barbarzyńców – rzekł nasz król – i nikt mu nie dorównał. Przywiódł ze sobą wszystkich ksiąząt przeciwnika, choć walczyli na rydwanach ze szczerego złota.

Znów wydaliśmy okrzyk radości. Za każdym razem, kiedy faraon mówił o złocie, wydawaliśmy okrzyki radości.

– Wszyscy pierzchali przed Totmesem – powiedział nasz król – i to w takim popłochu, że całe ubranie zostało na polu bitwy. – Wielki gromki wybuch szyderczego śmiechu, zbeltanego jak rzeka błota, doszedł nas od strony żołnierzy.

– Tak, zostawili na polu walki srebrne i złote rydwany – westchnął jak księżyc prześlizgujący się po wodzie – a ludność Megiddo wciągała żołnierzy na mury, chwytając ich za skórę. Dokładnie wówczas armie Totmesa mogły zdobyć miasto. – Tu nasz król przerwał. – Ale go nie zdobyły – rzekł. – Nasi żołnierze byli pochłonięci łupami, które wały się po polu. Toteż stracili skarby, które kryły się w mieście. Ludzie z Megiddo leżeli na polu jak ryby, ale wojsko Totmesa pochłonięte było obdzieraniem ich z kości niczym mewy.

Doszedł nas powszechny jęk zawodu.

– Nie zachowujcie się – rzekł Ramzes – jak mewy. Miasto, którego nie zdobyto tego samego dnia, trzeba było oblegać przez rok. Wojsko Totmesa musiało wykonać niewolniczą pracę przy ścinaniu wielu drzew, by można było zbudować wieże, na których zbliżyli się do murów miasta Megiddo. I dopiero kiedy mury Megiddo zostały otoczone egipskimi wieżami i murami oblężniczymi, miasto zostało zdobyte. Trwało to cały rok. Miasto głodowało, ale miało czas ukryć złoto. Złota nie zdobyliśmy. Nie zdobyto dobrych niewolników. Tylko trupy i chorzy witali wojska Totmesa. Toteż powiadam wam, że stoczymy wielką bitwę, ale nie szukajcie łupów, dopóki nie dam wam rozkazu! Chciałbym widzieć stos azjatyckich łbów, nie egipskich!

Wydaliśmy okrzyk radości. Krzyczeliśmy, choć strach nas ścisnął za gardło, choć w lędźwiach czuliśmy zawód, słysząc, że nie wolno od razu szukać łupów, ale wydawaliśmy okrzyki radości, a lew ryczał. Następnego dnia o świcie, po nie przespanej przez większość z nas nocy, zwinęliśmy obóz i przekroczyliśmy rzekę pod Szabtuną. Woda w głębszych miejscach podchodziła nam do piersi, ale nie straciliśmy ani jednego żołnierza i ani jednego konia. Za to owady, które wypłoszyliśmy z ich gniazd na brzegu rzeki, zaroily się całymi chmurami nad naszymi głowami i przesłoniły słońce. Nie uważano tego za dobry znak, tej chmury owadów.

Po przeprawieniu się i uformowaniu szyku ruszyliśmy w głąb wielkiej doliny wzdłuż rzeki Orontes drogą prowadzącą do Kadeszu. Gleba była tu wypalona słońcem niczym plac defilad. Wystarczy powiedzieć, że nasze konie i rydwany rozgniatyły tysiące owadów, które ustały w locie. Zostawiliśmy więc za sobą ślad naszego pochodu równie widoczny, jakbyśmy zgnetli pole jagód. Owady tkwiły w naszych włosach i ubraniach i były prawdziwym utrapieniem.

Znów poczułem, że Ramzes jest niecierpliwy. Był na czele kolumny. Jego woźnice rydwanów wraz z gwardią przyboczną oraz z najsilniejszymi Szerdenami i Nubijczykami, samymi olbrzymami, to razem niespełna pięciuset ludzi. Wysforowaliśmy się naprzód. Widać było wyraźnie, jak duża odległość dzieli nas od czoła oddziałów dywizji Amona. Co gorsza, oglądając się za siebie z niewielkiego wyniesienia zauważyłem, jak oddaliliśmy się od reszty wojska. Oddziały dywizji Re zaledwie przeprowały się przez rzekę. Dopiero za pół dnia dywizja Ptaha będzie mogła ruszyć ich śladem. Co do dywizji Seta, to żołnierze tego oddziału wciąż jeszcze mozolili się w wąwozie. Do wieczora nie mogliśmy na nich liczyć.

A jednak byłem szczęśliwy, znalazłszy się na czele. Mniej dawał się we znaki kurz. Z wypalanej na kamień równiny podnosiliśmy całe jego tumany, co wystarczyło, by odegnać owady, ale sprawiało, że kurz płynął w powietrzu ku pięciu tysiącom maszerujących żołnierzy dywizji Amona. Idąc z nimi, czułbym się jak człowiek przechodzący przez dym.

Jakże wyraźnie musiano nas widzieć z Kadeszu! Przez tumany kurzu widzieliśmy w oddali miejsce, gdzie niebo dotykało wzgórz. Miasto leżało w odległości godzinnej jazdy na szybkim koniu, ale byłem pewien, że dotrzemy tam późnym popołudniem, gdyż zaczęliśmy kroczyć wijącą

się i górzystą drogą pośród zalesionych wzniesień i nie widzieliśmy już wszystkiego jak na dłoni. Musieliśmy zatem przystawać, wysłać zwiadowców i czekać, aż wrócą.

Serce w piersiach ciążyło mi jak serce umarłego. Nie byłem osłabiony i apatyczny, ale w tej opresji zachowałem czujność, jak gdyby coś we mnie czekało, aż bitwa się wreszcie rozpocznie. Zacząłem się zastanawiać, co bym zrobił, gdybym był Muwatallisem, królem Kadeszu, i gdzie w tych lasach zdecydowałbym się zaatakować gwardię przyboczną faraona, by pojmać wielkiego Ramzesa? Potem przyszło mi do głowy, że zaczekałbym, aż połowa dywizji Amona przejdzie bród, a może i połowa dywizji Re, bym mógł uderzyć na spore siły dokładnie w chwili, gdy się rozciągną na leśnym dukcie tak dalece, że zaczną przypominać robaka, którego można będzie przekroić na pół. Jednakże próby wyobrażenia sobie, co bym zrobił, gdybym był królem Kadeszu, przyprawiły mnie o zawrót głowy, toteż doszedłem do wniosku, że przyszło mi żyć z przerażającym darem od tajemnej kurwy króla Kadeszu. Może i nie próbowałem wcale znaleźć się w myślach Muwatallisa, ale znałem po prostu myśli płynące z głębi jego serca. Jeżeli tak, to znaczy, że i nasza awangarda, i dywizja Amona nie zostaną zaatakowane jako pierwsze. To na Re spadnie grom.

Mój lęk został wyparty przez żal. W tym momencie nie groziło nam niebezpieczeństwo, poważne niebezpieczeństwo. Nie mogłem tego mówić Usermare-Setpenere. Jechał ze swoim synem Amen-kep-szu-efem zamiast mnie. Oznaczało to, że musiałem zostać woźnicą kogoś podrzędniejszego, ot, Nadzorcy Obojga Języków. Był to generał o nazwisku Utit-Kent, ale nosił też przydomek „Panienka na wyjeździe” i całe wojsko nabijało się z niego. Mówiono o nim, że miał odbyć jak wiadro. Znowu musiałem się zamyślić nad gniewem faraona. Kazał mi jechać jednym rydwanem z takim człowiekiem. Gdyby tylko dowiedział się, że potrafię sięgać myślami do myśli przeciwnika, na pewno zechciałby mnie mieć obok siebie. Tymczasem Utit-Kent mamrotał coś przez tumany kurzu, ale czynił to tak dowcipnie, że musiałem się roześmiać, gdyż wskazał na okoliczność, że choć istnieli bogowie dla każdej ryby i każdego kota, a także bogowie owadów, którzy byli wielkimi bogami, żaden bóg nigdy nie zechciał zamieszkać w kurzu. Ten generał był całkiem nieszkodliwy, błaznował przed innymi generałami, nie miał pod sobą żadnych żołnierzy i był popychadłem Amen-kep-szu-efa, ale zacząłem się zastanawiać, czy ten biedny Utit-Kent nie był przypadkiem ongi silnym żołnierzem, który stracił siły, służąc ojcu Usermare. Może ten faraon Seti też go kiedyś chwycił za włosy?

Droga nie była zła, udało nam się nawet wyminąć jeden rydwan. W lesie było wygodnie i chłodno mimo upalnego południa, ale czuliśmy się nieswojo. Kadesz był zbyt blisko. Poza tym trzeba się było rozglądać, zastanawiając się, z której strony uderzą na nas rydwany Hetytów. Co prawda w większości droga biegła przez las, ale raz po raz przekraczaliśmy pola, a na ich skraju mogła się z powodzeniem ukrywać cała armia. Pięć tysięcy ludzi mogło tam natrzeć na pięciuset, ale mój dobry król, zniecierpliwiony zwłoką, przestał już nawet wysłać zwiadowców. Musiał uwierzyć, że bramy miasta Kadesz stoją otworem.

Maszerowaliśmy aż do południa, mijając jeszcze jeden las, wiele pól uprawnych, nawet zobaczyliśmy jakiegoś rolnika, który na nasz widok zaczął uciekać, ale szliśmy naprzód, zostawiając rzekę Orontes po prawej stronie. Rzeka była leniwa i płytka i kryła pod wodą wiele brodów, przez które mogła się przepawić cała armia, toteż gdyby Muwatallis chciał nas zaatakować z drugiego brzegu, miałby po temu wspaniałą okazję. Nic się jednak nie stało i wykonawszy kolejny zakręt na naszej drodze, doszliśmy wreszcie do miejsca, z którego widać było jak na dłoni położone na północ od nas mury i wieże Kadeszu. Nie stała przed nimi żadna armia Hetytów. Nie mieliśmy przed sobą nic, tylko rzekę, która skręcała w lewo, opływając miasto. Tyle czasu straciliśmy, by dojść do tego miasta, tyle dni na Nilu i na pustyni, i w górach, że aż mi się wydawało, że nasz król nie potrafi się już teraz zatrzymać, ale będzie parł dalej naprzód,

zostawiając za sobą miasto po prawej stronie. Już niedługo mieliśmy minąć mury, i wtedy, jakby strapiiony brakiem żołnierzy przeciwnika czy wręcz ludzkich twarzy na murach i wieżach Kadeszu, ciszą tych wzgórz rozdieraną wyłącznie skrzypem kół naszych rydwanów, niezbyt głośnym skrzypieniem, gdyż jechaliśmy po równym terenie, Ramzes II koniec końców wydał rozkaz, by się zatrzymać. Stanęliśmy w niewielkim lasku z wieloma polankami i luźno rozrzuconymi drzewami, mając z boku rzekę w takim miejscu, że stromy brzeg uniemożliwiał przeprawę. Trzy otwarte podejścia do naszego kwadratu zostaną szybko osłonięte murami z tarcz i okopami. Nubijczycy zaraz przystąpili do pracy, zaczynając od pawilonu faraona. Czekaliśmy zatem w milczeniu, słysząc tylko odgłosy kopania. Dywizja Amona zaraz nadeszła i zbudowała większy kwadrat wokół naszego, co pozwoliło królewskiej gwardii cofnąć się od brzegu Orontesu. Teraz dywizja Amona miała rzekę jako czwarty bok kwadratu. Nadal od strony miasta nie słyszeliśmy ani jednego dźwięku.

Wszędzie dookoła słychać było, jak pięć tysięcy żołnierzy dywizji Amona okopuje się, choć nie bardzo się do tego przykładali. Spodziewano się wymarszu lada chwila. Toteż żołnierze niespiesznie rozkulbaczali konie, karmili je, sami się pożywiali, a rozbijaniu taborów towarzyszyło poczucie bezpieczeństwa, spowodowane świadomością własnej liczebności. Tylko ja z trudem łapałem oddech. Nie chciałem walczyć przy boku Utit-Kenta, ale oporządzałem rydwan, na którym mogłem ruszyć do boju razem z nim, ostrząc wykonane z brązu obręcze kół rzadkim kamieniem, który nosiłem zawsze w skórzanej torbie, by koła cięły jak najostrzejszy nóż. Nie na długo to wystarczało, ale jakże okrutnie takie zaostrzone koło rozcinało ciało człowieka, który padał na ziemię. Mimo to oddychałem z trudem, jakby jakiś głaz przygniatał mi klatkę piersiową. Gdy doszliśmy do naszego nowego obozowiska, nie zauważyłem śladu innych wojsk, żadnych śmieci, niczego, a igły czerwonej sosny leżące na ziemi w lesie były nie naruszone. Z drugiej strony nie wyglądały naturalnie, wydawało się, że ktoś je ponownie narzucił. Miałem wrażenie, że była tu przed nami jakaś armia, może nawet dziś rano, i zastanawiałem się, czy łatwo jest zatrzeć ślady, namiatając sosnowe igły. Poza tym czułem boga sosnowych igieł, a był prawie tak samo dziwny jak bóg mirry pochodzącej z Puntu.

Do pawilonu faraona stale wchodzili żołnierze z różnymi sprzętami. Oto jakaś szprycha od koła o nie znanym mi kształcie albo zerwany skórzany popręg nasycony dziwnie pachnącą oliwą. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że las od dawna pogrążony jest w ciszy. Potem pomyślałem, że gdybym był Mutawallisem, zostałbym na północnym brzegu, naszym brzegu Kadeszu, schowany przed wzrokiem przeciwnika w gęstym lesie i pozwoliłbym Usermare-Setpenere maszerować od południa. Dopiero w chwili, gdy wróg podejdzie pod mury miasta, przekroczyłbym rzekę na wschodzie i dalej trzymałbym się lasu, korzystając z jego osłony. A gdyby wróg posunął się dalej, przesunąłbym wojsko na południe, aby mury Kadeszu kryły mnie przed wzrokiem przeciwnika. Dzięki temu mógłbym przejść rzekę w miejscu, w którym znajdują się liczne brody, i uderzyć w środek dywizji Ptaha na otwartym polu na południe od miasta.

Kiedy zastanawiałem się nad takimi manewrami, w obozie podniósł się krzyk. Zwiadowcy przyprowadzili dwóch Azjatów broczących krwią. Żołnierze gotujący właśnie strawę przyglądali się więźniom wiedzionym do pawilonu faraona. Doszły nas krzyki bólu i trzask cepa. Kiedy doszedłem do pawilonu króla, plecy jeńców były równie zakrwawione, jak ich twarze, i rad byłem, że nie widać wyrazu ich twarzy.

Każde chłasknięcie cepem wyrywało płat skóry wielkości dłoni. Usermare-Setpenere oderwał jednemu z jeńców płat skóry z ramienia, jakby to był papirus i rzucił go na ziemię. Potem rzekł: – Mówcie prawdę.

Hetyta nie mógł znać naszego języka, ale zrozumiał ton, pojął co kryje się w oczach, które nań spoglądają. Światło tych oczu pełne było słonecznego żaru. Toteż powiedział do Usermare-Setpenere za pośrednictwem Utit-Kenta:

– O synu Re, oszczędź moje plecy!

– Gdzie jest ten nędzny król Hetytów?

– Oto prawda! – zakrzyknął Azjata w swoim języku, a Nadzorca Obojga Języków przełożył to na nasz. – Muwatallis, król Kadeszu, zgromadził liczne wojska wielu narodów. Jego żołnierze ukrywają się w górach i dolinach.

Mówił dalej, chociaż Amen-kep-szu-ef wykręcał mu ramię do tyłu. Myślałem, że je wyrwie ze stawu, bo Hetyta nawet przestał krwawić, a plecy zbieleły mu pod ciśnieniem tej tortury. Ale zwiadowca powiedział wszystko, słowo po słowie, czekając, aż Utit-Kent wyrazi to po egipsku, i powstrzymując jęk bólu. Usermare-Setpenere podniósł miecz do góry.

– Gdzie jest teraz Muwatallis?

– O panie, Muwatallis czeka po drugiej stronie rzeki.

Myślałem, że miecz opadnie. Chwiał się w powietrzu. Ale nasz król oszczędził Hetytę i zwrócił się ku nam.

– Patrzcie sami, co mi tu naopowiadaliście! – Podniósł głos. – Widzicie? A wy mi tu gadacie, że król Kadeszu to tchórz, który ucieka!

Myślałem, że uderzy mieczem własnego syna. Książę dotknął głową ziemi siedem razy i musiał się nieźle w tym czasie namyślić, gdyż podniósłszy się, rzekł:

– O Panie, pozwól mi powrócić do dywizji Ptaha. Będzie nam potrzebna.

Król powoli skinął głową, jak gdyby zmuszony poskromić swój gniew, książę zaś natychmiast wypadł z namiotu i chyba z miejsca ruszył w drogę. Nie jestem jednak tego całkiem pewien, gdyż zapanował niejaki chaos. Usłyszałem szczęk i wrzawę, potem odgłosy setek koni, straszliwy łoskot, prawdziwe piekło, uderzenia i trzaski pękających rydwanów. Nie wiedzieliśmy, że to rozbite oddziały dywizji Re, konie bez rydwanów i woźnice bez koni, wszystko to biegło teraz ku nam, żołnierze piechoty zaś ścigali wozy taboru ciągnięte przez konie pozbawione woźniców. Cała ta ogarnięta paniką gromada wpadła do naszego obozu. Dopiero później dowiedziałem się, że dywizję Re rozcięto na pół dokładnie tak, jak to przewidziałem, na drodze, na której faktycznie wili się niczym robak. Teraz tyły dywizji Re zmykały z powrotem ku dywizji Ptaha, a przednia część czmychała ku nam, ostatni zaś spośród uciekających już padali pod ciosami stojących na rydwanach Hetytów. Rozbitkowie przeciskali się między tarczami i okopami zewnętrznego kręgu dywizji Amona. Armie Mutawallisa niczym fala podmyły brzegi, na których się rozbiliśmy jak wąż Wiecznej Zieleni. W zgiełku tym ujrzeliśmy, że niebo ciemnieje jak metal sztyletu piechura.

IX

– Mógłbym długo mówić – rzekł Menenhetet do naszego faraona, a także do matki i ojca – o tym, czego to później nie naopowiadano o tej bitwie, kiedy każdy mógł o niej opowiedzieć tak, by siebie przedstawić w jak najlepszym świetle. Gdybym tak uczynił, musielibyście porównywać kłamstwa, aby zacząć poszukiwanie prawdy. Ale to wszystko działo się później. Na początku był hałas i tęgie zamieszanie. Mimo to przypominam sobie bez trudu, co czułem tego długiego popołudnia, jakie potem nastąpiło, kiedy wielu spośród nas bliżej stało śmierci niż życia. Czułem niezwykle ożywienie. Wciąż jeszcze widzę ostrze włóczni mijające z lewej strony me ramię i ostrze miecza o włos rozmiągające się z moją głową. Raz nawet wyrzuciło mnie z rydwanu faraona (czułem się, jakbym we śnie spadł z łóżka), ponieważ jakaś włócznia tak mocno uderzyła w moją tarczę. Była to największa bitwa wszystkich wojen i przez wszystkie cztery życia nie słyszałem o takiej, która by jej dorównywała. Tego dnia, rzecz jasna, umysł mój nie przemawiał do mnie tak jak potem i muszę przyznać, że zarówno najważniejsze, jak i te najbardziej błahe chwile przechodziły obok mnie obojętnie jak przechodnie. Przypominam sobie jednak, że w chwili gdy wrzawa dosięgła naszego obozu, Usermare-Setpenere odwrócił się ku mnie i rzekł:

– Weź tarczę i wsiadaj do mojego rydwanu.

Ja zaś, który marzyłem o tej chwili od czasu gdy płynęliśmy Nilem, w pyle Gazy i w tajemniczym Tyrze, skinąłem tylko głową i pomyślałem, że praca przy ostrzeniu kół rydwanu Utit-Kenta poszła na marne, bo Utit-Kent prędzej sam sobie obetnie nogę, wypadając z rydwanu niż wykorzysta to przeciw wrogowi. I tak przemożny był wpływ bitewnego szoku, kiedy to wydarzenia jawią się niczym odłupane kawałki gładów pryskające we wszystkie strony, że już wówczas dojrzałem oczyma wyobraźni to, co miało się dopiero wydarzyć. A Utit-Kent faktycznie wypadł z rydwanu, ostre zaś, wyostrzone przeze mnie koło, poszarpało mu nogę, gdyż konie w panice poniosły, przejeżdżając przez niego.

Jak już powiedziałem, w chwili gdy faraon mnie wezwał, potrafiłem tylko skupić uwagę na odszukaniu skórzanej torby, gdyż chciałem wyostrzyć koła jego rydwanu. Szybko jednak zorientowałem się, że to niemądry pomysł. Cały oddział żołnierzy – Królewska Gwardia Rydwanu Potężnego Byka – wiecznie polerował złote i srebrne podwozie i czyścił brylanty, którymi wysadzany był powóz, toteż można było sobie odciąć palec, wodząc nim po kole. Wspiąłem się na klatkę z lwem, by ogarnąć wzrokiem to, co się wokół nas działo. Hera-Re natychmiast zaczął ryczeć pode mną jak pijany włóczęga, rzucając się o ściany klatki tak silnie, że omal nie spadłem. Stojąc na prętach klatki czułem, jak zwierzę uderza w nią ogonem i barkami, i rozglądałem się na wszystkie strony, bo ogarnęło mnie silne podniecenie wywołane natłokiem wydarzeń, ze wszystkich stron rwących ku mnie niczym spienione fale Wiecznej Zieleni.

Widziałem kwadrat króla otoczony ze wszystkich stron, gdyż obszerniejszy kwadrat zbudowany pospiesznie przez żołnierzy dywizji Amona już utraciliśmy. Poza naszym kwadratem zapanowały chaos i rzeź. Żołnierze dywizji Amona porzucali jedzenie, gry, namioty, wozy taboru i zwierzęta. Wszyscy, którzy znajdowali się w środku naszego kwadratu, stali murem przy faraonie, ale na zewnątrz nie widziałem zbyt wielu naszych, stawiających czoła hordom Hetytów, napływających tak szybko, że już sami zaczęli się gubić. Azjaci nie nadjeżdżali zwartym szykiem ani jeden za

drugim w karnym szeregu, jak to zwykli czynić Egipcjanie, nie, naprzód rwała chmara stu rydwanów, po trzech jeźdźców w każdym, w dziwacznych żółtych czapkach. Nie starali się też zabić przeciwnika strzałami z łuków ani mieczami, lecz próbowali go rozgnieść kołami swoich rydwanów. W zgiełku walczące rydwany naszych żołnierzy przewijały się między nimi, a niektórzy spośród naszych woźniców rydwanów, nawet w tej sytuacji z lejcami wokół pasa, szyli z łuków uwijając się sprawnie, niczym myśliwi wokół dzika. Nasz wróg nadjeżdżał taką gromadą i tak nieskładnie, że widziałem nawet rydwany Hetytów zderzające się jedne z drugimi, po czym trzech wyrzucało wysoko w górę, a trzech innych ciskało o ziemię. Ale znad wzgórz, spoza lasu, napływały wciąż nowe, nieprzebrane hordy hetyckich rydwanów, niektóre szybko, inne wolniej. Widziałem najbliższy oddział, może ze trzydzieści albo czterdzieści rydwanów, galopujący ku królewskiemu kwadratowi. Przypuścili szarżę na nasze umocnienia, wjechali pod górę i niemal wszyscy wywrócili się. Ci, którzy zachowali równowagę, wylądowali pośród najsilniejszych Szerdenów faraona, którzy pochwycili konie Azjatów za wędzidła i przytrzymali je na tyle, by okręcić koniom łby i zatrzymać rydwan, a w tej samej chwili inni Szerdeni rozpruwali brzuchy zwierząt sztyletami. Potem ściągnęli z rydwanów Hetytów. Żaden się nie ostał z trzydziestu, którzy natarli na nasz kwadrat, ja zaś, jak rozogniony chłopaczek rozglądający się z klatki Hera-Re, ujrzałem w pewnym momencie, że faraon z głową spuszczoną, z przymkniętymi oczami, jeszcze się modli. Z jego ust płynęły takie oto słowa:

– W piątym roku mego panowania, w trzecim miesiącu trzeciej pory roku, w dziewiątym dniu Epifi, w majestacie Horusa, ja, Ramzes Meri-Amon, Potężny Byk, ukochany Maat, król dolnego i górnego Egiptu, syn Re, któremu dane jest życie wieczne – i usłyszałem, jak wymienia wszystkie swoje imiona. Podobnie jak szaduf pompuje wiaderko wody, ciągnąc je pod górę, faraon rozgrzewał swą krew, jakby wody samej Krainy Umarłych miały dotrzeć do jego serca, by przestał się bać śmierci, by żywi i umarli jednakowo byli mu posłuszni. – Przemawiam do was, ja, który jestem waleczny, silny jak byk, którego moc wrze w żyłach jak ogień.

I tak mówił, a na polu bitwy wśród lasów i pól ujrzałem, jak tuż poza naszym kwadratem koń pada ze strzałą wbitą w kark, przygniatając rydwan z trzema Hetytami, jeden z naszych woźniców rydwanów zaś spada na dyszel między swoimi końmi z włócznią wbitą w piersi. Jak okiem sięgnąć, wszędzie zabici leżeli na wznak, spoglądając w niebo. Najbliższy był ode mnie dalej niż rzut kamieniem, ale widziałem dokładnie, że jego wzrok był jasny jak oko ptaka. Tuż przy nim leżał inny, trzymając się za genitalia. Potem zobaczyłem człowieka, którego ramię utkwilo w piascie rydwanu. Podszedł Hetyta i odrąbał mu głowę toporem. Przez cały ten czas większość naszych żołnierzy umykała do lasu. Nie do wiary, w jaką panikę wpadli żołnierze dywizji Amona!

Ale oto mój faraon skończył modły i otworzył klatkę Hera-Re, ten zaś wyszedł na zewnątrz. Potem Usermare-Setpenere wskoczył do rydwanu na miejsce woźnicy. Ja wskoczyłem obok. Faraon objechał nasz kwadrat dookoła, prawie zahaczając żołnierzy, i zaczął krzyczeć: „Będziemy atakować! Będziemy atakować!”

Sześć rydwanów, siedem, potem osiem zaczęło krążyć naszym śladem. Inne załogi zasalutowały, ale poczekały do następnej rundy. Przyłączyło się kilka, ale wciąż niewiele.

– Za mną! – rozkazał Usermare-Setpenere i na czele dwudziestu rydwanów przejechał w pełnym galopie południową stronę naszego kwadratu, wybierając najniższe miejsce w usypanym dookoła wale.

Przejechaliśmy i wyjechaliśmy na zewnątrz, objijając się o siebie, ale już po chwili byliśmy na polu, mając ze wszystkich stron rydwany Hetytów. Kiedy ośmieliłem się spojrzeć za siebie, zauważyłem, że połowa naszych była wciąż jeszcze z nami. Druga połowa nie śmiała przejechać umocnień. Byliśmy otoczeni, jeżeli można to tak określić, skoro nasz faraon, wzmocniwszy swoje

członki odwagą umarłych, o mocy Siły Teb i Maat Jest Zadowolona nie wspominając, mając najszybsze konie świata i Hera-Re skaczącego u naszego boku z rykiem głośniejszym niż lawina głazów spadających po skalnym zboczu, galopował razem z nami przez wszystkie utarczki bitwy tak szybko, że nikt, nawet nasze własne rydwany, nie mógł nam dotrzymać tempa, choć niektórzy próbowali. Hetyci rozstępowali się przed nami, a także nieszczęśni Egipcjanie z dywizji Amona i Re, których mijaliśmy. Mimo że przejechaliśmy całe pole, wpadliśmy do lasu, znów wróciliśmy na pole – nie wystrzelono do nas żadnej strzały ani my nie strzelaliśmy. Żaden Hetyta nie zbliżył się do nas ani pieszo, ani na rydwanie – może bali się lśniącego powozu Usermare-Setpenere i pyska Hera-Re pędzącego obok nas.

Za nami, jak ogon rozciągnięty tak bardzo, że może się oderwać, ciągnęli nasi woźnice rydwanów. Wiedziałem dobrze, jak trudno dotrzymać faraonowi tempa w nierównym terenie, toteż została ich tylko garstka. Byłem przekonany, że moje życie zależy od bystrego wypatrywania przeszkód przed nami, ale kiedy ośmieliłem się rzucić okiem za siebie, zobaczyłem, że niektórzy spośród naszych zostali otoczeni przez Hetytów, niektórzy zawrócili albo przebijali się z powrotem, mój Ramzes II zaś galopował na południe. Nigdy nie był równie szczęśliwy, dzielny, przystojny. Wyglądał, jakby samo słońce świeciło mu z oczu!

– Przebijemy się i odnajdziemy żołnierzy Ptaha! – krzyknął. – Zabijemy tych głupców, gdy powrócimy!

W tejże chwili natknęliśmy się chyba na setkę hetyckich rydwanów zaczajoną na polu.

Teraz miałem okazję przypatrywać się bitwie do syta. Do dzisiaj nie wiem, ile naszych rydwanów jeszcze nam towarzyszyło i czy w ogóle nie byliśmy sami. Kiedy nasz Ramzes skierował swój złoty rydwan w sam środek formacji ciężkich wozów hetyckich, z których każdy obsadzony był przez trzech wojowników, straciłem całość pola bitwy z oczu. Ujrzałem włócznię godzącą w moje ramię i topór, który nie trafił w moją głowę. Zobaczyłem, jak Hera-Re skacze przez trzech wojowników na jednym wozie dopadając, koni następnego. Zobaczyłem, jak lew zwisa do góry nogami wczepiony kłami w szyję konia. Ukryty między końmi przed strzałami Hetytów trzymał się zwierzęcia, jego szczeka spływała krwią z gardła rumaka, pazury tylnych łap rozrywały koniowi brzuch, aż stanął dęba przeszyty takim bólem, że i drugi koń także się poderwał, po czym oba upadły do tyłu, przygniatając załogę, Hera-Re zaś skoczył od rumaka do ludzi i odgryzł komuś ramię. Nie wierzyłem własnym oczom, oglądając to kątem oka między ruchami tarczy, którą odbijałem setki strzał nadlatujących zewsząd w kierunku faraona – jakby nikomu nie przychodziło do głowy, by strzelać do koni albo do mnie w jego złotej obecności. Strzały były dzikie, ale nie te, które powstrzymałem. Nadlatywały z impetem, jak ptaki wpadające z rozpędu na mur, a ich ostrza, złowieszcze niczym nosy wrogów, przebijały skórę mojej tarczy.

Przez cały ten czas Ramzes II miał w ręku łuk i szył zeń w pełnym galopie, omijał zręcznie hetyckie rydwany, a powoził tak sprawnie, że potrafiliśmy zatrzymać się, okręcić, zaszarżować i znów się zatrzymać, podczas gdy nacierające na nas rydwany wpadały na siebie.

– Twój miecz! – zawołał, a potem, nie ruszając się z rydwanu, my dwaj przeciw trójce z każdej strony, zaczęliśmy walczyć mieczami przeciwko sześciu toporom, oparłszy się o siebie plecami. Walka nie była tak całkiem nierówna, gdyż Hera-Re najpierw wskoczył na jeden rydwan, potem na drugi i to z taką wściekłością, że inne rydwany nie śmiały się zbliżyć. Wyswobodziliśmy się zatem i znów pędziliśmy na południe. Wydawało się nam, że dotrzemy do dywizji Ptaha i tak też do siebie pokrzykiwaliśmy, ale się okazało, że na następnej polanie oczekuje nas nowa setka Hetytów w rydwanach.

Od czasu do czasu kilka naszych rydwanów doganiało nas, toteż nie byliśmy przez cały czas sami, ale pięć razy walczyliśmy całkiem sami, szarżując w sam środek masy ludzi i koni tak gęstej,

że widzieliśmy przed sobą las mieczy, zbroi, toporów, koni, ramion i przewracających się rydwanów. Niektóre mijały nas bez jeźdźców i wpadały na inne. Drzewa się trzęsły. Wielki łuk Ramzesa, którego nikt poza nim nie potrafił napiąć, wysyłał strzały z taką mocą, że przebity nimi człowiek spadał z rydwanu na ziemię. Takie widoki też widziałem kątem oka, jak się dostrzega oko na twarzy namalowanej na skorupie garnka. I tak na przykład ujrzałem Hetytę trzymającego człowieka umierającego od rany, z której tryskała krew, a dwóch innych niósł rydwan pozbawiony lejców, gdyż trzeciego zmiotło. Wielu żołnierzy stratowało konie lub rozjechały koła rydwanów. Widziałem masę tych hetyckich kół z ośmioma szprychami i śniły mi się później latami w czasie koszmarnych snów te małe kółka wydęte jak odbyt. Były też widoki zdradzające szaleństwo – zobaczyłem na przykład Hetytę napadającego na własnego konia w uprząży – był tak wściekły, że zabił konia toporem. Może zwierzę próbowało go stratować? Nie wiem, bo więcej nie widziałem, musiałem się uchylać przed ciosami, odpychać włócznię albo odzyskiwać równowagę po odbiciu się faraona, gdy ten podrywał konie do ostrego zakrętu. Raz nawet spadłem, wylądowałem na równe nogi i wskoczyłem znów do rydwanu. Moje płuca zaznały boskiego ognia. Zobaczyłem, jak Hera-Re skacze na trzech stojących nieruchomo na rydwanie wojowników – zamarli w bezruchu po utracie koni. Wciąż jeszcze spoglądali ze zdumieniem na bezużyteczne lejce, kiedy jego szczęki zacisnęły się na ich ciałach.

Wszędzie rozbiegały się bezpańskie konie. Jednego zobaczyłem, jak się czołgał na złamanych przednich nogach, a za nim leżał na ziemi woźnica rydwanu, trzymając się kurczowo ogona, aż zwierzę odwróciło się, by go ugryźć. Jeszcze inny woźnica stał w odrętwieniu na swoim rydwanie, a konie szły powoli bez lejców. Potem mężczyzna omdlał i zobaczyłem, jak się osuwa na ziemię. Ujrzałem też konia bez jeźdźcy, próbującego się wczołgać do przewróconego rydwanu. Obłąd. Jakaś para koni, ciągnących pusty rydwan, próbowała ominąć dwa inne wpadające na siebie, ale zahaczyła o nie i pusty rydwan wyleciał wysoko w powietrze, konie zaś zwały się na ziemię. Jeszcze nie słyszałem tak przeraźliwego rżenia! Jednak najbardziej przejmująco rżał rumak, któremu Usermare-Setpenere przebił pierś strzałą, gdy ten próbował wskoczyć między naszego ogiera i klacz. A wszędzie, jak okiem sięgnąć, konie robiły kupy, umykając w panice. I tak to trwało. Już nam się wydawało, że przebijemy się przez linie Hetytów, kiedy od południa pojawiała się nowa linia wozów, znów ją zaatakowaliśmy, nawet próbowaliśmy się przebić, ale po szóstym podejściu ujrzeliśmy tysiąc Hetytów nadchodzących ku nam w zwartym szyku.

– Tu się nie uda – powiedziałem do faraona. – Tędy się nie wydostaniemy.

Popatrzył na mnie, jakbym był najnikczemniejszym tchórzem, jakiego widział w życiu, i rzekł: – Pokrzep serce. Rozbiję ich i zetnę w pył!

Popatrzyłem na tysiąc żołnierzy i na mojego króla, a wyraz jego twarzy przypominał mi tych obłąkanych żebraków, którzy byli przekonani, że są synami faraona... o tak, mój Ramzes II mógł sobie przysięgać, że zniszczy wszystkich, którzy się zowią Hetytami, a ja tak silnie byłem przekonany, że jest zbyt pewny siebie, że go źle zrozumiałem, toteż powiedziałem: – Zawróćmy do twego pawilonu, panie, zbierzmy oddziały i stamtąd uderzymy na Hetytów.

Na te słowa zawrócił konie i znów zaszarżowaliśmy, tym razem na północ, ku resztkom kwadratu króla, odległym o jakieś dwa wzgórza, ze trzy pola i parę lasków, sam nie wiem dokładnie ile.

Wszędzie kręcili się wrogowie, żadnych rydwanów naszej armii nie widzieliśmy, a mimo to Hetyci nie zwrócili na nas uwagi. Byli pochłonięci plądrowaniem porzuconego obozu dywizji Amona. Przebiliśmy się więc ku kwadratowi króla i usłyszeliśmy radosne powitanie tych, którzy zostali. Oficerowie przybiegli ku nam podnieceni, opowiadając o tym, jak to dzielnie odpierali ataki od północy, południa, zachodu, nawet od strony rzeki, aż Hetyci odstąpili, mimo tysięcy żołnierzy

nie zdołali zdobyć umocnień, ale Ramzes słuchał wrząc z gniewu. Gdyby im wierzyć, można by przypuszczać, że nasze czyny nawet się do ich nie umywają, ale w zbrojach naszych koni jeszcze tkwiły setki strzał, pysk Hera-Re zaś był bardziej zlany krwią Hetytów niż pierś człowieka, którego rozplątano mieczem. Nie uwierzyłbym, że krew może być aż tak jasna, gdybym nie widział jej aż tyle.

Menenhetet przerwał.

– W tym, co wam opowiedziałem, nie ma jeszcze ani odrobiny moich prawdziwych przeżyć. Czułem się wspaniale. Przez cały ten czas, kiedy próbowaliśmy się przebić na południe, czułem się bosko, jakbym był dwakroć potężniejszy – właśnie jak bogowie, którzy są dwakroć od nas wyżsi, silny zaś byłem w czwórnasób, zupełnie jak bogowie, którzy w każdym ramieniu czują siłę wszystkich naszych czterech kończyn. Nigdy jeszcze nie byłem równie niestrudzony, dokonując trudnego żniwa, i nigdy jeszcze mój oddech nie był tak bliski bogom. Byłem w stanie bić się całe popołudnie i cały wieczór z miłości do Ramzesa i do koni, i dzięki podnieceniu, które mnie ogarniało, gdyśmy pędzili razem. Czasami wystarczyło, że tylko pomyślałem, iż trzeba skrócić w lewo, a już mój król to robił, potem zaś, jakbym miał oczy z tyłu głowy, wiedziałem dokładnie, kiedy zasłonić się tarczą przed chmurą strzał właśnie nadlatujących w naszym kierunku. Miałem wówczas całkowitą pewność, że żyjemy po to, by bogowie mogli się nam przyglądać badawczo, by potem pozwolić nam także poczuć się bosko. Nie umiałbym czmychnąć z pola, tak samo jak nie potrafiłbym odrąbać sobie stóp, przynajmniej tak długo, jak długo bogowie stali po mojej stronie, a jednak wystraszyłem się widoku tysiąca rydwanów Hetytów. Właściwie to nie wiem, czy naprawdę się bałem, nie bałem się bowiem samego przerażającego widoku, tyle tylko, że nagle poczułem się chłodny, spokojny i zmęczony, ramię mi zaciężyło, głos zaś, który usłyszałem, był tym samym boskim głosem, który do mnie przemawiał w bitewnej wrzawie, z tym że teraz szepnął mi: „Nie pozwól temu głupcowi atakować, bo obaj zginiecie”. Muszę wam powiedzieć, że w głosie tym kryło się rozbawienie – tak jest, rozbawienie – ale zarazem głos był delikatny i spokojny, toteż mógłbym przysiąc, że to nie Amon szeptał, nie Amon obracał potężnym językiem, lecz cichutko przemówił sam Ozyrys. Któż inny ośmieliłby się nazwać mojego faraona głupcem? Tylko bóg Ozyrys, który poradził mi, bym szybko powrócił do królewskiego pawilonu. Toteż powiedziałem sam do siebie: „Nawet jeżeli jestem synem Amona, to Ozyrysowi zawdzięczam dzisiaj ocalenie”.

Teraz znajdowaliśmy się pośród żołnierzy gwardii przybocznej, którzy ucieszyli się z naszego powrotu, toteż znów poczułem przyływ boskich sił. Znów odniosłem wrażenie, że jestem dwa razy wyższy niż zazwyczaj i zacząłem łaknąć walki do tego stopnia, że poczułem jak twardnieje i nabrzmiwa mój członek. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać z emocji. Zobaczyłem, że Hera-Re skacze wesoło, liżąc twarze naszych żołnierzy swoim zakrwawionym językiem, a jego członek był potężny i też się wyprężył, co oznaczało, że podobnie jak ja jest w dobrym nastroju. Nie wiem, czy to sprawiła krew padłych w boju, czy radość żołnierzy, którym udało się obronić obozowisko, a może wczesny rozkład ciał wokół nas, kiedy to zaczyna uchodzić siedem dusz i duchów – ale muszę powiedzieć, że powietrze w naszych nozdrzach było jak róża o zmierzchu, gdy światło słońca także różowieje. Oto jak wspaniale pachniało nasze pragnienie nowej bitwy! Pomyślałem znów o opowieści mojej matki, o tym, jak się obudziła u boku mego ojca, a bóg lśniący złotem napierśników znajdował się nad nią i lepianka także pachniała perfumami słodszyimi niż te, które do tej pory wachała.

Zrozumiałem teraz uczucia, jakich doznała. Można je było porównać z delikatną wonią tego powietrza. Nie wiem, czy zawdzięczaliśmy ją Amonowi, czy Ozyrysowi, ale byłem wzruszony i wspiąłem się na klatkę Hera-Re, co jego też wprawiło w dobry humor, toteż zaczął się przechadzać i pomrukiwać z zadowoleniem. Dopiero wówczas rozejrzałem się dookoła i ujrzałem Hetytów

nadciągających z tysiącem rydwanów i drugim tysiącem w odwodzie, w dwóch wielkich półkolach od zachodu i od południa. Na północy było już tylko pobożowisko. Żołnierze dywizji Amona i Re uciekli, zostawiając tylko ciała, porzucone rydwany, porozbijane namioty i wozy z zaopatrzeniem, które właśnie plądrowali Hetyci. Mądrość Ozyrysa jeszcze mnie nie opuściła, gdyż szepnąłem królowi: – Na wschodzie, tuż nad rzeką, linia Hetytów jest cienka.

To prawda, było tam mniej Hetytów niż po innych stronach naszego kwadratu, co więcej, rzeka płynęła o jakieś dwieście kroków od nas, toteż Ramzes – zbierając w sobie siły Amona i mądrość Ozyrysa – krzyknął do dzielnych żołnierzy gwardii przybocznej broniących wszystkich boków kwadratu:

– Wszyscy za mną! Do rzeki!

Zostawiwszy nasze flanki i tył bez ochrony, Ramzes wskoczył do rydwanu i ruszyliśmy od razu galopem w towarzystwie rydwanów, które jeszcze pozostały, i otoczeni zewsząd naszą piechotą.

Od linii naszych tarcz po stronie wschodniej do ich żołnierzy było może pięćdziesiąt kroków i przebyliśmy tę odległość, nim ktokolwiek zdążył trzy razy zmrużyć oko. I dobrze, bo nigdy jeszcze nie widziałem takiej chmary strzał nadlatujących w naszym kierunku. Zaskoczyły mnie. Jeszcze przed chwilą ci Hetyci nad rzeką byli ospali, z rzadka tylko posyłali ku nam strzały, podobnie jak my ku nim. Kiedy przelatywały one od jednych umocnień do drugich, zbierało się po prostu to, co upadło na ziemię i zwracało Hetytom. Ale zdumiało mnie, że wystrzelili ich aż tak wiele w tym krótkim czasie, gdyśmy galopowali ku ich liniom. Słyszałem jęki trafianych strzałami żołnierzy piechoty, a potem w bitewnym szale – tak jest, był to szal – wbiliśmy się w tarcze przed nami, a nasze ręce konie, Maat Jest Zadowolona i Siła Teb, przeniosły nas ponad umocnieniami Hetytów.

Nie wiem, jak się człowiek czuje, wpadając do rzeki i szorując po głazach jej dna. Ponieważ nie umiem pływać, nigdy się nie dowiem, a jednak potrafię to sobie wyobrazić, gdyż złoty rydwan mego króla, silniejszy niż dziki zwierz i piękny jak młody bóg, natarł naraz na trzy rydwany Hetytów. Zderzyliśmy się z dziewięcioma wojownikami, sześcioma końmi i trzema ciężkimi wozami, a choć przypuszczam, że wszyscy wylecieliśmy w powietrze, wiem na pewno, że my wylądowaliśmy na ziemi. Pamiętam, że padłem, a król obok mnie, nasz rydwan poleciał na nas, jego stępione koło jeszcze rozdarło mi plecy, a potem odskoczyliśmy, konie zaczęły się miotać i już wstając widziałem, że Jego Rydwan stoi jak należy – sam nie wiem, jakim cudem, chyba że się przekulał razem z końmi, ale w końcu to Jego Rydwan. Tak czy inaczej, wskoczyliśmy ponownie do wozu i objeżdżaliśmy miejsce zderzenia dookoła, szyjąc z łuku do Hetytów.

A wszystkie te zdarzenia, wyrzucenia, upadki i powroty do boju przebiegały tak powoli, jak zsuwanie się z góry w zwolnionym tempie snu. Nigdy jeszcze nie miałem aż tyle czasu, by ciało przystosować do nowego wstrząsu, nigdy dotąd nie czułem, że mam aż tak ręce stopy.

Trudno mi dzisiaj powiedzieć, czy dobrze walczyliśmy. Walka była całkiem niepodobna do ćwiczeń, które odbywaliśmy latami, nie było to natarcie szyku zbrojnych na szereg nieprzyjaciela, nie było zapędzania piechoty w jakiś zaułek, o nie, mieliśmy zamiar zepchnąć ich do rzeki i to szybko, bardzo szybko, zanim pozostali Hetyci wpadną na kwadrat królewski, właśnie zostawiony w tyle. Może sprawiła to rozpacz wynikająca z położenia, w jakim się znaleźliśmy, bez czoła, bez tyłów, bez flanki, prawdopodobnie już także bez królewskiego pawilonu, do którego można by się wycofać, iż walczyliśmy jak Hera-Re, i tak wielka była nasza żądza zwycięstwa tego potwornego dnia, że bez przerwy to zeskakiwaliśmy z rydwanów, to wskakiwaliśmy na nie ponownie. Ramzes i ja często walczyliśmy oparci o siebie plecami, raniąc wielu, zabijając paru i zawsze wskakując z powrotem do naszego rydwanu, by znów natrzeć na Hetytów. Wszędzie jak okiem sięgnąć widziałem nasze zwinne rydwany okrążające ciężkie wozy Hetytów zręcznym manewrem. Na ziemi zaś Nubijczycy przeszywali Hetytów swymi krótkimi włóczniami. Widziałem, jak ktoś

odgryzł drugiemu nos i wielu Nubijczyków miało żółte czapki pokryte krwią. Oto przemknęło obok trzech Hetytów, jeden zaś spośród nich trzymał w ręku topór, a w jego pośladku tkwiła strzała. Oglądał się do tyłu, jakby chcąc zobaczyć, kto go ugryzł.

Zapędziliśmy ich wszystkich do rzeki. Piechotę, rydwany, załogi rydwanów, nawet ksiąząt. Walka była zażarta, ale nasze miecze cięły bez litości, nasza rozpacz zaś dodawała sił i męstwa. Prychając, szlochając, warcząc na siebie nasi żołnierze z piechoty i spieszeni woźnice rydwanów wpadli w taki szał, że wskakiwali na pędzące luzem konie i spychali wroga do rzeki. Najpierw jeden rydwan Hetytów spadł z brzegu, usłyszeliśmy plusk i wrzask, a potem zobaczyliśmy jak unosi go prąd. Skoro mowa o głazach i rwącej rzece, to rzeka akurat w tym miejscu była wartka i wąska, przy wielu głazach zaś widać było niebezpieczne wiry. Pierwszy rydwan rozbił się o te skały i uświadomiłem sobie, że woda przerwała w połowie przeciągły okrzyk jakiegoś człowieka.

Mając rzekę za plecami, pozostali Hetyci zaczęli walczyć równie zaciekle jak my, ale nasi żołnierze już poczuli zwycięstwo i wpadli w prawdziwy szał. Ponieważ wyparliśmy ich z obozowiska, niektórzy chwycili płonące żagwie i zaczęli nimi ciskać w Hetytów – widziałem nawet Szerdena ciskającego kawałkiem niedopieczzonego wołu. Hetyci też bronili się pochodniami, sztyletami, miecze uderzały o miecze, a topory o topory. Zepchnęliśmy wszystkich, którzy nie padli w boju, a tych paru, którym udało się chwycić za wystające gałęzie i zawisli na brzegu, obsypano strzałami. Jeden z naszych Nubijczyków tak się podniecił bitwą, że ześlizgnął się w ślad za Hetytą, by go zepchnąć i sam też wpadł do wody. Obaj utonęli, gryząc się i trzymając nawzajem za gardła.

Jakaż ulga! Staliśmy na brzegu rzeki i krzyczeliśmy z radości. Chwytałyśmy łąpczywie oddech, szlochaliśmy i krzyczeliśmy. Brzmiało to jak obłąkane zawrota w pochodzie pogrzebowym. Patrzyliśmy na wodę i widzieliśmy niezapomniane widoki. Oto prąd unosił konia, a Hetyta starał się wspiąć na jego grzbiet, spadał, znów próbował, aż wreszcie ześlizgnął się ostatecznie i utonął, koń zaś dopłynął do drugiego brzegu, a jacyś Hetyci wyciągnęli zwierzę z wody. Potem wyrzuciło na brzeg jakiegoś księcia w purpurowych szatach, Hetyci zaś podnieśli go i trzymali nogami do góry, a ja nie wierzyłem własnym oczom, widząc, ile wody może się człowiekowi wylewać z gardła. Potem usłyszałem, że był to ni mniej ni więcej tylko sam książę Aleppo. Widziałem więc ludzi z królewskich rodów trzymanyh za nogi, a potem dojrzałem innego Hetytę, który właśnie tonął. Widziałem, jak żegna się z ojczyzną, idąc pod wodę, ale oto następny przemknął pode mną z rękoma wokół końskiej szyi, jakby chciał zwierzę pocałować. Mówił też coś do konia i słyszałem, jak szlocha, nim roztrzaskali się obaj o skały. Za nim unosił się topielec, który był tak tłusty, że wynosiło go ze strzałą w brzuchu na powierzchnię. Zobaczyłem nawet, jak jednemu z żołnierzy udaje się dotrzeć wraz z wierzchowcem do drugiego brzegu i wyczołgać z wody, po czym padł, konając z odniesionych ran. Gdy dogorywał, koń lizał mu rękę.

Potem zobaczyliśmy Hetytów wychodzących spoza drzew na drugim brzegu rzeki. Wyszli z lasu, ale byli zbyt daleko, by można ich było dosięgnąć strzałami. Ponieważ miałem wprawę w szybkim liczeniu żołnierzy w polu w setkach albo tysiącach, wnet obliczyłem, że było ich tam z osiem tysięcy. Zadowolony byłem, że znajdują się po drugiej stronie rzeki i to akurat w miejscu, w którym nie ma brodu, choć przyznam, że kiedy tylko nasz Ramzes ich ujrzał, jego radość z odniesionego zwycięstwa znacznie przygasła.

– Atakujemy! – zakrzyknął. – Na zachód!

Nie miałem nigdy pojęcia, czy mój król postępuje mądrze w wirze bitwy, ale w końcu można mówić o mądrości w przypadku człowieka, nie zaś boga, a on nigdy nie odwracał się, by sprawdzić, czy rozkaz został wykonany. Toteż przypuścił atak na opuszczony przez nas obóz, a wszędzie pełno było Hetytów obróconych do nas plecami, z twarzami skierowanymi ku ziemi, plądrujących nasze

namioty. Byli ślepi jak robactwo rojące się w mięsie. Ci głupcy byli tak żądni łupów, że zaniechali nawet dobijania nas od tyłu, gdy walczyliśmy nad rzeką. Zamiast nas, zaatakowali nasze mienie.

Ze dwie setki plądrowały pawilon króla, gdyśmy wrócili. Tam ich podpaliliśmy. Nigdy nie pojmę mojego faraona. Nikt nie kochał własnego bogactwa bardziej od niego, ale w czasie bitwy ogarniała go taka gorączka, że pierwszy podniósł płonąca żagiew i cisnął nią na własny namiot, setka naszych żołnierzy zaś podsyciła ten ogień. Nasze rydwany przewiozły bierwiona z ognisk. Ściany waliły się teraz na plądrujących w środku Hetytów, a kiedy wybiegali z brodami w ogniu, z zapalonymi wełnianymi czapami, w palącej się odzieży, nasi Nubijczycy dobijali ich krótkimi pałkami i rozwalali łby tym płonącym głupcom, podwójnym głupcom, gdyż umierali z łupem w objęciach. Smród płonącej skóry królewskiego namiotu był jeszcze okropniejszy niż odór przypiekanego ludzkiego mięsa. Ale zarazem zapachy te przenikały nas do szpiku kości, rozgrzewając do walki. Poczujęm siłę we własnym mieczu, jakby metal odpoczął po trudzie i nabrał nowej energii.

Wykończyliśmy Hetytów w pawilonie królewskim i spadliśmy jak plaga na drobniejszych rabusiów, plądrujących nasze tabory. Wyparliśmy ich na wszystkie strony i znów mieliśmy nasze kwadratowe umocnienia. Znów wydaliśmy okrzyk radości. Dwa półkola azjatyckich rydwanów, które zbliżały się ku nam, zatrzymały się wnet w sporej odległości od naszych linii. Oni też byli zajęci plądrowaniem, ale łupili własnych piechurów. Bo też żołnierze wciąż jeszcze zajęci byli mieniem porzuconym przez żołnierzy dywizji Amona, a wówczas rydwany Hetytów spadły na nich niczym wielkie drapieżniki trzebiące pomniejsze zwierzęta drapieżne.

Teraz pawilon króla dopalał się. Skóra spłonęła. Na ziemi leżały białe popioły, niektóre wciąż jeszcze tliły się. Mój Ramzes spytał:

– Kto przyniesie mojego Boga?

Kapitan Nubijczyków wskazał na jednego ze swoich Murzynów, olbrzymiego mężczyznę z wielkim brzuchem, zbudowanego jak sam Amon, czarny zaś wszedł w żarzące się resztki namiotu, wyszukał poczerńiałą figurkę – trzeba powiedzieć, że musiał naprawdę wyteńczyć siły – i zataczając się, wyszedł na zewnątrz. Ponieważ posążek był ciężki, Nubijczyk musiał go przycisnąć do ciała i oparzył sobie piersi, brzuch, ręce, ramiona i stopy. Kiedy tylko postawił posąg boga u stóp mego króla, Usermare-Setpenere pocałował go, pocałował tego Murzyna. Jakiż większy zaszczyt może jeszcze spotkać Murzyna niż pocałunek faraona? A potem mój Ramzes ukląkł przed Amonem i zaczął doń przemawiać jak najcichszym głosem, mówiąc mu o swej miłości porównywalnej tylko z blaskiem nieba o zachodzie. Następnie ujął swą spódniczkę za róg i otarł sadze z twarzy boga, całując go w wargi, choć jego własne wargi natychmiast wybuchły pęcherzami oparzeń, które nosił na twarzy niczym zbroję w czasie bitwy. Przerażająco wyglądał, gdyż mógł już tylko przemawiać spoza napuchniętych sznurów dolnej i górnej wargi.

Zastanawiałbym się może, jak to możliwe, żeby czarny zniósł tak potworny ból, albo jak dalece mój faraon musi kochać Amona, skoro gotów jest znosić tak straszliwe cierpienia, ale dokładnie w tej samej chwili jakieś luźne piórko sfrunęło z pióropusza faraona, noszonego ku czci Maat, i upadło u mych stóp. Gdy je podniosłem, poczułem, że pierze jest ciężkie od krwi i bitewnej mazi, że czuję je w ręku jak nóż, że waży swoje. Wiedziałem, że należy je pocałować. Kiedy uczyniłem to, potworne gorąco przeszło z warg faraona na moje i oto ja też musiałem walczyć z białymi, nabrzmiętymi pęcherzami na wargach.

Czy opowiedzieć wam o tym, jak przebiegała dalsza bitwa tego dnia? Pamiętacie, że zaczęła się pod niebem zachmurzonym i ciemnym. W tym ponurym świetle, tak niezwykłym dla naszych egipskich oczu, pot ziębił nasze ciała, gdy tylko przystawaliśmy, by złapać oddech, pragnienie paliło nasze gardła. Teraz położenie poprawiło się i gdy Hetyci zwarli wreszcie szyki,

zaprzestawszy wzajemnego wydzierania sobie łupów i zaczęli nas atakować, byliśmy już silniejsi. Żołnierze dywizji Amona wracali do obozu z różnych miejsc, dokąd się porozbiegali, a między tymi powracającymi oddziałami a Hetytami zaczęło dochodzić do potyczek. Widząc, że te rozproszone oddziały pragną jak najszybciej dostać się z powrotem do obozu i chcąc im to ułatwić, mój król wyjeżdżał parokrotnie z woźnicami gwardii przybocznej po obu stronach. Pięć razy tak wyjeżdżaliśmy i odczuwaliśmy szok bojowego zwania, ale za każdym razem robiło to na nas mniejsze wrażenie, gdyż wiedzieliśmy już, iż mamy przewagę dzięki łukom. Nasze strzały dolatywały dalej i nie musieliśmy wpadać na ich cięższe pojazdy, lecz mogliśmy się zatrzymać w pewnej odległości, szyjąc z łuku tak szybko, jak potrafiliśmy, zarazem wyłapując te strzały, które wystrzeliano w naszym kierunku. Hetyci wyraźnie przegrywali w tym starciu. Wiele spośród ich koni, trafionych naszymi strzałami, wywoływało zamieszanie w ich sztykach, płosząc zaprzęgi innych rydwanów, toteż często zmuszeni byli cofać się. W tym właśnie momencie niebo rozstąpiło się i ukazało się słońce. Było nam ciepło późnym popołudniem i nabieraliśmy sił. To właśnie wtedy nasz faraon stracił z kretesem poczucie rzeczywistości i przestał sobie zdawać sprawę z tego, jak dalece przeciwnik górował nad nami liczebnie. Nie mówiąc nic nikomu, rzuciwszy mi tylko jedno słowo, powodowany słonecznym ciepłem albo oparzeniem na wargach, z lejcami ledwo dotykającymi grzbietów naszych doskonałych koni (Maat Jest Zadowolona i Siła Teb jawiły mi się tego dnia wśród mnóstwa końskich trupów nie jako konie, lecz jako olbrzymy), pocałował ku największemu kręgowi Hetytów i to tak błyskawicznie, że zatrzymaliśmy się dokładnie przed namiotami ich wodzów. I właśnie w tym miejscu, przed liniami ich wojsk, tylko ze mną u boku, nasz król zbliżył się do ich flag i sztandarów. Byliśmy niemal całkowicie okrążeni przez azjatyckie rydwany. Hera-Re zaryczał z taką furią, że żołnierze chyba się bali wyciągać łuki z obawy, że lew wybierze sobie właśnie ich jako cel ataku. Nie wiem, dlaczego na nas nie zaszarżowali, ale akurat w tym momencie na polu bitwy zapanowała cisza, jak gdyby nikt nie był w stanie ruszyć się dalej, i ucichł nawet sam Hera-Re.

– Walczę w tej wielkiej bitwie u boku Amona – rzekł Ramzes II – a kiedy wszystko już będzie stracone, sprawi On, że ujrzą mnie jako dwie potężne armie Amona pod wodzą Horusa i Seta. Jam jest Władcą Świata.

Wzniósł miecz do góry, aż zaśniło na nim słońce, a potem zeskoczył z rydwanu i podszedł dziesięć kroków ku wodzom Hetytów.

– Przywiąż lwa – rozkazał mi i czekał, z mieczem w dłoni, aż uwiązałem Hera-Re do rydwanu. Potem wyciągnął duży palec, co oznaczało, że chce walczyć z najlepszym wojownikiem.

Z szeregu wodzów hetyckich wyszedł książę o straszliwej twarzy. Brodę miał rzadką, jedno oko płaskie jak kamień, drugie jasne. I zszedł on z rydwanu, a w chwili, gdy Usermare spostrzegł go, jestem pewien, że też poczuł się nieswojo.

Zaczęli walczyć. Hetyta był szybki, a jego ruchy zwinniejsze niż ruchy mego Wielkiego i Dobrego Boga. Gdyby książę ten równie wprawnie władał mieczem jak mój król, walka wnet by się skończyła, ale Usermare zaatakował z taką wściekłością, że ten drugi trzymał się poza zasięgiem uzbrojonego ramienia, obiegając faraona dookoła. Jednakże riposty Hetyty zablokowały ciosy Władcy Słońca z góry i od dołu, a kiedy tylko dojrzał swoją szansę, sam przypuścił atak.

I faktycznie, na nodze mego króla pokazała się krew. Zaczął utykać, zwolnił ruchy, niedobrze z nim było, jeśli sędzić po błysku w jego oczach. Zaczął oddychać z trudem, ciężko jak koń. Nie do wiary – miecz tego Hetyty robił się coraz śmielszy. Wnet to on przeszedł do ataku, a mój pan zaczął się cofać. Ciężar długich godzin bitwy zaczął go przygniatać i w pewnej chwili, osłaniając własną twarz przed ciosem znad głowy, Ramzes złamał sobie nos tarczą. Już myślałem, że wszystko

stracone, ale starcie zostało przerwane. Lew tak się rozjuszył, że musiałem przeciąć jego smycz, bo inaczej rzuciłby się na nasze konie.

Hetyta, widząc że lew rusza w jego kierunku, w te pędy puścił się ku swoim, a Usermare, bardzo zmęczony, oparł się na mieczu. Lew zaczął mu lizać twarz. Okrzyk podobny do bekania hipopotamów dobył się z gardzieli Hetytów, toteż nabrałem pewności, że za chwilę zmiotą nas szarżą, tak jak stoimy. Gdyby tak uczynili, byłoby po nas. Usermare nie miałby sił, by unieść miecz, a ja i lew bylibyśmy sami. Jednakże w tej samej chwili rozległ się głos trąby Hetytów. Usłyszałem zew do wycofania się. Potem, ku memu zdumieniu, zaczęli się spieszenie cofać, zostawiając za sobą namiot wodza.

Byłem pewien, że to pułapka. Nie wierzyłem, że z własnej woli zostawiają nam takie łupy. I to w dodatku w sytuacji, gdy mają przewagę. Zaraz jednak spostrzegłem przyczynę tego odrotu. Wreszcie dotarła do nas dywizja Ptaha. Jej rydwany szybko nadjeżdżały od południa. Hetyci spieszyli się więc, by dotrzeć do bram Kadeszu, nim dywizja Ptaha odetnie im odwrót. Zostaliśmy na polu sami.

Wydaje mi się, że właśnie wówczas mój król miał widzenie. Na pewno widział coś dziwnego. Powiem tylko, że kiedy zataczając się ruszył ku porzuconemu namiotowi, pojawił się dopiero po chwili, a w ramionach trzymał Złotego Byka. Był on bogiem tych Azjatów i posiadał wielkie, pokryte piórami skrzydła oraz twarz nie byka, lecz pięknego mężczyzny z długą syryjską brodą. Miał też ostre uszy jak potwór, a za kapelusz służył mu zamek w kształcie baszty. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego boga. Bóg ten wrzeszczał straszliwie (odrażająca litania przekleństw) w surowym języku tych Azjatów i musiał chyba wyliczać wszystkie większe nieszczęścia, plagi szarańczy i katastrofy, grożąc, że je sprowadzi raz jeszcze, by pomścić porzucenie przez wyznawców. Był to najokropniejszy głos, jaki w życiu słyszałem. Przemawiał przez poparzone wargi mojego faraona, przekleństwa zaś dźwięczały w krtani Usermare, aż wreszcie rzucił tego boga na ziemię. A wówczas, przysięgam, widziałem to na własne oczy, że złotych ust tego bykopodobnego zwierzęcia dobyły się czarne opary. Nie wiem, dlaczego naszego faraona zaczęto nazywać Potężnym Bykiem Amona, ale teraz miałem przed sobą innego byka, też boskiego, ze skrzydłami i z brodą. A wtenczas zdałem sobie sprawę z tego, że rysy uskrzydłonego byka były rysami twarzy tajemnej kurwy króla Kadeszu. To jej rysy widziałem na uskrzydłonym byku, twarz pięknej kobiety z brodą. Wiedziałem więc, że okrzyki wydawane tym głosem pochodziły od boga Muwatallisa. Słyszeliśmy jego rozpacz z powodu przegranej bitwy. Może to właśnie w czasie wojny docieramy do miejsca, w którym tęcza dotyka ziemi, a wiele rzeczy dotąd zakrytych potrafimy zrozumieć.

X

Gdy Hetyci odstąpili, pola opustoszały. Zostaliśmy sami i Hera-Re uniósł głowę, po czym zawył przeciągle. W ryku zwierzęcia wyczuwało się jego zagubienie, nieświadomość, czy wygraliśmy, czy ponieśliśmy klęskę. W oddali widać było żołnierzy dywizji Ptaha porzucających właśnie zamiar dotarcia do wrót Kadeszu przed Hetytami. Skręcili i zaczęli wracać ku królewskiemu kwadratowi. Ale mój faraon nie raczył nawet unieść ramienia, by ich pozdrowić. Przejechaliśmy raz jeszcze przez skapane we krwi pobojuwisko, słysząc wiele jęków rannych i ostatnie pozdrowienia konających. Ktoś zdołał nawet wydobyć z siebie dźwięk, mimo że niemal zupełnie odrąbano mu głowę. Widać było tylko dziurę w szyi i chyba przez tę dziurę wołał. Mój faraon nie zwracał jednak uwagi na dzikie krzyki radości, którymi pozdrowili nas żołnierze, gdyśmy wrócili do obozowiska. W milczeniu podjechał do ruin swego pawilonu. Nie zsiadł z rydwanu.

Mimo że oficerowie podeszli ku nam, bijąc pokłony i czołgając się na kolanach, faraon odezwał się tylko do swoich koni:

– To wy, moje wspaniałe konie! To wy ruszyliście ze mną, by odeprzeć wroga ludy i to wy byliście ze mną, gdy samotnie stawiałem czoło wrogowi!

Kiedy jego miecz uderzał o miecz wroga w walce, leciały iskry. Takie same iskry ciskały teraz jego oczy, gdy oglądał swoich oficerów. Nie śmieli nawet uderzać czołami o ziemię.

– Oto – rzekł – moi obrońcy w godzinie próby. Niechaj zawsze mają honorowe miejsce w królewskich stajniach i niechaj zawsze otrzymują pożywienie, kiedy i ja jem!

Wysiadł z rydwanu i pogłaskał je po nosach. Odpowiedziały pełnym zadowolenia rzeniem. Ich pióropusze podarto, skóra była czerwona od zakrzepłej krwi, nogi im drżały ze zmęczenia, ale raz jeszcze podziękowały mu rzeniem. Potem Ramzes usłyszał, co mieli mu do powiedzenia oficerowie.

– O wielki wojowniku! – zakrzyknęli. Był to bełkot, bo wykrzykiwano ze sto pochwał naraz w sześciu czy siedmiu językach, a na dodatek nader pospiesznie: – O Podwójnie Wielki Władco Obojga Królestw! – krzyczano. – Ocaliłeś nasze wojska! Żaden król nie potrafi tak walczyć jak Ty!

– A wy – usłyszeli w odpowiedzi – nie ruszyliście za mną. Nie mam zwyczaju pamiętać nazwisk tych, których zabrakło przy mnie w czasie walki pośród nieprzyjaciół. Mam za to Meniego, który jest moją tarczą. – Tu otoczył mnie ramieniem i poklepał po pośladkach, jakbym był koniem. – Popatrzcie – powiedział wszystkim oficerom – mieczem powaliłem tysiące, a pod moimi ciosami padło ich mrowie. Miliony wrogów odparliśmy.

Wszyscy zakrzyknęli: „Chwała!” – rzekł pradziadek.

– Niektórzy faktycznie bili się, a paru nawet dzielnie i dużo. Wielu spływało krwią z odniesionych ran. Ale wszyscy słuchali zawstyżeni i spuścili głowy, gdy generałowie dywizji Ptaha wysunęli się naprzód, by pozdrowić naszego monarchę. Nie podziękował im jednak za uratowanie w samą porę naszych oddziałów, nie pochwalił też swego syna Amen-kep-szu-efa za szybkie dotarcie do dywizji Ptaha, lecz rzucił sucho: „Co też Amon powie, jeśli się dowie, że mój Ptah zostawił mnie samego w tak doniosłym dniu? Zabijałem wroga i tratowałem go kołami, ale kół pozostałych rydwanów zabrakło, nie było też piechoty. Ja i tylko ja musiałem spaść jak burza na ich wodzów!”

Mogliśmy się tylko skłonić. Odczuwaliśmy pustkę, spustoszenie gorsze niż to, które siali Hetyci. Oficerowie rzucali się przed nim w proch, bili czołami o ziemię, płakali. Ja sam, znajdując się w dość szczególnej sytuacji, też się skłoniłem, ale tylko dla zachowania ostrożności i bez uśmiechu. Podejrzywałem nawet, że źle robię i powinienem stać nadal prosto, żeby mój król nie wziął mnie przypadkiem za jednego z nich. Zastanawiałem się też, czy nie padło mu na umysł po tym okrutnym charkocie, jaki azjatycki bożek wyrzucił z gardła. Trudno powiedzieć. Król wnet umilkł i usiadł w samotności przy poczeriałym posążku Amona, oczyszczając z sadzy jego brzuch i członki płótnem własnej spódniczki. Przycisnął też własne czoło do boskiej brwi w długiej, niemej podzięce.

Otoczyliśmy go w milczeniu. Czekaliśmy. Kiedy zbliżył się wieczór, kiedy złoto późnego popołudnia zaczęło zachodzić razem ze słońcem, rzekł:

– Możecie kazać liczyć zabitych.

Słyszając te słowa, oficerowie zorientowali się, że można już się do niego odzywać.

Jestem jednak pewien, że czoło od boskiej brwi oderwał z żalem. Tak długo, jak długo siedział dotykając złotego czoła wielkiego boga, mógł się sycić widokiem zachodu słońca spod przymkniętych powiek i napawać naszą egipską mądrością, kojącą spalone mięso jego gardła i ust. Nie do wiary, ale kiedy podniósł twarz, zobaczyłem, że z jego warg zniknęły pęcherze (na moich jeszcze było je widać). Przekonałem się więc, że do czystego złota, z którego odlano Amona, domieszano także balsam chłodny jak rosa. Jakież wspaniałe zalety ma ten metal słońca!

Wnet zaczęło się liczenie rąk. Odcięte ręce złodziei kładziono wtenczas, podobnie jak dziś, na stos za wrotami pałacu, ale w epoce Ramzesa Wielkiego liczono je także po bitwie. Usermare-Setpenere stał na swym rydwaniu, a żołnierze podchodzili po kolei, najpierw ze straży przybocznej, a potem z dywizji Amona. Wiele setek, tysiący żołnierzy przeszło tego wieczoru przed obliczem faraona, choć nie wiedzieliśmy, czy bitwa już się skończyła, czy też dobiegł tylko końca pierwszy jej dzień. Muwatallis miał jeszcze piechotę i rydwany, jedne i drugie za wrotami miasta Kadesz. Nazajutrz mogli ruszyć od nowa w pole. Nie wiedzieliśmy zatem, czy wygraliśmy, czy też przed świtem należy przysposobić się do boju. Ale teren, na którym stoczyliśmy po południu bitwę, dzisiejszej nocy należał do nas, czuliśmy się więc jak wówczas, gdy posiadziemy kobietę innego mężczyzny. Jutro może do niego wróci, ale dziś wieczór nikt ci nie może powiedzieć, że przegrałeś. Im dłużej trwał ten wieczór, tym bardziej zamieniał się w noc rozkoszy. Jak gdyby dając wrogowi do zrozumienia, jak bardzo nim gardzimy, ponieważ ukrył się za murami miasta, rozpaliliśmy tyle ognisk, że pole było szkarłatne i złote, a luna była tak potężnie, jak w te rzadkie cudowne zachody słońca, kiedy noc już zapada, mrok skrada się ze wszystkich stron, ale zarazem blask zachodzącego słońca jeszcze wisi w powietrzu, a ludzie nie gubią własnych cieni. Luna była ód naszych ognisk tego wieczoru, światłość zaś była z tych części drzew, w które za młodu weszło słońce, wychodzące teraz w płomieniach ogniska.

Ogniska nasze płonęły całą noc i tejże nocy, stojąc w rydwaniu, Usermare-Setpenere przyjmował defiladę odciętych rąk hetyckich żołnierzy. Ponieważ nie odzywał się do nikogo z wyjątkiem żołnierza, który przynosił mu ręce zabitego wroga, i pisarza, który zapisywał nazwisko przynoszącego trofeum, mogłem od czasu do czasu wychodzić i wracać na swoje miejsce. A jednak Usermare-Setpenere ani drgnął i przez cały czas, kiedy podchodzili żołnierze, tkwił na rydwaniu, nie zmieniając położenia stóp. Zdałem sobie ponownie sprawę z tego, że przebywając w jego obecności dowiadywałem się, jak postępuje bóg, jeśli przybierze ludzką postać. Do złudzenia będzie przypominał człowieka, a zarazem zdradzi boskość nawet w najdrobniejszych gestach. Tym razem chodziło o to, że nie przesunął stopy ani o milimetr. Przyjmowanie tysiąca żołnierzy i jeszcze tysiąca, i jeszcze jednego, podnoszenie prawą ręką ręki kogoś, kto poległ jeszcze tego samego

popołudnia albo nawet przed godziną (bo w dalszym ciągu dobijano jeńców), wypytywanie o nazwiska tych, którzy właśnie podali zimną kończynę, przekazywanie nazwiska pisarzowi, rzucanie ręki na stos bez poruszenia stóp... przecież to jawna oznaka boskiego spokoju i opanowania. Jego stopy nawet nie drgnęły. Za każdym ruchem jego ramienia rzucającego rękę na stos rosła góra odciętych kończyn i w końcu zrobiła się jak namiot. Rzucał z taką samą gracją jak poprzednio powoził końmi Maat i Teby, z lejcami uwiązanymi wokół pasa, bezbłędnie. Trudno było sobie wyobrazić, że można to robić inaczej. Pokazywał nam, na czym polega szacunek. Prawa ręka zabitego wojownika, ta sama ręka, która mogła ucisnąć jego dłoń przy podpisywaniu traktatu, trafiała do jego ręki, faraon zaś rzucał ją uważnie i ostrożnie na stos, na miejsce dla niej stosowne. Stos rósł niczym piramida o zaokrąglonych narożnikach, ale faraon nie pozwolił, by podstawa zanadto się rozszerzyła albo by wierzchołek zanadto osiadł. Nie był jednak próżny i nie chciał, by piramida była zbyt strzelista, gdyż wówczas jedna niewłaściwie rzucona ręka mogła zniszczyć cały pracowicie ułożony kopiec. O nie, ręce były dorzucane na stos harmonijnie, zgodnie z pożądaną długością podstawy i wysokością, harmonia rzutów zaś dorównywała harmonijnej nieruchomości, z jaką Ramzes przyjmował swych żołnierzy.

W tym momencie Menenhetet przymknął oczy, jakby zastanawiał się, czy rzeczywistość była równie doskonała, jak to wynikało z jego opisu.

Ponownie zaczął mówić:

– Zapewniam was, że podniosły charakter tego rytuału nie miał, niestety, nic wspólnego z tym, co się działo na terenie naszego obozowiska, które niedawno było polem bitwy, by znów posłużyć nam do rozbicia obozu. Zabić człowieka w walce to jedno, a odciąć mu rękę to coś zupełnie innego. Och, takie widoki widziało się wszędzie, na przykład w chwili, gdy rydwan, na którym człowiek pędził, nagle się wywracał i przez szprychy widać było, jak opadał jakiś Egipcjanin zajęty jest odrzynaniem nadgarstka jakiegoś Hetyty, dopiero co powalonego na ziemię. Widać było nawet jakichś żołnierzy tak rozgrzanych i zaślepionych żądzą zdobycia trofeum, że nie widzieli Hetyty skradającego się od tyłu, zabijającego ich ciosem w głowę, a następnie odrzynającego im wargi. Wargi! Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdybyśmy przegrali bitwę z Hetytami?

Jak wiadomo, żaden dobry żołnierz nie przepuścił okazji zdobycia dłoni przeciwnika w czasie różnych kolej tej bitwy. Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie dyskusje rozgorzały między nami wieczorem, kiedy ludzie najdzielniejsi w polu znaleźli się po zakończeniu bitwy bez jednego trofeum w rękę. Takie ręce wiele znaczyły dla żołnierza. Można było powiedzieć, jak się nazywamy, w obecności faraona, a nazwisko trafiało wówczas na specjalną listę. Można się było spodziewać zaszczytów, a nawet awansu. Poza tym znalezienie się z pustymi rękoma po bitwie uchodziło za hańbę. Co człowiek w takim razie robił? Jak było do przewidzenia, wybuchały bójkі. Kiedy żołnierze z rydwanów straży przybocznej faraona odkryli, iż piechota z dywizji Amona, która pierwsza rzuciła się do ucieczki, nadciąga z większą ilością rąk niż oni, omal nie wybuchła druga wojna w naszych szeregach. Oficerowie musieli udać się na naradę, by zaprowadzić porządek.

Wiedzieli, że kłótnie będą trwały bez końca, jeżeli nie ugodzą się co do jakiegoś przydziału. W innym wypadku mogło dojść do bójkі nawet przed obliczem faraona. Toteż trzeba było ustalić, ilu Hetytów zabiły poszczególne oddziały. Jeśli na ośmiu żołnierzy wypadało pięć rąk, to z pewnością najsilniejsi i tak te ręce sobie przywłaszczyli bez względu na to, jak dzielnie walczyli przez całe popołudnie. Trzeba dodać, że niejeden postradał uszy w trakcie bójek, które się wywiązały z powodu podziału rąk poległych Hetytów. Zważywszy na oburzenie prawdziwie walecznych wojowników, których pominięto, nie mówiąc o zaciekłości dobrze zbudowanych osiłków, którzy co prawda przedtem stchórzyli, ale teraz przypominali sobie inny przebieg bitwy, noc pełna była

wydarzeń, które niełatwo zapomnieć. Nim nadszedł świt, straciliśmy z pięćdziesięciu ludzi w czasie tego zamieszania.

Jeszcze gorzej wiodło się pojmanym Hetytom. Jeżeli nie znaleźli się pod strażą dzielnych i odpowiedzialnych oficerów, wnet tracili prawą rękę. Wielu wykrwawiło się na śmierć. Wielu miało kikuty obwiązane skórzanym temblakiem i przeżyło powrót armii do Egiptu, gdzie ich sprzedano jako jednoręcznych niewolników. A przez cały czas ci spośród naszych ludzi, którym nie przydzielono żadnego trofeum, przeszukiwali krwawe pobojojowisko z pochodniami w rękę. Niektórzy ośmielili się nawet obcinać ręce trupom naszych żołnierzy, choć ryzykowali, że przyłapani na gorącym uczynku stracą własne ramię. Ostatecznie wszystkie trofea mogły nazajutrz stracić na znaczeniu, gdyby się wydało, że niektóre spośród rąk należały do Egipcjan, toteż każdy z naszych żołnierzy, któremu obcięto rękę w nadgarstku, został dokładnie odarty z szat i zmasakrowany nie do poznania – oszczędzę wam zresztą szczegółów. Mimo to nad ranem i tak widać było, że to ciało naszego żołnierza. Nawet bez twarzy nagi trup Egipcjanina nie przypominał nagiego Azjaty. Byliśmy mniej owłosieni.

Skoro już mowa o owłosieniu, to Hetyci mieli gęste brody, a prawdopodobnie liczyli także na to, że gęsta czupryna ochroni ich szyję przed ciosem miecza. Włosy na ich głowach były zmierzwione i twarde niczym skóra hełmu, prawdopodobnie po to, by chronić czaszkę przed ciosami naszych pałek. Na nic to się zdało. Nawet hełm nie chroni przed każdym ciosem. W miarę jak noc upływała, coraz bardziej znęcano się nad jeńcami, zapychano się nimi, pochłaniano ich (jeszcze do tego wróć). Wszędzie widać było komiczne i żałosne zarazem widowisko: dziesięciu albo i dwudziestu Hetytów wiązano razem, wykręcając im ręce na szyję, a sznur wiódł do gardła następnego, toteż kiedy im kazano maszerować, dwudziestka musiała postępować gęsiego, z wybałuszonymi ze strachu oczyma, z wyprężonymi szyjami, a tak byli zbici w gromadkę, że można ich było wziąć za dwadzieścia fig nanizanych na sznurek, tyle że figi te jęczały z bólu pod wpływem krępujących je więzów. Trzeba dodać, że strażnicy niezbyt gorliwie ich pilnowali. Każda grupka wałęsających się po pobojojowisku żołnierzy mogła sobie odciąć pierwszego albo ostatniego – nie chciało im się bowiem wysuptykać jeńców ze środka szeregu. A następnie w świetle ognisk widać było przerażające sceny. Wiele bród Azjatów traktowano niczym łono kobiety, a i pośladków też nie oszczędzano. Gdziekolwiek widać było po pięciu znęcających się w ten sposób nad jednym biedakiem zamienionym w kobietę, pewnego jeńca zaś zaprzęgnięto niczym konia w uprząż, a następnie żołnierze zabawiali się z nim, tak jak nigdy nie postępowaliby z prawdziwym koniem. Ten Hetyta nie mógł nawet otworzyć ust ni wydać jęku – w ustach przelewało mu się, tak były pełne. Wyobraźcie sobie, z jaką furią siadano okrakiem na jego głowie.

Mogłoby się wydawać, że bezmiar przelanej tego dnia krwi zniechęcał do jej dalszego rozlewu. Ale krew jest jak złoto i roznieca żądze. Byli tacy, którzy nie mieli jej dość i nadal łaknęli krwi. Wszyscy byliśmy nią pokryci, lepcy, krew na nas zasychała, a jednak prędzej czy później byliśmy żądni nowej krwi. Pragnęliśmy krwi jak kosmetyku, który nakłada się na poprzedni. Krew nas podniecała, a była bliżej niż ogień. Nie sposób było dotrzeć do środka ogniska, ale krwią dyszeliśmy wszyscy. Byliśmy jak ptactwo, które opilo się krwią i przez całą noc wysysało ją jak pobojojowisko długie i szerokie. Ptaki podrywały się z ciężkim trzepotem skrzydeł do góry, gdy się zbliżaliśmy, a potem słychać było trzask niczym uderzenie gromu – były to jednak tylko skrzydła unoszące ptaki od nas i od krwi. No i muchy. Doprowadzały nas do wściekłości swoimi ukąszeniami, jakby mściły się za tych, których zabiliśmy. Osaczony chmurami tych owadów zastanawiałem się nad ranem nad tym, w jaki sposób siły uchodzące z człowieka, gdy zostaje ranny, przenoszą się do ramienia tego, który zadał ranę. Z drugiej strony – zraniwszy człowieka, można było jego ranę wyleczyć. Jeżeli żałowało się własnego czynu, można było splunąć na własną

prawicę, a to łagodziło ból rannego. Tak mi przynajmniej opowiadali Nubijczycy. Jeżeli pragnęliśmy ranę zaognić, trzeba było pić gorące i żrące soki albo wino rozgrzane nad ogniskiem, a wówczas rana przeciwnika zaczynała go palić. Myślałem więc o Hetytach, którzy pocięli mnie na piersiach, nogach, ramionach, i rozglądałem się tak długo, aż znalazłem miecz Hetytów. Przez całą noc oliwiłem jego ostrze i zakopałem go w chłodnych liściach, by moje ciało odczuło nazajutrz ulgę. Wypiłem też gorące wino, by rozognić rany, jakie zadałem moim wrogom.

Pamiętam, że niektórzy poucinali nawet Hetytom głowy i zatknęli je na włócznie. Niektórzy przyświecali pochodniami, a my kiwaliśmy tymi włócznie. Staliśmy nad brzegiem rzeki, mając po drugiej stronie miasto Kadesz, i przez całą noc urągaliśmy im, brzegi rzeki zaś zaczęły cuchnąć smrodem rozkładających się już ciał. W ciągu najbliższych upalnych dni smród będzie nie do zniesienia.

Kiedy tak staliśmy nad rzeką, z murów wystrzelono strzały, ale było ich niewiele, toteż zacząłem się zastanawiać, gdzie się podziały tysiące hetyckich żołnierzy, z którymi walczyliśmy. Dlaczego nie strzelali z luków? Nie miało to w tej chwili znaczenia. Byliśmy co do jednego pijani, a kiedy jedna ze strzał doleciała do nas i wbiła się koniuszkiem grota w pierś jednego z woźniców rydwanów, ten wyjął grot i odrzucił strzałę, a następnie potarł skaleczenie ręką, zlizując ze śmiechem krew z palców. Następnie pomazał sobie całą pierś własną krwią, odciął parę kędziorów z brody Hetyty, którego głowę nadziano na pikę i opatrzył nimi ranę na piersiach.

– Potworności, jakie wyczyniają mężczyźni – wtrąciła się nagle moja matka – są nie do opisanania!

Gdy mówiła te słowa, poczułem się jej bliski, tym bardziej, że udawałem, iż śpię i odczuwałem jej doznania w całej pełni. Nigdy dotąd nie widziałem u niej takiej wściekłości skierowanej na mojego pradziadka, ale jednocześnie czułem, jak traci swoją odwagę, gdy jej oczy spotkały się z oczyma Menenheteta, gdyż była także silnie podniecona. Jej brzuch aż skwierczał oczekiwaniem, co odczuwałem jako przenikliwy ból głowy podobny do bólu zęba. Zapłakałem na głos.

Menenhetet tylko pokręcił głową.

– Po drugiej stronie rzeki – powiedział – na szczycie wieży stała kobieta, która patrzyła na nas i ujrzała brodę tego Hetyty, z której odcięto parę kędziorów. Zaczęła wrzeszczeć. Może rozpoznała twarz swego kochanka albo męża, a może ojca lub syna, ale jej wrzaski biły pod niebo. Jęczała i zawodziła bez końca. Nigdy potem nie słyszałem tak jęczącej kobiety. Znamy jęki płaczek na każdym pogrzebie. Hipokryzja nie daje się ukryć. Ich żal ma wyrażać bowiem niechybny koniec wszelkich namiętności serca, a jednak rok później mają nowego mężczyznę.

Na to moja matka odparła głębokim głosem:

– Kobiety poszukują samego dna żalu. Jeżeli doń dotrą, gotowe są na przyjęcie następnego mężczyzny. Gdybym to ja miała oplakiwać kochanka i gdybym wiedziała, że jest to żal bezdenny, zrozumiałabym, że za tym mężczyzną muszę ruszyć nawet do Krainy Umarłych. Ale dopóki nie zacznę zawodzić, nie mogę nigdy być pewna takich uczuć.

Spojrzała tryumfalnie na pradziadka, jakby mówiąc: „Czy nie pomyślałeś kiedyś choć przez chwilę, że to ty mógłbyś być tym mężczyzną?”

Pta-nem-hotep uśmiechnął się blado.

– Twoje opowiadanie, drogi Menenhetecie, jest tak niezwykle, że w każdej chwili, gdy opisywałeś bitwę, dziesięć pytań cisnęło mi się na usta, ale nie chciałem zmieniać biegu twoich myśli. Teraz jednak, gdy Hatfertiti wyznała nam głębię swych uczuć i przemówiła do ciebie, pozwól, że ci zadam jedno pytanie. Jakie były uczucia miotające moim wielkim przodkiem Usermare-Setpenere przez cały czas bitwy i podczas tej okropnej nocy? Czyżby niczego nie widział? Czy jego stopy nie drgnęły ani na chwilę?

– Nie drgnęły. Stałem, jak już mówiłem, tuż przy nim, a od czasu do czasu oddalałem się. Kiedy wracałem, stos rósł, ale nic poza tym nie ulegało zmianie, chyba że mowa o nastroju faraona. Coraz bardziej pograżał się w zadumie. Choćby się go nawet najlepiej poznało, nawet jeśli się go widywało codziennie, nigdy człowiek nie czuł się swobodnie. Jeżeli był w pogodnym nastroju, to nawet z dużej odległości zbliżałem się doń jak do rozświetlonego słońcem pokoju. Gdy wpadał w złość, czuło się to, zanim się przekroczyło próg. Na polu walki był tak rozwścieczony, że jego furia osłaniała nas niczym tarcza. Hetyci byli osłepieni światłością miotaną przez jego miecz. Konie naszych wrogów ponosiły i bały się szarżować. Nie tak łatwo szarżować na słońce!

Nim upłynęła noc, zrozumiałem, że jest nie tylko ukochanym wybrańcem Amona, błogosławionym przez słońce, ale także królem, zdolnym do życia z władcą Ozyrysem w mroku, królem, któremu znane są tajniki Krainy Umarłych. Jestem pewien, że im dłużej uczestniczył w ceremonii wypytywania żołnierzy o nazwiska i przekazywania ich pisarzowi, przy jednoczesnym rzucaniu ręki na stos, tym bardziej ciążyła mi świadomość jego obecności i nawet gdybym zamknął oczy i tak wiedziałbym, że przebywam blisko Ramzesa, podobnie jak ślepiec może się zorientować, że się zatrzymał w jaskini, nawet w obszernej jaskini. Tej nocy mój król wypełnił mrok, a powietrze obok niego było jak chłodne powietrze jaskini w porównaniu z gorączką obozowych ognisk i czerwonymi jezorami płomieni albo pijackimi oddechami żołnierzy. Oddawał cześć duchom umarłych, a przynajmniej tym spośród nich, o których myślał, rzucając ręce na stos. Podobnie jak poznajemy nieznanego, ujmując jego dłoń w powitalnym geście, tak i Ramzes poznawał nieco żołnierzy wroga, ściskając w dłoni po raz ostatni ich rękę. Poznawał w ten sposób w pewnej mierze charakter wroga i wiedział, jaką śmiercią zginął. Nigdy jeszcze nie widziałem mojego monarchy tak skupionego, a jego nastrój gęstniał, aż wreszcie zrobił się tak mroczny jak ryk fal Wiecznej Zieleni.

Stojąc tak obok niego, czyli wszedłszy do jaskini, w jakiej tego wieczoru przebywał, nie wiedziałem już, czy każda moja myśl należała do mnie, czy też napływała ku mnie od faraona. Wiem tylko, że im dłużej spoglądałem na stos odciętych rąk posrebrzony blaskiem księżyca, tym bardziej utwierdzałem się w mniemaniu, że siła Hetytów spłynęła już na nas, podobnie jak pole bitwy też należało do naszych wojsk. Nie mogli rzucić na nas klątwy, wykorzystując swoich zmarłych, gdyż faraon dotykał każdego złego ducha w ręce każdego zabitego żołnierza i czerpał z niej siły do wszystkich przyszłych bitew.

Przebywałem obok niego tak długo, że kiedy tylko oddalałem się na chwilę, by się powłóczyć między ogniskami, jego myśli zawsze mi towarzyszyły. A może jego przeczucie tego, co się miało później wydarzyć. Nie zdziwiłem się więc, kiedy między dwoma pagórkami znalazłem Hera-Re śpiącego w księżycowym blasku. Nie wiem, czy lwa zapomniano po prostu wsadzić na noc do klatki, czy też może oswobodzili go przypadkiem jacyś żołnierze, ale był spokojny i drzemał. Ogniska płonęły tak licznie tej nocy i rozjaśniały sceny tak okropne, a w dodatku rozgrywające się tuż obok powagi faraona, że Hera-Re uśmiechnął się szeroko na mój widok, przewrócił się na grzbiet, rozłożył łapy, ukazał swój odbyt i siłę uścisku przednich łap, a następnie zachęcił do wytarzania się na jego brzuchu. Nie miałem pojęcia, że starczy mi odwagi. Wszystkie cztery życia nie wystarczyłyby mi, żeby jej nabrać. A jednak pogładziłem go po grzywie, pocałowałem w policzek. Pomrukując i prychnąwszy, przewalił się z powrotem na nogi, wstał i beknął mi prosto w twarz, zionąc kwaśnym odorem krwi, jakiej dzisiaj skosztował – zresztą mój przesycony winem oddech też mu pewnie nie sprawiał przyjemności. Tak czy inaczej, zostaliśmy przyjaciółmi i poszliśmy na spacer. Nigdy jeszcze nie czułem się bardziej rześko, silnie i zdrowo niż wówczas, obchodząc pobożowisko, gdzie dziesięć tysięcy ogarniętych szałem Egipcjan świętowało zwycięstwo w blasku tysiąca ognisk – a tylko ja jeden jedyne przechadzałem się z lwem. Czegóż się nie widziało – więcej migotało pośladków niż twarzy!

Muszę przyznać, że były wśród nas także kobiety. Oddział markietanek maszerował razem z dywizją Seta, która nadciągnęła jako ostatnia, już przy świetle księżyca. Ta dywizja słynęła w ogóle z rozpusty i gwałtowności. Tortury, jakich się do tej pory dopuszczano na Hetytach, były niczym w porównaniu z praktykami tych świeżych oddziałów, jakie właśnie nadciągnęły.

Tego dnia nic innego nie robili, tylko maszerowali bez wytchnienia, toteż o naszym zwycięstwie dowiedzieli się od posłańców z dywizji Ptaha. Rozbili więc własne tabory i upili się jeszcze przed dotarciem na pobojuwisko. Długie kolejki żołnierzy czekały przed każdą kurwą przyprowadzoną przez ich dywizję (sami żołnierze Seta rozproszyli się w poszukiwaniu łupów na polu). Tej nocy widziałem więcej sposobów uprawiania miłości niż w ciągu wszystkich trzech następnych wcieleń. Ponieważ mężczyzn było o wiele więcej niż kobiet, trzeba było dobrze uważać na to, kto stał z tyłu, jeżeli chciało się chronić własne pośladki. Muszę przyznać, że to, co widziałem, to wstyd i hańba. Nubijczycy są potężnie zbudowani i zazwyczaj używają sobie na mężczyznach, dopóki nie uzbierają pieniędzy, by sobie sprawić żonę. My jesteśmy mniejsi. Tej nocy sporo naszej siły przepłynęło w lędźwie Nubijczyków i Libijczyków – i co zyskaliśmy w zamian?

Biada tej nocy biednemu egipskiemu żołnierzowi, jeżeli zdarzyło mu się stanąć w kolejce przed Nubijczykiem, bo już wkrótce rzucano go na kolana, nie bacząc na to, czy jest Egipcjaninem, czy nie.

Czy wypadało wystrzelać tych parę strzał, jakie jeszcze nam zostały w żyłach, w obszerną jaskinię kundlowatej kurwy? Tak się rwno od ognisk ku tym kurwom, że wielu nie mogło się doczekać kolejki i dopadało dziewczynę od tyłu i to w czasie, gdy była zajęta z przodu, tworząc w ten sposób zwierza o trzech grzbietach albo kopulację węży. Do tego ktoś nowy dopadał do jej ust, a jeszcze ktoś dopadał pośladków jednego z trzech splecionych z nią mężczyzn. Gorzej wyglądali niż ci jeńcy, których powiązano jak figi. Inni czekali, niecierpliwie wołając: „Pospieszcie się, pospieszcie!” Nad tym wszystkim unosił się zapach potu. Czuję w nozdrzach pot połowy wojska. Nieźle się to łączyło z zapachem krwi i dymu. Mógłbym nazwać te występki hańbiącymi, ale czekały nas jeszcze gorsze. Poza tym nie chcę niczego oceniać. Mimo wszystko nie bez powodu nasze słowo oznaczające nocne obozowisko oznacza zarazem cudzołóstwo. Powiem tylko, że też się przyłączyłem i że czuję niezwykle podniecenie. Przysięgam, gdyby nie to, że mamy Noc Świni, nie opowiadałbym wam o tym wszystkim. Wystarczy powiedzieć, że wędrowaliśmy z Hera-Re między ogniskami, chrapiącymi pijakami, splecionymi parami kochanków, węszącymi łupy hienami obozowymi, a nawet wciąż jeszcze jęczącymi rannymi żołnierzami naszej armii, gdyż w trakcie tej całej rozpusty ludzie nadal umierali, w większości nasi żołnierze (Hetyci uciekli albo wzięto ich do niewoli) – bez rąk i nóg, trawieni gorączką od ran brzucha, wypalani pragnieniem, a potem orzeźwiani winem, które im wlewano do ust. Czasami trudno było odróżnić okrzyki rozkoszy od jęków rozpacz i bólu. Przez takie odgłosy przesuwaliśmy się z Hera-Re w blasku ognisk i w dymie. Od czasu do czasu lew potykał się o splecioną parę wyciskającą swe winogrona, że tak powiem, i niejedyn żołnierz, czując oddech lwa na twarzy albo chwytając dziki błysk w jego oku (Hera-Re nawet w łagodnym nastroju miał bladozielone oczy), tracił wzwód na tę i wiele następnych nocy. Taki strach podcina cię podobnie jak miecz. Kurwy z kolei bardzo się cieszyły na widok Hera-Re. Nigdy przedtem nie widziałem kobiet tak nienasyconych, tak brutalnych, tak pełnych wyższości w swej czystej rozkoszy – ich to sztuka, nie mężczyzn. Nawet w tym zamieszaniu, gdzie trzeba się było oddawać znacznie częściej niżby na to miały ochotę, gdzie dreszcze rozkoszy przypominały drgawki konającego, kobiety te dawały niezwykle pobudzającą rozkosz. Przecież to tylko obozowe kurwy o smrodliwym oddechu, a jednak ujrzałem, jak w moich lędźwiach otwierają się wrota niebiańskich pól – te kobiety zbierały najsłodsze strzały, kierując je nieomylnie w sam środek siebie. Przecież musiała tam być krew i skwierczące ciało. Może Maat

wspaniałomyślnie obdarza miłością, gdy wszyscy są odurzeni dymem. Można się zastanawiać, ilu to generałów poczęto na takich pobojuwiskach.

Ale wspominałem o skwierczącym ciecie. Trudno sobie nawet wyobrazić apetyt, jaki człowiek zaczyna odczuwać na pobojuwisku. Toż to parodia pożądania płciowego. Ssało mnie z głodu, Hera-Re też był wściekle głodny. Całe wojsko było głodne, a kiedy już zjedliśmy to wszystko, co zabraliśmy Hetytom, włamaliśmy się do naszych zapasów. Widziałem jak w ogień ciskają całe półcie solonej wołowiny, wyciągają i odrzynają steki z jednej strony zwęglone, z drugiej czerwone. Potem znów rzucano mięso w ogień. Wnet zaczęto wykrawać mięso z padłych koni.

Dziwny to był głód. Nie wiem, za ilu mogę mówić, ale każdy smak nowego gatunku mięsa sprawiał, że pragnąłem skosztować innego. Nie nasyciłem się wołowiną ani nawet koniną, choć w mięsie pieczonego rumaka krył się jakiś posmak ugotowanej krwi, nasuwający na myśl dziwaczne prawdy i wlewający w nas nowe siły. Jadłem i jadłem, jakbym chciał zapchać dziurę w trzewiach. Może obecność lwa tak na mnie wpływała? Bez przerwy pakował nozdrza w otwarte rany trupów i... jak wam to przekazać? Wielu żołnierzy odznaczało się takim lwim apetytem tej nocy. Krocząc obok lwa, stałem się jego najlepszym przyjacielem na pobojuwisku. Widziałem jego myśli równie wyraźnie, jak myśli mojego faraona, a lew, ku memu zdumieniu, posiadał umysł. Nie myślał słowami, lecz zapachami i smakami, a każde doznanie zapalało nowe obrazy w jego źrenicach. Zajadając surową wątrobę padłego żołnierza – chyba nie żył, choć podrygiwał – Hera-Re widział naszego faraona. Poznałem po jego zapamiętałym zajadaniu się – męstwo naszego faraona uszczęśliwiło go i czuł taką samą błogość, jaką daje świeża wątroba, którą właśnie przeżuwał. Potem okazało się, że ten trup wcale nie był taki dzielny. Hera-Re poczuł posmak żółci w gardle. Utajone tchórzostwo tego wojownika dało o sobie znać cienką żyłką żółci w jego wątrobie.

Widziałem, że Hera-Re obwąchuje wiele uszu, zanim wreszcie znalazł sobie te, które mu odpowiadały. Dopiero wówczas ujrzałem jego oczy – kiedy jadł te uszy, miał w oczach niebo pełne gwiazd tak jasnych, że przyćmiewały nasze zasnućte dymami nocne niebo. Sam czułem się błogo, gdy Hera-Re jadł, gdyż właśnie dowiadywałem się, iż nasze uszy są siedliskiem wszelkiej inteligencji i wrotami na błogosławione pola. Z rozmysłem konesera przechadzał się od uszu do uszu, zlizując i porównując smak ich soli. Niedługo przekonałem się, do czego było mu potrzebne takie lizanie. Liżąc czoło, widział obraz żołnierza biegnącego pod górę, stawiającego mężnie opór atakom nieprzyjacielskich sił – istotnie, trup, którego ostatecznie wybrał, był wzorem męstwa. Toteż Hera-Re zaczął go jeść, poczynając od jąder i wżarł się w lędźwie. Wystarczyły mi łagodne pomruki Hera-Re. Wiedziałem, że wybrał takiego człowieka i że zależało mu na siedlisku jego męskiej siły.

Muszę jeszcze coś dodać. Nim noc odeszła, ja zasmałem smaku mięsa upieczonej ludzkiej kończyny, opalanej przy ognisku – ledwo jej skosztowałem, już wiedziałem, że nie oprę się rozkoszom kanibalizmu. Przyznaję, że właśnie wtedy uczyniłem pierwszy krok w kierunku tego, co dzisiaj nazywają moimi nieczystymi obyczajami. Wiele napotkałem po drodze rzeczy dziwnych i wiele się nauczyłem. Ale chyba już wam wystarczy opowieści o bitwie pod Kadeszem. Dodam jeszcze, że ludzki tłuszcz, pożarty w znacznych ilościach, potrafi odurzać człowieka. Upiłem się jak Hera-Re.

Po tych słowach Menenhetet zamilkł i już się nie odzywał.

XI

Siedzieliśmy płonąc z ciekawości. Cisza ustąpiła następnej ciszy, aż wreszcie faraon spojrział w zadumie na świetliki i przerwał milczenie: – Mam nadzieję, że będziesz opowiadał dalej. Chciałbym wiedzieć, co się działo następnego dnia.

Menenhetet westchnął. Po raz pierwszy dał w ten sposób wyraz swemu zmęczeniu, a owady zatrzepotały żywiej za delikatną lnianą osłonką. Czyżbym widział coś, co winno pozostać w mroku, czy też może blask tych żywych latarni gasł, pozdrawiając świt, który wstawał na polach pod Kadeszem, kiedy to dopalały się ogniska, a wyczerpani żołnierze zaczęli zapadać w sen? Na pewno świetliki świeciły mniej jasno. Jednak pamiętałem, o czym mi opowiadała Ejasejab, która twierdziła, że najbardziej wyszukany pokarmem są one same, że pozerają się nawzajem.

– Nie wiem, ile jeszcze zostało do opowiedzenia – powiedział pradziadek. – Muwatallis musiał faktycznie cierpieć pod wpływem klątwy tej tajemnej kurwy. Nie wyszedł w pole o świcie z ośmioma tysiącami piechoty ani z resztką rydwanów. Nawet kiedyśmy pojmanego oficera przywiązali do rydwanu i wepchnęli do rzeki, by utonął na ich oczach, Muwatallis nie wyszedł nam naprzeciw. Chyba był głupcem, nie tylko tchórzem. Powinien był zaatakować. Byliśmy tego ranka tak obolali i niezdyscyplinowani, tak pochłonięci przez miliony złych duchów, że Hetyci mogli nas pobić, chyba że ich oddziały podobnie spędziły noc w mieście, jak my na polu.

Zebraliśmy się na radę. Niektórzy oficerowie doradzali oblężenie, wspominając, jak Totmes Wielki ściął drzewka owocowe w gajach na okolicznych wzgórzach i zbudował wały oblężnicze, które podprowadził pod mury Kadeszu. Gdybyśmy postąpili tak samo, to mogliśmy zdobyć miasto w ciągu paru miesięcy. Ramzes wysłuchał tych rad, wyglądał przy tym na urażonego, a ostatecznie powiedział: „Nie jestem mordercą drzew”. Po południu zwinęliśmy obóz.

Niełatwo przyszło ruszać. Po pierwsze, trzeba było pogrzebać umarłych, po drugie – opatrzyć rannych przed drogą. Sporo się nakopaliśmy, nim pochowano wszystkich poległych, a rowy zawsze okazywały się za płytkie. Trupy układano tak gęsto, że zawsze wystawało to biodro, to łokieć czy nawet głowa, toteż ptakom też się dostało. Oczywiście, robaki zżarły to, co zostało zakryte ziemią. Widząc, jak roje robactwa kłębią się w rowach, zanim je zasypaliśmy, zrozumiałem odpowiedź na jedno pytanie. Wiem teraz mianowicie, dlaczego żuk jest stworzeniem najbliższym bogu Re. Pomyślcie kiedyś w gorącą noc, w nocnej ciszy, o owadach – usłyszycie najpotężniejszy ze wszystkich odgłosów. Jest to brzęk rojów owadów. Jakie tłumy! Ich jest cisza!

Naturalnie, niektórych zabitych ocalono przed ptakami i robactwem. Każda dywizja miała oddział balsamistów, którzy wozili w swoich taborach święty stół i szybko zawijali książąt i generałów zabitych w boju. Nawet oficerowie (zwłaszcza synowie bogatych kupców) mieli szanse zwrócenia na swoje zwłoki uwagi innych. Żaden balsamista nie pozostawał obojętny wobec perspektywy wysokiej nagrody w Tebach albo Memfis, czekającej go po dostarczeniu odpowiednio zabalsamowanego syna rodzinie. Nim ruszyliśmy, setkę oficerów starannie rozmieszczono na różnych wozach, a choć balsamowano ich w warunkach polowych, tylko parę ciał zaczęło śmierdzieć.

Gorzej było z rannymi. Niektórzy przeżyli. Inni umarli. A wszyscy cuchnęli. Dywizje Amona, Seta, Re i Ptaha rozciągnęły się jedna za drugą w tak długim szeregu, że dzień upływał, nim jakiś

wóz można było przesunąć na tyły. Teraz faktycznie przypominaliśmy robaka rozciętego na cztery części. Posuwaliśmy się naprzód powoli, niczym gęsta rzeka, pełna zgnilizny, a ranni jęczeli przeraźliwie, gdy wiozące ich podwoły podskakiwały na kamieniach.

Oczywiście wszyscy byliśmy obolali. Któż nie odniósł ran ciętych lub nie miał choćby zadrapań? Na domiar złego zaczęły mi jeszcze doskwierać czyraki. Czuło się, jak jad zaczyna bulgotać w nowych ranach, choć kurując się, wyganialiśmy go ze starych. Po trzech dniach wielu z nas zmogła gorączka, a w skwarze marszu widmo naszego zwycięstwa zaczynało nam się jawić jako klęska. Czwartego dnia zaczęli nas atakować Hetyci. Parę najlepszych oddziałów Muwatallisa poszło naszym śladem. Nie stanowili poważnego zagrożenia, ale szarpali nasze straże tylne. Zabijali paru żołnierzy, ranili kilku innych i uciekali. Traciliśmy czas na pościg i na grzebanie zabitych. Ponieważ wozy zajęte były przez rannych, nowych musiano nieść na noszach. Niektórzy noszowi padali w upale i zostawali w tyle, a następnie musieli nas doganiać. Niektórzy przepadali na zawsze.

Któraś z atakujących grup Hetytów chciała nawet uprowadzić osły, przewożące odcięte ręce. Dziesięć osłów trzeba było objuczyć tym ciężarem i każdemu przywiesić dwie duże torby, z każdej strony po jednej. Z daleka tak nie śmierdziały, ale kiedy się człowiek zbliżył albo był na tyle nierozsądny, by wsadzić głowę do środka, czuć było odór jak od gnijących zębów. Istna plaga. Jeśli się nie zbliżać, można było wytrzymać. Ale jeśli już się podeszło blisko, to zaduch zagnieżdżał się w nosie. Trudno było utrzymać Hera-Re z dala od tych osłów. Gdy się go spuściło z uwięzi, napastował osły bez opamiętania. Starając się stanąć dęba, płatały uprząże, omal się nie podusiły, a w całym tym zamieszaniu jedna z toreb pękła. Hera-Re zrobił sobie ucztę z tego, co się wysypało na ziemię. Podbiegłem, żeby go odciągnąć, gdyż poza naszym faraonem słuchał tylko mnie, ale się spóźniłem. Połknął z tuzin rąk, a potem drugie tyle. W jego umyśle tańczyły wizje piramid, a potem widoki wielkich miast. Nigdy w życiu nie widziałem takich budynków jak te, które teraz przywoływał Hera-Re. Na wysokich wieżach migotało tysiące okien, a budynki, wznosiły się wysoko.

Poczułem, że w rękach, które jadł lew, kryło się przecucie wielkich budowli, jakie dopiero miały być wzniesione. A jednak był to posiłek przerażający. Hera-Re miał mocne zęby i potrafił nimi przetrącić kark, ale zarazem znacznie bardziej smakowało mu delikatne mięso, które lubił rozrywać na strzępy. Złamał właśnie jakiś ząb i mruczał z bólu jak dziecko, które coś zabołało. Nie przerwał jednak jedzenia – przełykając szorstką skórę, potworny smród, suche mięso i małe kostki dłoni, które chrupały miazdzone w jego szczękach. Było coś takiego w tym smrodzie, że Hera-Re odczuwał coraz większy apetyt. Zawarczał na mnie wściekle, gdy próbowałem go odciągnąć do tyłu. Chciał wziąć na siebie tę klątwę. Postępujemy tak niekiedy – chcemy w ten sposób przeniknąć klątwy wroga. Tępy gniew unosił się nad tymi okaleczonymi dłońmi w obliczu powtórnego unicestwienia. I to właśnie dlatego Hera-Re wpadł w szał. Dzięki tej klątwie zyskał wizję przyszłości. Znow zobaczyłem budynki wysokie jak góry.

Lew rozchorował się od tej uczy. Następnego dnia nie mógł ustać na nogach. Brzuch mu się wzdął, a tylne łapy, które znosiły z łatwością ciosy hetyckich mieczy, zaczęły ropieć. Otwarta rana na grzbiecie, zadana hetycką dzidą, poczerniała. Nie potrafił odpędzać much. Ogon był zbyt słaby, by je odganiać. Zbudowaliśmy wielkie nosze i sześciu ludzi musiało go nieść. Jednakże oczy Hera-Re straciły blask i zaczęły przypominać oczy śniętej ryby. Wiedziałem, że te ręce w jego brzuchu targają wnętrznościami, małe kosteczki zaś śmigają po kiszkach jak noże.

Faraon doglądał go z dziesięć razy dziennie. Odchodził od złotych ścianek i dachu królewskiego wozu i siedł na piechotę przy noszach Hera-Re, trzymając zwierzę za łapę i płacząc. I ja też

plakałem, nie dlatego, bym kochał po prostu Hera-Re, lecz zdjęty przerażeniem. Gdybym bowiem potrafił go utrzymać z dala od toreb na osiołkach, zwierz nigdy by nie zachorował.

Pewnego razu, kiedy łyzy wyżłobiły kanaliki w gęstym makijażu pomalowanych na zielono i na czarno oczu Usermare-Setpenere, rzekł on do mnie:

– Gdybym powalił tamtego księcia Hetytów, który samotnie stawiał mi czoło, Hera-Re byłby zdrów!

Nie wiedziałem, czy potaknąć, czy też pokręcić głową. Nie wiadomo, czy lepiej, że faraon gniewa się sam na siebie, czy też może skierować jego gniew na kogoś z nas? Powinienem był wiedzieć. Mój dobry faraon Ramzes II nie potrafił się gniewać na siebie.

Potem lew zdechł. Plakałem bardzo i przez jakiś czas naprawdę żałowałem Hera-Re. Plakałem i dlatego, że żaden człowiek nie był mi takim bliskim przyjacielem, jak ten lew.

Paru ksiąząt spotkał ten zaszczyt pieczołowitego zabalsamowania także ich wnętrzności. Polowy wóz balsamistów mógł pomieścić parę zamykanych szczelnie amfor, ale ilu zmarłych można w pełni obsłużyć, skoro na każdego potrzebne były cztery? Nawet wnętrzności generałów wyrzucano do lasu. Ale dla Hera-Re balsamiści znaleźli resztki amfor, nad owijaniem jego trupa zaś czuwał sam Usermare-Setpenere. Usłyszałem gniew w jego głosie, gdy przyjrzał się kiszkom i znalazł kawałki białych kości, wystające niczym groty strzał z białego kamienia. Po spojrzeniu, jakie faraon mi rzucił, poznałem, że znów utraciłem jego łaski.

Tym razem jednak moja kara nie była taka oczywista. Często zapraszał mnie do swego królewskiego wozu. Siedzieliśmy na złotych krzesłach i przez okna oglądaliśmy przepaście, podczas gdy sami kołysaliśmy się niebezpiecznie w środku. Niekiedy wóz przechylał się tak znacznie na nierównościach (był tak wysoki, że można było swobodnie stanąć w środku), iż prawie spadaliśmy w dół. Czasami nie mówił ani słowa, tylko płakał w milczeniu. Farba spływała po policzkach. Nadzorca Szkatuły z Kosmetykami znów poprawiał makijaż – zręczny człeczyna, zwinny jak Nef (tu pradziadek skłonił się memu ojcu), a potem znów siedzieliśmy w milczeniu. Czasami, gdy byliśmy sami (wówczas wycierał wszystkie kosmetyki z twarzy i odprawiał nadzorcę), mówił coś spieszenie i gniewnie o kampanii. „Nie wygrałem, nie przegrałem, a więc przegrałem”. Tak mi kiedyś powiedział. Ponieważ nie spuszczał ze mnie wzroku, pokiwałem głową. Ale nawet bogowie nie kochają prawdy, jeżeli zatruwa każdy oddech. Nim dzień minął, powiedział w półmroku swego wozu: „Powinieneś był powstrzymać Hera-Re, nim mu pozwoliłeś zeżreć te ręce”. Skłoniłem się. Siedmiokrotnie uderzyłem czołem o ziemię, choć podłoga podrygiwała jak spadający po zboczu głaz. Nie miało to znaczenia. Westchnienie, przeraźliwe niczym jęk konającego lwa, dobyło się z gardła Ramzesa II, okropny jęk, jakby oczy lwa gasły po raz drugi. Cóż mogłem powiedzieć? Często zastanawiałem się nad sensem tego westchnienia i doszedłem do wniosku, że śmierć lwa oznaczała kres zadowolenia, jakie Usermare-Setpenere odczuwał na mój widok. W jego wymówce kryło się podejrzenie, że skoro nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak dalece jego powodzenie zależy od zdrowia zwierzęcia, to zapewne nie mam zbyt wiele wspólnego z powodzeniem.

Toteż odsunął mnie od siebie. Gdy dotarliśmy do Gazy, zostałem przeniesiony ze straży przybocznej Usermare-Set-penere do rydwanów dywizji Amona, a trzeba powiedzieć, że cieszyła się ona po bitwie pod Kadeszem jak najgorszą reputacją. Mimo to mieszkańcy Gazy zgotowali nam owacyjne przyjęcie i nie dziwota. Już pod koniec pochodu pozdrawiano nas po drodze. Goniec wyprzedzał nasze czoło niosąc wieść, że wojska Ramzesa II przepędziły Hetytów.

Mój faraon musiał chyba wsłuchiwać się w swego gońca. Wyleczył się z ran i wyglądał wspaniale. Kiedy widziałem go, jak się później okazało, po raz ostatni przed piętnastoletnią przerwą, stał na placu defilad w Gazie. Pokazał tam wszystkim uskrzydłonego byka Hetytów i

podarował go miastu. „Pojmany bóg – powiedział tłumom – będzie chronił nasze wschodnie granice”. Następnego dnia ruszyliśmy ku Delcie, a stamtąd ponownie popłynęliśmy rzeką do Teb. Siedziałem na tej samej zatłoczonej galerze z plecami opartymi o kolana żołnierza za mną, a ponieważ wiatry były zmienne, nasza podróż trwała jeszcze dłużej niż poprzednio. Tuż po powrocie odesłano mnie na posterunek w głębi Nubii. Oznaczało to, że król zesłał mnie do miejscowości zwanej Eshu-ranib. Dowodząc niewielkim oddziałem, popłynąłem tak daleko w górę Nilu, jak tylko było można, a potem przemaszerowałem dwadzieścia cztery dni po pustyni, której żaru tak prędko nie zapomnę.

Gdy pradziadek mówił o tym, wyobraziłem sobie jak wygląda taka pustynia. – Wówczas – dodał – pożegnałem się ze wszystkimi wzruszeniami i radościami, jakich zaznałem. Pustynia była gorętsza od pary, jaka unosi się w Krainie Umarłych, ja zaś byłem oficerem bez komendy. – Urwał, pokiwał głową i rzekł: – Myślę, że na tym mogę zakończyć wspomnienia.

XII

Wszyscy westchnęliśmy.

– To prawda, że prosiłem cię, byś nam opowiedział o bitwie i z tego wywiązałeś się dobrze – przyznał Pta-nem-hotep. – Jednakże nie powiedziałbym, że wystarczy mi to, co usłyszałem.

– Pochwała faraona to błogosławieństwo – odparł Menenhetet, ale powiedział to chłodnym tonem. – Dobry i Wielki Boże – rzekł – moją nagrodą było życie pełne monotonii i odstręczających robót. Czy naprawdę chciałbyś usłyszeć o latach, jakie spędziłem na pustyni?

Moja matka, słuchająca pradziadka uważniej niż to zwykła czynić, odezwała się teraz:

– Uważam, że tego nie musimy wysłuchiwać.

Roześmiała się, zdziwiona śmiałością swej uwagi, i zajrzała faraonowi w oczy. Nie, więcej, obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem czarnych oczu, jak gdyby zapowiadała, że położy swe piersi na jego torsie.

– Zastanawiam się – wyszeptła – dlaczego nie wycofuję się w popłochu, skoro ośmieliłam się sama zadecydować, czego mógłbyś chcieć posłuchać.

Uśmiechnęła się czule, ale odezwała się do Menenheteta.

– Jak długo byłeś w Eshuranib? – spytała.

– Czternaście lat. Długich lat.

– Były tam już wtedy kopalnie złota?

– Były.

Nasz faraon powiedział Menenhetetowi: – Wysłucham tego, co zechcesz mi opowiedzieć. Podejrzewam bowiem, że nie wytrzymasz, nie dostrzegając takich rzeczy, których inni nie zauważają. Poza tym złoto jest zawsze interesujące.

Menenhetet skłonił się w dziwaczny sposób i nagle uświadomiłem sobie, że wszystko, co było ze złota, załśniło wokół nas w migotliwym świetle świetlików. Płaski kołnierzyk na piersi mego ojca, złoty wąż na głowie mej matki, złote bransolety Menenheteta, nawet złoto we wszystkich domach możliwych, jakie przyjdzie mi jeszcze odwiedzić. To właśnie wtedy odniosłem wrażenie, że słyszę słabe okrzyki, dalekie echo robót, którym zawdzięczamy ten cudowny metal. Zobaczyłem, że faraon kiwa głową w zamyśleniu, jakby już wielokrotnie słyszał takie jęki i jakby były one nieodłącznie związane z wartością złota.

Pradziadek zwilżył językiem wargi, jakby ścierał kurz ze starych wspomnień.

– Twoje pragnienia – powiedział z wahaniem – są dla mnie źródłem mądrości.

– Mówisz jak wezyr – odparł Pta-nem-hotep.

Menenhetet popił piwo.

– Myślę – zaczął – że nigdy w ciągu moich czterech wcieleń nie czułem takiej suchości w gardle jak właśnie wtedy. Było to dokuczliwe, znacznie dokuczliwsze niż inne przypadłości związane z górzystymi pustyniami Nubii. Zawsze czuło się kurz na języku. Pamiętam, że moje cierpienia zaczęły się podczas dwudziestego czwartego dnia marszu przez pustynię. Mój oddział wysłano z grupą jeńców, paroma żołnierzami i dwoma przewodnikami, którym wystarczyły dwie garstki ziarna dziennie, parę łyków wody i którzy robili kupę raz na tydzień. Modlili się o świcie i o zmierzchu. Zachowywali się bez zarzutu. Byliby z nich wspaniali żołnierze. Przewodnicy byli

potrzebni, gdyż podczas marszu w upale, znacznie gorętszym niż skwar w Egipcie albo gorączka w czasie wojennej wyprawy, zauważyłem, że na pustyni roi się od niebezpieczeństw. W powietrzu widziałem wielu bogów i demony, ale wiedziałem też, że Ozyrys mi towarzyszy, gdyż usłyszałem, jak mówi, że gdybym umarł, nie będę musiał odbywać długiej wędrówki do Krainy Umarłych, gdyż mam już za sobą tę pustynną przeprawę.

O ile pamiętam, widziałem go nawet. Z drugiej strony trudno powiedzieć, co się naprawdę widziało w tych dolinach, gdyż wielkie skalne masywy chwiały się w naszych oczach, jak gdyby były ścianą ognia w płonącym lesie.

W końcu dotarliśmy do Eshuranib. Zobaczyłem skałę, a u jej podnóża kamienne chatki. Ale kamieniołomy pozbawione były źródła lub oazy. Ujrzyliśmy tylko dwie kamienne kadzie, cysterny, w których mieliśmy przechowywać wodę. Mogliśmy opić się do syta deszczem padającym z oczu Nut, gdy opłakiwała Geba, ale nawet ta woda, tak zbawiennie potrzebna naszym gardłom, musiała być najpierw wykorzystana do płukania rudy. Toteż nieustannie dręczyło nas pragnienie, niczym gorączka trawiąca bez przerwy. Wykuwaliśmy sztolnie w kwarcowych skałach, a na ich końcu rozpalaliśmy ogień, jakby nie dość nas już paliło w Eshuranib. Potem dzieci naszych górników wczołgiwały się do sztolni i przynosiły kawałki rudy, które oderwały się od skały i musiały być zmielone na granitowym kole. Gdy kawałki były zbyt duże lub twarde, podciągaliśmy je w górę na skórzanym sznurze, grubym jak moje ramię i spuszczaaliśmy na wielki płaski kamień, gdzie się rozpryskiwały. Skórzany sznur, to pamiętam dobrze, ciągle się rwał. Nie było więc końca przekleństwom i okładaniu jeńców. Nieustannie słyszeliśmy też szmer płynącej wody. Wypływała ona z naszych cystern do pochylonych kamiennych rynien, w których płukaliśmy rudę. Kiedy osad już się wytrącił, mogliśmy trochę upić, a resztę wlewaliśmy z powrotem do cysterny. Kiedy wracam myślami do Eshuranib, przypominam sobie jeszcze smak tej wody.

Pradziadek znów przerwał, na co faraon wtrącił pospiesznie:

– O tak, bardzo mnie to ciekawi.

– Mieliśmy setki robotników – podjął opowieść Menenhetet. – W większości byli to Egipcjanie. Byli wśród nich przestępcy z Memfis albo z Teb, zesłani na roboty za zbrodnie, których już nawet nie pamiętali. Od początku ogłupiał ich upał i oślepiły tumany gryzącego kurzu ze sztolni. A jednak rodziły się tam dzieci, niektórzy.e. nawet osiągały wiek męski, choć porozumiewały się jakąś mieszkanką języków, której nie potrafię opisać. Działo się tak dlatego, że strzegący tych robotników żołnierze byli albo dzikimi Syryjczykami o długich brodach, albo Etiopczykami z pomalowanymi na jasne barwy bliznami, albo Murzynami z Puntu o zakrzywionych egipskich nosach. Ich języki mieszały się ze sobą, aż przestawałem rozróżniać ich pierwotne znaczenie, a mimo to dowodziłem tym nędznym garnizonem.

– A po co wysłano do Eshuranib woźnicę rydwanu?

– spytał nasz faraon.

– Za panowania króla Amenhotepa II, kiedy założono kopalnię, było nas tam, jak powiadają, trzech. Nie mam pojęcia, czym w Eshuranib zajmowali się woźnice rydwanów, podobnie jak nie rozumiem, po co ja byłem potrzebny. W krótkim czasie zaczęliśmy się tak nudzić, że znaleźliśmy sobie zajęcie, wożąc kwarc z kopalni do kamiennych stołów, na których płukano rudę. Potem tak się wynudziłem, że wymyślałem ulepszenia metod kruszenia większych kawałków kwarcu. Skórzany sznur, jak już wspomniałem, wечно się rwał, toteż zacząłem wymyślać różne węzły, aż wreszcie wymyśliłem taki, który się nie rozplątywał i zarazem nie przecinał sznura niczym nóż. Zaczęły się trudne lata i nic do mnie nie docierało, tyle że zgłębiłem tajniki nudy. Był to nieomylny znak, że żadnych bogów, życzliwych ani groźnych, nie ma w pobliżu. Kiedy tak rozmyślałem,

roztrzaskiwano bryły rudy, a rzeka złota wypływała powoli spod ziemi, ziarnko po ziarnku. Obłąd. – Menenhetet westchnął.

– Mimo to – mówił dalej – poszukiwanie złota nieco nas ożywiało, choć to złoto nie było przecież nasze. Ale warunki były okrutne. Nie ma chyba równie dotkliwej tortury jak przeżywanie jałowych lat, w trakcie których człowiek niczego się nie uczy.

– To niczego się tam nie nauczyłeś? – spytał Pta-nem-hotep.

Pradziadek milczał. Dopiero teraz zrozumiałem, jak lotny był umysł naszego faraona.

– Wydaje mi się, że nie chcesz się z nami podzielić tą wiedzą – powiedział.

– Niewiele mógłbym ci powiedzieć – odparł pradziadek.

– Mam jednak wrażenie, że nawet to niewiele da nam równie wiele do myślenia, jak pozostałe opowieści dzisiejszego wieczoru.

W głosie mojego pradziadka zabrzmiał podziw. Chyba nigdy dotąd nie słyszałem, by mówił takim głosem.

– Usłyszałeś to, co odsuwałem od siebie – powiedział, patrząc faraonowi prosto w oczy. – Tak, tego chciałeś. Nie miałem zamiaru ci o tym mówić, ale znasz mnie tak dobrze, że potrafisz zmusić do posłuszeństwa. Muszę też przyznać, że raz wydarzyło się coś, co mi dało wiele do myślenia. Natrafiłem bowiem w tych kopalniach na więźnia, który mi zdradził tajemnicę znacznie cenniejszą niż wszystkie, jakie poznałem do tej pory. – Przerwał, jakby już i tak powiedział zbyt wiele, a wahając się, czy powiedzieć więcej, zbiera siły, by się wypowiedzieć jednym tchem. – Ten więzień był po prostu biednym Hebrajczykiem, zesłanym za zbrodnie, których dopuścili się jego przyjaciele. Mimo to zaciekał mnie od pierwszej chwili, gdyż przypominał mi Hetytę, który samotnie stawiał czoło Usermare w czasie bitwy pod Kadeszem. Podobnie jak ów wojownik miał jedno oko inne niż drugie. Wydawało mi się, że jednym spoglądał na wczoraj, a drugim widział przyszłość. Nazywał się Nefesz-Beszer, co w jego języku oznacza Ducha Ciała. Wołałem nań w poprawny, egipski sposób – Ukhu-As. Ostatecznie urodził się przecież na naszej wschodniej pustyni w pobliżu Tumulat, toteż prawda jego imienia mogła się wyrażać w naszym imieniu Ducha Ciała, a nie tylko w imieniu, jakie mu nadawali Hebrajczycy. Często słyszał swoje imię wypowiedane przeze mnie, gdyż przyglądałem mu się bacznie, jakby on był tym Hetytą. Ludzie podobni do siebie są faktycznie podobni.

Zrodzili się w wyniku podobnej zgody między bogami.

– Menenhetet znów pokiwał głową. – Tak, wiele zawdzięczam temu człowiekowi.

Kiedy go poznałem, był już bardzo chory, a jednak jego żona – jedyna chyba, która tam jeszcze wyglądała po ludzku – tak go kochała, że dzieliła z nim niewolę i maszerowała przez pustynię u jego boku. Jakże się o niego troszczyła! Na ogół człowiek w jego sytuacji po paru tygodniach był grzebany. Ja jednak byłem na tyle zaciekawiony, że utrzymywałem go przy życiu, a to dlatego, że dawałem im obojgu pożywienie, co z kolei sprawiło, że Ukhu-As nabrał do mnie zaufania. Powiedział mi, że wie, iż musi zginąć. Początkowo myślałem, że zwariował, ale powiedział to spokojnie i tak pewnie, że zacząłem uważnie słuchać tego, co mówi. Zdradził mi tajemnicę, którą przekazał mu hebrajski magik imieniem Mojżesz, którego spotkał w mieście zwanym Pitom, budowanym przez Hebrajczyków dla Usermare, gdy ten został faraonem. Mojżesza przysłano na tę wschodnią pustynię, by przewodził temu ludowi. Przypomniałem sobie wówczas, że znałem kiedyś wysokiego Hebrajczyka, noszącego to samo imię Mojżesz, w Tebach. Jeżeli chodziło o tego samego, to ów człowiek zazwyczaj jechał w tłumie możliwych towarzyszących Usermare w czasie jego wypraw do świątyni w Karnaku. Jako Hebrajczyk musiał on czekać na dworze, ale niektórzy powiadali, że jest synem jednej z królowych z Domu Odosobnienia z czasów, gdy faraonem był Seti I. Nie wiadomo. Rzadko go widywałem. I to Ukhu-As powiedział mi, że w tym samym czasie,

kiedy Usermare pomaszerował na Kadesz, Mojżesz pojawił się w Pitom przebrany za egipskiego oficera i powiedział Hebrajczykom, że ich powiedzie do ziemi na wschodzie, którą zdobędą. Ukhu-As mówił, że udało mu się pewnego ranka wyprowadzić całe plemię na pustynię i ani jednego nie ujęto. Okazało się, że nie było w tym żadnej tajemnicy. Po prostu w nocy Mojżesz zebrał najsilniejszych młodych Hebrajczyków, a ci napadli na egipski garnizon Pitom i zabili ich we śnie. Nie miał ich zatem kto gonić.

Ukhu-As powiedział, że nie odszedł z innymi. Tego wieczoru jego żony nie było, gdyż składała wizytę rodzicom w sąsiedniej oazie, a ponieważ bardzo ją kochał, nie chciał jej opuścić. Ponieważ sam poddał się władzom, nie skazano go na śmierć, ale na Eshuranib.

Gdy go spytałem, czy nienawidzi tego Mojżesza, pokręcił głową. Wcale nie. Mojżesz przekazał im wielką tajemnicę. Tajemnica ta polegała na tym, że oddając ostatnie tchnienie, człowiek potrafił jeszcze przenieść się do łona własnej żony.

Tak to było. Ten Nefesz-Beszer, ten Ukhu-As – konając mówił mi o tajemnicy życia. I nie chodziło mu wcale o to, żeby sobie zapewnić szacunek własnych potomków. O nie, powiedział mi wręcz, że dziecko spłodzone w ostatniej chwili życia może stać się ciałem do nowego wcielenia. Nie zapomnę nigdy tych słów padających z ust konającego. Nie mógł mi oczywiście przekazać hebrajskiej modlitwy, którą trzeba było odmówić, znajdując się w ciele kobiety. Ponieważ jednak okazałem się jego dobroczyńcą, w ostatniej chwili życia chciał mi przekazać tajemnicę bezpośrednio. Pouczył mnie, jak mam to zrobić, obrzydliwość... a jednak dokładnie tak postąpiłem w noc po jego śmierci. Niełatwo o tym mówić. Już opowiadałem o tym, jak to Hera-Re zdradził mi, że można nabrać cnót wojennych, jedząc mięso innych ludzi – ale wówczas mieliśmy do czynienia z szaloną, aż gęstą od emocji nocą po zwycięstwie pod Kadeszem. Łapiąc osmalone szczątki i gryząc je, nie pytałem do kogo należały, krew mieszała się z krwią, a mięso z mięsem. Ale ten człowiek najpierw chorował, a potem umarł. I nakazał nie czekać dłużej niż jeden dzień po jego zgonie. Tak właśnie chciał mi się przysłużyć jako przewodnik, choć nie znałem jego modlitwy.

– Jakże odrażająca i obsesyjna jest sama myśl o tym – powiedziała Hatfertiti, ale bez przekonania.

Menenhetet zachował powagę.

– Nie mogłem – odrzekł – postąpić, jak kazał, ale z drugiej strony niewiele miałem do roboty w Eshuranib, zewsząd ziało nudą. Mimo to siadałem do tego skromnego posiłku z takim obrzydzeniem, że wiele razy musiałem przełykać ślinę, by wreszcie zjeść mały kąsek. Udało się. Nie poczułem w sobie żadnej nowej wiedzy, ale zarazem... – nie byłem jednak pewien.

Parę tygodni po śmierci Ukhu-Asa jego żona powiedziała mi, że jest w ciąży. Nefesz-Beszer nie na darmo nosił swoje imię. Jego duch z pewnością zamieszkał w jej ciele. Nie udało mu się jednak zapewnić sobie jej wierności. Tak troskliwie się nim opiekowała, że całkowicie zużyła swoje uczucie miłości do niego. Gdy ujrzałem ten błysk w jej oku, zacząłem wyświadczać wdowie drobne przysługi. Wnet została moją kochanką.

Już się znudziłem zapachem pośladków mężczyzn słabszych ode mnie. Toteż zatrzymałem tę kobietę. Nazywała się Renpu-Rept, a imię pasowało do niej. Kiedy oddawała się rozkoszom miłosnym, była dla mnie, w rozpalonych piecach Eshuranib, niczym młodzianka roślina i bogini Nilu. Jakże przyjemnie było rozmawiać z małym Ukhu-Asem, który żył teraz w niej. Wnet zdałem sobie sprawę, że wiele można powiedzieć własnym członkiem takiemu nie narodzonemu dziecku. Nie uwierzycie, ale czułem ambicję i wściekłość tego nowego Ukhu-Asa. Nie bałem się, naturalnie, jego ojca i śmieszyło mnie to. Renpu-Rept sprawiała mi tyle radości. Ostatecznie Renpu-Rept przekazała mi całą mądrość, którą dzięki niemu poznała. Zwykł był kochać się z nią, nie dopuszczając do wytrysku nasienia, jak mi sama opowiedziała, toteż sam wnet przejąłem ten

zwyczaj. Wiara, że im dłużej się czeka, tym wspanialsza będzie nagroda, była jedyną wiarą zdolną utrzymać człowieka przy życiu w takim Eshuranib. Toteż przywykłem do długotrwałego przebywania w kobiecej jaskini, a ona nauczyła mnie wielu litanii, które szeptałem sam do siebie, dzięki czemu stałem się panem własnej rzeki i potrafiłem ją odesłać, spienioną, z powrotem we własne lędźwie. Dzięki temu zyskałem jeszcze jedną drogę do Krainy Umarłych. Były takie chwile, gdy z nią leżałem w godzinie miłości, kiedy miałem uczucie, że już się znalazłem na skraju mojej własnej śmierci – tak długo potrafiłem wstrzymać oddech, uderzenia mojego serca, tak wysoko unosiłem się na spienionej fali dźwięków szalejących w mojej piersi, że już mi się zdawało, że zawisłem nad kataraktą, która na zawsze zmyje mnie spienionym nurtem w głąb niej. Znałem drogę. Potrafiłem utrzymać się na tej rzece. Teraz tak to opisuję, ale wcale nie miałem ochoty rzucać się w dół. Pograżony w uczuciach, jakie emanowały z jej ciała, szczęśliwszy byłem, spędzając noc na medytacjach, a w takiej godzinie byłem prawdziwie szczęśliwy. Czułem się wybrańcem losu, niczym faraon w Domu Odosobnienia, i do głowy napływały mi świetne myśli, a sam żyłem drzeniem wszechrzeczy.

Czasami odwiedzał nas, splecionych w długim uścisku, Hera-Re. Nie wiem, czy był to jego prawdziwy duch, ale był blisko i bardzo był podobny do zwierzęcia, które znałem, a przeto podobny do brzmienia wszystkich języków. W ramionach Renpu-Rept, przy wtórze wycia dzikich zwierząt na pustyni i odgłosach znad chat osady, zacząłem rozróżniać tajemnice wielu języków i rozumiałem, jak pewne dźwięki potrafią wypowiedzieć to samo w różnych językach. Zastanawiałem się nad słowem oznaczającym matkę w językach różnych ludów zamieszkujących Eshuranib, gdyż wszystkie zawierały w sobie dźwięk „m”. Zastanawiałem się też, dlaczego wystarczyło, by barbarzyńca przemówił w napadzie wściekłości, aby zaraz nam przypomnieć o ryku, z jakim wydobywa się z naszych ust litera „r”. Hołd Hera-Re! Głęboko pograżony w kołysaniu nak-nak pytałem siebie, czy dźwięk „k” towarzyszy wszelkiemu stukaniu, „pa” zaś zawsze oznacza mężczyznę, naśladując odgłosy wydobywające się z jej jaskini, gdy o nią waliłem moją pałką – pa! pa!

W czasie długich dni spędzonych w Eshuranib włożyłem wiele wysiłku w to, by się nauczyć czytać. Dopóki miałem do czynienia ze świętymi znakami odpowiadającymi każdemu dźwiękowi naszego języka, sprawa była prosta. Potem jednak zacząłem się zastanawiać nad coraz bardziej wyszukаныmi tonami, dla których brakowało hieroglifów. „Eh” nie ma takiego symbolu, a także „och”, które wydobywało się z mego gardła niczym tchnienie wiatru i także nie potrzebowało znaku. Nie ma też znaku, którym można by zapisać przeraźliwy krzyk, wydobywający się z piersi kogoś, kto odczuwa ból nie do zniesienia – „iiii”, tak brzmi ten krzyk bólu. Natomiast przy „och” czujemy drzenie w brzuchu i też nie możemy tego zapisać. Słyszałem te dźwięki przez całe życie, ale zacząłem się w nie wsłuchiwać dopiero w kopalniach złota w Eshuranib, gdzie nasi barbarzyńscy strażnicy nieustannie okładali więźniów. A potem, w nocy, dochodziły mnie także inne odgłosy, łagodniejsze – „uuuu” i „ach”, niczym jęki wydobywające się z najniższych partii podbrzusza, w których odczuwamy przyjemność znaną wszystkim. Kiedy zapadał zmrok, można było te odgłosy usłyszeć na każdej ulicy i w każdym domu w Memfis, ale inaczej się je słyszało w ciemności, nastawiając ucha w kierunku szałasów robotników w Eshuranib. Ich przyjemność łowiłem niczym łódkę przepływającą z jednej wyspy na drugą. Ostatecznie żyjemy przecież w morzu dźwięków.

Unoszony na fali takich rozmyślań, pograżony w nich głęboko, bliski tego nieba, w którym Nut spotyka Geba w godzinach kąpieli na jej wodach, czując wściekłość nie narodzonego dziecka, zastanawiałem się nad sprawami języka i tęskniłem za widokiem naszego Nilu, dziecko w jej brzuchu zaś stawało się coraz większe.

Potem nadszedł dzień, w którym przekonałem się, że Ukhu-As miał rację. Ujrzałem go ponownie. Posiadał moc, o której mówił.

Ujrzałem go tego dnia, gdy się narodził ponownie. Dwoje różnych oczu patrzyło na mnie z twarzy świeżo powitego dzieciaka, a oczy te nienawidziły mnie. Za wczoraj i za jutro. Jakich to rozkoszy doznawałem z Renpu-Rept! Ale ta malutka istota była zbyt słaba, by rzucić na mnie klątwę, i potrafiła tylko wymachiwać piąstkami. Nigdy dotąd nie czułem takiego podniecenia, oglądając nowo narodzone dziecko. Tak, byłem gotów wychować to dziecko. Czy można było znaleźć coś ciekawszego w całym Eshuranib?

Nie było mi to dane. Kurz z kopalń dostał się dziecku do oczu i Ukhu-As oślepił w trzecim miesiącu nowego życia, a wkrótce potem zmarł. Na skutek tego zdarzenia poznałem jeszcze lepiej sztukę rodzenia się po raz wtóry. Nie wystarczy, jak się przekonałem, spłodzić swoje nowe życie w ostatniej minucie poprzedniego, choć i to jest już sztuką, ale trzeba jeszcze w dodatku wybrać sobie odpowiednią kobietę na matkę.

Ale lubiłem moją czułą młodą palmę, moją boginię Nilu. Wiele lat przeżyłem w Eshuranib w jednej chacie z Renpu-Rept i nie żałuję, gdyż w owym czasie tak się wprawiła w sztukach miłosnych, że dorównywała tajemnej kurwie z Kadeszu. Przez całe moje pierwsze życie z nikim nie zaznałem takiego kojącego spokoju jak z nią – jednakże za straszną cenę, bowiem każdego dnia unoszono głązy, zrzucano głązy, kruszono kwarc i puszczano wodę kamiennymi rynnami, zmywając brud ze złota. Więcej złota! Okładano nadal więźniów, w nocy rozbrzmiewały krzyki. Czasami wpadałem w taką rozpacz, że omal się nie zdecydowałem na ryzyko wypróbowania sztuk Nefesz-Beszera. Chciałem umrzeć i znów się narodzić. Dlatego pewnego razu omal nie wyzionąłem ducha, nim doszedłem do siebie i spłodziłem dziecko. Gdy dziewięć miesięcy później ujrzałem twarz małej dziewczynki, pokochałem ją, a kiedy umarła, opłakiwałem jej stratę, jakbym stracił część własnego ciała. Doszedłem jednak do wniosku, że nie potrafię dalej żyć w Eshuranib.

Potem zacząłem się zastanawiać, czy zabrać ze sobą Renpu-Rept. Zrozumiałem, że w sercu niewiem też chłodne komnaty. Ile byłaby ta kobieta warta w moich oczach po powrocie do Teb? Nie była odpowiednią żoną dla Głównego Koniuszego albo generała – bo chciałem zostać generałem. Poza tym przybyło jej lat. A potem, sam nie wiem, czy z żalu po utracie córki, czy też ze zgryzoty spowodowanej chłodem w moim sercu, Renpu-Rept też umarła trawiona okropną gorączką. Nie do wiary, jak bardzo ją opłakiwałem. „Nikt – powiedziała konając – nie będzie ci już tak bliski jak ja”.

Nie wiem, jak długo wytrzymałbym tam samotnie, ale wyzwolono mnie z niewoli pewnego gorącego popołudnia w czternaście lat po przybyciu i tę czternastkę pamiętałem przez całe pierwsze życie. Była równa liczbie części ciała Ozyrysa. Toteż w godzinie mego wyzwolenia zastanawiałem się, kto jest właściwie moim prawdziwym bogiem: Amon czy Ozyrys? Przez całe pierwsze życie szukałem na to pytanie odpowiedzi. Lecz moja zaduma nad tymi czternastoma latami była niczym w porównaniu z upojnym widokiem świeżego oddziału żołnierzy. Był z nimi woźnica rydwanu. Mój następca. Wręczył mi papirus z rozkazem powrotu.

– A więc król ci przebaczył? – zapytał Pta-nem-hotep.

Menenhetet pokiwał głową.

– Z tego co wiem o moim przodku Ramzesie Wielkim – rzekł faraon – to nigdy nie zapominał i nigdy nie przebaczał.

– Nie zapominał, ale przyszedł taki rok, że byłem mu potrzebny.

– Powiedz prawdę, czy to był właśnie rok, w którym opuściłeś kopalnie?

– Nie – wyznał pradziadek – nie ten.

Matka odkryła słaby punkt w opowieści pradziadka. Śledząc jej myśli, dostałem się i do jego umysłu, stwierdzając, że pradziadek płonął ze wstydu. Potrafił nam opowiadać o jedzeniu szczątków trupa, ale nie mógł się przyznać do trywialnego postępu. Siedział nieruchomo.

– Wykupiłeś się z Eshuranib – rzekła matka. – Nie jesteś wcale lepszy od Fek-Futi.

XIII

Na wzmiankę o swym ojcu mój ojciec wydał okrzyk przerażenia, ale w oku Menenheteta pojawił się błysk, jaki często towarzyszy twarzom kupców w decydującym momencie dobijania targu.

– Tak jest – przyznał – wykupiłem się z Eshuranib. Nie mam jednak powodów do dumy, bo nie świadczy to wcale o mojej przebiegłości. Tyle tylko, że po czternastu latach zdołałem odłożyć dość złota, by można było dać sowitą łapówkę generałowi w Tebach. W zamian za to moje nazwisko trafiło na listę woźniców rydwanów skierowanych na królewski dwór.

Pta-nem-hotep spytał: – Ilu oficerów paradujących na moim dziedzińcu uzyskało awans dzięki podobnym opłatom?

Menenhetet nie spuścił wzroku.

– Najważniejsze, że doskonale powożą. Nie ma żadnego lekarstwa na niesprawiedliwość, chyba że jesteśmy gotowi popełnić drugą niesprawiedliwość dla naprawienia pierwszej. Niechaj rzeka sama zmyje złą krew.

Mój ojciec pokiwał poważnie głową, jakby ostatnie słowa były samą istotą prawdziwej mądrości.

– Jedną z twoich zalet – rzekł Pta-nem-hotep – jako wezyra będzie umiejętność wykorzystywania naszych drobnych przywar w taki sposób, by nam pomagały jako cnoty.

– Teraz może to tak wygląda – przyznał pradziadek – ale muszę ci powiedzieć, o Boski Władco Dwojga Królestw, że wtedy nie było mi lekko. Jeszcze rok po daniu łapówki musiałem czekać. A przez cały ten czas zastanawiałem się, nie mówiąc oczywiście nic Renpu-Ret, czy potrafię ją opuścić. Kiedy umarła, śniłem o rękach Hetytów, jakie zebraliśmy pod Kadeszem, i bałem się, że moja własna ręka wnet zostanie rzucona na podobny stos. Przypominając sobie o tych niezwykłych miastach, które Hera-Re widział zajądając swój ostatni posiłek, doszedłem do wniosku, że utrata rąk musi być najstraszliwszą karą, gdyż skazuje człowieka w gruncie rzeczy na samotność. Bez rąk nie jesteśmy w stanie poznawać myśli innych ludzi. Zostajemy sam na sam z własnymi myślami. Nie pytajcie mnie dlaczego tak jest, ale że tak jest na pewno, o tym jestem przekonany. Chcąc się pocieszyć, spoglądałem raz po raz na papirus, jaki wysłano do mnie z Teb. Mowa w nim była o „mym gorliwym pragnieniu, by strzec złota faraona przed każdym, kto ośmieliłby się spróbować je ukraść”. Próbowałem faktycznie przestrzegać tych zasad.

– O wynikach tych prób niechaj rozstrzygnie bóg Ozyrys – roześmiał się Pta-nem-hotep.

Menenhetet lekko dotknął czołem podłogi.

– Dobry i Wielki Boże – rzekł – wiele rozmyślałem wówczas o tym, na czym właściwie polega słuszne postępowanie. Papirus został zakupiony dzięki złotu, jakie ukradłem, a zaświadczał wszak o mej uczciwości. Toteż doszedłem do wniosku, że kłamca może się czuć równie dobrze jak człek prawdomówny pod warunkiem, że kłamie nieustannie. Wówczas nikt nie jest w stanie go przyłapać. Taki kłamca wie życie równie szacowne, co życie człeka uczciwego. Pomyślcie tylko. Człek uczciwy cierpi, skoro tylko przyjdzie mu skłamać. Musi bowiem pamiętać o prawdzie i o tym, że powiedział nieprawdę. Podobnie kłamca zacznie cierpieć, skoro tylko spróbuje powiedzieć prawdę.

Wspominam o tym, gdyż Ramzes II – o czym się przekonałem wkrótce po powrocie do Teb – zdecydował się zostać kłamcą. Wybacz mi Panie, ale mamy Noc Świni. Stwierdziłem, że wszyscy wiedzą, kim jestem, ale dzięki niezbyt pochlebnym pogłoskom. Moje nazwisko zostało wyryte na murach wszystkich nowych świątyń, a stawiano ich wówczas wiele. Usermare był nieustannie zajęty stawianiem sobie jakichś budowli, małych lub dużych. Jego posągi widać było na każdym zakolu naszej rzeki, w każdym gaju zaś wznosiły się kolumny ku jego czci. Naturalnie w żadnej nowej świątyni nie mogło zabraknąć opisu bitwy pod Kadeszem i oto widziałem samego siebie, jak wykrzykuję na wieczność: „O Panie mój, jesteśmy zgubieni i pora nam uciekać”. Kręciłem z niedowierzaniem głową, jakby pragnąc tym gestem zmasać święte znaki, on zaś odpowiadał mi na murze świątyni: „Idź, Menni, będę walczył samotnie”. Nawet moje nazwisko przekrecono. Nauczyłem się rozpoznawać litery mojego nazwiska na papirusie – MN, ale w kamieniu wyrzeźbiono najwyraźniej MNN. Niewiele jeszcze wówczas wiedziałem. Nie rozumiałem, w jaki sposób na murze świątyni można było popełnić błąd. Nie wiedziałem jeszcze tego, o czym się dowiedziałem podczas drugiego życia, a mianowicie, że pisarze są mniej uczeni niż kapłani, a jednak aż się rwą, by zapisywać różne rzeczy w kamieniu. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że patrzę na zwyczajny błąd. Cofnąłem się, jakby w obawie, że mury świątyni zwałą się na mnie. Pomyślałem o wszystkich tych modłach, jakie wznosiłem ku wielkim i małym bogom, dziesięciu tysiącom takich bogów, ale zarazem przypomniałem sobie, że zwracałem się do nich niewłaściwie, dobierając w sercu święte znaki. Mówiłem zawsze: „MN błaga Was” zamiast mówić: „MNN Was błaga”.

Skoro pisownia mojego nazwiska tak bardzo mnie wzburzyła, pomyślcie o tym, jak się czułem, czytając treść zapisaną w kamieniu. Przecież świątynia nie mogła kłamać! Musiałem w zamięcie bitwy powiedzieć coś, o czym potem zapomniałem. A jednak w tej samej świątyni na innym murze czytałem słowo po słowie, zastanawiając się, czy prawda musi zależeć od tego, na jakim murze ją wypisano: „I oto Jego Wysokość popędził konie i ruszył samotnie do ataku – całkiem sam”. Budziłem się w nocy zlany potem i czułem, jak ta kamienna ściana świątyni uciska moje piersi. Czyżby faraon samotnie walczył w rydwanie podczas całej bitwy pod Kadeszem? Dopiero po latach pojąłem, że w jego oczach faktycznie był sam. Był Bogiem. Ja byłem co najwyżej drewnem jego rydwanu.

A po pewnym czasie, jak na ironię, stałem się znany. Moje nazwisko zostało wyryte w kamieniu. Moje czyny może i nie były godniejsze uwagi niż upór robaczka drążącego ziemię, ale byłem robaczkiem świętym. W koszarach, pośród woźniców rydwanów, czułem subtelną drwinę. Zawsze jeden albo drugi wołał na mój widok: „Oto nasz bohater spod Kadeszu”.

„Co chcesz przez to powiedzieć?” – pytałem. Nie podobało mi się słowo, którego używał, mówiąc o bohaterze. Mogło także oznaczać ptaszka albo tchórza.

„Chcemy przez to powiedzieć, że jesteś bohaterem. Wszyscy o tym wiemy”. I znów wybuch śmiechu. Nic na to nie mogłem poradzić. Ci woźnice z najlepszych rodzin w Memfis albo w Tebach nie mieli zamiaru się bić. Wiadomo było, że pokonam każdego oficera w koszarach. Toteż wyśmiewali się ze mnie na swój subtelny sposób, to znaczy bawili się słowami, aż wreszcie znaczenie stawało się ulotne i wyslizgiwało z rąk jak węgorz. Poprzysiągłem sobie, że jeszcze ich dostanę pod swoją komendę, nim umrę.

Potem miał miejsce wypadek, który nauczył mnie naprawdę wiele. Do Teb dotarły wieści, że umarł Muwatallis.

Podczas mojego pobytu w Eshuranib stoczono wiele pomniejszych wojen z Hetytami, ale kiedy tylko Muwatallis umarł, jego brat Ketazar poprosił o pokój i został wysłuchany. Może nasz Ramzes już się zmęczył wojną? Corocznie przez długie piętnaście lat wyruszał w pole. Tak więc przyjął

króla Hetytów w zbudowanej właśnie, wspaniałej świątyni w Tanis. Ketazar przywiózł srebrną tablicę, na której wyryto ponad sto linijek pisma wyraźnie wyrzeźbionego w metalu. Jeszcze sobie przypominam, co tam było napisane, gdyż wszyscy ze straży dworskiej, którzy przybyli do Tanis, mieli okazję przyjrzeć się napisom z bliska. „Oto traktat przygotowany na srebrnej tablicy przez wielkiego wodza Hetytów Ketazara Dzielnego, syna Merazara Dzielnego i wnuka Sep-lela Dzielnego, dla Usermare-Setpenere, Wielkiego Władcy Egiptu, syna Setiego I Dzielnego, wnuka Ramzesa I Dzielnego. Ten dobry traktat pokoju i braterstwa ustanawia pokój między naszymi narodami na wieki”.

Przeczytałem wszystko, powoli rozważając poszczególne słowa. Wielkie wrażenie zrobił na mnie fakt, że tekst tego traktatu został ułożony przez króla Hetytów, gdyż nasz faraon nie przemówiłby w ten sposób. Muszę przyznać, że ta srebrna tablica błyszczała srebrzystą, księżycową poświatą, co napełniło mnie nowym lękiem przed Hetytami. Mieli brudne brody i niezgrabne rydwany, ale tekst na tablicy był bardzo mądry. Wyrażenia były tak wyważone, że czuło się wręcz bliskość pokoju: „Niechaj zapanuje piękny pokój i piękny sojusz między Wielkim Księciem Hetytów i Ramzesem II, Wielkim Monarchą Egiptu, i niechaj dzieci Wielkiego Księcia Hetytów pozostaną w pięknym pokoju i pięknym sojuszu z dziećmi dzieci Ramzesa II, Wielkiego Monarchy Egiptu. Niechaj nie powstaną między nimi żadne wrogie czyny”.

Co więcej, ów Ketazar powiedział nawet, że „jeżeli ktokolwiek ucieknie z krainy Egiptu do Hetytów, Wielki Książę Hetytów weźmie go pod straż i sprawi, by zawrócono go z powrotem do Ramzesa II, Wielkiego Monarchy Egiptu. Ale kiedy wróci, niechaj nie stawia mu się zarzutów, że popełnił zbrodnię, nie pali jego domu, nie zabija żon ani dzieci, ani matki, nie wyłupuje oczu ani nie wyrywa języka, ani nie obcina stóp”.

– A tak samo miało się dziać z Hetytami – dorzucił Menenhetet – którzy uciekliby do nas.

Bardzo duże wrażenie zrobiła na mnie spokojna mądrość tego pomysłu. Nietrudno skłonić ludzi, by wrócili do kraju, z którego uciekli, jeżeli nie obawiają się okropnej kary. Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie wyrozumiałość Ramzesa, który pozwolił, by najpierw wymieniano imię księcia Hetytów, a dopiero później jego własne. Postąpił tak zapewne w uznaniu mądrych słów wyrytych w srebrze tablicy. Poza tym traktat kończyło wezwanie do najsilniejszych obcych bogów. Mowa była o tym, że „tysiąc męskich i kobiecych bogów krainy Hetytów i tysiąc męskich i kobiecych bogów krainy Egiptu niechaj będzie naszymi świadkami, gdy spisujemy poniższe słowa”. Po czym wymieniano „boga Zejeteklirera, bogów Kerzot, boga Kerpenteres, boginię miasta Kerefen, boginię Kewek, boginię Zen, boga Zen, boga Serep, boga Kenbet, boginię niebios, wszystkich bogów i władców przysiąg, boginie i kochanki ziemi, kochanki gór i rzek w “krainie Hetytów, niebios, gleby, wielkiego morza, wiatru i burz”.

– A oto jak kończył się traktat – rzekł Menenhetet.

– „wiatru i burz”. Gdy odczytano te słowa, rozległ się pomruk tłumu i rozeszliśmy się. Ramzes przycisnął swój pierścień do miękkiego srebra tablicy i postawił w ten sposób swój znak. Objął posłańców. I tak skończyła się wojna.

Gdy Menenhetet zamilkł, faraon ziewnął. Imiona tylu obcych bogów nie sprawiały mu przyjemności, toteż zauważył: – Hatfertiti miała chyba rację mówiąc, że powinieneś powrócić do bardziej zajmujących spraw. Tak jest, zanadto się chowasz w cieniu w tych opowieściach. Jesteś zbyt skromny. – Pokiwał berłem, jakby odpędzając od siebie echa tego traktatu. – Czy wiesz – zapytał – że kiedy wstępowałem na tron, twoje imię było na ustach małych królowych?

– Moje imię? – spytał pradziadek.

– Tak jest.

– Ależ nie byłem w Domu Odosobnienia od czasu, gdy służyłem tam Usermare.

– Może dlatego tak często o tobie rozmawiały. Zaczęła mnie drażnić ta ich fascynacja. Nawet kiedy milczały, słuchałem z obowiązku, jak myśli małych królowych biegną ku tobie.

W tej właśnie chwili myśli moje błąkały się po pamięci mojej matki, dzięki czemu pojąłem, że czuje się nieswojo. Ten lęk był wyraźny jak bicie jej serca. Nasz faraon wypowiadał się tak obojętnie o wysłuchiwanie myśli innych ludzi, że z pewnością czuł się o wiele lepiej, przenikając ją, niż ona, przedostając się do jego pamięci. Dosłownie w jednej chwili w jej głowie powstała pustka tak opróżniona z myśli, jakby przed chwilą starto je białą szmatką.

Pta-nem-hotep uśmiechnął się. Zastanawiałem się, czy też nie bawi go pustka i czystość myśli, które się mu podsuwa. Potem roześmiał się na głos.

– Tak – rzekł – żaden mężczyzna w Egipcie nie ściągnął na siebie aż tyle uwagi moich piękności co ty, Menenhetecie. Żyją one w morzu plotek, ty zaś byłeś burzą, która skrywa się w wietrze podnoszącym się znad morza. Nawet teraz z pewnością są wściekłe, że żadnej z nich nie zaprosiłem, by nam dotrzymała dzisiaj towarzystwa. Słyszę je wyraźnie – machnął palcem w kierunku zabudowań. – Niech i tak będzie. Dziś w nocy będą rozmawiały na twój temat, będą sobie opowiadały historyjki na temat twojego drugiego, trzeciego, czwartego życia. Oczywiście najbardziej lubują się w twoim pierwszym życiu. Nigdy im się nie znudzi opowiadanie o tym, jak to byłeś generałem wszystkich armii, a jednak prestiż Domu Odosobnienia za panowania Usermare był tak wysoki, że zostałeś zarazem mianowany jego gubernatorem.

– Tak to przedstawiają? – spytał Menenhetet.

– Poniekąd – odrzekł Pta-nem-hotep. – Niektóre małe królowe wciąż jeszcze są o sobie wysokiego mniemania. Inne zastanawiają się, jak generał wszystkich armii mógł przyjąć stanowisko dozorca konkubin. Zapewniam cię, że jeszcze się spierają na ten temat. Ale sądzę, że fascynujesz je z innego powodu. Żadna opowieść tak nie rozbawiła moich haremowych piękności (ani mnie samego), jak historyjka, o której szepcze się nieustannie, ale po cichu, jako że wszyscy wietrzą w niej świętokradztwo. Istotnie, nie mogę się zdobyć na to, by w nią uwierzyć. Tym bardziej że w twej opowieści o pierwszym spotkaniu z Ramzesem II i jego królową nie widzę niczego zdrożnego. Powiadają jednak – widzisz, że sam zniżam głos do szeptu – że zostałeś kochankiem królowej Nefertari. Słyszałem nawet, że pożegnałeś pierwsze życie i zacząłeś drugie dlatego, że wpakowano ci nóż w plecy. Że umarłeś w chwili, gdy twoje nasienie wytrysnęło w królową.

Pta-nem-hotep uśmiechnął się jak najśłodziej. Może przez całą noc cierpliwie czekał, by zadać Menenhetetowi to pytanie i zachęcić go do opowieści o tym, jak kochał królową Nefertari? Z pewnością cieszyło go zaskoczenie i szok, jaki przeżyli pozostali biesiadnicy.

Mojej matce przemknęły naraz przez głowę myśli wszystkich, łącznie z myślami mego ojca. Jego myśli wskoczyły do niej. Ojciec widział już bowiem Menenheteta leżącego na brzuchu Nefertari. W rzeczy samej ojca tak pochłaniał widok ciała kogoś z rodziny na ciele królewskim, że w jego lędźwiach coś drgnęło i wytrysnął od razu, moczając się pod lnianą spódniczką. Matka rozgniewała się natychmiast w obliczu takiego marnotrawstwa. Świeże nasienie mego ojca zawsze uważała za najlepszy olejek kosmetyczny na cerę.

Menenhetet zaczął kaszleć. Wydawało mi się, że pustynny wiatr wieje przez jaskinie jego ciała. Kiedy atak kaszlu minął, przemówił bez zwłoki.

– Nie chcę wam psuć zabawy – rzekł – ale wiele już pozapominałem. Czterokrotne narodziny, w ogóle wielokrotne narodziny nie oznaczają jeszcze wielokrotnie silniejszej pamięci.

– Mimo wszystko – odparł nasz faraon – domagam się, byś nam opowiedział o swojej przyjaźni z królową Nefertari.

– Najpierw służyłem jako gubernator małych królowych – powiedział Menenhetet – a dopiero później zostałem Towarzystwem Prawej Dłoni Królewskiej Małżonki, królowej Nefertari.

– Wobec tego zgadzam się wysłuchać wszystkiego po kolei. Może w miarę opowiadania przypomnisz sobie wiele spraw, o których myślałeś, że już zostały zapomniane.

Menenhetet skłonił się i czołem dotknął palców siedem razy. – Chciałbym przypomnieć powtórnie – rzekł – że opowieść o tych rzeczach jest jeszcze trudniejsza niż opowieść o wielkiej bitwie.

– Tak – przyznał faraon – ale nie musimy się spieszyć. Dziś w nocy pragnę być zabawiany aż do rana.

– I chcesz być przez gości zabawiany – dorzuciła matka.

– Tak, przez moich gości – odparł Pta-nem-hotep, po czym, jakby w obawie, że jej myśli, nazbyt czarne, mogłyby popsuć mu przyjemność, obdarzył ją promiennym uśmiechem i obrócił się ku Menenhetetowi. – Przypomnij sobie, ile możesz, stary przyjacielu.

– Czy wolno mi zacząć od lat po Eshuranib, kiedy to robiłem karierę w wojsku? Może w ten sposób rozgrzeję myśli. Przyznaję bowiem, że czuję się nieswojo, przebiegając tak rączo ku opowieściom o zakazanym ogrodzie.

– Powtarzam więc – powiedział faraon – opowiedz na swój sposób.

Menenhetet potaknął głową.

– Powrócę do mojej starannej lektury traktatu z Hetytami wyrytego na srebrnej tablicy. Nigdy bym nie został generałem wszystkich armii, gdyby nie głęboki wpływ, jaki wywarły na mnie słowa tego traktatu. Nigdy jeszcze nie czytałem tak szlachetnego języka. Doszedłem więc do wniosku, że muszę zdobyć umiejętności ludzi subtelnych. Ketazar wiedział dobrze, jak przemówić do Usermare. Do tej pory moje sukcesy były dziełem fizycznej sprawności, ale jeśli chciałem zajść dalej, musiałem nauczyć się sztuki mówienia.

– Czy wykryłeś wiele zasad rządzących mową? – spytał faraon.

– Przede wszystkim jedną. Unikać wszystkich tematów, których boją się twoi zwierzchnicy. Wszyscy ludzie boją się i wszyscy starają się jak najgłębiej ukryć to, czego się obawiają najbardziej. Na przykład ci, którzy są tchórzami, opowiedzą wam o niezwykłych aktach własnej odwagi, oczywiście pod warunkiem, że was przy tym nie było.

Do tej pory zazwyczaj wierzyłem we wszystko, o czym mi opowiadano, ale teraz zacząłem węszyć kłamstwo. I już wkrótce potrafiłem rozpoznać ludzi ambitnych po pułapkach, jakie zastawiali, by się przekonać, czy się powiedziało prawdę przykrojoną do ich oczekiwań. Zaczęły mnie bawić takie gry i ci, z którymi można je było uprawiać. Naturalnie studiowałem umiejętność pochlebstwa.

W ten sposób najszybciej możemy sobie zaskarbić łaski zwierzchnika. Wiedząc o wadze Maat, wiedziałem także, iż należy unikać sytuacji, w której stajemy się nadto niezbędni, gdyż wówczas nigdy nie doczekamy się awansu. Wystarczy przyjrzeć się służbie domowej. Zawsze umierają na tym samym stanowisku. Sztuka polega zatem na tym, by sprawić zwierzchnikowi przyjemność, ale zarazem by się poczuł trochę nieswojo – by się zaczął obawiać, że wiecie o jego strachu. Zechce was wówczas awansować. Będzie mógł nadal otrzymywać komplementy, ale zarazem zwiększy dystans między sobą a wami. Nauczyłem się nawet hamować awans zwierzchników, by nie awansowali szybciej ode mnie, choć przedtem gardziłem takimi sztuczkami. Za młodu nie rozmyślałem o podstępach. Podobnie jak Ramzes, kochanek Amona, wierzyłem wyłącznie w atak. Przekonałem się jednak, dzięki Hera-Re, że nieoczekiwany przypadek może nas zniszczyć. Toteż starannie przycinałem ambicje niższych ode mnie oficerów, nader powoli, by się nie spostrzegli, co do moich zwierzchników zaś, to starałem się ich nigdy nie niepokoić. Zrozumiałem, że

nieoczekiwanych przypadków najbardziej boją się ludzie z potężnych rodów obdarzeni przeciętnymi zdolnościami. Zabawiajcie ich, prawcie im pochlebstwa, utwierdzajcie w ich nawykach, łagodnie uśmierzajcie ich obawy, ale nie zmieniajcie ich rozkładu dnia. Obawiają się wszystkiego, co ich przerasta.

– Nigdy jeszcze nie przemawiałeś mądrzej – pochwalił Pta-nem-hotep. – Oto głos godny najwyższego sługi władcy. – Wyciągnął rękę i poklepał Menenheteta berłem po ramieniu. – Ale dlaczego – spytał Pta-nem-hotep – opowiadasz nam o tych wszystkich prawdach? Dlaczego nie trzymasz się ściślej własnych zasad i nie dorzucisz także paru kłamstw?

Teraz uśmiechnął się mój pradziadek.

– Sztuka kłamstwa polega na tym, by przemawiać tak pięknie i prawdziwie, by słuchacz nigdy nie wiedział, w której chwili zamierzamy go po raz pierwszy okłamać.

– Moje serce zaczyna bić żwawiej – powiedział Pta-nem-hotep. – Powiedz, co teraz usłyszymy.

Widziałem jednak, że najwyraźniej chichotał wewnątrz z rozbawienia, gdyż po raz kolejny udało mu się skłonić pradziadka do opowiadania.

XIV

– Być może – zaczął Menenhetet – zbyt wiele mówiłem o tych niskich umiejętnościach. Mogliście odnieść wrażenie, że nie jestem prawdziwym żołnierzem. To nieprawda. Chociaż Hetyci już nam nie zagrażali, nasze wojska zawsze prowadziły jakieś pomniejsze wojny, a ja walczyłem w Aszkelonie, w Taborze w Galilei, pod Arwadem i w niższych rejonach Retenu, staczając setki bitew. Żadna z nich nie dorównywała jednak bitwie pod Kadeszem. Zawsze byliśmy silniejsi i nigdy nas nie zaskoczono w obozowiskach.

Walczyliśmy jednak latami. Co rok zdobywaliśmy nowe terytoria i nowe miasta. Potem wracaliśmy do Teb, a na ziemiach tych znów wybuchały bunty. Nasz władca wywoził niezwykle bogate łupy i pobierał wysokie podatki.

Robiłem szybko karierę. Byłem jedynym oficerem egipskim, który potrafił walczyć w polu, ale umiał też sypać pochlebstwami w Tebach. Nasz Wysoki Kapłan Bak-ne-kon-su był już taki stary, że zdarzało się często, iż wysyłał któregoś z drugich kapłanów na codzienną audiencję u króla. Nauczyłem się zatem schlebiać drugim kapłanom. Niezwykle trudna to sztuka. Niech mi będzie wolno dodać, że opłacało się przynosić ze sobą coś do zjedzenia – przynajmniej tym spośród kapłanów, którzy byli tłuści. Z chudymi szło gorzej. Czasami udawało się zaskarbić sobie ich łaski dzięki wyjątkowym modłom. Z kolei ci tłuści chętnie mówili, jakie to wersety najbardziej przemawiały do chudych.

Uśmiechnął się.

– Muszę też przyznać, że znajdowali się i tacy chudzi słudzy Amona, których zaspokajali dopiero podarunek w postaci najrzadszego papirusu albo kamieni o egzotycznych barwach, przywiezionych z dalekich wypraw wojennych. Kutwy są takie same we wszystkich zawodach. Naturalnie starannie pielęgnowałem swoje kontakty ze wszystkimi kapłanami, chudymi i tłustymi, którzy stykali się z Ramzesem II, i dbałem o nich jak o drzewka we własnym ogrodzie. Oczywiście, faraon nadal mnie nie lubił, tak samo jak wówczas, gdy mnie odsyłał na pustynię Nubijczyków, ale nie mógł przecież mianować żadnego Libijczyka ani Syryjczyka dowódcą swoich wojsk, skoro tuż pod ręką był odpowiedni Egipcjanin, czyli właśnie ja. Umiałem także mówić o nieskończonej miłości Amona do mego faraona. W głębi serca wcale nie pragnął mnie na stanowisku generała wszystkich armii, ale skoro okazało się, że musi wybierać między Amen-kep-szu-efem a mną, doszedł do wniosku, że jednak synowi nie ufa. Czy istnieje poważniejszy lęk niż ten, który każe nam się obawiać zdrady ze strony własnej krwi? Ostatecznie dostałem awans i otrzymałem złoty rydwan.

Może i pozostałbym jego generałem przez długie lata, gdyby nie pewien rys charakteru Usermare-Setpenere, wprowadzający wiele zamieszania w tych spokojnych latach. Nasze obydwa królestwa nie były nigdy dotąd aż tak potężne, nasz faraon był szanowany i miłowany, ale jego pragnienie kobiet okazywało się nienasycone.

Z jakim upodobaniem pławił się w intrygach, zazdrościach, rywalizacjach i marzeniach, które wśród nich wzbudzał przez długie trzydzieści lat po bitwie pod Kadeszem! Tylko bogu dane było żyć aż tak długo, ponad miarę Maat. I w tej dziedzinie okazał się zaiste Ramzesem Wielkim!

Naturalnie bardzo się zmienił w porównaniu z młodym władcą, który jeździł w powozie z Nefertari. Powiedziałbym nawet, że to ów pamiętny straszliwy dzień pod Kadeszem wyrzył na nim nieodwracalne piętno. Uczucie do Nefertari też uległo zmianie. Do czasu tej wyprawy mój władca spędzał co prawda od czasu do czasu jakieś popołudnie z którąś spośród królowych w Domu Odosobnienia albo przelatywał jakąś wiejską dziewczuchę lub dwie jak wówczas w czasie wycieczki do doliny z grobowcem, ale wszystko to były czyste igraszki. Nefertari była jego siostrą, miłością jego dzieciństwa, pierwszą oblubienicą, jedyną królową. Kiedy się pobrali, miała lat dwanaście, on – trzynaście. Powiadano, że tak promieniowała urodą, że nie sposób było nie przymykać oczu, patrząc na nią. Kiedy go poznałem, na początku jego panowania, myśli jego zaprzątnięte były nieustannie bitwą, modlitwą, Nefertari i odmiennym upodobaniem, czyli pośladkami mężczyzn.

Po bitwie pod Kadeszem zaczął jednak przypominać oazę, w której trysnęło nowe źródło pod palmami i w której na miejscu dawnych trzech drzewek rośnie teraz setka. Nasz dobry faraon powrócił spod Kadeszu bardziej spragniony słodkiego mięszu kobiet niż którykolwiek spośród znanych mi mężczyzn. Musiało weń wstąpić nasienie Hetytów, których pozabijał, gdyż w łądźwiach jego tętniła żądza niczym wylew Nilu i nie potrafił już spojrzeć na piękną kobietę, nie chcąc posiąść jej od razu. Co więcej, pożądał też czasami kobiet brzydkich. Pewnego razu, spędziwszy noc z małą królową z Domu Odosobnienia, która była tak brzydka, że trudno było wręcz na nią patrzeć (przypominała żabę), powiedział do mnie: „Wiedząc o wadze Maat, starałem się odszukać piękno wewnętrzne, które wynagradza przykry widok powierzchowności, i udało mi się. Usta tej kobiety posiadały tajemnice miodu”.

Po bitwie pod Kadeszem okazało się, że gdybyś miał żonę, była to także jego żona. Należać do dworu Usermare-Set-penere to tyle, co posiadać we własnym domu jego dziecko, o tak, dziecko częstokroć równie piękne jak ojciec. Naturalnie w czasie licznych wypraw łowieckich zdarzało mu się jeszcze dopadać przypadkowe wieśniaczki. Wzdłuż wszystkich dróg Egiptu wiedziano o tym, że Usermare potrafił wytrysnąć dwa razy w czasie, który inni mężczyźni zużywali na jeden wytrysk. Pragnął posiadać kobietę w każdej przerwie między codziennymi obowiązkami – sprawiał wrażenie wielkiego pług Egiptu, poczuwającego się do obowiązku orania roli. To właśnie wówczas zaczęła się rodzić ta olbrzymia horda Ramzesydów i rosła tak szybko, że już za mego trzeciego życia nekropolia została zamknięta przed wszystkimi, którzy nie pochodzili bezpośrednio z krwi Usermare-Setpenere. Jego nasienie było w nasieniu nas wszystkich. Żaden mężczyzna nie spłodził tak wielu potomków jak on. Ale też właśnie dzięki niemu słyniemy jako Egipcjanie ze szlachetnej urody. Bo też trzeba przyznać, że był prawdziwie piękny. Nocami, gdy królewska barka spływała w dół Nilu, fala, którą zostawiała, rozbijała się tak delikatnie o brzeg, że kobiety przewracały się w łóżkach słysząc ów plusk, wszyscy to potwierdzali. Pewnego razu spałem, gdy opodal przepływała królewska barka i moja kobieta faktycznie odwróciła się we śnie i pokazała mi swoje plecy, wystawiając brzuch ku rzece.

– Wspaniale – rzekł Pta-nem-hotep.

– Niech mi będzie wolno powiedzieć, Boski Władco Obojga Królestw, że był kochany, ale niezupełnie ukochany.

– A któż mógłby go nie kochać, oczywiście poza królową Nefertari, tobą i paroma zazdrościami? – spytała matka.

– Nie należy nigdy zapominać o własnym haremie – rzekł Pta-nem-hotep.

Menenhetet dotknął głową podłogi siedem razy, ale uczynił to powoli i łagodnie, by nie rozżarzyć świetlików.

– Boska jest twoja mądrość – rzekł.

– Bynajmniej – odparł nasz faraon – jak ci wiadomo, istniał spisek zmierzający do zamordowania mego ojca, a uknuły go damy z Domu Odosobnienia.

– Pamiętam doskonale – podjął Menenhetet. – Proces tych kobiet utrzymywano w tajemnicy, ale był na ustach wszystkich w Tebach i w Memfis. O twoim ojcu powiadano, że nie znał właściwie swoich dworzan i nie bardzo potrafił zapewnić sobie ich lojalność. Usermare potrafił. Za jego panowania w ogrodach roiło się od dam ze szlacheckich rodów. Nie sędzę, by mój faraon w ogóle zaprzętał sobie umysł zbyt długo konkretną kobietą albo konkretnym mężczyzną, ale doskonale rozumiał, jak dumne są takie rody. Zdawał sobie sprawę, że wprowadzał niezwykle zamieszanie, wybierając sobie jedną z ich córek do Domu Odosobnienia. A zarazem rozumiał, że taką rodzinę trzeba przywiązać do siebie. Lojalność najłatwiej sobie zapewnić, gdy wiąże się ze wstydem, a taką hańbę zmuszona jest nazywać zaszczytem.

– Tak – rzekł Pta-nem-hotep – sam też do tego doszedłem.

– Działo się to dwadzieścia pięć lat temu – powiedział Menenhetet – a przecież w tym czasie przewinęli się: Ramzes IV, Ramzes V, Ramzes VI, Ramzes VII i Ramzes VIII. Pomyśl tylko, wielki Pta-nem-hotepie, że panując przelał siedem, już utrzymałeś się na tronie dłużej niż twoi bracia i kuzyni.

– Tak, o tym też myślałem – uśmiechnął się faraon.

– Pamiętam, że mój brat przyrodni, Ramzes IV, pełen był obaw. Nie życzył sobie dziewcząt z dobrych domów w swoim haremie – pragnął w ten sposób uniknąć wrogości, już w pierwszym roku panowania zamknął harem, a kiedy znów otworzył swoje ogrody, proszę bardzo – dziewczyny były krępe, silne i pospolite, a ich ojcowie nie nosili szlacheckich tytułów. Byli to kupcy i rzemieślnicy. Mało to było pociągające. Inni moi krewniacy też nie przyczynili się do zmiany tego stanu rzeczy. Toteż zaraz po wstąpieniu na tron złożyłem tam wizytę i byłem zdumiony. Tyle tłustych kobiet obsypanych taką ilością klejnotów! I wszystkie zionące czosnkiem! Teraz dom znów jest słodki, choć zapewne już nie tak słodki jak wówczas, ponad sto lat temu, gdy z funkcji generała wszystkich armii zostałeś przeniesiony na stanowisko Gubernatora Domu Odosobnienia. Jak sądzisz?

Mój pradziadek nie od razu odpowiedział. Nadal udawałem, że śpię. Poczulem smutek. Spoglądałem na świetliki. Przez całą noc latały po klatce, z której już nigdy nie wylecą. Pomyślałem o bagnach opodal pałacu. Przecież trzeba było setki niewolników o zręcznych ramionach, stojących po kolana w wodzie, by schwytać taką chmarę świetlików na dzisiejszą noc! Smutek zaczął mnie powoli opuszczać i w końcu poczułem się dorosłym mężczyzną.

I właśnie wówczas zdałem sobie sprawę, że poczułem do pradziadka sympatię, widząc smutek ukryty za jego uśmiechem, smutek niebagatelny, nader złożony. Przede wszystkim zdał sobie sprawę z tego, że musi faraonowi opowiedzieć znacznie więcej, niż by tego pragnął. Mój faraon, na swój wyrafinowany sposób, był okrutny, mimo słodkich uśmieszeków. Mój pradziadek zaś, choć zachowywał spokój, skrycie pragnął jednak zostać pierwszym ministrem i dlatego gotów był odpowiadać na pytania faraona.

– Tak jest – powiedział w końcu – równo sto trzydzieści lat temu zostałem Gubernatorem Domu Odosobnienia.

– Czy byłeś zadowolony z tak wielkiej zmiany w swej karierze?

– Byłem przerażony. Pamiętam, że właśnie obchodziłem pięćdziesiąte urodziny. Nie wiem, dla kogo tak o sobie dbałem, ale moje ciało było mocne i piękniejsze w moich własnych oczach niż dom. Byłem już generałem wszystkich armii, a mimo to miałem poczucie, że życie dopiero się dla mnie zaczyna. Jeszcze mieszkalem w koszarach, ale już byłem gotów znaleźć doskonałą partię – trzeba było tylko wybrać odpowiednią damę. Życie otwierało się przede mną.

Ale cień Usermare stał niczym chmura między mną i moim spokojnym dostatkiem. Mój faraon żywił w sercu lęk równie potężny jak posepna zaduma, która opadła mnie wśród drzewek mirry na dachu świątyni Hatszepsut. Ale tego dnia nie lękałem się Hetytów, lecz jego własnej żony, Nefertari, miałem zaś wszelkie powody, by się lękać. Wziął sobie do haremu księżniczkę Hetytów jako nową małą królową. Co prawda nawet przed bitwą pod Kadeszem poślubił inną małą królową, Ezonefret, ale nie umywała się ona do Nefertari. Naturalnie, była córką ostatniego Wysokiego Kapłana Amona przed Bak-ne-kon-su, pochodziła z wysokiego rodu, małżeństwo zaś łączyło świątynię Amona z synem Re. Ale druga królowa, była brzydka i Usermare szybko przestał ją zapraszać do boku Nefertari. Wybudował jej pałac nad rzeką w małym miasteczku, zwanym Sba-Kut-Ezonefret (czyli Zamknięte Wrota Ezonefret), a nazwa dobrze określała budynek. Od czasu do czasu odwiedzał ją tylko po to, aby jej zrobić dziecko. Powiadano, że wiele lat Usermare narażał się na gniew świątyni Amona, wołąc go od furii swej pierwszej małżonki.

Kiedy jednak Usermare ośmielił się w końcu poślubić trzecią królową, okazało się, że to posunięcie jest równie śmiałe jak jego styl powożenia rydwanem. Jego nowa żona była córką Ketazara, młodą i piękną. Jej matka, królowa Pudekipa, była Aryjką z Medy, a ci, którym dane było widzieć jej córkę, mówili, iż blond włosy hetyckiej księżniczki były jaśniejsze niż poświata księżycyca.

– Muszę ci przerwać – wtrącił Pta-nem-hotep. jak długo już byłeś generałem wszystkich armii w momencie, gdy miało miejsce trzecie małżeństwo?

– Pięć lat. Księżniczka Mernafrure przybyła do nas w trzydziestym trzecim roku panowania Usermare, dwadzieścia osiem lat po bitwie pod Kadeszem i trzynaście po podpisaniu traktatu. Dobrze pamiętam te daty, gdyż zostałem generałem wszystkich armii dokładnie w osiem lat po podpisaniu traktatu.

– Jednej rzeczy wciąż jeszcze nie rozumiem – przyznał Pta-nem-hotep. – Mówisz o wściekłości Nefertari. A przecież w chwili podpisywania traktatu, trzynaście lat wcześniej, już zostało postanowione, że księżniczka Hetytów zostanie żoną faraona?

– Istotnie, doskonale orientujesz się w tych szczegółach – przyznał pradziadek.

– Niedoskonale, gdyż nie rozumiem, dlaczego Nefertari wyraziła zgodę na to trzecie małżeństwo – odparł faraon.

– W chwili gdy podjęto takie postanowienie, księżniczka Hetytów miała lat siedem, a z reguły nie wszystkich punktów porozumienia przestrzega się równie skrupulatnie. Poza tym w owym czasie Nefertari nie mogła jeszcze opierać się na władzy swego najstarszego syna. W chwili gdy Usermare poślubił tę Hetytkę, książę Amen-kep-szu-ef został mianowany wielkim generałem i mógłby stanowić poważne zagrożenie dla tronu. Ponadto niczego nie zyskiwał, pojmując tę księżniczkę za małżonkę, bo na przykład w Kadeszu brak było bogactw, dzięki którym można by spłacić pożyczki, zaciągnięte przez Ketazara na uroczystość podpisania traktatu. Toteż sam Ketazar wysłał Mernafrure jako wyraz hołdu, nic więcej. Usermare nawet jej nie przyjął. Przybyła po uciążliwej podróży, a on lekceważącym gestem skierował ją od razu do swego haremu w Fajum. Tam ją spotkał. Wszyscy w Tebach mówili tylko o tym. Kiedy tylko Usermare ujrzał tę damę, od razu oczarowała go jej uroda. Do tego stopnia, że zabrał ją, jak słyszałem, z haremu, poślubił i przywiózł do Teb. Gorzej, ponieważ nazywała się Mernafrure, wszyscy wołali za nią Nefrure, a ponieważ brzmiało to podobnie jak Nefertari, nasz faraon zmienił jej imię na Rama-Nefru, by brzmiało podobnie jak jego własne. Ci, którzy dobrze znali Nefertari, powiadali, że trudno byłoby ją boleśniej zranić.

Menenhetet splótł dłonie i ukrył w nich twarz, jak gdyby pragnął napić się ze źródła wspomnień.

– Nasza sytuacja przedstawiała się zatem następująco. Po obu stronach Usermare stały królowe. Nieustannie coś się działo. Ale nie spodziewałem się, że następna zmiana będzie mnie dotyczyć. Usermare doszedł do wniosku, że Amen-kep-szu-efa trzeba wysłać jak najdalej od pałacu. Trzeba było rozdzielić pierwszą królową i najstarszego syna. Nie śmiał jednak wysłać go na nowe wojny do Libii, nie awansując go wprzód. Ponieważ piastowałem wyższe stanowisko niż książe, Usermare postanowił oddać je synowi.

– Bez słowa do ciebie?

– Trzeba było zrozumieć jego rozterkę. Kreślił właśnie śmiałe plany trzeciego Festiwalu Festiwali, który miał się odbyć za rok i który miał być największym wydarzeniem tego typu podczas jego panowania. Żył więc w nieustannym lęku, że właśnie tego roku umrze, gdyż niektóre jego postęпки bardzo mu już ciążyły. Budował wielkie pomieszczenie na święto – pałac króla Unasa – ale wpadł w gniew, gdy ostatecznie okazało się, że sprowadzenie kamienia rzeką z kamieniołomów położonych wyżej zajmie dwa lata. Rozkazał zatem zburzyć świątynię Totmesa w Tebach i, co gorsza, także świątynię Setiego w Abydos. Chciał wykorzystać budulec ojca. Te kamienie i bloki ze świątyni Totmesa to jedyny marmur, jaki się nadawał na jego nową budowlę. Nie muszę ci chyba przypominać, ilu to kapłanów musiało być codziennie przy takich pracach rozbiórkowych, i nie muszę chyba mówić, ile modłów trzeba było wznieść pod niebo, by przeciwdziałać potężnym klątwom. Czasami wypadło skuwać stare napisy. Jeszcze więcej modłów! Czasami bloki pokryte napisami obracano napisem do muru i skrywano przed wzrokiem. Ile to słynnych nazwisk ukryto i pogrzebano w ten sposób w świątyni króla Unasa!

I tak do lęku, jaki odczuwał przed Nefertari, doszedł jeszcze lęk przed przesuwaniem tych olbrzymich bloków. Pamiętam, że pewnego dnia zabrał mnie do kamieniarzy, a następnie zaprosił do pokoju, w którym sypiał w Małym Pałacu. Był to wielki zaszczyt, gdyż nikogo tam zazwyczaj nie zapraszano, poza pierwszą i drugą królową. Zanim przeszedł do prawdziwego celu naszej rozmowy, rozwodził się przez dłuższy czas nad spiskami i intrygami.

Serce mojego faraona różniło się od serc innych ludzi. Gdyby wasze serca były jak z powrozów, nie miałyby węzłów równie wielkich jak węzły na jego powrozie. Jego gniew, jego lęk, oddech, rozkosz – wszystko to splatało się tak ściśle, że nigdy nie wiedział, czego właściwie pragnie, a mimo to pragnął wszystkiego niezwykle silnie. Siła tego wszystkiego, co się działo w jego sercu, była w stanie skruszyć nawet powietrze. Nie przypuszczam, by kiedykolwiek poczuł szept swego prawdziwego lęku przed Nefertari albo Amen-kep-szu-efem, ale lękał się ich okropnie. Lękał się tak dalece, że wręcz mi powiedział: „Nadejdzie taki dzień, że wszystkie jego trzy części pełne będą przeraźliwego nieszczęścia. W takiej godzinie ktoś będzie mnie próbował zamordować”. Był przekonany, że niektóre spośród kobiet zamkniętych w Domu Odosobnienia mogły się skrzyknąć z mordercą.

Czułem bezmiar jego lęku. Nie przebijał jego piersi jak ostry miecz, ale nasączał jego myśli trucizną. Przez cały dzień o niczym innym nie mówił, jak tylko o spiskach. Wówczas tego nie rozumiałem, ale teraz pojmuję dobrze jego lęk. Przed faraonem staje tak wielu ludzi, że jego pamięć nigdy nie może być doskonała. Żeby pamiętać, trzeba rzucać spojrzenie wstecz. A przecież faraona zmusza się do tego, by wybiegał myślą naprzód. Myśli tych wszystkich, którzy w danej chwili o nim myślą, rozświetlają ciemności, jakie okrywają przyszłość, gdyż wszyscy pragną użyć mu mocy przewidywania zjawisk, które dopiero się mają wydarzyć. Tylko faraon może być naszym przewodnikiem. A Usermare żył w takim lęku, że przypominał człowieka spoglądającego na pole oświetlone słońcem i myślącego, że to rzeka. Istotnie, jest to rzeka, ale światła, nie wody. Toteż Usermare miał ucho wyczulone na zdradzieckie podszepty i węch zdolny wyczuć najdrobniejszy spisek przeciwko jego chwale. Płacił jednak za takie umiejętności przypalając mięso, nim jeszcze

rozniecono ognisko. Widział tak daleko naprzód, że potrafił dostrzec spiski, jakie za sto lat miały się zawiązać przeciwko twemu ojcu. Dla boga sto lat to jakby odstęp między dwoma oddechami. Widział też, skąd spadną nań ciosy.

Nie ufał zatem Domowi Odosobnienia. Po wielu wybiegach powiedział mi w końcu, że postanowił mnie tam umieścić. Byłem jedynym człowiekiem w obu królestwach, który był na tyle rozumny, by się zorientować, czy istnieje jakiś poważny spisek, czy nie.

– O tak – rzekł – kto inny jak nie ty potrafił wówczas, pod Kadeszem, przeniknąć umysł Muwatallisa? – Wziął mnie pod ramię. – Nie ma nic pilniejszego niż troska o mnie. Oto i szlachetne zadanie dla generała.

Po czym zaczął mi opowiadać o wybitnych generałach w historii, którzy stali się faraonami. Jakże potężny był jego oddech!

A przecież wysyłał mnie w miejsce, w którym miałem się stykać wyłącznie z kobietami. Nie śmiałem oczywiście odmówić, ale wiedziałem, że w głębi swej duszy wojownika gardzi mną, choć sam rozkazał mi się tam udać.

Toteż musiałem się zacząć zastanawiać nad moim nowym tytułem Gubernatora Domu Odosobnienia, i nad tym, czy nie starał się przypadkiem powiedzieć mi aluzyjnie, iż mimo upływu trzydziestu lat wcale nie zapomniał, że krwawiłem jak kobieta, gdy mi rozdarł pośladki. Może w oczach innych ludzi byłem generałem, ale z jego wysokiego lotu widać było, że jestem małą królową, Wielką Niańką haremu. Może tak to sobie wymyślił? Wściekłość chwyciła mnie za gardło.

Kiedy tylko znalazłem się z dala od niego, zacząłem się modlić.

– Niechaj zawiąże się jakiś spisek przeciw niemu – błagałem bogów. – Jakże chętnie stanę na jego czele!

V

Księga królowych

I

W Ogrodach Odosobnienia nauczyłem się rzeczy, których nie poznałbym nigdy gdzie indziej. Zetknąłem się z wybiegami, które tak się różniły od wojennych forteli, jak róża od siekiery. Nie wiem, jak to dzisiaj wygląda, ale wówczas żyła tam setka kobiet i była to najwspanialsza część pałacu. Za murami Ogródów kryło się wiele pięknych domów, a ze wszystkich kuchni dobiegały wesołe głosy, gdyż wiele spośród małych królowych było smakoszkami i cieszyło się na widok jadła na stole. Naturalnie lubiły one też pić. Ostatecznie wszystkie dni były podobne do siebie. Małe królowe wstawały dużo później niż inni ludzie, kiedy już wrzawa w pałacu faraona budziła wszystkich poza kobietami z Ogródów. Przedpołudnie spędzały na długim przebieraniu się i dyskusjach na temat tego, która co od której pożyczczy – ubrania albo biżuterię, zawile wyjaśniając przy tym, w jaki sposób traciły różne stroje, pożyczycwszy je kiedyś komuś innemu. Jeżeli bowiem faraon odwiedzał małą królową w chwili, gdy nosiła naszyjnik pożyczony od innej, naszyjnik przechodził na jej własność. Ponieważ król widział ozdobę na niej, mowy nie było o zwrocie. Naturalnie, nie pożyczano tak lekkomyślnie darów od niego. Ozdoby darowane przez Usermare nie mogły być dotykane przez nikogo poza obdarowaną królową. Pewnego razu mała królowa złamała tę zasadę, lecz przyszło jej zapłacić okrutną karę.

Odcięto jej mały palec u lewej stopy. Nie wolno targnąć się na kolumny świątyń zbudowanych przez Ramzesa Wielkiego i nie wolno pożyczać darów od niego. Ta mała królowa nie mogła potem tańczyć, w ogóle ledwo się ruszała i obżerała się przysmakami, na przykład skrzydełkami ptaków, by zapomnieć o bólu, jaki wciąż odczuwała w kikucie małego palca. Utyła tak, że nazwano ją Kulką Miodu. Opowiedziano mi o niej, kiedy tylko wszedłem do haremu.

W tamtych czasach – kto wie, może lata służby w wojsku zaważyły na mej osobowości bardziej, niż myślałem – zwykłem przykłękać nad brzegiem każdego z królewskich stawów i przyglądać się zarastającym je kwiatom. Był taki jeden kwiat, chyba orchidea – miał pomarańczowe płatki – do którego często się odzywałem, to znaczy wypowiadałem na głos moje myśli, a kwiat wiedział, co odpowiedzieć, choć nie wiedziałem dokładnie, co takiego mówi. Mimo że nie było wiatru, chwiało się, gdy nadchodziłem, a czasami podrygiwał na łodyżce tak rytmicznie jak małe królowe w tańcu. Gdy się zbliżałem, płatki drżały niczym dziewczyna, która nie potrafi ukryć swego uczucia. A wszystko to działo się w czasie, gdy pozostałe kwiaty tkwiły nieruchomo w spokojnym powietrzu. Wyglądało na to, że ta orchidea miała niezwykle głęboko korzenie, tak głęboko, jak myśli skrywane w głębi serca. Oddychałem czując obecność tego samego boga, którego poznałem, gdy ujrzałem dwa kawałki czarnej miedzi z niebios. Nie wiem, jaki duch zamieszkiwał ten kwiat, którego łodyżki skręcały się na moich oczach, pylniki zaś rosły pod wpływem mego spojrzenia, aż widać było gromadzący się kwiatowy pyłek.

Te pylniki przypominały oczy małych królowych, którym ktoś wpadał w oko. Wydaje mi się, że wszystkie, nim minął rok, wodziły za mną takim wzrokiem. Myślę, że równie dziwnie czułby się na moim miejscu każdy mężczyzna, który, nie będąc eunuchem, musi pełnić służbę w Ogrodach Odosobnienia w pobliżu aż tylu kobiecych ciał. Ponieważ należały wszystkie do Usermare, nikt nie odważał się wdychać ich perfum z bliska, podobnie jak nie było śmiałka, który upiłby wina z jego złotej czary. Przyłapany na gorącym uczynku z jedną spośród tych stu kobiet mężczyzna ryzykował

życie. Co prawda zaglądałem już śmierci w oczy ze sto albo dwieście razy i równie często z okrzykiem radości rzucałem się w bój. Tyle że wówczas, w chwili gdy okrywamy się chwałą, śmierć przypomina objęcia słonecznego boga, a teraz osłabiała mnie świadomość, że chcę żyć. Nie miałem więc ochoty ginąć z brzemieniem kłątwy faraona rzuconej na pożegnanie.

Rozmawiałem przeto z małymi królowymi, jakby były kwiatami na brzegu stawu, i robiłem, co mogłem, by wszyscy uznali mnie za generała o kamiennej twarzy. Rysy mi stwardniały, jakby blizny na twarzy wykuto mi dłutem rzeźbiarza.

Naturalnie, nie czułem się dobrze, budząc postrach. Każdego ranka budziłem się w Domu Odosobnienia, coraz bardziej pragnąc poznać życie tych pięknych kobiet. Rozumiałem, że moje chłopskie pochodzenie, mimo chwały, jaką się okryłem jako żołnierz, nie pomoże mi w zrozumieniu nastrojów i głupiutkich sprzeczek tego haremu, który nadzorowałem. Tym bardziej że nie miałem pojęcia o sztuce makijażu i opowiadania, o muzyce i tańcu, i o królewskim uwodzeniu. Nie wiedziałem, czy sztuki te są im znane tak, jak chłopu powożenie osiołkiem i orka, czy też mają w sobie coś z magii. Nie wiedziałem też, czy ulotne sprzeczeki, których świadkiem byłem codziennie, są w oczach bogów równie istotne jak walka między mężczyznami. Sprzeczały się bowiem tak zawzięcie, jakby to czyniły ku chwale jakiegoś boga! Wszystko, co się wiązało z Ogrodem Odosobnienia, było mi tak obce, że na początku nie wiedziałem nawet, jak się wybiera małe królowe ani które spośród nich wywodziły się z najszlachetniejszych rodów w czterdziestu dwóch nomach. Kobieta, która mogła mi o wszystkim opowiedzieć, stara matrona, która się nimi opiekowała, właśnie zmarła.

– Nie podoba mi się twoja opowieść o haremie – rzekła Hatfertiti. – Ja sama nie byłam nigdy w Domu Odosobnienia i nie potrafię sobie wyobrazić, jak wygląda, a w twojej opowieści – powiedziała moja rozdrażniona matka – brak mi twarzy, nie ma na czym zatrzymać wzroku.

Pradziadek wzruszył ramionami.

– Chyba nie czujesz się zmęczony, co? – spytał Pta-nem-hotep. – Przecież zbliżamy się do opowieści o miłości, o ileż ciekawszej niż sprawozdania z wypraw wojennych!

– Nie, nie ośmieliłbym się, o Władco Dwojga Królestw, powiedzieć, że moje myśli stanęły w miejscu. A jednak waham się. Niełatwo to opisać. Był to chyba najdziwniejszy rok mego życia. Czy wiecie, że nigdy dotąd nie miałem domu? A teraz mieszkałem we własnym domu – w Ogrodach – i służba krzątała się wokół mnie. Mogłem wychodzić, kiedy tylko chciałem. Mogłem, gdyby mi przyszła ochota, odwiedzić jedną ze znanych mi kobiet poza Ogrodami, a jednak byłem jak stwór w mocy czarnej miedzi z niebios. Nie śmiałem ruszyć się z Ogrodów. Miałem wrażenie, że wszystko, czego pragnę się nauczyć, ulotni się z chwilą, gdy przejdę przez bramę i usłyszę zgiełk ulicy w Tebach. Poza tym nie byłem całkiem wolny. Istniał nie wypowiedziany rozkaz Usermare-Setpenere. Nie życzył sobie, by jego gubernator znajdował się poza Ogrodami Odosobnienia w chwili, gdy on miałby ochotę odwiedzić swoje kobiety.

– Poza tym miałem wreszcie czas, by przemyśleć długie lata mojego dotychczasowego życia. – Pradziadek zasepił się.

– Ach – powiedział wreszcie – nasze malutkie ptaszki potrzebują podniety – i pomachał ręką przed najbliższą klatką ze świetlikami. Ale świetliki nie ożywiły się. Widziałem przez delikatne i nieomal przejrzyste płótno, że ledwo się poruszają.

Pradziadek nie odzywał się, przez jakiś czas siedzieliśmy więc w milczeniu. Tak długo wsłuchiwałem się w jego głos tego wieczoru, że nie musiał już otwierać ust. Potrafiłem sobie wyobrazić wszystko, o czym mówił. To, co chciał powiedzieć, stało się wyraźniejsze niż jego słowa, to znaczy zacząłem sobie wyobrażać Ogrody Odosobnienia i mieszkające tam kobiety już w chwili, gdy przychodziły mu one na myśl. Widziałem wszystko tak dokładnie, jakbym sam stał na

jednym z mostków przerzuconych nad sadzawkami i przysłuchiwał się rozmowom małych królowych. Widziałem też twarz mojego pradziadka taką, jaka musiała być wówczas, a więc surową i pokrytą bliznami od cięć mieczem, o czym nam opowiadał. Nie musiałem wcale otwierać oczu, gdyż jego myśli tak spotężniały, że słyszałem nie tylko rozmowy małych królowych, lecz także jego głos, rozbrzmiewający we mnie niczym najgrubsza struna lutni szarpnięta z całej siły.

Leżałem na poduszkach i udawałem sen, rozciągnięty wygodnie we własnym cieple, jakbym naprawdę spał, z oczyma przymkniętymi tak, że przez wąziutką szparkę ocienioną rzęsami zacząłem nagle dostrzegać wszystko tak wyraźnie, jak nigdy dotąd. Wiele razy zamyślałem się na widok wizerunków bogów wymalowanych na murach licznych świątyń i grobowców, do których prowadziła mnie matka. Przecież ludzie o takich twarzach nigdy nie pojawiali się na ulicy. Nigdy na przykład nie widziałem idącego po prostu ulicą kogoś z długim ptasim dziobem jak Tot albo ze szczękami krokodyla, jak Sobek. Ale dostrzegając wszystko niezwykle wyraźnie, zrozumiałem też, iż bywają takie chwile, gdy widzimy, jak wiele różnych twarzy mogą mieć ci sami ludzie. Kiedy spoglądałem na mego dziadka, widziałem, że jego twarz zmienia się, przypominając twarze ludzi, o których opowiada. Przysłuchiwałem się jego opowieści, odnosząc wrażenie, że śledzę ludzi, o których mowa, i byłbym nawet wstał, by się pośród tych ludzi przejść, gdyby nie kojąca błogość moich rozespanych członków. Te myśli nie brały się już z mego dzieciństwa, ale płynęły chyba od źródeł samej mądrości i właściwe były – jak mi się zdaje – dorosłemu dwudziestolatkowi. Takie bogactwo myśli zawdzięczałem zapewne rozmyśleniom i wyobraźni mego pradziadka, którego opowiadanie przepływało przez innych, zanim dotarło do mnie. Toteż i patio pałacu faraona urosło i stało się naraz wieloma pokojami o trudnych do ustalenia rozmiarach. Jeszcze przed chwilą widziałem tu kanapę, a teraz wiodła tamtędy droga, łuk zaś między dwiema kolumnami zaczął mi się kojarzyć z masywnymi wrotami strzegącymi dostępu do Ogrodów Odosobnienia. Dostrzegłem nawet dwa lwy po obu stronach Bramy Poranka i Bramy Wieczoru i domyśliłem się (wiedząc o Ogrodach Odosobnienia równie niewiele co Menenhetet tuż po przybyciu na nowe stanowisko), że są darem przysłanym faraonowi przez Miasto Lwów położone dalej w dół Nilu. Przeszedłem gnany moimi myślami obok lwów i wszedłem do Ogrodów. Mignęły mi po drodze wspaniałe torsy czterech czarnych eunuchów, którzy trzymali straż przy bramie i mieli na głowach złote hełmy. Zęby mieli białe jak płótno szat faraona.

I tak znaleźliśmy się w haremie, wśród licznych drzew i mnóstwa kwiatów. Niektóre rozpoznawałem, innych nigdy do tej pory nie widziałem. Myślę, że było tu więcej kwiatów niż w całym Egipcie, gdyż wszędzie widać było pęki czerwieni, cytrynowej żółci, złota, złotej zieleni, jednym słowem kwiatów we wszystkich barwach świata – fioletowych, różowych, kremowych, szkarłatnych. Ich płatki były tak miękkie w myślach Menenheteta, jak słodkie wargi małych królowych, gdyby przyszło im szeptać mi coś do ucha z ustami przytulonymi do mojego policzka. Nigdy dotąd nie widziałem tak wspaniałych barw ani takich czarno-żółtych mostków ze srebrnymi balustradami i złotymi palikami, przerzuconych nad taflami sadzawek. Brzegi pokrywał zielony mech, połyskujący w łagodnym świetle jak szmaragdy. Po raz pierwszy spacerowałem po tak pięknych zakątkach, wdychając cudowną woń kwiatów i drzewek owocowych. Nawet błękitny lotos wydzieliał słodką woń. Zazwyczaj kwiat ten nie pachnie, toteż nie wiedziałem, co właściwie czuję, dopóki nie ujrzałem czarnych eunuchów na kolanach, którzy smarowali kwiaty lotosu wonnymi olejkami, pokrywali perfumami korę drzewek chlebowych, figowców oraz korzenie palm daktylowych, których liście rozpościerały się ponad nami i dostarczały Ogrodom jeszcze głębszego cienia. Nie można było dostrzec nieba, gdyż nad głową rozciągały się gałęzie i liście niskich drzewek owocowych oraz kraty owinięte pędami i liśćmi winorośli. Cięż ten sprawiał, że łagodne

światło wieczoru przesiąkało lawendowo na ziemię, jak resztki światła wsączające się do mrocznej jaskini.

Jak okiem sięgnąć, widać było ptaki przelatujące z drzewa na drzewo i prześlizgujące się między królewskimi palmami. W sadzawkach pływały kaczki upierzone we wszystkich odcieniach brązu, skrzydłach szafranowo-granatowych oraz, tu i ówdzie, czarne łabędzie o jaskrawoczerwonym dziobie zwane Kadima (tak samo nazywała się pewna czarna księżniczka, Kadima z Nubii, jedna z małych królowych).

Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem aż tylu ptaków! Przelatując nad naszymi pustyniami i naszą rzeką musiały dostrzec zielone oko tych ogrodów z wysokości nieba i nadlatywały taką chmarą, z taką pompą i z takim jazgotem, że gdyby Menenhetet jeszcze mówił, na pewno nie dosłyszałbym jego słów. Wszystkie ptaki, gęsi i żurawie, flamingi i pelikany, jaskółki, gołębie, wróble, słowiki i ptaki z Arabii (szybsze od strzały, lecz nie większe od motyli) obsiadały gęsto trawniki, mokradła i gałęzie. Oddychałem w takt szumu i trzepotu skrzydeł, a z piersi wyrwał mi się świergot tego ptactwa jak oddech, którego nie mogłem już dłużej wstrzymać. Jedne gromady ptactwa wzbijały się w górę w tumanie trzepoczących skrzydełek, podczas gdy inne opadały na ziemię. Wysoko nad głową, nad koronami palm, jeszcze inne ptaki walczyły ze sobą, a odgłosy tych starć także dobiegały na ziemię. Zimorodki, sokoły, kruki wzbijały się w górę i zataczały kręgi w powietrzu, a pod nimi mniejsze ptaki toczyły swe walki, wykrzykując coś głośno do siebie, jak gdyby wszystko, co się jeszcze miało wydarzyć w naszym haremie i naszym mieście, było gorączkowo omawiane przez wszystkie ptaki. Bywało, że w Ogrodach było równie wrzaskliwie jak na targowisku.

A potem, jak gdyby ptaki wiedziały, w jaki sposób uspokoić powietrze, doświadczaliśmy ciszy pełnej głosików małych słodkich istot. Czuło się wówczas chłód wieczoru i szept wody. Słysząc było szemranie potoku, który doprowadzono z jeziora Gazeli. Wśród śpiewów i rozmów ptaków dawało się wyczuć miarowe pompowanie wody przelewanej z jednego szadufu do drugiego, podnoszonej z jeziora do koryta potoku, a stamtąd płynącej do innej sadzawki. Wspaniały szmer, kojący zwłaszcza w wieczornej godzinie, tuż przed snem, bliski niczym bicie własnego serca, gdyż nie ma równie świętego odgłosu, jak odgłos wody pompowanej przez niewolników.

Strumyki były piękne. Woda płynęła korytami z wypalanych kafelków, inkrustowanych drogocennymi kamieniami, i odbijała barwy tych klejnotów. Widziałem wody czerwone jak rubiny, fioletowe, a także złote wodospady, tam gdzie woda spadała na złote płytki. Widziałem potoczki o korytach z macicy perłowej i małą grotę różaną jak zachodzące słońce, ale pogrążoną w głębokim cieniu. Na tym właśnie brzegu, wdychając woń drzewka pamarąnczowego, widziałem, dzięki temu, że woda płynęła w cieniu, przepływające szybko ryby. Nie większe od mojego palca, umykające szybko, gdy tylko zbliżałem dłoń do zwierciadła wody. Te srebrzyste piskorze wyglądały jak krople księżycowego blasku, które wpadły do wody. Mógłbym przysiąc, że chłodziły Ogrody swym srebrzystym blaskiem.

Nad jedną z sadzawek nie było drzew, tylko trawnik zielony jak mech, polewany w ciągu dnia wodą przez czarnych eunuchów. W południe było tu zbyt gorąco, ale o zmierzchu robiło się chłodniej i małe królowe siadały na malutkich złotych krzeselkach przynoszonych przez służbę i patrzyły, jak Kadima przepływa przed nimi. Łabędź lubił przepływać o zmierzchu, jak gdyby pragnął podziwiać noc ogarniającą niebo i ptaki szykujące się do snu. Potem niewolnicy trudzący się przy żurawiach kończyli pracę, a wiaderka z wodą zastygały nieruchomo. Małe królowe wyrzucały liście pokrywające wazy z owocami. Zapach gotowej do skosztowania gruszki mieszał się z zapachem kwiatów, skrzydła łabędzia zaś unosiły się, marszcząc ciemniejące powietrze. Wiedziałem, że oto nadchodzi godzina, w której małe królowe zaczynają się przeciągać, schodzić do jeziora, by zażyć kąpieli, albo powracają do domów, do służby, do dzieci. Po chwili zewsząd

zaczynały dobiegać dźwięki lutni i śmiech kobiet oddających się zabawie i rozrywkom. Niektóre wypijały pierwsze szklanki piwa. Menenhetet zwykł przechadzać się po ogrodzie, idąc wzdłuż strumyka od jednej sadzawki do drugiej – woda zaś nie szumiała już o tej porze, gdyż eunuchowie przestali pracować przy żurawiach. Powierzchnia wody ściemniała z wyjątkiem jednej odnogi strumyczka, wyłożonej złotem. W świetle księżyca płytka woda jaśniała niczym wypolerowana miedź, a Menenhetet, przechodząc wzdłuż strumienia, spoglądał na srebrne piskorze, spowity w muzykę dobiegającą doń w mroku i w odgłosy pijących piwo, rozweselonych kobiet. Stojąc nad złotym korytem strumyka wiodącym od sadzawki Ukochanej Mądrości ku sadzawce Błękitnego Lotosu, czuł, jak przeszywa go dreszcz na dźwięk rozmów małych królowych. W ich głosach kryła się niewierność, której nie potrafił nazwać po imieniu, jakaś sympatia wzajemna, w której nie było ani cienia szacunku dla Usermare, jak gdyby mogły być szczęśliwe pod jego nieobecność! Niewierność odzywała się wówczas w sercu Menenheteta, a jego oddech stawał się spokojny jak cicha woda. Trawiło go pożądanie małych królowych. Samotna męskość wśród tylu kobiet paliła go jak wstyd, bo w pobliżu nie było żadnego innego mężczyzny, nawet chłopaczka, choćby dziesięcioletniego, zresztą nic dziwnego, gdyż dobiegając tego wieku, chłopcy byli oddawani kapłanom do nauki. Słyszał wyłącznie głosy kobiet, które nie miały ani mężów, ani przyjaciół, ani kochanków, tylko Wielkiego i Dobrego Usermare. Gorzej. Wokół niego uwijali się eunuchowie, których czarne mięśnie otaczał tłuszcz, oznaka wygodnego życia. Byli atrakcyjni w tym otoczeniu – setki kobiet i Menenheteta – drażniąc swą obecnością jego zmysły. W lędźwiach czuł ból, w gardle mu zasychało, i czuł taką żądzę, że nie śmiał nawet spojrzeć ku domowi, w którym królowe popijały piwo. Stojąc w ciemnościach, niczym koń nasłuchujący drapieżnika, w szeleście każdego liścia wyłapywał każdy podmuch powietrza. O tej porze roiło się w ogrodach od eunuchów, pieszczących się nawzajem palcami i ustami, chichoczących jak dzieci, toteż ciało Menenheteta płonęło. Pragnienie zaspokojenia pożądania opadało go niczym żądza krwi i rzezi po bitwie. A mimo to nie mógł się nawet zbliżyć do eunucha. Plotkowali jak dzieci. Wszyscy oficerowie w mig by się o tym dowiedzieli. To ci dopiero – być tak blisko setki kobiet i sparzyć się z eunuchem! Menenhetet przechadzał się po Ogrodach, jakby był duchem strażnika, niezdolnego do zmiany warty i zejścia z posterunku.

Rankiem było łatwiej. Małe królowe śpiewały, czesząc się nawzajem. Przeszukiwały sobie nawzajem skrzynie, starając się znaleźć dla siebie strój i wymienić na inny. Bawiły się z dziećmi, wydawały rozporządzenia służbie. Ponieważ same nie mogły wychodzić, wysyłały kucharzy na rynek, by kupowali jedzenie, a po ich powrocie łąjały ich za drobne uchybienia, za nie taką cebulę albo mięso nie takie jak trzeba. W południe małe królowe jadały u siebie po kolei i obdarowywały się owocami i oliwą, ozdabiały się wzajemnie kwiatami albo śpiewały nowe piosenki. Tresowały ulubione psy, koty i ptaki. Opowiadały o własnych rodzinach, uczyły dzieci o bogach własnej ojczyzny, o bogach wszystkich planet, pięciu zmysłów i czterech wiatrów, bogach każdej godziny dnia i nocy. Późnym popołudniem, przespawszy największy żar, małe królowe zamyślały się nad księgami magii albo przyrządzały sobie perfumy. Modliły się albo składały sobie wizyty.

O zmierzchu udawały się często do pawilonu, by oczekiwać Usermare. W wieczory pełni księżyca lubił przychodzić dokładnie wtedy, gdy blask zaczyna jaśnieć na jego rydwanie. Menenhetet patrzył z wieżyczki strażniczej przy bramie, jak królewscy heroldowie pędzili przez ulice, torując drogę Usermare, a potem, gdy rozwierały się wrota, rozbiegali się na boki i całowali kamienne lwy. Faraon wjeżdżał, zostawiając za sobą dwa plutony gwardii królewskiej, strażnika z wachlarzem, chorążego ze sztandarem, wojowników z maczugami i z dzidami. I ci, kolejno, kłaniali się orszakowi książąt i dostojników, którzy zakreślali rydwanami i wracali w zapadającym mroku do

swoich domów przez ulice Teb, stojąc obok woźniców, a ich wyprostowane ciała podrygiwały na wybojach.

Faraon był w środku. Czasami wszyscy wiedzieli, że przybędzie, kiedy indziej zaskakiwał prawie każdą małą królową, pomijając małe grono najmądrzejszych. Ale nikt nie wiedział, w jakim będzie nastroju, gdy się pojawi. Lubił sprawiać wrażenie surowego, gdy był rozbawiony, albo nadskakiwać jakiejś małej królowej, a potem zostawiać ją we łzach na wiele nocy w jej komnacie. – Możesz wyjść – mówił wówczas – masz nieczysty oddech.

Czasami, przybывая wcześniej, siadywał przed pawilonem i karmił Kadimę, gdy ta przepływała obok niego. Zostawał dłużej na trawniku, rozmawiając to z jedną, to z drugą małą królową do późnej nocy. Czasami dopiero po wzejściu księżyca wybierał kobietę, do której domu udawał się na resztę nocy. Zdarzało się, że wybierał siedem kobiet, a bywały i takie wielkie wydarzenia, jak wybór dwakroć siedem kobiet, ale w zwykłą noc Usermare nie kazał na siebie czekać zbyt długo. Jeżeli zatem zwlekał z przybyciem, małe królowe, które czekały na niego niecierpliwie otrzymawszy znaki od swych bogów świadczące o tym, że los im sprzyja, musiały wyciągnąć wniosek, że jacyś inni bogowie wmieszali się w tę sprawę albo że ich modlitwy zostały wypowiedziane zbyt niewyraźnym głosem. Podnosiły wówczas dłonie, każąc służbie odnieść złote krzeselka i wściekle na perfumy, które wybrały, a które być może okazały się zdradliwe, schodziły do jeziora kąpać się w świetle księżyca i zmywać z siebie zapach niepowodzenia.

Były i takie małe królowe, które stroiły się co wieczór nader starannie, a mimo to król nigdy się do nich nie odezwał. Wówczas, jak się Menenhetet wnet zorientował, przypominały żołnierzy pobitej armii i na wiele miesięcy porzucały myśl o uwiedzeniu króla. Nie wychodząc ze swoich domów, uczyły dzieci i czekały, aż nadejdzie nowa pora roku. Jeżeli nie udało im się w czas wylewu, czekały przez czas siewów i żniw, aż pola znów legły odłogiem. Niektóre w ogóle już nie próbowały. Były i takie małe królowe, które mieszkaly po dziesięć lat w Ogrodach Odosobnienia, nigdy nie widziały Jego Chwały – wystarczyło im, że się przyjaźniły z jakąś inną małą królową, która akurat cieszyła się jego względami. Naturalnie faworyty zmieniały się często.

W porze suchej, gdy już Menenhetet zyskał doświadczenie na nowym stanowisku w Domu Odosobnienia, Usermare przybył pewnej nocy tak późno, że zawiedzione kobiety już się zaczęły kąpać w jeziorze. Był pijany. Nigdy jeszcze Menenhetet nie widział go w takim stanie. – Od trzech nocy piję kolobi – oznajmił. – A to najmocniejsza wódka Egiptu. (Otworzyłem na chwilę oczy i ujrzałem, że Pta-nem-hotep skinął potakująco głową, jak gdyby poczuł na języku smak tego trunku, ogniście mocnego, w tej samej chwili, kiedy i ja wyobraziłem sobie, jak smakuje kolobi). – Tak, tak, napij się kolobi ze mną – powiedział Usermare, wchodząc do Ogrodów, Menenhetet zaś skłonił się i rzekł:

– Nie ma dla mnie większego zaszczytu.

Wychyliwszy haust z podanej mu złotej czaszy, Usermare spytał:

– Czy trudno przełknąć kolobi? – Gdy Menenhetet nie odpowiadał, dorzucił: – Czy to, co mówię, źle pachnie? Pij!

Tego wieczoru Usermare zszedł do jeziora. Od czasu gdy Menenhetet przybył do Ogrodów, Usermare nigdy jeszcze nie odwiedzał tego zakątka, toteż zaskoczył parę małych królowych kąpiących się w świetle księżyca. Baraszkowały rozkosznie na oczach eunuchów trzymających na brzegu ich szaty. Widząc faraona zaczęły piszczeć, krzyczeć i pluskać wodą, starając się zasłonić przed oczyma patrzących. Usermare śmiał się tak serdecznie, że w powietrzu rozniosła się woń alkoholu.

– Wyjdźcie z wody i zabawcie mnie – rzekł. – Dostyc już same się nabawiłyście.

Wyszły więc, niektóre piękniejsze w księżycowym blasku niż w pełnym świetle słońca. Niektóre drżały. Kilka najbardziej nieśmiały małych królowych od dawna już nie widziało z bliska Usermare. Jedna z tych kobiet, Hekwat, nazwana tak na cześć boginki żab, była kiedyś jego towarzyszką, a tłusta Kulka Miodu należała nawet do faworyt, zanim jej nie ucięto małego palca u nogi. Skłoniła mu się, ale z tak silnym błyskiem w oku, że nawet w nocy białka jej oczu bielsze były od płótna. A choć Kulka Miodu była bardzo tłusta, trzymała się dumnie, jakby była najważniejszą małą królową w haremie, i w tym momencie wcale nie wydawała się tłusta, lecz potężna. Miała biodra jak koń.

Wszystkie wyszły już z wody, a eunuchowie podsunęli im małe złote krzeselka, by usiadły, otaczając faraona półkolem, lecz Usermare spytał: – Kto się napije ze mną kolobi?

– Wszystkie cofnęły się, a tylko Kulka Miodu wyciągnęła rękę. Podał jej czaszę, a ona upiła trochę i oddała naczynie, po czym Menenhetet nalał jeszcze kolobi dla faraona.

– Opowiedzcie mi coś – rzekł Usermare. – Od trzech dni piję tę egipską wódkę, ale z równym powodzeniem mógłbym wypijać krew trupa. Co rano budzę się, jakby uderzony obuchem w głowę przez ducha, ale nie wiem, jaki to duch, choć mógłbym przysiąc, że to Hetyta, prawda, Meni? Hetyci noszą topory. – Chrząknął i powiedział: – Pewnego razu w górach Libanu natrafiłem na dolinkę, która przecinała inną dolinę, a w środku widniało wzgórze. Ze wzgórza tego wypływały cztery źródła. Oto i moja opowieść. Kolej na was.

Odór wódki unosił się w nocnym powietrzu, zdradzając cierpienia wyciskanych winogron. Usermare miał płuca potężne, zdolne oddychać ogniem, ale małe królowe siedziały, jakby je niewidzialny dym ścisnął za gardło. Bardzo się bały niewidzialnego ognia wódki.

Mała królowa imieniem Mersegert, filigranowa i głośna, odpowiedziała jako pierwsza. Nosząc imię bogini milczenia, była najhałaśliwsza w każdej sytuacji. Inne mogły milczeć, ale ona zawsze zaczynała gorączkowo paplać, gdy czuła się niepewnie, toteż tym razem zaczęła opowiadać o biednym królu, który błąkał się po ciemku na swym rumaku, gdyż chmury przesłoniły gwiazdy. – O ty, który przynosisz wielką rozkosz ołtarzom między udami wszystkich pięknych kobiet, wysłuchaj mej opowieści – rzekła Mersegert zabawnym głosikiem, który wydobywał się przez nos jak przez trzciniową fujarkę. – Był to król nieszczęśliwy i biedny.

– Jakiego kraju był monarchą? – spytał Usermare.

– Panował w krainie, która leży daleko na wschodzie – odparła Mersegert.

– No to opowiadaj, byle głośno. Najlepiej mówisz, kiedy nie rwie ci się głos.

– Po ciemku król nie widział nic – rzekła. – Nie wiedział, w którą stronę podążyć. Ale niebo widoczne było pod kopytami jego konia. Nad głową nie było nic widać, ale poniżej jaśniały gwiazdy. Król zsiadł z konia i oto okazało się, że stoi na niebie. Gwiazdy leżały u jego stóp. Ukląkł więc i podniósł jedną, a wtedy okazało się, że to drogocenny kamień, w którego blasku mieszka bóg. Postanowił poszukać innych takich kamieni, a przy ich blasku odnalazł drogę, powrócił do swego królestwa i stał się bogaty.

Usermare przerwał milczenie głośną czkawką. Wszyscy zaczęli się śmiać z Mersegert.

– Wolę coś ciekawszego. Ciemno tu. Przydałoby się kilka drogocennych kamieni. – Obrzucił wzrokiem wszystkie z obecnych kobiet. – Kogóż tu mamy? Widzę Harmonię i Białe Płótno, i Hipkę (skinął głową w kierunku Kulki Miodu, a kilka małych królowych zachichotało, słysząc, jak ją nazwał), widzę Nubijkę i Ametyst, i Hekwat, i Śmietankę. I Królika. Króliku, możesz mi coś opowiedzieć?

Królik była najwyższą spośród małych królowych, należała ponadto do najmłodszych i była nieśmiała. Pokręciła tylko głową. – A ty, Oazo, co możesz mi powiedzieć? – spytał. Chodziło o

Bastet, nazwaną tak na cześć bogini wszystkich kotów, która miała piękne oczy niczym dwie studnie i dlatego wołano na nią Oaza.

Westchnęła. Miała piękny głos i umiała się nim posługiwać, toteż opowiedziała o dziewięciu pełniach księżyca, które muszą minąć, nim narodzi się dziecko, i o dziewięciu wrotach, przez które dziecko musi przejść w łonie matki, ale Usermare-Setpenere tak się wynudził, że przerwał Oazie, by rzec: – Nie chcę już o tym słyszeć. – Po czym pociągnął jeszcze jeden łyk kolobi. Zapadła cisza.

– Hekwat – rzekł – twoja kolej, żeby mnie zabawić.

– Znów beknął. Królowe zachichotały. Dźwięk ich śmiechu ukucnął na krawędzi jego ognistego oddechu i łagodził go. Ale tego wieczoru wypił już tyle kolobi, że królowe chichotały niepewnie, nie wiedząc, czy ich wesołość łagodzi jego nastrój, czy też odwrotnie, rozpała go.

– O Wielki i Szlachetny Władco Dwojga Królestw – rzekła Hekwat – chciałabym opowiedzieć coś, co Cię nie rozdrażni.

– No to opowiadaj mi o żabach. Sama za bardzo przypominasz żabę.

Usermare zawsze odzywał się do Hekwat w ten sposób. Najwyraźniej nie podobała mu się jej powierzchowność. Była najbrzydsza wśród małych królowych, w opinii większości kobiet uchodziłaby zapewne za brzydką. Skórę na twarzy miała plamistą, szyję grubą, a figura pozostawiała wiele do życzenia. Poza tym pociła się obficie. Menenhetet nie zaprzyjaźnił się z żadną spośród tych królowych i nie wiedział, jak to było naprawdę, ale znał historię od kilku eunuchów. Jeżeli wierzyć ich opowieściom, a trudno było uwierzyć, gdyż opowiadając chichotali jak baby, to raz do roku, w szczytowej porze wylewu Nilu, przez Ogród przelewały się żaby, gromadząc się na podłogach wszystkich domów. Właśnie wówczas, raz do roku, Usermare udawał się do Hekwat i pozostawał z nią sam na sam w ciemności. Po jego wyjściu w jej domu wyczuwało się silną woń miłości. Eunuchowie dobrze o tym wiedzieli, bo to oni sprząтали. Po jednej z takich nocy, dwa lata temu, nadeszła burza gradowa, po czym na patio jej domu znaleziono martwe i zdychające żaby, które wyglądały jak zdeformowani mężczyźni i kobiety, jakby cała chmara wyległa ze szlamu. Usłyszawszy tę opowieść, Menenhetet wyrzucił ramię do góry, jakby chcąc się osłonić przed słowami eunuchów, gdyż pragnął odegnać od siebie wizję Usermare i Hekwat w tak odrażającym akcie.

A teraz, w mroku, nad brzegiem jeziora, Hekwat powiedziała:

– Na wschód od Tyru, w Syrii, urządzi się aukcję, na której wielu mężczyzn nabywa żony. Najpiękniejsze przynoszą rodzinom niezły dochód, ale kobiety brzydkie, którymi nikt się nie interesuje, można sprzedać dopiero wówczas, gdy ojciec panny młodej dopłaci panu młodemu. Nadchodzi więc w czasie aukcji taka godzina, w której pieniądze zaczynają krążyć w drugą stronę, podobnie jak Wieczna Zielen napływa i odpływa z powrotem. Sporo pieniędzy musi zapłacić ojciec najbrzydszej spośród kobiet.

Usermare zainteresował się tą opowieścią. Małe królowe zaszepotały między sobą. – Pewnego razu – rzekła Hekwat – jakaś kobieta okazała się tak brzydka, że jej przyszły mąż był chory, gdy na nią spojrział. Ale wkrótce po ślubie zaprzyjaźniła się we śnie z boginią Astarte, a przecież Astarte to najpiękniejsza bogini we wszystkich świątyniach naszego kraju i powiadają nawet, że jest dla nas tym, czym dla Egipcjan jest Izyda. Astarte powiedziała do niej: – Znudziła mnie moja uroda. To pospolite. Dlatego zwróciłam na ciebie uwagę, moja biedna brzydulko, i pragnę ci zdradzić magiczne zaklęcie. Będzie ono chroniło twego męża i syna od wszelkich chorób, z wyjątkiem tych, którym sążone jest ich zabić. – Potem Astarte zniknęła. Ale mąż tej brzydulki nagle nabrał takiej krzepy, że co wieczór kochał swoją brzydką żonę i urodziło im się mnóstwo zdrowych dzieci. Kiedy wreszcie mąż umarł, rażony chorobą, której sążone było go zabić, kobieta poprosiła, by znów ją wystawiono na sprzedaż. Ale wówczas jej moc wzbogacania tych, z którymi żyła, stała się

już tak głośna, iż osiągnęła najwyższą cenę. Tak więc tego dnia odwrócono wszystkie kryteria urody. Toteż w moim kraju nie robią różnicy między kobietą ładną a brzydką i lubią długie, zakrzywione nosy.

Skłoniła się. Opowieść była skończona. Kilka małych królowych zachichotało, Kulka Miodu roześmiała się nawet na cały głos. Jej radość dobywała się z potężnego gardła, a dźwięk był tak bogaty i tak wspaniale oddawał wspomnienie dawnej rozkoszy, że Menenhetet uznał go za piękny.

– Napij się kolobi – rzekł do niej Usermare. – Pociągnij zdrowo. Teraz kolej na ciebie.

Kulka Miodu skłoniła się. Miała grubą talię, dwa razy grubszą niż pozostałe kobiety, ale skłoniła się tak nisko, że dotknęła kolana.

– Słyszałam o bogini – zaczęła – o różanych włosach. Nikt nie wie, jak się nazywa.

– Chciałbym zobaczyć taką boginię – powiedział Usermare. Jego głos brzmiał równie silnie jak jej.

– Wielki Ozymandiaszu – rzekła, a w głosie jej czaiła się ironia delikatna niczym muśnięcie skrzydełkiem, gdyż tak zwracały się do niego narody zamieszkujące na wschodzie – gdybyś zobaczył tę boginkę, wziąłbyś ją w ramiona, a wówczas przestałaby być boginią i stałaby się kobietą jak reszta nas.

Małe królowe roześmiały się uszczęśliwione. Przytyk został starannie ukryty w komplementach, toteż Usermare potrafił tylko odpowiedzieć: – No to opowiedz nam swoją historyjkę, Hipciu, zanim ci wytarłoszę brzuch, a brzegi tego jeziora spłyną tłuszczem.

– Najmocniej cię przepraszam – rzekła Kulka Miodu – za to przedłużanie przerwy w rozrywkach. O Wielki Ozymandiaszu, skóra tej bogini o różanych włosach była biała, lubiła ona wylegiwać się na bagnach na zielonej, wilgotnej, bagnistej trawie. Pewnego dnia nadszedł pasterz, który był przystojny i silniejszy od innych mężczyzn. Zapragnął jej od pierwszego wejrzenia, ale ona odrzekła, że najpierw musi iść z nią w zapasy w jej stawie. Rozbawiony pasterz zapytał, nie traktując pytania poważnie, co będzie, jeśli przegra? Padła odpowiedź, że jeśli przegra, musi jej oddać jedną owieczkę. Pasterz pochwycił boginię i przyciągnął do siebie. Jej głowa pachniała słodko jak róże, lecz w jej włosach kryły się ciernie i w nich właśnie ugrzęzły ręce pasterza. Bogini pochwyciła go za uda, powaliła na ziemię i usiadła na jego głowie. A wówczas odkrył ciernie także we włosach tego drugiego lasu. Jakże krwawiły jego usta, nim go wreszcie puściła! Musiał jej oddać owieczkę. Następnego dnia znów przyszedł, by stanąć do walki, znów przegrał i znów musiał oddać owieczkę. Walczył codziennie, aż stracił całe stado, a usta jego były jedną wielką raną.

Nagle Kulka Miodu roześmiała się i nie mogła przestać. Moc jej głosu, niczym wody naszego Nilu w czasie wylewu, potrafiła wciągać w siebie wszystko, co się znajduje na brzegu. Jedna po drugiej małe królowe przyłączyły się do niej, potem eunuchowie i w końcu wszyscy śmialiśmy się z tej opowieści.

Może to kolobi, a może kaprys króla, ale kiedy wesołość małych królowych nie słabła, wreszcie i on zaczął się śmiać, wysuszył pół czaszy i podał to co zostało Kulce Miodu.

– Ma-krut – powiedział – jesteś zaiste głosem prawdy.

Z tonu, jakim wymówił te słowa, wiernie oddanego przez Menenheteta, poznałem, że zwracał się do niej tym imieniem w czasach, gdy była smukła i piękna. Matka, ojciec, a nawet mój faraon wydali okrzyki zdumienia, gdyż jak się dowiedziałem, imię Ma-krut nadaje się wyłącznie najwybitniejszym i najmądrzejszym kapłanom, tym, którzy są głosem prawdy, którzy wypowiadają słowa najgłębszych modłów najczystszy i najsilniejszy głosem (tylko w ten sposób można zmusić do odwrotu wszystkich tych bogów, którzy chcieliby przeszkodzić w modłach i kazać im pierzchać niczym armii w rozsypce). Tak szacowne imię przystoi wyłącznie Wysokim Kapłanom. A jednak Kulce Miodu nadano to imię. Ma-krut znaczyło „ta, która jest głosem prawdy”.

– Usermare-Setpenere – rzekła Kulka Miodu – mówię jasno, bo zdjęta jestem trwożnym podziwem na dźwięk twego imienia.

Małe królowe zaszemrały potakująco. Ich szacunek zmieszał się z oparami znad jeziora. Jeżeli ktoś potrafił wymówić liczne imiona Usermare w nienaganny sposób, to uznawano, iż potrafi również ruszyć ziemię z posad.

– To dobrze – powiedział Usermare – mam nadzieję, że zawsze starannie wymawiasz moje imię. Byłbym niepokojony, gdyby mi przyszło odciąć ci mały palec u drugiej nogi.

W tym momencie jedna z małych królowych wydała okrzyk przerażenia tak niespodziewanie, że usłyszeli go wszyscy. Inne przestały się śmiać. Kulka Miodu odwróciła głowę, jakby ją spoliczkowano. Wymruczała tylko: – Oj, Sesusi, wtedy utyję jeszcze bardziej.

– No to nie będzie takiego łoża w Domu Odosobnienia, które wytrzymałoby twój ciężar – powiedział.

– No to nie będzie – odparła, a oczy jej rozbliły. Menenhetet był pod jej urokiem. Jakże inna była tej nocy! Zazwyczaj bowiem była po prostu tłusta i podskakiwała na małych stopach uginających się pod jej ciężarem. Dziś w nocy, rozciągnięta na złotej ławeczce, gdyż złote krzeselka były dla niej o wiele za wąskie, wydawała się masywna, ale i majestatyczna zarazem, niczym królowa. Tak się jawiła wszystkim w tej godzinie.

– Opowiedz jeszcze coś – rzekł Usermare – byle dobrze.

– A co będzie, jeżeli nie opowiem, Wielki Ozymandiaszu?

– odparła – i dobrowolnie zrezygnuję z drugiego palca?

– Kilka małych królowych nie wytrzymało i zanosło się śmiechem wobec takiej zuchwałości. Najgłośniej śmiała się Nubijka, mała złota boginka, której nadano to przezwisko, gdyż ostatnimi czasy lubiła nosić peruki blond, to znaczy z włosia rysia posypanego złotem. Wszyscy uważali, że chciała w ten sposób przekonać faraona, iż jest wcieleniem Rama-Nefru z czasów, gdy ta ostatnia też zamieszkiwała w Ogrodach Odosobnienia.

– Niech to będzie długie opowiadanie – powiedział Usermare. – Lubię długie opowieści.

– Jest taka opowieść o dwóch czarownikach – zaczęła Kulka Miodu. Jej głos brzmiał jak wicher, który zatrzymuje ptaki nieruchomo w locie, tak był dźwięczny. – Pierwszym był Horus Północy. Pozwolono mu spać u stóp Ozyrysa, jeszcze zanim się urodził. Drugiego czarownika zwano Horusem Południa. Był czarny. Imię to nadali mu nubijscy kapłani, którzy ukradli wiele zwojów papirusu ze świątyni Amona za pierwszą kataraktą. Zabrali tę wiedzę ze sobą do dżungli i korzystali z niej przez tysiące lat, aż stali się bardzo mądrzy. Potem zaczęli uczyć czarnego czarownika, Horusa Południa, aż wreszcie ten udał się do Teb, by nastraszyć faraona.

– Którego faraona? – spytał Usermare.

– O Wielki i Umiłowany Władco Słońca, nie wolno mi powiedzieć, bo ściągnę wielkie nieszczęście na Egipt.

Był wściekły, ale nie śmiał się upierać. – Opowiedz, co masz do opowiedzenia, Ma-krut. Zobaczmy, czy będę zadowolony, kiedy skończysz.

W mroku ujrzałem, jak nadleciał biały motyl i zamigotał nad głowami kobiet, nad jeziorkiem zaś zapadła cisza tak głęboka, że wydawało mi się, iż słyszę trzepot jego skrzydełek.

– W drodze na dwór, z dżungli Nubii do Teb, Horus Południa każdego wieczora wyjmował kawałek zwoju papirusu ze swej księgi czarownika, rozpuszczał go w winie i wypijał. Magiczne zaklęcia wypisane na papirusie wędrowały wówczas ku wnętrzu jego myśli. Tak oto Horus Południa nasycił się mądrością. W chwili gdy zjawił się w pałacu, można było o nim śmiało powiedzieć, że błysk w jego oku zdradzał tajemne imię Re. Kiedy jednak zapukał do podwójnych wrót, pojawił się żołnierz, by go zaarrestować. Już od dawna zjawiali się świadkowie jego podróży,

donosząc, że zbliża się dziwny Nubijczyk, od którego pachnie czarami. To prawda. Nie można połknąć aż tylu magicznych zaklęć i nie pachnieć korzeniami i głazami.

– Podoba mi się to opowiadanie – rzekł Usermare.

– Horus Południa rzekł do strażnika: „Żadne więzy mnie nie skrepują”. Uniósł palec – i rzemień, który pętał jego nadgarstki, pękł w wielu miejscach, kawałki zaś odpelzły na bok jak robaki.

– Widziałas to? – spytał Usermare.

– Wielki Władco, widziałam to wyraźnie we śnie.

Usermare wypił jeszcze więcej kolobi i powiedział, zionąc alkoholem:

– Oto moja magia. Nawet motyla osmałę swoim oddechem. – Istotnie, motyl, który właśnie przelatował nad nami, zawahał się i zawirował. Małe królowe zachichotały.

Kulka Miodu odczekała, aż cisza stała się mocniejsza niż odgłosy, jakie wydawał Usermare, popijając kolobi. Potem powiedziała:

– Ponieważ żadne więzy nie mogły go skrepuwać, Horus Południa przeszedł przez dziedziniec i rzekł do faraona: – Jam jest Horus Południa. Spadam niczym plaga na Egipt. Żaden czarownik nie może mi stawić czoła. Zabieram cię ze sobą do królestwa Nubijczyków, a mój lud będzie się z ciebie śmiał.

– Aaaach! – zapiszczała jedna z małych królowych, ale Kulka Miodu nie przerwała opowieści.

– Zanim faraon zdążył coś powiedzieć, z Domu Odosobnienia wyszedł Horus Północy i rzekł: – Moje czary są równie potężne jak twoja plaga. – Faraon potrząsnął siedmiokrotnie berłem na znak, że pragnie pojedynku między tymi dwoma czarownikami, ale jego doradcy błagali go, by jeszcze zaczekał. Znali Horusa Północy jako syna jednej z małych królowych i nic poza tym. Nie widzieli go, jak sypiał u stóp Ozyrysa w Krainie Umarłych. Faraon jednak wiedział o tym – rzekła Kulka Miodu, a małe królowe klasnęły w ręce z podziwu dla jego mądrości.

– Ale Horus Południa nie wydawał się przerażony. Wyciągnął przed siebie pustą dłoń i oto pojawił się w niej kij. Medu – powiedział – oznacza kij. Ale oznacza także słowo. Toteż narysuję tym kijem magiczne słowo. – Wyszepał szybko: – Medu jest medu oznaczającym medu, czyli medu jako medu. Niechaj przeto medu zrodzi medu. Czubkiem kija narysował na ziemi trójkąt. Wybuchnął płomień, paląc się w suchym powietrzu z takim hukiem, że cały dwór cofnął się przerażony.

Kulka Miodu przerwała i popatrzyła przeciągle na Usermare, nim znowu podjęła opowieść.

– Na to Horus Północy powstał i narysował koło, otaczając nim faraona. Płomienie cofnęły się. W drugiej ręce czarownika z północy pojawił się złoty kubek z odrobiną wody. Horus Północy skropił tymi paroma kroplami powietrze, a wówczas obfity deszcz spadł na ziemię i zgasił ogień. Horus Południa stał mokry jak rzeka, którą przyplynał, a Horus Północy pozostał suchy, podobnie jak faraon. Kiedy jednak wszyscy dygnitarze zaczęli się śmiać, Horus Południa też się roześmiał i pogodnie, bez wahania, nakreślił w powietrzu wulgarny znak odbytu. Ten znak to koło ze szprychami, niczym koła rydwanów, które zdobyłeś, wielki Usermare. Okropność! W kręgu tym pojawił się potężny wiatr z dżungli nubijskiej krainy, skąd przybywał czarownik, przynosząc ze sobą wszystkie smrodliwe wiatry wypuszczane przez nubijskich wielmożów okazujących pogardę dla dworu faraona.

– Niektóre królowe zachichotały mimo woli, ale Kulka Miodu udawała, że nie słyszy, i ciągnęła dalej.

– W odpowiedzi Horus Północy zakreślił czubkiem kija spiralę i wszystkie smrodliwe wiatry zawiązały się w ciasny węzeł na dyszlu tego wyimaginowanego rydwanu. Uff! Horus Północy cofnął kij i te zsupłane wiatry buchnęły jasnym płomieniem.

Horus Południa obnażył zęby, a jego głowa zrobiła się brzydka jak łeb węża. Powiedział do faraona: – Wysłuchaj mnie! Twój dwór stanie się twoim grobowcem! – i podrzucił kijek w górę. Kijek nie spadł, lecz zaczął się unosić nad głowami patrzących i rosnać wzdłuż i wszerz, aż zaczął przypominać wielki płaski kamień na niebie. Horus Południa rzekł:

- Ten dach się zawali i ty zginiesz, jeżeli nie zgodzisz się towarzyszyć mi w drodze do Nubii.
- A co mnie czeka w Nubii? – spytał faraon.
- Mój lud będzie cię mógł zobaczyć na kolanach.
- No to nie pójdę za nic w świecie – odparł faraon.
- Giń więc!

Strwożony dwór czekał na to, co powie Horus Północy, który zbladł, a jego oczy zrobiły się srebrne; w cieniu tego wielkiego głazu przesłaniającego słońce uśmiechnął się. I on podrzucił kijek do góry z okrzykiem. Na oczach wszystkich kijek zamienił się w barwę, która wzbijała się ku niebu, aż wreszcie uniosła kamienny dach i skrzypiąc oraz kołysząc się ciężko, dowiozła go z powrotem na stare miejsce.

Na to Horus Południa wypowiedział trzy dziwne wyrazy. I natychmiast stał się niewidzialny. Na nic to się nie zdało. Horus Północy natychmiast powtórzył te same wyrazy wstecz i Horus Południa musiał się znów pokazać zebranym. Zamienił się w czarnego koguta z podciętymi skrzydłami. Mógł tylko wydawać przeraźliwe okrzyki i skargi.

– Jak go pogrzebali? – zapytał Usermare.

– Nie tak prędko, Wielki Sesusi! Horus Północy zawołał żołnierza, każąc mu uciąć tę część koguciego ciała, która mieszka między nogami. Horus Południa bardzo się tym przeraził i zaczął błagać faraona, by tego nie czynił.

– Daruję ci – powiedział faraon – jeżeli zgodnie z wagą Maat zgodzisz się, bym uczynił eunuchów ze wszystkich Nubijczyków, których schwytam. Czy nadajesz mi takie prawo i synom moich synów przez tysiąc lat?

Horus Południa rozplakał się. – Przegrałem – zawołał – a więc i cała Nubia przegrała. Rób co chcesz. Obiecuję ci, że nie powrócę do Egiptu przez tysiąc lat. – Gdy faraon skinął głową, Horus Północy dał znak. Kogutowi odrosły skrzydła i odleciał. Ale noga między nogami wszystkich schwytanych Nubijczyków przepadła i musieli się nauczyć służby w Ogrodach Odosobnienia wszystkich przyszłych faraonów.

– To prawda – rzekli eunuchowie małych królowych – z pewnością właśnie dlatego wszyscy tutaj trafiliśmy.

– I westchnęli.

– Czy to już koniec twojej opowieści? – spytał Usermare.

– Prawie. – Jak gdyby pragnąc pokazać, że wielu bogów towarzyszy jej tego wieczoru, Kulka Miodu skupiła na swej twarzy cały blask księżyca, jaki oblewał jeziorko. Oczy, nos i usta Kulki Miodu były piękne, a przynajmniej byłyby piękne, gdyby nie otaczał ich tłusty krąg jej twarzy, okrągłej jak księżyc w pełni. Ale w tej szerokiej twarzy tkwiły duże ciemne oczy, delikatny nosek i usta wygięte rozkosznie, łagodne jak na tak silną kobietę.

– Jak to się skończyło? – spytał Usermare.

– Och, Wielki Sesusi – powiedziała Kulka Miodu – przecież ponad tysiąc lat minęło od chwili, o której mowa. Być może Horus Południa gotów ponownie nas odwiedzić.

– Skoro tak, to gdzie znajdę Horusa Północy? – Usermare mówił kpiącym tonem, ale głos jego był ciężki od nadmiaru kolobi.

Wzruszyła ramionami. W ciemności wszyscy poczuli siłę jej gestu. – Pozwól, że ofiaruję ci modlitwę Ka Horusa Północy. Wielki czarownik może zechcieć znaleźć następcę.

Słyszałem już nie głos Kulki Miodu, lecz Menenheteta. Usiadłem nagle wyprostowany, jakby mnie ktoś pociągnął za włosy. Tak głęboko wsłuchałem się w jego myśli, że jego głos przestraszył mnie niczym nagły skowyt zwierzęcia za płachtą namiotu.

– Kiedy tylko zaczęła mówić o następcy, chwyciły mnie dreszcze – powiedział mój pradziadek.
– Mimo ciepłej nocy trząsałem się. Jakaś mała królowa wskazała na mnie palcem i zawołała: – Dlaczego boisz się tej opowieści? Powiedziałem jej, że nie boję się, lecz drzę z zimna. Ale naprawdę się bałem. Kulka Miodu też mi się przypatrywała, a ja nie śmiałem spojrzeć jej w oczy. Myśl przepłynęła od niej ku mnie. Brzmiała ona: „Nauczę cię kilku sztuk magicznych”.

II

Ale oto jego głos wzbiał się ponad powierzchnię myśli i pradziadek, wdawszy się w głośne rozmyślanie nad paroma złożonymi sprawami, wydał nam się nagle wypoczęty.

– W chwili tak znacznego odurzenia alkoholem – powiedział – Usermare musiał się nieźle przestraszyć opowieści o dwóch czarownikach. Jak wiecie, był święcie przekonany, że zostanie zamordowany w Ogradach Odosobnienia. Na pewno nie rozumiecie, jak mógłbym uważać jego obawy za uzasadnione, skoro wiadomo, że były próżne. Nie został w ogóle zamordowany. A jednak w pewnym sensie jestem skłonny twierdzić, że właściwie omal nie zginął tego roku, i to przeze mnie, choć jak wiadomo, dożył sędziwego wieku; mawiano nawet, iż ktoś jest stary, tak stary jak Ramzes II. Ba, ja sam nawet zostałem pod koniec jego panowania Wysokim Kapłanem. Umarł ledwie kilka lat przed końcem mojego drugiego życia. Pamiętam jeszcze, jak dzieci mówiły na jego pogrzebie, że „Bóg umarł”, i zastanawiały się, dlaczego słońce jeszcze świeci. Był faraonem przez sześćdziesiąt siedem lat. Ale choć po opisywanej nocy w Ogradach miał jeszcze żyć trzydzieści cztery lata, sądzę, że Usermare Ramzes II przez cały czas żywił obawy, iż Horus Południa powróci do Egiptu.

Naturalnie o tym wszystkim nic owej nocy nie wiedziałem. Nie pokazał po sobie strachu. Przeciwnie. Jeżeli można mówić o tym, że opowieść Kulki Miodu wywarła jakiś wpływ na monarchę, to przejawiał się on w nagłym przypiływie pożądania. Czuło się niemal żar jego podbrzusza. Pożądanie podniosło się w moim faraonie niczym ogień z oparów kolobi. Eunuchowie zaczęli śpiewać. Uderzali dłońmi o uda w rytmie tak szybkim, że słyszałem w nim cykanie koników polnych i stukot końskich kopyt. Jeden z tych eunuchów potrafił przesuwając czubkami palców po kolanie z takim charakterystycznym szelestem, że słuchaczom wydawało się, iż dosłyszeli szmer płynącego strumienia albo plusk drobnych fal. W odpowiedzi na tę melodię nadleciały chmury ciem i motyli, wyłaniając się z mroku i przelatując koło naszych uszu, jakbyśmy byli wodorostami, a one ławicami drobnych rybek. Kulka Miodu zaczęła nucić jakąś piosenkę, a głos miała tak donośny, że doprawdy nie poznawałem kobiety, która przede mną stała. Kiedy indziej wydawała się niezgrabna i byle jak ubrana, ale od chwili, gdy wyszła dzisiaj z wody, ukazywała nam jędrne ciało, nie pozbawione urody. Jak to często bywa u ludzi otyłych, jej ciało flaczało, gdy odczuwała przygnębienie, ale nabierało jędrności, gdy była szczęśliwa.

Tej nocy nuciła balladę o miłości wieśniaczki i pasterza. Piosenka była słodka i niewinna, Usermare zaś słuchając jej napił się kolobi i przetaił oczy. Podobnie jak wielu potężnych mężów, lubił sobie od czasu do czasu uronić łzę, słuchając rzewnych melodii. Nie za długo. Zaraz potem Kulka Miodu zaśpiewała drugą zwrotkę. Melodia pozostała bez zmian, ale pasterz stracił zainteresowanie dla dziewczyny i zaczął się wpatrywać w pośladki własnej owieczki. Perwersyjna ballada! Kulka Miodu zaczęła wydawać z siebie okrzyki rozkoszy, jakie musiała wydawać owieczka, gdy ją brano.

– Och – jęczała głosem, który by każdego pobudził. – Och – a powietrze aż drżało.

Usermare był gotów. – Chodź – rzekł do Kulki Miodu.

– Ty, Hekwat, Nubijka i Oaza. – Głosem, w którym czuć było nie ukrywany pożar pożądania, trawiący go z wolna tej nocy, dodał: – Pójdziemy do domu Nubijki. – Przerwał, jakby nagle

przyszła mu jeszcze jedna myśl do głowy, i spojrzał na mnie, jakbym był jego lwem, Hera-Re, który miał za chwilę podejść doń i zacząć lizać jego dłonie. – Meni – powiedział Usermare – masz iść z nami. – Wziął mnie za rękę i poszliśmy wszyscy razem.

To dziwne, ale w jego oczach stałem się Hera-Re. To swemu lwu, nie mnie, oferował przyjaźń. Stałem się w takiej sytuacji kimś niedorzecznym. Przysięgałem przez wiele lat, że się na nim zemszczę, ale zarazem lata całe tęskniłem za choćby najdrobniejszą oznaką jego wdzięczności. Zapewne byłem więc gotów zaryczeć jak lew, gdyby zechciał w zamian za to trochę dłużej potrzymać moją dłoń w swojej.

Dziwne rzeczy zaczęły się dziać w drodze do domku Nubijki. Jeżeli ja byłem dlań Hera-Re, to mnie z kolei towarzyszył, o ile mogłem się zorientować po szybkim stukocie kopytek, dzik. Cóż za towarzysz! Przemknęła mi przez głowę myśl, że to dzik miał być podarunkiem dla Kulki Miodu, i może tak było. Wiem tylko, że od tej pory, od nocy, kiedy towarzyszyłem mu w drodze do domku Nubijki, dzik towarzyszył mi często, do chwili aż został zabity, o czym wam także opowiem, lecz nie teraz. Następnego dnia, o północy, kiedy przechodziłem przez trawnik, skąd podziwiał się czarnego łabędzia, dzik szedł przy moim boku. Kiedy przystawałem opodal domku małych królowych, patrząc, jak sobie nawzajem czeszą włosy, dzik też przystawał. Zapamiętałem w końcu jego ryj i poznałem go dobrze, ale nikt inny zwierzęcia nie dostrzegwał. Niby towarzyszył mi wszędzie, ale nie byłem w stanie go przywołać. Czasem ledwo pomyślałem o jego ryju, a już się pokazywał, czasem nie, a w te noce, kiedy pozostawałem sam, odgłosy wesołości z piwiarni były nie do zniesienia. Głosy małych królowych drażniły mnie. Kiedy przyzwyczałem się do towarzystwa milczącego stwora, stałem się surowy i rozdrażniony.

Wiedziałem już, że ta setka małych królowych nie zawsze czekała cierpliwie na dar rozkoszy od naszego boskiego Ramzesa, czasami padała sobie w objęcia i kochała się między sobą. Potępiałem to, choć powinienem się był tego domyślać od początku. Wyrastałem w końcu w grupie chłopców, którzy wciąż się na siebie rzucali. Silniejszego przyjaciela określaliśmy jako kogoś, kto „zawsze dopada nas od tyłu”. Jako chłopak wiedziałem więc wszystko o tym, jak postępować z ciałem drugiego człowieka, chociaż pyszniłem się jako osiłek, że nikt mnie nie dopadł wbrew mej woli. Mimo to nie mogłem spokojnie myśleć o tych kobietach kochających się między sobą, nie mogłem się też pogodzić z wyniosłością, z jaką silniejsze spośród małych królowych traktowały czasami słabsze i łagodniejsze, jakby te ostatnie były niewolnicami. W te noce, kiedy rydwan faraona nie przejeżdżał przez wrota i nie było słyhać odgłosów jego kopulacji, w mroku rozbrzmiewały słodkie okrzyki i ostrzejsze piski, jęki i westchnienia wielu kobiet w wielu sypialniach. Z reguły kiedy dwie kobiety oddawały się takim rozkoszom, trzecia chwytła za harfę i towarzyszyła im melodią. Ja, słysząc te odgłosy, nie potrafiłem powstrzymać natłoku wizji. Kiedy widziałem małą królową uwijającą się u słodkiego końca innej, krew we mnie wrzała. Brak mi było królewskiej obojętności mojego władcy. Wiadomo było, że i on chętnie przygląda się uściskom małych królowych. – Naturalnie – mawiał – są wszak strunami mojej lutni i muszą się nauczyć, jak wspólnie drzeć.

Ja jednak, zwłaszcza gdy byłem sam, bez dzika, myślałem o tym jako o szumowinach unoszonych przez fale wylewu, o kłątwie rzucanej przez te kobiety. Czasem ośmielałem się wątpić, czy kochają go równie mocno jak siebie nawzajem. Czasami dwie małe królowe mieszkaly nawet w jednym domku jak mąż z żoną albo jak brat z siostrą, a dzieci zwracały się do obu jako do rodziców. Uważałem, że skoro jakaś kobieta kocha inną kobietę mocniej niż faraona, to ściąga w ten sposób najgorsze plagi. Tak oto maszerowały przede mną legiony myśli wiernych Usermare. Kiedy jednak wędrowałem po ogrodach z dzikiem, stawałem się innym człowiekiem, wyrozumiałym wobec ich igraszek i samemu pożądanym małych królowych. Podobały mi się ich

posiłki i tańce, pieśni, które śpiewały, czesząc sobie włosy albo przeszukując swoje garderoby w poszukiwaniu nowych strojów. Doszło do tego, że jak Nef-kep-aukem potrafiłem bezbłędnie nazwać wszystkie kosmetyki, z których korzystały.

– Czy miały jakieś kosmetyki, których ja jeszcze nie znam?

– spytała Hatfertiti.

– Nie ma olejków kwiatowych, których nie zdołałabyś już zebrać – odpowiedział.

– A zioła?

– Wybierały tylko najbardziej delikatne i najśłodsze perfumy. Nie potrzebowały gorzkiej żywicy gumowej ani kasji.

– No dobrze – rzekła matka – ale na przykład maść spikanard?

– Używali tej maści i szafranu, i cynamonu, i słodkiej winorośli, która wydaje woń samej miłości, jeśli się ją wetrze w uda z oliwą i z leciutką domieszką sosu z pieczonego mięsa.

Teraz z kolei Pta-nem-hotep zaczął się kręcić zniecierpliwiony.

– Zaczynasz – rzeki – grzeszyć niedomówieniami. Chciałbym wiedzieć, co zaszło w domu Nubijki.

– Nie mogę ci o tym opowiedzieć, nie wychodząc na głupca.

– To wykluczone. Słucham cię tak długo tylko dlatego, że głupcem nie jesteś. Ale trudno mi uwierzyć, że zawsze panowałeś nad sytuacją, każdej nocy swoich czterech wcieleń. Nawet faraon może wyjść na idiotę. Och, chyba powiedziałem coś niewybaczalnie głupiego.

– Jeżeli mam o tym opowiadać, muszę to uczynić szybko – pradziadek pochylił się do przodu, jak gdyby trzeba było ruszyć galopem i jak najszybciej uporać się z tym nieprzyjemnym zadaniem.

– Mała królowa, Nubijka, miała u siebie posążek Amona, którego brzuch nie był większy od mojej dłoni. Ale to, co wyrastało między jego nogami, nie było bynajmniej ukryte. O nie, przeciwnie, długością równało się połowie jego wzrostu. Usermare przykleknął przed tym małym bogiem i uniósł ręce do góry, jakby chcąc powiedzieć, że faraon i każdy spośród jego czternastu Ka składają hołd Amonowi. Potem otoczył ustami złoty członek, sam rdzeń Boga Amona.

– Żaden mężczyzna nie wszedł mi w usta – rzekł Usermare – ale czuję się szczęśliwy, mogąc ucałować miecz Amona i zaznać smaku złota i rubinów. – Istotnie, na koniuszku tego złotego członka, na samej żołądki, lśnił wielki rubin.

Potem wstał, a Hekwat i Oaza zdjęły mu płytkę z piersi i płócienną spódniczkę.

– Słuchaj, Meni – powiedział – pomódl się do mnie, jakbym był mieczem Ukrytego. – Jego fallus znalazł się w moich ustach, i poczułem, że wylew Nilu wzbiera w moim faraonie. W głowie mi huczało, a małe królowe zachichotały, gdy żar jego kolobi zaczął mi ściekać do gardła i po piersiach. Czułem aż do szpiku kości, dlaczego jest przy mnie dzik. Żadna z małych królowych nie śmiałaby dotknąć mej skóry wymalowanymi paznokciami, ale Świnia wepchnęła gruby ryj między moje pośladki i byłaby połknęła nasienie mojego króla, gdyby przeleciało przeze mnie szybko. Nie palił mnie zatem żar lędźwi Usermare, lecz jego pogarda.

– No, najgorsze już wam opowiedziałem – rzekł pradziadek – było to pierwsze upokorzenie, jakiego miałem zaznać tej nocy od mego faraona – i to w dodatku po przysiędze, że nigdy już nie okryje mnie wstydem. Dlatego zwlekałem, gdyż niełatwo mi o tym opowiadać. Ale teraz czuję, jakby mi kamień spadł z serca. Opowiem wam zatem resztę. A działo się wiele.

Namaściły Usermare. Tej nocy, podobnie jak w nocie poprzednie, kiedy mnie przy tym nie było, siadywał jak Bóg Amon, a małe królowe obsługiwały go jak Język i Czystość, to znaczy starannie obmywały mu twarz i nakładały nowe kosmetyki, malując oczy. Potem zdejmowały jego szaty i ubierały w świeże płótno, a potem deklamowały wiersze poświęcone klejnotom, którymi go zdobiły. Każdą zdejmowaną szatę małe królowe całowały, podobnie postępowały z każdą nową

szatą, w którą go ubierały. W tamtych czasach niezbyt dobrze rozumiałem jeszcze różnicę między całowaniem a jedzeniem – skąd chłopcy mieli o tym wiedzieć? – toteż sądziłem, że cmokały wargami po to, żeby pokazać, jak smaczne są szaty faraona.

Tej nocy, podobnie jak w nocie poprzednie, zrosiły brew faraona perfumami, a potem brały kolejno w usta miecz, każda z małych królowych, podczas gdy pozostałe mruzczały wówczas: „Bogowie się stroją, a Imię Twoje Strój”.

Ku memu zdumieniu oddał się tym małym królowym, jakby był kobietą. Legi na plecach, unosząc uda do góry i rozkładając kolana szerzej niż potężne ramiona, ściskając mnie przy tym za rękę tak mocno, że nie byłbym w stanie się wyswobodzić. A to dopiero początek. Wciąż jeszcze byłem pełen obaw i podejrzewałem, że dom Nubijki nagle stanie w płomieniach, ale mury tylko drgnęły lekko, jakby zszokowane biegiem wypadków, i stały nieporuszone. Może to moje własne ciało przeszywały dreszcze? Jak już powiedziałem, cały czas żyłem w strachu, obawiając się katastrofy, a skoro nie nadeszła, przestałem się bać, czując, że rozluźnia się także uścisk jego ręki.

Pod koniec trzymał mnie już lekko za rękę i czułem dreszcz ogarniającej go rozkoszy, która nabrzmiewała w jego ciele, wędrując od zmysłowych ust małych królowych. Do dziś pamiętam, że wszystko, co było w Usermare, o Wielki Pta-nem-hotepie, gotowe było wytrysnąć! Poznałem go wówczas tak dokładnie, jak nikt, kto nie jest faraonem i nie potrafi sobie wyobrazić przeżyć tak Wielkiego i Dobrego Boga. Czując jego rozkosz, czerpaną w chwili, gdy cztery małe królowe klęczały wokół potężnego, pięknego ciała Usermare, poznałem go do głębi. Hekwat wzięła jego stopę do ust i zaczęła językiem lizać ją między palcami niczym srebrny wąż, który wiję się między złotymi korzeniami, a Oaza, ze zręcznością zdradzającą długotrwałą wprawę, leciutko lizała i przeciągle całowała miecz Usermare, podczas gdy Nubijka pieściła jego uszy, nos i powieki czubeczką języka. O tak, wszystkie te pieszczoty Hekwat, Oazy i Nubijki przepłynęły przez palce faraona ku mnie i poczułem się piękniejszy niż wszystkie kwiaty w Ogrodach Odosobnienia, zacząłem oddychać tęczą, a On leżał z rozłożonymi nogami, z ugiętymi kolanami. I wtedy właśnie Kulka Miodu zbliżyła wargi do tych ust Usermare, które mieszczą się między jego pośladkami i tam go pocałowała, jej język wdarł się w jego wrota, a znała dobrze to wejście. Leżał, a ja, trzymając go za rękę, byłem z nim. Zaznałem więc rozkoszy, jaką odczuwa się w łodzi Re płynącej w górę rzeki Dat w Krainie Umarłych, a widoki roztaczały się wspaniale, gdyż z łodzi widać było co chwila nowe węże i skorpiony, z pysków zwierząt zaś dobywały się płomienie straszliwsze niż cokolwiek, co do tej pory widziałem. Dostrzegałem też Błogosławione Pola, których trawa pozostaje słodka nawet w nocy. Usermare unosił się, płynąc przez Krainę Umarłych, a ja wraz z nim, ze świnią u mych narządów. Faraon dojrzał Słońce i Księżyc, swoich kuzynów. Potem w rubinie jego miecza zaczęła wzbierać rzeka, tam, w słodkich wargach Oazy, i usłyszałem, jak wykrzykuje: „Jestem, jestem wszystkim, co będzie”, po czym kobiety wykrzyknęły, a on wytrysnął i duch kolobi rozjaśnił mnie jak ogień płonący czerwonym i szmaragdowym blaskiem.

Więc i ja wytrysnąłem u jego boku, a potężne moce jego wytrysku przepłynęły przez jego palce ku mnie, z tym że mój wytrysk wrócił ku mnie, odbiwszy się o ryj tej świni. Poczułem, że mnie posiadał od ust do odbytu, gdyż wielki monarcha i dziwaczna Świnia panowały nad dwoma krańcami rzeki, która przeze mnie przepływała, podobnie jak Ozyrys włada wejściem i wyjściem z Krainy Umarłych.

Nie miałem się z czego cieszyć. Ledwo Usermare przyszedł do siebie po wytrysku w kobiecej pozycji, a już był gotów stanąć na równe nogi jak mężczyzna. Nie interesowały go usta żyjące między udami jego czterech małych królowych. Ujął za to moje pośladki, między którymi przez całą noc dzika Świnia trzymała swój ryj, i znów uczynił ze mnie kobietę na oczach wszystkich kobiet. Chichocząc zawołały: „Ojej, Kazama!” i w ten sposób dowiedziałem się, że tak mnie

nazywały. Nadzorca Niewolnic, oto co o mnie myślały, wymawiając moje przezwisko. Teraz jednak Nadzorca Niewolnic sam stał się niewolnicą. – Ojej, Kazama! – wołały, śmiejąc się. Ja się nie śmiałem. Trzymając go za rękę unosiłem się wraz z nim na Niebiańskich Wodach. Inaczej było z jego mieczem. Zadawał mi ból. Nic nie widziałem. Przysięgłem sobie, że choć udało mu się po raz drugi wbić w moje trzewia, trzeciego razu nie będzie, choćby mi przyszło odciąć sobie wszystko, co mam, i przystać do eunuchów.

Menenhetet zamilkł, a ja, zasłuchany w jego opowieść, mimo przymkniętych oczu ujrzałem moją matkę po drugiej stronie pokoju, klęczącą przed faraonem. Byłbym przysięgł, że miała jego miecz w ustach. Nie wiem jednak dokładnie, co między nimi zaszło, gdyż przerwali, gdy się podniosłem. Moja matka mruczała jeszcze jak kot. Ojciec spał. To znaczy leżał nieruchomo i miał zamknięte oczy. Chrapał głośno i nieszczęśliwie. Świetliki jarzyły się tak jasno, że wydawało mi się, iż potrafię odczytać wyraz twarzy pradziadka, a przecież siedział daleko od nas. Po chwili podjął opowieść, przemawiając głosem Kulki Miodu.

III

Wiedziałem, że pradziadek przemówi jej głosem. Przez cały czas żyłem w jego myślach i słyszałem, jak mówi. Oto przewrócił oczyma niczym nieboszczyk, a z jego gardła wydobył się głos Kulki Miodu.

– Nie widziałam, kiedy wyszedłeś, Kazama – rzekła. – Ale i ja śmiałam się wraz z innymi, widząc, że uczynił z ciebie kobietę. Wiłeś się jak robak na haczyku jego siły. Myślę teraz jednak nie o Sesusi, lecz o krzywdzie, jaką zadano twemu dumnemu sercu. Wydajesz mi się łagodny jak gleba, gdy po niej przepłynie rzeka. Zaprzecz, jeśli to nieprawda.

– To prawda – rzekł pradziadek, przemówiwszy własnym głosem z najgłębszej głębi swego wspomnienia.

Mimo słabnącego blasku światełek wiedziałem, że znów się uspokoił, jego głos brzmiał jednak starzej niż wszystkie inne głosy, jakie słyszałem w życiu, a on sam wyglądał o sto lat starzej, więcej niż o sto lat. Patio pachniało starożytnymi gładzami. Staralem się przywołać własne przeżycia, próbowałem sobie wyobrazić, że oto chcę otworzyć szczęki w jamie tak zatechłej, że nie można oddychać. Znów przemówiła Kulka Miodu i wróciłem na szczęście do szeptów nocy. Usłyszałem, jak przemawia ustami Menenheteta:

– Czuję ból, jaki trapi twoje myśli. Myśli twoje cierpiały jak brzuch kobiety, która rodzi, prawda, Kazama?

– Prawda – rzekł Menenhetet.

– W takiej godzinie trudno powiedzieć, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą. Możesz się tylko zastanawiać nad tym, kiedy mężczyźni stają się kobietami, a kobiety mężczyznami.

Gdy ucichło echo jej głosu, Menenhetet podniósł głowę i rozejrzał się wokół, jakby nas nie widział, tylko spał sto lat. Jego twarz przybrała właściwy sobie wyraz, zrzuciła z rysów starość, jak się odrzuca ciężar. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby wyglądał tak młodo. Miał lat sześćdziesiąt, ale mógłby uchodzić za czterdziestolatka. Był przy tym silniejszy niż niejeden woźnica rydwanu. Ojciec przestał chrapać i przebudził się, na wargach matki zaś błąkał się uśmiezek zadowolenia, jak gdyby skosztowała samego jądra tajemnicy.

– Tak – powiedział Pta-nem-hotep – opowiedz nam jeszcze coś o tej Kulce Miodu, bo zaciekawia mnie równie głęboko jak mój wielki przodek. Obym zasłużył na spotkanie z nim na Błogosławionych Polach... – Następnie głośnie mlasnął językiem, jak gdyby przypominając nam, że wciąż jeszcze trwa Noc Świni i że pobożność odgrywa mniejszą rolę niż świętokradztwo. – O tak – dorzucił – opowiedz, nim świt zacznie parzyć nasze powieki. Już niedługo Hatfertiti i ja możemy zapragnąć snu. – Roześmiawszy się bardzo wesoło – po raz pierwszy usłyszałem odgłos prawdziwej radości wydawany przez naszego faraona – wstał i podszedłszy do ojca, pocałował go w czoło.

– Faktycznie, może zapragniecie – rzekł ojciec.

– Przemów jeszcze głosem Kulki Miodu – krzyknął Pta-nem-hotep do mojego pradziadka takim tonem, jakby i on właśnie skończył pić kolobi.

– O Boski Władco Obojga Królestw, właśnie drzemałem przez chwilę i czuję, że wypocząłem. Czyżbyś słyszał jej głos?

Pta-nem-hotep roześmiał się.

– Pewnie słyszałeś – rzekł Menenhetet – bo myślę teraz o niej.

– Tak, opowiadaj dalej, proszę – powiedział faraon – bardzo mi na tym zależy.

– O ile pamiętam – rozpoczął pradziadek – noc była bezksiężycowa. Wyszedłem z domu Nubijki, a mrok wydawał mi się równie gęsty jak najczarniejsze z moich myśli. Odnalazłem sadzawkę, na której czarny łabędź lubił spędzać noce, i próbowałem doń przemówić, ale nic mi nie przychodziło do głowy, cały czas rozmyślałem tylko o mym upokorzeniu. To wtedy poprzysiąłem sobie coś po raz drugi. Wstyd, jak wszystkie trucizny, wymaga specyficznej, odrażającej odtrutki. Postanowiłem szukać ratunku w odwadze, jaką daje szaleństwo. Mogłem się wówczas odważyć na coś, czego nikt inny zrobić się nie odważy, a mianowicie lec w łożu z jedną spośród małych królowych.

Już sam fakt, że przez chwilę myślałem o takim uczynku, dowodził odwagi. Jeżeli myśl jakąś żywymy przez dwa oddechy, za drugim oddechem staje się ona słyszalna dla innych. A jednak wiedziałem, że muszę moją przysięgę wypowiedzieć starannie. Tak sobie przyrzekłem, lecz zacząłem się trząść tak potwornie, że i ptak zadygotał. Załopotał skrzydłami, spod jego ciała zaś wydobyły się pienne kręgi zmarszczek, rozchodząc się i załamując po całej sadzawce. Byłem pewien, że ludzie porwą się na nogi we wszystkich domach Ogrodów Odosobnienia. Ale sadzawka wnet się uspokoiła. Zacząłem rozmyślać o Kulce Miodu. Z piersi tej kobiety biła taka czułość, taka troska o mnie, że porównywałem ją z przypiływem wezbranej rzeki, wylewającej na spękaną, wysuszoną ziemię, ryj świni zaś dotknął mnie od tyłu i zaczął łaskotać w udo.

Pozwólcie, że przemilczę już długie dni, które minęły, nim się odważyłem złożyć jej pierwszą wizytę, oraz strach, który udało mi się zwalczyć, a który po chwili osaczał mnie z nową siłą. Znacnie takie opowieści. Nie wiem, jak udało mi się w końcu wejść do jej domu, ale chyba pomogły mi sny, gdyż śniłem o tym nieustannie. Jakże pragnąłem leżeć na wznak jak Usermare i czuć jej usta przy moich dolnych wrotach.

Można powiedzieć, że byłem przyciągany, tak jak czarna miedź z niebios przyciąga do siebie drugi kawałek tego samego metalu, gdyż pewnej nocy, kiedy Usermare nie zawitał do wrót Ogrodów Odosobnienia, stawiłem się u jej drzwi. Podczas tej wizyty nie próbowałem nawet usiąść przy niej, ale wychodząc zapytałem, czy mogę przyjść nazajutrz. Zgodziła się, lecz rzekła: „Nikt nie powinien cię tu już widzieć wieczorem”, i powiodła mnie ku drzewu w ogrodzie, po którego gałęziach mogłem się wspiąć i przeskoczyć ogrodzenie. W ten sposób mogłem wchodzić i wychodzić, nie budząc jej służących i eunuchów. Dotykając gałęzi przypominałem sobie tę noc, kiedy siedziałem oparty o pień drzewa w drodze do Kadeszu; kiwnąłem głową, a ona położyła mi rękę na szyi i zaczęła mnie delikatnie masować.

Z jej pulchnych paluszków spłynęła na mnie siła podobna do tej, którą ongi dało mi to libańskie drzewo.

Wróciwszy nie mogłem już zasnąć. W nocy przyciągała mnie nieodparcie. Nigdy nie podobały mi się aż tak ciężkie kobiety, a przecież sama myśl o jej pulchności skręcała mnie słodko, niczym orzeźwiający wietrzyk, w podbrzuszu. Czułem się jak jedno z tych jajeczek zagrzebanych w kulce nawozu popychaną przez skarabeusza w górę, na brzegu rzeki. Zapadając w sen, czułem się bogaty jak sam Kepera, było mi ciepło, byłem blisko ziemi i wdychałem zapach naszego egipskiego nawozu, bogatego we wszystko, co gnije i więdnie, ale wciąż jeszcze załutuje dawną chciwością. Zastanawiałem się, czy tak zapachnie ciało Kulki Miodu, gdy wywietrzeją perfumy. Czułem, że jestem pełen złota, i pod zamkniętymi powiekami widziałem złote niebo, słyszałem grzmoty, jakie towarzyszą piorunom Re, gdy ten, niezadowolony z tego, że już rozdzielił słoneczny blask między trzciny, połyskującą rzekę i tę najcenniejszą rudę ziemską, samo złoto, ogrzewa jeszcze w dodatku

wszelkie nieczystości i przenika do samego środka tego piekarnika ulepionego z nawozu. Myśl, że tu właśnie jestem, sprawiała mi przyjemność. Ale nagle zerwałem się, oburzony na niskie popędy, które chciałem zaspokoić w jej ramionach. Mimo to wiedziałem, że zrobię wszystko, by jej zaznać, bo byłem już w stanie gorszym niż człowiek, który tylko umarł. Mój wstyd i hańba, noszone cierpliwie przez tyle lat, teraz wybuchły jasnym płomieniem.

Wstałem więc i przeszedłem przez Ogrody, wspiałem się na drzewo pod murem obok jej domu, zeskoczyłem z gałęzi do środka i znalazłem się w jej ogrodzie. Czekala na mnie w pokoju, ale rzuciłem się na nią tak przerażony, że mój miecz był jak myszka, a ona zdawała mi się większa niż cała ziemia. Wydawało mi się, że obejmuję górę. Tej nocy brakowało mi sił, by spenetrować choćby jagnię. Strumyczek, który ze mnie wyciekł, nie płonął jak wąż ani nie jaśniał jak Re, nie leciałem uskrzydłony przez ptaka, lecz musiałem być wyciągany z samego siebie. Istotnie, wyciągnęła mnie ze mnie, jej ręka zaś głaskała mnie tak długo, aż wody uniosły się po kres mego podbrzusza i dalej. Poznałem wówczas gorycz wytrysku w chwili, gdy człowieka zdejmuje strach. Nie czułem nawet wstydu, gdy skończyliśmy, lecz ulgę. Wiedziałem, że wnet się stamtąd wyniosę.

Ale ona wcale nie spieszyła się i nie chciała, bym zbyt szybko ją opuszczał. Leżąc u mego boku, wydała głośnie westchnienie, ciężkie jak cień dużego ptaka przelatującego nad waszym cieniem, i powiedziała: „Odprowadzę cię do drzewa”. Ale kiedy zacząłem nakładać sandały, podała mi rękę i poprowadziła w przeciwną stronę, do pokoju, w którym pachniało wieloma proszkami ze zwierząt i stworzeń od dawna nieżywych, w kącie zaś, przy małym wgłębieniu, stała mała alabastrowa waza z oliwą i płonącym knotem. W tym słabym świetle wzięła trzy szczypty proszku ze słoja, zmieszała z winem, wypila połowę i podała mi resztę. Smakowało starością starszą od trumny.

Zaśmiała mi się w twarz. Śmiech był głośny i mogła pobudzić ludzi, ale położyła mi uspokajająco ciężką rękę na ramieniu, jak gdyby zapewniając mnie, że jej służby nie zdziwią żadne odgłosy dobiegające w środku nocy. Zrozumiałem wówczas, że napój, który wspólnie wysączyliśmy, był mostem między naszymi gardłami, gdyż by mnie uspokoić, ledwo poruszyła ustami. Przez ten most miały odtąd płynąć moje myśli. Dowiedziałem się zatem, że ten pokój obok sypialni był jej schronieniem w bezsenne noce, mój nos zaś dopowiedział resztę o ofiarach, jakie tam składano. Widziałem ten ołtarz – granitowy blok – i czułem zestarzałą krew wielu małych zwierzątek, które powierzały jej swe ostatnie tchnienie. Kładąc się do łóżka i czując żuka Kepera poruszającego się w moich trzewiach, rozumiałem, że proszek, który domieszała do wina, pochodził z żuka, którego schwytała, wysuszyła (po odcięciu główki) i zmełła na proch. Musiała go potłuc, przesiać, a potem wypowiedzieć magiczne zaklęcia. Teraz wypiliśmy oboje to wino i moje myśli znów zwróciły się ku naszemu żukowi żyjącemu w nawozie. Tak dalece podziwiamy jego siłę, że umykają naszej uwadze jego subtelniejsze nawyki. Jako chłopak często siadywałem na brzegu rzeki i nie miałem nic lepszego do roboty, jak przyglądać się żukom, które pracowicie wpychały kulki nawozu na brzeg i zakopywały je w błocie. Nawóz stanowił pokarm dla zakopanych w nim jajeczek. Można było zmylić żuki i zamienić im kulki, a nadal pracowicie spełniały swoje zadanie i wpychały pod górę jajeczka innych. Opowiadam wam o tym wszystkim, gdyż rozumiałem, stojąc obok Kulki Miodu, że oto połączyła nasze dążenia i mieszała właśnie nasze myśli, żeby Usermare nigdy nie wyobraził sobie nas razem. Nim wyszedłem tej nocy, pokazała, że chce mieć ze mnie jeszcze więcej niż on. Obcięła ostrym nożykiem końce moich paznokci i starannie je posiekała na drobniutkie kawałeczki. Potem zjadła je na moich oczach. Nie wiedziałem już, czy mam do czynienia z kobietą, boginią czy bestią.

– Jeżeli przybyłeś tu z miłości ku mnie – rzekła – ręce twoje nauczą się pieszczot. Jeżeli jednak zostałeś nasłany przez Usermare, twoje palce zaznają cierpień trędowatego, nim odpadną. – Ponownie uśmiechnęła się, widząc moją konsternację. – No dobrze – powiedziała – mam do ciebie

zaufanie, trochę zaufania – po czym pocałowała mnie w usta. Powiedziałem „pocałowała”, bo po raz pierwszy poznałem wówczas smak prawdziwego pocałunku. Zznałem już tajnej kurwy w Kadeszu i mojej kobiety w Eshuranib oraz wielu wieśniaczek, wiedziałem też, że przyjemnie jest, kiedy oddechy się mieszają. Chłopi powiadają między sobą, że szlachta jada ze złotych talerzy, toteż wie, jak sobie dotykać ustami ust. A teraz Kulka Miodu dotknęła wargami moich warg i trzymała je nieruchomo. Czułem się jak zakneblowany, jak mumia, ale knebel był z delikatniejszego materiału niż wszystko, czego dotykałem do tej pory. Miała język słodszy niż paluszki, a zarazem obrotny jak miecz w moich ustach. Nie, lepiej porównać go do niewielkiego węża ociekającego miodem.

– Przyjdź do mnie jutro w nocy, jeżeli jego tu nie będzie – powiedziała i zaprowadziła mnie pod drzewo. Ledwo wyszedłem, a już wróciło moje pożądanie. A jednak następnej nocy znów byłem słaby. Musiała pracować i używać ręki jak studziennego żurawia, by mnie wydobyć ma wierzch. Znów znałem tylko murów jej ciała i nie udało mi się przeniknąć jej bram. Ale drugiej nocy była łagodna i powiedziała: – Przyjdź, kiedy będziesz mógł, a pewnej dobrej nocy sprawisz się dzielnie jak sam Usermare. – Jak gdyby chcąc mi wyjaśnić, ilu to nocy będę potrzebował, by osiąść taką umiejętność, przedstawiła mi swoim skorpionom. Miała ich siedem: Tefen, Befen, Mestet i Mestetef, a także Petet, Tetet i Metet. Nie do wiary, nazywała każdego po imieniu, chociaż w pudełeczku, które im zastępowało gniazdo, krążyły mijając się obojętnie jak żebracy, którzy nie są sobie nic winni i których nic nie łączy. Podnosiła je palcami i kładła sobie na wargach albo powiekach, nie obawiając się ukąszenia.

– Nazywają się tak samo jak siedem skorpionów Izydy – powiedziała. – I naprawdę z nich się wywodzą. – Przy słabym świetle lampki oliwnej widziałem, że skorpiony zasłaniały siedem otworów w jej głowie – oczy, uszy, nozdrza i usta. Potem je zdjęła, włożyła z powrotem do pudełka i pocałowała mnie. Powiedziała, że przodkowie tych siedmiu skorpionów stworzyli siedem naszych duchów i dusz. Potem kazała mi wracać do domu. Zaczęła się moja nauka.

Byłem, jak już wspominałem, jedynym mężczyzną mieszkającym w Ogrodach, który nie był eunuchem. Nie chciałem nawet dopuszczać do siebie myśli o tym, jaka to wesołość zapanowała we wszystkich domach, kiedy po kolei małe królowe dowiadywały się o mojej nocy z Usermare. Trzymałem się więc na uboczu, zamknięty murami moich Ogródów, i nie chodziłem za dnia cd domu do domu. Lubiłem te obchody, gdyż wysłuchiwałem wówczas wielu plotek, a za pośrednictwem eunuchów oraz Głównego Pisarza Ogródów, także eunucha (o którym wam jeszcze opowiem), dowiadywaliśmy się absolutnie wszystkich pogłosek, jakie krążyły o książętach, gubernatorach, Wysokich Kapłanach, królewskich sędziach, Trzecim Nadzorcy u boku wezyra, a nawet – tu pradziadek skłonił się ojcu – o pomocniku Pierwszego Nadzorcy Królewskiej Szkatuły z Kosmetykami. Mówię: „dowiadywaliśmy się”, ale najpierw dowiadywali się eunuchowie, potem małe królowe, a ja cieszyłem się, kiedy w końcu plotki docierały i do mnie. Tak czy owak więcej wiedziałem o dolach i niedolach mieszkańców Teb niż za dawnych czasów, gdy przemierzałem ulice swoim rydwanem. Toteż lubiłem odwiedzać małe królowe, jadać ich ciasteczka, wąchać różne perfumy, podziwiać ich fajanse albo złote bransolety, naszyjniki, meble, szaty, dzieci, aż wreszcie, gdy już wszystkie komplementy zostały wypowiedziane, docieraliśmy do właściwego przedmiotu naszych zainteresowań, czyli do plotek. Wysłuchiwałem opowieści o wielu wielmożach, ale ostatecznie rozmowa i tak zbaczała na królową Nefertari i Rama-Nefru. Małe królowe żywiły naturalnie własne sympatie i antypatie, niczym szkoły kapłanów modlących się w różnych świątyniach, toteż czasami dowiadywałem się że Rama-Nefru będzie tylko przez jeden sezon jego faworytą, a czasami, że utrzyma się jako faworyta przez długie lata. Już na samym początku

zorientowałem się, że takie opowieści są echem plotek, jakie małe królowe opowiadają o sobie. Na to zawsze można było liczyć. Jeśli wierzyć małym królowym, ich rywalki właśnie wypadały z łask.

Tak poznałem wiele tajemnic, które je otaczały. Na długo przed pierwszą wizytą u Kulki Miodu dowiedziałem się o niej wielu rzeczy, po części od jej przyjaciółek, a po części od tych małych królowych, które bynajmniej do jej przyjaciółek się nie zaliczały. Wysłuchiwanie dwu wersji tej samej opowieści było jakby jedzeniem dwu potraw naraz. Trawiłem je w brzuchu jednocześnie. Jeszcze na długo przed tym, jak wspiałem się na drzewo przy jej ogrodzie i przed tym, nim usłyszałem, jak Kulka Miodu śpiewa nad jeziorkiem, wiedziałem, co wycierpiała. Słyszałem niemal echo tych wydarzeń. Widywałem tysiące zabijanych mężczyzn, widziałem, jak pożera się ich ciała, ale na wadze Maat mogły one znaczyć mniej niż cierpienie tych małych królowych, gdy obcięto im mały palec u nogi. Kulka Miodu była jego faworytą w Ogrodach Odosobnienia – co do tego zgadzały się zarówno jej przyjaciółki, jak i te, które jej nie lubiły. Nie była wówczas gruba i nawet eunuchowie nie śmieli na nią patrzeć, gdy się kąpała, tak lubieżna była jej uroda. Wszyscy zwracali się do niej, nazywając ją Ma-Krut. Była próżna, nawet jak na małą królową. Wysłuchawszy wszystkich życzliwych i złośliwych plotek na jej temat, doszedłem do wniosku, że była po prostu próżna. I dlatego przehandlowała z Hekwat, z najbrzydszą spośród małych królowych, naszyjnik, który należał kiedyś do matki Usermare. Potem chepiła się tym przed samym faraonem. Powiedziała mu, że wymieniła naszyjnik na alabastrową wazę, i poprosiła, żeby Sesusi znalazł drugą do kompletu. Leżeli we dwoje w łóżku, gdy to powiedziała. Zerwał się, chwycił nóż i trzymając ją za nogę w kostce, odciął mały palec. Mersegert, ta boginka milczenia, której usta nigdy się nie zamykały, mówiła mi, że echo krzyków i wrzasków Ma-Krut jeszcze się unosi nad wieloma sadzawkami w spokojną noc. Jej wrogowie opowiadali, jak to popędziła, żeby odcięty paluszek owinać w nasyczone ziołami zawoje, a potem zabalsamować. Niektóre królowe zauważały, że od tej nocy poświęciła się wytrwałemu zgłębianiu magii. Utyła, w jej ogrodzie pojawiły się rzadkie zioła i cuchnące rośliny, w jej domu zaś unosił się zaduch zbieranych minerałów, roślin i zwierząt. Kiedyś miała najpiękniejsze wazy w całym ogrodzie, a teraz wszystkie wyszczerbiły się od ciągłego używania. Pracowała nad korzeniami, skórą i proszkami, które w wazach pokrywały się pleśnią. Trujące opary unosiły się nad garnkami, w których warzyła coś w tajemniczym pokoju, odpowiadając swoje obrzędy. Wyczuwało się ptasie guano i woń jaszczurek i węży trzymany w specjalnych klatkach. Znała imiona wszystkich tych stworów i wiedziała, jak nazywają się najróżniejsze gałęzie i kamienie, które także zbierała. Pełno było też zwojów pajęczyny, skór węży, w całości i zmielonych, słoików soli, wysuszonych kwiatków, perfum, barwnej włóczki, święconego papirusu. Na półkach stały też wazon z oliwą, egipską i zagraniczną, czasami pochodzącą z drzew i roślin, których nie znałem. Niektórych odmian oliwy należało używać wyłącznie w świetle księżyca, innych w słonecznej spiekocie. Znała nazwy korzeni wielu rzadkich roślin polnych, których nigdy dotąd nie widziałem, miała też najróżniejsze włosie, loki z włosów wielu małych królowych i licznych eunuchów.

Każdego ranka rysowała sobie nowy talizman, używając w tym celu papirusu zakupionego w przeddzień przez najbardziej zaufanego eunucha Kiki, którego imię oznaczało także olej rycynowy. Imię było właściwie kobiece, ale nie miało to znaczenia, gdyż na eunucha można było wołać, jak kto chciał. Rycyna to całkiem porządne imię, równie pasujące do właściciela jak imię innego jej faworyta, Sebeka z Sais, którego przezwano tak, gdyż był przeraźliwie podobny do krokodyla. Jeżeli sądzić po spojrzeniach, jakie ci dwaj rzucali na siebie, usługując jej rano, można było pomyśleć, że krokodyl obawiał się, iż go usmażą w oleju rycynowym. Kulka Miodu budziła bowiem lęk. A przecież kobieta ta potrafiła zaklinaćzymane u siebie węże, wykonując ledwo dostrzegalne ruchy potężnymi ramionami (naśladującymi sploty węzowych ciał) lub wypowiadając

czarodziejskie zaklęcia. Z zaklęć korzystała dla wzywania duchów, ponieważ, jak mi później wyjaśniła, żadna istota nie oprze się dźwiękowi swego prawdziwego imienia – tak rzadko je słyszy.

– Słyszałem wiele opowieści o duchach, które nas otaczają – rzekł Pta-nem-hotep – ale ty mówisz o nich, jakby były dziwnymi ptakami albo zwierzętami.

– Ma-Krut mawiała często, że nasze myśli przybierają postać różnych stworzeń, zmieszawszy się z oddechem bogów. Są niewidzialne, ale przybierają postać zwierząt. Niektóre duchy trzymają się nawet razem, niczym ptaki o jednakowym upierzeniu, albo gromadzą się, jakby wystawiały liczną armię. Potrafią się skupić w takiej masie, że przypominają potężną górę albo ludne miasto nad rzeką.

– To prawda – rzekła Hatfertiti. – Zaznałam uczuć tak potężnych, że wiem, iż będą żyły długo jeszcze po mojej śmierci. – I popatrzyła powłóczyście na faraona jakby z otchłani jej niezmierzonej zdolności do przeżywania takich uczuć.

– Tak – potwierdził Menenhetet – to całkiem normalne, że ci spośród nas, którymi targają potężne uczucia, potrafią tworzyć niektóre duchy. Z tym, że skoro je już stworzymy, tylko nieliczni potrafią je przywołać z powrotem. Nie znamy bowiem ich tajemnych imion. Ma-krut posiadała moc wywoływania bliskich i odległych duchów i wiedziała, jakie substancje należy w tym celu wykorzystać. Umiała, tak to można określić, wybierać między krwią byka a krwią żaby. Królewska to umiejętność, wręcz boska, umieć przenikać myśli innych, w chwili gdy lęgną się one w umysłach, ale Kulka Miodu potrafiła ponadto spływać w dół niewidzialnych rzek, w które wpadają myśli wszystkich ludzi. Kiedy w drugim życiu zostałem kapłanem, nauczyłem się zbliżać do tej przemożnej siły, która unosi się ku niebu, kiedy tylko słudzy Amona i wierni przybywają na obrządki i wspólnie zaczynają kontemplować Ukrytego. Kiedy spływamy wodami wspólnej modlitwy, nasze myśli przypominają małe fale na powierzchni rzeki. I dlatego kapłani potrafią służyć jako sternicy statkom ich licznych zgromadzeń.

Kulka Miodu nie miała takiego zgromadzenia wiernych, które mogłaby wykorzystać. Umiała jednak wywoływać poszczególne duchy i skłaniać je, by sprowadzały pozostałe. Muszę przyznać, że pracowała znacznie ciężiej niż kapłani.

– Opowiedz nam, jakich cudów dokonała – poprosił Pta-nem-hotep.

Menenhetet siedmiokrotnie dotknął czołem dłoni. – Nie opowiadam o prawdziwych cudach epoki, której dane było oglądać zmagania między Horusem Północy i Horusem Południa. Opowiadam wam o Ogrodach Odosobnienia i o jednym domku z ogrodem w ich obrębie. Nie był to duży dom w porównaniu z innymi, za murami zaś znajdował się pałac i wszystkie świątynie Usermare.

Chcąc sprawiedliwie ocenić zasługi Kulki Miodu, należy je porównać z olbrzymią ilością modłów zanoszonych przez kapłanów. Jakaż to tłumna rzeka duchów musiała przepływać między Usermare a wspaniałym słońcem Amona-Re!

Natomiast Kulka Miodu musiała polegać wyłącznie na własnych obrzędach. Odprawiała je całymi dniami, a czasem także w nocy. Kiedy ją odwiedzałem w nocy, zastawałem ją czasami w pokoju, w którym stał jej ołtarz. Wiele czasu poświęcaliśmy milczeniu, gdyż chciałem uszanować czystość jej obrzędów i nie od razu zabierałem głos. Przez cały ten czas ani razu nie widziałem żadnego niedoskonałego ruchu. Gdybyście mnie spytali, dlaczego tak sędzę, nie umiałbym wam odpowiedzieć. Wiem jednak, że trójkąt, jaki kreśliła w powietrzu czubkiem swej różdżki, nie był zwyczajnym trójkątem, lecz na moich oczach zdawał się dyszeć żarem, który czeka na znak, by zapłonąć jasnym ogniem. Jej głos szepczący zaklęcia brzmiał jak otwieranie i zamykanie wrót, jak trzask gałązów spadających na kamienne podłoże, jak szelest przemykającej się jaszczurki albo trzepot skrzydeł wielu ptaków podrywających się równocześnie w górę. Kiedy zaczerpnęła

oddechu, w jej piersiach śpiewał wiatr, a gdy przemawiała, z jej krtani wyrywał się ryk lwa. A wszystko to sprawiało wrażenie codziennej krzątania. Uwijała się bez przerwy. Musiała doglądać garnków na paleniskach ołtarza, liczne zaś składniki były wzmocniane potężnymi zaklęciami przed dodaniem do wywaru. Czasami spędzała całe dni na przygotowaniu do obrzędów, odczytując coś z papirusów, które Rycyna albo Krokodyl przynosili ze świątynnych bibliotek. Czasem przepisywała jakiś fragment na własny papirus. Spośród wszystkich małych królowych ona jedna potrafiła pisać równie wprawnie jak Główny Pisarz i od czasu do czasu natykałem się na jakieś stare zwoje ze świątyń, dostrzegając malutkie, starannie wymalowane ptaszki i dowiadując się o wielu niezwykłych zjawiskach; myśli zawarte w tych zapisach oszałamiały mnie swoją potęgą.

Przyglądając się, jak pisze, myślałem o wszystkich tych małych skrybach, których widziałem przy pracy, i zastanawiałem się nad mocą tej czynności, pytając samego siebie, jak to możliwe, że tacy drobni mizeracy tak wiele znaczyli w oczach bogów. Przecież wystarczyło ich posłuchać, by się zorientować, że nie są to głosy pełne niewzruszonych prawd, że są krusi jak trzciny, że mają chrapliwe gardła. A przecież słowa, które malowali na papirusie, potrafiły przywoływać moc silniejszą od milczenia. Toteż panowali nad mocami, których prawdomówni mówcy nigdy nie byli w stanie przywołać. Ostatecznie samo mówienie oznacza wszakże wyzwanie rzucone mocy milczenia.

Szanowała tę moc. Pewnego razu ujrzałem dwa małe skaleczenia na jej ramieniu, małe równoległe nacięcia. Sama się skaleczyła, karząc się w ten sposób za to, że wymówiła słowo w chwili, gdy poprzysięgła sobie, iż zachowa milczenie. W inne dni odzywała się, ale nigdy nie wymieniała samej siebie. Kiedy chciała zjeść kolację, mówiła służbie, że jedzenie zaczęte. Gdyby zaszła potrzeba, umiała przebywać poza swoim ciałem, jakby jej nie było w pokoju. Potrafiła wędrować z ciała do Ka, a Ka obchodził jej ciało i pozwalał jej na siebie spojrzeć z zewnątrz.

Wykorzystywała to do wielu celów. Niektóre były szczytne, inne małostkowe, przypominały o konieczności pomszczenia drobnej zniewagi. Wiedziała, podobnie jak pozostałe królowe, jak odpędzać komary, i nabrała takiej wprawy w tych obrzędach, że nie musiała nawet zataczać ręką koła wokół głowy ani wymawiać odpowiednich modlitw. Słyszając pierwsze bzykanie tych stworzeń, podnosiła zaciśniętą pięść i otwierała ją. Odlatywały. Słychać było, jak uciekają w popłochu.

– Mam maści o tak silnym zapachu, że komary nigdy się nie odważą przylecieć – rzekła Hatfertiti – i zawsze z nich korzystam, jeśli nie potrafię sobie przypomnieć słów modlitwy koła albo kiedy czuję słabość w palcach. Nie widzę niczego nadzwyczajnego w obrzędach Kulki Miodu, sama też tak potrafię.

– Ona straciła względy króla, a ty je zyskujesz – rzekł pradziadek – może więc w twoich słowach jest faktycznie wiele słuszności.

Pta-nem-hotep był zachwycony.

– To mi dopiero rodzina – powiedział do Hatfertiti – nigdy jej nie zabraknie odpowiedzi. Ale byłbym ostrożniejszy, wyrażając się lekceważąco o tej Ma-Krut.

– Wielka jest mądrość Dziewiątego – odparł Menenhetet. – Faktycznie należy zachować ostrożność. Małe królowe, które wyrażały się złośliwie o Kulce Miodu, narażały się na ukłucie skorpionów. Ka naszej Kulki Miodu wiedział, jak wędrować od ciała do ciała, toteż czasami sama przyzywała komary. Ileż to razy widziałem ją uspioną bezbronią na łóżku (tak się przynajmniej zdawało), pokrytą przez chmurę komarów, które zabiłyby każdego innego człowieka, kłując go tak często. A jednak Ma-Krut nie było w jej własnym ciele. Wróciwszy wykorzystywała jad wsączony do jej krwi. Jedna z małych królowych, która źle się wyraziła o Kulce Miodu, została tak pokłuta przez wielkie komary pewnej nocy, że całymi dniami nie ruszała się z domu, tak jej napuchła twarz.

Opowieści o tym, jak potężnymi władała mocami, to drobiazg. Przejdę do czegoś ważniejszego. Każdej nocy, kiedy Usermare nie odwiedzał Ogrodów, budziłem się w mroku i czując, jak Świnia rozbudza moje pożądanie, pędziłem ku gałęzi, która pozwalała mi przeskoczyć przez ogrodzenie jej domu. Rozejrzawszy się, czy nie ma w pobliżu żadnych eunuchów, zeskakiwałem z terenu, na którym byłem gubernatorem, i znajdowałem się w ogrodzie położonym w miejscu pełnym dziwnych roślin, do którego nie sięgała moja władza. Trzymałem ją co noc w ramionach, ale mój miecz był jak wąż z przetrąconym karkiem, kiedy zaś mnie całowała, nie wiedziałem, jak żyć w takt jej pulsujących warg. Pełny ciężar jej ust miał w sobie słodycz miodu rozlanego na plaster.

Nie potrafiłem rozsmakować się w rozkoszy w takich chwilach. Zbyt boleśnie pamiętałem jeszcze jej twarz u dolnych wrót Usermare. Robiło mi się gorąco, gdy sobie przypominałem, jak go pieściła ustami, i znów czułem się jak kobieta, gdyż przyjemność była duża, lecz nie dla mężczyzny – gdyż nie potrafiłem się pobudzić do działania. Cała ta rozkosz chlupotała tylko we mnie jak oliwa zamknięta w naczyniu, niezdolna do wylania się ze słoja. Nienawidziłem tych skojarzeń jej ust z faraonem i nawet przestałem ją lubić, zniechęcony do biernego bezwładu jej cielska i woni spod jej pach przebijającej przez perfumy. Podobnie jak u wielu otyłych kobiet, tak i u niej pot gromadził się pod wilgotnymi okapami.

Pewnego dnia, po siedmiu nieudanych nocach, powiedziała:

– Żyjesz gniewem do niego. Stworzę łódź, która cię wyniesie ponad niego. – Na moich przymkniętych ze zgrzyoty powiekach narysowała czubkiem paznokcia lekko, lecz stanowczo, kadłub statku. Zarys kadłuba widziałem w mroku wyraźnie, jakby został wypalony ogniem. I w miarę jak wyobrażałem sobie kolejne części kadłuba, nazywała je we własnym języku, podając zarazem szeptem ich tajne imiona. Ten drugi głos dobiegał, jak mi się zdawało, spośród skrzypiących desek, trzeszczących lin albo łopotu żagli nadymanych wiatrem. Słyszałem zgrzyt wiosł w dulkach i nie śmiałem otworzyć oczu, bojąc się, że stracę mój statek z pola widzenia.

– Jam jest kil – rzekła, a szeptem dopowiedziała: – Moje tajne imię brzmi: Biodro Izydy. – Potem poprzedni głos powiedział: – Jam jest ster – a szept uzupełnił: – Moje imię brzmi: Noga Nilu.

Im uważniej się wsłuchiwałem, tym krócej zdawały się brzmieć jej zaklęcia, w końcu wystarczyło, że powiedziała „wiosła”, a odpowiedź dolatywała, zda się, ze skrzyżu samej łodzi – „palce Horusa”.

Zaczęła przemawiać tylko do jednego ucha, a w drugim słyszałem już sam szept odpowiedzi.

– Dziób łodzi – mówiła, a echo dopowiadało: „Wódz prowincji”. – Żagiel – szeptała, a słyszałem „niebo”.

– Pal do mocowania cum – mówiła Kulka Miodu – a do drugiego ucha doleciał szept: „mieszkaniec świątyni”.

– Pompa – rzekła Kulka Miodu, a jej własny głos dorzucił: – Ręka Izydy ściiera krew Horusa. – I mówiąc te słowa, ujęła mojego biednego, martwego węża i zaczęła go pompować. Niczym leciutka bryza muskająca powierzchnię wody czubkami palców oddech z jej nosa owijał się wokół wszystkiego, co trzymała w ręku, aż wreszcie powiedziała: – Maszt – i nie ruszając się, dodała:

– Przeprowadź damę, nim odpłynie. – Wypowiedziawszy te słowa, ujęła wargami skuloną główkę mojego węża, ale wąż nie był już skulony i przypominał ociekający krwią miecz. Potem, jakby naśladując kołysanie fal, kołysała wargami mój maszt na falach potężnej rzeki. Nie wiem, czy dojrzałem we własnym ciele Re, czy też królewską rozkosz Usermare, ale przewróciła się na wznak i pociągnęła mnie na siebie. Wszystko stało się tak szybko, że rzuciłem się w nią. Krzyknąłem. Bił we mnie ogień i uderzały głazy, wyrzucając mnie z niej w chwili gdy wytryskałem, ale czułem, że moja łódź płynie na skraju nieba. Całowała mnie w usta. Byłem więc pewien. Moje ciało ośmieliło

się wniknąć tam, gdzie wolno było przebywać tylko samemu faraonowi. I mimo to żyłem. Gdyby tylko Usermare odczytał moje myśli, umarłbym. A przecież oddychałem z radością, jakiej dawno nie czułem.

Zarysowała krąg Izydy wokół mojej głowy (podwójny) i zamknęła wrota do mego umysłu.

– Idź – rzekła – i wróć jutro.

IV

– Żadne niebezpieczeństwo, na które narażony byłem w czasie bitwy pod Kadeszem, nie było równie straszne – rzekł pradziadek. Wraz z zakończeniem bitwy niebezpieczeństwa minęły. Teraz jednak musiałem się mieć na baczności do końca życia. Ledwo mogłem się doczekać następnej nocy. Rankiem spełniałem drobne obowiązki, o których mi przypominano, ale zarazem odczuwałem tak silny popęd, że omal nie zacząłem macać małych królowych. Miałem wrażenie, że wciąż jeszcze unoszę się na tej łodzi – na tym, co zostało z mojej łodzi – i że żegluję pchany słońcem.

Wieczorem przybył On, więc nie mogłem się z nią zobaczyć. Usermare spędził noc w towarzystwie innych królowych, ale nie mogłem ryzykować spotkania z Kulką Miodu. W czasie jego wizyt eunuchowie nie spali i podsłuchiwali za każdym krzakiem. Małe królowe także pilnie nadstawiały uszu. Noc przypominała mroczne ucho. Mogłem zaryzykować, ale ponieważ Usermare był o dwa domy dalej, obawiałem się, że ogarnąłby mnie bezwład tej gorącej ciemności, a nie chciałem się już narażać na taką śmieszność. Musiałem więc wysłuchiwać jego głośnego śmiechu i chrapliwego bulgotu, jaki dobywał się z jego gardła aż do świtu. Podobnie jak Re, bliski był zwierzętom, toteż w Ogrodach pełno było lwów, byków, szakali i skrzekliwych krokodyli. Nawet wysokie piski ptaków i gruchanie gołębia potrafił naśladować niezwykle wiernie. Ponieważ nie mogłem zasnąć, moja Świnia znów mnie odwiedziła i grzała oddechem moje podbrzusze.

Następnego wieczoru Usermare nie pojawił się, toteż odwiedziłem Kulkę Miodu i natychmiast zaczęliśmy się kochać. Kiedy tylko opadliśmy na łóżko, wszedłem w nią, a kiedy zaczęła się poruszać, nie potrafiłem się zatrzymać, toteż nim jeszcze jej ciało wpadło w galop, ja już popędziłem do końca na oślep. Tym razem to ja usłyszałem szloch, płacz, jęk wściekłości, odgłosy mojego wytrysku jeszcze rozchodziły się po niej echem.

Czułem przyjemną różnicę między tym wieczorem a poprzednimi. Do niedawna ledwo wytrysnąłem, a już wrywałem się z jej objęć. Dziś jednak pragnąłem znów to powtórzyć i wnet powtórzyłem, dużo lepiej. Potrafiłem zapanować nad mymi uczuciami. Świadomość, że jej usta były niewolnikiem Usermare, pozwoliła mi odczuwać lekki niesmak (także wobec siebie), a dzięki temu zapanowałem nad sobą. Z prawdziwą przyjemnością kołysałem się miarowo niczym łódź podrzucana przez fale, unosząc się na jej udach jak na wzburzonych wodach. Zabrałem nasze ciała na wyprawę przez rzekę nocy, aż odgłosy zwierzątek budzących się w klatkach w jej ogrodzie zaczęły nam się kojarzyć z pluskiem fal uderzających o brzeg rzeki. Nawet myszy, zafascynowane, przestały myszkować w pęknięciach ścian. Kosztowałem jej warg, całując w dobrze jej znany sposób, mając świadomość, że zaledwie kilka dni wcześniej czynił to Usermare (poczułem obrzydzenie, gdyż był to mężczyzna). Przypomniałem sobie jednak, że w końcu jest on bogiem, a nic co bóg wydziela, nie może być zbyt niskie dla ludzkiej uczyty. Ostatecznie powiadano często, że nasze ciała powstają z odchodów Amona, perfumy zaś to słodki zapach jego moczu. Potrafiłem zatem sterować zręcznie między podziwem i niesmakiem, cofając się za każdym razem, gdy już byłem gotów wytrysnąć, aż wreszcie pogalopowaliśmy wspólnie w równym tempie, podrzucając nasze ciała, a potem wypoczywaliśmy pogodnie otoczeni ramionami. Moja mała świnka też się pojawiła, ale okazywała mi czułość.

Od tej nocy ciepło naszych ciał nabrało słodyczy. Wydała mi się piękna. Nawet obszerne uda zwiastowały moc dużych piersi, a jej kibić miała w sobie żywotność drzewnego pnia. Podziwiałem jej plecy. Były silne i pełne cudownych mięśni, takich samych, jakie wyczuwałem w tylnych łapach Hera-Re. Ramiona jej przypominały uda młodych dziewcząt i wiodły do jej ust, które były jak miód. Uda Kulki Miodu, podnoszone i oplatanie moimi ramionami, promieniały zadowoleniem jak kibicie dwóch młodych dziewczyn, trzymany w pasie przez mężczyznę.

Poznawałem ją coraz lepiej, toteż coraz bardziej cierpiałem w te noce, kiedy Usermare składał wizytę w Ogrodach. Pewnej nocy, podczas której wybrał Kulkę Miodu wraz z paroma innymi królowymi, tak mnie zdenerwowały odgłosy ich rozkoszy, że omal nie wdarłem się do środka. Taki koniec byłby przynajmniej szybki w porównaniu z męką nasłuchiwania. Na gorącej, wysuszonej słońcem pustyni mego serca czułem się obleziony przez mrówki.

Następnego wieczoru znów się pojawił, ale rozpoznałem głosy królowych i wiedziałem, że jej nie wybrał. Nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy martwić, że nie uznał jej za dostatecznie piękną, by dać się uwieść po raz drugi. Zapomniałem o koniecznej ostrożności, przeskoczyłem przez mur i wszedłem do jej łoża. Kiedy przemówiła, zazałem mąk zazdrości. Powiedziała mi, że ubiegłej nocy była niemym świadkiem jego rozkoszy, ale nie brała w niczym udziału. Spytana, dlaczego tak skromnie trzyma się z boku, powiedziała, że rozmawia z demonami, przygotowując się do świętych obrządków, nie chcąc przyzywać tych niewidzialnych widm – które być może krążyły w pobliżu – do jego boskiego ciała. Spytana z kolei o cel obrzędów odpowiedziała, że chodzi o życie, zdrowie i siłę Obojga Królestw. Zżymał się i narzekał, że mogła sobie wybrać inny dzień, ale o nic więcej nie pytał.

Tak mi to przedstawiła. Nie wierzyłem jej. Znosząc męki poprzedniej nocy, wielokrotnie słyszałem jej śmiech. Poza tym Usermare nie patyczkował się z ludźmi, którzy nie przyczyniali się do jego rozkoszy. Już miałem powiedzieć jej to, gdy położyła mi palce na ustach (choć przemawiałem tak cicho, że ledwo maciłem nocną ciszę) i wyszeptała: – Powiedziałam, że jeśli tej nocy nie dotknę jego ciała, będę podwójnie nim wypełniona.

Kulka Miodu zachichotała w mroku. Izyda wielokrotnie zataczała podwójny krąg wokół naszych głów, by żadna, nawet najbardziej ulotna myśl nie pomknęła ku innym ludziom, a teraz Kulka Miodu powtórzyła ten gest, by Usermare nie dowiedział się, że się z niego śmiejemy.

– Co on na to? – spytałem.

– Och – odparła – powiedział mi, że zwróci na mnie podwójną uwagę, kiedy zobaczy mnie następnym razem.

– Po chwili odezwała się językiem ulicy z wyuzdanym uśmiechem na ustach:

– Powiedział, że skoro już jest władcą Obojga Królestw i dwakroć władcą Egiptu, weźmie mnie przez pizdę i dupę.

– A co ty na to? – wyszeptałem.

– O Wielki Panie Obojga Królestw, trzeba Cię będzie długo całować, by Cię domyc – odpowiedziałam a on zaczął się śmiać tak serdecznie, że nie mogłem przestać. Omal nie przeszkodziło mu to w rozkoszy. Tylko tak można sobie z nim poradzić.

– I zrobisz, jak powiedziałaś?

– Zrobię, co będę mogła, żeby tego uniknąć – powiedziała, ale z tym samym nieprzyzwoitym uśmiechem na wargach. Śwędziało mnie ręką, by ją uderzyć, ale chwyciłem ją tylko za stopę.

Muszę dodać, że choć obejmowaliśmy się na różne sposoby, nigdy nie pozwoliła mi dotknąć swych stóp. Jak na taką grubą kobietę, miała stopy drobne. Tyle widziałem. Miała stopy równie drobne jak jej matka, którą uważano za największą elegantkę pośród bogatych dam Saidy i za kobietę niezwykle kruchą. Kulka Miodu mówiła często, że drobne stopy były oznaką szlachetnego

urodzenia, a kiedy ją spytałem, dlaczego ten właśnie szczegół miał odgrywać tak istotną rolę, popatrzyła na mnie z pogardą.

– Jeżeli nasze włosy potrafią odczytać szept wiatru, możemy miewać myśli ulotne jak ptaki – powiedziała.

– No tak – odparłem – ale dla zrównoważenia wagi Maat nasze stopy winny być mocne jak ziemia.

Roześmiała się.

– Przemawiasz jak wieśniak – powiedziała i znów się roześmiała, a potem otworzyła koło zamknięte kciukiem i palcem wskazującym, bym mógł przeniknąć jej myśli. Zobaczyłem samego siebie trzęsącego się jak marionetka na czubku miecza Usermare. Rozgniewałem się i chciałem ją uderzyć, ale nie uczyniłem tego. Nigdy by mi już nie pozwoliła odczytać swych myśli.

– Słodki Kazama – rzekła – ziemia żywi myśli najgłębsze. Poprzez nasze palce u nóg – o ile są dostatecznie delikatne – możemy usłyszeć głosy z Krainy Umarłych.

Proste. Dobre wyjaśnienie wagi delikatnych stóp. Nie odważyłbym się zatem ich dotknąć, gdyby mnie ponownie nie zdenerwowała szyderczym śmiechem. Ja w roli lalczki, która jęczała i szlochała, wijąc się na haczyku Usermare – widziałem siebie w wykroju jej roześmianych ust i dlatego złapałem ją za stopę.

Rzuciła się na mnie tak wściekła, że od razu zrozumiałem, iż zrobiłem coś potwornego. Znadto byłem jednak pochłonięty zmaganiem się z nią i z jej ślepym chłodnym szalem (w końcu mimo kotłowania uważaliśmy, by nie zbudzić służby), by spostrzec, że chwyciłem akurat za stopę, której brakowało jednego palca. Trzymałem stopę oburącz, a ona kopała mój nadgarstek i głowę drugą nogą. Przyglądałem się biednej ranie, pustemu miejscu po paluszku. Blizna, której dotykałem palcami, wyglądała jak kikut po obciętej ręce złodzieja. Ledwo dotknąłem blizny, zrozumiałem, że to wymuszone dotknięcie to jedyny rodzaj uwiedzenia, jaki będzie mi dany. Poczuję się silny jak drzewo i wystawiłem po prostu czaszkę na dalsze uderzenia, całując z rozmysłem właśnie to błyszczące, zabliźnione miejsce na stopie. W głowie mi huczało od jej kopniaków i ujrzałem całą jej rodzinę defilującą przed moimi oczyma, płynącą piękną złocistą łodzią, majestatycznie przecinającą szerokie wody naszej Delty. Potem Kulka Miodu przestała się szarpać i wybuchnęła płaczem. Jej szloch był najgłośniejszym hałasem całej nocy w Ogrodach, a po ciężkiej ciszy koł niczym orzeźwiający strumień, gdyż nie było takiej małej królowej, która nie płakałaby od czasu do czasu. Usermare nie zwracał uwagi na takie odgłosy. Ciało Kulki Miodu rozluźniło się, ja zaś leżałem, ściskając stopę jak jeńca i chłonąc wszystkie smutki płynące z blizny. Nawet woń drobnych wgłębień między palcami u nóg była smutna, toteż zdałem sobie sprawę z tego, iż wiele wycierpiała. Wstałem więc i pocałowałem jej usta, smakując po raz drugi bezmierny smutek. Odczuwałem wzruszenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem.

Od tej pory zacząłem ją traktować jak siostrę. W mojej wiosce mówiło się: „Możesz sypiać z kobietą i sto lat, a nigdy się nie dowiesz, co kryje w sercu, jeżeli nie zaczniesz troszczyć się o nią jak o siostrę”. Nie podobało mi się to powiedzonko, nie lubię sytuacji, które zmieniają coś raz na zawsze, ale nagle zrozumiałem, dlaczego Kulka Miodu tak utyla. Wystarczyło tylko dotknąć blizny po małym palcu, jak to uczyniłem jako jedyny człowiek na świecie, by odczuć żal, jaki ją przenikał – kikut tego paluszka był jak skała w spokojnym morzu. Czułem, jak jej myśli uderzają z pluskiem o skałę. Zrozumiałem, że jej uczucia do Usermare składały się tylko w niewielkiej mierze z miłości, przeważała w nich nienawiść, o wiele silniejsza od mojej własnej. Kiedy ją tak tuliłem płaczącą, słyszałem, jak przemawia do mnie jej serce. Należeliśmy do tej samej rodziny. W Ogrodach Odosobnienia nie było drugiej takiej kobiety ani drugiego takiego mężczyzny, których spalałoby równie mocne pragnienie zemsty. Trzeba było nas obojga, by wyznać sobie tę jedną myśl, a i to

uczyniliśmy samymi oddechami, bezgłośnie. Nawet w oddali jego uszy były czujne i czatowały na nas niczym siatka na ptaki. Nie można było przewidzieć chwili, w której nos jego skieruje się ku przeciwnikowi, nierozsądnie wypowiadającemu na głos klątwę. Mając na karku mądrość czterech wcieleń, sam się nieraz dziwię, jak mogliśmy sobie pozwolić na takie mrzonki o zemście – gdyby nie ochronne koło, jakie Kulka Miodu zatoczyła wokół naszych serc, nawet ptaki bałyby się poruszyć.

– Jej cierpienie wydaje mi się przesadne – powiedziała Hatferti tonem świadczącym o pewności siebie. – Musiała być porządnie zepsuta, żeby tak się zachowywać.

– Z całym szacunkiem dla twojej argumentacji, moja wnuczko, uprzedzam cię, że lepiej zaczekać, aż się dowiesz o wszystkich powodach jej cierpienia. To błahe na pozór wydarzenie było dla Kulki Miodu tak bolesne, że zmieniło jej życie i podwoiło wagę. Usermare wyjął nóż i złapał ją za stopę – właśnie dlatego walczyła tak wściekle, gdy pochwyliłem ją w to samo miejsce – jednym ruchem odciął mały paluszek i oddał jej zakrwawionego półrobaka. Powiadają, że wrzasnęła, a potem uciekła, co zresztą sama potwierdza, i że zabalsamowała palec, mocząc go w natrycie przez siedemdziesiąt dni, a następnie przechowywała go w małej złotej szkatułce przypominającej z wyglądu sarkofag. Kobieta, która tak postępuje, przypisuje sobie wysoką wartość, ale też trzeba wiedzieć, że w oczach własnej rodziny uchodziła nie za jedną z małych królowych, lecz za królową. Jej matka zwykła mawiać: „Ma-Krut idzie zaraz po Nefertari”. Naturalnie, nigdy tak nie było, ale tak przynajmniej uważała jej rodzina. Toteż zniewaga wyrządzona jej paluszkowi obraziła niebiosy. Tak to rozumiała, toteż zaczęła jadać wiele dziwnych i tuczących tłuszczów: łąbędzich, węzowych, wieprzowych, by przywołać do siebie dalekie duchy.

– Mimo to nadal nie rozumiem, dlaczego zrezygnowała z dobrej figury, straciwszy tylko mały palec u nogi? – matka nie ustępowała.

– Mawiała – odpowiedział pradziadek – że czyni to, pragnąc okazać posłuszeństwo Maat. Uzyskawszy wiele umiejętności o potężnej sile dzięki żałobie po utraconym palcu, czuła się zobowiązana wykorzystywać je. Obszerniejszy dom dla większego skarbu. Tak mi to wyjaśniała, ale sądzę, że łatwo ją było zranić, mówiąc o tej zmianie. W końcu to nie żarty utracić pozycję Pierwszej Faworyty pośród małych królowych i zostać kobietą, której imię król wymawia ledwie dwa razy do roku. Musiała się ukryć pod trzema trumnami, jak mumia.

Poza tym okryła niesławą rodzinę. Mówiono mi, że w Saidzie plotkowano w gronie dobrze urodzonych na jej temat, aż jedna z jej siostr, zaręczona z młodym szlachcicem, otrzymała nagle wiadomość, że jej kawaler postanowił jednak wżenić się w inną rodzinę. Kulka Miodu skomentowała to westchnieniem i powiedziała, że lepiej by było, gdyby ją pochowali zawiniętą w owczą skórę.

Zaczęła wówczas także przebąkiwać o czymś, co groziło jej jeszcze jednym upokorzeniem. Nie wiedziała, czy zaproszą ją na posiedzenie Wysokiej Rady. Nie wiem, dlaczego to wieczorne spotkanie nosiło aż tak zaszczytny tytuł, ale Usermare zwykł raz do roku zapraszać kilka małych królowych do swego pałacu, a właściwie do tej jego części, którą zwano Małym Pałacem. Zapraszał kilku wielmożów z Teb. Jako przyjęcie nie była to okazja szczególnie uroczysta (wiedziałem coś o tym, gdyż jako generał bywałem zapraszany), ot, niewielka uczta, parę pieśni i tancerek. Ale dla wybranych małych królowych była to rzadka okazja wyrwania się z Ogródów.

Ponieważ posiedzenia Wysokiej Rady nie było już od dwóch lat, rosło napięcie. Wiele małych królowych miało nadzieję, że zostaną zaproszone. Kulka Miodu także. Rzuciła nawet parę drobnych klątw, choć niezbyt skutecznie, gdyż dym był zbyt gęsty, a jej myśli zanadto rozproszone. Najmocniejsze duchy nie odpowiadały na jej wezwania. Powiedziała, że na pewno nie dostanie zaproszenia.

– I nie wiem, czy w ogóle chcę być zaproszona – dodała gorzko. Nie wierzyłem jej, naturalnie. Zaproszenie miało dla niej ogromne znaczenie. Trzy lata wcześniej, kiedy była jeszcze szczupła i miała wszystkie palce u nóg, została przedstawiona Nefertari jako pierwsza spośród małych królowych, królowa zaś poprosiła ją, by usiadła blisko tronu. Zechciała nawet pochwalić głos Ma-Krut. – Powiadają, że masz tak słodkie gardło, że zachęcasz innych do śpiewu – rzekła. Zastanawiałem się, co miała na myśli, ale zdaniem Kulki Miodu wieczór był wspaniały.

Kiedy dowiedziałem się, kto ma być zaproszony, wiedziałem, że będzie to straszny cios dla Kulki Miodu. – Nic ważnego – powiedziała – a mimo to cierpię. – Poczulem siłę jej żalu. Zbliżał się Festiwal Festiwali dla uczczenia trzydziestego piątego roku Jego panowania (nikt nie wątpił, że najstarsi ludzie nie pamiętają okazji, jaka właśnie się zbliżała) i kilka małych królowych, wśród nich także Kulka Miodu, bardzo chciało otrzymać zaproszenie, aby się upewnić, że nie wypadły z łask.

Muszę przyznać, iż jej obawy, że może nie otrzymać także tego najważniejszego zaproszenia, nie były pozbawione podstaw. Większości małych królowych wolno było wówczas wychodzić za dnia z Ogrodów i spotykać wielmożów w świeżo wybudowanym pałacu króla Unasa i na wielkim dziedzińcu – miały w ten sposób rzadką okazję, by spotkać się w Tebach ze swymi rodzicami. Wszystko zależało jednak od tego, czy były matkami Jego dzieci. Jego córki i synowie musieli być obecni, by obejrzeć ojca w boskim tryumfie. Ponieważ dzieci takich było sporo, królowe, które nie dały mu potomków, nie mogły być pewne zaproszenia. Toteż liczyły na to, iż Wysoka Rada utoruje im drogę. Poczucie odrzucenia, jakie miała Kulka Miodu, było zaiste głębokie.

Wydaje mi się, że najbardziej bolało ją niepowodzenie jej czarów. Kiedy się lepiej poznaliśmy, stała się skromniejsza i nie demonstrowała na każdym kroku swoich umiejętności. Niekiedy była mi w nocy siostrą i mówiła o drobnych troskach i żalonych małych smuteczkach. Od czasu do czasu słyszałem z jej ust powiedzenie, którym często szafowano w Tebach, gdy mówiono o ludziach z Deltę, że mieszkańcy bagien nie mają o niczym pojęcia. Sens tego zwrotu był dla mnie zawsze tak oczywisty, że nigdy nie podawałem go w wątpliwość – przecież żyjąc na bagnie człowiek moczył się, dokuczwały mu owady, osłabiało gorąco. Wszystko rosło zbyt łatwo. Brak było równowagi Maat. Żyło się w otępieniu, nie będąc tego świadomym.

– To prawda ogólna – powiedziała Kulka Miodu. – Ale nieprawda w odniesieniu do tych, wobec których jest to nieprawdą. – I zaczęła mi opowiadać, jak to jej rodzina, od dwudziestu pokoleń zasiedziała w Saidzie, była na tyle dumna, że wydobyla się z odrętwienia bagnistej ojczyzny.

– Naszym pragnieniem – rzekła – jest podciągać naszych sąsiadów, którzy pogrążeni są w niewiedzy. – A potem musiałem wysłuchiwać jej rozważań o głębi Nilu i wysokości gwiazd, o bogach głębokich wód w rzecznych odnogach, o bogach mielizn przy brzegu, o ostrzeżeniach gwiazd, które nigdy nie zmrużyły oka, i o gwiazdach, które mrugały. Bardzo się rozgniewała, słysząc, iż nie znam nawet miesiąca mych urodzin. Rozwijiała zwoje papirusów, pokazując mi wykresy, dzięki którym można było przepowiedzieć datę śmierci człowieka, znając godzinę jego narodzin.

– Jak długo będziesz żyła? – spytałem, a ona odpowiedziała, że jej życie będzie długie. Potem westchnęła i rzekła:

– Ale stracę coś więcej niż mój mały palec, i to niedługo. Tak mówią gwiazdy. – Westchnęła ciężko.

Nawet wówczas, gdy zapomniano powoli o Wysokiej Radzie, a ja przekonałem ją, że to doprawdy nic wielkiego, że nawet ani królowa Nefertari, ani królowa Rama-Nefru nie były obecne, Kulka Miodu wcale nie odzyskała lepszego nastroju. Słyszała bowiem, jak Oaza i Mersegert opowiadały o światłach i cudach i o tym, jak darzono je specjalnymi względami. Kulka Miodu

powiedziała, że Sesusi nie ceni jej, ponieważ pochodzi z Saidy. Najgorszy okres tego przygnębiającego nastroju nadszedł wówczas, gdy pragnąc zemścić się na Usermare za jego obojętność, zabrała się do swoich rytuałów i poświęciła im wiele uwagi, niewiele zyskując w zamian. Co wieczór wykonywała czynności mające na celu odwrócenie ku niej głowy Usermare i wywoływała imiona bogów mających wiele do powiedzenia, jej głos zaś dygotał z podniecenia. Ale następnego ranka była zmęczona i wyczerpana, a jej zapadnięte rysy twarzy okazywały przygnębienie.

Zacząłem sam się zastanawiać nad tym, jakiego trzeba czarownika, by Usermare zwrócił ku niej głowę. Potrafił on przywoływać tysiące bogów i bogiń, unosiły się nad nim roje bóstw, a teraz, po ślubie z Rama-Nefru, u jego stóp kręciło się wielu bogów hetyckich.

Leżąc u jej boku co noc, jak gdyby zaświadczać swoim zachowaniem, że jej czary zwracają mą głowę ku niej, choć faraon nadal trwa w obojętności, cieszyłem się jej przygnębieniem, gdyż kochałem ją. Kładłem się przy niej, wtulałem twarz między piersi i zatapiałem się w powadze i głębokiej stanowczości jej serca. Zazwyczaj dochodziłem wówczas do wniosku, że wcale nie była nierozsądna, cierpiąc z powodu braku zaproszenia do Wysokiej Rady, gdyż widziała w tym jeszcze jeden policzek wymierzony własnej rodzinie. Naprawdę odczują to boleśnie, jeżeli okaże się, że nie jest nawet w stanie zaprosić ich na Festiwal Festiwalu. Przekonałem się, że rodzina zajmuje w jej sercu o wiele bardziej poczesne miejsce niż Usermare. W jej wielkich piersiach żyli wszyscy, których kochała – matka, ojciec, siostry i ja. Czując siebie w jej ciele podejrzewałem, że choć trudno ją rozbudzić, że choć może nie będzie mi już dane cieszyć się zwinnością i przewrotnością oraz zamiłowaniem do tańca, które kobiety o sterczących piersiach przynoszą ze sobą w nasze łóżka, to przecież niewiele to wszystko znaczy wobec słodkiej głębokiej ciszy, uroczystego przesłania ciał, że oto miłość, którą odkrywam w tym masywnym biuście, nie jest błaha i szybko nie przemienie. Wysłuchując tajemnych szeptów jej serca, stwierdziłem, że wbrew wszelkim zasadom ostrożności postanowiła mi zaufać, co znaczyło, że musi rzucać klątwy i zaklęcia także z głębi mojego serca. Nasze serca były bowiem związane ze sobą tak ściśle, że najmniejszy błąd w czarach mógł zasiać straszne spustoszenia w jej serduszku. Doszedłem także do wniosku, że jeżeli natychmiast się nie podniosę w mroku i nie odejdę, by nigdy już nie wrócić, przestanę już panować nad własną wolą, a właściwie nad tym, co z niej jeszcze zostało, mimo to moc jej serca była tak wielka, że nie czułem pośpiechu, wołałem zostać niewolnikiem, niż odsunąć się od niej.

Tejże nocy wtajemniczyła mnie i poczyniłem pierwsze kroki w drodze do sekretów Horusa Północy. Naturalnie wszystko to wiązało się z trudnościami i zdradą. Patrząc teraz z perspektywy lat na wyniki, nie potrafię powiedzieć, czy zostałem odpowiednio skierowany na drogę ku mocy i mądrości czarownika.

V

W kwadratowym pokoju z ołtarzem nie było okien. Jego wysokość równała się długości. Pośrodku pokoju podłoga była wyłożona lazurytem na kształt koła, pod wszystkimi czterema ścianami zaś stały niskie stoły z kości słoniowej ze szkatułkami i wysokie kufry z jej szatami. Jedynym otworem poza drzwiami był wywietrznik na dachu, przez który ulatywał dym z ofiarnego ołtarza.

Pamiętam dokładnie każdy szczegół tego dnia, kiedy mnie wtajemniczyła, ale nie opowiem niczego po kolei, gdyż obawiam się, że ktoś mógłby niewłaściwie wykorzystać tę wiedzę. Wiem, że Ty, Dobry i Wielki, możesz być niezadowolony, nie dowiadując się wszystkiego w odpowiednim porządku, ale przecież w obrzędach magicznych nie ma żadnej prawdy, jeżeli się ich samemu nie odprawia. Podobnie jak ja ci zaufałem, ujawniając sprawy, których nikt się ode mnie nie dowiedział w moim czwartym życiu, tak i ty powinieneś mi teraz zaufać i nabrać pewności, że we wszystkim, co powiem, będzie mi przyświecała myśl o zachowaniu twego tronu i Obojga Królestw, którymi władasz.

Pta-nem-hotep skłonił głowę. – Twoje słowa są uprzejme, lecz kryje się w nich coś niestosownego, gdyż zakładasz, że jesteśmy sobie równi i powinniśmy żywić do siebie zaufanie, a przecież ty górujesz nade mną wiedzą. To ty powinieneś zdecydować, czy mi zaufać. Mimo to wysłucham tego, co masz do powiedzenia i być może poprzestanę na tym. Magia, której poszukuję, jest wyższego rzędu niż czary, o jakich zamierzasz mówić. Ze względu na to, że przywołujesz tajemnice przeszłości (aż przeszłość zaczyna krążyć w moich członkach niczym krew), można twą magię zaliczyć do szczytnych obrzędów najwyższej wagi. Toteż nie sprzeciwiam się teraz ukrywaniu przed nami dokładnej kolejności wszystkich części magicznych obrzędów.

Menenhetet siedmiokrotnie dotknął czoła. – Dzięki za wielką mądrość twego umysłu – rzekł. – Mogę bez obaw zdradzić tylko tyle: Kulka Miodu oczyściła swój krąg z lazurytu obrządkami wstępnymi i przywołała przyjaznych bogów na świadków (kilku imion nigdy do tej pory nie słyszałem). Nim zaczęliśmy, spytała jeszcze, czy gotów jestem przyłączyć się do niej w świątyni? Gdy odpowiedziałem twierdząco, poczułem, jak coś nabrzmiewa w mej piersi niczym bitewny zgiełk. Spytała ponownie o to samo, i jeszcze raz, a wysłuchawszy uważnie mej odpowiedzi, jakby oczekując, że bicie mego serca powie jej więcej niż mój głos, powiedziała wreszcie bogom, że zadano mi trzy pytania i trzykrotnie udzieliłem tej samej odpowiedzi.

Stanęliśmy pośrodku lazurytowego kręgu, a ona pobłogosławiła moje nagie ciało w myśl surowych reguł. Opowiem wam o nich: owionęła kadzidłem mój pępek i czoło, stopy i gardło, kolana i klatkę piersiową, kończąc na włosach mojego podbrzusza. Potem namaściła te same siedem miejsc kroplami wody ze szczyptą soli oraz płomieniem świeczki, którą zbliżyła do mnie, aż poczułem ciepło, na zakończenie zaś wtarła w te same miejsca kropelki oliwy. Byłem pobłogosławiony i przygotowany.

Wzięła z ołtarza nóż o pięknej marmurowej rękojeści, tak ostry, że oko zaczynało boleć, gdy się zbyt długo wpatrywało w ostrze. Następnie zdjęła białą szatę i stanęła przede mną naga jak ja. Tym nożem dotknęła mnie lekko pod pępkiem i zmieszała moją krew ze swoją, bo i siebie tak samo ukłuła w to samo miejsce. Następnie powtórzyła wszystkie kroki błogosławieństwa, biorąc po kolei

kropelkę krwi z naszych czoł, dużych palców u nóg, prawych piersi i z miejsc tuż nad naszymi włosami łonowymi. Każda kropelka krwi lśniła jak łza na ostrzu noża wędrującym między naszymi ciałami, a kiedy skończyła, nasza krew była już zmieszana w siedmiu miejscach i staliśmy razem przed ołtarzem, poważni, nadzy i równie naznaczeni.

Byłem gotów na ofiarę w jej świątyni, którą rozświetlał knot płonący w miseczkę z oliwą. Kazała mi się położyć na kamieniach pośrodku kręgu, podniosła bicz i uderzyła mnie dwa razy, cztery razy, czternaście razy.

Często mnie chłostano, gdy byłem chłopcem. Zostawiano mnie potem, bym się odczołgał i znalazł błoto dla opatrzenia krwawiących ran. Za mojego pierwszego życia nikt nie uznałby mnie za szlachcica, bez względu na to, jak wysoką piastowałem godność. Zbyt wiele miałem blizn na plecach. Nie był mi obcy smak chłosty. Ale chłosta Kulki Miodu nie przypominała poprzednich. Uderzała mnie leciutko, ale każde uderzenie przenikało mnie do szpiku kości. Gdyby wrzucić kamyk do sadzawki, a następnie trafić drugim kamykiem w sam środek kręgów rozchodzących się od pierwszego i to w dokładnie wyliczonej chwili (gdy rozchodzące się po wodzie kręgi nie marszczą się, lecz pogłębiają), można by zrozumieć sztukę Kulki Miodu. Ból przenikał mnie jak wonne olejki, przenikające każdy kawałek szat. Poprzednich nocy nauczyła mnie, jak trzeba całować, a ja syciłem się bogactwem jej uścisków, rozumiejąc, dlaczego całowanie to sport bogaczy. Teraz przyszło mi pełzać po dolinach chłosty. W głowie czułem zawrót podobny do oszołomienia, to znaczy zacząłem się zachwycać własnym bólem, gdyż poczułem się oczyszczony z wszelkiej niegodziwości. Ból był nie do wytrzymania i za każdym uderzeniem bicia chciałem się zerwać na równe nogi, ale zarazem czułem, jak przemawia przez nią czułość. Jakże zdołałem wyjaśnić takie nieoczekiwane pomieszanie odczuć? Wystarczy powiedzieć, że biła doskonale odmierzonymi uderzeniami, po jednym na każdy obnażony pośladek, po jednym na każdy kawałek ciała Ozyrysa, a mnie wydawało się że moje ciało należy nie tylko do mnie, ale i do boga. Uderzyła mnie raz po twarzy, gdy przymknąłem oczy, potem jeszcze raz, gdy je otworzyłem, biła mnie w pięty, w ramiona, pięści, plecy, brzuch, klatkę piersiową i szyję. Raz poczułem uderzenie w jądra, a raz bicz owinał się jak wąż wokół mojego zwiotczalego robaka. Bujając wysoko w obłokach ognia, słyszałem, jak Ma-Krut po każdym uderzeniu deklamuje głosem niezwykle czystym i wyraźnym: – Namaszczam cię oliwą – po czym wciera oliwę w każdą bliznę po czternastu uderzeniach bicia, a ogień chłodnie i zaczyna mnie grzać jak ciepło mego własnego ciała. Następnie rzecze: – Namaszczam cię winem – i goi czternaście małych płomyczków bólu winem, aż moja skóra ściąga się i zabliznia. Następnie obmyła mnie delikatnie chłodną wodą, aż para uniosła się z mego serca, gdyż poczułem, że płomień przygasa, i powiedziała: – Namaszczam cię ogniem – ale tylko okadziła mnie dymem w każdym z czternastu zranionych miejsc. Wreszcie rzekła: – Namaszczam cię moimi wargami – i pocałowała mnie w czoło przy zamkniętych i otwartych oczach, w pięty i w mięśnie w zgięciu obu ramion, w kosteczki zaciśniętej w pięść dłoni, w plecy, brzuch, pierś, szyję, kończąc lizaniem kręgu wokół moich jąder i – niezwykle łagodnie – główki mego miecza, który unosił się z grząskiego bagna moich lędźwi, aż stanął potężny jak krokodyl. Potem rzekła: – Czynię cię pierwszym kapłanem świątyni Ma-Krut, która zamieszkała w Ozyrysie. Przysięgnij, że będziesz wierny, przysięgnij, że będziesz posłuszny – a kiedy wykrzyknąłem, że będę (była to ostatnia przysięga, jakiej domagała się, całując czternaście części mego ciała), opuściła się na mnie niczym niebiańska świątynia słodkiego, drżącego ciała i wyszeptła moje Tajemne Imię. Każda spośród czternastu oaz, przez które przełykałem słodycz mego cierpienia, wezbrała i moja rzeka wytrysnęła jak powódź.

Tak dobiegł końca obrządek, zaczęły się zaś rozkosze tej nocy. Przyszła kolej na mnie i to ja teraz biłem ją w pośladki, a gdy skończyłem, były wielkie jak księżyc i czerwone jak słońce, toteż

mogę powiedzieć, że nauczyłem się sztuki bicia. To nie moje ramię trzymało bicz, lecz jej serce kierowało uderzeniami, poczułem się więc tak, jakbym bił w samo nabrzmiałe serce. Ku memu zdumieniu i przerażeniu (nigdy bowiem tego nie robiłem z nikim, nawet z Usermare) chwyciłem te wielkie połcie oćwiczonych pośladek i zanurzyłem twarz w fałdach jej prawdziwej siedziby, całując ją namiętnie w to miejsce, w którym wszystko, co ma zamrzeć, wydziela najobrzydliwszy odór. Ponadto na skutek chłosty czuć było od niej jak od konia. Ona też tak postąpiła ze mną i zaczęliśmy się tarzać z twarzami zanurzonymi w nasze odwłoki, zaślubiając się i zmieniając dzięki temu obrządkowi na wieki. Potem zaczęła mnie zasypywać tak licznymi pocałunkami we wrota mych pośladek, że dzięki jej pieszczotom zacząłem się czuć jak faraon leżący na plecach i sam już nie wiedziałem, czy mam się czuć jak mąż, czy jak żona całego Egiptu. Unoszony tymi rozkosznymi prądami poczułem, że żywiła zamiary, których jeszcze nie wypowiedziała, i zrozumiałem, że staję się narzędziem jej dalekosiężnych planów.

Powiedziałem „dalekosiężnych” i jest to właściwe słowo. W ciągu następnych nocy leżałem przy jej boku szczęśliwy, jak człowiek drzemiący na łodzi, ale czułem, że w jej piersiach zrywają się myśli prowadzące naszą łódź nad urwiste wodospady, a my budzimy się, kurczowo chwytając za występy skał. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nasza magia – teraz była to już nasza magia – wymierzona była przeciwko Usermare i że powinniśmy odebrać mu część jego sił. Spoglądając na jej twarz, dostrzegałem często głęboką inteligencję, przebijającą przez oczy naszego najsurowszego boga, Ozyrysa, a wówczas czułem się jak Horus Północy. Istotnie, kiedy wpatrywałem się głęboko w oczy Ma-Krut (która nosiła, podobnie jak królowa Hatszepsut, długą i wąską sztuczną bródkę), dostrzegałem w niej wiele cech Ozyrysa.

– Jakie – spytał Pta-nem-hotep – było twoje Tajemne Imię?

Nie spodziewałem się, że mój dziadek pospieszy z odpowiedzią na to pytanie, a jednak uczynił to ku memu zaskoczeniu:

– No cóż – odparł – brzmiało ono: „Ten Który Pomoże Skręcić Kark Usermare” i wnet dosięgła mnie jego wymowa. Musiałem je porzucić.

– Opowiesz nam o tym?

– Opowiem. Ale później, jeśli można. Wiedziałem, że imię jest niebezpieczne. Ma-Krut rozmawiała o nim szczerze i otwarcie. Jeśli chciałem pozostać wielkim kapłanem jej magii, musiałem być gotów na śmierć. Po czym dodawała, powtarzając to często: – Nie umrzesz jednak jak chłop.

O nie, teraz musiałem się nauczyć umierać w całej glorii balsamu. Podobnie jak sztuka pocałunków, sztuka umierania należała do bogaczy. Wyśmiewałem ją. A po co mi takie sztuczne wzmacnianie mej woli? Mnie, który spoglądał na tysiące wymierzonych w pierś toporów? Miała jednak rację. Rozumiała, a ja miałem zrozumieć wkrótce, że spokojne umieranie jest najbardziej niebezpieczne, gdyż trzeba się przygotować na przeprawę przez Krainę Umarłych.

Nieustannie zapewniała mnie, że żaden sługa jej ciała i serca, a więc i ja, nie pozostanie bez pomocy Ma-Krut. Ani na tym świecie, ani na następnym. Powiedziałem jej, że kiedy byłem chłopcem, opowiadano w naszej wiosce, iż tylko szlachta i bogacze potrafią przebyć Krainę Umarłych, mając nadzieję dotarcia do Trzciny Pól. Co do chłopów, to węże czyhające na podróżników były zbyt wielkie, płomienie zbyt gorące, katarakty zbyt strome i zwykła ostrożność nakazywała zrezygnować z wyprawy, a najlepiej w ogóle o niej nie myśleć. Łatwiej było odpocząć w piaszczystym grobie. Oczywiście, przypominałem sobie też takie wypadki, że mieszkańcy naszej wioski nie godzili się z taką śmiercią i powracali do nas jako duchy. Przepływali przez wioskę w nocy i rozmawiali z nami we śnie, aż obrzędy pogrzebowe w całej okolicy trzeba było zaostrzyć do tego stopnia, że umarłym odcinano głowę i stopy. Wówczas duch zmarłego nie mógł nas

nawiedzać. Czasami grzebaliśmy nawet głowę między kolanami nieboszczyka, stopami zaś zasłaniałiśmy uszy, by mu utrudnić orientację. Roześmiała się perliście, gdy jej o tym opowiedziałem. Księżycowa poświata spływała współgrając z tokiem jej czułych myśli, choć nie wiedziałem, czego dotyczą.

Potem podniosła się z łoża i ujęła w dłoń sarkofag długości palca, z twarzą i sylwetką Ma-Krut na wieczku. W środku spoczywała mumia wielkości gąsienicy, tak starannie owinięta przedniej jakości płótnem, że nie trzeba było używać żywicy, w dotyku była miękka jak płatek róży. W środku spoczywała starannie zabalsamowana mumia jej małego palca od nogi. Zanim zdążyłem pomyśleć, że może być niezwykle cenna albo wstrętna, zaczęła opowiadać o podróżach małego palca przez wrota i ogniste otchłanie Krainy Umarłych. Gdy wyjąkałem, że nie rozumiem, jak zwykła część ciała, zwłaszcza mały palec, może samodzielnie wędrować, roześmiała się i rzekła:

– Jest to możliwe, gdyż znam obrzędy odprawiane w moim nomie i nigdzie indziej. Czasami ludzie z największych miast nie mają o tym żadnego pojęcia – znów się roześmiała.

– Moja rodzina zaślubiła Ka mego paluszka z Ka tłustego i bogatego kupca z Saidy. Tak, tak, dali paluszkowi i kupcowi odpowiednie zwoje papirusu.

Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że nie żartuje, toteż wysłuchałem uważnie jej opowieści.

Otrzymałszy list od matki, Kulka Miodu dowiedziała się, że kupiec ów zmarł tej samej nocy co jej mały paluszek. Kiedy więc palec leżał jeszcze w niewielkiej miseczce z roztworem natrytu, kupiec też nasiąkał tym płynem, a zarówno palec, jak i kupiec mieli przed sobą siedemdziesiąt dni takiej kąpieli. Wymieniono listy, by się upewnić, że zostaną owinięci w płótno tego samego popołudnia, że równocześnie położą się ich w odpowiednie sarkofagi, duży i mały, i że tego samego wieczoru ruszą w swoją podróż – paluszek w Tebach, kupiec w Saidzie. Ka nie liczy się z odległościami i może ruszać, skąd chce, w kierunku Krainy Umarłych.

Potem opowiedziała mi o tym, jak jej matka musiała pomagać rodzinie tłuszciocha przy przygotowaniach do tej podróży. Wdowie wyjaśniono dokładnie, jakie figurki uszebti ma zamówić i gdzie mieszkają najlepsi rzemieślnicy w Delcie. Figurka uszebti waży nie więcej niż dłoń, ale musi się utrzymać na stojąco na drewnianej łódce. Biedna kobiecina nie wiedziała nawet, gdzie umieścić figurki, kiedy już kupca złożono do grobu. To straszne, gdy rodzina bogaci się tak szybko, że złotu nie towarzyszy żadna wiedza. Nie mieli pojęcia, jakie zwoje papirusu należy zakupić. Wdowa nie wiedziała też wcale, że bez względu na koszty musi też zakupić rozdział Negatywnej Spowiedzi.

– Rozdział Negatywnej Spowiedzi... – powtórzyłem, udając, że rozumiem, o co chodzi, ale Kulka Miodu wiedziała, że jestem równie ciemny, co rodzina zmarłego tłuszciocha.

– O tak – powiedziała – wdowa narzekała na koszty! Była skąpa! Ostatecznie moja matka sama musiała zapłacić. Nie mogła dopuścić do tego, by Ka mego małego palca błąkał się po Krainie Umarłych pozbawiony Negatywnej Spowiedzi. Wieczorem przed pogrzebem matka wynajęła dwóch kapłanów, którzy do samego rana zapisywali modlitwę na potrójnie błogosławionym papirusie. Koniec końców kupiec mógł jednak pokazać bogom, demonom i potworom dowody świadczące o tym, że był dobrym człowiekiem. Papirus był dowodem, że nigdy nie popełnił grzechu. Nie zabił żadnego mężczyzny ani żadnej kobiety, nie ukradł niczego z żadnej świątyni. Nie wykroczył przeciwko żadnej własności Amona. Nie kłamał ani nie bluźnił, żadna kobieta nie mogła go oskarżyć o to, że z nią cudzołożył, żaden mężczyzna nie mógł poświadczyć, że się z nim kochał. Nie żył z sercem pełnym wściekłości i nie podsłuchiwał sąsiadów. Nie kradł upragnionych ziem ani nikogo nie oczerniał, nie kochał się też sam ze sobą. Nigdy nie zamykał uszu na prawdę i mógł przysiąc, że nigdy nie odwrócił ku sobie wody, która miała popłynąć na pola innych. Nie kłął,

nie podnosił nawet głosu, nie popełnił żadnego spośród czterdziestu dwóch grzechów, ani jednego. I z pewnością nigdy nie odprawiał czarów wymierzonych przeciw swemu królowi.

Kulka Miodu roześmiała się z takim zadowoleniem, jak nigdy dotąd. – Ojej, Kazama, jakimuż to łajdakowi pomogliśmy! Nie było takiego grzechu, którego by nie popełnił! Miał tak złą reputację, że w Saidzie nazywano go powszechnie Fek-futi, choć bano się rzucać mu takie imię w twarz.

Zarówno Hatfertiti, jak i Nef-kep-aukem zaczęli się niespokojnie wiercić na dźwięk tego imienia, ale żadne nie odezwało się na głos. Toteż Menenhetet zaczerpnął tchu i ciągnął dalej: – Czy rozumiesz – spytała mnie Kulka Miodu – że taka Negatywna Spowiedź ma niezwykłą moc, a więc Ka mojego małego palca jest bezpieczny? – Pokiwała głową.

– Tak mi mówią w moich snach. Fek-futi rozkoszuje się Trzciniowymi Polami, a mój mały paluszek wraz z nim.

– Rozkoszuje? – spytałem. Miałem zamęt w głowie. Jeszcze poprzedniej nocy pragnęła zaimponować mi mądrością, która na nią spłynęła dzięki podróżom jej małego palca, i stwierdziła, że żaden kapłan nie potrafi mi równie dokładnie opowiedzieć o ognistych potworach i strażnikach podziemnych wrót. Nie tylko znała imiona węży, ale przyjaźniła się z małpami i krokodylami na brzegach Dat. Jej Ka przemawiał do zionących ogniem lwów i do rysy z pazurami jak szable. Umiała wypowiedzieć zaklęcie przeprowadzające wędrowca bezpiecznie przez jeziora płonącej oliwy i wiedziała, jakie zioła należy jeść, przeprawiając się przez ruchome piaski w ciemnościach za każdą z bram.

Potrafiła także poświęcić wszystkie amulety, które były potrzebne w Krainie Umarłych. Na przykład amulet serca (który zdołałby ochronić i wzmocnić mego Ka pod warunkiem, że zostanie odpowiednio pobłogosławiony), albo dwa złote palce (pomagające mi wspiąć się po drabinie do nieba). Umiała też oczyszczać magicznie amulet dziewięciu kroków (prowadzących do tronu Ozyrysa). Była też gotowa przepisać na papirusie słowa z wielu przydatnych rozdziałów i wyliczyła mi ich tytuły: „O wędrowce w ciągu dnia”, „O życiu po śmierci”, „O przeprawie przez grzbiet węża”, „Hymn Chwały Zachodu”, „O nauczaniu człowieka jego imienia, o którym musi pamiętać w podziemnym świecie”, „O odpędzaniu krokodyli”, „O tym, jak zapobiegać utracie serca w podziemnej wędrowce”. Nie wiem, czy zdołałem wszystkie zapamiętać, było ich tak wiele – rozdział o tym, jak żyć powietrzem, o tym, jak nie umierać powtórnie, o tym, jak zapobiec jedzeniu brudu czy też o tym, jak trzymać żagiel (by łódź zdołała przepłynąć, gnana wiatrem, przez najgorszy zaduch). Był też rozdział poświęcony zamianie w księcia pośród możnych, w lilie, w czaple, w byka. To nie wszystko. Za każdym razem, gdy sądziłem, że zakończyła wyliczanie, przypominała sobie coś nowego – a to rozdział o tym, jak się wydobywać z sieci, a to księgę o tym, jak odnajdujemy kręgosłup Ozyrysa. Mówiła głosem łagodnym, ale tytuły tych rozdziałów zaczęły mi huczeć w głowie jak okrzyki sprzedawcy.

– Jesteś pełna wiedzy jak królewska biblioteka Usermare – powiedziałem.

– I to wszystko czynię dla ciebie – odparła.

Słyszałem w jej głosie miłość. Faktycznie, zajmie się mną troskliwie w Krainie Umarłych. Nie powinienem bać się tych okolic. Dzięki temu przestanę się także obawiać jej obrzędów. Nic już nie rozumiałem. Często mnie przekonywała, że powinienem mieć wszystkie potrzebne amulety i papirusy, a przecież taki Fek-futi zabrał ze sobą zwykły zwój pełen kłamstw, pobłogosławiony przez przypadkowych kapłanów miętoszących się nawzajem przez całą noc.

– Och – odpowiedziała na to – potrójnie błogosławiona Negatywna Spowiedź nie została napisana tylko dla Fek-futiego. Była także przeznaczona dla Ka mojego małego palca.

– A czy ty możesz powiedzieć, że nie popełniłeś żadnego spośród czterdziestu dwóch grzechów?

– Zaletą tego papirusu nie jest jego prawdziwość, lecz potęga kupującej go rodziny – przyznała w końcu.

Jej słowa zapadły mi w serce olbrzymim ciężarem. Ma-Krut mogła sobie twierdzić, że potrafi wiele dla mnie uczynić, ale w gruncie rzeczy oboje wpadliśmy w kłopoty.

Powiedziałem jej o tym. Było to właściwie zbędne. Znała moje myśli.

– Możemy zginąć jednocześnie – powiedziała spokojnie, leżąc u mego boku.

– To po co mnie uczysz tytułów tych wszystkich rozdziałów? Nie będzie cię tutaj i nie spiszesz ich na mój użytek.

– Właśnie dlatego – odrzekła – musisz je dokładnie zapamiętać.

– Wszystkie?

– Można się ich nauczyć.

– Na przykład ty się nauczyłaś – przytaknąłem.

Może i Ma-Krut wiedziała, jak nauczyć się tego wszystkiego na pamięć, ale odznaczała się wszak pamięcią potężniejszą od moich mięśni. Nawet nie śmiałem próbować powtarzać za nią. Mogła sobie przyswoić całą mądrość królewskiej biblioteki, ale zarazem była tak głupia, że nie wiedziała, iż mnie z pewnością nie czeka żadna kąpiel z natrytu. Usermare każe mnie pociąć na czterdzieści dwa kawałki i rozrzucić szczątki po świecie.

I właśnie wówczas moja matka (której myśli zabłąkały się w jej dzieciństwo), spytała: – Kim jest ów Fek-futi?

Menenhetet, rozdrażniony przerwaniem mu, nawet na nią nie spojrział. – To nie ten – rzekł – lecz inny Fek-futi, z czasów mojego wcześniejszego życia, podobnie jak ja nie jestem już tym samym człowiekiem, którym byłem wczoraj.

– I poprzestając na tym, podjął przerwana opowieść. – Właśnie w tej godzinie przypomniałem sobie mądrość hebrajską.

Może i ja wydając ostatnie tchnienie powinienem wyskoczyć ze swego ciała i wskoczyć do łona mojej kobiety? Może się wówczas ponownie narodzę z nowym ciałem i z nowym życiem? Kiedy tylko myśl ta zaświtała mi w głowie, zapragnąłem powrócić do mego łóża. Tam mogłem zatoczyć wokół mej głowy czterdzieści dwa kręgi, by myśli nie wydostały się na zewnątrz. Istotnie, kiedy tylko zostawiłem Kulkę Miodu i powróciłem do siebie, zacząłem pociągać z dzbana kolobi i wnet wypilem do dna. W mych myślach zaczęła się kołatać smutna prawda – wcale nie byłem pewien, czy chcę skończyć jako dziecko w jej brzuchu. Czy chciałem zostać dzieckiem kobiety, która kosztowała odchodów innego mężczyzny?

I właśnie wówczas poczułem, jak mocno zaślubiłem Kulkę Miodu i jak dalece jej ulegałem. Nawet w moim własnym pokoju nie śmiałem o niczym innym pomyśleć. Zachowując wszystko w tajemnicy, z pustym dzbanem w rękach, pijany jak dobry i wielki Usermare, okrążyłem głowę czterdzieści dwa razy moją dłonią, po czym padłem bez czucia na ziemię. Pułapki i trudy Krainy Umarłych splątały się w mym umyśle niczym zwoje kiszek.

Obudziwszy się rano z zamroczenia kolobi, przewróciłem się na drugi bok i powiedziałem sam do siebie: – Złe duchy nocy ustąpiły. – Mimo ochrony czterdziestu dwóch kręgów wciąż jeszcze nienawidziłem Kulki Miodu i szczęśliwy byłem, pozostając sam na sam z paroma myślami, których nie znała.

Przez cały czas docierał do mnie hałas dziecięcych głosów, gdyż za oknami mego domu bawiły się dzieci. Ileż ich tu było! Bekając wyziewami kolobi, nastawiłem uszu i dosłyszałem, po raz pierwszy chyba tak wyraźnie, jak bawią się i grają, przekrzykując nawet ptactwo. Dzieci rozbiegały

się na wszystkie strony. Słyszałem jak kąpią się w sadzawkach i płoszą gęsi albo jak wspinają się wysoko na drzewa, by pogaworzyć z ptakami. Dosłyszałem gderanie opiekunek upominających podopiecznych, matek karcących pociechy, długie szlochy i wszelkie odmiany śmiechu. Wszystkie te dzieci, co do jednego, były córkami i synami Usermare. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy tak przyglądałem się tym dzieciakom. Dziwne to były łzy – słodkie niczym deszcz na pustyni. Przypomniałem sobie własną córeczkę, urodzoną przez Renpu-Rept, nieżyjącą od tak wielu lat. Wydawało mi się, że wciąż wyglądałaby jak dziecko. Potem zdałem sobie sprawę z tego, że Kulka Miodu należy do nielicznych małych królowych, które nie urodziły dzieci Usermare. Może była aż tak dziwaczna, że nie kochała jego lędźwi i wołała moje? Poczułem, że jest mi bliska, i przestałem ją nienawidzić. Ostatecznie gotowa była umrzeć wraz ze mną.

Tak więc budząc się pod ciężarem trosk, poczułem się wreszcie wolny od ich brzemienia i odetchnąłem swobodniej. Serce mi rosło, gdy sobie uświadomiłem, jak jest szczodra. Zrozumiałem po raz pierwszy w życiu, że nikt mnie równie dobrze nie zaopatrzy na przyszłą podziemną wędrówkę jak ta kobieta. Poczułem, jak ważna jest prawdziwie potężna rodzina. Podobnie jak Re miał swoją boską łódź, by podróżować przez ciemną rzekę Dat, tak i każdy z nas miał żonę i dzieci jako własny złoty statek na taką podróż. Kulka Miodu poślubiła mnie tajemnym obrzędem zaślubin – poznawszy nawzajem własne pośladki, podzieliliśmy się naszymi ciałami. Gotów byłem spółdzić z nią dzieci. Powiedziałem sam do siebie, że musimy uciec z tych Ogrodów, i ja, niczym Mojżesz, ucieknę wraz z nią na Wschodnią Pustynię. Stamtąd możemy dotrzeć do Tyru. Wziąwszy pod uwagę jej rozległą wiedzę, z pewnością potrafimy zdobyć wielkie bogactwa w tym dziwacznym mieście.

Po tych słowach Menenhetet podniósł wzrok i spojrzał na matkę oraz na Pta-nem-hotepa, by sprawdzić, czy zgadzają się z jego przekonaniem o wielorakich zaletach małżeństwa. Zdumiało go (i mnie, gdyż wsłuchany w głos pradziadka nie podnosiłem oczu na obecnych), że zniknęli. Uciekli w czasie, gdy przemawiał. A mój biedny ojciec nadal spał.

VI

Czułem jeszcze w powietrzu obecność matki i wiedziałem, że jest gdzieś w pobliżu wraz z faraonem. Ponieważ pradziadkowi został już tylko jeden słuchacz, a mianowicie ja, toteż zamilkł. Myśli jego zaczęły krążyć wokół nocnej ciszy, docierając do bogów i duchów mroku poza światłem świetlików. Wiedziałem, że bez względu na to, w jakiej komnacie albo na jakiej ścieżce ogrodu może przebywać teraz matka, opowiadanie o pradziadku i o Kulce Miodu towarzyszy jej wszędzie, obecne w woni kwiatów i w podmuchach wiatru szmerzącego palmowymi liśćmi. Wiedziałem, że choć matka bardzo pragnęła się oddalić, pradziadek wcale nie był tym zmartwiony, gdyż wciąż czuł skupioną na sobie uwagę faraona, pragnienie doczekania końca opowieści. Noc była pełna oczekiwania.

Ponownie zacząłem zapominać o tym, ile właściwie mam lat – czując się jako echo jakiegoś dźwięku zastanawiającego się, czy samo też jest dźwiękiem. Siedziałem więc w glorii tej ciszy, słysząc szmer dawno minionych głosów – nawet szepty małych królowych przechodzących pod królewskimi palmami w drodze do jeziora. Zarazem jednak czułem się bardzo bliski pradziadkowi, który siedział, wpatrując się we mnie w milczeniu. Jego rozmyślania podnosiły się i tryskały w górę niczym woda w fontannie, a ja szybciej chwytalem jego mądrość niż wówczas, gdy mówił na głos. Ujrzałem go wyraźnie, jak mija w nocy Ogrody, zdążając ku Kulce Miodu, by ją zapytać, czy zechce uciec z nim do Tyru. Przypomniawszy sobie po drodze opowieść Hekwat o brzydkiej kobiecie, która chroniła męża od wszelkiej choroby, i roześmiał się na głos. Twarz Kulki Miodu była piękna w jego dłoniach, jej ciało zaś było ogromne niczym majątek Usermare, a przecież czułem, że to ona była tą brzydką kobietą, o której opowiadała Hekwat. Nie spotka go nigdy nic złego, jak długo z nią pozostanie, a ich dzieci także będą bezpieczne. Ochroni ich wszystkich. Kochał ją za te bogactwa ducha i kiedy późną nocą wyslizgiwał się od niej, by powrócić do siebie, długo nie mógł zasnąć, wzburzony czystymi i potężnymi namiętnościami. Czuł w nozdrzach zapach każdego rześkiego poranka w górach w czasie długiej wędrówki z Megiddo do Tyru, a nawet niebezpieczeństwa jawiły mu się jako rozkosze. Mógł ukazać Ma-Krut głębię swej odwagi, utorować jej drogę przez las. Czuł się odważny niczym młody bóg.

Następnej nocy, podczas słodkiego milczenia, które zapada po miłości, pełen czci i niezwykle zadowolony z tego, że objęli się bez magicznych obrzędów z poprzednich dwóch nocy i że przeżyli rozkosz w spokojnym pragnieniu brata i siostry, ujął jej twarz w dłonie, zdając sobie dobrze sprawę z rozległego nieba nad domem, z którego mogli go słyszeć bogowie, i wyszeptał do niej, że mogliby się pobrać i żyć w otoczeniu chmary dzieci. Kiedy to mówił, zdawał sobie w pełni sprawę z trudów wyprawy, gdyż wiedział, jak dalece uzależnieni będą od jej czarów, by móc dotrzeć do innego kraju.

Odpowiedziała na to, że tutaj jest lepiej.

Spojrząwszy na wszystko jej oczyma zrozumiał, z czego musiałaby zrezygnować: z waz i szkatulek pełnych amuletów, proszków, zwierzęcych skór. Jej zbiory równe były wspania łemu miastu, były fortecą jej mocy, ale zanim zdołał ją spytać, czy nie potrafi tego wszystkiego zebrać gdzieś indziej, uprzedziła go innym pytaniem: – Jak bardzo kochałbyś nasze dzieci?

– Musimy mieć dużo dzieci.

– No to nie chcesz wcale ze mną uciec – odrzekła. Nie miała w oczach łez, a głos jej nie brzmiał smutnie. Mimo to zaczęła płakać. Powiedziała, że w jej łonie było dziecko, dziecko Usermare, pierwsze dziecko, które straciła tej nocy, kiedy Usermare odciął jej palec.

– Nie wierzę – powiedziałem.

– To prawda. Straciłam dziecko i straciłam to, dzięki czemu mogłabym mieć jeszcze inne dzieci.

– Głos jej brzmiał pewnie jak korzenie najwyższych drzew w Ogradach Odosobnienia. – To właśnie – rzekła – jest prawdziwą przyczyną mojej tuszy.

Słuchając jej, pełen bólu i współczucia, rozpuściłem myśli jak pozbawione jeźdźców konie.

Podniosła się z łoża i zapaliła kadzidło. Z każdym haustem dymu wciągany w gardło zyskiwał pewność, że jego życie będzie krótsze o ten zapach, że oto zbliża się najczarniejsza godzina jego duszy, oddech zaś chwytać coraz trudniej. Resztki jego nasienia szeszczą wewnątrz jej łona.

Nie mogąc dłużej znieść brzemienia ich obopólnego milczenia, znów zaczął ją kochać, ale poruszał się niezgrabnie, jak odurzony. Równie dobrze mógł zapaść w drzemkę na bagnie i leżeć u jej boku, zastanawiając się, czy moc czterdziestu dwóch kręgów zatoczonych wokół głowy naprawdę chroni ją przed zgłębieniem otchłani jego rozpacz.

Nie powiedziała nic, ale brzemie jej zamiarów ciążyło nad nimi, kwaśne niczym odór zeschniętej starej krwi. Żadna miłość nie osiągnie nigdy tak całkowitego tryumfu jak jej magiczna moc. Leżąc w milczeniu u jej boku, przez całą noc tęsknił do tej godziny przed świtem, kiedy będzie musiał wyjść. Nie chciał zostawać, ale głębia jej myśli (do których nie miał dostępu) ciążyła mu niczym zwłoki zabitego zwierza. Istotnie, resztę nocy spędzili jak dwie ciężko ranne, dzikie bestie.

Mimo to w ostatniej chwili przed rozstaniem pozwoliła mu na moment zbliżyć się do jej własnych myśli. Podobnie jak podróżnik unoszony na barce prądem rzeki może wsłuchiwać się w szmer wód Nilu i poznawać duchy wód, tak i on zrozumiał, że ona przeszukuje otchłanie swej mądrości, by znaleźć obrządek, który zdoła wymierzyć silny cios Usermare.

Nie zdziwił się też po powrocie rano do jej domu, stwierdziwszy, że pragnie, sądząc po przygotowaniach, złożyć ofiarę Izydzie.

Kulka Miodu wielokrotnie mówiła mu o tym, jak niebezpieczna może być taka ofiara. Wybór jej był równie odważny, jak jego decyzja ucieczki, toteż znów poczuli oddech miłości. Może jego śmiałość wyzwoliła śmiałość w niej. Tak więc Menenhetet nie przyjmował tego dnia żadnego pokarmu, nie tknął ani melona, ani fasoli, ani gęsi i wcześniej przybył do domu Kulki Miodu. Menenhetet często jadał kolacje z którąś spośród małych królowych, było to nawet pomyślną wróżbą. Wizyta gubernatora mogła pociągnąć za sobą wizytę samego Sesusi. Jednakże tego wieczoru ani on, ani Kulka Miodu nie zjedli niczego poza garścią ugotowanego zboża z talerza wykonanego z papyrusu. Potem, odprowadzany wzrokiem jej eunuchów i przypadkowo znajdujących się opodal małych królowych, pożegnał się i wyszedł. Przez chwilę przechadzał się nawet po ogrodzie ścieżką wiodącą do jej murów, i rozmawiał z innymi małymi królowymi w oczekiwaniu na mrok. Miała to być noc bezksiężycowa, toteż można się było nie obawiać wizyty Sesusi.

Kiedy tylko Kulka Miodu odesłała eunuchów, wrócił, przeskakując przez mur.

Kulka Miodu ubrana była tylko w sandaiki i białe przezroczyste płótno. Jej perfumy przypominały zapach białej róży, a oddech miała czystszy od pachnideł. Zastanawiał się, czy jest to oznaka Izidy przywołanej poprzez to, co zjedli. Kulka Miodu miała oddech, który potrafił pachnieć jak kwiat albo cuchnąć obrzydliwymi kłótwami i w niektóre noce dane mu było poczuć zaduch Dat. Jednakże tego wieczoru miała oddech spokojny, czerwony amulet Izidy przewiązany wokół talii dodawał jej godności.

Wnet zaczęła recytować wezwanie. Przywoływała Izydę głosem Setiego I. Ma-Krut mogła się cieszyć uznaniem wielu mocy i duchów, ale tylko faraona dopuszczono tak wysoko – na pokoje komnaty Izydy. Co więcej, Kulka Miodu odnalazła w królewskiej bibliotece Usermare zaklęcie, które mogło służyć przywołaniu wszystkich potęg Izydy, jeżeli wymówił je umarły faraon. Musiała przywołać odpowiedniego Ka. Owinięta jego obecnością mogła wówczas przemawiać niczym władca.

Wyszła na chwilę z kręgu, by zdjąć szatę, i wyjęła białą spódniczkę, złote sandały i złotą blachę napierśnika zakrywającą dokładnie jej piersi. Potem, ku zdumieniu Menenheteta, otworzyła inny kufer i wydobyła podwójną koronę z doskonałego, sztywnego płótna, własnoręcznie wykonaną i wysoką ponad miarę. Nałożyła ją sobie na głowę, przylepiając bródkę aż do ust, a kiedy weszła z powrotem w krąg ołtarza i położyła na kamieniu czerwony amulet, jej pełne wargi wyduły się w surowy wyraz ust Setiego, jakim go Menenhetet znał z wielu świątynnych malowideł.

Potem zaczęła przywoływać Ka faraona głosem pełnym powagi siły.

Gdy Menenhetet leżał na ołtarzu z głową opartą o kamień ofiarny, postawiła na jego piersiach stopę (widział nad sobą twarz i ciało masywne, niczym ciało wielkiego faraona, ojca Usermare) i zaczęła recytować wiersz:

*Cztery żywioły
w rozproszonych członkach
przyłożą serce
do tych wydarzeń.
Niechaj Ka Setiego narodzi się znów
Niechaj Ka Setiego zazna naszej Ziemi
Powietrze, woda, ziemia, ogień
nasienie, korzeń, drzewo, owoc
Oddychać, tonąć, grzebać, rodzić,
powietrze, woda, ogień, ziemia
O Seti, przyjdź do mnie.*

Wypowiedziała te słowa, a Menenhetet, leżąc pod jej stopami, powtórzył je, głosy ich zlały się w chór; te same słowa powtarzali jeszcze wiele razy. Mówiąc, kładła szczypty kadzidła do płonących miseczek wokół jego ciała, aż pokój zapełnił się dymem i podniosła się gorączka jej serca. Jej głos przebijał powietrze tak gęste, że oddechy przesuwwały dym jak wiatr chmury na niebie.

– O Ty – rzekła – który byłeś Największym Faraonem i Ojcem naszego Wielkiego Usermare, któryś jest dwakroć większy niż ten obecny faraon, Twój syn, zwany Ramzesem Wielkim, wiedz zatem, że to mój głos cię wzywa, gdyż jestem Ma-Krut, córka mego ojca Ahmoza z Saidy, który narodził się za twego panowania.

O Wielki Seti, Największy Faraonie, daj nam poznać twą moc, twój szal i chwałę twego panowania. Bo Twój syn Usermare-Setpenere zburzył Twoją świątynię w Tebach.

Odwrócił do ściany wszystkie wielkie słowa wypowiedziane na chwałę jego ojca. W świątyniach tych chwała jego ojca głoszona jest w milczeniu. Kamienie zakneblowano. Jeżeli mnie słyszysz, niechaj Twój Ka opadnie na mnie niczym namiot. – Zamilkła. Potem powiedziała: – O, Seti, przyjdź do mnie.

Przemawiała wyraźnym i doskonałym językiem faraonów, z lewą ręką wyciągniętą przed siebie, do ołtarza, wskazywała na północ, ku Saidzie, w delcie, toteż Menenhetet poczuł, jak Ka zmarłego monarchy opada na nich niczym namiot z najcieńszego płótna, ta zaś, która stoi w chwale Ka Setiego, stawia mu stopę na piersiach. Ujrzał zielony krąg na podłodze, który gorzał czerwienią

amuletu na ołtarzu. Krzyki ptaków doszły do nich spoza milczenia niebios z okresu panowania Setiego, Menenhetet zaś wyprostował się, tak że ręka ojca Usermare chwyciła go za włosy, co też istotnie ujrzeliśmy, i poczuł wielki ciężar na swojej głowie, przytłaczający go niczym posąg z brązu.

Potem Menenhetet usłyszał głos Ka Setiego przemawiającego do Izydy: – O Wielka Bogini – rzekł ów głos – jesteś matką naszego zboża i panią naszego chleba, jesteś Boginią wszystkiego, co zielone. Panujesz nad wszystkimi chmurami, bagnami, polami zbóż i wszystkimi ukwieconymi łąkami. Jesteś zatem silniejsza niż wszystkie świątynie Amona razem wzięte. – Z ołtarza podniosła się para, zapach słodkich pól rozszedł się w powietrzu.

– O Wielka Bogini, dowiedz się o hańbie Setiego I. Oto jego syn przesuwając kamienie jego świątyni. Bloki marmuru są obracane napisami do ściany. Chwała Setiego nie znajduje świadków. To, co było na przodzie, jest obecnie na tyłach.

– To prawda – rzekł Menenhetet.

– Stare wonie dobywają się z tych kamieni. Opowiadają o glebie, w której je zagrzebano. Niechaj te kamienie przywołają Ramzesa! Niechaj jego serce skruszeje między kamieniami Setiego!

Fale wybiegły z Ka Setiego i przeszły Menenheteta. Fale przebiegły wiatr i wodę. Fale płomienia, wielkie konwulsje ciała, a wszystko to powodowała dłoń ponad jego głową.

– Twoje usta rozkazują Re. Księżyc to twoja świątynia. Wszystkie góry schodzą w dół ku tobie.

Amulet na ołtarzu płonął topniejącym białym blaskiem metalu. Menenhetet nie mógł zaczerpnąć oddechu, ołtarz trząsł się i dygotał, i rozpadał na kawałki niczym marmury Setiego. Okrzyki pochwyconego ptaka rozbrzmiewały w jego uszach. Menenheteta ogarnęła ogromna pasja, Ka Setiego przeszedł zaś ku niemu, mimo rozpadu ołtarza. I to wszystko mimo wyraźnych poleceń z jej strony, iż powinien powstrzymać się od jakiegokolwiek ruchu, by jej dopomóc w składaniu dziękczynienia Izydzie (pomagając jej zarazem w odejściu), i skupieniu się na podziękowaniu Ka Setiego. Zamiast tego Menenhetet wydał ryk dzikiej bestii, Ka Setiego zaś, który weń wstąpił, stał się rozszalałym dzikiem. Przy strzaskanym ołtarzu wspiął się na Kulkę Miodu i posiadał ją tak jak nigdy dotąd, ona zaś była pod nim słodka, mimo że Menenhetet wytrysnął z hałasem, który obudziłby nawet Horusa Południa (rankiem wiele małych królowych zwierzało się sobie nawzajem, że tej nocy wąż musiał przechodzić przez Ogrody). Menenhetet wiedział jednak, że ręce tysiąca i jednego boga, które oplatały Usermare, nie były już splecione w jednym uścisku. We wrzawie swego porywu Menenhetet usłyszał bowiem głos Setiego, rozgniewanego za przewrót kamieni w jego świątyni, i ponownie posiadał wściekle Ma-Krut, i obrócił ją, by dopaść wszystkich otworów – Usta jej Kwiatu, Usta jej Ryby, Usta jej Otworu – sam zaś oddał jej oba swe otwory, poznała więc go dobrze. Poza murami Ogrodów Odosobnienia, na wielkich placach i w ogromnych ogrodach Wielkiego i Małego Pałacu, w samym mieście Teby i wzdłuż rzeki, czuł gniew Setiego i widział okaleczone głązy nowych świątyń, toteż wiedział, że Usermare nie mógł odzyskać spokoju, jak wody morza przed sztormem.

Kiedy jednak szła namiętności minął, Kulka Miodu powiedziała: – Nie wiem, co się stało. Ka Setiego I nie powinien był przechodzić ze mnie do ciebie.

Przez całą noc bardzo się niepokoiła nieoczekiwanym obrotem sprawy i następnego ranka odczuwała znaczne przygnębienie.

VII

Pod wieczór następnego dnia po Ogradach rozeszła się wieść o tym, co spotkało faraona. Odwiedzając Nefertari, w południe jadł z nią posiłek, kiedy służący rozlał nań garnek gorącej zupy. Sługa uciekł do kuchni ścigany przez królewskie strażę, które słysząc ryki bólu wydawane przez oparzonego faraona, obili biedaka tak brutalnie, że wyzionął ducha jeszcze przed wieczorem. Wszyscy w Ogradach opowiadali sobie o tym wydarzeniu, Kulka Miodu zaś śmiała się tak radośnie i słodko, jak nigdy dotąd.

– Moc Izydy jest wielka i natychmiastowa – rzekła.

Nie minęły i dwa dni od wypadku, jak Usermare nakazał przepisanie wielu papirusów zawierających magiczne słowa. Zamówił ich tak wiele, że w końcu nawet sam pisarz królewski nie wiedział dokładnie, ile amuletów kazano przygotować.

Za podszeptem Kulki Miodu Menenhetet udał się na jedną z nielicznych wypraw poza mury Ogradów, by odwiedzić olbrzymią komnatę, w której trudzili się królewscy pisarze – pięciuset ich siedziało tam z deszczużkami i pudełkami farb, wypisując listy do kolegów po piórze, pisarzy w świątyniach, w domu złota, w domu ziarna i domu wojska, pisarzy królewskich trybunałów. Pisano do pisarzy spełniających rozliczne królewskie polecenia w każdej prowincji królestwa. Wielkie to było pomieszczenie, wielkie jak świątynia. Nie było tu ścian, tylko dach i kolumny, pisarze zaś nie tylko pracowali, ale i przechadzali się plotkując, toteż w ich gorączkowej krzątaninie Menenhetet zaczął dopatrywać się trzepotu ptactwa, unoszącego wiadomości do bogów i ruchliwości dzikich bestii, szamoczących się między powietrzem a ziemią. Jakże nieliczne i samotne wydały mu się myśli Ma-Krut. A jednak okazały się tak potężne!

Plotkując tego dnia z kilkoma głównymi pisarzami, Menenhetet dowiedział się, że faraonowi nie wystarczały już amulety, które mu przygotowywano. W komnacie zapanował zamęt. Wielu pisarzy przywykło do wypisywania listów do urzędników w dalekich nomach i nie czuło się pewnie, przystępując do wypełniania nowych zadań.

Gdy Menenhetet opowiedział o tym wszystkim Kulce Miodu, ta roześmiała się. – Moc Izydy wciąż się przejawia – powiedziała i dodała, że w umyśle Usermare też musi panować zamęt. Sama myśl o tym, że niedoświadczeni pisarze mieli tworzyć amulety, była nedorzeczną. Dokładność wykonania była absolutnie niezbędna przy tego rodzaju papirusach. Nie było lepszych amuletów niż papirusy przygotowywane w Saidzie, gdzie Ma-Krut uczyła się tej sztuki i gdzie słyszała powiedzenie, iż jeden jedyny błąd wystarczał, by dwadzieścia papirusów traciło moc. Pisarze, których dopiero przyjęto na służbę, nadawali się do prowadzenia spisu bydła albo notowania liczby gęsi, zarzniętych przed jakimś świętem – byli po prostu skrybami. Zachichotała pogardliwie – przypominali jej małpy albo eunuchów. Jeżeli nie potrafili wymówić niewymawialnych słów, to jakże można się było po nich spodziewać prawdziwych amuletów?

Potem Menenhetet opowiedział jej o niezwyklej nowinie, jaką posłyszał tego dnia. Nowinę przyniósł Stet-Spet, zwany potocznie Peptim, zatrudniony w Domu Odosobnienia pisarz, który naturalnie także musiał być eunuchem. Był to zresztą jedyny pisarz eunuch, co sprawiało, że stanowił istne źródło ploteczek. Nie mając własnych dzieci, o które trzeba się troszczyć, eunuchowie gotowi byli zawsze rozmawiać o rzeczach zakazanych, zresztą to samo można

powiedzieć o pisarzach. Spędzając większość życia w jednym pomieszczeniu, pisarze odczuwali zawiść w stosunku do tych, których obowiązki wiodły do ciekawych miejscowości, i zawsze plotkowali o swoich przełożonych. Kulka Miodu przyznała, że człowiek, który jest zarówno eunuchem, jak i pisarzem, musi być niezrównanym plotkarzem. Roześmiali się oboje. Naturalnie, nie pozwoliliby sobie na taki śmiech w jego obecności. Nie warto było mieć w Stet-Specie wroga. Jeszcze kilka lat temu był najniższym królewskim pisarzem zatrudnionym u nadzorcy rolnictwa, ale chęć awansu była u niego tak przemożna, że poprosił o operację, po której został eunuchem, i przeżył złośliwe ropienie, które zawsze ma miejsce w tych wilgotnych miejscach ciała. Menenhetet szanował go za to. Niełatwo było się zdecydować na tę operację, będąc Egipcjaninem. Egipcjanie byli delikatniejsi niż Nubijczycy i nie zawsze znosili złośliwe gorączki, które trawiły ludzi po kastracji. Jednakże tak niewielkie były widoki na uzyskanie stanowiska głównego pisarza, opowiadał Stet-Spet, że pospiesznie poprosił o operację, kiedy tylko dowiedział się, że poprzedni pisarz Ogrodów Odosobnienia, stary i wyjątkowy Nubijczyk, zdradza oznaki ślepoty.

Teraz Stet-Spet pracował w Ogradach, to znaczy miał najlepsze warunki spośród wszystkich pisarzy. Jadał w domach małych królowych i wolał szwendać się po haremie niż ślęczyć nad papirusami, toteż wykorzystywał okazję, by zasięgać języka na temat najdrobniejszych szczegółów. Wiedział więc dokładnie o tym, która mała królowa kochała inną małą królową, znał nawet pieszczotliwe przezwiska, którymi się obsypywały. Kobiety z kolei ochrzciły go nowym imieniem, Pepti, jako że jego pierwotne imię, Stet-Spet oznaczało Trzęsący się Drag. Na samą myśl o operacji, jaką musiał przejść, chichotały bez opamiętania nawet w czasie rozmowy z nim. Naturalnie jako eunuch uczujący w tak wielu domach Pepti utył i ważył tyle, co Kulka Miodu. Powiadano, że nikt im nie dorównywał mądrością, ale że z nich dwojga mądrzejsza była Kulka Miodu. Mądrość Peptiego spłynęła nań wraz z obowiązkami służbowymi. Ponieważ żadna kobieta w Ogradach Odosobnienia nie pominęła okazji, by poinformować pisarza o tym, iż poprzedniej nocy przyjęła nasienie Usermare (datę zapisywano skrupulatnie, by uniknąć wątpliwości co do czasu poczęcia), Pepti podczas trzyletniej służby na swoim stanowisku sporządzał listę wszystkich małych królowych, wybranych przez Usermare. Pozycja żadnej królowej nie mogła zatem rosnąć w oczach faraona ani tracić na znaczeniu bez wiedzy Peptiego.

Usłyszał także o tym, co spotkało Menenheteta w domu Nubijki. Pepti wiedział o tym już rano – och, Kazama! Hekwat i Kulka Miodu opowiedziały mu o wszystkim jeszcze przed udaniem się na spoczynek, ponieważ musiały go odwiedzić dla zapisania daty przyjęcia nasienia Usermare. Naturalnie, Pepti nie zachował tej informacji dla siebie i śmiech okrutny niczym zwoje srebrnego węża prześlizgnął się przez Ogrody. Eunuchowie zasłaniali sobie wargi rękoma, mijając gubernatora. Menenhetet rozmyślał o pisarzu rozprowadzającym tę plotkę, o jego tłustym brzuchu dygoczącym ze śmiechu, a mimo to nie potrafił nienawidzić go tą płomienną nienawiścią, która jest podstawą zemsty. Menenhetet wiedział, że i tak wszyscy by się o tym dowiedzieli. Ponadto zdawał sobie sprawę z tego, że takie historyjki szybko się starzały w Ogradach i gniły niczym opadające figi. Nie chciał też robić sobie z Peptiego wroga, gdyż wówczas pisarz mógł kazać innym eunuchom szpiegować go. Zachowywał się zatem przyjaźnie. Co więcej, ponieważ obaj byli wysokimi urzędnikami w Ogradach, często musieli rozmawiać o dokumentach. Wszystkie zakupy czynione na rynku przez eunuchów musiały być zanotowane przez pisarza i sprawdzone przez gubernatora.

Po omówieniu takich spraw Pepti zawsze wdawał się w pogawędkę z Menenhetetem. Plotkował bowiem ze wszystkimi. Nie opowiedziana historyjka to jak potrawa, której nikt nie skosztował. Toteż tego ranka, kiedy Menenhetet odwiedził komnatę pisarzy i spotkał eunucha rozmawiającego ze starymi przyjaciółmi, zaproponował mu przejażdżkę w swoim rydwanie. Pepti, który mówił

głosem ledwo przebijającym się przez łoskot kół na kamieniach bruku i wybojach piaszczystych dróg, zdołał przebić się jednak przez gwar okrzyków wszystkich tebańskich kupców i robotników na rynku, toteż Menenhetet dowiedział się dalszych szczegółów o misce zupy. Jak się okazało, posiłek od samego początku przybrał niepomysłny obrót. Tego ranka Amen-kep-szu-ef, odniósłszy zdumiewająco szybkie i łatwe zwycięstwa w Libii, powrócił do Teb. Był nawet u Nefertari, kiedy przybył Usermare, potem zaś księżę usiadł blisko ojca (bez zaproszenia) i tak przeszkadzał w zachowaniu odpowiedniego rytuału, że nikt nie był specjalnie zdziwiony, gdy doszło do wywrócenia misy z zupą. Za piekący ból na piersi Usermare przeklął nawet syna i wyszedł, jego skóra zaś zaczęła się pokrywać pęcherzami po złotą i inkrustowaną drogimi kamieniami płytką napierśnika. Nie zatrzymując się nigdzie, pojechał do pałacu Rama-Nefru. Hetytka była teraz z pewnością jego faworytą – tak przynajmniej pisarz zapewniał Menenheteta. Wiele małych królowych opowiadało Peptiemu, że imię Rama-Nefru częściej padało z jego ust w chwili wytrysku niż imię jego Pierwszej Królowej. Co więcej, od tej chwili nie rozmawiał już z Nefertari ani też królowa nie odzywała się do niego. Nefertari zdecydowała się na żałobę po służącym, którego pobito na śmierć. Zapewne służył jej wiele lat. Było to oczywiście straszliwym policzkiem wymierzonym Usermare. Amen-kep-szu-ef także zachowywał się prowokacyjnie.

Usłyszawszy o tym wszystkim, Kulka Miodu doszła do wniosku, że Usermare został całkowicie wytrącony z równowagi, toteż zaczęła rozmyślać nad przywołaniem Ka służącego Nefertari. Spytana przez Menenheteta o to, w jaki sposób Ka sługi może się przydać w walce z Usermare, Kulka Miodu odparła, że nagła, gwałtowna śmierć, zwłaszcza niezasłużona, dodaje Ka wigoru bez względu na to, jak pospolitej osoby dotyczy. Toteż postanowiła przywołać sługę.

Kiedy jednak rozmyślała na tym planem, Menenhetet zakrzuszył się kością, która stanęła mu głęboko w gardle, aż oczy mu wyszły na wierzch i zrobiły się wielkie jak jajka. Kulka Miodu natychmiast wezwała służbę, a Rycyna i Krokodyl zaciągnęli Menenheteta na środek lazurytowego kręgu.

Kulka Miodu zawołała bez zbędnych wstępów: – O kości wołowa, wyjdź z jego brzucha! Wyjdź z jego serca! Wyjdź z jego gardła! Z jego gardła przejdź do mojej ręki. Gdyż moja głowa sięga do nieba, a stopy opadają w przepaść. Kość boga, kości człowieka, kości zwierzyny, chodźcie do mej ręki!

Kość wypadła z gardła w wymiotach i Menenhetet złapał oddech, ale i Kulka Miodu też sama zaczęła wymiotować. Bogowie, których imion nie znała, zaatakowali sługę jej serca, Menenheteta. Później przyszedł do siebie na tyle, że był w stanie udać się w powrotem do siebie, ale czuł się niedobrze i postanowił wrócić. Jednakże wkroczywszy na ścieżkę, poczuł się tak słaby, że ledwo mu się udało przeskoczyć do Ogrodów, a kiedy już ją odwiedził, okazało się, że jest nadęta i ponura oraz opuchnięta, jakby płakała od chwili, gdy się rozstali.

– Moje plany zostały pokrzyżowane – powiedziała. – Wiedziałam, że tak będzie od chwili, gdy Ka Setiego przeszedł do ciebie.

Gdy Menenhetet wyraził żal z powodu nieposłuszeństwa, odpowiedziała:

– To nie twoja wina, lecz moja. Zapomniałam o tym zwierzaku.

Nigdy nie rozmawiali o świni, ale zawsze podejrzewał, że przybywa od niej.

– Czy ty ją przysłałaś – spytał – po to, by mnie do siebie sprowadzić?

Pokiwała głową. Westchnęła. – Nie należy tylko i wyłącznie do mnie. Została także ulepiona z nikczemnych myśli Sesusiego. A teraz Świnia może nam przeszkodzić we wszystkich naszych obrządkach.

Wypowiedziawszy te słowa na głos, musiała szybko odprawić stosowne obrzędy.

Wyjąwszy niewielki kwadracik czystego płótna z jednej ze szkatulek z kości słoniowej, starannie owinęła kawałek kości, która stanęła Menenhetetowi w gardle, i położyła go na płaskim brzuchu posążka, także wykonanego z kości słoniowej, wielkości jej dłoni. Posążek miał głowę Ptaha, koronę Sekera i ciało Ozyrysa. Umieściła następnie posążek na rozbitym ołtarzu i szybko rozpałała ogień, podsycając go osuszoną trawą kesau. Następnie z kieszeni swej szaty wyjęła małą kulkę wosku i ulepiła z niej figurkę węża.

Powiedziała potem:

– Niech ogień cię strawi, wężu, niech płomień z oka Horusa przeniknie do twego serca!

Płomień na ołtarzu wzbił się wysoko pod sufit, a w pokoju zrobiło się gorąco. Menenhetet siedział po turecku w kałuży wody, która spływała z jego skóry, Ma-Krut zaś rozchyliła szatę, ukazując wielkie piersi. W tym świetle lśniły czerwienią jak sam ogień.

– Oto smak twojej śmierci, wężu – rzekła – wracaj do płomienia! Koniec z tobą! Wracaj, wrogu, i nigdy już nie przychodź!

Ułożyła ulepioną z wosku postać węża w zgięciu papirusa, na którym dopiero co namalowała węża odchodami swych kotów. Położyła ofiarę na ogniu ołtarza, splunęła na nią i powiedziała:

– Wielki ogień cię strawi, Aapepie, płomień cię pochłonie. Nie będziesz miał Ka. Dusza ci się skurczy. Imię będzie pogrzebane. Milczenie zapadnie wokół ciebie.

Gardło jeszcze bolało Menenheteta od kości, oczy piekły, płuca pełne były gryzącego dymu. W głowie szumiał mu gniew wielu bogów, ale nie skarżył się na nic. Nie śmiał. Całe armie bogów ścierały się z chrzęstem na polach, których nie dostrzegał. Wyczuwał nawet woń niektórych zabitych i rannych w dymie kocich odchodów palonych w trawie. Bitwa wrzała na dobre, on sam był tylko prostym żołnierzem, ale wiedział, że nigdy nie porzuci Kulki Miodu w takiej godzinie.

– O, Oko Horusa! – wykrzyknęła – synu Izydy, spraw, by imię Aapepa zaczęło śmierdzieć. – I Menenhetet poczuł woń zabitych i rannych bogów w smrodzie dymu. Gdy Kulka Miodu objęła go, jej wargi były niczym oślizgłe węże, a oddech miała zatruty jak dym. Jego obolałe i podrażnione gardło zaczęło znów przypominać mu o wymiotach.

Podeszła do ołtarza i rzekła:

– Powstań, Świnio zabronionego mięsa! Wnijdź do kręgu. Pachnij siedmioma wiatrami. – Potem zaśpiewała siedmioma głosami, każdy głos zaś wypowiadał jeden dźwięk, jak gdyby schodził po drabinie do nory, w której trzymano świnię. –Aj! – śpiewała, aż jej lira zawieszona na ścianie zaczęła drzeć. – Iii! – intonowała przeciągle, aż dosłyszał grzechot jej alabastrowych waz. – Ej! – zaśpiewała, aż zabolęły go zęby.

– Och! – aż schwycił go skurcz żołądka. – OOO! – i zapiekło go w podbrzuszu, na dźwięk „ju” zaś ziemia usunęła mu się spod nóg. Wreszcie zanuciła najniższym głosem, pełnym zadowolenia, niższym niż dźwięki dobywające się z gardzieli zwierząt zamieszkujących bagna – Uuuch! – wydając wreszcie wyraźny kwik. Wtedy właśnie poczuł sztywną szczecinę ryja świni, trącającego go między pośladkami dokładnie tak samo jak w owe noce, kiedy przechadzał się samotnie po Ogrodach.

Nadal stała przed ołtarzem, po czym uniosła w górę nóż, ostrzem ku sufitowi i powiedziała:

– Przywołuję cię, o Boże Zniszczenia! Przywołuję tego, któremu na imię Set. Przywołuję Cię imionami, których inni nie znają. – I wypowiedziała imiona, których nigdy nie słyszał. – O Ty, któremu na imię Set, wzywam Cię imionami Neboposolet, Lerteksanaks i Etrelnot, Jopakerbet i Jobol-koret, Jopatanaks i Aktiofi, Ereskigal. Przybądź do mnie, gdy będę zabijać wszystko, co złe w tej świni. – Zaczęła się kręcić wkoło, trzymając nóż na zewnątrz, Menenhetet zaś poczuł, że ozór świni sztywnieje niczym koniec odciętej gałęzi, następnie podryguje jeszcze między pośladkami, po

czym odpada. Menenhetet czuł pod stopami krew, ale kiedy spojrzął, podłoga była sucha. Mimo to dojrzał ryj świni.

Zdychała, ale światło nie wysączało się z jej oczu spokojnie, jak to bywa przy normalnej śmierci, tak jak woda wsiąka w piasek. Światło z oczu świni odpływało w nagłych błyskach i gwałtownych cieniach, niczym strumień bijący o kamienie.

Menenhetet zobaczył wiele różnych grymasów odpływających w mrok. Ujrzał strach w oczach Usermare tego dnia pod Kadeszem, kiedy Hetyta złamał mu nos, i olbrzymią dumę, dziką niczym błysk w oczach dzika, odbijaną w wilgotnych nozdrzach zwierzęcia. Potem zwierzę zdechło i ryj zaczął przypominać okrągłe rysy Kulki Miodu, kiedy oczy zasypiały w owalu jej twarzy. Nie potrafił już dostrzec świni.

Ten obrządek różnił się od pozostałych. Nie czuł bowiem pożądania, nie pragnął Kulki Miodu. Skończone. Świnia nie żyła, a wraz z nią minął szał jego członka i rozkosz serca. Menenhetet był smutny.

– Nie chciałam zabić świni – rzekła Kulka Miodu – chciałam tylko zabić tę część, której sama nie stworzyłam.

– Któż może wiedzieć, co nas czeka? – odparł powoli.

Uśmiechnęła się, lecz nic nie odpowiedziała, a Menenheteta wzruszyła jej następna myśl.

– Między nami wszystko skończone – powiedziała sama do siebie i pozwoliła mu odczuć głębię swej miłości, gdyż zrozumiał powagę smutku, który na nią spłynął. To wówczas właśnie zrozumiał, że przepadło także jego Tajemne Imię. Ten Który Pomoże Skręcić Kark Usermare nie było już imieniem Menenheteta i brakowało mu już mocy, by się oprzeć faraonowi.

VIII

Następnej nocy Menenhetet musiał trzymać Usermare za rękę w domu Hekwat, podczas gdy faraon Obojga Królestw leżał na plecach, płasko niczym dolina przed przyborem wód, małe królowe zaś kochały go; Heruit i Hatibi zajmowały się jego palcami u nóg, Amait i Tait zaś piersią. Rzeka zaczynała przybierać, toteż sutki faraona należało pieścić, aż nabrzmiały niczym Hapi, bóg Nilu o kobiecych piersiach. An-Her, duch harmonii, długo i przeciągle pieściła językiem jego brzuch i Menenhetet, trzymając faraona za rękę, wyczuwał drzenie pępka, przypominającego czujnie nastawione ucho. Hekwat lizała językiem jego miecz, jej wargi zaś otulały faraona niczym namiot na Błogosławionych Polach, zawsze uszyty z płatków róży; jej wargi były piękne w przeciwieństwie do twarzy. Dwie inne królowe, Djeseret – Uduchowiona – i Tantanuit, usadowione u wezłowia, całowały go, gdy przechylał twarz w ich stronę. Wszystkie osiem małych królowych oddawało cześć jego ciału, jak gdyby modliły się u jego boku w świątyni, ich języki zaś poruszały się po nim zgodnie. W świetle od knota w miseczce oliwy oczy ich lśniły złotem jak oczy lwa, a członki błyszcząły.

Ale Menenhetet odczuwał przygnębienie. Pospępane myśli, czarne jak błoto na dnie Nilu, mąciły spokój jego ducha i wynurzały się z otchłani jego ciała niczym potwory w niewidzialnych bezmiarach rzecznej mułu. Zatęchłe wonie dawno zapomnianych leków docierały do nozdrzy Menenheteta, przypominając o kamieniach, które obrócono napisami do ściany. Pożądanie Usermare było silne, niczym bicie serca młodego ogiera, ale w brzuchu burczało mu na skutek wspomnień o przesunięciu tych kamieni, a do głowy przychodziły myśli sprzed wielu lat. Usermare mówił sam do siebie tak wyraźnie, że Menenhetet słyszał jego słowa, jak gdyby wypowiedziane zostały na głos, że za dawnych czasów, kiedy kochał Nefertari, potrafił przeżywać obroty całego królestwa.

Przez opuszki palców – wzdłuż ramienia faraona, przez całą długość jego ciała aż do miecza – Menenhetet odczuł, jak ten wchodził niegdyś w Nefertari, w czasach gdy była młoda jak Rama-Nefru, i jak jej zaznawał, tak jak zaznaje w tej chwili Hekwat na swym mieczu. Menenhetet potrafił więc wyobrazić sobie, że żyje w brzuchu Nefertari, odczuwając przy tym czułość i iście królewską radość, podobną ostatnim blaskom wieczoru przy gasnącym słońcu. Menenhetet nie mógł się powstrzymać i jego lędźwie wytrysnęły, a on sam odczuł słabość, jaka staje się udziałem niewolnika zatrudnionego na polu i przyłapanego na kradzieży przez nadzorcę.

Usermare odwrócił się od pocałunków wszystkich małych królowych i spytał:

– Która z tych wspaniałych pieszczot skłoniła cię do wytrysku?

– Nie wiem, mój panie.

Kamienie z napisami o przodkach Usermare obracały się wolno w brzuchu faraona, który odczuwał takie same bóle jak rodząca kobieta. Jednakże Menenhetet wytrysnął i przestał już odczuwać cierpienie monarchy. Zamiast tego musiał się pogрузić w samotności własnych, mizernych, zmoczonych ud. Ale nawet przymykając oczy, widział wielkie kamienne wrota świątyni Setiego zburzonej w zeszłym tygodniu, słyszał stuk dłut, które odłupywały napisy.

Takim to sposobem Nadzorca Ogrodów Odosobnienia powrócił ku mrocznym myślom faraona. I znów Menenhetet odczuł bliskość królowej Nefertari, pochylonej nad faraonem jak teraz Hekwat,

ale członek, który w niej tkwił, należał do Amona, miecz Ukrytego przypominał zaś tęczę blasku w niewielkim lesie między jej udami. Przygnębienie, które oblepiało serce Usermare niczym muł, miało na imię Amen-kep-szu-ef, gdyż księżę był dzieckiem Amona. To Amon zajął miejsce Usermare między udami Nefertari.

Krew pędziła w żyłach Usermare ze strachem zająca uciekającego przed silnymi szczękami lwa. Członek Usermare zmiękł w ustach Hekwat, gdyż tęcza, która była Amonem, wyszeptwała do młodej Nefertari, że zrodzi ona księcia, który zabije własnego ojca. Nefertari jęczała w bólu i rozkoszy, Amon zaś wytrysnął z wielką siłą i jasnością, podczas gdy Usermare wytrysnął bezwładnie w usta Hekwat. Przygnębienie z najczarniejszych grot Krainy Umarłych leżało kamieniem na sercu Usermare. Ujrzał syna, który pragnął go zabić.

– Obetnę nos każdemu, kto odważy się spiskować przeciwko mnie – rzekł Usermare do ośmiu małych królowych i spojrzął na nie tak wściekle, że resztki radości ulotniły się. Znow położył się na plecach, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, trzymając za rękę Menenheteta. Małe królowe pochyliły się nad nim, podczas gdy Hekwat odeszła na stronę, próbując przywołać bogów, których chciał mieć przy sobie.

– O Wielki Faraonie – rzekła Hekwat – Władco Trzciny i Pszczół, Panie Obojga Królestw, Gospodarzu Tota, Ulubieńcu Ptaha, Synu Re, namaszczone twoje ciało. – Hekwat wylała oliwę poświęconą w świątyni Amona między palce jego nóg, pozostałe zaś królowe namaściły jego ciało i mięśnie klatki piersiowej, wcierając oliwę ruchami przypominającymi fale Wiecznej Zieleni. Ale rozpacz Sesusiego nie znała granic.

– O Złoty Sokole – powiedziała Hekwat – Ty, który jesteś Horusem, Synem Ozyrysa, który łączysz ziemię i niebiosy swymi skrzydłami. Przemawiasz do Re na niebie i do Geba na polach. Jesteś Horusem, który żyje w ciele Wielkiego Usermare. – Hekwat przytuliła twarz do podbrzusza Sesusiego, ale ten nie drgnął nawet. Leżał, jakby go złożono w grobie.

– O panie Górnego i Dolnego Egiptu – rzekła Hekwat – Władco Dwóch Władców, Horusa i Seta, Twoja mowa jest jak ogień...

– Nie jestem ognisty – rzekł Usermare. – Zimno mi. Amon się ukrył przede mną.

– Amon ukrył się, by uniknąć ludzkiej zdrady. Ale nic go nie pokona – rzekła Hekwat – gdyż to on stworzył niebo i ziemię i to on rozrzucił ciemność nad wodami. Amon uczynił dzień, sprawiając światłość, i nie zaznał nigdy strachu. Amon stworzył oddech życia w Twoich nozdrzach.

– W moich nozdrzach – powtórzył Usermare.

– Amon – ciągnęła Hekwat – uczynił owoce i zioła, i zwierzęta, i ptactwo, a wszystko to Twoi poddani. Pobije wrogów, tak jak zniszczył wszystkich, którzy się na niego targnęli. Ale kiedy jego dzieci płaczą, słyszy je. O Ty, którego słowa są jak ogień, Ty jesteś synem Amona. – Hekwat wzięła do ust wszystko, co znajdowało się między udami Usermare, i król jęknął, lecz nic się nie poruszyło.

A potem Menenhetet, który wciąż trzymał Usermare za palce, poczuł nowy lęk. Jego faraon musiał dosłyszeć siedem dźwięków równie wyraźnie, jakby sam był obecny przy zabijaniu świni zeszłej nocy, siedem dźwięków zlało się w jeden, w chwili gdy na piersi Usermare rozlała się zupa. Serce jego płonęło z gniewu, a w jego trzewiach podniosła się para, tak zawrzały.

– Muszę zebrać siły – rzekł – by uspokoić wzburzone wody. – Położył się na plecach właśnie po to, by dotrzeć myślami do myśli wszystkich poddanych, mających wpływ na uspokajanie wzburzonych fal. Tegoroczny wylew nie powinien podnieść wód za wysoko. Ale nie potrafił uspokoić myśli. Był wściekły i zmęczony. Westchnął ciężko. Żadna pieszczota nie mogła odsunąć wielkiego kamienia smutku, który leżał mu na sercu. – Jeżeli chcesz otruć faraona – zrób to w czasie wylewu – wyszeptał i lęk przed Amen-kep-szu-efem powrócił niczym smrodliwy dym.

Usermare zerwał się i powiódł wzrokiem po wszystkich małych królowych, popatrzył na Heruit i Hatibi, Amait i Tait, An-Her i Hekwat, Djeseret i Tantanuit, wybiegł myślami do innych małych królowych, których nie było w pokoju, do Mersegert i Piękności Północy, do Ahuri, która także połykała miecz, i do Ma-Krut, która dorównywała Hekwat w takich usługach. Jego palce ścisnęły mocno dłoń Menenheteta, gdy tylko ujrzał w myślach Kulkę Miodu. Ale myśli jego wybiegły zaraz ku Oasis i Tbuibui, ku Puanet, Wiewiórcę, Królikowi i Śmietance, i ku wielu, wielu innym. Usermare myślał o wszystkich małych królowych, jakby były kwiatami chylącymi swe płatki przed jeziorkiem, po którym nocą pływał łabędź Kadima, i zastanawiał się, która rzuciła nań klątwę.

Zatrzymał się na brzydkiej twarzy Hekwat i rzekł: – Pochodzisz z Syrii. Znasz przeto modlitwę mojej młodej królowej Rama-Nefru. Wymów tę hetycką modlitwę przeciw demonom, których jest tak wiele jak ziarenek kurzu!

– Czy chodzi ci o modły przeciw robakom, o Dobry i Wielki Panie?

– Właśnie o nią – odpowiedział Usermare. – Wymów ją szybko, nim wrogowie, którzy są w powietrzu, zdołają uciec.

– Robaki te – odparła Hekwat – są niewidzialne. Ale ich wycie słyhać w pałacu, gdy zapadnie noc.

– Słyszę je – rzekł Usermare.

– Znajdujemy je w krokwiach wszystkich domów. Żadne drzwi ich nie powstrzymają. Przemykają się pod drzwiami. Oddzielają żony od mężów.

– Przywołaj bogów, którzy je przegonią. Przywołaj swoich bogów – odparł Usermare.

– Wywołam Nergala – powiedziała Hekwat – który siedzi na wysokim murze. Wywołam Naroudiego, który czeka pod tym łóżem. Pobłogosławi nam, jeśli damy mu jedzenie i picie.

Usermare podniósł się. Zazwyczaj nie podnosił się już, gdy małe królowe zaczynały mu ofiarowywać swe usługi, dopóki nie wytrysnął kilka razy, ale tej nocy, jak gdyby zaniepokojony stanem Nilu, którego pomruk słyhać było z daleka poprzez wszystkie te ogrody i parki, poruszony bolesnym podrażnieniem myśli, poderwał się i kazał Hekwat przynieść jedzenie i picie oraz ustawić je pod łóżkiem dla syryjskiego boga Naroudi. Potem Usermare na oczach czterech małych królowych chwycił mocno Menenheteta i rzekł, że pożąda samej Izydy.

Menenhetet nie wiedział, czy to jego własne przerażenie, czy słowa faraona sprawiły, że zaczął się chwiać na nogach. Ze strachu nie potrafił się odezwać. Mimo czterdziestu dwóch kręgów milczenia Usermare bliski był jego myślom.

– Czy któraś z was – spytał Usermare – zna obrządek wezwania Izydy?

Małe królowe milczały.

– Ty, Hekwat, która jesteś brzydka jak zaba. Jesteś Syryjką i znasz magiczne zaklęcia w dwóch językach. Przywołaj Bliskość Izydy.

– Wielki Sesusi – odpowiedziała – ten obrządek może odprawiać wyłącznie faraon albo Wysoki Kapłan.

– Wysoki Kapłan? – spytał Usermare. – No to ty, Menenhetecie, posłużysz za Wysokiego Kapłana. W tej dobie. Nie dłużej, aby Amon się nie obraził.

– O Władco Obojga Królestw – wyszeptał Menenhetet – nie znam słów.

– Hekwat wypowie słowa. Usłyszysz je – i pochwyił Menenheteta brutalnie za włosy. Potem ponownie położył się na łóżku i wbił jego nos między swe pośladki.

– Módl się – rzekł Usermare, a Menenhetet usłyszał krzyk Izydy wydany w chwili, gdy ciało Ozyrysa porąbano na czternaście kawałków.

Pierwszym skutkiem tej modlitwy było to, że pradziadek podniósł głos. Menenhetet zaczął mówić bardzo głośno, jak gdyby jego głos miał nie tylko dotrzeć do naszych uszu, ale również wędrować przez noc, docierając do Hatfertiti i Pta-nem-hotepa, którzy mogli być daleko.

– Tak – rzekł pradziadek, patrząc z sympatią na mego ojca, jak gdyby dając znak, że Nef-kepaukem zrozumie, o czym mowa, nawet jeżeli pogrążony jest we śnie, że będzie wiedział, o co chodzi, gdy mowa jest o lizaniu królewskich pośladków – ty już wiesz dobrze, co sądzić o takich sprawach. (O tak, nikt nie mógł lepiej zrozumieć, jak musiał się czuć mój pradziadek!) – Dzięki malowanym paznokciom Ramzesa II – rzekł pradziadek – dzięki jego królewskiej, słodkiej i pachnącej dłoni, dotarłem już do wielkich i potężnych komnat jego myśli. Nic to jednak w porównaniu z bramą do jego królestwa, jaką były usta jego otchłani. Nie czułem obrzydzenia, jak nie czuje go niewolnik. Z lubością wdychałem wilgoć bagna, ale okazało się, że czeka mnie coś innego. U kresu wielkiej złotej komnaty ujrzałem światłość Re. Nie było w tym nic z brukania, żadnego pochrząkiwania w trzewiach Kulki Miodu, które poznałem wówczas, gdy dla przywrócenia równowagi Maat leżeliśmy zanurzając w sobie usta, Świnia przy świni. O nie – wiedziony byłem czubkiem mojego języka. Drżałem przejęty żądzą całowania pośladków Usermare, jak łapa psa drży niespokojnie, gdy drapie ziemię w poszukiwaniu nowych tajemnic. Nawet jeżeli mój nos miał spotkać los pługą, a język – łopaty (brutalnie ścisnął mnie za włosy), nie czułem się wcale jak ktoś, kogo zakopują żywcem w egipskim mule. O nie, przysięgam, czułem się, jakbym właśnie wchodził do świątyni. Namaszczono go tak wiele razy i czyniły to tak liczne małe królowe, że pachniał perfumami, ja zaś, wnikając weń, zaznałem królewskich pożądań. Żądze opadły mnie tak nagle jak haczyk, który jednym szarpnięciem wyciąga przez nos resztki umarłego mózgu. Dotarł do mnie jego gniew i jego królewskie pożądanie. Leżał tam, obmywany językami usługujących mu ludzi od uszu po brzuch, Hekwat zaciskała usta na jego mieczu, którego nasada objęła się o moją głowę w chwili, gdy ona wysysała wierzchołek, a ja dostawałem tym mieczem po głowie, ilekroć porzucała go na chwilę, by zaintonować:

– O Wielka Bogini Zieleni, Wielka Izydo, Siostró Ozyrysa, Neftydy i Seta, Dziecko Ziemi i Nieba, Pani Bagien. Słowa płynęły i płynęły, a ona zabierała się znów do ssania, ja zaś, wciśnięty w otwór jak zwierzę w norę, byłem jedynym, któremu dane było poznać myśli Usermare. Mogę wam powiedzieć, że marzył o tym, jak pożre wszystkich bogów w Krainie Umarłych, a już na pewno tych, którzy byli jego wrogami. Podróżował statkiem, który przypominał łódź Re, i przepłynął przez ogniste paleniska na wybrzeżach Dat. Widziałem potępionych, zwijających się z bólu w rowach, podczas gdy bogowie wymiotowali wielkim ogniem rozpalonych skał, pożerającym te dusze i te cienie, które należały do wrogów Usermare. Zdawało mi się, że dostrzegłem ciało Amen-kep-szu-efa w płomieniach. Z pewnością widziałem szatanów mgły i deszczu oraz wrogów chmur i mroku.

Na tym samym statku znajdował się poza Usermare jeszcze jeden wielki faraon, silny, piękny i równie wysoki jak on. Wiedziałem, że był to jego starożytny przodek, faraon Unas, dla którego budowano wielki gmach. W towarzystwie Unasa Usermare przycumował łódź i wyszedł na ląd w Krainie Umarłych, by zapolować na innych bogów. Widziałem to polowanie. Wkrótce pochwycono paru wielkich władców, a słudzy Unasa i Usermare pokroili ich na kawałki i zaczęli gotować w wielkich kotłach. Widziałem, jak Usermare pożera ich ciała, podobnie jak jego przodek Unas, który objada się najsmaczniejszymi kaskami. Innych bogów, których ciała były wysuszone, łamano po prostu jak drewnianka, a ich łamliwe kości służyły jako opał. Duchy i dusze najlepszych bogów przechodziły do Usermare, a jego rysy zaczęły się zmieniać, gdy stał się im podobny. Ujrzałem jego usta, nos i oczy, które zaczęły nań spływać od bogów. Był Horusem, synem Ozyrysa, a zarazem był samym Ozyrysem. Usermare zasiadał z władcą Krainy Umarłych u jego boku. Siedział z Ozyrysem

na wielkim tronie wykonanym z materiału bardziej przejrzystego niż woda i jaśniejszego niż światło. Usermare siedział na miejscu Izydy.

Wszystkie te myśli przepływały przez głowę mojego faraona, Wielkiego Ramzesa II, Usermare-Setpenere, leżącego pośród nas z namaszczonym ciałem. Był naszym Bogiem Sesusi, toteż ogarnięty ciepłem jego ciała, osmalony płomieniem ognia, które widział, i pokrzepiony strawą, jaką się pożywiał, rozplamiony blaskiem jaśniejących pól, na których kwiecie zbóż błyszczało jak złote gwiazdy, niemal uwierzyłem, że już nigdy nie odzyskam oddechu, tak okrutnie ścisnął mi nos pośladkami. Jednocześnie jednak poczułem ulgę i zrozumiałem, że już mnie nie podejrzewa, toteż z przyjemnością śledziłem zjadanie tych bogów. Przygnębienie minęło. Nasada jego miecza drżała nad moim czołem, gdy wytrysnął w usta Hekwat. Potem ułożył się wygodnie, by odpocząć na złotym polu zboża. Nie puszczał mnie jednak.

Nadal więc całowałem i lizałem, starając się sprawić przyjemność temu, którego apetyt zaspakajało ciało bogów. W ciszy i spokoju, których zaczęliśmy zażywać, gdy minął mu zły nastrój, ja też powędrowałem myślami do wioski mego dzieciństwa, znów poczułem się chłopcem, niemal nowo narodzonego dzieckiem, zanurzyłem się w pogodne wspomnienia z przeszłości, namacalne i pewne jak kamień i glina wypalona przez słońce. Żyłem nie tylko w sercu mego faraona, ale i w moim własnym, czując, jakbym przebywał w dwóch królestwach jednocześnie. Jedno królestwo to wiedza o wszystkim, co już mamy za sobą, a drugie to nasza wizja tego, co ma się jeszcze wydarzyć. Tym sposobem mój umysł stał się równy dwóm umysłom, ręce zaś ścisnęły oba pośladki Usermare, które były równie twarde jak zad konia. Czytając w jego sercu i czując w palcach drżenie jego ciała, zacząłem rozumieć rozpacz i rozkosz, których zaznał z dwiema królowymi, Nefertari i Rama-Nefru.

Tylko raz byłem w pobliżu królowej Nefertari, nigdy nie widziałem Rama-Nefru. Ale kojarzyły mi się obie z dwoma królestwami jego pośladków. Trzymając go za prawy pośladek, wędrowałem myślami do najśłodszych wspomnień o Nefertari, gdyż cofnął się wspomnieniami do pierwszego roku po wstąpieniu na tron. W owym czasie młody król rozmyślał nad tym, jak przyćmić sławę swego zmarłego ojca i dzięki temu przypomnieć sobie o wyschniętych studniach przy drodze wiodącej do złotodajnych pól Ekajta. Po drodze nie można było znaleźć wody i połowa robotników ginęła z wyczerpania. Nie przysłano stamtąd złota dla uczczenia panowania Setiego.

W ciągu kilku pierwszych tygodni po wstąpieniu na tron Usermare wtargnął pewnej nocy tak głęboko w swoją młodą małżonkę, że piwo w dzbanach u ich wezgłowia pokryło się pianą. Kiedy później leżeli obok siebie, Nefertari powiedziała, że woda popłynie ze skały po drodze do Ekajta. Dostłyszawszy w jej głosie pewność, Usermare kazał wykopać studnię i istotnie popłynęła z niej woda. Woda ta umożliwiła robotnikom przysyłanie dużych ilości złota w ciągu kilku wczesnych lat panowania Ramzesa II. Dlatego też poprzysiągł Nefertari, że jego ciało nie zazna miłości do innej kobiety.

Ale przerzuciwszy się z prawego na lewy pośladek, dostrzegłem Rama-Nefru równie wyraźnie, jak przedtem widziałem Nefertari. Rama-Nefru była teraz równie młoda, jak wówczas Nefertari. Rozmyślając o Rama-Nefru, faraon robił się czuły jak młody kochanek.

Rama-Nefru mogła sobie być córką Hetyty, za młodu widywać wyłącznie brodatych mężczyzn i opiekunki z nosami zakrzywionymi jak szable, ale sama przypominała śliczny poranek nad naszą rzeką. Wiedziałem więc, dlaczego Usermare ją pokochał. Leżąc w jej ramionach, słyszał ptaki o świcie i widział jasne światło pałacowego dziedzińca, gdy słońce wzeszło wyżej. W nocy była dlań czuła niczym najdrobniejsze kwiatki w jego ogrodzie. Tyle dowiedziałem się, przykładając palce do jego lewego pośladka. Czara jego rozkoszy przepełniła się i w moim sercu. Brutalne żądze mego króla nie władają niepodzielnie jego sercem. Blask włosów Rama-Nefru był dlań jak światłość

odbijana od przezroczystego tronu niebios. Jego uczucie było tak czyste, że nie był w stanie odwiedzić Rama-Nefru, gdy serce jego ciemniało ze strachu, gdyż bolałoby ją jego rozkołysane serce.

Później, tej samej nocy, kiedy Usermare posiadał jeszcze raz każdą z małych ośmiu królowych i wytrysnął w każdą z płomienną siłą, by pogrzebać ognie Krainy Umarłych, wytrysnął jak bóg, uspokoił się jak wody sadzawki. Ubrał się razem ze mną i ruszył na spacer po Ogrodach, wciąż trzymając mnie za rękę. Od dawna już nie był tak spokojny. Z ust cuchnęło mu potężnie kolobi i zrozumiałem, jak blisko byliśmy ciała Izydy przez całą noc. Bo wszystko, co było w ziarnie, i wszystko, co było w gronie, należało do niej. Wszystko, co do nas docierało z wylewem rzeki.

Tym razem czułem się całkiem inaczej niż wówczas, gdy mi powiedział, że nie będę już generałem wszystkich armii, lecz Nadzorcą Ogródów Odosobnienia. Powiedział, że wahał się wiele miesięcy, ale teraz przestał się wahać, i że następnego dnia zacznę służbę jako Towarzysz Prawej Ręki Nefertari.

Gdy spytałem, kto zostanie gubernatorem, odparł, że oddaje Ogrody Peptiemu, który na pewno się sprawdzi, tak jak ja w pałacu Pierwszej Królowej, gdyż jestem na tyle mądry, by dobrze służyć jej, a jemu jeszcze lepiej. Pokiwał głową, jakby wypowiadał największą mądrość:

– Będziesz się trzymał w pobliżu Nefertari. Nie opuścisz jej. Jeżeli się dowiesz, że nie żyję, masz tylko jeden rozkaz: zabić ją na miejscu.

Ucałował mnie.

– Zabij ją – powiedział – nawet jeżeli inni mają cię za to zabić natychmiast.

Skłoniłem się. Brzask był mi równie przyjemny, jak myśl o nowym życiu.

– Będzie to najlepsza śmierć, na jaką możesz liczyć. Dane ci będzie towarzyszyć mi w złotej łodzi.

Był moim królem. Nie śmiałem więc zauważyć, że mogło mi być dane wędrować po Krainie Umarłych i nie dostać się na jego statek. Toteż skłoniłem się ponownie w milczeniu.

IX

Siedząc kiedyś obok matki w sypialni, zauważyłem, że podnosi okrągłą srebrną płytkę ze złotą rączką i przysuwa do mej twarzy. Omal się nie rozplakałem. Mój Ka spoglądał wprost na mnie, pływając po wypolerowanej powierzchni. Widziałem tę twarz w wodzie sadzawki pewnego spokojnego dnia i dowiedziałem się, że nie wolno takiego Ka dotykać, i faktycznie – kiedy tylko wyciągnąłem rękę, rozpląwał się w licznych zmarszczkach i falach. Ale tym razem moja matka powiedziała, że jest to powłoka Ka, który zostaje, i faktycznie pozostał. Gdy zbliżyłem palec do powierzchni płytki, inny palec skierował się ku mnie, ale twarz nie znikła – pozostała obecna, poważna i pełna szacunku jak moja własna. Poczułem się wówczas tak daleki od sześciolatka, którym byłem, przynajmniej co do wieku i mądrości, jak musiał się czuć mój pradziadek. Byłem pewien, że nie ma myśli tak osobliwej, bym jej nie pojął, gdybym wpatrywał się dostatecznie długo w srebrną poświatę powłoki Ka, który zostaje. Mając przed sobą własną twarz, piłem z krynicy boskiej mądrości – przynajmniej w tej chwili.

Coś z mojej ówczesnej wiedzy musiało się pojawić w moim oddechu, gdyż otworzywszy oczy na patio i spodziewając się, sam nie wiem czemu, że zobaczą odbicie własnej twarzy, zobaczyłem nagle przed sobą oczy pradziadka. Wpatrywaliśmy się w siebie tak długo, aż zatraciliśmy wszelkie poczucie rzeczywistości tej mrocznej nocy. Nie byłem już pewien, czy znajdowałem się tu w pałacu faraona, czy też na kolanach w jakiejś kamiennej komnacie w środku piramidy kamieni. Usta miałem otwarte, a pradziadek nie spuszczał ze mnie wzroku. Wszystko zastygło.

Zacząłem odczuwać pustkę tej późnej nocnej godziny. Poczułem na sobie taki ciężar mroku, że wątpiłem w to, czy kiedykolwiek zobaczą jeszcze słońce. Świetliki ledwo się poruszały, a ich blask był tak przyćmiony, że ledwo dostrzegałem płótno klatki. Ojciec poruszył się we śnie, a spomiędzy jego warg dobył się jęk. Po raz pierwszy poczułem się mu bliski, a wówczas – nie wiem, czy był całkiem rozbudzony, czy też zaczął mówić przez sen – sięgnął ręką ku mnie, a prąd jego nastrojów przebiegł od jego palców do moich. Jakże odmienne uczucia miotają nim w porównaniu z uczuciami wielkiego Sesusiego! Ojcu doskwierał po prostu ból gardła, dotkliwy jak ból Menenheteta po przełknięciu kości. Poczułem, że zbliżyła się godzina, w której matka legła w objęciach faraona, zetknięcie się zaś ich nagich ciał raniło uczucia mego ojca do żywego, okrutnie i płomiennie jak pulsowanie krwi. Dowiedziałem się wówczas, jak głębokie uwielbienie żywił mój ojciec dla urody matki. Otchłanie jego bólu nie stały się bynajmniej mniejsze, gdy zdał sobie sprawę z przewrotności faktu, iż matka oddała się (całe bogactwo swego ciała) mężczyźnie (Bogu bogów), któremu ojciec był najbliższy. Tak więc ojciec, powodowany miłością do matki i do Ptanem-hotepa, poczuł żar zderzających się w jego sercu uczuć i cierpiał męki lwa, pożerającego własne wnętrze. A zarazem serce jego – zupełnie jak serce lwa – zagnało także uczucia dumy.

Właśnie wtedy wniknąłem w jego myśli. Tej nocy już wcześniej udało mi się pochwycić parę jego refleksji, ale były to sporadyczne przypadki, podobne do rzutów pałki w górę, kiedy to zdarza nam się czasami trafić ptaka w locie. W powietrzu unosiło się tyle myśli, iż wystarczył niewielki wysiłek, by którąś pochwycić – podobnie kamień nie może przelecieć przez chmurę ptactwa, nie przetrąciwszy przynajmniej jednego skrzydełka. Obecnie jednak przekonałem się, iż podobnie jak można być głosem prawdy, jakim była Ma-Krut, tak można być prawdą myśli i płynąć z prądem

strumienia myśli cudzych. Tak właśnie uniosłem się na falach medytacji mego ojca i zdałem sobie sprawę z tego, iż wyobrażał sobie tę samą pałkę i kamień (pałkę zakrzywioną jak wąż, wyciosaną z delikatnej kości słoniowej) podrzucone ku niebu moimi myślami. Tak przemyślnie bywają sztuczki i igraszki naszego umysłu, zwłaszcza jeżeli myśli nasze dotyczą przedmiotów, których nie oglądamy na własne oczy, że ta sama podrzucona pałka, spadając na ziemię, stała się narzędziem rozkoszy mej matki. Wykrzykiwała z radości, chwaląc sztukę miłosny Pta-nem-hotepa, i podskoczyłaby do góry z rozkoszy, gdyby nie stała obok niego na delikatnej łódeczce z papirusu, którego fragmenty starannie pozszywano.

Siedząc lot tej pałki spadającej na ziemię i unoszącej się ku górze, uświadomiłem sobie, że moja matka jest znacznie młodsza, niż mi się wydawało, i że ożywia ją blask we wzroku młodej księżniczki, zażywającej rozkoszy i cieszącej się tym, iż rozkoszy tej nie opłaca ciężką pracą i nauką miłości. Dopiero wówczas, dostrzegając jej sandały wykonane z liści palmowych i z papirusu równie delikatnego jak ten, z którego zeszyto ich łódeczkę, tak delikatne, iż cudem tylko trzymały się na nogach, zdałem sobie sprawę (po części dzięki podszeptom ojcowskiej ręki ściskającej moją), iż oglądam zachód słońca sprzed siedmiu lat, faraon zaś dorównywał jej młodością, gdyż był jeszcze młodym księciem, dopiero co koronowanym na faraona, pełnym królewskiej wyniosłości i wstrzeźliwości bardzo młodego monarchy. Flirtując z nią, rozmawiając głowa przy głowie, nie poruszał stopami, lecz stał wyprostowany, jego uśmiech łatwiej było odczytać z oczu niż z ust. Do podbródka przymocowano mu bowiem długą, cienką bródkę, którą wolno nosić tylko faraonom.

– Och, popatrz – zawołała – na te małpy! – Gdy tak zastygli na łódeczce dryfującej przez trzciny, patrząc w jedną stronę, wśród trzepotu skrzydeł ptactwa przepłoszonego ich obecnością i opadającego w bardziej odległe zarośla, słońce rozjarzyło wysokie pnie i łodygi krzewów na skraju jednego z jego ogrodów. Wysoko na drzewach małpy zrywały figi dla eunuchów i szybko zrzuciły je na dół. Trudno było powiedzieć, kto śmiał się serdeczniej. Małpy czy eunuchowie? Małpy i eunuchowie pozdrowili faraona przepływającego łódeczką obok ogrodu, a wtedy roześmiała się Hatferti.

Niżej, na bagnach, słońce rozświetlało kałuże wody oraz kwiecie na czubkach łodyg papirusu. Znow zapadła cisza. Zbliżali się do kolejnego stada ptaków i stojąc prosto na czółnie, balansując delikatnie i kierując dziób ku trzcinom, wplęnęli między ptaki, które wzleciały w górę z nabrzmiewającym trzepotem i krzykiem przypominającym narastający tętent tabunu koni. Jego pałka poleciała za ptakami. Jeden ptak spadł na ziemię.

Tak mijają popołudnie, szybko jak chmurka przemykająca przed słońcem. Odgłosy śmiechu matki dwukrotnie rozdarły serce ojca. Kochał ją niemal co noc, mając lat piętnaście, szesnaście i siedemnaście, i zawsze był pewien, że się z nią ożeni, a jednak gdy ją oglądał stojącą na łódeczce, kiedy szczuła i wyprostowana wdzięcznie dopasowywała się do wyprężonego ciała Pta-nem-hotepa, zrozumiał, że jej rozbawienie stanowiło kąsek tak łakomy, iż dopiero teraz go dostrzegł i zapragnął. Przez cały ten czas, gdy się jej przyglądał z wysokiego drzewa na skraju bagien, policzki puchły mu od ukąszeń komarów. Znow będzie się zeń śmiała, gdy się wieczorem zobaczą. Te śmieszne pęcherze na twarzy zdradzały popołudnie, w trakcie którego komary uwięziły go na drzewie. Poza tym była wściekła. Przede wszystkim spotkało ją niezmiernie rozczarowanie, gdyż Pta-nem-hotep, przywiódłszy czółno z powrotem, nie towarzyszył jej zbyt daleko, choć jej uda drżały pożądaniem gwałtowniejszym niż trzepot ptasich skrzydełek. A potem, gdy jeszcze rozmarzona pożegnaniem z faraonem wracała do domu, została o zmroku pochwycona przez pradziadka, który zwykł ją kochać od chwili, gdy skończyła dwanaście lat, tego zaś akurat dnia posiadał ją z pasją czterech faraonów. Menenhetet umarłby wytryskując, gdyby nie pojął, jak bardzo nadal pragnie milczącego uśmiechu Pta-nem-hotepa. Dwukrotnie odrzucona, raz z powodu braku,

raz – nadmiaru, Hatferti roześmiała się koniec końców z wyrafinowanym okrucieństwem, widząc pokąsaną twarz swego brata. Ten zaś posiadał ją z gniewem i pożądaniem równie mocnym jak pożądanie pradziadka i faraonów. Przemierzyli szmat podłogi tego pokoju spleceni w miłosnym uścisku. Być może właśnie w tej dobie zostałem poczęty. A może poczęto mnie o godzinę wcześniej i uczynił to pradziadek. A może zostałem poczęty dzięki promiennej miłości, z jaką młody faraon spoglądał na moją matkę na czólnie?

Na pewno wiedziałem tylko, że ojciec odczuwał ból w sercu. Jeszcze wpatrywał się w blask słońca na wodach bagna i płakał w duchu, gdyż ujrzał matkę i faraona splecionych w uścisku, a ponadto gnębiła go myśl, iż ów faraon, wspomagany wigorem przodków, jeżeli nawet nie był tej nocy równie jurny co Usermare, to przynajmniej mógł się mienić jego potomkiem. Okrzyki najwyższej rozkoszy wydawane przez matkę wbijały się jak ostre sztylety w serce ojca.

Wówczas jednak zawędrowałem już tak daleko ku myślom mojej matki, że mogłem się obyć bez pośrednictwa ojca. Mogłem więc na niego spojrzeć jej oczyma i zdać sobie sprawę z cielesnej radości ich związku. Zdałem sobie sprawę z tego, że matka czerpie z pożycia z ojcem znacznie więcej rozkoszy, niżby pragnęła, że w istocie są ze sobą złączeni. Ale zarazem ojciec (w tym kryły się dodatkowe źródła cierpienia) musiał rozumieć, że matka może napawać się wszystkimi bogactwami Egiptu, gdy w nią wchodził, ale że jej pożądanie słabnie, toteż odgłos uderzających w siebie ciał przypomina mlaskanie nadbrzeżnego mułu. Nie przepuściła zatem żadnej okazji, by zdradzić mego ojca z pradziadkiem. W ramionach Menenheteta zaznała więcej bogów w jedną noc niż w rok miłości z ojcem. Woń, jaką wydzieliał Menenhetet, dziwiła ją, gdyż był uperfumowany i wysuszony jak kurz, opadający na najbardziej samotne i odległe skały prażone słońcem, lecz z drugiej strony potrafił być wieloma mężczyznami naraz. Potem zawsze opowiadała wszystko ojcu, który pojął, że czerpie z tych opowiadań przyjemność – perwersyjną przyjemność starszej siostrzyczki, polegającą na opowiadaniu ze szczegółami... Opowiadała mu więc, że nie tylko kochała się z Menenhetetem, ale że pradziadek jest jak faraon, że ona może się przeto czuć jak królowa faraona, w przypadku męża zaś mowa może być najwyższej o niskich żądzach. Czuli się z nim swobodnie, niczym pole skąpane popołudniowym słońcem, ale też nie widziała nic ciekawego, tylko chłopów młócących ziarno. Mówiąc to wtykała pełną pierś w jego usta spieczoną prawdą, której musiał wysłuchiwać z jej ust, ojciec zaś zaczynał łapczywie ssać jej ciec, jak dziecko, jak młodszy braciszek, jak zraniony małżonek. Chwytał potem jej pośladki z rozpaczą kochanka, który nie potrafi zapanować nad siłą swego uścisku. Hatferti mruczała, naśladowując ulubionego kota, chwytała go za mały członek, jeszcze słaby, i wciągała w usta z ospałą ociężałością i słodkimi sztuczkami, jak gdyby mówiąc: „Patrz, tak właśnie kochałam się z Menenhetetem, a to dopiero początek”. Śmietanka ojcowego wytrysku była przez nią smakowana, po czym rozmazywała ją z rozmysłem, leniwie, po twarzy i piersiach, jeszcze pachnąc śliną jego i własną – i wydzielinami wszystkich otworów, którymi przypieczętowywali własne radości, splatając się w uściskach. Przypominali sobie o rozkoszach, jakie przeżyli, kiedy ona skończyła lat piętnaście, a on trzynaście i kochali się we wszystkich zakątkach i zakamarkach. Była wówczas przekonana, że zdradza dziadka z bratem. Teraz zdradzała obu na równi i nawet ja sam żyłem jak oni w ciele matki, podczas gdy faraon wszedł w nią, pełen smaku naszej świni, nasz Dobry Faraon Ramzes IX, niezwykle uradowany opowieściami Menenheteta. Podobnie jak Usermare, Pta-nem-hotep uczył we własnym ciele armię bogów. Unoszony podnieceniem na samą myśl o tym, jak często ciało mego ojca sklejało się z ciałem Hatferti, tego samego ojca, biednego ojca, który musiał całować pięty i pośladki swojego faraona przez długie siedem lat, faraon poczuł, jak niebiosy i posiadłości wszystkich jego przodków i poddanych zlały się w jedną wielką, rwącą rzekę. Pochwycił dorodne, niemal pękające z pragnienia ciało Hatferti i wytrysnął z siłą wylewu Nilu, spoza katarakt

poczuwszy, jak z rykiem pędzi spienionymi falami w dół rzeki, ku delcie i ujściu, by się zatopić w Wiecznej Zieleni, Hatfertiti zaś jęczała pod nim jak lwica. Potem skończył, a ona jeszcze rzucała się pod nim bez opamiętania, jakby wylew przelewał się przez wszystkie wybrzeża i tamy, i zapieczętowała mu usta pocałunkiem.

W przypiływie chłodnego opamiętania Pta-nem-hotep poczuł po wytrysku odrazę do tej taniej kobiety, żony Nadzorcy Szkatułki z Kosmetykami, żony służącego (jeszcze pachnącej ciałem sługi), a jej usta przyklejone do jego królewskich ust wydawały mu się galaretą, którą otrzymujemy wygotowawszy kości, odstręczającą galaretą. Pieczęć na jego ustach wydała mu się tak szczelna i prawomocna, jak prawdziwe małżeństwo z warunkami umowy wypisanymi na papirusie. Ich usta skleiły się niczym pieczęć na takim dokumencie – a więc niewola, grobowiec, zaślubiny jego podwójnego tronu z jej nienasyconą chciwością.

Te chłodniejsze uczucia przepłynęły ku moim myślom, ale nie poznałem ich za pośrednictwem serca matki. Serce faraona przemawiało do mnie wprost, przemawiało do cierpliwej nocy, a w nocy tej poszybowało ku mnie przez cierpiące serce ojca, krwawiące jak otwarta rana. To dzięki wślizgnięciu się w myśli ojca poznałem uczucia faraona i zdałem sobie sprawę z tego, że cierpienie ojca podwoiło się na myśl, iż się nim pogardza.

Ale Hatfertiti nie poczuła żadnej zmiany w sercu faraona, a tylko brzemień jego władzy. Wzięła na siebie jego królewskie zmęczenie. Nigdy jeszcze nie była bardziej czuła dla mężczyzny. Uczucia jej odbierałem tak bezpośrednio, jakby mi o nich opowiadała. Zrozumiałem też, choć przeczuwałem to od dawna, iż umysł mój potrafi wysłuchiwać myśli dwojga ludzi naraz. Podobnie rozdwojony jest nasz świat, gdyż mamy dwoje oddzielnych oczu, uszu, dwa ramiona, dwie nogi, dwie wargi do smakowania (jedną do przyjemnych, drugą nieprzyjemnych potraw), dwie dziurki w nosie do oddychania (męscy bogowie wnikają w nas jedną, kobiecy – drugą), a Egipt jest także krajem dwojga królestw, faraon nosi podwójną koronę, siedzi na podwójnie królewskim tronie, Nil ma dwa brzegi, istnieje dzień, ale i noc... W odczuciu mej matki, której myśli odczytywałem, faraon był najśłodszym kochankiem, jakiego zaznała, słodszy niż macierzyństwo, natomiast Pta-nem-hotep pograżał się coraz bardziej w gorączkowej wściekłości, wywołanej głęboką, nieodpartą siłą wdzięków tej kobiety, pieczęcią jej ust, jędrnym ciałem jednakowo delikatnym we wszystkich zakątkach, które można było spenetrować, ba, nawet kędzierzawym krzaczkiem sztywnych włosów wyrastających jak mech nad mokrym miejscem między jej udami – wszystko go drażniło. Znow zaczął ją kochać z całym wyrafinowanym kunsztem, którego się nauczył w swym niewielkim haremie złożonym z dziesięciu królowych, a które poznał lepiej niż Usermare znał kobiety ze swego haremu, gdyż istotnie nie było takiej pieszczoty, której by nie zaznał; brakowało mu tylko bogini, którą mógłby uwielbiać, Hatfertiti zaś nie była żadną boginką, choć z drugiej strony podsyciała w nim najdziksze apetyty, jakich zaznał przez siedem wylewów Nilu, od chwili gdy przywdział koronę i wstąpił na podwójny tron. A jednak pieszcząc jej ciało, Pta-nem-hotep bliższy był myślami Menenhetetowi niż jej.

W chłodnym opamiętaniu, jakie ogarnęło go po wytrysku, znow ujrzał oczyma wyobraźni potężny członek Usermare wdzierający się we wrota pomiędzy pośladkami Nadzorcy Ogrodów, a wizja ta dodała mu sił. Dzięki oddechowi, jaki zaczerpnął jedną dziurką od nosa, wizja ta pokrzepiła go, ale z drugiej strony poczuł, że nie jest wcale lepszy od Menenheteta, gdyż Usermare penetruje i jego, choć tym razem za pośrednictwem języka Hatfertiti znow rozpoczynającej swoją grę. Czując pod jedną ręką jej mokrą pierś, zaś krzywiznę jej bioder pod drugą, przywołując obraz jej rozwartych ud ujranych w migotliwym świetle oliwnej lampki, gdy bogowie przebłykiwali w mokrym ciele jej włosów, doznał rozkoszy po raz drugi, a jego życie jawiło mu się w tej chwili długie jak Nil i mroczne jak Dat. Olbrzymia siła fallusa jego przodka Usermare okryła jego własny

członek boską szatą. W tej samej chwili jego tajemne imię musiało otworzyć jakieś bramy, gdyż bogowie wniknęli weń i znów zeń wypadli, a łódź Re przemknęła obok niego, gdy wytrysnął. Oba królestwa zadygotały pod nimi. Odważył się przemówić do bogów o ciele żony sługi, a gdy ta okropna myśl przemknęła mu przez głowę, matka znów ujrzała w myślach wielki kamienny obelisk napotkany tego dnia nad rzeką i poczuła w brzuchu siłę mężczyzn wiosłujących pod prąd, by przewieźć olbrzymi ciężar, gdyż miecz faraona był jak ten obelisk i posiadał złote zakończenie. W blasku tego zakończenia wspięła się po drabinie do nieba.

W rzeczy samej Hatfertiti została uniesiona tak wysoko płomienną rozkoszą swych doznań, że nie udało mi się mimo ponawianych wysiłków unieść wraz z nią wyżej, lecz musiałem spłynąć w dół ku myślom pradziadka, który nadal wpatrywał się we mnie. Szukał umysłu Pta-nem-hotepa, a ja zastanawiałem się, czy nasz faraon nie zasnął albo nie wkroczył w najczarniejsze rozmyślenia, gdyż przestałem czuć jego obecność, widziałem tylko pierwsze zarysy wspomnień pradziadka o królowej Nefertari. Zdawałem sobie sprawę z tego, iż wspomnienia te będą wzburzone i porywiste jak niespokojne wody w okolicach wysp Tyru. Musiał jednak odnaleźć te myśli faraona, których poszukiwał, gdyż nabrał spokoju i powagi. Z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, iż do naszych uszu nie dobiega żaden dźwięk, że łowię same myśli. Gdyby wszedł przypadkiem jakiś sługa, pomyślałby, że siedzimy w milczeniu. Faktycznie siedzieliśmy, lecz milczenie pomagało nam uchwycić wyraźnie każde nie wypowiedziane słowo.

X

– Wyznam szczerze, o Wielki pośród Ramzesów – zaczął pradziadek – że królowa Nefertari, która żyje w mojej pamięci, nie przypomina postaci, jaką podziwiamy na najnowszych rzeźbach. Ich autorzy, którzy królowej nie znali, upodabniają ją do samego Usermare. Widzimy więc taki sam długi nos z majestatycznie zakrzywionymi skrzydełkami, wspaniale zarysowane wargi i czujemy uznanie dla artysty, gdyż królowa była w końcu siostrą Usermare. Ale ja znałem ją dobrze i wiem, że wyglądała inaczej, zupełnie inaczej. Osobliwe jest jednak życie z pamięcią, która obejmuje aż cztery wcielenia – nie jestem bowiem pewien, czy twarz, którą mam przed oczyma, faktycznie była twarzą Nefertari, jaką kochałem. A pragnąłem jej tak bardzo, że zaznałem pożądania przenikającego człowieka aż do palców nóg, jak gdyby pragnął zaczerpnąć siły z ziemi niczym korzenie drzewa. O tak, znałem dobrze jej twarz, a jednak w mojej pamięci nie różni się zbytnio od Kulki Miodu. Nie była naturalnie kobietą otyłą, ale bujną, przynajmniej w okresie, gdy ją widywałem. Twarz Nefertari, podobnie jak twarz Kulki Miodu, zdobił mały nosek i podkreślały cudownie wykrzywione wargi, których ciepło przypominało owoc, a które potrafiły wyrażać czułość, wesołość i okrucieństwo w zależności od nastroju. Jej włosy były ciemne i połyskliwe, piękniejsze niż u innych kobiet, a oczy były oczyma bogini. Miały głęboką barwę, lecz nie były ani czarne, ani brązowe, raczej już przypominały najciemniejszy fiolet albo indygo. Były purpurowe jak królewski barwnik przywożony znad brzegów Tyru i wyrażały bogactwo monarchów. Patrząc jej w oczy czułem się tak, jakbym się zagapił w niebo późnym wieczorem. Tak ją zapamiętałem, a mimo to nie jestem pewien, czy widzę przed sobą jej piękną twarz, czy też moje zatarte wspomnienie.

Pradziadek wyciągnął ręce przed siebie. Niezwykły gest jak na niego, gdyż rzadko wykonywał ruchy, które nie były dokładnie zaplanowane. A ten nagły i niepewny wyrzut ramion świadczył o smutku, jaki ogarnia człowieka, gdy zda sobie sprawę z tego, że nigdy nie pozna czegoś bardzo ważnego, że ze starego błędu rodzić się będą coraz to nowe błędy.

– Pamiętam jednak – ciągnął – że tego poranka, gdy po raz pierwszy wkroczyłem do sali tronowej, znajdującej się w pomieszczeniach królewskiej żony (był to jeden z pałaców na horyzoncie Re), zostałem przedstawiony dworowi jako Towarzysz Jej Prawej Ręki. Spomiędzy kolumn za jej plecami padały promienie słońca i oślepiały mnie, odbijając się od każdego wymalowanego lwa i kobry jej złotego tronu.

Dość powiedzieć, że strażę szybko doprowadziły mnie przed jej oblicze. Moje nowe stanowisko, najwyraźniej wysokie w hierarchii jej dworu, otwierało mi bramę za bramą, toteż wkroczyłem wnet w złoto i przepych jej wielkiej sali tronowej, mijając ostatnie podwójne drzwi. Spodziewałem się, że oślepi mnie blask tronu – małe królowe potrafiły opowiadać o szczegółach, których same nigdy na oczy nie widziały, toteż rozwodziły się często nad wspaniałym blaskiem poranku, gdy siedziała pod wschodnią kolumnadą, ale nie wiedziałem, że bliski będę omdlenia. Spędziłem tyle czasu w obecności Usermare, iż sądziłem, że stopy moje stapać będą pewnie po ziemi, gdy ją ujrzę. Stało się inaczej. Rzuciłem się na ziemię i pocałowałem podłogę. Taki był wówczas zwyczaj, podobnie jak dziś, i tak trzeba było postąpić, gdy się było przedstawionym na dworze Wielkiego Władcy Obojga Królestw bądź jego małżonki (przy następnych wizytach

wystarczyło się nisko uklonić). Jednakże przy pierwszym widzeniu żaden szlachcic, nawet najlepiej urodzony, nie mógł nie paść twarzą w proch. Proch był w tym wypadku wypolerowanym egipskim marmurem, który chłodził zęby. Moje zęby drżały w zetknięciu z kamieniem. Czułem się bliski samego Ukrytego. To Amon, nie Usermare, przebywał z nią w komnacie. Powiem tylko, że rzucając się na ziemię, poczułem, jak ogarnia mnie mgła, wzrok się zamazuje, pot występuje obficie, serce zaś – dopiero wówczas przekonałem się, co oznacza to wyrażenie – wyrzywa się z mojej klatki piersiowej i ulatuje niczym Ba.

– Powstań, szlachetny Menenhetecie – takie były pierwsze łaskawe słowa królowej Nefertari, ale moje członki były jak woda, kiedy zabraknie fali i pozostaje tylko ciężar; jeżeli jednak miałem się nauczyć, wzorem Amen-kep-szu-efa, wspinać na najbardziej niedostępne szczyty, musiałem się zdobyć na uniesienie głowy – a wówczas nasze oczy spotkały się w głębokiej ciszy.

Pokrzepiło mnie to. Od małych królowych dowiadywałem się często o przedziwnej barwie jej oczu i byłem przygotowany na to, co ujrzałem. Nie wiedziałem jednak, że piękno jej barwnych oczu pokrzepi mnie, tak jak umierającego krzepią płatki róży. Nasze oczy spotkały się i poczułem, że unoszę się wraz z nią na falach wzburzonego Nilu, w miejscu gdzie rozcina go wyspa. Tak wielkie wrażenie wywarły na mnie jej oczy barwy indygo. Nie było to zwyczajne pozdrowienie, po którym człowiek odstępuje na krok i wraca do siebie, gdyż spotkaliśmy się niczym dwie chmurki odmiennej barwy, gnane odmiennymi wiatrami, a między nami kłębiło się i wirowało powietrze. Jej twarz i ciało wydawały się w pierwszej chwili mozaiką połyskujących kamieni – nigdy nie potrafiłem objąć jej wzrokiem w całości – zrozumiałem, że ją kocham oraz że będę jej służył, jak prawdziwy Towarzysz Jej Prawej Ręki. W jej oczach zabłysło szczęście i roześmiała się słodką kaskadą wesołego śmiechu, jak gdyby dochodząc do wniosku, że dzień będzie o wiele przyjemniejszy, niż się spodziewała.

Nie odzywaliśmy się często podczas tego spotkania. Przedstawiłem się głosem niskim i pełnym szacunku, gdyż w takiej sytuacji nic nie może być odpowiedniejsze niż szacunek, a w dodatku w moim głosie rozbrzmiewał niezbyt dobrze opanowany podziw dla jej urody, wyrażony także barwą mego przemówienia. Potem podniosłem się i złożyłem głęboki i elegancki ukłon, jak przystało na woźnicę rydwanu, którego spotkał awans wojskowy. Ukłon ten zdradzał, jak się potem dowiedziałem, maniery pewnego nomu, toteż królowa spytała: – Mój drogi, nowy przyjacielu Menenhetecie, czyżbyś pochodził z Saidu?

– Nie, o Wielka Małżonko Króla, ale mieszkałem wśród ludzi z Saidu.

– Powiadają, że wśród małych królowych są kobiety z tamtych stron?

Skłoniłem się. Nie znajdowałem odpowiedzi. Czułem zamęt w głowie. Trudno powiedzieć, ilu dworzan obecnych było w tej sali, pięciu czy piętnastu, gdyż widziałem tylko ją i siebie.

Nieco później tego samego dnia przydzielono mi dom królewskiego towarzysza i ujrzałem złoto moich krzesel i stołów oraz skrzyń na szaty, przejrzałem moje nowe ubrania z płótna i złote bransolety, fajanse moich nowych nakryć stołowych (każde spośród tysiąca talerzy, waz i kubków z błękitnego kamienia miało złoty brzeżek), i zacząłem wdychać najbardziej wyszukane perfumy z królewskiego skarbcza (a może dała mi je sama Nefertari?) Obejrzałem nową służbę (pięcioro), przeszedłem przez wszystkie pokoje (siedem, a w każdym znajdował się skorpion), przez kuchnię, jadalnię, pokój do przyjęć dla gości, mój własny pokój do rozmyślań i ablucji (to wszystko objaśniał mi mój nowy klucznik, pisarz o twarzy podobnej do twarzy Peptiego i śmiesznym imieniu – Cienkie Patyczki. Imię było śmieszne, gdyż sługa był tłusciochem), sypialnię i dwa małe pokoiki dla pięciorga osób służby – kucharza, klucznika, który także prowadził rachunki i korespondencję, parobka utrzymującego mój złoty rydwan, ogrodnika i majordomusa, który był zarazem kamerdynerem i chłopcem na posyłki. Zrozumiałem wówczas, że otrzymałem nominację na

stanowisko znacznie wyższe niż generał albo gubernator i że przyjdzie mi mieszkać w obszernym pałacu, a nie w skromnym domku.

Przez cały dzień cieszyłem się zatem z nowego mieszkania, ale niepewność pierwszych paru dni była tak wielka, że czułem się jak żagiel gnany najdelikatniejszym wiatrem na wszystkie strony świata. Okazało się bowiem, że choć pałac Nefertari rozkoszował się blaskiem jaśniejszym od blasku złota, rozświetlonego promykami słońca, nie można było tego samego powiedzieć o jej dworzanach. Służącym jej generałom nie warto było powierzać oddziałów, gubernatorowie już niczym nie zarządzali (jak ja sam!), były wezyr zaś cuchnął kolobi i opowiadał niestworzone rzeczy o swych mądrych decyzjach, podjętych na samym początku panowania Usermare. W głosach jej kapłanów pobrzękiwały liczne obce nuty, przede wszystkim chciwość, służki zaś, niegdyś piękne, były w jej wieku. Przekonałem się, iż były ograniczone umysłowo i rozmyślały wyłącznie o losach ich Królowej, własnych rodzinach i rozrywkach. O wiele mniej wiedziały o sztuce i ogładzie niż małe królowe – ale zauważyłem właśnie, że musiałem stracić rachubę czasu, gdyż nie można dowiedzieć się tak wiele o dworze w tak krótkim czasie. Z drugiej strony przydało mi się doświadczenie wyniesione z wojska. Kiedy byłem generałem, wystarczyła mi godzina w nowym garnizonie, by wyrobić sobie własne zdanie – wiedziałem zawsze, czy wojsko jest gotowe, czy też okaże się zbyt słabe do wykonania moich rozkazów. Podczas pierwszej wizyty na dworze widziałem przepych, nie uszły mej uwagi także wyrafinowane maniere wielu arystokratów. Zrozumiałem jednak, że Usermare nie musi się obawiać jej dworu – zbyt pokrętne były tu ambicje, zbyt wiele intryg skierowano przeciw sobie, zbyt mało myślano o honorze. Ci dworzanie bardziej obawiali się możliwych strat, niż łakomili na zyski, które mogła przynieść jakaś śmielsza akcja. Na pewno nie groziły mu spiski z tej strony.

Wiele lat później, za innego życia, kiedy byłem Wysokim Kapłanem i znałem całe królewskie i arystokratyczne towarzystwo Egiptu jak własną kieszeń, potrafiłem po jednym spojrzeniu zrozumieć to, na co wówczas traciłem wiele czasu. Podczas drugiego życia wkroczyłem na dwór Nefertari i rzuciłem krótko, że tutaj się tylko plotkuje – i miałbym rację. Znow usłyszałem wszystkie plotki, które powtarzały małe królowe, ale na dworze opowieści te ozdabiano drobnymi szczegółikami, które często są smakowitsze niż sama plotka i które ludzie wymieniają jak podarki. Toteż w Pałacu Nefertari więcej się dowiedziałem o Rama-Nefru niż o królowej. Już podczas pierwszej wizyty dowiedziałem się od pijanego byłego wezyra, że Nefertari wyśmiewała się z Rama-Nefru, która zdradzała upodobania do peruk koloru blond. Przekonała się jednak, wysłuchując przechwałek samego Usermare, właśnie tego wieczoru, kiedy rozlano zupę, że Rama-Nefru ma włosy blond także między udami. Żaden mężczyzna nie widział czegoś takiego na własne oczy. Usłyszawszy taką prawdę, Nefertari rozkazała spalić wszystkie blond peruki w swojej garderobie. Wezyr urwał, przymknął jedno mądre przyćmione oko i znow je otworzył, mrugając do mnie porozumiewawczo. – Czaszka Rama-Nefru będzie kiedyś równie łysa jak moja – wyszeptał.

Wizyta wezyra była pierwszą w moim nowym domu, a po niej posypały się dalsze. Etykieta w Ogrodach Odosobnienia była surowa, więc nie dotykałem nawet ręki małej królowej (z jednym jedynym wyjątkiem). Za to tutaj mogłem osiąść żony pięciu dworzan w ciągu pierwszych pięciu dni. A potrafiły uwodzić! Jest to jedyny sport, który mogą uprawiać ludzie pozbawieni szans na dalsze upiększanie się. Nie trzeba chyba dodawać, że potrafiły one zawsze zaprawiać swoje plotki sztyletem okrucieństwa. Toteż Nefertari nieustannie musiała wysłuchiwać opowieści o młodości i urodzie Rama-Nefru, o tym, że władca, który mawiał kiedyś, iż Nefertari dostrzega zarazem i Horsa, i Seta, używa teraz tego samego określenia w stosunku do Rama-Nefru. Dama, która mi o tym opowiadała, zaczęła jęczeć, opisując koszmar, jakim było życie w pobliżu Nefertari po ujawnieniu tej historyjki.

Moim obowiązkiem jako Towarzysza Prawej Ręki było trzymać się blisko królowej. Uważano, że powinienem jej towarzyszyć wszędzie, kiedy tylko zdecyduje się opuścić pałac, czyli niecodziennie, choć raczej często, gdyż lubowała się w wyszukiwaniu świątyń na terenie Teb. W odróżnieniu od Usermare składała hołd Amonowi, ale czciła także bogów innych miast, na przykład Ptaha z Memfis, Tota z Knium, nie wspominając już o gorliwej wierze w Ozyrysa w Abydos. Bogowie ci mieli także tutaj, w Tebach, swoje małe kapliczki prowadzone przez oddanych jej kapłanów. Czciła także innych bogów, których wynajdywała w różnych świątyniach, często w dość podrzędnych dzielnicach – na przykład na tyłach zaułka w slumsach Teb, gdzie dzieci były brudne i tak niedouczzone, że nie skłaniały głów na jej widok, nie oddawały jej czci, lecz po prostu gapiły się na nią wybałuszonymi oczyma. Ponieważ zaułek był zbyt wąski dla jej lektyki, poszła na własnych nogach w złotych sandałkach do samego końca, gdzie stopy jej zostały umyte przez kapłanów tej podupadłej małej świątynki – zaraz, zaraz, chyba Hathor, Besteta czy też Konsu. Czasem znajdowała kaplice w lepszych dzielnicach, przy szerszych ulicach, za bramami okazałych domów z własnymi kolumnami, strażami. Zamówiła prywatnie małego kamiennego sfinksa, toteż mogliśmy przejść między smukłymi marmurowymi kolumnami „boskiej małej świątyni”, jak to określiła, i złożyć pokłon bogini Mut, która była małżonką Amona, albo wejść do świątyni w Tebach, w której czczono dziwną boginkę Neit. Trudno mi było zrozumieć to wszystko, zapamiętać dziwaczne świątynie Ombos w Tebach, Edfu w Tebach, Dedu z Deltą w Tebach czy też Ptaha w Apisie, w której oddawano cześć bogu w jednej z jego licznych postaci, mianowicie przemienionego w świętego byka Apisa. Miałem pełne ręce roboty, odwiedzając te wszystkie świątynie, gdyż musiałem nieustannie torować jej drogę między pielgrzymami. Kapłani często tak głupieli, gdy pojawiała się nagle, iż sporo czasu musiało upłynąć, by sami zaczęli torować drogę do świątyni.

Po takiej wizycie udawała się z całą procesją rydwanów ze strażą na zakupy. Ja sam jechałem obok niej złotym rydwanem małżonki króla. Przystawaliśmy, by odwiedzić warsztat jubilera albo krawca, ale widziałem, że te odwiedziny w lepszych dzielnicach miasta nie cieszą jej tak bardzo jak malutkie brudne świątynki. Myślę, że pragnęła zaskarbić sobie przychyłność wielu bogów. Jako jej towarzysz musiałem ją chronić, a jeżeli wziąć pod uwagę tajny rozkaz faraona, byłem także jej najgroźniejszym i najniebezpieczniejszym wrogiem. Jednak trudno mi było wyobrazić siebie jako sprawcę jej śmierci, nawet gdy dostrzegałem w trakcie naszych wypraw jakąś postać, która mogłaby nastawać na jego życie.

Poza tym była jeszcze inna przeszkoda. Jeżeli Amen-kep-szu-ef nie był właśnie na wyprawie, to zawsze towarzyszył jej do świątyń i na zakupy. Obecnie to ja zastępowałem księcia. Mógł naturalnie zastąpić mnie jako generał wszystkich armii, ale nie złagodziło to jego reakcji. Już pierwsze spojrzenie powiedziało mi, co o mnie myśli. Co ranka spodziewałem się napotkać go u podwójnych drzwi do jej sypialni i usłyszeć, że dzisiaj on będzie towarzyszył królowej, ja nie muszę jechać. Co miałem na to powiedzieć? Pod Kadeszem był jeszcze chłopcem, choć już wówczas był na tyle zapalczywy, że wolał umrzeć, niż przegrać bitwę. Od lat wiedziałem, że jest ode mnie dużo silniejszy. Był tak wysoki i chodził tak wyprostowany, że żołnierze przezwali go „Ha” – tak krótko bowiem świstała rzucona przezeń włócznia. Wystarczyło spojrzeć na Amena-Ha, a natychmiast odstępowało się na krok, nawet bogowie tak czynili. Nie potrafiłbym zatem bezpośrednio stawić mu czoła – a przecież nie mogłem pozwolić na to, by królowa odjechała z synem. Właśnie wówczas mogli spiskować i nastawać na życie króla. I właśnie wówczas, gdy Dobry i Wielki Bóg leżał już być może w kałuży krwi na marmurowej posadzce własnego pałacu, ona mogłaby się cieszyć całkowitym bezpieczeństwem w towarzystwie Amen-kep-szu-efa w którymś z jego stu okazałych pałaców albo ukryta w jakimś przytulnym zaułku w labiryncie Teb.

Czuwałem u jej boku, ale musiałem także być gotów w każdej chwili zatopić miecz w jej sercu. Podobnie jak mój monarcha mieszkalem w dwóch królestwach naraz. Naturalnie, tego samego dnia, kiedy Amen-kep-szu-ef kazałby mi zostać w domu, a ja zdobyłbym się na sprzeciw, mógłby mnie także kazać zabić. Potem wymyśliłby jakiś powód. Nie czułem się zatem bezpiecznie w moim nowym domu. Mimo to cieszyłem się z każdego dnia spędzonego w towarzystwie Nefertari.

Chociaż z Kulką Miodu spędziłem wiele długich godzin, nie bardzo wiedziałem, jak ją traktować. Była w tej samej mierze kapłanką, bestią, żołnierzem co moją własną kobietą, a poza tym wiecznie zajęci byliśmy przygotowaniem jakiegoś obrzędu. Tak przynajmniej jawiło mi się nasze życie po piętnastu dniach poza Ogrodami. Mimo to rzucałem się w nocy na posłaniu, jakby mną ciskał sztorm na pełnym morzu. Nie wiedziałem, czy jej pragnę, czy to ona mnie pożąda. Mimo zabicia świni pozostało we mnie jeszcze nieco żądz i rozumiałem dobrze, jak Kulka Miodu musiała cierpieć po utracie małego palca, gdyż i ja przeżywałem to silnie. Pewnego ranka obudziłem się, a jej mały palec dygotał u mojej nogi. Zrozumiałem więc, jak musiała być wzburzona Kulka Miodu i jak bardzo wciąż jeszcze byliśmy nierozłączni. Ba, nawet przebywając w towarzystwie Nefertari, wyczuwałem nadal ciepłe pozdrowienia od Kulki Miodu lub jej wyrzuty. Zdarzało mi się nalewać wino godnie i dostojnie, jakbym był boginką czerpiącą napój z własnej sadzawki, ale wiedziałem dobrze, że to ręka Kulki Miodu prowadzi moją dłoń. Albo przeciwnie, dostrzegałem pierścień wilgoci pozostawiony na blacie stołu przez mój kubek i wiedziałem, że to moja była kochanka sprawiła, iż parę kropli skapnęło mi z warg.

Starczyło jednak kilka godzin sam na sam z Nefertari, abym wiedział, co to szczęście. Potrafiła pięknie mówić. Czary. Przebywając z Kulką Miodu, odczuwałem czasami, wpadając w zły nastrój, że magia musi mieć ciężar obrzędku odprawianego nazbyt często w mroku nocy. Siedząc u boku Nefertari poznałem inny rodzaj magii, unoszącej się z ptasich treli i z kołysania kwiatów. Jestem pewien, że potrafiła uwieść powietrze słodyczą swego głosu.

Mogła mówić o wszystkim. Zobowiązana była tak często przebywać w kręgu ludzi z własnego dworu, że najdrobniejsza rozmowa ze mną sprawiała jej przyjemność. Pragnęła dowiedzieć się o tych chwilach mego życia, o których nikomu nie opowiadałem. Bardzo prędko zdałem sobie sprawę z tego, że przez cały czas małżeństwa z Usermare nigdy nie rozmawiała dłużej z kimś, kto mieszkał w Ogrodach Odosobnienia, toteż wiecznie wypytywała mnie o małe królowe. Znała wszystkie z imienia, gdyż wiele się o nich dowiadywała od rodzin, rozwodzących się chętnie o wczesnym dzieciństwie małych księżniczek, straconych dla własnych rodów. Prowadziła ożywioną korespondencję i wiele dni spędzaliśmy w trójkę – ona, ja i jej pisarz, karzeł zwany Słowikiem, którego plecy były wykrzywione, lecz malutka rączka pewna i zwinna, gdy siedząc na patio pisał listy. Często czytał jej korespondencję, a ona odpowiadała sama, wodząc ręką po palecie i pisząc pismem tak kaligraficznym, że zdobiło papyrus, któremu je powierzała. Czasem pokazywała mi swoje listy, a ja byłem tak oczarowany, że czułem się, jakby mnie popieściła. Czystość jej boskich kresek i zawijasów, kółeczek i krzywizn, barwy jej listów, cudowne ożywienie ptaszków, jakie rysowała, wszystko to sprawiło, że papyrus drżał mi w ręku, jak gdyby skrzydła ptaków, upierzone jej delikatnym piórkiem na stronie listu, wyrwały się na wolność i prześlizgiwały między moimi palcami. Złote to były godziny, chwile spędzone u jej boku, gdy układała te listy.

Pewnego wieczoru zaprosiła na kolację Amen-kep-szu-efa i mnie. Stało się jasne, iż pragnie, abyśmy się zaprzyjaźnili, a jeżeli okaże się to niemożliwe, przynajmniej doszli do porozumienia jako dwaj słudzy jej „wielkiej potrzeby”, jak to ostatecznie wyraziła. I wówczas właśnie zrozumiałem coś, co charakteryzuje wielkie damy. Nie można było zostać królową bez „wielkiej potrzeby”. Bez względu na to, czy jej potrzebą było szkolenie Rama-Nefru, zemsta na Usermare, czy też osadzenie księcia z jej krwi, Amen-kep-szu-efa, na tronie ojca. Zresztą kto wie, o co jej

naprawdę chodziło? Pamiętam żołnierzy z okropnymi ranami brzucha. Jeżeli potrafili znieść ból, godność była ich największą nagrodą. Bogowie otoczeni najwyższym szacunkiem gromadzili się wokół nich. Przypomniałem sobie pewnego woźnicę rydwanu, który spokojnie rozmawiał ze mną w chwili, gdy wschodził księżyc, po czym umarł. Nie okazał bólu, a przecież czułem ten ból, po najgłębsze jego zakamarki.

Nefertari rozmawiała z nami o błahostkach, o amatorskich wyczynach swego psa myśliwskiego Srebrnego Serca, który leżał u jej nóg i podnosił łeb ku każdemu z nas, gdy zaczynaliśmy mówić. Królowa zastanawiała się nad tęsknotą Srebrnego Serca za rodziną w krajach, z których sprowadzano kadzidła, na wschód od Morza Czerwonego. Usłyszawszy te słowa, Srebrne Serce zrobił smutną minę i zawył, jakby potwierdzając słowa pani, a ona roześmiała się dźwięcznie, ale w śmiechu jej wyczuwało się ogrom cierpienia, wszystko to, co nazwałem przed chwilą wielką potrzebą. Ja zaś, w łagodnym świetle u jej stołu, gotów byłem służyć.

Podejrzywałem jednak, że Amen-kep-szu-ef nie będzie skłonny zaprzyjaźnić się ze mną. Podobnie jak Nefesz-Beszer lekko zezował, nie patrzył więc nikomu prosto w oczy – jego spojrzenie ulatywało nad głową rozmówcy jak nietoperz. Na jego widok myślałem o tym Hetycie, który przejechał przez całe pole bitwy, by walczyć z Usermare. Amen-kep-szu-ef miał długi mostek ojcowskiego nosa, ale krzywizna jego skrzydełek była okrutniejsza niż łuk bułatu – o nie, ten mnie nigdy nie zaakceptuje. Zbyt kochał własną matkę i to nie tymi ustami co trzeba, jak powiadano w szeregach woźniców rydwanów. Istotnie, zwracała się do Amen-kep-szu-efa, wołając nań pieszczotliwym zdrobnieniem, jak gdyby myśl u jego włóczni zawsze jej towarzyszyła.

– Amen-Ha – mawiała – dlaczego jesteś taki posepny? – Ja zaś, siedząc pośrodku długiego stołu, czułem się mniejszy od samego siebie, czułem się wyłączony z rozmowy. Rozmawiał z nią wyłącznie o rzeczach, o których nie miałem pojęcia, o swoich braciach i ich żonach albo o polowaniach na pustyni, podczas których mu towarzyszyła, oraz o niedawno minionym dniu, kiedy to płynęła obok niego na papirusowej łodzi, a on stracił osiem ptaków, pięciokrotnie rzucając pałką, przy czym ostatni ptak spadł jej prosto w ręce. Ci dwoje rozumieli się tak wspaniale, że nie miałem do nich dostępu.

Starła się przybliżyć mi ich rozmowę. Kiedy ofiarowałem jej komplement, mówiąc, że pięknie pisze, dane mi było wysłuchać prawdziwego traktatu o niezwyklej szkole, do której uczęszczała jako dziecko. Był to jeden z niewielu domów nauki, do którego mogły chodzić dziewczynki, a nauczyciele nie mieli bynajmniej łatwego zadania. Wszystkie studentki były albo księżniczkami, albo co najmniej córkami nomarchów (dowiedziałem się później, że Kulka Miodu była córką nomarchy Saidu i koleżanką Nefertari ze szkolnej ławki), toteż nauczyciele nie mogli uczennic chłostać. – A przecież – mówiła – każdy pisarz twierdzi, iż chłopcy mają uszy na siedzeniu i uczą się najlepiej, jeżeli się ich chłostuje. Jak tu jednak wychłostać księżniczkę? To niemożliwe. Mimo to wiele wycierpiałymy. Dziewczynki mają uszy w sercu, toteż płakałyśmy, robiąc błędy, ja zaś na przykład nigdy nie potrafiłam dobrze liczyć. Za każdym razem, kiedy rysowałam siódmkę, myślałam o cienkim paseczku, który opasywał moje szaty. Ostatecznie to taki sam znaczek.

– Sefek – powtórzył Amen-kep-szu-ef – nigdy mi to nie przyszło na myśl.

– Sefek – powtórzyła. – Znak jest taki sam. Zawsze mi się myliły i w mojej głowie wszystko pękało w szwach. Wszystko się rozsypywało! – Sefku – powiedzieli równocześnie matka i syn, a potem z upodobaniem rozkoszowali się dźwiękiem tego słowa, tak podobnego do poprzednio wymienionego, ale oznaczającego zdejmowanie ubrania. Próbowałem się uśmiechać, ale oni używali słów, których nie rozumiałem, i śmiech hulał między nimi jak wiatr, który do mnie nie docierał. Oczywiście, nie pierwszy raz zdarzyło mi się zastanawiać nad tym, czy nasz język nie jest nazbyt subtelny, wiedziałem bowiem z doświadczenia, przekonawszy się o tym boleśnie na własnej

skórce, iż najbardziej wykształceni Egipcjanie z najlepszych rodów dobrze wiedzieli, iż ten sam dźwięk może mieć kilka znaczeń i można go zapisywać na różne sposoby. Zawsze myślałem, że oto w ich oczach jestem jak kupka gnoju, a przecież tego samego słowa, które oznacza kupkę gnoju, używają dla określenia wybielonego płótna. Skąd mam wiedzieć, co mają na myśli? Ukrywają wiele przed tymi, którzy są niżej urodzeni, i często zamieniają słowo na coś wręcz przeciwnego.

Cofając się jednak pamięcią do pierwszego dnia w szeregach woźniców rydwanów, przypomniałem sobie, że szlachtę charakteryzował nie tylko doskonały akcent, ale w dodatku oryginalne poczucie humoru. Jako prosty woźnica rydwanu często nie miałem pojęcia, o czym właściwie rozmawiają.

I skąd niby miałem to wiedzieć, skoro każdy wyraz naszego egipskiego języka posiada aż tak wiele znaczeń? Mogli wypowiedzieć słowo menti, które oznacza piersi, a przecież rozmawiali o oczach. Z drugiej strony można na oczy powiedzieć utchat, czyli oczy boga, tyle że ten wyraz wypowiedziany nieco innym tonem oznacza także wyrzutka, włóczęgę. Trzeba było się wykazać inteligencją, służąc takiej szlachcie, która potrafiła igrzać wieloma znaczeniami jednego dźwięku. Mimo to nikt nie potrafił tego zrobić równie zręcznie jak Nefertari. Leciutko zmieniając drżenie krtani przy wypowiedzaniu słowa hem-t, zamieniła hienę w drogocenny kamień. To też były czary, magia! Jakże wspaniale wykorzystywała odmianę wyrazów, by wydobyć połyskujący dowcip każdego dźwięku! Jakże zwinnie przeskakiwała z jednego znaczenia na drugie! – Khat – mówiła z niesmakiem, ale trzeba się było uważnie przyjrzeć jej twarzy, by zrozumieć, czy chodzi jej o bagno, kamieniołom czy też Krainę Umarłych.

Tego rodzaju igraszki nie mogły trwać wiecznie owego wieczoru. Amen-kep-szu-ef był na swój królewski sposób raczej żołnierzem niż dworzaninem i nie dorównywał matce. Pozostawiony samemu sobie zdradzał umysł poważny i zawzięty. Mimo prób skierowania rozmowy na sprawy, o których nie miałem pojęcia, w końcu musiał zauważyć oznaki jej sympatii dla mnie i skierować uwagę na tematy, o których miałem coś do powiedzenia. Nie powiem, że się ucieszyłem, gdy zaczął mówić o wojnie, gdyż jego czyny z reguły odbijały się szerszym echem niż moje. – Uparty jak osioł – oto co o nim mówili najbliżsi mi generałowie, ale z drugiej strony, wysłuchując zawsze najmniej przychylnych wersji jego dokonań, zdawałem sobie także sprawę z jego odwagi, w Ogradach Odosobnienia zaś książę cieszył się uznaniem małych królowych.

Musiałem przyznać, mimo iż niechętnie go chwalebę, że nie miał sobie równych jako dowódca słynący z umiejętnego prowadzenia oblężeń. Kiedy byłem generałem wszystkich armii, zawsze starałem się wysłać dywizję Amen-kep-szu-efa daleko na granice Syrii, ale nieustannie też słyszałem o miastach, które zdobył oblężeniem, przy czym niektóre spośród nich były do tej pory uważane za niezdobyte. Budował fortece przesuwane na drewnianych kołach, które bywały wysokie nawet na trzy piętra i dorównywały murom obleganego miasta. Nie bał się żadnej zmundnej roboty. Budował wokół miast fosy, uniemożliwiające kobietom i dzieciom wyślizgiwanie się za mury – mawiał, że jęki głodujących dodawały sił jego żołnierzom. Małe królowe nie mówiły jednak o jego okrutnych i zawziętych cechach i sztuczkiach, lecz o odwadze. Wszystko, o czym słyszałem jeszcze w wojsku, wracało do mnie w Ogradach Odosobnienia. Oto na przykład miał pewnego razu wspinać się na wysokie skały, by zrozumieć trudności zdobywania obwarowanych miast, a potem nauczył jeden szwadron swoich woźniców rydwanów, jak należy się wspinać równie zręcznie jak on. Podczas ostatniego oblężenia w Libii, na które ojciec wysłał go w nadziei, że pozostanie tam przez dłuższy czas, Amen-kep-szu-efowi udało się wspiąć na mury, i to bez drabin, jeszcze pierwszej nocy, nim wykopano jakiegokolwiek umocnienia obozu oblężniczego. Wojska doszły do murów po południu. Cały kraj o tym mówił. Oblężenie, które trwało krócej niż noc! Było jasne, iż Amen-kep-szu-ef pragnie pokonać cały Egipt, iż potrafi okryć się większą chwałą niż Usermare.

Oczywiście, w Ogradach plotkowano nieustannie na temat jego szans. Czy Amen-kep-szu-ef wstąpi na tron? A może faraon wybierze innego księcia? Rama-Nefru już powiła bliźnięta, a choć jedno zmarło po tygodniu, drugie rosło jak na drożdżach. Rzadko jednak mijał dzień bez jakichś nowych pogłosek o groźbach wiszących nad małym Pet-a-Re, który otrzymał wspaniale i godne imię Lwa Re i bywał też przez ojca nazywany Hera-Re. Oczywiście, wystarczyło tylko trochę pomieszkać w Ogradach, by się dowiedzieć, że jeszcze żaden książę nie wstąpił na tron ojca, jeżeli nie zgładzono przynajmniej z dziesięciu jego braci przyrodnych zrodzonych z innych matek. Wiele się nasłuchiwałem o śmierci w piwiarniach, na polu walki, w łóżu zdradzieckiej kobiety i o dzieciach zaduszonych w kołysce. Nie wierzyłem w te pogłoski, dopóki nie ujrzałem silnych straży wokół pałacu Rama-Nefru i nie zacząłem sobie uświadamiać trudności, jakie piętrzyłyby się przed Pet-a-Re, w wypadku gdyby ten na poły Hetyta zechciał zostać królem Egiptu.

Musiałem wciąż jeszcze rozmyślać o tych sprawach, gdyż pod koniec obiadu Amen-kep-szu-ef zaskoczył mnie. Zrobiwszy przejrystą aluzję do wdzięków szlachetnej damy, oczekującej go dziś wieczór w Tebach, zwrócił się wreszcie bezpośrednio do mnie, zadowolony z zazdrości, jaką wzbudza w matce. Sprawa była oczywista i powiedział o niej bez osłonek. – Jesteś przyjacielem ucha mego ojca.

– Nikt tak nędzny jak ja nie ośmielił się używać aż tak zaszczytnego miana.

Uśmiechnął się. Chciał mi przypomnieć, że niewykluczone, iż zostanie moim monarchą. I to złośliwym. Rzekł:

– Wypowiadaj się pozytywnie, gdy spotkasz mego ojca, który cię wynagradza.

Bardzo był zadowolony ze zręcznej sugestii zawartej w tej wypowiedzi, a matka aż klasnęła w dłonie i pocałowała go przeciągle w usta, gdy odchodził.

– O czym mówisz jego ojcu? – spytała, gdy wyszedł.

– Niewiele – odparłem. – Dobry Bóg nie słucha. – Westchnąłem. – Niewesoła to sytuacja być marną istotą, której członki kruszone są przez dwa ogromne głazy. – Na szczęście udało mi się przy tym uśmiechnąć, przebiegle i podstępnie, a ona odwzajemniła uśmiech. – Więc jesteś bezsilny jak oliwa – zauważyła – a przeto nie masz się czego obawiać ze strony dwóch wielkich głazów.

Żart ów jest wspaniałym przykładem mistrzowskiego wykorzystania naszego języka. „Bezsilny” i „oliwa” to wyrazy wyrażane tym samym dźwiękiem, typowe dla jej magii, leciutkiej jak skrzydełka pisklęcia. W rzeczy samej zadumałem się nad tym, dlaczego ten sam dźwięk może oznaczać zarazem oliwę i bezsilność, podobnie jak słowo „myśleć” może oznaczać także, że się jest spragnionym, że się jest wazą, że się tańczy albo że się chce zatrzymać. Nasze określenie medytacji zbliżało się do bluźnierstwa, a drobny dźwięk oznaczający rozmyślanie – mau – mógł także oznaczać światłość Boga. Mógł jednak także oznaczać odbyt. Bezkresne były sieci, w które chwytaliśmy nasze myśli. A może Nefertari, która tak często wypisywała różne słowa, wiedziała dokładnie, jak jakiś pomniejszy bożek albo drobny zakrętas przy końcu wyrazu mogą pozbawić sensu światłość słońca i przenieść znaczenie do najmroczniejszej trumny w środku brzucha? Często mnie zaskakiwała subtelnością swych uwag. Przywykłem do pośpiechu i energii Ma-Krut, ale teraz zacząłem doceniać leciutki dowcip tych, którym dane jest żyć blisko bogów. Wiedziałem, że mimo podziwu, jaki żywi dla syna, lubi pozostawać ze mną sam na sam. Z drugiej strony w samej naturze Wielkiej Królowej i małżonki boga leżało takie życie, które zdradzało czternaście Ka, nie jedno, podobnie jak u samego Usermare. Toteż w jej piersiach żyło wiele kobiet, a każda z nich znajdowała przyjemność w innym typie mężczyzny.

Wystarczy powiedzieć, że dobrze mnie znała, gdyż kiedy tylko zostaliśmy sami, zaraz sięgnęła do złotej szkatuły stojącej na dużej skrzyni i wyjęła z niej talerz z kości słoniowej o średnicy ludzkiego czoła, zaopatrzonej w metalową rączkę. Unosząc talerz ostrożnie, tak że widziałem tylko

jego spód, wróciła do mnie, usiadła i położyła go na stole, dnem do góry. Potem powiedziała, a przynajmniej wydawało mi się, że mówi:

– Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek ujrzeć na własne oczy objawienie?

Ponownie poczułem lęk. Nie wierzyłem, że będzie w stanie opowiadać o nocy, kiedy Amon ją nawiedził, obdarzył jej brzuch Amen-kep-szu-efem i prawdę mówiąc, czułem się zażenowany bezpośredniością i szczerością takiego pytania. Nie sądziłem, by miała na myśli poczucie, choć wyraz „objawienie” można było rozumieć i w ten sposób. Z drugiej strony uśmiezek igrający na jej twarzy wskazywał, że nie chodziło bynajmniej o Amona. Założyłem zatem, iż miała na myśli inne znaczenie tego słowa i zacząłem się zastanawiać, czy jej pytanie nie brzmi: „Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek ujrzeć coś nieprzyzwoitego?”, ale znów wyraz jej twarzy kazał mi porzucić takie domysły. Ostatecznie z ulgą wywnioskowałem, iż powiedziała po prostu: „Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek spoglądać na piękną rzekę?”, gdyż faktycznie nigdy nie oglądałem Nilu w chwili, gdy woda jest spokojna i czysta, a nasza twarz załamuje się w drobnych zmarszczkach malutkich fał. Skinąłem zatem głową.

– Tak, znam prawie cały Nil – powiedziałem, czując wyraźną ulgę. Na te słowa wyciągnęła rękę, uszczypnęła mnie w policzek i przysunęła lichtarz, zwracając go ku mnie tą stroną, na której mieściła się wypolerowana powierzchnia w oprawie kości słoniowej. Cofnąłem się przerażony. W blasku drgającego płomienia świecy ujrzałem twarz mężczyzny podobną do mojej, ale wyraźniejszą, bardziej mi bliską niż odbicia, jakie zdarzało mi się widywać na zmarszczonych falami wodach Nilu. Teraz naprawdę zobaczyłem wyraźnie własne rysy na doskonale wypolerowanym srebrze. Jakże byłem podobny do ciebie, Nef-kep-aukemie, mężu mojej wnuczki Hatfertiti! O tak, po mojej twarzy łatwo było zgadnąć, iż służę wielkim i dobrym bogom. Zdumiony byłem, jak skupiona, zamyślona i uważna okazała się twarz kogoś, kto do niedawna jeszcze był woźnicą rydwanu. Jakże gładkie były moje policzki. Niewątpliwie były to skutki pocierania o policzki Kulki Miodu. Jakimż grobowcem zepsucia musi być moje serce. Takie były pierwsze myśli, które przemknęły mi przez głowę na widok mojej własnej twarzy, a myśli te wyfrunęły z najszlachetniejszej cząsteczki mej duszy, najbliższej dzielnym bogom, najwięcej ode mnie wymagającej. Zaraz jednak odezwał się następny głos, dobiegający od mych narządów płciowych i wyrażający zachwyt moją powierzchownością. Uznałem, że jestem przystojny, obeznany z pragnieniami kobiet. Och, poczułem się tak przystojnym mężczyzną, że omal nie wytrysnąłem niczym pies węszący sukę z cieczką, tak dalece oszołomił mnie widok samego siebie. Potem przestraszyłem się, gdyż zdałem sobie sprawę, że spogląda na mnie nie moja twarz, lecz oblicze mojego Ka, który mieszka na powierzchni srebra, na tym wypolerowanym jezioru. Nefertari uszczypnęła mnie pieszczotliwie w policzek i powiedziała:

– Och, nasz kochany gość nie widział nigdy lusterka.

– Nigdy nie widziałem takiego lusterka – zdołałem jeszcze wydukać, ale prawdę mówiąc odebrało mi mowę. – Przecież takie lusterko zmieni wszystko, co istnieje. Wiedziałem bowiem, że gdyby każdy chłop i każdy żołnierz mógł zobaczyć własne Ka, wszyscy zapragnęliby żyć jak bogowie. O tak, spoglądałem w zwykłe lusterka, porysowane i zamazane, o tak nieczystej powierzchni, że oczy i nos załamywały się, gdy poruszałem twarzą, ale to zwierciadło nie miało sobie równych, musiało być najszlachetniejszym lusterkiem w całym Egipcie, prawdziwym objawieniem. Aha, dlatego użyła tego słowa, że stał przede mną mój Ka i spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

Potem zrozumiałem, jak okrutna musi być wędrówka po Krainie Umarłych, gdy nie ma się grobowca, a wszędzie czyhają na nas niegościnnie wybrzeża, potwory i płomienie ognistych węży. Widziałem przed sobą własnego Ka, który wyglądał jak żywy. To on zginąłby w dymach i

wyziewach. Chciałem krzyknąć z przerażenia na myśl o tak potwornej możliwości. Tak żywe były w moich oczach szczegóły jego oblicza, że nawet pełgające światelko świecy wydawało mi się odbłaskiem płomieni Krainy Umarłych. Zrozumiałem, iż kocham mojego Ka i że bez względu na to, ile w tych rysach było zepsucia – kocham moje życie w tym obliczu. Potem wydałem cichy okrzyk. Obróciwszy bowiem nadgarstek i skręciwszy rączkę lusterka, sprawiła, iż zobaczyłem jej Ka, nie mojego, że ujrzałem jej oczy barwy indygo, błękitne jak wieczór w płomieniu pochodni. Patrzyły na mnie z powierzchni lusterka. Nie śmiałem spojrzeć prosto w oczy jej Ka, przynajmniej w oczy tego Ka, jednego z czternastu, ale wyraz mej twarzy musiał ją przekonać, że wiele jest we mnie miłości ku niej, gdyż mrugnęła oczyma, jak gdyby dojrzała także cień niewidzialnych skrzydeł. Chyba właśnie wtedy zrozumiała, że muszę ją zabić, jeżeli Usermare zginie. Za pośrednictwem zwierciadła spoglądaliśmy sobie w oczy, aż łzy napłynęły nam obojgu i popłynęły obficie po policzkach.

Dzięki sile, z jaką nasze spojrzenia się spotkały, mogłem po raz pierwszy przeniknąć jej myśli. Toteż nim skończyliśmy, już ująłem jej rękę – jakże śmiałem wziąć ją za rękę?

– a dzięki dotykowi jej palców (jak to było z Usermare) wniknąłem do jej serca. Jej myśli były ważne. Myślała o nocy, podczas której Amon zstąpił do jej łoża, a ona poczęła Amen-kep-szu-efa. O tak, zazdrość Usermare miała podstawy. Moja zazdrość zrodziła się w chwili, gdy zetknęły się nasze dłonie. Ujrzałem ją bowiem na łonie boga, a nikt nie mógł być potężniejszy niż Ukryty. Galop jej myśli oszołomił mnie niczym zgiełk i stąpania końskich kopyt – taka była cena, jaką zapłaciłem za śmiałość, za to, że śmiałem dotknąć jej palców. Po chwili uspokoiła się jednak, błysnęła przewrotnością i pochyliwszy się ku mnie, szepnęła:

– Czy to prawda, że Ma-Krut za tobą szaleje?

Nie wiem, czy dosłyszała po prostu moje myśli, czy może uchwyciła pożądanie osamotnionej Kulki Miodu, czy wreszcie swobodnie krążący eunuchowie, roznoszący plotki jak ptaki od kuchni jednego pałacu do bram drugiego, zdradzili jej coś na ten temat. Tak czy inaczej Nefertari usłyszała o tym w formie plotki. Z drugiej strony jakże musiało mi walić serce, skoro zrozumiałem, iż wzięto mnie na języki.

Nie odpowiedziałem. Doszedłem do wniosku, że jeśli udam, iż nie zrozumiałem, jej królewska godność każe jej wstrzymać się z ponownym zadaniem tego pytania. Nie rozumiałem jeszcze, zwiedziony jej nienagannymi manierami, że pragnienia Nefertari były równie bliskie rykom lwa jak żądze samego Usermare.

– Jazda – zapytała jednak – czy to prawda? Ma-Krut mówiła mi o tym. – Musiałem teraz szybko przemyśleć tę informację: czyżby Ma-Krut była tak blisko królowej, że mogły sobie przekazywać wiadomości za pośrednictwem wypróbowanych przyjaciół?

Mogłem się uśmiechnąć jak przyglup albo przybrać mądry wyraz twarzy, ale z mojego serca wyrwała się jakaś siła, która kiedyś dodawała mi odwagi i która teraz kazała mi wpatrywać się w zwierciadło. Pociągnąłem za rączkę i znów zaczęliśmy rozmawiać, gdyż oczy naszych Ka widziały się nawzajem. Powiedziałem:

– Gdyby nie wdzięki i uroda Waszej Wysokości, często wracałbym myślami do Ma-Krut. – Właśnie wówczas zrozumiałem, że pragnienie prawdziwej zemsty jest jak wąż. Jego ogon odpoczywał w otchłaniach moich snów, główka zaś przemawiała, patrząc prosto w oczy mojej królowej. Oboje czuliśmy oddech Ma-Krut, a Kulka Miodu nie tyle błogosławiła nam, co oddawała do dyspozycji moc jej klątwy. Nefertari i ja spoglądaliśmy na siebie za pośrednictwem lusterka, ale mogło ono równie dobrze być wysokim brzegiem rzeki, w który wody wezbranego nurtu wałą z ogromną siłą, gdyż rzeka zakręca w tym miejscu gwałtownie. Spoglądaliśmy na siebie zdumieni jak wówczas, gdy spotkamy kogoś nieznanego na rynku. Boże, jak mnie pociąga ta kobieta –

wygięcie jej bioder, śmiało odpowiadające mojemu, jej wdzięk i jej wiek także – przecież jest w moim wieku, jest równie mądra, jest obcym człowiekiem, który mógłby zostać moim partnerem. Tak ją ujrzałem i wiedziałem, że i ona tak mnie widzi. Była kobietą, nie boginią, ja zaś mężczyzną, a nie sługą. To cudowne, że tak się spotkaliśmy, równi we wszystkim i tak dobrani. Uśmiechnęliśmy się do siebie z czułością. Niestety. Było to zaledwie jedno spośród czterestu Ka.

Jednakże czułość pozostała, czułość świeżo pozyskanych przyjaciół. Ujęła ponownie moją dłoń i jak komuś bliskiemu zaczęła mi wyjaśniać sprawy, których do tej pory nie rozumiałem. Wiele z nich, które pozostawały dla mnie nie wyjaśnione, gdy przebywałem w Ogrodach Odosobnienia, ujrzałem obecnie we właściwym świetle, toteż zrozumiałem znacznie lepiej naszego faraona. Zrozumiałem, dlaczego powrócił spod Kadeszu odmieniony. Opowiedziała mi o tym, jak to w dniu wielkiej bitwy, gdy Hetyci przedarli się do naszego obozu, Usermare modlił się w namiocie i poprosił Amona o dodanie mu siły, by mógł stawić czoło wrogom, a Ukryty odpowiedział, że jego życzenie zostanie spełnione.

– Nie prosisz mnie o długie życie – tak brzmiały słowa Amona – toteż przydam ci wiele sił.

– Od tej pory – mówiła Nefertari – przeżył już dwadzieścia dziewięć lat, ale wciąż jeszcze czeka na godzinę, w której Amon przybędzie, by go zabrać.

– Dlatego żyje obecnie z kobietą Hetytów – dodała Nefertari. Ma nadzieję, że Amon nie odważy się wypowiedzieć wojny bogom Hetytów. – Ujrzałem w jej oczach błysk gniewu. – Niezwykłe dotkliwie przeżywa własny strach, sypiając z tą hetycką księżniczką i starając się zbliżyć do jej bogów. Bo wciąż jeszcze pragnie mnie. – Miała głos głęboki jak noc i ciężki jak głaz, którym chciała przywalić jego grób.

– Gardzę Sesusim – zakończyła – właśnie dlatego, że się boi.

XI

Sypiając samotnie w Domu Towarzysza Prawej Ręki budziłem się czasami w środku nocy i czułem bliskość Kulki Miodu. Nie było takiego nietoperza wpadającego przez okno ani ptaka mącącego nocną ciszę, który nie jawiłby mi się jako gość z jej ogrodu. Czułem, że bogowie wzbierają we mnie jak powódź. Wioski stają się wysepkami w czasie wylewu; podobnie jak ich los, moja pomyślność zależała od wzbierającej fali. Wiedziałem, że muszę łąpać to, co mi zostanie zaofiarowane.

Przypominam o tym, ponieważ następna ofiara była obrzydliwa, a ja znudziłem się już magicznymi obrzędami. Z drugiej strony nie działało się nic, co by mi pomagało w świadczeniu intymniejszych usług Nefertari. Pewnego razu Kulka Miodu, która mieszała właśnie odchody własnego kotka z popiołem ze spalonej rośliny i z krwią z własnego ramienia, powiedziała, pozornie do siebie samej, że najbardziej potrzebne jej są odchody Sesusiego. Poczuliem obrzydzenie tak silne, że zawartość mojego żołądka omal nie wybuchła prosto do jej wywaru. Ale jej słów nie mogłem zapomnieć. Zrozumiałem bowiem, że miała rację. Rozmyślałem o tym niezwykle często, przebywając w Ogrodach Odosobnienia – bo i o czym innym miałem myśleć? Myśli takie były mi równie bliskie jak ziemia pod stopami. Przypuszczałem nawet, że odchody muszą być środkiem wszechrzeczy i właśnie dlatego wychodzą z nas przez sam środek ciała – prawdziwa współpraca Seta i Ge ba. Tak czy inaczej doszedłem do wniosku, iż ekskrementy były nieodłączną częścią magii, podobnie jak krew albo ogień, że stanowiły eliksir umierających bogów i gnijących duchów, rozpaczliwie próbujących odzyskać życie, które właśnie tracili. Kiedy jednak pomyślałem o tym, jakie przekształcenia związane są z gnojem (ponieważ nie tylko użyźniamy nim pola, ale też rzucamy psom na pożarcie i pozwalamy muchom roić się nad nim), zacząłem się zastanawiać nad wszystkimi małymi bogami, tak złośliwymi jak zaraza. – Jakże niebezpieczne jest takie gówno – powiedziałem sam do siebie i miałem potworne przeczucie, którego nie potrafiłbym wyjaśnić. Posiadanie odchodów drugiego człowieka musi być równie cenne jak posiadanie złota i bogactwa.

Czy to dlatego wszyscy, którzy składali wizytę na dworze, stroili się w jak najwięcej złotych ozdób? Pamiętam jeszcze, jak na wielkim placu między Szerokim i Małym Pałacem złoto połyskiwało na ciałach gości niczym blask słońca na powierzchni jeziora Maat. Na brzegu znajdowało się patio z białego marmuru nakryte złotym dachem i właśnie w tym ocienionym miejscu skupiali się wszyscy arystokraci i bogaci kupcy Teb, i w ogóle ludzie piastujący wysokie urzędy przybyli z Deltą albo z nomów Górnego Egiptu. Gromadzili się tam wszyscy jak bydło pędzące do wodopoju.

Nie można było wejść do Szerokiego Pałacu bez papirusu otrzymanego w Biurze Bram, Mały Pałac był miejscem niedostępnym dla większości, wyjąwszy niewielką garstkę sług Usermare. Tak więc na owym patio, nad jeziorkiem Maat, bogacze Egiptu czekali, aż Usermare przejdzie obok nich, zmierzając z jednego pałacu do drugiego. Zawsze go niesiono, a niosło go ośmiu gości wybranych spośród setki, a może i więcej oczekujących na wiadomość, że Dobry i Wielki Bóg właśnie nadchodzi. Goście ci stawali się wówczas tłumem, bijąc się między sobą jak szumowiny na wodzie wylewu o prawo niesienia Usermare na Złotym Brzuchu (tak bowiem nazywano jego lektykę), choć z drugiej strony trudno się im dziwić, gdyż była to jedyna okazja, by tacy ludzie

mogli mu usłużyć. W czasie pozostałych wędrówek z dworu do świątyni albo na ulice Teb czy też do królewskiej przystani nieśli go przedstawiciele rozmaitych zastępów jego królewskiej straży, oficerowie obdarzeni konkretnymi stanowiskami – w rzeczy samej mieli nawet oficjalne imiona – na przykład do jednego z nich należał tytuł Trzeciego Tragarza Prawego Członka Złotego Brzucha. Nie korzystano jednak z usług straży w czasie licznych wypraw z Małego do Szerokiego Pałacu. Każdy kupiec, którego szanowano na tyle, by uzyskać przywilej przekroczenia Podwójnych Wrót, mógł, jeżeli miał szczęście, doczekać przywileju niesienia faraona kilkaset kroków wokół jeziorka Prawdy (to znaczy jeziorka Maat) aż do bram drugiego pałacu. Nie była to długa podróż, ale słyszano o ludziach, którzy czekali całymi dniami w spiekocie u wrót każdego z pałaców, topiąc się w żarze słońca. O ile nie mieli przy sobie perfum – biada ciału, którego smród uderzył nozdrza Usermare! – i to w strasznym ścisku. Niektórzy wygrywali i dopinali swego, a potem o niczym innym nie mówili do końca życia. Choćby byli całkiem wyczerpani godzinami oczekiwania, z radością śpiewali pochwalne hymny, niosąc go na swych barkach, w jego Złotym Brzuchu na złotym tronie. Śpiewali nawet biegnąc i jakoś nie obawiali się, że padną trupem z powodu tempa. Inny tłum wybitnych osobistości z odległych nomów oczekiwał u kolejnych wrót w nadziei, że wkrótce faraon znów się pojawi.

Wówczas zrozumiałem, jak wysokie piastowałem stanowisko. Z pogardą spoglądałem na ludzi, którzy ośmieszali się w ten sposób. Kiedy jeszcze byłem generałem wszystkich armii, to jechałem za nim przy jego rydwanie (choć nie miałem jeszcze prawa wstępu do Domu Uwielbienia, jak inaczej nazywano Mały Pałac) przez ulice i na pola ćwiczebne, na których ścigaliśmy się, zapędzając daleko na pustynie Wschodu. Kiedy zaś droga jego nie była długa i decydował się podróżować w Złotym Brzuchu, miałem miejsce po jego prawej stronie, drugi przy drążku do niesienia lektyki, tuż za wezyrem Dolnego Egiptu, słabeuszem, któremu pomagałem dźwigać władcę. A potem, w Ogrodach, trzymałem go za pięć palców. Obecnie, jako Towarzysz Prawej Ręki, miałem wstęp do Małego Pałacu o każdej porze dnia i nocy i to każdym z wejść. Jakże mogłoby być inaczej, skoro mój król żył w nieustannym lęku przed własną żoną i synem? Kazał mi opowiadać o wszystkim, o czym zasłyszę. Wzywał mnie często i zasypywał pytaniami. Rzadko jednak był ze mnie zadowolony, gdyż nie przynosiłem mu wieści, na jakie czekał – wiadomości o zdradzie Nefertari albo o intrygach jej syna. Przekonywałem go jak najusilniej, że dowiem się czegoś więcej dopiero wówczas, gdy ci dwoje nabiorą do mnie zaufania. Rozwodziłem się jednak nad drobnymi okrzykami wyrywającymi się z jej ust i nad okrutnym wyduchem warg, jakie widziałem u Amen-kep-szu-efa. Przesadnie podkreślając takie błahostki, przekonałem króla, że jestem wobec niego lojalny, co nie było takie łatwe, a jednocześnie wsączyłem weń podejrzenie, że nie ma żadnego namacalnego spisku, który można przypisać jego żonie albo synowi. Świadomość ta sprawiła mi przyjemność. Ostatecznie monarcha Obojga Królestw musi zawsze myśleć o obu: jeżeli Górny Egipt oczekiwał wieści o zdradzie, Dolny cieszył się z ich wierności. Tak czy inaczej, gdy już Nefertari opowiedziała mi o tym, jak potajemnie boi się Amona, postanowiłem mu o tym powiedzieć, choć nie wiedziałem, czy zdołam wydobyć z siebie wyznanie tak poważne. Przyjął mnie w łożu w wielkiej sali, w której sypiał, w ramionach zaś trzymał Ramę-Nefru, której złociste włosy zakrywały jego pierś. Opowiedziałem wszystko szczerze, nie bojąc się bynajmniej, że zdradziłem Nefertari. Podejrzewam nawet, że Nefertari sądziła, iż przekaze to faraonowi, i wręcz tego pragnęła. Na pewno zyskała w oczach wszystkich, gdy powtórzyłem jej słowa, że gardzi nim za to, że się boi.

Usermare krzyknął głosem tak wielkim, że mury jego świątyni zdawały się padać na moją głowę, Rama-Nefru zaś po raz pierwszy podniosła na mnie wzrok. Byłem już dwukrotnie w sypialni króla w tym czasie, gdy i ona tam była, ale nigdy nie widziałem niczego poza karkiem

Hetytki. Nigdy nie ruszali się, kiedy mówiłem, a kiedy powiedziałem, co miałem do powiedzenia, wychodziłem. Dopiero teraz, zachęcony śmiałością słów mojej królowej, powtórzyłem to, co wyrzekła, i mógłbym przysiąc, że postąpiłem właściwie.

Rama-Nefru usiadła na łóżku i pokazała swe kuszące piersi, odległe jedna od drugiej, zawoławszy na cały głos:

– Jest zła, jest zła! – Niezbyt dobrze rozumiałem jej słowa, tak silnie była wzburzona, a poza tym nie były to słowa, których można się było spodziewać z twarzy otwartej jak kwiat. Poznałem jednak po bólu, jaki wyraziła swym tonem, że mądrzejsza jest niż jej własny gniew. Wiedziała, że przez całą resztę poranka Usermare w ogóle nie będzie o niej myślał. Właśnie dlatego, że zapragnie zemścić się za tę śmiałość (nie mógł jednak, wszakże nie rozmawiał z Nefertari), przeżyje ten dzień z Pierwszą Królową, a nie z młodą nałożnicą.

Właśnie wtedy kazał mi zabrać złoty nocnik stojący u łoża i opróżnić w ogrodzie, rozkaz zaś został wydany z taką pogardą, że Rama-Nefru uśmiechnęła się do mnie, jakby pragnąc złagodzić policzek. Nie spodziewałem się po niej takiej łaskawości. Skłoniłem się jej i królowi, wziąłem nocnik i wyszedłem tyłem z komnaty, gdzie natknąłem się na kapłana, oczekującego w westybulu. Był Nadzorcą Złotego Nocnika i podał swoje stanowisko, nim jeszcze zdążyłem się obrócić. Powiedział, że moje obowiązki skończone.

Nie klóciłem się. Czubki moich palców jeszcze paliły mnie ze wstydu, gdy sobie przypomniałem, jak mnie potraktowano. W moich oczach nie było łez, ale miotła mną wściekłość wielka i jednocześnie pełna słabości. Nienawidziłem bowiem mego faraona, a nienawiść taka jest bezzasadna, gdyż naprawdę pragnąłem móc go kochać. Wiedziałem, że w gruncie rzeczy kocham go i że moja wściekłość jest beznadziejna. Przestałby mnie kochać, gdyby się o niej dowiedział. Jakże pragnąłem go unicestwić!

Takie myśli napływały mi do głowy. Idąc u boku kapłana, który niósł złoty nocnik, zastanawiałem się, dlaczego ziemia jeszcze nie drży pod wpływem odrażających myśli nawiedzających moją głowę, ale światło poranka pozostało złociste niczym powierzchnia nocnika, choć moje palce jeszcze drżały pod wpływem zetknięcia się z ciepłym metalem. Dłoń paliła jak słońce.

– Nie chciałbym – rzekł kapłan, widząc, że wciąż mu towarzyszę – okazywać lekceważenia twemu wysokiemu stanowisku, ale rozkazano mi wyraźnie, bym sam jeden wykonywał jego polecenia.

– Tak się dzieje codziennie – rzekłem – ale dzisiaj rano nakazano mi zostać z tobą. Spytaj Jedyne.

Wiedziałem, że nie zrobi tego. Pod ogoloną głową widniała słaba i egoistyczna twarz. Skinął głową, jak gdyby pragnąc przede wszystkim udowodnić, że nic go nie może zadziwić. Mimo to wiedziałem, że czuje się zakłopotany. Czyżby miano ograniczyć jego uprawnienia?

Poszliśmy ścieżką przez ogród. Muszę powiedzieć, że kroczył w wyciągniętymi przed siebie ramionami, jak gdyby niósł ofiarę na ołtarz. Gdy mijaliśmy żołnierza albo służącą, albo ogrodnika, kłaniali się oni Złotemu Nocnikowi, a ja zauważyłem, że kapłan odkłania się jak sam faraon, tak dostojny był jego gest.

Zatrzymaliśmy się przed zieloną drewnianą furką, na której czarną farbą namalowano dzika. Kapłan wyjął spod szat drewniany klucz i popatrzył na mnie raz jeszcze. Wciąż jeszcze nie wierzył, że Jedyne kazał mi zejść aż tak daleko. Spytałem jednak pewnym siebie głosem: – Jak się nazywa ów dzik?

– Sza-a – odparł kapłan i zaczął się popisywać erudycją.

– Jest to imię Seta z czasów, gdy walczył przeciw Horusowi i zamienił się w dzika.

– Tak jest – odparłem – tak właśnie nazywa się furtka, przez którą polecił mi wejść Jedyny. – Nie miałem pojęcia, dlaczego ciągnie mnie ku tej furtce, ale wszedłem za kapłanem i to pchany jakąś pewnością siebie, właściwą tylko tym ludziom, którzy są przekonani, że spełniają boskie polecenia. Oznacza to naturalnie polecenia bogów, którzy akurat się w nas odezwali. Któż bowiem może się poszczycić tym, że zna ich wszystkie imiona?

Weszliśmy do małego ogródka, w którym rosło wiele ziół, a kapłan ukląkł przy małej grządce, postawił nocnik na ziemi, podniósł pokrywkę i zaczął ugniatać małe kuleczki, które następnie wciskał w ziemię obok każdej małej roślinki, aż nocnik został opróżniony. Klęczałem obok niego i musiałem sprawiać wrażenie kogoś, kto chce dotknąć listków, gdyż kapłan powiedział, że są to zioła mądrości i wolno je zrywać tylko jemu, królewskiemu nadzorczy. Skinąłem potakująco głową. Dałem mu odczuć, że zgadza się to ze wszystkim, co usłyszałem. Podniosłem się. Oczywiście, ów kapłan spoglądał tak podejrzliwie na moją rękę zbliżoną do liści, że nie zauważał tej, która leżała na ziemi blisko korzeni. Toteż trzymałem teraz w palcach kuleczkę ciepłą jak krew Usermare, a pochodzącą z siedzenia władcy Dwojga Królestw. Ukłoniłem się, kapłan zaś ukląknął przed niewielkim ołtarzem i zaczął się modlić. Potem umył ręce w święconej wodzie i wyszliśmy z tego niewielkiego ogrodu. Szedłem o krok przed nim, po czym zostawiłem go i udałem się szybkim krokiem ku jezioru Maat i ku Szerokiemu Pałacowi. Stamtąd powędrowałem jeszcze szybciej przez inne ogrody i przez wiele świątyń i kapliczek ku bramom komnat królewskiej małżonki. Zaproszono mnie do sali tronowej Nefertari. Kiedy tylko skończyła się poranna audyencja jej urzędników, udaliśmy się do jej sypialni, gdzie poprzedniego wieczoru siedzieliśmy przy lusterku, a przez cały czas moja ręka dygotała, jak gdyby Usermare zostawił w odchodach swoje serce.

Gdy pokazałem, co mam, moja królowa była poważna, jej reakcja błyskawiczna. Była lotniejsza niż Ma-Krut. Nie czekała na mrok i nie odprawiała żadnych obrządków, lecz ujęła kuleczkę w dłoń, zamknęła oczy, powiedziała do siebie kilka słów i zwróciła mi ją. – Idź – rzekła – do jeziora Maat i wrzuć tam swój dar.

Zrobiłem, co mi kazała. Później tego samego popołudnia ośmiu tragarzy Złotego Brzucha niosło Jedynego z Szerokiego Pałacu do Małego Pałacu i po prawej stronie nie jeden, ale dwóch padło w tej samej chwili, Złoty Brzuch zaś przechylił się. Usermare wypadł z siedzenia wyższego niż końskie siodło i uderzył głową o marmur. Nie ruszał się i wielu sądziło, że nie żyje. Wszyscy widzieli, że walczy ze śmiercią. Nic się w nim nie poruszało, tylko oddech w jego gardle.

Do Domu Uwielbienia poniosła go straż, gdyż była bliżej niż gwardia Szerokiego Pałacu. Kiedy go tylko wniesiono do Komnaty Błogosławionych Pól, udali się doń czterej królewscy lekarze, kapłani ze szkoły Sekmeta. Zagotowano wywary z suszonych ziół z ogrodu Sza-a, a ich wyziewy wniknęły do jego nozdrzy. Na poły przeżute przez nubijskie lwy mięso zostało wydarte ze szczęk bestii i zmieszane z warzywami jego Ka, wszystkich czternastu Ka, głowę zaś namaszczone mu w miejscu, w którym uderzył się o ziemię. Kapłani wznosili modły, a Rama-Nefru zaczęła opłakiwać go w języku Hetytów. Kiedy tylko wyszła, wizytę złożyła Nefertari w towarzystwie syna Amenkep-szu-efa. Siedzieli w milczeniu u wezłowią, a ja za nimi w drugim rzędzie doktorów od bogini Sekmet. Usermare nawet się nie poruszył.

Dopiero wówczas, spoglądając na milczące i nieruchome ciało, zrozumiałem, że Wielki i Dobry Bóg może umrzeć, i zacząłem się modlić. Gdyby bowiem umarł, musiałbym zabić Nefertari albo paść ofiarą gniewu, w chwili gdy udam się do Krainy Umarłych.

Kiedy tylko spoglądałem na nią, wyobrażałem sobie siebie samego ze sztyletem w ręce. Siedziała na złotym tronie już trzeci dzień. Na zewnątrz, w komnacie bardzo oddalonej od patio i ogrodów, król leżał na swym pościeliu i nie zdradzał oznak życia. Lekarze nadal czuwali. Nikt nie przechodził przez marmurowy plac wokół jeziora Maat między Małym a Szerokim Pałacem, a i

poza murami pałaców miasto Teby milczało. W milczeniu, które opadło na Nefertari, siedziałem i wpatrywałem się w nią, zastanawiając się, czy zdołam spełnić tajny rozkaz króla.

Myślałem tylko o rozkazach, jakie mi wydano, ale czułem, że jak Egipt długi i szeroki wielcy magnaci i wezyrowie już spiskowali z kapłanami, ustalając, kto ma zostać ukochanym przyjacielem następnego króla. Amen-kep-szu-ef często odwiedzał matkę, ale zawsze w obecności strażników własnej gwardii, a ci ostatni znajdowali się w stanie, w jakim znajdują się wszyscy żołnierze świata, gdy zbliża się bitwa, śmierć, rany albo łupy. Biła z nich pewność siebie dobrych wojowników, którzy musieli udawać, że twarze wykrzywia im smutek. Wiedziałem dobrze, że czują radość, jak dzikie bestie, które chciałyby porozwalać łby o marmurowe posadzki dla wynagrodzenia sobie długiego oczekiwania.

W tych dniach Amen-kep-szu-ef błyskał dzikim sokolim wzrokiem. Często się we mnie wpatrywał, aż wreszcie zdecydowałem, że powinienem podnieść wzrok i popatrzeć mu prosto w oczy. Nasze spojrzenia się spotkały. Popatrzyliśmy na siebie, aż opadły wszelkie pozory. Moje oczy byłyby mniej zmęczone, gdyby je wyłupywał palcami. Ale miałem już dość upokorzeń. Poza tym walczyłem u boku jego ojca w największej bitwie, jaką stoczył, a Amen-kep-szu-ef był tego dnia w niewłaściwym miejscu. Odparłem jego spojrzenie z zacieklą siłą bogów, którzy byli ze mną podczas bitwy pod Kadeszem, którzy zamieszkiwali zakłęcia Ma-Krut, toteż gdy nasze spojrzenia się zwały, moje okazało się równie zażarte jak jego. Spór pozostał nie rozstrzygnięty. Myślę, że ośleplibyśmy, wpatrując się w siebie, gdyby nie stanęła między nami Nefertari i nie powiedziała spokojnie: – Jeżeli twój ojciec umrze, będę potrzebowała was obu.

Amen-kep-szu-ef wyszedł z pokoju. Nie mógł znieść myśli, że nie dano mu szansy zwycięstwa. Nie wierzył, by mógł kiedykolwiek przegrać, toteż interwencja matki pozbawiła go po prostu nagrody. Tak to przynajmniej widział. Ja nie byłem taki pewien. Gdybym zmrużył powieki, pewnie musiałbym zaraz wyciągnąć krótki miecz i zabić go. Gdybym go zabił, musiałbym zabić także i ją, a potem musiałbym zabijać wszystkich, aż wreszcie ktoś dosięgnąłby i mnie. W tej samej chwili poczułem szczęście dzielnych mężów i znalazłem się blisko Nefertari. Broniała własnego życia, wtrącając się między nas. I wtedy poczułem to samo, co odczuwałem już jako chłopię – jestem prawym synem Amona, i że to Ukryty wszedł w moją matkę. Jakże inaczej wyjaśnić to, że wytrzymałem spojrzenie Amen-kep-szu-efa? Nie można tego było inaczej wyjaśnić. I roześmiałem się, uświadomiwszy sobie, że targany wściekłością okazał się takim głupcem, iż zostawił ją sam na sam ze mną.

Uśmiechnęła się łagodnie, ale powiedziała:

– Dlaczego Sesusi wybrał ciebie na mojego sługę?

– Czy pytasz dlatego, że jestem twoim przyjacielem?

Nie od razu odpowiedziała, ale zbliżyła się ku mnie.

– Rozumiem wątpliwości Amen-kep-szu-efa – rzekła.

Ukloniłem się. Siedmiokrotnie uderzyłem czołem o ziemię.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, aż do chwili gdy słowa wydobyły się z moich ust. – Mam być obecny w chwili, gdy umrze Usermare – rzekłem – taki mi wydał rozkaz.

Kiwnęła głową. Wiedziała o tym, czego nie dopowiedziałem. Bliskość jej śmierci stała się namacalna jak szata podawana przez sługę.

– Dlaczego mi o tym powiedziałeś? – spytała. – Czyżbyś nie miał zamiaru go posłuchać?

Już miałem odpowiedzieć: „Nigdy nie posłucham tego rozkazu. Twoje serce jest mi droższe niż jego serce”, ale nic takiego nie powiedziałem. Mądrość najprzebieglejszych bogów dotknęła mego języka i rzekłem: – Nie sądzę, bym spełnił ten rozkaz, ale nie mógłbym przysiąc.

Wówczas spojrzała na mnie innym wzrokiem. Ujrzałem w jej oczach coś, co obiecywało mi o wiele więcej niż czułość, we wzroku tym ciał się wręcz szacunek. Poczula dla mnie podziw, zrozumiałem, że ośmieliłbym się ją zabić. Taka odwaga musi być sprawą boską. Jakżeby w innym przypadku królowa mogła zwrócić uwagę na kogoś takiego jak ja, gdyby bóg przeze mnie nie przemówił?

– Tak – powiedziała – pewnie tak jest. Ma-Krut szaleje za tobą. – Uśmiechnęła się rozkosznie tym uśmiechem, który mówił, że wystarczy, bym okazał nieco odwagi, a wszystko może się wydarzyć.

Oczywiście, że była królową. Serce monarchini jest jak labirynt wnętrzości. Wężowe sploty na każdym kroku. Byłem więc pewien, że poza iskrą uczucia dla mnie tlił się w niej jeszcze ogień małżeństwa. Musiała być pewna, że Usermare jeszcze ją kocha, skoro kazał ją wysłać w ślad za sobą w chwili, gdy umrze!

XII

Usermare nie umarł. Czwartego dnia otworzył oczy, piątego przemówił, szóstego uniósł głowę, a następnego wstał z łóżka. Zaraz potem zażądał swego rydwanu i udał się do Ogrodów Odosobnienia. Nadal utrzymywałem poprawne stosunki z Peptim, którego często spotykałem rankiem przy bramie. Opowiadaliśmy sobie wiele, każdy o sobie, toteż dowiedziałem się wkrótce, że zaraz po przejechaniu bram Ogrodów Usermare udał się do Ma-Krut i spędził z nią noc, a odgłosy ich rozkoszy głośniejsze były niż porykiwania lwa i hipopotama. Następnego dnia Kulka Miodu zachowywała się jak królewska małżonka i promieniała radością.

Śmiałem się w duchu po każdym słowie nędznego Peptiego (jego twarz zdradzała takie zadowolenie z siebie, jakie bywa właściwe wyłącznie eunuchom, pewnym, iż zrodzili się z nasienia Błogosławionych Pól), ale zaznałem chłodnej goryczy kupca, który leży nagi w rowie, podczas gdy rabusie oddalają się z łupami zabranymi z jego karawany.

Zastanowiwszy się jednak dokładniej nad sytuacją, nie wiedziałem, czy właściwie wygrałem, czy straciłem. Może parę spośród jego najlepszych kłatw przejdzie teraz na jej własność. Wiem wszakże, że ledwo zdążyłem wrócić, a już eunuch Kulki Miodu, Rycyna, czekał pod moim domem. Wręczył mi długie czerwone piórko i odszedł w milczeniu. Umówiliśmy się już dawno, zanim opuściłem Ogrody, że w ten sposób da mi znać, iż pragnie się ze mną spotkać jak najspieszniej, za wszelką cenę.

Podczas choroby władcy w pałacu panowało zamieszanie. Przyczyniali się do tego głównie ci, którzy snuli ambitne plany w nadziei, iż rychło umrze. Kiedy wyzdrowiał, nadzieje owe rozwiały się. A poza tym zamieszanie panowało także między bogami. Iluż to bogów wezwano, gdy kapłani i możni modlili się za pomyślność jakiegoś konkretnego następcy. Wiem, że wiele rozprzężenia i nieładu wkradło się do pałacu w czasie jego rekonwalescencji. Nie odprawiano jak należy obrzędów w świątyni, w wielu rachunkach przedkładanych jego urzędnikom odkrywano błędy w dodawaniu, pod wielką komnatą tłoczono się zaś jak nigdy. Służba i pisarze, nawet gubernatorzy z odległych rejonów zgłaszali się z raportami, których nikt nie czytał podczas choroby władcy.

Nie zwracałem uwagi na większość tego typu wydarzeń. Mijałem wielką komnatę, ale nie przeciskałem się dalej. Jeszcze bardziej pilnowałem Nefertari niż poprzednio, a i ona pragnęła, bym był w pobliżu. Ponieważ nie wiedzieliśmy, jak bym postąpił, gdyby Usermare umarł, tym bardziej nie wiedzieliśmy, co robić teraz, skoro przeżył. Nie było dnia, by nie wydobywała swego zwierciadła – przyglądaliśmy się sobie nawzajem, studiowaliśmy Ka naszych twarzy i poznałem wiele spośród czternastu Ka, które miała, przynajmniej częściowo. Ledwo jakaś chmurka musnęła rąbek słońca albo powiew wiatru zaszumił między kolumnami patio, a już inny spośród czternastu jej Ka odbijał się w zwierciadle. Czasami rozmawiała ze mną wyłącznie za pośrednictwem zwierciadła, szczególnie w te poranki, gdy po pałacu roznosiła się wiadomość, iż władca udał się właśnie do Rama-Nefru. Nefertari zdawała się mówić: – Nie przyjdzie do mnie, zanim nie poproszę o wybaczenie za zupę, która rozlała mu się na piersi, ale nie uczynię tego. Chłostano mego biednego sługę, aż wyzionął ducha. – Pokiwała głową gestem zdradzającym zranione serce. – Córka tego biednego sługi jest niewidoma i swego czasu miała najpiękniejszy głos w mym chórze

niewidomych. Od czasu gdy zabito jej ojca, nie jest w stanie nawet zakwilić jak ptaszek. – Nefertari popatrzyła na mnie i rzekła: – To wszystko wina tej kobiety o farbowanych włosach.

W ten sposób mówiła o Rama-Nefru. Tak dalece nią gardziła, iż mówiła o bielidle – sesher, co jak wiadomo, oznacza również nawóz. Bez przerwy wymieniała słowo sesher, aż wreszcie piękne włosy Rama-Nefru zaczęły z opisu przypominać białe, wypróżnione i zbielałe na słońcu kiszki. Nie podobało mi się okrucieństwo Ka w twarzy Nefertari, gdyż przywołane do lusterka nie chciało ustąpić. – Hetytka nienawidzi Usermare – mówiła moja królowa. – A on cierpi tak straszliwie, że aż nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie może zdawać sobie z tego sprawy, gdyż jest zbyt silny, by poznać własną nędzę. Nie spadłby tak szybko ze Złotego Brzucha, gdyby jego zmysły nie zostały stępione. Oto jak się kończy głupia miłość do tej Hetytki z wybielonymi włosami.

Wreszcie powiedziała do mnie:

– Chciałabym, żeby jej wypadły wszystkie włosy. Zapłaciłabym za to każdą cenę.

Ileż sił tchnęły we mnie te słowa! Ubóstwiałem ją, obawiam się, niczym boginię. Nie wierzyłem, mimo najszczęszych wysiłków, by udało mi się jej oprzeć, gdyby na mnie skinęła. Mogłem sobie być synem Amona, ale bóg miał większych synów. Powtórzyła jednak tylko:

– Zapłaciłabym za to każdą cenę – a jej oczy przemówiły tak wyraźnie do nasienia i wężów mego podbrzusza, że po raz pierwszy w życiu zapragnąłem jej całą duszą bagna. Obudził się we mnie Set. Pożądałem jej między udami, w Ka Izydy.

Nefertari powiedziała potem, że muszę złożyć wizytę Kulce Miodu.

Nie mówiłem jej o tym, że będzie to niebezpieczna wyprawa. Ukłoniłem się i wyszedłem, a potem znów się skłoniłem, gdyż ujrzałem nadchodzącego Amen-kep-szu-efa. Nie patrzyliśmy sobie w oczy. Nie mogliśmy stanąć oko w oko, chyba że nasze miecze skrzyżowałyby się w powietrzu. Dowiedziałem się jednak, że przybył pożegnać się z matką. Ponieważ zamieniliśmy parę słów (wpatrując się w usta rozmówcy, jakby były fortecą, którą trzeba wziąć oblężeniem), z których wynikało, iż rusza barkami w dół rzeki, na jedną z kolejnych mniej ważnych wojen z Libią, na jeszcze jedno oblężenie. Takie były rozkazy Usermare. Życzyłem mu powodzenia z wyszukaną uprzejmością i doszedłem do wniosku, że jego odjazd to dobry znak.

Po jego odejściu udałem się do Wrót Poranka i Wieczoru w Ogrodach Odosobnienia i poprosiłem jednego z dwóch stojących tam eunuchów, by posłał po Peptiego. Już po chwili rozmawialiśmy przez wąską szczelinę w murze tuż przy bramie.

– Spokój panuje w mej duszy – powiedziałem. – Mam nadzieję, że i w twojej.

– Spokój panuje i w mojej.

Nie powiedział nic więcej. Zaczął się śmiać, a w jego wykonaniu śmiech brzmiał tak samo jak płacz. Jak zauważyłem, wielu eunuchów nie potrafiło odróżnić śmiechu od płaczu – tak dalece życie ich różne było od naszego.

– Prawdę mówiąc – powiedział – w Ogrodach Odosobnienia panuje zamęt. – A potem zaczął mi opowiadać o kłótniach między małymi królowymi i o brutalności eunuchów. Niektóre domy sprawiały wrażenie zapuszczonych. Noc, którą Usermare spędził u Kulki Miodu, bardzo wszystkich wytrąciła z równowagi. Westchnął.

– Chyba to wszystko wina przyboru wody.

– Przychodzę zawiadomić cię o jeszcze większym zamieszaniu, które was czeka. Domy zostaną przeniesione, a wielkie królowe otrzymają nowe łoża.

Zakrzyknął, zdając sobie sprawę z ogromu zmian, to znaczy w jego oczach pojawiły się łzy, ale nie byłem pewien, czy przypadkiem nie śmieje się wesoło. – Żadnego takiego zamieszania nie będzie w najbliższym czasie – rzekł. Zajrzałem do jego napuchniętych, ogromnych oczu, które były

zawsze wybałuszone, jak gdyby ktoś wiecznie ścisnął go za gardło. – Jedyny – rzekł – kocha blade złoto słońca. Gdy przebywa z nią, trzyma słońce w ręku.

– Tak było. Ale od czasu, gdy spadł z lektyki, nudzi się w towarzystwie tej Hetytki.

Pepti wzruszył ramionami. – Poprosił Ma-krut, by mu dała czary, bo chce, żeby Hetytka bardziej go kochała.

– Ma-Krut opowiada ci znacznie więcej niż mnie.

– Jestem eunuchem.

Pokiwałem głową. – I jesteś mądry. Powiedziałem królowej Nefertari, że jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam. Odpowiedziała mi, że takiego człowieka potrzebujemy na wezyra!

Był zadowolony, ale nie ufał mi. Był na to za mądry.

– Szkoda, że nie było cię przy tym, szkoda, że nie słyszałeś ciepła w głosie królowej, gdy mówiła o tobie – rzekłem.

– Czy wiesz, jak bardzo nienawidzi człowieka, który jest obecnie wezyrem?

– Słyszałem. – Może i był mądry, ale bardzo chciał mi uwierzyć.

– Czy Jedyny – spytał – w ogóle liczy się z Nefertari?

– Już niedługo zacznie się liczyć.

Pepti popatrzył na mnie, jakbym był głupcem.

– Nie – odparłem – mylisz się. Inne się zmieniają. Prędzej czy później zawsze do niej wraca. A kiedy wraca, ona nie zapomina o tych, którzy byli jej wierni. Bądź jej wierny teraz, a spotkają cię najwyższe zaszczyty.

Zasepił się. – Nawet gdyby było tak jak mówisz, Jedyny nigdy nie zgodzi się na to, żeby wezyrem został eunuch.

– Nie – zaprzeczyłem – mylisz się. Sesusi ufa wyłącznie eunuchom. – Powiedziałem to z goryczą, jakbym żałował, że to nie ja zostanę wezyrem. – Sesusi nie ufa mężczyznom – rzekłem – tylko eunuchom.

Pepti wreszcie mi uwierzył. Okrucieństwo mego spostrzeżenia przekonało go. Zawsze można było ufać okrucieństwu.

– Ty – powiedział, tym razem naprawdę płacząc – sam bardzo byś chciał, żebyś został wezyrem. Wtedy mógłbyś za moim pośrednictwem wpływać na dwór.

– Nieprawda – odrzekłem – nigdy bym się na to nie zdobył.

Uśmiechnął się, jakbym głosił oczywiste bzdury. Ale ufał mi coraz bardziej. Wiedziałem, o czym myśli. Gdyby został wezyrem, dałby mi odczuć, że jego wola jest potężniejsza niż miecz, którego już nie ma między nogami.

– Mój przyjacielu – powiedziałem – niechaj nadejdzie ten dzień, gdy zostaniesz wezyrem. Okaze się wówczas, czy to ja przemawiam przez ciebie, czy ty przeze mnie.

– Nie czuję się bliski królowej Nefertari.

– Ale jeżeli pomożesz jej teraz, nigdy ci tego nie zapomni.

– A skąd się dowie, że to właśnie ja jej pomogłem?

– Kazała mi porozmawiać z Kulką Miodu. Dobrze wie, że nie mogę tego dokonać, jeśli nie okażesz się jej przyjacielem.

– Jeżeli to wyjdzie na jaw, odrąbią mi ręce.

– Nie, sprawa jest prosta – odparłem. Powiedziałem mu, że może odesłać jednego z eunuchów przy bramie na rynek, drugiemu dać jakieś zajęcie w domu jednej z małych królowych, a na ich miejscu sam stanąby na warcie. Wtedy Kulka Miodu mogła nadejść od strony ogrodu i zatrzymać się przy tym samym otworze w murze. Mimo że była gruba, nikt jej nie dojrzy spoza murów, tym bardziej że będzie schowana w gęstym listowiu.

Był ostrożny. Nawet przy obecnym zamieszaniu, jakie panuje w Ogrodach – a wczoraj w nocy pito piwo głośniej niż kiedykolwiek, Pepti nie był pewien, czy Kulka Miodu zdoła przejść całą drogę z domu do muru, nie zwracając na siebie uwagi. Kulka nie stąpała leciutko. Ale obiecał, że postara się z nią porozmawiać. Miałem wrócić wieczorem, on będzie czekał po drugiej stronie muru.

Żaden wezyr nie zdołałby mnie równie szybko odesłać. Gdyśmy się spotkali wieczorem, powiedział, że Kulka Miodu gotowa jest zaoferować swe usługi królowej Nefertari, ale życzy sobie, by uznano jej wysoką godność, zapraszając specjalnie i ją, i całą jej rodzinę na Festiwal Festiwalu.

Nefertari nie była zadowolona. Mogła ją zaprosić, ale chodziła tam i z powrotem po komnacie. Spokój przysł. Zobaczyłem jeszcze jednego spośród jej czternastu Ka.

– Gotowa jestem wynagrodzić Kulkę Miodu – powiedziała – to oczywiste, że zostanie nagrodzona. Ale nie znoszę jej rodziny. Podczas mojej ostatniej wizyty w Saidzie zabawiali mnie i okazali się całkiem przeciętni. Bardzo bogaci i bardzo pospolici. Mają fabrykę papierusu i nawiązują kontakty z każdą świątynią Amona w ich rejonie. Sama szacowność, sądząc po pozorach. Ale prababka Ma-Krut była prostytutką. Tak powiadają. I wierzę w to. Widać to po nich – wystarczy spojrzeć, jak jedzą. Cała rodzina zbyt starannie wyciera palce. Zbyt szybko zaczynają mówić o przodkach, gdy nalewają wino. Sięgają pamięcią wstecz o dwadzieścia pokoleń. Zapewniają cię o tym. Mają czelność – och, toż to doprawdy prostacy – wymieniać nazwiska swoich przodków, jakby to byli jacyś znaczni obywatele! I to w mojej obecności! Już im miałam powiedzieć, że jeżeli chodzi o rodzinę, to mogłabym wymienić Hatszepsut i Tutmosisa. Ale bez przerwy gadali tylko o swoich przodkach! Dwadzieścia pokoleń dziwek i złodziei! Toż to ludzie z bagien. O nie – powiedziała – nie chcę ich widzieć na moich pokojach. Nie wiem zresztą, czy zależy mi także na obecności Kulki Miodu. Otrzymała doskonałe wykształcenie i zna się na perfumach równie dobrze jak ja – o nikim innym nie potrafiłabym tego powiedzieć – ale brzydzi mnie jej tusza. Toż to prawdziwe kpiny z Maat! Lubię Kulkę Miodu, znałyśmy się już jako dziewczynki, podziwiam jej głos. Gdyby oślepla, traktowałabym ją jak boginię za samą przyjemność, jaką sprawia mi jej śpiew, ale z drugiej strony muszę ci szczerze wyznać, że wygląda jak hipopotam i jest niechlujna. Ma w sobie szlachetną krew, ale najniższego rodzaju. Jej rodzina robi interesy z przewoźnikami górien.

Ośmieliłem się odpowiedzieć, że chodziło tylko o zachowanie jej paluszka.

– Tego, który odciął Usermare?

Gdy przytaknąłem, Nefertari roześmiała się ożywiona:

– O tym Sesusi nigdy mi nie opowiadał. Nie potrafi dobrze opowiadać – westchnęła. – Uważasz, że powinnam ją zaprosić?

– Lepiej mieć w Ma-Krut przyjaciela niż wroga.

– Jeszcze lepiej mieć we mnie przyjaciółkę. – Usiadła.

– Chodź tutaj. Popatrz w lusterko. – Miała rozbawiony wzrok. – Lubię Ma-Krut. Gdy Sesusi i ja byliśmy młodszy, tylko o Ma-Krut byłam zazdrosna w Ogrodach Odosobnienia. Powiedz mi, Kazama, czy mam prawo być zazdrosna?

– Skąd mam wiedzieć, o Wielka i Dobra Bogini! Dostęp do małych królowych jest surowo zabroniony.

– Wszyscy wiedzą o tobie i o Ma-Krut. Nawet jej siostra. Od niej się dowiedziałam. Jej siostra pisuje do mnie. Widzisz, naprawdę się przyjaźnię z jej rodziną. Tyle że to tacy pospolici ludzie.

– Czy wie o tym Dobry i Wielki Bóg?

– Chyba tak.

– I nie gniewa się?

– A dlaczegoż miałby się gniewać? Już cię przecież posiadał od strony odbytu. – Nareszcie zrozumiałem, jak bardzo jest wściekła. Zła była, że ośmieliłem się przekazać jej prośbę Ma-Krut. „Ależ skąd! – pomyślałem – Usermare nie mógł słyszeć o moim romansie w Ogrodach! Nefertari ukarała mnie po prostu”. Zacząłem rozumieć, jak głębokie było jej oburzenie, gdy się przekonała, że nie przyniosłem czarów Ma-Krut, żądając w zamian zapłaty. Popatrzyła na mnie za pośrednictwem lustra. W jej oczach nie było ni cienia miłości.

– Powiedz Kulce Miodu, że zatrzymam jedno miejsce dla niej, dwa dla jej rodziców i jedno dla jej siostry. Ani jednego zaproszenia więcej. – Odwróciła wzrok od zwierciadła i spojrzała na mnie wprost. Mógłbym równie dobrze być sługą.

– Śpij dobrze – rzekła.

Nie spałem.

XIII

Następnego ranka spotkałem się z Peptim w Szerokim Pałacu. Znajdował się po drugiej stronie tronu w długiej kolejce urzędników czekających na rozmowę z królem. Mogłem więc tylko odpowiedzieć skinieniem głowy na nieme pytanie w jego spojrzeniu i musiałem poczekać do wieczora, do spotkania przy Kebut Keper – tak małe królowe szumnie ochrzciły otwór w murze, przez który rozmawialiśmy z Peptim. Jakże ironiczna była ta nazwa otworu chrząszcza – otworu stworzenia. Do niczego bowiem nie służył. Co najwyżej od czasu do czasu jakaś mała królowa poszeptowała sobie z woźnicą rydwanu.

Posługując się kijem, Pepti przepchnął ku mnie zawiniątko od Kulki Miodu, zapakowane w len i pachnące kadzidłami. Było dłuższe i węższe niż starannie owinięty mały palec, ale woń, jaka się odeń rozchodziła, była mi całkowicie nie znana. Gdy wróciłem, straż wezyra czekała przed komnatą, w środku zaś wezyr rozmawiał z Nefertari. Wizyta wprawiła ją w doskonały nastrój. Pojawił się u niej w pałacu po raz pierwszy od wielu miesięcy, toteż zakpiła sobie zeń, przedstawiając mnie, i powiedziała: – Kazama jest moim wezyrem – co sobie skrupulatnie zanotował w pamięci. Był człowiekiem bacznie śledzącym fortuny innych, kimś takim jak pilot łodzi nieustannie badający wiatr, toteż ukłonił mi się, rzucając spojrzenie obiecujące wiele przyszłych rozmów. Potem wyszedł, a ona powiedziała:

– Ten człowiek nie popełnia błędów. Mam nadzieję, że to samo można powiedzieć o tobie.

Wzięła niewielkie zawiniątko. W środku znajdował się kawałek papirusu i kosmyk jasnych włosów. Ujęła kosmyk w dłoń i popatrzyła nań z niechęcią.

– Jest sztywny niczym szczecina z wolego ogona – rzekła i przyjrzała mu się uważniej. – No pewnie – dorzuciła – przecież to jest włosie z wolego ogona. – Raz jeszcze przyjrzała się kosmykowi.

– Włosy czarne – odczytała z papirusu – pobłogosławione potężnymi zaklęciami, a następnie ufarbowane. Kiedy czarne włosy jaśnieją, blond włosy wypadają. – Następnie wydała okrzyk niezadowolenia.

– Spójrz – powiedziała, wskazując na ciemne, zaschnięte zgrubienie na papirusie – przecież to nie jest воск, lecz zdechły robak! Każę mi zmieszać tego robaka z moją pomadką i przespać się z tym. Mam spać z tym robakiem we włosach i z ogonem wołu pod łóżkiem. O nie – mówiła, czytając dalej – nie pod łóżkiem, ale pod wezgłowiem! Niedobrze mi.

Nie wyglądała dobrze. Robiłem, co mogłem, by ją pocieszyć. Wyjaśniłem, że każda czarodziejka, która posiada wystarczającą moc, by zniszczyć przeciwnika, musi sobie przysparzać niewygód. Nie można ściągnąć na kogoś choroby, nie cierpiąc po trosze samemu. Nie pytałem, dlaczego potrafiła bez chwili namysłu posłużyć się odchodami Usermare, by roztrzaskał głowę na marmurze, natomiast w tym wypadku grymasiła. W gruncie rzeczy rozumiałem ją dobrze. Kobieta bardziej obawia się czarodziejskich uroków rzuconych na drugą kobietę niż na mężczyznę. Nie śmiałem także powtórzyć ostatniej instrukcji Peptiego. Przez siedem dni miałem chodzić do Kebut Keper po następne zawiniątko. Każdego wieczoru Nefertari miała otrzymywać nowe instrukcje.

Istotnie, drugiego wieczoru było gorzej. Kazano jej wyjąć kosmyki jasnych włosów spod wezgłowia i trzymać je w ręku podczas snu, trzeciego dnia musiała je włożyć do woreczka i

przywiązać sobie do brzucha, czwartego zawiesić na szyi. Potem zasnęła z woreczkiem między udami i nie była już tak oburzona. Czary faktycznie działały.

Ale z drugiej strony cały dwór dowiedział się o tym, jak straszliwie cierpiała Rama-Nefru i jak okropnie przeczyściło jej żołądek. Ja sam ujrzałem ją w pięć dni później. Król trzymał ją w ramionach, a jej ciało zwijało się niczym wąż i rozwijało, zwijało i rozwijało, królewski doktor trzymał zaś złotą miednicę przed jej ustami. Kazano mi wyjść z pokoju. Wiedziałem, że korzystano także z królewskiego nocnika. Wypróżniała się od samych korzeni żołądka i wnętrzości. Nieco później tego samego dnia dowiedziałem się, że zaczęły jej wypadać włosy. Takie plotki rozeszły się po dworze szybko, niczym wody wylewającego na wiosnę Nilu.

Usermare złożył wizytę Hekwat. Przywołano małą królową z Ogrodów jako Syryjkę, by wyleczyła kobietę, która pochodziła z ludu bliskiego Syryjczykom, Hekwat zaś poprosiła o skorupę żółwia znad Wiecznej Zieleni. Doktorzy i posłańcy przetrząsnęli wszystkie rynki Teb, by znaleźć tak dziwny przedmiot, Hekwat wygotowała go na galaretkę, a następnie wymieszała z tłuszczem świeżo ubitego hipopotama. Używano tej pomadki codziennie, ale powiadano, iż Rama-Nefru straciła już wszystkie włosy.

Nefertari rozwodziła się nad Hekwat:

– Choroba to nic wesołego – rzekła – ale jeśli w dodatku pielęgnuje nas kobieta o twarzy ropuchy, to już prawdziwa katastrofa. Powiedz mi, czy Sesusi kochał się kiedyś z Hekwat? – Gdy przytaknąłem, pokręciła głową z podziwem.

– Naprawdę jest bogiem – rzekła. – Tylko bóg mógł rozkoszować się Kulką Miodu i Hekwat. – Tej samej nocy?

– Znów podniosła na mnie wzrok. Skinąłem powtórnie głową. – Zaprawdę zrodził się z lędźwi Seta – powiedziała.

Ale wyraz jej twarzy zdradzał duże rozbawienie. – Musisz mi wszystko opowiedzieć o sobie i o Kulce Miodu.

– Nie śmiem – odparłem.

– Och, opowiesz, opowiesz.

Była w doskonałym nastroju. Zastanawiałem się, dlaczego wcale się nie niepokoi poświęceniem Usermare dla cierpiącej Rama-Nefru. Okropna choroba jakoś go nie odstraszała. Ani razu nie odwiedził Ogrodów Odosobnienia w okresie choroby Rama-Nefru. Mimo to wspaniały nastrój Nefertari pozostawał niezłamany, toteż zacząłem się zastanawiać, czy nie popadła czasem w szaleństwo, spowodowane czarami – być może doszło do delikatnego przechylenia szalek wagi Maat.

I faktycznie, dokładnie w tym samym czasie Nefertari zaczęła lekko kuleć, gdyż rwało ją w kościach, w miejscu, w którym biodro łączy się z udem. Utykała bez przerwy. Jeżeli jednak popadła w szaleństwo, to nastrój jej był nadal wyśmienity i nie zwracała po prostu na nic uwagi. Była królową i miała poważniejsze oraz bardziej osobiste zmartwienia. Powiedziała kiedyś, że Sesusi zawsze zapewnia o swym oddaniu, ale szybko się nudzi – po czym wybuchnęła perlistym śmiechem. Pozostanie jej wierny aż do dnia, kiedy nie będzie w stanie wytrzymać z Rama-Nefru ani przez chwilę. Wtedy odeśle ją, łysą i wycieńczoną, w peruce, w błękitnej peruce, z powrotem do Hetytów, a ci oczywiście wypowiedzą nam wojnę, obrażeni taką zniewagą. Amen-kep-szu-ef zdobędzie wreszcie sławę, zamiast starzeć się, spędzając lata na drobnych obłęzeniach, wtedy zaś Usermare zestarzeje się ze mną. Zaznam jeszcze potęgi Hatszepsut! Chwyliła mnie za rękę, wypowiadając te słowa, a ja poczułem, że trawi ją gorączka.

Ale i reszta dworu musiała dojść do podobnych wniosków. Wizyty wysokich urzędników na jej dworze stały się znacznie częstsze. Do tej pory bywało i tak, że całymi dniami w pałacu nie było

nikogo poza jej służbą, garderobianymi, kuchtami, woźnicami i paroma starymi, małostkowymi, gadatliwymi przyjaciółmi. Teraz pojawił się nawet Gubernator Skarbcza Głównego Egiptu ze swymi pisarzami, wszystkimi ośmioma – by pokazać, jak bardzo ceni sobie zaszczyt goszczenia u niej – a potem zaczęli się pojawiać tajni doradcy, książęta, sędziowie, nawet Gubernator Pałacu i Lord Szambelan – wszyscy ci starcy nie byli, moim zdaniem, najbliższymi powiernikami Usermare. Wydaje mi się, że byli to raczej starzy znajomi z okresu, gdy Nefertari była niekwestionowaną królową Egiptu. Byłbym pewniejszy odmiany jej losu, gdyby możni stojący bliżej Rama-Nefru także pojawili się wśród gości.

A przez cały ten czas Nefertari żaliła się rozszczebiotanym głosem. – Bardziej podobało mi się życie w tych godzinach – mawiała – gdy byliśmy sami i mogliśmy godzinami spoglądać na swoje odbicia w lustrze. – Potem dotykała mnie delikatnie za uchem lub przejeżdżała opuszkami palców po moim ramieniu. Nigdy dotąd nie czułem równie bogatych wrażeń na skutek równie błahej podniety, wyjąwszy naturalnie przeżycia z okresu pobytu u tajnej kurwy króla Kadeszu. Jej oczy przemawiały teraz do mnie bez pośrednictwa zwierciadła, jej palce swawoliły po mojej szyi, a gdy znajdowaliśmy się sami, jej szaty okazywały się coraz bardziej przezroczyste. Zdawałem sobie sprawę z cudów, jakich można było dokonać dzięki splotom Inu – wiele kobiet stroiło się od święta w przepaski, toteż ich ciała widać było pod szatami równie wyraźnie, jak jawiły się one później ich mężom. Dowiedziałem się jednak, że nawet w tych cieniutkich zasłonkach ze splecionego powietrza, jeszcze cieńszych niż niemal przezroczysta szata, w jaką odziana jest dzisiaj moja wnuczka, można było wyróżnić tkaniny tak delikatne, iż zdawało się, że to pająki utkały niteczkę. Nefertari nosiła je zawsze w delikatnych barwach, toteż nigdy nie byłem pewien, czy jej szata była zabarwiona jak żółta róża, czy też mieniła się w świetle świecy, ale zarazem wiedziałem na pewno, że wyraźnie rysuje się złoto jej ciała, a tam, gdzie jej cudowne piersi dotykały materiału, złotoróżowe sutki uzyskiwały głębszy cień, mieniając się barwami różu i brązu.

Podniecało mnie to, ale w milczeniu wzdychałem tylko sam do siebie. Byłem lwem bez nóg. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie równie dotkliwie sprawy z mojego skromnego pochodzenia jak wówczas, gdy mierzyłem słabiutkie siły na zamiary związane z jej Ka Izydy. Byłem pewien, że nawet gdyby Nefertari omotała mnie najsilniejszymi czarami Kulki Miodu (a gdzie mogłem o tym marzyć), to i tak mogłem się ostatecznie okazać nieczuły i prostacki, powolny i niezgrabny jak trup. Jeżeli chodzi o amory z królową, na barkach mężczyzny zawsze spoczywa wielki głaz.

Toteż wpatrywałem się w nią za pośrednictwem zwierciadła, wkładając cały głód moich zwiotczałych członków w żarliwe spojrzenie. Pożądałem jej oczyma, ubóstwiałem ją, napełniałem powietrze miodem. Chyba podobały jej się te wieczory, gdy inni już odchodzili, a my zostawaliśmy sami. Jej pożądanie zdawało się wzbierać jak rzeka za murami pałacu, ale moje lędźwie były jak kraina siekana deszczem i owinięta chłodną mgłą. Pomyślałem sobie o jej pogardliwych wypowiedziach na temat rodziny Ma-Krut i zacząłem się zastanawiać, dlaczego mnie pożąda. Doszedłem do wniosku (może usłyszałem szept Ma-Krut wsączającej mi mądrość do ucha?), że żadna zniewaga nie mogła zranić Usermare równie dotkliwie, jak dotyk chłopskiego ciała do jej królewskiej skóry.

Toteż siedziała obok mnie, wieczór za wieczorem, w szacie z utkanego powietrza, a ja, zafascynowany każdym ujawnieniem gaju poniżej podbrzusza, zacząłem się czuć jak kapłan gotów uklęknąć przed ołtarzem, nie jak wojownik gotów zdobyć bramy jej grodu. Jej też musiało to zacząć sprawiać głęboką przyjemność, gdyż nadeszła noc, podczas której zdecydowała się opowiedzieć mi o tym, jak kochał ją Amon. Zacząłem się zastanawiać, jak ja, nie mając żadnych szans na sprostanie lędźwiom faraona, potrafię się pozbierać z popiołów jej opowieści.

– Tego roku, kiedy byłam panną młodą – zaczęła – Usermare był najpiękniejszym spośród bogów, lecz ja ujrzałam samego Ukrytego. Jego dzida wyrosła z miecza mego męża niczym trójząb z gałęzi wyrastających z lędźwi Ozyrysa. Ujrzałam błyskawicę i walkę dzików z hipopotamami. Najmroczniejsza z jego trzech dzid przeszła wnekę Seta, a mimo to Ka Izidy był jeszcze w stanie przełknąć tajemne imię Re (czyli drugą gałąź) i jego trzeci miecz (który był niczym strzała Ozyrysa), uniesione jak tęcza nad naszymi ciałami. Potem popędziliśmy w jego rydwanie wysoko do słońca. Tej nocy zostałam królową Dolnego i Górnego Egiptu.

Nie poznawałam mojej królowej w chwili, kiedy opowiadała o tamtej nocy. Chyba wreszcie dojrzałam pierwszego albo ostatniego spośród jej czternastu Ka. Nigdy nie była równie piękna jak wówczas. Błysł jej oczu jaśniał niczym zorza nad morzem o północy. Ukląkłem i dotknąłem twarzą jej stóp. Zadrżały, gdy ich dotykałem.

Kostki mojej królowej pachniały jak perfumy na kamiennej posadzce i były chłodne niczym moje lędźwie, ale jej palce u nóg były jak mój paluszek, toteż umieściłem je na swoim łonie i zatopiłem twarz w jej kolanach. Jej palce zaczęły dotykać włosów mojego podbrzusza i zastygły tam jak przestraszone myszki. Uświadomiłem sobie, jak bardzo jest samotna i jak bardzo podobna do ogniska w pustej jaskini. Przez cały czas palce przebierały w moim poszyciu, aż wreszcie przestały być chłodne i wonne jak kwiat, który kona na posadzce, i stały się naprawdę jak myszki, płochliwe i zręczne.

Niezwykła bryza napłynęła od kolumn patio. Nie trwała długo, lecz dotknęła mych myśli i jeden z jej powiewów, cichy i suchy jak wysychające liście, przyniósł mi świadomość bólu, jaki musiał targać włosami Rama-Nefru, podatnymi na każdy podmuch wiatru. Nefertari musiała odgadnąć moje myśli, bo kiedy podniosłem wzrok, postanowiła coś powiedzieć. Opowiedziała mi o tym, jak to wybielone włosie w ogonie wołu przysłanym przez Ma-Krut nie pochodziło od zwyczajnego zwierzęcia, lecz od samego Apisa, byka, którego hodują kapłani i kąpią w gorącej wodzie. Jego ciało, jak mi wyjaśniła, namaszcza się nieustannie słodkimi olejkami i pachnidłami z drzewa sandałowego. Dla takich byków kapłani co wieczór ścielą świeże płótna, na których zwierzę się rozkłada. Tego dnia, kiedy mają zwierzę zarżnąć, prowadzą je do ołtarza, wino zaś, którego skosztowali kapłani, zrasza ziemię niczym krople deszczu. Potem odcina się bykowi łeb, a marmury posadzki wokół ołtarza spływają krwią.

Uniosła ramiona w górę i powiedziała:

– Wiadomo mi, że ogon mojego byka skradziono po jego śmierci i że dokonał tego jeden z kapłanów. Pragnąc pokryć długi zaciągnięte na gry hazardowe, kapłan sprzedał ów ogon bogatej rodzinie.

Wzruszyła ramionami gestem, który nie pasował do monarchini.

– Właściwie dlaczego nie miałabym ci powiedzieć, że owym młodym kapłanem, który sprzedał ogon, jest mój najmłodszy syn, Kam-Uese, a niewiele można o nim powiedzieć dobrego, zarówno jako o księciu, jak i o uczciwym kapłanie. Znasz go zresztą.

Spojrzałem na nią zdumiony, a ona odrzekła: – To on przeszedł wraz z tobą przez Wrota Czarnej Świni. Jest Nadzorcą Złotego Nocnika.

– Czy przystoi księciu taka funkcja? – Nie potrafiłem powstrzymać się od tego pytania.

– Nie przystoi nawet synowi małej królowej. Ale wykryto jego kradzież. Świątynia przygotowywała się do zabalsamowania byka, a tu proszę – brakowało ogona. Przyznał się. Kapłan z biednej rodziny postradałby ręce za takie przestępstwo, ale księżę nie. Zamiast tego mianowano go Nadzorcą Złotego Nocnika. Ojciec rzadko z nim rozmawia.

Zanim miałem czas pomyśleć o tym dziwnym księciu, który tak jawnie zaniedbał swoje obowiązki i który nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia, powiedziała: – Pojedyncza kradzież

bardzo przeszkadza w rzucaniu uroków, ale ogon skradziono ponownie i sprzedano Ma-Krut za wysoką cenę. Muszę przyznać, że moc tego ogona można było wyraźnie odczuć. Wystarczyło chwilę go potrzymać, a już wiedziało się na pewno, że należał do prawdziwego byka Apisa. Bardzo mnie to ucieszyło. Spytałam Kam-Uese, a on powiedział mi, że nawet jako cielak byk ten był wspaniały. Był czarny i miał białą kwadratową plamkę na czole, na języku zaś znamię czarnego chrząszcza. Tylko jeden byk na milion, na nieskończenie wiele byków, ma tak nieomyłne znaki na ciele.

Nefertari położyła rękę na moich kolanach, a ja poczułem ciepło jej ciała.

– Gdy byłam młoda – rzekła – na rok przed odwiedzinami Amona widziałam, jak wybierano byka Apisa ma festiwal ku czci Setiego, ojca Usermare. Przetrzęsnięto wszystkie rejony kraju, by znaleźć zwierzę ze wszystkimi znakami, aż wreszcie znaleziono odpowiednie w Delcie, kapłani zaś wystali je w górę rzeki, do Memfis. Tam, przy wiwatach tłumu, byka poprowadzono przez miasto, częstując go ciastem ze zboża zmieszanego z miodem, pieczoną gęsią, a gromada chłopców śpiewała hymny na jego cześć. Potem pozwolono bykowi paść się w świętym gaju świątyni Ptaha i dobrano mu specjalne krowy. Jakże był piękny! Widziałam go, gdyż właśnie odwiedzałam krewnych w Memfis przed ślubem z Sesusim. Moja ciotka, kobieta wiecznie spragniona mężczyzn, zabrała mnie ze sobą do świętego gaju Ptaha. Tam przekonałam się na własne oczy, że tylko kobietom wolno było przyjrzeć się Apisowi z bliska. Gdy byk się zbliżał, niektóre kobiety wystawiały się na jego widok, podnosiły spódnice i pokazywały wszystko, co miały, pokazywały, kim są, wszystko to na oczach zwierzęcia. Moja ciotka też tak się zachowywała. Była wysoko urodzoną damą – prawie boginką. A jednak rozwarła uda i jęczała jak zwierzę, byk zaś walił kopytem o ziemię.

– Uważałam, że jestem zbyt młoda, by się obnażać, ale przyjemność ciotki przeniknęła do mego pępka i po ślubie z Sesusim, tej nocy, gdy Amon pojawił się przede mną, w oczach boga ujrzałam taki sam błysk, jaki widziałam w oczach byka Apisa, toteż rozwarłam nogi, o, tak.

Podniosła wówczas swoją spódniczkę z utkanego powietrza, rozwarła uda i przycisnęła moją twarz do Ka swej Izydy. Pachniało szlachetnie, jakby morzem, duchy zaś wielu srebrnych rybek żyły między jej wargami. Pocałowałam ją i leżałem tak z ustami na wszystkim, co się ku mnie otwierało, ona zaś zaczęła się trząść na całym ciele. Poczułem kopyta byka Apisa, przedzierające się przez gaik jej krzaczka i wdzierające się do jej brzucha. Ka jej Izydy stał się wilgotny pod moimi ustami i pomyślałem, że uniosła się na łodzi Re.

Ja sam jednak zyskałem to, o czym się mogłem przekonać ustami. Uspokoiła się i opuściła spódniczkę, ja zaś siedziałem blisko niej i byłem szczęśliwy, iż jakaś cząsteczka mnie zaznała jej, choć reszta mojego ciała bynajmniej nie rozgorzała.

Ona, jakby zgadując, w jaki sposób można mi pomóc, bym stał się lepszy, opowiedziała mi inną opowieść i w ten sposób dowiedziałem się o wielkiej miłości królowej Hatszepsut do architekta Senmuta, który był człowiekiem z ludu, nie zaś szlachetnie urodzonym. Jednakże Hatszepsut uwielbiała go, a on wybudował dla niej wiele pałaców i świątyń, a nawet przywiózł jej dwa obeliski z kamieniołomów, pokrywając ich wierzchołki elektrum.

– Była królową potężną, wielką jak najwięksi spośród faraonów – rzekła Nefertari. – Przywiązywała sobie do twarzy długą bródkę, taką samą jak ta noszona przez faraonów. A ponieważ bóg Hapi ma piersi, więc też i o Hatszepsut powiadano, iż jest wyposażona w członek, boski członek Ozyrysa, silny i z trzema odgałęzzeniami. Dzięki temu członkowi potrafiła kochać się ze swoim architektem. – Nefertari przerwała i zaczęła się śmiać, najwyraźniej rozradowana.

– Hatszepsut była królową siły – powiedziała Nefertari – ponieważ pochodziła od Hathor. Żaden monarcha, którego przodkiem była bogini tak potężna, nie może być słaby. Potworne plagi

spadały na miasta, gdy Hathor na nie uderzała, a w przelewie krwi była tak niepohamowana, że krew lała się i płynęła pod górę, tyle jej toczono w dolinie. Wobec takiego szału Re doszedł do wniosku, że wnet nikt w całym Egipcie nie pozostanie przy życiu. Wysłał więc wielu bogów na skrwawione pola jęczmienia, a ci sfermentowali zboża w tej krwi i przynieśli Hathor siedem tysięcy dzbanów piwa. Lwie usta Hathor pokryte były zaskorupiałą krwią i nadal zabijała na prawo i lewo. Re rzekł, by rozlano piwo, bogowie więc zalali nim łąki, aż Hathor ujrzała nowe jezioro, zaczęła pić i przestała walczyć, tylko piła i chodziła po świecie, nie zwracając uwagi na ludzkość i pozwalając jej przyjść do siebie.

Kiedy Nefertari opowiadała mi tę historię, przypomniałem sobie bitwę pod Kadeszem i poczułem zapach pola, na którym piekliśmy wieczorem mięso, dywizja Seta zaś przybyła ze wszystkimi taborami. Pomyślałem o wszystkich kobietach i mężczyznach, których znałem z obojga lub i trojga ust tej nocy. Żaden miecz nie był tak silny jak mój, wyjąwszy miecz Usermare, ale on był na innym polu i zajęty był liczeniem odcinanych rąk. Znow ujrzałem kopiec rąk, krew na ziemi, czerwonej i od krwi, i od blasku ognisk, i przypomniałem sobie rozkosz obejmowania nieznanymi kochanków i wchodzenia w nich. Zapach tych pól znow ożywił moje płuca, a moja królowa Nefertari rozgrzała mnie. W zwierciadle ujrzałem w jej oczach odbłask ognisk poboju. Pod tkaniną z powietrza piersi jej falowały szybko. Nawet mój szacunek dla niej nie przypominał już chłodu świątyni, lecz chłodne błękitne powietrze ołtarza, gdy w ogień wrzucimy sól.

Potem odłożyła zwierciadło i zwróciła uwagę na moją krótką lnianą spódniczkę. Nie patrzyła na nią z pożądaniem, lecz wyrachowaniem, w taki sam sposób, w jaki ja mógłbym oceniać nowego konia, zanim się zdecyduje dosiąść go. Potem westchnęła. Nie wiem, czy wzdychała myśląc o wściekłości Usermare, który mógłby posłyszeć jej myśli, czy też o moich niezbyt subtelnym przeżyciach, jakich doznałem za jego sprawą. Widziałem jednak wyraźnie, jak zatacza ręką krąg wokół głowy przed podjęciem następnej opowieści. Dotyczyła ona jeszcze innego architekta.

– Dawno temu, gdy ludzie byli prymitywni i nie było pomników, panował sobie niezbyt szczęśliwie faraon Horus Tepnefer-Intef, słaby król gromadzący łupy w skarbcu zbudowanym przez architekta Sen-Amona.

Władca ten obawiał się o swoje bogactwa, toteż mury skarbcza były niezwykle grube. Sam Sen-Amon wybierał kamień, gdyż znał się także na kamieniarstwie, nie tylko na architekturze. W nocy, gdy robotnicy udawali się na spoczynek, polerował jeden z kamieni i umieszczał go w murze pod tak dobrze obliczonym kątem, że potrafił go potem wyjąć ze ściany. Tak więc Sen-Amon zasypiał, wiedząc, iż bogactwa faraona mogły w każdej chwili należeć do niego.

Kiedy Sen-Amon umarł, jego syn poszedł do skarbcza z młodszym bratem i wzięli tyle złota, ile potrafili unieść. Ponieważ faraon lubił przeliczać swoje skarby, wnet odkrył kradzież. Pełen niepokoju zastawił pułapkę.

Gdy złodzieje wrócili po więcej, pokrywa sarkofagu spadła na młodszego brata, który zawołał: – Nie mogę uciec. Odetnij mi głowę, żeby mnie nie poznano. Tak też postąpił starszy brat.

Gdy faraon odkrył bezgłowe ciało, padł nań strach. Wywiesił ciało na murach głównego pałacu i powiedział strażnikom, by aresztowali tych, którzy przyjdą oplakiwać trupa.

– Jak na faraona – mówiła dalej Nefertari – był to akt potworny. Szanujemy ciała naszych zmarłych. Ten władca musiał być Syryjczykiem.

Matka biednego zmarłego złodzieja nie oplakiwała syna publicznie, lecz wysłała najstarszego, by przyniósł ciało do domu, grożąc, że w przeciwnym wypadku sama to zrobi. Kiedy brat poszedł wieczorem pod mury, udało mu się spoić strażników winem. Wnet byli spici i chrapali, a on odciął ciało brata i uciekł.

– Czy to już koniec opowieści? – spytałem. Czułem się zawiedziony. Kamień, który obracał się pod odpowiednim kątem, zaczął się obracać i we mnie. Kiedy bracia ukradli złoto, poczułem pierwsze dreszcze. Ale potem bezwładny, pozbawiony głowy trup przywalił mi piersi ciężarem niczym pokrywa trumny.

– O nie – odrzekła Nefertari. I powiedziała, że ten właśnie król, rozwścieczony przebiegłością złodzieja, zaczął cierpieć na bezsenność. Kazał nawet swej córce Suba-Sebak, słynnej z szeroko rozwartych ud (oni faktycznie musieli być Syryjczykami, dorzuciła Nefertari) otworzyć dom i przyjmować każdego – wysoko urodzonych czy pospólstwo – ktokolwiek przyszedł. Każdemu z tych mężczyzn wolno było zażywać z nią rozkoszy przez którekolwiek z jej ust, jeżeli potrafił ją przy tym zabawić prawdziwą opowieścią o najbardziej nikczemnym uczynku swego życia. Tak oto dowiedziała się o wyczynach najnędniejszych poddanych okrutnego władcy. Ponieważ wiele spośród tych opowiadań podniecało ją, mężczyźni więc mogli się sami przekonać, jak smakuje mięso w trzech ustach Suba-Sebak, tej ścierki.

Głos Nefertari stał się głębszy. Podnieciła się tak bardzo, że rozluźniła uda i dostrzegłem jej przedzielone na dwoje włosy z błyszczącym okiem Horusa. Potem głos jej, wzburzony jak pędząca rzeka, zaczął mi opowiadać o pomysłowości najstarszego syna Sen-Amona.

Przygotowując się do wizyty, odciął ramię sąsiadowi, który właśnie umarł, i schował je pod szatami. Potem udał się do księżniczki. Na jej pokojach opowiedział, jak to uratował ciało brata. Kiedy jednak księżniczka usiłowała go przytrzymać, podał jej pod szatą ramię odcięte trupowi. Wysunęło się ono z jego szat, Suba-Sebak zaś zemdląła. Kiedy tak pod nim leżała, złodziej posiadał ją przez wszystkie usta.

Kiedy wszedł Tepnefer-Intef, zapałał tak wielkim podziwem dla jego śmiałości, iż ogłosił, że mu przebaczy. Toteż syn Sen-Amona ujawnił się, pojął Subę-Sebak za żonę i stał się księciem, którego żony zaznała połowa mężczyzn w Egipcie.

Potem Nefertari uklękła przede mną, podniosła moją spódniczkę, chwyciła mego spuchniętego, lecz jeszcze uspiętego węża, uściśnęła go wąskimi, rozbawionymi paluszkami i powiedziała:

– Ach, to ramię na pewno nie odpadnie – i zaszczyciła mój członek swoją królewską twarzą. Kiedy królewskie usta zacisnęły się na moim honorze, moim pożądaniu, moim przerażeniu, moim wstydzie, mojej chwale, odczułem wyraźnie siedem wrót mego ciała ze wszystkimi ich otworami i odgłosami, ogromny zaś żar, podobny do palącego słońca, rozgorzał we mnie. Potem znów byłem sam, a żar przygasał. Już mnie nie trzymała w ustach.

– Pachniesz jak ogier – rzekła – nigdy dotąd nie wahałam nie perfumowanego ciała.

Ukląkłem i ucałowałem jej stopę, gotów niczym niewolnik lizać jej sandałki. Chciałem się ukorzyć. Pamięć jej warg na główce mego fallusa pozostała i unosiła się nade mną niczym aureola. Miałem poczucie, że mój chuj jest ze złota. Biła ode mnie poświata. Gotów byłem umrzeć. Nie musiałem się wstydzić. Kobieta Usermare dała mi swoje usta, toteż odzyskałem pośladki. O tak, z radości pragnąłem całować jej stopy i ssać jej paluszki.

– Doprawdy, Kazama, okropnie cuchniesz – powiedziała czule i otarła usta, jak gdyby nie chciała mnie znać. Ale potem uklękła i nie potrafiła się powstrzymać, by nie liznąć leciutko, jakby piórkiem, mego członka, przesuwając potem język ku skurczonej torbie jąder, wokół nich, ulotnie, wesoło.

– Śmierdzisz! Śmierdzisz jak kres ludzkiej wędrówki – powiedziała, co na dworze Usermare, na którym wyrażano się niezwykle starannie, oznaczało najgorszą dopuszczalną aluzję do odbytu, a ja zastanawiałem się, czy najgorsze wyziewy tłuszczu Ma-Krut albo pragnienie straconej świni, albo muł hipopotamów nie sączą się przypadkiem z porów mego ciała. Ale potem dostrzegłem twarz

Nefertari, a na niej zupełnie innego Ka. Jej delikatne rysy wskazywały na zupełnie inne pragnienie. Ogarnął ją szal.

– Och, uwielbiam cię za to, że jesteś taki potworny – powiedziała. – Czy byłeś ostatnio w królewskich stajniach? Czy natarłeś swego urodziwego malucha pianą z pyska ogiera? – Liznęła mnie jeszcze raz.

Skinałem głową. Istotnie przed wizytą u niej wpadłem do królewskich stajni. Natarłem się, i to pianą nie byle jakiego konia, lecz rumaka Usermare, świeżo po przejażdżce, jeszcze nie wytartego, toteż udało mi się zebrać nieco potu zwierzęcia, właściwie sam nie wiem po co.

– Jesteś chłopem. Pospolitym jak Dolny Egipt – rzekła i powąchała czubki swoich palców, zręcznych niczym skrzydełka pisklęcia, a potem polizała mnie i pocałowała, trzepocząc nad fermentem mego nasienia językiem i wargami.

Zdawałem sobie sprawę z tego, jak potężnie mści się na Usermare. Nie odrywała się od korony mego członka, nawet nazywała ją koroną, i to gruchając słodko, głosem tak czystym jak głosy jej ślepych śpiewaków. Powiedziała nawet:

– och, moja malutka korono Górnego Egiptu – i omotała ją motylimi skrzydełkami swego języka. – Ojej – dorzuciła – czyżby korona Górnego Egiptu nie pragnęła pocałunków Dolnego? – po czym jej język zwinął się jak kobra pochodząca z Czerwonej Korony, a ona roześmiała się, widząc pojednanie Obojga Królestw, jak gdyby radując się z widoku białej i czerwonej korony na skroniach Usermare, z powagą uczestniczącego w jakichś obrzędach. – Och, nie plwaj na mnie – ciągnęła – ani się waż, nie pozwól, by zabłysnęła twoja przewrotność, nie pozwól jej wyskoczyć, nie daj jej tańczyć. – A przez cały ten czas obsypywała mnie najśłodszymi pocałunkami i lizała językiem, delikatnie skrobiąc przy tym czubkami palców jednej ręki, jakby to było pięć małych grzeszków wokół moich jąder i członka. Nieustannie igrała też ze słowami w sposób, który często obserwowałem u najbardziej wyrafinowanych Egipcjan. Z tym że ich igraszki były niczym w porównaniu z tym, co teraz ze mną wyprawiała. Czuję, że jej serce nie znajdowało wytchnienia bez pochwał i pieśczot, jakimi obsypywała mego prymitywnego chłopskiego chuja (istotnie, tak właśnie go nazywała). Nadawała mi wiele innych imion, gdyż po każdym liźnięciu dowiadywałem się, że jestem „jękała” i „wzdychała”, i „ostrzy nóż”, i „ogier”, i „zapisywacz”, i „namaszczenie”, a potem, jakby już tego nie było dość, zaczęła opowiadać o mojej „przewodniczce”, o „nieczystej Hetytce”, o mojej „cuchnącej gęstości”, a wszystko to zlewało mi się w dźwięki *mtha*, choć każdy był nieco inny. Potem nagle używała wyrazu tak pospolitego jak *met*, który słyszałem codziennie, by jeszcze raptowniej przejść do słodkich pieśczotliwych wyrażen i pytać na przykład, czy podobają mi się pieśczoty mej żyłki, delikatnie gryząc mnie przy tym ząbkami, może zwiastują mi śmierć? I w rzeczy samej, gdyby nie wyczulony słuch ćwiczony w czasie służby w Ogródach Odosobnienia, gotów byłbym pomyśleć, że powiedziała: „Czy podoba ci się moja pieśczota twego gubernatora, moja śmierci, a może to tylko żyłka?” Może inne takie głupstwa miała na myśli, ale przynajmniej śmiałyśmy się oboje do rozpuku i tak dobrze nam się rozmawiało, że zaczęła podrzucać moją dumną i lśniącą już koronę wargami, przemawiając do niej słodko i nazywając ją „nefer”, z tym że za każdym razem nadawała temu słowu inne znaczenie, toteż brzmiało to słodko. – „Och, mój ty najpiękniejszy młody rumaku” – mówiła, „mój *nefer*, mój fallus, mój niski ogień, moje szczęśliwe imię, moje *sma*, mój mały chuju, mój mały cmentarzyku, moje *smat*”. Następnie połknęła tak olbrzymią część mego chuja mieszczącą się w jej królewskim gardziołku, że wręcz gryzła go u korzenia, aż zawyłem z bólu, a może gotów byłem zawyć, po czym znów pocałowała koniuszek. – Czy to cię bolało, moja mała *hen*, mój zbawco, moje *hemsi*, mój przybytku? Och, czyżbyś wytryskał?

Istotnie, mało brakowało, a wytrysnąłbym, oblewając jej twarz, tkaninę na jej piersiach i z zadowoleniem patrząc, jak rozsmarowuje powoli nasienie po skórze, jakby wcierając obelgi przeciw Usermare w ciało (już to widziałem oczyma wyobraźni), ale wytrysk zamknął się w sobie brutalnie, trzęsąc mną do samych korzeni, do moich jaskiń, chwytając mnie za serce, a ja zdołałem wciągnąć całą rozkosz z mego chuja z powrotem do jąder, zdając sobie zarazem sprawę, że wykrzesaliśmy niemałe zamieszanie. Niewiele sobie z tego robiłem. Jej pałac nie przypominał Ogrodów Odosobnienia, w których mimo murów wszystkie dźwięki były słyszane przez mieszkańców. Tutaj nie było wysokich murów wokół jej komnat. Jej sypialnia wychodziła na patio, to z kolei otwierało się na ogród, na drzewa i na staw. Powietrze było tak królewskie, tak słodkie i tak pełne ptasich śpiewów, krakania oraz pisku jej sokołów i szczekania jej psów, że nie musiała się obawiać plotek. Któż by się ośmielił plotkować? Jej osobista służba składała się z eunuchów, pulchnych jak tuczone gęsi i milczących jak ryby. Pozbawiono ich bowiem także języków – okrutny zwyczaj, ale jak się dowiedziałem, nie dlatego praktykowany, by ich pozbawić mowy (choć faktycznie mówić już nie mogli), lecz z rozkazu Usermare, by jej nie mogli lizać. Gdyby nie obawa o ich powierzchowność, poucinałby im pewnie także wargi. Naturalnie, wcale siebie tym nie zabezpieczył. Wszeptała do mnie później: – Ach, ci Nubijczycy, jakież oni mają wspaniałe palce.

Mówię o tym teraz, ale trzeba powiedzieć, że pożądanie, które we mnie wzbierało, było już jak ogień trawiący kamień. Stałem przed nią drżący, gotów rzucić się na nią i wytrysnąć moim nasieniem na wszystkie strony świata, z ogniem w kiju, z miodem w trzewiach, umysł zaś rozpałały mi jej opowieści. Musiałem wziąć się w garść, bo niewiele brakowało, a śmietanka moich lędźwi zabłysnęłaby na jej królewskiej twarzy. Targało mną jednak inne pożądanie, na dobre i na złe. Ona zaś szeptała: – Benben, benbenben – ale z takimi drobnymi drgawkami i wykrzywieniem ust, z takim oddechem, że słyszałem tylko takie słowa: – Och, wytryśnij we mnie, mój mały bogu zła, ty jebako, dajże mi swój obelisk – bo i tak można było rozumieć słowo *benben* – a potem zobaczyłem, że jej szata z utkanego powietrza gdzieś się zapodziała, że jej pole leżało przede mną odłogiem, że jej uda były jak smukłe kolumny, a jej ołtarz mokry od namiętności mego języka. – *Hath, hath, hath* – dyszała ciężko jak kotka w marcu – pierdolmy się, ulatujmy. Chodź do mego ogniska, mego ognia, mego płomienia, mego *hath*, mojej pizdy, chodź w me sidła, do mojego grobowca! Och! Wniknij głęboko w mój cmentarz, zjednocz się ze mną, kopuluj ze mną, pójdźże do swej oblubienicy, o niebiosia i ziemio, *hath, hath, hath, hath!*

Patrzyliśmy na siebie, ona leżąc na plecach, ja na kolanach, a ja wciągnąłem głęboko w płuca pamięć wszystkiego, co sobie przypominałem o najcudowniejszych chwilach mego życia – pomyślałem szybko o dziwnych przygodach, które powstrzymały mnie od wystrzelenia naraz wszystkich białych strzał. Ujrzałem powagę Bak-ne-kon-su w chwili, gdy ofiarowuje barana, i splendor Usermare w momencie, gdy liczył ręce pobitych Hetytów, a wszystkie te myśli ściągały mój ogień jak nisko pełzający dym, moje pożądanie parowało zaś na gorących głazach mojej woli. Zznałem szaleństwa lwa.

– Czy zechciałabyś – powiedziałem do niej, wciskając się w jej wargi, spuchnięte, jakby je zbito, nie wychłostano – czy zechciałabyś mieć w sobie mój obelisk, królowo Hatszepsut?

– W mojej pizdzie? O, tak! W mojej płaczącej rybie? O, tak! O, przemów do mej zapłakanej ryby, wnijdź do mej mumii, chodź do mej skorupy, powiosłuj, rzuć zaklęcie, zarźnij mnie, *szet, szet, szet*, o, zaoraj mnie, moją ziemię, popływaj w mym stawie, o, tak, wypierdol *Ka-t*, wypierdol pizdę!

Kiedy wszedłem, jej piersi zaś spojrzały na mnie niczym dwoje oczu obojga królestw, cały szacunek, który w siebie wessałem, sprawił, że aż mnie zaboląło, jak boli tęczę nikałą w burzy. Stłumiwszy ogień mych jąder, wszedłem w nią z powagą kapłana odprawiającego mszę i

przycisnąłem jej wargi, ale wargi jej otworu były tak gorące, że moje ognieomalże nie połknęły rzeki. Potem wszystko znów się uspokoiło, a ona leżała na plecach. Mój obelisk unosił się na jej rzece. Wydawała z siebie odgłosy rodzącej kobiety, a zarazem brzmiało w nich wyraźnie zaproszenie do środka. – *Aq*, proszę, wejdz, dojdź do mego wschodu słońca, dojdź do mego zachodu słońca, och, *aqaaq*, złup mnie, przejrzyj moje kryjówki, popatrz na moją *uba*, spocznij na mym dworze, wypowiedz modlitwę, odpocznij w mych wrotach. *Uba, uba*, żyj w mojej jaskini, myszkuj po mej kryjówce, *ri, ri, ri*, kamieniarzu, jesteś kamieniarzem *haa*, jesteś żeglarzem, bądź moją przystanią, moim celem. Och! – powiedziała, nieruchomiejąc nagle – nie wybuchaj płomieniem, nie wypalaj się, *haa*, odpłyń, *ken i kenu*, och, wślizgnij się do mej pułapki, hem, hem, hem, zetrzyj moje królestwo, hu, hu, hu, niechaj spadnie deszcz – wszystko słyszałem dokładnie. Wyśpiewywała chwałę moich jąderek, które trzymała w palcach zdradzających niewymowną sztukę Nubijczyków, rządziła mną dzięki magicznej władzy słów, *heq i beka*, i *hem*, a w miarę jak dla mnie śpiewała, wkraczałem w Krainę Umarłych, która żyła w jej życiu, i czułem się jak szlachetnie urodzony. Całowała mnie po kącikach ust wargami, które uszlachetniły główkę mego członka, nasze usta spotykały się, nasze języki splatały jak powietrze, po czym uczułem w uszach jej słowa: – *Netchem, netchemu i netchemut* – gruchała – o, jakże radośnie się pierdolisz, *ri, ra, rirara*. – Na twarzy Nefertari malowała się taka czułość, że to *rirara* rośło we mnie i nie było mi dość wnikanie w *nefer* mojej pięknej królowej, mojej *nefer-her*, pięknej jak deszcz w czwartej godzinie po wschodzie słońca. Była boginią, była majestatem, a jednak była bezwstydną. *Tcham* – pierdoliłem jej młodość, *tcham, tcham, tcham*, pierdoliłem jej berło i jej młodość, a nasze biodra ruszały się zgodnie. Zawołała nagle: – *Shep, sbep, shepit, shepit* – i wykrzykiwała jeszcze wiele takich słów jak *shepu, shepa i shepat*, czyli o słońcu, o promienności, o świetle, o ślepcie, o bogactwie, o wstydzie, o wymiotach, o katastrofie. *Shef, shef shef* wbij się we mnie, spęcznij we mnie, daj mi swoją broń, daj mi swą moc. *Shefesh, shefesh*, mam twój miecz, mam twój dar, daj mi swe zło, daj mi swe bogactwo, *khut, khut, khut, tehet, tehet, tehet*. O, na święty kręgosłup Ozyrysa, daj mi *tcham, tcham, tcham, qef qef, qef* pokaż mi memu Ka, trupiobiałemu, trupioczarnemu! Jestem fortecą. Aj, aj, jaka światłość, jaka wspaniałość. Wejdz głębiej swoim obeliskiem, wypierdol mnie na chwałę, wrzuć mnie w ogień. Jaka jestem bogata! Och, przestań, jestem ogniem i blaskiem, jestem twym brudem, twoimi odchodami, twoimi diabłami, twoimi przyjaciółmi, twoją przewodniczką! Och, dobrze, dobrze, dobrze, daj mi swój *benben*, ty wstrętny jebako, *nek, nek, nekk, nekk*, wypierdol mnie, zerznij mnie, zabij mnie, *aar, aar, aar*, jestem twoją lwicą, twoim ptaszkiem, twoim loczkiem, twoim grzechem! Och, chodź, chodź, chodź, wytryśnij, jestem faraonem!

A kiedy wznosiłem się ku niebiańskiemu grodowi nad polem złotych trzcin, zaznawszy przemiany targającej mną gwałtownie jak śmierć, usłyszałem głębokie tony trzewi i wysokie świsty mego gardła, okrzyki serca ryczącego w wodach, które we mnie wzbierały, po czym rzuciłem się pod niebiosa w lot, który mógł mną cisnąć o skały, i ujrzałem legiony istot z Krainy Umarłych i milion twarzy, wszystkie te potępione i zbawione dusze, nad którymi panowała Nefertari. Wbiłem się w ostatnie wrota jej łona z językiem i zgrzytem chłopskiego kutasa, światłość Amona biła zaś ze mnie niczym ukryte słońce brzucha mej matki. Ona zaś drgała pode mną jak zwierzę, jej członki wczepiały się w moje z siłą Usermare i oto uniosłem się w powietrze, nie tyle dzięki niej, ile dzięki gniewowi mego faraona, który uniósł mnie jak piórko nad płomieniem i cisnął mną w dół niczym głazem, po czym poderwał znów do góry, potęgując cios drzeniem jej królewskiej jaskini, mego grobowca. Wytryśnąłem w nią, wyzionąłem w nią ducha, a burza jeszcze szalała, ona zaś mnie zatapiała. Wyszła ku mnie ze wszystkich zakamarków, w jakich pozostawił ją Usermare. Była znacznie potężniejsza ode mnie.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa na głos, mój pradziadek Menenhetet spadł z krzesła na ziemię, a jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Czaszką walił w marmur podłogi. Jeszcze w szponach tego ataku mówił, ale tym razem przemawiał głosem Pta-nem-hotepa.

Kiedy usłyszałem głos mojego dobrego króla Ramzesa IX, członki mego pradziadka uspokoiły się, ciało znieruchomiło. Ale głos, zmęczony i rozbawiony jak sam Pta-nem-hotep, nadal wydobywał się z jego ust, a wyraz jego twarzy był wyrafinowany i szlachetny.

VI

Księga faraona

I

– Nie znoszę kończyn tej kobiety. Znadto opłatach ją mnie. Czuję się, jakby mnie balsamowano, owijając w bandaż. Jej ciało mnie dławi. A jednak garnę się ku niej. Palcami zgłębiam jej otchłanie. Moje usta przyciskają się do jej warg.

To był jego głos. Usłyszałem go za uchem, ów głos Pta-nem-hotepa, który dobywał się z gardła Menenheteta. Tak długo jednak przebywałem w myślach pradziadka, że wszystkie te dziwne głosy krążyły wokół mnie niczym bańka mydlana.

Z patio dotarł do nas słodki zapach, perfumy kuszące jak woń Nefertari, a sięgając pamięcią do wczesnych godzin wieczornych, przypomniałem sobie zapach kostek Pta-nem-hotepa, jaki poczułem, całując jego stopy. Wiedziałem więc, iż były to na pewno jego myśli. Bo i skądże wzięłyby się taki zapach? O tak, unosiły mnie uczucia targające naszym faraonem, zapachy jego perfum, tak jak woda unosi rozpuszczone barwniki. Potem dosłyszałem też głos matki, gdyż rozmawiała z Pta-nem-hotepem, a właściwie śmiali się razem. Słyszałem, jak się pieszczą, doszedł mnie odgłos klapsa, jaki jej wymierzył w biodro, cmok drobnego pocałunku, jaki wycisnęła mu na uchu, świadczący o tym, że jest dla niej najdroższym skarbem, ukochanym jak dziecko, jak ja, i z tą samą zaborczością. Nie wyczuwałem już chłodnej rezerwy w tonie jego wypowiedzi, wiedziałem, kiedy jej ciało przestało mu ciążyć, a zaczęło sprawiać rozkosz. I wtedy przekonałem się, że matce udało się odegnać jego troski, zmęczenie, nawet obrzydzenie. Wchłonęła to wszystko całym sercem dzięki sile, z jaką go podziwiała, rozmiękczyła jego ciało pieszczotami, aż stał się niczym pole orane pod siew. Legła z nim, aż – zrazu zdjęty przerażeniem – zaczął spokojnie oddychać wszystkimi porami jej spokojnego ciała. O, dobrze znałem moc mej matki! Potem od strony pradziadka dobiegł mnie głos Hatfertiti, choć nie musiałem się zastanawiać nad tym, co chciała powiedzieć. Już ją bowiem słyszałem w myślach, a mówiła o tej samej porze nocy sprzed siedmiu lat, kiedy to kochała się z faraonem.

Kłamała. Poznałem to po akcentowaniu szczerości i prawdziwości w brzmieniu jej głosu. Matka potrafiła kłamać tak zręcznie, że jej wargi drżały ożywione prawdą, a Pta-nem-hotep niemal uwierzył w to, co mówiła, choć z drugiej strony wiedział dobrze, że nigdy się nie kochali. A mimo to wciąż jeszcze pamiętał dotyk jej ręki. Nieśmiałość nie pozwoliła mu wówczas na żadne inne pieszczoty, gdyż żywił w stosunku do Hatfertiti sporą nieufność. Już jako kapłan w świątyni Ptaha słyszał o jej rozwiązłości, o igraszkach z bratem i dziadkiem. Plotkowano o tym w Memfis. Ze wszystkich kobiet, które przybyły uczcić byka Apisa, to ona właśnie, najmłodsza, była najbardziej bezwstydną. Teraz, mając ręce zanurzone po łokcie w najróżniejszych skarbach jej ciała, powiedział sam do siebie, że gdyby złoto było równie miękkie jak ciało, to jej ciało byłoby złotem. Zaczął bowiem przeczuwać, że to, co najlepsze, wciąż jeszcze jest przed nim, na odległość wyciągniętych palców. Toteż nie zaprzeczał jej, gdy opowiadała o tym, jak się kochali przed siedmiu laty na brzegach sadzawki, po zejściu z papirusowej łódeczki, nie pokręcił nawet głową, gdy wyszeptła mu do ucha, że w tamtej godzinie poczęła syna.

Ale potem obrócił ją i kładąc ręce na jej piersiach, całując jej wargi, roześmiał się cicho i powiedział:

– Mylisz się. Zostałem faraonem, nie zaznawszy kobiety, i tak też zostało przez cały pierwszy rok panowania. – Zaśmiał się głośniej.

– No – powiedział, klepiąc ją po udzie – nikt mnie nie zaznał przed tobą.

– Czułam to owego dnia – rzekła. – Byłeś wspaniały. Nigdy jeszcze nie spotkałam młodzieńca, który by mnie aż tak podniecał. A poza tym, wiesz, wcale nie myślałam o tobie jako o królu, lecz jako o kapłanie.

– No to jak mogliśmy się kochać?

– Muszę ci to wyszeptać do ucha.

Zamieniłem się w słuch. Nie chciałem już słuchać dziwaczkich odgłosów, które wydobywały się niczym urwane słowa ze snów mego pradziadka, choć były wśród nich strzępy słów matki. I tak byłem dość blisko niej – bez względu na to, ile nas oddzielało podwórzy – by czuć, że wyznała mi właśnie, iż tego dnia wcale nie kochali się tak jak przed chwilą. Prawdziwej miłości, za którą jest się gotowym umrzeć – a ona właśnie gotowa jest teraz dla niego oddać życie – o nie, prawdziwej miłości wówczas między nimi nie było, nie wszedł w nią, to prawda. Ale zarazem z delikatnego szumu wody pluskającej pod łódeczką przez całe złote popołudnie wysnuła się między nimi taka bliskość, że kiedy zeszli na brzeg, kiedy stała obok niego przepelniona radością, musiał zostawić nasienie w jej dłoni. Natarła się nim. Jego nasienie w jej dłoni warte było o wiele więcej niż nasienie innych.

– Czy widziałem, jak się nacierasz?

– Nie pamiętam. Nie ukrywam tego, co robię, ale może akurat na mnie nie patrzyłeś. Wpatrywaliśmy się nawzajem w swoje oczy, aż zaszyły łzami, och, jakże cię kochałam tego dnia. Twoje oczy podnieciły mnie mocniej niż jurność innych mężczyzn.

W tamtych dniach, myślał, zostawiał nasienie w dłoniach wielu kobiet. Opowiadano o nim, że dłonie kobiet były mu bliższe niż ich usta. Pewnie takie plotki były dość powszechne. Z drugiej strony mogła kłamać. Nie był pewien. Może mówiła prawdę? Naturalnie miała silną wolę zapamiętania prawdy (która nie istnieje). Patrząc na jej myśli, widział tylko moją twarz. A potem wyszeptowała, że jestem jego synem. Mam jego urodę, a mój umysł zamieszkuje w jego umyśle.

Mój faraon rozmyślał o latach, w ciągu których zostawiał nasienie w dłoniach kobiet. Z ust Menenheteta dosłyszałem wyraźnie to, co faraon następnie powiedział na głos:

– Powiadasz, że jest moim synem?

– Został poczęty w moim sercu – rzekła i potarła sobie pierś jego ręką.

Nef-kep-aukem westchnął ciężko przez przytłaczający go sen. Urwało się ciężkie chrapanie dochodzące z jego gardła. Leżąc między pradziadkiem a mną, zawołał przez sen: „Masz wszystko. Ja nie mam nic. Zabrałaś mój skarb”.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Znałem ciężar pokrywy trumny. Przywalił mnie tak gruntownie, że nie byłem w stanie się poruszyć, gdyż dotknąłbym Nef-kep-aukema, co wskazywałoby na chęć pocieszenia. Nie należało ignorować jego cierpienia. Czułem to z całą mocą mej mądrości, nie zaś dzięki poruszeniom serca. Mężczyzna, który był mi ojcem przez pierwsze sześć lat mego życia, teraz mógł się okazać wyłącznie wujem, bratem matki! Lubiłem go, ale sympatię okazywałem ze strachu, nie zaś z potrzeby serca. Powiedzmy, że obawiałem się bogów, których mógł wezwać na pomoc.

Ale bardziej zależało mi na tym, by chronić nowego ojca niż starego.

Ale nawet leżąc tam, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, czułem w pełni siłę myśli mego faraona. Myślał o mnie. Byłem jego synem. Uznałby mnie za syna. Czułem moc jego miłości, jakże odmienną od poprzedniego przygnębienia. Gdyby zechciał zostać moim ojcem, to na pewno z powodu mnie. Dzięki mej matce bliżej był teraz tej wiedzy, którą posiadał Menenhetet, bliżej tego,

czego najbardziej pragnął, a więc bliżej tego, by zamieszkać w sercu Usermare. Życ w głosie wielkiego faraona znaczyło upodobnić się samemu do wielkiego władcy, z którego ciała się wywodził. Kiedy więc przemówił do Menenheteta, wydał z siebie okrzyk wielkiego herolda, ogłaszającego nadejście faraona. Głos był nie tylko donośny i potężny, ale i zdumiewający. Oto co powiedział:

– Poprzez spadkobierczynię, Hatfertiti, wywodzącą się z bogini Nefertari, ja, Ramzes IX, pragnę wejść w myśli boga, jej męża, Usermare-Setpenere, pierwszego dnia Wielkiego Festiwalu. Chodzi o myśli z Trzeciego Festiwalu, jego boskiego tryumfu, który odnowił potęgę jego panowania i koronacji w trzydziestym piątym roku panowania, a więc chodzi o festiwal, który był najświetniejszy za jego czasów.

Za pośrednictwem Hatfertiti, wywodzącej się z Menenheteta, który w tej godzinie staje się niczym moja lewa ręka i za pośrednictwem mojej prawej ręki, w której płynie krew od Usermare-Setpenere ku mnie, pragnę wnikać do piersi Wielkiego i Dobrego Boga Ramzesa II o świcie pierwszego poranka jego Festiwalu Festiwali.

Tak oto wysłuchałem głosu mego ojca. Jeżeli płynęła we mnie jego krew (a nie byłem już pewien, czy moja matka faktycznie kłamała), to krew ta pochodziła od boga. Wywodziłem się od faraona Ramzesa IX, który był także bogiem.

Był nie tylko moim wspaniałym i godnym ojcem, ale także Wielkim i Dobrym Bogiem, człowiekiem i bogiem. Usłyszałem wszystko, co było boskie w jego głosie, i zrozumiałem, że pragnie wznieść się na wyżyny, z których zyska dostęp do krainy wielkiego przodka i zacznie żyć w blasku władzy potężnego Usermare. Z gardła mego pradziadka dobiegł nas głos mego ojca, Pta-nem-hotep powiedział:

– Oto nadchodzi jego wysokość Horus. Silny Byk, Ukochany Maat, Jego Wysokość Horus, Pan Diademu, oto nadchodzi. Egipt jest bezpieczny, a barbarzyńcy pokonani.

O Złoty Horusie, Zwycięzco, Królu Górnego Egiptu, Królu Dolnego Egiptu, przybywaj!

Jeszcze nie skończył przemowy, a już usłyszałem wrzenie krwi w mych członkach, poczułem ogromną moc, jakbym był księciem mego nowego ojca, i zacząłem czuć to samo co on w chwili, gdy przenikał do mądrości i wiedzy swego przodka Usermare, nieżyjącego od sześćdziesięciu lat i więcej jeszcze przed narodzinami mego ojca. O, tak, mądrość mego pradziadka i bogactwo ciała matki – i przodkowie! – uniosły naszego faraona na skrzydłach Horusa. Teraz mógł już wziąć udział w pięciu dniach własnego Festiwalu Festiwali sprzed stu trzydziestu lat, kiedy to Usermare-Setpenere modlił się o siły, by móc panować nad Egiptem.

Właśnie dla zyskania tej wielkiej mocy mój nowy ojciec, mój własny faraon Pta-nem-hotep Ramzes IX, wyteżał całą swą nowo odkrytą wiedzę, zyskaną oddech po oddechu dzięki pradziadkowi jeszcze tej nocy (a także dzięki ostatniej godzinie spędzonej z moją matką) i dokonywał największego wyczynu swego nieszczęsnego panowania. Pragnął bowiem porzucić zgryzoty własnego tronu i poczuć wspaniałość przodka. Chcąc tego dokonać, kierował opowieściami Menenheteta przez całą noc. A ja zrozumiałem jego zamiary, gdyż w chwili, gdy stał się moim ojcem, przeniknąłem jego zamysły.

Istniały trzy sposoby pomnożenia wiedzy. Po pierwsze – nauki własnego życia. Po drugie – łaska bogów (i właściwe odprawianie obrzędów). Po trzecie... trzeci sposób był najdoskonalszy. W gruncie rzeczy pierwszy i drugi były tylko przygotowaniem do trzeciego, gdyż trzeci właśnie polegał na boskiej mocy panowania nad Egiptem. Nawet tajemnice zmarłych nie mogły się równać z taką boską mocą, która promieniowała tylko z samego serca wielkiego króla. Toteż powędrowałem wraz z moim nowo odnalezionym ojcem ku boskiej i wspaniałej piersi potężnej sprawiedliwości Re, wybrańca Re, User-Maat-Re, Setep-en-Re, samego Usermare, i byłem u boku

ojca w chwili, gdy wniknął w Ramzesa II akurat wtedy, gdy ten wielki król przebudził się pierwszego ranka Festiwalu Festiwali. Nastąpiło to, nim ten się poruszył w łożu, nim wstał i przeszedł przez marmur podwórza, by się wykapać o świcie w świętym stawie opodal pałacu, tam, gdzie niedawno wypadł z lektyki i uderzył głową o kamień za sprawą wiszącej nad nim klątwy Nefertari.

II

Tego pierwszego poranka Usermare obudził się w mroku i wszedł w groty samego siebie mieszczące się w jego piersi. Tam w silnym uścisku własnego strachu poczuł moc tego wszystkiego, co się nie porusza. Leżał znieruchomiały, z bezwładnymi członkami, w mroku, który nie dopuszczał światła, w miejscu, w którym chłód mroził wszystko, co ciepłe, i tak oto zaznał olbrzymiej potęgi Atum. Pierwszy bóg Atum potrafił zbuntować się przeciw wszystkiemu co mroczne i bezładne, w chwili gdy rozkazał swoim mocom nieżywego spuścić się do Krainy Umarłych. Żywe istoty mogły wówczas zacząć oddychać. I teraz także Usermare przepędził daleko wszystkie moce tego, co nieżywe.

Rozbudzony, zdolny odczuwać wigor własnego ciała, Usermare stanął w świętym stawie, którego wody były gładkie niczym waga Maat (staw nazywany był nawet Okiem Maat), i zaczął się przygotowywać do oddania czci słońcu o świcie, wody stawu rozciągały się zaś na wschód od niego. Tam Usermare czekał, by złota twarz słońca wstała z wody, rozplamiona ogniami Dat.

Każdego ranka przez pięć dni przygotowań poprzedzających pięć dni festiwalu wstawał o zmroku, by się wykapać w stawie, i czekał, aż ramiona i członki boga wejdą na niebo w ognistej koronie, głowa Re zaś zacznie się dźwigać nad horyzont.

Każdego ranka kąpał się o świcie, a gdy kończył, stawał na brzegu, jeszcze skąpany srebrzystym blaskiem, jako ostatni z szeregu dotychczasowych królów, jako pierwszy z szeregu przyszłych królów i wiedział, że słońce nie wejdzie na wschodzie pierwszego dnia festiwalu bez jego zgody. Oddychał więc niespokojnie, patrząc na niebo po wschodniej stronie świata. Gdy na ciemnym horyzoncie ukazały się ognie Dat, poczuł, jak przeżywa wszystkie epoki faraonów, wszyscy zaś zmarli władcy poruszyli się, aż dojrzał pierwszy dzień stworzenia i zobaczył, jak pierwsze wzgórze wynurzyło się z wód w miejscu, gdzie do tej pory nie było lądu, takie samo pierwsze wzgórze, które można było teraz oglądać zakłete na wieki pod postacią Wielkiej Piramidy.

Usermare rozmyślał o milionach ludzi i nieskończonym mnóstwie kamieni, które zwieziono – wszystko i wszyscy żyli jedną myślą, tą samą co faraon Chufu: trzeba zbudować Pierwsze Wzgórze. Teraz wszystkie świątynie Egiptu były błogosławione garstką ziemi zaczerpniętą z okolic Wielkiej Piramidy, skropione u fundamentów krwią barana, Usermare zaś wstrzymał oddech, gdy krwistoczerwona głowa Re ukazała na horyzoncie swą koronę, gdy światło wysłało pierwsze ciepłe promienie srebrzystej wodzie, a wszystkie ptaki przemówiły do bogów. Usermare ujrzał słońce wschodzące jak pierwszego dnia stworzenia; Atum brzmiało imię nadawane Re za ten pierwszy promyk słońca wysłany na ziemię, nim ludzie się zrodzili, by go obejrzeć. Potem Usermare przymknął oczy, a słońce wbiło się wyżej, ukazując w całej okazałości i czerwieniąc horyzont tak intensywnie, że poczuł ciepło na twarzy. W ten sposób faraon przeszedł z dobrego boga, który się obudził, do wielkiego boga, który stał w wodach świętego stawu, a wymówiwszy własne imię pod wschodzącym słońcem rzekł: „Jam jest życiem Horusa i Królem Dwóch Kobiet. Jestem umiłowanym tej, która jest Kobrą Dolnego Egiptu, i umiłowanym tej, która jest Sepem Górnego Egiptu. Jestem Złotym Horusem. Należę do Sedż i Bi. Jestem synem Re”. Poczuł krew pierwszych faraonów we własnych członkach – to co należało do Menesa, krążyło w jego ramionach, moc Namera krzepiła jego nogi, wielki Chufu mieszkał w jego krtani, podczas gdy Unas, który potrafił

zabić wielu bogów w Krainie Umarłych, zajął miejsce w jego sercu. Wypowiedział modlitwę do Unasa.

O, Horus przywodzi zmarłego króla Unasa do siebie

Oczyszcza Unasa w jeziorze Lisa

Obmywa Unasa w jeziorze Świtu

Łagodzi ciało Ka Unasa.

Stojąc w stawie, ze słonecznym ciepłem na piersi i ogniami Kadeszu w sercu, wypowiedział sam do siebie imiona wszystkich bogów, którzy wywodzili się od Atuma, zaczynając od Szu i Tefnut, dzieci Atuma i rodziców Re, a to dlatego, że Re był wnukiem Atuma, choć Re był zarazem Atumem. To prawda. Bóg płodzi boga, który zostaje jego ojcem. Bogowie żyją w czasie, który minął, i w czasie, który ma nadejść.

Tak oto Usermare stał w błyszczącym złocie słońca wyswobodzającego się z horyzontu i przypatrywał się odbiciom jego ogni, które płonęły niczym wyspa płomieni na oku Maat. Usermare-Setpenere pomyślał o małej piramidce ze złota na czubku wielkiego obelisku Hatszepsut w świątyni w Karnaku, błyszczącego niczym kropelka złotego nasienia Atuma, z którego zrodziło się pierwsze wzgórze.

I właśnie wtedy ptak przeleciał między nim a słońcem, Usermare-Setpenere zaś przypomniał sobie chwilę, w której wypadł z lektyki. Szept bryzy dobiegł go ponad spokojnym okiem Maat. Blask na wysepce płomieni zadrżał. I wtedy przypomniał sobie także spokojną taflę rzeki sprzed trzydziestu pięciu lat, gdy wstąpił na tron. Woda była tego roku niska.

Teraz w trzydziestym piątym roku jego panowania Nil był wysoko i zaczęło się właśnie opadanie wód. Dziś, pierwszego dnia boskiego tryumfu, był pierwszy dzień pierwszego miesiąca pory wytrysku, toteż wody wystąpiły i cały kraj siedział nad pełnymi kanałami. Ptaki milczały. Woda zalała wszystko. Błyszczały czyste wody oraz wszystkie młode wody, które rodziły się z potu rąk Ozyrysa i łez Izydy, a także wszystkie płyny, które wypływały z martwego ciała Ozyrysa, unosząc ze sobą cały brud królestwa. Usermare stał w słodkim skwarze wczesnego wschodu słońca i czuł ciepło w głowie; ciepło było także w jego piersiach. Wyciągnął ramiona ku złotemu ciepłu w czerwonym sercu słońca i rozmyślał nad jego promiennością.

– Przybyłem – rzekł Usermare-Setpenere poprzez wody oka Maat, zaś jego słowa unosiły oddechy ptaków – przybyłem na tron jako Horus, a po śmierci dołączę do Ozyrysa.

Stanę się Ozyrysem. Każdy spośród moich czternastu Ka wejdzie w jedną z czternastu części ciała Ozyrysa, a ja będę w nim żył. – Potem oddech Usermare-Setpenere zelżał, a on poczuł, że mniej boi się śmierci, i wyszedł z wody.

Obmywacz faraona i Nadzorca Szat Królewskich podeszli doń i osuszyli go płóciennymi ręcznikami, władca zaś odszedł od stawu i przeszedł przez ogród. O świcie przeszedł pod sykomorami i palmami daktylowymi, pod morwami, drzewkami figowymi, tamaryszkami i drzewkami granatu. Wszędzie czuło się jeszcze dym ognisk poprzedniej nocy. Przez pięć dni świętych przygotowań do boskiego tryumfu, który miał się właśnie zacząć i trwać przez pięć następných dni, miało miejsce zapalenie płomienia. We wszystkich wioskach i miastach Obojga Królestw, na każdym skrzyżowaniu alei w Tebach i przed wieloma domami i warsztatami zapalano pochodnie na cześć pięciu dni roku, które miały być wspanialsze niż poprzednie festiwale trzydziestu pięciu lat jego panowania.

A teraz Usermare szedł przez Dziedziniec Wielkich. Słońce weszło już wysoko i oświetliło podwórze, srebrny blask zniknął z powierzchni białego marmuru. Usermare zbliżył się do, schodów wiodących do Sali Króla Unasa, zbudowanej przed rokiem z kamieni pochodzących z rozebranego

grobowca Setiego i Tutmosisa Wielkiego. Każdy nowy mur tej budowli skręcał mu trzewia, jak gdyby wypłoszono Ka tych kamieni.

Stanął na schodach przed wielkimi wrotami sali Króla Unasa. Wrota otworzyły się, a z mrocznego jak noc wnętrza wyszedł kapłan i powiedział:

– Przybywa Jego Wysokość Horus. Jego Wysokość Horus, Święty Byk, Umiłowany Maat.

Potem kapłan pocałował lewą stopę Ramzesa II na cześć Amona, prawą stopę na cześć Re, następnie skłonił się siedem razy na cześć Geba i Nut, Izydy i Ozyrysa, Seta, Neftydy i Horusa brata, po czym powiedział:

– On ci jest Re, silny w prawdzie i wybrany przez Re. Jest synem Re. Jest Ramzesem, ukochanym Amona. Jest Horusem. Jest tronem Obojga Królestw. Panuje na podwójnym tronie pośród ludzi, podczas gdy Re, jego ojciec, siedzi na niebiosach.

Słońce unosiło schody, gdy Usermare wysłuchiwał powitania. Z głębi, z mrocznego wnętrza Sali Króla Unasa, pokazał się słup światła, gdyż słońce weszło na tyle, by przeświecać przez kwadratowy otwór w samym środku dachu. Światło było widoczne przez otwarte drzwi i Usermare został oślepiiony światłością Re, toteż skłonił głowę na widok wielkich ust ze złota.

– Jest on – ciągnął kapłan – pięknym srebrzystym jastrzębiem Obojga Królestw, który swymi skrzydłami ocienia ludzkość. Horus i Set żyją w równowadze jego skrzydeł. „Stworzyłem go – rzekł Amon. – Zasiałem prawdę we właściwej glebie”. O Wielki Faraonie, na dźwięk Twego imienia złoto wychodzi z gór. Twoje imię słynie we wszystkich krainach. Wszyscy sławią Twoje zwycięstwa. Władco Górnego i Dolnego Egiptu, Wielki Faraonie, któryś silny w prawdzie i wywodzisz się z lędźwi Re, Panie Koron, jesteś naszym Horusem, który stał się Ramzesem, Umiłowanym Amona.

Wszedł przez wrota, a jego moc promieniowała na całe wnętrze. Wiedział, że każdy, kto go ujrzy, zadrży. Monarcha, który potrafił utrzymać podwójną koronę Egiptu, wszedł do sali tronowej, a była ona ogromna, pięćdziesiąt na trzydzieści kroków. Jeszcze nim ją ujrział, w jego nozdrzach zapachniała woń kadzidła. Głęboko wciągnął powietrze.

III

Światło rozjaśniało salę tronową, wpadając przez otwór w dachu i padając na złoty stół. W miarę jak słońce podnosiło się na niebie, światło przesunęło się, a kapłani przynosili złoty stół, by słońce nadal jaśniało na koronie Dolnego i koronie Górnego Egiptu, leżących obok siebie. Podwójna korona świeciła przeto tak silnym blaskiem, że gdy się do niej zbliżył, poczuł się jak młodzik podchodzący do ojca, faraona Setiego, korony zaś – długa wysoka i biała Górnego Egiptu oraz czerwona Dolnego Egiptu, jawiły mu się jako żywe stworzenia. Gdy umieścił białą koronę Górnego Egiptu w koronie Dolnego Egiptu, odczuł, jak bardzo oba królestwa pozostawały rozdzielone i pełne zamętu w nocnym mroku. Teraz złączyły się i spokój zapanował w Egipcie, gdy uniósł białą i czerwoną koronę, czyniąc z nich podwójną koronę obu kobiet, sępa, którym była Kekbet, i kobry, którą była Wadzet – następnie zaczął się przygotowywać do osadzenia korony na skroniach. Rzekł wówczas:

Niechaj są mnie boją jako są bali ciebie

Niechaj przede mną drżą jak przed tobą

Niechaj ich zdejmie lęk przede mną jak przed tobą

Niechaj mnie miłują jako ciebie

Niechaj są stanę, potężnym przewodnikiem duchów.

Wysoki kapłan włożył mu koronę na głowę, a dworzanie i kapłani stojący wokół niego padli na ziemię. Moc, którą odczuł, kąpiąc się o świcie, wróciła doń spotęgowana wielokrotnie. Nie tylko wchłonał w siebie światłość Re o świcie, ale i korona Obojga Królestw kąpana była w blasku mocy kobry i sępa przez całą noc; sęp i kobra dały w ten sposób znać o sobie i ożyły na jego głowie.

Przeszedł do Sali Szat na tyłach Sali Króla Unasa. Była to wielka i zatłoczona komnata, podzielona na wiele pokoików i schowków. Dworzanie wyszli mu naprzeciw i otoczyli go, a on powitał ich, wymawiając na głos ich starożytne i osobliwe godności, którymi ich obdarzał na te pięć dni. Jednym z dworzan był Nadzorca Szat Królewskich, innym specjalny Opiekun Sandałów, którego zadaniem było recytowanie hymnów na cześć Geba w intencji wszystkiego, co się stykało ze stopą Usermare. Był też Obmywacz Faraona (który mu towarzyszył do Oka Maat), oraz Nadzorcy: Peruk, Bielizny, Krótkiej Spódniczki i Szaty Wierzchniej. Wszyscy oni także znajdowali się w Sali Szat, podobnie jak Nadzorcy Ozdób Głowy – i wszyscy byli synami nomarchów. Syn wezyra też był obecny, gdyż przypadała mu funkcja Nadzorcy Diademu Bogów. To on właśnie wyjął i podał faraonowi wielką ozdobę głowy z rogami Chnum, owiniętymi dwiema kobrami, dwoma piórami i dyskiem. Byli też inni możni: Główny Nadzorca Bielidla, który pilnował czystości szat noszonych przez monarchę i usuwał wszystkie plamki z płótna, Główny Artysta Królewskich Klejnotów i inni. Był to tłum mężczyzn kłębiący się w Sali Szat, a tuż za każdym szlachcicem obdarzonym specjalną godnością stał dobrze wyszkolony sługa znający się na rzeczy. Każdego z pięciu dni świąt Usermare wchodził do Sali Szat i wychodził z niej przed każdą uroczystością, w której uczestniczył, odbywającą się w różnych budynkach wielkich przodków. Toteż na półkach i na stołach oraz w specjalnych schowkach trzymano hełmy i szkatułki z olejkami, puchary wina i kadzidła, berła, bicze, korony i inne insygnia władzy królewskiej, złote lwy różnych rozmiarów, amulety, naszyjniki, płytki napierśników, bransolety, sandały, szaty wierzchnie, krótkie

spódniczki, bieliznę, przepaski na biodra, peruki, dzbany, wazy, godła oddziałów i wiele małych pióropuszy. Dookoła stali nadzorcy wraz ze sługami, pilnując waz z alabastru, diorytu i serpentynu, naczyń z porfiru – czarnego, białego i czerwonego, a także naczyń z górskiego kryształu.

Zmiany szat odbywały się w zgiełku, zarazem pobożnie i bluźnierczo. Usermare równie często modlił się wraz z kapłanem, który przeklinał swoich dworzaków za stan kolejnej peruki, za zmięte fałdy spódniczki, za brak połysku na złotych paznokciach doczepionych do jego palców. Ten zgiełk wzrastał, gdy monarcha wychodził z sali, gdyż wielu otaczających go możnych musiało też zmienić szaty przed zbliżającą się wizytą w przybytku kolejnego boga, a bogów tych było wielu, toteż trudno opisać panujący zamęt. Tym bardziej że od pierwszego dnia były kłopoty z punktualnym przywiezieniem do przystani królewskiej w Tebach bogów z górnego lub dolnego biegu rzeki, czyli z lokalnych świątyń.

Ubrany do pierwszej uroczystości, w spódniczkach ze świętego płótna, tak sztywno wykrochmalonych, że szeleściły na jego udach jak papirus, Usermare z berłem w ręku wyszedł z Sali Szat i zaczął się szykować do drogi. Nie był jednak gotów. Jeszcze mu ciążył zgiełk zmiany szat, toteż przystanął w Sali Tronowej Obojga Królestw w samym środku Sali Króla Unasa i wspiął się na tron, zastygając na grubym dywanie. Trony stały jeden obok drugiego pod baldachimami. Usermare usiadł najpierw na tronie Dolnego Egiptu. Dano mu do ręki jego insygnia, a ich moc przelała się w jego ramionach. Poczul woń bagien z północnego Egiptu, a kiedy przymknął oczy, ujrzał mroczne tereny, na których Horus walczył przeciw Setowi. Tak oto Usermare przeżył raz jeszcze tę chwilę, w której zraniono Horusa. Jego przymknięte powieki pulsowały bólem i zrozumiał, jak cierpiał Horus, gdy wyrwał sobie własne oczy, wylupiając je, aby ukarać samego siebie za zbrodnię ścięcia swojej matki.

Usermare-Setpenere wniknął w boga Horusa. Za ramionami czuł jego skrzydła, olbrzymie, potężne. Mury mauzoleum króla Unasa nie mogły ich pomieścić. Pomyślał o chmurach, które ujrzał rankiem na horyzoncie, i o szerokiej upierzonej piersi jastrzębia, którym był Horus pojawiający się między tymi chmurami, wyobraził sobie też skrzydła boga rozłożone od horyzontu do horyzontu.

Usermare otworzył oczy i zszedł z tronu. Przeszedł cztery równe kroki na południe i wspiął się na drugi z tronów. Wiele zapachów w jego nozdrzach uległo zmianie. Nie czuł już woni bagien, lecz wdychał zapach zakurzonej przydrożnej gruszy u stóp piaszczystego wzgórza. Pomyślał o swojej własnej koronacji, która miała miejsce przed trzydziestu pięciu laty w Memfis w świątyni Ptaha, gdzie dawno, dawno temu pierwsze wzgórze wyłoniło się z wód, tam, gdzie teraz stoi piramida Chufu.

W dniu jego koronacji wysoki kapłan przysłał mu medytację, nad którą miał rozmyślać przez wszystkie dni wszystkich festiwali swego panowania aż do Festiwalu Festiwali, co też uczynił. Zawsze tak czynił, toteż i teraz zdążał myślami ku medytacji.

Kapłan powiedział, że imię Ozyrysa może rozbrzmiewać w uchu podobnie do imienia Auzar, które oznacza tapicera, imię Izydy zaś podobnie do imienia Ast, które oznacza siedzenie, a przeto tapicer powinien poznać własne siedzenie.

– Przez wszystkie dni twego życia, kiedy będziesz Horusem – rzekł kapłan – spoczywać będziesz na siedzeniu Izydy, twej matki.

Złoty tron Izydy był twardy i chłodny wczesnym rankiem (choć w południe będzie na pewno ciepły); przy jej łonie siedział faraon. – Wyszedłem z ciebie – wyszeptał – a ty wyszłaś ze mnie. – Tak mu kazał mówić Wysoki Kapłan.

W godzinie koronacji, trzydzieści parę lat temu, umieszczono mu na skroniach koronę Obojga Królestw i stał się faraonem. Bóg Horus zstąpił, by żyć w nim. A on żył w Horusie. Mieli być razem aż do godziny jego śmierci. Wówczas miał odejść, by się połączyć z Ozyrysem. W tej samej

dobie jego podwójna korona miała spocząć na skroni faraona, który zostanie jego następcą. Ten faraon stanie się wówczas Horusem. – Wyszędłem z ciebie – powiedział do podwójnej korony – a ty wyszłaś ze mnie.

Dworzanie milczeli. Siedział na tronie Górnego Egiptu i pogrążył się w rozmyślaniach.

Potem wstał. Był gotów. Przynieśli mu kwiat lotosu i berło, na którego rękojeści widniało również wiele tych kwiatów. Teraz jego myśli otwarte będą na wszystkie pragnienia Egiptu, gdyż lotos był uchem ziemi. Wyszędł więc z Sali Króla Unasa z ukwieconym berłem w ręku. Na zewnątrz oczekiwały go małe królowe z dziećmi oraz długie szeregi możnych w białym płótnie, bielszym niż kości bogów, setki mężczyzn. Wszyscy oni mieli mu towarzyszyć w podróży nad rzekę, gdzie miał pozdrowić bogów, przybywających na swych barkach.

Kiedy się temu przyglądałem i wybiegałem to przed, to za szeregi wielmożów, by lepiej zobaczyć zbliżającego się Usermare-Setpenere, ujrzałem go u mnie na patio, w towarzystwie swej królowej, która miała obnażoną jedną pierś. Róża kosmetyku została starta z jej sutka, a jej twarz nie była podobna ani do twarzy Rama-Nefru, ani do twarzy Nefertari, lecz przypominała promienną urodą twarz mej matki! Głowa króla Usermare nie należała już do Ramzesa II, lecz IX. Tak właśnie ujrzałem twarz mego ojca – jego długi cienki nos, jego piękne usta. W pierwszej chwili nie poznałem jednak ani ojca, ani matki. Byli tak ożywieni i tak podobni do wielu innych królowych i faraonów z lat minionych, że już nie rozumiałem, w jakich czasach żyję, ani w jakim mieście, w Memfis czy w Tebach. Dopiero widok szafranowej szaty matki wydobyl mnie wreszcie z pajęczyn i jaskini mego snu – jeżeli to był sen – a wówczas uśmiechnąłem się do nich. Odwzajemnili uśmiech.

Wtedy właśnie obudził się Nef-kep-aukem. Przeciągnął się, ziewnął, spojrział, a potem zerwał się na równe nogi. Właśnie miał się skłonić Pta-nem-hotepowi, ale nie uczynił tego. Zamiast się skłonić, wyszedł szybko bez słowa, bez najmniejszej oznaki szacunku. Wyszędł tak szybko, że gdybym przymknął oczy na czas jednej myśli, już nie zobaczyłbym jego pleców.

Jego wyjście miało jednak niefortunne skutki. Moje przygnębienie, zrazu leciutkie niczym piórko, związane było nie tyle z prawdą, ile z niepewnością. Nie chciałem mącić nastroju radości, jaki spowijał mego ojca i Hatfertiti. Byli mi teraz tak bliscy i serdeczni jak fioletowy blask na patio. Pta-nem-hotep spoglądał na mnie oczyma pełnymi miłości. Całe to uczucie, które mną owładnęło, gdy przeniknąłem jego myśli, okazało się autentyczne. Dlatego właśnie głos Usermare zabrzmiał tak wyraźnie w mych uszach – niczym pierścień spadający na stół. Zyskałem podwójną pewność, iż Pta-nem-hotep jest moim ojcem, gdyż potrafiłem wygodnie rozgościć się w jego myślach, niemal równie wygodnie, jak w myślach mej matki. Potrafiłem wręcz dojrzeć – a był to niezwykle cenny dar – co mianowicie widzieli, gdy bogowie Egiptu kołowali jak złote ptaki nad ich głowami.

Toteż poznałem różnicę między miłością matczyną, okazywaną wyłącznie przez matkę, i miłością okazywaną zarazem i przez matkę, i przez ojca; wiedziałem, że są to uczucia tak różne od siebie jak jedna biała korona na głowie władcy w porównaniu z wielkością całego Egiptu, którą odczuwał, gdy na jego skroniach spoczywały obie. Wszystkie te myśli sprawiłyby mi olbrzymią radość niczym wspaniały ogród, gdyby nie nagłe wyjście Nef-kep-aukema. Mój pierwszy ojciec mieszkał w naszym domu jak ktoś bezdomny, a teraz wyszedł, znikając jak duch. Nie słyszeliśmy po jego wyjściu żadnych zatraskujących się drzwi. Tylko przekleństwa i klątwy. Właśnie zrozumiałem, że to ci najędzniejsi ludzie rzucają najcięższe klątwy.

Moja matka, jak gdyby odgadując przygnębienie, które mnie zaczynało ogarniać, przywołała mnie do siebie, toteż usiadłem między nią a Pta-nem-hotepem, który mnie otoczył ramieniem. Ręka mego ojca była czuła i mądra jak srebrny blask w oku Maat, a od mej matki wprost buchało gorąco! Usiadłem między nimi wygodnie w słodkim pomieszaniu, gdyż każde z nich pachniało dla

drugiego, ja zaś czułem się jak małe zwierzątko w błogim zaciszu własnego gniazda, podczas gdy oni wyciągnęli się i napawali moim istnieniem. Moje serce było teraz przepełnione słodyczą. Westchnąłem błogo.

Być może właśnie to westchnienie przebudziło mego pradziadka. Otworzył oczy, rozejrzał się, patrząc, kto wrócił, kto wyszedł, a potem, nie zdradzając żadnego zmieszania, znów zaczął mówić. Przemawiał ponownie własnym głosem i nie zdradzał najdrobniejszym nawet akcentem podobieństwa do głosu mego ojca. Przypuszczałem jednak, że wciąż jeszcze musiał być pod jakimś urokiem. Mimo że oczy jego błędziły między obecnymi, a wszystko wymawiał wyraźnie, nie zauważył chyba, że nasz Ramzes trzymał Hatfertiti w objęciach jak żonę. Mówił tylko o tym, co dotyczyło jego osobiście, jak gdyby nic się nie wydarzyło, jak gdyby Festiwal Festiwali jeszcze się w ogóle nie zaczął, a miał nadejść za jakiś miesiąc. Słuchając go, mógłbym zatem znów się zagubić, gdyby nie ramię mego ojca. Gdyby nie to ramię, mógłbym zostać uniesiony we mgle i przeniesiony z jednej łódki na drugą, łodzie zaś mogły się minąć tak szybko, tak szybko stracić się z oczu, że trudno byłoby się zorientować, w jakim w ogóle zmierzają kierunku.

Uspokojony obecnością moich rodziców zacząłem doceniać obrazowe opowiadanie Menenheteta. To, co opowiadał, widziałem tak wyraźnie, iż nie musiałem wsłuchiwać się w jego głos, nie musiałem nawet przekonywać się, czy przemawia na głos. Jak się wnet zorientowałem, podobnie przysłuchiwał się pradziadkowi mój ojciec. Był bowiem przekonany, że oto niedługo wyjawione zostaną najtajniejsze sekrety jego wielkiego przodka. Poczułem też, że jego uwaga przesunęła się od znużonych członków ku głodowi zrozumienia, jaki gościł w jego sercu. Smak tego głodu musiał być jeszcze ostrzejszy niż pożądanie mej matki albo radość z posiadania mnie. Ponieważ leżałem blisko niego, głód ten nie dawał mi zasnąć. Nie przeszkadzało mi to wcale, że już nie byliśmy z Usermare podczas pierwszego dnia festiwalu, że wróciliśmy z pradziadkiem do pałacu Nefertari. Jeżeli opowiadanie jest jak kwiat, a przerwa w opowiadaniu równa się jego zerwaniu, wyrwaniu z korzeniami, to, hm, z drugiej strony, powiedziałem sam do siebie, można też opowiadanie przyrównać do boskiej szaty, a bogu wszak wolno szaty zmieniać.

IV

– Nie pamiętam już, jak się pożegnałem z moją królową Nefertari – zaczął Menenhetet. – Pamiętam dopiero następny poranek, gdyż obudziłem się późno i leżałem w łóżku przepełniony szczęściem, jakiego do tej pory nie zaznałem. Nie mogłem się doczekać spotkania z Wielką Królową, która została moją damą. Moje szczęście było pełne. Byłem bogaty we wspomnienia, które dopiero co mi się śniły, z teraz kazały spodziewać się nowych rozkoszy w niedalekiej przyszłości. Nabrałem tak wielkiego szacunku dla siebie i dla moich osiągnięć, że serce moje było jak święty staw.

Niech mi będzie wolno stwierdzić, że nie było mi już nigdy dane osiągnąć stanu takiej błogości. Nadszedł posłaniec z poleceniem, że mam się natychmiast zgłosić do wezyra, a wezwanie to było czymś tak wyjątkowym, że pospieszyłem do niego niezwłocznie. W komnatach wezyra dowiedziałem się, że Usermare zaraz po przebudzeniu wydał rozkaz, by mnie przeniesiono z pałacu Nefertari do pałacu Rama-Nefru. Miałem zmienić pałac jeszcze tego samego ranka. Wszystko, co posiadałem, służba przyniosła do siedziby wezyra, skąd inni służący – ci, którzy od tej pory mieli dla mnie pracować: ogrodnik, kamerdyner, nowy kucharz, nowy klucznik i nowy stajenny – ubrani w inne liberie, liberie pałacu Rama-Nefru, mieli je zanieść na miejsce. Stałem się oto Towarzystwem Prawej Ręki Rama-Nefru.

Jak już wspomniałem, nigdy nie było mi dane zaznać takiej błogości, jak tamtego poranka, nigdy przez wszystkie cztery wcielenia, i chyba dobrze się stało. Przekonałem się bowiem, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż poczucie szczęścia. Gdyby nie ono, z pewnością nie pozwoliłbym sobie na to, by tak dalece odbiec od życzeń mego króla. Choćby na czas jednego całonocnego snu! We śnie mogłem sobie wędrować przez te wszystkie rynki i pałace, do których zawiodły mnie moje marzenia, ale teraz przekonałem się na własnej skórze, że nie wolno mi nigdy zanadto się oddalać od serca monarchy. Szczęśliwość pozbawiła mnie czujności. Toteż nie dostrzegłem ostrzeżeń zwiastujących zmianę ani też nie wiedziałem, czemu ją zawdzięczam. Nie wiedziałem, czy to hetycka królowa uprosiła o to Usermare, pragnąc się zemścić na Nefertari, czy też może faraon obudził się, podejrzewając, iż zażywałem rozkoszy na ciele, które do niego należy, że zasmakowałem tego ciała, zostawiłem na nim swój oddech. Gdyby jednak tak było w istocie, to po co dawałby mi to nowe stanowisko?

Gdy udałem się do Nefertari, przestałem rozumieć cokolwiek. Była sympatyczna, lecz daleka, jak gdyby zmiana była wynikiem moich dalekosiężnych intryg. Ani razu nie skomentowała moich przenosin jako tryumfu Rama-Nefru, toteż nie wiedziałem, czy czuje się zaniepokojona, czy może zbyt dumna, by okazać, że cierpi. Przez parę chwil, które spędziłem z nią sam na sam, nie mogąc się nawet łudzić, że gdyby to od niej zależało, zatrzymałaby mnie dłużej (to ona właśnie zdecydowała, iż spotkanie będzie krótkie), zrozumiałem, że zmiana nie zrobiła na niej większego wrażenia. W rzeczy samej na jej twarzy rysowała się nawet niejaka ulga, podobna tej, jaką widywałem na twarzach kobiet, którym udało się zamaskować jakąś nieostrożność. Podążyła mi rękę i mówiła o cierpliwości, a w końcu powiedziała: – Może byś poprzyglądał się Rama-Nefru i dla mnie?

Było to jak zaproszenie do szpiegowania na jej rzecz, toteż skłoniłem się i dopełniłem formalności, całując jej duży palec u nogi, zarazem jednak szepnąłem, spojrzawszy w górę: „Kiedy cię znów zobaczę?” Moje serce i moje łądzwie płonęły, prześcigając się w podnieceniu i pożądaniu. Nie zadrżała, czując mój gorący oddech na udach, lecz sztywno i uroczyście pocałowała mnie w czoło. Nie miałem pojęcia, czy składała mi w ten sposób jakąś obietnicę, czy też pragnęła tą pieszczotą uspokoić rozszalałego rumaka.

– Najlepiej będzie – rzekła – jeżeli pojawisz się dopiero wówczas, gdy będziesz miał wiele do opowiadania o Rama-Nefru.

Ostatecznie pozwoliła mi jednak zajrzeć we wspaniałe oczy, głębokie niczym królewski błękit wieczoru, a wszystko co chciałem widzieć, zobaczyłem w tych oczach – miłość, ból rozstania i czułość, to, co łączyło nas w tajemnicy. Byłem chory, nie rozumiejąc, co się wokół mnie dzieje.

Po południu było po wszystkim. Wieczorem poszedłem do Rama-Nefru na pierwszą audiencję, która także była krótka. Powitała mnie uroczym głosem, słodkim i pełnym czarująco hetyckiego akcentu, po czym powiedziała mi, że bardzo wiele sobie obiecuje po moich usługach (nie mówiąc jednak, od czego mógłbym zacząć). Potem powiedziała, że powinienem porozmawiać z Hekwat, która może mi wiele opowiedzieć o jej narodzie.

– W porównaniu z Egipcjanami jesteśmy prostym ludem – powiedziała nowa królowa. – Ale żaden naród nie zdradza łatwo swoich pragnień.

Była łagodna i uprzejma, zachowywała się wytwornie. Bardzo współczułem mojej nowej królowej, słysząc wiele o jej cierpieniach. Nie wiem, czy wypadły jej wszystkie włosy, ale nosiła złotą perukę, o wiele jaśniejszą, choć o mniej subtelnej barwie niż jej własne, blad złote włosy, odcień zaś tej peruki ujawniał niedawno przeżytą chorobę. Jej skóra miała zielonkawą barwę i pozbawiona była blasku, ze wszystkiego zaś, co powiedziała, przebijał smutek. Zacząłem się zastanawiać, czy Usermare nie podjął decyzji co do mnie tylko po to, by ją jakoś rozerwać, tym bardziej że nie bardzo wiedziała, co ze mną zrobić. Czyżbym miał się stać kolejną rozrywką dla jego chorej księżniczki? Cały dwór zaczął o tym rozmyślać, a ja opuszczałem jej komnaty z bólem głowy, gorszym niż męki grzebanego żywca boga.

Trudno mi więc powiedzieć, bym się specjalnie przydał sobie samemu czy komuś innemu tego pierwszego dnia. Pałac Rama-Nefru obdarzono wdzięczną nazwą: Kolumny Białej Bogini, i faktycznie tętnił życiem, ilekroć bywał tam Usermare (kiedy to oficerowie jego gwardii skupiali się na wszystkich podwórkach), ale teraz, gdy go zabrakło, okazał się niezbyt przytulny. Jej syn, książę Pet-a-Re, mieszkał w skrzydle ogrodzonym nowym drewnianym płotem z wysokich, zaostzonych na czubku pali. Wokół tej palisady ustawiono większość strażników królowej. Żołnierze Rama-Nefru, wypożyczeni przez Usermare, nie tylko obchodzili palisadę dookoła, ale przechadzali się też po korytarzach, czuwali nawet przy niańce w sypialni małego księcia. Miałem poznać Rama-Nefru, ale dziecko ledwo zobaczyłem – zbyt dokładnie było pilnowane. Kolumny Białej Bogini nie zrobiły na mnie zbyt dobrego wrażenia także dlatego, że przecież chodziło tu o Nekbet, sępa. Sama Rama-Nefru wcale nie przypominała drapieżnego ptaka, ale w atmosferze pałacu unosiło się coś posępnego. Być może powiew wiatru przyganiał z ogrodu woń róż, którym podsypywano nawóz złożony także ze zmielonego mięsa zwierzęcego, co sprawiało wrażenie gniazda drapieżników na wysokiej skale, wokół którego porzrucano szczątki ofiar.

Był to rzecz jasna pałac hetycki. Z zewnątrz był bielony i miał istotnie tyle kolumn, do ilu upoważniała go nazwa. Ale ten okropny wał z pali i te hetyckie wnętrza! Nie byłem pewien, jak wyglądają hetyckie pałace, ale sądziłem, że właśnie tak jak pałac Rama-Nefru. Królowa pokryła wiele ścian we wnętrzu bladopurpurowym barwnikiem, wykładając je kafelkami z Tyru. Nie było lepszego tła dla jej blad złotych włosów, ale im uważniej przyglądałem się wnętrzem, tym

wyraźniej dostrzegałem próby wyłożenia pałacu materiałami pochodzącymi z krain między Tebami a Kadeszem, jak gdyby te substancje miały najbardziej zbawiennie wpływać na jej związek z faraonem. Toteż jej meble wykonano z synajskiej miedzi i z libańskiego drewna, z malachitu, turkusu i alabastru, pochodzących z krain położonych w tych stronach. Jakże mroczne były jej komnaty, jak potężne! Wałęsałem się po nich przez długie godziny, a z wielu ziało pustką. Tęskniłem za pałacem Nefertari, gdzie można było przechodzić z jednej pustej komnaty do drugiej, ale zawsze widać było otwarte patio z białego marmuru, ożywione światłem. Przyświecała mi ta niewesoła świadomość, że pisane mi jest spędzać w tej twierdzy długie godziny, nie mając pojęcia o Hetytach. Kiedy się przyglądałem przemykającej się obok mnie służbie, tym silnie zbudowanym, brodatym mężczyznom, którzy nosili wełniane szaty bez względu na upały, dochodziłem do wniosku, że jest to lud nader ponury. Nie miałem pojęcia ani o ich bogach, ani o namiętnościach, ale patrząc spomiędzy tych kolumn na pierwszy zachód słońca i na wszystkie następne zachody, dosłyszałem długą tęskną pieśń, śpiewaną przez tych hetyckich służących, stanowiącą jakby ich pożegnanie z wieczorem. W głosach ich brzmiało wiele cierpienia. Hekwat, z którą się wnet blisko zaprzyjaźniłem, potrafiła przetłumaczyć mi słowa tej pieśni na egipski, a sens tych słów był niewesoły, wręcz straszny:

To, co nam się wydaje dobre, dla Nich jest odpychające

To, co nas boli, jest dla Nich dobre

Któż potrafi przeniknąć Ich myśli

Są przed nami zakryte jak wodne odmęty.

– Kim są „Oni”? – pytałem Hekwat. – Czy Hetyci mają na myśli Egipcjan?

– O, nie – odparła. – Mowa o bogach Hetytów.

Naturalnie Hekwat nie była Hetytką, lecz Syryjką. Oba te kraje leżały jednak znacznie bliżej siebie niż Egiptu, toteż miała mi wiele do opowiedzenia o Rama-Nefru i faktycznie opowiedziała. Mówiła z pewnością kogoś, kto także usługiwał ciału Usermare-Setpenere, jak i ja, toteż w stosunkowo krótkim czasie dowiedziałem się od niej wielu rzeczy.

Cierpiąc na samotność, chętnie widywałem się z nią znacznie częściej niż za mojego pobytu w Ogradach i wnet przekonałem się, że i ta mała królowa czuła się samotna. Nie miała domu, który mogłaby prowadzić, nie miała komu udzielać porad ani od kogo wysłuchiwać plotek, nie chadzała też do piwiarni z innymi małymi królowymi, służyła wyłącznie Rama-Nefru. Toteż rozmawialiśmy często i nauczyła mnie wiele o Hetytach. Bardzo się różnili od Asyryjczyków (wydawało mi się zawsze, że to prawie to samo). Hetyci przyszedli pod Kadesz z północy i mieszkali na tych terenach od niedawna, od czasów czterech czy pięciu ostatnich władców. Niemniej faktycznie wiele przejęli od Asyryjczyków i ubierali się tak samo jak oni, podobnie jak Libijczycy i Nubijczycy potrafili naśladować Egipcjan. Hetyci, jak twierdziła Hekwat, mieli znacznie bardziej koczownicze usposobienie. Przejmowali wiele także od plemienia Mittani i od Babilończyków, od Medów i w ogóle wszystkich, choć faktycznie najwięcej nauczyli się od Asyryjczyków.

Trudno było pojąć, jak bardzo byli od nas odmienni. Jeżeli mieli przed sobą lata chude, postanawiali uporządkować własne miasto. W takich okresach matkom nie wolno było łącać dzieci, panom – służby, zabronione także były rozprawy sądowe. Palili cedry na wielkich stosach i do późnej nocy śpiewali psalmy. Naprawiali także wszystkie zniszczenia i odnawiali stare świątynie. Dowiedziałem się, że było to ważne, gdyż uważali, iż próchniejące bierwiona w starych budynkach oznaczają słabnącą więź między bogami a ludem. Potem Hekwat próbowała mi opowiedzieć o kodeksach prawnych, które Hetyci przejęli od króla o imieniu Hammurabi, ale nie mogłem w takie prawa uwierzyć.

Hammurabi nakazywał karać śmiercią właściciela winiarni, który ośmielił się udzielić schronienia przestępcy, a inne prawa pozwalały spalić kapłankę, jeżeli udała się do winiarni. Można też było zabić żonę, która ukradła coś mężowi. Jeżeli jednak ukradła coś z domu sąsiada, wystarczyło obciąć jej nos! Po pewnym czasie zacząłem rozumieć tok myślenia tego władcy. Jeżeli kobieta wywołała bójkę z mężczyzną i zmiażdżyła mu jedno jądro, obcinano jej palec, ale jeżeli zmiażdżyła obydwie, wydrapywano jej oczy.

Hekwat pokazała zęby w mimowolnym uśmiechu. Domyśliłem się, że cieszy ją myśl o żonie, która potrafi zmiażdżyć mężowi jądra. Nalałem jej wina i śmiałem się wraz z nią, ale pytałem nadal. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o bogach Hetytów, bo skoro już przyszedłem służyć Hetytce, to wołałem poznać pierwej jej panów, bogów, których mogła wzywać na pomoc.

Brzydkie kobiety są jednak niezwykle przebiegłe, szybko dostrzegają to, czego naprawdę chcemy się od nich dowiedzieć, toteż gdy ją zasypywałem pytaniami, Hekwat nie odpowiadała, lecz śmiała się dalej. Powiedziała mi, że na pewno nie zapamiętam boskich imion, że są za trudne.

– Asyryjczycy mają boga imieniem Enlil – powiedziałem.

– Nie rozumiem, dlaczego nie miałbym zapamiętać jego imienia.

– Jego imię w języku Hetytów brzmi Kumarpisz. Nazywają go także niekiedy Lukiszanusz. – Potem zaczęła się ze mną droczyć. Powiedziała, że Hetyci mają też boginię Aszkaszepasz, w pobliżu Kadeszu zaś, w stronach Rama-Nefru, posiadają ponadto lojalnych bogów o takich imionach, jak Katysz-Kapisz, Wjalizalisz i Szulinkatisz. – Niełatwo zrozumieć tę religię – rzekła. – Nie wysiedziałybyś do końca wszystkich opowieści. Widzisz, mamy jeszcze boga Maznulasza i Zentukisza, Nenitasza i Waszdulaszisa.

– Potem roześmiała mi się prosto w twarz niczym mała królowa. Musiałem zrobić niezadowoloną minę, gdyż zaraz potem próbowała mnie udobruchać, powiadając, iż istnieje tak wiele różnych modlitw i egzorcyzmów, że doprawdy nie oplaca się uczyć ich wszystkich na pamięć. Poza tym, szepnęła porozumiewawczo, wcale nie jest pewna, czy bogowie Hetytów robią dla swego ludu równie wiele, co nasi bogowie dla Egipcjan. Hetytów dręczyły różne epidemie i ze świeczką trzeba by szukać szczęśliwej rodziny. Kraina była podmokła, a pod każdym dachem czaiły się liczne demony. Nie byli aż tak pogodni jak Egipcjanie. Wręcz przeciwnie, byli tak posepni, że wydłużały im się od tego nosy. Zimą na czubkach tych nosów wisały nawet kropelki wody. Oczywiście mieli co opłakiwać. Ostatecznie byli przekonani o tym, że bogowie pragną, by ludzie pracowali dla nich jak niewolnicy. A ze wszystkich stron czyhały na nich klęski i niepowodzenia. W gruncie rzeczy ich najwyższe bóstwo, ów Enlil, który był równie wielki jak Amon, zwany był także Panem Burz.

Zmarszczyłem brwi, ale nie dlatego, bym sądził, iż nie mieli prawa nadawać bogom imion tak dziwnych jak Waszdulaszisz (choć po prawdzie nie mieli), lecz z tego prostego powodu, że im więcej się dowiadywałem o tych Hetytach, tym mniej rozumiałem Rama-Nefru, która była piękna, biała i delikatna jak dama, a także wytworna. Toteż spytałem Hekwat o naszą księżniczkę (jeszcze nie potrafiłem jej nazwać królową), pragnąc się dowiedzieć, czy jej usposobienie pasuje do tak posepnych wierzeń. Hekwat odpowiedziała krótko:

– Hetyci mają dwie natury. Możesz myśleć, że to po prostu głupia młoda dziewczyna o ślicznych włosach. Jest jednak rozsądna – dorzuciła – i obawia się wielu rzeczy, których ty nawet byś nie zauważył.

– Opowiedz mi przynajmniej o jednej z nich.

Hekwat miała pewien urok. Lubiła sprawiać wrażenie, że jeśli się ją obdarzy sympatią, nie zachowa tylko dla siebie całej prawdy.

– Kiedy spogląda na wrota wielkiej świątyni, nie widzi ich tak jak ty. Dla niej te wrota są jak bóg. Kiedy się otwierają, widzi usta boga.

Pomyślałem o tym, że powietrze we wnętrzu świątyni kryje w sobie inne duchy niż powietrze na zewnątrz. Może uda mi się zrozumieć Rama-Nefru.

– Oczywiście różni się znacznie od pozostałych Hetytów – dorzuciła Hekwat. – Czasami jej nastrój jest leciutki niczym szata utkana z powietrza. Myślę, że jej rodzice musieli ją począć o świecie. Czy wiedziałeś o tym, że jej krew miesięczna płynie tylko przez jeden świt?

Doszedłem do wniosku, że Hekwat nie zna bliżej Ra-ma-Nefru. Jakże mogłaby brzydka zrozumieć urodę młodej królowej? Zacząłem się zastanawiać – podobnie jak wszyscy mieszkańcy Ogrodów Odosobnienia – nad tym dającym do myślenia faktem, że Usermare raz do roku kochał się z Hekwat. Przypominałem sobie plotki eunuchów. Zawsze po tej miłości przez Ogrody przechodziła istna plaga węży i jaszczurek. Nad ranem na ziemi widniał śluz i wszyscy myśleli o ośmiu brzydkich bogach pierwszego śluzu, o Nun i Nunaunet, o Kuk Kauket, o Huh i Huahet, o Amonie i Amaunet, którzy wszyscy byli tam od początku, początku pełnego wichru, mroku, nieskończoności i chaosu, na długo przed tym nim pojawili się Nut i Geb, i Ozyrys, i Izyda. Świat był wówczas tylko mroczną wylęgarnią ślepych żab i węży, wilgotnego błota i ogromnych mórz. Nasza Hekwat musiała mieć kontakt z bogami z tamtego okresu, bo inaczej nie byłaby pewnie tak brzydka.

Ale lubiłem ją teraz znacznie bardziej niż uprzednio. Jej twarz nie była mniej szpetna niż pyszczek chorej jaszczurki, ale jeśli już była mowa o wrotach, to jej oczy były faktycznie wrotami, a kiedy się w nie zajrzało – widać było liczne ogrody. Błyszczały i biła z nich lojalność, której nie szczędziła tym, którzy ją cenili. Naturalnie dawałem jej odczuć, że żywię dla niej ogromny szacunek. Zamęt w mej głowie towarzyszący przeprowadzce do pałacu Hetytki w środku Teb był tak ogromny, że starałem się zorientować w otoczeniu równie rozpaczliwie, jak zagubiony na pustyni człowiek wyglądający nieustannie wody.

Prowadziliśmy tak ciekawe rozmowy, że w końcu Hekwat podzieliła się ze mną tajemnicą, którą mógłbym nawet zanieść mojej pierwszej królowej. Chodziło o to, że Rama była niemal pewna, iż to Nefertari wywołała jej chorobę. Pierwszego ranka choroby zauważyła dwa małe ukłucia na szyi. Kiedy wyraziłem przypuszczenie, że mogły to być ślady naszyjnika, Hekwat wzruszyła ramionami. – Albo kobry – powiedziała. Potem pochyliła się ku mnie i chwyciła mnie za kolano. – Mój przyjacielu – ciągnęła – Ma-Krut może sobie rozmawiać z bogami, ale niektórzy Hetyci potrafią przywoływać ludzi umarłych.

– Czy Rama-Nefru do nich należy?

Nie chciała powiedzieć. Sprawiała wrażenie kogoś, kto nie dosłyszał pytania.

– Jeżeli Kulka Miodu jest rozsądna – rzekła – to nie będzie już rzucać uroków.

Dopiero wówczas domyśliłem się, się dlaczego sprowadzono mnie do Pałacu Kolumn Białej Bogini. Czy nie za sprawą namowy Hekwat? Oczywiście nie powiedziałem jej, że już nie widuję się tak często z Kulką Miodu. Lepiej będzie, żeby wszyscy nadal wierzyli, że jesteśmy sobie bliscy.

V

Tej samej nocy, nieco później, po ostatniej rozmowie z Hekwat poszedłem odwiedzić Nefertari. Znając dobrze obyczaje jej straży, dotarłem bez przeszkód do komnaty, w której sypiała, i zastanawiałem się nawet, czy nie wślizgnąć się do jej łoża. Ale nie było mowy! Jeszcze nie spała i nie była usposobiona przyjaźnie.

– Śmierdzisz Hetytami – rzekła.

Jej okrucieństwo sprawiło mi przyjemność, gdyż miałem nadzieję, że stanowi oznakę jej tęsknoty z powodu mego oddalenia.

Nie zabawiłem u niej długo. Nie miałem zamiaru przebywać w jej towarzystwie, skoro nie okazywała mi zainteresowania. Moje pożądanie było tak wielkie, że nie chciałem ryzykować najmniejszej pieszczoty z tą królową, nie czując jej wzburzonej krwi rwącej się do mego ciała. Toteż ograniczyłem się do powtórzenia tego, o czym mi opowiedziała Hekwat, a ona zmarszczyła brwi.

– Już mnie nie obchodzi Rama-Nefru – powiedziała. – To pusta kobieta. Możesz ją obserwować latami, a i tak nie będziesz mi miał nic do powiedzenia. – Potem uszczypnęła mnie w policzek, jakbym był starym wypróbowanym sługą, nikim więcej.

Być może ujrzała wówczas w mojej twarzy jakąś stanowczość, której nie podejrzewała, gdyż zmiękła.

– Jesteś mi bardzo bliski – szepnęła – ale teraz nie mam do tego głowy. Zbliża się termin Boskiego Tryumfu Faraona. Przy takim festiwalu nie myśli się ani o mężu, ani o kochankach, ale o tym, w co się należy ubrać. – Uśmiechnęła się. – Powiedz Hekwat, że jej przyjaciółka nie musi się już obawiać Kulki Miodu, lecz mnie.

Wyszedłem otepiały, ale miałem czas oprzytomnieć, gdy znalazłem się po drugiej stronie Oka Maat. Doszedłem do wniosku, że w trakcie przygotowań do obchodów Boskiego Tryumfu Faraona nic nie bolało Nefertari bardziej niż jej własne położenie. Wydawszy westchnienie nieszczęśliwego kochanka, zapadłem w sen. Nie ma snów bez przeblysków prawdy, choćby nieprzyjemnej, a moja prawda mówiła mi, że w ciągu najbliższych dni Nefertari będzie myślała wyłącznie o Usermare. Trzeba się było uzbroić w cierpliwość i czekać. Czułem jednak także gwałtowny ból zranionych uczuć, gdyż Nefertari musiała żywić do mnie nader skąpe uczucie, skoro tak łatwo się opanowała.

Rankiem przygnębienie częściowo się rozproszyło. Zdawszy sobie wreszcie sprawę z tego, że pośród tych kolumn przyjdzie mi spędzić długie tygodnie, a być może lata, poczułem spokój. Pogodziłem się z myślą, że przyjdzie mi żyć bez Nefertari, ale zarazem umocniłem się w przekonaniu, że znów ją posiadam. Przysiągłem sobie zaraz po przebudzeniu, że tak uczynię. Pogodziłem się z myślą, że może przyjdzie mi czekać długie dni albo nawet miesiące, i zacząłem oddychać spokojnie, rozglądać się wokół, a nawet cieszyć na nasze rozmowy z Hekwat. Dzięki temu w wielu zakątkach pałacu poczułem obecność Rama-Nefru i zacząłem rozumieć jej obyczaje. Nie wiedziałem, czy ją ujrzę jutro czy nawet za kilka dni, ale stała mi się jakoś bliższa, a jej sposób życia zaintrygował mnie. Każdy służący w Pałacu Kolumn Białej Bogini, który umiał czytać, otrzymywał od niej przynajmniej raz dziennie pisemne polecenie napisane po hetycku, jeżeli był Hetytą, albo hieroglifami egipskimi, jeżeli był Egipcjaninem. W listach tych pisała zazwyczaj

zwiąże: „Dla ochrony przed przeziębieniem daj Pet-a-Re żółtego ziela z południowo-wschodniego narożnika mego ocienionego ogrodu”, „Sprawdź, czy służące nie mają wszy”, „Nie zapomnij o śpiewie pod moimi oknami – podoba mi się twój głos” (to ostatnie rozporządzenie otrzymał mój ogrodnik i bardzo się przeraził). Były nawet takie karteczki, jak „Wnet będę cię potrzebowała”, które otrzymywałem codziennie. Jej umiejętność nauczenia się naszych świętych liter zrobiła na mnie wielkie wrażenie, a poza tym rozkoszowałem się najdelikatniejszym papirusem, którego używała, by napisać list, zwinąć go w rulonik i zapieczętować woskiem.

Jej pieczęcie, jak się wnet przekonałem, stanowiły specjalność Hetytów. Rama-Nefru miała całą kolekcję takich pieczęci. Opowiedziała mi o tym Hekwat, dodając, że były to kamienne małe cylinderki, nie dłuższe i nie grubsze od palca. Sądząc po wizerunku wyciśniętym w wosku, musiały być niezwykle misternie wyrzeźbione. Nie mam pojęcia, jak artysta potrafił wyrzeźbić takie precyzyjne miniatury z życia bogów i królów, i to w lapis lazuli, jaspisie, agacie czy chalcedonie. Zacząłem sobie wyobrażać tę blond księżniczkę, siedzącą samotnie w pokoju i piszącą na papirusie, a potem dobierającą odpowiednią pieczęć. Za każdym razem, kiedy łamałem wosk na jednym z jej listów, czułem, że malutcy bogowie Hetytów nadlatują niczym chmary komarów.

Pewnego dnia napisała w liście: „Odwiedz mnie dzisiaj rano”. Poszedłem do niej i rozmawialiśmy przez godzinę w ogrodzie, następnego zaś dnia rozmowę kontynuowaliśmy. Stwierdziłem, że jak na tak delikatną kobietę była niezwykle praktyczna i lubiła plotkować. Jeżeli zrazu podejrzewałem, że kokietuje mnie, ponieważ byłem bliskim sługą innej królowej, to teraz zacząłem się zastanawiać, czy nie interesują jej bardziej moje wspomnienia z okresu, gdy byłem zarządcą Domu Odosobnienia. Nigdy nie wspominała o Nefertari, ale interesowało ją wszystko, co mogłem jej powiedzieć o Ogrodach, zwłaszcza o przebywających tam dzieciach Usermare i o tym, które spośród małych królowych faworyzował. Słyszała już o wszystkim od Hekwat, ale chciała, bym jej wszystko powtórzył. Kiedyś roześmiałem się i poskarżyłem, że przecież już o wszystkim słyszała. Odpowiedziała z naciskiem (przynajmniej tak mi się wydawało, gdy słuchałem jej zabawnego akcentu), że mają takie hetyckie powiedzenie: „Patrz jednym okiem, patrz drugim okiem, a potem staraj się wszystko widzieć dwojgiem oczu”.

Nie byłem pewien, ale zacząłem podejrzewać, że jej zainteresowanie plotkami nie było przypadkowe. Chciała się na przykład dowiedzieć, jakie dzieci w Ogrodach mogły liczyć na tron i czy takie dzieci w ogóle się tam znajdowały. Bardzo szybko nasze rozmowy zrobiły się poufale, po części dlatego, że jej towarzystwo było przyjemnością, gdyż nie trzeba było do niej mówić jak do królowej, wystarczyło ją traktować jak księżniczkę, zepsutą księżniczkę, która na tyle potrzebowała naszej rady, że nie wynosiła się nad resztę świata. To wtedy właśnie powiedziałem pół żartem, pół serio, że zależy jej tylko na jednym, a mianowicie na tym, by Pet-a-Re został faraonem. Oczy jej zabłyśły.

– Trudno przeniknąć myśli obcego przybysza – odpowiedziała. – Nigdy nie będziesz wiedział, czy mówię prawdę.

– Trudno – przyznałem.

Żadne myśli nie przedostawały się poza drobne rysy ślicznej twarzy.

– Zmęczyła mnie moja peruka – powiedziała. – Czy pozwolisz, że ją zdejmę?

Zdjęła, gdy się skłoniłem. Biedna główka wyłysiała. Zaledwie parę kosmyków porastało niczym meszek jej czaszkę. A jednak wiedziałem, dlaczego ją zdjęła. Była piękniejsza bez peruki, osobliwą urodą. Była kruchą boginią. Czy chciała, bym zaniósł Nefertari wiadomość, iż Usermare może się w niej jeszcze bardziej zakochać niż przedtem? Jak wszyscy ludzie, którzy lubią plotki, nie miała żadnych zahamowań jeżeli chodziło o nią samą.

– Jeżeli ktoś jest królową w Egipcie – powiedziała mi kiedyś – jest zarazem boginią, prawda?

– Faraon jest bogiem – odrzekłem – a jego małżonka jest boginią.

– Nie wiem dlaczego. Mój ojciec Ketazar nie jest bogiem. Jest tylko królem, zapewniam cię. Enlil nie traktuje go jak boga. Enlil mówi mu, co trzeba zrobić. A król to robi. Nie jestem boginią, lecz kobietą. Co o tym sądzisz?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Musisz porozmawiać z Usermare.

– Nie chce o tym rozmawiać. Chce się kochać – zachichotała. – Wydaje mi się, że jestem jedyną kobietą na świecie, która może mu odpowiedzieć, że nie chcę się z nim kochać. Zabawne, co? – mówiła to, przechylając lekko głowę w bok, jak gdyby jej mężem był oswojony krokodyl, a ona nie miała pojęcia, co z nim począć.

Pomyślałem, że bez względu na to, czy była boginką, czy kobietą, niewątpliwie dokonała w życiu paru cudów. Przypomniałem sobie, że kiedy przybyła do Egiptu po raz pierwszy, jako dar króla Ketazara, Usermare zachował się niegrzecznie i umieścił ją w swoim haremie w Fajum, w którym przebywały małe królowe mające aspiracje do Ogrodów Odosobnienia. A przecież Rama-Nefru została sprowadzona do Teb jako Trzecia Główna Zona Usermare. Podobnie jak wszyscy ludzie doszedłem do wniosku, że musiała dokonywać cudów z jego ciałem, cudów, których nie znała żadna inna kobieta.

Zachowywała się skromnie. W jej towarzystwie nigdy nie czułem się mężczyzną i nie zwracałem na nią uwagi jako na kobietę. Zaprzyjaźniliśmy się. Plotki sprawiały nam obydwójgu przyjemność. Kiedy zrobiłem raz aluzję do Fajum, odrzekła:

– Nic mnie z nim tam nie łączyło. Powiedziałam mu, że nie pozwolę mu nawet dotknąć mojej ręki. Mój ojciec przysłał mnie jako królową. Nie pozwolę faraonowi zbliżyć się do siebie w tym plugawym kącie.

– Co on na to?

– Powiedział, że każe mnie wrzucić do ognia. Poprosiłam, by to uczynił. Powiedziałam, że nie szanuje mego ojca ani mnie. Lepiej mi będzie, jak umrę – zachichotała. – Właściwie miałam nadzieję, że mnie odeśle do Kadeszu. Ale zabrał mnie tutaj. Kto by się tego spodziewał?

– To nieprawda – odparłem. – Hekwat mi mówiła, że go uwielbiasz.

– Sam się powinieneś o tym przekonać – rzekła.

– Nie potrafię – zaprotestowałem. – Nie umiem przeniknąć twoich myśli.

– Aż do chwili, gdy je przenikniesz – odpowiedziała.

Kiedy Usermare składał jej wizyty, zazwyczaj późnym popołudniem, przyjmowała go w sypialni. Jedwabie były koloru purpurowo-lawendowego, harmonizowały z purpurą ścian. Często myślałem o jedwabnych prześcieradłach łoża, na którym kochałem się kiedyś z tajemną kurwą króla Kadeszu. Nie wiedziałem jeszcze, jakich to rozkoszy zażywał z nią Usermare ani jak często udaje się doń do Pałacu Uwielbienia (widziałem ją tam tego poranka, gdy mi podał Złoty Nocnik). Zacząłem się jednak zastanawiać, czy naprawdę spędza z nią aż tyle nocy, jak myślałem. Odwiedzał ją wszak późnym popołudniem, a często zapraszał jeszcze Hekwat i mnie do towarzystwa, choć rozmawiał z nią tak, jakby byli sam na sam.

Wiedziałem, jak zmienny jest mój Dobry i Wielki Bóg – widziałem tak wielu spośród jego czternastu Ka, że byłem w stanie obejść go dookoła, jakby był rzeźbą. Teraz ujrzałem nową twarz. Bystrość Rama-Nefru sprawiała mu przyjemność (podobnie jak jego własna), toteż przypuszczam, że nie życzył sobie, by ich słowa wystuchiwane były wyłącznie przez równych mu bogów, lecz pragnął mieć Hekwat i mnie za świadków. Rozkoszował się jej pozorną niedbałością. Nawet jej wymówki sprawiały mu radość. Połajanki na naszych oczach – cóż za niespodzianka! Zachowywał się niczym potężny ogier rżący z uciechy, gdy niezwykle wprawny nowy woźnica zręcznie pociąga za lejce.

– Mógłbyś ulepszyć nową bibliotekę – powiedziała mu pewnego dnia, a on zachnął się i powiedział w końcu, że nie ma drugiej takiej na całym świecie. Na co ona, że to najlepszy powód, by ją ulepszyć. Parsknął śmiechem i rzekł:

– Moja mała, łysa biedaczka.

Nigdy nie nosiła peruki w jego obecności, nie musiała, z przyjemnością spoglądał na jej twarz:

– Ty mój ptaszku bez pierza, jak byś chciała ulepszyć moją bibliotekę?

– W moim kraju – odparła – ojciec poznał obyczaje wędrownych kupców. Wielu spośród nich ma przy sobie papiirusy albo książkę z tabliczek. Lubią czytać w czasie długich podróży. Mają przy sobie pobożne modlitwy odmawiane co wieczór. Mój ojciec nakazał wszystkim wędrownym kupcom składać takie pisma w naszej królewskiej bibliotece podczas ich pobytu w Kadeszu, dzięki czemu możemy je przepisać.

– Nie chciałbym tego robić – rzekł Usermare. – W powietrzu zaroiliby się od skłóconych prądów. Nie należy kopiować tych wszystkich obcych tekstów naraz. Bardziej podobają mi się opowieści, które już raz słyszałem, prawda, Hekwat?

– Prawda, Boski Władco Obojga Królestw.

– Na przykład ta opowieść o brzydkiej kobiecie, której mąż nigdy nie choruje. Meni, pamiętasz ją?

– Pamiętam.

– Czy nie sądzisz, że Hekwat mogłaby być równie dobra dla ciebie?

– Dobry i Wielki Boże, nigdy nie zadawałem sobie tego pytania.

Ale teraz je sobie zadałem. Czyżby zemsta? Nie rozumiałem już mego Usermare. Może nie zabijał już za byle głupstwo. Może wołał się napawać czymś powolnym cierpieniem. Jakże by się szczerze śmiał, gdybym poślubił Hekwat. Ale nie umiałem przeniknąć jego myśli. Tęskniłem za mądrością, której zażywałem będąc u boku Kulki Miodu.

Ale Usermare nudził się. Toteż poprosił Rama-Nefru, by powiedziała do niego po sumeryjsku. Był bardzo dumny z tego, że zna ów język, którego tajniki – jak mi wyjaśniła Hekwat – zgłębiały tylko dziewczęta z najlepszych hetyckich rodzin (starające się naśladować Babilończyków i Asyryjczyków). Nie mówiono już w tym języku, ale jego znajomość uchodziła w kręgu tych Hetytów, którzy znali sumeryjski stary religii i nauki, za oznakę ogłady.

– Czy wiecie – zwrócił się do nas – że potrafi wiele powiedzieć po sumeryjsku?

– Och, nie chce mi się, nie dzisiaj – odrzekła.

– Opowiedz nam o eunuchach – pilił.

Bawiła się swoim kotkiem, pięknym srebrnoszarym zwierzęciem z wysokim, łukowatym ogonem wielkości palmowego liścia. Gładziła ogon palcem wskazującym i kciukiem.

– Mer-mer – spytała kota – czy chciałabyś usłyszeć o sumeryjskich eunuchach?

Kiedy Mer-mer wygiął grzbiet, Rama-Nefru uśmiechnęła się.

– Powiedziała „tak”, więc wam opowiem, ale gdyby Mer-mer powiedziała „nie”, nie usłyszeliście ani słowa.

Rama-Nefru przeciągnęła się jak kotka.

– Kiedy byłem jeszcze w szkole w naszym pałacu, moje koleżanki i ja nie lubiliśmy sumeryjskiego. Był bardzo trudny. Płakałyśmy. Ale w naszej bibliotece znalazłyśmy książkę z zakazanymi słowami. Uśmiełyśmy się z koleżankami z tych zakazanych wyrażen. Czy wiecie, że Sumeryjczycy mieli trzy wyrazy oznaczające eunuchów? Można powiedzieć kurgurru, girbadera albo sagursag. Pierwszy wyraz oznacza eunucha, któremu odcięto woreczek, a drugi eunucha, któremu odcięto palec między nogami, ale zostawiono woreczek. Ten drugi jest wciąż mężczyzną. Trzeci wyraz oznacza prawdziwego eunucha. Nie ma nic. Jakże się śmiałyśmy z tych słów! Ci

pierwsi, kurgurru, to plotkarze, kwaśni jak ocet, drudzy są uprzejmi i mili, świetnie się biją. Ci ostatni, którzy nie mają nic, są uczciwymi eunuchami, spokojnymi jak krówki.

– Podoba mi się ta opowieść – rzekł. – Opowiedz następną.

– O nie, jesteś nienasycony – odparła. – Nie jesteś wcale faraonem Ramzesem, lecz królem Sargonem.

– Opowiedz mi o Sargonie – rzekł.

Rama-Nefru znów spytała ogon Mer-mer, nim przemówiła. – Sargon – powiedziała – był wielkim królem Sumeryjczyków i panował pięćdziesiąt sześć lat. Podbił wszystkie krainy. Ty jesteś moim Sargonem.

– Słyszeliście? – spytał Usermare. – Pięćdziesiąt sześć lat!

– Jesteś moim Sargonem i moim Hammurabim – dorzuciła.

– Dlaczego jestem twoim Hammurabim?

– Ponieważ jesteś okrutny i sprawiedliwy.

Na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiej przyjemności. Lubił dźwięk imienia Hammurabi. Brzęczało pochlebnie w jego uchu. Na znak Hekwat powstałem i wyszliśmy z komnaty, ale czułem się jak zwierzę na długim postronku, gdyż już w następnym pomieszczeniu poczułem, jak siłą woli nakazał nam zaczekać. Nie pozwalał nam patrzeć na to, co robili, ale z pewnością kazał nam słuchać.

– Hammurabi – powiedziała, gdy już zostali po trosze sami – dlaczego wasze egipskie kobiety mają tak wielu mężów?

Roześmiał się. – Nie rozumiesz – odparł. – Mają po jednym mężu i wielu kochanków.

– No to ja nie jestem specjalnie egipska – odparła. – Bo mam tylko jednego męża i żadnego kochanka.

– Ty – powiedział i roześmiał się tak beztrudnie jak nigdy dotąd – faktycznie nie jesteś specjalnie egipska.

– To prawda – przyznała. – Jeszcze w Kadeszu mówiono mi, że Egipcjanki słyną ze swych skłonności do cudzołóstwa.

– Po raz pierwszy – powiedział – w tym Kadeszu mówi się do rzeczy.

– Mówią także – dodała – że to ty właśnie sprawiłeś, iż żony stały się cudzołożnicami.

Ryknął śmiechem. Nigdy jeszcze nie słyszałem, by śmiał się równie głośno. – Jesteś zazdrosna? – spytał.

– Nie. Cieszę się, że ci się podobam. Chodź tu, Mer-mer. Usłyszałem, jak pieści kotkę. – Czy nigdy się nie bałeś – spytała – że wyrządzisz krzywdę całemu Egiptowi, ucząc kobiety tak silnego pożądania?

– O nie – odparł. – Egipcjanki zawsze takie były.

Potem opowiedział jej historyjkę o ślepych faraonach, którzy poprosili bogów, by mu przywrócili wzrok, a oni odrzekli, że to proste – pod warunkiem, że odnajdzie jedną cnotliwą niewiastę spośród swoich poddanych. – No i – ciągnął Usermare – ten faraon nie znalazł żadnej niewiasty, która by go wyleczyła. – Westchnął. – Czy zawsze pozostaniesz mi wierna? – spytał.

– Zawsze – odpowiedziała. – Wcale nie dlatego, że cię tak bardzo kocham, lecz dlatego, że wcale nie wierzę, że bym była boginką. Egipcjanki w to wierzą. Toteż nie potrafią się trzymać jednego mężczyzny. Ja potrafię.

Siedząc w sąsiedniej komnacie przy boku Hekwat (poczułem się nieswojo, gdy przytuliła się do mnie), czekałem w mroku purpurowych kafelków i słuchałem pisków kotki Rama-Nefru w sypialni królowej. Szlachetne zwierzątko o niezwykle gładkiej sierści, a jak rasowe! Teraz jednak Mer-mer

wydawała piski przerażenia, jak gdyby coś się działo z ciałem jej pani. Ja słyszałem tylko chichot Rama-Nefru, szelest pocałunków i stykających się ciał.

O ile słyszałem, a słyhać było niewiele, nie było nic do oglądania. Myślałem, że Usermare z przejęciem ściska ją za rękę, a gdy moja ciekawość zaostrzyła się niczym ostre ząbki gryzące mnie w genitalia (w duszy widziałem je wyraźnie!), wstałem i zajrzałem do pokoju. Leżeli tak, jak to sobie wyobrażałem, obok siebie, ze złączonymi rękoma. Nie byłem jednak przygotowany na widok namiętności rysującej się na jej twarzy, ożywionej i udęczonej. Usłyszałem, jak faraon szepcze:

– Jestem mocny byk, umiłowany Maat, jestem jego wysokość Horus, silny w prawdzie i wybraniec Re.

Słodki, osobliwy odgłos dobiegł mnie od jej strony, ni to jęk, ni pisk, ale jakiś protest jej ciała zatraconego we własnej rozkoszy, niczym skrzył zawiasów. Powiedziała:

– Tak – i chwyciła go za rękę. – Mów do mnie jeszcze. – Faraon odpowiedział niskim głosem, czystym jak drżenie ziemi:

– Jam jest Tron Obojga Królestw. Moja moc znana jest we wszystkich krajach. Na dźwięk mego imienia złoto wycieka z gór!

Gdybym nie widział jej drgającego ciała, zorientowałbym się już po jej pospiesznych, krótkich okrzykach, że przeżywa rozkosz, całkowicie ubrana, u jego boku, splótszy z nim tylko palce. Oszołomiony intymną mocą tych uczuć usiadłem przy Hekwat, a kobieta ta, podniecona, gotowa była przyjąć mnie wszystkim, co miała do zaoferowania.

Kulka Miodu wprowadziła mnie w tajniki bagna (czyli najbardziej oszałamiające pieszczoty, sfermentowane jak duchy z naszych gnijących odchodów), dzięki czemu zrozumiałem połowę miłości, naturalnie tę niższą. Ale Kulka Miodu potrafiła mi także ofiarować obfitą wspaniałość ciała, podczas gdy u Hekwat, mierzonej tą bagienną miarą, nie mogłem się dopatrzyć nawet zwierzęcia, lecz, wyjąwszy błogosławieństwo wspaniałych oczu, zaledwie płaza, jaszczurki albo węża. Teraz zrozumiałem, dlaczego Usermare odwiedzał ją raz na rok. Poczulem bowiem w sobie osiem matek i ośmiu ojców mułu i zaczęło mnie podniecać wszystko, co się porusza w ziemi czarnej, pod najczarniejszą wodą. Zadrżałem u boku Hekwat, opierając się pokusom każdego demona, którego przywoływała, jak gdyby uległość musiała zaraz przypieczętować nasze małżeństwo. Czułem się słaby, nie tylko dlatego, że bezwolny, ale i dlatego, że władała teraz wszystkimi mocami Usermare. Wówczas wstałem, gdyż zdałem sobie sprawę, sam nie wiem, jakim sposobem, że jeżeli nie odejdę od Hekwat, utracę na zawsze Nefertari. Drogo mnie kosztował ten gest. Moje lędźwie tak się napięły, że czułem się, jakby mnie rozplątano – tak szybko zapragnąłem zagasić nagle pożądanie. Z dolnych partii mego ciała unosił się po prostu dym.

I właśnie wówczas usłyszałem, jak Usermare wydaje osobliwe odgłosy, przypominające kaszel kogoś, kto się dusi. Nie, raczej odgłosy, które wydobywały się z jego gardła z niezwykłym pośpiechem, coraz szybciej. Ryk byka, któremu zaciśnięto pętlę wokół szyi, brzmiałby zapewne całkiem podobnie do tych jęków. Ośmieliłem się znów zajrzeć przez drzwi i oto ujrzałem mego króla z głową między jej nogami. Nigdy jeszcze nie widziałem, by Usermare dotykał kobiety ustami, w żadne miejsce, ani podczas zabawy, ani w zapamiętaniu, toteż widok ten zaskoczył mnie tak raptownie jak ostra wiązka światła bijącego w źrenice. Napawał się zapamiętałe jej ciałem niczym dzik smacznym korzeniem w wilgotnym lesie. A przecież było to tylko małe gniazdeczko blond. Zajęczał głucho wytryskając i wykrzyknął coś o sercach Hetytów i o blasku słońca na morzu. Bełkotał. Ledwo zwróciłem uwagę na to, co mówił, gdyż ona pozostała nieporuszona. Kiedy skończył, sięgnęła spokojnie po jego dłoń i zaczęła mówić o jego królewskich palcach, o tym, że ma nadzieję, iż nie są zmęczone.

Wycofałem się i usiadłem, pogrążony w niewesołych myślach, Hekwat zaś po drugiej stronie komnaty zatopiła się w bulgocących żądzach. Przez cały czas musiałem wysłuchiwać czystego głosu Rama-Nefru, opowiadającego, jak to uwielbia jego palce na swoich. Powiedziała, że kocha jego dłoń, i pomyślałem nawet, że to poprzez jego dłoń Egipt w nią wchodzi, ale nie miałem bynajmniej ochoty na prześmiewki, przypomniawszy sobie niesłychaną intensywność uchwytu dłoni Usermare i wymownej rozkoszy, którą dzięki jego dłoni poznałem.

Nie można jednak było zrozumieć Rama-Nefru, jeżeli się nie wzięło pod uwagę jej zmysłu praktycznego. Ledwo skończyli z westchnieniami, komplementami i chwilową rozkoszą, gdy zasypała go pytaniami, które sprawiły, iż poczułem się nieswojo. Nie znałem nikogo w Obojgu Królestwach, kto ośmieliłby się choćby o tych sprawach wspomnieć, a ona pytała wprost, niczym srebrzysty obłoczek.

O tak, już wiem, z czym mi się kojarzyła! Była jak srebrne tablice, na których Ketazar wypisał najmądrzejszy traktat pokojowy, jaki znałem.

Pytała, w jaki sposób on, jej mąż, potężny mąż, został faraonem. Czy to dlatego, że był najstarszym synem? Nie sądziła, by od tego zależał wybór w Egipcie, ale nikt nie potrafił jej na to odpowiedzieć. On natomiast odparł, że to proste i że został faraonem dzięki ożenkowi z przyrodnią siostrą, ponieważ Nefertari pochodziła z rodziny królewskiej ze strony matki.

– Masz z nią córkę?

– Nie, ale mam córkę Bint-Anat z Esonefret, która też pochodzi z możnej rodziny. Jest głupia i wiecznie przebywa z kapłanami. Bint-Anat nigdy nie będzie dobrą królową.

– Ale syn Nefertari mógłby zostać faraonem, gdyby poślubił Bint-Anat?

– Tak sądzę. Ale to odległa sprawa. Nie mówmy już o tym.

– Ale ja chciałabym ochronić Pet-a-Re. Chciałabym, żebyś go obronił.

– Chcesz, żeby się zaręczył z Bint-Anat? Przecież ona jest w twoim wieku.

– To bez znaczenia. Chcę tylko, byś ochraniał naszego syna. Bogowie ukształtowali naszego syna w moim łonie.

– Jacy bogowie? – spytał Usermare.

– Jacy bogowie? – powtórzyła.

– Nie potrafisz ich wymienić – rzekł. – Nie znasz egipskich bogów.

– Moi bogowie są twoimi bogami – twierdziła uparcie.

– Opowiedz mi o nich.

– Nie pragnę poznać ich tajemnic.

– Nie znasz nawet tajemnic swoich własnych bogów.

Czułem jego myśli. Ciężyły mi. Znow odezwał się w User mare strach przed wielkimi i okropnymi wydarzeniami. Jego strach był jak góra złota, pełna majestatu. Nie wiem, czy to za sprawą Hekwat, czy nie, ale usłyszałem wyraźnie jego myśli. Słyszałem je tak wyraźnie, że byłbym przysięgł, iż wypowiedział je na głos, a przecież milczał. „Im dłużej przebywam z Rama-Nefru – mówił sam do siebie – tym bardziej oddalam się od mego królestwa”.

Musiała dosłyszeć echo tych myśli. Odparła bowiem:

– Nie muszę wcale przebywać blisko twoich bogów. Gdybyś sypiał w świątyni, w snach miałbyś ich obok siebie. Tak postępuje mój ojciec.

Usermare parsknął. Strach parował zeń i unosił się niczym bagienne trawy, poruszane przez przepływającą łódkę. Nie byłem zaskoczony, widząc, dokąd wiodą go myśli. Zaczął rozmyślać o spustoszeniach grobowców dawno umarłych faraonów. Jego oczyma ujrzałem zwalone mury świątyni Hatszepsut w Ittawi. Westchnął.

– Ozyrys to jedyny starożytny bóg – rzekł – którego czczą wszędzie. Żaden kapłan nie pozwala jego świątyniom porastać mchem. A to dlatego, że miał mądrą żonę, która znała bogów. Izyda była tronem tego, który stwarzał trony, i była mądrą żoną.

Poczułem, że żałuje tego momentu bez miłości, który zawisł nad nim i Rama-Nefru. Bliski byłem jego smutkom, gdy podnosił się z łoża. Tak niewiele wiedział o tym, czego potrzebowała. Usłyszałem, jak mówi do siebie: „Powiada, że nie jest boginią, i to prawda. Nie zachowuje się jak bogini”. Wyszedł bez słowa.

Gdybym jednak przypuszczał, że zmęczył się Rama-Nefru, wnet wyprowadziłby mnie z błędu. Gdy mijał komnatę, dał mi znak łokciem, bym poszedł za nim. Razem obeszlśmy Oko Maat. Dowiedziałem się, że pragnie, by jego stary woźnica rydwanu zaczął uczyć hetycką piękność o naturze egipskich bogów.

Za każdym razem, kiedy próbowałem powiedzieć, że sam nie znam się zbyt dobrze na tym, czego mam uczyć, uciszał mnie.

– Znasz bogów równie dobrze jak ja – mówił. – I to mi wystarczy. Jej też. Nie chcę kapłana, który jej tyle naopowiada, że zacznie uważać, iż wie więcej ode mnie. – Westchnął.

– Nauczysz ją – rzekł – a pewnego dnia zaskoczę cię darem, jakiego się nie spodziewasz.

VI

Niewiele czasu minęło, a już wpadłem w tarapaty. Okrążyliśmy dwukrotnie Oko Maat, po czym Usermare powrócił do komnaty Rama-Nefru, by jej powiedzieć, że nauka rozpocznie się od zaraz, ponieważ za kilka dni ma nastąpić Boski Tryumf. Potem wyszedł. Spytała o papirus, który należało przeczytać, by zacząć naukę, a ja odpowiedziałem po prostu, że najlepsze zwoje można zakupić w świątyni Amona.

– No to je przynieś od razu – rzekła.

Skorzystałem z okazji, by ją przekonać, że lepiej będzie zacząć rano. Moglibyśmy wówczas razem odwiedzić świątynię. Przeberzemy się. Klasnęła w ręce z uciechy jak dziecko.

Następnego ranka, przebrani za kupców ze Wschodu (Rama-Nefru z twarzą ukrytą pod wełnianym kapturem) wyszliśmy kuchennym wyjściem Pałacu Kolumn Białej Bogini, przeszliśmy przez wiele pałacowych dziedzińców, stawów, parków i ogrodów, minęliśmy wrota ostatniego muru, skierowaliśmy się w dół wielkiej alei, okrążyliśmy mury świątyni. Przemaszerowaliśmy przez świątynną wioskę alejek i chatek, w których mieszkało wraz z rodzinami wielu robotników zatrudnionych przez kapłanów, tu także przechowywali oni swoje narzędzia. Dotarliśmy w końcu do ulicy Pisarzy, która wychodziła na dziedziniec i kaplicę, wokół których mieściły się warsztaty świątyni i liczne zabudowania szkolne. Wszędzie widać było krzątanie zapobiegliwych kapłanów. Widzieliśmy młodych uczących się malarstwa i ćwiczących malowidła świątynne na białych murach, podczas gdy na sąsiednim murze studenci zamalowywali na biało wczorajsze rysunki, by móc nazajutrz rozpocząć od nowa. Minęliśmy Głównego Pisarza łajającego adepta rzeźbiarstwa, gdyż młodzieniec wyrzeźbił właśnie imię na kartuszu, robiąc przy tym straszny błąd, który nawet ja zauważyłem. Jego Oko Horusa było spiralą zakreconą w niewłaściwym kierunku. W następnej alejce widać było muzyków ćwiczących świątynną muzykę do modłów, kolejna zaś klasa pisarzy stała przed napisami na murach świątyni i spisywała je tak szybko, jak potrafiła. O tak, spisywali na wyścigi i ci, którzy przegrali, jęczeli głośno, widząc, że ich konkurenci byli już gotowi. Minęliśmy inne dziedzińce i większe świątynie, przez których rozwarte wrota nic nie było widać, tylko białe szaty kapłanów zasłuchanych w czyjś wykład.

Na zakończenie zabrałem ją na wierzchołek Wieży Zachodniej, skąd rozpościerał się wspaniały widok na łodzie przycumowane do nabrzeży, powiązane po cztery czy pięć; wiele łodzi płynęło w górę lub w dół rzeki.

Cztery narożniki wieży oznaczone były masztami z połączanego drewna, z masztów zaś zwisały flagi, leciutko trzepocząc w słabym wietrzyku pogodnego poranka. Na naszych oczach aleje rozbiegały się na wszystkie strony niczym promienie światła; każda aleja wysadzana była posągami baranów lub sfinksów. W oddali widzieliśmy kanały Teb wiodące do doków, dach zaś wielkiej świątyni Amona rozciągał się pod nami jak taras. Wszędzie widać było robotników szorujących kafelki, kamień posągów i patia Teb, od rynków dobiegała muzyka. Przygotowywano się do Festiwalu Festiwalu.

– Jakże tu pięknie – rzekła – i jakże rzadki to widok! Nigdy nie widuję Teb! – Patrząc na miasto jej oczyma, ujrzałem jeszcze jeden rodzaj piękna, czyli złoto na czubkach małych piramid wielu

obelisków Teb, które odbijało blask słońca, błyszcząc niczym liście na zielonym zakurczonym drzewie. Niebo nad nami wydawało się tak wielkie, że nie starczyłoby bogów, by je wypełnić.

– Chodźmy zobaczyć – powiedziała – czego uczą w świątyni Amona.

– To nam zajmie sporo czasu – odparłem. – Nawet Pierwszy Kapłan musi siedmiokrotnie umyć ręce, nim wolno mu będzie dotknąć świętego papiirusu. – Kiedy jednak uparła się, musiałem wyjaśnić, że kapłani nigdy nas nie wpuszczą, skoro przebraliśmy się za obcych kupców, gdyż nie wpuszczają tak łatwo do świętych pomieszczeń. Z drugiej strony nie możemy im zdradzić, kim jesteśmy, nie stając się natychmiast przyczyną niezwykle szkodliwych plotek w ich szkołach. Poza tym stracimy z oczu ten wspaniały widok i bliskość bogów.

Rozzłościło ją, że pokrzyżowałem jej plany, ale po chwili milczenia spytała:

– Czy mogę ci zadać pytanie?

Bąłem się, ale spojrzałem jej w oczy i skinąłem głową.

– Nie pomyślisz, że to głupie pytanie?

– Nigdy!

– No to dobrze – rzekła. – Kim jest ten Horus?

– Och, to wielki bóg – odparłem.

– Czy jest Jedyny? A może Najpierwszy?

– Można powiedzieć, że jest synem Re i umiłowanym przez Re.

– To znaczy, że jest taki sam jak faraon?

– Tak – potwierdziłem. – Faraon jest synem Re i umiłowanym Re. A więc faraon jest Horusem.

– Jest bogiem Horusem?

– Tak.

– To faraon jest także Sokołem Niebios? – spytała.

– Tak.

– I ma dwoje oczu przypominających księżyc i słońce?

– Tak. Prawym okiem Horusa jest słońce, a lewym księżyc.

– Ale skoro Horus jest dzieckiem słońca – pytała dalej – to jak słońce może być jednym z jego oczu?

Poczułem mrowienie w nogach. Tak się bałem. Nie lubiłem o tych sprawach rozmawiać. Znałem własne ramię, ale nie byłem artystą i nie potrafiłbym narysować własnego ramienia. Kapłan powinien był jej o tym wszystkim opowiedzieć.

– Tak musi być – odparłem. – Oko Horusa nazywamy także córką faraona, Wadzet, a ta jest kobłą. Kobra potrafi zionąć ogniem i zabijać wrogów faraona. – Kusiło mnie, by jej powiedzieć, że choć nie widziałem ognia kobry w czasie bitwy pod Kadeszem, czułem z pewnością jej żar.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odpowiedziała. – Wygląda na to, że twoja opowieść jest jak skręcony sznur.

– Pewnie – potwierdziłem – bo to przecież bogowie. Faraon pochodzi od bogów, ale bogowie także pochodzą od faraona. – Gdy uświadomiłem sobie, śledząc jej rysy, że żegna się z nadzieją, iż kiedykolwiek coś z tego zrozumie, dorzuciłem szybko: – Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale tak jest. Tak to bywa z bogami. Amon-Re jest tym, który płodzi swego ojca.

– Ale kim jest Ozyrys? Czy jest Amonem? Proszę! – powiedziała. – Tego pytania nie śmiałam zadać ani razu od chwili, gdy jestem trzymana w Egipcie.

– Ozyrys nie jest Amonem – powiedziałem zadowolony, że mogę jej powiedzieć coś oczywistego. – Ozyrys jest ojcem Horusa i zarazem władcą Krainy Umarłych. Jego syn Horus, który jest także faraonem, jest za to władcą stworzenia.

– Powinienem być milczeć, ale widząc błysk zrozumienia w jej oku, dodałem: – Do Ozyrysa należą drzewa, jęczmień, chleb i wody, a także piwo, gdyż fermentacja ziarna mieści się w pół drogi między żywym stworzeniem a śmiercią.

– Myślałam, że ziarno należy do Izydy.

– To także prawda – dorzuciłem szybko. – Należy też do Izydy. Ale Izyda i Ozyrys są małżeństwem.

– Tak – przytaknęła. – Ale co należy do Horusa, skoro jest faraonem?

– Nie potrafię wymienić wszystkiego, ale dużo tego. Wiem, że Oko Horusa to oliwa, ale może to być i wino, a czasami jest to kredka do powiek.

– Powiadasz, że jest synem Ozyrysa? – spytała niepewnie.

Skinąłem głową.

– Ale jeżeli Horus jest synem Re, to jest on bratem Ozyrysa, a nie synem – stwierdziła Rama-Nefru.

– Pewnie, jest także bratem – przyznałem. Nie dostrzegałem już szerokiej alei pod nami. Oczy zasnuwała mi mgła. Nie wiem, czy znów poczułem zamęt w głowie, czy też mnogość fal i prądów między uszami na skutek myśli o wielu bogach, których powinienem być jeszcze wymienić. Nie wiem, ale mdlałem, byłem tak bliski omdlenia, że choć niegrzecznie byłoby zostawiać ją samą, przykucnąłem nagle i oparłem pośladki na piętach. Ona także przykucnęła i zajrzała mi w oczy.

– Musimy zacząć od nowa – powiedziałem. – Przed Re był jeszcze Atum, jego dziadek. Atum miał dwoje dzieci, Szu i Nu, przy czym na Nu wołamy także Tefnut.

– Szu i Tefnut – powtórzyła.

– Dają nam powietrze i wilgoć. – Słyszałem, jak powtarza sobie i to zdanie. – Szu i Tefnut spłodzili Re, Geba i Nut. Dwoje ostatnich to ziemia i niebo. Geb i Nut kochali się. Zacząłem kasłać. – Niektórzy powiadają – wymamrotałem – że to Re posiadał Nut. – Kaslałem w dalszym ciągu. Nie chciałem przerywać, ale zostałem do tego zmuszony. – Nie znali ojca – rzekłem – ale dzieci Nut to Izyda i Ozyrys, Set i Neftyda, a także bóg Horus. Jest bratem Ozyrysa, ale zarazem jest także wszystkimi pozostałymi bogami. – Szu, Tefnut, Re, Gebem, Nut, Izydą, Ozyrysem, Setem i Neftydą.

– No to jak Horus mógł zostać synem Ozyrysa?

– Bo Horus umarł. Spadł z konia. Musiał więc zostać synem Izydy i Ozyrysa, by się ponownie narodzić. Było to po zabiciu Ozyrysa przez Seta. A mimo to Izyda potrafiła jeszcze go kochać.

– Moje nogi słabną – powiedziała. – Nigdy się tego nie nauczę.

– Nauczysz się – powiedziałem.

– Nie. Wymieniasz wielu bogów. A przecież stoimy na wieży Amona, ty zaś wcale jeszcze o nim nie wspomniałeś. Ani o Ptahu. Sesusi ciągle mi opowiada o koronacji w Memfis w świątyni Ptaha. Myślałam, że ten Ptah to wielki bóg.

– Jest wielkim bogiem – przytaknąłem. – Pochodzi z ziemi. W Memfis nie wierzą, że to Atum panował na początku w niebiosach, i sądzą, że był to Ptah. Są przekonani, że wszystko, co istnieje, wyłoniło się z wód wraz z pierwszym wzgórzem, pierwsze wzgórze zaś należało do Ptaha. Z tego pierwszego wzgórza narodziło się słońce. W ten sposób Re pochodzi od Ptaha, a także Ozyrys i Horus.

Westchnęła. – Jest ich tak wielu. Czasami słyszę o Mut i Tocie.

– Oni też mogą się wywodzić z Ptaha.

– Mogą?

– No cóż – powiedziałem spocony (omdlenie nie ustępowało). – Po prawdzie to pochodzą z księżyca.

- Kto?
- Mut i Tot. I Konsu.
- O?
- Księżyc jest drugim Okiem Horusa.
- Tak.

– Pierwszym okiem, jak już powiedziałem, jest słońce. Możesz je dojrzeć w ziarnie zboża. Ziarno zboża ma kształt oka.

- Tak.

Nie powiedziałem jej o tym, że Oko Horusa było także pochwą kobiety. Wyjaśniłem jednak, że dwie damy Górnego i Dolnego Egiptu, Wadżet, czyli kobra, i Nekbet, czyli sęp (który był także białą boginią), jednoczyły się w białej koronie na głowie faraona. I w ten sposób faraon był zarazem Horusem, jak i Setem.

– Jak to możliwe, by był zarazem Horusem i Setem? – spytała. – Przecież walczą oni przeciw sobie przez cały czas.

- Nie walczą, jeżeli znajdują się w Nim – wyjaśniłem.

– Faraon jest tak potężny, że zmusza ich do życia w pokoju. Znow westchnęła.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekła. – Wychowałam się w kraju, w którym są cztery pory roku. Mówimy o wiosnie i lecie, o jesieni i zimie. U was w Egipcie są tylko trzy pory roku i nigdy nie pada. Zamiast tego macie wylew. Nie macie naszej pięknej wiosny, kiedy widać nowe listki.

– Ależ to proste – powiedziałem jej. – Nasi bogowie są tacy jak wszędzie. Potrafią się ze sobą łączyć. Sekmet jest lwicą, Bastet zaś kotem. Kotem pięknym jak Mer-mer. Ale Hathor może być i kotem, i lwicą zarazem. A kiedy sobie tego zażyczy, staje się Izydą. Poza tym wszystkie nasze boginie mogą być spenetrowane przez Re. Nawet Sebek, krokodyl z Fajum.

- Czy odnosi się to także do Amona, gdy jest Amonem-Re?

– A nie, to co innego – odpowiedziałem. – Amon-Re jest królem bogów. – Nie podobała mi się rozmowa o Amonie prowadzona na jego wieży.

- Wracajmy – rzekła.

Powróciliśmy zatem do pałacu wielką aleją świątyni Amona, a królowa milczała. Nie odezwała się do chwili, gdy dotarliśmy do jej komnaty. Tam zasepiła się. Nie wiem, czy ciążyła mi klątwa Hekwat, ale w pałacu Rama-Nefru nadal wisiał smutek Usermare, ja zaś odczuwałem szpetotę Hekwat we wszystkich stawach i fałdach ciała. Ze smutkiem stwierdziłem, że choć wymieniałem w obecności Rama-Nefru wszystkich najważniejszych bogów, nigdy nie wspominałem o Keperze, a przecież mógł się okazać największy. Kiedy jednak pomyślałem o tym, jak się narodził w mroku nawozu i zamieszkiwał najciemniejsze nory ziemi, doszedłem do wniosku, że nie potrafię przekonać jej, iż żuk także ma skrzydła i potrafi latać, poznając w ten sposób wszystkie światy.

– Opowiedz mi o księżycu – rzekła Rama-Nefru. – Kim jest ten bóg? – Jej skóra spowita w lawendowe cienie komnat wydawała się równie blada jak księżyc. – Wydaje mi się – powiedziała, wydymając wargi – że jest okiem waszego Horusa.

- Nie – odparłem – to Oko Horusa jest księżycem.

– Czuję już głód i byłem zirytowany. – Ozyrys jest bogiem księżyca – dodałem – podobnie jak Konsu.

- Konsu? Czy już o nim wspominałeś?

– Jest synem Amona i Mut – powiedziałem zrozpaczony. Musiałem jej jeszcze opowiedzieć o Amonie i Mut. – Oczywiście Tot – dorzuciłem pospiesznie – jest także bogiem księżyca, ale niektórzy powiadają, iż jest nią bogini-sęp Nekbet. Ta, której imię nosi twój pałac – powtórzyłem.

- Inni bogowie też mogą służyć za bogów księżyca, jeżeli tego zapragną.

– Wszyscy naraz?

– Tego nie wiem – odparłem. – Nikt mnie jeszcze o to nie pytał.

Przywołała sługę, który przyniósł nam pieczoną gęś w sosie z papryką pochodzącą zapewne z Kadeszu, gdyż palił się w tej papryce ogień, jakiego nie znały nasze bagna ani pustynie. Potem popiliśmy to piwem.

– To nie takie trudne – powiedziałem.

– Nie powtarzaj już tego zdania – rzekła.

– W lasach Syrii – zacząłem – spotykamy pięć rodzajów drzew. Każde pochodzi od innego boga, a mimo to znajdujemy wszystkie pięć na jednym wzgórzu. Poza tym mamy także boga wzgórza. Toteż pięciu bogów pięciu drzew może także stanowić część boga wzgórza.

– To prawda – powiedziała i ziewnęła słodko. – Smakuje ci nasza papryka?

Pokiwałem głową. Nie chciałem przerywać nauki. Czułem, że sam zaczynam wszystko rozumieć. – W Jeb – ciągnąłem – w górze Nilu, za pierwszą kataraktą, mamy boga Chnuma. Ma rogi barana. Pilnuje Nilu. Jednakże zamieszkuje on także Abydos, w dole Nilu, opodal świątyni Ozyrysa, gdzie jest mężem Hekwat – nie twojej Hekwat, lecz pierwszej wielkiej bogini, która jest pierwszą żabą. Chnum może także mieszkać w Re, w Gebie. Każdy z tych bogów pozwala Chnumowi myśleć własnymi myślami. Naturalnie, to im pomaga wykorzystywać myśli Chnuma. Chnum jest garncarzem, który tworzy nasze ciała – lepiąc je z gliny.

– Tyle mi opowiedziałeś – rzekła. – Jesteś wspaniałym nauczycielem.

Podziękowałem i zaprzeczyłem. Nałożyła blond perukę. Tego ranka w świątyni nosiła perukę ciemną, by się zamaskować. Zdjęła ją zaraz po powrocie. Nie miała włosów, gdy jedliśmy. Teraz jednak nałożyła blond perukę.

– Opowiedziałeś mi o tak wielu bogach – rzekła – ale właściwie nie wymieniłeś Amona.

– Och, Amon – powiedziałem. – Wypiłem jeszcze łyk piwa. – Amon jest ukrytym bogiem. Stoi ponad wszystkimi bogami.

– Czy zawsze? – spytała.

– Zawsze. – Zdecydowałem, że nie powiem jej o tym, jak to powiedziawszy coś niewłaściwego, czujemy, jak nasłuchuje w powietrzu.

– Zawsze? – spytała ponownie.

– Był tu od początku, w wietrze. Był pierwszym spośród ośmiu ślepych bogów, którzy byli żabami i węzami w mule, ale nawet w tej ciemności był powietrzem. – Nie lubiłem rozmawiać o powietrzu ani wypowiadać czegoś niewłaściwego. Powietrze w naszych uszach także było Amonem. Cieszyłem się, że nie jestem jak Usermare i nie czuję ręki Amona na moim sercu.

– Słyszałam – powiedziała – że Amon był kiedyś małym bożkiem w Tebach. Był po prostu lokalnym bogiem miasta. Kiedy jednak wielcy bogowie nie potrafili się dogadać, kto jest największy, wybrali jego. Teraz to on jest Wielkim Bogiem.

– To też prawda – przyznałem. – I jedno, i drugie to prawda. Dlatego Egipt jest krajem Obojga Królestw.

– Jesteś bardziej kapłanem niż żołnierzem – rzekła.

Skłoniłem się.

– Czy Amon jest bogiem powietrza? – spytała.

Znów się skłoniłem.

– No to przypomina naszego Enlila. – Uśmiechnęła się.

– Nasz Enlil wnika we wszystkie drzewa, a potem gałęzie wymachują ku nam, gdy przez nie tchnie. – Dopija piwo i wpatrywała się w pusty kufel.

– Czy sądzisz, że nasi bogowie różnią się od waszych, ponieważ rośnie u was tak niewiele drzew? – spytała.

– W moim kraju rośnie ich bardzo wiele. – Mówiła o swoim kraju, jak gdyby były to wonne perfumy libańskich cedrów więzące w jej gardle. Nie ufałem jej zatem, gdy zaczęła następnie głosić chwałę Egiptu. Nie traktowałem jej też jak królowej. Kiedy zobaczyłem, że patrzy na moje piwo, otarłem kubek i nalałem to, co mi zostało, do jej pustego naczynia (nigdy bym nie śmiał sobie na to pozwolić z Nefertari, nawet gdybym pewnego ranka zaznał jej ze wszystkich trojga ust). Rama-Nefru wypijała piwo z przyjemnością, a oczy jej się zaszklily.

– Czy wiesz – rzekła – że w twoim kraju jest wiele wspaniałości? Mój ojciec powiada, że nie ma kraju tak eleganckiego jak Egipt, i zgadzam się z nim. Mówi, że zakładacie pułapki, by zwabić w nie bogów. I że robicie to w sposób następujący. Kiedy wykonujecie jakiś przedmiot ozdobny, jakieś świecidełko albo jakieś inne cudo, bywa ono tak piękne, iż bogowie są zachwyceni i schodzą z niebios, by tego czegoś dotknąć.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale sięgnęła po Mer-mer, która przechodziła obok niej z zadartym ogonem. Spoglądając na tego kota, zrozumiałem, że Rama-Nefru ma na myśli nie tylko nasze stawy i ogrody, nasze klejnoty i tkane powietrze, nie tylko alabastrowe talerze i złote krzesła, ale i tego kota. Stworzenie to było hodowane od pokoleń, aż wreszcie bogini Bast nie opuszczała już go, gdyż Mer-mer faktycznie mogła uchodzić za najpiękniejsze stworzenie Obojga Królestw. Teraz Rama-Nefru zaczęła ją pieścić, łaskotać, przytykać policzek do pośladka, chwycić za ogon, klepać po łapkach, dmuchać w futerko, po czym położyła się na kanapie i pozwoliła kotu po sobie chodzić. Odgłosy tego zmysłowego zadowolenia, głębszego u kotów niż u kobiet i mężczyzn, zaczęły się wydobywać z pyszczka Mer-mer i zaczęła mruczeć z noskiem w ustach Rama-Nefru.

Liżąc policzek królowej, wargi Mer-mer natknęły się na usta Rama-Nefru, która ją pocałowała. Nie wiem, czy stało się to za sprawą odoru piwa, ale Mer-mer drapnęła królową w policzek, a kiedy to uczyniła, równie błyskawicznie nastąpił akt drugi. Rama-Nefru cisnęła nią o ścianę. Zrazu myślałem, że zwierzę nie żyje. Potem kotka pokuśtykała za drzwi.

– Możesz już iść – powiedziała mi Rama-Nefru. – Nie umiesz uczyć.

Przeszedłem przez sąsiednią salę. Jeszcze ciążyła mi mądrość snująca się w oddechu bagien, a w purpurowej poświacie zacząłem się zastanawiać nad tym, czy Rama-Nefru nie skarci jeszcze paru naszych egipskich bogów.

VII

Pacnięcie kota o ścianę dosłyszałem tak wyraźnie, że zdałem sobie sprawę z tego, iż towarzyszyłem pradziadkowi, w miarę jak przypominał sobie te wydarzenia. Wiedziałem, że Pta-nem-hotep także usłyszał ten odgłos, gdyż wzdrygnął się. Matka była bardzo podniecona. Jej podniecenie uderzyło mnie, jakbym odebrał policzek. Zaczęła zaraz mówić – szybko i płynnie.

– Nie wiem – rzekła – czy jest coś mniej godnego zaufania niż to powierzchowne uczucie Rama-Nefru żywione do Usermare. Przypomina źdźbło trawy, łatwe do przełamania. Ale jeszcze mniej ufam temu niewłaściwie skierowanemu požądaniu, jakie Nefertari okazała Menenhetetowi. Królowej nie wolno nigdy zdradzić faraona. Zdrady generałów mniej wyrządziły szkód Egiptowi. – Matka pokiwała głową, podkreślając słusność tego stwierdzenia. – Ofiara tak wielka – rzekła – winna być składana wyłącznie Usermare.

– Twoja lojalność wobec moich przodków sprawia mi przyjemność – rzekł Pta-nem-hotep – ale przecież nie o to ci w gruncie rzeczy chodzi.

– Nie – przyznała. – Po prostu nie podejrzewałam nawet, że żyła kiedyś w Egipcie kobieta, która wiedziała równie wiele, co ja. – Po tych słowach roześmiali się oboje z wyraźną czułością, Menenhetet zaś przyglądał się im obojgu. Zastanawiałem się, o czym myśli. Żadna z jego myśli do mnie nie dotarła.

– Powiedz – spytał Pta-nem-hotep. – Czy zgadzasz się z tym, co usłyszałeś?

Menenhetet dotknął czołem czubków palców, jak gdyby kłaniając się powściągliwie ukłonem wezyra obeznanego z kłopotami faraona. – Tyle już dzisiaj powiedziałem – rzekł – że chyba pora, bym posłuchał.

– Jest co świętować dziś w nocy – odparła matka. Następnie powiedziała coś tak mądrego, że myśl pradziadka wyskoczyła z jego umysłu i w ten sposób dowiedziałem się, że myśli, iż będzie jeszcze z niej dobra żona.

Przyciskając ramię ojca do piersi, matka zapytała go, czy nie zechciałby sprawić nam przyjemności opowiadaniem o Festiwalu Festiwalu. Zrozumiałem, jak jest mądra. Nic nie sprawiało Dziewiątemu takiej przyjemności, jak cofnięcie się myślami do tej godziny (bogatej we wspomnienia ze świeżych jeszcze rozkoszy z moją matką), do Boskiego Tryumfu jego przodka Ramzesa II. Nie wierzyłem własnym oczom, widząc, jak mocarna, zmysłowa i łagodna była twarz mego ojca w późnym blasku księżyca, na tym patio. Jego głos był równie opanowany jak twarz, bogaty, pełny. Potrafił nawet mówić tonem zdradzającym, że mówi o równym sobie, o swoim przodku, tak nam się przynajmniej wydawało, gdy tego słuchaliśmy. We wszystkim, co mówił, kryła się nadzieja, że za wiele, wiele lat, za dwadzieścia trzy lata, on także będzie świętował swój wielki jubileusz pierwszych trzydziestu lat panowania, i że będzie on równie wspaniały. Ponieważ ojciec przemawiał tyloma barwami głosu ile jest farb na palecie malarza, przed oczyma zawirowały mi pstrokato upierzone ptaki i ujrzałem wyraźnie klejnoty dworzan i przepływ tłumów przez rynki Teb wzdłuż królewskiej drogi, jaką obrał Usermare po opuszczeniu Sali Tronowej.

Ojciec nie na darmo był uczniem świątyni w Memfis, a ponadto żyjąc w duchu Ptaha, wielkiego rzemieślnika, nabył umiejętności i mocy dobierania wyrażeń dla określenia tego, co już minęło. Potrafił też nauczyć się przejmowania sił od ludzi potężniejszych od nas nie tylko poprzez

naśladownictwo ich wyczynów, ale także przez napawanie się do syta podniosłością ich obrzędów. Ojciec złączył w jedno wszystko, co wiedział o Usermare w dniach jego Boskiego Tryumfu. Jakże starannie wszystko odmalował! Przekazał nam to skrupulatnie, wahając się tylko wobec niezwyklej wiedzy mego pradziadka, a i to wyłącznie w drugorzędnych drobiazgach.

Ujrzałem zatem wszystko i byłem świadkiem pierwszej godziny pierwszego dnia pięciu dni Festiwalu (po pięciu dniach przygotowań), kiedy to Usermare schodził po schodach w świeżym porannym powietrzu pomiędzy szeregami Nubijczyków z czerwonymi wstęgami na piersiach i Syryjczyków w długich wełnianych kaftanach barwy niebieskiej, wyszywanych w białe kwiaty. Podeszedł eunuch z nakryciem głowy złożonym z dwóch piór, a każde sięgało mu do pasa, przy czym ciało jego pomalowane było na kolor niebieski. Nosił na sobie tylko naszyjnik i krótką czerwono-żółtą spódniczkę. Za nim szedł następny niewolnik, tak samo ubrany, ale pomalowany na białą, obaj wymalowani eunuchowie powiedli faraona wzdłuż szeregów nubijskich i syryjskich żołnierzy ku zgromadzeniu małych królowych, oczekujących wraz z dziećmi na końcu szpaleru. Małe królowe uklęknęły i rzucały kwiaty pod nogi Usermare, słychać też było chichot ich dzieciarni. Długie okrzyki były wznoszone na rynkach miasta w odpowiedzi na pierwsze odgłosy powitania, gdy faraon ukazał się w bramie Pałacu Króla Unasa, a echa tej wrzawy zaczęły się odbijać, krążąc między pałacem a miastem. Z alejek, alei, nabrzeży nad rzeką, z powrotem ku królewskiemu pałacowi, zewsząd dobiegał gwar powitalnych okrzyków, ścierających się ze sobą i z własnym echem jak chmury uderzające o siebie w czasie burzy. Wnet wszystko utonęło w powszechnej wrzawie.

Przeszedłszy między szpalerem Syryjczyków i Nubijczyków, Usermare skłonił podwójną koronę przed małymi królowymi, pobłogosławił dzieci i idąc samotnie przeszedł przez wysadzaną drzewkami drogę wiodącą ku Podwórzcu Wielkich. Tam, w tym uświęconym miejscu, szerokim na tysiąc kroków i długim na tyle samo, czekał jego wielosetny orszak. Po drugiej stronie podwórza, tej przed świątynią Izydy, czekały tysiące bezpłodnych kobiet, które przychodziły tam codziennie przez pięć dni przygotowań i miały przychodzić w to samo miejsce przez wszystkie dni Festiwalu. Wszystkie klęczały albo padły na kolana i na ręce, modląc się. Pomiedzy nimi a orszakiem, na wielkich chodnikach i ukwieconych alejkach, wokół sadzawek z fontannami wykładanych marmurem, w każdym zakątku i każdej altance stały ołtarzyki bogów wyniesione na Podwórze Wielkich podczas ostatnich paru dni, kiedy zwieziono je na świętych barkach, pod żaglami lub dzięki sile wioseł, z górnego i dolnego biegu Nilu. Kapliczki stały wszędzie. Sklecono je naprędce z trzciny i jeszcze szybciej pomalowano białą gliną, naśladując starożytne kapliczki i świątynie pierwszych bogów z czasów panowania Chufu, z początków ziemi i wody, niebios i ognia. Bo też i pierwsze przybytki sklecone były z trzciny i glinki, tak przynajmniej twierdzili kapłani.

Potem wysocy dworzanie, obdarzeni na te pięć dni specjalnymi godnościami Przyjaciół Jego Stóp, rzucili się, by umyć mu nogi, nim nałoży znów sandały, usiądzie w lektyce i uda się na pierwszą procesję po mieście w pierwszym dniu Boskiego Tryumfu. Gdy Przyjaciele Jego Stóp skończyli, inni dworzanie wystąpili na czoło, całując ziemię przed nim, a byli to wielmoże Dolnego i Górnego Egiptu, czterdziestu dwóch nomarchów z czterdziestu dwóch nomów.

Potem w jasnym słonecznym blasku wyszli jego synowie, a więc trzech spośród czterech synów Nefertari (nie było tylko Amen-kep-szu-efa) oraz Pet-a-Re, niesiony przez piastunkę. Było to dziecko z czarnymi kręconymi włoskami, włochate niczym Hetyta, otoczone przez gwardię dwudziestu ludzi. Oprócz tego pojawiło się siedmioro dzieci brzydkiej trzeciej żony Esonefret, potem zaś szli już tłumnie synowie i córki małych królowych z Ogródów Odosobnienia i z innych ogrodów w Tanis, Fajum, Hatnum i Jeb. Pośród tych dzieci znajdowały się i takie, które nigdy dotąd nie opuszczały domów i teraz się bały. Starsze, dorosłe już, nosiły głowy godnie, jak

przystało w dniu tak uroczystym. Jako synowie faraona mieli do dyspozycji, choćby żyli z dala od ojca, takie urzędy jak skarbnik czy superintendent nomu, mogli też zostawać wysokimi kapłanami albo prorokami, głównymi sędziami, kapłanami od recytacji, pisarzami świętych ksiąg, gubernatorami, a nawet generałami. Mimo to synowie małych królowych i ich żony oraz córki małych królowych z mężami stanowili zaledwie drobną część formującego się właśnie orszaku, który pośród zamieszania ruszył przez Podwórze Wielkich, przez teren pozostałych pałaców, przez horyzont Re, aż wreszcie minął bramy kompleksu pałaców i wszedł do miasta. Szli długim na tysiąc kroków szeregiem, dwunastu królewskich woźniców rydwanu pełniło funkcję heroldów, niosących Złoty Brzuch specjalnie na tę okazję zbudowany. Pocili się, pilnie wypełniając swą zaszczytną funkcję i dźwigając znaczny ciężar, żołnierze zaś musieli biec z baldachimem równie szybko co konie ciągnące rydwany i wozy. Za orszakiem szły pozostałe szwadrony. Żołnierze niosący faraona zmieniali się za każdym zakrętem, po jego obu stronach kroczyła gwardia, czyli szeregi Nubijczyków i Syryjczyków, pomiędzy którymi przemaszerował, wychodząc z Sali Tronowej, a którzy teraz ponownie go otoczyli. Potem kroczył długi orszak, toczyły się złote rydwany unoszące urzędników, książęta i księżniczki, damy dworu wraz z ich baldachimami, następnie małe królowe i królewskich dworzan, chorążych wszystkich sztandarów oraz chorążych maczug i włóczy każdego spośród czterdziestu dwóch nomów, a każdy stał we własnym rydwanie, powożonym przez własnego woźnicę. Ileż piór zdobiło te konie! Nad ich uprzężami pracowano od miesięcy, skórę zaś ozdabiano cieniutkimi listeczkami ze złota i srebra.

Pierwszego dnia na wszystkich skrzyżowaniach płonęły jeszcze nocne ogniska, rozpalono je też przy wszystkich bramach wiodących do miasta. Faraon zatrzymywał się przy niektórych ogniskach, wstawał w otwartej lektyce unoszonej na ramionach swoich żołnierzy i górując nad wszystkimi, wymachiwał ramionami, rozcapierzywszy palce, tak by czubki palców zetknęły się nad podwójną koroną. Przyglądający mu się tłum był z radości na taki widok, a blask słoneczny padający na orszak potęgował się dzięki mnogości złotych obręczy, noszonych na szyjach przez wszystkich, którzy otaczali faraona. Niosący wachlarze machali potężnymi konstrukcjami z trzciny i piór nad głową Usermare, a ludzie potrząsali bukietami kwiatów, gdy ich mijał, podczas gdy miejska dzieciarnia pędziła do przodu, by znów go pozdrowić. Posłańcy wyprzedzający orszak polewali ulice oliwką z wodą kwiatową, by Dobry i Wielki Bóg wdychał tylko słodkie zapachy. Przed orszakiem i po jego bokach, wstrzymując napór tłumy, Nubijczycy i Syryjczycy wymachiwali pałkami i wołali: „Przejdźcie dla Boga! Cofnijcie się, cofnijcie! Jedyny nadchodzi!”. Musieli pokrzykiwać bez przerwy, by ich dosłyszano, tłum zaś wyśmiewał się z ich akcentu i ustępował dopiero, gdy naparli potężnie. Syryjczycy krzyczeli: „Słuchajcie naszych słów, żebyśmy nie musieli używać palek!”. Ale musieli ich użyć prędzej czy później i po przejściu orszaku widać było na bruku ślady krwi z rozbitych głów, ci zaś, którym rozkrwawiono nosy, wymachując ze szczęścia rękami, szli dalej, gdyż przez lata całe mogli chwalić się z dumą, jak to zbliżyli się do faraona i zebrali takie ciągi, aż popłynęła krew.

Gdy orszak się zbliżał, z każdej świątyni wychodzili kapłani i zapalali kadzidła. Werbliści i gracze z harfami przygrywali faraonowi, gdy ich mijał, a potem przyłączali się do orszaku, z tyłu zaś szły nieprzebrane rzesze mieszkańców miasta i cała ta procesja obchodziła wszystkie rynki. Tam zaś wszyscy wylęgali ze sklepów i warsztatów. Przez cały ranek tłum wił się jeszcze po wąskich uliczkach.

Orszak Usermare mijał cieśli i kołodziei, stolarzy, rzemieślników przygotowujących pokost, przechodził ulicą rzemieślników obrabiających metale, obok kuźni z miedzią i ołowiem, cyną i brązem, obok zbrojowni, szedł ku uliczce metali szlachetnych, gdzie faraon kiwał ręką, pozdrawiając znanych sobie złotników i rzemieślników obrabiających srebro. Pozdrawiał warsztaty

szkutników, tkaczy i garncarzy i witał setki ich czeladników. Pozdrawiali go tkacze wełnianych i lnianych szat, pracownicy warsztatów produkujących przędzę i knoty. Orszak przewijał się przez dzielnicę jubilerów pracujących w czerwonym i żółtym jaspisie, w malachicie, alabastrze i kości słoniowej, rzeźbiących z lazurytu skarabeusze, drobne lwy i koty. Przechodził przez ulicę rzeźbiarzy, na której przygotowywano płaskorzeźby do pałaców i grobowców, i gdzie wybijano napisy, a następnie zanurzył się w długą cuchnącą ulicę szewców, wyplatających sandały, i w ulicę garbarzy, pełną zaduchu wyprawianych skór. Nawet w dni świąteczne, gdy garbarze nie pracowali, żadne perfumy posłańcom nie pomagały, gdyż nie można było zabić zaduchu, i to samo dotyczyło ciężkiej woni trocin szlachetnego drewna na ulicy stolarzy wyrabiających trumny, chociaż najgorzej cuchnęły rynsztoki na ulicy rzemieślników wyprawiających papirus. Potem cała kawalkada przejechała wzdłuż ulicy rzeźników, piwowarów i piekarzy, sprzedających swe towary ludziom na ulicy, wielu zaś wydawało powitalne okrzyki z pełnymi ustami. Faraon tymczasem skręcił w aleję rzemieślników wyplatających kosze, i w aleję malarzy, docierając na koniec do kanałów wzdłuż placu skutników z ich długimi szopami przy nabrzeżach. Rzeka była blisko. Przybyli na miejsce, w którym miano powitać świętą barkę Ptaha, żeglującą w górę rzeki z Memfis od dziesięciu już dni.

Tu ojciec przerwał opowieść, jak gdyby przyglądając się widokom, które przed nami roztoczył, matka zaś westchnęła i powiedziała głosem pełnym podziwu, że jest zaskoczona, jak wiele Ptanem-hotep mógł zapamiętać z tak dawno minionych lat. To, o czym nam opowiadał, przypominało olśniewający cud opisywany wyraźnie przez ślepcę.

Czułem, że pochwała sprawiła mu przyjemność, ale powiedział tylko, że badał wszystkie papirusy, które opisują Wielki Festiwal Ramzesa II oraz Trzeci Festiwal, o którym właśnie mowa i który miał miejsce w trzydziestym piątym roku jego panowania. Uważa, że był on najwspanialszy, i myśli, że to, co nam opowiedział, nie odbiega od prawdy, przynajmniej jeżeli wierzyć zapisom. Przeprosił nas, że nie potrafi podać tytułów wszystkich dworzan i sług, którzy brali udział w tym festiwalu, gdyż Usermare miał ten czarujący obyczaj (przejęty także przez ojca Pta-nem-hotepa w czasie jego Boskiego Tryumfu po pierwszych trzydziestu latach panowania), iż nadał im osobliwie brzmiące tytuły, nie używane od dawien dawna, czasami, o ile się można zorientować, nawet i przez tysiąc lat, od czasów Chufu. Na tym polega trudność. Nie wszystkie tytuły zanotowano, a niektóre papirusy w królewskiej bibliotece przetrucano z miejsca na miejsce tak niedbale, podczas przeprowadzki ze starych krypt w Tebach do nowych w Memfis, że uległy uszkodzeniu. Niektóre tytuły zapisano błędnie. Brzmia więc teraz obco.

– Rozwodzę się nad takimi drobiazgami zupełnie jak Główny Pisarz – rzekł faraon. – Nie wiem, czy to nie oznaka mojej wierności Ptahowi, ponieważ czuję dlań wielki szacunek. Był najrzęczniejszym spośród rzemieślników i dlatego próbowałem odtworzyć stare dzielnice Teb z tamtych czasów, podobnie jak teraz staram się poznawać warsztaty w Memfis.

Gdy mój pradziadek pokiwał głową i rzekł: – Wszystko, co opisałeś, naprawdę znajdowało się na tym miejscu – w jego głosie krył się szacunek, a przynajmniej tak mi się zdawało, gdyż chłonałem wszystko pięknymi uszami mego ojca, który jeszcze bardziej zachwycił się własnym opisem, usłyszawszy tę wypowiedź. Powiedział nawet szybko:

– Oczywiście i ty tam byłeś.

Menenhetet skinął głową.

– W orszaku Rama-Nefru?

– Wśród jej straży przybocznej – odparł pradziadek.

– Żadnej spośród trzech głównych małżonek nie było pierwszego dnia na procesji – ani Nefertari, ani Esonefret, ani Rama-Nefru – ale ja stałem na czele hetyckich oddziałów królowej i odczułem wyraźnie pomruk niezadowolenia, gdy mijaliśmy oficerów gwardii królewskiej Amen-kep-

szu-efa, przebywających właśnie w mieście. Chociaż księcia jeszcze w Tebach nie było, oni już przybyli i widać było, iż wiedzą, jakie ma zdanie na mój temat. Ich spojrzenia były tak złowrogie, że przysięgam sobie, że nie wejdę do żadnego baru, w którym mogliby pić podczas pięciodniowych uroczystości, chyba że chciałbym, żeby mnie pobito na śmierć.

– Ale właśnie o takich sprawach – powiedział coraz bardziej zadowolony Pta-nem-hotep – chciałbym jak najwięcej usłyszeć, gdyż dotyczą one tematów, na które pisarze nie potrafią się wypowiadać.

– Uszanuję twoje pragnienie – rzekł pradziadek. Jego wzrok utkwiony był w naszej trójce, usadowionej na kanapie.

– Czy wszystko się zgadzało w moim opisie orszaku?

– Opowiedziałeś dokładnie, niż to zapamiętałem – rzekł Menenhetet. – Tego dnia widziałem tylko to, co się działo tuż przy mnie, a ty ujrzałeś wszystko.

– Ale musisz chyba wiedzieć coś o sprawach, o których nie wspomniałem albo których nie mogłem znać.

– Och, tylko o drobnym wypadku – rzekł Menenhetet.

– Teraz wydaje mi się zabawny. Muszę przyznać, że pochód przez te wszystkie uliczki wyglądał dokładnie tak, jak to opisałeś, z tym że na ostatniej ulicy przed placem skutników mijaliśmy dzielnicę kurew – o wiele wówczas większą niż obecnie. Kobiety te niezwykle głośno pozdrowiały faraona. Gdy małe królowe mijaly ich dzielnicę, siedziały w okienkach i być może nigdy by się nie zorientowały, z kim mają do czynienia (gdyż wszystkie małe królowe odziane były niczym księżniczki i jechały złotymi powozami), ale towarzyszyły im dzieci, a w dodatku nie było przy nich żadnego mężczyzny. Poza tym muszę przyznać, że małe królowe wyglądały równie wesoło jak kurwy. Właśnie przedefilowały przed zachwyconymi mężczyznami z całych Teb, a ponieważ nie były przyzwyczajone do tak gorących spojrzeń, więc też ich policzki płonęły goręcej niż najczerwieńsza farba.

– Czy okrzyki kurew wywołały skandal? – spytał Pta-nem-hotep.

– Nie, wnet przytłumiono je, gorączkowo dmąc w świstawki i waląc z całej siły w bębny, i pochód szybko ruszył dalej, jak to właśnie powiedziałaś, ku królewskiemu nabrzeżu na spotkanie świętej barki Ptaha.

– Musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co się wówczas wydarzyło, a o czym nie wiem. Pragnę przenieść się w owe pięć dni i oddychać razem z sercem Usermare.

– Rozumiem dokładnie, o czym mówisz – rzekł pradziadek. Znów obrzucił nas chłodnym spojrzeniem, pełnym pewności siebie, zatapiając je po kolei w każdym z nas i powiedział:

– Usłużę ci.

– Przemówiłeś jak wezyr – dodał Pta-nem-hotep.

Pradziadek dotknął czołem czubków palców.

– Usłużę – powtórzył.

Potem mój ojciec zaczął opowiadać o tym, co robił Usermare pierwszego dnia swego Boskiego Tryumfu. Kiedy faraon i czoło orszaku dotarli do brzegu rzeki, okrzyki radości wzbiły się w niebo silniej niż wszystko, co w Tebach od lat słyszano. Połowa miasta musiała oczekiwać, aż druga połowa nadciągnie, a owacja była potężniejsza niż ta, jaką zgotowano przed dwoma miesiącami obeliskowi, który zakończył długą podróż z kamieniołomów w pobliżu pierwszej katarakty. W ciągu tych pięciu dni aż do świtu pierwszego dnia Festiwalu wysoki kapłan, wezyr, a nawet Usermare, udawali się często na czele mniejszych orszaków, by przywitać bogów przybywających do Teb, co spotykało się zawsze z radosnymi okrzykami tłumów. Bo też przez wszystkie dni przygotowań olbrzymie tłumy gromadziły się co chwila na nabrzeżu, by się przyglądać, jak to

bogów wyjmują się z kabin i przenosi na brzeg, a następnie niesie na Podwórze Wielkich. Kapłani dźwigali tych bogów w lekykach i zataczali się pod ciężarem, gdyż oprócz samych bogów musieli także unieść ich podrózne kapliczki, często zbudowane na kształt małych łódek. W zależności od bogactwa świątyni łódki te wykonane były ze złota, srebra albo z brązu tylko inkrustowanego złotem, zawsze jednak były bardzo ciężkie. Zgodnie ze zwyczajami poszczególnych bogów byli albo wystawiani na widok rzesz na Podwórze Wielkich, albo też nigdy ich na oczy nie oglądano, gdyż wrota do ich przybytków pozostawały zapieczętowane. Bez względu jednak na to, czy bóg był w Tebach dobrze znany, czy też przybywał z odległego nomu wyłącznie w towarzystwie biednych, spoconych, obszarpanych kapłanów ledwo go dźwigających na chudych ramionach, chmara dzieciaków i żebraków zawsze towarzyszyła mu przez ulice miasta.

Zgromadzony wokół jednego przedmiotu tłum nie rzednął przez minione dwa miesiące. Chodziło o tłum wokół obelisku. Droga obelisku, przesuwanego na belkach pod górę, na wzniesienie od nabrzeża do dworu, nie była długa, ale przyglądano się jej z wielką fascynacją, zarówno z powodu wielkości, jak i cichej mądrości czarnego granitu, nieprzeniknionego dla wzroku i powonienia.

Teraz jednak przybijała święta barka Ptaha, a pośród przybyłych już do Teb bogów nie było żadnego, który byłby równie potężny jak Ptah z Memfis. Jego barka widoczna na rzece była równie długa jak barka User-Hat Amona, Silnego Serca Amona, i by zmierzyć jej długość, mężczyzna musiałby zrobić siedemdziesiąt długich kroków wzdłuż nabrzeża.

Ostatnie zakola rzeki przed Tebami barka minęła w nocy i przybiła rankiem, oczekując na faraona. Od świtu między barką a pochodem krążyli posłańcy, toteż teraz, kiedy Usermare pojawił się na nabrzeżu, barka wynurzyła się z portu i zajaśniała na falach, jak gdyby bóg stanął na jej masztach. Cała kabina i maszty, reje oraz bomy, cały ster, nawet wiosła albo były ze złota, albo pokryte złotymi listkami, toteż na wybrzeżu odezwały się liczne dźwięki muzyki i rozległy okrzyki radości. Ci, którzy widzieli barkę, opowiadali cuda o urodzie cedrowego drzewa i złota kabiny wysadzonej cennymi klejnotami. Właśnie dlatego Usermare wybrał dziś rano drogę wiodącą przez wąskie uliczki pełne warsztatów rzemieślników, a nie przez szerokie aleje miasta schodzące prosto do rzeki, gdyż pragnął złożyć hołd mnogości dzieł Ptaha i zręczności mieszkańców Teb.

Usermare czekał przy kamiennym pacholku na Nabrzeżu Królewskim i gdy barka zbliżyła się, pochwycił linę cumowniczą. Nawet ci, którzy stali zbyt daleko, by cokolwiek zobaczyć, pozdrawiali barkę, damy zaś i dworzanie w złotych powozach wstali z miejsc, by zgotować barce owację. Wysoki Kapłan stojący obok lekyki ze srebrnym przybytkiem Ptaha zaśpiewał hymn, potem zerwał pieczęć, odrzucił rygle, otworzył drzwiczki i na oczach tłumu wyjął boga, unosząc go wysoko nad głowę.

Nie był większy od lalki, ale ten Ptah miał członki, które się poruszały. Jego czarne wargi i złoty podbródek otwierały się i drgały w złotej twarzy. Dworzanie z orszaku Usermare podeszli i złożyli dary: szlachetne wina, owoce, pieczone mięsiwo i gęsi, otaczając półkolem półmisków Wysokiego Kapłana i trzymanego przez niego boga Ptaha, Usermare zaś ukląkł i rzekł:

– My ze świątyni Amona ofiarujemy żywność i napój Wielkiemu Bogu Ptahowi. – Bóg spojrzał na Usermare i na żywność, jego złote powieki skinęły przyzwalająco. Podobnie jak wszystkie boskie istoty potrzebował posiłków. Teraz otrzymał pożywienie. Bóg może stwarzać wszystko, czego zapagnie, wymieniając nazwę wszelkiej rzeczy, toteż wystarczyło mu rzucić okiem na jedzenie, by się pożywić.

Potem Ptah przemówił do ludzi zgromadzonych na nabrzeżu głosem donośnym, wydobywającym się z serca i płuc Wysokiego Kapłana, który go trzymał, ale należącym do boga.

Wysoki Kapłan był w transie i nie umiał poruszyć ani członkami, ani oczyma, a mimo to oczy Ptaha były otwarte, a jego złote ramiona poruszały się, gdy mówił.

– Gdy cię ujrzałem – rzekł Ptah do Usermare – moje serce się uradowało i dlatego obejmuję cię złotym uściskiem. Obejmuję cię ufnie, trwale i z radością. Wlewam radość i bogactwo do twego serca. Zanurzam cię w serdecznym ukojeniu i wiecznej rozkoszy.

Następnie zbliżył się Wysoki Kapłan świątyni Amona i stanął przy Usermare. Trzymał w ramionach olbrzymią wazę w kształcie sma, a na widok długiej szyjki tej wazy, wnikałej w jej pękate naczynie w kształcie serca, ludzie zaczęli płakać. Waza miała postać boskiego fallusa i boskiej pochwy, mówiła więc mieszkańcom Teb o cudach miłości, jakiej ongi zaznali. Okrzyk ekstazy wyrwał się ludziom z ust, gdy z wazy wylano wodę pod stopy Wysokiego Kapłana Ptaha. – Aaaaaach! – zawołał na widok jedności Obojga Królestw.

Wielki i Dobry Bóg zareagował na widok wazy. Na powtórne błogosławieństwo Ptaha: „Zanurzam cię w radości, zanurzam cię w rozkoszy wiecznej” Usermare ukazał pod swą spódniczką członek w imponującej erekcji. Już przedtem wypychał on jego szatę niczym dziób statku, a teraz, skoro już nie można było ukryć erekcji, odrzucił szatę i ukazał się nagi ludowi. Żaden okrzyk tłumu nie był równie gromki. Najdoskonalszy to był i najpotężniejszy znak i zwiastun powodzenia dla Obojga Królestw, najlepsza oznaka zgodności obu bogów – Ptaha i Amona. Radowano się, że Horusowi dane było doświadczyć takiej mocy i takiej słodkiej namiętności. Wszyscy widzowie, którzy trzymali w rękach kije z przymocowanymi do nich kwiatami lotosu, skierowali korony kwiatów ku jego fallusowi i wykrzyknęli jego imię z miłością i podziwem dla jego wyczynu, gdy tak stał przed nimi, ich dumny król – obnażony.

VIII

Pta-nem-hotep przerwał i popatrzył wyczekująco na Menenheteta, który w odpowiedzi pokiwał poważnie głową.

– Istotnie było tak, jak opowiadasz – rzekł. – Ty widziałeś wszystko, ja zaś niewiele.

– Nie pomyliłem się więc? – spytał ojciec.

– W twojej relacji nie ma błędu.

– I ostatnie wydarzenie przebiegało tak, jak je opisałem?

– Z pewnością tak. Nigdy nie widziałem u niego równie długiego miecza. – Ale Menenhetet zawahał się. – Nie, jednak widziałem, a właściwie miałem jeszcze zobaczyć.

– Nie było tego opisu w papirusach, które przeczytałem. Moja wiedza wypływa z głębokiego zrozumienia Usermare, które stało się moim udziałem dzięki tobie, a także, przyznaję, dzięki krążącym legendom i plotkom. – Ojciec przerwał i przytulił mnie czule. – Opowiedziałem wam o pierwszym dniu – powiedział do pradziadka – ale ty możesz nam opowiedzieć o tym, czego nie dostrzegłem.

– Widziałeś wszystko – powtórzył pradziadek. – Ja pamiętam te pięć dni jako wielki rozgardiasz. W twojej opowieści brak jednak wzmianki o ogromnym strachu, jaki także czaił się w trakcie uroczystości Boskiego Tryumfu. Faraon jest naszym królem po stokroć bardziej w tym czasie niż przez pozostałe dni, ale zarazem jest bez korony. Może nosić koronę Obojga Królestw, ale nie należy ona do niego, nie przez te pięć dni.

– Wiem o tym – przytaknął Pta-nem-hotep.

– Tak. Ale za naszych czasów wierzyliśmy w to święcie, nie to co teraz. Mogę was zapewnić, że w całych Tebach załagał się strach, o którym nikt nie ośmielił się mówić – dlatego tak radośnie witano potężny członek naszego faraona przed posągami boga Ptaha. Mimo tak pomyślnych oznak zadowolenia boga przyznać należy, iż przez całą noc, a także przez pięć nocy następnych, niemal cała ludność obawiała się, że domostwa spłoną, a żony uciekną od mężów. Istotnie, z powodu mnóstwa pochodni i ognisk na skrzyżowaniach poszło z dymem więcej domów niż podczas innych dni w roku i zaskakująco wiele dobrych żon zdradziło mężów. Kopulowano i cudzołożono wszędzie. Powtarzam zatem: erekcja Usermare może i stanowiła dar dla miasta, ale był to dar dziwny, bo gdy go ujrzano, nawet starcy paradowali z dumną wypukłością z przodu, przynajmniej od chwili, gdy zapadł zmrok. Pozory zachowywano tylko w czasie uroczystości przy świetle dziennym.

Przez cały ten czas wszystkie uczucia podszyte były strachem. Trudno przecenić tę okoliczność. Do ostatniej chwili obawiano się, że Nil wyleje, podnosząc się zbyt wysoko, ale gdy wody zaczęły opadać, ten strach ustąpił. Dobrze i to! Któż by miał głowę do odświętnych szaleństw, gdyby wody wciąż przybierały? Strach wyglądał spod każdego wybuchu wesołości. Ludzie śmiali się, płakali i znów wybuchali śmiechem w trakcie jednej i tej samej piosenki, pijaństwo zaś rozgorzało na dobre jeszcze za dnia. Poza tym widywano dziwaczne obrazki. Bardzo wielu chłopców i młodych robotników z najbiedniejszych dzielnic miasta postanowiło ogolić sobie głowy. Nigdy jeszcze nie widziano takich obdartusów z czaszkami jak u kapłanów, tylko że oni kapłanami na pewno nie byli. Nawet tacy mężczyźni, którzy z próżności byli dumni ze swoich włosów, ostrzygli się przy samej

skórze, a potem namaścili czaszki olejkami. Trzymali się ze sobą, ale zachowywali się przyzwoicie i nikogo nie zaczepiali. Często maszerowali od świątyni do świątyni, od kapliczki do kapliczki, urządzali nawet pielgrzymki na Podwórze Wielkich, dołączając do rzesz kapłanów, możnych, kupców, żołnierzy, urzędników, robotników i w ogóle do motłochu, rzesz, które napływały tam w oznaczonych porach dnia, kiedy to wolno było przechadzać się między przybytkami, kapliczkami i posązkami. Czasami wydawało się, że całe Teby zbiegły się w jedno miejsce. Ale te plutony ogolonych głów widać było dosłownie wszędzie, czasem w otoczeniu nie ogolonych towarzyszy, którzy wyszydzały olejki na czaszkach kolegów, ale podążali w ślad za nimi jak za łodzią i przez cały czas przypominali swoim ogolonym kompanom, co też wyprawiali ubiegłej nocy z dziewczynami albo z chłopcami.

– Jacyż jesteście dzisiaj dobrzy – nucili ci z ogolonymi głowami. Ich zachowanie łączyło się z ogólnym zamętem i niepokojem. Nie muszę chyba dodawać, że piwo sprzedawano bez przerwy.

Po pierwszym pochodzie Usermare często musiał zamykać się w Sali Tronowej na długie godziny, tak liczne były bowiem audyencje, których udzielał przez te pięć dni nomarchom i wysłannikom z innych krajów.

Nawet drobna grzeczność wyświadczana orszakom możnych rodzin kosztowała go wiele czasu i zachodu. Tylko dwa razy udało mu się dotrzeć nad rzekę, by powitać boga. Raz był nim Amon, raz Ozyrys. Innych przewieziono na odpowiednie miejsce na Podwórze Wielkich, Usermare mógł więc wyjść na chwilę z Sali Tronowej, by oddać im cześć. Bogów przybywało jednak bardzo wielu, a bywały takie dni, że faraon w ogóle nie wychodził z sali. Poza tym mnóstwo czasu pochłaniało mu przebieranie się w odpowiednie szaty – niezwykle różnorodne spódniczki, płaszcze i skóry.

Nigdy jeszcze nie widziałem w Tebach aż tylu kapłanów w strusich piórach, ozdobionych głowami jastrzębia bądź ibisa czy też paradujących z rogami barana na głowie. Im bardziej niezwykły kostium, tym głośniejsze były brawa w mieście. Ani razu przez całe pięć dni nie opuszczała nas atmosfera radosnej zabawy, po wizycie zaś delegacji z miasta Neken w Górnym Egipcie zapanował istny szaf. Wysiadła ona bowiem na łąd wiedziona przez pasterza, przybranego w skóry wielu dzikich zwierząt, nawet lwa i krokodyla. Po obu stronach pasterza stali służący przebrani za wilki; na głowach mieli pyski i czaszki tych zwierząt, a do pośladków przymocowano im ogony. Gdy tych służących pytano, kim są, pokazywali palcem na przewodnika, który odpowiadał, że jest pasterzem Neken. Potem cała trójka tańczyła skocznie, wymachując pasterskimi kijami.

Nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego akurat ta trójka tak się spodobała tłumom. Może chodziło o skóry lwa i krokodyla, w które był przebrany pasterz (jak gdyby symbolizujące zwierzęta ze wzgórz i bagien zbliżające się do pałacu), ale nawet kiedy zdano sobie sprawę z tego, że ta trójka to pewnie jacyś kapłani, nadal witano ich hucznie. Delegacja pomaszerowała Wielką Aleją na Podwórze Wielkich, gdzie przedstawiono ją królowi.

– Bardzo czczono te trzy wilki z Neken – wyszeptał Pta-nem-hotep – gdyż uważano je za duchy służące Horusowi. Mogę wam zdradzić, że ten, który przebrany był za pasterza, w rzeczywistości pełnił funkcję Pierwszego Pisarza wezyra i wcale nie przybył z Górnego Egiptu, lecz mieszkał wśród nas w Tebach.

– Tego dnia jego twarz wykrzywił dziki grymas – dodał Menenhetet – i jak na pisarza wyglądał przerażająco.

– Czytałem tylko o tym, co się działo – rzekł Pta-nem-hotep. – Ty jednak widziałeś rzeczy, których nie zapisano. Chciałbym, żebyś mi opowiedział wszystko, co wiesz o tych sprawach – powtórzył.

Pradziadek mówił dalej, ale teraz jego myśli zaczęły mnie przenikać równie szybko jak jego głos, ja zaś usadowiony wygodnie między matką a ojcem stwierdziłem, że jest to najprzyjemniejszy sposób słuchania.

Mogę wam powiedzieć (doszło do mnie za pośrednictwem pradziadka), że wszyscy stawali się coraz bardziej pijani, uroczystości zaś coraz częściej były zakłócane. Nie przestrzegano zatem odpowiedniego miejsca w orszaku. Sam Usermare tyle razy wychodził do różnych kapliczek na Podwórzcu Wielkich, że nawet najbardziej skrupulatni dostojnicy i dworzanie mieli kłopot z upilnowaniem swoich miejsc, tym bardziej że nasz monarcha stawał się coraz bardziej niecierpliwy, gdy jego pochód opóźniał się. Ponadto wszystkich ogarnęła gorączka spowodowana spotkaniem z taką rzeszą bogów. Przeszto zatem zwracać uwagę na to, czy zawsze każdy siedział we własnym powozie i znajdował się w przepisowej odległości za faraonem. Czułem mętlik w głowie i ledwo potrafiłem skupić myśli.

Drugiej nocy uroczystości uciekłem z orszaku na Podwórzcu Wielkich i wałęsałem się po mieście, przestępując przez śpiących pijaków i z nie znanym mi dotąd smutkiem wsłuchiwałem się w echo psalmów dobiegających od strony świątyń i wychwytywałem jęki uwiązanych i spętanych zwierząt, jak gdyby ich cierpienia albo zwyczajny głód były moim udziałem. Poruszyły mnie też piski dzieci, a ich wieczorne okrzyki wydawane w czasie zabaw wprawiły mnie w błogi nastrój (dzieci przeżywają bardzo silnie nadciąganie bogów wieczoru znad horyzontu). A gdy się już zrobiło bardzo późno, zacząłem nasłuchiwać powolnych, nasilających się odgłosów wydawanych przez mężczyzn i kobiety, którzy się kochali. I takie bowiem odgłosy dobiegały z każdej uliczki i każdego zaułka we wszystkich dzielnicach Teb. Nie potrafiłem już opanować tego, co najboleśniej mi doskwierało, i zacząłem rozmyślać o Nefertari. Właściwie w ogóle nie przestawałem o niej myśleć od popołudnia pierwszego dnia uroczystości, gdy wylano na ziemię wodę z wazy ukształtowanej na podobieństwo sma, Usermare zaś ukazał się w całej okazałości ludowi. Doznałem wówczas podwójnego wstrząsu. W chwili gdy tłum zaczął wydawać słodkie jęki i ostre okrzyki najwspanialszych chwil miłosnych, jakich doznawano, ścisnęło mnie za serce poczucie przeklętych więzów wierności, łączących mnie z tym boskim fallusem – o, tak, znów zapragnąłem być Usermare! Jakiż to cios dla mej dumy własnej – powiedziałem sam do siebie. Ale kiedy wypowiedziałem te słowa, poczułem się znów blisko Nefertari i zdałem sobie sprawę z tego, ile w sobie dusiłem w ciągu długich dni służby u hetycyjskiej księżniczki, której nie potrafiłem zrozumieć. Moje lędźwie płonęły z pożądania Nefertari. Miałem własną erekcję. Słyszałem jej słowa towarzyszące wodzie wylewanej z wazy: „Tyś jest mym wolnym ogniem, moim szczęśliwym imieniem, moją jednością, moją słodyczą, moją sma”. Poczulem, że jęczę razem ze wszystkimi i nie potrafię oderwać wzroku od okazałych rozmiarów członka faraona. Podwójnie więc wzdrygnąłem się. Od tej pory snulem się od uroczystości do uroczystości, wałęsałem po mieście, drugiej zaś nocy gotów byłem odszukać jej sypialnię. W pałacu pełno było już niestety straży, a poza tym, choć bardzo jej pragnąłem, nie robiłem sobie specjalnych nadziei. Zbyt otepiały były moje zmysły. Trzykrotnie upijałem się każdego dnia i nigdy nie trzeźwiałem przed kolejnym pijaństwem. Ledwo się trzymałem na nogach, głos miałem ochrypły i tylko jej głos w moich uszach brzmiał wciąż wyraźnie, przeszywając mnie dreszczem i rozgrzewając moje ciało lepiej niż wino. Tego wieczoru zasnąłem samotnie we własnym łóżku, z rękoma przyciśniętymi do podbrzusza, by uśmierzyć ból. Żalony to widok jak na mężczyznę po pięćdziesiątce, którego w dodatku wciąż jeszcze nazywają generałem.

Rankiem spałem długo, a potem udałem się do komnaty, w której Usermare przebierał się. Tym razem ukazał się odziany tylko w króciutką białą przepaskę, do której przymocowano ogon byka. Na piersiach miał złoty naszyjnik, na głowie zaś białą koronę Górnego Egiptu, w berło zatknięto

mu kilka kwiatów lotosu. Gdy w drugiej jego ręce dojrzałem kawałek wyśmienitego papirusu o pozłaczanych narożnikach, zrozumiałem, że udaje się właśnie polecić Amonowi pole należące do Nefertari, doskonałą posiadłość nad rzeką. Ponieważ to ona podarowała Amonowi tę ziemię, natychmiast więc zapomniałem o mięsiwie i nadmiarze wina, a od stóp do głów przeszła mnie jedna myśl: oto i ona musi się wreszcie pokazać publicznie! Bo musiała. Usermare podarował to pole Nefertari w dniu ślubu. Teraz oddawała je. W dniu, kiedy spotkała się z wezyrem, powiedziała, że ich rozmowa dotyczyła tej posiadłości. – Toż to wspaniały prezent akurat na jego Boski Tryumf. – Tak wówczas powiedziała, a ja zrozumiałem, że w ten sposób chce się obronić przed całkowitym pominięciem w ciągu owych pięciu dni i nocy. I udało się. Słyszałem także, jak Rama-Nefru pyta Usermare, dlaczego musi on przebywać sam na sam z Nefertari, poświęcając jej ziemię świątyni. – To jej pole – powiedział wreszcie – i nie mogę, naprawdę nie wypada prosić ciebie, byś mi w takiej chwili towarzyszyła. – Po tych słowach Rama-Nefru wyszła po prostu z pokoju.

Rozumiecie chyba teraz, jak dalece zaślepiło mnie rozczulanie się nad samym sobą, skoro mogłem zapomnieć o tym momencie i o tym, że nadarzy się być może okazja, by zamienić parę słów z Nefertari. Toteż gdy chwila nadeszła, znalazłem się po niewłaściwej stronie orszaku. Tego dnia synowie Nefertari znaleźli się pośród dworzan zaszczyconych rolami tragarzy jego Złotego Brzucha, a ja, ubrany w barwy Rama-Nefru, znajdowałem się o wiele powozów za nimi. Gdy nadciągnęliśmy na pole – prześliczny gaj na brzegu rzeki, pełen najbardziej wyszukanych drzew rzucających rozkoszny cień, idylliczne zaiste miejsce pod nową świątynią Amona, jaką miano właśnie tutaj zbudować – musiałem wyjść z rydwanu w dość dużej odległości od Usermare. Dopiero wówczas ujrzałem Nefertari, zbliżającą się z drugiej strony w wielkiej lektyce z fotelem, zamontowanej na wozie i ciągniętej przez sześć znakomitych rumaków. Wstała, gdy kapłani i arystokraci zaproszeni na tę ekskluzywną uroczystość powitali ją okrzykami, ale wydawszy odpowiednie rozkazy woźnicy, zatrzymała się jak najdalej od orszaku władcy, tak daleko, że nie byłem w stanie skrzyżować z nią spojrzeń.

Usermare spojrział na papirus i rozpoczął uroczystość, która miała się zakończyć przekazaniem ziemi pod świątynię.

– Czy znasz nazwę – spytał Pta-nem-hotep – tego papirusu?

– Nie.

– Jest to tajemnica dwóch partnerów. Są to Horus i Set.

– Czułem, że mój ojciec odczuwa przyjemność, mogąc się pochwalić swą wiedzą. – Żaden dar faraona – dorzucił – nie mógł być w owych czasach poświęcony bez ogłoszenia woli Geba. Wola ta wyrażona jest w papirusach o pozłaczanych brzegach.

– Zapomniałem o tym – przyznał Menenhetet.

Jakież poruszenie przeszowało członki mego ojca! Odczuwałem wyraźnie jego pragnienie ponownego odezwania się głosem przodka. Zerwał się na równe nogi i zaczął się przechadzać wokół patio, podobnie jak Usermare musiał obejść całe pole zwrócone mu przez Nefertari. – Przybiegam – usłyszałem Pta-nem-hotepa przemawiającego głosem Usermare, jakże wspaniale brzmiącym w moich uszach, jakże głęboko wydobywanym z płuc mego faraona, jakże przejmującym, takim, że tylko najwięksi spośród bogów nie musieli zadrzeć na jego dźwięk. – Przybiegam – powtórzył ojciec – z tajemnicą dwóch partnerów. Taka jest wola Geba, którą mi przekazał. Widziałem jego oczy. Poznałem ogień w jaskini. Dotykam wszystkich czterech stron tego gruntu.

Przymknąwszy oczy, oparłem się o matkę. Słyszałem chór na brzegu i docierające do mnie odgłosy sprzed sam już nie wiem ilu stuleci. Usłyszałem, jak chór śpiewa:

Faraon mija cztery ćwiartki pola

dotyka czterech stron niebios

pole przechodzi na nowego właściciela

Głos mego ojca, w uszach mych rozbrzmiewający tak potężnie jak głos samego Usermare, przyniósł odpowiedź:

– Jam jest Horus, syn Ozyrysa. Amon jest moim oddechem. Re moją światłością. Amon-Re jest mą boską światłością i oddechem.

Usermare kroczył teraz w słonecznym blasku, każdy zaś oddech, który zaczerpnął, był utkany z cieniutkich jak powietrze istot boskich, od których roило się wokół nas. Pole przeszło na własność świątyni, tłum zaś wydał przeciągłe westchnienie, niczym matka, wydawszy na świat dziecko. Znałem dobrze ten odgłos, często dobiegał od strony pomieszczeń dla służby, gdy rodziło się dziecko.

Potem Usermare podniósł do góry berło ozdobione kwieciami lotosu i usłyszał głosy całego Egiptu, które przemawiały do niego. Spłynęło nań błogosławieństwo Obojga Królestw. Znów wystąpiła erekcja, a była ona potężna. Potem podszedł do drugiego skraju pola, gdzie czekała Nefertari na swoim fotelu, wszedł do jej powozu i zamknął za sobą drzwi, by nikt go nie zobaczył. Ale ja usłyszałem jego głos, gdyż dotarł do mnie za pośrednictwem głosu mego ojca.

– Oko Horusa jest między jej nogami. Zna ono szczeliny ziemi. – Dosłyszałem oddech Usermare. – Kręgosłup Ozyrysa bije w Oko Horusa. – Bogowie się połączyli. – Potem dostrzegłem odbłask słońca w sadzawce, a on wytrysnął pomiędzy jej udami.

W chwilę później dosłyszałem szept ojca, przemawiającego głosem Usermare: – Nie ja odezwałem się do niej. To bogowie przemówili. – Ojciec, wyczerpany bliskością przodka, odsunął się od nas i usiadł samotnie na innej kanapie.

Odezwał się Menenhetet. Oschłym tonem powiedział:

– Wszyscy zgromadzeni na skraju tego pola widzieli Usermare zbliżającego się do powozu. Nikt nie miał wątpliwości, co się stało. Wszyscy usłyszeli Nefertari wydającą głośne jęki rozkoszy. Jęczała z głębi duszy. Jej miłosne westchnienia były pełne treści, jej jęki przepastne. Na pewno połączyli się bogowie. Wieczorem wszyscy urzędnicy, szlachta i służba wiedzieli już o tym, co się stało, wracając zaś ku nam przez pole, Usermare przewidywał, że żebracy Teb zaczną z niepokojem wyglądać zapadnięcia zmroku. Wszystko, co się czaiło w mieście niejasnym niepokojem, miało dopiero zacząć wypełzać na zaułki i wąskie alejki.

A ja, usadowiony obok matki, ponownie zdałem sobie sprawę z nieobecności Nef-kep-aukema. Czuję tę nieobecność niczym gniew ducha.

IX

Pta-nem-hotep nadal siedział samotnie i nie mówił nic, toteż pradziadek rzekł doń: – Nie wiem, jaki związek twej mądrości i moich opisów doprowadził do takiego głębokiego zrozumienia twego przodka, ale wszystko to jest prawdą. Słowa Usermare-Setpenere brzmiały dokładnie tak, jak je wypowiedziałeś.

Ojciec zdawał się nie słyszeć. Był wyczerpany. Podejrzewam, że sam akt odważnego wzięcia na siebie słów wypowiedzianych potężnym głosem nieżyjącego przodka sprawił, iż poczuł się niczym jeździec, który daje się ponieść dzikiemu rumakowi, rzucającemu się w rozszały galop. Jak wszyscy ludzie, którzy odważają się na wiele, nie mógł wymówić ani słowa. Ale mój pradziadek, jak gdyby kusząc rekonwalescenta wspaniałymi daniami, sam się odezwał. Powiedział, że stał na tym polu, wiedząc, iż Usermare jest z Nefertari, zaś istota bólu jego serca była jak najbardziej intymna. Nigdy jeszcze nie znajdował się bliżej myśli Usermare. Tym bardziej że chwilę przedtem zamienił przelotnie parę słów z Kulką Miodu.

Blask późnego księżyca tej nocy błyszczał jeszcze w oczach ojca. Okazywały one zainteresowanie, toteż przysunął się nieco do nas, a ja znów zdałem sobie sprawę z obecności matki – gdyż jej ciało naprężyło się. Zachęcony w ten sposób pradziadek mówił dalej, a ja z kolei osunąłem się ponownie w półsen, który był dla mnie wygodny, gdyż nie musiałem wsłuchiwać się w każde słowo, a mimo to wiedziałem dokładnie, o czym była mowa.

Ujrzał Kulkę Miodu tuż przed poświęceniem pola, po prostu wpadł na nią, mijając długi szereg dygnitarzy z nomów Deltę Nilu. Między nimi pojawiła się Kulka Miodu z rodzicami i siostrą. Przedstawiono mnie rodzicom, ojciec zaś był najwyraźniej bardzo bogaty, gdyż nadskakiwało mu wielu niewolników. Cerę miał gładką niczym pulchne pośladki, co jest jak wiadomo udziałem największych bogaczy, a poza tym był opalony na brąz i tłusty. Matka Kulki Miodu była za to drobna i piękna niczym klejnot. Między nimi stała Kulka Miodu i jej siostra, która nie była ani tak tłusta, ani tak piękna jak moja Ma-Krut.

Skłoniłem się i pocałowałem Kulkę Miodu w rękę. Ponieważ ojciec nie poruszył się niespokojnie na mój widok, byłem pewien, że nie wie nic o nas obojgu, a może po prostu nie dosłyszał mego nazwiska. Niemniej moja tęsknota za Nefertari zwiększyła się, gdy ujrzałem dawną kochankę w miejscu tak odmiennym od korzeni naszych wspomnień. Pocałowałem, jak już mówiłem, tylko rękę, ale czyniąc to zdałem sobie sprawę z tego, że w pewien sposób na zawsze pozostanę złączony z Kulką Miodu. Może już nigdy jej nie ujrzę, może już nigdy nie zaznam jej ciała, może już nigdy nie wniknę w nią, a jednak pozostanę w niej na zawsze. Może nie było to najlepsze mieszkanie dla mego ciała, ale na przyszłość miało pozostać moim jedynym domem. Wiedziałem, że tak będzie, gdyż potężna fala wspomnień zalała mnie na jej widok. Omal nie zemdląłem – a może omal nie utonąłem? Tak przemożnie na mnie wpływała. Czułem, z jak ogromną siłą ochrania wszystkich, których kocha, a ponadto czułem też bezwład jej wielkiego ducha. Zamieniłem z jej ojcem tylko parę słów, ale zdołałem się dowiedzieć, że nikt w Saidzie nie podniósł tak ciężkiego kamienia nad głowę jak on za młodu. I ta siła przeszła na nią. Odchodząc przypomniałem sobie przemożne uczucie bliskości Usermare, jak gdyby stał przy mym boku. Nie, powiem raczej, że wydawało mi się, iż wróciły dawne dni, gdy przechadzałem się po Ogrodach z

ryjem świni między pośladkami. Tak się czułem i uczucie to było tym silniejsze, im dalej odchodziłem. Nabrałem pewności, że po moim odejściu z Ogrodów Usermare wybrał sobie Kulkę Miodu.

Były to dla mnie nader poruszające wieści, ale to nic w porównaniu z tym, co mi przyszło wycierpieć na polu. Dzięki tej nowej sile, jaką mnie natchnęła Kulka Miodu, potrafiłem sobie wyobrazić radość Nefertari, gdy podsuwała oko swej miłości Usermare. Jej łono rozwarło się miotane szaleństwem wielu bogów, a moje serce zostało przeszyte bolesnymi strzałami.

Potem, w smętku wczesnego wieczoru, wracając do Pałacu Kolumn Białej Bogini, zacząłem rozumieć cierpienie Rama-Nefru. Ledwo wszedłem między mury jej pałacu, a już odczułem jej myśli, delikatniejsze niż leciutka woń. We wszystkim, o czym myślała, kryła się obawa przed kresem miłości Usermare. Myśli te spadły na mnie niczym zimny deszcz w Libanie. Pokoje otaczające jej komnatę były tak smutne, jak gdyby jej syn zachorował, i zanim jeszcze ujrzałem twarz Rama-Nefru, zdałem sobie sprawę z tego, że dotykając wargami ręki Kulki Miodu, otworzyłem sobie zarazem myśli Rama-Nefru. Nie znałem jej języka, ale potrafiłem zbliżyć się do tego, o czym myślała. Dowiedziałem się, że powróciła do swoich własnych bogów. Przyszli przed jej oblicze – obficie owłosieni i brodaci. Rozpoznałem Marduka, gdyż wyglądał tak samo jak na jej hetyckich pieczęciach. W myślach odwiedzała grób w miejscu, do którego nikt się nie odważył wyprawiać. Spod ziemi wydobywały się żalobne zawodzenia. Nie wiem, czy był to grób Marduka, ale ujrzałem przejeżdżający obok rydwan boga, który był pusty. Rydwan pojechał dalej pustą drogą pod ciemnym niebem, kolebiąc się na boki.

Gdy Rama-Nefru przywołała mnie, musieliśmy poczekać z Hekwat u jej boku, ona zaś odprawiła hetycki obrządek. Wlała oliwę z niewielkiego naczynia do miseczki z wodą i przyglądała się bacznie kształtowi tłustej plamy, rozlewającej się po powierzchni wody. – W moim kraju kształty te wyglądałyby podobnie – powiedziała. – Gdybym nigdy nie wyjechała do Egiptu i nie poznała żadnego z was, a mimo to odprawiła obrządek tego samego dnia i o tej samej porze, oliwa przybrałaby w wodzie ten sam kształt. Mówiłaby o tym samym. – Nie zdradziłem się z moimi wątpliwościami. A wiedziałem, że bogowie powietrza bywają różni w różnych krajach. Podniosła wzrok znad miseczki i powiedziała nam: – Jedna z małych królowych zrodziła potwora. Nasienie mego męża kryje w sobie potwory. – Potem przyjrzała mi się bacznie. Lepiej by zrobiła, wpatrując się w Hekwat, która wydała okrzyk przerażenia, gdyż to właśnie ona rodziła przed paroma miesiącami.

Nie wiem, czy Rama-Nefru nie wiedziała o potworze i po prostu dowiedziała się o nim z kształtu rozlanej oliwy, czy może chciała z jakiegoś powodu złąć Hekwat (jej umysł był pusty niczym Oko Maat przed świtem), ale ciągnęła:

– W moim kraju narodziny takiego potwora szkodzą powodzeniu króla. – Po chwili Hekwat wyszła, tłumacząc, że coś jej stanęło w gardle. Zacząłem się zastanawiać, czy celem tych czarów Rama-Nefru było doprowadzenie do sam na sam ze mną, gdyż skinęła przyzwalająco głową i przywołała sługę, który przyniósł zakrytą srebrną wazę. Po odkryciu naczynia ujrzałem wątrobę owcy. Kiedy sługa wyszedł, wyjęła ją i wyłożyła na srebrny talerz, dotknęła wątroby w paru miejscach palcem, potem dość długo przyglądała się porom. Przez cały ten czas obdarzała mnie oznakami gościnności, nie ukrywając swych myśli przede mną.

Tak dowiedziałem się, że właśnie próbowała zapamiętać zwierzę za życia. Wybrała tego barana z powodu jego kręconych rogów. Przed ofiarowaniem wyszeptala nawet parę słów po egipsku do ucha zwierzęcia – ostatecznie było to egipskie zwierzę. – Czy moje dziecko zostanie faraonem?

– spytała. A teraz wątroba odpowiedziała: – Zostanie, o ile pozostali książęta nie zabiją jego ojca. – Tak przynajmniej ja zrozumiałem przesłanie. Ona zaś ujrzała Amen-kep-szu-efa

siedmiokrotnie zatapiającego nóż w plecach ojca, w chwili gdy Usermare leżał na kobiecie, tak jest, kobietą tą była Nefertari. Nie wiem jednak, czy takie myśli zaczerpnęła Rama-Nefru z wątroby, czy też po prostu odkryła je w tej chwili przede mną, bym mógł o nich opowiedzieć faraonowi.

Siedzieliśmy w milczeniu.

Odezwała się: – Czy wiesz, że stary, dawno nieżyjący faraon Ramzes I, dziadek mego męża, był prostytutką?

– Nie wiedziałem o tym – odparłem.

– Umarł w drugim roku swego panowania. Przypuszczam, że prosty człowiek umiera ze strachu, gdy przychodzi mu być królem. – Pokiwała głową. – I tak się też stało.

– Nic mi o tych sprawach nie wiadomo – rzekłem.

– Tak, Ramzes I, dziadek, był zwykłym żołnierzem. Dowiedziałam się o tym z papirusu w Królewskiej Bibliotece.

Był Głównym Koniuszym. Potem mianowano go Zarządcą Ujścia Rzek, a następnie dowódcą armii za faraona Horemhaba, który, trzeba dodać, też był tylko żołnierzem.

– Wiedziałem o tym – odparłem – ale i nie wiedziałem.

Mogłem jej powiedzieć, że nigdy się nie mówiło o tym Ramzesie I, który poprzedzał Setiego. Można było usłyszeć opowieści o dawnych władcach, jak Tutmosisie albo Hatszepsut, ale oni nie żyli już, gdy najstarsi z nas ujrzeli światło dzienne.

– Ten wasz Seti I – rzekła – był godnym szacunku królem i panował niemal dwadzieścia lat. Mimo to jest synem parweniusza. Taki syn sam pozostaje parweniuszem. I wnuk także. Kiedy przybyłam do Egiptu, nie wiedziałam, że Sesusi jest wnukiem parweniusza. Nie sądzę, by ojciec przysłał mnie tutaj, gdyby o tym wiedział. – Westchnęła i odsunęła od siebie wątrobę. – Stwierdzam, że trudno zrozumieć mego męża, nie sądzisz? – Zanim odpowiedziałam na to pytanie, już powiedziała: – Nigdy nie widziałam króla, który tyle czasu przesiaduje z kapłanami. Myślę, że to dlatego, iż jest parweniuszem.

Myślałem o królowej Nefertari leżącej w mroku zamkniętego pojazdu na fotelu. Jej nogi rozsuwał faraon, którego pradziadek był żołnierzem jak ja. Ale jej krew pochodziła od Hatszepsut.

Dlaczego Nefertari nigdy nie mówiła nic o Ramzesie I? Czyżby moja królowa się wstydziła? Kiedy pomyślałem wówczas o Usermare, nie śmiałem tego co prawda wypowiedzieć, ale doszedłem do wniosku, że skoro majestat faraona jest cnotą nadawaną mu na podstawie koronacji, to jeśli tak się spodoba bogom Egiptu, potrafią oni wybrać kogokolwiek na boskiego władcę. Powiedziałem sam do siebie, że przecież i ja byłem generałem wszystkich armii, a przeto miałem szansę zostać faraonem! Podobnie jak Horemhab i Ramzes I przede mną.

Rama-Nefru odezwała się wówczas: – Podajże mi dłoń. Kiedy jestem samotna, potrzebuję przyjaciela.

Poczułem się skrępowany, gdyż wiedziałem już, że dotyk jednej ręki do drugiej może wywołać zdumiewające skutki w tej kobiecie. Z drugiej jednak strony myśli, które dopiero co przyszły mi do głowy, sprawiły, że przeszło mnie uczucie rozkoszy. Miała najdelikatniejszą dłoń spośród wszystkich, jakie zdarzyło mi się ścisnąć. Potem uśmiechnęła się promiennie, jak gdyby żadna ponura myśl nie zagrzała długo miejsca pod jej złotą peruką, i podała mi kwiat. Była to świeża różowa róża. Powiedziała: – Jej kwiat rozchylił się dzisiaj rano.

Podniosłem kwiat do nosa, drugą ręką dotykając jej dłoni, i poczułem, jak smutek ulatuje z niej i przechodzi na mnie za pośrednictwem płatków kwiatu. Nie byłem pewien, czy ją lubię, ale w muzyce jej serca, jakże odmiennej od mojej, przynajmniej jedna nutka zabrzmiała tak samo. Czuliśmy taki sam smutek.

Siedzieliśmy tak, trzymając się za ręce, a mnie opadły wspomnienia bitwy pod Kadeszem. Ona urodziła się już po bitwie, ale jej życie upływało w cieniu owych zmagających. Toteż rozumiałem, jak już powiedziałem, jej niedolę. Usłyszałem nawet jej cichy płacz, w chwili gdy Usermare i Nefertari przeżyli wspólną rozkosz.

Jej komnata nie miała okna z rozległym widokiem, ale ja byłem wciąż jeszcze dostatecznie blisko myśli Usermare, by sobie uświadomić, że zmierza ku nam, że zbliża się do murów Pałacu. Prawdę mówiąc, byłem tak opanowany i przygotowany na jego wizytę, że nie cofnąłem ręki z dłoni Rama-Nefru, dopóki nie usłyszałem jego kroków w sąsiedniej sali. Wówczas nasze palce rozdzieliły się niespiesznie niczym palce dwojga kochanków, odsuwających się od siebie po pocałunku.

Czekałem w przedpokoju. Teraz Usermare siedział obok niej i trzymał ją za rękę. Nadśluchiwałem. Nigdy jeszcze nie czułem takiej łagodności, takiej niemęskiej łagodności, nawet wówczas, gdy Usermare potraktował mnie jak jedną z małych królowych. Wtedy poczułem jakiś wewnętrzny ucisk. Im bardziej zmuszał mnie, bym się poczuł jak kobieta, tym bardziej dręczyły mnie męcznie mężczyzny. Ale teraz, jak gdyby okrzyki rozkoszy wydane przez Nefertari pozostawiły we mnie ranę, której krwawienia nie można było zatamować, poczułem się spokojny jak Nil po opadnięciu wód i pogрузyłem się w smutku. Rzeka mogła się składać wyłącznie z łez wylanych przez ludzi, opłakujących jakieś nieszczęście. I taki właśnie smutek dręczył mnie, a nawet się spotęgował, gdy Usermare zaczął ją trzymać za rękę. Mimo ich westchnień i brzemiennej ciszy czułem, że dłoń Rama-Nefru w jego dłoni nie jest mi wierna.

Hetyci – pomyślałem sobie – mają cztery pory roku, a nie trzy. Toteż jej dłoń jest jak czwarta pora roku, czwarte usta, jej serce zaś subtelniejsze jest od naszych. Przypomina pory, załomy i inne wypukłości wątroby, której tak długo się przyglądała. Jej okrucieństwo może się jeszcze okazać równie subtelne. Wiem tylko, że tego wieczoru rozmawiała o bitwie pod Kadeszem i nie wspominała ani słowem o Nefertari. Byłem jednak pewien, że gdy skończy, faraon zostanie boleśnie ugodzony.

Tu Pta-nem-hotep przerwał pradziadkowi, dźwięk jego głosu wyrwał mnie ze słodkiego odrętwienia mego pólśnu. Głos mego ojca był szorstki, jak gdyby odzyskał siły i pospiesznie starał się z nich skorzystać, nim go powtórnie opuszczą.

Zaczął tak:

- Nie powiedziałeś, o czym myślał mój przodek.
- Nie powiedziałem – zgodził się Menenhetet.
- Czy wiesz, o czym wówczas rozmyślał?

Pradziadek skłonił głowę.

- Pod wpływem zaklęcia Ma-Krut uzyskałem umiejętność odczytywania jego myśli.

Ojciec odczuwał przyjemność, ale zarazem trawiło go podniecenie: – Sądzę, że ja też – powiedział, zwracając się do matki i pradziadka. – Sądzę, że też pozostaję pod wpływem waszych rodzinnych zaklęć. Bo i ja poznałem jego myśli. I ja potrafię go sobie wyobrazić, jak wraca do Pałacu Kolumn Białej Bogini, wyjątkowy widok, ale...

- Pta-nem-hotep zawahał się, jak gdyby onieśmielony.
- Jest sam na ścieżce.
- Tak właśnie – przytaknął pradziadek – i ja to widzę.

– Powiedz mi zatem, czy to, co przenika z jego myśli, też się zgadza. Sądzę, że próbuje, podobnie jak ja, przypomnieć sobie o szlachetnych czynach swoich poprzedników. Przekonuje sam siebie, że Amenhotep II zabił ponad setkę lwów. Myśli też o Tutmosisie III i o okrętach Hatszepsut.

Niestety – przypadkiem mija tę samą sadzawkę, przy której uderzył głową o mur. Czuje straszliwy ból podbrzusza. Zgadza się?

– Dokładnie – odrzekł pradziadek.

– Jego brzuch – ciągnął ojciec, już bardziej pewny siebie – jest pełen bólu. Zna strach Tutmosisa Wielkiego. Kamienie Tutmosisa miażdżą mu kiszki. I wtedy Usermare potyka się i omal nie pada na ziemię, gdyż przenika go kolobi, którą pił od chwili, gdy zaznał Nefertari. Wielu bogów kieruje jego myślami. Mimo to zaczyna śpiewać:

Egipska księżniczka ma oczy głębokie bezdenne

Spędzę z nią noc pod gwiazdami

Jakże słodko smakuje miód jej ust.

Menenhetet zerwał się na równe nogi.

– Czy tę piosenkę śpiewał? – spytał ojciec.

Pradziadek skinął głową.

– Ale piosenka – powiedział Pta-nem-hotep – nie uśmierza jego strachu. Kiedy tylko wchodzi do Pałacu Kolumn Białej Bogini, by odwiedzić Rama-Nefru, serce zaczyna mu walić jak ogierowi. Przez cały czas powtarza sobie w myślach słowa „bitwa pod Kadeszem”. Bitwa rozbrzmiewa w jego sercu, aż wreszcie zaczyna się czuć faraonem jak nigdy dotąd. Kocha imiona hetyckich bogów, ponieważ przypominają mu o Kadeszu. Powiada sam do siebie: Katysz-Kapisz Walizalisz. Tak było?

– Dokładnie tak. Usłyszałeś wszystko dokładnie jak mierniczy – powiedział Menenhetet i chcąc nam pokazać, jak bardzo jest wzruszony, przemaszerował przez patio, ukląkł i pocałował ziemię przed stopami faraona. Ojciec, z uśmiechem szczęścia na twarzy, też ukląkł i ujął wielki palec u nogi Menenheteta.

Tak poznałem słowo opisujące to, co jawiło się obu wielkim mężom jako coś najcenniejszego. Była to dokładność.

X

Tym razem przeniknięcie myśli Usermare nie wyczerpało mego ojca, toteż zasiadł obok matki i mnie. Gdyby nie przyspieszony oddech, byłbym skłonny sądzić, że jest nader rad ze swego dokonania. Wiatr przestał mu świstać w piersiach jak w czasie burzy. Ledwo zauważalnym gestem ręki dał znak Menenhetetowi, iż ma podjąć opowieść. Szczęśliwy z powrotu ojca, nawet na tak krótko, znów zamieniłem się w słuch (korzystając z mojego ulubionego sposobu, wiodącego mnie na samą krawędź snu), a wszystkie głosy zaczęły rozbrzmiewać jak szepty.

– Mogę wam powiedzieć – kontynuował przerwana myśl pradziadek – że Ramzes wchodził do jej komnat z nazwą „Kadesz” na końcu języka. Ponieważ jednak Rama-Nefru nie czyniła mu wyrzutów, a tylko ofiarowała swą rękę, z ulgą usiadł w milczeniu obok niej i zaczął odzyskiwać spokój. Potem, ku jego zdumieniu, to Rama-Nefru zaczęła mówić o bitwie, opowiadając mu, co zasłyszała o niej w dzieciństwie. Nasłuchując z drugiej sali, doszedłem do wniosku, że trudno było lepiej dobrać opowieść do wieczornego powietrza w Tebach, przesyconego zapachem ognisk zapalonych na każdym rozdrożu. W rzeczy samej oddechy przesycone były dymem przypominającym dym znad Kadeszu, co odróżniało ten wieczór od zwykłych wieczorów nad Nilem.

– Na rok przed nadciągnięciem twoich potężnych armii – mówiła – nasi Hetyci wyruszyli na wojnę przeciw Medom i odnieśli wspaniałe zwycięstwo. Jako dziecko często słyszałam o przepychu obchodów tego zwycięstwa. Ludzie wywieszali tkaniny w najwspanialszych barwach na murach miasta – purpurowe, czerwone, niebieskie, głębsze w odcieniu niż jasne niebo, a ponieważ tkaniny te były bogato haftowane, mury zaczęły przypominać wyglądem pałacowe wnętrza.

Potem mój wuj Metella i jego oficerowie wydali wielkie przyjęcie, na którym pili ze złotych i srebrnych pucharów zdobytych w świątyniach podbitych narodów, wuj zaś zawsze z lubością pił ze świętych naczyń pokonanych. Kazał wybudować w ogrodzie altankę i zawiesił w niej głowę króla Medów. Popijając lubił spoglądać na zwisającą z gałęzi głowę, gdyż dodawało mu to siły. Z drugiej strony wuj nie potrzebował jeszcze większej siły. Był olbrzymiego wzrostu.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł Usermare. Wahał się, targany wątpliwościami, ale koniec końców zapytał: – Czy był wyższy ode mnie?

– Nigdy nie widziałam mężczyzny wyższego od ciebie – odparła.

– Ale byłeś jeszcze dzieckiem, kiedy Metella umarł. Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

– Nie mogę – przyznała. – Ale gdzież jest taki król, który potrafi bardziej zbliżyć głowę do nieba od ciebie?

Chrząknął zadowolony. Dobrze się czujesz? – spytał. Czulem jego pragnienie, by zaoferować swój język jej jasnemu włosom.

– Czuję się już słaba o tej porze – odrzekła – ale chętnie opowiem ci więcej.

– Chciałbym to usłyszeć.

– Ludzie za murami Kadeszu – mówiła – wiedzieli o tym, że nadciągają Egipcjanie. Doniesiono im o wymarszu z Gazy. Każdego dnia nadciągali do miasta szpiedzy na szybkich koniach, przynosząc wieści o postępach Egipcjan. Niepokój był wielki. Wojska Usermare ciągnęły naprzód, a ponadto zbliżała się pełnia księżyca. Poranek po pełni księżyca zwano dniem Sappattu i tego dnia

zabroniony był cięższy wysiłek. Takiego dnia Hetyci nie mogliby walczyć. W Kadeszu żywiono nadzieję, że Egipcjanie nadciągną o poranku w przeddzień Sappattu, a dzięki temu miasto nie wpadnie w ich ręce. Pragnąc wcześniej wciągnąć Egipcjan w walkę, tego właśnie dnia odprawiono nawet specjalne obrzędy. Rozpalono w obrębie murów liczne ogniska, a kapłani wymówili modlitwy do płomienia. Metella nie brał w tym udziału. Uczestnictwo króla w takich obrzędach byłoby lekkomyślnością. Osoba króla nie mogła się stykać z płomieniem. Magia – powiedziała Rama-Nefru – potrafi pożreć nas samych, jeżeli nie spali wroga.

– No to gdzie był, gdy płonęły ogniska?

– W swoim pałacu, próbując zasnąć. Pragnął mieć sen prawdziwych wizji.

– Jak do tego dążył?

– Już ci mówiłam. I to kilka razy. Pościł cały dzień. Pytanie, na które chcemy znaleźć odpowiedź, jest wówczas także głodne.

Metella nie wiedział, czy Egipcjanie nadciągną pod miasto lewym czy prawym brzegiem rzeki. Miał nadzieję, że uda mu się o to zapytać samego Marduka, ale do boga trudno dotrzeć. Jest to równie trudne, jak przekroczenie przepaści po włosku z brody boga. Potrzebny jest zatem najczystszy sen, w którym można utrzymać delikatną równowagę.

– A jeżeli Marduk opowiedziałby mu o mających nadejść klęskach?

– Wówczas – rzekła Rama-Nefru – można się było przygotować na śmierć. Lepsze to niż oczekiwanie w niepewności.

– Ja nigdy nie chcę słyszeć złych wróżb – rzekł Usermare.

– A my jesteśmy przekonani, że tak jest lepiej – powiedziała. – Ze lepiej wiedzieć, niż mieć nadzieję.

Parsknął. – I cóż się zdarzyło, kiedy spał?

– W środku nocy obudził się z bólem głowy. Nie był to dobry znak. Jeżeli bogowie nie przemówili, trzeba było złożyć ślubowanie. Kapłani zgolili Metelli brodę i włosy na ciele. Ciężkie czarne loki wypełniły miskę.

Wysoki Kapłan wepchnął włosy do wazy, zamknął ją i zapieczętował, następnie złożono ślubowanie, że wazę zawiezie się do Gazy i tam pogrzebie. Bitwa z pewnością będzie musiała się odbyć, nim posłaniec dotrze do Gazy, ale ślubowanie będzie miało moc, jeżeli wyruszy przed spotkaniem wrogich armii. Toteż wysłali kogoś w samym środku nocy.

Ale choć posłaniec wyruszył w drogę, król nadal odczuwał ból głowy. Otoczenie Metelli sądziło, że zbliża się trzęsienie ziemi. Kamienie pod stopami były śliskie niczym grzbiety węzów. Na pewno znaczyło to, że nieprzyjaciel zburzy mury miasta. W czasie trzęsienia ziemia traci rozum i wiele drzew pada.

Wysoki Kapłan odprawił dla króla jeszcze jedną, bardzo rzadką uroczystość. Poprosił Metellę, by odłożył berło, zdjął pierścień, koronę, odpiął miecz i pochwę. Następnie monarcha skłonił się kapłanowi pod posągiem Marduka. Ponieważ Metella nie miał już żadnych insygniów władzy królewskiej, osoba jego nie była nietykalna i można go było traktować jak zwykłego śmiertelnika. Toteż Wysoki Kapłan uderzył go wielokrotnie w twarz, aż w oczach Metelli zakręciły się łzy. Ból głowy faktycznie zelżał. Teraz lud Kadeszu mógł już żywić nadzieję, że drzewa nie zostaną powyrywane z korzeniami. Ale widoki na przyszłość nie były zachęcające. Za pałacem lud jęczał i zawodził przez całą noc. Rozeszła się wiadomość, że starając się wyśnić prawdziwy sen, król obudził się z bólem głowy.

Ponieważ ból głowy nie minął bez śladu, kapłani ogłosili, że przed bitwą trzeba rzucić śmielsze zaklęcia. Ale to pozostawiłoby króla bez ochrony. Toteż Metella musiał pozostać poza polem bitwy. Na jego miejsce trzeba było wyznaczyć następcę.

Gniew króla był bezgraniczny. Skoro jednak zgodził się na obrządek, musiał być posłuszny Wysokiemu Kapłanowi. Wszyscy płakali, wiedząc, jak cierpi Metella zmuszony do pozostania w tyle, a i on walił głową, bezsilny, o mury pałacu.

Następnego dnia nikt nie wiedział, kto został wybrany na następcę króla. Nie ujawnił się aż do chwili, gdy Usermare wyzwiał Hetytów do walki wręcz. Wówczas wystąpił. Był pierwszym woźnicą rydwanu i wspaniałym szermierzem.

– Czy był to – spytał Usermare – ten Hetyta o wściekłym wzroku?

– Nie wiem, o kim mówisz – rzekła – ale ja bym spytała:

– Czy jego wzrok nie jest przypadkiem podobny do spojrzenia, jakie rzuca Amen-kep-szu-ef? – Usermare jęknął cicho.

– Są podobni – przyznał. – Ale nigdy jeszcze nie pojawili mi się razem w moich rozmyślaniach. Pokiwała głową.

– Teraz będą nierozdzielni w moich myślach – rzekł. Musiał ją ścisnąć za rękę, gdyż wydała stłumiony okrzyk bólu. Gdy ją przeprosił, powiedziała słodko: – Zapomniałam o tym, jak bardzo twój lud kocha palce zwyciężonych. Faraon roześmiał się niepewnie, gdyż nie wiedział, czy ma się z nią zgodzić, czy nie, ale ona dodała szybko: – Nasi mężczyźni są próżni i krewcy. Powiadają, że to, czego dopuścili się Egipcjanie w noc po bitwie pod Kadeszem, to babska rzecz.

– Babska?

– Słyszałam, jak mawiali, że gdyby Metella był wśród nich i gdyby wygrali bitwę, zbierano by głowy, nie ręce. Odcinaliby także głowy i szyje małych mężczyzn mieszkających między nogami. Mówili, że Egipcjanie potraktowani w ten sposób świetnie się nadają na zupe.

Usermare westchnął. – Nie rozumiem Hetytów – powiedział. – Nie chciałbym przesiadywać w ogrodzie z głową mego wroga na drzewie.

– Ale ty nie musisz znosić niedoli mego ludu – rzekła.

– Ból głowy minął Metelli następnego wieczoru i natychmiast zapalał chęcią wypadu za mury miasta, by cię zetrzeć w pył. Ale nie było mu wolno. W noc po bitwie była pełnia księżyca, następnego dnia zaś był Sappattu.

Usermare zapadł w posepne odrętwienie. Słuchając jej słów wiedziałem, że będą jak pędy winorośli wrastające w jego dumę.

– Gdy odmaszerowywałeś rano – mówiła dalej – mój lud przyglądał ci się z murów. Widzieliśmy zamęt, ale nie wolno nam było się ruszyć. Mieliśmy dzień Sappattu. Jedynym pocieszeniem było to, że Egipcjanie byli tak dalece nieświadomi naszej słabości tego dnia, iż nie próbowali nawet zdobywać murów. Przyglądaliśmy się zatem, jak odchodzicie. Ja urodziłam się siedem lat później, ale słyszałam tę opowieść wiele razy. We śnie często jeszcze widzę odmarsz Egipcjan.

Kiedy odeszliście, ludzie wyszli z miasta i przetrząsnęli pola, szukając zabitych. Tej nocy opłakiwaliśmy ich w mieście. Opłakiwaliśmy głośno w nadziei, że przenikniemy prawdziwy nocny mrok. Księżyc był wciąż w pełni, toteż widać było okropne pola po drugiej stronie rzeki, a z powodu tego widoku musieliśmy zstąpić, każdy z nas, do najgłębszych zakamarków naszych serc, dokąd nigdy nie dociera księżycowy blask. Potem płakaliśmy na wspomnienie rozpacz wszystkich bogów uwięzionych w każdej górze. Gdyby choć jeden z nich, wielki jak Marduk, wysłuchał naszych lamentów, nie czułby się już solidarny z obojętnymi bogami. Wiedziałby, że jego nam żal. Lamenty ludzi, przebiegających tej nocy ulice Kadeszu, były tak pełne cierpienia, że mogłyby poruszyć nawet kamienne serca bogów.

Takie lamenty były o wiele głośniejsze od zwykłego opłakiwania zmarłych. Opłakiwaliśmy zarazem wszystkie niedole, jakie jeszcze miały się stać naszym udziałem. Płakaliśmy za tymi,

którzy byli daleko, i za jałowe ogrody. Opłakiwaliśmy bezpłodne bruzdy i wszystkie nasze dzieci, które zmarły zbyt młodo, opłakiwaliśmy zmarłe żony i utraconych mężów. Płakaliśmy z powodu cierpień starych, wyschniętych rzek i wypalonych pól, z powodu bagien duszących ryby i lasów, które nigdy nie oglądały słońca, pustyń, które nie znały cienia. Płakaliśmy czując wstyd winnicy, której grona są kwaśne, i na myśl o długich godzinach przygnębienia, gdy czujemy niedole i nieszczęścia, jakie nas jeszcze oczekują, choć ich nie znamy.

– Tu, w tym kraju – powiedziała – Egipcjanie nie płaczą. Wy odprawiacie obrzędy. Wydajecie uczty dla swoich bogów. My do naszych płaczemy. Wiemy, jak cierpią. Płaczemy, wiedząc jak bardzo przeciwko nim bluźnimy, oplakujemy żony, których mężowie zaznają innych kobiet, i matki, które wydają na świat potwory. Czasami płaczemy zamiast tych, którzy nie wiedzą, jak płakać. – Zaczęła nucić coś sama do siebie, tak przejmująco i smutno, tonem tak obcym Usermare, że nie wiedział, co powiedzieć. Nałożył więc na głowę podwójną koronę i wyszedł w milczeniu. Nie dał mi znaku, bym poszedł za nim.

Zostawiony tak bez słowa poczułem się jak zwykły sługa, którego pierwszym obowiązkiem jest czekać. Leżałem na kanapie w przedpokoju, podczas gdy ona chodziła nerwowo po swej sypialni, wreszcie położyła się i po pewnym czasie usnęła. Przekonałem się jednak, że ja sam nie mogę spodziewać się snu. Przygnębienie Usermare ciążyło i mnie, aż wreszcie zacząłem podawać w wątpliwość moc, jaka na mnie spłynęła dzięki Kulce Miodu, gdyż udzielił mi się także strach faraona. Wiedziałem nawet, że stoi po kolana w wielkim stawie i że stawem tym było Oko Maat. Małe muszki krążyły nad nim w ciemności, gdy zastanawiał się nad tym, co powiedziała Rama-Nefru, oczy zaś zaszyły mu łzami. Włosy jej wypadły. Nie wiedział, czy wypadły dlatego, że kazał odwracać kamienie Setiego i Tutmosisa, ale modlił się gorąco, by włosy jej odrosły, a jednak nie odrosły. Pomyślał o konwulsjach, które musiały nią targać we śnie, i jak to kiedyś, gdy ją trzymał w ramionach, z młodego gardła wydobył się rozpaczliwy jęk. Przypominał ochrypy ryk młodych dzików w górach Syrii. Zeszłej nocy znów zachrapała i zatęsknił do perfum Nefertari. Teraz nie wiedział, jak przeprosić. Rama-Nefru powiedziała, że Egipcjanie nie płaczą.

Pomyślał o obrzędach w świątyni Ozyrysa w Abydos. Przed trzydziestu pięciu laty, w roku wstąpienia na tron, brał w takich obrzędach udział, a nikt jeszcze nie słyszał tak przeraźliwych wrzasków, jak lamenty mężczyzn i kobiet zgromadzonych poza murami świątyni w Abydos. Ich wrzaski musiały dobywać się spod ziemi, ze skał i korzeni, z nie wydobytych jeszcze marmurów na przyszłe świątynie. Westchnął i wyszedł z wody, powrócił do jej sypialni, położył się obok niej i przeleżał tam całą noc. Ale ona nie poruszyła się nawet. Przez głowę przemykały mu liczne myśli o świątyni Ozyrysa w Abydos. Był młodzieńcem, oczekiwał na koronację od początku roku, ciało zaś jego ojca Setiego przygotowywano do pogrzebu i złożono na świętą kąpiel w natrycie. Często rozmyślał o Ozyrysie, podczas gdy ciało jego ojca zamieniało się w kamień. Odwiedził święte miasta Ombos i On oraz świątynię Ptaha w Memfis, a zjechawszy tak Górny i Dolny Egipt, powrócił wreszcie zdjęty strachem i oczekiwaniem do Abydos, najświętszego z miast. Jest to, prawdę mówiąc, najświętsze ze świątych, pierwsze miasto święte, gdyż to właśnie tutaj Izysa zakopała głowę Ozyrysa.

– Wiem o tym – powiedział nagle ojciec i czułem, że bardzo chce mówić, gdyż jego myśli zawirowały gorączkowo jak wówczas, gdy przejmujemy pałeczkę, podaną nam we śnie.

– O tak – rzekł – gdy powrócił do łóżka Rama-Nefru, znów słyszał w myślach szloch tłumu w Abydos. Myślę jednak, że w mroku przestał myśleć o niej i wybiegł myślami do swej wyprawy do małej świątyni. Prawda?

– Tak – przyznał Menenhetet.

– O tak, znam jego myśli – rzekł Pta-nem-hotep.

– Świątynia ojca pozostała nie ukończona, porzucona nad rzeką, Usermare zaś rozmyślał o ostatnich latach Setiego, jego chorobie (Seti był już zbyt słaby, by pilnować robót i zmarł w otępieniu). Seti był silny, ale zmarł zdjęty strachem, gdyż znał dobrze ignorancję swego ojca Ramzesa I. Ten nie będzie wiedział, jak przywitać Setiego, gdy przybędzie złączyć się z ciałem Ozyrysa w Krainie Umarłych. Seti straszliwie bał się śmierci, a gdy mówił o Ozyrysie, to zawsze tonem świadczącym o najwyższym szacunku. Nikt nie był tak wierny świątyni Ozyrysa jak Seti. Przed tak wielkim bogiem Seti bał się wymawiać swoje imię na głos. Obawiał się, że ponieważ przypomina imię Seta, bóg może się obrazić. Kiedy rozpoczął budowę nowej świątyni w Abydos, którą Usermare znalazł nie ukończoną, kapłani wybrani jako architekci z drżeniem donieśli mu o tym, że dom modlitwy poświęcony Ozyrysowi nie może mieć wyrytego na murach imienia Seta. Kapłanom niemal odjęto mowę, gdyż musieli Setiemu powiedzieć, iż jego własne imię można wypisać wyłącznie jako Ozyrys I. Seti nie podniósł miecza ani pałki, ani berła. Zgodził się. Tak bardzo się bał. Usermare, siedząc wśród murów nie ukończonej świątyni ojca, poczuł wzruszenie, gdyż jego ojciec także zmarł i złożył przysięgę, że dokończy tę świątynię.

Rozmyślając teraz o tych ślubach, których nigdy nie dochował (a nawet kazał później przewieźć część tych kamieni w górę rzeki z Abydos do własnego pałacu, do Sali Króla Unasa), wstał w rozterce z łoża Rama-Nefru i wrócił do stawu, by czwartego dnia Festiwalu powitać wschodzące słońce. Potem poszedł do sali tronowej. Tam, na tronie, pragnął rozmyślać o uroczystościach powitalnych dnia Ozyrysa, mających się odbyć tego właśnie dnia w Tebach, a nie w Abydos, w roku jego Boskiego Tryumfu.

Siedząc jednak w objęciach Izydy służącej mu za tron, nie mógł się powstrzymać od rozmyślań o Secie, co mąciło spokój jego duszy, gdyż nie był już w stanie rozmyślać o uroczystościach, które go jeszcze w ciągu dnia czekały. Wrócił więc myślami do pierwszego roku swego małżeństwa z Nefertari, kiedy to – pragnąc sprawić ojcu przyjemność – nazwał pierwszego syna Set-kep-szu-efem i często wymawiał imię syna, rozmawiając z Setim. Tak niewiele jednak zrobił, by dopełnić ślubów złożonych ojcu, że podobnie jak Seti zmuszony był czcić imię Ozyrysa, a nie swoje własne, tak i Usermare po śmierci ojca zamienił imię syna na Amen-kep-szu-ef. Teraz drżał ze strachu w objęciach Izydy, a myśli jego stale się rozpraszały. Nawet gdy Wysoki Kapłan powiedział: „Siedzisz na swym tronie, o Wielki Królu, a krew i ciało Twego tronu to Izyda” – zawodzenie modlitwy wcale go nie uspokoiło. Zasepił się na tronie Izydy. Po jego śmierci Horus nie będzie już żył w nim ani on w Horusie. Wejdzie do Krainy Umarłych i zamieszka w Ozyrysie. Ale czy Izyda nadal będzie go darzyła miłością? Kto wie, czy jego kobiety kochały go tak jak Izyda?

Pełen niewesołych myśli opuścił Salę Tronową i wszedł do lektyki. Tego dnia miała z nim jechać Rama-Nefru. Ujrawszy odcień jej skóry w świetle słonecznym, kontrastujący z jasną, złocistą barwą peruki, zrozumiał, że jest chora. Gdy usiadła obok niego, nie podając mu ręki i spoglądając bez uśmiechu na pozdrowienia zaproszonych tego poranka na Podwórze Wielkich, przeszył go dreszcz. W ponurym nastroju wysiadł z lektyki, by uklęknąć przed kapliczką Ozyrysa. Próbował skupić myśli na ziarnie, które urodzi gleba, ale potrafił tylko oplakiwać Ozyrysa, uwięzionego pod korzeniami.

Kapłani zaintonowali pieśń, a jej dźwięki przypomniały Usermare, jak kobiety zwykły wywoływać imię Izydy na polach, nim ścięto pierwszy kłos zboża. Potem młócili kłosa, a we wzlatujących na wszystkie strony plewach i słomie Izyda ulatywała do nieba.

Słuchał zatem kapłanów śpiewających przed świątynią Ozyrysa:

Ozyrys to Unas w plewach

Gardzi ziemią Och,

Osusz jego rany

Oczyść go Okiem Horusa

Unas jest w górze daleko

W niebie W niebie!

Usermare ujrzał faraona Unasa, unoszącego się do nieba, a w głębi serca próbował sobie przypomnieć, jak to we snach jawił mu się Unas zjadający wraz z nim ciała innych bogów.

Ojciec urwał. – Mówiłbym dalej – rzekł – ale jest jeszcze tyle uroczystości i słyszę tyle zamętu, że nie chcę ryzykować, że i mnie napadnie taki ból głowy jak Metellę. Opowiedz mi przeto, co robiłeś tego dnia i czy byłeś z Nefertari. Tego nie widzę.

Pradziadek znów skinął głową, potwierdzając: – Tak, byłem tego dnia z Nefertari.

XI

– Prawdę mówiąc – rzekł Menenhetet ostrożnie (jak gdyby z wagi Maat wynikało, iż to jemu przystoi teraz mówić, Pta-nem-hotep zaś powinien odpocząć) – czułem się bliski myślami Nefertari przez cały ten czas, gdy stałem w orszaku Usermare, a ten klęczał przed przybytkiem Ozyrysa. Dopiero jednak gdy faraon powrócił do lektyki i został zaniesiony wraz z Rama-Nefru do Sali Tronowej, by się przebrać przed następną uroczystością, zacząłem czuć, iż Nefertari nie tylko o mnie myśli – i to po raz pierwszy od czterech dni – ale w dodatku pragnie mnie. Opuściłem więc swoje miejsce w orszaku, co nie było już trudne. Zaproszeni dostojnicy czyhali tylko na okazję, by się gdzieś wepchnąć. Toteż wycofałem się i wyszedłem poza bramy pałacu, by się wmieszać w tłum, jeszcze pijany tego ranka po poprzedniej nocy. Znów poczułem Nefertari, jak gdyby stała przy mnie, ale moja pewność, że jest tak blisko mnie, przytłumiona była wrzawą, kurzem i dymem, nie mówiąc już o niezliczonych zaczepkach tłumy. Tłum, widząc moje drogocenne szaty, domyślał się, że należę do orszaku z Podwórze Wielkich, chciał mi usługiwać albo po prostu zamienić ze mną parę słów – choćby po to, by się później przechwalać, że rozmawiali ze szlachetnie urodzonym. Toteż zawróciłem na Podwórze Wielkich, przysięgając sobie, że nigdy już nie wyjdę do miasta w tak odświętnych szatach, nie zabierając rydwanu, który oddzielił mnie od ludu. Kiedy tylko powróciłem do Pałacu Kolumn Białej Bogini, przetrząsałem pokoje cieśli i ubrałem się w najstarsze łańchy, a następnie wyslizgnałem się do miasta kuchennym wyjściem, ubrany tylko w przepaskę na biodrach i we włosach.

Popędziłem przez wąskie alejki, przedarłem się przez mnóstwo malutkich placyków i cuchnących ścieków, prześlizgnałem obok wiader wszystkich wysłużonych i skrzypiących żurawi studziennych, czując oddechy pijaków uderzające w moją twarz i piersi kobiet ocierające się o mnie w tłoku. Gdyby ktoś mi się przyglądał, doszedłby do wniosku, że poruszając się swobodnie jak sługa zagubiony w tłumie, będę się bystro rozglądał dookoła. Byłem jednak ogarnięty paniką – Nefertari była blisko, a ja jej nie widziałem (odczuwałem przemożną obecność jej osoby). Im dłużej szedłem, tym mniej byłem pewien, że potrafię ją odnaleźć. Potem zacząłem się obawiać tłumy. Nie przywykłem do odsuwania mnie na bok przez mężczyzn, których szaty były bielsze od moich, a wnet wpadłem w taki szal, że ich pijaństwo przyprawiało mnie o zawrót głowy. Przepęlniały mnie jednak pragnienia, wybiegające w całkiem przeciwne rejony uczuć. Po każdym otarciu się o ciało nieznanego gotów byłem powalić przechodnia na ziemię, zarazem jednak musiałem mieć w oczach pożądaną Nefertari, gdyż uśmiechały się do mnie wszystkie kurwy. Niektóre nosiły kuleczki wosku tak silnie naperfumowane – i to tak ostrym zapachem – że poczułem się osaczony wyziewami miodu i potu. Kiedy jednak przedarłem się do piwiarni wypełnionej nędznikami, żołnierzami i wystraszonymi prowincjuszami z miasteczek znad rzeki, przybyłymi z własnymi bogami, nie zwrócono na mnie uwagi. Musiałem chwycić obsługującą dziewczynę za ramię, żeby mi przyniosła piwo, co omal nie doprowadziło do bójk. Poza tym śmierdziało potężnie. Pijacy rzygali na klepisko, tłum zaś wdeptywał własne odchody w ziemię od rana do wieczora. Można było tam wpuścić parę świń, nikt by nie zauważył.

Kiedy pradziadek mówił, przestałem go widzieć w myślach i zaczął mi przypominać Tego Który Miazdzy Kości, za którym wędrowałem pewnego popołudnia w Memfis. Leżąc między

matką a ojcem, zbliżając się ku czułym wargom snu, coraz wyraźniej widziałem przed sobą wioślarza, który w moich myślach mijał się właśnie z pradziadkiem. Wyobrażałem sobie, jak kocha się z Ejasejab w lepiance w jakimś podwórku dla służby, przy jednej z alejek, po których błędził pradziadek. Ale wówczas zdałem sobie nagle sprawę (w powolnym i rozkosznym przebudzeniu), iż prostych odkryć dokonuje się z tej strony slumsów, że przecież nie mogą się znajdować w jakiejś wąskiej uliczce Teb, gdyż muszą być w pokoiku przydzielonym Ejasejab na czas naszej wizyty w pałacu. O tak, wyslizgnąłem się z moich mięciutkich poduszek i powoli, rytmicznie unosiłem się na ich ciałach trących o siebie w mroku nocy. Tak, tak na pewno kochali się teraz w pomieszczeniach dla służby, moja kochana Ejasejab, która całowała Słodki Paluszek i wysysała zeń całą słodycz. Tak, tak, oderwałem się od pradziadka, by zamieszkać w jej sercu, i straciłem starca z oczu. Zamiast tego przepelniony byłem nią i czułem rozkosz w członkach. Potem Ten Który Miażdży Kości wdarł się niczym błyskawica Seta i usłyszałem zgrzyt pękającej skały, drżenie, może i okrzyk. Bo też na naszym patio, w leciutkiej nocnej bryzie wysłuchiwaliliśmy wielu jęków i okrzyków rozkoszy, a także chrząkań, tarć, ryków i posapywań zwierząt, zamkniętych w chlewach i stajniach w oddali. W nocy jednak dźwięki, podobnie jak bogowie, wydają się nam bliższe, toteż jeśli w ogóle usłyszałem jej okrzyk, musiał mnie on przenieść od gorącej rozkoszy Ejasejab z powrotem ku tęsknocie mego pradziadka do Nefertari. Teraz słyszałem jego opowieść lepiej, ją widziałem wyraźniej, a jego głos nie szumiał w moim uchu, gdyż myśli pradziadka przepływały prosto do moich.

Powiedział nam, że był samotny. Powiedział, że czuł się tak, jak gdyby wciąż mieszkał nad rzeką dzieciństwa, jak gdyby nadal miał tyle samo lat jak wówczas, gdy poszedł do wojska. Tak samotnie czuł się we wrzawie tej piwiarni w zaułkach Teb. Przez cały czas czuł też bliskość Nefertari, ale jej nie widział. Czy jednak naprawdę pragnął ją zobaczyć? Jego przerażenie ogarnęło także mnie. Odnalazłszy ją, mógł utracić wszystko, co w życiu osiągnął.

Po tej myśli przygniół mnie wielki ciężar (pośród tych wszystkich kwaśnych i fermentujących ciał) niczym kamień nagrobny. – Po raz pierwszy – ciągnął pradziadek – popatrzyłem na moje życie bez uczucia dumy. Nie myślałem o własnych osiągnięciach, które były dla mnie krwią i kością dobrego samopoczucia każdego ranka, lecz przypomniałem sobie wszystko, czego nie dokonałem, przyjaciół, których nie poznałem, jako że nikomu nie ufałem, rodzinę, której nigdy nie założyłem (żadnej kobiecie nie ufałem na tyle, by z nią założyć rodzinę – jakimż okropnym przestępstwem było w moim sercu porzucenie Renpu-Rept). W tej chwili, gdy moje nozdrza zatykał smród rzygowin innych, poczułem, że i moje serce pełne jest równie wstrętnych wyziewów. Ujrzałem jasno, że starzenie się jest beznadziejne. Przynajmniej w moim przypadku! Nie chciałem leżeć w łóżku, ściskając medale, których faraon miał nie skąpić, nie chciałem wysłuchiwać moich tytułów powtarzanych przez służbę nasłuchującą, jak kaszlę w środku nocy, i przeklinającą mnie za skąpstwo. Odrażająca śmierć – zakaszleć raz w tym życiu i jeszcze raz w Krainie Umarłych. „Nie chcę umrzeć ponownie w Krainie Umarłych” – śpiewał jeden z pijaków w barze. Ale piosenka ta jest popularna wśród wszystkich pijaków.

Pomyślałem o kopalniach złota w Eshuranib i o mądrości Nefesz-Beszera. Zastanawiałem się, czy potrafił odrodzić się w brzuchu wybitnej kobiety. Potem poczułem się tak, jak gdyby bogowie otoczyli mnie kołem, i zaznałem równowagi niebios, oczekujących mojej kolejnej decyzji. Jak gdyby nieśmiałe trucizny mojej krwi i odwaga mego serca stanęły naprzeciw siebie niczym legiony wojska w godzinie, gdy dmie się w róg. Nie śmiałem zaczerpnąć oddechu, a przecież żaden oddech nie był czystszy niż ta mieszanka wyziewów rzygowin. Zdałem sobie wówczas sprawę (ja, który jak zwykły żołnierz modliłem się do setek bogów, ale nie słuchałem żadnego i żadnemu nie ufałem) z tego, że słyszę jednego boga. Nie wiem jakiego, ale był obecny w biciu mego serca, czekał na

moją decyzję. Powiedziałem sam do siebie, że nie obawiam się śmierci, że odważę się. Wiedziałem, że to, co rzekłem, zostało usłyszane. Och, znacznie więcej, przysiągłbym na blask świec w barze, że przyćmiły się na chwilę, jak gdyby ognie Re zmalowały wobec niewiarygodnej wypowiedzi. Wyszedłem. Chciałem odszukać Nefertari.

Tak więc znów zacząłem przemierzać uliczki, ramieniem jak tarczą osłaniając się przed łokciami przechodniów. Spłynął na mnie spokój, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem. Nie był to właściwie spokój, ale odczuwałem ciche ukojenie, jakie czujemy wówczas, gdy wiemy, że choćby nas oczekiwały jeszcze wymyślne tortury, nie splamimy się już niecierpliwością. Życie leżało przede mną. Tak to czułem. Bez względu na to, ile tego życia zostało, leżało przede mną. Nie umrę w wyczerpującym bezwładzie starców, skamieniałych w obawie przed kamieniem, który ich przywali. O, nie, odnajdę Nefertari i wypierdolę ją! Myśl o moim chuju w niej, mojej agonii w jej miodzie, moim zmęczeniu w jej bogactwie, mojej dumie w jej królewskiej intymności, moim bijącym sercu w jej słodkim drzeniu, moim chłopskim mięsie w jej królewskim sosie, moim mieczu w skórze Usermare – wszystkie niskie i wysokie żądze zlały się w jedno, a moje życie stało się proste. Wypierdolę ją albo umrę, próbując. Może uda mi się zbliżyć do niej i nikogo przy tym nie będzie. A może będziemy razem i będę ją kochał tak umiejętnie, że odważę się na to, na co nikt się nie odważył. Gdyby mi kazała zabić faraona, uczyniłbym to. Zaczerpnąłem tchu. Powiedziawszy to do samego siebie, zrozumiałem, że różnię się od wszystkich innych Egipcjan w Obojgu Królestwach. Może znalazłoby się paru gotowych zabić faraona dla swoich panów, którzy mieli szanse zająć jego miejsce. Ale poza mną nikt nie uczyniłby tego dla samego siebie. Odważyłbym się zostać faraonem, gdyby ona zechciała być moją królową. Moja krew nie jest gorsza od jego! Przecież pochodził od Nadzorcy Ujść Rzeki.

Zaznałem zatem spokoju płynącego ze zrozumienia. Nigdy już nie groziło mi, że się odsłonię albo zanadto obawiać się będę katastrofy. Niech sobie nastąpi. Niech na mnie spadnie. Będę faraonem, a może tylko kochankiem żony faraona, może umrę w jej łonie, a może w ogóle do niczego nie dojdzie. Nie bałem się jednak nikogo ani żadnej myśli. Czułem się w tamtej chwili młody i silny jak tego dnia pod Kadeszem. Doszedłem zatem do wniosku, że jeśli nie zostanę faraonem w tym życiu, to na pewno w następnym.

Pta-nem-hotep przemówił tak szybko, że wyciągnął mnie z zacisznego kącika między głosem pradziadka a moim snem.

– Złożyłeś tego dnia – rzekł – osobliwą przysięgę. Muszę cię przeto spytać, kochany Menenhetecie, czy wolno mi będzie zaufać ci i zasnąć spokojnie, jeżeli to ty zostaniesz wezyrem?

– Dobry i Wielki Boże – odparł Menenhetet. – Złożyłem ci cześć większą niż jakiemukolwiek innemu faraonowi. Prosiłeś, bym ci opowiedział wszystko, a ja uszanowałem twoją prośbę i mądrość twego umysłu. Ja sam uważam, że nasze umysły mogą sobie zaufać jak bracia, gdyż obaj nie znosimy głupoty. Dlatego opowiadam prawdę. Nie dlatego bym cię kochał – nie kocham żadnej istoty poza moim wnukiem, który jest teraz twoim synem (w tym momencie poczułem jego miłość wpływającą na mnie niczym smaczny szpik kostny, pożywną jak to wszystko, co zaszło między Ejasejab a Tym Który Miazdzy Kości) – ale dlatego, że darzę cię szacunkiem, o Władco Obojga Królestw. Wierzaj mi, żaden z dotychczasowych faraonów nie odznaczał się twoją lotnością umysłu ani twoim rzadkim umiłowaniem prawdy. Mówię ci o tym prosto w twarz i powiadam ponadto, że ponieważ Egipt nie jest dzisiaj silny, trudno o wezyra, któremu mógłbyś zaufać. Jeżeli o mnie chodzi, to przynajmniej nigdy cię nie zanudzę.

– Twoja szczerłość wprawia mnie w zachwyt – rzekł Pta-nem-hotep – choć nie wszystkie prawdy, których się od ciebie wysłuchuje, sprawiają mi równą przyjemność. – Westchnął, a potem roześmiał się. – Opowiadaj dalej – powiedział – ufam ci wbrew samemu sobie – po czym znów się

roześmiał, a z jego ciała wydzieliło się zdumiewające ukojenie i dotknęło ciała mego pradziadka, któremu ten ciepły oddech sprawił taką przyjemność, że aż przytknął dwa palce do czoła dawnym obyczajem woźniców rydwanu, gestem, którego nie praktykował już pewnie ze sto pięćdziesiąt lat. Nie potrafiłem jednak uczestniczyć w tym, co między nimi zachodziło, gdyż ujrzałem usta matki i poznałem dzięki nim to, co chciała ukryć wśród swoich myśli. Musiała przeżywać jakieś cierpienie. Czułem jakąś złowrogą siłę, ale tak słabiutko, że tylko matka i ja mogliśmy ją w ogóle zauważyć. Zrozumiałem, że choć Nef-kep-aukem był już po drugiej stronie Memfis, jego kłątwa jeszcze nam towarzyszyła. Więc rozumiałem, jak reaguje zwierzę, gdy choć jeden włoszek spośród miliona zjeży się na jego sierści.

Nie słuchałem zatem pradziadka w równie beztroskim nastroju jak przedtem i musiało minąć sporo czasu, nim znów zapadłem w półsen, dołączając doń w poszukiwaniach Nefertari, jej charakterystycznego utkania. Pradziadek szukał utykającej kobiety, piękności, która nawet w przebraniu zdradziłaby się nieznacznym kuśtykaniem.

To właśnie najbardziej go wzruszało. Była to jedyna oznaka prawdziwego wieku królowej – wciąż czuła bóle w biodrze. Tak, w myślach mego pradziadka pojawiło się poszukiwanie utykającej kobiety, i to poszukiwanie tak gorliwe, że dopiero w jakiś czas po wyjściu z piwiarni zdał sobie sprawę z tego, że potrzebny mu nie tyle bystry wzrok, wybiegający naprzód, ile mądra szyja, wiedząca, kiedy się obrócić i spojrzeć do tyłu na mijającą go kobietę.

– Dopiero kiedy plecy zaczęły mnie swędzić – mówił dalej – zdałem sobie sprawę z tego, że ktoś szedł za mną. Ale kiedy się odwróciłem, nikogo nie widziałem. Aż wreszcie, skręcając w jakąś alejkę, ujrzałem za sobą kobietę w starej, ciemnej szacie. Miała surową twarz służącej w średnim wieku, ciemną, toteż musiała mieć w swych żyłach domieszkę krwi nubijskiej. A może była ciemnoskórą Syryjką? Wspiąłem się na dach, by przyrzeć się jej dokładniej. Kiedy mnie mijała, poznałem po kroku, że musi to być Nefertari. W jej kroku kryła się drobna nieregularność, sprawiająca, że zrobiło mi się jej żal. Ześlizgnąłem się z dachu i poszedłem za nią, ale ona musiała lepiej niż ja wyczuwać, co się dzieje za jej plecami, toteż w następnej alejce weszła do lepianki, otworzyła drzwi, odwróciła się w progu i uśmiechnęła zachęcająco. Ogarnięty radością spotkania się z nią w tej pustej uliczce objąłem ją obydwoma ramionami i poczułem znów jej boskie usta na moich. Mimo szlachetnego wyrafinowania pocałunku można by nas wziąć za dwoje wieśniaków z jednej wioski. Nie była uperfumowana i czułem zapach spod jej pach, zdrowy, prosty i pełen zmęczenia po przechadzce przez Teby.

W środku pokój był ciemny, lecz widać było parę garnków powieszonych na glinianych ceglach ścian, parę kamieni w rogu służących za palenisko, dziurę w dachu, przez którą uchodził dym. I to wszystko, chatka staruszki z pryczą.

– Chata należy do matki jednej z moich służących – powiedziała moja królowa. – Wróci dopiero późno w nocy.

– Wiedziałem, że mówi prawdę. Nikogo nie było na ulicy, wszyscy poszli na festiwal, matki, dzieci, starcy – rabuś mógł się przejść przez wszystkie lepianki, ale wyszedłby z kilkoma zaledwie garstkami ziarna, gdyż nie było czego kraść.

Nie wiem, czy to nędza, czy po prostu brud, ale poczułem ostry przyływ pożądania. Ghuj podniósł się do góry jak u byka. Bez pięknych kosmetyków, z ciemnym barwnikiem na twarzy, z włosami w beładzie, bez pięknych szat, Nefertari wyglądała jak służąca w średnim wieku, niezbyt piękna i okryta wełnianą szatą. Piersi spętane były wełnianą opończę. Pożądałem jej tym bardziej. Jej wygląd zachęcił mnie, jak gdyby spotkanie miało miejsce w moim pałacu, nie u niej. Wiedziałem, że mój apetyt zaostry się i bez pięknych opowieści, że nie będzie mnie musiała podniecać czubkami palców ani językiem, ani nawet widokiem rozwartych ud. O, nie! Chwyliłem

ją, ogarnąłem ramionami, przytuliłem i rzuciłbym ją na pryczę, na której było miejsce tylko dla niej, gdyby nie zachowała się jak prawdziwa służąca. Nie służąca, dziewczyna do posług. Była silna i opierała się. Nie wydała żadnego dźwięku, jak to służące, które nie odzywają się, jeżeli pani może je usłyszeć, ale walczyła, dobrze umięśniona i skromna, pozwalając mi tylko zajrzeć pod bujny krzaczek między nogami, gdy uniosłem na chwilę rąbek jej spódniczki. Podobnie jak służąca, sama niczego nie zdejmowała ani nie pozwalała zdjąć, nie dawała się też oglądać nago. Po pierwszym pocałunku nie chciała mi już dać ust, nie chciała mnie dopuścić do siebie. Czułem jej intencje, były mroczne jak ciężkie sekrety służby – tyle i tyle ukradziono, tyle i tyle wyrządzono szkód. Potem odepchnęła mnie i powiedziała:

– Poczekaj, jeszcze nie jestem gotowa, nie jestem w ogóle gotowa. – A następnie ku memu wielkiemu zdumieniu (nigdy nie widziałem służącej, która by tak postępowała) zaczęła drapać się po łydkach, aż nogi jej pokryły się białymi rysami, ale ona nie ustawała, jak gdyby tylko w ten sposób mogła się wyzwolić z przygnębiających przeżyć całego dnia.

I dopiero wówczas przypomniałem sobie, że moja matka i inne kobiety we wsi też tak postępowały.

Moje podbrzusze bolało mnie tak, jakby mnie ktoś przebił włócznią, lecz kiedy chwyciłem ją za kolano, odepchnęła moją rękę. – Poczekaj – powiedziała – chciałabym cię wypytać o Rama-Nefru. Przyciskając się do niej, musiałem jednak przerwać na chwilę i opowiedzieć jej o wszystkich intymnych szczegółach z życia Usermare i Hetytki, jakie poznałem. Dopiero kiedy skończyłem, pocałowała mnie jak grzecznego chłopca, westchnęła i kiedy znów ją przycisnąłem, powiedziała:

– Poczekaj, chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. – Potem, drapiąc się, rytmicznie ruszając nadgarstkiem, jak gdyby każde słowo dotyczące Usermare i Hetytki musiało najpierw rozejść się z krwią po jej ciele, zaczęła mi opowiadać legendę, której nie słyszałem od dzieciństwa i o jej znajomość nigdy bym królowej nie podejrzewał.

Legendę tę słyszałem w mojej wiosce, ale tak dawno temu, że nie pamiętałem, jak się kończy. Nefertari upierała się, by mi ją opowiedzieć, a w jej głosie było tyle zdecydowania, że wiedziałem, iż muszę jej wysłuchać. Może najbardziej uderzyło mnie to, że mówiła z akcentem służby. Wiedziała dobrze, jak mówią ludzie z terenów między Tebami a Memfis.

– Jest to opowieść o dwóch braciach – zaczęła – a usłyszałam ją od staruszki, która tu mieszka. Ona zaś słyszała ją od swej matki. Jest to więc legenda lepiarki, w której jesteśmy.

– Było dwóch braci, starszy – Anup i młodszy – Bati. Anup miał duży dom i ładną żonę, a Bati pracował dla niego. Ale młodszy brat był silniejszy i przystojniejszy od starszego.

Pewnego dnia, gdy bracia byli w polu, Batego wysłano po ziarno. Żona Anupa widziała, jak ładuje na plecy ciężar, który normalnie musiałyby nieść trzech ludzi, toteż zrobiło to na niej duże wrażenie. Przestała się czesać i powiedziała:

– Chodź, położymy się na godzinkę. Jeżeli mnie zaspokoisz, uszyję ci koszulę. Bati spojrzał na nią dziko jak zbójca z południa i powiedział: – Nigdy nie mów tak do mnie!

– Podniósł ziarno i wrócił na pole, gdzie pracował z Anupem bardzo ciężko. Starszy brat zmęczył się i zatęsknił do żony. Zszedł więc z pola, by pójść z nią do łóżka. Ale kiedy wrócił do domu, jej szczęka była owiązana gałganem. Powiedziała, że Bati ją pobił, bo nie chciała się z nim położyć.

– Jeżeli pozwolisz mi przeżyć – rzekła – ja się zabiję. Wtedy starszy brat wściekł się jak zbójca południa i naostrzył nóż, po czym ukrył się, czekając na Batego za wrotami do stajni. Ale kiedy młodszy brat zbliżał się do szopy, jałówka, która przewodziła krowom, zaczęła ryczeć, a po jej głosie Bati poznał, że czyha nań niebezpieczeństwo. Uciekał, Anup zaś gonił go i Bati mógł odsapnąć dopiero wtedy, gdy przepłynął rzekę na małej papyrusowej łódeczce, w miejscu, gdzie

brzeg był stromy. Anup nie mógł go gonić, ponieważ nie było innej łódki, a poza tym w rzece roiło się od krokodyli. Bezpieczny po drugiej stronie rzeki Bati krzyknął:

– Dlaczego jej uwierzyłeś? Dowiodę ci, że jestem niewinny!

– Potem wyjął nóż i odciął najcenniejszą część swego ciała, po czym wrzucił ją do rzeki. Anup rozplakał się i chciał nawet popłynąć do brata, nie zważając na to, że może utonąć, ale bardzo się bał krokodyli.

Potem młodszy brat rzekł:

– Teraz wykroję sobie serce.

Uczył tak i położył je na młodej akacji.

– Gdy zetną to drzewo – powiedział – odszukaj moje serce i włóż je do świeżej wody. Wtedy znów ożyję.

– Skąd będę wiedział, że ścięto drzewo? – spytał Anup.

– Kiedy piwo zwarzy się w twoim kuflu, przyjdź natychmiast, nawet gdyby to miało być dopiero za siedem lat – powiedział młodszy brat. I umarł.

Nefertari spojrzała na mnie w napięciu jak ktoś, kto przekazuje ważne wieści.

– Anup poszedł do domu – rzekła – i wypędził żonę, po czym zaczął czekać. Po siedmiu latach królowa była na przejażdżce, ujrzała akację, stwierdziła, iż jest tak piękna, że zagraża jej skupieniu się na własnej urodzie. Kazała akację ściąć. Piwo zwarzyło się w kuflu Anupa. Starszy brat wyruszył na poszukiwanie serca Batiego i znalazł je w nasionach akacji położonych na najwyższych gałęziach, po czym włożył do wody. Nasionko wykiełkowało i wyrosło na byka ze znakami Apisa. Kiedy byk osiągnął rozmiary dorosłego zwierzęcia, odznaczał się nawet znakiem skarabeusza na języku. Byk kazał się zaprowadzić na dwór faraona, ten ostatni zaś tak się ucieszył ze zwierzęcia, że obsypał Anupa prezentami, nim odesłał go do domu. Rankiem królowa została sam na sam z bykiem. Byk ośmielił się przemówić do niej: – Kazałaś mnie ściąć, gdy byłem drzewem. Teraz żyję ponownie i jestem bykiem. – Królowa poszła do faraona.

– Daj mi wątrobę tego zwierzęcia, chciałabym ją zjeść – powiedziała, a król kochał ją tak bardzo, że zaraz wydał rozkaz swoim rzeźnikom. Kiedy jednak poderżnęli oni bykowi gardło, na schody do pałacu faraona padły dwie krople krwi i w nocy wyrosły na bliźniacze cedry, podobne do ukochanych cedrów Ozyrysa, z czasu gdy Władca Krainy Umarłych spoczywał w trumnie na wybrzeżu Byblos.

Widząc ten cud, król zaprosił królową, by usiadła z nim pod tymi drzewami. Była bardzo niespokojna. Od gałęzi cedru doleciał szept: „To mnie próbowałaś zabić”. Tej nocy, gdy faraon zażywał z nią rozkoszy, poprosiła, by spełnił jej zachciankę.

– Niech tak się stanie – odparł.

– Każ ściąć oba drzewa. Zrób z nich skrzynie i podaruj mi je. Faraon nie był zachwycony, ale posłał po najlepszych cieśli i ci ścięli drzewa na oczach obojga. Oba drzewa padły razem, a gdy padały, z każdego wyleciała jedna drzazga. Pierwsza z nich ugodziła faraona w samo serce. Zabiła go.

Nefertari umilkła.

– A co się stało z drugą? – spytałem.

– Wskoczyła – rzekła – i wpadła do ust królowej, która ją połknęła. Dziewięć miesięcy później urodził się nowy faraon. – Zajrzała mi w oczy, ale nie była już obca. Znałem jej myśli, jakie żywiła w przebraniu służącej, i rozumiałem, że nie różnią się tak bardzo od myśli, które mnie ogarnęły w zaduchu piwiarni. I ona gotowa była umrzeć.

Przestała się drapać i sama podniosła spódnice. Ale nadal zachowywała się jak służąca i oferowała mi tylko pośladki. Na tej nędznej przyczynie, pełnej szelestu wysuszonych trzciny pod

zatechłym prześcieradłem, czułem się, jakbym kochał kobietę na starej słomie, w stajni pełnej zapachów wsi. Nie pozwalała mi w siebie wejść inaczej, tylko przez trzecie usta. Wśród tego zamieszania nie potrafiłem sforsować wrót, ale za każdym razem, kiedy na nią napierałem, jej twarz mieniła się i widziałem nowego z jej czternastu Ka. Grymasy twarzy tak bardzo ją zmieniały, że nawet w półmroku tej chatki zdałem sobie sprawę z bujnej brzydoty Hekwat, Nefertari zaś była podniecona i wychodziła z siebie, toteż zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zwariowała. Potem, jak gdyby jej myśli podchwyciły moje wątpliwości, usta jej wykrzywił okrutny grymas, złowieszczy jak wyraz twarzy Kulki Miodu, w chwili gdy rzucała najzłośliwsze klątwy. Pochwyciliśmy się w objęcia pchani żądzami tak niskimi, że nawet w porównaniu z Hekwat i Kulką Miodu czułem się tak, jakbyśmy oboje byli odrażający. Nienawidziłem bogów i pragnąłem nimi gardzić.

Chyba tylko dzięki wadze Maat wśród tych uścisków mignął mi przed oczyma widok Usermare na purpurowym łożu Rama-Nefru, ich miłość, która w przeciwieństwie do naszej była promienna i wąziutka niczym promyk światła. Nie było w niej nic z głębi, choćby ponurej, choćby odrażającej, jakiej my zaznaliśmy. Nie było grzmotu rozkoszy pod jego potężnym fallusem, lecz brzęk harfy w momencie, gdy trąci się strunę. I Usermare dygotał w najjaśniejszym blasku Rama-Nefru. Może był jaśniejszy, niż mogłem znieść? Niewiele jeszcze wnikałem w Nefertari, trudno było wciskać się przez suche wierzeje, które zaoferowała. Wycofałem się więc i chciałem wejść w usta między jej nogami, ale nie pozwalała mi.

– Nie – wyszeptła – nie, skoro jesteś z brązu. – Wypchnęła mnie, raz jeszcze podstawiając pośladki. Tym razem popatrzawszy na jej twarz, zacząłem ją całować, wciskając w nią język jak drugi miecz. Musiałem ją ugodzić wiele razy, gdyż wydała z siebie wiele królewskich jęków i jak służąca też mnie zaczęła tam całować. Zaznałem wtedy niebios! Przez chwilę byliśmy dwugłową bestią. Wiele wiedziała o takich czarach.

Potem pozwoliła mi wreszcie wejść w siebie, choć Amen-kep-szu-ef chyba by się spisał lepiej jako kochanek. Za pierwszymi wrotami była następna brama i następna, królowa była bowiem jak forteca o wielu murach. Mimo to powędrowałem w jej trzecie usta, kawałek po kawałku, pchnięcie za pchnięciem, a choć naprawdę pragnąłem jej pochwy, pożądanie nie osłabło. Kulka Miodu opowiedziała mi kiedyś, że kobiety, brane od strony trzecich ust, czują w sobie gniew Seta i nie potrafią odczuwać szacunku dla mężczyzny. Oczywiście musiały na ogół okazywać szacunek tym, którzy mogą je zabić. Żadna kobieta nie zemrze przy porodzie, jeżeli śmietanka mężczyzny pozostanie w jej trzewiach.

– Chcę innych ust – powiedziałem, a ona odparła, że nie wniknę do nich, dopóki piwo nie zwarzy się w moim kuflu.

Toteż pierdoliłem ją od strony dupy i widziałem przed sobą twarze Hekwat i Kulki Miodu. Zwarła nozdrza i ryczała jak zwierz. Być może któryś z jej czternastu Ka nigdy dotąd nie zaznał aż takiej rozkoszy! Waliłem w jej uparty tron, a kadzidło i perfumy wszystkich uroczystości tych minionych czterech dni przemykały mi przez głowę niczym ptaki, stada trzepoczących ptaków. Potem doszedłem do siebie w zapachach potu i bagna, jakie nas otaczały. Poznaliśmy się we wszystkich wyziewach tego gorącego zmroku w ciemnej lepiance. Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem czułem tak wiele spośród jej naturalnych woni. Była bardzo podniecona, bardziej podniecona dupą niż poprzednio pizdą, i odezwała się, ale dopiero, gdy koniec zaczął się zbliżać. Nie miało to znaczenia, że wszedłem w nią od strony tego niskiego otworu, nie była już służącą, lecz moją królową, i zaczęła mówić: – Och! jesteś tak podstępny, jesteś w mojej *sha*. Jesteś na moim polu, jesteś moją posiadłością. Och! pływasz w moim bagnie. *Sesh i sesh*. Napisz we mnie, zapisz mnie, *sesh i sesh*. Jesteś moim mułem i *maher*, moim kanałem i moim wyziewem, jesteś

diabłem, słodki *kheru*, moje bagno, mój rabusiu, mój wrogu. Och! wniknij głęboko w zgniliznę, wepchnij go głęboko, dotknij umarłych. Och! *khat, khat, khat*, włóż go do mego kamieniołomu, do mego grobowca, daj go moim przodkom, wypierdol ich wszystkich, daj go mojej dupie, mojej dupie. – I przeżyła orgazm z wrzaskiem tak przeraźliwym, jak wówczas na polu poświęconym Amonowi, gdy Usermare zanurzył się w niej. Przeżyła orgazm, ale był on jakby wymuszony na torturach. Trzęsła się pod spodem. Czułem jej ból w moim brzuchu i udach, i czułem ulgę, jaką przeżyła, gdy ból ustąpił. Potem uderzyła mnie w twarz za karę, za to, że odważyłem się być tak blisko niej i czuć tę bliskość. Nie wiem, czy w mojej rodzinie zaznano miłości równie odrażającej i występnej, dopóki... I tu Menenhetet urwał nagle i niespodziewanie.

Nasze myśli też się zatrzymały, uczyniły niepewny krok do przodu i znów napłynęły do naszych głów. Z wyrazu twarzy ojca i matki wnosiłem, że musieli zobaczyć to samo, co i ja zobaczyłem – a więc Hatfertiti i Nef-kep-aukema kochających się dokładnie w ten sam sposób. Czyżby to była pierwsza pokuta za klątwę mego pierwszego ojca? Byłem pewien, że Menenhetet mimo mądrości, jaką posiadał, omal nie wypowiedział na głos tego, o czym nigdy nie powinno się mówić – omal nie zdradził niezwyklej intymnej bliskości mej matki i mojego pierwszego ojca. Widziałem, że matka rzuca Menenhetetowi długie, przeciągłe spojrzenie, niemal wrogie, mówiące wyraźnie, że boleśnie przeżywa jego zdradę.

Ale Pta-nem-hotep, jak gdyby cofając się na chwilę przed uderzającą o brzeg falą po przepływającej barce, powiedział tylko: – Mów dalej, proszę.

XII

Menenhetet zaczerpnął oddechu i ciągnął opowieść. Ja jednak uświadomiłem sobie, że zacząłem wsłuchiwać się w jego głos, jak gdyby moje myśli wahały się, czy naprawdę pragną przeniknąć myśli pradziadka.

– Tak – przyznał – skończyliśmy i zaraz potem odeszła. Odrzuciła moje namowy, byśmy wyszli razem. Zabroniła mi nawet iść swoim śladem. Nasze ciała przesiąknęły wzajemnie swoimi zapachami i każdy, kto by nas mijał, płakałby nad własną samotnością. Nie zmartwiło mnie zatem jej odejście. Opuściwszy lepiankę, znajdowałem się w tak szczególnym nastroju, że wcale nie pragnąłem powrotu do bram pałacu. Wałęsałem się po mieście, snując się po gęsto rozsianych zaułkach i mrocznych alejkach. Wdychałem z lubością jej zapach pozostawiony na mej skórze, aż i z niego nic nie zostało. Naprawdę odeszła i naprawdę za nią tęskniłem, tęskniłem wręcz za zapachem naszych splecionych ciał, za legowiskiem zwierza, jakie stworzyliśmy. Osobliwy to był nastrój. Za każdym razem, kiedy łokciami musiałem utorować sobie drogę przez tłum, znów czułem bliskość śmierci. Ale niebezpieczeństwo upajało moje nozdrza i rozsadzało pierś. Czułem się tak, jak owego dnia w Nowym Tyrze, kiedy to przeskoczyłem z mego okna do pokoju tajemnej kurwy króla Kadeszu. Bardzo chciałem, żeby wspomnienie tej nocy i jej uwodzicielskiej obecności nie opuszczało mnie nigdy, ale zarazem bardzo żałowałem, że moje rozkosze z Nefertari były tak trywialne. Znów się w niej zakochałem, zakochałem się w zmysłowej i delikatnej kobiecie, której uroda uderzyła mnie, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, ona zaś powitała mnie spokojnie, lecz z istic królewskim wdziękiem. Z drugiej strony to właśnie po dzisiejszej rozkoszy zapragnąłem jej jeszcze bardziej, jak gdyby i Set, i Geb, i wszyscy bogowie mułu trzymali nas w uścisku, zapowiadając, iż znów jej zaznam, i to stokroć potężniej. Poczulem wyraźnie zaślubiny jej pożądania z moim.

Czułem się bez niej jak szalenciec. Ogniska na każdym skrzyżowaniu i zapachy pieczonego mięsiwa, wszystko to przypominało mi smak ludzkiego mięsa. Po trzydziestu latach przypominałem sobie twarz jednego z naszych nubijskich żołnierzy, który w nocy po bitwie pod Kadeszem powiedział: – Mięso człowieka wzmacnia serce wojownika.

Dobrze jest zjadać mięso, które do nas mówiło. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Jak gdyby nie dzieliło nas trzydzieści lat. Zgadzałem się jednak ze śmiercią, nie tylko z Nubijczykiem, ze śmiercią czarniejszą i silniejszą od wszystkich Nubijczyków. Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy śmierć nie przypomina przypadkiem bram wielkiego miasta. Nie trzeba było podróżować w górę Nilu, jeżeli znalazło się jaskinie, mogące nas doprowadzić do Krainy Umarłych. Można było wówczas wejść przez bramę, a tymczasem na murach zadęto by w rogi i uderzono w bębny. Śmierć może przypominać uliczki naszych targowisk. Widziałem już pierwsze godziny śmierci, przechadzając się po targowiskach snu. Śmierć musi przypominać te alejki i ogniska, rzucające blask na twarze kupców sprzedających mięso. Kupcy wymachiwali mi przed nosem świecidełkami, a do ucha zawsze szeptała mi coś jakaś kurwa.

Resztę nocy spędziłem na wędrówce przez burdele. Jeżeli choćby najmniejsza plamka najbardziej skalanych odchodów najgorszego Ka mojej Wielkiej Królowej została na moim członku, to musiała zrobić swoje, gdyż rozpaliała mnie siła barana i byka razem wziętych. Od czasu gdy jako młody żołnierz otrzymałem awans na pierwszego woźnicę rydwanu, nie czułem się tak

jurnie. Zamiast członka miałem chyba między nogami dziób łodzi Amona – tej nocy panowałem w burdelach niczym faraon. Dopiero o świcie zasnąłem w oparach Dat (tak bowiem nazywaliśmy nasze własne pałacowe łaźnie). Tysiące wszy oblażących me ciało tej nocy (brudne lepianki, podarte szaty i pościel kurew) uleciało z dymem. Wróciłem do moich komnat, czysty i pijany, i zasnąłem wreszcie.

Matka przerwała: – Nie protestowałam przeciw twoim opowieściom – rzekła – gdyż zakochana kobieta oddaje się bez reszty. A jestem pewna, że Nefertari opanowana była nieokiełznaną żądzą skierowaną ku tobie, choć zapewne gardziła tą żądzą. Myślę jednak, że ta lepianka to już za wiele! Matka zaczęła się trząść z gniewu. – Lec w łóżu tak zbrukany!

Nie Menenhetet jednak opowiedział, lecz Pta-nem-hotep. Obejmując ją ramieniem, jak gdyby już została jego małżonką, rzekł: – W ciągu tych pięciu dni ludzie byli dopuszczani, pod różnymi pretekstami, na Podwórze Wielkich. Lud mógł się też mieszać ze szlachtą na wybrzeżu. Jeżeli Festiwal Festiwali miał wlać nowe siły w faraona, to nie tylko bogowie, ale także zwierzęta i lud Egiptu, rośliny i wytwory rzemiosła, wszystko musiało przed nim przedelfilować, nawet pasożyty. Prawda, Menenhetecie?

– Prawda. Zazwyczaj człowiek nie czuł się swojsko jako dygnitarz, jeżeli łąziła po nim choćby jedna wesz. Naturalnie, pałac był zawsze bardzo czysty. Nawet w pokojach służby stały kanapy, na których mogła siadać bez obaw księżniczka. W czasie Festiwalu było jednak inaczej. Powiadam ci, Hatfertiti, trudno to zrozumieć, zwłaszcza jeżeli nie widziałeś nigdy takiego Festiwalu. W dobrym tonie było drapać się uczuwszy wesz, choćby raz na dzień. Okazywaliśmy wówczas zrozumienie wyroków Maat i mieszaliśmy się z plebem. Nawet ty dumnie obnosiłabyś się z wszami w czasie takiego święta.

– Przenigdy – odparła matka i ujęła dłoń faraona. – Zapewniam was, że nigdy. Nie potrafię lec, nawet z najbardziej ukochanym mężczyzną, na zawszonym łóżu.

– Poczekajmy jeszcze dwadzieścia trzy lata, a zobaczymy, czy zmienisz zdanie – roześmiał się ojciec, ale ona wzruszyła ramionami. – Nigdy – odrzekła. – Dopóki o tym nie wspomniacieś, sądziłam, że Nefertari była podobna do mnie.

– Była i nie była – powiedział Menenhetet. – Jest oznaką królewskiej cnoty, że królowa potrafi być lepsza od samej siebie. – Gdy matka przyjrzała mu się uważnie – do tej pory nie zauważyłem, by tak na niego patrzyła, odpowiedział spojrzeniem, a gdy cisza przedłużała się, pierwszy ją przerwał:

– W chwili gdy się obudziłem, dochodziło południe ostatniego dnia Tryumfu. Czułem się osłabiony napojem, wyuzdaniem, gorącymi kąpielami i brakiem snu, ale otrzeźwiałem i zacząłem się różnić od reszty towarzystwa, która zaczęła pić na nowo. Atmosfera tego dnia była pełna perlistych kropelek podniecenia, nawet kapłani byli zmoczeni. Tłum mieszał się na Podwórze Wielkich, od strony miasta dobiegały odgłosy hucznych zabaw, a także plotki o bójkach w wielu punktach. Pędząc do miasta na czele wojsk, dotarł do nas Amen-kep-szu-ef z własną gwardią i pierwszymi legionami armii. Przywieźli wieści o jeszcze jednym zwycięskim oblężeniu libijskiego miasta – jeszcze jedne mury zostały zburzone! Lud witał go jak faraona! Tak przynajmniej zewsząd słyszałem. Widziałem, jak jego żołnierze przybywali na Podwórze Wielkich i modlili się przed przybytkami własnych bogów z odległych nomów albo przed syryjskimi ołtarzami czy nubijskimi lepiankami z jakimś tam śmieciem w środku. Najzarliwiej modliły się najdziksze spośród jego oddziałów, gwardziści zaś rozbiegli się w poszukiwaniu dam – tego poranka nie zazdrościłem bogatym kupcom z pięknymi żonami.

– Ludność lubiła tego księcia! Obawiając się, że odgadnie, co mnie wiąże z jego matką na sam widok mej twarzy, trzymałem się z dala od niego, utrzymując między nami odległość równą

szerokości Podwórza Wielkich i nie troszcząc się, dokąd akurat zmierza. Okrzyki radości dobiegały mnie zewsząd, dokąd tylko się ruszył. Podejrzywałem, że musiał coś powiedzieć o mnie swoim oficerom, gdyż przechodzący obok mnie gwardziści rzucali mi jeszcze bardziej złowrogie spojrzenia.

W samo południe zaczęła się uroczystość koronacji Usermare, ale nie jestem pewien, czy śledziłem uważnie jej przebieg. Trwała zdaje się przez większość dnia, aż do uczyty pod wieczór. Świąciliśmy Boski Tryumf obrzędami, licznymi zawodami, grami i innymi rozrywkami. Pamiętam, że zakładano się powszechnie o wyniki wyścigów czterech stad wołów (zwanymi wazami) i ich pastuchów (zwanymi czterema synami Horusa). Zagrzewaliśmy ich okrzykami typu „Ruszaj się, Hep! Szybciej, Tuamutef!” Nie wiem, czy stało się to za sprawą napływających przez cały dzień do miasta wojsk Amen-Kep-szu-efa, ale błuznierczy okrzyk „Bicz, Amsecie!” – też rozbrzmiewał w powietrzu. Patrząc jak czterokrotnie okrążają zewnętrzne mury horyzontu Re, też zanosłem się od śmiechu. Zaczynałem się ponownie upijać. Ze wszystkich stron dobiegały dźwięki muzyki, słyszało się urocze trącanie strun, obłok gwizdków i szum tancerzy tańczących nad rzeką i na skrzyżowaniach ważniejszych ulic. Zapaśnicy i ekwilibryści występowali przed wielkimi fontannami, a także na Podwórzu Wielkich.

– Pośród tego wszystkiego koronowano Usermare, czego szczerze mówiąc nie rozumiem, gdyż koronowano go już wielokrotnie w poprzednie dni i to raz za razem w czasie całego Festiwalu.

– Opowiedz mi o tej, którą widziałeś – powiedział Pta-nem-hotep – a wyjaśnię ci jej znaczenie.

– Postaram się opisać uroczystość, którą zarówno Twój przodek, jak i Ty, Panie, znacie o wiele lepiej ode mnie. Jeżeli się na to odważam, to tylko dlatego, że uroczystość bardzo mnie wzruszyła. Kiedy do sali tronowej wszedł tego dnia Usermare, wszyscy oczekujący, ja także byłem pośród nich, wydali okrzyk zdziwienia. – Usłyszałem, jak stojący obok mnie mężczyzna wyjaśnia żonie: – Jaśnieje jak samo słońce! – Gdy Usermare sadowił się w lektyce, nadszedł orszak książąt i księżnych, a wiele spośród tworzących go osób dźwigało podobizny bogów, umieszczone na długich żerdziach. Ruszyli. Orszak poprzedzali kapłani, dymiąc kadzidłem. Wówczas właśnie nadszedł Amen-kep-szu-ef, wywołując radosne powitania. Oparł się o jedno ramię lektyki i sam ujął je w ręce. Dlatego tłum zaczął widzieć najpierw jego twarz, zgotował więc owacje jemu, dopiero potem faraonowi, udającemu się na spotkanie z bogiem Min.

Min został wyprowadzony ze swego przybytku i tłum kapłanów także niósł go w lektyce. Inni kapłani wachlowali boga i rzucali mu pod nogi bukietki kwiatów. Bóg Min oraz Wielki i Dobry Bóg Ramzes II spotkali się na podwyższeniu górującym nad Podwórzem Wielkich. Ziemię pod ich nogami zroszono pachnidłami, zapalono jeszcze więcej kadzideł, a wszyscy wydaliśmy głośne okrzyki, gdy otwarto wrota byka Apisa. Zwierzę wyszło na zewnątrz, a wyglądało zaiste jak boski byk. Miał połacane rogi. Był równie piękny jak Usermare. Stał samotnie na środku placu i odstręczał śmiałków. Nie wiem, czy byki tego gatunku pachną tak zawsze, ale na widok tego poczułem w nozdrzach zapach świeżo skoszonego siana leżącego na polu o wczesnym świcie. Łzy zakręciły mi się w oczach. Pomyślałem o czterdziestu kobietach, które odsłoniły swe spódniczki Apisowi, nim Nefertari rozwarła przede mną swe uda. Zaprañałem jej znów z taką siłą, że przestraszyłem się, iż moja żądza dotrze do byka i rozdrażni go. Jednakże tego ranka zwierzęciu dano, jak mi się zdawało, jakichś ziół na uspokojenie, toteż kiedy cały ten pstrokaty zgiełk ludzkiej ciżby przestał go drażnić i zaczął szumieć łagodniej, byk przyłączył się do procesji kapłanów zmierzającej ku Usermare. Następnie zarówno Dobrego i Wielkiego Boga, jak i byka przedstawiono Minowi, odsłoniętemu przez własnych kapłanów, który otworzyli drzwiczki w lektyce. Min siedział na małym tronie i byłby z łatwością dostrzegalny, gdyby nie słońce odbijające się odeń niezwykle wyraziście, tak jasno, że nikt nie widział ani jego twarzy, ani postaci, tylko

stopioną kulkę światła. Wszyscy westchnęli, a Usermare zakrył sobie oczy ramieniem. Byk zawył na widok Mina, który przypominał kulkę złotego ognia.

– Ja potrafiłem dostrzec postać boga mimo blasku. Miał on ciało Kepery, czyli chrząszcza, łapy lwa, twarz ludzką i koronę faraona, złożoną z dwóch rogów baranich, ośmiu kobr, dwóch tarcz – słońca i księżyca – i dwóch złotych piór wysokich jak sam posążek. Miał też złoty członek wychodzący z boku jego ciała i wyprężający się na taką długość, że musiał go podtrzymywać ręką. Był równy fallusowi Usermare, co mówi nam wiele, zważywszy, że ktoś jego postury sięgałby naszemu faraonowi do kolan, gdyby nie wysoki tron. Muszę przyznać, że na widok tego boga i jego fallusa Usermare też pokazał nam swój członek w erekcji. Gdyby byka nie oszołomiono narkotykami, pewnie też by się przyłączył. Każdy, kto niósł kwiat lotosu na żerdzi, zwrócił koronę kwiatu ku nim. Usłyszałem, jak ziemia pęcznieje miłością i tłumy okrzyki pożądania. Wielu ludzi odczuwało to samo w tłumie, gdyż pod spódniczkami wielu mężczyzn widziałem erekcje, a wiele kobiet omdlało. I ja sam, ogarnięty pożądaniem, prażony słońcem, bliski byłem słodkiego omdlenia. Bez względu na szaleństwa minionej nocy, już czułem, jak moja część Nilu wzbiera we mnie.

– Módlmy się teraz wszyscy do Amona-Re – rzekł kapłan, zawiadamiając nas zarazem, iż ten bóg Min, pan naszego Festiwalu i najwspanialsze bóstwo naszych żniw, to nikt inny jak Min-Amon, jeszcze jedna postać milionów przebrań Amona Ukrytego i Re Świetlistego. Kiedy tak bóg i faraon spoglądali na siebie, Usermare zaglądał w oczy Min-Amona, Min-Amon zaś w oczy Usermare, wszyscy poczuli obecność Amona-Re. Nawet byk, mimo tych ziół, wydał przeciągły ryk pełen echa pól zalanych słońcem i jaskiń w cieniu wzgórz. Kapłan zaintonował długi hymn do Amona-Re.

Potrafię ten hymn powtórzyć. Jeszcze mam w uszach każde jego słowo. Usermare był przez cały czas naszym faraonem, przez całe pięć dni pozostawał naszym władcą, ale wszyscy przesądnie dotykaliśmy ręką własnych serc i serca całego Egiptu. Wiedziano w Obojgu Królestwach, że w ciągu tych pięciu dni może na nas spaść nagła katastrofa, gdyż Usermare zarazem był i nie był naszym faraonem. Wiedział, że musi się dać koronować, by podwoić własne siły na przyszłe lata panowania. Z drugiej jednak strony jakże można go było ukoronować w czasie Boskiego Tryumfu, jeżeli ani na chwilę nie zrezygnował z korony?

Tak więc słysząc hymn Wysokiego Kapłana ku czci Amona-Re, odczuliśmy ulgę, wiedząc, że zbliża się prawdziwy powrót podwójnej korony na czoło Usermare. Zaczęliśmy wydawać okrzyki radości i wtórować kapłanowi, piersi zaś rozsadzało nam poczucie spełnienia świętego obowiązku, błogosławiąc naszym pępkiem i naszym lędźwiom. Wysoki Kapłan rzekł:

– Niech się święci chwała Amona-Re, Głównego Boga, pięknego, tego, który daje życie i ciepło wszystkim pięknym trzodom. Tyś jest Bykiem Bogów, Panem Maat, Ojcem Bogów, stwórcy mężczyzn i kobiet, i stwórcy zwierząt. Jesteś władcą wszystkich rzeczy, które istnieją, i stwórcy zboża, i Ty sprawiasz, że na polu rosną zioła, które żywią bydło. Bogowie cię chwala, gdyż uczyniłeś wszystko, co jest pod nami i wszystko, co jest nad nami. Ty oświecasz Obydwa Królestwa i Ty w pokoju żeglujesz przez niebo. Tyś sprawił, że barwa skóry jednej ludzkiej rasy odmienna jest od drugiej i dałeś nam wszystkie barwy ludzkości, sprawiłeś, że wszystkie żyją. Ty wysłuchujesz modlitwy tych, których uciskają, i zawsze okazujesz miłosierdzie wszystkim, którzy Cię o to proszą. Ty chronisz złęczonych przed zbrodniarzami i Ty rozsądzasz spory między silnym a słabym. Jesteś Władcą Umysłu. Z Twoich ust wypływa mądrość. Nil wzbiera, gdy rozkazuje. Jesteś gubernatorem przodków w świecie pod ziemią. Twoje Imię jest ukryte.

Poczułem niepokój ojca rosnący z każdym wypowiedzianym przez Menenheteta słowem.

– Czy naprawdę wypowiedziano takie słowa do Usermare? – spytał Pta-nem-hotep.

– Tak je zapamiętałem.

– Proszę, opowiedz o reszcie hymnu – poprosił Pta-nem-hotep.

– Tak brzmiały słowa Wysokiego Kapłana – powtórzył Menenhetet. – Bądź pozdrowiony, o Jedyny! Ludzie wyszli z Twych oczu, a bogowie z Twych ust. Tyś sprawił, że w rzekach pływają ryby i Tyś tchnął życie w jajko oraz płazy i gady. Pozwalasz szczurowi mieszkać w norze, a ptakom siedzieć na drzewach. Twoja moc ma wiele postaci. Tyś rozpostarł niebiosa i rozwinął ziemię. Tyś jest panem bydła i ty pozwalasz bydłu paść się na wzgórzach. Bądź pochwalony, Amonie, Byku, któryś jest Bogiem o pięknych rysach, Sędzio Horusa i Seta! Tyś stworzył górę i srebro, i lazuryt.

– O Amonie, promienie Twe jaśnieją na wszystkich twarzach. Żaden język nie wysłowi tego, kim jesteś. Ty wiesz przez niewypowiedziane przestrzenie ponad milionami i setkami tysięcy lat, Ty wędrujesz ponad otchłaniami wód do miejsc, które ukochałeś, a wszystkiego dokonujesz w krótkiej chwili, nim spocznesz, zatopisz się i sprawisz koniec godzin.

– Czytałem tylko ostatnie słowa – rzekł Pta-nem-hotep.

– Nie znam poprzednich fragmentów, choć muszę przyznać, że bardzo mnie zaciekały i zrobiły na mnie duże wrażenie.

– Mnie wprawiły w niezwykle zakłopotanie – potwierdził Menenhetet – zwłaszcza że brzmią tak dziwnie. Muszę zaufać własnej pamięci, nasz Kaibit zaś, jak wiadomo, tylko czeka, by wprowadzić naszego Ka w błąd. Może to, co pamiętam jako hymn intonowany na uroczystościach tego dnia, to tylko pieśń kilku kapłanów Amona, śpiewana w ich własnym gronie. Może nie przypominam sobie wcale słów z mego pierwszego życia, ale z drugiego?

– Niebywałe – zauważył Pta-nem-hotep. – Słyszałem o takich tajemnych hymnach i to pewnie więcej niż Kem-Usza, który jest pochłonięty sprawowaniem władzy, ale z drugiej strony nie znajduję w księgach świątyni niczego, co opisywałoby Amona jako Władcę Umysłu lub Pana Przodków z podziemnego świata. – Pokręcił głową i westchnął.

– Opowiadam – podjął Menenhetet – prawdę, tak jak ją zapamiętałem. Nie ośmieliłbym się nigdy być twoim nawigatorem i niewłaściwie pokierować wioślarzami.

– Taką pomyłkę – jeżeli to jest pomyłka – uznałbym za wielce osobliwą i nie widziałbym w niej nic złego, chyba że bogowie chcą między nami zasiać zło.

– Bardziej wierzysz w bogów o tej porze, niż dzisiaj po południu – wtrąciła matka z prostotą i taką szczerością spostrzeżenia, że ani ojciec, ani pradziadek nawet się nie uśmiechnęli. Pta-nem-hotep powiedział po chwili: – To prawda. Dziś w nocy czuję moją podwójną koronę w sposób, którego dotąd nie znałem. Pozwólcie, że uczczę zarazem i ciebie, i Menenheteta – po czym pocałował mnie.

– Nie było faraona mądrzejszego od ciebie – rzekł Menenhetet.

– Jestem zaszczycony – odpowiedział Pta-nem-hotep.

Ale podobnie jak powietrze przecina szrama, gdy kamień trafi ptaka, który spada na ziemię, tak i echo hymnu Wysokiego Kapłana do Amona-Re drżało między nimi, a ja poczułem, jak w głębi ducha ojciec zaczyna żywić jakieś podejrzenia. Nie powiedziałbym już, że w pełni ufa Menenhetetowi. Jeżeli przekleństwo Nef-kep-aukema było pierwszym ciosem wymierzonym mojej błogości, ta nieufność była ciosem drugim. Mimo uprzejmych słów czułem, że ojca i pradziadka coś zaczyna dzielić. Wyglądało na to, że nie ciągnęli już razem wielkiego ciężaru, lecz szukali w różnych jaskiniach oddzielnych skarbów. Ja zaś, starając się utrzymać ich razem, odczułem przypływ dziecięcego zmęczenia i chciałem się po prostu rozplakać.

– Dalej – rzekł ojciec po chwili milczenia. – Nie chciałem ci już przeszkadzać.

– O ile sobie przypominam – powiedział Menenhetet po chwili milczenia – ledwo Wysoki Kapłan skończył, a już inny kapłan otworzył złotą klatkę, z której wyleciały cztery gęsi jakby w popłochu, machając skrzydłami. Kiedy wzleciały w górę, okrążyły Podwórze Wielkich i razem skierowały się na południe, by się następnie rozdzielić, jak nam powiedziano, i zanieść wieści na cztery strony niebios. Kiedy znikwały, Wysoki Kapłan powiedział pełnym i poważnym głosem:

– Horus otrzymuje czerwoną i białą koronę. Ramzes nakłada czerwoną i białą koronę. – Nie bardzo rozumiem, jak mógł je nakładać, skoro już je nosił. Dostał wyłącznie słowa. Potem inny kapłan podał mu złoty sierp i snop zboża. Pobłogosławiony przez kapłanów eunuch wystąpił naprzód, ucałował stopy Usermare i położył się na ziemi, trzymając w czarnych dłoniach korzenie zboża związanego w snop. Faraon przytrzymał snop od góry i przeciął go w połowie. Potem kłosa zboża rozsiano na ziemi przed bykiem i zwierzę zostało odprowadzone przed ołtarz ofiarny.

Dworzanie podchodzili jeden za drugim całować władcę, podejmować go za kolana albo skłaniać się nisko, do samej ziemi, w zależności od tego, jak mu byli bliscy. Gdy nadeszła moja kolej, pozdrowił mnie serdecznie i kazał udać się do Sali Tronowej i tam na niego zaczekać. Istotnie, wkrótce poszedł tam z paroma dworzanami, skończywszy przyjmowanie hołdów.

Był teraz sam na sam z jakąś ósemką dworzan i powiedział, że dla wynagrodzenia naszych zasług, naszego oddania jego osobie, naszej lojalności, odwagi i dyskrecji (popatrzył mi prosto w oczy, wspominając dyskrecję), postanowił zgromadzić nas w szczególnym celu. Obdarzy nas mianowicie specjalnymi tytułami na ostatnią noc swego Tryumfu. Dzisiaj wieczorem będziemy służyli mu jako Ochmistrzowie, a po uczcie wolno nam będzie tytuł zachować na zawsze, co zapewni nam podziw pozostałych dworzan do końca żywota. Będzie się o nas mówiło jako o ośmiu mistrzach (natychmiast skojarzyłem ośmiu bogów mułu – sądząc po twarzach pozostałych, oni o tym nie pomyśleli). Potem rozdał nagrody wezyrowi, skarbnikowi, Głównemu Pisarzowi, majordomusowi i kilku generałom, także mnie. Stwierdził, że od tej pory dysponować będziemy tytułami wywodzącymi się z epoki pierwszego faraona. Nazwał je starymi i wspaniałymi tytułami. Kiedy występowaliśmy kolejno naprzód, dawano nam po złotym skarabeuszu, Usermare zaś wyśpiewywał nasze nowe godności. Wezyr został mianowany Wyjątkowym Towarzyszem Usermare, skarbnika nazwano Mistrzem Wszystkiego co Rośnie dla Króla, Peptiego zaś – którego ku memu zdumieniu właśnie mianowano Głównym Pisarzem – zaszczycono powtórnie tego samego dnia, nazywając go Pierwszym Gościem Króla o Poranku. Innego, generała, któremu udały się liczne wyprawy po bogactwa i którego skóra stwardniała jak skóra Sobka-krokodyla, nazwano Mistrzem Złota Pochodzącego z Ziemi. Pozostali trzej wyszli przed władcę – już nie pamiętam ich tytułów. Ja byłem ostatni. Chwycił mnie za rękę i zapytał: – Cóż bym począł bez mego szlachetnego woźnicy? – Uścisnął moje palce z uczuciem równym uczuciu Rama-Nefru i spojrzał wzrokiem tak pełnym miłości, jak nigdy dotąd przez długie, długie lata. – Wiele od ciebie zależy – wyszeptał (nie wiedziałem, o czym mówi). Następnie, zwracając się do pozostałych, powiedział, że po dłuższym zastanowieniu postanowił mnie nazwać Mistrzem Tajemnic, co w pełnym brzmieniu tego starożytnego tytułu oznaczało, iż będę Mistrzem Tajemnych Rzeczy Które są Znane Tylko Jednemu Człowiekowi. Taki miał być mój tytuł na dzisiejszą noc i do końca moich dni. Nie wiem, czy ujrzałem w przeblasku wyobraźni moje dwa albo trzy następne życia, ale łyzy zakreśliły mi się w oku, rozplakałem się w chwili, gdy zostałem sam. Stało się to dopiero po jakiejś godzinie, gdyż wypiliśmy jeszcze z naszym faraonem po kielichu kolobi, obejrzelśmy swoje skarabeusze i porozmawialiśmy, zwracając się do siebie nowymi tytułami. Dopiero kiedy znalazłem się sam w mojej komnacie w Pałacu Kolumn Białej Bogini, rozplakałem się i płakałem rzewnie jak Nil w porze przyboru wód. Nie płakałem od chwili, gdy opuściłem wioskę, ale teraz płakałem za wszystko, nawet za godzinę, w której zabrano mnie do wojska. Był to jedyny dar, jakim mnie

obdarzył tego dnia Usermare. Płakałem z całego serca, jakby pragnąc wypłakać wszystkie niedole Obojga Królestw. Nie wiem, czy potrafimy zaznać uczuć tak przemożnych, jeżeli najszlachetniejsze i najpodlejsze impulsy nie pobudzają nas jednocześnie. Słabe nogi Horusa narażają go na pośmiewisko bogów, ale zarazem pióra jego piersi sięgają niebios. Ja płakałem, gdyż nie kochałem króla tak bezgranicznie, by zasługiwać na jego wielki dar, ale zarazem płakałem, gdyż nienawidziłem tej starej miłości ku sobie, jaką ponownie we mnie wzbudził. Nie pragnąłem okrutnej zemsty, do jakiej namawiała mnie Nefertari. Toteż lałem rzewne łzy na samą myśl o wspaniałym tytule, jaki mi nadał, o tytule Mistrza Tajemnych Rzeczy Które są Znane Tylko Jednemu Człowiekowi.

– Istotnie piękny to tytuł i na pewno nań zasługujesz – rzekła Hatferti, ale głos jej nie był równie ciepły, jak słowa, które wypowiadała.

– Tego popołudnia – podjął Menenhetet – miała się zakończyć uroczystość koronacji. Trudno jednak powiedzieć, by miało miejsce jakiegokolwiek zakończenie. Podczas wieczornej uczyt znów koronowano Usermare, odbyły się liczne uroczystości, niemało było rozrywek. Wieczorem wszyscy zaczęli świętować, choć nie dane nam jeszcze było zaznać prawdziwego spokoju, jaki odczuwamy po prawdziwej koronacji.

– Pewnie, że nie – wtrącił Pta-nem-hotep – ale tylko dlatego, że koronacja nie jest uroczystością, lecz ofiarą, i nie można jej załatwić jedną modlitwą. Podobnie jak żywot samego faraona, koronacja wymaga udziału wszystkich świątyń i wielu obrzędów. Nawet wszy, jak słusznie zaznaczyłeś, biorą udział w tym wyjątkowym akcie. Faraon, panując ponad trzydzieści lat, posiadał już tak wielką moc, iż jest w stanie koronować się swą własną, podwójną koroną. Jest przeto w owej chwili nie tylko wzmocniony, ale i korzysta z pomocy silniejszych niż zazwyczaj bogów. Trzeba więc uwzględnić wszystkich bogów. Jeżeli nie przywołuje się imion ich wszystkich, trzeba to zrobić za pośrednictwem ciała innego boga, z którym podzieli się imieniem. Duchy muszą przybyć, lecz nie naraz – nie więcej niż można jednorazowo wywołać we wszystkich ziemskich dolinach i płaskowyżach – lecz zastęp za zastępem. W ten sposób dźwigamy cały Egipt i odnawiamy go, obrządek za obrządkiem. Tyle wyczytałem w trakcie moich studiów. Hymn ostatniego popołudnia na Podwórzu Wielkich był najważniejszym wydarzeniem w szeregu wydarzeń wielkich – jak nomy, lud, zwierzęta i wszyscy bogowie.

– Nawet jako Wysoki Kapłan – rzekł Menenhetet – nie byłbym w stanie ująć tego tak trafnie.

– Zgadza się – przytaknęła matka, zwracając się do Pta-nem-hotepa, ale ojciec zmarszczył brwi, dając wyraz swemu niezadowoleniu z jej słów, pierwszemu od chwili, gdy razem powrócili na patio. Wymierzył jej klapsa w udo za tak lekkomyślną odzywkę, co najwyraźniej sprawiło Hatferti przyjemność.

– Czy wolno mi nazwać siebie Wyjątkową Towarzyszką Pta-nem-hotepa? – spytała pewnym siebie tonem brzmiącym jak głos faworyty, która jest niezastąpiona. Usłyszałem także jej następną myśl, i tylko ja ją dosłyszałem, gdyż tylko ja byłem na tyle zwinny, by podążyć śladem jej najbardziej błyskotliwych myśli. – To ja – powiedziała sama do siebie – jestem prawdziwym Mistrzem Tajemnic.

XIII

Matka tak była zadowolona z tego zaszczytu, który sama sobie nadała, że z jej umęczonych ramion uniosła się woń słodczy, docierając do ojca i do mnie. Nasza trójka siedziała na kanapie, rozkoszując się tym samym spokojem, a ja ponownie zawędrowałem w pobliże rozkoszy snu. Wspomnienia mego pradziadka były już mniej niepokojące, toteż nie musiałem wsłuchiwać się w słowa i pozwoliłem swobodnie rozwijać się jego myślom.

Noc uczyty nie przywiodła ich do sali króla Unasa, lecz na placyk w okolicy Podwórza Wielkich, odgrodzony od reszty zabudowań wysoką palisadą z czerwonych trzcin. Dachy nie było. Nazywano jednak tę zagrodę Pałacem Króla Unasa. Nad naszymi głowami rozciągały się pnącza winorośli i kwiatów, podtrzymywane wąskimi kolumnkami, pozwalającymi swobodnie dostrzec faraona (którego w wielkiej sali przeznaczonej na uczyty nie byłoby widać ze względu na grube kamienne kolumny). Wieczór przebiegał tak, jakbyśmy ani nie byli całkiem w pałacu, ani całkiem na wolnym powietrzu, lecz jak bogowie unosili się gdzieś w połowie drogi.

Wieczór był pod wieloma względami odmienny od poprzednich. Faraon nie wkroczył ostatni, lecz pierwszy i zasiadł na tronie umieszczonym na drewnianym podwyższeniu pod czterema kolumnami z malowanego drewna unoszącymi baldachim. Każdy gość kłaniał mu się wchodząc, każdej zaś wchodzącej kobiecie władca darował naszyjnik i wieniec z kwiatów, a każdemu mężczyźnie złoty puchar z długiego stołu zastawionego pucharami pełnymi owoców i kwiatów. Służba nalewała najlepsze wina z winnic Kara, Dakła, Fajum, Tanis, Mareotis i Peluseum, albo hetyckie piwo, ciemniejsze od naszych egipskich, takie jak podawano przy stole Rama-Nefru. Dziwne to było piwo, pachniało jaskiniami i korzeniami, słód był bardziej zwarzony niż nasz, warzono je poza tym także z kiełków – moim zdaniem było to piwo wojowników.

Mogę powiedzieć, że wszyscy goście, także księżęta i księżniczki, już siedzieli na swoich miejscach, gdy pojawiły się trzy królowe. Najpierw weszła Esonefret z siedmioma córkami i synami, ale jak zwykle nie zwróciła na siebie niczyjej uwagi (mało o niej mówiono na co dzień na dworze).

Nawet jej dzieci były brzydkie i nijakie jak ona sama. Potem weszła Rama-Nefru w koronie przyozdobionej dwoma piórami. Nosiła sukienkę jakby tkaną z powietrza, tak przezroczystą, że widok jej olśniewającego brzucha był niewiele mniej podniecający niż połysk drobnego, jasnego zagajnika ponad udami. Następnie weszła Nefertari. Otaczał ją przepych, któremu żadna kobieta nie mogła dorównać. Większa część jej ciała zakryta była ciężką szatą z bladego złota (barwa ta miała wszystkim przypominać o utraconych włosach Rama-Nefru), ale szata ta kończyła się tuż nad pępkiem, i wyżej miała już na sobie tylko złotą bransoletę na szyi i złoty diadem we włosach. Wszyscy zwrócili przeto wzrok na piersi królowej. Były piękne jak u młodej dziewczyny. Ich przedziałek był cienisty jak świątynia, toteż powietrze w moich nozdrzach zawirowało z pożądania. Miałem ją zeszłej nocy, ale nie miałem jej piersi. Odmówiła ich obnażenia, jakby w przeczuciu tego wieczoru. Ale ich uroda żywa jeszcze była w moich dłoniach od pierwszej pamiętnej nocy, gdy moje palce przemierzały całe jej ciało. Byłem zatem przekonany, że wspaniałość tych piersi jest po trosze dziełem moich własnych rąk. Jednakże myśl ta okazała się krótkotrwała, gdyż jej wejście doprowadziło do małego incydentu. Nefertari uśmiechnęła się do nas wszystkich, do ludzi z

królewskiego kręgu usadowionych wokół faraona i do dworzan usadowionych po kątach, a następnie wyciągnęła ramię w kierunku stołu, przy którym usadzono jej synów. Wstał Amen-kep-szu-ef i poprowadził ją na miejsce obok siebie. Na ten widok wszyscy obecni powstali z miejsc i zakrzyknęli na cześć bohatera i jego matki. Doszło do podnoszenia pucharów w górę i rzucania kwiatów pod jej stopy, zdawało się, iż duch zgromadzonych krzyczy: – To ona jest naszą królową, nie ta Hetytka! – Nawet z mojego miejsca obok Rama-Nefru, w pewnej odległości od Usermare (gdyż rozsadził obie królowe z dala od siebie i w sporej odległości od swego podwyższenia – zresztą Esonefret też siedziała daleko, całkiem z tyłu), widziałem, że był zaskoczony, że nie przewidywał takiej owacji. Gdy owacja nie ustawała, lecz trwała w najlepsze, a nawet mężowie i damy znani z wyniosłości klaskali w ręce w królewskim kręgu, ci w rogach zaś gwizdali, Usermare powstał i uniósł w górę berło i laskę, co doprowadziło do jeszcze huczniejszych braw, choć mniejszych niż się spodziewałem. Potem wszyscy usiedli. Czułem obok siebie Rama-Nefru, która chwyciła mnie pod stołem za palce. Jej cera miała barwę północnych krajów.

– Mówiłam mu, że do tego dojdzie – wyszeptała.

Ja się tego nie spodziewałem, gdyż widziałem tylko entuzjastyczne przywitania tłumów, zgotowane Amen-kep-szu-efowi. Dopiero wkroczenie Nefertari i powitanie syna oraz reakcje licznych dworzan, zrywających się na równe nogi i klaszczących bez opamiętania, sprawiły, że domyśliłem się, iż wydarzenie to musiało być z góry zaplanowane. Było dla mnie rzeczą jasną, że mając u boku syna, nie pozwalała mi ani zbliżyć się do swoich myśli, ani do źródeł jej siły w naszym mieście. Zastanawiałem się, dlaczego byłem tak daleki od tych spraw. Widziałem siebie jako żołnierza, niezwykle przebiegłego w odgadywaniu ambicji otoczenia, tak wprawnego w tej sztuce, że dochrapał się stanowiska generała wszystkich armii. A jednak już taki nie byłem. Czułem się, jakbym za życia przeniósł się w świat zmarłych. Kimże byłem obecnie? Biednym poszukiwaczem niebezpieczeństw i słodkich potraw miłosnych; ładny mi Mistrz Tajemnic. Tak bardzo zbliżyłem się do kobiet, że zbyt mało już wiedziałem o sile mężczyzn. Jakże próżny byłem, sądząc, że ktoś, kto zabije faraona, czyli ja, mógłby sam zostać faraonem, skoro nie miałem już ani jednego oddanego mi żołnierza, na ulicach zaś roiło się od legionów Amen-kep-szu-efa!

W tej właśnie chwili spojrział w moją stronę z drugiego krańca sali, a ja ujrzałem oczy, które nie należały do Amen-kep-szu-efa, lecz otwierały się na Krainę Umarłych. Były to wrota, przez które dane mi było przejść. Pomyślałem, że to jest właśnie noc, podczas której umrę. Przynajmniej jest wspaniała i godna zapamiętania. Poczuję to samo, co raz już przeżyłem w piwiarni. Ogarnął mnie jednak znacznie silniejszy strach, oddechy wszystkich obecnych pełne były grozy. Wiedziałem, że ja mogę oddychać spokojnie do końca uczy, ponieważ nic mnie złego nie spotka, nim uczta nie przygaśnie. Miałem więc przed sobą godziny radosnego ucztowania.

Podano byka Apisa złożonego rano w ofierze, a mięso było wyśmienite, ociekające sokami bogów. Podano także rzadką rybę, nieczęsto wyławianą z Nilu. Z lubością smakowałem każdy kęs, wiedząc, że są to być może ostatnie dania tego mojego życia. Muszę wam powiedzieć, że jedliśmy dziewięć różnych rodzajów mięsa i sześć odmian drobiu, cztery wypieki chleba i osiem ciast, mnóstwo słodczy i tyle owoców, że nie potrafiłem ich zliczyć. Przez cały czas przygrywali nam liczni grajkowie: na trzciniowych piszczalkach, na harfach, na bębenkach, na tamburynach i cymbałach. Ostatni grajek często ujmował fujarkę, a wówczas czuliśmy się, jakby nas otoczyły wszystkie węże Deltę, i mieliśmy poczucie, że ucztuje się jednocześnie we wszystkich zakątkach Teb. Mało, we wszystkich zakątkach Obojga Królestw. Tak przynajmniej sądziłem, wydawało mi się bowiem, że czuję bicie serca każdego żonatego mężczyzny i wszystkich zameżnych kobiet poza pałacowymi murami. Żaden okres w ich życiu nie obfitował w taką ilość małżeńskich zdrad jak w te mijające właśnie pięć dni. Wszystko co dyszało dziką wolnością, słyszałem w świącie fujarki i w

wesołej wrzawie głosów. Wrzawa ta dobiegała zewsząd, tylko nasz stół był cichy, gdyż siedziała przy nim Rama-Nefru pogrążona w posepnych rozmyślaniach, ledwo zdolna do obdarzenia bladym uśmiechem przechodzących opodal możnych, którzy pojawili się, by obserwować jej reakcję na owacyjne powitanie zgotowane Nefertari.

Zaczęły się występy. Spotkała nas niespodzianka. Pepti, który tego dnia został zaszczycony zwolnieniem z obowiązków w Ogrodach Odosobnienia i awansem na Głównego Pisarza, został teraz dodatkowo zaszczycony pierwszym występem. Zaczął, a już wielu ludzi miało ochotę się roześmiać. Opowiadał bowiem, jak to wyjaśniłem Rama-Nefru dobrze znaną wszystkim dzieciom historyjkę o nauczycielu, którego uczeń nie potrafi opanować sztuki pisania. Ja sam nigdy nie widziałem nawet jednej cyferki na skorupie garnka, dopóki nie dostałem się do wojska, a więc musiałem siedzieć cicho. Słuchałem. Miałem inne wspomnienia. Kiedy byłem młody, nikt w moim otoczeniu nie umiał pisać.

Pepti, ze zrozumiałych względów w doskonałym nastroju, wykazał się bystrym umysłem i szybko dorzucił coś do opowiadania. Zaczął tak:

– Mój ojciec, który także był pisarzem, powiedział mi kiedyś, iż doprowadzi do tego, że ukocham pisanie nad własną matkę. Ojciec był mądry, gdyż faktycznie ukochałem je bardziej niż własną żonę. – Tu Pepti nie podniósł co prawda spódniczki, ale położył ręce na tym, czego już nie posiadał, tłum zaś – w którym nie było nikogo, kto nie słyszałby o jego śmiałej operacji – ryknął śmiechem.

Po tym wesołym, choć bezwstydnym początku, Pepti wyrecytował opowiadanie. Jego głos, wysoki jak u dziecka, świszczący niczym trzciniowa piszczalka i śmieszny, gdyż załamywał się w błyskotliwych zwrotach, bawił wszystkich. Słuchacze ryczeli ze śmiechu. Posiadał tę trudną umiejętność sugestii, że oto wyśmiewa się z samego siebie, ale w istocie śmiał się serdecznie z tych, którzy sądzili, że śmieją się z niego. Ponieważ był mały i tłusty i zachowywał się z przesadną układnością, sprawiał komiczne wrażenie. Był okropnie arogancki. Zdawał sobie z tego dobrze sprawę i kiedy przestawano się zeń śmiać, zaczynał płakać, ot, tak, po prostu. Ponieważ opowiadał smutną historyjkę, jego łzy były śmieszne i wielu dworzan waliło się po udach i uderzało w stół z uciechy, garstka zaś oficerów Amen-kep-szu-efa, ordynarnych niczym dzikie kozły, padła na ziemię i waliła nogami w dywan, śmiejąc się do rozpuku. Tak bardzo rozśmieszał ludzi.

– Co to znaczy – zawołał płaczliwie Pepti – że ludzie w wojsku żyją lepiej niż pisarze? Wcale tak nie jest. Pozwólcie, że opowiem wam o biedaku, którego życie to istne pasmo udręk. Jego rodzice przyprowadzili go jako dziecko do koszar i tam go zamknęli.

– Zamknij się – ryknęli żołnierze zachwyceni swoim poczuciem humoru i rozgrzani alkoholem, ale Pepti zabłysnął wszystkimi zębami w uśmiechu, jakim obdarzył faraona – a zęby miał bielutkie jak wszyscy eunuchowie – i ciągnął opowieść.

– Biedaczek – mówił. – Wojsko jest takie okrutne. Kiedy się odezwie, wałą go w brzuch. Kiedy rusza się ospale, kopią go w pięty. Jeśli się uśmiechnie, obrywa po gębie. Oficerowie ćwiczą go, aż nie może siedzieć. Wszystkiego uczą za pomocą różg. Jeżeli jest brzydki, zostawiają go w spokoju. Ale jeżeli jest przystojny, wykorzystują go dla swych uciech.

– Umarłbym – krzyczał zrozpaczony – ale jakże może mi pomóc stwórca siedzeń i siedzib, skoro wszyscy kradną moje siedzenie? – Widownia zareagowała dzikim śmiechem. – Nie trać ducha – rzekł Pepti surowym tonem, naśladując oficera.

– Staniesz się mężczyzną, jeśli potrafisz pierwiej zostać kobietą. – Faktycznie, ten Główny Pisarz potrafił dobrze rozbawić dwór. Poczulem własną irytację, gdyż zdałem sobie właśnie sprawę z tego, że sam nigdy nie zdołałem nikogo tak rozweselić.

– Słuchajcie dalej – ciągnął Pepti – o jego przygodach. Chłopak ten, już dojrzały, dobry żołnierz, musiał udać się do Syrii i to przez góry, ale w czasie takiej podróży trzeba samemu nieść na plecach żywność i wodę. Jak osioł. Ciężar gniótł mu kości, woda była zatęchła. Gdy stanął w obliczu wroga i w oczach przeciwnika zobaczył gniew, poczuł się jak ptak w pułapce. Wiedział jednak, że jeżeli wróci żywy do Egiptu, będą go traktowali jak spróchniałe drewno. Jego szaty rozkradną, a słudzy się rozbiegną.

– Dlaczego tak ryczą ze śmiechu? – spytała mnie Rama-Nefru. – To męczące. – Patrzyła na Usermare, który bekał z uciechy, Nefertari i Amen-kep-szu-ef także śmiali się serdecznie. Wielu żołnierzy obnażało młode silne mięśnie i uśmiechało się do najpiękniejszych kobiet, już ośmielając się z nimi flirtować.

– Mówię ci, mały pisarczyku – mówił Pepti – nie myśl, że żołnierze są szczęśliwi, a pisarze nie. To nieprawda. Pisarz może chodzić, gdzie mu się spodoba po całym dworze, wszędzie go żywią i szanują, a żołnierz jest tak głodny, że nie może w nocy zasnąć. – Pepti uklonił się, a goście jeszcze raz ryknęli śmiechem, obdarzając go oklaskami.

Znów zagrano i pojawili się zonglerzy, akrobaci i tancerze, ale ja na nich nie patrzyłem. Mój wzrok utkwiony był w Nefertari. Przez cały wieczór ani razu na mnie nie spojrzała. Nie umiałem zbliżyć się do jej myśli i czułem rosnącą niechęć do Amen-kep-szu-efa, widząc, z jakim podziwem i uczuciem karmią się nawzajem i podają sobie puchary wina. Jeżeli byłem Mistrzem Jednej Tajemnicy, to była nią z pewnością wrząca krew Usermare. Czułem, jak obawia się Amen-kep-szu-efa i jak bardzo mąci mu ten strach dzisiejszą radość, jak bardzo zmusza go, by opanował gniew na syna i żonę.

Na środek wystąpił przystojny młodzieniec i piękna dziewczyna, przepasana tylko cienkim złotym łańcuszkiem w talii. Zbliżyli się do faraona, trzymając się za ręce, uklękli, a uderzywszy czołami o ziemię spytali, czy wolno im będzie ofiarować mu pieśń.

– O czym jest ta pieśń? – spytał Usermare.

– O wybraniu Amona; w mej pieśni opowiem o dzikim figowcu, proszącym kwiat, by usiadł w cieniu jego liści i porozmawiał z nim.

– No to opowiedz, co masz do opowiedzenia – przyzwolił Usermare, a dwór przytaknął pomrukiem.

Młodzieniec zaśpiewał dziewczynie pełnym głosem, w którym pobrzmiwała męska wiara we własne siły:

Twe liście są kroplami rosy

Altankę masz zieloną

Zieleńszą niż papirus

i czerwiejszą niż rubin

Płatki twe są miodem

a skóra opalem

o przyjdźże do mnie!

Przerwał. Dziewczyna zbliżyła się, a on objął ją w pasie i to tak zręcznie, że wsunął nadgarstek i łokieć, jakby to były gałęzie drzewa. Potem posłał damom porozumiewawczy uśmiech i dośpiewał ostatnie dwa zdania:

Oj, nie powiem, co ujrzałem!

Oj, nie powiem, co ujrzałem!

Śpiewak objął dziewczynę, uniósł ją i wyniósł ze sceny, przechodząc między stołami pośród radosnej wrzawy, dworzanie zaś dotykali piersi dziewczyny i klepali ją po pośladkach.

Po śpiewaku wkroczyła grupa tancerzy, którzy podobnie jak dziewczyna przepasani byli tylko cienkimi złotymi łańcuszkami na biodrach. Ci tańczyli nie tylko przed faraonem, ale i między gośćmi, porywając wieńce kwiatów z dzbanów z winem, napełniając puchary, a potem znów układając na dzbanach wieńce. Przez cały czas, nawet jeżeli nie usługiwali do stołu ani nie tańczyli, stali wśród nas klaszcząc w ręce w takt muzyki, kręcąc biodrami tak szybko, że przypominali mi serpentynę białych murów Memfis.

Pepti znów wyszedł na środek, ale niósł teraz ze sobą paletę wielką jak tarcza i rylce w kształcie rylca, dłuższy niż ramię. Trzymając te olbrzymie narzędzia, udawał, że pisze, podczas gdy potężny woźnica rydwanu, ubrany jak dwunastoletni chłopiec, z peruką przewieszoną z boku, stanął przed Peptim i w zawstydzeniu spuszczał wzrok.

– Zapomniałeś o książkach – rzekł Pepti. – Oddałeś się przyjemnościom. Wałęsaszy się po ulicach. Każdego wieczoru zalatuje od ciebie piwem.

Ujrawszy, jak serdecznie śmieje się Usermare, zrozumiałem, dlaczego Pepti zrobił taką zawrotną karierę w Ogrodach. Jakże musiał zabawiać małe królowe i faraona! O ileż szczęśliwsi byli tam wszyscy bez mojej ponurej gęby! Poczułem piekące ukłucie zazdrości i zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie gotów jestem na śmierć, jeżeli moje serce nadal pełne jest zazdrości.

– Odór twego piwa – powiedział Pepti woźnicy rydwanu – odstrasza wszystkich. Jesteś jak złamane wiosło i nie potrafisz nigdzie posterować swoją łódką. Jesteś świątynią bez boga i domem bez chleba. – Wszystkie te słowa wypowiedział szczególnie pobożnym tonem i udawał przy tym, że wszystko skrupulatnie zapisuje. Jednakże paleta i rylce były tak wielkie, że albo upuszczał rylce, albo zamazywał paletę, aż w końcu nawet Rama-Nefru zaczęła się śmiać.

Potem wielki woźnica wyciągnął język, pokazał Peptiemu i odszedł. Udając, że jest pijany, przedzierał się przez tłum i omal nie padał na różnych dygnitarzy, a nawet zuchwale opierał się, korzystając z prawa błazna, o kolumny tronu faraona. Ale potem, tuż po muśnięciu tych kolumn, zatoczył się ku stołowi wysokich urzędników i omal ich nie przewrócił. Następnie wygramolił się gdzieś za wezyrem i zaczął bekać i pierdzieć tak dosadnie, że wezyr obrócił się przerażony, sądząc, że zaraz ktoś nań zwymiotuje. Na ten widok sam zacząłem się wreszcie śmiać tak szczerze, jakby to miał być ostatni śmiech w moim życiu. Potem woźnica padł na twarz przed syryjskim posługaczem i zaczął całować jego stopy i pieścić łydki, aż wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, że to tylko sługa, splunął, zerwał się na równe nogi, zaczął uciekać i znów padł jak długi. Pepti szedł za nim krok w krok z paletą jak tarcza i rylcem dłuższym niż ramię, bez przerwy próbował pisać, wymyślając „uczniowi”. – Oto – mówił Pepti – twoje zasady. Nie zapomnij ich. Naucz się grać na flecie, recytować przy dźwiękach liry i zręcznie szarpać struny harfy. – Jednakże pijak znów padł w tłum tancerek, które zaczęły go obejmować, więc Pepti usiadł przy rozciągniętym jak długi woźnicy, zaczął mu mierzwić włosy, gdy ten udawał, że nic nie jest go w stanie wskreszyć, oblał leżącego oliwą i położył wieniec zeschniętych liści na jego ciele. Wszyscy ryczeli z uciechy i co rusz wybuchali śmiechem, jak gdyby w ten sposób umacniali faraona w poczuciu szczęśliwie zakończonego Festiwalu i kładli kres pięciu dniom niepewności. Tymczasem ja, pogrążony w cieniu posępnej Rama-Nefru, nie potrafiłem się już śmiać i zacząłem się zastanawiać, czy śmiech nie ogarniał nas dlatego, że ujrzeliśmy oblicze boga, do tej pory nie widziane, by natychmiast odwrócić odeń twarz. Śmiano się po to, by nie widzieć tej twarzy. Bogowie spali spokojnie. Ja oczywiście nie śmiałem się.

Jak już powiedziałem, Rama-Nefru i ja należeliśmy do wyjątków. Woźnica rydwanu, rozmazując oliwę po całym ciele, próbował wstać. Poślizgnął się jednak, znów powstał, zakotywał się, co wywołało okrzyki przerażenia dam wyobrażających już sobie, że pada na nie jego mokre ciało, i ostatecznie zwałił się na Peptiego, przygniatając jego paletę i rylce. Przez cały ten czas

donośnie i szybko grano na trzciniowych piszczałkach, bębnach, tamburynach i fujarkach, jak gdyby muzycy odpędzali demony. Potem Pepti i woźnica rydwanu wybiegli z sali ścigani oklaskami, a oliwę starto z podłogi. Zapadła cisza. Usermare uniósł berło i potrząsnął nim.

Z wielkim hałasem dwa woły zaciągnęły na środek sali sanie, na których leżała mumia. Rozległy się okrzyki lęku.

– Prawdziwa? – spytała mnie Rama-Nefru.

– Fałszywa – odpowiedziałem, a mumia zniknęła, dwaj słudzy zaś przyszli uprzątnąć to, co woły zostawiły po sobie. Znowu zapadła cisza. Koniec rozrywki. Można było zacząć uroczystości.

Na środek wyszedł wezyr. Paru możnych westchnęło niecierpliwie. Nie pamiętam, jak się wezyr nazywał, ale Usermare miał ich w końcu wielu. Słyszałem, jak mówił kiedyś: – Długowieczny faraon to siła Obojga Królestw, a dobry wezyr zasługuje na to, by mu całować stopy. Wielu jest dobrych wezyrów.

Ten był stary, jak większość z nich, i też był dziś wieczór upojony radością, ponieważ przyszło mu zasiąść pośród ośmiu mistrzów. Użył wielu słów tam, gdzie można było się ograniczyć do paru, i mówił o Usermare jako o wschodzącym słońcu, które przepędza wszelkie ciemności z Egiptu. – Kiedy odpoczywasz w swoim pałacu – rzekł – przyplývają do Ciebie słowa wszystkich krajów, gdyż uszy masz liczne i potężne. Twój wzrok jest jaśniejszy niż gwiazdy i sięgasz wzrokiem dalej niż słońce. – Tu przerwał, zastanowił się nad tym, co powiedział, i dodał:

– Powiadam wszystkim tu zebranych, że ucho Jedynego jest tak potężne, iż wystarczy wyszeptać słówko w nader odległym miejscu, a on już je słyszy i przywołuje mnie przed swe oblicze. Nie potrafię dopuścić się żadnego złego czynu, gdyż widzi wszystko wzrokiem Ukrytego. Nie śmiem nawet mówić o jego cnotach w obawie, że wszystkich nie wymienię, gdyż zna także wszystkie moje myśli.

– Tego już nie zniosę – wyszeptała Rama-Nefru. – Muszę wyjść.

– Nie wolno ci – odparłem.

– Niedobrze mi.

Siedząca opodal Hekwat próbowała ją pocieszyć. – Wcale nie chcesz wyjść – powiedziała Hekwat. – W końcu zawsze wybierze ciebie.

– Moje dziecko mnie potrzebuje – rzekła Rama-Nefru. Czułem jej strach. Ogarnął mnie niczym ośmiu bogów mułu i wszystko, co widziała oczyma wyobraźni, ja też widziałem. Wiedziałem zatem, że księżę Pet-a-Re płacze.

– Muszę spieszyc do niego – powiedziała Rama-Nefru. Ale obawy przed gniewem Usermare, jakie odczuwała Hekwat, były silniejsze niż groza, jaka ogarnęła Rama-Nefru, i Hekwat udało się uspokoić królową słowami: – Ja go ukoję. – Po czym spojrzała w drugi koniec Sali Króla Unasa, w odległy kąt, w którym siedziała Kulka Miodu wraz z rodziną.

Nefertari dotrzymała słowa tylko w połowie: Kulka Miodu została zaproszona, ale na pewno nie siedziała przy królowej. Otóż teraz zdałem sobie sprawę z tego, że Hekwat wpatrywała się usilnie w oczy Kulki Miodu. A potem poczułem, że Rama-Nefru odprężyła się i mówi: – O, teraz już nie płacze.

– Znowu ujrzałem w jej myślach twarz Pet-a-Re, ale nie chciałem już dłużej patrzeć, gdyż bałem się, że jego czarne włosy staną w ogniu na moich oczach. Wezyr gadał i gadał. Potem spojrzała na mnie Kulka Miodu, a w jej wzroku kryła się miłość, jaką widziałem w oczach Usermare, gdy dawał mi nagrodę. Jej miłości ufałem jednak bardziej, toteż pokiwałem głową, jakby odpowiadając na jej pytanie, choć nie zadała mi przecież żadnego pytania. Znowu mnie ogarnęło uczucie lęku, jakiego doznałem na myśl o śmierci w pobliżu mnie.

Wezyr zbliżał się do kulminacyjnego punktu przemówienia. – Kiedy jemy i poznajemy smak bogactwa Obojga Królestw, kiedy pijemy, pomyślmy także o tym, że uroczystości minionych pięciu dni to szczęśliwe więzy łączące cały kraj, to znaczy oba królestwa i faraona. Niechaj wszyscy wiedzą, że właśnie teraz z pałacowych warzelnii i piekarni rozdziela się jadło i napitek. Chleb za darmo i piwo za darmo dla naszego ludu! Oby lud miał nowe oczy przez następne lata! Oby Egipt był bogaty!

Usiadł przy głośnych, ale nielicznych oklaskach, gdyż większość uprzejmie złożyła ręce. Potem dwaj zapaśnicy wbiegli na środek sali. Za każdym szedł kapłan. Jeden trzymał sztandar Horusa, a drugi Seta. Obaj – choć byli niezwykle silni – zaczęli się bić tylko na niby. I lepiej, że tak się stało. Już po chwili bowiem Set wcisnął kciukiem oko Horusowi, a Horus zacisnął uchwyt na jądrach Seta. Zbliżyli się kapłani, by uspokoić zapaśników (kapłan Horusa nie tylko uwolnił jądra przeciwnika, ale i otarł sobie dłoń, nim go odprowadził na stronę). Potem kapłan wręczył Usermare dwa berła. Inny, w nakryciu głowy zdradzającym świątynię Tota, wyszedł naprzód, przyklęknął i powiedział głośno:

– Obyś dzierżył, Byku Niebios, dwa berła. Niechaj dzięki temu jądra Seta powrócą do Boga, niechaj oczy Horusa zostaną zwrócone Bogu i niechaj Twoja moc wzrośnie dzięki tym darom!

Muszę przyznać, że mimo ponurego nastroju czułem, jak moc ta przenika wszystkich zgromadzonych w sali, i sam poczułem się dwakroć silniejszy niż przedtem, podobnie jak Usermare, dzierżący teraz dwa berła.

Nasz faraon powstał. Rzekł:

– W moim mieście ludzie uczują. Na wschodnim i zachodnim brzegu Teb zjadają bochny chleba i wypijają piwo. Podczas dzisiejszego, ostatniego z pięciu świątecznych dni, otrzymali nowe oczy. Z ziarna słońca i duchów księżycy otrzymali parę nowych oczu.

Odłożył berła na stolik i uniósł rękę, dotykając kobry na podwójnej koronie.

– Oto oko mojej korony, które jest Okiem Horusa.

Na te słowa wielu dworzan wyszeptało: – To kobra. Obejmuje kobrę. – Prawie wszyscy odwrócili się, by popatrzeć na Nefertari. Kiedy tylko Hekwat domyśliła się, co następnie uczyni Usermare, zaszeptała do Rama-Nefru:

– Dwa lata temu, podczas Boskiego Tryumfu, pozdrowił ją. Dziś wieczór tego nie uczyni. – Miała rację. Wśród ludzi podniósł się gwar, gdy ominął wzrokiem Nefertari. Szepty wybuchły ze zdwojoną siłą, gdy Amen-kep-szu-ef uniósł do góry puchar i wypił jej zdrowie. Paru ludzi krzyknęło ze zdumienia.

Kapłan stojący blisko Usermare zaintonował poważną pieśń: – Niechaj Twe oczy nigdy nie zajmą smutkiem – po czym wyjął kadzielnicę i podał królowi.

– Weź i wchłoń oddech Bogów. Wszystko, co nas oczyszcza, pochodzi od Ciebie. Twoja twarz jest Twoim zapachem.

Usermare pomachał kadzielnicą i wszyscy starali się wdychać pachnidła, gdyż tych wolno było używać wyłącznie faraonowi i to tylko dzisiaj wieczorem. Ucichło. Wonności pochodziły z ziół ogrodu, na którego bramie namalowano czarną świnię Seta. Wszyscy je czuliśmy – tak silna była woń. Ten zapach był niepodobny do znanych pachnideł, gdyż był zarazem delikatny i zwierzęcy, niczym skłębione prześcieradło Ozyrysa i trop Hera-Re.

Woń jeszcze się nie rozeszła, gdy dwudziestu służących wniosło kolumnę dwakroć wyższą od człowieka i ostrożnie położyło ją przed tronem. Widziałem podnoszenie kręgosłupa Ozyrysa podczas licznych uroczystości, ale nigdy nie był on tak długi i w dodatku wykonany z marmuru (używano zazwyczaj łądyg papirusa). Co więcej, w środku kolumny wyryto oczy i ciało Ozyrysa, by nam przypomnieć, jak to drzewo wyrosło wokół niego w Byblos.

Usermare zszedł z tronu, zdjął podwójną koronę, położył ją na złotej poduszce na złotym stoliku i wziął papiirusowy sznur przymocowany do góry kolumny. Przyłączył się doń Amen-kep-szu-ef i dwudziestu synów, którzy podeszli jeden po drugim, stając przy dwudziestu sznurach. Jednocześnie zbliżyło się szesnaście jego córek, a każdej kapłani wręczyli piszczałkę i naszyjnik. Kiedy Rama-Nefru wyszeptala do mnie: „Ależ te naszyjniki są brzydkie!” – skrzywiłem się i odparłem, że mają one przypominać o pępowninie i łożysku, co i ją, i mnie wprowadziło w zakłopotanie, gdyż każda z księżniczek mówiła, odbierając podarunek: – Niechaj Hathor tchnie życie w moje nozdrza. – Ale modlitwę rozumiałem, była prosta. Czegóż mogło bardziej pragnąć nowo narodzone dziecko, ledwo oddzielone od pępownicy, niż powietrza?

Faraon i jego synowie zaczęli pociągać za sznury. Ciągając, synowie śpiewali:

O, krwi Izidy

O, wspaniałości Izidy

O, czarodziejska mocy Izidy

Chroń naszego wielkiego faraona.

Kiedy tylko kolumna zaczęła się z jednej strony unosić, na środek wkroczyli kapłani i zaczęli się nawzajem okładać kijami.

– Są dla siebie bezlitośni – wykrzyknęła Rama-Nefru szczerze zainteresowana, a nim bijatyka minęła, połowa jej uczestników leżała na ziemi. Przez cały ten czas jedni wołali:

– Walczymy za Horusa! – pozostali zaś odpowiadali: – Pochwyć Horusa! – Kiedy bitwa dobiegła końca, wojska Seta zbiegły z pola, ciągnąc za sobą poturbowanych i pokrwawionych towarzyszy, kolumnę zaś szybko ustawiono pionowo. Wywołało to wybuch radosnych oklasków.

Szesnaście córek Usermare zaśpiewało:

Izyda jest słaba na wodnie

Izyda wstaje ponad wodą

jej łzy kapią do wody

Oto Horus wchodzi we własną matkę.

W tej chwili – czyżby ktokolwiek zapomniał, o czym właśnie śpiewano? – Nefertari ujęła dłoń Amen-kep-szu-efa i wycisnęła na niej lubieżny pocałunek.

Nie wiem, czy była tak pewna, że zaraz na nią przyjdzie kolej, ale istotnie, ona bawiła teraz całe towarzystwo. Usermare powstał i rzekł gromkim głosem, uciszając wszystkich:

– Niechaj główne konkubiny Boga napełnią pałac miłością!

Podeszła Nefertari w towarzystwie sześciu ślepych śpiewaków, których nazywano czasem takimi imionami, jak Rozkosz Bogów, gdyż głosy ich były niewypowiedzianie piękne. Byli ślepi, ale dzięki mądrości Maat obdarzono ich wspaniałymi głosami. I zaśpiewali. Nefertari wtórowała im na piszczałce, delikatnie zrazu, gdy głosy ich były zwiewniejsze niż zefirki tej nocy. Wkrótce jednak pieśń spotężniała i zaczęła silnie oddziaływać na wszystkich obecnych.

Nefertari stała obok jednej ze ślepych dziewczynek, otaczając ją ramieniem. Przypuszczam, że była to córka sługi, którego strażnicy Usermare pobili na śmierć w domu Nefertari. Królowa faktycznie spoglądała na faraona z pogardą. To była jej godzina w czasie tego Festiwalu i nikt nie mógł jej niczego odebrać. Zobaczyłem, jak Usermare blednie, czego do tej pory nie dostrzegałem. Dostojnicy płakali, słuchając ślepych konkubin Boga. Nic nas bowiem bardziej nie wzruszało niż ślepotą, ta plaga przynoszona przez pustynne piaski Egiptu. Jest to nasza klęska i najcięższe zrzędzenie losu, toteż płakaliśmy, słysząc piękno głosów tych ślepych dziewcząt, a gdy tak śpiewały, czułem, jak wstydzi się Usermare z powodu zabójstwa sługi Nefertari.

O wy, mleczne krowy

Oplakujcie go

Nie przegapcie Ozyrysa

Unoszącego są w górę

Gdyż wstępuje on na niebiosa pomiędzy bogami.

Nigdy jeszcze Nefertari nie była tak piękna. Jej piersi były jak oczy słońca i księżycy, a twarz miała najszlachetniejszą w Obojgu Królestwach. Dopiero wówczas zauważyłem, że spogląda na mnie, i poczułem się szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Powiedziałem nawet do siebie: „Oby patrzyła na mnie w godzinie mej śmierci”.

Ozyrys jest nad Nim

Jego cierpienie we wszystkich członkach

Jego ramiona was podtrzymują

I dzięki nim wejdziecie do Nieba

dzięki jego drabinie.

Jak długo konkubiny śpiewały, Nefertari była władczynią haremu Amona, wszystkich Ogrodów Odosobnienia Ukrytego. Dorównywała mocą bogini Mut. Wielka była zaiste jej moc. Nawet Rama-Nefru pochlipywała. O tak, przez pałac przeszło pożądanie. Niechaj Nefertari wróci do łask, które utraciła. Była królową wszystkich obecnych. Ujrzałem, jak wargi Rama-Nefru krwawią, tak mocno je zagryzła.

Śpiewacy skończyli. Żadna z chwil ciszy, zapadającej w czasie uczty, nie była tak głęboka jak ta, w której czekaliśmy, aż tron Amona, trzymany w świątyni w Karnaku – starożytny, święty tron, w którym siadywał Bóg w czasach, kiedy był jeszcze tylko Bogiem nomu tebańskiego przed tysiącem lat, kiedy nie był jeszcze znany jako Bóg Ukryty – aż tron ten zostanie wniesiony przez kapłanów i postawiony przy Usermare. Pierwsza małżonka króla otrzyma zaproszenie i zostanie usadowiona na tronie Amona. Ale kogo Usermare uzna obecnie za pierwszą małżonkę króla?

Nim dokonał się wybór, trzeba było zakończyć ostatnią uroczystość koronacyjną. Bak-ne-kon-su, który został Najstarszym Wysokim Kapłanem Obojga Królestw, wyszedł na środek w towarzystwie dwóch młodszych kapłanów trzymających złotą kapliczkę. Bak-ne-kon-su otworzył drzwiczki i wyjął czerwoną oraz białą koronę, lecz będąc już starym i słabym człowiekiem, ledwo potrafił je utrzymać w ręku.

Usermare skłonił się przed nim z takim przejęciem, że poczułem pewność, iż kocha podwójną koronę mocniej niż zakochany szczęśliwie mężczyzna kobietę w związku, który nigdy nie wyblaknie, lecz zawsze przynosi rozkosz i odmianę.

Usermare powiedział na głos:

Niechaj mnie się boją

jak boją się ciebie

Niechaj mnie się boją

jak boją się ciebie

Niechaj drżą przede mną

jako drżą przed tobą

Niechaj mnie kochają

jak kochają ciebie.

Bak-ne-kon-su uniósł czerwoną koronę Dolnego Egiptu i białą koronę Górnego Egiptu i umieścił je na głowie Usermare.

Usermare dotknął swego berła, swej laski i podwójnej korony.

– Tyś się ze mnie zrodziła – oświadczył – a ja zrodziłem się z ciebie.

Potem stał w milczeniu, rozglądając się po sali, aż cisza zrobiła się gęsta niczym największa wrzawa, serce zaś waliło mu jak ogierowi. Wtedy zrozumiałem samego siebie, zrozumiałem, że

faktycznie jestem Mistrzem Tajemnicy Którą Zna Tylko Jeden Człowiek, gdyż przejrzałem jego serce i jego ogromny strach, i wielką dumę. Kiedy spojrzał na mnie, zrozumiałem także, iż mnie kocha i ceni. Spytał bowiem wzrokiem: – Co mam uczynić? – I znów poczułem jego strach. Nie ma czarów tak potężnych jak strach nękający faraona, obawiającego się siły syna. Wybór Nefertari uspokoiłby wszystkie siły, zdolne podnieść się przeciw niemu. Będąc z Rama-Nefru – mógł tylko błyszczeć blaskiem odległych krain. Ale jego duma i poczucie jedyności były tak silne, że nie chciał dać się powodować obawom przed Amen-kep-szu-efem. W tej niepewności, gdy tak stał nieruchomo, Rama-Nefru myślała o dziecku. Ujrzałem loki księcia Pet-a-Re, czarne kręcone włoski Hetyty, i poczułem, jak bardzo się boi. Usłyszałem, jak szepcze do mnie: – Powiedz Sesusiemu, by wybrał inną – obawiam się najgorszego, jeżeli wybierze mnie. – Dobrze, że przemówiła po egipsku, gdyż po jej głowie błąkały się liczne splątane myśli wyrażone w języku hetyckim, którego nie znałem. Poczułem wówczas, że serce Nefertari składa się z dwóch serc: jedno rozchyłało się jak ptaki w miłości, drugie buchało płomieniem. Nie byłem pewien, czy przesłać myśli Rama-Nefru do Usermare, gdyż wybierając Nefertari, faraon zamieniłby mnie w ziębę, wydziobującą robaki z leniwie rozdziawionej paszczy krokodyla. Nie, nie zniosę tego po raz drugi.

Wówczas nie wiedziałem, dlaczego tak postąpił, ale teraz wiem. To pod wpływem Twego umysłu, o Wielki Dziewiąty Ramzesie, widzę i rozumiem, że nigdy nie zdecydowałby się na podjęcie decyzji pod wpływem strachu, gdyż przestałby być istotą boską. Bogowie mogli mu błogosławić lub błogosławieństwa odmówić, ale żaden faraon nie potrafiłby o niczym zadecydować powodowany wyłącznie okrzykami i jękami tłumu. O nie, musiał dorosnąć do chwały spod Kadeszu! Toteż odwrócił wzrok od Nefertari i wyciągnął ramię ku Rama-Nefru. Powstała i pochlipując ruszyła ku niemu. Hekwat płakała bez żenady, a w stronę Amen-kep-szu-efa nawet nie musiałem spoglądać. Jego wzrok byłby w stanie zburzyć mury świątyni!

Zagrali muzycy, a Rama-Nefru usiadła na starożytnym ironie Amona. Właśnie wtedy, kiedy jej pośladki dotknęły siedzenia, piwo w moim kubku zaczęło się warzyć. Nie wiem, jakie śpiewano pieśni ani kiedy zaczęli wychodzić dostojnicy, nie pamiętam nawet, czy przed moim stołem przeszła Kulka Miodu wraz z rodziną, czy nie. Siedziałem osłupiały jak głaz i czułem, że światło w pomieszczeniu zmieniło się. Nie widziałem już złocistego odbłasku każdej świeczki spośród miliona świec przystrajających pałac, lecz miałem przed oczyma czerwonawą mgiełkę, jakby stłumiony blask ognisk na polu bitwy. Właśnie o tej porze Pet-a-Re, rozbudzony niepokojem tej nocy, obudził się i wybiegł z łóżeczka do ogrodu, gdzie nastąpił na zakryte trawą żarzące się jeszcze węgle ogniska i zapiszczał tak przeraźliwie, że Rama-Nefru zaczęła się kręcić na tronie Amona. Uczestnicy uczyty dowiedzieli się o tym dużo później. Ci, którzy widzieli jak się kręci, mówili, że starożytne złoto bogów zesłało na nią boleści skóry, ale naprawdę czuła cierpienie swego dziecka. Osiągnąwszy dojrzałość w moim drugim życiu, dowiedziałem się, że te oparzenia tak okaleczyły nogi dziecka, iż mały książę chodził jak Horus, nie mając sił w stopach, nim zaś ukończył trzeci rok życia, umarł.

W chwili zdarzenia nic o tym nie wiedziałem. Siedziałem w czerwonawej mgle, która mnie opadła, a w sercu czułem przestrasz i zarazem determinację. Wiedziałem, jak musiał się czuć Usermare. Potem zrobiłem głęboki oddech i powiedziałem sobie, że nie będę się już strzegł przed śmiercią, lecz jak Nefesz-Beszer gotów będę na jej spotkanie. Nie, nie ucieknę! Nie ucieknę! Ale moja decyzja nie była zbyt pewna, wręcz przeciwnie, była jeszcze leciutka jak piórko. Może jednak byłem już bliski drugiego życia i mówiłem sobie, jak kapłan, że różnica między wielką prawdą a strasliwym kłamstwem waży równie niewiele, co piórko unoszące się między naszymi myślami. Wyobraziłem sobie zatem takie piórko i przyglądałem się, jak ulatuje w powietrzu, czując, jak jego piękno chwyta mnie za serce. Czy oto poznawałem prawdę?

Opuściłem pałac po uczcie. Faraon przyszedł pierwszy, ale wychodzić miał ostatni. Nie pożegnałem się ani z nim, ani z Rama-Nefru, lecz przeszedłem obok Oka Maat, którego tafla odbijała właśnie piękną pełnię księżyca. Pomyślałem o Hetycie Sappattu. Biel mego odzienia wydawała mi się błyszcząca jak blada tarcza księżyca i widziałem już w wyobraźni kraje za Wieczną Zielenią. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem o tych położonych bardziej na północ krajach, w których musi być chłodno jak na księżycu. Nie wiem, czy to cisza, jaka mnie otaczała, pomogła mi minąć strażników, czy też będąc już niemal trupem, prześlizgnąłem się między nimi jak widmo, ale udało mi się dotrzeć na pokoje Nefertari i okazało się, że piwo zwarzyło się na jej znak; oczekiwała mnie.

– Nie tutaj – rzekła. – Nie wiem, kiedy Amen-kep-szu-ef powróci po rozmowie ze swymi ludźmi. – Nim się zastanowiłem nad sensem jej słów, powiodła mnie do ogrodu i zatrzymała się przy małej altance u stóp niewielkiej fontanny, ocienionej liśćmi drzew. Była tam marmurowa ławeczka, chłodna w dotyku, ale w tym księżycowym blasku jej ciało było gorące, namiętne i czułe, gdyż płakała trochę. Gdy pochyliłem się, by pocałować jedną ze wspaniałych piersi, objęła mnie obydwoma rękami za głowę, przycisnęła i wyszeptła: – Będę cię dzisiaj kochała wszystkimi trzema ustami. – Zaczęła się śmiać, a echo jej śmiechu unosiło się po całym ogrodzie. – Właściwie czemu nie – dodała – w końcu jesteś trzecim mężczyzną, jakiego kocham, i jedynym, na którym mogę bez reszty polegać, prawda?

Pochwyciłem ją ze wszystkich sił. Czyżby zbyt mocno? Osłabiała mnie jednak miłość do Usermare. Nie potrafiłem go już nienawidzić, a jeżeli mogłem jeszcze poczuć w sobie siłę byka, jak zeszej nocy, to nie w tej chwili, gdy moje lędźwie były zaledwie lędźwiami zająca. Z kolei nią szarpały prądy bólu i wściekłości, toteż nigdy jeszcze nie okazała się tak namiętna. Nie tylko kochała mnie wszystkimi trzema ustami, ale i wstawiła się za mną do wielu bogów, by wzmocnili me członki, me palce u nóg, moje trzewia i wargi, brzuch i serce, o tak, nawet umysł i długi łuk kręgosłupa. Im namiętniejsza się stawała, tym bardziej oziębiało się moje serce, gdyż także w strachu odnajdywałem dumę. Nie chciałem mieć obaw i zachowywałem się chłodno i wyniośle niczym kapłan. Istotnie, byłem jak kapłan w objęciach lwicy. Szepotała wszystkie te słowa, którymi lubiła się bawić, kiedy mówiła o moich wargach i o brzegach rzeki, o moim sercu i swoim pragnieniu, o wrotach mych ust i lektyce mego brzucha (była teraz na mnie), o mięśniach mych nóg i małych mięśniach jej ust między udami. Przerwała w chwili, gdy w nią wszedłem, i nagle przeraźliwie krzyknęła. Gwałtownie, ostro i głośno, krzyczała o gwałcie, kradzieży i morderstwie. – *Nek, nek, nek* – bełkotała – pierdołę, zabiję, zamorduję, *nek, nek, nek*, tyś mymi trzewiami i moim grobem, moimi oczyma i moim umysłem, moją śmiercią, grobem. Och! dajże mi swego fallusa, daj mi swoje nasienie, przyjdź do mnie na rzeź. Umrzyj! – powtórzyła. – Patrz, pamiętaj, umrzyj! – Obróciliśmy się i ona leżała teraz na wznak, wrota otwierały się w niej na oścież. W jej brzuchu był byk Apis i skrzydła boskiego sokoła. Spytała jednak głosem opanowanym: – Czy go zabijesz? Czy go dla mnie zabijesz? – Kiedy skinałem głową, zaczęła przeżywać orgazm i to tak potężny, że ja, pochwycony w pułapkę niczym wędrownik w górach, wpadający w szczelinę między skałami, spłynałem wraz z jej lawiną, a spadając widziałem wysepki jej łona, wynurzające się z morza. Moje nasienie huczało, biegnąc jak fala kanałem między tymi wyspami.

Ale w odróżnieniu od wszystkich pozostałych spotkań, które mogły nas jeszcze czekać w spokojniejszych czasach, wytrysnąłem tylko jednym krótkim skurczem. Moje nasienie nigdy by nie dotarło do jej przeznaczenia, gdyż mnie w nim nie było, gdyż tylko ze mnie wypłynęło, ale w tej chwili poczułem rękę niebios na moich plecach, język ognia, włócznie gniewu. Siedmiokrotnie poczułem płomień dosięgający mnie w moich siedmiu duszach i duchach, a siła tych uderzeń pchnęła moje nasienie naprzód. Czułem, jak serce mi pęka. Oba królestwa odłączały się od siebie.

Wzniosłem się w powietrze i spojrzałem w dół na własne ciało. Leżało na jej ciele, nad obydwójgiem zaś stał Amen-kep-szu-ef i wycierał sztylet o moje plecy. Krew tryskała ze mnie obficie w wielu miejscach. Ona krzyczała, tak mi się przynajmniej zdawało, aczkolwiek nie przysiągłbym na nic w moich czterech żywotach. Wydaje mi się jednak, że powiedziała: – Ty głupcze, on by to za nas zrobił! – Potem jednak cząsteczka, która ulatywała ze mną do góry, runęła na dół, w nasienie, i pamiętam jakby przez mgłę, że wędrowałem długo. Czasami mieszkalem jakby w miękkim namiocie, owiewanym wieloma łagodnymi wietrzykami, a czasem siedziałem na brzegu, a pode mną przepływały krokodyle. Umierając wcieliłem się chyba we własne nasienie, gdyż w odpowiednim czasie narodziłem się ponownie z Iona Nefertari. Z powodu wszystkich tych obaw, jakie mnie dręczyły, kiedy kochałem się po raz ostatni, a zarazem dzięki odwadze tego przedsięwzięcia, moje drugie życie stało się wyrazem najwyższych kompromisów między ambicjami i obawami, toteż skończyłem je jako Wysoki Kapłan. Ale to już całkiem inna historia i nie ma ona nic wspólnego z bitwą pod Kadeszem.

– A co się stało z Amen-kep-szu-efem? – spytała matka. Po tym pytaniu poznałem, że brak szacunku dla zakończonego właśnie opowiadania i należytą chwilę milczenia zdradzał brak litości dla Menenheteta.

Mimo tej brutalnej nagrody za trud snucia wspomnień westchnął tylko i rzekł:

– Zapewne nie spotkałaby go żadna kara za to, że zabił mnie. Ale Amen-kep-szu-ef był wściekły na matkę i tnąc dwakroć nożem, odciął jej pępek, odcinając ją w ten sposób od jej królewskich przodków. Natychmiast zdjęła go skrusza i odciął sobie własny pępek. Ponieważ okazał się jeszcze brutalniejszy wobec siebie niż wobec matki, padł w ogrodzie z upływu krwi.

– Usermare jeszcze bawił w pałacu, ale domyślił się, co się stało, i nie mając u boku nikogo, komu mógłby zaufać, wysłał Peptiego, by ten rozprawił się z synem. Główny pisarz, znajdując Amen-kep-szu-efa osłabionego upływem krwi, nie tracił czasu, lecz przeciął mu kręgosłup u nasady szyi. Za ten błyskawiczny cios Pepti zyskał urząd wezyra i dobrze służył Usermare. Nie doceniałem tego człowieka.

– A Nefertari?

Pradziadek milczał.

– Ponieważ była moją matką, nie mogę o niej mówić w ten sposób. Lepiej byś zrobiła uszanowawszy moje milczenie, gdyż jesteś ostatecznie tylko moją wnuczką.

VII

Księga tajemnic

I

Matka nie okazała lęku. Zachowywała się frywolnie, co nie odpowiadało memu ojcu. Ciężko mu jeszcze zakończenie opowieści Menenheteta. Westchnął głęboko, a z ust wyrwały mu się wraz z westchnieniem wszystkie zmartwienia i troski, o jakich była mowa. Popatrzył na własne palce w zadumie, jak gdyby zastanawiając się, na ile zdoła tego rodzaju problemy rozwiązać sam.

Potem zaczęli się sobie przyglądać z pradziadkiem, w twarzach obu odbijało się zawstydzenie. W tym momencie żaden z nich nie był zapewne zadowolony z życia, ale żaden też nie chciał się do tego przyznać. Pradziadek wyglądał na niezwykle zmęczonego, po pierwsze dlatego, że długie opowiadanie kosztowało go wiele wysiłku, a po drugie miał wątpliwości, czy suma wszystkich faktów, o których wspomniał w czasie tej długiej nocy, wywrze oczekiwany skutek.

Ojciec też nie był zadowolony. Koniec opowieści nie spełnił jego oczekiwań. Przeciwnie, chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

– Prosiłem – rzekł – byś mi opowiedział o bitwie pod Kadeszem, a gdy skończyłeś, prosiłem cię, byś mówił dalej. Spełniłeś moją prośbę. Nie ukrywałeś też, jak mi się wydaje, niczego.

– Być może – powiedział Menenhetet – powiedziałem za dużo.

– Tylko wówczas – wtrąciła moja matka ze złośliwą wzgardą – gdy mówiłeś o swoich ostatnich zamiarach.

– Nie, powiedziałeś nam wszystko, o czym powiedzieć należało – rzekł Pta-nem-hotep – i za to cię szanuję.

Menenhetet skłonił się lekko.

– Potrafię docenić twą szczerść. Twoje myśli, wyłuskane w pełni, wiele mnie nauczyły o moim królestwie. Ale teraz pragnę, byś mnie jeszcze zaznajomił ze swoimi pozostałymi żywotami.

Pradziadek zaniepokoił się. – Nie są warte twej cierpliwości, panie – odparł. – W porównaniu z moim pierwszym życiem nie zawierają pożytecznych wskazówek.

– O nie, co to, to nie – rzekł ojciec. – Mój przodek Usermare mianował cię Mistrzem Tajemnic Znanych Tylko Jednemu Człowiekowi. Mnie ten tytuł wystarcza. Powiem bez osłonek: w czasach słabości faraon musi poszukiwać wiedzy, której nikt inny nie posiada. Jakże mógłby inaczej dzierżyć władzę?

– Nie zasługiwałem na ten tytuł. Inni wiedzieli więcej ode mnie.

– Jesteś męczący – rzekła Hatfertiti. – Nie chciałbyś sprawić faraonowi przyjemności?

– Chciałbym – odrzekł Menenhetet – ale nie wiem jak. Nie rozumiem mojego drugiego życia tak, jak pierwszego. Moja pierwsza matka ujrzała Amona w chwili poczęcia. Ale co kryło się w sercu Nefertari? Myślę czasami, że najpotężniejszą namiętnością pięknej kobiety, która jest zarazem dumna i zepsuta, jest przyglądanie się konaniu kochanka.

Jego słowa wymierzone były w matkę tak precyzyjnie, jak strzała. To by ją podnieciło, gdyby nie była czujna. Dobrze jej zrobiła ta noc.

– Okrutne spostrzeżenie – odparła. – Podejrzewam, że Nefertari kochała cię bardziej, niż na to zasługiwałeś. I zapłaciła za to wysoką cenę. Utracić zarazem pępek i najstarszego syna... Wzdrygnęła się wymownie.

– O, tak – przytaknął Menenhetet i westchnął. Poczułem, jak bardzo jest zmęczony. – Wiele lat spędziłem – powiedział – rozmyślając nad sprawą, której nie rozumiem. Skąd mogę wiedzieć, czy tej ostatniej nocy Nefertari patrzyła na mnie z miłością, czy też płaciła zbyt wysoką cenę za jakieś kłątwy Kulki Miodu. Ta ostatnia na pewno musiała się czuć straszliwie oszukana z powodu kiepskiego miejsca w czasie wieczornej uczty koronacyjnej. Rozmyślałam nad tym, gdy daleko mi do pogody ducha. Znam jednak i radośniejsze nastroje, kiedy to powiadam sobie, iż bogowie musieli czuwać nad Menenhetetem, skoro pozwolili mu się narodzić powtórnie w brzuchu królowej.

– Tak, tak – przytaknęła Hatfertiti. – Tak naprawdę, to wciąż jeszcze pragniesz zostać faraonem, chociaż nie powiodło ci się już wiele razy.

Pradziadek popatrzył na nią uważnie i powiedział:

– Przeceniasz tę chwilę, gdy we władzy widziałem moją jedyną nadzieję. – Pokręcił przecząco głową.

– Ale ta myśl sprawia ci najwyraźniej przyjemność – dorzucił Pta-nem-hotep. – Kochany Menenhetecie, nie przecz swemu pragnieniu. Nawet teraz widziałem błysk w twoim oku, gdy Hatfertiti wymieniła tę możliwość.

– Toż to by było bluźnierstwo – odparł pradziadek, ale nie jestem pewien, czy miał na tyle sił, by zaprzeczać jednocześnie i wnuczce, i faraonowi.

Hatfertiti kpiła zeń:

– Bluźnierstwo? – spytała. – Od kiedy jesteś taki pobożny? Czyżby zapach nietoperzych gówien już wywietrzył z twoich ust?

– Z każdą chwilą – odparł Menenhetet – zachowujesz się coraz bardziej jak prawdziwa królowa.

Ale kiedy Pta-nem-hotep roześmiał się wesoło, słysząc tę uwagę, jak gdyby oświadczając, iż nie jest to całkowicie niemożliwe, Menenhetet zdecydował się na odwrót. – Spróbowałbym – rzekł – opowiedzieć wam o pozostałych żywotach, ponieważ czuję się zaszczycony, mogąc ci służyć jak najdłużej, ale przywoływanie wspomnień okazało się niezwykle wyczerpujące. Przypomina odwalanie nagrobków. Spoglądanie wstecz bardzo męczy, sztuka zaś przypominania sobie moich dawnych żywotów stała się moją specjalnością. Muszę przyznać, że większą część mojego czwartego wcielenia spędziłem na oszałamiających transach.

W tym momencie matka roześmiała się głośno i ze wściekłością wykrzyknęła:

– A wszystkie transe kończyły się biadoleniem.

– Znałem też – przyznał Menenhetet – inne ścieżki wiodące do moich wspomnień. Ale już ich nie ma.

– Tak – przytaknęła – nie ma.

Irytacja ojca rosła z każdą chwilą. – Zbliża się świt – rzekł. – Tyle już przegadaliśmy, że możemy spokojnie doczekać ranka. Nie mam Oka Maat, w którym mógłbym się wykapać i powitać o świcie Re, nie znajdujemy się w pałacu równie wspaniałym jak pałac w Tebach przed przenosinami Usermare do Memfis, ale mamy przecież nasze sadzawki. Kąpiąc się, możemy odpocząć po przyjemnych trudach nocy. Czy pójdziemy tam zaraz, czy jeszcze chwilę poczekamy?

– Wolałabym zostać – rzekła matka – na tym patio. Bardzo lubię tak siedzieć z naszym synem między nami.

Pta-nem-hotep zwrócił się do Menenheteta: – Pozwól, że powtórzę raz jeszcze, iż bardzo wysoko cenię twoje niestrudzone wysiłki i szczerść opowiadania. Zapewniam cię, szczerść liczy się u mnie bardzo wysoko.

– Naprawdę? – spytał Menenhetet. – Jak wysoko?

– Wstydz się – rzekła moja matka, ale nie wypowiedziała tej uwagi na głos. Usłyszałem tylko jej myśl.

– Liczyłyby się jeszcze bardziej – powiedział Pta-nem-hotep – gdyby rozwiła moje wątpliwości. Człowiek tak utalentowany jak ty, zostając wezyrem, może zbliżyć się do podwójnej korony tak blisko, że sam zechce ją pochwycić, skąd mam więc wiedzieć, że tego nie uczyni? Zwłaszcza w takich czasach jak dzisiejsze. A może skrycie tego pragniesz? Powiem ci, że byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział więcej o twoim drugim i trzecim życiu. Wciąż jeszcze cię nie znam, rozumiesz?

– Echo tego, co mówię – odparł Menenhetet – zaczyna mi ciążyć bardziej niż wszystko, co można wypowiedzieć.

– Jesteś stary i uparty – wtrąciła Hatfertiti.

– Co więcej – dodał Pta-nem-hotep – nie masz wyboru.

– Nie mam, jak sam powiadasz, wyboru. Więc muszę zrobić co w mej mocy – powiedział pradziadek, ale wstyd ogarniał go coraz większy na skutek raniących jego dumę nacisków, toteż gdy zaczął mówić, wargi miał ściśnięte gniewem.

II

Co prawda zranili jego dumę, ale za to on teraz mógł igrać z ich cierpliwością. Opowiadał o rzeczach ciekawych i o tym, czego się nauczył, ale zarazem zdołał opowiedzieć o swoim drugim i trzecim życiu w czasie krótszym niż uprzednio przeznaczył na opis starego Tyru i nowego Tyru. Sposób opowiadania sugerował, że postara się zakończyć opowiadanie przed wschodem słońca.

Nie wiem dlaczego, ale niechęć pradziadka skojarzyła mi się ponownie z Nef-kep-aukemem. Co prawda nigdy nie spędziłem nocy na pustyni, ale czułem się jak samotny wędrowiec, skulony nad żarzącymi się popiołami i nasłuchujący, jak poza kręgiem ogniska gromadzą się dzikie zwierzęta.

– W moim drugim życiu – rzekł Menenhetet – wyrastałem w Ogrodach Odosobnienia jako syn Kulki Miodu i co noc sypiałem w jej łóżu. Ale śniłem także o prawdziwej matce i widziałem jej nieszczęśliwą twarz w wielu snach. Budziłem się przerażony, gdyż nie miała nosa. Zemsta Usermare była straszna. Zanim skazał Nefertari na banicję, kazał jej obciąć nos, toteż resztę życia spędziła z zasłoniętą twarzą i nigdy nie wróciła do Teb.

– Uuuuuch – Wyrwało się Hatferti.

– Uuuuuch – potwierdził pradziadek i umilkł na chwilę.

– Ponieważ moje sny były nie tylko koszmarne, ale i prawdziwe, Kulka Miodu zdecydowała się opowiedzieć mi o tym, skąd się u niej wzięła, toteż dowiedziałem się o wszystkim mając lat sześć, kiedy byłem pięknym chłopcem, bardzo podobnym do naszego Menenheteta II. Pod wieloma względami byłem już mądrzejszy od wielu młodzieńców, gdyż mądrość, podobnie jak perfumy, wypływa z własnej esencji. Toteż zrozumiałem, że Kulka Miodu nie jest moją matką, zanim mi o tym sama opowiedziała, w czym zresztą pomagała mi pepowina, przebiegająca z jednego życia w drugie. Zawsze jednak czułem, że jej ciało jest mi bliskie. Kiedy poznałem imię mojej prawdziwej matki, doszedłem do wniosku, że w oczach bogów Kulka Miodu i Nefertari muszą się jawić jako Wielkie Siostry, podobnie do Izdydy i Neftydy, ponieważ każda ma własną, straszliwą bliźnię.

– Czy możesz nam opowiedzieć – wtrącił Pta-nem-hotep – jak do tego doszło, że się znalazłeś pod opieką innej kobiety?

– Powiedziano mi, że Nefertari trzymała się na uboczu przez cały czas ciąży i że nikt nie wiedział o jej stanie poza zaufanym sługą. Chciałbym wierzyć, że wspominała nasze godziny rozkoszy z taką przyjemnością, że powzięła liczne środki ostrożności, by mnie utrzymać w łonie. Po porodzie, gdy miałem kilka dni, odesłano mnie do Kulki Miodu z eunuchem i mamką. Oszołomiony trzema kroplami kolobi, niezdolny do pisku ani płaczu, zostałem przeniesiony przez Peptiego w koszyku na owoce przez Wrota Odosobnienia, przemykając się przed oczyma Senedż. Pepti dwukrotnie wziął olbrzymią łapówkę, raz od Nefertari, a raz od Kulki Miodu, po czym został w Ogrodach na noc i zmienił nieco księgi narodzin. Toteż w księdze wytrysków Usermare przybyły zapiski, mające świadczyć o tym, że wytrysnął w Kulkę Miodu odpowiednio wcześniej, by można było uznać dziecko, które trzymał w ramionach, za potomstwo faraona. Ponieważ Kulka Miodu zawsze była bardzo gruba, nikt nie wiedział dokładnie, czy była w ciąży i od kiedy.

– Dziwi mnie – rzekł Pta-nem-hotep – że Pepti podjął się takiego ryzyka za pieniądze. W końcu był wezyrem.

– Rzeczywiście był niezwykle odważny – odparł Menenhetet. – Ale pragnąc być mężnym, nadrabiał utratę własnych jąder spożywaniem co dzień jąder byków. Poza tym chroniło go to, że mógł liczyć na dyskrecję obu kobiet. Gdyby chciały go zniszczyć, musiałyby i sobie nawzajem zaszkodzić. Zważywszy ich uczucie względem mnie, trzymał je obie w garści. Sądzę nawet, że doszedł do wniosku, iż mogą mu się przydać w dalszej karierze. Okazało się, że nie zdołał ich wykorzystać. Podniecony wysokim urzędem obżerał się zbyt wykwintnym jadłem – mięsiwem i winem, które pijał zaprawione korzeniami – aż wreszcie dostał wrzodów. Umarł na długo, zanim stałem się chłopcem, gdyż wykrwawił się wewnętrznie. Zmarł targany przemożnym strachem przed Krainą Umarłych, choć wiedział, że Usermare musi urządzać mu okazały pogrzeb. Z moich obserwacji wynika, że nikt się tak nie boi śmierci jak najmądrzejsi pisarze. – Westchnął. – Dowiedziawszy się o mojej prawdziwej matce, często o niej rozmyślałem. W Ogradach Odosobnienia stał posąg Nefertari. Stała na nim naga, bez pępka. Dopiero kiedy dorosłem i mogłem opuścić ogrody, zrozumiałem, jak subtelne poczucie humoru miał Usermare. Widziałem bowiem w wielu miejscowościach jej posągi, na wszystkich miała brzuch bez pępka, na płycie zaś wyryto jej imię i napis świadczący o tym, że była Wielką Małżonką Króla. O, tak, gdy odeszła, kazał stawiać jej posągi, choć nie była już małżonką i mieszkała samotnie w jakiejś dziurze za granicą, niektórzy powiadali, że aż w Byblos. To była matka, o której śniłem, a jej twarz zawsze jawiła mi się za woalką. I tyle ją też widziałem. Rosłem w ogrodach jako Ramzesyda, jako syn Usermare zrodzony przez jedną z małych królowych, która nie była ani faworytą, ani też nie należała do najmłodszych.

– Czy nauczyła cię ponownie magii? – spytał ojciec.

– Kulka Miodu już nie odprawiała tych obrzędów. Inwokacja do Izydy musiała pochłonąć wiele jej sił, walka zaś na kłątwy z Hekwat, Usermare i Nefertari musiała ją kosztować jeszcze więcej. Poza tym nikt nie wie dokładnie, ile zdrowia kosztowało ją starcie z Rama-Nefru. Jeszcze słyszę, jak ciało Mer-mer płaska o ścianę. Powiedzmy zatem, że Kulka Miodu i tak okazała mi wiele życzliwości, opowiadając o Mistrzu Tajemnic, który był moim ojcem. Ale mimo jej rozległej wiedzy moje wspomnienia bywały czasem dużo wyraźniejsze. Nie wiedziałem wówczas dlaczego, ale już jako mały chłopiec zacząłem ją poprawiać, gdy opowiadała o barwach szat, noszonych przez Nefertari w czasie uczty koronacyjnej. Kiedy Kulka Miodu zreflektowała się i przyznała, że faktycznie się pomyliła, że szata była barwy bladozłotej, zamilkła na trzy dni i odprawiła wiele oczyszczających obrzędów.

Była to jednak sytuacja wyjątkowa; na ogół mniej zajmowała się magią, a częściej plotkami. Ponieważ byłem nie tylko jej dzieckiem, ale i zaufanym towarzyszem jej dni, wiele zasłyszałem o Rama-Nefru i Usermare. Naturalnie wysłuchiwałem tego gorliwie. Ostatecznie ojciec wołał ją od mojej matki. Kulka Miodu, jak każda urodzona plotkarka, była w opowiadaniach złośliwa, ale zarazem zachowywała dziwną bezstronność, jak gdyby sama opowieść była warta więcej niż stronniczość albo sympatia dla którejś z jej bohaterek. Dowiedziałem się zatem, że Rama-Nefru, oplakawszy Pet-a-Re, miała jeszcze dzieci i bardzo utyla, że wyrosły jej włosy, ale tym razem ciemniejsze.

Wysłuchując Kulki Miodu oraz opowiadań innych małych królowych, które do nas wpadały, dowiedziałem się o tym, że Rama-Nefru i Usermare zaczęli składać wizyty w haremie Miwer w Fajum, gdzie zatrzymano ją, gdy tylko przybyła do Egiptu. Małe królowe rozwodziły się w Tebach nad tym, że Rama-Nefru zaczęła się z Usermare kochać, wykorzystując nie tylko palce u rąk, i uczestniczyła w wyuzdanych przyjęciach w Miwer, aż zaczęto mówić, że Rama-Nefru nie tylko bardziej kocha kobiety niż jego, ale w dodatku jest jedyną kobietą, której wolno go skarcić. Powiadano, że lubił ryczeć jak wół w sytuacjach, w których ona okładała go biczem. Skąd jednak mam wiedzieć, czy to wszystko prawda?

Potem życie nas wszystkich w Tebach zmieniło się. Nie wiem, dlaczego się na to zdecydowano, może obecność Nefertari i Amen-kep-szu-efa wciąż przeszkadzała faraonowi, ale nadszedł taki rok, w którym Usermare postanowił przenieść swój pałac, wezyra, gubernatora, nadzorców i dwór z Teb do Memfis. Większość jego nowych świątyń i niemal wszystkie wojny oraz handel wiązały go z północą. Także Rama-Nefru pragnęła zmiany. Postąpił jak zwykle zdecydowanie i przeniósł wszystko, toteż Memfis stało się nową stolicą.

Oznaczało to dużą zmianę na gorsze dla Ogrodów Odosobnienia. Nie miały już odzyskać dawnej świetności za panowania późniejszych faraonów. Usermare zabrał kilka najmłodszych królowych do Miwer, położonego w pobliżu Memfis, i zatroszczył się o pozostawione w Tebach kobiety. Ale sam przestał odwiedzać Ogrody, nawet wówczas, gdy był w Tebach nie czynił tego. Ponieważ ja, mając lat dziesięć, robiłem wrażenie chorowitego dzieciaka, z którego nie może wyrosnąć wojownik, wysłano mnie do świątyni Amona w Karnaku, bym się nauczył, na czym polegają obowiązki kapłanów, w rok zaś później Kulka Miodu otrzymała pozwolenie opuszczenia Ogrodów, co uczyniła jak wiele postarzałych małych królowych. Wynajęła dom w pobliżu szkoły, by móc mnie często odwiedzać.

Ale to tylko jedna z wielu zmian. Bogactwo i moc Amona wciąż jeszcze związane były z Tebami, ale większość bogatych dworzan wnet opuściło swoje pałace, by udać się wraz z dworem do Memfis. Teby dalej żyły jak wielkie miasto, ale tylko za sprawą kapłanów, którzy z chwilą, gdy pozajmowali puste wille, zaczęli się obnosić po mieście jak bogacze. W pewnym momencie trudno było powiedzieć, gdzie kończy się kompleks świątyń, a zaczyna miasto.

Po upływie wielu lat Ramzes znudził się także i Rama-Nefru. Ostatecznie ożenił się z jedną z własnych córek, z trzecią królową Esonefret, tą brzydką i niepozorną kobieciną, na którą nigdy nie zwracał uwagi. Jej córka Bint-Anat jako dziecko niezbyt ładna, potem wyładniała i towarzyszyła Usermare podczas ostatnich lat jego panowania. Nadał jej nawet tytuł Wielkiej Żony Króla, co zrównało Bint-Anat z własną matką, z Rama-Nefru i z Nefertari. Usermare bardzo się zbliżył do tej córki na stare lata, jego łaską cieszył się także jedyny, który pozostał przy życiu, syn z Nefertari Kam-Uese, który poprzednio nosił złoty nocnik. O tak, Kam-Uese zyskał sławę nie tylko jako Wysoki Kapłan świątyni Ptaha w Memfis, ale i jako wielki czarownik, toteż wysyłano go nawet do obcych krajów, by zademonstrował swoje umiejętności.

– Słyszałem o nim – przerwał Pta-nem-hotep. – Jest przodkiem Kem-Uszy. I ja mam wśród moich imion Kam-Uese. Jedno z moich ulubionych. Ciekaw jestem... czy możesz mi powiedzieć... Czy to prawda, że ten syn Ramzesa II Kam-Uese był ostatnim z naszych wielkich czarowników, którzy potrafili odrąbać głowę gęsi, położyć gęś w jednej stronie świątyni, głowę w drugiej, a potem namówić, by się zeszyły razem i by tak złożona na powrót gęś zaczęła gęgać?

– To na pewno nieprawda. Widziałem raz, jak to robił, ale ruszało się tylko ciało, nie głowa. Poza tym nie było to aż tak daleko, z sześćdziesiąt kroków, i gęś tylko dobiegła ku głowie. Co prawda wcale nie zagęgała, ale raz faktycznie zamachała skrzydłami. Ale czy to są prawdziwe czary? Jako młody kapłan potrafiłem tak dalece skupić myśli, że udawało mi się poruszyć ciałem świeżo zabitej gęsi, a ta biegła równo do przodu ze dwadzieścia kroków, zamiast machać skrzydłami i dreptać w kółko. Nic więcej jednak nie udało mi się osiągnąć. Uznawano mnie za dość zdolnego adepta tej sztuki, ale nigdy nie udało mi się zmusić gęsi, by skręcała ku głowie ani do tego, by zamachała skrzydłami, łącząc się z głową. Dawno temu, za czasów Chufu, niewątpliwie żyło wielu czarowników, którzy potrafili tego dokonać. Jestem pewien, że gęś obiegała wówczas całą świątynię dookoła i gęgała. Muszę jednak przyznać, że sztuczki Kam-Uese robiły na mnie wrażenie dopóty, dopóki sam się nie nauczyłem, jak je pokazywać. Z drugiej strony, jeżeli Usermare żywił jeszcze jakieś szlachetniejsze uczucia względem Nefertari, to objawów tego

należało szukać w jego opiece, jaką roztaczał nad synem. Syn, mimo niezbyt obiecujących poczynań za młodu, okazał się nader zdolny. Mimo to zmarł na długo przed ojcem. Nie było w tym nic dziwnego, jeżeli chodzi właśnie o Ramzesa II. Usermare żył bardzo długo i faktycznie większość jego synów zmarła przed nim. Żył tak długo, że nawet ja, za mojego drugiego życia, zdołałem zostać Wysokim Kapłanem Amona w Tebach, nim umarł. Pod koniec życia, po śmierci Kam-Uese, zbliżył się do mnie, a choć podróż rzeką była już dlań uciążliwa, często odwiedzał Teby albo przywoływał mnie do Memfis. Nie mając pojęcia o tym, że znał mnie już za wcześniejszego życia, traktował mnie jak przystało, widząc we mnie nie syna małej królowej, lecz syna prawdziwej królowej. Pamiętam, jak powiedział raz starym głosem:

– Chciałbym, żebyś zrobił co w twej mocy, wstawiając się za mną u boga Ozyrysa.

– Tak się stanie – odpowiedziałem.

– Poproś go, by roztoczył opiekę nad świątyniami, które zbudowałem. Zobacz sam, jak bardzo zależy mi na utrzymaniu wszystkiego. Napisy na murach powiedzą mu wszystko, czego zechce się dowiedzieć.

– Tak się stanie.

– Bóg Ozyrys jest mądry i szlachetny – mówił Usermare gasnącym głosem, przypominającym pocieranie o siebie dwu skorup z potłuczonego garnka. Pododawał nawy, pylony, obeliski, kolumnady i gmachy wielu wielkim świątyniom egipskim, wiele zaś pomników także nosiło jego imię. Jednakże w ostatnim roku życia, muszę przyznać, stracił już węch, oczy miał mętne, niedosłyszał, głos jego zaś zrobił się przeraźliwie wysoki. Należałem do nielicznych, którzy rozumieli jeszcze jego słowa. Tracił też pamięć. Mimo to umierał przez całą porę wylewu i całą porę siewów. Przez ostatni miesiąc życia ledwo oddychał. Tak słabutki był wiatr dmący od jego serca, że przez trzy dni spieraliśmy się o to, czy żyje jeszcze, czy też nie, ponieważ włoski w jego nosie nie poruszały się, a skóra była chłodna jak kamień, w którym mieliśmy go pochować. Ale od czasu do czasu mrugał jeszcze oczyma.

Nie opodal jego żałobnej świątyni w zachodnich Tebach znajduje się kolumna z różowego granitu, na której wyryto następujące słowa: „Jam jest Usermare, Król nad Królami. Ten, kto zechce się dowiedzieć, kim jestem i gdzie spoczywam, musi uprzednio dokonać wyczynów zaćmiewających moje czyny”.

Ale kto mógłby go zastąpić? Był oczywiście Merenptah, trzynasty syn, brat Bint-Anat. Szkoda, że nigdy nie zaznajomiłem się z Esonefret. Ta brzydka i niepozorna królowa musiała się odznaczać jakimiś wyjątkowymi cechami, skoro jej dzieciom aż tak się powiodło. Tak jest, Merenptah był trzynastym synem Ramzesa, ale poprzednich dwunastu już nie żyło. Kiedy został faraonem, był stary, łysy i tłusty, i miał za sobą długie lata czekania. Gdy zabrakło Sesusiego, wrogowie Egiptu nabrali śmiałości. Sława Usermare żyła pośród nich jak lew, toteż przez czterdzieści lat nie było poważniejszych wojen. A teraz wszyscy gotowi byli ciągnąć zbrojnie przeciw Merenptahowi. O tak, Libijczyków i Syryjczyków traktował jak prawdziwy Hetyta. Biada plemionom, które podbił! Nie obcinał rąk, ale kazał żołnierzom rzucać genitalia zabitych na stos. Chciał zaćmić Ojca! Oczywiście, od dawna już zapomnieliśmy o tym, co to wojna czy zwycięstwo.

Niewiele mu to pomogło. Merenptah umarł pięć lat później, w dziesiątym roku panowania; jego grobowiec budowano nader pospiesznie. Zabierano kamienie z sanktuarium Amenhotepa III, a Merenptah ośmielił się wyryć własne imię na posągach swego ojca. Naturalnie ja sam niewiele wiem o tym faraonie, gdyż moje własne życie dobiegło kresu w parę lat po śmierci Usermare, trzecie zaś przebiegało pod panowaniem wielu władców. Był więc taki faraon, który nazywał się Seti II, a potem Siptah i ta kobieta imieniem Tiwoseret, gdzieś zaś między nimi przewinał się nawet

Merenptah-Siptah. Przez jakiś czas w ogóle nie było królów. Taki zamęt zapanował w Obojgu Królestwach po utracie Usermare, że przez wiele lat nawet rzeka nie wylewała obficie.

– Nic nam nie mówisz o sobie – poskarżył się wreszcie ojciec.

– I nic nie powie – dorzuciła Hatfertiti.

Wtedy poczułem gniew. Mój pradziadek był dla mnie jak faraon i zawsze drżałem przed jego obliczem, ale teraz nawet ja poczułem litość wobec ogromu jego znużenia. – Czyż nie rozumiesz – wykrzyknąłem – że jest zmęczony? Przecież nawet ja odczuwam znużenie! – W moim głosie musiały zabrzmieć tony głosu dorosłego, gdyż Pta-nem-hotep zaczął się śmiać, przyłączyła się do niego matka, a na koniec i sam Menenhetet.

Potem Pta-nem-hotep powiedział dużo łagodniej:

– Nie upieram się. Tylko tak się po prostu składa, że wiem o wielu sprawach, o których opowiadasz, i bardzo by mnie interesowała twoja opowieść o życiu Wysokiego Kapłana.

Pradziadek pokiwał głową. Nie wiem, czy to za sprawą mojej obrony wróciły mu siły, ale wyglądał na wypoczętego. A może poczuł po prostu nowy impuls przebiegłości?

– Macie rację – rzekł – łajając mnie za coś, czego nie uczyniłem. Pozwólcie, że stanę się jeszcze dziwniejszy w waszych oczach.

III

– Wysoki Kapłan cieszy się wielkim autorytetem – rzekł Menenhetet – ale zarazem, za sprawą wagi Maat, traci ten autorytet w miarę upływu lat. Rad byłem z tego, że zostałem kapłanem, ale tylko jako młodzieniec, zresztą już wówczas było jasne, że będę robił karierę w świątyni. W całej szkole nikt nie potrafił równie dobrze jak ja czytać i pisać. Ponadto, zapewne za sprawą kruchej konstytucji fizycznej, niezwykle szanowałem porządek i powagę każdego obrzędu. Nie wybrzydzałem, jak inni uczniowie, na widok uciążliwych ćwiczeń, jakie nam zadawano, gdyż rozumiałem doniosłą rolę, jaką pełni pamięć. Powtarzałem więc modlitwę wymagane czterdzieści albo czterdzieści dwa razy, albo całymi dniami malowałem te same święte słowa. Dobrze się czułem w roli ucznia i już jako młody kapłan nabrałem nawyków starego, poznawszy dobrze wszystkie obrzędy. W świątyniach bogowie nie zachowują się kapryśnie, lecz są posłuszni prawom. Dlatego stawiamy świątynie. Nie należy zapominać, że jednym z określeń kapłana jest „niewolnik boga”. Prawo jest tak szczegółowe, że tylko mrówcza praca kapłana pozwala je objąć umysłem, a i to tylko dzięki odprawianym obrzędom. Chciałem być dobrym kapłanem. Byłem zadowolony z tego, że niełatwo praw tych nauczyć byle kogo, że wiele zależy od gestów naszych rąk, od postawy w czasie modłów, od przekonania, z jakim wypowiada się na głos każde słowo. Tylko dzięki sumiennemu wykonywaniu obowiązków można było odczuć obecność bogów i ich moc. Nic więc dziwnego, że piąłem się w górę od Kapłana Czytającego ku Trzeciemu, by wnet zostać Kapłanem Drugim. Jednakże z reguły Wysokim Kapłanem zostawało się w świątyni w Karnaku dopiero po ukończeniu czterdziestu lat. Z drugiej strony, zakładano zwykle, że tylko syn Wysokiego Kapłana mógł oczekiwać nominacji na Wysokiego Kapłana, przy czym trzymano się tego zwyczaju nawet w najmniejszych świątyniach i to poświęconych najmniej szanowanym bogom. Toteż tak szybki awans kogoś spoza rodzin kapłańskich był niezwykle rzadki. Jednakże nie będąc już fizycznie wojownikiem, wciąż jeszcze w głębi serca zachowywałem ducha bojowego.

Poza tym miałem przy sobie Kulkę Miodu. Była cennym sojusznikiem. Wiedziała, jak wykorzystać bogactwa swej rodziny. Przy każdym spotkaniu w świątyni Amona w Saidzie z przedstawicielami naszej świątyni w Tebach podkreślano moje zasługi i wręcz pouczano mnie, jak się najszybciej wspinać po drabinie kapłańskich urzędów, a wszystko to na skutek podszeptów Kulki Miodu. Doszła do wniosku, że pragnę zostać Wysokim Kapłanem w Karnaku i że dzięki temu świątynia okryje się nowym blaskiem. Byłem tego samego zdania i przypomniałem jej, że Usermare powinien kazać się pochować w Tebach. Byłoby to dla nas bardzo ważne. Kiedy się przeprowadził do Memfis, utraciliśmy wiarę, że kiedykolwiek spocznie w grobowcu u nas.

– Może uda ci się go przekonać – stwierdziła – że Amon nigdy by mu tego nie wybaczył, gdyby nie wrócił po śmierci do Teb.

– Byłem jego synem – przynajmniej tak uważałem – ale miałem około setki półbraci. Nie znał mnie jeszcze. Rodzina Kulki Miodu mogła mi pomagać w samej świątyni, ale trudno było od nich oczekiwać poparcia, gdybym się zaczął zwracać do Usermare jak mały książę. Niełatwo zatem było doprowadzić do rozmowy z Usermare. Mimo to Kulka Miodu dopięła swego. Jestem pewien, że rzuciła jakieś czary (starannie je przede mną zataiła, gdyż byłem niedoświadczonym, młodym

kapłanem), ale poza tym przygotowała do niego list i napisała, jak to zawsze coś odzywa się w jej sercu, gdy jako matka tuli mnie w ramionach.

Podczas jego następnej wizyty w Tebach zaproszono Kulkę Miodu wraz ze mną na dwór. Polubił mnie i spodobały mu się moje bystre odpowiedzi. Podobnie jak Tobie, Wielki Ramzesie IX, podobają się odpowiedzi tego chłopca, mojego wnuka. Toteż stałem się jednym z niewielu jego potomków, którym wolno było odwiedzać ojca podczas jego pobytu w Tebach. Dopiero po pięciu latach ośmieliłem się jednak poczuć na tyle blisko niego, że wszcząłem rozmowę o jego pochówku. I tu okazało się, że Kulka Miodu się nie myliła. Nadal bał się Amona. Ku memu zdumieniu zgodził się ze mną. Podejrzewam, że nikt się po prostu nie ośmielił zaproponować, by faraon tak wielki jak Usermare spoczywał w pobliżu pozostałych faraonów.

Potem okazało się, że miałem rację, przewidując, iż pochowanie Wielkiego Faraona w świątyni stanie się źródłem ogromnych dochodów. Mogliśmy naśladować miasto umarłych w Abydos. To ja byłem kapłanem wytyczającym przysze działki na grobowce w naszej nekropolii. Nie muszę wam mówić, że okazały się świetnym interesem. Żaden bogacz, nawet z najodleglejszego nomu, nie zapominał o tym, że świetność jego Ka w Krainie Umarłych będzie oceniana na podstawie położenia grobowca w Tebach. Już wnet się przekonałem, że każda działka, położona w miejscu, skąd widać było żałobną świątynię Ramzesa II, warta była wielokrotnie więcej niż taka sama działka pozbawiona tego widoku.

Dzięki temu pomysłowi zdołałem wielokrotnie pomnożyć nasze dochody i spotkał mnie ten zaszczyt, że zostałem Wysokim Kapłanem przed śmiercią Kulki Miodu. Naturalnie, zarezerwowałem dla niej najwspanialszą działkę, ale kazała mi przysiąc, że zaraz po zabalsamowaniu przewiozę ją w dół rzeki do rodzinnego grobowca w Sais. Dopiero wówczas zrozumiałem, jak bardzo pragnęła powrócić na ojczyście bagna przez te wszystkie lata, które spędziła w Tebach, by mi pomagać. Jej śmierć była łagodna. Odeszła w majestacie niczym okręt dryfujący wolno wraz z przyływem.

Kiedy jej zabrakło, poczułem się po raz pierwszy w życiu samotny samotnością naszych grobowców. Świątynia prosperowała, a ja cieszyłem się zasłużoną sławą jako Wysoki Kapłan, lecz zarazem nudziłem się straszliwie. Miałem rozległą władzę, ale niewiele przyjemności czerpałem z posługiwania się nią. Poczułem rozterki urzędnika świątyni; błahostki urastały do rangi najważniejszych problemów. Kucharzy łąjałem za zepsucie posiłku równie gorliwie, jak kapłanów za błąd w modłach. Służba bogu jest potężnym powołaniem dla nieśmiałego chłopaczka o słabym ciele i bystrym umyśle, ale nie oszałamia już dorosłego mężczyzny.

Wracały jednak echa moich poprzednich wcieleń. Kiedy zabrakło Usermare i Kulki Miodu, mury mego umysłu utrzymujące mnie w ryzach obowiązków drugiego życia runęły. Od szóstego roku życia wiedziałem, jak mnie poczęto, ale dopóki żyli i Sesusi, i Kulka Miodu, nie pragnąłem się niczego więcej dowiedzieć o moim pierwszym życiu – wystarczyło mi, że różniłem się od innych.

Jak gdyby pragnąc ulżyć mojej nudzie, pojawiły się wspomnienia tego, kim byłem. W trakcie uroczystego obrzędu nagle widziałem przed sobą Kulkę Miodu, jej skóra była młoda i rozgrzana ogniskiem jej ołtarza, parowało z niej podniecenie czarami. Wielkie piersi falowały przede mną.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Set potrafi zakłócić modły, nasyłając na nas wyuzdane wyobrażenia, ale obrazy te napływały ku mnie z pamięci, nie ze snów. Wydawały mi się naturalne, a nie byłyby takie, gdyby niezadowolony bóg atakował moje obrzędy. Potem przypomniałem sobie, jak to już jako chłopak uczący się czytać i pisać odczuwałem nieraz w sobie poruszenia silnego mężczyzny, wypatrującego symboli, które ledwo potrafiłem odczytać. A przecież odczytywałem je bezbłędnie. Pewnego dnia, na jawie, poczułem się, jakbym zapadł w sen, gdyż stwierdziłem, że oto walczę pod Kadeszem i zaznaję rozkoszy w objęciach Nefertari. Nie powiem, by fakty z mojego

pierwszego życia pojawiały się przede mną po kolei, ale ujrzałem dostatecznie wiele, by chcieć się dowiedzieć czegoś więcej. Czułem się lepszy od innych. Byłem Wysokim Kapłanem, dysponowałem bogactwem, którego nie zdołałby zgromadzić nikt, ale mimo to nie miałem nawet złotej czary, która byłaby całkowicie moja. Zainteresowałem się zatem bogaczami. Okoliczność, że faraon mieszkał w tym samym mieście, a wielkie świątynie mieściły się w innym, otworzyła mi drogę do bogactwa. Nie wiem dlaczego, ale prawdopodobnie bogacze nie lubią ujawniać swych zysków tak otwarcie i muszą okazywać posłuszeństwo w obecności faraona. Z kolei w Tebach łatwiej było bogaczom otoczyć się zbytkiem. Można zatem powiedzieć, że tysiąc bogaczy zamieszkałych wokół świątyni nie dorówna co prawda faraonowi, ale może go z powodzeniem zastąpić. Zainteresowałem się ich rozrywkami, co nie przystoi Wysokiemu Kapłanowi, przyznaję, ale z drugiej strony nie dawała mi spokoju myśl o tym, że po drugiej stronie miasta, w nekropolii, w Zachodnich Tebach, codziennie grzebie się olbrzymi majątek. Wiedziałem nie tylko o środkach ostrożności przedsięwziętych przez najbogatszych, ale w dodatku dysponowałem dokładną listą (jakże eleganckie pismo mieli pisarze z naszej świątyni!) wyliczającą, jakie klejnoty i jakie bogato inkrustowane meble zamknięto w krypcach.

Znałem także niektórych notorycznych złodziei z naszych stron. Nie zapomniałem opisu złodziei z Kuma uzyskanego od Usermare i gdy od czasu do czasu łapano jednego z nich, wysyłałem list do jego rodziny, nim go postawiono przed sądem. Nadeszła taka noc, gdy poderwałem się z bezsennego łoża i przepравиłem przez rzekę w naszej świątynnej łodzi ku wielkiemu zdumieniu naszego przewoźnika. Tej nocy samotnie przeszedłem na piechotę całą drogę do Kurna, gdzie poczyniłem niezbędne przygotowania. By zdobyć zaufanie złodziei, musiałem załatwić zwolnienie jednego z ich braci, właśnie schwytanego, którego przyjąłem ostatecznie na służbę u siebie. Włamano się do kilkunastu grobów i wydobyto wiele cennych przedmiotów. Odwaga tych złodziei rosła, w miarę jak oferowałem im egzorcyzmy przeciw klątwom rzucanym na poszczególne grobowce. Jakież wybuchnąłby skandal, gdyby nas wykryto!

– Ale ręka Peptiego spoczywała na mnie jako na niemowlęciu zaiste nie od parady i rozzuchwaliłem się. Pamiętam jedno wspaniałe złote krzesło, wydobyte z grobowca starego kupca – sprzedałem je przez pośredników nomarsze z Abydos. Gdy i ten umarł, jego mumię wysłano do Teb – i to aż z Abydos – tu zaś pochowano go wraz z całym dobytkiem i wkrótce obrabowano. Wówczas sprzedałem to samo krzeselko raz jeszcze!

– Mogę wam powiedzieć, że pod koniec drugiego życia stałem się niezwykle majątny i umiejętnie pochowałem te skarby w skałach wschodniej pustyni. Ponieważ wędrówki do takiej jaskini często zmuszały mnie do pozostawiania przez wiele dni poza świątynią, narzekano, że zaniedbuję swoje obowiązki. Zapewniam was jednak, że nigdy jeszcze tak ciężko nie harowałem.

– Ale dlaczego – spytał Pta-nem-hotep – zakopywałeś tak olbrzymie bogactwo?

– Miałem bowiem szczery zamiar – rzekł Menenhetet – korzystać z tych skarbów w moim trzecim życiu.

– Tak właśnie myślałeś? Nic nam o tym nie mówiłeś.

– Wiele jeszcze zostało do opowiedzenia. Widzicie, zakochałem się – a tylko kapłan potrafi tak się zakochać – i to w jednej z czołowych kurew w Tebach. W kobiecie, której uroda była olśniewająca, choć zbywało jej na wdzięku. Ja jednak nie wiedziałem, jak sobie znaleźć kobietę. Co prawda wiele sobie przypominałem z ostatniej godziny spędzonej z Nefertari. Im bardziej się nad tym przeżyłem zastanawiałem, tym głębszego nabierałem przekonania (z tego, co sobie przypominałem o cielesnych uciechach mego pierwszego żywota), że moje pierwsze powtórne narodziny nie powinny być się zdarzyć. Zacząłem się uważać za szczęśliwca. Gdybym nie został pchnięty nożem właśnie w chwili, gdy słabiutko wytrysnąłem, nic by się nie zdarzyło. Bez szoku

tego pchnięcia, bez pożądania nie zdołałbym spłodzić samego siebie. Jeżeli zatem miałem żyć ponownie i cieszyć się moim trzecim życiem – a do tego teraz dążyłem – musiałem nie tylko zgłębić tajniki miłości, ale i opanować wszystkie arkana wytryskania. Jako kapłan potrafiłem pobudzać się do wytrysku ręką albo w trakcie świątynnych rozrywek. Postanowiłem zatem udać się po nauki do tej najpiękniejszej i najdroższej kurwy – Nub-ut-czat – tak na nią wołano. Jedno ze znaczeń tego imienia to złote oko bogów, inne kojarzy się ze złotym wyrzutkiem. Oba imiona pasowały do niej równie dobrze, podobnie jak oba królestwa do Egiptu, gdyż błyskawicznie wywahała, gdzie trzymam swoje bogactwa, choć nigdy jej o tym nie mówiłem. Może wygadałem się przez sen, a może wpadła na pomysł, by mnie śledzić w czasie moich wypraw na pustynię, tak czy inaczej, mój plan, by w trzecim życiu odnaleźć miejsce, w którym ukryłem skarby, spełził na niczym, gdyż zaraz po mojej śmierci odnalazła jaskinię. Do czasu, gdy wyrosłem i zacząłem samodzielnie wieść moje trzecie życie, Nub-ut-czat z pewnością przepuściła wszystko.

– Nie trzeba nam mówić – wtrącił Pta-nem-hotep – jak kurwa przepuszcza pieniądze, ale w jaki sposób tobie udało się powtórzyć sztuczkę?

– Chyba nie potrafię tego wyjaśnić.

– Ale spróbujesz – powiedział łagodnie Pta-nem-hotep.

– Spróbuję – Menenhetet przymknął oczy w zamyśleniu.

– Jeżeli poczęto mnie tej samej nocy, kiedy ojciec wiedział już, że zostanie zabity, to w każdym obrzędzie odprawianym za moich kapłańskich czasów czułem ten sam śmiertelny lęk. To właśnie ów lęk stał się podstawą mej pobożności. Może dlatego moje posługi były tak uporządkowane i dostojne. Byłem wrażliwy na czułą obecność śmierci we wszystkim, co czyniłem. Kiedy zatem zacząłem odczuwać w sobie ukłucia żądz tego wszystkiego co zmysłowe, wnet zgłębiłem i tajniki miłosnych sztuk, ponieważ i te obrządki wymagają subtelnego szacunku. Ponownie zatem uczyłem się, jak uprzednio z Renpu-Rept, jak podniecać się godzinami, zawsze kołysząc się na samym skraju. Potrafiłem wchłonać w siebie wszystko, co piękne i okropne, wspaniałe i odrażające, jęczące i pełne chwały, wszystko, co tkwiło w Nub-ut-czat, a mimo to nie wytryskałem ze współczucia na myśl o tych kradzieżach i przekupstwach, których jej krew ode mnie zażąda. O nie, potrafiłem wręcz wchłonać w siebie jej siedem dusz i duchów, wciągnąć je w lędźwie i serce, aż życie moje nie tylko bladło, ale coraz bardziej przypominało cieniutką nić. Wszystko we mnie, co nie tkwiło już w niej, przygotowywało się do podróży poza moje ciało, ku memu Ka. W takich chwilach przeczuwałem, że wystarczy tylko zerwać nić łączącą moje ciało z moim Ka, tę cieniutką srebrzystą nitkę (tak ją widziałem, gdy przymykałem oczy) – a umarłbym. Moje serce pękłoby, gdy wytryskałem. Sam nie wiem, ile to nocy chygotałem się na takiej krawędzi. Zawsze jednak wracałem. Zanadto zasmakowałem w tych rozkoszach, by z nich zrezygnować. Toteż nigdy nie zrywałem srebrzystej niteczki łączącej me ciało z siedmioma duszami i duchami, o nie, aż do nocy, kiedy mnie zdradziła.

– Muszę dodać, że ten sposób kochania się, aczkolwiek delikatny i mieniący się wieloma rozkosznymi zmianami nastroju, nie odznacza się jednak wigorem, na którym być może bardziej jej zależało.

Powolna penetracja, nie tylko ciała, ale myśli i duchów, w dużej mierze zależy od łagodności gestów i ruchów podczas pewnych prób utrzymania równowagi nad samym skrajem rozkoszy.

– Nie ma bardziej boskiego sposobu, by się kochać – dorzuciła Hatfertiti, pieszcząc Pta-nem-hotepa spojrzeniem, którym przypominała mu, że właśnie tej nocy zażywali w ten sposób rozkoszy. Ale Menenhetet przerwał tylko na chwilę, po czym dalej snuł wątek wspomnień.

– Właśnie pewnej takiej nocy, gdy moje ja bardzo było podzielne, gdy Ka badał wrota Dat, a główka mego członka musiała już zawędrować głęboko w jej łono, musiała dojrzeć oczyma

wyobraźni tę jaskinię, w której ukryłem mój majątek, gdyż pewnym skurczem pociągnęła za zapadnię i znalazłem się w pułapce. Miałem tylko tyle czasu, żeby się pożegnać z całym moim ja – z niteczką, z resztą moich dusz (wiedziałem, że nigdy więcej nie przeżyję tak szalonego wytrysku i faktycznie wytrysnąłem: nie było chyba kapłana, któremu równie wyraziście i olśniewająco ukazali się bogowie). Moje pożądanie i moje żądze wypłynęły ze mnie niczym tęcza. Znowu poczułem niezwykle przeszywający ból w plecach, ale tym razem pojedynczy, nie siedmiokrotny, usłyszałem też jej ostatni krzyk, choć krzyk ten był mój, i nie nóż poczułem, lecz moje serce pękające w ramionach tej kurwy. Kiedy tak spoczęliśmy, pomyślałem o dziecku, które właśnie w niej począłem i dopiero później, doszedłszy do siebie, oddając mocz, ujrzałem siebie leżącego na podłodze.

Oczy, które widziały moje martwe ciało, należały oczywiście do mego Ka, a ten, biedaczysko, nie potrafił już powrócić do łona Nub-ut-czat i musiał czekać do następnej nocy, kiedy to była całkowicie pochłonięta miłosnym trudem w objęciach jednego z najwierniejszych klientów, najpotężniejszego złodzieja z Kurna. Kiedy jednak w następnych miesiącach rośłem w jej brzuchu, mój Ka nie mógł odpoczywać w należyтым spokoju, tak istotnym dla naszego życia w łonie matki. Przeciwnie, i mój Ka, i ja sam wystarczająco dużo nałykaliśmy się upokorzeń i zebraliśmy ciosów od nieznanomych walących w moją główkę, gdy spoczywałem w brzuchu matki. Czasami myślę, że wiele wspomnień z mojego pierwszego i drugiego wcielenia dokładnie wybito mi z głowy, przez całe więc moje czwarte życie nic innego nie robiłem, tylko starałem się je sobie przypomnieć.

IV

Wychowała mnie Nub-ut-czat i po raz drugi wyrastałem w haremie, choć tym razem bez faraona. Mógł doń wejść każdy mężczyzna z Teb. Nie wybrałem też najlepiej swojej matki. Naturalnie przywłaszczyła sobie moje skarby ze wschodniej pustyni i zrezygnowała – z burdelu, zakupiwszy okazały dom. Odznaczała się jednak królewską chciwością i zamiłowaniem do gier hazardowych, godnym woźnicy rydwanu, toteż pieniądze szybko się rozpląnęły i znów została dziwką. Umarła trawiona wysoką gorączką, nim skończyłem lat osiemnaście. Jej mocz był czarny. Byłem już wówczas silnym młodzieńcem o dość skrytym usposobieniu. Nie żywiłem zbyt wielkiej sympatii dla świata, ale umiałem się znaleźć w różnych sytuacjach. Jak to mówią, potrafiłbym sprzedać piórko ptasie faraonowi i kazać mu zapłacić złotem. Rozumiałem dobrze kobiety dzięki obserwacjom poczynionym w burdelu, mężczyzn zaś oceniałem po obyczajach lub braku takowych. Ostatecznie niewybredne maniery waliły mnie w głowę, zanim się jeszcze narodziłem.

Powiedzmy, że umiałem sobie poradzić w życiu. W owym czasie zarabiałem na życie jak matka, prowadziłem burdel i radziłem sobie doskonale. Staliśmy się miastem kapłanów, toteż na mocy rządzenia wagi Maat rozkwitały i burdele, a mój należał, jeśli wolno mi tak powiedzieć, do najlepszych. Trudno się zresztą dziwić – wykorzystywałem doświadczenia zebrane w czasie dwóch poprzednich wcieleń.

Mimo wszystko nawet w zaułkach Teb dowiadywałem się o chaosie panującym na dworze w Memfis. Co kilka lat koronowano nowego faraona, a zarazem kraj cierpiał z powodu nie jednego, lecz dwóch okresów głodu. Zdarzało się, że i ja nie dojadłem. Szczęście mi jednak sprzyjało i ufałem swej dobrej gwiazdzie, sny zaś kazały mi udać się na północ, do delty Nilu, gdzie obficie wyrastał papirus. Usłyszałem we śnie, że powinienem udać się tam i otworzyć warsztat z papirusami, eksportując ten towar do Syrii i do innych krajów. Moje sny mówiły mi, że jeśli tak uczynię, odzyskam skarb, jaki przepuściła moja matka.

Byłem zwykłym grubaskiem o wesołym usposobieniu, potrafiłem jako tako obracać językiem, a jednak udało mi się podczas przejazdu przez Memfis załatwić audiencję u Głównego Pisarza wezyra faraona Setnakta. Ów człowiek często odwiedzał mój burdel w Tebach, nie tylko dlatego, że podobały mu się kobiety, ale i dlatego, że gustował w podawanych potrawach oraz moich łaźniach. Udało mi się go przekonać, że mój pomysł z wytwórnią papirusów jest godzien uwagi. Aby mi ułatwić dalsze poczynania, udzielił mi zezwolenia (połączonego ze specjalnym podatkiem, który miałem płacić bezpośrednio jemu) na otwarcie królewskiego warsztatu. Większość mego trzeciego życia spędziłem zatem w Saidzie, a nim życie to dobiegło kresu, zbiłem olbrzymi majątek. Jakże poszukiwanym towarem okazał się w Syrii mój papirus!

Na wschodzie dążono do zastąpienia ciężkich glinianych tabliczek lżejszym materiałem umożliwiającym przesłanie wielu wiadomości na grzbiecie jednego osiołka. Przedtem ładowano około pięćdziesięciu takich tabliczek do kosza i połowa tłukła się po drodze. Teraz można było zapakować i pięćset rolek i wszystkie docierały nie naruszone, jeżeli karawana dojeżdżała do celu. Ludy Syrii i Libanu, a nawet Hetyci zaczęli korzystać z naszego papirusu, a gdy on się upowszechnił, udoskonalili także swoje rydwany. Skoro bowiem potrafili kopiować nasze rysunki rydwanów, mogli je także lepiej budować na miejscu. Co prawda na papirusach nie wyjaśnialiśmy,

w jaki sposób można powozić końmi, okręciwszy się w pasie lejcami, ale i tego się nauczyli. Można zatem powiedzieć, że za mojego trzeciego żywota należałem do tych Egipcjan, którzy przyczynili się do upadku naszego kraju. Syryjczycy poznali zbyt wiele naszych tajemnic, zgłębiwszy tajniki papirusów. Zaczęli masowo kopiować nasze święte znaki i czyniąc to, zbezczeszcili je. Trudno już teraz poznać na pierwszy rzut oka, czy list został napisany kwiecistym stylem dawnej mieszkanki Ogrodów Odosobnienia, czy stanowi czytelne sprawozdanie księgowego, czy też widoczne dodatki stanowią tajemnicze zakrętaszy dodawane do listów w naszej tajnej świątyni. Dawniej można było różnie interpretować ten sam znak i dzięki temu zachowywaliśmy wiele przekazów w tajemnicy. Teraz każdy może każdego odczytać, a to wszystko przez Syryjczyków. Nawet najbardziej pospolity skryba spogląda na najstaranniejsze pismo bez szacunku. Oznacza to, że i mądrzy, i głupcy, i szczodrzy, i skąpi są jednakowo dobrze poinformowani. Mniej tajemnic udaje się zatem przemycić z sąsiednich krajów. W tych latach popularne stało się powiedzenie, że kto zna nasze pismo, zna nasze Ka.

– Nie starasz się nawet niczego przytoczyć na swoją obronę – zauważył mój ojciec.

– Bo też niewiele dobrego można powiedzieć o tej epoce. Zdarzało mi się już żyć w ciekawszych czasach. Pamiętam, że najmowałem wielu Libijczyków i Syryjczyków, by na mnie pracowali. Praca ich rąk przynosiła mi więcej towarów niż praca moich rodaków Egipcjan, którzy mając prawie tyle świąt co dni roboczych, nie przykładali się do pracy i wiecznie gotowi byli strajkować. Nie tak bywało za czasów Usermare. Teraz to Libijczycy i Syryjczycy pracowali ciężiej, wytwarzali więcej papirusu i zabierali swoje umiejętności do swoich krajów. Mimo to z przyjemnością ich zatrudniałem, gdyż w ciągu kilku lat zrobili ze mnie bogacza.

– Ale papirus nie był chyba jedynym źródłem twojej fortuny?

– Nie, spekulowałem także na handlu działkami w nekropolii. Dzięki temu potrafiłem wykorzystać mądrość drugiego życia. Dlatego zgromadziłem drugą fortunę, korzystając z pierwszej. To jedyna droga do bogactwa. Potrzebna jest niewielka fortuna, która użyźni glebę pod fortunę większą. Pamiętacie, jak to przeniesienie stolicy do Memfis, które zrazu wydawało się równoznaczne z upadkiem Teb, przyczyniło się ostatecznie do wzbogacenia starego miasta. Od tej pory bowiem tylko świątynia Amona trzymała oba królestwa razem. Faraonowie mogli sobie i być słabi, ale świątynia rosła w siłę. Tak więc i cena działek w każdej alejce Miasta Umarłych szła w górę, zresztą podobnie zwykowały i ceny zwykłych działek w całych Tebach. Ten sam dom, który moja matka zakupiła za niewielką sumę, wart był obecnie więcej niż pałac niejednego króla na wschodzie. Można śmiało powiedzieć, że co zamożniejsi ludzie, tacy jak ja, albo zbierali się w Delcie, albo w Tebach, i zazwyczaj spędzali w Memfis ledwie jedną noc, przejazdem w jedną lub drugą stronę.

– To, co mi opowiadasz, jest interesujące, ale nie zaskakujące – rzekł Pta-nem-hotep. – Z twoich uwag wynika, że bogacze zachowują się dość podobnie. Mnie jednak interesuje coś innego: kim właściwie była kobieta, którą wybrałeś sobie za matkę przed czwartym życiem? Czy posiadałeś w tym życiu większą wiedzę?

– Mam nadzieję, że tak – odparł Menenhetet, ale wyczułem w jego głosie, że nie potrafi już się osłaniać.

– Były to czasy niespokojne – powtórzył – a życie małżeńskie obfitowało w skandale. Miałem przyjaciela, który poślubił księżniczkę z linii Esonefret. Wnet zamordował go kochanek żony. Potem dziecko, które miał z tą samą księżniczką, zostało wysłane do odległej wioski. Chłopak zmarł trawiony gorączką. Nie nabrałem specjalnego zaufania do szlachetnie urodzonych matek. Wydarzenie to wywarło na mnie potężny wpływ.

– Zważywszy na to, czego się nauczyłeś w pierwszym życiu, a następnie w drugim, chyba cię to specjalnie nie zaskoczyło? – spytał ojciec.

– W każdym życiu musiałem się uczyć przywoływać wspomnienia tego, co zaszło przedtem. W trzecim życiu zdrowy rozsądek mógł sobie mieszkać w moim ciele, nigdy nie docierając do myśli, niepowodzenia mego przyjaciela bardzo mnie więc przygnębiły. Szukałem zatem gdzie indziej i wybrałem kobietę z ludu, silną i oddaną. Wychowała się w wiosce i przeżyła za młodu dwa okresy głodu. Nabrałem zatem zaufania do jej umiejętności przetrwania ciężkich czasów. Chciałem kobiety zdolnej ochraniać moje skarby. Dlatego moja trzecia żona, która miała wnet zostać moją czwartą matką, dobrze się do tego celu nadawała.

Muszę przyznać, że nie czułem się dobrze. Udało mi się zaspokoić ukryte żądze mego drugiego życia, ale musiałem za to zapłacić wysoką cenę. Poczęty przez Nub-ut-czat w warunkach wielkiego zamieszania moich siedmiu duchów i dusz nie uspokoilem się ani nie wyszlachetniałem, prowadząc życie pełne handlu i rozrywek. Dużo piłem i zachorowałem, nie dożywszy trzydziestki. Trapiły mnie wszystkie dolegliwości, których można się było spodziewać: podagra, otyłość, zapalenie oczu, skrzywienie kręgosłupa. Za młodu kochałem się jak młody byczek, ale teraz opadłem z sił. Z reguły żona musiała się zdrowo napracować, by mnie podniecić. Z drugiej strony muszę uczciwie przyznać, że nie wybrałem jej pchany żądzą. Faktycznie, o wiele bardziej wolałbym księżniczkę, taką jak ta, którą poślubił mój przyjaciel (i która go wykończyła), ale ze względu na moje urodzenie nikt mnie nie chciał. Przyznaję, że raniło to moje uczucia w owych czasach. Posiadanie bogactw, którym nie towarzyszy szacunek otoczenia, równoznaczne jest z losem zażywającej zarazem obfitości i niedostatku świni. Wziąłem zatem co się dało i pogodziłem się z losem. W trzecim życiu śmierć mogła mnie zabrać całkowicie przygotowanego. Mając trzydzieści trzy lata byłem starszy niż uprzednio i wiodłem żywot ponury. Pod koniec trzeciego życia zainteresowałem się bowiem tym wszystkim, czym gardziłem za młodu. Nader szczerze pragnąłem sobie przypomnieć pierwszy i drugi żywot, ale nie miałem już sił, by polować na te pierzchające i głęboko zakopane wizje. Pogarszałem jeszcze swój stan, spożywając, ku przerażeniu mojej dobrej żony, wiele ziół i trucizn pomagających w przybliżaniu odległych wspomnień, których szukałem. Sprowadzałem w ten sposób na siebie wyniszczające gorączki, które trawiły mnie, wysyłając umysł w dalekie podróże. Po raz ostatni począłem się z głębi transu, w jaki wprowadziła mnie umiejętnie dobrana trucizna (jak wiadomo kurwy i alfonsi równie dobrze znają się na ziołach i truciznach, jak lekarze albo wiedźmy). Toteż wytrysnąwszy po raz ostatni, wyzionąłem ducha. Tego pragnąłem. Wszystko, co we mnie było odrażające, zapadło się w ruinach mego ciała, ale moje nasienie dotarło na drugą stronę mostu, a nasienie to, tak sobie przynajmniej marzyłem, nie było do mnie podobne, lecz było szlachetniejsze. Wierzę, że jesteśmy w mocy, zwłaszcza gdy jesteśmy z siebie niezadowoleni, wymarzyć parę cnót, jakich nam brak, i przenieść je do naszego nasienia. Oczekiwałem zatem nowego życia, w którym mógłbym się skupić na mądrości, zrozumieniu świata i na subtelnych wykorzystaniu wielu rzadkich umiejętności, jakie posiadałem.

Dobrze to sobie zaplanowałem. W pierwszym życiu narodziłem się jako Meni, syn chłopki. Wciąż jeszcze byłem synem chłopki, zaczynając czwarte życie. Ale tym razem zachowałem moje bogactwo. Dzięki temu mogłem tak żyć, jak chciałem. Znowu byłem generałem, choć nie tak ważnym, jak w pierwszym życiu, lekarzem, szlachcicem dzięki małżeństwu z księżniczką (pochodzącą nie od byle kogo, bo od samego Kam-Uese!), a dzięki majątkowi należałem także do wielmożów, stanowiąc jeden z istotnych filarów naszego społeczeństwa. Tak przynajmniej – powiedział, krzywiąc się ironicznie – będą mnie, mam nadzieję, opisywać.

– Naturalnie, że tak będzie. Od lat żywo się tobą interesowaliśmy – odparł ojciec i dodał: – Tak, tak, nawet kiedy byłem jeszcze młodym kapłanem w świątyni Ptaha, już dochodziły o tobie słuchy

za nasze białe mury. Powiadali, że całe sto sześćdziesiąt lat – bo wówczas miałeś sto sześćdziesiąt lat – jawiło ci się przed oczyma równie wyraźnie, co lata ostatniego żywota. – Uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać od drobnej złośliwości. – Powiadano, że kiedy się upijesz, przechwalasz się tym.

– O, to nieprawda – pospieszenie dorzucił Menenhetet.

– Byłem po prostu niedyskretny. Popeliłem ten błąd, że podzieliłem się tymi wiadomościami z paroma bliskimi przyjaciółmi. Trudno o szybsze rozpowszechnienie plotki. Nauczyłem się czegoś i wiem już, że bliski przyjaciel to nie to samo, co lojalny powiernik.

– Ale jak ci się udaje rozbudzić te uspięne umiejętności? W każdym życiu korzystasz z innych sposobów, prawda? – zapytał ojciec, siłąc się jednak na obojętność.

– Podobnie – odparł Menenhetet – jak Amenhotepowi II pisane było zabić więcej lwów niż wszystkim pozostałym faraonom, tak i tobie pisane jest dociekać tajemnic, kryjących się u korzeni języka.

– Czyżbyś – spytał ojciec, okazując zniecierpliwienie – odmawiał mi w ten sposób odpowiedzi?

– A może ty przypisujesz mi po prostu wiedzę, jakiej nie posiadam?

– Twoja uwaga to subtelna impertynencja, którą przyćmiewasz światło, przyświecające nam przez całą noc.

– Powiedz mi, jak rozbudzasz te moce – rzekła Hatferti.

Pradziadek zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał jej sugestii.

W czasie czwartego żywota, podobnie jak w poprzednich wcieleniach, miałem poczucie, że pamiętam wiele z dawno minionych wydarzeń. Nie wiem dlaczego. Ale jako dziecko często stwierdzałem, że kawałki papirusu, którymi się bawiłem, szybko pokrywały się znakami rozumianymi wyłącznie w tajnej świątyni w Tebach z końca panowania Usermare. Jako młodzieniec błyszczałem także jako szermierz i woźnica rydwanu, a poza tym po raz pierwszy można było spokojnie stwierdzić, że miałem na tyle rozumu, by się ożenić młodo, wybierając atrakcyjną kobietę z mojej własnej klasy. Matka nie tylko nie została wdową, ale w dodatku całkiem rozsądnie polepszyła naszą pozycję towarzyską, wychodząc za męża za nieprawego potomka Amen-kep-szu-efa. Ponieważ mój dawny rywal (a obecnie i przodek!) był tak pochłonięty obłąkami, że dzieci miał niewiele, jego potomstwo, choć nie miało prawa do tronu, polepszało swoją pozycję za każdego kolejnego faraona. Toteż rodzina, do której wszedłem dzięki powtórnemu zamażpójściu matki, była szanowana równie wysoko, jak rodzina mojej żony i zapraszano nas na wiele różnych uroczystości. Mogę śmiało powiedzieć, że wczesne lata mego czwartego życia były tak przyjemne, że moja córka, matka naszej drogiej Hatferti, Ast-en-Re, była tak piękna i czarująca, iż gdyby moja żona nie zmarła podczas mej wyprawy do Libii (gdzie prowadziłem kampanię jako najmłodszy wiekiem generał, jakiemu powierzono odpowiedzialne zadanie), mógłbym dokonać żywota na lukratywnej posiadzie, płodząc kolejne dzieciaki. Śmierć żony dała mi jednak jedną bolesną nauczkę. Nie opłakiwałem jej jak należy. Pamięć moich poprzednich trzech żywotów huczała mi w głowie niczym trzy duchy stojące u progu. Zrozumiałem, że nie wolno mi rzucać się w wir życia publicznego, skoro liczne żądze moich poprzednich żywotów są wciąż nie spełnione, ledwo spełnione czy wręcz zaniedbane. Złożyłem więc dymisję z urzędu w wojsku i podjąłem studia medyczne, dając – jak mniemam – wyraz moim ukrytym skłonnościom do sztuk magicznych. Latami badałem różne złożone problemy, na przykład, jak wcierać oliwę wieczorem, gdy powietrze jest łagodne, dla złagodzenia ataku podagry? Jak się przekonać, w której z trzech pór roku najlepiej skutkują wszystkie zioła, znajdujące się na listach naszych aptek? Prowadziłem zapiski dotyczące leczniczych właściwości rybiego mleczu w kwestiach bezpłodności, sprawdzałem też, jakie substancje najlepiej przenikają do organizmu przez

usta naszych ciał albo poprzez wcieranie w skórę. Zastanawiałem się też nad tym, jakie proszki można wdychać jako opary przez trzcinową rurkę. Mając sporo czasu i pieniędzy, byłem bardzo skrupulatny i zapisywałem na papirusie wszystko, czego się uczyłem, dokładnie notując wyniki, nawet jeżeli czasami przychodziło mi wyliczać recepty, złożone z dwudziestu pięciu albo trzydziestu substancji. W końcu trudno zapomnieć o tym, że powodzenie wielu kuracji zależy od ostrożnego dawkowania tych wszystkich substancji. Wnet się przekonałem, że najbardziej wszechstronne zastosowania miały wszelkie rodzaje odchodów. Kiedy się nad tym zastanawiałem, przypomniały mi się obrzędy, które odprawialiśmy wspólnie z Kulką Miodu, toteż zabrałem się do badań nad magią, co stało się prawdziwą ozdobą mojej starości za czwartego żywota. Nie sądzę, by był to szczęśliwy wybór. Dowiedziałem się bowiem, że Amon co prawda nawiedził moją pierwszą matkę, ale mnie samemu nie udało się jeszcze odwdziżyć za ten dar żadnym wielkim czynem. W pierwszym życiu nie udało mi się, w drugim zachowywałem się zdradliwie, w trzecim pokalałem wszystkie gniazda, toteż w czwartym życiu ujrzałem swoją ostatnią szansę, by wykorzystać moją wiedzę i nauczyć się jeszcze więcej. Gdyby było inaczej, nie podzieliłbym się z wami tajemnicami, których nikomu jeszcze nie wyjawilem.

– Ale – rzekł Pta-nem-hotep – nie potrafisz sobie siebie wyobrazić na wysokim urzędzie u mego boku, skoro nie rozumiem nawet, po co korzystałaś z nietoperzy.

Menenhetet odparł na to zmęczonym, pełnym rezygnacji głosem:

– To brudne stwory, historyczne jak małpy, niespokojne jak robactwo. Są przenikliwe i trzymają się stada. Ale ich odchody zawierają to wszystko, czego nie potrafisz wykorzystać. Są przeto obdarzone mocą znoszenia samotności.

– Zaczynam rozumieć twoje dziwaczne przyzwyczajenie – rzekł faraon tonem pełnym zdumiewającej sympatii. – Ta podła przeszłość musi ci dodawać sił dla znoszenia samotności stu osiemdziesięciu lat.

Menenhetet skłonił głowę przed mądrością faraona. Ale ja zdałem sobie sprawę z innej mądrości mojego ojca, której przedtem wcale nie odczuwałem. Zdałem sobie sprawę z tego, że właśnie podjął ważną decyzję. Menenhetet nie zostanie jego wezyrem. Nie miał zamiaru codziennie spoglądać na sto osiemdziesiąt lat samotności.

Pradziadek poruszył się niespokojnie. Nie wiem, czy też zdał sobie sprawę ze zmiany atmosfery, ale przytaknął ponuro, kiwając głową, gdy Pta-nem-hotep, jakby pragnąc ukryć prawdziwy tok myśli, ciągnął:

– Nie opowiadasz mi nic o swoich transach.

– Opowiedz mu – rzekła Hatfertiti.

– Tak – zawtórował jej faraon – chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o twoich transach.

– Jeżeli ty mu nie powiesz, ja to zrobię – oświadczyła matka.

Ponieważ pradziadek milczał, matka zaskoczyła nas wszystkich.

– To okropne – powiedziała z wyrzutem do Menenheteta.

– I pomyśleć, że ja cię uważałam za jednego z największych bogów. Nie rozumiem, dlaczego milczysz. Chyba zgłupiałeś.

– Nie, dlaczego miałby zgłupieć? – wykrzyknął Pta-nem-hotep.

– Zgłupiał. Nie ma pojęcia o tym, co jest teraz dla mnie prawdą. Ja, która zawsze miałam dwa serca, jedno po to, by kochać mężczyzn, a drugie po to, by nimi gardzić, ja jestem teraz oddana bez reszty jednemu mężczyźnie. – Potem powiedziała to jeszcze silniej, gdyż wcale nie wymówiła słów, lecz pozwoliła nam je odczytać w swoich myślach. – Kochałam po to, by okłamywać wszystkich kochanków, lecz teraz znam wartość mej wierności.

– Tylko faraon potrafi dotrzeć do dna twoich Obojga Królestw – powiedział Menenhetet i skłonił się.

– Dlaczego nie powiesz Dziewiątemu o tym, jak zostałam wykorzystana? Czy wiesz – powiedziała, zwracając się do Pta-nem-hotepa – że stanowiłam natchnienie dla jego magii? Powiedz mu – powtórzyła, zwróciwszy się do Menenheteta – powiedz mu, jak mnie wtajemniczyłeś w swoje obrzędy, gdy miałam dwanaście lat. Powiedz mu, jak mnie uwiodłeś!

– Nie byłeś dziewicą.

– Nie – przyznała Hatfertiti. – Nie byłam. Ale nikt mnie jeszcze tak nie uwiodł. Opowiedz mu.

– Nie potrafię mówić o tych sprawach – odparł Menenhetet. Nie mogłem na niego patrzeć. Nie widziałem jeszcze człowieka zranionego. Nie wiem, jak zachowuje się żołnierz, gdy włócznia przeszyje mu pierś, ale Menenhetet poszarzał i zdradzał oznaki skrajnego wyczerpania. W ciągu nocy wielokrotnie potrafił przemóc własne zmęczenie i potrafił tchnąć nowe siły w każdy zwój swej wiedzy rozwijanej przed nami, ale teraz wyglądał, jakby wszystka krew odpłynęła z jego ciała.

– Gdy Menenhetet po raz pierwszy do mnie przyszedł – rzekła Hatfertiti – nie miałam pojęcia, czym się posługiwał. Ale podał mi napój i stałam się bezwładna. Zażył rozkoszy – na tym wówczas polegała jego rozkosz – kochając mnie, jakbym była martwą kobietą, leżącą pod nim bezwładnie. Kobieta nieżywa bardziej go, jak sędzę, podniecała, niż żywa.

– Wcale nie – wtrącił Menenhetet.

– Nie – przyznała Hatfertiti – faktycznie nie tak było. To był cały obrządek. Kiedy dorosłam, nie musiałeś mnie już obezwładniać napojem. Polubiłam to, co robiliśmy razem. Nauczyłeś mnie towarzyszenia ci do twoich jaskiń. – Ostatnie słowa wypowiedziała głosem tak mocnym, tak pełnym gniewu, że nie byłam pewien, czy mówi o zakopanym przybytku, czy głębokiej przepaści. Tak czy owak była wściekła. – Oto dokąd mnie zaprowadziły jego transy – do najgłębszego nurtu strumienia. Do jaskiń. Nigdy się tak bardzo nie bałam wszystkiego, co pełza w mroku, jak wówczas.

Zwracając się do Pta-nem-hotepa powiedziała:

– Nie chcę przed tobą niczego ukrywać. Kiedy byłam w transie, słyszałam, jak pradziadek rozmawia z Kulką Miodu, z Usermare i z Nefertari, i to jeszcze nie było takie złe, ale rozmawiał też z ośmioma bogami mułu. Ja byłam brudem między jego palcami, a on wyśmiewał się z mego nieszczęsnego związku z Nef-kep-aukemem. Powiem wszystko, nawet najgorszą prawdę. To nie jaskinie zwiedzaliśmy, lecz grobowce. Wiem, co to znaczy kochać się w jaskiniach, wypełnionych majakami umarłych.

Zdumiewająca była mądrość mojej matki. Wiedziała, że faraona bardziej to do niej przyciągnie, niż go odepchnie.

– Nie wytrzymam tej rozmowy ani minuty dłużej – rzekł Menenhetet, a moje nadzieje spełzły na niczym. Wstał i wyszedł z pokoju bez ukłonu, choć można go jeszcze było słyszeć, gdy powoli, jak to starzec, schodził po schodach, wychodził z patio i znikał w mroku, który za chwilę miał ustąpić brzaskowi. Po raz ostatni widziałem wówczas mojego pradziadka pośród nas.

V

Kiedy tylko wyszedł – przestałem dobrze widzieć. Matka i ojciec wciąż siedzieli po obu stronach mnie, ale stali się bezkształtni jak dym, zaś kolumny w patio wokół mnie były niewidoczne. Czułem się tak, jakbym klęczał przed mężczyzną w kamiennej czeluści i mógł wybierać (wybierać wyłącznie drżeniem serca) między pozostaniem w wilgoci grobowca a równie łatwym powrotem do moich rodziców.

Ale prawie natychmiast siła ich obecności zaczęła dźwięczeć za każdym poruszeniem w pętach mego zaklęcia. Już zacząłem widzieć ich twarze, jakże mi bliskie w nocnym mroku, i zrozumiałem, że moje myśli znów się zbliżyły do myśli matki. W milczeniu rozmawiała z Pta-nem-hotepem – a w każdej chwili milczenia słyszałem niepokój.

– Czy mnie kochasz? – pytała. – Dlaczego mnie wybrałeś? Pytania te wyrywały się z jej piersi w towarzystwie nie wypowiedzianych głośno lamentów:

– Dzisiejszej nocy utraciłam męża, a przed chwilą straciłam także mężczyznę, który był mi ojcem, kochankiem, bogiem, wrogiem, najdroższym przyjacielem, którego się najbardziej obawiałam, moim przewodnikiem w drodze do bogów. Był dla mnie tym wszystkim. A przecież kocham ciebie i tak cię uwielbiałam przez siedem lat, że gotowa jestem zrezygnować z niego. Prawdę mówiąc, to ja go odegnałam. Ale ty jesteś człowiekiem zimnym. Czy mnie kochasz? Czy mogę ci zaufać?

Pta-nem-hotep także odpowiedział myślami. Przechodziły one przez moje ciało, jak gdyby każde z tych nie wypowiedzianych słów było ręką, zdolną mnie unieść.

– Tego dnia, przed siedmiu laty, gdyśmy wypłynęli moją łódką na polowanie, mój kij strącił więcej ptaków niż kiedykolwiek przedtem. Mając ciebie u boku, mogłem zwyczajnie cisnąć kij w górę, a ptaki nie potrafiły umknąć. Żadna kobieta tak na mnie nie wpłynęła. Żadna też nie poruszyła mnie tak bardzo jak ty dzisiejszej nocy. Toteż kocham cię. Będziesz moją królową.

– To prawda – myślała matka, ale jej myśli były tak skryte że tylko ja je słyszałem. – Oto słaby mężczyzna, który nabierze sił. Nie ma cnót równie potężnych, co oddanie takich mężczyzn, zwłaszcza gdy się ich zaspokoi. A głośno powiedziała:

– Chodźmy. Połóżmy się razem. – Nie śmiała nawet do samej siebie powiedzieć tego, co ja usłyszałem, wyraźniej niż ona sama pomyślała, tego mianowicie, że nigdy nie przestanie jej pożądać, gdyż lubuje się, jak stwierdziła, w tajemnicach i im więcej się dowie o najgorszych występkach, tym bardziej będzie zadowolony.

Wstali i objęli się, później ojciec uniósł moje ciało. Nie wiem, czy to dlatego, że przestałem czuć pod sobą kanapę, ale dostałem zawrotu głowy. W powietrzu krzyżowały się niespokojne prądy, a ja poczułem niebiosa burczące w moim brzuchu i zastanawiałem się, czy na niebie nie pojawi się burza.

A potem zrozumiałem przyczyny tego zamętu. Uczułem je poprzez dotyk ojcowskich ramion. Na patio wszedł Kem-Usza. Ujrzałem go spod na wpół przymkniętego oka, które natychmiast przymknąłem, nie chcąc go w ogóle widzieć. Na wpół śpiący dryfowałem przez głosy, które przepływały obok mnie, niczym krokodyły uderzające ogonami o wodę na głębinie, do której nie mogłem dotrzeć. Może odpłyną i nic już nie usłyszę.

Ale mimo dryfowania z dala od głosów, słyszałem wyraźnie, że wokół pałacu kręcili się żołnierze.

– Są to żołnierze Nes-Amona – usłyszałem Kem-Uszę.

– Możesz wykorzystać moją milicję. Postawiłem ich na nogi dzisiaj w nocy. – Nastąpiła ożywiona dyskusja, w której brała udział matka, pełna zdecydowanych, okrutnych pomysłów. Słyszałem, jak mówi do ojca:

– Jeżeli twoja pałacowa gwardia nie zostanie wsparta przez ludzi Kem-Uszy, nie będzie królewskich oddziałów. Przejdą na stronę Nes-Amona. – Wywiązała się nowa kłótnia, w czasie której padały urywane, szybkie wypowiedzi. Usłyszałem, jak ojciec mówi: „O nie, to niedopuszczalne, nie mogę ci przekazać aż takich uprawnień”. Znow się zaczęli kłócić, matka zaś powiedziała: – Nie masz wyboru, nie masz wyboru.

Nie, nie miał wyboru.

– Nie masz – powtórzył Kem-Usza i znow zaczęli rozmawiać. – Nie – usłyszałem wyraźny głos ojca. – Nie, Menenhetet nie zostanie wezyrem, wcale nie mam zamiaru go mianować. – W powietrzu zapanowała cisza i spokój. Uczułem, że podają mnie matce, ona zaś niesie mnie w pierwszym świetle wczesnego brzasku, który błyszczy niczym srebrna niteczka na moich zamkniętych powiekach, gdy staram się je otworzyć. W oddali usłyszałem głośnie okrzyki oraz szcęk i zgiełk towarzyszący starciu dwóch zdecydowanych na wszystko grup uzbrojonych ludzi. Uczuwszy w nosie zapach kozich odchodów i gasnących ognisk zrozumiałem, że znaleźliśmy się w osadzie dla służby, gdzie spała Ejasejab. Usłyszałem, jak matka mówi do niej:

– Zaopiekuj się, zaopiekuj się dobrze. Nie wiadomo, co będzie. – Znalazłem się w pulchnych ramionach Ejasejab, którą znałem jak własną pachę, z tym że pachniała dziwnym, męskim zapachem. O tak, dzisiejszej nocy leżał na niej mężczyzna, poznałem to po zapachu. Pachniał jak stwór żyjący na skale nad wodą, ale przestałem myśleć o jego woni, gdyż ułożono mnie na macie, jej palec zaś z przyzwyczajenia przecesał moje włosy za uchem. Zastanawiałem się, czy może położy się obok mnie i weźmie do ust Słodki Paluszek, ale kiedy ciepło zaczęło ogarniać moje uda, posłyszałem przekleństwo z sąsiedniego pokoju i do sypialni wszedł mężczyzna. Był to Ten Który Miazdzy Kości. Po jego kroku poznałem, że Ejasejab doń należy, że nie wzdycha już do tych dwóch służących – Hebrajczyka i Nubijczyka, którzy bili się kiedyś o nią w pomieszczeniach dla służby naszego domostwa (Czy był to teraz dom Nef-kep-aukema?).

Nie wiem, czy to moje słodkie myśli podnieciły Tego Który Miazdzy Kości, czy to jego silne uczucia nasyciły mnie słodyczą, ale wnet usłyszałem, jak się kochają, a były to odgłosy całkiem odmienne od tych, o których słyszałem dzisiejszej nocy. Nie mówili nic, ale często jęczeli, a potem on zaryczał, ona zaś wydała piski tak cieniutkie, że tylko ptaszek o najjaskrawszych piórkach byłby je w stanie naśladować. Poczułem się jak w domu, gdyż przyzwyczajony byłem do takich odgłosów służby. Zwierzęta już się budziły o świcie, a inni służący też się kochali w swoich lepiankach. Czuło się życie i ruch wszędzie dookoła, nalewano wodę, przesypywano ziarno, ryczały zwierzęta, inne rżały i ujadły w stajniach i zagrodach. Pamiętam, że jako dziecko myślałem, iż służba kocha się bez bogów i dlatego jest u nich zawsze cieplej, ich miłość zaś bardziej syci i zaspokaja niż miłość mojego otoczenia, choć ich wytryskom towarzyszyła może mniej olśniewająca światłość. Zastanawiałem się jednak, czy nie można tego porównać do skosztowania najcudowniejszej zupy. Czuło się, jak zupa przechodzi do brzucha, z jednej delikatnej zagrody do drugiej. Zanurzony w gruchającym głosiku Ejasejab, gdy ustali, zasłuchany w jej kojące słowa, w szelest jej ręki pieczącej jego plecy, zapadłem w sen. O tak, zasnąłem po tej męczącej nocy prawdziwym snem, bez snów, choć zdawało mi się, że wiele dookoła krzyczano i wielu mężczyzn biegało wokół chatki.

Kiedy się obudziłem, u wezglowia mego posłania stała matka, by mi powiedzieć, że pradziadek nie żyje.

– Chodź – powiedziała – przejdziemy się. – Na każdej ścieżynce wokół pałacu kręcili się żołnierze, pełno ich też było na dziedzińcach. Ujrzałem bałagan i zamęt, a żołnierze nie odwracali na nasz widok oczu. Wpatrywali się uważnie i czujnie przestępowali z nogi na nogę.

Matka nie płakała, opowiadając mi o śmierci pradziadka, ale na twarzy jej malowała się nadzwyczajna powaga, oczy zaś miała puste, toteż kiedy przerwała i nic nie mówiła, przypominała posąg.

– Twój pradziadek – rzekła – na pewno pragnąłby, byś się dowiedział, jak dzielnie umarł.

Pochwyciły go oddziały Kem-Uszy. Żołnierze znaleźli dostojnego starca siedzącego na tym samym złotym krześle, które służyło Pta-nem-hotepowi za tron, gdyśmy po raz pierwszy pojawili się przed jego obliczem i ujrzeli go na balkonie. Przyciskany dzidami i pod strażą, Menenhetet został przywieziony do sali, w której znajdowali się Pta-nem-hotep, Kem-Usza i Hatferti. Nasz faraon kazał go puścić i powiedział:

– Dzisiejszej nocy zastępowałeś mnie. Byłeś sercem Obojga Królestw, a bogowie cię słuchali. Za to czeka cię chwała. Istotnie bowiem byłeś faraonem tej nocy i tak być powinno, spodoba to się Maat, gdyż patrząc na ciebie widzę teraz, iż nie mógłbyś zostać wezyrem. Nie potrafiłbym zaufać twoim ambicjom. Potrafię jednak docenić twój geniusz.

Mówiąc to wręczył Menenhetetowi swój własny krótki nóż.

Matka powiedziała:

– Byłam przerażona. Patrząc na usta pradziadka byłam przekonana, że zatopi nóż w piersiach Pta-nem-hotepa. Kem-Usza też tak sądził. Zobaczyłam lęk na jego twarzy. Podanie tego noża to jeden z najodważniejszych gestów, jakie widziałam. I oznaka mądrości.

Menenhetet skłonił się, siedmiokrotnie dotykając czołem podłogi. Potem przeszedł do następnego pokoju, by odprawić ostatnie obrzędy zastępcy faraona. Ujął nóż, odciął sobie uszy, wargi i genitalia, a potem, cierpiąc straszliwie, zaczął się modlić. Utracił wiele krwi. Nim zemdlął, szarpany straszliwym bólem, podciął sobie gardło.

Matka wzdrygnęła się, ale oczy jej pały.

– Tylko Menenhetet potrafił zdobyć się na taką śmierć – rzekła.

Kiedy słuchałem jej opowieści, złoto południowego słońca poczerwieniało, a ja miałem wrażenie, że i my umieramy. Oczy matki jeszcze były skierowane w moją stronę, ale im dłużej się w nie wpatrywałem, tym bardziej zlewały się w jedno oko, w jedną światłość, przypominającą gwiazdę na ciemnym niebie. Zniknęło wszystko, co miałem przed oczyma. Znow byłam na kolanach w głębi piramidy, wzdłuż długiej studni przebiegał promyk światła gwiazdy, odbijając się w misce wody.

Nie widziałem już tej gwiazdy. Przed oczyma miałem tylko pępek. Był to wyschnięty pępek Ka Menenheteta, a ja znow czułem odór i wściekłość fallusa tego starca w moich ustach.

VI

Byłem młodym, dwudziestoletnim człowiekiem, klęczałem na kamieniu, a wspomnienia o chłopcu, którym musiałem być wcześniej, odpłynęły z mego serca. Byłem tutaj w moim Ka i nie byłem niczym więcej niż Ka, starzec zaś po raz drugi już tej nocy wytrysnął. A może przeżywałem tylko katusze pierwszego wytrysku po raz drugi? Czy na tym polegają cierpienia Ka?

A potem wytrysnął wszystek, z przytłaczającą goryczą. Jego nasienie było jak dezynfekcja, cuchnąca i gorzka, i bardzo chciałem zwymiotować, ale nie mogłem. Musiałem wchłonąć w siebie cierpienie, które go trawiło, i całą jego nagłą żądzę zemsty na mojej matce.

Tak oto, z fallusem Menenheteta w ustach, poznałem wstyd, który go palił. Ka mego pradziadka przygniatał mojego Ka tak samo, jak Usermare musiał go przygniatać dawno temu. Poznałem także głębię jego wyczerpania, które uderzyło mnie jak wodospad. W żadnym z czterech żywotów nie znalazł tego, czego pragnął. O tym już wiedziałem, a potem przełknąłem i cała trucizna jego Kaibit przeniknęła mnie. Nasienie mego pradziadka zawierało nie rozcieńczoną truciznę Kaibit. Jej to miałem zawdzięczać moją znajomość historii.

Miałem żyć w cieniu jego rad. Mój Ka musiał wybierać kierunek w Krainie Umarłych przy świetle jego Kaibit. Jeżeli jego opowiadania nie były prawdziwe, nie miałem pojęcia o tym, co się przedtem działo. Ka pragnął odtworzyć własną przeszłość, ale mądrość taka zamienia się w złowieszczą moc, gdy stanie się udziałem kogoś innego.

Nie wiedziałem zatem, czy ufać temu, co ujrzę, ale zarazem bezwiednie zacząłem sobie przypominać, co się działo z moimi rodzicami po ostatniej w życiu pradziadka nocy. Naturalnie nie miałem wyboru. Jakże mogłem sobie pozwolić na to, by nie iść śladem tego, co do mnie napłynęło? Chodziło wszak tylko o wydarzenia z mojego życia po odejściu Menenheteta – czyżby między jego zgonem a moim upłynęło naprawdę piętnaście lat? Tyle zdaje się pamiętałem (czy zmarłem mając lat dwadzieścia czy dwadzieścia jeden?). Tak, tak, moje życie zakończyło się wczesnym zgonem – wystarczy popatrzeć, gdzie się teraz znajduję. Poczułem nawet drobniutki przypływ sympatii na wspomnienie skromności, z jaką Menenhetet opowiadał nam o swoim drugim i trzecim życiu. Moje własne wcale nie jawiło mi się wyraźniej.

Ale pradziadek, wyczerpany wściekłym wytryskiem, łagodnie usiadł obok mnie, opierając się plecami o masywny mur tego wielkiego grobowca Chufu (z pustym sarkofagiem – tak, tak, nawet o tym przypomniałem sobie teraz). Siedząc obok siebie, z pośladkami na kamieniach, zaczęliśmy się wpatrywać w mrok, aż mur po drugiej stronie, odległy o pięć kroków, zaczął iskrzyć. Ujrzałem obrazy przypominające malowidła na murach świątyń. Kiedy jednak obraz zaczynał nabierać ostrości, zaraz marszczył się i rozpląwał, jak gdyby był odbiciem gwiazdy w misce wody, której tafelę mącono poruszeniem ręki. Obrazy przesuwaly się szybko, jakby naprawdę mieszkaly w mojej głowie, a nie na murze, toteż nie wiem właściwie, jak ja to wszystko widziałem – zbyt często ruszały się i zmieniały. Potem doszedłem do wniosku, że oglądanie żywych z tego grobowca, służącego zmarłym, prowadzi do jeszcze większego zamętu niż przyglądanie się minionym wydarzeniom za pośrednictwem pamięci innego człowieka. Przypominało to chwytanie ryby gołymi rękoma. Ręka nigdy nie dążyła do miejsca, które wypatrzyły oczy, woda zaś zginała nasze ramię i umykała w popłochu.

Najlepszym przykładem uzasadnionej nieufności, jaką powinienem był żywić względem przepływających przede mną obrazów, jest moje obrzydzenie na pierwszy widok, w który nie mogłem uwierzyć. Ukazała mi się twarz Pta-nem-hotepa, smakowicie zajadającego bardzo mały kawałek mięsa z okaleczonego ciała Menenheteta. Sam to widziałem, jak gdyby mury grobowca umiały przemówić albo przynajmniej zabrznieć echem uczuć tych, którzy kiedyś przesuwali się pomiędzy kamieniami. Poznałem w ten sposób żądzę mądrości faraona, tym bardziej palącą, im bardziej musiał sobie uświadamiać, że Menenheteta zabrakło. Kiedy zęby jego żuły przerażające danie, obraz nagle wydał mi się wiarygodny. Zacząłem rozumieć, dlaczego tak niewiele się zmienił przez resztę życia i dlaczego trudno mi go zapamiętać jako dobrego rodzica. Zjedzenie tego kaska mojego pradziadka wielce musiało zmienić Pta-nem-hotepa, musiało go spacyficzyć. Nie mając odwagi Menenheteta, musiał stać się człowiekiem bezlitosnym.

Potem matka przemówiła do mnie wewnątrz mego ucha i rzekła:

– Źle czynisz, oceniając surowo swego ojca. Zjadając pradziadka, faraon związał się z naszą rodziną. – Ledwo zdążyła wypowiedzieć te słowa, a już ujrzałem przed sobą barwny obraz. Ujrzałem ich, jak często są razem, jak matka faktycznie zostaje królową i siedzi obok niego na tronie. Potem przypomniałem sobie, że ledwo rok minął od pamiętnej Nocy Świni, a już powiła mu dziecko, mego brata. O tak, bardzo wyraźnie panowała jako królowa, towarzysząc mu wszędzie, przy każdej ważniejszej okazji. Brał teraz udział znacznie częściej w uroczystościach, a kiedy konkubiny bogów śpiewały faraonowi pieśni, matka przygrywała im. Pierwszy rok minął im bardzo szczęśliwie.

Ale zacząłem sobie także przypominać, że często się kłócili. Nie można powiedzieć, by się przestali rozkoszować swoimi ciałami (na dworze uważano to nawet za skandal, że tyle czasu przebywali ze sobą), ale coraz bardziej irytowały ich drobne nawyki, a jak to zwykle bywa u ludzi żyjących w małżeństwie, zazwyczaj kłócili się o to samo. Latami spierali się o warsztat Nef-kep-aukema w Memfis.

I w rzeczy samej kłótnie musiały być częste, skoro moja pamięć ożywiła się na tyle, by obrazy przestały mi migotać przed oczyma. Zamiast obrazów w mej głowie pojawiły się myśli o Nef-kep-aukemie. Przypomniałem sobie, jaką wściekłość wzbudził w Pta-nem-hotepie tego ranka, gdy oddziały Kem-Uszy obsadziły pałac. W trakcie negocjacji, prowadzonych tego ranka o świcie z Wysokim Kapłanem, Pta-nem-hotep dowiedział się bowiem, że Nef-kep-aukem zaraz po wyjściu z patio pospieszył do kwatery Kem-Uszy w Memfis, a tam przekazał kapłanowi wiele cennych informacji o ambicjach mego pradziadka oraz o rosnącej sympatii faraona dla tychże ambicji.

Ponieważ opowieść ta dotarła do mnie za pośrednictwem zbiegających z wściekłości warg matki, domyśliłem się, że podejrzewała, iż ani oddziały Kem-Uszy, ani Nes-Amona nie ruszyłyby się tej nocy, gdyby nie Nef-kep-aukem. Prawda była taka, zdaniem matki, że Nes-Amon dopóty nie zaczął zwoływać swoich ludzi, dopóki nie usłyszał szczęku oręża podwładnych Kem-Uszy, gotujących się w ciemnościach do wymarszu.

Ta zdrada doprowadziła ojca do szału bardziej skutecznie niż inne wydarzenia o świcie. A potem Nef-kep-aukem, sądząc, że dobrze będzie zaraz odebrać nagrodę od Wysokiego Kapłana, popełnił ten błąd, że zbyt wcześnie pojawił się w pałacu. Pta-nem-hotep oświadczył Kem-Uszy, że prawdziwe pojednanie między faraonem a Wysokim Kapłanem może nastąpić dopiero od usunięcia zdradzieckiego Nadzorcy. Ojciec tak dalece upierał się przy tym, że Kem-Usza, zrozumiałwszy, jak istotna to dlań sprawa, udawał przez jakiś czas, że wcale nie musi zawsze być lojalny wobec Nef-kep-aukema. Zyskał dzięki temu wiele, nim się ostatecznie zgodził na to, żeby byłego Nadzorcę Królewskiej Szkatuły z Kosmetykami wygnano z pałacu. Matka oświadczyła, że gdyby nie jej interwencja, Nef-kep-aukema z pewnością by zabito.

Przypominam sobie, że jej uczucia wnet uległy zmianie. Mój były ojciec, jak zwykle czuły na potrzeby innych, wnet otworzył w Memfis sklep dostarczający kosmetyków damom. O ile wiadomo, był to pierwszy tego rodzaju interes w Obojgu Królestwach. Jakaż to dama nie miała zawsze służącego, który zajmował się wyłącznie jej włosami? Ponieważ jednak wiadano powszechnie, iż ręce Nef-kep-aukema dotykały głowy samego faraona, jego sklep stał się natychmiast popularny. Ojciec wnet zaczął doskonale prosperować. Nie było jednak dnia, by Hatfertiti nie klóciła się z faraonem o usunięcie sklepu jej pierwszego męża z Memfis. Powiadała, że oto została nikczemnie upokorzona. Nie potrafiła jednak zmusić Pta-nem-hotepa do wydania odpowiedniego edyktu lub do przekupienia Nefa jakąś atrakcyjną posiadłością ziemską w odległym nomie. Dawna sympatia Pta-nem-hotepa dla swego byłego Nadzorcy powróciła. Słyszałem, jak mówił często, że jest skłonny wybaczyć niewierność, ograniczającą się do jednej nocy. Zważywszy na prowokacyjne okoliczności!

To naturalnie boleśnie dotknęło matkę. Zresztą nigdy nie odznaczała się cierpliwością. Podobnie jak wiele pięknych kobiet nie znosiła, gdy ją za coś obwiniano. Dlatego też podjęła wysiłki, by udowodnić, że niewierność byłego Nadzorcy Królewskiej Szkatuły była dużo poważniejsza. Oświadczała mianowicie, że Nef-kep-aukem nie stał się bynajmniej szpiegiem Kem-Uszy wyłącznie na jedną noc, ale donosił mu o wszystkim od lat. Nie potrafiła jednak dostarczyć niezbitych dowodów na to i Pta-nem-hotep nie uwierzył jej. Myślę, że trzymając Nef-kep-aukema w pobliżu, faraon dyskretnie przypominał Hatfertiti o tym, jak wiele zawdzięcza drugiemu małżeństwu. Myślę, że potrzebował takiego kija, by jej przypominać, jakie jest jej miejsce. Wiecznie słyszałem ich spory.

– Nawet nie widzisz, jak to ciebie poniża – mawiała.

– Ludzie powiadają, że żyjesz z żoną rzemieślnika szyjącego peruki!

– Przeciwnie – odpowiadał – nie ma w Memfis takiej damy, która by nie żywiła doń całkowitego zaufania. – I tak dalej. W miarę upływu lat Hatfertiti skwaśniała. Nigdy mu nie wybaczyła, że w tym akurat jej nie uległ. Istniały jednak także inne przyczyny, które sprawiały, że jej szacunek malał. Nie wiem, jakie to uprawnienia przyznano tej nocy Kem-Uszy, a jakie uzyskał później, ale matka zdążyła panować jako królowa ledwo przez trzy lata, nim jej władza i władza ojca zostały ograniczone równo o połowę. W dziesiątym roku panowania Ramzesa IX ogłoszono, że Amenhotep (tak się teraz kazał nazywać Kem-Usza – imieniem czterech faraonów) został wyniesiony w boskości na poziom równy Ramzesowi IX. Na Wielkim Festiwalu, uświetnionym wieloma obrzędami, Amenhotep, Wysoki Kapłan świątyni Amona w Tebach, uzyskał pełną władzę nad Górnym Egiptem. Wielki skarb złotych i srebrnych naczyń przekazano mu w darze, a jednocześnie ogłoszono, że wszystkie dochody Górnego Egiptu ze wszystkich źródeł będą teraz spływać bezpośrednio do skarbcza Amona, a nie poprzez skarbiec faraona. Postać Amenhotepa wyryto także na murach wielu świątyń. Stał tuż obok Ramzesa IX, a obaj bogowie byli równego wzrostu – wyrastali czterokrotnie ponad głowy otaczających ich orszaków.

Nie wiem, czy matka kochała jeszcze Pta-nem-hotepa po tym wydarzeniu, ale z tego, co sobie przypominam, to nie bardzo. Ku memu zdumieniu znów ujrzałem w myślach Menenheteta. Wyglądał na starszego o jakieś pięć, dziesięć lat, a matka była grubsza niż za życia. Zacząłem się zatem zastanawiać, czy ta cała opowieść o okaleczeniu jego ciała była w ogóle prawdziwa. A może tę straszną opowieść wymyślono tylko po to, bym już nigdy nie wracał myślami do Menenheteta? Teraz bowiem, gdy moja pamięć wspomagana była przez ośmiu bogów mułu (tak śliska się nagle stała) – zacząłem widzieć inną prawdę. Menenhetet miał uniknąć samobójstwa, choć niewątpliwie zachęcał go doń faraon. Przypomniałem sobie podniecenie faraona wobec sprzeciwu Menenheteta. Z pewnością oszukał pradziadka, nie oferując nic w zamian za bezcenne dary umysłu, złożone tej

długiej nocy, ale jak prawdziwy monarcha, poczuł się oszukany. Menenhetet nie chciał mu dać ostatecznego dowodu po służeństwie i oddania – postanowił nie zostawać zastępcą i nie zabijać się.

Odmawiając, Menenhetet wydał sam siebie na łaskę i niełaskę Kem-Uszy. Wysokiemu Kapłanowi szybko udało się przywłaszczyć sobie majątek pradziadka. Jego posiadłości w Górnym Egipcie zostały zakupione za śmiesznie niską cenę przez świątynię, a sam Kem-Usza ustanawiał ceny i nawet gdyby Menenhetet się na nie nie zgodził, świątynia i tak zabrałaby mu posiadłości. Potem reszta jego majątku w Dolnym Egipcie wraz z wielkim domem (z którego dachu przyglądałem się pradziadkowi i matce w miłosnych uściskach) zostały, za sprawą Hatfertiti, zakupione za równie niską cenę przez faraona. Matka z pewnością nie życzyła sobie mieć pradziadka w pobliżu i tym razem dopięła swego. Menenhetetowi przyszło mieszkać w skromnej posiadłości na zachodnim brzegu Teb, zakupionej dzięki nędznym resztkom, które mu zostały.

Tak dalece zapatrzyłem się na te wizje, że zaskoczyło mnie poruszenie Ka Menenheteta siedzącego obok mnie. Jego udo zaczęło dygotać obok mojego uda, a w jego oddechu wyczułem podniecenie. Zyskałem pewność, że to wspomnienie było nam wspólne, że on też je przywołał, że nie było kłamliwe. Tak bowiem on by to sobie wszystko przypominał, wielce poruszony i wzburzony. Potem wydarzenia nabrały takiego tempa i stały się tak niezwykle, że nie potrafiłem oderwać od nich oczu.

Menenhetet nie trzymał się bowiem na uboczu przez resztę życia, lecz zdołał dołączyć do złodziei z Kurna, gromadząc kolejną fortunę dzięki rabunkom w grobowcach faraonów. Sam nigdy nie zdobył podwójnej korony za czterech żywotów, nie zdołał zatem wejść do Krainy Umarłych jako bóg, ale przynajmniej potrafił plądrować ich krypty, co też czynił nader zręcznie, przebijając się podkopami od jednego grobowca do drugiego i nie zostawiając żadnych śladów na powierzchni. Potem, tego samego roku, kiedy poczuł zbliżającą się śmierć – miałem wówczas piętnaście lat, a więc było to w szesnastym roku panowania Ramzesa IX – prześlizgnął się do Memfis i udało mu się tam odwiedzić matkę.

Zobaczyłem teraz na murze, jak się kochają. Po raz ostatni. Nawet teraz, siedząc obok mnie, jęknął, jakby uchodziło zeń życie, a ja zobaczyłem, jak umiera w jej ramionach, słysząc zaś jej głęboki szloch zrozumiałem, że udało mu się, że po raz czwarty zapłodnił kobietę miłosnymi trudami, które podjął po raz ostatni w życiu. Jego moc musiała wciąż jeszcze robić na mojej matce wrażenie, gdyż mimo wielu sprzeciwów Pta-nem-hotepa podjęła wszystkie konieczne kroki, by należycie zabalsamować jego ciało.

W drugim miesiącu ciąży, zanim jeszcze ojciec zorientował się, że nosi dziecko w łonie (choć i tak na pewno uznałby je za swoje, gdyż bez względu na gryzące swary z pewnością niezwykle często zażywali z lubością wspólnej rozkoszy), Hatfertiti zemściła się po raz ostatni na Menenhetecie. Wzięła środki przeczyszczające i poroniła. Pradziadkowi nie miało być dane piąte życie. Nie stał się moim bratem bliźniakiem.

Zostało zatem jego Ka, okrutnie wyrzucone. Gdyby zechciało powrócić do zabalsamowanego ciała starca i tam zamieszkać – do czego było zmuszone, gdyż inaczej skądże by się teraz wzięło przy mnie – nie wiadomo, co by się uratowało, a co by uległo zatraceniu. Jego częśćka nie mająca schronienia, błakająca się jak duch, mogła się przytulić do mnie. Bowiem mając lat szesnaście, z pewnością uchodziłem w oczach moich rodziców za dziecko nieposłuszne i krnąbrne.

Mojego brata, Amen-kep-szu-efa II, którego imię wyrażało, jak sądzę, ambicje ojca, by jeden z jego synów został wreszcie wielkim wojownikiem, uważano powszechnie za tego, który zostanie Ramzesem X. Nie przeszkadzało mi to, aż do chwili gdy skończyłem lat szesnaście, a Amen dziewięć. Nie tylko zacząłem uprawiać gry hazardowe i rzucać się w wir rozpusty, zachowując się zatem jak wszyscy książęta, ale zrobiłem się niegrzeczny wobec Pta-nem-hotepa, a już szczególnie

źle obchodziłem się z matką, szydząc sobie z kapliczki-grobowca, jaką wybudowała dla czterech mumii, mieszczących szczątki mego pradziadka. Po wielu poszukiwaniach jej agenci odnaleźli i pierwszego Menenheteta, i drugiego. Trzeciego nietrudno było znaleźć – znajdował się w grobowcu wybudowanym przez wdowę. Złodzieje jeszcze się nie dobrali do ozdób, ale grobowiec Wysokiego Kapłana był całkowicie splądrowany. Nie było nawet pewne, czy pozostawiona tam mumia, z której zdarto amulety i klejnoty, w ogóle była mumią Menenheteta, aż wreszcie odczytano modlitwy na lnianych bandażach, a te przekonały nas na szczęście, iż chodzi o Wysokiego Kapłana. Menenheteta z pierwszego życia, Mistrza Tajemnic, odnaleziono tylko dlatego, że Hatfertiti, mimo dziesięcioletniej rozłąki, wciąż jeszcze potrafiła przenosić się do umysłu pradziadka. Podczas jego ostatniej wizyty, gdy się kochali, zawędrowała wraz z nim w otchłanie transu. Dzięki temu ujrzała miejsce pierwszej śmierci, a nawet służących Kulki Miodu, wyciągających ciało ze sterty śmieci, na którą je ciśnięto. Uratowany w ten sposób przed rozkładem dzięki natychmiastowemu zabalsamowaniu, został po siedemdziesięciu dniach przewieziony (przez wędrownego kupca z Deltą zgodzonego przez Kulkę Miodu) w trumnie do Saidy, gdzie go pochowano w skromnym grobowcu w pobliżu jej rodzinnej krypty. I to tam właśnie królowa Hatfertiti odnalazła mumię tego pierwszego Menenheteta (obok niego spoczywała mumia Kulki Miodu). Dysponując w końcu wszystkimi szczątkami, przekonała ostatecznie Pta-nem-hotepa, by się zgodził przeciągnąć te cztery dobrze zawinięte zwłoki wokół murów pałacu na wozie ciągniętym przez woły. Potem trzymała mumie w kaplicy odgrodzonej fosą, w wodzie zaś trzymała, na wszelki wypadek, krokodyle. Tak potężny był, jak sądzę, jej strach przed Ka Menenheteta.

Naturalnie niełatwo było zrozumieć moją matkę. Skrupulatnie pilnowała kaplicy, rozbawiając nawet dzięki temu Pta-nem-hotepa, który okazywał wyrozumiałość, ale z drugiej strony pozwalała sobie na bluźniercze żarty, mawiając, że czuje się bezpieczna, mając go szczelnie zamkniętego w tych urnach. Mimo że okazywała tyle troski po jego śmierci, kiedy z kolei ja umarłem i dopiero co mnie złożono w kąpieli z natrytu, doszła do wniosku, że czwartego Menenheteta, a właściwie jego mumię, sarkofag i urny trzeba przenieść (jakże osobliwa okazała się logika jej serca) do tego samego niepozornego grobowca, w którym miałem spocząć i ja. Z drugiej strony w jej sercu zaszły znaczne zmiany od chwili, gdy zmarł Pta-nem-hotep. Bardzo się postarzał przed śmiercią. Gdy mój królewski ojciec zaczął się starzeć, zatracił tę szlachetność rysów, która go wyróżniała wśród innych ludzi, policzki mu obwisły, a szyja się roztyła. Był wiecznie przygnębiony. W szesnastym (i przedostatnim) roku jego panowania odkryto, iż kilka grobowców starych faraonów w Zachodnich Tebach zbezczeszczono. Zuchwałość rabusiów upokarzała go. Wydawało się, że gotowi są rzucić się na każdego faraona, starego czy niedawnego, żywego czy martwego. Mumię Sebekemsefa, liczącą setki lat, obdarto z klejnotów, bezczeszcząc przy tym także królową. Kiedy złapano winowajców (okazało się, że są zatrudnieni w nekropolii), Pta-nem-hotep zorientował się, że w aferę jest zamieszanych wielu spośród jego urzędników. Wysocy urzędnicy ze Wschodnich i Zachodnich Teb oskarżali się nawzajem. Śledztwom nie było końca. Nes-Amon (który zachował stanowisko Głównego Pisarza, kiedy jego ambicje zdobycia wyższego urzędu zostały przekreślone przez Kem-Uszę) został nawet wysłany do Teb, by spisywać przebieg przesłuchań.

I właśnie tego roku Pta-nem-hotep gwałtownie zaczął się starzeć. Ja z kolei zacząłem odczuwać tak wielkie pożądanie matki, tak trudne do opanowania, że byłem pewien, iż może się ono brać wyłącznie z Ka nie narodzonego dziecka Menenheteta. Kiedy okazało się, że matka je odwzajemnia, poczuliśmy się jak wybrańcy bogów (a może ich potępieńcy), jak Nefertari i Amen-kep-szu-ef.

I to właśnie wówczas, na sześć miesięcy przed śmiercią, ojciec wyniósł Amen-Ka na tron współwładcy. Nadał nawet memu bratu tytuł Ramzesa X, Keper-Maat-Re, Setpenere Amen-kep-

szu-ef-Meri-Amon. Tak oto pozbawiono mnie prawa pierworodnego, jeżeli moim roszczeniom do tronu można przypisać tak szumną nazwę, pamiętając o tym, jak mnie poczęto. Ale jeszcze tego samego roku, po śmierci Pta-nem-hotepa (jakże moja matka płakała na jego pogrzebie!), brat także przeżył, nie mając jeszcze nawet dziesięciu lat, skandal o wiele większy niż bluźniercze splądrowanie świętego grobowca faraona Sebekemsefa.

Stwierdzono mianowicie, że ukryty w nieznanym miejscu wysoko w górach grobowiec Ramzesa II (umieszczony w trudno dostępnym zakątku, do którego Usermare zawiódł ongi swego woźnicę rydwanu) także został splugawiony. Obrabowano też grobowiec jego ojca, Setiego I. Czy ostał się choć jeden faraon, do którego grobowca nie wtargnięto? Biedny braciszek! Pośród ogromnego i powszechnego wzburzenia, często wybuchających zamieszek, obchodził właśnie w Memfis swoje dziesiąte urodziny, gdy z Teb przyszła wiadomość, iż barbarzyńcy z zachodniej części pustyni zdobyli miasto. Kem-Usza (jakoś nie mogłem go nazywać Amenhotepem) dostał się do niewoli, w której torturowano go przez pół roku. Po uwolnieniu był już tylko niedołężnym starcem. Amen-Ka przeżył jeszcze dwa lata, zasiadając na tronie, a potem umarł. Kiedy i jego zabrakło, wygasły wszelkie królewskie przywileje Hatfertiti i moje. Syn bratanka Ramzesa III został Ramzesem XI, a wkrótce potem umarłem i ja. Nie wiem jak. Jakoś nic mi nie przyszło do głowy na ten temat. Nie mogłem się nawet oprzeć na zdradzieckiej pamięci Menenheteta. Na murze pojawiły się jednak inne obrazy. Byłem świadkiem niezwykle osobliwego, wydarzenia. Zacząłem bowiem widzieć panowanie tych, którzy nastali po mnie. Paradowali przede mną. Pierwszym z tych nie znanych mi władców był Wysoki Kapłan imieniem Hrihor. Panował w Tebach, a obydwie królestwa stały się jeszcze bardziej poważnione. Następnie pojawił się Syryjczyk, czy ktoś taki, imieniem Nesubeneded, który panował w Dolnym Egipcie nad Wieczną Zielonią.

W tych latach gwałtowne napady na grobowce faraonów stały się już regułą, a urzędnicy czuli się bezradni, toteż w skrajnej rozpacz przesuwali ciała z grobowca do grobowca, aż Usermare został umieszczony w grobowcu Setiego I. Kiedy jednak włamano się do zewnętrznych pomieszczeń i tego kompleksu, obu faraonów, wraz z żonami, przeniesiono do grobowca Amenhotepa I, nieco później zaś kapłani musieli chować wiele królewskich mumii w anonimowych grobowcach na zachód od Teb. W ciemnej pieczarze pośród skał spoczywali: Ahmose, Amenhotep I, Tutmosis I, Tutmosis Wielki czyli III, Seti I, Ramzes II i wielu innych, ściśnięci jeden obok drugiego jak martwe pomioty. Nie wierzyłem własnym oczom. Na murze pojawiły się wizje rzeczy, o których nawet moja matka nie ośmieliłaby się pomyśleć. Mój Ka czuł się, jakby spadał w bezdenną czelusć pod ciężarem tych faraonów wyrwanych z własnych grobowców, ja zaś zacząłem się zastanawiać, czy obydwie królestwa nie były skazane na zagładę, skoro pozbawiono je fundamentów.

Przez cały ten czas Ka Menenheteta nie wymówił do mnie ani słowa. A jednak wiedziałem, że się uśmiecha na widok tej parady, toteż zacząłem się zastanawiać, ile spośród tych wizji wyroiło się z jego umysłu. Potem ujrzałem własną mumię, niedbale owiniętą, kiedy to materiał na mojej stopie padł pod naporem robactwa, a mnie samego ogarnęło przygnębienie. Wciąż nie mogłem sobie przypomnieć, jak umarłem. Im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym mniej widziałem na murze i rozmyślałem nad tą przedziwną pewnością, iż zabito mnie nocą podczas pijackiej bijatyki.

Zastanawiając się nad tym, ujrzałem tę samą piwiarnię, którą widziałem w tej cudownej godzinie, kiedy znalazłem się we wspaniałej komnacie, z podłogą wymalowaną w rybki. Wyobrażałem sobie, że widzę Tego Który Miażdzy Kości w chwili, gdy cudem unika pijackiej bójki, i choć bardzo pragnąłem dowiedzieć się, jak umarłem, musiałem zamiast tego przyglądać się wielu zmianom w życiu jego i Ejasejab, miast skupić się na moich własnych kolejach losu. Wydawało mi się, że szybko się tym znudzę, ale wciągnęło mnie. Wiele zmieniało się na moich

oczach. Ich twarze szybko zaczęły się starzeć, kiedy tylko Tego Który Miażdzy Kości mianowano Kapitanem Królewskiej Barki w nagrodę za to, że strzegł mnie tak dobrze tego ranka, gdy oddziały Kem-Uszy okupowały pałac.

Jednakże ster królewskiej barki nie był dlań najodpowiedniejszym narzędziem. Ten Który Miażdzy Kości okazał się zbyt nieokrzesany, by móc pracować dla króla. Przesunięto go więc do innych zajęć. Potem zdegradowano go jeszcze bardziej i skończył tam, gdzie zaczynał – jako mężczyzna, który lubi zbyt wiele wypić i gotów jest bić po pijanemu nawet Ejasejab, która została jego żoną.

Ale Ejasejab tak mocno go kochała, tak bardzo kochała każdy dzień ich wspólnego życia, że być może nagrodziła ją w końcu waga Maat. Nowa prosperity zaczęła się i dla Tego Który Miażdzy Kości. Poszedł do Menenheteta, by poszukać pracy, i faktycznie pracę znalazł. Mój pradziadek szukał kogoś dostatecznie silnego, by mógł służyć za gońca między nim a złodziejami z Kurna.

Ten Który Miażdzy Kości wkrótce tak się zasłużył, że Ejasejab mogła porzucić służbę u matki i kupić dom na zachodnim brzegu Teb, gdyż zajęcie męża przynosiło wysokie dochody. Mieli dzieci i moja była niańka stałaby się pewnie szanowaną matroną z własnym grobowcem rodzinnym w Mieście Umarłych, gdyby Ten Który Miażdzy Kości nie okazał się nieostrożny po śmierci Menenheteta. Aresztowano go za splądrowanie grobowca Usermare. Zabity wkrótce potem, rzucony został do anonimowego grobu.

Ejasejab nigdy nie odnalazła jego ciała. Powróciła do Memfis i znów zaczęła pracować u matki jako nadzorczyńni wszystkich służących. Jednakże pewnej nocy, wypełniając przysięgę złożoną mężowi, wyślizgnęła się do nekropolii. W słabym świetle obrazów na ścianie ujrzałem, jak śmiało rzuca wyzwanie duchowi, temu samemu, który miał tak cuchnący oddech, a którego spotkałem, udając się do mego grobowca. Dla Ejasejab było to przerażające spotkanie, ale nie uciekła i czekała, aż duch, zionąc straszliwie, przesunie się dalej, pełniąc swoją nocną wachtę. Potem zakopała niewielki posążek Tego Który Miażdzy Kości tuż przed wejściem do mego grobowca. Kiedyś bowiem wyszeptła do ucha Temu Który Miażdzy Kości przysięgę, iż jeśli go wrzucą do anonimowego grobu, zrobi jego podobiznę i zakopie ją w pobliżu grobowca Menenheteta. Omal się nie rozpląkałem na myśl o lojalności mej byłej niańki. Dzięki temu przekonałem się, iż Ka też ma Słodki Paluszek.

Nie wiem, dlaczego przewinęła się przede mną ta historyjka, ale przyznam, że ujrzawszy ją i rozpląkawszy się, poczułem, jak mój żal przesuwają się od Ejasejab ku moim daremnym próbom przypomnienia sobie, jak umarłem. Widziałem teraz moją dawną piastunkę, jak uwija się podczas ostatniego dnia mego życia, ubraną we wdowie szaty i jeszcze oplakującą Tego Który Miażdzy Kości. Ale widok Ejasejab kojarzył mi się teraz z widokiem samego siebie w łóżku matki. Nie byłem już dzieckiem, lecz mężczyzną, a moja matka i ja byliśmy kochankami.

Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co zaszło między nami – wiem tylko, że żadnej kobiety tak nie pożądałem. Ale w łóżu, gdy leżeliśmy objęci, przygniatał nas zarazem wstyd. Miłość pomiędzy bratem a siostrą była w naszym życiu czymś normalnym, ale nie można było tego samego powiedzieć o uczuciu żywionym do matki. Pamiętałem, jak bardzo Hatfertiti obawiała się plotek w Memfis, bo też istotnie szeptano o nas, do tego stopnia, że znów postanowiła połączyć się z Nef-kep-aukemem i ponownie wyszła za niego za mąż.

I tak u boku mego pradziadka mój biedny Ka znów trafił się tymi drobnymi skrawkami wspomnień, ale udało mi się wreszcie złożyć dwa kawałki pamięci ze sobą. Przypomniałem sobie mianowicie, jak to swego czasu kochałem się zarazem z kapłanem i z jego siostrą, tą, która miała pośladki jak pulchna pantera. Jej brat nie był kapłanem, wcale nie był kapłanem – był to Nef-kep-aukem, który z przyczyn higienicznych ogolił głowę. Jego siostra zaś była – moją matką!

Przygnębiony tymi wspomnieniami w grobowcu Chufu musiałem stawić czoło uperfumowanemu plugastwu i kolosalnej wrogości najdzikszych wybuchów zazdrości, musiałem sobie przypomnieć najohydniejsze sprzeczki między Nef-kep-aukemem, Hatferti i mną. Wynik (czy przypominałem sobie, czy też mi się zdawało?) był taki: wuj wynajął trzech zbirów (kiedyś myślałem, że to mój ojciec, a teraz był to z pewnością mój rywal), ci zaś zniecka napadli mnie w barze. Nim skończyli – co za marnotrawstwo, jakże potrzaskano moje nadzieje – nie żyłem. Wszystko to, co żyło w małym sześciolatkiem chłopcu, cała jego wrażliwość, mądrość, radość, wszystko, co zapowiadało przyszłe dni, co je obiecywało – minęło. Wystarczyło chłopaka rozgnieść jak muchę. Mogłem się rozpłakać nad sobą, jakbym opłakiwał kogoś innego. W rozpuście ostatnich paru lat nigdy nie przypuszczałem, że zakończę życie, nie spełniwszy co najmniej paru spośród ambitnych zamiarów, nie odkupiwszy szaleństw młodości. Ale nie. Nie było chłopaka. Menenhetet II zmarł. Życie młode, zmarnowane. O tak, łzy napłynęły mi do oczu, przemożne niczym bezinteresowny żal po nieznanym człowieku, i zadrzałem wewnętrznie. Gdy tak się trząsałem w przerażeniu, mury zaczęły się ruszać i w mroku, zanim jeszcze przeszył mnie paralizujący lęk, ujrzałem, że rysuje się na nich znak Dat. Byliśmy na miejscu.

VII

Zawsze myślałem, że nie sposób dotrzeć do Krainy Umarłych bez uciążliwej podróży. Trzeba było maszerować wiele dni w słonecznym skwarze jak na pustyni Eshuranib, a potem zsuwać się stromym szlakiem ku jaskiniom skrytym w mroku. Para bijąca z gorących źródeł wiła się po oślizgłych ścianach. Ale kiedy tak siedziałem u boku Ka mego pradziadka, czując dotyk jego uda, wszystkie wizje przesuwają się w sposób naturalnie prosty, toteż nie byłem już pewien, czy to, co widzę, istnieje tylko w moim umyśle, czy w umyśle pradziadka, czy też stanowi pewną własność muru, w który się wpatruję. Stworzenia, które widziałem, zbliżyły się do mnie i omal mnie nie nadepnęły, ale nim zdążyłem poczuć ból, zniknęły, jakby odepchnięte moim rozkazem. Tak było. I niech tak będzie. Byłem w Dat. Co prawda nigdy nie przechodziłem przez dżungłę, słyszałem tylko o niej od eunuchów Nubijczyków służących w pałacu, w uszach czułem szelest i przeraźliwe hałasy, cały ten zgiefk, jakiego można się spodziewać po gęstym lesie. Ze wszystkich stron dobiegały mnie odgłosy otwieranych drzwi, płacz zawodzących nieszczęśników oraz okrzyki bogów, brzmiące jak głosy zwierząt. Doszły mnie piski jastrzębia i okrzyki ptactwa wodnego w gniazdach, szum roju pszczół i okropne wycie bogów-byków, nawet jazgot kotów jakby goniących za kotkami. Ujrzałem Ka tych wszystkich, którzy na swoje nieszczęście byli przeciwnikami Re i byłem świadkiem, jak miażdżono ich ciała przy pierwszej bramie, potem zaś widziałem, jak tracili cienie spadając do zionących ogniem czeluści. Płomienie wylały się z ust boginek. Ale wszystkie te dziwaczne wizje nie przerażały mnie ani trochę. Już wkrótce potrafiłem odróżnić strażników wrót od nieszczęśników czekających na sąd, jako że bogowie mają co prawda ciała mężczyzn i kobiet, ale zarazem paradują obdarzeni łbami jastrzębi albo czapli, szakali albo baranów, jeden zaś szczególnie okazały bóg obnosił się z głową żuka. Nie odzywałem się do Ka mego pradziadka, ale czułem pokusę, by zauważyć, że wielu spośród tych bogów wyglądało dokładnie tak samo jak ich podobizny na murach świątyń.

A potem, w poczuciu bezpieczeństwa zbawionych (z drugiej strony, jak mogłem się uznać za zbawionego, skoro nasze groby zbezczeszczono?), ujrzałem, jak pierwsza brama ustępuje przed nami. Nie tyle przez nią przeszliśmy, ile odpłynęła wraz z murem gdzieś w bok, toteż zacząłem się zastanawiać, czy nie siedzimy przypadkiem w złotej łodzi Re i nie przebywamy wszystkich bram, nie czując żaru ni ognia. Nie wiem, skąd o tym wiedziałem (przecież nie widziałem w naszej łodzi innych współpasażerów, tylko pradziadka i siebie), ale czułem, że jesteśmy na drugim zakolu Dat, gdzie przyglądaliśmy się paru nieszczęśnikom, którzy nachylali się, by zaczerpnąć wody ze strumieni. Widać też było, jak ci, którzy zbyt wiele kłamali w życiu, zaczynają wrzeszczeć. Woda bowiem wrzała w zetknięciu z ich językami. Ujrzałem bogacza, Fek-futiego, który stał w szatach zbrukanych mułem brzegu rzeki. Przeniósł paluszek Kulki Miodu przez wiele bram, ale sam stał wciąż jeszcze na początku swej podróży, gdyż jego występki okazały się liczniejsze niż cnoty. Potem ułożył się na plecach i okazało się, że zawiasy w trzeciej bramie przytrzymywane są ćwiekami, z których jeden przebijał mu oko. Za każdym razem, gdy wielka brama otwierała się albo zamykała, wydawał żalospny okrzyk bólu właściwy człowiekowi, który spędził życie zbyt wyraźnie dążąc do własnych korzyści. Inni wili się wokół niego spowici własnymi pętami.

Potem przepłynęliśmy długim tunelem zakończonym pyskiem byka, a na jego końcu ujrzałem dwanaście ofiar przebywających we wrzącym jeziorze. Jezioro cuchnęło tak przeraźliwie, że ptaki umykały spłoszone, kiedy zdarzyło im się nad nie nadlecieć, ale ja jakoś nie czułem zapachu siarki, choć widziałem wielu ludzi ciągnących swoje cienie za sobą. Jedno z jezior było tak zatłoczone, że mieściło w sobie nawet dwa rzędy po czterdzieści dwie kobry każdy, a te ostatnie nie musiały nawet plwać ogniem, gdyż ich syk był dość przerażający, by cienie zmarłych wiotczały w przerażeniu.

Na piątym zakolu Dat ujrzałem dwanaście mumii. Kiedy je oglądaliśmy, podszedł bóg z głową szakala i kazał im odrzucić zawoje, zdjąć peruki, pozbierać kości i ciało, i otworzyć oczy. Mogli już porzucić jaskinie Seker i udać się za nim do wielkiej posiadłości, jaką im wyznaczono. Ale przed nimi rozciągało się tylko jezioro wrzątku, a oni nie mieli żadnego schronienia ani przyodziewku w tej Krainie Umarłych. Na szóstym zakolu Dat ujrzałem boga z głową ryby, który potrafił uspokoić morskie potwory, wytrząsając sieć przy wtórze potężnej pieśni. Znał geniusz sieci i wiedział, jak wiązać węzły, które wprowadzały potwory w błąd. Dojrzałem też chrząszcza Keperę, który był ogromny, równy rozmiarami ośmiu lwom, a przez każdy ogień prześlizgiwał się tak zręcznie, że nawet go nie osmaliło. Ujrzałem Keperę żeglującego srebrną i złotą łodzią Re i przeprowadzającego łódź przez sploty olbrzymiego węża. Istotnie, wpłynął przez dziurę w ogonie, a wypłynął ustami. Na siódmym i ostatnim zakolu minęliśmy potwora zwanego Ammitem, który jest zjadaczem zmarłych i zazwyczaj odpoczywa obok wagi, podczas gdy Anubis waży serce tego, kto ma zostać osądzony. Jeżeli serce jest zbyt ciężkie dla piórka prawdy, Ammit je pożera. Był to potwór z głową krokodyla, nogami lwa i cuchnął straszliwie. Śmierdziało od niego tak obrzydliwie, że gdy słabe echo tej woni dotarło do mnie z oddali, ze ściany piramidy, poczułem fetor wszystkich złych serc, które pożarł. Raz jeszcze pomyślałem o tym, jak to po raz pierwszy poczułem nieświeży oddech ducha w nekropolii, i zacząłem się zastanawiać, czy kiedy przyjdzie mi samemu zbliżyć się do wagi, ujrzeć prawdę mojego życia, czy wówczas i moje serce przyczyni się do tego fetoru? Na pewno. Jeżeli serce nie zna zła, lżejsze jest od piórka, a moje ciążyło mi jak pełna urna.

W naszej alkwie wewnątrz piramidy Chufu wizje na murze zrzędyły. Nie bałem się. Wizje Dat były gęste jak mgła, krzyki było słychać wyraźnie, ale mój Ka nie czuł dygotania, nie cofałem się też przed płomieniem ani też nie palił mnie wielki żar. Zacząłem pytać siebie, czy to, co widziałem, to była Kraina Umarłych, czy też jej Kaibit? A może Kraina Umarłych przestała istnieć? Może to, co widziałem, to już tylko wspomnienie? Pomyślałem o zbezczeszczonych grobowcach faraonów, o tym, jak ich ciała zwalono razem do jaskini, gdzie zrzućeni leżeli być może jeden na drugim, mumia na mumii, tak ciasno, że Dat nie miał już czym oddychać. O tak, utrata grobowców faraonów mogła oznaczać kres wielkiej rzeki umarłych i całej krainy. Może dlatego właśnie Kraina Umarłych pojawiła mi się przed oczami wyłącznie jako obraz na murze, a ja nie odczułem strachu? Jeżeli tak, to przecież mój Ka nie potrafi odnaleźć Anubisa, moje serce zaś nie będzie rzucone na wagę. Dla Ammita nic nie zostanie do zjedzenia.

Ale nie czułem ulgi. Przez całe życie słuchałem opisów tego, co może nas spotkać w Krainie Umarłych, ale teraz doszedłem do wniosku, że lęki i obawy mogą być znacznie prostsze. Wiedząc już, jak umarłem, mogłem sam ocenić marnotrawstwo mego żywota, przez co cierpiałem bez miary. Jak gdyby wywołana tymi myślami pojawiła się przede mną twarz Hatfertiti, bardziej zniekształcona niż twarz trędowatego. Nie wiem, jak umarła, ale sądząc po wyglądzie jej ciała, dane jej było rozkładać się przez wiele dni. Nim zdążyłem pomyśleć, kto mógł tak zemścić się nad jej Ka, zrozumiałem że mam przed sobą wynik zwykłej ostrożności, nie zemsty. Nef-kep-aukem musiał kazać zostawić ciało żony swemu losowi, gdy wyzionęła ducha. Kiedy mąż bywa zazdrosny

o żonę, nie ufa także balsamistom. Pragnąc zapobiec temu, by się kochali z oddanym im ciałem, nie pozwala go balsamować, aż się zacznie rozkładać.

A może to Pta-nem-hotep kazał tak właśnie postąpić z jej ciałem, zostawiwszy odpowiednie instrukcje? Nie wiedziałem nawet, czyje okrutne serce sprawiło, że widzę przed sobą jej zdeformowaną twarz. Ten widok znacznie bardziej mnie poruszył niż wszystko, co do tej pory widziałem w Krainie Umarłych. Znowu wzmogło się moje prawdziwe cierpienie. Czy pamiętałem cokolwiek? Jakże miałem się przygotować?

I to właśnie wtedy mój pradziadek położył łagodnie dwa palce na moim kolanie, jak gdyby delikatnie wzywając mnie do natężenia uwagi, i zaczął mówić.

VIII

– To prawda – rzekł. – Dat to tylko duch. Musisz jednak zrozumieć, że nie żyjesz od tysiąca lat. Faraonów nie ma. Egipt należy do kogoś innego. Mamy tylko słabych książąt, a i ci są synami ludzi z dalekich stron. Nawet narody uległy zmianie. Nie słyszy się już o Hetytach. Istnieje taki kraj po drugiej stronie Wiecznej Zieleni, którego nie mógłbyś poznać w latach swego życia. Kraj ten leży daleko na północ i zachód od Tyru, ale wystarczył czas, jaki upłynął, by lud jego zyskał wielkość i opadł z sił. Tyle czasu minęło. Teraz inny wielki naród żyje jeszcze dalej na zachód za Wieczną Zielenią, lud ten zaś był barbarzyński w czasach, gdy się urodziłeś. Nasi bogowie, jeżeli mowa o Re i Izydzie, Horusie i Secie, należą teraz do nich. Jeżeli przypomnisz sobie opowieść o bogach, jaką ci przedstawiłem na początku naszych wędrówek, to mogę ci jeszcze wyznać, że opowiedziałem ją dokładnie tak samo, jak ci Rzymianie i Grecy opowiadają ją sobie nawzajem. Dlatego moja opowieść była zarazem znajoma i odległa od tych, które znasz. Otóż nasza Kraina Umarłych należy teraz do nich, Grecy zaś uważają, że jest ona niczym więcej niż obrazkiem na ścianie jaskini. Lepiej więc potrafisz stawić czoło trudnościom, jakie cię jeszcze czekają w przyszłości, jeżeli zrozumiesz nawyki ich umysłu. Za naszych czasów Re nie był ani stary, ani zgrzybiały, lecz stanowił źródło wszelkiej światłości, Horus zaś mógł mieć słabe nogi, ale za to władał niebem i chmury stanowiły jego upierzenie, a słońce i księżyc były jego oczami. Nawet Set miał moc wstrząsania niebios piorunem. Grecy mniej od nas wiedzą o różnicy między bogami a ludźmi, Rzymianie zaś takimi różnicami gardzą. Inaczej więc opowiadają o bogach, na swój sposób. Ich bogowie są mniejsi od naszych. W prawdziwej wersji, której nie przytoczyłem, mógłbym się rozwodzić nad tym, jak to w godzinie, kiedy Set wytoczył ostatecznie oskarżenia pod adresem Horusa i przegrał, bogowie nie tylko go nie wyśmiali, jak to przedstawiają Grecy, ale zaciągnęli Seta do wielkiej sali i cisnęli nim o ziemię. Potem kazali Ozyrysowi usiąść na twarzy Seta. Było to konieczne, by ogłosić zwycięstwo słusznej sprawy nad złem, gdyż na tym polega nasze pojmowanie tronu. Według Greków jest to po prostu krzesło dla królów, tak szlachetnych, że kochają wiedzę silniej niż bogów.

Pomyśl zatem, dorzucił, jakie masz szczęście, że mnie miałeś za przewodnika. Tyle razy wędrowałem już przez Krainę Umarłych, że teraz uda mi się ominąć wraz z tobą resztkę zaduchu. Najgorsze, co cię spotkało, to mój wytrysk w twoich ustach, i poczułeś już takie obrzydzenie, że więcej byś nie ścierpiał. Jesteś zepsuty. Nigdy nie poznasz na własnej skórze cierpienia, towarzyszącego prawdziwej śmierci.

Wypowiedział to, a ja poczułem przyptyw osobliwego żalu. Jeżeli nigdy nie miałem być wystawiony na próby Dat, to pustka zagości w moich siedmiu duchach i duszach. Mój Ka nigdy nie zostanie wystawiony na prawdziwą próbę odwagi. Może przyjdzie mi lec na wieki i nigdy nie umrę po raz drugi. Z drugiej strony nie ma mowy o samotności straszliwszej niż nieświadomość wartości własnej duszy.

Siedziałem w otchłaniach mego nieszczęścia. Ciężko na mnie niepowodzenie pradziadka w czterech jego żywotach. Czuję, jak ogrom jego ambicji pozostawał równie wielki, co gorycz jego klęsk. Wszystko, czym chciał zostać, nawet niezdrowa ambicja zostania faraonem, wszystko to można było mierzyć miarką jego wiary w Ozyrysa. Wywnioskowałem z jego opisów boga (niech nie próbuje mnie wprowadzić w błąd opowieściami o Grekach!), że pradziadek musi przebywać

bardzo blisko smutku, który wypełniał serce władcy Krainy Umarłych. Któż poza Ozyrysem mógł się silić na odkrycie, jacy to jeszcze nie narodzeni bogowie pojawią się na świecie? I jakże zdołałbym w ogóle zrozumieć uczucia władcy Ozyrysa, gdybym sam nie był nimi targany? Był bogiem pragnącym tworzyć mechanizmy i cuda przyszłości. Najdotkliwiej cierpiał zatem z powodu wszystkich nieudanych przedsięwzięć. On wiedziałby najlepiej, jak gorzkie musiały być klęski mego pradziadka, skoro nawet smak jego nasienia stał się odrażający.

Nie zdążyłem jednak nawet przebrnąć przez ten leciutki przyływ współczucia dla pradziadka i boga Ozyrysa, a już zaczęło się coś niezwykłego. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć Menenheteta – czułem się nader samotny – ale kiedy to uczyniłem, zniknął. Tak mi się przynajmniej wydawało. Zbyt ciemno było, by widzieć wszystko dokładnie. Ale tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się jego ciało, teraz ział mrok głębszy niż ten, który mnie otaczał. W nozdrzach czułem słabiotki zapach, przyjemny niczym woń róży. Potem mur, o który się opierałem, przestał mnie gniesć jak kamień, stał się miękki i zaczął się zapadać niczym błotniste brzegi rzeki. Usłyszałem, jak do naszego pomieszczenia wpada woda, a potem wszystko, czym oddychałem, nagle przeniknął okropny cuchnący zaduch – nie miałem już wątpliwości, że posiadam powonienie – i znalazłem się w nurtach spienionej rzeki. Po drugiej jej stronie widziałem Pola Elizejskie, zboże było złote, niebo błękitne, ale prąd unosił mnie porywając moje nogi i kłębiąc się wokół mojego ciała. Ściana zapadła się, zaduch zgęstniał, woda zakryła moją głowę, a ja nie potrafiłem pływać. Sądząc po przażeniu, które paraliżowało moje członki, musiałem się znaleźć w ściekach pełnych fekaliów. Obmywały mnie wysrane obrzydliwości naszych żywotów. Wściekły wstyd dusił mnie. Nie miałem dość siły, by oprzeć się tym wodom i gotów byłem zrezygnować z walki. Ale i wstyd mi przeszedł. Spokój jak śmierć, jak ciemność ogarniająca niebo wieczorem, opanował moje serce. Byłem gotów. Miałem umrzeć drugą śmiercią i o niczym więcej nie wiedzieć. Nawet odstręczający strumień odpadów przestał mnie drażnić. Ponownie poczułem zapach róż – w rzeczy samej był to zapach róż, wdychany wieczorem.

Potem usłyszałem głos pradziadka:

– Nie musisz ginąć – szepnął mi do ucha.

Wiedziałem, co ma na myśli. Jego myśl już mi przemknęła przez głowę – nadeszła wraz ze śmiertelnym spokojem. Można było utonąć w trzewiach tej rzeki i zostać wyplutym na pola. Resztki naszych Ka przeszłyby do roślin na polach.

A może – czy dany nam był śmiały, ostateczny wybór? – może uda się dotrzeć do innego fundamentu? W samym środku promienności tkwił ból.

Czułem, jak cień pradziadka obejmuje mojego Ka. Nie wdychałem już słodkiego zapachu róży. Znow ogarnęły nas smrodliwe wyziewy. Gardziłem nimi. Nie chciałem umierać po raz drugi. Nie byłem jednak pewien, czy śmiem wejść w samą podstawę bólu. Byłem bowiem bezwartościowy, mój pradziadek zaś był przeklęty i bezwartościowy, a na obu nas rzucono potężne klątwy. Czułem smutek ściskający jego serce, smutek, który przeszył i mnie, a wraz z nim myśl równie radosną co sama promiennność. Jeżeli dusze umarłych spróbują zdobyć niebiosą najszlachetniejszych uczynków, to muszą się spleść z innymi. Ponieważ jednak dusza nie była już ani męska, ani kobieca, lub wyrażając się dokładniej, zawierała w sobie wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety, pośród których się żyło, w Krainie Umarłych nie miało to specjalnego znaczenia, czy przysięgali sobie mężczyzna i kobieta, dwóch mężczyzn albo dwie kobiety. Wystarczyło, że zechciano dzielić ten sam los. Dzięki tej błogosławionej myśli (która pojawiła mi się w blasku) zrozumiałem także niedorzeczność starca pełnego pierdów, którego spotkałem w moim grobowcu. Jego ciało śmierdziało Krainą Umarłych (jako że był na tyle uparty, by przepłynąć przez Dat, ale nie miał już sił, by się z rzeki wydobyć) i dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że cierpiąc na samotność,

pragnął, bym się doń przyłączył. Opowieści, które snuł przed faraonem, były i dla mnie przeznaczone. To moje zaufanie chciał zdobyć.

I zdobył. Tutaj w Dat, o tej godzinie, byłem gotów mu zaufać.

Czułem, jak odchodzi Ka Menenheteta. Po jednej konwulsji jego serce przeszło na mnie i zrozumiałem, że moja młodość (moja demonicznie ucięta młodość!) pokrzepi się jego wolą, silną jak wola czterech ludzi, a był niezwykle silnym mężczyzną.

Nad głową pojawiły się światła, przypominające świetlną drabinę o wielu szczebelkach. Chwyciłem za najniższy i zacząłem się wydobywać z rzeki. Drabinka wiła się i niełatwo ją było uchwycić, ale kiedy tak kołysała się, złote łany na drugim brzegu zaczęły się ode mnie odsuwać, podobnie jak wody, a ja chwytalem szczebelki drabiny jeden po drugim (każdy szczebelek był mocny jak pępowina wszystkich ludzi, których dobrze poznałem, toteż czułem uściski ich ciał). Ludzie ci obsiedli mnie, gdy tak się wspinałem, i trzymali mnie za ramiona, toteż nie mogłem się już podźwignąć ku następnemu szczebelkowi, dopóki nie przypomniałem sobie całkiem szczerze, jak ich kochałem albo jak ich nie kochałem, dopóki nie przypomniałem sobie o tym, co w nich najbardziej kochałem, a co mi się w nich najmniej podobało. Członki mi zwiotczały, kiedy przypomniałem sobie wczesną matczyną miłość, ale mocno musiałem ścisnąć szczebelki dopiero wówczas, gdy dotarłem do okresu, gdy byłem już nie dzieckiem, lecz kochankiem! Opłakiwałem także Pta-nem-hotepa, gdyż nie zdobył wielkości, pozostał zwyczajny. Poczuję, jak jego miłość własna ginie, poczułem to w moim oddechu. O tak, wspinałem się dalej, wspominając duchy zmarłych, aż wreszcie dotarłem do wierzchołka piramidy.

Teraz znajdowałem się blisko Kulki Miodu i Nefertari, wciąż się wspinałem, jakby ramiona Usermare zostały właśnie dla mnie rozłożone, głowa zaś Hera-Re była moją głową. Miałem znów wizję wielkich miast przyszłości, dzięki czemu przekonałem się, że siła Ka musi być zaiste wielka. Podobnie jak czuła moc kwiatu drąży kamień, tak też i siła Ka musi być potężna, jeżeli prawdziwe pragnienie napotyka na przeszkody. Toteż wspinając się po drabinie czułem, że mój Ka ma swoje przeznaczenie, gdyż zdawałem sobie sprawę z naszej siły. Wstępowałem więc do góry po tej świetlistej drabinie, by zająć należne miejsce na niebiosach, skąd można było spoglądać jak Ozyrys na oznaki tego, co ma nastąpić, próbuje odwrócić burze, nim się rozszałają. A mimo to przez cały czas czułem także, że nie jestem dość czysty, by się podjąć takiego zadania, że nie zasługuje na to mój pradziadek, że żaden z nas nie może zaryzykować położenia własnego serca na szali, by piórko zrównoważyło je wyraźnie i stanowczo, oddzielając dobro od zła. Potem ujrzałem mojego Ba, tego małego ptaszka, którego twarz była moją twarzą, a przecież nie widziałem go od chwili, gdy odfrunął, widząc, iż mój Ka zbliża się do grobowca. Teraz zaczął nade mną krążyć, dusza mego serca (Ka było moim sobowtórem), i powiedział mi, że czystość i dobroć mniej ważą u Ozyrysa niż siła. Menenheteta użyto nie dlatego, że był dobrym człowiekiem, lecz dlatego, że był silny. W rzeczy samej, Bóg Ozyrys mógł przeżywać podobne rozterki co i my, gdy przychodziło sformować zastępy. Tak myślał Ba, najczystsza cząsteczka mego serca.

Ale mój Ka odparł, że nie ma dla niego rzeczy cenniejszej niż świadomość własnego celu. Ja zaś, czując przypyływ sił, w miarę jak wspinałem się po drabinie, zgadzałem się z moim Ka. Wydawało mi się, że wszystkie czary świata unoszą me stopy. Wspinając się dojrzałem księżyc, a Ozyrys siedział na nim, czekając na mnie. Po obu jego stronach siedzieli Horus i Set. Znajdowałem się blisko łodzi Re. Wszystko, co było we mnie, drgnęło, nawet sam czas.

Oto bowiem zbliża się kometa. Czuję dmuchnięcie potwornego wiatru. Nadciąga ból niepodobny do żadnego bólu, jaki dane mi było znosić. Słyszę okrzyk wybuchającej ziemi. W przerażeniu, głębokim jak otchłań, wciąż jeszcze czuję coś poza strachem. Tu, w samym środku bólu, jest promienność. Niechaj moja nadzieja na niebo okaże się równa mej nieświadomości,

dokąd zdążam. Czy jestem pierwszym czy drugim Menenhetetem, czy jestem stworzeniem złożonym z naszych podwójnych złączonych dusz i światła, tego nie podejmuję się powiedzieć, toteż nie wiem, czy na wieki będę musiał trudzić się i mozolić pośród demonów, służąc jakiemuś wyższemu celowi, którego nie potrafię nazwać.

I to mi mówi, że muszę znów wniknąć w moc słowa. Pierwszy bowiem dźwięk, który wydobył się z Woli, musiał pokonać podstawę Strachu. Toteż wydaję okrzyk nowo narodzonego, zdumionego misterium mego pierwszego oddechu i wchodzę do łodzi Re.

Płyniemy przez ledwo dostrzegalne krainy, obmywane pęcherzami czasu. Przeorywujemy pola magnetyczne. Przeszłość i przyszłość łączą się na czubkach piorunów, a nasze umarłe serca ożywają w blasku błyskawic, rozjaśniających rany bogów.

1972-1982